Biblioteka Sejmu Śląskiego
4620
1902 I A

485

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

W drukarni Józefa Sikorskiego, Warecka 14.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 245.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1902.— Tom I.



WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście **Nr.** 5.

1902.

4620. 1902. 1
II



30.000/

Дозволено Цензурою.

Варшава, 15 Декабря 1901 года.

X-14346
4620/ II
/1902



NIEZNANY PAMIĘTNIK
JULIANA URSYNA NIEMCEWICZA
o czasach
KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO.
(1807 — 1809).

Pamiętnik niniejszy, przez samego Niemcewicza uważany za zatracony, z chwilą, gdy autor jego, w roku 1831, zmuszonym był kraj opuścić na zawsze, odnalazł się między rękopisami Biblioteki Cesarskiej Publicznej w Petersburgu, gdzie, pod sign.: *Pols. Fol. № 272* zaregestrowanym był jako *pamiętnik bezimiennego autora, z czasów Księstwa Warszawskiego.*

Autorstwo jego stało się niewątpliwem, z uwagi na charakter pisma manuskryptu i uczynioną w tymże wzmiankę o godności „sekretarza Senatu", jaką w roku 1808 autor jego zaszczycony został.

Bez takiej nawet wzmianki, sama osnowa pamiętników, ujawniająca szczegóły ważne, pierwszorzędnej doniosłości dziejowej, o jakich mogła była tylko wiedzieć osobistość, bliżej wtajemniczona w arkana polityki ówczesnej zakulisowej i zestosunkowana z ludźmi, stojącymi u steru rządów Księstwa, mogła już była nasunąć przygodnemu szperaczowi domniemanie, iż autorem „Pamiętników" jest Julian Ursyn Niemcewicz.

Słusznie też, w jednem miejscu rękopisu, czyni on uwagę, że: „o dziejach przygód dzisiejszych dowie się chyba potomność z tych pamiętników, które, dziś, w ukryciu, bezstronni świadkowie dla przyszłych gotują pokoleń".

Niewątpliwie, fragment, obecnie odnaleziony, musiał mieć początek zupełniejszy i koniec bardziej zaokrąglony. Pamiętnik Niemcewicza, wydany w roku 1871 w Poznaniu, przez J. I. Kraszewskiego, rozpoczyna się od kampanii austryackiej 1809 roku, do której przygotowaniami, w roku poprzednim, zajmuje się nasz „Pamiętnik". Początek rękopisu obejmuje opowiadanie wjazdu Fryderyka Augusta do Warszawy, w roku 1807, w listopadzie. Musiały zatem istnieć i, prawdopodobnie istnieją gdzieś jeszcze w ukryciu, zeszyty z relacyą wydarzeń wcześniejszych.

W takim wszelako stanie, w jakim rękopis Niemcewicza z owych czasów szczęśliwie się odnalazł, stanowi on sam z siebie nieoceniony do historyi Księstwa Warszawskiego materyał źródłowy. Stan ekonomiczny kraju, jego nędza i wyczerpanie, jego musowa uległość arbitralnej woli Napoleona, którego Niemcewicz, mimo bezgranicznej dla bohatera żywionej czci, bynajmniej nie oszczędza, i którego tendencyjnie *Cezarem* nazywa, obraz wyniszczenia kraju, uwydatniony w nieznanych dotąd memoryałach Rady Stanu do króla Saskiego i ministra Łuszczewskiego do Rady Stanu (r. 1808), charakterystyka osób: Napoleona, króla Saskiego, jego żony i córki, marszałka Davoust, senatora Wybickiego, Adama ks. Czartoryskiego, wielu dygnitarzy wybitniejszych i wiele szczegółów zakulisowych pierwszorzędnej doniosłości historycznej, (że wspomnimy tu naprzykład wynurzenia ks. Czartoryskiego przed Niemcewiczem o stosunkach z Cesarzem Aleksandrem), znalazły w „Pamiętniku" niezwykle jaskrawe oświetlenie, znamionujące w autorze bystrego obserwatora i świetnego opowiadacza.

Nie trzymającsię wadliwej częstokroć pisowni Niemcewicza, odstąpić również musiałem, gdzieniegdzie, od form już zadawnionych gramatycznych i stylistycznych „Pamiętnika", o ile one właściwości współczesnej mu epoki nie były odbiciem i wyrazem; składnię natomiast i styl pamiętnikarza z pietyzmem pozostawiłem bez zmiany. Podział „Pamiętni-

ka“ na całostki odrębne i opatrzenie ich nagłówkami, treść opisywanych wydarzeń podającemi, są układu wydawcy.

Alexander Kraushar.

UWAGA WSTĘPNA WYDAWCY.

Rozpoczynający „Pamiętnik“ niniejszy krótki opis wjazdu listopadowego 1807 roku Fryderyka Augusta, króla Saskiego, do Warszawy, jest powtórzeniem artykułu, przesłanego współcześnie przez Niemcewicza niektórym gazetom miejscowym.

Żali się Pamiętnikarz, iż z rozkazu władzy pewne ustępy jego komunikatu usunięto. Po sprawdzeniu tej okoliczności na podstawie odnośnych dzienników warszawskich ze schyłku roku 1807, okazało się, że zarzut Niemcewicza nie stosuje się do *N-ru 94 Dodatku do Gazety korespondenta warszawskiego*, gdzie jego artykuł, z małoważnemi zmianami w całości wydrukowano, lecz odnosi się wyłącznie do № 162 dziennika miejscowego: *Journal de Varsovie*, w którym, istotnie, nietylko towarzyszące opisowi Niemcewicza refleksye, lecz nawet fakta obojętne, w nim podane, pominięto. Tak, między innemi, po ustępie opisu: „*Mr le Vice-Président eut l'honneur de complimenter S. M. et Lui remit les clefs de la ville*“ pominięto przekład dalszego ustępu oryginału, opiewającego, iż: „Najjaśniejszy Pan w *języku polskim* łaskawie i uprzejmie odpowiedzieć raczył“ i t. d.

Słusznie upatruje Niemcewicz w owej drobiazgowej cenzurze odbicie dwuznacznej polityki francuskich władz ówczesnych, które nie życzyły sobie, by Europa, z dziennika warszawskiego, specyalnie *dla Europy* wydawanego podówczas w języku francuskim, dowiedziała się o faktach, dla polityki Napoleona, wobec państw innych, niedogodnych.

Po tej uwadze wstępnej przystąpmy do tekstu samego „Pamiętnika“.

I.

Przybycie króla.—Listopad, 1807.—Radość Warszawian.—Przyjęcie na zamku.—Nabożeństwa i festyny.—W kościele Święto-Jańskim.—Drezno a Warszawa.—Ceremoniał dworski.—Sylwetki króla, królowej i królewny.—Parada wojskowa.—Pierwszy obiad na zamku.—Rozrywki wieczorne.—Formy republikańskie.

„...Po tylokrotnie zawiedzionych nadziejach, po tak niecierpliwem oczekiwaniu, ujrzała nakoniec starodawna stolica Królestwa Polskiego wnuka swoich królów, a dzisiejszego monarchę, Fryderyka Augusta, króla saskiego, księcia warszawskiego. Między godziną jedenastą a dwunastą, Najjaśniejszy Pan, w asystencyi J.W. Marszałka wojsk francuskich, Davousta, J. O. Księcia Imci Poniatowskiego, ministra wojny i licznego rycerstwa, wielu generałów francuskich i polskich, zbliżył się ku rogatkom Ujazdowskim. Tam wice-prezydent miasta, po krótkiej okolicznościowej przemowie, oddał mu klucze. Najjaśniejszy Pan w języku polskim łaskawie i uprzejmie odpowiedzieć mu raczył. Witany był dalej król przez cechy i naród żydowski. Przez cały przeciąg miasta, od rogatek aż do zamku, stały we dwa rzędy wojska francuskie, polskie i saskie, stali i wojownicy, których potężny Napoleon, do tylu prowadząc zwycięstw, swym gieniuszem z ich ciężkiej wskrzesił doli, i powrócił, od dawna dla cnót swoich żądanego, monarchę. We wszystkich domach płeć piękna napełniała okna, a lud, zajmujący ulice, radosnemi okrzykami witał Monarchę swego. Rozrzewniające były te okrzyki, bo pochodziły z serca. Naród nasz, znany z przywiązania do królów swoich, dobry, tkliwy i wdzięczny, i tem tkliwszy, że długo był nieszczęśliwym, klęsk swoich zdawał się zapominać, patrząc na króla, który mu szczęśliwszą rokuje przyszłość; każdy był chciwy widzieć wnuka swych królów; mało się pozostało, co dziada widzieli! Wśród gromu dział i bicia dzwonów wjechał Najjaśniejszy Pan do zamku, gdzie na dziedzińcu znalazł uszykowane wojska saskie i polskie. Przy wysiądzeniu z pojazdu znalazł król J. W. Marszałka Małachowskiego, J.J. W W. Ministrów, urzędników publicznych i znaczną obywateli liczbę. J. W. Marszałek Davoust prowadził Królową Jejmość. J W. Bourgoing, poseł Naj. Cesarza Francuzów i króla włoskiego—królewnę. Najjaśniejszy Pan, wszedłszy do Wielkiej sali, zatrzymał się przez kilka minut i rozmawiał z J. W. Marszałkiem Davoust, posłem francuskim, i niektórymi przytomnymi. Udał się po-

tem do siebie wraz z królową JMcią i królewną, poczem w zwyż pomienionej asystencyi gankami szedł do kościoła kolegiaty św. Jana. Tam na schodach zastał JJ. MM. księży Biskupów i duchowieństwo, którzy, ofiarowawszy mu święconą wodę, poprzedzili do kościoła. Najjaśniejszy Pan z królową i królewną po krótkiej adoracyi Najświętszego Sakramentu udali się pod baldachim, a duchowieństwo, przy odgłosie trąb, wokalnej z instrumentalną muzyki, intonowało „*Te Deum*...".

Ileż przypadków te święte mury nie były świadkami! W nich-to składano dzięki za zwycięstwa; w nich czytano doniesienie o zwycięstwie Chodkiewicza nad Szwedami na błoniach Kirchholmu, w nich król Jan, laurowym uwieńczony wieńcem, oswobodziciel Wiednia i chrześciaństwa od bisurmańskiej niewoli, kładł na ołtarzu Boga zwycięstw stosy zdobytych chorągwi. Za naszych czasów, my, po długim nierządzie, w jednej, od wieku zostawionej nam krótkiej niepodległości chwili, ustanowiwszy konstytucyę dnia 3 maja i dzisiejszego króla naszego wezwawszy do tronu, w tychże samych murach składaliśmy Bogu pierwotną prac naszych ofiarę.

Po skończonem *Te Deum*, król JMć z familią, wśród honorów militarnych i odgłosu trąb udał się na pokoje. Tam J. W. Davoust, marszałek, przedstawił N. Panu generałów i oficerów francuskich; J. W. książę Poniatowski, minister wojny—generałów i oficerów polskich. Poczem N. Pan, królowa i królewna do przeznaczonych sobie weszli mieszkań. Wieczorem, bez żadnego ze strony rządu rozkazu, mieszkańcy Warszawy, w dowód radości swojej, rzęsisto miasto całe oświecili.

Iluminacya ta trwała przez trzy dni.

Artykuł ten, w niektórych miejscach rozciągniony, a przez policyę (*niewyraźnie*) opuszczony, podanym był do gazet warszawskich. Te ulegania (*niewyraźnie*) są wszystkie z rozkazów francuskich. Napoleon, chcąc Rosyę oderwać od Anglii, lecz nawet przypuścić ją do podpisania takiego pokoju, jaki sobie na osłabienie i poniżenie tych Panów morza zakreślił, przez pochlebstwa dla jednych, nienawiści, którą pała ku drugim, dogodzić pragnie.

Widziałem króla i familię na wysiadaniu z pojazdów. Król zdawał mi się również znużonym, jak żywo przejętym.

Pan ten, w zimnych urodzony Niemczech, wychowany w zawarze podwojów królewskich, dostojeństwem i powagą zasłonięty od reszty ludzi, panujący nad narodem, który ma więcej rozsądku, niż imaginacyi, więcej uwagi, niż żywości, którego jak dnie i godziny, tak też i uczucia, spokojnym obracały się kręgiem, dotąd żadnym wido-

kiem, żadnem uczuciem głęboko nigdy nieporuszony, przeniesiony rąptownie do kraju, gdzie wszędy spostrzegał lud żywy, unoszący się, przystępujący do niego bez podłości i bojaźni, wszędy przygotowania, gdzie żądza okazania radości nie rachowała się ze zniszczonym bytem, widok ziemi, gdzie panowali przodkowie, pamięć dowodów przywiązania narodu w dniu 3 maja, sama nakoniec wszystkiego nowość, wspaniałość świętych obrządków, tłum i okazałość zebranych u dworu, we wszystkich twarzach malująca się radość, obudziły, mówię, uśpione i samemu nieznane wzruszenie.

Dzień przyjazdu, 21, w sobotę, poświęcony był odpoczynkowi. Nazajutrz król słuchał mszy w kaplicy zamkowej. Około 1-ej były przedstawienia obywateli, i tu król widzieć musiał różnicę między Dreznem a Warszawą, między Niemcami, od lat tylu wciągniętymi do etykiety, a Polakami, których i skłonnościom, i zwyczajom ta etykieta obcą stała się. Nie umiano ani zrobić, a mniej jeszcze porządnie utrzymać zwyczajnego na pokojach kręgu, bez względu na rangi, urzędy, ordery. Każdy się cisnął, każdy sądził zarówno z drugimi mieć prawo, by był wprzód poznanym. Ciekawość oglądania, dania się poznać, dochodziła do natarczywości. W wieczór, gdy był dwór dla dam, tenże sam, lecz piękniejszy nieład; piękność tych kobiet, strój ich, pełen smaku, często przepychu, uderzyć musiał w oczy nieprzyzwyczajonego do podobnego widoku.

Król, choć do ścisłego przyzwyczajony ceremoniału, przez chęć podobania się narodowi, znacznie uchylił się od niego i, z licznego płci obojga tłumu, który mu był prezentowany, nie było jednej osoby, z którą-by nie rozmawiał.

Tu nie będzie od rzeczy dać opisanie Pana tego. Postać wyższa nad mierną, prosta i dość kształtna, płeć smagła, oczy błękitne wypukłe, w których się maluje i rozsądek, i przenikliwość, nieraz przyjemny uśmiech dodaje wyrazu dobroci i słodyczy. Dana, jak mówią, przez niecną matkę w dzieciństwie trucizna, nadwerężywszy znacznie krewkie zdrowie, zostawiła w twarzy czasami przykre, nerwowe drganie, i w lewej nodze niejaką chromość. W mowie i ruszeniu słodycz i spokojna dostojność. Bogobojny, bez zabobonności, we wszystkich krokach i czynach jak najściślej pilnujący się uczciwości i cnoty, pracowity aż do zbytku, bo gdy wchodzi we wszelkie rządu drobiazgi, nieraz może ważnym uwłacza sprawom, rządny i ochronny w wydatkach, lecz umiejący być wspaniałym, kiedy przystoi. Ścisły przyjaciel porządku, z rozłożeniem godzin na pracę i odpoczynek nigdy nie zbacza. W każdem przedsięwzięciu powolny i ostrożny, a w wielkich zdarzeniach nawet trwożliwy, słowem, zdolniejszy do

utrzymania kraju w pokoju i pomyślności, niż do rozprzestrzenienia granic onego.

Królowa wzrostu i postaci okazałej, dosyć jeszcze przystojna, a w młodości piękną być musiała, oczy niebieskie, włos jasny, grzeczna i starająca się podobać.

Królewna, konstytucyą 3 maja Infantką polską, dziedziczką tronu, ogłoszona, pomiędzy rządzącemi pierwsza w Europie partya, dotąd niezamężna. Starał się o nią Franciszek II, cesarz austryacki, lecz odmówiony, pod pozorem, czyli też z powodu prawdziwego przywiązania, że, będąc jedynem dziecięciem, nigdy od ojca oddalić się nie chce. Był czas, gdzie dwór ten cały zagrożonym był wzięciem królewny w rekwizycyę dla Hieronima, brata Napoleona, dzisiejszego króla Westfalii. Polityka wybawiła ją z tych związków. Księżniczka Wirtemberska, tak blizko z dworem rosyjskim spowinowacona, dogodniejszą Napoleonowi zdała się. Królewna świeża, lecz nadto otyła. Tłustość ta szkodzi rysom twarzy, które, kształtne i szczupłe, gubią się w obfitości liców. Królewna posiada wszystkie przymioty umysłu i serca, jest przytem dobra, grzeczna i wesoła. Mówią, iż gdy królestwo wyjeżdżali z Drezna pierwszy raz, to rodowite opuszczając miejsce, smutek jakiś ogarnął ich czoło, co widząc królewna: „czegoż się zasmucacie, — rzekła z uśmiechem, — wszak jedziecie do mnie", — „*pourquoi Vous attrister? Vous allez chez moi*". Damy te, przez wyższość królewskiej godności od społeczeństwa oddzielone, za całe towarzystwo nie mają co, jak tylko dwie stare damy honorowe, dalekie od reszty rodu swego, samotne, a zatem nie bardzo przyjemne prowadzą życie. Kilka razy wyjeżdżały na spacer. Lekka jazda polska w przedzie, kirysyerowie sascy z tylu, Polacy adjutanci obok, asystują im.

Dotąd przejażdżka nie zaszła dalej, jak ku Mokotowowi, Łazienkom i Powązkom.

Dnia 19 listopada był znowu dwór, rano dla mężczyzn, wieczorem dla kobiet. Król ukazał się w orderze legii honoru, był w katedrze na mszy wojskowej, gdzie, podczas podniesienia, przy biciu bębnów i muzyce, wojsko broń prezentuje. Po skończonem nabożeństwie oglądał paradę na dziedzińcu zamkowym, złożoną z francuskiego, polskiego i saskiego żołnierza. Dwór był, jak wprzódy, tłumny, przypomniał dawne sejmowe pokoje, a ja, twarze, com wtedy widział czerstwe, dziś znalazłem zgrzybiałe, co były młode, dziś okrywające się siwizną, mało się znalazł taki, co i mnie zestarzałego poznał. Dla mnóstwa przytomnych, tłok już nie w krąg się zataczał, lecz rozstępował w ulice. Król, przechodząc wzdłuż, pytał się o imiona i po kil-

ka słów przemawiał, czasem nawet tłómaczem był królowej. Dnia tego pierwszy raz był obiad u dworu, na który proszeni byli: marszałek Davoust, poseł, i sami generałowie francuscy. Wieczorem dwór, gdzie damy pokazały się ze smakiem i przepychem. Same tureckie, bogate materye, albo aksamity, z wlekącemi się na kilka łokci ogonami, okolone szerokim, złotym haftem, wszędzie perły, koronki, klejnoty. Rzekł-byś, patrząc na to, iż kraj w najobfitszym znajduje się stanie. Lecz dawnych bogactw zabytki i nałóg, po części wrodzona płci pięknej chęć podobania się, nie mają względu na czasy. Królestwo grali w karty. Królowa z panią Wincentową Tyszkiewiczową, z panią Stanisławową Potocką, z żonami ministrów stanu; król z marszałkiem Davoust, marsz. Małachowskim; Królewna z samemi tylko grała damami. W ciągu tego, przytłumiony gwar gadającego tłumu trwał bez przerwy. Jedna z dam wiejskich, przystawiwszy sobie krzesło obok królowej, wygodnie na niem zasiadła, lecz przestrzeżoną została. Do tych-to wszystkich uchybień stosowały się zapewne słowa królewskie, gdy raz prywatnie z sekretarzem stanu, Brezą, rozmawiając: „*Widzę*, — rzecze, — *że jeszcze wiele form republikańskich trwa u was*“.

Jeżeli król tym dworskim obrządkom poświęcał kilka godzin na tydzień, jeżeli raczej dogadzał przez to żądzy tylu obywateli dania się poznać, inne dni i godziny łożone były na poznanie i zgłębianie rzetelnego stanu i położenia nowego państwa swojego.

Dzieło — samą widocznością klęsek (tak) łatwe do objęcia, w zgłębieniu onych zasmucające, w sposobach zaradzenia trudne.

Rzućmy oczy na stan dzisiejszy Księstwa Polskiego.

II.

Stan Księstwa warszawskiego. — Wycieńczenie kraju. — Podatki i nędza ogólna. — Wojska obce. — Pustki w skarbie. — Usposobienie ludności. — Warszawa. — Żywioły polityczne. — Rada stanu. — Ministrowie. — Łuszczewski. — Lubieński. — Książę Józef. — Dembowski. — Stanisław Małachowski. — Marszałek Davoust. — Vincent. — Spór o donatywy. — Berthier. — Prezydent komisyi żywności, Kochanowski.

Od epoki ostatniego podziału Polski, skutki naturalne jedenastoletniego pokoju, bardziej jeszcze, niż piecza rządu pruskiego (lubo i ta do wiele dobra przyłożyła się), przywiodły były te części kraju do niejakiego porządku i zamożności; kiedy zbierająca się ze strony

Francyi nawałnica przymusiła króla pruskiego do nadzwyczajnych przygotowań, więcej, niż inne prowincye. Część Polski, dziś Księstwo Warszawskie składająca, doznała ciężaru w podwójnych podatkach, podwójnych rekrutach i magazynach. Wkrótce 40 tysięcy wojska rosyjskiego, sprzymierzeńcom na posiłki ciągnące, lubo w większej, niż przedtem, trzymane karności, tam i nazad w krótkim przeciągu czasu kraj ten przechodząc, niepomału do wycieńczenia onego przyczyniły się.

Zgnieciona najprzód pod Jeną zbrojna potęga monarchii pruskiej, dalej, koleją, w rozproszonych swych częściach do szczętu zniszczona, Polskę wojskom zwycięskim zostawiła otworem. Naród nasz, ilekroć ujrzał podobieństwo odzyskania utraconej istności, w zapale i nadziejach swoich niemający miary, dziś ufny w szczęściu, potędze, gieniuszu, przyrzeczeniach nakoniec Napoleona, usiłowaniom swoim żadnych już nie kładł warunków. Utworzenie i uzbrojenie narodowego wojska, pieniądze na żołd jego, żywność i dla nich, i na przeszło 100 tysięcy oswobodzicielów—te były naglące potrzeby i, nad mniemanie, przedłużane do dzisiaj. Ogołocona już przez Prusaków z młodzieży ludność, dziś nowymi wybrańcami bardziej się przerzedziła. Wypotrzebowane, lub spalone w odwrocie przez Rosyan magazyny, nowych nakazywały dostarczeń, te, przez nagłość samą, marnotrawstwo i nieporządek przyzwyczajonego do łupiestw w nieprzyjacielskich krajach żołnierza, w zaprzęgach, w bydle i ludziach, zadały cios rolnictwu, który się dziś czuje i długo czuć będzie. Podatki i rząd wewnętrzny kraju, pod innemi imiony, w pruskim zostawione kształcie, nie miały innego celu, jak, bez względu na skutki w przyszłości, gwałtownemi wysileniami dzisiejszym dogadzać potrzebom.

Stąd zawiślane departamenta, bardziej na ciosy wojny wystawione, zniszczone, wszędy brak rąk i zaprzęgu, do tego stopnia, iż w wielu miejscach rodzajne niwy zostawione odłogiem, w niektórych wieśniacy, zaprzęgając się do pługów sposobem bydła, uprawiali ziemię. Przydaj do tego ciężką w bydle morową zarazę, 86 tysięcy rozmaitego żołnierza, w obrębie Księstwa, chlebem i mięsem naszem karmione, wszystkie domy prywatne, publiczne szkoły nawet, na kwatery i szpitale zabrane, zniszczony i zatamowany handel, niezmierna wszystkiego drożyzna przez wypotrzebowanie wszech rzeczy, przez powiększenie konsumcyi i napływ podłej monety, zwanej dytkami (którą żydzi, zaarendowawszy od Francuzów mennicę berlińską, kraju zalewać nie przestają). Skarb, z trudnością zasilany, wszystkie swe dochody na karmienie i utrzymanie wojska francuskiego łożący, codziennie bowiem 7,000 dukatów wojsko francuskie kosztuje krajo-

wi; trudność o woły na mięso, brak kredytu, ustawiczne dokuczanie o pieniądze przez Francuzów, tak dalece, iż na pierwszej wizycie, którą hr. Boze, minister spraw zagranicznych królewski, miał u marszałka Davoust, ten go potężnie naglił i napierał, by król saski, na kupienie wołów, dostarczenie łóżek, kołder, pożyczył krajowi pieniędzy...

Przesłanie legii polskiej, co służyła we Włoszech, do Westfalii, wybieranie po pułkach naszych najpiękniejszych ludzi do gwardyi cesarskich i posyłanie ich do Francyi—wszystkie te, lub rzetelne klęski, lub przykre dokuczania, konieczność podlegania obcym, nowa konstytucya, jeszcze swego nie mająca ruchu, smutne na badającym królu czyniły wrażenie.

Duch i umysł mieszkańców do czasów i do charakteru narodowego stosowny. W ciągu wojny, w chwili zapasów między bojaźnią i nadzieją, cierpliwy i wszystko znoszący, po zawartym mirze w Tylży i nieprzewidzianym dla siebie wypadku, im żywszy i ufniejszy w nadziejach, tem tkliwszy na zawiedzenie.

Gdyby po zawartym mirze wojska francuskie wyszły z kraju, gdyby król, zaraz przytomny, przysłanej nam konstytucyi dał ruch przyzwoity, gdyby pomianował urzędniki i sam z nami zostać nie mogąc, brata Vice Regem naznaczył, który-by, wyższy nad szlachty, naszej równość, uśmierzał niesnaski, zawiści, i wybuchać im nie dał, zniszczony kraj jużby dzisiaj rany swe leczyć zaczął.

Lecz nie dopuścił tego los nam zawistny. Warszawa, od sejmu konstytucyjnego siedlisko opinii publicznej, we wszystkich śmiałych przedsięwzięciach, ludnością, odwagą, dostatkami, pierwsze narodowi dająca popchnięcię, stolica rządu i nietylko zbiór obywateli, światłem, znaczeniem, majątkiem przedniejszych, lecz, co gorsza,(?) gniazdem była wielu tworów niespokojnych, żyjących bez sposobu i celu; ci, rozdrażnieni potrzebą, ze znacznym udziałem śmiałości i czoła, i mowy, mniemają się być tłómaczami opinii publicznej, podług własnych pasyi rozdając pochwały, lub nagany; pierwsi w przeistaczaniu prawdziwych wieści i rozsiewaniu fałszywych, pochlebstwy i zręcznością wszędy przystęp sobie znalazłszy, dzierżącym władzę zalecają się przez doniesienia, próżnym — nadymając miłość ich własną, niechętnym— podżegając ich nienawiść i jątrząc niechęci. Gad ten znajdować się będzie wszędy, gdzie rząd nie tęgi i bez godności. Takim atoli był rząd nasz, więcej jeszcze przez skutek okoliczności, jak przez niedostatek ministrom potrzebnych do rządzenia przymiotów.

Rada stanu, która nastąpiła po komisyi rządzącej w czasie wojny, składała się: z Łuszczewskiego, ministra wewnętrznego. Człek ten,

do zwyczaju, łatwości w pracy, uczciwość i czysty połączał rozsądek. Łubieński, minister sprawiedliwości, przechodził innych talentem i przebiegłością. Ks. Józef Poniatowski, minister wojny, do prawideł, pełnych uczciwości i honoru, łączył tę gorliwość o dobro wojska, którą w nim i duch, z natury żołnierski, i ciągła od dzieciństwa służba, wzbudzały. Na nieszczęście, wrodzona Poniatowskim nietrafność w wyborze ludzi i łatwość powodowania się pochlebnikom, szkodziły nieraz i osobie, i interesom.

Ministeryum skarbu, raczej długim zasługom i nieposzlakowanej cnocie, jak zdatności Dembowskiego, powierzone. Najbardziej na przekąsy i krytykę publiczności wystawiany był Aleksander Potocki i, nie bez ważnych podobno przyczyn twierdzą, że na zdatności i czynności zarówno mu zbywa. Prezes grona tego, Stanisław Małachowski, konstytucyjnego sejmu marszałek, przyzwyczajony widzieć go na czele swojem, tyle czcił długie zasługi, cnoty, i nieskażone aż do starości życie, że niedostatku potrzebnych do tak ważnego narodowi dzieła talentów nie ważył się nawet postrzegać.

O pracy ministra sprawiedliwości, który, w lubo nieurządzonym jeszcze podług nowej konstytucyi sądownictwa trybie, niepodległe atoli, departamentem swoim zarządza później nadmienię. Rada ta stanu nie była rządem, ale raczej wykonawczynią rozkazów francuskich. Minister wewnętrzny, zamiast zatrudnienia leczeniem ran, przez wojnę głęboko zadanych, zamiast zachęcenia rolnictwa, ludności, fabryk, nie myślał, jak o dostawieniu zboża, furażu, podwód dla wojsk francuskich, rekrutów, po większej części do Francyi i Holandyi, do oderwanych od wojska naszego korpusów przesyłanych. Minister skarbu ostatni grosz łożył na zakupienie wołów dla tychże przyjaciół. Minister policyi pierwszym sługą najwyższej tu w osobie marszałka Davoust władzy francuskiej. Minister wojny i wojsko całe, zupełnie poddane pod najwyższą jego komendę. Zataić sobie nie można, żeśmy byli utworzoną na północy prowincyą francuską, traktowani co do posłuszeństwa jak poddani, co do opiek i względów — jak lud podbity.

Najwyższa władza wojskowa, śmiele powiedzieć można, i cywilna, była w ręku marszałka Davoust. Człek ten jeszcze 41 lat niemający, jest wzrostu miernego, twarzy białej, żywym przebijającej się rumieńcem, choć wzrok słaby, oczy duże, czarne, przenikle, surowe czoło wypukłe i aż do ciemienia obnażone z włosów. Taka postać zewnętrzna, świetne czyny wojenne, szczególniej zbicie w 24 tys. wojska 60-ciu tys. Prusaków pod księciem Brunświckim, decydowanie przez to sławnej bitwy pod Jeną, postawiło go w rzędzie pierwszych wojowników. Sprawowanie się i czyny u nas — malują charakter. Czujny niezmiernie

na wszystkie potrzeby i wygody żołnierza, pilny i sumienny w utrzymaniu najściślejszej karności, kochający słuszność i sprawiedliwość, więcej, aniżeli się spodziewać należało po wodzu, od lat tylu nieznającym jak tylko prawo miecza i mocy. Przez wdzięczność i przekonanie o nadzwyczajnym geniuszu Napoleona, bałwochwalący go ślepo, zazdrosny swojej powagi, prędki i popędliwy nad miarę, a w takich chwilach, bez względu na czucia czyje, nieskąpy urąz, a nawet obelg. Na dobrą, lub złą stronę uprzedzający się łatwo, lecz z trudnością wracający od raz powziętego przesądu. Chciwy doniesień, jeżeli nie powiem plotek, przystęp daje tym wszystkim, co się przez nie zalecić pragną, a, bez względu na charakter i powody donoszących, im więcej powieści te zgadzają się z jego uprzedzeniami, tem łatwiej im wierzy. Często oszczerca, zawiścią, lub niechęcią donosząc o przewinieniu, lub nieostrożnej mowie jednego, wzbudza w nim gniew i złą wolę na naród cały; z pojedyńczego bowiem przypadku stanowić ogólną o narodzie opinię, powszechnym jest u Francuzów zwyczajem.

Plotki te, nienawiścią, lub chęcią zalecenia się podawane, ściągały nieraz od popędliwego marszałka nieprzystojne i nieprzyzwoite gromienia. Tak doniesiony generał dywizyi, Dąbrowski, że okazał żal i niechęć, gdy z legii jego wybierano najpiękniejszych ludzi i konie, by je do gwardyi cesarskiej pod Panem Krasińskim do Paryża przesyłać, ostro i nieprzyzwoicie był traktowany. Tak dzisiejszy sekretarz stanu, Breza, w czasie jeszcze ministerstwa skarbu, za opóźnienie jakieś w żywności, te słowa od Marszałka usłyszał; „bez względu na ministerstwo JW Pana, każę go drugi raz rozstrzelać".

Sam Davoust powiedział Linowskiemu, że takich użył wyrażeń.

Z tego wszystkiego widzieć się daje, iż lubo Marszałek, w czasie bojów, na czele wojsk, najświetniejsze posiada przymioty, zbywa mu na tej spokojnej rozwadze i umiarkowaniu, jakie ci, co ludźmi rządzą, w pokoju posiadać powinni.

Pan Vincent, najprzód komisarz, później rezydent cesarza francuskiego przy Księstwie Warszawskiem, niepomału do zakwaszenia umysłów przyczynił się. Człowiek ten, najpiękniejszej postaci, więcej jeszcze własnem przykładaniem, jak przez starania opiekujących się nim, ubogacony niepospolitą w tym wieku nauką, majętny z siebie, chciwy wyniesienia się w urzędy i dostojeństwa, żądzy stania się rządowi swemu potrzebnym, okazania mu swojej gorliwości, nie umiał w młodym jeszcze wieku uśmierzać uwagi i rozsądku miarą.

Najpierwszy spór zaszedł o donatywy, czyli o dobra królewskie i duchowne, wodzom swoim przez Napoleona rozdane. Komisya rzą-

dząca, nie uważając, że ma do czynienia z rządem i osobami, ufnemi jedynie w swojej potędze, u których, sprawiedliwość, słuszność, sama nawet przystojność, nietylko nie ściągały żadnego względu, ale raczej były pośmiewiska celem, Komisya, mówię, rządząca, sądziła, że w oddawaniu dóbr tych powinna się była trzymać dawnych praw i zwyczajów, że lasy excypowane i dzisiaj będą, że nowi właściciele zapłacą stempel, że zarówno z innymi kraju mieszkańcami, odbierając opiekę Rządu, w podatkach, furażach, rekrutach etc., zarówno z drugimi przyczyniać się będą; że kompensaty, czyli pewne małe opłaty, dawnym właścicielom z dóbr tych należące, jak za czasów pruskich przyjmą na siebie.

Przekładania te zdały się zuchwałemi i buntowniczemi. P. Vincent nieprzyzwoitą i groźną względem tego podał notę; wyrazy jej przyśpieszyły później odwołanie jego i naznaczenie Pana Serra.

Wielu generałów, obdarzonych dobrami, poszło do cesarza ze skargami; jeden nawet exagerując przeszkodę, prosił, aby mu cesarz odebrał dane dobra, gdyż pretensye od rządu Polskiego za nie zrujnowały-by go zupełnie.

Berthier, z natury gbur, zalany żółcią, i nie wiedzieć dla czego, nieprzychylny Polakom, zebrał te skargi, a widząc popędliwość Napoleona dostatecznie rozjątrzoną, podchwycił dekret, mocą którego, wszystkie dobra, nadane Francuzom, ogłoszone lennościami, zawisłemi jedynie od Imperyum francuskiego, wyłączone zupełnie od zwierzchności i władzy Księstwa Warszawskiego, wolne od wszelkich podatków i wszelkich krajowych powinności i nakładów.

A tak najpiękniejsze oddziały małego tego kraiku stały się nam gorzej jak obcemi. To sprawiły z jednej strony—chciwość nienasycona, z drugiej—niewzgląd Kom. Rządzącej, z kim miała do czynienia, bo gdyby z początku opuszczono Francuzom lasy, stempel, kompensaty, gdyby nie zwlekano wniścia do posesyi, możebyśmy nie stracili prawa wybierania podatków i rekrutów.

Dziś Francuzi w pretensyach swoich nie znają granic. Amtmani, czyli dawni pruscy tych dóbr dozorcy, lub dzierżawcy, powszechnie prawie przez Francuzów na tychże zatrzymani miejscach, już-to przez żądzę zasłużenia się nowym panom, więcej przez tajną nienawiść i zemstę ku Polakom, ile mogą, chciwość donataryuszów podniecają, przekładając, że własności, które nigdy do dóbr nadanych nie należały, były ich częściami. Stąd Marszałek Davoust rości pretensye do różnych włości, nigdy do Księstwa Łowickiego nie należących, lecz onemu przyległych, tudzież do pałacu prymasowskiego w Warszawie. Stąd Marszałek Soult dopomina się o wręb do lasów, do jesz-

cze nierozdanych dóbr narodowych należących, a to dla prowadzenia fabryki soli, warzonki, na którą od króla wyłączny przywilej wymusił. Jak powiedzieć, lecz byli Polacy, niecni Polacy, co własne zyski nad dobro ojczyste przenosząc, pomagali Francuzom w nienasyconych i niesłusznych pretensyach. Takim był pan podkomorzy Skarżyński, który, wkręciwszy się z komisarza do marszałka Lannes z 50 tysięcy pensyi, granice nadanego mu Księstwa Siewierskiego z utratą kraju znacznie rozprzestrzenił.

Do tych dolegliwości przybywały codziennie (jakem już nadmienił) dokuczanie o żywność i woły dla wojska.

Najtrudniejszy ten dział zarządzenia krajowego zdany był na Michała Kochanowskiego, niegdyś Sandomierskiego posła, w czasie konstytucyjnego sejmu. Breza, dzisiejszy sekretarz, zarządzał tem wprzódy. Francuzi, powziąwszy ku niemu nietylko niechęć, lecz prawdziwą nienawiść, a w tej marszałek Davoust trwa dotąd, górnie domagali się od Komisyi rządzącej, by Kochanowskiego prezydentem wydziału tego naznaczyła. Zdatność i charakter człowieka—nieregularność wyboru usprawiedliwiać się zdawały. Kochanowski, wychowany w korpusie kadetów, celnie korzystał z tego wszystkiego, co tam uczono. Wyszedłszy na świat i do krajowych użyty usług, okazał w każdej rozsądek, uczciwość i niepospolitą w narodzie naszym tęgość duszy. Na sejmie, w powstaniu 1794 roku, później już, po podziale, gdy sejm medyolański zwoływać miano, dziś, za wkroczeniem Francuzów, w pierwszym nadziei naszych zaświtaniu, bez oglądania na narażenie i osoby, i majątku, szedł pierwszy śmiało do najtrudniejszych usług ojczyzny.

Napoleon, w nominowaniu Komisyi rządzącej, więcej niż należało, na dostatki i blask imion zważając, między innemi Kochanowskiego w pośledniejszej od Komisyi Izbie administracyjnej zostawił; później, z tej Izby, koledzy jego, i w urzędzie i stopniu niżsi, pozostawali ministrami, jemu — ciągle została praca bez dostojeństwa.

Rozjątrzyły podobne zawody: umysł wyniosły, żywe i popędliwe czucie, przydał do zakwaszenia urząd przykry, w gwałcie potrzeb nie mogący się z musu trzymać słuszności, wystawiony zewsząd na skargi, obmowę i żale.

Trwał jednak Kochanowski w zarządzaniu tym trudnym żywności wydziałem; wojsko było karmione, marszałek z gorliwości i pilności jego kontent, lecz skarb skwierczał na ustawne ostatniego grosza wybieranie; skarżył się departament warszawski na większe nierównie od innych uciemiężenie. Przyczyny ciężarów tych, pochodzące z nieszczęśliwości czasów, może niechęć, więcej cierpienie, składały

na przodkującą w wydziałach żywności osobę. Doszły te dość powszechne utyskiwania do króla. Ten przez Radę ministrów rozkazał Kochanowskiemu pod odpowiedzialnością w przeciągu dni dziesięciu zdać rachunek ze wszystkich przychodów i wydatków, tudzież z wielości różnych artykułów, zostawionych nam w magazynach krajowych. Zdanie rachunków nie było trudne i z tych Kochanowski zdał sprawę, lecz magazyny francuskie, w największym w całym kraju zostawione nieporządku, bez dozorców, lub, co gorsza, z dozorcami częstokroć bez czci i wiary, nie pozwalały w tak krótkim czasie możności wygotowania żądanych objaśnień. Powtórzyła Rada surowszy jeszcze pod odpowiedzialnością nakaz. Posłał Kochanowski sprawę z tego, z czego się mógł był sprawić, lecz, obrażony tonem, zbyt może pierwszego słuchając uniesienia, posłał też po złożenie urzędu swego. Krok zmieszał wszystkich, lękano się gniewu marszałka Davoust, nie widziano osoby zdatnej i swobodnej, która-by się tak przykrego urzędu podjąć chciała, gdy król mądrością swoją zaradził wszystkiemu. Przywołał do siebie Kochanowskiego, ułagodził pochlebnemi słowy i wymógł, że Kochanowski złożony urząd przyjął nazad.

III.

Raporty ministeryalne. — Posłuchanie deputacyi u króla. — Towarzystwo Przyjaciół nauk.—Organizacya Senatu.—Rada ministrów u króla.—Nominacya senatorów-wojewodów.—Potocki.—Działyński.—Bieliński.—Sobolewski. —Ks. Jabłonowski.—Gorzeński.—Wakujące krzesło senatorskie. — Upominek Malachowskiemu. — Wybicki.

Każdy z udziałów rządowych osiągał koleją baczność królewską. Rozkazał każdemu z ministrów przynieść sobie raport o stanie spraw, do niego należących. Widział wszędy, że gorliwość i praca zmniejszyć nie mogły niedostatku i ucisków, nie naradzano się więc, jak kończyć cierpienie, bo to nie w naszej mocy, lecz raczej, jak dłużej cierpieć. Deputacya od miasta miała także posłuchanie swoje i przywileje potwierdzone. Biskup Albertrandi, prezes Towarzystwa przyjaciół nauk, z zebranemi na prędce członkami, miał do króla mowę, godną zachowania. Król blizko godzinę rozmawiał o literaturze, osobliwie o dziejopisach polskich, ciekawie badając, jaki jest najlepszy krótki zbiór historyi polskich.

Tymczasem nakazane przez króla projekta dopełnień, urządzających konstytucyę, gotowały się przez wyznaczone do tego osoby. Małachowski i Łuszczewski wzięli organizacyę Senatu. Brezie, Staszicowi, Lissowskiemu i mnie dostała się Rada ministrów i Rada stanu, najtrudniejsze, zaiste, bo dwie te rady, z różnemi powinnościami i władzą, czy to przez niepostrzeżenie skwapliwie konstytucyę tę dyktującego, czy z innych, ciężkich do odgadnienia przyczyn, przez jedne kazano sprawować osoby. Nad ważnym projektem chłopów pracowało wielu. Król 17 grudnia zebrał do zamku Radę ministrów, sam na niej prezydował. Wszystkie projekta czytane były po polsku, lecz rozprawa, dla łatwiejszego króla pojęcia, czyniła się w języku francuskim. Król, troskliwy o jaknajprędsze dogodzenie woli Napoleona, w ważnym artykule konstytucyi nadającym wolność włościanom, o tej się najwięcej z ministrami swymi naradzał. Była to poufała namowa między szanownym ojcem, a gronem dzieci jego. Jasność i roztropność, z którą się król w tak ważnej i trudnej tłómaczył materyi, powolność, z którą zdań wszystkich słuchał, wspólny interes, między rządzącym i rządzonymi bez szranków ufność, wielce interesującem posiedzenie to czyniły.

Różna to była sesya od sesyów Rady nieustającej, którą niegdyś Stanisław August, dla tłómaczenia praw, lub rozdawania czczych urzędów, zaprowadzał. Nowy monarcha i poddani Jemu z wzajemnem rozeszli się ukontentowaniem. Lecz wprzód król, podziękowawszy Marszałkowi, prezesowi Rady, Małachowskiemu, za prace i ciągłe usługi, wyznaczył go pierwszym senatorem i prezesem senatu, Gutakowskiego zaś Prezesem Rady. Tegoż dnia nominowani senatorami wojewodami wszyscy zeszli komisarze rządowi, jako to: prócz wspomnianego już Małachowskiego: Stanisław Potocki, Działyński, Bieliński, Wybicki, Sobolewski, ten ostatni kasztelanem. Senatorowie, nie będący w komisyi rządzącej: ks. Stanisław Jabłonowski, Gorzeński generał i Radzimiński. Ten, lubo za dawnych rządów był wojewodą gnieźnieńskim i pierwszy w Poznaniu witał cesarza, spadł na kasztelana. Ckliwie z początku przyjął tę poniżenia urazę, lecz później wolał poniżej znaczyć, niż godność tę odrzucić. Dwa pozostałe senatorskie miejsca król sobie na potem warował, jedno dla Gutakowskiego, co dowodzi, że go na prezydencyi Rady niedługo chce trzymać, drugą — niewiadomo dla kogo.

Po obiedzie, król znowu Małachowskiego przywołał do siebie, a powtórzywszy mu i swoje z usług jego zadowolenie i szacunek, obdarował go tabakierą, z portretem swoim, bogato dyamentami wysadza-

ną. Oddając ją sam i ściskają za rękę: „*nie jest to* — rzekł—*nadgroda, lecz tylko upominek przyjacielski*“.

Wybicki, jeden z dawnych komisarzy, nie mając orderu, pierwszy przez króla dzisiejszego ozdobiony był orłem białym. Człowiek to z gorącą duszą, imaginacyą płodną i niepospolitym w nieszczęściach statkiem zrodzony. W czasie wstrząśnień krajowych i ostatecznego podziału, widział dość znaczny majątek wydarty sobie przez króla pruskiego i dany generałowi Zastrow. Przymuszony uchodzić z kraju, tułał się naprzód we Francyi, tam przestając na oszczędnej strawie, naukami słodził ubóstwo i frasunki.

Przykładał się najbardziej do historyi naturalnej i obszernych w niej nabył znajomości, lecz i gdy szczupłe zniknęły nawet zapasy, otrzymał pozwolenie wrócenia się do Wrocławia. Tam, u księgarza Korn, tłómaczeniem dla dzieci książek element. zarabiał na życie. Widziano go nieraz dla widzenia żony odprawującego podróże.

Za wkroczeniem Napoleona do Polski i zmianą rzeczy, odzyskał wydarty majątek. Z tułacza wyniesiony na pierwsze urzędy, ozdobiony zaszczytami. Pierwszy przykład Polaka, co ze zgubą ojczyzny utracony majątek i godność nazad odzyskał. Inni, niepowetowanie, i jedno i drugie stracili.

IV.

Drugiego grudnia — Rocznica koronacyi Napoleona. — Kłopoty królewskie. —Wymówki marszałkowi Davoust.—Obiad u Bourgoing'a. — Pułkownik austryacki Neypperg.— Bal w teatrze.—Kadryl.—Niemcewicz sekretarzem senatu.—Referendarstwa.—Prefekci.—Delegaci do Paryża. — Wyjazd królewskiej rodziny do Drezna. — Refleksye Niemcewicza.

Dzień 2 grudnia, rocznica koronacyi Napoleona i zwycięstwa jego pod Austerlitz, u Francuzów — z powinności i wdzięczności, u nas z polityki, był dniem okazałych i radosnych uroczystości. Marszałek Davoust, czy to przez wzgląd na przytomność królewską, czy też z niezwykłej sobie skromności, czy, co najpewniejsza, rozumiał, że nasi domyślą się tego, nie kazał zrana dawać z dział ognia. Naszym, także przyzwyczajonym odbierać, nie dawać, rozkazy, wypadło to po myśli. Józef Poniatowski, minister wojny, spostrzegłszy omyłkę około godziny dziesiątej, udał się z niespokojnością do króla. Tu król

okazał niepospolitą przytomność i trafność umysłu. Widząc, że już zapóźno oddawać strzelaniem spodziewaną cześć Napoleonowi, by się z własnego wymówić zapomnienia, oskarżał o nie samego Marszałka; własną ręką pisze do niego, wymawiając, dla czego, najwyższym będąc wojsk sprzymierzonych w Warszawie wodzem, nie rozkazał winnych wielkiemu Monarsze ogłaszać honorów? Nie wiem, jak te grzeczne wymówki przyjętemi były, lecz mile przyjęta wizyta i powinszowanie księcia Józefa Poniatowskiego na czele wszystkich oficerów polskich; z cywilnych nikt prawie nie był, czyli przez zapomnienie, czy przez niechęć.

Poseł francuski, Bourgoing, dawał wielki obiad, gdzie pierwsi z Francuzów i Polaków zaproszeni byli. Pił marszałek Małachowski zdrowie Napoleona, lecz mu szepniono, by nie przydawał aniwersarza bitwy pod Austerlitz, a to dla przytomnego pułkownika austryackiego, hrabi Neupperg. Tę delikatność dla Austryi i Rossyi rządu francuskiego nie można pogodzić z jednej strony ze zwykłą onego wyniosłością, z drugiej, z bojaźnią przywodzących tutaj o jakieś knujące się niby w Warszawie partye tych dwóch mocarstw. Wieczorem marszałek Davoust dawał na uporządzonym do tego Teatrum Warszawskim bal wielki na 1,200 osób, za biletami. Oświecone wszystkie loże i świetnie przybranemi napełnione kobietami, okazały sprawowały widok. Za pokazaniem się króla z familią w średniej loży, głośne odezwały się okrzyki: *Niech żyje król!* Marszałek w największych dla majestatu attencyach, stojący za krzesłami, lub nadskakujący. Wieczerza, na kilkaset osób zastawiona, dla królestwa stolik pod baldachinem. Król poprosił do niego marszałka Davoust, posła francuskiego z żoną i marszałka Małachowskiego. Przyzwyczajony, że mu podawają potrawy niepokrajane (a nikt pokrajać i podać nie domyślił się), długo bardzo na stojące przed sobą patrzał jedzenie. Skuszony nakoniec olbrzymim szczupakiem, sam go sobie wziął na talerz i jadł dość smaczno. Dawniejsi monarchowie hiszpańscy byli-by raczej umarli z głodu, niż uchybili etykiecie. Filip podobno trzeci jest tego dowodem. W Hiszpanii, w zimie, nie znają kominków, ni pieców, lecz tylko trójnóg z żarem. Był osobny urzędnik koronny, którego powinnością było przysuwać i usuwać ten trójnog u króla. Raz, w nieprzytomności urzędnika tego, Filip III wolał sobie tak spiec twarz, że aż róży dostał, a z nią śmierci, niż uwlec etykiecie i sam odsunąć, lub kazać komu innemu żar ten oddalić.

W ciągu wieczerzy król zlecił marszałkowi Davoust, by spełnił zdrowie Napoleona. Wstał marszałek z podniesionym kielichem i rzekł w te słowa: „J. K. M. rozkazał mi spełnić zdrowie N. Cesa-

rza Napoleona. Ja biorę śmiałość przydać zdrowie Fryderyka-Augusta. Te dwa połączone imiona niech będą hasłem winnej przyjaźni i jedności między dwoma Monarchami i Narodami, nad któremi panują."

Odgłos między Francuzami: Vive l'Empereur! między Polakami: Niech żyje król! napełnił wszystkie sale. Grano też na Teatrum małą sztuczkę francuską z piosneczkami, bardzo stosowną do dnia, gdzie Francuz żenił się z Polką, a Polak z Saską (tak). Rzecz cała bez dowcipu i smaku. Po wieczerzy prosił marszałek króla, czyby nie pozwolił królewnie tańcować francuskiego kadrilla? Za tyle attencyi nie mógł król mu odmówić. Złożony więc taniec, co do mężczyzn: z marszałka, trzech generałów dywizyi, co do kobiet: z królewny, panny Bourgoing (córki posła francuskiego), pani Krasińskiej, żony kapitana gwardyi polsko - francuskiej, i pani Łubieńskiej, żony oficera gwardyi.

Po skończonym tańcu, widać, że rada-by była królewna dłużej rozrywki tej używać, lecz zaraz obwinięta w szal, z rodzicami do pałacu odjechać musiała.

Poseł też francuski, p. Bourgoing, podług danych sobie z Paryża rozkazów, dawał co tydzień wielkie obiady i bale, lecz oprócz jadła i picia, które kupował, dom Chodkiewiczowej darmo zajęty, meble, srebra, szkła, lustra etc., albo pożyczone u znajomych, albo nakazane miastu, by dostarczało. Poseł ten, nie mający od dworu nic na te nadzwyczajne wyznaczonego wydatki, nie mający tu bawić, jak przez niedziel kilka, człek uczciwy i szczerze bolejący nad nami, wymawianym być może. Lecz marszałek Davoust, wziąwszy w dobrach 400 tysięcy intraty, że je dotąd na porcelanie Köllera, dawniej pruskiego komendanta w Warszawie, że pożyczać sobie każe luster, filiżanek, sreber, firanek nawet,—rzecz niepojęta. Dziwne pomieszanie okazałości z niedelikatnością naprzykrzenia i których nic wymówić nie może, krom nałogu, który długie wojny i podbicia nadają—mienia uważania cudzego za swoje.

Król, za zbliżającym się dniem wyjazdu swojego, wyznaczone konstytucyą wakujące urzędy rozdawał. Jużem senatorów wspomniał, którzy, dawnym obyczajem, wykonawszy przysięgę, pierwsi rękę nowego króla ucałowali. O miejsca czterech Referendarzów liczne zabiegi niespodziewanym zakończone wyborem. Jeden tylko, znany krajowi z dawnych usług i talentów (lubo zbytnią przyćmionych prezumpcyą), Linowski, ujrzał się w ich liczbie. Inni, lubo mówią, że zdatni, lecz młodzi, ani imieniem, ani, co więcej, usługami nieznani, byli: Woyda, Morawski i Wyczechowski. Niechętne z wyboru tego

publicum przypisywało go wpływom i zabiegom Łubieńskiego, ministra sprawiedliwości. Król bowiem, nauczony, iż do urzędu Referendarza nauka prawa potrzebna, sądził, iż najprzyzwoiciej było zasięgnąć w tem rady ministra sprawiedliwości. Ten podał młodych ludzi, pracujących w jego kancelaryi, czyli to z przychylności wzbudzonej obcowaniem, czy z przekonania o przymiotach, czyli nakoniec, jak złośliwi mieć chcą, że, sam obarczony długami i procesami, chciał w Radzie Stanu (która jest razem i sądem kassacyjnym), mieć referującymi procesy przychylnych sobie.

Król, w liczbie kandydatów na Referendarzów, nie widząc umieszczonego imienia mego, pytał o przyczynę, przydając, że chce mi dać miejsce dostojne. Natenczas Łubieński, żeby moją na Referendarstwo nominacyą niezagrodzić miejsca któremu z swoich, radził mię za S e k r e t a r z a S e n a t u. Król ochoczo myśl tę przyjął i tegoż wieczoru moją i Referendarzów nominacyą Ministrowi Sekretarzowi Stanu Brezie odesłał.

A tak ja, bez żadnych zabiegów, bez podawania memoryałów, odrzuciwszy nawet, jako przeciwne od dawna prawidłom moim, proponowane mi wdawanie się ministra francuskiego, przez samą dobroć króla, odebrałem urząd dostojny i tem mi dogodniejszy, że przywiązanemi do niego powinnościami niezabierający tyle czasu, by mi wolne do zatrudnień literackich nie zostawały godziny.

Zadowolnienie życzeń moich z widzenia się znowu pożytecznym odrodzonej choć w części ojczyźnie mojej zatruły głośne szemrania i zawiedzionych w nadziejach, i publiczności.

Dnia tego 23 grudnia był wielki obiad u posła francuskiego. Wymawiając się zawsze z publicznych uczt, przyjechałem, gdy się już wszyscy prawie rozjechali; zastałem Linowskiego i Kochanowskiego. Pierwszy, rozjątrzony, że tak pośledniejszych sobie widział kolegów, drugi, tknięty, że z departamentu jego: Węgliński, Staszic, Horodyski i inni, wysługami i talentami znani, przemieszkani (sc. ominięci). Skargi ich zaraziły także przytomnego posła, który mi powiedział, że kocha nas i szanuje pojedyńczo, lecz w kupie, jako naród, jesteśmy obrażliwi i najtrudniejsi do dogodzenia.

Opamiętałem, że naród nasz w niczem nie ustępuje innym, że to, co u nas widzi, w podobnych okolicznościach widział-by gdzieindziej, że gdzie jest pięć, lub sześć miejsc do rozdania, a pięćdziesiąt ubiegających się o nie, muszą być zawody, a zatem kwaszenia i tak tembardziej, gdy wybór rządzącego nie spotka się z opinią publiczną.

Szczęśliwszy był wybór prefektów. Urząd ten ważny i pracowity, zupełnego powinnościom swoim wyciągający poświęcenia, dla niedostatku skarbu i lichej zapłaty, wątpię, by sprawowanym był tak, jakby się przynależało. Nie będzie się mógł zrzec prefekt dozoru majętności swoich, nie będzie mógł ciągle w prefekturze swej siedzieć, jeżeli skarb za te ofiary dostatecznie mu nie nadgrodzi.

Wysłany do Napoleona Stanisław Potocki z przydanymi sobie Działyńskim i Bielińskim, z podziękowaniami, które polityka nakazuje, i przekładaniami, które srogie dyktowały uciski, wyjechali.

Pan Daru, Intendent generalny krajów podbitych, którego podobna Verresowi chciwość nieczułym na nędzę ludu uczyniła, za skonfiskowane rządowi Pruskiemu: sól, drzewo, zboże, wszystkie artykuły, które potem na potrzeby wojska francuskiego rząd nasz wydał, podał pretensyę do rządu polskiego za 3 miliony franków. Jeżeli dodamy do tego summy do kilkadziesiąt milionów wynoszące, które niegdyś Rząd pruski obywatelom tutejszym na hypoteki pożyczył, a które Francuzi dziś poszukiwają, exekucya nawet militarna odzyskania ich w zniszczonym i ogołoconym z pieniędzy kraju uskutecznić nie potrafi.

Wśród tylu ucisków, jedno dobre, które z dzisiejszego stanu rzeczy w czasie swoim wyniknie dla kraju, są drogi militarne, czyli handlowe, traktatem Tylżyńskim nam warowane, jako to: przez Krosno do Szlązka, tudzież spławy i handel wolny przez Wisłę i kanały.

Król przed wyjazdem swoim darował kwartalny dochód swój z Xięztwa Warsz. na kupienie wołów dla Francuzów, dał także 10 tysięcy na szpitale i ubogie zakony. Nakoniec dzień 27 Grudnia, Niedzielę, o godzinie 6 z rana na wyjazd swój przeznaczył.

Senat, wojskowi, niektórzy cywilni urzędnicy postanowili widzieć króla przy odjeździe. Wyszedłem ja piechoto, o godz. w pół do piątej z rana.

Noc była niezmiernie ciemna, bicie tylko na wszystkie strony bębnów, huk trąb i gwar zbierającego się wojska przerażały. Gdym przyszedł do Zamku, w przedpokoju, gdzie kierasyerowie straż trzymają, jedna tylko błyszczała świeczka, druga tlała w marmurowym posępnym pokoju, gdziem zastał senatora Wybickiego. Samo miejsce wzbudzało dawne i smutne wspomnienia. Później oświecono na połowę paradne pokoje. Zbierali się cywilni i wojskowi. Dla zwłoki kobiet, król nie wyszedł jak o 7-mej, i pożegnawszy się z przytomnymi, zszedł na dół. Okrzyk wojsk w różnych językach: „Niech żyje

król! huk dział, bębnów i wojennej muzyki, żałobne bicie dzwonów, wśród ciemności światło gorejących pochodni, tę chwilę wyjazdu przerażającą czyniły.

V.

Niewygody podróży powrotnej. — Zwrot w usposobieniach mieszkańców. — Davoust w Skierniewicach.—Odwiedziny Potockiego.—Drożyzna soli.—Rokowania z Wiedniem o sól.—P. Schönfeld.—Brak pieniędzy w kraju.—Brak sprężystości w Radzie Stanu. — Dytki. — Furaże i kwaterunki. — Szemranie ogólne.—Wyniosłość Francuzów.—Sprawa donataryuszów.—Włościanie.—General Savary.—Czartoryscy w Petersburgu.

Podróż królewska na powrót do Drezna nie była pono tak przyjemna, jak kiedy wjeżdżał na objęcie nowo sobie nadanego państwa. I wiele do tego było powodów. Mimo wszelkich usiłowań, by drogi poprawić, ustawne później jesieni słoty w niektórych miejscach tak je były zepsuły, że pojazd królewski ugrzązł i król piechotą iść musiał.

Krótki jego pobyt w Warszawie, nieukończone najgwałtowniejsze urządzenia, niezmniejszone od wojsk obcych uciski, wiele publicznych, a może i osobistych, zawiedzionych nadziei, mniej czyniły żywemi te nadzieje, które w podróży swej do Warszawy widział na twarzach wszystkich. Przydać do tego należy słabość hrabiego Boze, ministra spraw zagranicznych, który, między życiem a śmiercią, powoli wlókł się za królem.

Szczęśliwie atoli Pan ten dnia 10 stanął w Dreźnie.

Przytomność dworu, dom otwarty posła francuskiego, majętniejsi miejscowi, zjazd obywateli z obcych kordonów, oczekiwania nowych coraz ustaw wiadomości, rozdawanie urzędów, zaostrzana ciekawość, dawała społeczeństwu i miastu niejakiś ruch i zażywienie, które z odjazdem dworu ustały. Marszałek Davoust, którego czynności, chęć widzenia wszystkiego i przy najlepszych chęciach popędliwość na nieprzyjemne, fałszywe, czy prawdziwe doniesienia, codziennie prawie rozmowom miasta dostarczały pokarmu, znużony może plotkami, które go obsaczały, wyjechał do Skierniewic, by spokojniej oddychał. Im wprzód głośniejszą była Warszawa, tem głuchszą zdawała się dzisiaj. Później, czas zapust, nieprzytłumiona w kobie-

tach żadnemi klęskami chęć zabaw i uciech, orzeźwiały pierwsze i majętniejsze domy, już to kilku balami, już między sobą granemi po francusku teatralnemi sztuki.

Wyznaczona za bytności jeszcze króla deputacya do złożenia Napoleonowi dzięków, słabością Stanisława Potockiego opóźniona, na dniu (?) Stycznia ruszyła. Dodano im za kollegów: Działyńskiego i Bielińskiego. Ci pierwsi ruszyli do Poznania. Ja, Stanisława Potockiego odprowadziłem do Skierniewic, gdzie Marszałek, lubo przez donosicieli silnie uprzedzony przeciw niemu, przyjął go uprzejmie i grzecznie i długo z nim publicznie i prywatnie rozmawiał.

Zatrudnionej Radzie naciskiem rozmaitych urządzeń i potrzeb najpierwszem było staraniem zapobiedz niedostatkowi soli. Artykuł ten pierwszej potrzeby, żydzi i Prusacy opanowawszy całkiem, do niezmiernej podnieśli ceny: lodowatą do 4 dukatów, białą do 6 duk. beczka. Złe to gwałtownego wyciągało zaradzenia. Dowiedziawszy się oraz, że żydzi i inni spekulanci, już wchodzili ze Skarbem austryackim w kontrakty o znaczne partye soli, napisała prosto do Ministra Saskiego w Wiedniu, Pana Schönfeld, prosząc go, by za milion talarów soli dla Xięztwa warsz. chciał kontrakt uczynić. P. Schönfeld z największą chęcią i skwapliwością żądaniu temu dogodził, nadto 300 tys. zł. ryńskich własnym kredytem zaręczył. Król, zawiadomiony przez Radę o tej operacyi, lubo-by się może wahał, gdyby pod decyzyę Jego przychodziła, widząc już uczynioną, potwierdził i Radzie kroku tego nie zganił. Cała korzyść kupna tego była w pośpiechu, inaczej bowiem ubiegli-by byli żydzi i oblity towaru tego mający zapas, ceny onego stali-by się panami. Zabiegi ich i kubany, by kontrakt nasz zwalić, stały się próżnemi. Podpisana ugoda z opłaty całkowitej summy na cztery podzielona raty. Rząd Wiedeński, ubóstwo skarbu naszego znający, pewnego wyciągał zaręczenia. Tu hojny zawsze dla ojczyzny Małachowski, marszałek sejmu 1791 r., a dzisiejszy prezes Senatu, kaucyę całej summy zapisał na dobrach swoich, w kordonie austryackim znajdujących się.

Gdy przyszło pierwszą ratę 200 tysięcy reńskich w monecie konwencyonalnej wypłacać do Wiednia, Skarb, acz pieniądze te miał w grubej monecie pruskiej, całą strząsnąwszy okolicę, do wszystkich udając się bankierów i kupców, nie znalazł jak tylko 20 tys. dukatów w złocie, później 8000 duk. ksiądz Staszic, jeden z zasiadających w depart. skarbowym, tknięty potrzebą publiczną, hojnie zamieścił.

Trudność dostania w mieście u kupców złota dowodzi, jak do dna źródło to wyłowione było. Niesposobność, składając nawet pieniądze, dostania u bankierów wexlów, świadczy, jak handel i kre-

dyt krajowy zupełnie zniszczonemi były. Później atoli znalazł się bankier Frank (Frenkiel) i złożonych u siebie 225,000 ryńskich przewexlował do Wiednia. Wyrównywające walor monety grubej pruskiej do srebrnej konwencyonalnej austryackiej, skarb nasz 15 od sta dodawać, czyli tracić musiał. Cała ta operacya, gorliwie, spiesznо i rozsądnie prowadzona, zniżając znacznie cenę soli dla mieszkańców, skarbowi korzyść przyniesie.

Bodajby Rada Stanu wszystkie swoje czynności prowadzić mogła była z równym pośpiechem i powodzeniem. Lecz mimo gorliwości i najlepszych chęci, któremi tchnęli składający ją Ministrowie, widać było w całem ciele jakąś rozprzęgłość i brak sprężystości, które pośpiech interesów niepomału tamowały. Największe samychże kollegów były narzekania na Łubieńskiego, min. sprawiedliwości, już to, że przez Linowskiego trzech innych Referendarzów podsunął zręcznie królowi, już, że pod skromnem ułożeniem się zdradzał wyniosłą żądzę rządzenia wszystkimi i wszystkiem, a tak, chcąc innych do swego przywieść zdania, sam się nie przychylając do niczyjego, na kawęczeniu i sporach zwlekał po tygodniach decyzyę spraw ważnych i niecierpiących zwłoki; przeciw porządkowi wypadał czasem z gotowemi rezolucyami króla w rzeczach, o których się wprzódy nie znosił z radą. Kalendarz Cesarski francuski był Alkoranem, czyli pismem świętem, dla niego, i czyli prawa, zwyczaje, stan nasz i okoliczności zgadzały się z francuskiemi, czy nie, odwoływał się ustawicznie do niego. Te, Ministra tego, a może i innych wady, nie miały-by może miejsca, gdyby w cnotliwym i pełnym obywatelstwa Prezesie ich, Gutakowskim, wiek nie stępił był tej śmiałej tęgości, którą najwyższy urzędnik posiadać powinien.

Największe atoli klęski i cierpienia niemożna było przypisywać Radzie, która, ani była ich sprawczynią, ani posiadała w ręku swym do odwrócenia i zapobieżenia im środków.

Zatamowany od blizko dwóch lat handel wywozowy do morza przeciął wszelki wpływ dobrej złotej i srebrnej monety, handel zagraniczny przywożny, wykupywanie przez Francuzów, żydów i kupców (którzy zagraniczne towary grubą tylko monetą płacić za granicą musieli) wykupywanie, mówię, przez nich tejże grubej monety i złota, a na tej miejsce wprowadzenie do kraju milionów niemającej i pół wartości zdawkowej monety, zwanej dytkami, przez niegodną chciwość zaarendowania w Berlinie mennic żydom, którzy, z talara jednego grubego, wybijali dytkami jedenaście złotych, zakaz brania i wprowadzenia tej monety, nie tylko w pogranicznych krajach, ale w samym Berlinie, gdzie bita była, i we wszystkich prowincyach

pruskich, płacenie nią całego wojska francuskiego, napełniane niezmierne wozy francuskie, wolne od rewizyi na komorach naszych, milionami przywożące ją do Warszawy, a grubą monetę bez podobnejże rewizyi wywożące, stąd drożyzna, nędza i postrach pomiędzy ludem (o czem później rozciągle namienię), wszystko to — nie Radzie Stanu, ale obcej potędze przypisać należy.

Uciążliwość w furażach, kwaterach, podatkach, niedostatkach skarbu, zaniedbanie krajowych potrzeb, by codziennie sypać krocie na zakupienie wołów dla wojska, niewierność i kradzież w rozdawaniu racyi wojskowych, całe brzemię niezliczonych ciężarów, nie pochodziło od krajowego rządu, lecz skutkiem było okoliczności i tego położenia, gdzie słaby i podległy od silnego i wyniosłego wszystko znosić musi. Opieszałość nawet w interesach, lubo po wielkiej części wzwyż pomienionym wadom składających Radę ministrów przypisać można, największą atoli zwłok przyczyną była odległość, w której panujący znajdował się od kraju, tak daleko, że choćby największego używano pośpiechu, po wyprawie kuryera, 18 dni na odpowiedź królewską czekać przychodziło. Przecież, mimo tak jasnych dowodów, że źródło złego nie wypływało od nas, że środki zapobieżenia onemu nie znajdowały się w ręku naszym, wygodniej było i obcym i niektórym nawet swoim, winę zwalać raczej na osoby rządzące, niźli na okoliczności.

Powszechnie mówiąc, Francuzi najpośledniejszą mieli opinię o świetle, talentach i umiejętności rządowej Polaków. Ciężkie trudy, niedostatek, głód nawet, w uporczywych walkach z sąsiadem, w ostatniej ponoszone zimie, wzbudziły w nich niesmak do całego kraju. Nałóg burzenia, niszczenia, panowania nad cudzem, wytępił pojęcia na słuszność i sprawiedliwość i obojętnymi na cierpienia ludzkie uczynił. Nieprzerwane tryumfy, wyższość oręża, które im i własna odwaga, i geniusz Bohatera nad innemi nadał narody, rozciągnęli na wszystko. Podług skromnego ich mniemania, w porównaniu z nimi, reszta Europy kilku wiekami w cywilizacyi cofnięta. Nie uciskom więc od nichże samych wypływającym, ale naszej niezdolności, naszej niesposobności, przypisują smutny stan, w którym się Xięztwo Warsz. znajduje. Przyznać atoli należy, że niemało do tej ich opinii przyczyniły się zawiedzione ambicye i rankor niektórych naszych, tych mówię, co, mając lub mniemając mieć do Ministeryów i pierwszych urzędów prawa, przez innych posiadanemi je widzieli. Najnieubłagańszą z chuci ludzkich jest zawiedziona próżność i duma; nie mogąc dostąpić urzędów, których gorąco łaknęli, jak przez usunięcie posiadających one mężów, wszystkie ich usiłowania do tego jedynie dążyły, by

przed rządzącą u nas władzą powiększać ich błędy, zupełną dowodząc niezdatność, tej wszystkie przypisywać nieszczęścia.

Fatalna ślepota! która, w ludziach, zinąd może słusznych i zdolnych, by dogodzić zawziętości i pysze, zagładza względy na sławę narodu własnego, zagładza wstyd i pamięć na to, co winni uczciwości i prawdzie.

Na początkach Lutego, długo zawieszona kwestya względem donataryuszów, którzy, wolne od podatków i zupełnie od rządu krajowego oddzielne, dobra swoje mieć chcieli, dekretem Napoleona rozstrzygnioną została. Wyrok ten sprawiedliwy nakazywał donataryuszom opłacać podatki i wszystkie rządowe ciężary, wraz z innymi Xięztwa obywatelami, zarówno ponosić. Lasy natomiast zostawione im całkiem, z warunkiem, by Xiężom dostarczali na opał.

Uskutecznienie wyroku tego, przez wgląd dla posiadających, odłożyła Rada aż do 1 Marca, a, przez delikatność i nieśmiałość publiczności, nie objawiła go nigdy. Dekret ten nie zaspokoił atoli pretensyi donataryuszów do tego, co nawet patentem Cesarskim wyznaczonem im nie było. Tak Marsz. Davoust domagał się pałacu Prymasowskiego w Warszawie i wsi blizkiej Łowicza, którą król pruski skonfiskował był na Pijarach. Oudinot chciał miasta stołecz. Inowrocławia i wsi Orłowa, do prywatnego należącej szlachcica. Wszystko to odesłano do decyzyi królewskiej.

Kupcy także francuscy, po jednym tylko od sta, a, z przydatkowemi małemi podatkami, najwięcej po 4 od sta płacący, wtenczas gdy inne narody opłacały po 8 i więcej, nie przestawali jeszcze przed rządem swoim oskarżać i narzekać. Na obydwa te narzekania i donataryuszów, i kupców, ministrowie wewnętrzny i skarbu tak dokładnie odpowiedzieli, iż sam poseł francuzki w Dreźnie o niesłuszności tych żalów przekonanym został.

Ogłoszony wyrok, wolność nadający włościanom, nie tyle na nich uczynił wrażenia, ile się spodziewano, czyli, że i w poddaństwie nawet przyzwyczajenie jest silnem, czyli też, że dotąd w upadku bydła, spaleniu domów, u panów pewną znajdują ucieczkę i wsparcie, dziś własnemu zostawieni przemysłowi, trwożyli się. Przecież w tej tak długo zapomnianej i uciemiężanej klasie narodu, wszystkie uciski bez szemrania znosili, mówiąc: przecież to dla Polski.

Tenże sam duch i w żołnierzu. Najznakomitszy dała tego dowód legia włoska polska, w służbę królowi Westfalii oddana. Gdy z rozkazu Cesarza stanąć jej kazano pod bronią i zapytać: czy chcą zostać w służbie westfalskiej, czy wrócić do Polski? zawołał przewodniczący: niech ci, co chcą służyć w Westfalii, wynijdą naprzód, czy

chcą wrócić do Polski? Zostali wszyscy, wołając: do Polski! do Polski! Sam tylko pułkownik Grabiński wyskoczył naprzód. Rozgniewany najwyższy wódz francuski po trzykroć też same zapytanie uczynić rozkazał, po trzykroć z równemi skutkami.

Rzecz jednak owa, oddana im, do własnej woli, nie skończyła się podług ich wyboru. Zostawiono ich w Kassel. Zniechęceni zbiegali kupami, a na ich miejsce, od Poznania do Niemna, Księstwo Warszawskie najpiękniejszą młódź swoją od pługa i domów odrywać i do Niemiec posyłać musiało.

Około mięsopust przybył z Petersburga do Warszawy generał Savary, adjutant i poufały Napoleona, człowiek śmiały, przebiegły i obrotny. Po zawartym w Tylży pokoju, Napoleon, znając zapalczywe Rosyan przeciw sobie i narodowi swemu uprzedzenie, uznanego pełnomocnika nie chcąc prosto narażać na niechęć ich i przykrości, do złamania ich, mówię, pierwszych lodów, bez żadnego dyplomatycznego charakteru, wysłał tam generała Savary. Co cesarz przewidział, stało się. Do tego stopnia szła zawiść, gniew zapokorzonej pychy (tak) i uprzedzenia przeciw Francuzom, iż generał, przyjechawszy do stolicy, gdy drzwi wszystkich gospód zastał zamkniętemi przed sobą, tak w jednej z nich gwałtem je wybił i stanął.

Nazajutrz, gdy na wojskową przyszedł paradę, wszyscy jak od zapowietrzonego stronili. Toż samo, mimo uprzejmego od monarchy przyjęcia, spotkało go i u dworu. Śmiały i umiejący się znaleźć, przystępował do pierwszych dworskich, brał ich pod rękę i z osobna z każdym o potocznych fraszkach do ucha rozmawiał. Uważana od rzeszy dworaków ta Savarego z przedniejszymi poufałość domniemywać im się kazała, że ich anti-francuska opinia magnatów, którą nazywano opinią narodową, przystała do nowego dworu systemu. Wahających się mniemaniem, iż cesarz Aleksander szczerze się do Napoleona przywiązał, przekonał sztuczny Savarego na publicznych cesarskich pokojach postępek. Zebrani wszyscy ministrowie zagraniczni i wielcy dworu, podług dostojeństwa i urzędu, każdy czekał na swojem miejscu pokazania się monarchy. Savary, bez żadnego dyplomatycznego charakteru, a więcej, przewidując, co się stanie, chąc wszystkich publicznie o swoim przekonać kredycie, w rogu sali, opodal, sam jeden stanął przy kominku. Skoro się cesarz pokazał, prowadząc wszędy oczyma, kogoś szukać zdawał się. Postrzegłszy nanakoniec Savarego, pominął zgrają dworaków i szedł do niego. Savary i kroku nie uczyniwszy naprzód, śmiało czekał na monarchę, który, osobno z nim stojąc, długo rozmawiał, zapewniając, iż to oddalenie, które widzi ku sobie w dworakach, stopniowo zmniejszy się

i zniknie. Jakoż, na pozór przynajmniej, tak się stało. Przypuszczony do towarzystwa, słyszeć musiał nieraz ostre przekąsy i przycinki, najmocniejszemu wybornie się otrząsł. Gdy mówiono o wyznaczonym do Rosyi pośle, panu Caulincourt, odezwał się jeden: wszak to ten sam pan Caulincourt, który książęcia d'Enghien złapał i potem zamordował!" Savary na to: Nic wspólnego z tym czynem p. Caulincourt nie ma, jam wszystko uczynił! Wszystkie te okoliczności zawsze Savary w krótkim czasie pobytu swego w Warszawie rozpowiadał.

Najzapalczywszą on okazywał niechęć ku młodemu ks. Adamowi Czartoryskiemu, wyrazami, które w kordegardzie tylko słyszeć się mogą, nadto nieprzystojnemi, aby powtarzanemi być mogły.

Zimny nawet dla tych, których lubił, przykrym i nieprzystępnym musiał być zapewne dla tych, o których czynach, nie podług polityki, lecz zawsze wedle ścisłych moralności prawideł, sądził.

Położenie ks. Adama Czartoryskiego w Rosyi najprzykrzejszem być musi dla niego. Nienawidzony od Francuzów, za mniemane do systemu angielskiego przywiązanie, oskarżany od Polaków o zimność i obojętność, zawiśniony i nienawidzony od samychże Rosyan, dla tego tylko, że obcy, nie zasługuje w istocie, jak tylko, by ubolewano nad nim. Wiek, wychowanie, skłonności prawie jedne, nie — jak następcę tronu, lecz, jak człowieka, połączyły Aleksandra z Czartoryskim najściślejszą przyjaźnią.

Osobliwszym zaiste i rzadkim do znalezienia tworem musiał się pokazać Aleksandrowi człowiek, nie pragnący żadnego wyniesienia, zaszczytu, odpychający dary, a nie proszący ani dla siebie, ani dla drugich. Długo był przyjacielem i powiernikiem, nim czynnym zaczął być na urzędzie. Przydany do pomocy staremu Woroncowowi w udziale spraw zagranicznych, po oddaleniu się onego, został ministrem. Było to w ważnej i trudnej epoce, wtenczas, gdy dwór wiedeński wydał wojnę Francyi, gdy Rosya ciągnęła mu na pomoc, gdy nadto przypuścić chciała dwór berliński do wspólnego z sobą czynienia.

Chytre wahanie się Prusaków rozjątrzyło, jak mówią, Aleksandra. W ciągu tych negocyacyi, przez trzy niedziele przemieszkiwał w Puławach. Przez niechęć, jak mówią, do Prusaków, a może usiłowaniami naszych, powziął myśl wydarcia im zabranej części Polski i ogłoszenia się królem polskim i już do tego niezliczone Polaków miał podpisy. Gdy Dołhoruki w Berlinie uwierzył zwodniczym dworu owego obietnicom, udał się tam Aleksander. Poprzysiężonej między dwoma monarchami wspólnej przyjaźni i wspólnego przymierza na

grobie Fryderyka-Wielkiego rzetelność okazała się w ciągu nieszczęsnej i krótkiej tej wojny, w okropnej klęsce pod Austerlitz, czyli za błędy, niezdolność wodzów wojsk i sprzymierzonych, minister spraw zagranicznych odpowiadać był powinien.

Za pośrednictwem rezydenta rossyjskiego d'Oubril podpisany przez Czartoryskiego z Francyą pokój, mocą którego zyskała Rosya siedem wysp na morzu Adryatyckiem i część Dalmacyi. Partya w Petersburgu przeciwna, połączona z Anglikami, ratyfikować nie dozwoliła. Ks. Czartoryski złożył swój urząd: obwinienia o późniejsze przygody już się go tykać nie mogą.

W całym tym ciągu, z czynów i sprawowania, wart więcej politowania niżeli wyrzutów. Dziś najgorętszem życzeniem jego jest oddalić się od dworu, gdzie nie doznał, jak tylko zgryzot i zawiści. Lecz Aleksander, ani przyjaciela, którego mimo zmiany systemu, szacować nie przestał, ani człowieka, któremu wszystkie tajemnice stanu długo powierzone były, odpuścić niechce. Ze wszystkich bijących na niego — Rosyanie najmniej mają się prawa uskarżać. Książę Adam, z ściągnieniem nawet niechęci i obwinień dawnych swych ziomków, służył Aleksandrowi wiernie i gorliwie, służył bezinteresownie dla cesarza, niedelikatnym stał się dla rodziców, nie z skarbu publicznego, lecz z intrat ojczystych zastępując niezmierne w czasie ministerstwa swego wydatki. Do 800 tysięcy złp. kosztował ojcu na rok. Jeżeli zmęczony natrętnym tłumem Polaków, proszącym go o wstawienie się w prywatnych sprawach, często bywał nieprzystępnym dla nich, wymawianym być może, lecz zbytek wystrzegania się, stronienia od wszystkich, nie godny wielkiego umysłu. Że pamięć ojczyzny i chęć wskrzeszenia jej miał zawsze i w sercu i na oku, niewątpliwe są tego dowody. Mylił się może w sposobie widzenia, gdy przez Rosyę, nie zaś przez Francyę, tak pożądanego szukał wypadku.

(C. d. n.).

Stosunki polityczne w Poznańskiem.

Położenie polityczne Księstwa Poznańskiego pod rządami pruskiemi przez różne przechodziło fazy. Zasadniczo jednak stosunek Polaków do Prus niewielkim uległ zmianom. Zmieniali się ludzie, którzy, kierując polityką państwową, wyciskali swe osobiste piętno na biegu zdarzeń, zmieniały się ogólne konjunktury polityczne w Europie, zależnie też od tego modyfikował się, przynajmniej zewnętrznie, sposób traktowania zagarniętego kraju, w gruncie bowiem nie przestał przez cały wiekowy blizko przeciąg czasu być wrogim dla Polaków i lekceważącym. Po kongresie wiedeńskim osłabione wieloletniemi wojnami Prusy zwróciły się z pozorną życzliwością do nowych swych polskich poddanych. Przyczyniły się do tego może w równej mierze, z jednej strony poczucie własnej słabości, nakazującej liczyć się z elementem silnym jeszcze i żywotnym, a z drugiej strony i pewien moment idealny, rozbudzony przez ogniste, szlachetną miłością ojczyzny tchnące, odezwy Fichtego i przez heroiczny wysiłek, który im utraconą wolność codopiero był przywrócił. Fryderyk Wilhelm III w nocie do mieszkańców Księstwa Poznańskiego wypowiedział naówczas pamiętne słowa: „i Wy uzyskaliście ojczyznę, a z nią dowód mego szacunku za przywiązanie względem niej okazane. Zostajecie włączeni do mojej monarchii, nie potrzebujecie jednak wyrzec się waszej narodowości“ etc. Gdyby nie swoboda, z którą umiano później wypierać się tych przyrzeczeń, lub za nieważne je uznawać, ileż-to razy rządcy Prus byli-by żałowali tak lekkodusznego oświadczenia, któremu cała dalsza historya kilkudziesięciu lat tak niesłychanie konsekwentny kłam zadać miała. W najpierwszych bowiem już czasach, nawet za namiestnictwa kuzyna królewskiego, a polskiego magnata, księcia Antoniego Radziwiłła, zaczęła się żywiołowa walka z elementem polskim. Od pierwszej też chwili utrafiono w programie germanizacyjnym w samo sedno kwestyi, pracując z jednej strony nad podkopaniem bytu materyalnego narodu polskiego, a z drugiej strony nad wyrwaniem oświeceńszym warstwom przywiązania do języka i tradycyi ojczystej.

Jedną z pierwszych czynności rządu pruskiego było pokasowanie klasztorów Było to bardzo zręcznem pociągnięciem na szachownicy, raz bowiem usunięto tym sposobem intelektualne centra, z których nauka mogła się krzewić samodzielnie i niezależnie od rządu; powtóre zagarnięto jednym zamachem znaczne dobra ziemskie, w których uzyskano liczne posady dla dzierżawców, rządców lub kolonistów niemieckich. Rozległe dobra rządowe, w Księstwie Poznańskiem położone, przeważnie tą drogą weszły w posiadanie fisku. Równolegle ze skasowaniem klasztorów i z zamknięciem szkół klasztornych zwrócono uwagę na szkolnictwo państwowe. Z dnia na dzień nie można było zrobić w systemie nauczania stanowczego przełomu, od pierwszej jednak chwili starano się niemczyźnie dać w nim dominujące stanowisko i przygotować tym sposobem przyszłe pokolenia do rządowych celów. To samo powiedzieć można o systemie administracyjnym. Wobec prawie zupełnej nieznajomości języka u przeważnej części ludności trzeba się było posługiwać jeszcze w szerokiej mierze urzędnikami polskiej narodowości. Wyszczególniano jednak w tym względzie charaktery chwiejne lub jednostki, należące do rodzin kalwińskich, w przypuszczeniu, że ci łatwiej od innych nagną się po myśli rządu. W pojedyńczych wypadkach rachuba ta nie zawiodła i stąd-to wśród rodzin tradycyjnie urzędniczych nierzadko na polskie nazwiska natrafić można, wogóle jednak chęć zniemczenia ludności polskiej na niewdzięczną padała rolę. Polacy mieli więcej od Niemców żywości umysłowej, więcej ogłady towarzyskiej i tej junackiej fantazyi, która pociąga i podbija serca, a jeszcze korzystniej wyróżniały się Polki od skromnych, pracowitych lecz nudnych niemieckich gospodyń. Jeżeli więc kto zmieniał narodowość, to raczej polszczył się Niemiec, niż przeciwnie, na tym więc punkcie rachuby rządu zawiodły prawie zupełnie, i mimo wszelkich usiłowań, rezultat pozostał niewielki.

Inaczej rzecz się miała pod względem ekonomicznym. Nie wchodząc w szczegóły tej kwestyi i pomijając bieg ogólnych warunków gospodarskich, na który w innem miejscu staraliśmy się zwrócić uwagę [1]), musimy tu zaznaczyć tylko, że rząd ani chwili pod tym względem nie prowadził polityki chwiejnej, lecz odrazu wszystkiemi siłami i środkami, które uważał za stosowne, dążył do wzmocnienia dobrobytu nowych niemieckich przybyszów i zarazem do oderwania społeczeństwa polskiego od ziemi, w której posiadaniu słusznie jedną z naj-

[1]) Patrz zeszyt marcowy: „Stosunki ekonomiczne w Księstwie Poznańskiem.

większych jego sił upatrywał. Czynność ta odbywała się w znacznej części pokryjomu i bez rozgłosu, który akcyi tej nadało dopiero prawo z 1886 roku o komisyi kolonizacyjnej, od początku jednak rządów pruskich dążenie do tego celu nie zmieniło kierunku. Wszystkie tysiączne środki, jakiemi dobrze zorganizowana administracya państwowa rozporządzać może, służyły zawsze do tego, aby element niemiecki kosztem polskiego w jaknajkorzystniejszych stawiać warunkach. To też rezultat na tem polu był znaczny i szybki, a skutki jego po dziś dzień w ukształtowaniu stosunków narodowych w Wielkopolsce wyraźnie odczuwać się dają. Przyczyniły się do tego w dodatku te same właściwości usposobień, które strzegły Polaków przed wynarodowieniem przez assymilacyę. Owa wesoła lekkomyślność, która jednała serca i wdzięk zwycięski nadawała podbitemu nawet narodowi, stała się w walce ekonomicznej nad wyraz niebezpieczną i zgubną. Cichy i niepozorny pracownik niemiecki lepiej był dostrojony do warunków czasu i miejsca, niż żywy i buńczuczny szlachcic polski.

To też ewolucya ekonomiczna postępowała powoli lecz nieustannie; pod względem prawnym jednak stosunki w Wielkopolsce mało się zmieniły od kongresu Wiedeńskiego aż do 1848-go roku.

Rok ten, tak brzemienny w zdarzenia, tak wielkie rokujący nadzieje, zdawał się zwiastować i Polakom pod pruskim rządem nową zupełnie erę. Pierwsze lata rządów ideologa, Fryderyka Wilhelma IV, przeszły bowiem dla nich jeszcze bez namacalnych korzyści. Tymczasem w marcu 1848 r. wybuchły w Berlinie rozruchy ludowe, które wkrótce w całym prawie kraju znalazły żywy oddźwięk. Lud dopominał się o wolność, a hasła liberalne, zapożyczone z Francyi, budziły marzenia o promiennej przyszłości. Zdawało się, że dawne formy rządowe zaginą raz na zawsze i że konstytucya zapewni oswobodzonemu narodowi raj sprawiedliwości i wolności obywatelskiej. Jeżeli spokojni i trzeźwi Niemcy dali się unieść tak sielankowym marzeniom, cóż dziwnego, że i ludność polska, do entuzyazmu skłonniejsza, a znosząca przytem niecierpliwie twarde niemieckie rządy, drgnęła na dany sygnał. Sam rząd ją zresztą do tego zachęcił. Obawiając się komplikacyi międzynarodowych, pobudził on własnoręcznie ruch zbrojny i dał się rozwinąć ruchawce polskiej, która miała sekundować działanie armii niemieckiej poza granicami państwa. Gdy jednak zażegnaną została obawa przed wojną zagraniczną, a formacya polskich oddziałów zagrażać się zdawała pokojowi wewnętrznemu państwa, zgnieciono ją czemprędzej we krwi i więzieniach, aby porządek panował nadal w Poznaniu. Epizod ten, który rząd pruski nieraz później cytował, by udowodnić buntownicze usposobienie Polaków, świadczy najwymowniej o tendencyi rządu wobec Wielkopolski i o braku szcze-

rości, znamionującym nawet pozornie życzliwe postępowanie jego względem polskiej ludności. Niebawem można się było przekonać, że wrogie usposobienie, jakie rząd Polakom okazywał, nie ograniczało się tylko do sfer urzędniczych i wojskowych, ale że charakteryzuje także szersze i na pozór liberalniejsze warstwy niemieckiego społeczeństwa. Zebranie narodowe we Frankfurcie nad Menem oświadczyło wprawdzie jako jeden z punktów zasadniczych, „że uznaje ze wszech miar prawo, które posiadają szczepy nie-niemieckie, na terytoryum niemieckiem zamieszkałe, by iść drogą własnego narodowego rozwoju, oraz by korzystać z równouprawnienia językowego pod względem kościelnym, pod względem nauczania literatury i wewnętrznej administracyi na obszarach, przez nich zajmowanych. Również, rozumie się samo przez się, że każde z praw, które powstająca konstytucya ogólna niemieckiemu narodowi zapewnia, będzie w równej mierze i im przysługiwać". Gdy jednak zebrał się nowo zwołany sejm pruski w Berlinie, przekonać się mogli reprezentanci polskiej ludności, że inne bywają słowa, a inne czyny. Równość i zbratanie narodów nie przestały brzmieć jako hasła, obliczone na galeryę słuchaczów, w czynności prawodawczej zaś zapanowała od pierwszej chwili zasada, że Polacy są poddanymi podrzędnej wartości, którzy powinni się wyrzec praw swoich narodowych we własnym i cudzym interesie. W czasach owych, aż mniej-więcej do 1870 r., partya katolicka, późniejsze centrum, istniała zaledwie w zawiązku, jedyna więc partya, o którą Polacy w sejmie pruskim opierać się mogli, było to stronnictwo wolnomyślne, które w imię zasad wolności i równości nie mogło solidaryzować się z ukracaniem praw równych obywateli państwowych i z tendencyjnem naciąganiem przyrzeczeń konstytucyjnych. Niestety, wpływ partyi tej był i pozostał w sejmie pruskim bardzo nieznacznym tylko. System wyborów pośrednich, dzielący wyborców na trzy klasy, stosownie do wysokości opodatkowania i umożliwiający małolicznym zamożniejszym jednostkom przeważać nad liczebnie silniejszą niezamożną klasą, wysyłał i zapewne długo jeszcze wysyłać będzie do sejmu posłów, posłusznych na każde skinienie rządu. Bardzo znaczna ich większość posuwa lojalizm do służalczości i zasłużyła sobie, nie bez przyczyny, na drwiące przezwisko chóru landratów. W rzeczy samej bowiem, partya konserwatywna i jej pokrewne wolno-konserwatystów i narodowo-liberalnych składają się w znacznej części z wysłużonych lub czynnych jeszcze urzędników, oraz z junkrów wiejskich, którzy, spędziwszy młodość w służbie wojskowej i żyjąc zawsze w sferze łaski monarszej, umieją lepiej stosować prawidła ślepego posłuszeństwa, niż śmiałości i niezależności zdania. Pod batutą ministrów i dobrze wyćwiczonych przewod-

ników, są oni zawsze na usługi racyi stanu i również zawsze głusi na głos słuszności i sprawiedliwości, ilekroć, słuchając go, rządzącym sferom narazić-by się mogli. System rządów, na takiej konstytucyi oparty, jest jak stworzony dla Prus, które, obok cynicznego gwałcenia praw i przyrzeczeń najuroczystszych, dbają niemniej zawsze o zachowanie pozorów kraju bojaźni Bożej i dobrych obyczajów Bez narażania się też na zarzut samowoli lub bezprawia, ukracano polskim poddanym prawa, które im się według traktatów i konstytucyi należały, a wobec interpelacyi posłów polskich dawały ciała prawodawcze chętne rozgrzeszenie władzy rządowej, by się płaszczykiem legalności wstydliwie okryć mogła.

W nową fazę weszły stosunki polsko-pruskie po wojnie francuskiej 1870 roku. Niebywałe powodzenia wojenne i polityczne na zewnątrz dodały Prusom i w polityce wewnętrznej odwagi i pewności siebie. Książę Bismarck, w poczuciu swej siły, targnął się przedewszystkiem na największą, niezależną od państwa potęgę, na kościół katolicki. Dzieje tak zwanej walki kulturalnej znane są zbyt dokładnie, by je tu powtarzać trzeba. Skończyły się dyplomatycznem cofnięciem się rządu, a ogromnym rozwojem poczucia siły i solidarności we wszystkich warstwach katolickiej ludności Niemiec. Na czele frakcyi katolickiej, która z kilku zaledwie głosów doszła w krótkim przeciągu czasu do stu przeszło reprezentantów, stał Windhorst, człowiek równie wielki zdolnościami, jak siłą i prawością charakteru. Pod jego bezpośrednim wpływem stało się centrum tem, czem było do ostatnich czasów, jedyną może na świecie partyą parlamentarną, która w najważniejszych sprawach kierowała się nie widokami bezpośredniej korzyści, lecz stałemi idealnemi zasadami, a która mimo to walczyć i zwyciężyć umiała. W partyi tej wcieliła się dawna dusza narodu niemieckiego, taka, jaką była przed najazdem pruskim, otwarta dla zadań cywilizacyjnych, opierająca wielkość swego narodu na wewnętrznej pracy, a nie na bezprawiu i grabieży i mogąca słusznie wypisać na swym sztandarze tak zfrymarczone hasło: „suum cuique“. Od pierwszych czasów Kulturkampfu datuje się sojusz pomiędzy centrum a Kołem polskiem w Berlinie. Ujmując się za prawem i słusznością, posłowie katoliccy stawali zawsze w obronie uzasadnionych polskich pretensyi i najlepsi ich mówcy nie ociągali się przed otwartem oświadczeniem, że umieją łączyć przywiązanie do własnej narodowości z poszanowaniem praw cudzych. Walka religijna, inscenizowana przez księcia Bismarcka, okazała się i na terenie polskim bardzo ciężkim taktycznym błędem. Nietylko bowiem zbliżyła Koło polskie do partyi katolickiej niemieckiej i przez to dała mu w świecie parlamentarnym silniejszy punkt oparcia, ale przedewszystkiem stworzyła w sa-

mem społeczeństwie polskiem poczucie solidarności narodowej, które poprzednio prawie nie istniało. Wiejski lud polski od wieków był odsunięty od czynnego udziału w sprawach publicznych, zanikło więc w nim z biegiem czasu żywe poczucie narodowe, i niekiedy, zwłaszcza przed laty kilkudziesięciu, nowe rządy mogły mu się nawet wydawać lepszemi od dawnych polskich stosunków. Stopniowo jednak, dzięki różnym dobroczynnym wpływom, świadomość narodowa zaczęła budzić się i nawet rozwijać w masach włościańskich, ale dopiero walka religijna, trafiając w uczucia głęboko zakorzenione i nad wyraz silne, nauczyła lud pojmować, jak rząd, nawet na pozór ojcowski, może boleśnie ranić i krzywdzić swych poddanych. Równocześnie ewolucya ekenomiczno-społeczna wytworzyła w Wielkopolsce stan rzeczy, w którym dawne naczelne warstwy narodu pomału traciły na sile i znaczeniu, a wkraczał na pierwszy plan zastęp ludzi i klas nowych, od których przyszłość nasza zależeć miała. W tej samej prawie chwili rząd ten neutralny jeszcze element pchnął gwałtem prawie w opozycyę. Obecnie zbiera owoce tego tak niepolitycznego postępku. Wśród sfer rządzących w Prusiech panuje, zdaje się, mniemanie, że siłą wszystko przeprowadzić można i że niema takich przekonań, ani uczuć, któreby przed groźnem tupnięciem nogą nie cofnęły się trwożliwie. Wobec Niemców, którzy, mimo ogromnych na innych polach zalet, mało okazują niezależności charakteru, taktyka podobna może mieć swoją racyę bytu. Wobec Polaków jest ona jaknajfałszywszą. Duch przekory, mimo, że jest uczuciem ujemnej tylko natury, ma jednak w stosunkach ludzkich wielkie swoje znaczenie, w stosunkach z Polakami bywa on czasem, obok innych, wyższych pobudek, kluczem do zagadki. Tę jednak nutę potrącają bez ustanku niemieckie władze, nie spostrzegając się, że tym sposobem osiągają cel wręcz od zamierzonego przeciwny. Na Szląsku zwłaszcza i w Prusach zachodnich życie narodowe, przy braku prawie zupełnym obywatelstwa wiejskiego i inteligencyi polskiej, zdawało się dogasać. Wznowiona kwestya religijna zbudziła poczucie odrębności od protestantów, a w dalszym ciągu powołała do życia pokrewną kwestyę narodowościową. Sprawa ta zdemokratyzowała się na całej linii i zeszła do najniższych nawet warstw ludności. Poprzednio bowiem, bez różnicy czy politycy mianowali się postępowcami, czy konserwatystami, była to zawsze szlachta z pojmowaniem świata szlacheckiem i wychodząca z instynktowego poczucia, że z nią żyje i ginie całe społeczeństwo polskie. To samo pojęcie panowało również w decydujących sferach niemieckich. To też książę Bismarck, który spraw polskich nigdy z oczu nie tracił, wynalazł sposób pozornie skuteczny, by złamać moc szlachty i ostatecznie pogrążyć narodowość polską. W 1886 r. prze-

prowadził on przez sejm pruski prawo o komisyi kolonizacyjnej. Od dawna królowie pruscy używali już podobnych środków. Fryderyk II w okręgu Noteckim rozkolonizował rozległe obszary pomiędzy niemieckich włościan, później za Fryderyka Wilhelma II podjęto kolonizacyę na wielką skalę; nie było w tem jednak ani ładu, ani jednolitego planu i metody.

Teraz fundusz stu milionów marek, wzmocniony po kilku latach w dwójnasób, miał dać rządowi możność osiedlenia we wschodnich dzielnicach monarchii licznej i zamożnej ludności niemieckiej, która w tych rdzennie polskich jeszcze stronach miała przeważyć szalę na korzyść niemczyzny. Na pozór rezultat osiągnięty przedstawia się okazale. Kilkakroć sto tysięcy morgów ziemi zakupionej, tyle a tyle kolonii nowo potworzonych, mnóstwo nowych kościołów i szkół protestanckich świadczą wymownie, że nie szczędzono pieniędzy i zabiegów, by celu dopiąć. Bliższe wniknięcie w grunt rzeczy sprawia jednak rozczarowanie. Co bowiem stanowi o zdrowym rozwoju kolonii, to dzielność i hart ludzi, którzy się na wytworzenie ich składają. Kolonizacya, oparta na zewnętrznej formie, a nie na żywiołowej sile narodu, pozostać musi biurokratycznym wytworem, homunculusem, zrodzonym w retorcie państwowej nad zielonym stolikiem. Nietylko że urzędnicy jej są przeważnie albo płaskimi karyerowiczami, albo rządowymi pieczeniarzami, którzy się przy tej smacznej pieczeni tanio chcą wyżywić (to, jako łatwe do przewidzenia, zapewne nawet w sferach rządowych nie budzi zbytniego zdziwienia); ale, co gorsza, że i kolonistów tych brak. Emigracye narodów są jednym z niedość zbadanych jeszcze objawów psychologii mas i trudno jest nawet stanowczą hypotezę pod tym względem postawić. Faktem jest, że w zachodnich Niemczech gust do wędrówki zaginął prawie zupełnie. Sławny prąd na wchód: „Drang nach dem Osten“, który tak dobrze licował z teoryami półurzędowych historyków i myślicieli, okazał się tylko teoretycznym wykwitem imaginacyi, opartym na chwilowych i jednostronnych obserwacyach. Bądź to, że wzrost kultury, rozwój przemysłu i handlu daje ludności na miejscu korzystne zatrudnienie, bądź, że w cywilizowanych tych okręgach wymagania życiowe tak wzrosły, potrzeba wygód i komfortu do tego doszła stopnia, że na wędrówkę w nieznane i dziksze okolice nie stać ich przedsiębierczości i energii; faktem jest, że komisya kolonizacyjna ma wielką trudność w znajdywaniu odpowiednych kolonistów. Zadawalniać się też musi różnego rodzaju miernotami, które, nie mając zwykle wiele do stracenia, przychodzą do nowo potworzonych kolonii, by je po pierwszych niepowodzeniach opuścić, albo też Niemcami miejscowymi, którzy wyprzedają dawne swoje gospodarstwa, aby pod ko-

rzystniejszemi warunkami nabyć nowe grunta. Ci, czy tamci, są aferzystami dość nizkiego polotu i niezdolni stworzyć siły moralnej, któraby mogła być skutecznie przeciwstawioną starej, zasiedziałej i uczciwej ludności miejscowej. Nie kieruje nimi wyższa idea przewodnia, jak niegdyś angielskimi kwakrami lub katolikami irlandzkimi, którzy ustępowali przed uciskiem, z duchowieństwem na czele, związani pomiędzy sobą wielką wiarą i wielką miłością. Niemniej jednak, rezultatów, które kolonizacya rządowa osiąga, lekceważyć nie wypada. Są one nieznacznemi w porównaniu z potęgą pieniężną i administracyjną, którą mają do swych usług, wobec skromnych środków polskich, ale stanowią, bądź co bądź, wielkie niebezpieczeństwo. Najgorszem jest to, że kupiony kawał ziemi przepada dla Polaków na zawsze, gdyż państwo zastrzega sobie hypotecznie prawo wykupu jej przy wszelkich dalszych tranzakcyach, aby uniemożliwić przechodzenie jej w ręce Polaków. Mimo to wszystko, narodowość polska straciła chyba niewiele na sile i żywotności. Duże i dotkliwe straty ponosiliśmy i ponosimy jeszcze w dobytku krajowym; w okręgach mieszanych i pogranicznych zdarzają się też wypadki zgermanizowania przez apatyę lub słabość charakteru; ogólnie jednak powiedzieć można, że właśnie wskutek ucisku wzrosła u ludu siła moralna, która tkwi w głębokich uczuciach i przekonaniach. Lud coraz żywiej i w sposób coraz dotkliwszy czuje, że jest traktowany po macoszemu i że mu się krzywda dzieje. Kolonizacya tyka strony u ludu zawsze bardzo czułej, bo materyalnego bytu i przywiązania do gleby, a jak znienawidzoną jest mu niemiecka szkoła, tego dowodem smutne wypadki ostatnich czasów. Zdarza się czasem, że w rozmowie z Niemcami z południa lub zachodu wspomni się o monstrualnych stosunkach szkolnych w Poznańskiem. Otrzymuje się niechybnie odpowiedź, że to jest niemożliwem, bo żaden rząd, a tem mniej niemiecki, nie mógłby przecież czegoś równie brutalnego, a zarazem głupiego, do poddanych swoich stosować. Niestety, fakta kłam temu twierdzeniu zadają. Sześcioletnie dziecko polskie, które zwykle nie słyszało dźwięku niemieckiej mowy, idzie przymusowo do szkoły. Tam wobec kilkudziesięciu takich dzieci, zasiada nauczyciel Niemiec, często sprowadzony umyślnie z Westfalii lub Nadrenii, by słówka po polsku nie umiał. Nie wolno mu też nigdy, nawet dla objaśnień, języka polskiego używać. Teraz mają się oni porozumieć, jak mogą, a nauczyciel ma ich nauczyć tego, czego w tym samym czasie uczą się dzieci niemieckie, które z językiem żadnej trudności do zwalczania nie mają. Łatwo się domyślić, jakie są rezultaty takiej nauki. Na migi i za pomocą kar cielesnych uczą się dzieci mechanicznego powtarzania lekcyi, jak pies uczy się służyć na dwóch łapkach, albo szpak wygwizdywać czę-

sto słyszane zwrotki. Co się dzieje z wewnętrznym rozwojem tych dzieci, jakie z tego wynika spaczenie i zdziczenie umysłów, o to nikt się nie pyta. Jeszcze bardziej oburzającem jest, gdy religia służy za przedmiot eksperymentalny do tych germanizacyjnych zakusów. Szkoda więc, wyrządzona polskim dzieciom, jest znaczna, lecz cel zamierzony i na tej drodze nie bywa zwykle osiągniętym. Wpływ niemieckiej szkoły na polską ludność jest dotychczas niezbyt jeszcze wielki. Wiadomo, iż żadna szkoła nie działa wprost i bezpośrednio w kierunku zamierzonym. Tendencya pedagogiczna łamie się w umysłach uczniów pod nieobliczalnym kątem i wydaje często owoce, których nauczyciel najmniej się spodziewał. Dzieje się to tembardziej tam, gdzie, jak w szkołach Poznańskich, punkt wyjścia nauczycieli i domu rodzicielskiego prawie na dyametralnie przeciwnych stoją biegunach.

Po zaprowadzeniu wszystkich tych praw i rozporządzeń, nastało pozorne złagodnienie w stosunku rządu do Polaków. Nie żeby cośkolwiek z drażniących ustaw zmieniono lub usunięto, lecz w obchodzeniu się z Polakami młody naówczas monarcha starał się zaprowadzić ton przyjaźniejszy i oczekiwał, zdaje się, wielkich stąd owoców. Polityka tak zwana ugodowa, która trwała mniej-więcej od r. 1890 do 94, nosiła jednak w sobie zarodki zupełnego niepowodzenia, którem się też skończyła. Rząd chciał kupić za marne pozory życzliwość ludności polskiej, polscy politycy znowu starali się za gołosłowne przyrzeczenia wiernopoddańcze ustalić system rządowy w przyjaznym nam duchu. Tymczasem społeczeństwo całe czuło wciąż jeszcze krzywdy, które mu wyrządzano i wołało przedewszystkiem o ich usunięcie. Mimo więc obustronnych taktycznych koziołków, ugoda, na tak słabej podstawie zbudowana, nie mogła trwać długo. Byłaby może miała większą żywotność, gdyby się opierała na większej szczerości. Gdyby posłowie polscy byli umieli przedstawić rządowi korzyści, jakie z ugody dla stron obu wyniknąć-by mogły, gdyby rzecz byli przedstawili po prostu tak: „Wam potrzeba spokoju i zgody na wschodnich kresach, nam chodzi o normalny rozwój narodowy pod waszem berłem; zróbmy ze stron obu ustępstwa, a porozumiemy się może na tej podstawie“, to wydaje nam się, że słowa takie były-by mogły większe zaufanie wzbudzić, niż zapewnienie o lojalności, tak niczem nie przygotowanej i nieuzasadnionej. Gdyby nawet takie rokowania nie były odniosły żadnego skutku, to przynajmniej nie wikłały-by niepotrzebnie kwestyi i tak już zawiłej i choć były-by nas pozbawiły może kilku miodowych miesięcy, to nie były-by przyniosły tak przykrych zawodów i tak ciężkiego rozgoryczenia. Tymczasem naśladowano w niefortunny sposób politykę katolickiego centrum, które wypiera się za-

wsze oportunizmu, i odegrano dość niezgrabną komedyę. Oportunizm, który dla rodowitych Niemców może być ze względów patryotycznych nieodpowiednym, był w tym wypadku dla nas Polaków jakby stworzoną bronią. Różnorodne zresztą były przyczyny upadku polityki ugodowej. Z jednej strony społeczeństwo polskie, zwłaszcza niższe jego warstwy, czując instynktem, że handel, do którego je chcą wciągnąć, nie opiera się na słuszności, głośno protestowało przeciw nowemu kierunkowi politycznemu i, jak zwykle w takich razach, rozpoczęło zaczepkę od rzucania osobistych posądzeń na osoby posłów i ich prywatne ambicye. Posłowie, tem zrażeni, ze zbyt lekkiem może sercem pomijali znowu wzgląd na swoich wyborców i prowadzili politykę, która w kraju bardzo mały znajdowała oddźwięk. Gdy w dodatku jednemu i drugiemu z posłów wymknęły się niefortunne słowa, jak nazwanie Polaków „po polsku mówiącemi Prusakami“ i t. p., wtedy rozłam stał się zupełnym i do dalszych kroków zabrakło koryfeuszom nowej polityki silnej podstawy w kraju. Rząd, z drugiej strony, widząc tę rozterkę w obozie polskim i spostrzegając, że za ugodowcami mały tylko stał odłam społeczeństwa, niewielką do ich zapewnień przywiązywał wagę i, wykorzystawszy dla siebie kilkakrotnie uczynność Koła polskiego, szukał pretekstu, aby niewygodny stosunek ten zerwać. Parli go do tego zwłaszcza Niemcy, zamieszkali w Wielkopolskich prowincyach. Ludności niemieckiej zasiedziałej i od rządu niezależnej posiada Księstwo Poznańskie bardzo niewiele. Ci nieliczni stanowią jeszcze najporządniejszą część społeczeństwa niemieckiego i jeżeli czasem uczciwy głos niemiecki w sprawie polskiej się odeźwie, to wychodzi prawie zawsze z tych właśnie sfer. Poza tem znajduje się mnóstwo karyerowiczów, którzy bądź-to majątkowo, bądź-też w urzędzie chcą się dorobić stanowiska i awansu, i dla których zaognienie sprawy polskiej stanowi jedyną niemal racyę bytu i jedyną podstawę operacyjną. Gdyby Polacy stali się lojalnymi i ze wszech miar równouprawnionymi poddanymi pruskimi, to rola ich by się skończyła i zeszliby do rzędu zwykłych obywateli państwa. Księstwo Poznańskie bowiem nie wywiera już ze względów materyalnych siły atrakcyjnej na Niemców, stosunki ekonomiczne są równie ciężkie, jeżeli nie cięższe, jak w reszcie państwa, a echa walki plemiennej zrażają spokojnych obywateli od osiedlania się na polu walki. Gdyby więc kwestyi politycznej nie wyzyskiwano na korzyść ludności niemieckiej i o fluktuacyi mieszkańców kraju decydowały jedynie ekonomiczne względy, to Niemcy ustępowaliby, z samej natury rzeczy, przed rodzimym i uczuciami z krajem zrosłym żywiołem polskim. Tyle więc jest prawdy w lamencie Niemców na uciskającą ich polszczyznę, tak wyrosła na gruncie Wielkopolskim banda pangermanów

i hakatystów. Dopuszczenie nowego przybysza do rządowego korytka uważane było za skrzywdzenie tych, co dotychczas swobodnie w niem gospodarowali, to też potrzeba było tylko słowa, by te głuche gniewy doprowadzić do wybuchu.

W r. 1894 prawie równocześnie książę Bismarck z Friedrichsruh wezwał Niemców poznańskich do krucyaty przeciw elementowi polskiemu i cesarz w mowie toruńskiej użył ostrego zwrotu nagany względem postępowania Polaków, które mu się nie dosyć patryotycznem być zdawało. Nie trzeba było więcej, by na nowo cały zgłodniały zastęp poszczuć przeciw Polakom. Od tej chwili, po dziś dzień, trwa zawzięta walka całego niemieckiego społeczeństwa przeciw wszystkiemu, co nosi choćby pozory polskości. Wymyślono straszaka, którego nazwano agitacyą wielko-polską, i za pomocą jego werbuje towarzystwo „ku popieraniu niemczyzny“ wszystkich niemieckich patryotów do walki z niebezpiecznym wrogiem domowym. Kto się od tego usuwa, bywa uważany za indyferenta, niemal za zdrajcę, a wszystkie środki uważane są za dozwolone, byle prowadziły do celu. Takie walki plemienne nieraz się już w historyi zdarzały. Nie przynosiły one prawie nigdy oczekiwanego skutku, ale prawie zawsze demoralizowały obie strony walczące: ciemiężców—przyzwyczajając ich do bezprawia, do posługiwania się powagą państwową, by swych partyjnych celów dopiąć; uciemiężonych—budząc w nich bezwzględną zawziętość, spaczony, bo radykalny patryotyzm i przesadzoną de chorobliwości drażliwość narodową. Rysy te już obecnie poczynają się zaznaczać w Wielkopolskich stosunkach. Niemcy, zwróceni do rządu, żebrzą wciąż pieniężnych subwencyi lub praw wyjątkowych na swą korzyść i wynajdują coraz to nowe niebezpieczeństwa, by kasę państwową do coraz nowych wspaniałomyślności pobudzać. Polacy, rozgoryczeni i roznamiętnieni, tracą wszelkie poszanowanie władzy i mącą sobie sąd jasny i objektywny o sytuacyi, którą widzą jedynie pod kątem swych narodowych postulatów.

Zdaniem też naszem niebezpieczeństwo, na które jesteśmy narażeni, tkwi raczej w nas samych, niż w groźnych ze zewnętrznych warunkach, wszystkie bowiem polityczne środki, mające na celu zniszczenie polskiej narodowości, są bezowocne i bezsilne. Jedynie skutecznem było-by wydalenie wszystkich Polaków poza granice państwa, tak, jak z Francyi wygnano po zniesieniu edyktu nantejskiego opornych protestantów. W inny sposób kwestya rozstrzygniętą być chyba nie może. Można zniszczyć z rzadka rozrzucone lub koczownicze plemię, albo nawet zgnieść naród cywilizowany, gdzie, jak w koloniach, stanowi on liczebnie mały ułamek ludności i opiera swój wpływ jedynie na cywilizacyjnem i majątkowem stanowisku. Tam, podkopując egzystencyę tej jednej warstwy, można być prawie pe-

wnym, że nie potrafi się ona w krótkim przeciągu czasu przerzucić na inne, równie ważne, pole działania, by pod inną postawą wpływ dawny zachować. Inaczej rzecz się ma, gdy cała ludność kraju od góry do dołu jest jednolitą. Widzimy też ogólną bezradność w obozie germanizatorskim. Przez komisyę kolonizacyjną stara się rząd wypędzić lud polski ze wsi, odnajduje go w miastach, gdy mu utrudnia w nich zarobek i życie, wypycha go gwałtem na zachód i znajduje go w okręgach fabrycznych Saksonii lub Westfalii. Wszędzie mu on zawadza, bo wszędzie ma już swoją świadomość narodową, łączy się w stowarzyszenia narodowe i zachowuje związki z krajem.

Wygląda w rzeczy samej, jak gdyby Niemcy stali wobec trudnego zadania matematycznego, w którego rozwiązaniu jakaś utrapiona cyfra wciąż im zawadza i czy tak, czy inaczej, rzecz rozpoczęta nie przestaje mieszać im szyków i rezultat nie po myśli układać. Zadanie jest po prostu błędnie postawione i w tej formie rozwiązanem być nie może. Świadomość narodowa, gdy raz jest w ludzie rozbudzoną, nie da się na komendę ani usunąć, ani zmienić. Uważać-by można prawie za regułę, że przywiązanie do niej jest w prostym stosunku do wysiłku, jakiego było potrzeba na jej wytworzenie. Jak człowiek, który ma myśli niewiele, trzyma ich się z bezgranicznem przywiązaniem, tak ten lud polski, który po wiekach dopiero doszedł do uświadomienia swej narodowości, ani na krok ustąpić od niej nie chce i ma czasem wprost wrażenie, że to on dopiero to uczucie wynalazł. W dodatku nowsze czasy nie nadają się do zwalczania przemocą jakiejkolwiek idei. Rozpowszechniona umiejętność pisania i czytania, ułatwiona komunikacya, wreszcie prawa polityczne i konstytucyjne uczyniły narodowość już nie tak zależną, jak dawniej od geograficznych granic. Stała się ona pojęciem moralnem, uosobieniem pewnych marzeń i tradycyi raczej, niż związkiem materyalnych interesów, i z tego też punktu wytłómaczyć można w pewnej mierze analogię, jaką przybrały w ostatnich dziesięcioleciach walki narodowościowe do dawnych walk religijnych. Zmieniło się to tylko, że o religię mniej teraz dbają, o narodowość tem-więcej. Doza tolerancyi tam, gdzie jej nie poparła indyferencya, pozostała, mimo rzekomego postępu, prawie równie małą.

Dalecy jesteśmy jednak od przypuszczenia, aby wszyscy Niemcy, albo nawet kierownicy polityki niemieckiej, byli bez wyjątku i zasadniczo złej wiary. Przeciwnie, mamy wrażenie, że w środkowych i zachodnich Niemczech pogląd na stosunki poznańskie jest z ich punktu widzenia dość wzniosły nawet i szlachetny. Główna wina polega w tem, że niedość starają się tam zapoznać ze stosunkami

wielkopolskiemi. Wierzą zatem ślepo sprawozdaniom urzędowym i artykułom prasy miejscowej, a w jakim te celu i duchu są komponowane, tego domyślić się łatwo. To też rozpowszechniło się na zachodzie Niemiec mniemanie, że Wielkopolska jest jeszcze jakąś dziczą barbarzyńską, dokąd Niemcy z zaparciem się siebie i dla świętej sprawy niosą światło cywilizacyi, podobnie, jak niegdyś ich przodkowie Krzyżacy nawracali Prusy i Litwę. Na tej też podstawie powstał projekt, aby zniemczyć wschód monarchii przez podniesienie przemysłu i handlu, oraz podniesienie ogólnej, a zwłaszcza niemieckiej kultury. Powstają więc w Poznaniu muzea i biblioteki, zakłady filantropijne i naukowe mnożą się jak grzyby po deszczu, korzyść jednak, jaką Niemcy z tego mieć mogą, wydaje nam się bardzo nieznaczną. Jedyne, co zyskają, to znowu kilkadziesiąt albo kilkaset nowych posad dla urzędników, na tem jednak chyba koniec. Wątpię bowiem, aby Polak jaki się zniemczył na widok monumentalnego muzeum, lub aby korytarze biblioteki stały się drogą do Damaszku zatwardziałych Polaków. Przemysł znowuż niemiecki nie chce i nie może przenieść się do Prus zachodnich i Poznańskiego. Przedewszystkiem panuje obecnie nawet w starym przemyśle niebywały zastój i przesilenie, o powstawaniu nowych przedsiębiorstw nie może zatem być mowy, a nawet, gdyby one powstały, to wegetowałyby tylko sztucznie przy braku węgla, braku sił naturalnych i komunikacyi wodnej. Lecz nawet i to pominąwszy, czyż nie zatrudniałyby one przedewszystkiem taniego polskiego robotnika? Umożliwiłyby więc Polakom pozostanie w kraju i zamiast narażać ich na wynarodowienie w niemieckich stronach, dawałyby im chleb w kraju między swymi.

Zaprawdę, bardzo trudną rzeczą jest płynąć pod naturalny prąd dziejowy. Groźniejszem niebezpieczeństwem w naszych oczach od wpływu urzędowego jest infuzya bezwiedna idei socyalistycznych. Socyalizm w pedantycznej germańskiej formie nie trafi wprawdzie łatwo do usposobienia naszego ludu. Gdy jednak coraz większy procent ludności będzie odrywanym od gleby, rzucanym między niebo a ziemię i skazywanym na życie cygańskie fabrycznego proletaryusza, gdy w dodatku język i religia, to, o co dba on najwięcej na świecie, będą poniewierane i gwałcone coraz otwarciej; to nie dziw, jeżeli niezadowolenie wzrośnie u niego do rozmiarów, które cały system społeczny jednem uczuciem nienawiści objąć będzie skłonne. Socyaliści to czują i nie zaniedbują niczego, by tę drzemiącą siłę dla siebie pozyskać. Dotychczas jeszcze religijne uczucie strzeże lud polski od rozwielmożnienia nowych tych prądów, nie można jednak wiedzieć,

jak długo potrafi ono stawiać im opór skuteczny. Jedną bowiem z podstaw rozumowania socyalistycznego stanowi twierdzenie, iż absurdem jest, aby państwo gwarantować miało klasom posiadającym wolny użytek z majątku, gdy ten społeczności żadnej nie oddaje usługi, ani pod ekonomicznym, ani pod społecznym względem. Posiadanie dostatków jedynie z prawem używania, a bez obowiązku odpowiednej pracy dla ogółu stało się stanem rzeczy równie zaczepianym, jak za przedrewolucyjnych czasów przywileje polityczne, oparte na przestarzałych tradycyach, a nie nakładające na ich uzufruktaryuszy żadnych realnych zobowiązań. Rozumowanie takie, nie pozbawione słuszności i siły, coraz to szersze ogarnia warstwy, a w stosunkach naszych jeszcze wdzięczniejsze może znaleźć pole działania, gdyż coraz większy procent ludności polskiej przypada na klasy pracujące, a nieniemieckie warstwy społeczne, posiadające majątek i władzę, w niczem się nie przyczyniają, by polskiej ludności pod jakąkolwiek formą dobrodziejstw jakich użyczać.

Znamiennem jest już w tym względzie powodzenie, jakiego doznają niektóre pisma polityczne, które, spekulując na najgwałtowniejszych uczuciach ludności polskiej, znajdują dziesiątki tysięcy czytelników i wpływ swój z roku na rok zwiększają. Dodać trzeba, że społeczeństwo polskie jest obecnie prawie zupełnie pozbawione politycznej dyrektywy. Dawniej Koło polskie w Berlinie było wyrazem uczuć i dążeń całego społeczeństwa, a będąc złożone z najwybitniejszych jego przedstawicieli, nadawało polityce kierunek, który w kraju przyjętym był prawie bez dyskusyi. Obecnie Koło polskie, tak w parlamencie niemieckim, jak i w sejmie pruskim, składa się z nielicznych jednostek, które z poświęcenia i dla służby publicznej oddają się sprawom krajowym, a obok tego ze znacznej ilości znakomitości lokalnych, które nie mają w pożądanej mierze umysłowego polotu i wyniosłości charakteru, potrzebnych do bronienia tak trudnej, tak niewdzięcznej, a tak szlachetnej sprawy. To też nierzadko dyskusye polskie kończą się na żałosnych lecz bladych skargach posłów polskich, na które w odpowiedzi mowcy większości i reprezentanci rządu z cynizmem i bezwzględnością ciskają na nas swe gromy i wytwarzają w izbach usposobienie tak dla Polaków wrogie, że bodaj czy-by się cofnęła przed ukuciem nowych praw wyjątkowych. I nie dziw, że stanowiska w Berlinie nie znajdują już odpowiednych reprezentantów. W kraju samym jest tyle do zrobienia, że ludzie myśli i czynu wolą poświęcać się pracy społecznej i organicznej, niż stać na straconym posterunku i przemawiać do galeryi, złożonej z głuchych najgorszego gatunku, bo takich, co słyszeć nie chcą.

I w tym fakcie cofania się ludzi wybitniejszych od polityki, fakcie, który bez danego hasła sam z biegiem czasu się rozwinął, leży, zdaje nam się, nauka, jak sobie w obecnej chwili postępować mamy. Od pięćdziesięciu lat wysyłają Poznańskie i Prusy grono swych reprezentantów do Berlina i oczekują od ich czynności zmiany w systemie rządowym. Tymczasem zmiana nie następuje na lepsze, lecz przeciwnie, stosunki wciąż się pogarszają. To, co poprzedniej generacyi nie byłoby jeszcze przyszło na myśl naruszać, to obecnie bez wahania depce się nogami, to co uważano za podstawę normalnych państwowych stosunków, coraz częściej bywa teraz kwestyonowane i bodaj czy nie stoimy wobec projektów rządowych, mających nam gorsze jeszcze prześladowania zgotować. Cała praca polityczna i parlamentarna okazała się więc w rezultacie zerem i gdybyśmy się byli wyłącznie na niej opierali, to egzystencya polskości w Prusach była-by w położeniu gorzej niż rozpaczliwem, bo już straconem. To też ludzie starszej daty, zwłaszcza z kół obywatelstwa wiejskiego, patrzą nieraz z najczarniejszym pesymizmem w przyszłość, gdyż nie widzą oni dostatecznie odwrotnej strony medalu. Upadek bowiem kierunku, z którym się zżyli, szedł jednym krokiem z rozwojem na innych punktach, które dawniej nie dosyć może uwzględniano. Szlachta wielkopolska prowadziła walkę polityczną dzielnie, lecz bezowocnie, pod względem ekonomicznym nie z własnej wyłącznie winy cofała się jednak i słabła. Lud polski przeciwnie, przez lat dziesiątki cichy i bierny, ruszył się z żywiołową siłą i w chwili, gdy rządowi pruskiemu mogło się wydawać, że partyę wygrał, dał mu uczuć rosnącą swą potęgę i budzącą się świadomość narodową. Jest to najlepszym dowodem, że polityczna walka jest pozornie tylko szermierką prawną, że u gruntu dyskusyi stoją zawsze siły społeczno-ekonomiczne, że więc na ten stan faktyczny odporności i mocy nadewszystko trzeba zwrócić uwagę. Dopóki Polacy politykowali i w polityce swe zbawienie upatrywali, czy to w rozruchach zbrojnych, czy w spiskach, czy w dyskusyach parlamentarnych, póty szli z niepowodzenia w niepowodzenie. Formułka bismarckowska „siła przed prawem“ tamowała im drogę na każdym kroku. Ludzie prości, na których ledwo zważano, znaleźli pierwsi w pracy rąk swoich skuteczny argument na to twierdzenie. „Przeciw mocy złego jest moc dobrego“, mówi Mickiewicz przez usta księdza Marka. To zdanie powinno być hasłem dalszego odrodzenia Wielkopolski przez pracę organiczną i społeczną. Jeżeli na tej drodze wytrwa, mogą ją spotkać niepowodzenia chwilowe, ale przyszłość ma zapewnioną, gdyż należeć ona będzie do tego, kto potrafi pracować najlepiej, najwytrwalej i najrozumniej.

To też nie dajemy konkluzyi politycznej tym uwagom o stosunkach Wielkopolskich, gdyż walka wre w najlepsze i coraz to nowe zmiany mogą zajść w szyku bojowym; wyrażamy jedynie nadzieję, że społeczeństwo polskie może, mimo gróźb i nawałnic, patrzeć ufnie w przyszłość, jeżeli nie będzie upatrywało swego zbawienia w przemądrych kombinacyach sztucznych, lecz w przekonaniu, że dla niego najpierwszem zadaniem—praca, a „najwyższą cnotą“—rozum.

Poznańczyk.

AUTOR.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

I.

Umarła...

Kazik stał, wpatrzony w woskową twarz matki.

Leżała sztywna w czarnej, gładkiej sukni, z rękoma zaciśniętemi na piersiach, z krzyżem w palcach i z głową w białej opasce.

Nie chciały się zamknąć sine usta, musiano użyć przemocy.

Pusty pokój. Łóżko na środek wysunięte. Blask gromnicy u wezgłowia i żałoba dokoła!

Przez otwarte okno czai się zmierzch listopadowy. Sine, mgłą rozpylone powietrze pełźnie i osiada na ścianach, na żałobnej sukni i długich rzęsach zmarłej, od których cień pada na blade policzki.

Wielka cisza jesienna. Czarne biczyska drzew skamieniały, nie szeleszczą. Żerujące wrony krążą nad oknem: światło je odstrasza.

Taka spokojna, drobna, mała, dziecko prawie ta... nieboszczka!...

Kazik patrzy w matkę i nie wie: ona to, nie ona?

Ta sama biała twarzyczka, cienie rzęs te same. Nie mówi, nie drgnie.

Wczoraj jeszcze tuliła go. Prosił o bajki: nie mogła opowiadać.

Kiedyś, w lecie jeszcze, leżała tak samo.

Ciepło było. W ogrodzie pachniały bzy i jaśminy. Za łąkami gasło czerwone słońce. Ptaki już spały. Nikt nie hałasował, jak teraz.

On, Kazik, czytał bajki.

Czasami kładł książkę i patrzył na matkę.

Biała była i nie ruszała się.

— Może ona jest śpiącą królewną? — pomyślał i podszedł bliżej.

Zmierzch zapadał. Od gałęzi kasztanów szły takie gęste cienie, że noc prawie była w pokoju.

Naraz wydało mu się, że nad głową matki było wieko szklanej trumny.

Ona śpi, jak zaklęta królewna. We włosach ma szpilkę, którą musi wyjąć rycerz, żeby ją zbudzić.

Zaszeleściało w bzach i kasztanach.

— To on już idzie, rycerz!

Włosy stanęły mu z trwogi.

— Mamusiu, obudź się! — krzyknął, padając jej w ramiona.

Otworzyla oczy, spojrzała nieprzytomnie, wreszcie siadając, spytała:

— Kto to jest przy mnie?

— To ja, Kazik... Ty żyjesz... ja. . myślałem... ja... się tak bałem...

— Zdawało ci się, że umarłam?... Dziecko! Tak, umrę, niezadługo, ale jeszcze nie dziś... zostaniecie sami...

Wybuchnęła głośnym płaczem.

On całował ją.

— Nie płacz, nie płacz, mamusiu!

Tuliła się do niego twarzą, ustami.

— Żal mi was!.. Chciała-bym choć kilka lat jeszcze popatrzeć na was... Kto zajmie się wami? Nie macie nikogo, nikogo na wiecie!

Zalana łzami, przyciskała go do siebie.

On całował ją, pieścił.

Coś szarpało mu serce, był-by płakał z nią razem, ale czuł, że powinien się przemódz. Powieki mu drżały, patrzył prosto, śmiało, nie dając poznać wzruszenia.

W kącie pokoju zaszeleściało. Jakaś postać zgięta, skurczona, wyprostowała się nagle. Głos, ochrypły ze starości, zawołał:

— Ciężko pan skrzywdził panią i dzieci! Odpowie za to przed Bogiem!.. Zgubić tak wszystkich!.. To kat, to zbój!..

Dawna niańka, Ignacowa, wcisnęła się znowu w kąt ciemny, trzymając na rękach uśpionego Adasia, młodszego brata, ale słowa jej wibrowały w powietrzu.

Matka zaszlochała głośniej. On, Kazik, zacisnął pięści, pogroził niemi i zawołał:

— Ja go za to ukarzę, niech tylko urosnę! Zobaczysz, mamusiu!

Dyszał cały zemstą.

Od roku już burzył się przeciwko ojcu; od roku nie mógł myśleć o nim bez gróźb drobnych, w kułak zaciśniętych, swych rączek. Kat, zbój!

Dokuczał matce całe życie; płakała ciągle i chorowała przez niego. W końcu uciekł. Uciekła z nim także gospodyni, panna Iza.

Wszyscy w domu, cała służba powtarzała odtąd:

— Pan zgubił panią: to kat, to zbój!

Słyszał te słowa codzień.

Krew wrzała w nim.

Nienawidził ojca.

Zemścić się na nim, odpłacić mu za wszystkie krzywdy!

Dyszał gniewem; oczy mu błyszczały, twarz pałała, gdy wtedy, w ów cichy zmierzch wiosenny, matka wzięła go na kolana, odgarnęła mu włosy bardzo cicho, ale z wielką siłą powiedziała:

— Dziecko, nie wolno ci mścić się na ojcu... Źle zrobiła niania, oskarżając go przed tobą... Zapomnij, co mówiła... Trzeba... nie można inaczej...

Wlepiła w niego smutne swe oczy, a jemu serce szarpało się w kawałki.

On miał-by darować wszystkie jej krzywdy?

On... miał-by nie ująć się za nią?

Odszedł w kąt, usiadł na ziemi i myślał:

— Jak będę duży, muszę go ukarać... Mama nie będzie wiedziała o tem, a ja zrobię swoje...

Odtąd pragnienie zemsty nie opuszczało go w dzień, w nocy.

Widział siebie rzucającego się na ojca.

Nieraz zgrzany, spocony, budził się ze snu, w którym dwojgiem drobnych swych ramion usiłował powalić go na ziemię.

Wydawał się sobie rycerzem z bajki, który winien zwalczyć złego smoka, aby i jemu, i wszystkim na świecie było dobrze.

Miał przedzierać się przez lasy dziewicze, góry wysokie, rzeki szerokie w pogoni za ojcem. Miał ku pomocy swej zwoływać wszystkie siły przyrody: wichry, burze, ognie wężowe..,

Teraz, w tej chwili, nie myślał o zemście.

Cicho w nim było i pusto.

Stał przed matką i powtarzał:

— Umarła...

A słowo to nic nie budziło w nim, ani łez, ani bolu...

Stał, jak kamień, w ziemię wrośnięty, i patrzył w twarz woskową.

Coś, mucha senna, czy chrząszczyk, padło w płomień gromnicy.

Zasyczała, parsknęła żywszym blaskiem.

Kazik odwrócił oczy od matki i powiódł niemi dokoła.

Wzrok jego zatrzymał się na wielkim ściennym obrazie.

Rano, w pełnem słońcu, były tam zawsze dwie postacie: kobieta z załamanemi rękoma i starzec w żupanie, z głową, opartą na dłoni.

O zmierzchu czarna postać mężczyzny niknęła, wysuwała się, jakby z ram zupełnie, zostawała tylko blada, smutna, pani.

Czem się to działo, że stary pan na noc odchodził, a zrana wracał znowu?—myślał Kazik zawsze i nie umiał znaleźć odpowiedzi.

Teraz — żółte światło gromnicy padało wprost na mrocznego starca.

Był, chociaż to noc, stał, jak straż grobowa przy matce. Może on żywy?

Trwoga zaczęła jeżyć dziecku włosy na głowie, ale zabiło ją kamienne, nieme odrętwienie.

Coraz było ciemniej. Mgły z sinych stały się jakieś perłowo-szare, brudne.

Wczoraj, o tej porze, gasło za łąkami czerwone słońce.

Kazik pamiętał ten zmierzch.

Siedział przy matce i myślał o ostatnich bajkach.

Pełno tam było karłów i liliputów, co w ametystowych powozach, niewidzialni dla ludzi, wyjeżdżają o zmroku i zaludniają sobą przestrzenie tajemniczego świata.

W kielichach kwiatów, w listkach traw, w kroplach rosy, w pyłach ziemi, wszędzie są. Stąpamy po nich, nie wiedząc. W szczeliny górskie, w klomby i trawniki wsuwają się; my patrzymy na nich, a nic nie widzimy. Złota uprząż, dyamentami, szafirami i topazami wysadzana, sunie pod nogami naszemi, a my nie przeczuwamy tego.

Czem się to dzieje? Dlaczego wzrok nasz taki biedny, tak mało ma siły, że tego wszystkiego dostrzedz nie może? — myślał, patrząc w smugę zachodzącego słońca, która może była odblaskiem niewidzialnych złotych karet i powozów.

Wtem matka spytała:

— Kazik, jesteś przy mnie?

— Jestem, mamusiu!

— To dobrze! Zapal światło, idź do biurka i poszukaj papieru: musi leżeć na wierzchu. Podyktuję ci list do cioci. Jak umiesz, napiszesz. Trzeba wysłać jutro—potem może być za późno... Usiądź, będę mówiła słowa... pisz: Mamusia chora, pewnie umrze niedługo; ojciec wyjechał na zawsze, wkrótce zostaniemy wszyscy bez dachu!.. Żydzi mają nas zlicytować... dziś byli... zapowiedzieli!.

Kaszel przerwał jej słowa. Prosiła o wodę, a potem długo leżała bez ruchu. Nareszcie bardzo cicho i bardzo wolno powiedziała:

— Przyprowadź tu pana Białkiewicza... nie mogę dyktować, ty sam nie potrafisz napisać, jeszcze jesteś mały... Zaraz niech przyjdzie.

Rządca stanął w kilka minut przy łóżku.

Nie otworzyła oczu, ale przeczuła go, bo rzekła:

— Napisz pan do siostry mojej o położeniu naszem. Umrę dziś, jutro... Nie mam komu zostawić dzieci... może ona zajmie się niemi... napisz, że... lada dzień... zostaniemy wyrzuceni... ze wsi,.. z domu...

Nie dokończyła. Gwałtowny atak kaszlu zaczął nią rzucać.

W godzinę potem Białkiewicz przeczytał list głośno.

— Dobrze, dobrze... wysłać zaraz...—szepnęła cichutko i bardzo, bardzo wolno.

Księżyc świecił. On, Kazik, ułożył się do snu w pokoju matki, ale nie mógł spać.

Myślał o liście pana Białkiewicza.

Były tam rzeczy, których nie rozumiał, utkwiło mu w pamięci jednak zdanie: „wkrótce mogą zostać bez dachu“...

Bez dachu... chora jego matka, on i brat bez dachu...

Przyjdą deszcze, zimna...

Usiadł na łóżeczku, serce mu biło, myślał:

— Czemu nie ja napisałem do cioci?.. Pan Białkiewicz sam mówił, że nie lubi pisać... Ja był-bym tak prosił!..

I zaczął w myśli układać list, aż nareszcie zaszło z nim coś dziwnego: słowa same cisnęły mu się do głowy, napierały zewsząd, wibrowały w powietrzu.

Nie mógł spać. Patrzył w księżyc i zdawało mu się, że w opalowych pyłach drgały własne jego myśli.

O świcie dopiero zasnął. Rano zbudził go krzyk:

— Pani umarła!..

Otworzył oczy i spostrzegł starą służącą, pochyloną nad matką, która leżała sztywna, jak teraz.

Nie poruszyła się już, umarła ..

Chłód padał coraz większy. Przez otwarte okna pełzła mgła, przez którą zaczął przeświecać księżyc bladym krążkiem.

Kazik otrząsnął się. Zimno mu było. Czuł zamróz w kościach; zdawało mu się, że stygnie, jak matka.

Przywarł do niej oczyma.

Miał chęć podejść do łóżka, położyć się obok niej i zasnąć twardo, jak ona, ale strach go powstrzymywał.

Czemu?.. Boi się matki?.. Nie schodził przecież z jej kolan, wisiał ciągle u jej szyi.

Wolno, ostrożnie postąpił kilka kroków: już był tuż przy niej, już dotykał ręką fałd czarnej sukni.

Położy się, uśnie...

Głośne wołanie przebiło ciszę wieczorną.

— Gdzie Kazik?.. Gdzie Kazik?..

Czyjeś ramiona schwyciły go nagle, poniosły. Czyjeś ręce wlały mu w usta łyżkę mocnego wina i zaczęły rozcierać skostniałe ciało.

Ułożyły go później na łóżeczku, okryły kołdrą i szalem.

— Śpij, dziecko! — szepnął głos stary, dobrze znany.

Teraz dopiero zrozumiał, że dawna niańka, Ignacowa, była przy nim.

Przeżegnała go, postała przy nim trochę, a w końcu odeszła.

Nie mógł zasnąć; kołowały mu w oczach desenie firanek, odbite na ścianie, kwiaty w doniczkach, łóżeczko młodszego brata, Adasia, który spał już dawno, wreszcie cały pokój z wielkiem, weneckiem oknem, błyszczącem w smudze księżyca.

Miał jakieś majaki: zdawało mu się, że zajechał po niego wielki wóz z górą siana; czyjeś ręce wrzuciły go na sam czubek; utonął w suchej, duszącej trawie i toczy się chwiejnym, rozkołysanym ruchem.

Ktoś woła na niego:

— Kazik!.. Kazik!..

To ojciec.

Zeskakuje, grozi mu pięścią, krzyczy na cały głos:

— Niecierpię, nienawidzę ciebie!

I później znowu dostaje się na wóz, jedzie wolno i tak, jakby miał spaść za chwilę. Siano, powietrze kołuje, a on boi się czegoś.

Księżyc patrzy mu w same oczy.

Przypomina sobie, że nie zmówił dziś pacierza, klęka i szepcze:

— „Ojcze nasz, któryś jest w niebie...“.

Dochodzi do pozdrowienia Maryi i wezwania Anioła Stróża, by czuwał nad nim.

W tem słyszy jakby trzepotanie skrzydeł w powietrzu.

Białe... dotykają ramienia jego...

Rozgląda się.

To tylko księżyc patrzy w samo okno. Blade, nerwowe życie dokoła.

Kreśli znak krzyża; przestaje szeptać modlitwę, mimo to patrzy wciąż w okno.

Księżyc go hypnotyzuje. Czuje drętwienie ciała i niemoc wzroku, a jednocześnie do myśli cisną się widziadła: królewicze z bajek, rycerze, święci, aniołowie — śpiąca w szklanej trumnie królewna.

Nie, to nie ona, to matka jego.

Chce krzyczeć, ale nie może... Gardło ma zaciśnięte i niemoc w całym sobie.

Pada na poduszki, zasypia.

Znowu marzy mu się, że jedzie na wozie z górą siana, kołysząc się, jak na okręcie.

Przed oczyma, jak w kalejdoskopie, migają krótkie obrazy.

Zmierzch. Matka prosi jego i Adasia:

— Wejdźcie do tatusia, poczekajcie, aż wstanie, i pobawcie się z nim.

Wchodzą. Adaś rzuca się na szyję ojcu, który na noc wyjeżdżał zawsze z domu, a w dzień odsypiał stracone noce. Budzi go. Zaczynają razem śpiewać kuplety z operetek i maszerować po pokoju z kantówkami na ramionach, zamiast karabinów.

On, Kazik, nie ma chęci bawić się. Patrzy w obraz i szuka starego miecznika w żupanie przy białej pani z załamanemi rękoma:

O zmierzchu odchodził zawsze i wracał rano dopiero.

To dziwne.

Ojciec ciągnie go za ucho:

— Ty, mały gawronie, stawaj do musztry!.. Równo, prosto!! Kantówka na prawe ramię! Marsz!.. Raz, dwa, raz, dwa!..

Maszeruje, ale go to nic nie obchodzi.

Myśli, dlaczego, gdy wniesiono lampę i postawiono prawie przed samym obrazem, stary miecznik wrócił i znowu stoi obok bladej pani?..

Przy świetle zabawa ożywia się. Nawet on, Kazik, nabiera rozmachu w marszu. Podnieca go pogwizdywanie ojca. Bardzo lubi muzykę, a ojciec śpiewa i gwiżdże tak ładnie!

W całym dworze rozlega się ten ich marsz w takt przyśpiewek Adasia i ojca.

Naraz zegar w jadalnym pokoju dzwoni szóstą. Odzywa się za nim cały chór zegarów: w sali, buduarze, sypialni, gabinecie.

Ten ostatni bije na końcu, a wtedy ojciec prostuje się, podchodzi do okna, wychyla głowę i woła:

— Zaprzęgać konie!.. Wyjeżdżam...

Zabawa milknie. Matka płacze...

Drugi obraz.

Ojciec wpada do matki, grozi, że się zabije, jeżeli nie podpisze mu jakiegoś świstka.

Matka drży, blada, pióro osuwa się jej z palców, ale podpisuje.

A potem raz: jakiś wystrzał w pokoju. Matka woła: „doktora!“, a ojciec leży na ziemi... krew na dywanie... obok rzucony zmięty świstek, taki sam, jak ten, który często podpisywała matka.

Długa choroba matki, przyjazd gospodyni, scena w ogrodzie.

Ta scena...

On, Kazik, czyta książkę w krzakach porzeczek.

W tem czyjeś kroki: ojciec z Izą podchodzi, siadają pod kasztanem na ławce, całują się.

On, dziecko, ciska książkę na nich.

Uciekają. W nim wre zemsta.

Zaciska pięści, grozi niemi tym dwojgu, co skrzywdzili matkę.

Nie rozumie dobrze, co zaszło, wie tylko, że ojciec i Iza źle postąpili, że, gdyby matka patrzyła na nich, płakała-by znowu.

Kazik śpi, ale majaczenia nie mijają.

Scena przy stole:

Ojciec do Adasia:

— Powiedz pannie Izie, że ma bardzo ładne czarne oczy i ładny nosek, i ładne brwi, tylko że niepotrzebnie odwraca się od tatusia, jak gdyby go strasznie nie cierpiała, a przecież tatuś nie jest ani brzydki, ani stary, i inne młode panienki lubią go bardzo.

Śmieją się przytem obadwa do rozpuku. Z twarzy panny Izy wytryskują rumieńce. Nic nie odpowiada, tylko patrzy na matkę trwożliwie.

Adaś z ojcem zaczynają śpiewać kuplety z operetek, rządca, praktykant, podśpiewują, wszyscy się cieszą, nawet matka...

Ostatnia scena:

Służąca wpada rano do matki i krzyczy:

— Pan uciekł z panienką!

Matka nie wierzy. Wstaje, idzie do pokoju ojca, znajduje list i pada na ziemię, jak nieżywa.

Kazik przez sen usłyszał wyraźnie runięcie ciała na podłogę i drgnął, zbudził się.

Nie jechał już na wielkim, rozkołysanym wozie, leżał u siebie w łóżeczku.

Obok ściany niedaleko chrapał Adaś.

Usiadł. Głowę miał ciężką, jak z żelaza.

Spojrzał na duże, weneckie okno.

Księżyc już nie świecił. Szary, brudny ranek patrzył przez szyby.

W ogrodzie mokro, deszcz padał. Z czarnych drzew ociekały krople. Niebo, jakby popiołem przysypane.

Tak smutno!

Kazik kładzie się znów, znów próbuje zasnąć — nie może... Ma jeszcze widma nocnych majaczeń na oczach. Wyraźnie patrzy w niego sylwetka ojca.

Jak on go niecierpi!

Tyle razy matka prosiła:

— Uściskaj go, bądź dla niego dobry, serdeczny, jak dla mnie!

Nie mógł, nawet dla matki nie mógł.

Cała służba mówiła:

— Pan skrzywdził panią... Nie miał nic, jak się żenił, pani dała mu wszystko, a on stracił i w końcu uciekł!.. To kat, to zbój!..

Tyle razy słyszał te słowa w kuchni, w pokojach, gdy nie wiedziano, że on jest i czyta książkę gdzieś w kącie.

Zawsze coś w nim kipiało wtedy: zaciskał pięści i groził niemi ojcu.

— Jak będę duży, zbiję cię za to!..—powtarzał sto, tysiąc razy na dzień.

Teraz pomyślał znowu:

— Mamusia umarła przez niego...

I chciał zerwać się, pogrozić, jak zawsze, ale nie mógł; osłabł od wczoraj, — nie od wczoraj, od tego dnia, w którym matka umarła.

Kiedyż to było?

Zmarszczył czoło, chciał przypomnieć sobie, ale nie mógł.

Zdawało mu się, że odkąd przyszedł na świat, nie widział innej matki, tylko taką, jak wczoraj i onegdaj: woskową, zimną...

Iść do niej...

Wstał, zaczął się ubierać. Już był prawie gotów, gdy przyszła Ignacowa, wzięła go na ręce, szepnęła starym swym głosem:

— Kładą mamusię waszą do trumny... Chodź, zobacz ją ostatni raz... Adasia nie budzę, bo on jeszcze malutki...

Poszedł. Było dużo ludzi w pokoju: goście z okolicy i panna służąca ciotki z Warszawy,

Miała ich zabrać nazajutrz: przyjechała po to.

Dużo pań płakało, szczególniej kiedy matkę kładziono w trumnę.

Spojrzał na nią ostatni raz.

Opaskę miała zdjętą, usta zamknęły się już teraz.

Był-by przyskoczył do niej, był-by obok niej legł w trumnie, ale ci ludzie.., nie mógł wobec nich.

Zresztą, cały był jak z kamienia, lub z drzewa; ledwie chodził, mówić nie mógł zupełnie.

Więc nie podbiegł do matki, nie skoczył do trumny.

Pocałował ją w ręce i w czoło — kazała Ignacowa.

Wszyscy patrzyli, więc odszedł.

Zamknięto trumnę, zaniesiono ją do kościoła i postawiono na katafalku. Odprawiono mszę, na której był i Adaś.

Panna służąca ciotki już ich nie odstępowała. Mówiła coś do nich ciągle; ale on nic nie słyszał, uszy miał jak watą zatkane i głowę, jak z żelaza, ciężką; nie mógł nią ruszać.

Adaś za to odpowiadał na wszystko: on tak nie kochał matki, on wolał ojca.

Nabożeństwo się skończyło, panna Wacława wyprowadziła jego i Adasia. Jechali za trumną na cmentarz.

Deszcz padał. Kareta toczyła się, jak ten wóz z sianem, o którym śnił w nocy, wolno, rozkołysana na prawo, na lewo, po kałużach błota.

Wszędzie czarne, szarugą ociekłe drzewa. Wrony nad trumną i za trumną; niebo, jak popiołem przysypane.

Dojechali do cmentarza. Poniesiono trumnę nad grób. Ksiądz odmówił modlitwę, spuszczono matkę, jego matkę, w ziemię... Usłyszał wyraźnie stuk metalu o ścianę murowaną.

Zaskowyczało w nim wtedy: wyrwał rękę z rąk czyichś, które go trzymały, szarpnął się naprzód i skoczył w otwartą czeluść grobu.

Co było potem, dobrze nie wiedział. Usłyszał tylko nad sobą jakiś głośny krzyk, zamajaczył mu przed oczyma parawan czarnych, zwieszonych ku niemu ramion Uczuł krew w ustach, która polała mu się z rozbitej o kant trumny skroni, później opanowała go senność, zemdlał podobno.

Późnym wieczorem dopiero otworzył powieki.

Siedziała przy nim stara Ignacowa, zmieniając okład na głowie; wpadł w podskokach Adaś, zajrzał mu w oczy i zawołał:

— Ty żyjesz?.. Ja myślałem, że ty umarłeś, jak mamusia...

Zaskrzeczawszy mu gumowym pajacem nad uszami, wykręcił się na pięcie i wypadł.

Dano mu coś jeść: był głodny, a nie wiedział o tem.

Potem przyszła panna Wacława, zaczęła opowiadać o Warszawie, jakie tam piękne domy, długie, dłuższe od całych wsi ulice, jakie duże ogrody i piękne pomniki.

Mówiła o wuju i ciotce, którzy są bardzo dobrzy, ale lubią spokój, więc nie będzie wolno hałasować. Jeszcze dużo rzeczy mówiła, ale on już nie wiedział. Głowę miał znowu ciężką, jak z żelaza, a w uszach szum, jakby przelewała się przez nie cała rzeka.

Nie pamiętał pogrzebu; nie umiał zdać sobie sprawy, skąd ma ranę na skroni; czuł tylko wielką pustkę i jakiś strach dziwny, nieopisany, sam nie wiedział, przed czem?

Chciał spytać: „Gdzie mamusia?“, w tem przypomniał sobie wszystko.

Żal ścisnął go za gardło, zaczął płakać, i zdawało mu się, że nigdy nie wypłacze łez, których pełna była jego dusza.

II.

W zacisznym, ciepłym buduarze, przy oknie, na nizkim fotelu, siedziała niemłoda już, bardzo blada i szczupła kobieta, której głowę odrzucał w bok co chwila nerwowy, skurcz szyi i prawego policzka.

Pochylona nad szydełkową robotą, podnosiła od czasu do czasu mętny wzrok na siedzącego wprost niej mężczyznę, który, puszczając błękitne kółka dymu w powietrze, gonił je wzrokiem.

— Zmęczony jesteś, Honorciu, może-byś się położył? Tyle wrażeń przez te kilka dni... Zresztą, za godzinę przyjadą ci... chłopcy; powinieneś wypocząć przedtem... Za dużo wrażeń na raz... — rzekła wreszcie blada pani z troską w głosie.

Milczenie.

Znowu szydełkowa robótka i znowu od czasu do czasu spojrzenia, pełne niepokoju; wreszcie ponowne pytanie:

— No, nie usłuchasz mnie, nie odpoczniesz chociaż przez chwilę?..

Sześćdziesięcioletni Honorcio, o zdrowej cerze człowieka dobrze odżywianego, wyspanego, niezmęczonego pracą i goryczami życia, przybrał minę bolesną.

— Męczysz mię, duszko, tą troskliwością swoją, — odparł, ale ton jego głosu i spojrzenia, pełne współczucia dla siebie samego, dały do poznania, że wdzięczny jest żonie za ciągłą myśl o nim.

Nie mógł-by wyżyć bez dowodów tej ustawicznej pieczołowitości. Jak powietrze dla płuc, potrzebne mu one były do podtrzymania tej wewnętrznej równowagi i spokoju, do jakich dążył, by módz na starość podjąć pracę, która, jak sądził, miała okryć go z czasem wiekopomną chwałą.

Zamiłowany gospodarz niegdyś, obecnie, wypoczywając po czterdziestoletnich przeszło trudach, zabawiał się rozmyślaniem nad stosunkiem człowieka do otaczającej go atmosfery i wpływem jej na chwilowy nasz nastrój.

Badania, prowadzące do ułożenia z czasem dzieła całego, rozpoczął przedewszystkiem od samego siebie.

Co rano w dzienniczku, który miał przy łóżku, notował stan usposobienia swego.

„Sen nocy dzisiejszej zrodził we mnie nastrój poważny...“, albo: „Noc usposobiła mię wesoło“, albo jeszcze: „ponure wspomnienia odezwały się we mnie całą gamą minorowych akordów, które wywołują pesymizm i zniechęcenie“ — pisał.

Chodziło następnie o przekonanie się, jakim zmianom ulegną ranne wrażenia skutkiem złej, lub dobrej pogody, wysokiego lub nizkiego stanu barometru.

Po rozważeniu stosunku zaszłych w nastroju przeobrażeń następował szereg świeżych notatek. Wieczorem odbywało się zestawienie ich i wciągnięcie do osobnej księgi ogólnego wniosku.

Raz na tydzień, po zsumowaniu tychże wniosków powstawała teza podrzędna. Miesiąca wymagało przeprowadzenie tezy pierwszorzędnej, rok zaś miał stanowić główny etap dociekań, od którego badania podlegały nowemu rozdrabnianiu i uogólnianiu.

Za kilka lat powstanie z nich praca, kto wie, może pomnikowa?..

Pan Honoryusz upajał się nadzieją sławy pośmiertnej. Myśl o niej dawała mu nowe życie. Sądził nieraz, iż z tęgich, sprężystych ramion wyrasta mu para skrzydeł, unoszących go w przestrzeń. Oczy jego promieniały, wargi pałały. Nie poznawał sam siebie: serce biło mu, jak młotem.

Żona, widząc go w stanie takiej podniety, kładła mu rękę na czole i wołała:

— Masz gorączkę, Honorciu...

On jednak uśmiechał się i, usuwając dłoń łagodnie, mówił:

— Jestem zdrów zupełnie... tylko... rozpalają mię pewne plany..: Z czasem dowiesz się, o czem myślę w tej chwili.

Pani domu schylała głowę nad robótką i milkła. Mąż jej tonął dalej w marzeniach.

Od lat kilku ludzie ci nie bywali nigdzie, nie żyli z nikim. Świat zamykał się w obrębie ich samych. Wszystko, co przekraczało granicę codziennych potrzeb i interesów, stawało się dla nich niepotrzebnym balastem.

Dawni znajomi, ciekawością lub chęcią wznowienia przyjaznych stosunków do progu ich drzwi pociągnięci, słyszeli zawsze jedną i tę samą odpowiedź służącego:

— Państwo nie przyjmują...

Mnąc w ręku kartę odprawionego przybysza, pan Honoryusz mawiał zwykle do żony:

— Co on mógł-by mi powiedzieć takiego, czego-bym już z góry nie wiedział od służby, lub z gazet?

— Naturalnie, — brzmiała odpowiedź pochylonej wiecznie nad szydełkiem pani Doroty.

List Białkiewicza i śmierć Jadwigi, jak orkan, wstrząsnęła nimi.

Zająć się losem dwóch chłopców, których nie znali prawie, zmienić dla nich cały dotychczasowy tryb życia... nie, wydawało im się to niepodobieństwem...

A jednak... trudno było rzucić dzieci na pastwę losu, trudno było nie okazać im pomocy i współczucia.

Po kilku godzinach narad i rozważań, w ciągu których pani Dorota wiele razy przykładała rękę, to do czoła, to do głowy męża, mówiąc: „jesteś wzburzony, Honorciu, czuję to!—Połóż się!— nie myśl już o niczem!“—Po kilku godzinach niezwykłej walki z samym sobą, pan Honoryusz ze stanowczością człowieka, podpisującego wyrok śmierci na siebie, zawołał:

— Trzeba ich wziąć!—Nie można inaczej... Świat potępił-by nas.—Nie mają bliższej rodziny...

Żona spojrzała nań wdzięcznym, lecz zarazem trwogi pełnym wzrokiem:

— A co z tobą będzie?—Czy ty przeniesiesz tę zmianę warunków życia?—chciała spytać.

Zamilkła jednak tym razem. Przeważyło dobre z gruntu serce w którem silną nutą odezwało się wielkie niegdyś przywiązanie do jedynej siostry.

W godzinę potem wysłano na pogrzeb pannę Wacławę z poleceniem, aby natychmiast przywiozła chłopców ze sobą.

I oto w tej chwili czekali na nich.

Jeszcze kilkadziesiąt razy pani Dorota z niepokojem spojrzała na męża; jeszcze zadała mu parę pytań, pełnych miłosnej troskliwości; gdy w tem rozległ się cichy dyskretny dzwonek i w progu buduaru stanęło dwóch chłopców, w paltach i czapeczkach, tak, jak przyjechali.

— Rozebrać ich i potem przyprowadzić!—zawołał pan Honoryusz.

Spełniono jego wolę.

Gdy w chwilę później weszli, ciotka skinęła na nich.

Przystąpili do niej, Adaś, rozglądając się ciekawie po pokoju, Kazio milczący, smutny, z głową, na piersi zwieszoną i niezagojoną jeszcze ranką na skroni.

Pocałowała ich w czoła. Popatrzyła na nich. Łzy zakręciły się jej w oczach.

— Starszy podobny do matki; młodszy jakby skórę kto zdarł z ojca—rzekła cicho do męża.

— Pocałujcie wuja w rękę i wyjdźcie,—szepnęła chłopcom następnie. A gdy to zrobili, dała znak pannie Wacławie, aby ich z sobą zabrała.

Zaprowadzono ich do wielkiego, graniczącego z pomieszczeniem dla służby pokoju, w którym już stały dwa łóżka, dwa stoły, szafa, umywalnia i stołki.

Panna Wacława miała zająć się nimi. Wujowstwo czekali ich na obiad dopiero.

Odtąd zaczęło się ciężkie i duszne, jak pod kloszem, życie chłopców.

Wyszukano im nauczyciela, któremu powierzono nadzór nad nimi wyłączny, z obowiązkiem zasięgania rad opiekuna głównego jedynie w razie poważnych wątpliwości.

Dowolny wstęp do pokojów wujowstwa wzbroniony został malcom surowo; w chwilach koniecznej potrzeby wszakże mogli się meldować przez służbę. Zresztą raz tylko na dzień przy obiedzie mieli widywać wuja i ciotkę, a wtedy rozmowa dozwoloną im była jedynie w razie, jeżeli pan Honoryusz sam okazał chęć rozpoczęcia jej. Odpowiadać na pytanie winni byli krótko, spokojnie, rozważnie, a nadewszystko nie podniesionym głosem.

Chodzić po pokojach mogli: zimą tylko w filcowych, latem zaś w płóciennych pantoflach o korkowych podeszwach, by nie hałasować obcasami.

Regulamin zajęć został ściśle oznaczony.

Kazik musiał uczyć się cztery, Adaś trzy godziny dziennie; poza tem obowiązywała ich wspólna gimnastyka w zakładzie, któremu pan Honoryusz jeszcze zawdzięczał siły i rozwój swój fizyczny, spacer dwugodzinny, spoczynek o dziewiątej w wieczór i ranne wstanie o szóstej zimą, o piątej latem.

By przyzwyczaić chłopców do porządku, położono z polecenia wuja w prowadzącym do mieszkania ich kuchennym przedpokoju aż pięć słomianek, o które malcy, wracając z miasta, winni byli wycierać nogi kolejno, pod grozą surowej kary w razie niedopełnienia tego warunku.

Co wieczór przed pójściem spać, Kazik w jednym, Adaś w drugim pokoju mieli rozrzucać pocięte drobno papierki, aby nazajutrz powymiatać je z kątów i zapewnić tym sposobem czystość mieszkania w tych miejscach, które omija częstokroć opieszałość służby.

Nauczyciel miał pilnować chłopców; starszy, zaufany kamerdyner, nauczyciela; pannie służącej zaś w cichości polecono doglądać i nauczyciela, i kamerdynera.

W kilka dni po przyjeździe chłopców pan Honoryusz wezwał ich do siebie i zaczął rozpytywać, jakich oni doznają wrażeń w dzień pogodny, gdy słońce świeci, a jakich wtedy, gdy na świecie chmurno i deszcz pada.

Adaś wykręcił się na pięcie i, ruszając ramionami, odpowiedział, że nie wie, bo go to nic a nic nie obchodzi; przystąpiwszy zaś do okna, zaczął nucić walca z „Biednego Jonatana“, czem srodze

zgorszony, wuj kazał go natychmiast wyprowadzić z pokoju i postawić w kącie na godzinę.

Ochłonąwszy ze wstrząśnienia, które trwogą napełniło wpatrzoną weń panią Dorotę, kazał przystąpić do siebie Kazikowi i, gładząc go lekko pod brodę, rzekł:

— No, może ty będziesz rozsądniejszy, może prędzej odpowiesz wujowi na pytania?—Widzisz, to mi potrzebne do badań moich: wuj twój napisze książkę; jak dorośniesz to ją przeczytasz... A teraz powiedz, czy nie widzisz w sobie różnicy wtedy, kiedy niebo pogodne, jasne, a kiedy całe chmurami pokryte? — Czy nie jesteś weselszy w dzień słoneczny, aniżeli w słotę?—Mów śmiało i szczerze, nie bój się; przecież wujek ciebie nie ukarze, jak Adasia, boś ty grzeczny...

Kazik spuścił oczy i utkwił wzrok w ziemię. Opanował go dziwny smutek.

Nigdy silniej, jak w tej chwili, nie czuł, że jest obcym dla tych wujowstwa, co tylko z łaski ich przyjęli, i ani słowem, ani pieszczotą nie okazali im serca; nigdy nie doznał wrażenia większej pustki i osamotnienia.

Zdawało mu się, że naraz odbiegło go wszystko, a on został sam, sam jeden na świecie, niezaradny, mały, za pocałunkami matki stęskniony.

Kto mu je wróci?—Kto utuli w nim ból sieroctwa?

Słońce pełną smugą wlewało blask i ciepło do wnętrza cichej, obszernej komnaty o staroświeckich kanapach i fotelach, w których niknęła barczysta postać wuja i drobna, szczupła ciotki.

— No, nic nie mówisz?—Śmiało!—Czemu się lękasz?

Malec podniósł oczy, w których zadrgały snopy blasków. Ból niewysłowiony ścisnął mu serce.

Przypomniał sobie pieszczoty matki; przypomniał sobie, że w dnie pogodne razem całemi godzinami chodzili po wielkim tarasie przed domem, kąpiąc się w słońcu, które ona tak lubiła; przypomniał sobie, że nie zobaczy jej już nigdy...

Łzy napłynęły mu do oczu, ścisnęły go za gardło: byłby wybuchnął głośnem szlochaniem, lecz powstrzymało go chłodne, wyczekujące spojrzenie wuja, i zakłopotany, obawą jakiej drażliwej sceny przejęty, wzrok ciotki.

Wstrząsnął głową, przygryzł wargi.

— No, nic nie powiesz? — zapytał wuj po raz trzeci zniecierpliwionym już cokolwiek głosem.

Kazik zwiesił głowę na piersi.

— Ja... mnie... mnie zawsze gorzej, kiedy widzę słońce, bo wtedy...

Nie mógł już dłużej powstrzymać łez, których miał pełne oczy. wybuchnął takiem silnem, głośnem, łkaniem, że ciotka, przerażona, aby rozdrażnienie jego nie udzieliło się wujowi, wyprowadziła go z pokoju za rękę.

— To dziwne, dziwne!—mruknął pan Honoryusz, patrząc za odchodzącym chłopcem.—Słońce usposabia go tak grobowo... hm, ciekawy fakt!—trzeba zanotować... muszę częściej badać tego malca.

Zostawiony sam sobie, Kazik skrył się w kącie pokoju za kanapą, gdzie nikt dostrzedz go nie mógł, i płakał potokiem łez ciepłych, obfitych.

W tem uspokoił się. W uszach zabrzęczał mu szmer słów wyraźnych. Składały się one jak raz już kiedyś, gdy miał pisać do wujowstwa list za matkę, w ciepłe, rytmiczne okresy i zdania, któremi drgało jakby powietrze.

Wyprostował się i z natężoną uwagą wyszeptał kilka wyrazów: Jak drobne owady, zabrzęczały w przestrzeni, a coś szepnęło w nim:

— Spisz, spisz to wszystko!

Wstał, podszedł do biurka, sięgnął po ołówek i papier, leżące z brzegu, zaczął pisać i ani spostrzegł, jak wypełnił dwie czyste strony kajetu.

Skończywszy, złożył zeszyt, oparł rękę na kolanach i tak przesiedział godzinę, może dłużej.

Cała jego istota wibrowała jeszcze tym porywem natchnienia, które podyktowało mu wiersz, pozbawiony może skończonej formy, spływający chwilami nierównym rytmem i chwiejnym, niezaradnym rymem, lecz pełen ciepła i tęsknoty.

Wypłakał duszę swoją, całą w żalu za zmarłą matką, zrzucił z serca brzemienny smutek sieroctwa; złorzeczył słońcu i gwiazdom, że blaskiem swym nie mogły zbudzić zagrobowego cienia.

Ostatnia strofa wyrażała bunt przeciw ojcu.

— Tyś zły, tyś okrutny, tyś katem naszym!—wołał w oburzeniu i zdawało mu się, że krzykiem tym dopełnił aktu zemsty, jaką wrzała jego dusza.

Uczuł się naraz mocniejszym od ojca. Drobny, mały, wyobraził sobie, iż przewyższa go o głowę całą i że przyjdzie chwila, w której palącem, pełnem jadu słowem, będzie mógł bronić się, jak mieczem, przed okrucieństwem i złą wolą ludzką.

Słońce już zaszło, gdy zawołano go na obiad.

Schował kajet do najgłębszej szuflady i, spokojny, z suchemi już po płaczu oczyma, przeszedł do jadalnego pokoju, by zająć zwykłe swe miejsce przy stole.

Jadł mało, z roztargnieniem, i nie uważał, iż wuj, siedzący wprost niego, nie spuszczał zeń wzroku.

— Dziwny, dziwny chłopak!—myślał.

Ciotka śledziła ich obydwóch z niepokojem i trwogą, milczała jednak, jak zawsze.

Wstając od stołu, pan Honoryusz skinął na chłopca.

— Codzień rano o 9-ej będziesz przychodził do mnie sam bez Adasia, punktualnie, pamiętaj!—rzekł, uderzywszy go zlekka po ramieniu.

— Do jutra!—dodał, przechodząc do salonu, gdzie czekała nań czarna kawa, przy której lubił być sam zupełnie.

W planie zajęć dziennych, zawieszonym nad biurkiem w gabinecie, pan Honoryusz zapisał tego dnia wieczorem:

„9—10 rano: rozmowa pedagogiczna ze starszym Bielskim".

Nazajutrz wraz z uderzeniem godziny dziewiątej służący wezwał Kazika do pokoju pana.

Wuj oczekiwał siostrzeńca w wielkim fotelu. Zwrócony tyłem do światła, trzymał na kolanach ogromną księgę, pełną kolorowanych obrazków. Ciotka, jak zwykle, z robótką w ręku siedziała wprost męża, by módz śledzić grę jego twarzy.

Posunąwszy mu pod nogi stołeczek w chwili, gdy Kazik stanął przy nim, szepnęła:

— Oprzyj się: będzie ci wygodniej!

— Proszę cię, przestań zwracać na mnie uwagę!—zawołał pan Honoryusz, zniecierpliwiony tym razem nieco zbytkiem troskliwości żony.

Pochyliła głowę nad szydełkowym pasem, w którym nagle opuściła kilka wiązadeł, i zamilkła, dotknięta do żywego niezwykłym tonem męża.

Pan Honoryusz skinął tymczasem na Kazika, by usiadł przy nim. Wpatrzywszy się w niego badawczo, przystąpił do śledztwa.

— Czy pamiętasz pytanie, jakie zadałem ci wczoraj?—zagadnął. Chciałem dowiedzieć się, jak wpływa na ciebie pogoda i słota?—Potrzebne to do studyów moich. Odpowiedziałeś mi, że w dzień słoneczny czujesz się zawsze smutniejszy. Czy możesz wytłómaczyć dla czego?

Kazio czas jakiś milczał; wreszcie, spojrzawszy wujaszkowi prosto w oczy, odparł krótko, sucho:

— Nie, nie mogę; to moja tajemnica...

Pan Honoryusz spojrzał na niego, zdziwiony.

— A gdybym prosił cię bardzo o odsłonienie jej przede mną?

Chłopiec pokręcił głową przecząco i milczał.

Pan Honoryusz zmarszczył brwi i czas jakiś nie odzywał się zupełnie; nagle jednak rozjaśniwszy twarz, łagodniejszym, aniżeli kiedykolwiek, głosem, zapytał malca:

— Czy lubisz obrazki?

— Lubię.

— A więc przysuń się do mnie. Obejrzymy razem ryciny w tej książce, bardzo ładne i zajmujące. Widzisz, jeden wielki przyrodnik pokazał tu na przykładach, co znaczy słońce na świecie... Ot, masz roślinę w cieniu i blasku słonecznym; odrazu znać różnicę: tamta niedołężna, blada, wiotka, ta — zdrowa, silna, olbrzymia!—Z ludźmi tak samo: potrzebujemy wszyscy słońca; nastraja nas ono pogodnie i dla tego dziwi mię, czemu ty go nie lubisz?

I znowu chwilę trwało milczenie. Widząc, że Kazik nie odpowiada, pan Honoryusz zaczął mówić dalej o wpływie promieni słonecznych na rozwój życia w przyrodzie, wpadłszy zaś na ten temat, był niepowstrzymany w słowach.

Lubił wypowiadać własne myśli, z których każda wydawała mu się genialną.

Dotąd słuchała go tylko żona. Teraz—pobudzały go duże, wpatrzone w niego, oczy chłopca.

— On jeden mnie rozumie — powtarzał w duszy, odgadując w malcu coś niezwykłego; on jeden przekaże słowa moje potomności.

Podniecony, opowiadał z coraz większym zapałem.

Styl jego, wykształcony na wzorach językowych Kremera i Libelta, ujawniał człowieka, nie przyzwyczajonego do szybkiej i energicznej wymiany myśli.

Kazik słuchał go z początku dosyć pilnie, stopniowo zatracał wątek opowiadania, a w końcu odbiegł myślą daleko. Gdy wraz z uderzeniem godziny dziesiątej wuj spytał go: „zrozumiałeś wszystko, co ci mówiłem?“ drgnął jak ze snu zbudzony i machinalnie prawie odrzekł:

— Tak, zrozumiałem.

Wuj poklepał go po ramieniu; ciotka spojrzała nań życzliwie.

Dano znak, by wyszedł.

Nazajutrz wezwano go znowu i odtąd wzywano go codzień.

Pogawędki z wujem stały się istną torturą chłopca, który coraz mniej rozumiał zawiłe okresy i niejasne zdania swego mistrza.

Pan Honoryusz codzień wieczorem przygotowywał się do rannych pogawędek z siostrzeńcem.

— Teraz wiem, że ani jeden mój wyraz nie zaginie—myślał, z dumą i zadowoleniem wyczekując nadejścia malca.

W przyszłości będziesz musiał spisywać to wszystko, co do ciebie mówię—rzekł doń któregoś ranka.

Kazik zadrżał. Nie wiedział nigdy, czego wuj chce od niego. Siedział podczas wykładów wprawdzie spokojnie, myśl jego bowiem uciekała zawsze, goniąc jakieś obrazy, widma, postacie, których pełna była dusza jego; co zrobi jednak, gdy wypadnie mu notować całogodzinne opowiadania?

Drżał na myśl o tem, postanowił wszakże zwalczać odtąd ile możności roztargnienie swoje.

* *
*

Adaś coraz trudniej znosił rygor klasztorny w domu wujowstwa.

Przyzwyczajony do swobody, nie mógł zrozumieć z góry określonego regulaminu godzin.

Na lekcyach przez kwadrans uważał, potem kręcił się, wyskakiwał na środek pokoju, wywijał kozły w powietrzu, albo też zabiegłszy z tyłu nauczyciela, wyciągał mu chustkę z kieszeni, za co, naturalnie, otrzymywał wciąż nowe kary, narażając się na rosnącą ustawicznie niechęć wuja i ciotki.

Nie lubili go: mącił spokój i równowagę domowego życia.

Oburzenie ich doszło do zenitu, gdy któregoś dnia, po całorocznym już blizko pobycie u nich, chłopiec w przystępie dobrego humoru wypłatał im niebywałego figla.

Rano, nim służba wstała, poprzyciągał wszystkie pięć słomianek z przedpokoju kuchennego do salonu, ułożył je szeregiem, rozsypał po całem mieszkaniu mnóstwo naciętych drobno papierków i, zdjąwszy z kołków palto, oraz kapelusz wuja, nasadził je na szczotkę, opartą o framugę drzwi, tak, że zdaleka wszystko to razem miało pozór istoty żyjącej, potkniętej o ostatnią słomiankę.

Skończywszy robotę, podbiegł do progu sypialni wujowstwa, zaśpiewał pierwszą zwrotkę ulubionego kupletu ojca: „Raz w Wiedniu ja hulałem“,—poczem, nim jeszcze zbudzony ze snu pan Honoryusz zdołał wyjrzeć z pokoju, uciekł do siebie, wśliznął się pod kołdrę i przeleżał spokojnie, jak gdyby nic nie zaszło, do chwili, w której dzwonek kamerdynera budził ich zawsze.

Przeprowadzone śledztwo wykryło psotę malca.

Za karę tydzień cały nie wolno mu było siadać do stołu razem ze wszystkimi, jednocześnie zaś zapadło postanowienie wydalenia go z domu i oddania na tak zwaną „stancyę“.

Wuj właśnie miał oznajmić mu powzięty zamiar, gdy otrzymany nagle list od Bielskiego zmienił bieg rzeczy.

Od pewnego czasu już Juliusz zasięgał wiadomości o dzieciach swoich. Kiedy dano mu znać, gdzie są i co robią, napisał do nich, donosząc, iż rok temu poślubił Izę i zamieszkał w małem powiatowem miasteczku, otrzymawszy tam posadę pisarza gminnego.

„Mając jaki taki grunt pod stopami, pragnę wziąć was obudwóch do siebie.

„Nie będziecie mieli dawnych dostatków, ale jakoś wyżyjemy razem.

„Mała przyrodnia siostrzyczka, która przybyła wam przed trzema miesiącami, będzie uciechą i radością waszą.

„Podobna do Adasia: żywa, jak on, pokocha zapewne braciszka", brzmiały słowa listu, przysłanego na ręce wuja, do którego też załączona była oddzielna kartka, wyjaśniająca, iż świeżo założone w miasteczku progimnazyum ułatwi chłopcom naukę.

Wcześniej niż zwykle wezwał pan Honoryusz nazajutrz do siebie, nie tylko Kazimierza, ale i Adasia.

Zasiadłszy w wielkim fotelu przed biurkiem z miną prezesa ministrów, otwierającego sesyę Rady, wręczył chłopcom list ojca; następnie przeczytał krótki bilecik do siebie, a wreszcie oznajmił, iż gotów jest dać im dzień czasu do namysłu nad odpowiedzią.

— Nie chcę krępować was radą, ani wskazówkami swemi—rzekł, patrząc im w oczy.—Serce i uczucia synowskie winny podyktować wam drogę właściwego postępowania. Nie potrzebuję ukrywać przed wami, że ojciec wasz lekkomyślnością swoją przyprowadził do ruiny majątek matki, wartujący znaczną sumę; majątek, z którego za lat parę dopiero po uregulowaniu długów będzie można cośkolwiek uratować dla was. W tej chwili nie macie nic. Ja kwotę dla was przeznaczoną chętnie wypłacać będę ojcu waszemu w razie, jeżeli przełożycie jego opiekę nad moją. Pochwalam mu bardzo, że wziął się do pracy, nie zarabia on jednak tyle, by módz was kształcić, pomoc więc moja przyda się niewątpliwie...

Adaś nie dosłuchał przemowy wuja do końca

— Jadę do ojca!—jadę do ojca!—zaczął wołać, wyskoczywszy na środek pokoju i podrzucając do góry filcowe pantofle, bez których nie wolno mu było wchodzić do salonów wujowstwa.

— Jutro zaraz pojedziesz do ojca, a teraz — wyjdź stąd!—Zostaw nas samych!—zawołał pan Honoryusz, spojrzawszy na malca gniewnie.

— A ty... co zrobisz z sobą?—spytał Kazika, gdy Adaś z hukiem i trzaskiem wybiegł z pokoju.

— Ja... ja nie pojadę...—brzmiała odpowiedź chłopca.

Pan Honoryusz spojrzał nań z pod oka.

— Dziwny malec!—pomyślał.

Uderzywszy go po ramieniu zlekka, dodał głośno:

— Nie będzie nam chyba tak bardzo źle z sobą, nie jesteś takim sowizdrzałem, jak tamten: lubię cię za to...

Kazik spuścił głowę i na znak ciotki w milczeniu wyszedł z pokoju.

III.

Nauka domowa, pogawędki z wujem, które teraz trzeba było spisywać na oddzielnych kartkach, wklejanych do dziennika pana Honoryusza, wszystko to nudziło i niecierpliwiło Kazimierza do najwyższego stopnia.

Nauczyciel zamęczał go wbijaniem mu w mózg prawideł gramatyki, reguł matematyki, dat historyi, nazw geografii.

Trudno było zapamiętać je. Czasami tylko jedno jakieś, najmniej znaczące słowo profesora budziło umysł jego z uśpienia.

Był to najczęściej rodzaj uogólnienia, rzuconego przypadkiem, bez woli i chęci obciążania niem umysłu ucznia, a jednak ono dopiero rodziło czujność jego; ono, jak rosa na śpieczoną ziemię, padało na mózg malca sokiem ożywczym.

Daty, cyfry, suche reguły i nazwy miast, krajów, nie obchodziły go zgoła. Innego pokarmu pragnęły myśli: szarpał je jakiś głód wewnętrzny; duszno im było i ciasno w ramach systemu, ale nie rozumiały potrzeb swoich, nie wiedziały, jak wyswobodzić się i wzlecieć w przestworza ku widnokręgowi szerszej wiedzy.

Pan Honoryusz, zdumiony łatwością, z jaką siostrzeniec spisywał codzienne pogawędki jego, zajmował się nim coraz więcej.

Wtajemniczywszy go w arkana rozpoczętej już pracy swojej „O wpływie stanu przyrody na usposobienie człowieka“—zażądał od niego prowadzenia notatek na wzór swoich własnych.

Robota ta stała się źródłem najsroższych katuszy podrastającego chłopca. Tysiące razy miał chęć podrzeć, podeptać nogami księgi starego dziwaka, nie uczynił tego wszakże: żal mu było wuja, upajającego się widmem sławy pośmiertnej.

Gdy w piętnastym roku życia usłyszał, że z domowej nauki przejść ma do szkolnej, zdawało mu się, że nastąpiła dlań chwila wyzwolenia.

Z chciwością zaczął powtarzać najzawilsze prawidła programowych podręczników.

Zdanie egzaminu do piątej klasy napełniło go nieopisaną radością.

Jakżeż prędko ostygł jednak!

Po miesiącu szkoła zaczęła go nudzić więcej jeszcze, niż lekcye domowe i wykłady wuja.

Uczuł się samotnym w gronie towarzyszy, z których żaden nie miał jego spokojnego, skłonnego do refleksyi usposobienia.

Wszystkich rwał, pociągał za sobą ten szalony pęd życia, w którym on dojrzewającą z dniem każdym myślą usiłował, a nie mógł dopatrzyć celu i treści.

Czem jest stworzenie? — Dla czego świat istnieje? — Czy człowiek stanowi ostatnie ogniwo w łańcuchu istot ziemskich?—Czy roślina myśli i czuje?—Czy myśl i uczucie rozwijają się dalej poza obrębem bytu ludzkiego?—Czy śmierć nie jest tylko przeobrażeniem życia i wcieleniem go w inną formę?—Kiedy następuje rzeczywisty jego koniec?—Ile jest światów i czy ziemia nie stanowi najmniej doskonałego z nich?—Pytał sam siebie, dręczony szeregiem zagadnień i wątpliwości, które powstawały w nim bądź samorodnie ze starcia się pojęć, nurtujących go nieustannie, bądź też z czytanych potajemnie, a zdobywanych przypadkiem książek, zaostrzających jeszcze badawczą ciekawość pięcioklasisty.

Towarzysze jego, gwarnym, rozbawionym szeregiem wyruszali co niedziela i święto za miasto, na partyę palanta, której napierały się zdrowe, mózgiem nie przerośnięte mięśnie. Wrząca ich energia szukała ujścia w zmyślonych bodźcach walk szermierskich, pobudzających do ruchu. Wesołe, pogodne twarze, jaśniały zadowoleniem i szczęściem: żadna z nich nie wykazywała przedwczesnego pesymizmu.

Nasz wyrastający młodzieniec natomiast podobny był wśród nich do lunatyka, którego oczy otwarte patrzą, lecz nie postrzegają otaczających przedmiotów, ręka machinalnie przez pęd naśladownictwa wykonywa poruszenia wszystkich otaczających ją rąk, usta powtarzają bezwiednie wyrazy podsuwane przez innych, którego myśl wszakże, spowita w tajemnicze osłony, drzemie na dnie duszy, czekając przebudzenia.

Kazimierz bawił się z kolegami, ale ich nie rozumiał. Obcą mu była wesołość tych zwartych szeregów, występujących do walki o nic.

Czasami wszakże zastanowił go giest, spojrzenie, jedno, na pozór mało znaczące, słowo, a wtedy, jak pająk przędzę, wysnuwał z nich godzinami całemi twórczą pracę wyobraźni, przenoszącą go w świat

tych pojęć, pożądań i barw duchowych, których on sam był panem jedynym i wszechwładnym.

Któregoś dnia — przygotowywał się wówczas do egzaminu z szóstej klasy — gdy słońce brylantowym snopem zajrzało w okno jego pokoju, drgnął silnie.

Od stosu kajetów i książek, nad któremi drzemała myśl jego, oderwało go pytanie:

— Czem będziesz?

Uczuł pewną trwogę. Wydało mu się, że z życiem jego zespolone są wielkie cele, że los dał mu natchnienie, by mocą jego stwarzał światy własnej wyobraźni, czarem zaś jednał sobie serca ludzkie i... sławę.

Sława!

Uczuł zawrót głowy na myśl o niej.

Jak słodko być wielkim, znanym!—Jaka rozkosz panować nad tłumem tych, co, sami żądni władzy, czynią ofiarę z poczucia własnej doskonałości na korzyść geniusza!

Sława!

Nie mógł pracować dnia tego. Złożył książkę i cały wieczór przemarzył.

Odtąd zdawało mu się, że świat jest jego wyłączną własnością: miał ochotę objąć go rękoma, ukołysać, utulić, jak dziecko.

Zadaniem jego było przetworzyć w nim wszystko złe, zetrzeć brudy i zabobony wiekowe, tchnieniem ust własnych ożywić, co już zamarło.

Czuł w sobie moc pomazańca Bożego, krępowała go tylko jeszcze myśl, nie wyzwolona z pętów dziecinnej niezaradności.

Nie mógł ująć jej w słowa: gięła się i łamała, wyrażając zaledwie cień tego, co tkwiło w duszy.

Trzeba było czekać na wzrost jej może lata całe?

W szkole nazwano go „rabinem“. Koledzy zaczęli znosić mu książki. Jeden z nich, wykradłszy z szafy ojca parę tomów Darwina, przybiegł z niemi do niego.

Sam tytuł prac wielkiego ewolucyonisty zelektryzował go: uczuł w nich coś niezwykłego i z biciem serca zabrał się do czytania.

Prosta, trzeźwa logika angielskiego uczonego podziałała nań zrazu odpychająco.

— To nie dla mnie—pomyślał, rzucając książkę. Chciał czegoś wstrząsającego nerwy lub rwącego myśl w stronę abstrakcyi: suche, na faktach oparte dowodzenia męczyły go raczej, aniżeli zajmowały.

Przez trzy dni nie zajrzał do książki „O powstawaniu gatunków“; czwartego—z nudów, nie mając co robić,—otworzył ją.

Pierwszą i drugą stronę przebiegł roztargnionym wzrokiem, przy trzeciej oczy jego zaczęły wyrażać pewne zaciekawienie, przy czwartej nabrały blasku i wpiły się w drukowane słowa, jak pijawki.

Nim skończył rozdział, powiedział sobie, że dzieła tego nie oddał-by za żadne skarby świata, że musi się całego nauczyć na pamięć, jak pacierza, że jest ono osią, dokoła której obraca się treść wszystkich badań, że bez niego gmach dociekań ludzkich runął-by, jak niebotyczna kopuła, pozbawiona krzepkich wiązadeł.

Prawo ewolucyi, łańcuch stworzeń, idący zwartym szeregiem od najniższych istot ku najwyższym w nieprzerwanych ogniwach bez nagłych i niespodziewanych przewrotów, powolny, niezmierzony, ciągły... co za głęboka myśl, jaka logika w przyrodzie!..

I on chciał tworzyć, nie znając tego dogmatu!.. Jak ślepiec, zabierał się do pracy, albo jak żak, któremu zdawało się, iż dosyć wejść na dach piętrowej kamienicy i krzyczeć: „otóż jestem!“—aby wszyscy złożyli mu pokłon.

Trzy dni i trzy noce siedział nad książką. Wstawał od niej tylko, gdy wzywano go na obiad lub na kolacyę. Przy stole wówczas, jak lunatyk, nie widział, nie słyszał nic dokoła siebie.

Przestał chodzić do szkoły.

Przez trzy dni nie dowiadywano się o niego. Czwartego—gospodarz klasy przyszedł zapytać, co się z nim dzieje?

Ciotka i wuj nie mogli znaleźć odpowiedzi. Nie mieli pojęcia, że chłopiec, zamiast w klasie, całe dni spędza w pokoju u siebie.

Widywali go przy obiedzie lub kolacyi tylko. Pogadanki z panem Honoryuszem odbywały się obecnie w niedziele i święta jedynie. Kazimierz stawiał się na nie punktualnie. Wuj wierzył mu tak dalece, iż nie kontrolował go teraz już nigdy. Tajemnica nieuczęszczania do klasy była-by mogła przetrwać tygodnie całe bez wyjścia na jaw.

Zmrok zapadał, gdy przed progiem pokoju Kazimierza dały się słyszeć energiczne czyjeś kroki.

Nie zwrócił na nie uwagi. Czytał z zajęciem jeden z ostatnich rozdziałów książki. Oczy mu pałały, żyły na czole nabrzmiały; na policzki wystąpiły dwa silne rumieńce.

Drzwi skrzypnęły.

Nie spostrzegł tego. Nie spostrzegł również szybkich ruchów wysokiego, chudego mężczyzny, który stanął nagle za plecami jego.

— Oto powód, dla którego od trzech dni nie widzieliśmy pana Bielskiego w klasie—rzekł wysoki, chudy pan, wyrywając Kazimie-

rzowi z rąk książkę, której tytuł wskazał stojącemu we drzwiach panu Honoryuszowi.

Ten ostatni drgnął, zmarszczył brwi groźnie.

— Przyjdziesz do mnie dziś o ósmej wieczorem—rzekł, zwracając się do siostrzeńca.

Gospodarz klasy dodał:

— Jutro proszę stawić się w szkole punktualnie, inaczej—zostaniesz wykreślony z listy...

I, zabrawszy książkę, wyszedł.

Kazimierz został w pokoju sam, zrazu zdumiony, ogłuszony całą tą nieprzewidzianą przygodą, następnie oburzony tem, że śmiano mu odebrać książkę.

Krew wrzała w nim; postanowił wyjść na miasto, by ochłonąć z gniewu, jakim dyszał cały, gdy służący oznajmił mu, iż pan Honoryusz wzywa go do siebie.

Chmurny, zasępiony, wszedł na próg gabinetu wuja, który, nie patrząc nań, wskazał mu miejsce przy biurku w pewnej odległości od siebie.

— Zkąd dostałeś książkę, nad którą zastaliśmy cię teraz?..—spytał krótko, sucho.

— Od kolegi.

— Nazwisko jego?

— Nie wiem.

— Co to znaczy?

— Na śledztwie nigdy nie mówi się nazwisk.

Pan Honoryusz podniósł głowę i spojrzał na niego badawczo.

— Zaczynasz być hardym—rzekł po pewnej chwili.—Nigdy nie odzywałeś się do mnie w ten sposób. Czyżby czytanie tego rodzaju książek tak cię usposobiło?

— W książce, którą pan Zubow mi wyrwał, nie było recepty na hardość...

Pan Honoryusz jeszcze bardziej badawczo spojrzał na siostrzeńca. Wzrok jego wyrażał zdumienie.

— Co się stało z tym chłopcem?—pytał sam siebie.—Nie poznaję go. Taki łagodny był dotąd!—Co się z nim stało?

Kazimierz sam nie rozumiał zmiany, jaka zaszła w nim nagle.

Odebranie książki wprawiło go w szał takiej pasyi, że byłby darł, szarpał wszystko na sobie i tylko siłą woli powstrzymywał się od gwałtownych wybuchów.

— Czy możesz mówić ze mną innym tonem? Czy możesz być uprzejmiejszym cokolwiek?—spytał pan Honoryusz ze zmarszczonem groźnie czołem.

— Nie mogę—brzmiała sucha, impertynencka niemal odpowiedź.

— Kazimierzu, opamiętaj się! — szepnęła, podchodząc do niego pani Dorota.

Wzruszył ramionami lekceważąco. Wuj spojrzał na niego w tej chwili i krew nabiegła mu do głowy.

— Precz stąd! precz natychmiast!—krzyknął na całe gardło.—Nie zniosę tego dłużej.—Za moją dobroć, za zajęcie się nimi, tyle krzywdy!—Ale... czyż można było spodziewać się co innego po dzieciach takiego ojca? Precz, precz!

Trzęsąc się z gniewu, jak w febrze, wskazał drzwi ręką.

Kazimierz wyszedł ze spokojem człowieka, którego nie spotkało nic nadzwyczajnego.

Co zrobi z sobą?—nie wiedział dobrze, czuł tylko, iż nie zostanie ani godziny dłużej tu, pod tym dachem, gdzie tyle lat dławiła go nuda i czcza bezcelowość życia.

Wolno, ze spuszczoną głową wyszedł z bramy, postanawiając przenieść się na razie do którego z kolegów, by rozpocząć starania o korepetycyę za mieszkanie i życie, gdy w tem drogę mu zastąpił kamerdyner, mówiąc, iż jaśnie pani prosi go do siebie.

Zawrócił się i podążył do buduaru ciotki.

Siedziała w głębi fotelu, tyłem do okna zwrócona, bledsza jeszcze niż zwykle, z większą nerwową drgawką prawego policzka i oka.

— Wuj bardzo rozżalony na ciebie—rzekła, nie patrząc na niego, nie widząc, że stał przed nią ze ściągniętemi gniewnie brwiami i utkwionym w ziemię wzrokiem.

Zamilkła na chwilę, poczem dodała stroskanym, zająkliwym głosem:

— Pokładał w tobie tyle nadziei... Zniszczyłeś wszystko dzisiejszym niewłaściwym postępkiem.

Policzki jej drgnęły silniej, niż zwykle.

Podniosła powieki i spojrzała na Kazimierza szybko, z pewnem zakłopotaniem.

Rozprawa ta męczyła ją do najwyższego stopnia. Była-by chciała skończyć ją jaknajprędzej, a tu trzeba mówić jeszcze.

— Wuj polecił mi zapytać ciebie, czy po rozważeniu dzisiejszych szorstkich odpowiedzi nie żałujesz ich i czy możesz przyrzec, iż nadal unikać podobnego zachowania się będziesz?—W razie skruchy przebaczył-by ci chętnie i zapomniał o wszystkiem. Dawny stosunek mógł-by wrócić. No, co? nic nie odpowiadasz?

— Nie czuję się skłonnym do żalu za grzechy, których nie popełniłem...

— A więc nie uznajesz swojej winy?

— Nie uznaję.

— Uważasz, że miałeś prawo odpowiadać hardo wujowi?

— Miałem.

— Uważasz, że miałeś prawo czytać książki bez wyboru, gdy on sam dostarczał ci ich na każde żądanie?

Poruszył się niecierpliwie.

Chciał powiedzieć: „skończmy już tę rozmowę, która do niczego nie prowadzi"... ale zamilkł. Wyrazem ust i oczu tylko dał do zrozumienia, że radby wyrwać się z domu ciotki jaknajprędzej.

— Co zamierzasz zrobić ze sobą?—spytała pani Dorota, zmieszana do najwyższego stopnia nieoczekiwanem zajściem.

Kazimierz milczał.

Powtórzyła pytanie.

Wciąż milczał.

— Pieniądze masz?—zapytała w końcu.

— Nie.

Ciotka poruszyła się. Skurcz nerwowy wstrząsnął w tej chwili całą jej głową. Sięgnęła ręką do kieszeni i wyjęła z niej mały safianowy pugilares.

— Wuj polecił mi oznajmić ci, że interesy wasze majątkowe zostały uporządkowane tak, iż po spłaceniu wszystkich długów została wam z własności matki niewielka suma. Po dojściu do pełnoletności każdy z was będzie miał prawo rozporządzać nią dowolnie, teraz wszakże pozostaje ona w ręku męża mojego, jako głównego waszego opiekuna, a procenty od niej będziemy ci przysyłali przez służącego naszego co miesiąc, skoro tylko wskażesz nam swój adres. Tymczasem masz trzydzieści pięć rubli; powinno ci to wystarczyć do pierwszego. Dużo pracy i kłopotów kosztowało wuja wyprowadzenie interesów waszych na czystą wodę. Boję się, aby to nie zaszkodziło jego zdrowiu. Kilka dni temu zaledwie wręczono mu ostatnią sumę za rozparcelowaną ziemię. Tak odwykł od wszystkich tych rzeczy! W dodatku to zajście dzisiejsze...

Kazimierz stał w milczeniu.

Ciotka wyjęła pieniądze z pugilaresu i podała mu je.

Pocałował ją w rękę.

— Czy można podziękować wujowi za opiekę jego nad nami?—Można zobaczyć się nim?—spytał.

Ciotka spojrzała nań badawczo, dostrzegłszy w oczach jego wszakże ten sam wyraz zaciekłego oporu, z jakim zapewniał przed chwilą, iż nie uznaje swej winy, odrzekła szybko:

— Nie; wuj chory; scena dzisiejsza wzburzyła go... musi mieć spokój... kiedyindziej może... nie teraz...

Podawszy mu rękę na pożegnanie, chłodnemi, obojętnemi wargami dotknęła jego czoła i wyszła z pokoju.

Na progu stanęła nagle.

W sercu jej odezwało się dalekie echo silnej niegdyś miłości dla siostry. Był to jej syn. Czy nie należało pożegnać go cieplej, serdeczniej?

— Jeżeli uznasz swoją winę i zechcesz wrócić do nas kiedykolwiek, przyjmiemy cię zawsze życzliwie—rzekła cicho, z lękliwem pomieszaniem.

Nagły skurcz mięśni odrzucił w bok jej głowę. Wyszła. Pozostała po niej tylko lekka woń rezedy i wody kolońskiej, którą oblewała się codzień.

Kazimierz popatrzył na nią. Zrobiło mu się żal tej biednej chorej kobiety.

Na świecie jaśniała wiosna. Drzewa pękały bukietami zieleni. Rozkwitały jabłonie, kasztany, wiśnie. Pachniało dokoła młode, bujne życie.

Ona nie widziała tego, nic nie widziała, nic nie czuła i nic nie słyszała: znała jeden tylko niepokój, jedną troskę: troskę o zdrowie męża... Na niej ograniczał się cel jej bytu: po za nią nic nie istniało dla niej...

I on, Kazimierz, tyle lat przebył w ciasnem kole potrzeb tych dwóch wegetujących zaledwie istot...

Czy nie zaraził się ślepotą ich wzroku, daltonizmem ich czucia?

Wyszedł z bramy coprędzej.

W drodze przypomniał sobie adres profesora Niemca, u którego mieszkało kilku jego kolegów.

W chwilę potem, jak szalony, pędził do niego.

Dom wujowstwa w perspektywie wydał mu się cmentarzyskiem życia młodego.

Jak mógł wytrzymać tam dotąd?

Cecylia Walewska.

(C. d. n.)

Biologia głębin morskich.

Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie wywarł na mnie po raz pierwszy widok morza! Rydwan kolejowy przeniósł mię z Warszawy na zachodni kraniec Europy, nad brzeg Atlantyku, do małego, rybackiego miasteczka, Roscoff, w Bretanii, gdzie znajdowała się słynna stacya zoologiczna, kierowana podówczas przez Lacaze-Duthiers'a. Ale i później, ilekroć znajdowałem się nad morzem lub na morzu, czar jakiś, do opisania trudny, a w krajobrazach morskich wionący, przykuwał zawsze myśli i uczucia moje ku niezmierzonej i wiecznie tak pięknej i ponętnej toni morskiej, ku tej nieskończonej gamie barw i świateł, igrających po powierzchni oceanu, ku tej przedziwnej muzyce, rozlegającej się jakby z piersi olbrzyma, wiecznie ożywionego, zawsze jakby świadomego swej potęgi.

I nie dziw. Bo widok morza nasuwa nam zawsze myśl o nieskończoności. Ocean jest nie tylko potężny, ale i tajemniczy.

I góry gubiące się swemi szczytami w obłokach, i pustynie bezgraniczne, są wspaniałe i potężne, ale one są wiecznie spokojne, martwe, ocean zaś w bezustannym znajduje się ruchu, podobny jest do olbrzymiego organizmu. Jak krew w ustroju zwierzęcym—mówi Marshall—tak i prądy jego tętnią, oddycha on przez grę bezustanną fal swoich, a przypływ i odpływ jego to jakby objawy spotęgowanych i osłabionych okresów życia, niejako snu i czuwania.

I.

Ocean, jego głębie i jego twory tajemnicze zastanawiały po wsze czasy człowieka. Niezmierzone otchłanie, miliony najrozmaitszych i najdziwniejszych istot organicznych, zamieszkujących jego nurty, bogactwo owego życia, dające ludziom nigdy niewyczerpane środki do wyżywienia, tajemnicze światło fosforyczne, nieubłagana

potęga i szał rozhukanych bałwanów, wszystko to wywołać musiało w umysłach ludzi jakąś szczególniejszą cześć dla morza, a wierzenia i podania wszystkich niemal ludów, zwłaszcza tych, co z morzem się stykają, pełne są najfantastyczniejszych pojęć o zaklętych potęgach morskich i potworach zamieszkujących otchłanie oceanu.

Umysł badaczy zwracał się też zawsze z wielkiem zainteresowaniem ku istotom zamieszkującym morza, ale dopiero w ostatnich dziesiątkach lat ubiegłego stulecia rozpoczęto systematyczne badanie wielkich otchłani morskich, co dało początek nader ważnej i niezwykle interesującej gałęzi nauk biologicznych, t. zw. baty-biologii (biologii głębinowej). Wynikiem tych poszukiwań było stwierdzenie faktu, że olbrzymie otchłanie morskie, o których dotąd sądzono, iż są zupełnie pozbawione istot organicznych i stanowią krainę wiecznej śmierci, że otchłanie te, przeciwnie, tętnią życiem w całem znaczeniu tego wyrazu, że posiadają nader bogatą i swoistą faunę, różniącą się bardzo od pozostałej fauny morza i przystosowaną w iście cudowny sposób do szczególnych warunków, panujących w wielkich tych otchłaniach.

Baty-biologia zawdzięcza swą genezę czysto praktycznym usiłowaniom inżynierów przeprowadzenia podmorskich lin telegraficznych po przez ocean, albowiem liny te, jak wiadomo, muszą być ułożone na dnie, a w tym celu należy poznać dokładnie naturę dna morskiego, jego konfiguracyę i stosunki geologiczne. Do tego ostatniego celu okazało się niezbędnem wydobywanie próbek osadów z dna, a wraz z mułem, z otchłani wyłowionym, wydobywano też różne twory organiczne, które naprowadziły badaczy na myśl poświęcenia im szczegółowych, rozległych studyów. W historyi wiedzy ludzkiej nie jedyny to, jak wiadomo, przykład, że przedsięwzięcia czysto praktyczne dały początek dociekaniom teoretycznym, jak znów, naodwrót, bardzo często prace czysto teoretyczne dają początek ważnym zdobyczom praktycznym.

Jeszcze w r. 1818 znakomity podróżnik, Sir John Ross, wydobył podczas swej wyprawy do okolic podbiegunowych muł w zatoce Baffina z głębokości 1,000 sążni, w którym zauważył obecność żywych wężowideł (ustrojów blizko spokrewnionych z rozgwiazdami czyli gwiazdami morskiemi, a należącemi do typu szkarłupni).

Odkrycie to wykazało bezzasadność twierdzenia współczesnego Rossowi badacza francuskiego, Pérona, który, na podstawie dwukrotnej swej podróży naokoło świata, doszedł do błędnego wniosku, iż dno oceanów, podobnie jak wielkie szczyty gór, jest pokryte jakoby wiecznym lodem, i że żadna istota żyjąca tam się nie znajduje. Spostrzeżenia Rossa uległy jednak zupełnemu zapomnieniu, a pogląd,

że jakoby w otchłaniach morskich żadnego nie było życia, stał się niemal panującym, zwłaszcza, gdy znany przyrodnik, Edward Forbes, przedstawił na posiedzeniu stowarzyszenia brytańskiego (British-Association) w r. 1841, swoją „teoryę głębinową", według której poniżej 300 sążni głębokości brak wszelkich organizmów w oceanie. Przeciwko tej teoryi walczył znakomity zoolog skandynawski, Michał Sars, który w r. 1850 znalazł bogatą faunę głębinową w okolicy Lofotów w głębokości 450 sążni.

Wszystko to jednak były badania dorywcze. Kwestyi fauny głębinowej nie poświęcono wogóle wiele uwagi, a dopiero, jak wspomniałem, z chwilą rozpoczęcia prób w celu przeprowadzenia liny telegraficznej podmorskiej, zwłaszcza zaś trans-atlantyckiej, badania te stały się aktualnemi i systematycznemi.

W 1850 położono pierwszą linę telegraficzną, czyli „kabel", na dnie kanału La Manche, połączywszy za jego pośrednictwem Francyę z Anglią, a obecnie pomiędzy Europą i Ameryką przebiega aż dziesięć dróg elektrycznych na dnie rozległego Atlantyku. Już podczas prac wstępnych przy przeprowadzeniu pierwszego trans-atlantyckiego kabla próbki gruntu, wydobyte z dna za pomocą ołowianki, wykazały, że w głębokości przeszło 1,000 sążni istnieje fauna specyalna, a następnie, gdy kabel ten przerwał się i gdy wydobyto go na powierzchnię w celu ponownego połączenia, okazało się, że były doń uczepione liczne postacie zwierzęce, jakkolwiek w tych miejscach kabel spoczywał w głębokości 3,600 metrów.

Fakt odkrycia nieznanych dotąd ustrojów w tak wielkiej głębokości zainteresował w najwyższym stopniu wszystkich ówczesnych biologów. Ehrenberg, Leuckart, Huxley, Milne-Edwards i liczni inni wybitniejsi zoologowie jednogłośnie zaczęli wykazywać potrzebę systematycznego badania biologii głębin morskich i wypowiadali przekonania, że w tej dziedzinie otworzy się przed oczyma przyrodników wielki, nieznany dotąd świat.

Uznano tedy potrzebę przedsięwzięcia wyprawy naukowej, wyposażonej w odpowiednie środki, a mianowicie: w przyrządy do łowienia zwierząt w tak wielkich głębokościach morskich i w stosowne laboratorya na okręcie, które pozwoliły-by zdobyte łupy na miejscu badać i odpowiednio zachowywać (konserwować). Wyprawa taka musiałaby być naturalnie połączona z olbrzymiemi kosztami, a powinien-by w niej wziąć udział cały sztab doskonale wyspecyalizowanych przyrodników, oraz ludzi, obeznanych świetnie z morzem. Były to trudności ogromne. Ale znalazł się mąż iście żelaznej woli, pełen poświęcenia dla nauki, profesor z Edymburga, Wywille Thomson, którego zabiegom niestrudzonym zawdzięcza nauka pierwszą, na wiel-

ką skalę przedsięwziętą wyprawę, uwieńczoną nadspodziewanie znakomitemi wynikami. Wspólnie ze starszym, a nader wpływowym kolegą swoim, znakomitym przyrodnikiem B. Carpenterem, wice-prezydentem „Royal Society“, wyjednał naprzód Thomson u administracyi angielskiej, że w r. 1869 dano im do użytku okręt „Porcupine“ (Jeżozwierz), wprawdzie mały, ale mocno zbudowany i pozostający pod świetnem kierownictwem kapitana Calvera i dobrze wyszkolonej jego załogi. Na statku tym przedsięwzięto kilka wypraw, z których najważniejszą była w 1870, bo zmieniła ona dotychczasowe błędne poglądy co do rozmieszczenia temperatury w morzu, natury jego dna oraz świata organicznego w jego głębinach. Ale okazało się, że ani sam okręt, ani środki jego naukowe, ani też liczba uczestników nie były wystarczające dla studyów głębszych.

Wyprawa ta była tylko zachętą do innych, które na daleko większą skalę powinny-by być przedsięwzięte, a Anglicy, którzy są panami morza i interesują się w tak wysokim stopniu wyprawami morskiemi, zrozumieli i odczuli potrzebę takiego wielkiego przedsięwzięcia. Rząd angielski, podsycany przez szlachetną dumę narodową, ofiarował na ten piękny cel sumę bardzo wielką. Admiralicya oddała na ten użytek wielki okręt królewski „Challenger“ (Prokurator), obejmujący 2,306 tonn, z maszyną o sile 1,234 koni parowych, z kapitanem, Jerzym S. Nares, na czele, i sztabem oficerów i majtków jaknajbardziej doborowych, razem 23 osoby. Załoga składała się z prof. W. Thomsona, jako dyrektora, J. 1. Buchanana—fizyka-chemika, H. N. Moseleya i Willemoës-Suhma—zoologów, J. Murraya—geologa, oraz J. J. Wilda—rysownika i sekretarza dyrektora. Wszyscy powrócili z wyprawy zdrowo i cało, tylko dzielny Willemoës-Suhm znalazł śmierć na morzu, a ciało jego spuszczono do zimnych głębin Oceanu, których badaniem tak gorąco zajmował się duch jego. Wyprawa „Challengera“ była największą i najobfitszą w wyniki naukowe ze wszystkich ekspedycyi baty-biologicznych, a jeśli zważymy, że rezultaty jej ogłoszone zostały dotąd już w 38 wielkich tomach in 4-o, opracowanych przez licznych uczonych wszelkich narodowości, to ocenimy odrazu, jak wspaniałemi musiały być jej zdobycze naukowe. Ze względu na niesłychanie doniosłe znaczenie tej wyprawy dla baty-biologii, poświęcimy jej słów kilka.

Otóż, przedewszystkiem, co się tyczy samego okrętu, to musiał on być zupełnie przebudowany i przerobiony, bo także różnemi są cele korwety wojennej, jaką był „Chalenger“, a okrętu przeznaczonego do badań naukowych.

Usunięto działa i armaty, zyskano wiele miejsca, a za to założono na okręcie wspaniałe laboratorya naukowe. Sporządzono prze-

dewszystkiem warsztat biologiczny w salonie, mającym dwadzieścia stóp długości, a dwadzieścia szerokości; tu umieszczono między innemi 200 skrzynek, zawierających 2,300 naczyń szklanych, słoi i słoików, z alkoholem, odczynnikami mikrochemicznemi itd., nadto wyposażono pracownię w liczne, od najznakomitszych firm sprowadzone, mikroskopy, lupy, mikrotomy, termostaty itd., słowem najróżnorodniejsze przyrządy, niezbędne do badań naukowych dzisiejszemu biologowi. Nadto założono pomocnicze laboratorya chemiczne wraz z kompletnem atelier fotograficznem, ufundowano podręczną bogatą bibliotekę, złożoną z dzieł fachowych, wreszcie urządzono na okręcie odpowiedne akwarya w celu hodowania w nich organizmów, które w żywym stanie były-by z otchłani morskich wydobyte. A wreszcie zabrano olbrzymie sieci najrozmaitszych systemów, ołowianki do mierzenia głębokości morza wraz z urządzeniem, pozwalającem otrzymywać próbki namułu z największych głębi, dragi różnej konstrukcyi, tj. przybory służące do połowu zwierząt z dna morskiego, słowem najrozmaitsze przyrządy do połowu wraz z odpowiednemi szalupami, łodziami, linami i łańcuchami. Do spuszczania ciężkich sieci i drag, a co najważniejsza, do wydobywania ich z olbrzymich otchłani na powierzchnię okrętu wraz z ciężką ich zawartością, służyła specyalna lokomobila o sile osiemnastu koni parowych.

Dnia 21 grudnia 1872 r. wyruszył „Challenger“ w drogę, opuściwszy przed południem przystań Portsmouth. Długą jego drogę można podzielić na cztery oddziały. Po pierwsze bowiem trzymał się on zachodnich wybrzeży Hiszpanii, aż do Gibraltaru; stąd popłynął ku wyśpie Madeirze i wyspom Kanaryjskim, wpoprzek Atlantyku do wysp Antylskich; następnie na północ ku wyspom Bermudas; znów ku Madeirze i przylądkowi Zielonemu; ponownie po przez Atlantyk ku wschodnim brzegom Ameryki południowej i znów wpoprzek Atlantyku do Kapsztadu, gdzie zatrzymał się dłużej. To była jedna część podróży. Po drugie, wypłynął on stamtąd ku Kerguelenland, na wody antarktyczne, następnie skierował się na północo-wschód ku Australii, do Melbourne i Sydney, gdzie przez dwa miesiące pozostał. To była druga część wyprawy. Po trzecie popłynął z Sydney do Nowej Zelandyi, Nowej Gwinei, ku wyspom Filipińskim i Hongkong, napowrót do Nowej Gwinei, ku wyspom Sandwich, po przez Tahiti do Valparaiso i do cieśniny Magellana. Czwarta część podróży prowadziła z cieśniny Magellana przez Montevideo, wyspę Wniebowstąpienia, ku brzegom zachodnim Hiszpanii, z powrotem do Anglii. „Challenger“ przebył 791 dni na otwartem morzu, przepłynął 68,890 mil morskich, zużył 96,567 centnarów węgla, wykonał 370 pomiarów głębinowych za pomocą ołowianki, 255 pomiarów temperatury, 111 razy

zapuszczał dragę, oraz 129 razy sieć wielką. „Olbrzymi był materyał zdobyty, olbrzymie bogactwo nowoodkrytych postaci zwierzęcych—a z podróżą „Challangera“ rozpoczął się nowy rozdział w dziejach zoologii opisowej“ [1]).

Po tej wyprawie, największej i najznakomitszej ze wszystkich dotychczasowych, przedsięwzięto jeszcze kilka innych, które już przez to samo, że były późniejsze, nie dostarczyły tak olbrzymiej ilości nowych faktów, jak wyprawa „Challengera“, nie mniej przeto w nader wysokim stopniu przyczyniły się do rozszerzenia i pogłębienia wiedzy baty-biologicznej. Z tych wypraw zasługują na uwagę następujące. Pomiędzy r. 1875 a 1877, okręt amerykański „Blake,“ pod kierunkiem słynnego zoologa, Aleksandra Agassiza, zwiedzał w celach badań głębinowych zatokę Meksykańską, morze Karaibskie i inne morza amerykańskie. Podczas tej podróży udoskonalono metodę w używaniu dragi i ołowianki, a wynikiem jej było poznanie licznych nowych gatunków zwierząt, wskazujących, że jak na lądzie, tak i na dnie Oceanów, mogą istnieć w pewnych miejscowościach, mniej lub więcej odrębne fauny lokalne.

Inna wyprawa, pod kierunkiem znanego oceanografa, prof. H. Mohna, na norweskim okręcie „Voeringen“, zwiedziła pomiędzy rokiem 1876—78 wody podbiegunowe, pomiędzy Norwegią, Islandyą, wyspą Jan Mayen i Spitzbergiem. Znaleziono tu, w odległości dwudziestu pięciu mil geograficznych od wybrzeży Norwegii, wyżynę na dnie morskiem w głębokości 300 sążni, gdzie panuje temperatura 0 —1.6° C., a gdzie fauna jest nader swoista, czysto arktyczna, bez domieszek postaci południowych.

Wspomnieć jeszcze możemy o ekspedycyi w 1881, urządzonej przez rząd włoski pod kierunkiem zoologa, prof. Gigliolego, na parowcu wojennym „Washington“; w głębokości 3,115 metrów wykryto w morzu Śródziemnem, na południe od Sardynii, faunę, podobną do atlantycko-oceanicznej fauny głębinowej.

Odkrycia doniosłe, dokonane na polu baty-biologii przez Anglików, Amerykanów, Norwegów i Włochów, nie dały spokoju dumie narodowej Francuzów.

Francuscy biologowie zwrócili się do rządu swego z nawoływaniami w sprawie urządzenia wielkiej wyprawy baty-biologicznej, na wzór „Challengera“. Senior zoologów francuskich, badacz wszechświatowej sławy, prof. Henryk Milne-Edwards, wprowadził w czyn ów zamiar. Okręt „Travailleur“ wyruszył w r. 1880 na po-

[1]) W. Marshall „Die Tiefsee und ihr Leben“ 1888.

szukiwania pod kierunkiem młodego Milne-Edwardsa, syna Henryka; prace dokonane podczas trzykrotnej podróży „Travailleura“ przekonały uczonych francuskich, że na polu baty-biologii pozostaje jeszcze bardzo wiele do zrobienia. Wrótce też w r. 1883, uczeni ci wyprosili u rządu przeznaczenie dla nich większego parowca. Był nim okręt wojenny „Talizman“, a polem podróży były różne okolice Atlantyku, zwłaszcza zaś morze Sargassowe szczegółowo zostało zbadane.

Wyniki podróży „Travailleura“ i „Talizmana“, były bardzo świetne, znaleziono mnóstwo postaci poprzednio już złowionych podczas wyprawy „Challengera“, ale nadto odkryto ogromną ilość form nowych, zupełnie dotąd nieznanych.

Z innych wypraw wspomnimy wreszcie o austryackiej, na okręcie wojennym „Pola“, która przyczyniła się do znakomitego poznania fauny głębinowej morza Czerwonego; holenderskiej na okręcie „Siboga“ (pod kierunkiem prof. Webera), oraz o ostatniej, ponownej wyprawie amerykańskiej (1899 — 1900 r.), pod dyrekcyą profesora Agassiza, która zbadała faunę głębinową oceanu Spokojnego, pomiędzy zachodnim brzegiem Ameryki Środkowej, a wyspami Galapagos.

Laury wszystkich narodów podnieciły też i Niemców. „Przekonanie—powiada prof. C. Chun—że honor narodowy Niemiec wymaga współudziału ich na równi z innymi narodami kulturalnymi na polu badań baty-biologicznych, stało się wreszcie powszechnem“.

I oto cały szereg pierwszorzędnych powag naukowych w Niemczech, jak Virchow, Waldeyer, Lanckart, Chun i inni osiągają u rządu, iż tenże ofiaruje do użytku okręt „Valdivia“ wyznacza 300,000 marek na koszta wyprawy i w r. 1899 urządza na wielką skalę ekspedycyę w celu badania fauny głębin morskich. W wyprawie tej, którą kierował znakomity zoolog, prof. K. Chun, wziął udział cały sztab wybitnych i tęgich specyalistów, jak naprzykład: słynny botanik profesor Shimper, zoologowie prof. Apstein, prof. Braem, dr Brauer, bakteryolog dr Bachmann i inni. Okręt „Valdivia“ z maszyną parową o sile 1,400 koni, został odpowiednio przebudowany i przerobiony; urządzono w nim wygodne laboratorya naukowe, biologiczne i chemiczne, ustawiono maszyny parowe do wyciągania wielkich sieci i drag, słowem, jak na „Challengerze“, przygotowano wszystko do wielkiego zadania, jakie wyprawa miała spełnić. Podczas podróży zwiedzono północne części Atlantyku, okolice Kamerunu, południowe części Atlantyku, południowe morze Antarktyczne, Ocean Indyjski, Sumatrę, Nikobary, wyspy Maledywskie i Seyshelle oraz wschodnie wybrzeża Afryki. Po dziewięciomiesięcznej podróży powróciła „Val-

divia“ 1 maja 1899 do Hamburga, z niezwykle bogatym łupem naukowym, którego opracowaniem zajmuje się w tej chwili liczne grono badaczy. Tymczasową niejako wiadomość o świetnych rezultatach tej najnowszej wyprawy baty-biologicznej, przynoszącej prawdziwą chlubę nauce niemieckiej, podał prof. Chun w niedawno ogłoszonem, pięknem dziele, p. t. „Aus den Tiefen des Weltmeeres. Schilderungen von der Tiefsee-Expedition“, Jena 1900.

II.

Rozpatrzywszy pokrótce dzieje ważniejszych wypraw baty-biologicznych, postaramy się obecnie zapoznać czytelników z najgłówniejszemi wynikami odnośnych dociekań, a mianowicie z wynikami ogólnemi, które dla każdego są interesujące.

Przedewszystkiem powiedzieć jeszcze jednak muszę słów kilka o niektórych metodach technicznych,używanych podczas wypraw odnośnych.

Łowienie organizmów głębinowych połączone jest z niesłychanemi trudnościami. Bo proszę sobie tylko wyobrazić wielkie sieci osadzone na ramach żelaznych, po kilka metrów długości i szerokości mających, a spuszczane do sześciu tysięcy metrów i więcej w głąb morza, następnie zaś sieci te wyciągane na powierzchnię, pełne mułu, żwiru, kamieni, setek ryb i innych zwierząt. Jakiż to ciężar olbrzymi! Ą ciężaru takiego nie można wyciągać linami sznurowemi, lecz należy używać do tego celu lin splecionych z drutów stalowych. Otóż sama lina metalowa, na kilka tysięcy metrów długa, jakże olbrzymi stanowi ciężar! Rzecz naturalna, że wszystko to wymaga setek różnych skomplikowanych urządzeń i różnych szczegółowych systemów w konstrukcyi sieci, drag, w budowie owych lin i machin, służących do ich wyciągania. Dla tego też nie odrazu znane były wszystkie te metody; udoskonalano je powoli i stopniowo.

Ażeby dać czytelnikowi pojęcie o tych urządzeniach, opiszę w krótkości, jakie narzędzia zabrali z sobą uczestnicy ostatniej wyprawy na „Valdivii“. Dla zapuszczania sieci i drag, użyto liny stalowej 10,000 metrów. Lina ta, czyli kabel, składała się z dwóch części, jednej 6,000 metrów długiej i mającej 10 mm. średnicy, drugiej zaś 4,000 metrów długiej i o 12 mm. średnicy. Kabel ten nawinięty był na specyalnym, olbrzymim walcu. Nadto posiadano inne jeszcze, krótsze liny metalowe (kable), nawinięte na innych walcach.

Wielkie sieci głębinowe, zwane inaczej dragami lub „trawls," są najczęściej w ten sposób urządzane, że dwie wielkie, łukowato zakrzywione łyżwy żelazne połączone są silnemi poprzecznicami i umocowane za pośrednictwem liny na końcu kabla, a do tej oprawy żelaznej przytwierdzona jest workowata sieć olbrzymia, lejkowato się zwężająca ku dołowi, a mająca często kilkanaście metrów długości. Dragę taką spuszcza się na dno, a okręt powoli się porusza, wlokąc ją za sobą, przyczem sieć napełnia się mułem i tysiącami istot, od których roi się w głębiach morskich. Wyciąganie takiej naładowanej dragi odbywać się musi bardzo ostrożnie i połączone jest niejednokrotnie z wielkiem niebezpieczeństwem dla statku, zwłaszcza małego.

Można sobie wyobrazić niepokój, niecierpliwość zoologów, gdy draga z głębokości kilku tysięcy metrów powraca na pokład okrętu, i gdy do ustawionej pod nią kadzi wyrzucone zostaną bogate łupy, odsłaniające przed oczyma naturalistów największe tajniki otchłani morskich.

Ważne znaczenie mają tak zwane sieci pionowe (Verticalnetze), tj. wielkie sieci lejkowate, osadzone na okrągłej zwykle oprawie żelaznej, które, po spuszczeniu do głębin morskich, w kierunku pionowym zostają do góry wyciągane i w ten sposób chwytają wszystkie organizmy, na jakie natrafiają po drodze. Zawartość takich sieci pionowych nie daje naturalnie pojęcia o tem, jakie organizmy żyją w rozmaitych głębokościach, albowiem sieć chwyta tak postacie bardzo głęboko przebywające, jako też i te, które żyją w mniejszych głębinach, a nawet i blizko powierzchni. Daleko większe znaczenie mają przeto tak zwane sieci zamykające (Schliessnetze), szczególniej w ostatnich czasach udoskonalone. Można je za pomocą specyalnego mechanizmu, połączonego z kablem, w dowolnej chwili otwierać i zamykać. Spuszcza się ją więc do pewnej dowolnej głębokości, tu się ją otwiera, ciągnie do góry na pewną odległość i zamknąwszy, wyciąga na powierzchnię. W ten sposób w sieci zawarte będą organizmy tylko z pewnej określonej głębokości. Sieci takie przyczyniły się do poznania rozmieszczenia organizmów w kierunku pionowym, przekonano się bowiem, że w różnych głębokościach fauna mniej lub więcej jest odmienna.

Fauna głębin morskich jest znakomicie przystosowana do szczególnych warunków tam panujących, a warunki te są tak osobliwe, że nie dziw, iż fauna ta nosi pewne specyalne piętno.

I tak przedewszystkiem, co się tyczy temperatury, to im bardziej w głąb, tem zniża się ona coraz więcej, tak, że w głębokości

czterech tysięcy metrów, a często jeszcze mniejszej, trzyma się blizko zera.

Gdy na powierzchni morza w różnych strefach napotykamy gwałtowne różnice temperatury, w okolicach zwrotnikowych +32°C., w morzach biegunowych—3°C., to w wielkich głębokościach znikają te przeciwieństwa i wszędzie panuje zimno lodowe. Stosunki takie panują na otwartych oceanach. W morzu Śródziemnem natomiast obniżenie się temperatury ku głębiom jest zupełnie inne, albowiem tutaj, począwszy od tysiąca metrów głębokości, aż do znacznych bardzo otchłani, dosięgających czterech tysięcy, panuje jednostajna temperatura +13° C. Odpowiada ona przeciętnej najniższej temperaturze zimowej na powierzchni morza Śródziemnego. Przyczyna tej różnicy w Oceanie i morzu Śródziemnem polega na tem, że w cieśninie Gibraltarskiej znajduje się podwodna wyżyna, dosięgająca miejscami dziewięćdziesięciu metrów pod powierzchnią morza, a wskutek tego zimny, od bieguna płynący prąd podwodny Oceanu, nie może przeniknąć do zamkniętego łożyska morza Śródziemnego“ [1]).

Ze stosunków tych wynika oczywiście, że fauna wielkich głębin oceanicznych musi być zbliżona do fauny okolic podbiegunowych, gdzie temperatura wody jest również bardzo nizka, ale nie przeszkadza to wcale, aby fauna ta nie była bardzo bogatą, zarówno w otchłaniach, jak i w krainach podbiegunowych.

Inna ważna okoliczność, to olbrzymie stosunkowo ciśnienie, panujące w wielkich otchłaniach morskich, ciśnienie, o którem sądzić-by można na pierwszy rzut oka, że żadna istota żyjąca znieść-by go nie zdołała, a do którego naturalnie przedstawiciele fauny głębinowej doskonale muszą być przystosowani w całej swojej organizacyi. Wielkie tarcze korkowe, znajdujące się u wejścia do sieci, ciągnionych po dnie otchłani morskich, zmniejszają pod wpływem owego ciśnienia objętość swoją do jednej trzeciej, a tkanka ich staje się bardzo zbitą i twardą. Przedmioty drewniane, pozostające przez jakiś czas w tych głębinach, zmniejszają do połowy objętość swoją pod wpływem tegoż ucisku.

„Ciśnienie panujące w każdej dowolnej głębokości może być bardzo łatwo obliczone, ponieważ nasza jednostka wagowa, gram, odpowiada wadze jednego sześciennego centymetra wody przy czterech stopniach Celsyusza. Możemy dla dosyć dokładnego nawet obliczenia pominąć różnicę temperatury, oraz bardzo mały zresztą przyrost zgęszczenia wody, jakoteż nieco większy ciężar gatunkowy wody

[1]) Seeliger „Thierleben der Tiefsee“, 1901.

morskiej. Pomijając te względy, dojdziemy do wniosku, że na powierzchni jednego kwadratowego centymetra w głębości dziesięciu metrów ciśnienie znajdującego się nad nim słupa wody wynosi jeden kilogram, w głębości 4,000 metrów—400 kilogramów. A więc na powierzchnię dna, mającą jeden metr kwadratowy, ciąży w tej samej głębokości słup wody o wadze 4,000,000 kilogramów. A jeśli powierzchnia ciała ludzkiego wynosi dwa metry kwadratowe, to wywierane na nią ciśnienie wody w głębokości 4,000 metrów wynosiło-by 8,000,000 kilogramów. Ażeby mieć pojęcie, jak olbrzymim jest ten ciężar, porównajmy go z ciężarem pociągu kolei żelaznej silnie naładowanym. Jeżeli ciężar wagonu wynosi 8,000, a ładunek jego 15,000 kilogramów, lokomotywa zaś wraz tenderem waży 64,000 k., to 10 pociągów towarowych, z których każdy składa się 32 wagonów, posiadają ciężar odpowiadający ciśnieniu wody, wywieranemu na człowieka w głębokości 4,000 metrów“ [1]).

Na pierwszy rzut oka zdaje się niemożliwem, aby jakakolwiek bądź istota mogła żyć pod takiem ciśnieniem. Ale pamiętajmy o tem, że nie jest to ciśnienie jednostronne. Gdyby tylko z jednej strony, np. z góry działało takie ciśnienie olbrzymie, wówczas istoty głębinowe zostały-by w jednej chwili na miazgę zgniecione. Lecz ciśnienie rozchodzi się równomiernie na wszystkie strony, a więc i z góry i od spodu i z boków ucisk wywierany zostaje na wszelkie ciała w głębi pogrążone.

Z drugiej zaś strony pamiętajmy o tem, że ciało istot morskich zawiera wiele bardzo wody, która jest mało ściśliwa, że wszystkie tkanki przesiąknięte są wodą, że nadto wewnątrz ciała znajdują się przestrzenie wypełnione gazami. Nie dziwimy się wcale, że np. dany metr sześcienny wody w głębokości kilku tysięcy metrów nie zostaje zgnieciony pod wpływem olbrzymiego ciśnienia, wiemy bowiem, że na zasadzie praw hydrostatyki on sam wywiera takież ciśnienie na wodę otaczającą, jak i ta ostatnia na niego; ucisk i przeciwucisk, akcya i reakcya są takie same. Otóż to samo się dzieje, gdy zamiast, dajmy na to, owego metra wody znajdować się będzie jakieś ciało żyjące, którego ciężar gatunkowy zbliżony jest do ciężaru gatunkowego wody (niektóre organizmy morskie zawierają dziewięćdziesiąt i kilka odsetek wody w swem ciele). Owo ciśnienie olbrzymie nie działa przeto zabójczo na organizmy głębinowe, a drobne nieraz istotki, np. małe skorupiaki, mogą zupełnie swobodnie poruszać wiot-

[1]) Seeliger.

kiemi delikatnemi członkami swemi na dnie owych wielkich otchłani morskich.

Podobnie jak owe organizmy głębinowe przystosowane są do ciśnienia panującego w otchłaniach, tak i ustroje lądowe znoszą doskonale ciśnienie atmosfery, które wynosi również bardzo wiele, bo np. na metr kwadratowy powierzchni w pobliżu poziomu morza (przy stanie barometru 760 mm.), ciśnienie słupa atmosfery wynosi 10,000 kilogramów.

Ale podobnie jak organizm zwierząt lądowych, przystosowany do owego ciśnienia, nie może znieść znacznych jego zmian, szczególniej jeśli odbywają się one nagle, tak samo też, i w większym daleko stopniu, zwierzęta głębinowe nie znoszą zmian ciśnienia. Wiadomo, że podróżni, wznoszący się na bardzo wysokie szczyty, podlegają szczególnym przypadłościom (t. zw. chorobie górskiej), uwarunkowanym przez znaczne zmniejszenie się ciśnienia atmosferycznego; niebezpieczne pękanie drobnych naczyń krwionośnych i krwotoki towarzyszą często owym cierpieniom. Tak samo też zwierzęta głębinowe, wydobywane sieciami na powierzchnię, giną po większej części wskutek tego, że organizm ich nie jest przystosowany do tak małego stosunkowo ciśnienia zewnętrznego. Ryby opatrzone są, jak wiadomo, pęcherzem pławnym, który odgrywa rolę aparatu hydrostatycznego, napełniony jest bowiem gazem, a kurcząc się lub rozszerzając, przyczynia się do tego, że ciężar gatunkowy ciała ryby to się zmiejsza, to powiększa, co warunkuje wznoszenie się ryby lub pogrążanie. Otóż, gdy ryby ze znacznych głębin wydobywane zostają na powierzchnię, wówczas gazy owe, których ciśnienie w głębi wód równoważy się z ciśnieniem zewnętrznem, powodują obecnie pękanie gwałtowne ścianek pęcherza, przyczem następuje często rozrywanie się ścianek brzusznych. Łuski, które w głębiach morskich mocno są osadzone, wypadają zwykle u ryb na powierzchię wydobywanych, również wskutek zmniejszonego ciśnienia; nadto wewnętrzne ciśnienie gazów powoduje zwykle, że gałki oczne niemal wypadają z oczodołów i t. p.

Tkanki zwierząt głębinowych, wydobywanych na powierzchnię, są zwykle bardzo miękkie, mięśnie są nader wiotkie, jakby rozlewające się, gdy tymczasem w wielkich otchłaniach morskich, wobec olbrzymiego ciśnienia tam panującego, posiadają one niewątpliwie inną zupełnie konsystencyę. Wszystkie te fakta, niezmiernie interesujące ze stanowiska ogólno biologicznego, pokazują nam, że fauna głębinowa musiała się doskonale przystosować do swoistych warunków, panujących w otchłaniach.

Innym ważnym bardzo czynnikiem, warunkujących swoistość fauny głębinowej, są stosunki światła. Jak bowiem, wskutek rozpatrzonych wyżej warunków, w otchłaniach morskich panuje wieczna zima i brak zmiany pór roku, które tak wybitne wyciskają piętno na stosunkach organizacyi, tak też wskutek tego, że promienie światła nie przenikają do owych głębi wielkich, panuje tam wieczna ciemność, noc bezustanna. A wiemy, jak wielki wpływ wywiera na cały świat organiczny owa okresowa zmiana dnia i nocy. Tutaj przeto wobec wiecznie lodowego zimna i wobec bezustannych cieniów nocy, całe życie przyrody musiało się inaczej zupełnie ukształtować i w sposób swoisty przystosować do owych szczególnych warunków zewnętrznych.

Światło to jeden z najważniejszych czynników życia w przyrodzie. Pod jego-to wpływem przecie rośliny przyswajają sobie węgiel z powietrza, spotrzebowywany do budowy złożonych związków organicznych w ciele rośliny, służących za pokarm ustrojom zwierzęcym. Światło tedy, promienie słońca, to źródło życia na ziemi. Czyż nie jest to zatem ze wszech miar interesujące, w jaki sposób ukształtowało się tak bogate życie organiczne w owych bezdnach morskich, kędy życiodajny promień słońca przeniknąć nie jest zdolen!

Przedewszystkiem atoli zachodzi pytanie, jak daleko w głąb morza przenikają promienie słońca i w jaki sposób badacze mogą się o tem przekonać?

Głębokość, do jakiej światło przenika, zależy od najrozmaitszych warunków. W dnie pogodne i jasne promień sięgnie naturalnie dalej w głąb, w dnie pochmurne przeniknie do mniej znacznej głębokości; następnie zależy to również od tego, czy powierzchnia wody jest spokojna i gładka, czy też wzburzona, a wreszcie od tego, czy woda jest mniej czy więcej przezroczysta, tj. czy zawiera mniej lub więcej ciałek obcych, w niej zawieszonych i powodujących jej mętność.

Badania odnośne, przeprowadzano początkowo w sposób dosyć pierwotny, gruby. Spuszczano na linach wgłąb morza pewne przedmioty, np. wielkie, jasne tafle marmurowe dopóty, dopóki nie znikały one zupełnie z przed oczu obserwatorów. Z długości liny wnioskowano, jak głęboko promienie światła przenikają wgłąb wody. Metoda ta nie dawała, rzecz naturalna, wyników nawet w przybliżeniu dokładnych. Doświadczenia takie czynili w swoim czasie na morzu Adryatyckiem i Jońskiem dwaj uczeni niemieccy: Wolff i Luksch, na okręcie austryackiem „Hertha“. Pragnąc się dowiedzieć, czy wszystkie rodzaje promiemi światła słonecznego w jednakowym stopniu wgłąb morza przenikają, pogrążali oni następnie tafle różnobar-

wne: białe, błękitne, zielonawe i t. p. i doszli do wniosku, że np. tafle białe niewidoczne są, począwszy od głębokości 48.11 metrów, błękitne od 37.01, zielone od 30.01 m. itd.

Daleko dokładniejszą metodą posługiwali się słynni zoologowie szwajcarscy, Herman Fol, oraz P. Sarassin. Użyto czułych płyt fotograficznych, które były zamknięte bardzo szczelnie w kasetkach; kasetki spuszczano do odpowiedniej głębokości, tam za pomocą automatycznego przyrządu otwierano je, wystawiając płyty na działanie światła, poczem, gdy kasetki znów automatycznie się zamykały, wydobywano na powierzchnię morza. O ile tedy w danej głębokości znajdowało się światło, działanie jego mogło być doskonale zauważone przez reakcyę na czułe płyty fotograficzne. Metoda użyta przez powyższych uczonych, jakkolwiek w zasadzie dobra, wymagała jeszcze bardzo licznych udoskonaleń i poprawek.

Ulepszenia tego dokonał Peterson w części wspólnie z C. Chunem, zbudowawszy bardzo czuły „fotomert głębinowy.“ W opis tego przyrządu wchodzić tu nie mogę, zaznaczę wszelako, że wymagał on nader wielkiej pomysłowości, bo naprzód chodziło o dokładny automatyzm w otwieraniu i zamykaniu kasetki w określonej chwili i na określony przeciąg czasu, następnie o dokładne wyłączenie działania wody morskiej na czułą płytę fotograficzną, które to działanie mogłoby zatrzeć wpływ samego tylko światła, a o ten wpływ jedynie chodziło w tych doświadczeniach. Wszystkie te trudności zostały szczęśliwie usunięte. Peterson przekonał się, że płyty w głębokości 500—550 metrów, po półgodzinnej ekspozycyi, bardzo wyraźną okazywały reakcyę, że więc aż do tej głębokości w przeciwstawieniu do dawnych spostrzeżeń Wolffa i Luksch, promienie światła przenikają częściowo do otchłani morskich.

Doświadczenia Petersena i innych badaczy, w tym samym kierunku prowadzone i do takichże wniosków dochodzące, nie były jednak przekonywające dla wszystkich. Niektórzy rozumowali w sposób następujący. Najczulsze płyty fotograficzne sporządzone bywają nie w ciemności bezwzględnej, lecz w świetle rubinowo czerwonem, które, jakkolwiek bardzo słabe, pozwala jednak widzieć odnośnemu pracownikowi. Otóż sądzono, iż być może, że i w otchłaniach morskich panuje światło rubinowo-czerwone, na które właśnie płyty fotograficzne są nieczułe.

Niektórzy poeci (np. Schiller), wyobrażali sobie, że w głębinach morskich panuje „ciemność purpurowa“, a i naturaliści niektórzy, np. Haeckel i Al. Agassiz, przypuszczali, że w pewnej głębokości morza panuje światło czerwono-żółtawe. Późniejsze atoli badania nad absorb-

cyjnemi własnościami wody morskiej wykazały najzupełniejszą bezzasadność podobnych przypuszczeń.

A mianowicie, wiadomo, że cienkie warstwy wody wydają się zupełnie bezbarwnemi w świetle padającem i przechodzącem; przepuszczają one wszystkie promienie białego światła w stopniu jednakowym. Ale grubsze warstwy, począwszy już od 180 centymetrów grubości, nie przepuszczają równomiernie tych promieni. Światło fioletowe przechodzi prawie nieosłabione (95.1%), czerwone już w połowie osłabione (49.3%). Czerwone, pomarańczowe, żółte promienie zostają daleko silniej pochłaniane, czyli absorbowane przez wodę, aniżeli promienie przeciwległego końca widma, tj. zielone, niebieskie, fioletowe, a wskutek tego grubsze warstwy wody okazują w świetle przechodzącem zabarwienie niebieskawe lub błękitno-zielone. Jeżeli w błękitnem morzu zwrotnikowem—mówi Seeliger—pogrążać będziemy wielkie białe tarcze, to okażą się one naprzód zielonawemi, następnie błękitnemi; później coraz to ciemniejszej barwy, aż wreszcie w odbitym błękicie morskim znikną zupełnie dla naszego oka. Nurkowi, pogrążonemu w morzu na trzydzieści metrów, wydaje się wszystko w barwie błękitnej, a w miarę jak się on wynurza, przedmioty w powietrzu wydają mu się czerwonemi przez kontrast z barwą błękitną, do której jego oko się przyzwyczaiło.

Fakt, że woda łatwiej przepuszcza promienie niebieskie, niż czerwone, tłómaczy nam między innemi, dlaczego np. słynna grota na wyspie Capri bywa przy pewnych warunkach tak cudownie oświetlona niebiesko. Grota ta—mówi Seeliger—ma tylko bardzo mały dostęp ponad wodą, ku dołowi zaś rozszerza się i znacznie pogłębia. Otóż przy pewnych warunkach grota oświetlona bywa głównie przez promienie, które z zewnątrz przybywają i przechodzą przez błękitną wodę morską. W promieniach tych, jak to wykazały badania widmowe, brak zupełnie barwy czerwonej, barwa żółta jest bardzo blada, a cała przestrzeń oświetlona jest przeto jakby przez światło niebieskie.

Verril, zasłużony badacz francuski na polu batybiologii, twierdzi, że do największych nawet głębokości docierają promienie niebieskie i zielone i że w otchłaniach panuje przeto słabe oświetlenie—rodzaj półzmroku—niebieskawo-zielonego. Przypuszcza on, że z poglądem, jakoby tam panowała absolutna ciemność, pozostaje w sprzeczności fakt, iż liczne zwierzęta głębinowe posiadają oczy bardzo dobrze wykształcone. Dalej, przypuszcza on, iż zabarwienie zwierząt głębinowych odpowiada dobrze takim warunkom. Zwierzęta otchłani morskiej mają po największej części barwy purpurowe, pomarańczowe, żółte, a ponieważ te właśnie promienie zostają pochłaniane przez wodę, rzecz naturalna, że zwierzęta te są w głębiach morskich

ciemne lub całkiem czarne, że mają tam zatem ochronne ubarwienie, przystosowane do panującego tamże półzmroku.

Inni wszakże badacze, opierając się na wyżej przytoczonych doświadczeniach Fola i Sarassina, oraz Petersena, przypuszczają, że tylko w głębokości kilkuset metrów istnieje światło niebieskawo-zielonawe, w wielkich zaś otchłaniach, sięgających tysiąca metrów i więcej, panuje już ciemność, że tam nie docierają żadne absolutnie promienie światła słonecznego. Seeliger sądzi, że już, począwszy od 550—600 metrów głębokości, ustaje wszelkie oświentleie przez promienie słońca.

Te szczególne warunki musiały okazać znaczny bardzo wpływ na ukształtowanie fauny głębinowej. Przedewszystkiem, co się tyczy ubarwienia, to nosi ono pewien bardzo swoisty charakter. Wszystkie istoty głębinowe są barwy czerwonej, purpurowej, pomarańczowej lub zupełnie czarnej. Jak już zaznaczyliśmy, ubarwienie takie jest dla nich ochronne, ponieważ w pewnych głębokościach panuje jeszcze półzmrok niebiesko-zielonawy i wcale nie dochodzą tam promienie czerwono-pomarańczowe. Barwa przedmiotu pochodzi stąd, że powierzchnia jego pochłania jedne promienie, odbija zaś drugie. Jeżeli np. przedmiot jaki jest pomarańczowy, to znaczy, że pochłania on wszystkie inne promienie, z których składa się biały promień słoneczny, z wyjątkiem pomarańczowych, które od jego powierzchni się odbijają. Ale jeżeli przedmioty czerwono-pomarańczowe znajdują się w miejscu, gdzie promienie tej barwy nie dochodzą, wówczas wydadzą się nam one, naturalnie, zupełnie szare, ciemne, lub nawet czarne. A więc monotonne, czerwono-purpurowe ubarwienie zwierząt głębinowych jest dla nich ochronnem, podobnie jak ochronnemi są szare, ciemne barwy u naszych zwierząt, o zmierzchu na żer wychodzących. A nawet i w największych głębokościach, gdzie już żadne nie dochodzą promienie słońca, ubarwienie takie jest ochronne, ponieważ znajdujące się tam inne źródła światła, mianowicie zwierzęta fosforyzujące, wydają światełka błękitnawe. Barwy czerwonawe lub pomarańczowe posiadają gąbki głębinowe, tworzące tu i owdzie całe gęstwiny, pośród których tysiące innych zwierząt znajdują przytułek, dalej— polipy, liczne szkarłupnie, jak rozgwiazdy, jeżowce i niektóre liliowce, wreszcie większość skorupiaków i niektóre ryby; przeważna jednak ilość ryb ma ubarwienie całkiem czarne lub ciemno szare. Większość liliowców z rodzaju Pentacrinus posiada barwę zielonawą, a tworząc tu i owdzie na dnie morskiem rozległe kobierce, wiotkiemi i pięknemi swemi postaciami, gęsto obok siebie do gruntu przytwierdzone, zastępują tu one niejako szatę zieloną roślin, których w ogóle zupełnie brak w wielkich otchłaniach morskich z powodu braku światła, niezbędnego roślinom zielonym do życia.

A więc jednym z czynników, który spowodował owo specyalne ubarwienie monotonne u znacznej większości zwierząt głębinowych, jest niewątpliwie dobór naturalny i zasada ubarwienia ochronnego. Innym czynnikiem był tu też zapewne dobór płciowy. Wiadomo, że najrozmaitsze barwy i rysunki barwne, częstokroć bardzo pstre i jaskrawe, jakie napotykamy np. u wielu ptaków, gadów, płazów, ryb i owadów, w ogóle u wszystkich niemal gromad zwierząt, powstały niewątpliwie dzięki zasadzie doboru płciowego. Albowiem samice dają zawsze pierwszeństwo samcom jak najpiękniej i najjaskrawiej ubarwionym, te przeto mają największe szanse pozostawienia potomstwa i przekazania mu cech swoich, które w szeregu pokoleń coraz bardziej się nagromadzają i potęgują w kierunku estetycznym. Ale tak się może dziać tam, gdzie owe barwy i rysunki piękne występują w promieniach słońca. W półzmroku zaś otchłani morskich byłoby to zbyteczne, a stąd jednostajność w ubarwieniu ciała.

Wreszcie i trzeci czynnik był niewątpliwie miarodajnym w kształtowaniu się owego swoistego ubarwienia fauny głębinowej, a mianowicie bezpośrednie działanie warunków zewnętrznych. Wiadomo, że skóra ludzka, wystawiona tylko krótki czas na częste działanie promieni słońca, zmienia barwę (piegi, opalenie twarzy), gdyż promienie te pobudzają do energiczniejszego wytwarzania się w niej pewnych barwików. A jakiż dopiero potężny musi być ów wpływ bezpośredni słońca na ubarwienie istot, stale, w ciągu tysiącoleci, w ciągu olbrzymiego szeregu pokoleń, podlegających pewnym szczególnym warunkom oświetlenia. Otóż nie ulega wątpliwości, że jednym z ważnych, jeśli nie najważniejszym czynnikiem, jaki wywołał owo szczególne, jednostajne ubarwienie u przedstawicieli fauny głębinowej, jest właśnie ów swoisty charakter światła w głębiach morskich, lub zupełny brak jego w wielkich otchłaniach.

Nie wszystkie atoli postacie głębinowe mają ubarwienie czarne lub czerwonawe. Są i takie, zwłaszcza pomiędzy skorupiakami, robakami i mięczakami, u których barwik w skórze wcale się prawie nie rozwija, podobnie jak u wielu zwierząt, zamieszkujących ciemne groty; istoty takie są zupełnie prawie przejrzyste, jakby ze szkła ulane.

Inna, ważna bardzo właściwość przedstawicieli fauny głębinowej, związana z brakiem światła słonecznego, polega na zdolności tych istot świecenia własnem światłem fosforycznem.

Każdy, kto przebywał dłuższy czas nad morzem, miał niewątpliwie sposobność podziwiania nocą cudownego zjawiska fosforescencyi, kiedy całe morze staje jakby w srebrzystych płomieniach, kiedy za pluskiem wioseł sypią się z fal iskry tysiączne, a przy uderzaniu o brzegi miliony świateł wydobywają się ze spienionych bałwanów. Zjawi-

sko to bywa szczególniej wspaniałe w morzach podzwrotnikowych, podczas cichych, spokojnych nocy; zdaje się wówczas, że cały ocean stoi w płomieniach, a na pokładzie okrętu tak jest widno, że można czytać druk najdrobniejszy. Światło to produkują liczne bardzo istoty morskie, t. zw. zwierzęta fosforyzujące. Do najbardziej znanych należy t. z. nocoświetlik (*Noctiluca miliaris*), istota jednokomórkowa[1]), żyjąca gromadnie, całemi miliardami, tak, że, czerpiąc wodę morską szklanką, widzimy w niej okiem nieuzbrojonem całe obłoki tych drobnych istot; pospolita jest ona między innemi na morzu Czarnem, gdzie badał ją znakomity botanik polski, prof. Cienkowski. Ale i liczne inne istoty morskie mają zdolność wydawania światła fosforycznego, zwłaszcza liczne meduzy, szkarłupnie, niektóre osłonice, robaki, mięczaki i ryby.

Jeżeli jednak śród przedstawicieli fauny pelagicznej, t. j. żyjącej blizko powierzchni wody, oraz w nieznacznych głębokościach, liczba zwierząt fosforyzujących jest stosunkowo niewielka; to im bardziej posuwamy się w głąb, tem ilość ich wzrasta, tak, że wreszcie w wielkich otchłaniach, kędy już promień słońca dotrzeć nie może, fosforenscencya jest zjawiskiem bardzo powszechnem. Świecą tam liczne bardzo ryby, liczne skorupiaki, głowonogi, robaki, szkarłupnie i jamochłony; niema tu prawie mniejszej grupy zwierząt, do której nie należało-by kilka przynajmniej rodzajów fosforyzujących. Organa, do tego celu służące, są też u nich bez porównania silniej wykształcone, niż u zwierząt, zamieszkujących płytsze okolice morza.

Niema wątpliwości, że fosforescencya, tak bardzo rozpowszechniona u zwierząt otchłaniowych, służy im do rozpraszania ciemności. Zwierzę, opatrzone organami fosforyzującemi, oświeca sobie drogę w ciemności, może łatwo zauważyć zdobycz, na którą czatuje, i łatwiej też spostrzedz może wroga, dla siebie niebezpiecznego. Światło to służyć może nadto obu płciom do poszukiwania się wzajemnego. Że fosforescencya przynosi zwierzętom głębinowym przedewszystkiem pożytek przy zdobywaniu pokarmu, świadczy o tem samo umiejscowienie organów odnośnych. Najczęściej widzimy je na głowie, przyczem u wielu skorupiaków i ryb oczy tak są umieszczone, iż na przedmioty, oświetlone przez organa fosforyzujące, pada bezpośrednio wzrok danego osobnika; rzecz naturalna, że dla poszukiwania pokarmu ma to doniosłość ogromną, zwierzę bowiem, posuwając się po dnie morskiem, oświeca sobie samo drogę i widzi doskonale oświetloną przez się powierzchnię. U niektórych ryb występują bardzo osobli-

[1]) Należy do gromady t. zw. wiciowców (*Flagellata*).

we organa świecące; np. u ryby *Eustomias obscurus* zwiesza się ze szczęki dolnej jakby latarka mała, gruszkowate zgrubienie na końcu długiego sznurka, świecące bardzo silnie i usiane jeszcze licznemi wyniosłościami pręcikowatemi, które również światło wydają; ta ruchoma latarka oświetla doskonale rybie drogę śród ciemności nocy.

U innych ryb znajdujemy nietylko na głowie organa świecące, ale i w innych miejscach, mianowicie szeregi świetlnych plam z boków przez całą długość ciała. Można sobie wyobrazić, jak pięknie wygląda taka istota, usiana plamami, świecącemi blaskiem srebrzysto-błękitnawym na tle czarno-aksamitnej powłoki ciała.

U niektórych ryb głębinowych oczy zanikają, a w ich miejscu znajdują się wielkie tarcze wgłębione, świecące silnie, jak reflektory, metalicznym blaskiem fosforyzującym.

Co do oczu postaci głębinowych, to pod tym względem występują dwie ostateczności, na pierwszy rzut oka bardzo dziwne i sprzeczne, ale łatwo objaśnić się dające. Otóż jedne postacie skorupiaków i ryb posiadają oczy bardzo wielkie, inne są zupełnie ślepe. Istoty z zanikłemi oczami znane są nietylko pośród fauny głębinowej; w wielu grotach i jaskiniach, do których światło nigdy nie przenika, żyją np. liczne gatunki ślepych ryb i skorupiaków. Zanik oczu u zwierząt takich można sobie łacno objaśnić przez działanie doboru naturalnego, który nietylko zachowuje w organizmach części pożyteczne, ale usuwa nadto części zbyteczne, niepotrzebne, a do takich należą przecież oczy u zwierząt, zamieszkujących miejscowości ciemne. Zasada używania i nieużywania organów oraz bezpośredni wpływ warunków zewnętrznych odgrywa też rolę doniosłą. Ale dlaczego u niektórych postaci głębinowych, zwłaszcza u ryb, oczy są nadzwyczaj wielkie, o wiele znaczniejszych wymiarów, niż u blizko pokrewnych form, płytsze zamieszkujących okolice?

Otóż przyjrzyjmy się oczom niektórych zwierząt, o zmierzchu żerujących, lub nocami za zdobyczą się uganiających. Sowa np. i inne ptaki nocne mają oczy bardzo wielkie, a szczególniej małpozwierze (*Lemuridae*), nocne zwierzęta, zamieszkujące wyspę Madagaskar oraz sąsiednie wybrzeża Afryki, posiadają oczy ogromne, nadające im wygląd jakby upiorów nocnych (np. *Tarsius spectrum* i inne). Im większa jest gałka oczna, im większy otwór źrenicy, tem więcej promieni światła do oka przenika; rzecz przeto naturalna, że o zmroku, kiedy światła jest bardzo mało, za pomocą wielkich, silnie rozwiniętych oczu zwierzę jest jeszcze w stanie widzieć nieźle, ale oko małe na nic mu się prawie przydać nie może. Oto przyczyna, dla której zwierzęta głębinowe mają oczy albo bardzo wielkie, albo też zupełnie zanikłe. Jeżeli bowiem warunki wewnętrzne, zależne od wewnętrznych

procesów fizyologicznych, jako też czynniki zewnętrzne pozwoliły wykształcić się silnie oczom bez uszczerbku dla organizmu, jako całości, wówczas organa wzrokowe osiągnęły wysoki stopień rozwoju i spełniają swe czynności należycie. Jeżeli natomiast czynniki wewnętrzne i zewnętrzne, komplikujące się bardzo wzajemnie i współzależnie, nie pozwoliły na tak silny rozwój tych organów, wówczas, nie mogąc się przystosować do warunków i nie spełniając należycie czynności swoich, zanikły one, a w ich miejsce rozwinęły się inne organa, mianowicie szczególne narządy dotykowe, które zastępują zwierzętom brak oczu i pozwalają im snadnie inną drogą szukać pożywienia i unikać nieprzyjaciół. Że takie objaśnienie jest usprawiedliwione, dowodzą tego liczne fakta. U niektórych zwierząt lądowych, np. u naszych nietoperzy, u których oczy są stosunkowo słabo rozwinięte, potężnie się wykształciły różne organa dotykowe, umiejscowione na błonie lotnej oraz na różnych wyrostkach skóry w okolicy nosa, uszu i otworu ust. U zwierząt głębinowych, oczu pozbawionych, istnieją także liczne narządy dotykowe, znakomicie wykształcone. Nadto znamy niektore rodzaje ryb głębinowych, a zwłaszcza skorupiaków, pośród których rozmaite gatunki okazują różny stopień rozwoju organów wzrokowych. Np. pewne skorupiaki, zamieszkujące okolice średniej głębokości, mają oczy bardzo wielkie, na ruchomych słupkach osadzone; blizko pokrewne im postacie, głębiej żyjące, posiadają oczy nieco już uwstecznione; inne formy, zamieszkujące jeszcze głębsze krainy, mają już same słupki, a oko jest całkiem uwstecznione, co można porównać np. do lunety, w której zanikły szkła, a pozostała sama tylko rura metalowa, jako szczątek przyrządu optycznego.

Powiedzieliśmy, iż niektóre ryby głębinowe wydają światło fosforyczne, lecz pozbawione są oczu, które zamieniają się czasami w tarcze fosforyzujące, a nie służą już wcale do widzenia. Otóż, jak objaśnić takie fakta ze stanowiska doboru naturalnego? Do czego służy tym zwierzętom zdolność rozpraszania sobie ciemności, jeśli nie mają one zupełnie organów wzrokowych. I te fakta można, sądzimy, objaśnić przez zasadę walki o byt i doboru. Wiemy bowiem, że na liczne drobne istoty światło działa jakby hypnotyzująco, zmusza je do ruchu w kierunku określonym. Któż z nas nie widział, jak do palącej się lampy w altanie ogrodowej zlatują się liczne ćmy, pomimo, że często giną lub przynajmniej opalają sobie skrzydła. Otóż to zjawisko heliotropizmu dodatniego, czyli ruchu w kierunku źródła światła, tyczy się też wielu istot morskich. Niewątpliwie przeto drobne skorupiaki, robaki i inne jestestwa, widząc w głębiach tarcze

świecące, zlatują się ku nim, a ryba, za pomocą narządów dotykowych uwiadomiona o ich obecności, znajduje pokarm obfity.

Co się tyczy owych organów dotykowych, to są one, jak powiedzieliśmy, bardzo silnie wykształcone u ryb, skorupiaków i robaków głębinowych. Dokoła otworu ust występują często u ryb długie macki i czułki. Skorupiak czerwonobarwny *Nematocarcinus gracilipes* ma czułki nitkowate, bardzo długie i cienkie, przewyższające blizko cztery razy długość całego ciała, a zarówno też długie bardzo i cienkie kończyny. Ślepy skorupiak *Galathodes Antonii*, wyłowiony przez Chuna z głębokości 4,200 metrów, ma również niezwykle długie, cienkie czułki i wydłużone odnoża, oraz obfituje w liczne szczecinki dotykowe na całem ciele.

U zwierząt, żyjących w miejscach płytkich, takie długie bardzo, wiotkie i delikatne czułki, oraz odnoża utrudniały-by w wysokim stopniu ruchy, albowiem fale morskie i prądy nie pozwoliły-by tym istotom ustać na miejscu, ani też płynąć swobodnie. Tu zaś, w wielkich otchłaniach, gdzie obok lodowego zimna i czarnych cieniów nocy panuje też cisza grobowa, gdzie żadnych niema prądów, żadnego ruchu wody, gdzie spokój niemal panuje absolutny, zwierzęta mogą, jak na szczudłach posuwać się za pomocą wiotkich, długich, cienkich czułków i odnoży po grubej warstwie namułu, pokrywającego dno morskie.

Swoiste warunki w głębinach morza, tak bardzo różne od wszelkich innych, wpłynęły pod rozmaitemi względami modyfikująco na faunę odnośną. Oprócz wymienionych wyżej właściwości budowy można jeszcze inne przytoczyć, wszystkie jako wyraz znakomitego przystosowania się. Tak np. ostatnia ekspedycya na okręcie „Valdivii“ pod kierunkiem prof. Chuna wykryła w otchłaniach morskich pewne gatunki nieznanych dotąd ryb, u których wielkie oczy osadzone są na bardzo długich ruchomych ramionach po bokach głowy, poruszając temi ramionami, ryba może kierować swe oko ku różnym szczelinom lub zakątkom. Niewątpliwie pozostaje to w związku z rozbójniczym sposobem życia zwierząt otchłaniowych.

U niektórych kręgowców, zwłaszcza zaś u pewnych gadów (jaszczurkowatych) wykryto t. zw. organ ciemieniowy, nieparzysty narząd, mieszczący się na czole, a posiadający budowę bardzo podobną do oczu. U jaszczurki z rodzaju Hattieria znajdujemy w tym organie soczewkę, jak w oczach, barwnik ciemny i zakończenia nerwowe, podobne do tych, jakie znajdują się w siatkówce oka. Dla tego też nazwano ten organ okiem nieparzystem, albo okiem ciemieniowem lub czołowem. Niewiadomo, czy zwierzęta widzą za pomocą tego organu, gdyż jest on zasłoniony skórą, wprawdzie cienką w tem miejscu. Być może, że narząd ten spełnia jeszcze jakieś inne czynności, bliżej

nam nieznane. Przekonano się dalej, że zawiązek owego oka nieparzystego występuje u wszystkich kręgowców w stanie zarodkowym, ale u większości nie wykształca się w organ do oka podobny, lecz tworzy utwór szczątkowy, zwany gruczołkiem szyszkowym (*glandula pinealis*), a pozostający przez całe życie w związku z mózgiem, z którego powstaje (produktem mózgu w zarodku są też najważniejsze części w oczach parzystych, a mianowicie siatkówka i nerw wzrokowy).

Otóż u niektórych ryb głębinowych, jak przekonano się podczas wyprawy „Valdivii", występuje również doskonale rozwinięte oko nieparzyste, jako wypukły utwór na czole. Dotychczas nie zbadano jeszcze dokładnie budowy tego organu, ale obecność tak zagadkowego wogóle utworu u ryb głębinowych jest faktem bardzo interesującym, który przyczyni się, być może, do wyjaśnienia jego genezy.

W wielkich otchłaniach brak zupełnie roślin, wszystkie zwierzęta wiodą tu więc życie rozbójnicze. Śród tej ciszy grobowej, zimna lodowego i ponurych cieniów, wre walka straszna pomiędzy tysiącami istot, zamieszkujących otchłanie morskie. Cała organizacya mieszkańców tych krain dowodzi, że są to postaci drapieżne i rozbójnicze. Skorupiaki posiadają bardzo często odnoża opatrzone kleszczami, hakami lub sztyletami. U niektórych ryb głębinowych paszcza jest rozwinięta tak potężnie, że zajmuje połowę całego ciała. Cała ryba, to zda się jedna tylko paszcza, a silne zęby haczykowate stanowią broń straszną i niezawodną.

III.

Pozostaje nam omówić jedną jeszcze kwestyę, a mianowicie, czem żywią się zwierzęta głębinowe? Na lądach, w wodach słodkich i w nieznacznych głębinach, w morzu, obok świata zwierzęcego, rozwija się bujnie roślinny. W ekonomii przyrody ten świat drugi odgrywa rolę bardzo doniosłą, albowiem roślina czerpie pożywienie ze świata mineralnego, węgiel z powietrza przez proces przyswajania (assymilacyi), a inne pierwiastki z wody i gruntu. Z pobranych pierwiastków budują się w niej złożone związki organiczne, a zwierzę karmi się ciałem roślinnem i to gotowe połączenie organiczne wprowadza do swego ustroju. Nie możemy sobie tedy wyobrazić życia zwierząt bez roślin, które są niejako pierwszymi w przyrodzie pionierami w wytwarzaniu materyi organizowanej.

Ale oto w otchłaniach morskich poniżej 550 metrów, niema już roślinności; od tych głębokości, aż do olbrzymich otchłani, na kilka tysięcy metrów wgłąb sięgających, panuje już tylko świat zwierzęcy. Otóż jak się tu odbywa wielka przemiana materyi w przyrodzie ustrojowej? Musimy przyjąć, że, po pierwsze: zwierzęta, żyjące w głębiach średnich, np. kilkaset metrów pod powierzchnią, odżywiają się w znacznej części roślinami, które tworzą całe gęstwiny i olbrzymie nieraz zajmują przestrzenie podwodne. Część tych zwierząt jest tedy roślinożerna, część zaś mięsożerna, żywiąca się istotami roślinożernemi. Zwierzęta, żyjące jeszcze głębiej, są już skazane wyłącznie prawie na pokarm zwierzęcy; silniejsze pożerają słabsze, które niewątpliwie tylko przez nader wielką płodność nie ulegają zupełnej zagładzie. Wreszcie, w wielkich otchłaniach znajdują się już wyłącznie postacie mięsożerne, a główny kontyngens ofiar ich stanowią postacie, które z wyższych nieco sfer wody zapuszczają się nieostrożnie ku owym otchłaniom bezdennym. Zdaje się więc prawie pewnem, że zwierzęta płytszych krain morskich dostarczają pokarmu tym, które w głębszych żyją piętrach i tak stopniowo coraz głębiej, aż do największych otchłani. Nadto istoty głębinowe znajdują pożywienie dla tego, że wszystko, co w oceanie zamiera, a więc trupy wszystkich roślin i zwierząt opadają na dno do owego dziwnego grobu, który roztacza swe panowanie w zimnych otchłaniach, a w którym inne życie ze szczątków dawnego bierze znów początek. Przypomnijmy sobie tylko, ile organicznych substancyi wprowadzają rzeki wielkie do oceanów, rzeki, przepływające przez miasta ludne, przez pierwobory i lasy; cała ta masa substancyi organicznej, zarówno jak i martwe ciała milionów zwierząt i roślin morskich, lub przynajmniej szczątki ciał tych, wszystko to dostaje się ostatecznie na dno mórz, dostarczając w części pożywienia ustrojom najniższym, jednokomórkowym, któremi karmią się z kolei twory wyższe. Nie ulega też wątpliwości, aczkolwiek dotychczas badania w tym kierunku są niedostateczne, że na dnie otchłani morskich żyją liczne drobnoustroje, bakterye, a te są przecie ustrojami roślinnemi, najniższej organizacyi. Liczne zaś mikroorganizmy, jak np. Nitromonady, odkryte przez profesora Winogradzkiego, mają zdolność żywienia się wyłącznie materyałem nieorganicznym, mianowicie węglanem amonowym i innemi solami, w przeciwstawieniu do innych bezchlorofilowych drobnoustrojów, np. pleśni, które wymagają pożywienia organicznego. Otóż bardzo jest prawdopodobne, że i w otchłaniach morskich żyją drobnoustroje w rodzaju nitromonad. Czerpią one bezpośrednio pożywienie ze świata mineralnego, podobnie jak rośliny zielenią czyli chlorofilem opatrzone, które z powodu braku światła nie mogą żyć w otchłaniach. Drobnou-

stroje te służą następnie za pokarm innym, wyższym już organizmom, wymagającym pożywienia organicznego.

Świat ustrojów otchłaniowych przedstawia więc pod każdym względem dla badacza życia nieskończoną różnorodność problematów; świat ten będzie przez długie lata przykuwał do siebie uwagę biologów, bo istotnie jest on ze wszech miar interesujący. Ile warunków rożnorodnych w przyrodzie, tyle różnych postaci życia, które przejawia się w niezliczonych kombinacyach, zawsze wielkie, zawsze tajemnicze!

Prof. Dr. Józef Nusbaum.

NIEZNANE LISTY JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

Pomiędzy rozmaitymi listami, pisanymi do Zygmunta Krasińskiego w pamiętnym r. 1846, znalazły się trzy listy Juliusza Słowackiego. Z tych tylko pierwszy znany był już dawniej i wydany na podstawie brulionu, w drugim tomie „Listów Juliusza Słowackiego“ (drugie wydanie, Lwów, 1883, II, str. 248—251), bez daty i bez zakończenia, które tu podajemy po raz pierwszy według autografu. Dwa inne listy Juliusza Słowackiego całkiem były dotychczas nieznane. Dla łatwiejszego ich zrozumienia należało-by odczytać przedtem współczesny list Słowackiego do matki (tamże, str. 165 — 168).

Listów Zygmunta Krasińskiego do Juliusza Słowackiego z tych czasów nie mamy; trudno zatem dokładnie scharakteryzować wymianę myśli poważnych, duchowe spotkanie dwu tytanów poezyi naszej.

Po kilkuletniej przerwie zatęsknił Zygmunt Krasiński do korespondencyi ze Słowackim. Niepewny, jak jego odezwanie się będzie przyjęte, zwrócił się Krasiński do Gaszyńskiego i zapytał go z Nicei 4 stycznia 1846 r.: „daj mi radę, czy mam się odezwać do Juliusza po trzech latach milczenia? Czy mi odpisze? Czym nie stał się przed jego wszechmądrością jako *infusorium*, któremu nie warto odpowiadać?“.— Gaszyński poszedł do Słowackiego dnia 12 stycznia 1846 roku i wywołał pierwszy jego list, o którym tak dnia 21 tegoż miesiąca Krasiński pisał do Gaszyńskiego: „Z odebranego listu od Juliusza widzę, że prawdę masz: parlamentarskoście się rozmówili, jak lordowie, lub posły angielskie; małom nie pękł ze śmiechu wczoraj, czytając opis tej sceny w twoim liście. Odpisałem zaraz do niego i to szczerą praw-

dę, starając się łagodnie ran jego ducha dotykać, jednakowoż się ich dotykając. O moich uwagach nad nim nie mów mu nic, ani też drugim ich nie udzielaj, bo jak najostrożniej trzeba z naturami, tak dalece rozdrażnionemi". Że ta końcowa rada była bardzo potrzebną Gaszyńskiemu, którego na wskroś znał przyjaciel, widać to z drugiego listu Słowackiego. O tym liście wyraża się już inaczej Krasiński: „Miałem list drugi od Jula: r o z u m n y i g ł ę b o k i, żadnych mi facecyi, sekretów, ni szaleństw nie pisze: jedno to samo, co wiek nasz cały chce, żąda, głosi, do czego wieki szły wszystkie, a ten wiek szczególnie, choć często się błąka". Pisząc do St. Małachowskiego dnia 3 lutego t. r., wyraża się zupełnie tak samo o tym drugim liście Słowackiego: „piękny i głęboko rozumny list był, w którym pod symbolicznemi upostaciowaniami pisał to samo mniej więcej, co wiek nasz cały myśli, lub pisze, czyli to, co się w jego wnętrzach wyrabia i ma kiedyś w kształt się ubrać, w czyn wybuchnąć".

O trzecim liście Słowackiego (z dnia 17 lutego 1846 roku) tak pisze Zygmunt Krasiński do Małachowskiego (Popielec, 1846 roku, Nicea):

„Od Juliusza list miałem bardzo długi. Chciałby się ze mną spotkać. Dziwny stan jego umysłu, n a j w y ż s z e tam p r a w d y dziki kształt przyoblokły. Zresztą wiek nasz jest wiekiem olbrzymich zapasów. W tej bójce między życiem a śmiercią świata, odbywającej się w każdym rozumie i sercu, nie dziw, że dziwy się rodzą. Odpisałem mu, że jeśli to ma być z jego dobrem, tom rad widzeniu się z nim. Lecz trzeba poczekać, aż mój ojciec stąd wyjedzie, co dopiero za miesiąc nastąpi, bo-bym nie miał czasu p a s o w a ć s i ę z J u l i u s z e m...".

Ale do tego spotkania nie przyszło. W marcu 1846 roku nadeszły do Nicei hiobowe wieści o rzezi galicyjskiej. W maju zaś tegoż roku donosił już Krasiński Małachowskiemu: „Juliusz o mnie p o w i a d a, żem duch obłąkany i upadły...".

Było to w czasie, gdy powstawał *Dzień dzisiejszy*, *Psalm Dobrej Woli* i *Psalm Żalu*.

Józef Kallenbach.

I.

Dzisiaj był u mnie Gaszyński — mówił mi, że w liście swoim dopytujesz się o mnie, (a gdym mówił mu, iż ty sam ostatnim listem zerwałeś ze mną korespondencyą), obiecał uwiadomić cię o mojej przyjaźni i wyszedł, mówiąc: „za dziesięć dni zapewne będziesz list miał od Zygmunta".

Postanowiłem ten list twój uprzedzić — do mnie bowiem należy rozpoczęcie rozmowy i ton jej... Kochałem ciebie, jak dziecko, jak gdybym dzieckiem był. Kochałem ciebie szczerze i nieraz ze łzami...

Szczerze teraz powiem, iż wiem, dla czego do mnie nie piszesz, a sam nie wiem, czy możesz, czy nie, prostą ze mną podzielić się duszą—jeżeli twój duch stoi już na wysokości, właściwej jemu, powinieneś mię kochać i szanować, jeśliś dotąd cielesny jest, a Centaura z orła i lwa, jak ów człowiek, o którym Platon w Respublice powiada, powinieneś jak Centaur stratować, jak orzeł wszponić, jak lew roztargać — a ja powinienem ci się oprzeć jako Ecce Homo—dzisiejszy —to jest ducha mego wyraziwszy ciałem — a nie będąc niewolnikiem nawet przyjaźni...

Przed tobą wszakże, jedynym moim niegdyś, w złych czasach przyjacielem... przed człowiekiem, który wtedy niskość mojego ducha nieraz podnosił i stroił... muszę stanąć jako instrument, który, chociaż przez Anioły dziś jest strojony, wszakże kluczowi swojemu dawnemu odpowiada.

Smętnej rzeczy więc dotknę... tak było:

W pierwszym szale rozbudzonych we mnie ducha wnętrzności, naturą moją wiedziony do tego, abym zawsze uosabiał myśl moją, chcąc koniecznie wytłómaczyć się nie z i d e i, bo ta tomów i wieków by potrzebowała, ale z i d e a ł u, to jest z pierwszego owocu idei — wpadłem bezmyślnie na jedyną figurę historyczną i wypadek, który mógł przez usta swoje i zdarzenia swoje, mnie, to jest czego chcę i co pojmuję, wytłómaczyć. Obrałem Xiędza — a sama nędza zewnętrzna w wykonaniu świadczy, żem w szaleństwie pisał. Jak kochanek, który w bezsennej nocy list, pełny dziwów i wulkanów, napisze, a rankiem sam się dziwi wczorajszej głupocie, podobnie ja, aż po napisaniu dramatu obaczyłem i wątłość dzieła, i boleśniejsze jeszcze, różne, zeń prosto wylatujące strzały, które wszakże, Bóg mi świadkiem! nie w twórczości godzinie, ani przed tą świętą chwilą, ze mnie wypadły. Po napisaniu więc aż, ale przed wydrukowaniem, obaczyłem

się na dwóch rozstajnych drogach — ducha i ciała. Z jednej strony mówiły duchy: „poemat z nas jest—nam potrzebny—jest formą, z której się będą rozchodzić dzbanki różne, a my je będziemy Duchem Świętym nalewały: jako poemat zrujnuje sławę twoją u ludzi zimnych, podobnie jak list miłośnika gubi go między starcami, gdy list ten dziewczynie wykradną i przy okularach czytają—ale też list tylko taki gada do serca dziewczyny, właśnie dla głupstwa, a jakiejś niewinnej słów przezroczystości — leje ogień w jej ducha — zwycięża ją może jedną tajemniczą, magnetyczną zgłoską — i kochankowi daje królestwo... Wydaj więc na wiatry list twój — zgub się, jako autor — jeżeli co więcej masz poświęcić, poświęć...“.

Odpowiedziałem: „więcej poświęcić! Sto razy więcej!..“.

— A one: „co?“.

— Odpowiedziałem: „jest jedno serce, które może będzie myślało, iżem zapomniał o jego bolesnej naturze—jest człowiek, który jeżeli kiedy o spoczynku i nagrodzie doczesnej myślałem, tom sądził — iż spokojna z nim gdzieś pod lipami wiejskiemi jedna godzina, będzie mi nagrodą trudnego i bolesnego żywota—teraz to wszystko muszę.. Co duchy?..“.

Była godzina, iż zamilkły... a ja sam z własną wolą zostawiony wybrałem—wiesz, co wybrałem... Duchów nie było rozkazu — ofiara jest moją własną — ja za nią odpowiadam...

I tak będzie zawsze... Ile razy przyszło mi między pełną chatą, a samotnością i potrzebą wyższą wybierać — zgadzałem się na to, żeby nigdy dzwonek drzwi moich na przyjście przyjaciela nie dzwonił, a czyniłem, co muszę. — Teraz nawet... czynię, co muszę..., bolesne rwanie się listu tego zaświadczy ci—ale ty jesteś wielki duch Boży i jeden z Aniołów narodu naszego... zakrwawiać ciebie i zakrwawionym w sercu zostawiać było-by grzechem przeciwko Duchowi świata. Zdejm więc z siebie ciężar—ja ci dopomagam—kochaj mnie—mówię ci, wart jestem... Więcej nadto żadnemu człowiekowi odemnie się nie należy.

Odezwanie się twoje przez Gasz... choć ustne, dowiodło mi, żeś wyższy już nad zwyczajność... Uprzedzam Cię więc i pierwszy krok czynię, abyś się zaczęciem ze mną korespondencyi w oczach cielesnych dotąd ludzi nie poniżył...; jako duch, nic nie rozpocząłem, ty masz do rozpoczęcia, przełamania w sobie wszelkiego ja, które ci do czystej miłości przeszkadza...

Bez miłości prawdziwej nic nie pisz, bo zakrwawił byś serce moje jakim wyrazem mimowolnym.

Jeżeliś co przeciwko mnie w tym czasie duchem powiedział — nietylko, iż ci to z ducha wymazuję—ale nawet jako za ulgę mi przy-

niesioną uważam. Nie odpisuj mi na ten ostatni akt rozwiązujący sumnienia. Wszystko potrzeba rozwiązać.

Możeś słyszał, żem mocno był chory, teraz jestem zdrów do czasu... a żyję, póki chcę, bo mi to Bóg zostawia — w rękę mi dał nić żywota mojego — nie bez łez, jak widzisz, puszczam ją, aby szła jeszcze... Mocno byłem strudzony...

Alleluja znów!—wiosna—przydaj mi promieni do złotych dnień, które mi świtać zaczynają... Ukochaj mię...

Odemnie masz list ten, który świadczy.

Juliusz Słowacki.

Paryż
Rue de Ponthieu, 30
d. 12 stycznia 1846 r.

NB. Powiem ci prosto, a może rzecz najważniejszą, iż mi się sprzeciwia teraźniejsza czynna i głośna dążność twoja — patrz, czy przeciwnika możesz ukochać—a nie możesz, nie przerosłszy go w sumnieniu. Oberwałem się ze wszystkiego — zostaje tylko ziarno.

II.

Pytasz mię z czułością prawie matki lub siostry, czy ja cierpię?—dawno już nie słyszałem głosu takiego — bo ludzi(e), którzy się do mnie przybliżali—to tak, jak gdybym ja bym koniem w karetach najemnych—każdy widział spracowane boki moje — i krew z obdartych skór moich — a każdy nie umiał nic powiedzieć, jedno słowo, które sądził że jest zachętą i bodźcem do pracy, to: *słowo, czemu nic ciągniesz?* A sami nie chcieli się i palcem dotykać brzemion moich — ale odchodzili roznosząc po świecie, żem samotnik, tetryk, ludziom już niepotrzebny, we własnej dumie pogrążony,—zaczęli nareszcie na mój karb wkładać słowa, sądy i nawet pisma nie moje, probując, jak głęboko leży we mnie ta spokojność, którą, jak ty sam nawet sądzisz, włożyłem przez dumę na czoło moje, niby maskę noszoną z potrzeby na tej ostatniej reducie tegoczesności...

Spokojność moja prawdziwą jest—nie jest jednakże bez cierpienia.

Cierpię—bo mam cel wielki przed sobą, a sił mi braknie... Wystaw sobie, że ludzkość jest dziecięciem moim, a to dziecko chore jest i w konwulsyach—a ja wiem o pewnem lekarstwie uzdrawiającem,

lecz myśl moja zmęczona boleścią, nie chce mi na ustach, położyć nazwiska zioła onego, o którem wczoraj wiedziałem z pewnością jak największą—wyobraź sobie stan taki Ojca, a zrozumiesz czem jest odosobnienie się moje i nad czem pracuje myśl, na inne rzeczy już obojętna.

Dziwię się, drogi mój, że po tylu latach nie urodziło się w tobie nawet przeczuciowe pojęcie sprawy tu zaczętej; nie jest ona, ani idejką, ani zbiorem idejek nowych o świecie, ani dogmatycznym mistycyzmem, ani przepowiedniami, ani człowiekiem, lecz jest prawdziwym p o c z ę c i e m świata nowego w cierpiących dawno matczynych duchach ludzkości.—Nie patrz ty, mój drogi, na sceniczną wystawę tej idei—ani tajemnicy ducha szukaj w literze—ale uwierz mi, iż ta idea jest niby klucz nowy rozwiązujący wiedzę w człowieku; — oskarżają nas o mglistość mistyczną — a tu przeciwnie, myśmy w sobie uczuli poniszczenie tajemnic; cóż my winni, że świat woli dotychczas Hamletować się?- Dwie drogi są, któremi ta sprawa spełnioną będzie, pierwsza żywa, a tę przedsiębrali bracia moi—jeżeli ich Bóg podniesie i z wielu charakterowych ludzkich niedostatków wybawi, to rozpoczną nową Epokę świata i tę epokę od sposobu działania nazwiesz S a n c t a. Jeżeli nie spełnią, to Sokratesowym sposobem będzie uczyniona rewolucya—powolna—bez żadnej doczesnej sławy dla rewolucyonisty—epoka taka sama, co do wypadków, ale z wielkiem dla mocy uczuciowych uszczerbkiem—epoka S a c r a...

Żałuj człowieka, który-by musiał na upadku pierwszych, drugą rozpocząć.—Nie dziw się, że człowiek ten stoi na stronie, oczyma przeraża zwichniętych, trzyma chylącą się tam i tu Sanktuaryuszów gromadę, a wszakże modli się za nich — im sprzyja, a sam się od brzemion swoich Bogu wyprasza... Biednaż była-by to sprawa, gdyby jej jedno tylko pióro i kałamarz służyło...

Spytasz mię, dla czego na pierwszej drodze nie pracuję — odpowiem ci prosto: ciało mi nie służy... a bez ciała nie mam potrzebnej energii, braknie mi tej skry codziennej w oczach, która-by piorunowała krzywo idące, bracią moją; braknie mi tych lwich podrzutów, które są potrzebne do walki z usypiającą, sektarską ludzi niektórych gawędą... Trzeba-by wziąć kij ostrugany w rękę—chodaki na nogi i pójść między młodzież pruską—ja nie mogę...

Przez trzy lata walczyłem o to, abym ciało moje postawił na nogi —a nie używałem do tego, ani lekarstw, ani doktorów, owszem na wspak radom doktorskim jechałem po trzykroć nad morze—mocowałem się z falami, z wichrem; stołom obfitym kazałem przechodzić w krew moją—słońce piłem oczyma i ustami. Nic nie pomogło; ta jesień była ciężką dla mnie, ludzie jeszcze większym niż jesień ciężarem—z obo-

jętnemi rozbrat wziąłem—jeżeli mi Bóg nowych nie nadeszle, samotnym zostanę bez skargi...

Oto masz szczerą odpowiedź, moją na to zapytanie, co robię i co robić zamyślam—pozwólże teraz, że ciebie spytam Zygmuncie mój— jakie są twoje cele ostateczne? — —

Żaden Anglik nie mówi sobie: „wynajdę machinę lepszą od wszystkich machin wynalezionych“ i nie skupuje materyałów wprzód, nim siłę jaką nową ruchu wymyśli... Bo każdy wie, iż samo przystosowywanie do siebie drewien, żelaz, sprężyn i sznurów nic nie utworzy.—Choćbyś miliony wydał na materyały—a w duchu nie widział już ku czemu służyć mają różne członki zebrane, nic nie uczynisz... poczęcie winno poprzedzić urodzenie... Czułbym, gdybyś już miał przyszłą ..... w sobie.

Już z niewinnością prawdziwą Anioła wskrzesitelnego przedsiębrał-byś mnóstwo środków wiodących ku twojemu celowi— a z każdego drewienka ostruganego przez ciebie mądry domyślił-by się celu. — Już tu i tam ręka artysty malowała-by myśl twoją—czasem lepiej niż broszura albo gazeciany artykuł; czasem na jakim dawnym grobie podniósł-by się posąg kamienny i zastraszył-by ożyciem grobowca— Dla czegoż myśl twoja piękna i ognista, jak sen, nie rozleje się nad całą martwością, nie otumani Polski... Wybacz mi co powiem... Oto mi się zdaje, że za wcześnie zmateryalizowałeś śrzodki twoje—i ująłeś żywotności siłom twoim—jeszcze trochę trzeba było iść na oślep, a iść tak, aż pókiby rzeczywisty jasny dzień ci nie błysnął... tyś wybrał półświt... i nie zaufałeś do końca kapryśnym duchom natchnienia... Źleś zrobił Zygmuncie—bo ja cię wiem, kto jesteś—i znam się z duchami twemi... te same dawały już ludziom więcej niż korony... Nie dziw się, że ich ręce są pełne kamelii, pereł i dyamentów... Źleś uczynił, żeś w bogactwo peruańskie nie uwierzył... tyś je miał w nowej ojczyźnie odkopać.

Wiesz, co to jest to prawidło filozofii dawnej: poznaj siebie samego... Nie jest to przestroga, ani zachęta, abyśmy poznawali moralną naszą naturę, błędy i wady charakterowe; owszem poznanie takich wad szkodziło-by człowiekowi... Nie powinien na nie patrzyć—ani przypadkiem odkrytych rozglądać i lubować się nad nimi—ale owszem powinien sam sobie zaprzeczyć, że je ma,—a przeciwną wiarę w anielstwo swoje urodzić... Przestroga ta filozofów ściągała się do ducha tajemnic... Miałże-by obcy człowiek odkrywać je tobie?

Ważę ciebie wysoko—i dla tego pracowałem często nad tobą, i wiem wiele o tobie... Wszakże wiesz sam, iż takie rzeczy w złą godzinę przychodząc — a na nieprzygotowanego trafiwszy człowieka,

wyszły-by na pośmiewisko... podobnie, jak tajemnice świata całego, teraz wydrukowane, ubliżyły-by prawdy majestatowi...

O jedną cię więc rzecz proszę... Wynajduj sercu swemu ofiary —te ofiary składaj Bogu, aż cię rozkwilona twoja natura zacznie uczyć jak dziecko swoje własne, widząc, iż się ono dzieciątko obdarło z koszuli i z trzewiczków się wyzuło, a drży na zimnie...

Ty może nie zrozumiesz prośby mojej i głosu mojego... Wtenczas wybacz mi—a ja zamilknę.

Wielki by kamień spadł z ducha mego, gdybym ujrzał i uczuł wielkiego człowieka—od razu jako łuk rozprężony rozpuściłbym moce moje—odetchnął—i rozradował się, jakby przez aniołów tysiące otoczony... Bądź nim, albo go wywołaj—tego chcę po tobie a prawie ci to rozkazuję... mówiąc, jak człowiek, który już nic nie ma z ziemią do rozwiązania...

A nie tylko teraz, ale po śmierci nie spuszczę ci — ani oka nie spuszczę z ciężaru, który ty podług obrachowania mego masz nieść i dźwigać... bo czuję, żeś silny jest i za milion ludzi poniesiesz...

Nie sądź mię pokaleczonym przez ludzi—ale sądź dźwigającym...

I słów moich nie przypisuj dumie—i stylu mego konwulsyom— z myśli iść ku formie, nie formą chłostać się, aż myśl wytryśnie... Między anielstwem światła a szatańskwem ognia ta jest tylko różnica.

Wreszcie, jak ja cię sądzę—sądź mię nawzajem w duchu miłości, a ja przyjmę wszystko z pokorą i z miłością—wskaż mi cele Boże i nie idącego ku tym celom, łaj—albo iść ku nim rozkazuj—a pójdę, albo na sądzie duchów stanę, jako dezerter.

Jedną rzecz wszyscy sprawujemy—i stąd każdy z nas ma władzę rozkazywania—lecz mocy musi dostać z wysokiego świata—aż od celów Bożych...

Ja te cele widzę—ale jeszcze do nich powołać nie śmiem, bom nie jest dość silny, abym doprowadził...

Oto jest list—oto jest jedna z kar piekielnych—litera martwa i papier martwy pomiędzy duchem a duchem.

Twój

Juliusz Słowa.

III.

Paryż r. de Ponthieu 30. D. 17 [1]) *Lutego 1846.*

Kochany Zygm...

List twój dla mnie od początku do końca prawdą jest — bo ja go mogę jako gałązkę wyrastającą z drzewa Rajskiego, na ziemi postawić i osądzić, którym jest listkiem — więcej powiem, już go za owoc uważam słodki i dobry. To mię jedynie smuci, że go inni ludzie muszą tylko wziąć z wierzchu jakoby był opinią, bo z opinii wyszedł.

Prawdziwy ty Pan na Opinogórze; na górach bowiem Święto-Jańskich zbierasz żniwa, a z wiatrem natchnień zasiewasz (daruj mi ten kallambur) jaśniej się wytłómaczę.

Gdy mi jeden z Xięży katolickich pisze list zupełnie podług C r e d a ułożony i pyta, zaliż nie tak jest? zaliż to, co piszę, nie jest prawdą? — odpowiadam mu to samo, że dla mnie prawdą jest, a dla niego opiniją.

Więcej powiem, gdyby mi, który z umarłych starożytnych napisał dziś list zapytując: nie mam-że uważać za Boga Saturnowe wyobrażenie, a wierzyć w Deukaliona, i w Prometeusza, i w Danae, i w porwanie Romulusa cielesne do nieba?! — to samo bym odpowiedział, bo te rzeczy z rozwiązej wiedzy w człowieku inaczéj pojęte stają się prawdami i są siostrami młodszemi prawd Ewangielicznych.

Tak twoja Siostra Chrystus [2]) — ojczyzna.

Bo wyznaj, iż człowiek w twoją ideę, jako w dogmat uwierzyć musi — to jest przyzwolić na to rozumem, a potem po rycersku łamać kopie za opiniją, która wiarą się stała...

Lecz z tą opinią, chcąc być doktorem, trzeba się uczyć doktorstwa u Brussego [3]) — chemikiem? u Śniadeckich — astronomem? u Aragów; — politykiem nawet chcąc zostać, trzeba konstytucyjne rządy i formy przyjąć za nauczycielki. Słowem: ta biedna Polska Chrystus, zasypana była-by pod puklerzami nie Chrystusowych rycerzy — tak, jak Chrystus był kiedyś w Rzymie, ubra-

---

[1]) Pierwotna data 10.

[2]) W oryginale przez pomyłkę: C h r y s t r u s.

[3]) Broussais Fran. Józef Wiktor, (1772—1838) jeden z nasławniejszych lekarzy francuskich.

ny w formy pogańskie, wpuszczony niby z łaski do przedpokojów filozoficznych.

A wszakże to, co mówisz, prawdą jest, ale taką, iż powinno Cię uczynić i naturalistą i doktorem i chemikiem i astronomem i pierwszym z polityków... Wtenczas będziesz prawdziwym przyszłym polakiem.

Wiesz ty, że najstraszniejszy dreszcz trwogi, który przebiegł przez żyły moje było to, w tych dniach, gdy na Akademii scyentyficznej paryzkiej wniesiono tysiączno funtowe żelazo, aby nim poruszyć jeden słońca złotego promyczek i z drogi go zawrócić... Słysząc o tem — nie odetchnąłem, aż wtenczas, gdy na końcu tej experymentacyi usłyszałem wniosek ostateczny francuzów: p o s ł u ż y t o n a m d o o d k r y c i a p r a w e l e k t r o m a g n e t y z m u. Chwała Bogu—Chrystus cało uszedł z rąk Rzymskich żołdaków, lecz jak blisko byli Jego przeświętej natury! jak straszliwie przerazili mnie, że odkrywają to prawo, które ja od czterech lat naprzód noszę w duchu moim, a czekam, aż godzina wielka uderzy — albo też gotów jestem z sobą wziąć w świat Ducha, jeśli sumienie moje przeciwko roztajemniczeniu wiedzy ludzkiej będzie zawsze trwało w oporze.

I ty przypisujesz to dumie?... Wystaw sobie, że który z wielkich autorów (myślę tu o Chrystusie i siłach Ducha Świętego) napisał i z wielkim kosztem przygotował dramat bardzo zajmujący—tak natężony w intrydze, iż ostateczna scena jego, jak wulkan wybuchnąwszy z pod ziemi, ma poruszyć całym narodem. Lecz autorowi trzeba pięciu aktów — trzeba całego natężenia umysłów pięciogodzinnego... Wtem zjawia się drugi poeta, który rozwiązanie dramatu w s o b i e s a m y m odkrywa — i stanąwszy na ławkach, w prozaicznych słowach, przed sztuką jeszcze, sztukę całą parterowi tłómaczy... a wtenczas głupce parterowi, nie będąc uniesieniem poezyi z natur swoich odarci [1]) odzywają się w większości:

„*Więc to tylko to? dramat ów zapowiedziany!? Idźmyż spać do domów, a nie nudźmy się przez pięć godzin, siedząc na twardych ławkach parteru*“.

Mówisz, że ludzkość chce wiedzy—oczekiwa— gotowa jest i godna wiedzy. Ja ci faktami odpowiadam... Wszyscy mnie opuścili, choć przysięgam ci, że zmieniony jestem na dobre, rozkwilony jak dziecko—bliższy ludzi, niż kiedykolwiekbądź przedtem—sługa ich...

---

[1]) Tak w oryginale.

Po rocznem ze mną niewidzeniu przyszedł do mnie Gaszyński— zbiedzony, wyschły, kościany, usiadł przy kominie, i dał mi uczuć całą kamienność swego ciężaru, między innemi zaś rzeczami powiedział mi, że jest szczęśliwy mocno z przyjazdu pewnego przyjaciela; a ten przyjaciel jest to jeden z Montalambercistów, jezuitów naszych— od których mi wiele teraz zła idzie, choć niewidomym sposobem... Wytrzymawszy tę rozmowę przez pół godziny skoczyłem na mego poetę—łając go sierdziście za to, że napiwszy się herbaty poetą jest— a potem między ludzi chodzi nie w wieńcu bluszczowym natchnienia, ale w szlafmycy, — sen rozdaje, siebie samego w natchnieniu wstydzi się, albo też naśladować lęka się—mówiłem mu nareszcie o idei— a nareszcie uściskałem go ze łzami, prawie mówiąc: „p r z e b a c z m i, ż e m s i ę r o z k r z y c z a ł, a l e n i e m o g ł e m“. Cóż się stało?... Poczciwy G. poszedł odemnie do klubu, i zwykłym sposobem żartownisia powiedział przy obiedzie że Sł. kompletnie zwaryował... Jezuici byli przytomni — w kilka więc dni potem, jeden z przyjaciół moich spotkał się z wieścią, już przez różnych powtarzaną, żem istotnie zwaryował...

Poznaj sposób postępowania ludzi i gotowość świata do przyjęcia prawdy. Oto największa część ludzi czyni tak jak owi jezuici — sami nie skłamią, ani wymyślą rzeczy... lecz usłyszawszy tę rzecz w tonie żartu mówioną, rozchodzą się po mieście, smutne biorą twarze i powtarzają: z w a r y o w a ł; a gdy pytasz: „czy doprawdy“?— odpowiadają: „słyszeliśmy od jednego z jego przyjaciół“.

Wiesz-że teraz, co taka plotka może mi zrobić, dostawszy się do uszu matki mojej..., pomijam inne jej działanie na świecie, lecz o matkę mi chodzi... A dla tego i w listach nawet zamknąć pół ducha mego muszę, pisząc do innych, i do niej...

Dla tego, mój Zygm., trzeba, abyśmy sobie jasno w oczy spojrzeli, ścisnęli się za ręce—a potem, jeżeli się zognią dusze nasze jednym dla sprawy Bożej zapałem, abyśmy choćby na skałach nadśródziemnego morza zatknęli kij, monument braterstwa wiecznego — i poszli każdy w swoją stronę, pamiętni na ów związek i miejsce rozpoczęcia. Dla tego to już mi się śni o jakiejś podróży w bliskie tobie strony, a czekam tylko na czas lepszy i jaśniejszy..., bo terazbym kilku nocy w dyliżansach przepędzać nie chciał... Nie uczynię jednak i tego bez twego współczucia — a nawet może zupełnie nie uczynię, pomny na straszną przemianę, którą idea robi w człowieku — przez żałość jakąś, która-by mię zdjęła — gdybym cię widział rzucającego twój otęczowany świat — dla srogiej i twardej służby — jaka się nareszcie od każdego ducha Bogu należy. Dla tego cię pytam szczerze

i otwarcie, abyś mi powiedział, czy jesteś szczęśliwy tak, jak jesteś? Niech listy twoje nie będą o nieśmiertelności ducha, ani o innych skrzydlatościach idei—bo tak czyniąc, korespondencya nasza stała-by się zamianą rzeczy wiadomych — albo takich, o których sam duch z siebie dowiedzieć się powinien; lecz niech listy będą zamianą t o n ó w naszych, dźwięku ducha naszego, a tak będziemy mogli na podobieństwo szalek ważyć się wzajemnie i podnosić w górę...

Szczerze, Zygmuncie, — jako człowiek, ty jeden jesteś nadzieją moją...

Jednej ci rzeczy tylko nie dostaje, a to masz we wspólnictwie ze światem całym—a m b i c y i, która wychodzi nawet z granic ziemi, a o całym świecie się pyta, i drży, i dzień dzisiejszy półwiedzy za ostatni uważa... ufając, iż jutro który jej z braci pomoże, a rozwiązaniem małej niteczki ostatecznie rozwiąże.

W czystości serca bierz listy moje, bo tak piszę i mocno ku tobie jestem sercem nachylony [1]).

Jul.

Kochany Zyg...

Jeszcze biorę te ćwiartkę papieru, aby dłużej z tobą pomówić — powiedz mi święcie i sumiennie, czy naród zdolny jest wyprzeć się tego słowa: chcę u m i e ć, a zacząć: od w i e d z i e ć c h c ę... to jest umiejętność analityczną wymienić na mądrość wnętrzną, widzącą? Znasz teraźniejszych Polaków — powiedz więc czy te natury młode nie będą mocniejsze i skorsze do czynu, działając tylko instynktowie — od tychże samych natur, gdybyśmy je dziś od *a* do *z* zaczęli odbudowywać z wiedzy dawnej... Jam takie budownictwo odbył w przeciągu lat czterech; a oni, dziś zacząwszy, wielu by lat potrzebowali?—Nie byłożby to grzechem czasu zaczynać?..

Dzieckiem jest Hamletowe wahanie się w porównaniu z tem, jakie ogarnia duchy, czujące w sobie ojcowstwo narodu.—Usta się im pozamykają; błyskawic nawet z oczu rzuconych lękać się będą— otoczą się kołem wieków i cichością czasów przyszłych obalsamują się — trupami je nazwą teraźnisi[2]); w nich wszakże będzie żywot prawdziwy...

---

[1]) To zdanie dopisane u góry stronicy, odwrotnie do całego tekstu.

[2]) Tak w oryginale.

Powiedz: nie lepiejże młodzież zostawić pod Quinetowemi i Micheletowemi retorykami? nic w tych ludziach nie ma harmonijnego, ale jest spirytusowy pierwiastek; niech więc exaltuje krew — trzeba nam... trzeba mass jakkolwiek stworzonych... Niech Russo przeciw Rossyanom walczy... Niech wyznanie wiary Wikarego Wakfildzkiego Jezuitów wali, niech Jezuici walą... dla nas nieśmiertelnych czas przyjdzie... teraz może milczeć wypada?

Oto są Zygmuncie powody mego milczenia i schowania się, a to jest dobrowolne; bo gotowe i napisane są rzeczy, do których napisania sumnienie mnie wiodło, równie, jak dziś sumnienie tylko od drukowania wstrzymuje. Czekam, aż żądza wiedzy obudzi się, aż wiara w to, iż Bóg da Polakom broń nową i moc nową, wstanie w upokorzonych umysłach. Jakże mówić do ludzi, którzy sądzą, że wszystko, co wiedzieć ludziom potrzeba, już jest odkryte, a w dalsze rewelatorstwo prawdy wiary nie mają. Jakże ubogi chłopek, oddalony od braci swoich może im w pomoc garścią brylantów sypnąć, kiedy wie, iż oni to za szkła czeskie wezmą—i szukać nawet w piasku nie będą, a mineralogów niema między niemi, nawet prostych, mówię, uczonych mineralogów nie ma—ani jednego nie widzę. Gdyby byli poznałbym ze słowa jednego...

Nie myśl, że utyskuję na to. Nie, uznaję w tem prosty porządek świata, który chce—aby duchy same z siebie odkopywały prawdy, na dnie ducha każdego złożone i miały stąd zasługę.

Jeżeli skargę mam jaką, to ją niosę na siebie samego, żem nie jest dosyć mocen, abym uwolnił te duchy od pracy i cierpienia; dla tego to mocno p o g a r d z a m sobą — nie tak, jako nas chciało nauczyć szatańskie dzieło pana a Kempis, ale tak, jak duch po pracy wiekowej przed Bogiem teraz upokorzony. Nic nie zrobiliśmy po Chrystusie, ani kroku jednego w wiedzy Chrześciańskiej nie daliśmy naprzód... Same westchnienia nasze za prawdą przed Bogiem ważyły i u ludzi sławę uzyskiwały; patrz Götte[1]) sam dziwi się z największą powagą, że wąż ma dowcipne oczy, a Bóg jemu nóg odmówił.., ten sam Bóg, który Göttego z łaski swej nogami, i oczyma, i dowcipem obdarzył.. Powiedzże mi, jak tu nędznemu człowiekowi powiedzieć, że Götte będzie musiał na ławce w pierwszej klasie w Polszcze od pierwszego bakałarza dowiadywać się, dla czego wąż nóg niema.

Westchnij więc, aby prędzej, były te szkoły i tacy bakałarze...

Ściskam cię

Jul.

---

[1]) Tak w pisowni oryginału.

Pogadanka artystyczna.

Kilka słów o Maksie Klingerze i nowych dążeniach w sztuce.

Każde nowe pokolenie przynosi z sobą na świat, jeżeli nie odrębną zgoła duszę, to przynajmniej odrębny jej strój, gdy dusze ludzkie wyobrazimy sobie jako muzyczne instrumenta. Każde nowe pokolenie, chociaż podobne jest zstępującemu, choć żyje w tem samem otoczeniu zjawisk niezmiennych życia, w jakich poprzednio żyli jego ojcowie, jednak widzi zawsze nieco inaczej, bo inaczej patrzy i odczuwa.

Przy całem dziedzicznem podobieństwie, subtelne odcienie różnic zakreślają wyraźną linię między takiemi dwoma warstwami istnienia, nierównemi pod względem miary, bo mówiąc „pokolenie“, nie mam na myśli podziału na pokolenia w ścisłem znaczeniu tego słowa. Użyłem tego wyrazu dla oznaczenia pewnej ilości czasu, podczas którego odbywa się ewolucya myśli, wymiana panujących pojęć na inne, z kolei biorące umysły ludzkie pod swe panowanie, by z czasem stoczyć się ponownie i miejsca ustąpić świeżym. Bo każde pojęcie ludzkie, każde wierzenie, każda tak zwana p r a w d a, ma tylko względną wartość d o c z e s n ą, a razem wzięte, różnią się tylko między sobą ilością czasu, w którym w umysłach ludzkich panowały.

Zjawisko to, właściwe wszystkim polom ludzkiej działalności najwyraźniej zarysowuje się w sztuce. W tym świecie pojęcia nowe rodzą się ciągle, i powiedział-bym, zawisają w powietrzu, czekając swojej kolei.

W tem właśnie sztuka czerpie swoje soki, przez nie odradza się ciągle w samej sobie.

Każdy nowy człowiek z żywym umysłem i silną indywidualnością, wstępując w świat sztuki, wnosi ze sobą ducha buntu, staje się rewolucyonistą.

Dla czego tak się dzieje? Wszak każdy z nich rozpoczyna od tego, że bierze w bezkrytycznem uwielbieniu wszystko od swoich poprzedników; przejmuje się nimi tak, iż staje się naśladowcą, bo, szczerze rzec można, że niema w sztuce żadnej najbardziej indywidualnej organizacyi artystycznej, która-by nie zaczęła od naśladowania tych, którym się potem przez swoją indywidualność przeciwstawia Zjawisko, na pozór zawiłe, wyda się prostszem znacznie, gdy pomyślimy, że każdy młody talent, pełen silnych a nieokreślonych pragnień, styka się odrazu z całem bogactwem gotowych i wysubtelnionych form, przez poprzedników stworzonych. Porywają go one, żyje niemi, nie dostrzega różnic i, upojony tem bogactwem, przeżywa okres entuzyazmu, przytłumiającego pierwiastki samorodne. Jest to okres naśladownictwa, który przechodzi dopiero z rozwojem dojrzałości duchowej, gdy znużenie i znudzenie jednostajnością form, już istniejących, wytwarza to poszukiwanie czegoś zgoła nowego, a zarazem najściślej wyrażającego własne już, krystalizujące się uczucia. Zresztą nie zawsze tylko w głąb własnej natury sięga. Gotowe formy dawnych epok, zamierzchłych kultur, odległych ras, pociągają go także swoją świeżością.

Wiemy, z jaką namiętnością Michał Anioł rzucił się na wykopaliska dawnych Greków, z jakim przesadnym pietyzmem przejmować zaczęli artyści angielscy XIX wieku prostotę i naiwność wyrazu ze sztuki przedrenesansowej, gdy równocześnie sztuka francuska wsysała w siebie egzotyczny charakter japońszczyzny, Niemcy wyławiali po zaułkach małych miasteczek zaniedbane motywy „altdeutsch'u", a u nas St. Witkiewicz wyprowadzał na świat szeroki z zapadłych wiosek tatrzańskich kwitnącą samorodnie bogatą sztukę góralską.

Wszystko to, wciekając w wielkie łożysko sztuki, odświeżało ją i bogaciło, albowiem bogactwo jej polega nie tylko na stałem doskonaleniu jednych i tych samych form i pojęć, lecz równocześnie także na odświeżaniu ich i wytwarzaniu coraz to nowych.

Są jednak ludzie, którzy tym przyrodzonym dążeniom indywidualizmu ludzkiego stają w poprzek, a robią to, jak gdyby w poczuciu głębokiego obowiązku i niewątpliwie w dobrej wierze, w przekonaniu, że chronią tem sztukę samą od zagłady. Tomy zebrać-by można z protestów, krytyk, wydrwiwań i urągań, które wylały się się na wszystko, co odskakiwało od zlegalizowanych formułek sztuki.

Zwykłym porządkiem rzeczy dzieje się to więc i w czasach ostatnich, wobec śmiałego zwrotu w sztuce od tak zwanego **r e a l i z m u** ku dążeniom, w przeciwstawieniu do tego ostatniego nazywanym **m o d e r n i z m e m.**

Co to właściwie jest modernizm?

Przedewszystkiem, w znaczeniu ścisłem, jest to fikcya. I sztuka, i ci, co ją tworzą, i same ich utwory, mogą się doskonale obejść bez tej nazwy, i co więcej, doskonale obchodzą.

Patrząc na obraz, lub rzeźbę, albo spostrzegam, że ona mnie wzrusza, zajmuje, porywa, i wtedy z zajęciem na nią patrzę, nie myśląc o nazwie, albo też przechodzę koło niej obojętny i o nazwie nie myślę również.

Dla historyozofa, kollekcyonisty, nazwa, być może, większe posiada znaczenie, potrzebna zapewne jest także jako etykieta, „stempel“ dla tych wszystkich, którzy cały świat, wszystkie zjawiska i objawy życia pragnęli-by widzieć ponumerowane, nazwane i do katalogu wciągnięte.

Dla tych modernizm w sztukach plastycznych jest to zerwanie z odtwarzaniem natury i z odtwarzaniem jak najbardziej naturalnem, łudzącem. Naprzykład: anioł, centaur, pegaz i wogóle obraz, kóry takie i tym podobne postaci w ramach mieści, jest wedle nich produktem modernizmu.

Realizm zaś, to zgoda z zoologią, anatomią, botaniką, to zwykły człowiek, zwykły koń, ptak, rośliny, niebo.

Oczywiście, niema najmniejszej podstawy do takiego rozumowania. Skrzydlate byki z głowami ludzi, albo ptaków, wszelakie sfinksy kuli z kamienia Egipcyanie, realiści z krwi i kości. W ten też sposób postępowali Assyryjczycy, Grecy i cała sztuka starożytna na tysiące lat przed nami, i późniejsze narody europejskie; było-by to więc tylko naśladownictwem sztuk starożytnych, zgoła na nazwę czegoś nowego niezasługującem. Więc może sam sposób wyrażania, może chwiejność konturu, lub podkreślone jego uogólnienie, może rozwiewność cieni, brak bryłowatości, przesada w barwach; lecz to znów nie modernizm, bo przesadne kontury cechowały właśnie najpierwsze zaczątki sztuki malarskiej, przesadę w barwach spostrzegamy u malarzy, najbardziej zapędzonych w badanie prawie że przyrodnicze zjawisk wzrokowych, dążność do uogólnienia występuje częstokroć w dziełach, najrealniejsze wyobrażających zdarzenia; znów więc gubi się typ wyraźny, podług którego modernizm od niemodernizmu odróżnić-by można. Więc może temat sam, drastyczność treści, nagie ciało kobiece, lub zdarzenia, o których w towarzystwie mówić nie wypada, są tym rysem szczególnym, który wyróżnia ów „modernizm“ wśród tematów sztuki prawowitej.

Lecz czy „Leda“ Michała Anioła jest modernizmem, albo czy jest nim „Jo“ Corregia, lub też zmysłowe sielanki Rubensa? Gdyby te obrazy pokazano nam, jako dzieła nowe nieznanych w historyi

sztuki autorów, ciekawym, jakby pytanie to rozstrzygnięto, do jakiej zdecydowano-by się włożyć je przegródki?

Lecz zastrzegłem się już wyżej, że ani chcę, ani podejmuję się rozklasyfikowania ni tych, ni wogóle wszelkich innych dzieł sztuki w ten sposób, a przytem nie uważam, by one przez to miały stać się gorszemi, lub mniej zrozumiałemi. Zostawiam więc te wszystkie nazwy modernistów, symbolistów, dekadentów i t. d. humorystom, jest to podobno bowiem bardzo wdzięczny temat do fars, zwłaszcza na „szerszą“ publiczność.

— „E pur si muove!“. — Jednak coś się dzieje, jakieś nowe powiewy przechodzą przez sale wystaw sztuki, budząc niepokoje w tych, dla których wszelkie wyjście z wysiedzianego miejsca jest czemś potwornem; lecz niepokoje te są płonne: ani sztuka od tego nie zginie, ani ludzkość nie stanie się gorszą. Przeciwnie, widoczną przez to jest żywotność duchowa ostatniego pokolenia, dusze w nich dźwięczą prastarą pieśń, choć z innego nastrojone są tonu.

*

* *

Trzeba nie mieć wcale zmysłu artystycznego, by wszystko, co w dzisiejszej sztuce się spotyka, na jedno zgarniać miejsce. Są plewy i ziarna, a więcej plew, niż ziarna, bo tak było, jest i będzie zawsze.

Przesiewane, łatwo oddziela się ziarno od śmiecia, a czas, ów najsurowszy, lecz zarazem najsprawiedliwszy krytyk, w przyszłości wywieje wszystkie lekkie plewy z największą dokładnością i zostawi ziarno najpełniejsze.

Żądza zwrócenia na siebie uwagi i małpi instynk, przy zdolnościach naśladowniczych, sprawiają, iż dużo spotyka się tandety artystycznej; a ci, co zwykli sądzić z pozoru, z tandety tej wyciągają wnioski ogólne. Lecz nas obchodzi tylko prawdziwa sztuka, prawdziwa twórczość. W niej tylko można znaleźć szczery i czysty wyraz epoki, która ją wydała. W niej też widoczne są znamiona, rysy tego zwrotu w pragnieniach i dążeniach.

Znamiennym i ogólnym rysem dzisiejszej sztuki w przeciwstawieniu do wczorajszej, jest chęć wyspowiadania się duszy z najskrytszych, najtajniejszych uczuć. Gdy tamci z zaciekłością wgryzali się w naturę, dzisiejsi wgryzają się w duszę. Dusza, w stosunku do urobionych pojęć i wyobrażeń jest zawsze buntowniczką, dusza nie chce uznać nad sobą narzuconych praw, chce ona żyć sama przez się, chce czuć, a że życie i obyczaje ludzkie częstokroć bywają z nią w konflikcie, więc rozdźwięk ten musi się wyrazić w sztuce.

Człowiek musi żyć według z góry ułożonych praw, które zawsze będą „wypadkową“ złożonych pragnień, wyobrażeń i nałogów większości, ale sztuka nie potrzebuje podlegać tym prawom, sztuka właśnie powinna być ujściem dla tego wolnego pulsowania duszy, które w codziennem życiu ujścia znaleźć nie może. Ja myślę, że gdyby ludzkość wszechstronnie była szczęśliwa i zadowolona, nie było-by sztuki wcale, bo nie było-by jej potrzeby. Im subtelniejsza jest natura ludzka, tem bardziej wrażliwa jest na prostactwo codziennego życia, i szuka ulgi we wzruszeniach potężnych i wytwornych, a te prędzej znajdzie w sztuce, niżli w życiu.

Dodam jednak, że znaleźć to może w takiej tylko sztuce, która również jest subtelna, która jest sztuką ludzi, niezmiernie wyrafinowanych duchowo. Bo tak jak człowiek może być mniej lub więcej zajmujący, interesujący, porywający, tak samo może być i sztuka.

Ludzie wysokiej kultury duchowej są zawsze bardzo wybredni w doborze towarzystwa, niechętnie obcują z tymi, w których nic b l i ź n i e g o znaleźć nie mogą, niewidzialna obręcz arystokratyzmu duchowego tworzy nieprzebyte zapory pomiędzy duszami, które się nigdy nie pojmą.

I sztuka, ten bezpośredni produkt ducha, otoczona jest tym niewidzialnym pancerzem arystokratyzmu, oddzielającym ją od mas, od plebsu ducha.

— Nie mam nic dla was! — zdaje się mówić ta sztuka, a tłum wyje i gwiżdże, żądając „panem et circenses“.

Zabawy pragną syci, pożytku chcą praktyczni. Lecz śmiesznem było-by zwracać się do sztuki tylko po zabawę, lub po apologię zdawkowej moralności, szukać poglądowych tablic cnoty i prawowitości. Chcą tak niektórzy, lecz nie wiedzą, jak w żądaniu tem są śmieszni i dziecinni.

Może być teatr tendencyjny dla ludu, jako pompa, wtłaczająca w masy szeregi pojęć, uznanych za zdrowe i pożywne. Mogą być maryonetki dla dzieci, książki dla dzieci, wystawy sztuki dla dzieci, tak, jak są różne specyalne ekstrakty dla wątłych żołądków, lecz trudno, by cały plon ludzkiego ducha, wszystko, co narodziło się w najbardziej subtelnych i wrażliwych duszach, przepuszczać przez kwarantannę tendencyjności i zdrowia, i znaczyć krzyżem zarazy.

W sztuce razić może tylko nieudolność, płytkość i jałowość. Zaś celem jej jest wzruszać jak najgłębiej, wstrząsać zmysły, przenosić jak najdelikatniejsze drgnienia jednej duszy w drugą.

Musi być w niej siła bez brutalności i wdzięk bez kokieteryi. Musi być szczerość i prostota, a zarazem królewskość i powaga rzeczy wielkich. Doskonałość formy i doskonałość treści, ze-

spolone w harmonii, która nadaje dziełu czysty dźwięk jednolitego odlewu.

Niewątpliwie, mało jest takich, których twórczość dosięgła-by miarą do tych warunków, lecz za to, im bardziej który z nich doskonałością swoją do tych wyżyn się zbliża, tem większego wart jest uznania i uwielbienia.

Wśród tych niewielu prawdziwych artystów dzisiejszej epoki, niezwykle wybitną i ciekawą indywidualnością jest Maks Klinger. Jest on właśnie jednym z tych, którzy zapoczątkowali nowy zwrot w sztuce i dali wyraz zdecydowany nieśmiało zarysowującemu się kształtowi nowej duszy.

Klinger rzeźbi, maluje, rysuje, nie krępując się rutyną utartych środków, przerzuca się i szuka form coraz nowych, które-by najściślej odpowiadały artystycznym jego pomysłom. Raz, jako subtelny sztycharz - akwaforcista wydobywa wyraz z linii cieńszych od nitki jedwabiu w granicach kilkucalowej płyty miedzianej, to znów jako malarz, rzuca kompozycyę w dekoracyjnych plamach barwnych na szeroką powierzchnię płótna.

Gdy względna plastyka malarstwa nie odpowiada jego pragnieniom, staje się rzeźbiarzem, snycerzem, złotnikiem, kuje w marmurze, i gdyby tylko w marmurze! Wiąże w jedno najrozmaitsze materyały: heban, kość słoniową, bursztyn. Składa z tych kawałków całość barwną, dobarwia ją jeszcze sztucznie z subtelnem poczuciem barw malarza, którego żywiołem jest kolor. Drwi sobie z estetycznych formułek, że rzeźba żyje tylko kształtem, on jej nadaje jeszcze życie barwą i wywołuje wrażenia istotnie czarujące, przedziwne.

*

* *

Gdy patrzę na dzieła Klingera, śmiesznem wydało-by mi się zgadywać, czy to jest realista, czy też modernista, lub też symbolista; za to widzę jednak, i wiem napewno, że to jest wielki artysta i niezwykle interesująca indywidualność. Każde jego dzieło nosi tę szlachetną pieczęć, którą wyciska talent i dla tego też każde jego dzieło wywołuje wzruszenie estetyczne.

Powiedziano o nim kiedyś, że jest artystą myślącym. Niewątpliwie, lecz to za mało, ja dodam, że to jest artysta c z u j ą c y. A czuć i myśleć, to dwie sprawy różne i zgoła odmienne wywołujące skutki.

Prawodawca, filozof, krytyk, może t y l k o myśleć, lecz poeta, artysta musi j e s z c z e to wszystko odczuwać, musi przeżyć to, co tworzy.

I właśnie Klinger o d c z u w a zjawiska życia, i dla tego ogarnia je z tej strony, z której nigdy nie można-by ich widzieć przy najbardziej skomplikowanej pracy myśli.

Klinger przedstawia je tak, jak one poruszyły jego wrażenie, i może przez to wywołać to samo wrażenie w duszy widzów. Myśliciel mógł-by tylko opowiedzieć r z e c z, on, czujący artysta, rzuca przed oczy nasze wstrząsający d r a m a t.

Oto, naprzykład, obraz. Przed chwilą na tarasie willi panowała cisza jasnego słonecznego dnia, w tem z okna w górze buchnął dym i zagrzmiał strzał, i na tarasie z łoskotem powaliło się ludzkie ciało, i padło martwe w cień balustrady. I znów cisza, której nie przerywa, ani leżący w cieniu trup mężczyzny, ani skamieniała z przerażenia postać młodej kobiety, ani złowrogo skurczona twarz, majacząca w cieniu żaluzyi okna na piętrze, z przyciśniętą do twarzy, dymiącą jeszcze strzelbą.

Jest to akwaforta, jak cały ten cykl, stanowiący jedną całość pod nazwą: Dramaty.

Cienkie i delikatne, jak włókienka na skrzydle łątki, rysy biegną i krzyżują się, rozchodzą, to znów splatają w grube pęki, tworząc lekki, nie wyrywający się naprzód, rysunek architektonicznych załamań okien, kolumn, schodów i balustrady willi. Takie jest tło dramatu: widz musi o niem wiedzieć, lecz nie powinien o niem myśleć; nie powinno więc wyrywać się mnogością szczegółów, jakie-by dała fotografia. I właśnie tu jest ta artystyczna wytworność, panowanie nad wrażeniem widza, który w obrazie musi zobaczyć nie „martwą naturę“, lecz dramat. Z poza filarków balustrady widać końce nóg męskich, wyciągniętych równo, zesztywniałych. Błyszczące trzewiki świecą jasnemi plamami w słońcu. Oto po tamtej stronie balustrady leży zabity człowiek, nie wiadomo kto on jest, jaka jego twarz, jaki wyraz zastygł w chwili śmierci. To są szczegóły obchodzące plotkujące kumoszki, sam zaś dramat jest w tych sztywnych, martwych, błyszczących w słońcu nogach.

Oko spogląda ku górze i dostrzega w oknie dymiącą lufę, i właśnie ten lecintki obłoczek snujący się delikatnemi pasmami, jest jak muzyczny jeden dźwięk, którego wyczekuje ucho, a dźwięk ten jest dramatem. I sztywne nogi i dymiąca lufa, są jak dwa dramatyczne dysonanse w łagodnym motywie symfonii słonecznego dnia, kwitnących krzewów i pełnych liści drzew. Poprzez tę słoneczną symfonię wyrywają się one i ciągną do ogniska dramatu, który skupia się w przerażonej twarzy kobiecej.

A oto drugi dramat:

Gęste i grube linie akwaforty biegną od brzegu do brzegu, krzyżując się w zbitą ciemną siatkę, która wypełnia całą kartę gęstym mrokiem, a w mroku zarysowują się mglisto lekkie refleksy świetlne wokoło jasnego punktu. Jasny punkcik, to płonące cygaro czy papieros. Wpatrzywszy się bardziej, widać figurę młodego mężczyzny, zapalającego trzymane w ustach cygaro od zapałki, którą otula dłońmi. W tym ruchu zapalania i wyrazie twarzy, lekko obrysowanem światłem zapałki i w całej postaci, i wyraża się nerwowy niepokój biernego wyczekiwania. Tuż tuż, pod ścianą dwie postacie kobiece, stara i młoda mają rozstrzygnąć coś między sobą wobec wyczekującego mężczyzny. Młoda oparła się o ścianę, jak gdyby cofając się wobec natarczywej postawy starej. Może to są wyrzuty matki, a może scena uwodzenia, niewiadomo. Dramatyczność sytuacyi polega na tym wyrazie rozpaczliwego oporu, który przenika całą postać dziewczyny.

Mężczyzna czeka z wyrazem na pół drwiącym, na pół niecierpliwym, w ruchu starej rysuje się zaciętość, którą odeprzeć trudno, a dramat cały streszcza się w strasznej walce wewnętrznej, wyrażonej w tej na pół rozwianej sylwetce dziewczyny.

A dalej nowa karta. Rozległy krajobraz podmiejski, podczas nocy jesiennej; po brzegu ciągnie się jasne pasmo szosy, a na szosie tłum ludzi. Jest to epilog dramatu.

Ze zwieszonemi głowami wlecze się ta gromada mężczyzn, zziębniętych, nędznych, zdeptanych, drogą ku miastu, konwojowana przez konnych żandarmów. Niedawno rwali bruk i z trzaskiem walili stosy drzewa na barykady, a teraz idą w przygnębieniu z widmem kary i gorszej jeszcze od kary nędzy, która czeka ich dzieci. Wspaniała groźna, bezlitośna przyroda, która ich otacza w swej szarej szacie jesiennej, okiem księżyca z wysoka spoziera obojętnie na ich nędzę.

Można całemi godzinami wpatrywać się w te rzeczy, i wynajdywać coraz coś nowego, tak bogate są te dzieła. Same pomysły jasne, pełne, wymowne, oczyszczone całkowicie z niepotrzebnego gadulstwa, które zawsze cechuje dusze biedne i małe inteligencye, zajmują i zaciekawiają. Nic tu niema z anegdoty, z materyału do efektownego tytułu, za któremi ubiegała się sztuka niemiecka z czasów poprzednich. Dostrojenie między ideą samą a artystyczną koncepcyą i równocześnie doskonałą formą jest bez zarzutu. Nic w tem nie można dodać, ani ująć.

Są to wszystko, jak wspomniałem wyżej, akwaforty. Lecz nie dla tego, że Klinger jest akwaforcistą, bo w ściśłem słowa znaczeniu on nim nie jest, tylko dla tego, że ta forma nadawała się bardziej niż inna do wypowiedzenia tego, co chciał powiedzieć. Ze smakiem prawdziwego artysty umiał wybrać najodpowiedniejszy ze środków arty-

stycznych, tak samo jak umiał wybrać marmur dla swojej Wenus i bogactwo koloru farb olejnych do obrazu „Chrystus na Olimpie".

*

* *

Treść obrazów Klingera jest zawsze nowa i przez to pociągająca. Powiadam: t r e ś ć, a nie temat, bo temat może być stary i zużyty, a właśnie szczególnem bogactwem natur twórczych jest to, że w duszy ich każde najpospolitsze zjawisko i zdarzenie nabiera cech niezwykłych i staje się ciekawem nie samo przez się, lecz przez to szczególne ujęcie i oświetlenie w zetknięciu z duszą autora, co właśnie stanowi artystyczną treść dzieła sztuki.

Klinger często porusza pewien temat, stary jak świat, a któremu na imię: kobieta. Od początku świata tyle już powiedziano o kobiecie, tak wybitnym tematem była ona w sztuce, iż zdawać-by się powinno, że już nic nowego dodać nie można. A jednak jest to owa „stara piosenka, która jest ciągle nową" i dopóki istnieć będzie mężczyzna, dopóty kobieta, a z nią cała skomplikowana zagadka zależności dwóch płci, dwóch żywiołów, dominować będzie w życiu i sztuce.

Zawsze umysł wysilać się będzie, by ów wieczny dylemat świata zanalizować, i zawsze dusza czująca dążyć będzie do wyrażenia rodzących się w niej uczuć i wzruszeń.

Dla malarza, dla plastyka wogóle, kobieta już przez samą swoją treść zewnętrzną—ciało i wdzięk fizyczny—stanowi temat niewyczerpany. Poza tem idzie złożona treść wewnętrzna istoty, przejawiającej z takiem bogactwem całą skalę wyrazów, wypełniających przestrzeń między dwoma biegunami, z których jeden zaczyna się zwierzęciem, a drugi ginie w głębiach duszy.

A Klinger ogarnia tę ogromną skalę, i jako artysta umie w bogactwie wyrazów znaleźć to, co chce, a chce wyrazić nie tylko ją samą, lecz i pokrzyżowane wiązadła życia, ten tajemniczy stosunek jej do przyrody, do życia i do mężczyzny.

W szeregu akwafort Klingera widzimy „Ewę" i węża uświadamiającego ją w jej przewadze nad mężem przez zmysły i widzimy w scenie wygnania z raju jej bierną zależność wobec mięśniowej przewagi mężczyzny; widzimy ją zdeptaną lub tryumfującą, miażdżoną i miażdżącą, cierpiącą lub radosną, widzimy matkę, kochankę, nie-

wolnicę i królową, widzimy tkliwą duszę, całą przetopioną w uczucie, i samicę, pełną potęgi żywiołowej.

Lecz Klinger nie jest wcale malarzem kobiet. To nie Chaplin, wytworny plotkarz buduarów, ani też Makart, gienialny i fanatyczny pieśniarz niewieściego wdzięku.

Klinger nie jest malarzem kobiet, on jest malarzem ż y c i a. A życie, jakolwiek niesłychanie złożone, płynie kilku głównemi korytami, śpienione i falujące.

Wniknijmy w treść historyi świata, wtedy poza najgrubszą codzienną walką o chleb powszedni, widzimy jak ludzkość buduje ołtarze i stanowi prawa, morduje się i zagryza, leje potoki krwi, jęczy lub śpiewa hymny zwycięskie, zawsze w imię paru jednych i tych samych uczuć.

I widzimy, że człowiek gotów jest walczyć zawsze o to, co kocha i w co wierzy, bo w tem znajduje sens życia. I treść całej sztuki, całej literatury, od początku świata jest zawsze wyrazem tych uczuć: walki o swobodę, wiarę i o miłość.

Nawet te wszystkie niespokojne targania się dusz mocno czujących, to, coby nazwać można tęsknotą nieskończoności, będą zawsze wyrazem tych uczuć, tylko w formie niskończenie wysubtelnionej.

I treść dzieł Klingera tętni taką treścią życia.

*

* *

Nie będę opisywał wszystkich rysunków, rzeźb i obrazów Klingera, ani ich odpowiednio klasyfikował, gdyż nie miałem zamiaru pisać studyum o Klingerze. Wspomniałem o nim, jako o jednym z najwybitniejszych wyobrazicieli odrodzenia się sztuki i zarazem jako o jednym z tych, którzy się do tego przyczynili.

Już to samo, ze Klinger w sztuce niemieckiej i nietylko niemieckiej, tak zaszczytne i wyłączne zajmuje stanowisko, świadczy o jego niezwykłej indywidualności.

Klinger nie zapożycza się nigdy u nikogo. Gdy inni, tak, jak naprzykład Stuck, bezwstydnie okradają Böcklina, maskując to doskonałem opanowaniem formy, Klinger, stanął obok Böcklina może jako równy, jako pokrewny często, jak druga gałąź jednego pnia, lecz nigdy jako wasal.

Pokrewność ich polega głównie na tem, że przedewszystkiem obydwaj są artystami. Gdy inni często są tylko apostołami, filozofami, doktrynerami sztuki, ci dwaj zawsze byli artystami tylko, ich twórczość szła z instynktu, żywiołowo.

Taki Wereszczagin, lub Sasza Schneider, to publicyści. Obrazy ich ujawniają cały przymus i wysiłek w celu wywołania w widzu jakiegoś określonego wniosku. Znaczenie ich dla sztuki jest podrzędne.

Natomiast tacy, jak Böcklin, lub Klinger, tworzą szkołę i to nie w ujemnem, lecz dodatniem znaczeniu, a rozumiem przez to, nie naśladowanie w wyborze tematów, lub w sposobie użycia farb, którego się przedewszystkiem chwytają wszystkie nieudolne, mierne zdolności, lecz w tem głębokiem ożywieniu się pewną ideą wspólną, która nie ścieśnia granic twórczości.

Klinger w swej bogatej różnostronnej twórczości brał najrozmaitsze tematy, wyrażał najrozmaitsze uczucia, przeżywał różne epoki. Jego pomysły, powiązane w cykle, w całe szeregi obrazów, opowiadają o miłości, o śmierci, o kobiecie, i artysta zawsze jest nowy bez względu na temat, i zawsze ciekawy.

Zwłaszcza, zachwyca mię wprost jego umiejętność wyrażania stanów psychicznych przez kształty.

Klinger nigdy nie jest zawiły, wszystko tłómaczy się w obrazach jego samo przez się i w sposób tak jasny, że choć każda z jego postaci mówi, na żadnej z nich nie znać przymusu ni afektacyi.

Rozumiejąc, że ruchy gwałtowne są najsłabszą stroną w malarstwie i rzeźbie, że to, co pochwyci oko w jednym momencie, zawsze razić będzie w utrwaleniu na stałe, zdobywa się na bajeczne pomysły. Naprzykład, ten człowiek, który stojąc nad tłumem zaciąga węzeł na kańczuku. Dreszcz przejmuje, gdy się patrzy na ten spokojny ruch rąk i na tę masę obnażonych pleców. Czuje się świst kańczuka, klaskanie skóry i jęki tłumu, w tym złowrogim, cichym spokoju. Albo ta kobieta przewieszona nagiem ciałem na gałęzi drzewa i gałązką łaskocząca niedźwiedzia; lub śmierć nieruchomie leżąca na pustych szynach. Spokój i cisza sytuacyi równa się wrażeniem grozie trzasku rozbijającego się pociągu i jęków ludzkich.

W tych kilku uwagach, określeniach i opisach chciałem naszkicować działalność jednego z artystów, którzy w Niemczech reprezentują nowe dążenia w sztuce. Poszli w zapomnienie „piwosze przy kuflach“, mieszczańskie sceny, podlane sosem taniego sentymentalizmu, wypasieni myśliwi na teatralnych Alpach i nieśmiertelni tyrol-

czycy, zapoczątkowani jeszcze przez Deffregera. Zamiast maski ludzkiej odnajdujemy duszę, zamiast anegdoty - dramat.

Sztuka, z dworskiej przeszedłszy z kolei w fazę mieszczańsko-dorobkiewiczowską, odrodziła się teraz stała się nareszcie tem, czem być powinna: szczerą, głęboką i niezależną wyrazicielką ludzkiej duszy.

Stef. Popowski.

W zimie.

(Z CYKLU „ROK ZYCIA“).

I.

Biały za oknem śnieg zgrzyta,
Mróz chodzi, zimny król dumny,
Miesięczne promienie chwyta
I domu srebrzy kolumny.
A w cichym i białym pokoju
Snuje się myśli rój tłumny,
Myśli zmęczonych po boju.
I serce, burzy niepomne,
O cichym marzy spokoju.

. . . . . .

Dumając nad życiem mojem,
Czuwam. Wiatr zerwał się szumny...
— Gdyby pójść z takim spokojem
Jak dzisiaj do snu — do trumny.

II.

W przestrzeni, przez słońce zalanej,
Cienie się ścielą błękitnie,
Na ziemi, w puch biały przybranej,
Gałązka każda szkłem kwitnie.

Tak nieraz cierpieniem zbielałą,
Czy w świcie doli śnieżystą,
Ach, każdy miał, chwilę choć małą,
Duszę jak szronu kwiat czystą.

I tęskność za dolą, za złotą,
Którą jak okiść wiatr zmiata,
Jest skrytą za tobą tęsknotą,
Anima immaculata!

III.

Komin wesoło
Płonie i strzela,
Hej, u komina
Usiądźmy w koło,
I dla wesela
Nalejcie wina!
Pokój w półcieniu,
W oknie noc cicha,

Iskry migocą
W mroźnym deseniu,
Na dnie kielicha
Myśli się złocą.
Oto myśl nęci,
Oto myśl drażni...
W wesołą chwilę
Na cześć pamięci,
— Duszy przyjaźni —
Kielich wychylę.

HENRYK SKIRMUNT.

DUCH CZASU.[1]

Akt drugi.

Scena przedstawia szlachecki dworek z niewielkim gankiem. Przed gankiem murawa, na środku wielki dąb—z boku po jednej stronie stoliki białe ogrodowe, obok kanapki plecione i po dwa krzesełka. Na jednym stoliku dosyć książek porozrzucanych, na drugim zaczęty gorset i materyał na spodnicę dla wiejskiej dziewczyny.

SCENA I.

Zosia — Jaga.

Zosia, skromnie, lecz gustownie ubrana, siedzi na jednem z krzesełek, czyta książkę.

Jaga (*za sceną*). Panienko! panienko!..

Zosia (*wytworna w ruchach — rzuca książkę—woła*). Jaguś tędy—jestem tu!

Jaga, ubrana po wiejsku skromnie, boso (po codziennemu), w chusteczce na głowie, zalewając się łzami.

Jaga. Uciekłam! panienko złociutka, uciekłam do matusi, do tatusia!..

---

[1]) Patrz zeszyt grudniowy, str. 441.

Z o s i a. Co się stało? Czy to podobna?.. rzuciłaś męża?!..

J a g a. Panienko, to nie pan i żaden kawalirz.

Z o s i a. Co mówisz?.. (*Jaga płacze i oczy ociera zapaską, Zosia ją sadza i siada przy niej*).

J a g a. Myślałam, że to jakieś delikatne ludzie. Schlebiał mi aż okropa, słodziutki jak miód.

Z o s i a. A on?

J a g a. Cham i już!! Trzeciego dnia zaczął dąć, czwartego wymawiał mi, żem mu małe wiano wniosła, piątego w drwinki mnie podawał, szóstego groził, a siódmego rękę podniósł. (*zrywa się — wybucha*). Toś ty śmiał rękę podnieść na mnie, gospodarską córkę!..

Z o s i a (*głaszcząc ją*). A zdawało się...

J a g a (*przerywa*). Zdawało się, że to panicz, że sama przychlebność.

Z o s i a. Delikatność.

J a g a. Wymawiał mi, że on pan przy urzędzie ożenił się z chłopką. (*gwałtownie*) Ja ci siedzę od wiek wieków na swoim skrawku świętej ziemi, (*krzyczy*) a ty kto? pewno z Niemców przybłęda—i śmiesz mi grozić (*podnosząc pięść*)... Ty!!

Z o s i a (*ją tuli*). Odpocznij u ojców, ból przejdzie, przeprosi cię—wrócisz!

J a g a. Nigdy! wolę nagłą śmierć. Panienko, nie mówcie tak, bo mi syrce pęknie!.. Czy mi u ojców źle? Czy se zaśpię, czy w niebo patrzę, czy na łabudy idę, czy poziomki zbieram, wszystko dla tatusiów dobrze... Na swych śmieciach jestem se panią!

Z o s i a. Cóż ojcowie?

J a g a. Okrutnie kontentni! Cneli beze mni, że se rady dać nie mogli! Tatuś zaprzągł do wozu, wzięli ze sobą podwójcia i przywieźli mi od niego chudobę. Boga proszę, żeby go oczy moje przez życie nie oglądały!..

Z o s i a. Jesteś delikatna!..

J a g a (*przerywa*). A on duszyczkę mi żgał rozpalonem żelazem, aż skwierczało (*płacze*).

Z o s i a (*ocierając oczy*): Biedactwo moje!

J a g a (*z radością*). Co za szczęście, że panienka z nami! Będziemy razem uganiać po lesie. Wiem, gdzie rosną złote maliny.

Z o s i a. Rada jestem, że cię znowu mam. Sama nie mogę teraz biegać...

J a g a. A la czego?..

Z o s i a (*wesoło*). Bo w lesie Będzińskim straszy.

J a g a. Pewno na jeziorze wodnice dokazują. Ale to tylko na młodziku przy księżycu,—a w dzień?!

Z o s i a. Wodnik nie pozwala.

J a g a. A pan nadleśny? A leśniczowie? nie dają wodnikowi rady...

Z o s i a. Wodnik mocniejszy od Dziadka.

J a g a. Dziedzic Będziński! Panienka w las — on za panienką.

Z o s i a. I dla tego muszę siedzieć w domu.

J a g a. Ale on, słycham, przylazł za panienką na leśnictwo.

Z o s i a. Dziadek wyjeżdża—ty będziesz tu ze mną.

J a g a (*wesoło—żywo*). Razem przed wschodem słońca polecimy do lasu, nie złapie nas.

Z o s i a. Nie zabłądzisz?

J a g a. W nocy trafię. (*frasobliwie—ciekawie*) A czego dziedzic Będziński chce od panienki?..

Z o s i a. Nie powiedział mi dotąd.

J a g a. A panienka, jakże miarkuje.

Z o s i a. Nic—lubi ze mną rozmawiać,—ja z nim!..

J a g a (*nieśmiało*). A jeśli... jeśli woli panienkę, niż tamtą gdowę z Borzęcina?..

Z o s i a. Tamta daje mu cały Borzęcin! Ty swemu wniosłaś wiano, a on cię w drwinki podawał!.. Cóż dopiero było-by ze mną, co nic nie mam...

J a g a (*z frasunku podpiera ręką brodę*). Prawda! Jeśli oni wszyscy jednacy, to i on (*urywa*).

Z o s i a. Powiedz otwarcie.

J a g a. Mógł-by żgać delikatną duszyczkę panienki! Boże! i żal to młodości i takiej urody...

Z o s i a. Szkoda życia! Ten twój za głupi był i ordynarny, aby odczuł kogo mu Bóg zesłał... To i zostań z nami.

J a g a (*serdecznie*). Ostanę, ostanę! Panienka nie wie, jak mi tu miło, jak tu patrzy inaczej na mie świat, słonko świeci,—inaczej wiaterek muska mi gębusię. Tylo mnie panienko lubcie, jak dawniej.

Z o s i a (*ją głaszcze*). Kocham cię więcej od chwili, gdy smutek ukazał ci czary twej rodzinnej wioski.

J a g a (*wzruszona—cicho*). Kiej tak padło, to powiem panience (*ogląda się, przykłada palec do ust*). Jest u Matusa Czyżyka chłopak, Jaś mu,—jak malowanie. Okrutnie nieśmiały. Co się spojrzy na mnie, to na niego ognie buchają. Cichy, zalękniony. (*wzdycha głęboko*). Gdy przyszedł miastowy, zamroczyło mnie do cna i zgubiłam oczy.

Z o s i a. A teraz znalazłaś je zapóźno!

Jaga (*z mocą*). W ostatnią niedzielę wychodziłam z kościoła, Jaś zdjął kapelusz, podszedł ku nam, pocałował mnie w rękę i rzekł: Modliłem się, żebyście wrócili—i Bóg was sprowadził.

Zosia. A ty, Jaguś?..

Jaga. Nie mogłam słowa wydobyć z gardła, odwróciłam się, a ze ślepiów: kap, kap, kap...

Zosia. I cóż się dalej stało?

Jaga. Jaś przyszedł tego samego wieczora, ja skryłam się do komory.

Zosia. Ciekawa historya.

Jaga (*nieśmiało*). Niema nic ciekawego, tylo mnie syrce boli. Czasem ci rada jestem, choć nie wiem czemu! Smutno mi okrutnie; a nieraz to się głupia zaśmieję i do wierzby przy drodze...

Zosia. Jakoś u mojej Jagusi serce zaczyna grać.

Jaga. A niech gra! Jedna młodość i jedno syrca granie. Teraz oddycham, bo też byłam okrutnie sponiewierana. (*cicho*). Jeśli panienka nie chce boleć, jak ja bolałam, to niech ucieka od Będzińskiego pana. Im który bogatszy, tem dokuczliwszy, tem boleśniej źga.

Zosia. Moja Jaguś, niczego od niego nie chcę.

Jaga. Dzięki Bogu! Niech se panienka wyszuka takiego, jak Jaś, co to samo kochanie.

SCENA II.

Zosia — Jaga — Władysław.

Władysław (*niepostrzeżony wbiega na scenę, ożywiony, wesoły.*) Niech żyje panna Zofia!

Jaga (*z przestrachem*). Jezus Marya!

Zosia. Witam pana! (*podaje mu rękę*).

Władysław. Udało mi się uciec.

Zosia. Skąd?

Władysław. Z raju!.. Lecz jeżeli wszystkie raje są tak nudne, to sama myśl o nich przeraża.

Jaga. Takem ci się zestrachała, że aż syrce tłucze mi się o ziobra.

Władysław (*wesoło*). Musiałaś, moje dziecko, opowiadać panience jakąś ciekawą historyę.

Biblioteka Sejmu Śląskiego

Z o s i a. Straszną! Moja towarzyszka z lat dziecinnych od dwóch mięsięcy gosposia, wyobraź pan sobie, uciekła od męża i nie chce do niego wracać.

W ł a d y s ł a w (*łamiąc ręce—wesoło*). Jagusiu, cóżeś zrobiła?

J a g a. A nic—odleciałam go i już—i nie powrócę choćby mi za skórę lano gorące sadło.

W ł a d y s ł a w (*wesoło*). Za co? Dla czego?

Z o s i a. Jagusia ma delikatną duszyczkę– a pan mąż...

J a g a (*z żalem*). Zgał mi ją!

W ł a d y s ł a w. Co za zbrodniarz! Musisz nas mężczyzn za to okropnie niecierpieć.

J a g a. Nie bez to, tylo wiem, że im większy pan, tem niemiłosierniejszy. Mój był „pan urzędnik"—a jaśnie dziedzic wielgi bogacz —to co innego.

W ł a d y s ł a w. Więc i ja będę się źle obchodził z dobrą duszyczką mej żony?

J a g a. To zawisło jaką będzie miał. Ale o dziedzica niema strachu. Bierze gdowę najbogatszą na całą okoliczność, to ją musi szanować i już.

W ł a d y s ł a w (*wesoło*). Jaguś, logika twoja jest straszna!

J a g a. Bo z niej prawda wyziera i mruga ślepiami.

Z o s i a. Jagusia ma bystry, a często subtelny wzrok...

W ł a d y s ł a w. Jaguś, a gdyby mi nie szło o wielkie wiano? (*Zosia grozi nieznacznie i przelotnie Jadze*).

J a g a. Kiej się to nie może stać!

W ł a d y s ł a w. A to dla czego?

J a g a. Bo dziedzic nie do takich rzeczy.

W ł a d y s ł a w (*zbliża się do Jagi*). Wytłómacz się, Jagusiu.

J a g a. Dziedzic ma dużo, to i musi wciąż więcej łaknąć. Ci co mają dużo jeść, są łakomi, a biedacy ino myślą o dobrem jedzeniu, ha, ha (*śmieje się*).

W ł a d y s ł a w *do Zosi*. Stoimy przed filozofią ludu...

Z o s i a. Jaga mówi, że ciężko na heroizmy w powszednim biegu spraw ludzkich.

W ł a d y s ł a w (*z wymówką*). Pani nazywasz sprawą powszednią. Od nas zależy zrobić ją ważną.

Z o s i a (*scrdecznie*). Prawda!.. Wszystko ludzie, zawsze ludzie, cóż bez ludzi?.. (*bierze gorset wyjmuje igłę, robi parę ściegów—pokazuje*) Dla Jagusi na imieniny.

W ł a d y s ł a w. W nagrodę, że uciekła od męża.

Z o s i a. W nagrodę za jej siłę woli, za poczucie krzywd, które jej wyrządzono, za oburzenie przeciw maltretowaniu w niej natury

ludzkiej, za znalezienie w sobie tych uczuć, które nazywa delikatną duszyczką.

Władysław. Ubierasz ją pani we wszystkie tęcze.

Zosia (*kończy*). Uczuć budzących się w niej, które my długą pracą stuleci wydobyliśmy z siebie.

Jaga (*z żalem*). Dziedzic mi zazdrości syrca panienki. (*Zosia na nią patrzy*) Panienka ma syrce la wszystkich, — ma i la mnie...

Władysław (*przerywa*). Zazdroszczę, bo pragnę, aby i dla mnie panienka troszkę serca zostawiła.

Zosia (*patrzy na niego długo*). Czyż pan wątpi, że je mam?

Władysław *żywo*. Nie, nie wątpię!.. Ale mi nieraz taki żal samego siebie, taki ból ściska, że radbym wyskoczyć z własnej skóry i uciekać, uciekać — gdzieś na błękity, lub skryć się pod ziemię.

Jaga. Żal nie pomoże. (*Zosia grozi Jadze, co widzi Władysław*).

Władysław (*zbliża się do Jagi, bierze ją za ręce*). Moja Jaga, powiedz, czy choć troszkę lubisz swego dziedzica?!

Jaga. Dajmy na to, że go lubię! Smyśny i dobry pan.

Władysław. Proszę cię więc, zamruż oczy.

Jaga (*zamruża*). Już...

Władysław (*bierze ją za ręce, odwraca od Zosi, siada—Jaga stoi przed nim*). A teraz powiedz, w czem żal nie pomoże?..

Jaga. Kiej się boję.

Władsław. Kogo się boisz?

Jaga. Może panienki, a może dziedzica.

Zosia. Nie wiem, co chcesz powiedzieć.

Jaga. No to powiem. Wielki żal idzie zawdy wtedy, gdy człeka nie stać już na nijaką robotę, ani na nijaką radę.

Zosia (*się zrywa*). Dziadek przyjechał. (*biegnie do ganku leśniczówki—wchodzi nadleśny*).

Władysław (*do siebie*). Trzeźwy rozum chłopski.

SCENA III.

Zosia — Jaga — Władysław — Nadleśny.

Nadleśny (*z dubeltówką przewieszoną przez plecy—pół pan, pół żołnierz—wesoły*). Nie spodziewaliście się mnie, moje dzieci. Co

widzę, Jaga tu? Już sobie sprzykrzyła męża celnika przy pałaszu?

Z o s i a. I nie wraca do niego. (*Jaga całuje nadleśnego w rękę— on ją głaszcze*).

N a d l e ś n y. I dobrze robi—będzie nam z nią milej, a chłopców na wsi nie brak... (*Jaga zawstydzona odwraca się — do Władysława*) Wybornie się składa, że zastaję pana dziedzica! Przyszła mi genialna myśl sprzedania dwóch poręb od razu: jedną, jak było postanowiono, na Jagniówce, drugą na Kamieńcu, z zastrzeżeniem wyrębu dopiero po dwóch latach. Cóż pan dziedzic na to? (*Zosia daje znak Jadze —wychodzą*).

W ł a d y s ł a w. Wszystko, co pan zadysponujesz w lasach Będzińskich, które sto razy lepiej znasz ode mnie, odrazu potwierdzam. Zamiast jednej poręby dwie—czyli zamiast dwudziestu tysięcy, czterdzieści—ależ świetnie. Któryż dziedzic na to się nie zgodzi?

N a d l e ś n y (*wesoło*). Zwłaszcza młody. Będziemy mieli gotówkę na wkłady do gospodarstwa, — a lasy nic na tem nie stracą.

W ł a d y s ł a w. Prawda! (*patrzy na dubeltówkę*) Cóż pan masz za śliczną broń.

N a d l e ś n y. Pamiątka rodzinna (*zdejmuje z ramienia*), cała srebrem bogato grawirowana. Ma tradycyę—Sagalasówka, chociaż ze wschodu pochodzi. Kto wie, czy nie dziedzictwo po asesorze.— Stara skałkówka, przerobiona do kapiszonów (*Władysław bierze ją w rękę—ogląda*). Wierna, celna, niezawodna. Ma ona swoją historyę—bije na trzysta kroków; w jakich nie była opałach... wielu broniła, a wielu kładła (*poważnie*) łotrów. (*patrzy Władysławowi w oczy*) Kładła i tych, co podstępem pragnęli zbezcześcić cudzy honor.

W ł a d y s ł a w. Tym nie wolno jej przebaczać (*oddaje dubeltówkę*).

N a d l e ś n y. Bo nie może!—Rozumiesz, panie Władysławie?

W ł a d y s ł a w (*wesoło*). Ach, to łatwe do pojęcia. (*silnie*) To prawo, to nawet konieczność.

N a d l e ś n y (*miarkując się—wesoło*). Ale Bóg da takiej konieczności nie będzie.

W ł a d y s ł a w. Pewno — przy wypalonych dziś namiętnościach.

N a d l e ś n y. Namiętności zagrzebane w popiołach.

W ł a d y s ł a w. Śpią, drogi panie.

N a d l e ś n y. Śpią—śpią (*macha ręką*). Nie zatrzymuję pana—wykreślę na mapie drugą porębę, kupcy czekają—jadę.

Władysław. Dziękuję panu za tę drugą porębę (*całuje go w ramię i wybiega za Zosią*).

Nadleśny (*do siebie*). Namiętności śpią przysypane grubo popiołami—ostatnie iskierki w nich gasną, a ja stary marzyłem. Czasem we śnie śmiała się do mnie sprawiedliwość Boża—widziałem Zosię wracającą na stare śmiecie, zajmującą miejsce swojej prababki... Śniłem stary, bo cóż staremu zostało, jako nagroda życia, jeśli nie sen (*przebiega przez scenę Jaga*) Gdzie?

Jaga (*stając*). Słońce wyjrzało i pali, panienka z paniczem w ogrodzie, lecę im po kapelusze. (*bierze kapelusze—biegnie z powrotem*).

Nadleśny. Jaguś!!

Jaga (*zatrzymuje się*). Słucham!

Nadleśny. Dawno znasz dziedzica?

Jaga. Odkąd na świat przyszłam, choć on pewnie mnie nie uważał.

Nadleśny. A masz ty oczy?

Jaga. Takie to może ma i pan nadleśny, ale lepszych ślepiów to pewno że nie...

Nadleśny. Ale ja chcę takich ślepiów, co to umieją do wnętrza zaglądać.

Jaga. Może i to potrafię! Kto ta wie!? Muszę lecieć (*wybiega z kapeluszami*).

Nadleśny. Leć, leć... Cóż tu robić? co radzić? będzie to, na co ludzi stać (*wychodzi przez ganek do leśnictwa*). Namiętność w popiołach...

Chwileczkę scena pusta, wchodzi Zosia—Władysław—za nimi Jaga.

Zosia (*kończąc*). Czy panu się nie udało podsłuchać, jak z naszych nieokreślonych tęsknot rodzą się myśli — dobre myśli nasze.

Władysław. Mów mi pani o nich! Gdy jestem z tobą, pragnę cię tylko słuchać. Głos twój rytmem muzyki wpada mi do serca — zapala nowe uczucia, idzie do mózgu, nowe światy tworzy.

Zosia. Nowe uczucia, nowe światy —słucham.

Władysław. Mówisz, muzyka twego głosu robi cuda; milkniesz, zaczarowany świat ginie; dokoła cicho, pusto, szaro. Głos twój otwiera serce, daje światło, sprawia ciepło.

Zosia (*wesoło*). A słońce... Cóż się stanie ze słońcem?

Władysław. Czasem ludzie dla ludzi zmieniają się w słońca. Często słońce żarem swym zabija.

Zosia (*wesoło bierze różyczki*). Idę słońcu ukraść rozwiniętą różę. Promienie jego do wieczora spalą biedaczkę. Skryjemy ją w cień (*wychodzi, za nią Władysław*), będzie się skarżyć i zapachem tęsknić za słońcem (*znikają*).

SCENA IV.

Jaga — Nadleśny.

Jaga (*patrząc za nimi woła*). Panie Nadleśny, proszę ino na chwilkę.

Nadleśny (*wychodzi w okularach, trzymając pióro w ręce; tajemniczo*). Jaguś, co nowego?

Jaga. A nic, tylo zajrzałam, jak pan Nadleśny kazał, do wnętrza obojgu.

Nadleśny (*cicho*). I cóżeś zobaczyła?

Jaga. Że pan nadleśny powinien się go spytać—„A cego"? Ciekawa okrutnie jestem, co on odpowie. (*bierze koszyczek ze stolika na ganku*) Urwałam malin w lesie, a teraz im rozłożę. Świergocą, jak ptaki, niechże sobie słodkościami gębusię odwilżą, bo ptactwo lubi maliny (*przelatuje przez scenę*).

Nadleśny. Jaguś!.. Poleciała—(*patrzy*) Śmieją się, bawią, on coś deklamuje. Co to jedna dziewczyna może z mężczyzny zrobić! Dawnej nie deklamował. Dawniej (*macha ręką*) Jakże mu to powiedzieć (*naśladuje Jagę*) „a cego"? Kiedy myśleć się boję, marzyć się boję, spodziewać się boję! Nad Grąbczeskimi od stu lat czarna chmura zawisła i stoi. Czyżby teraz słońce wschodziło?.. Namiętności śpią jak w puchach. Zasypane popiołami. (*wchodzi do leśnictwa*).

SCENA V.

Jaga — Zosia — Władysław.

Jaga wbiega na scenę, stawiając z koszykiem maliny na stole, za nią wchodzą Władysław i Zosia.

Jaga. Dla odwilżenia gardziołek.

Władysław. Jagusiu, dobra jesteś, pamiętasz o panience.

Jaga. I o dziedzicu. A cóż mam robić, czy to nie wiem, że łopie przy świergotaniu gardziołka schną.

Władysław. Panienka świergocze, ja słucham (*patrzy na koszyczek*) Jakież prześliczne maliny (*zaczyna nucić lub deklamować*);

Już księżyc zaszedł, psy się uśpiły.
I któż tam klaszcze za borem?
Pewnie mnie czeka mój Filon miły,
Pod umówionym jaworem.

Zosia (*wesoło nuci*).

Nie będę sobie włosów trefiła,
Tylko je zwiążę przepaską!

(*mówi*) Maliny będziemy jedli oboje.

Władysław. Dobre to były dla nas Filonów czasy.

Zosia. Jakaż różnica, jakaż wielka różnica od tamtych, jak pan mówisz, dobrych czasów. Dziś nie myślimy na schadzkach o jedzeniu, nie zajmujemy się żywnością. Duch ludzki zolbrzymiał, chociaż to zaledwie sto lat. (*do Jagusi*) Jaguś, jak ci się podoba piosnka dziedzica?

Jaga. Okrutniel śliczności.

Zosia (*do Władysława*). Jagusia jest dziś na wysokości malin. My poszliśmy daleko, daleko.

Władysław. I po co?

Zosia (*wesoło*). Idziemy do słońca, jak fatum, bo stać nie możemy. Nasze babki płakały, nucąc przy krosnach o malinach zjadanych we dwoje. My uśmiechamy się z tych rozkoszy.

Władysław. Cóż dziś?

Zosia (*patrząc na Władysława*). Inaczej określamy stany naszych serc. Co dziś, pytasz pan—dziś?(*myśli, przypomina sobie*):

„Nigdy więc, nigdy z tobą rozstać się nie mogę,
Morzem płyniesz i lądem idziesz za mną w drogę.
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady,
I głos twój słyszę w szumie Alpejskiej kaskady,
I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam,
I postać twoją widzieć lękam się i żądam."

Nam dziś to się podoba—a nie zadługo przyjdzie co innego...

Władysław. Czy może być jeszcze coś piękniejszego?

Z o s i a. Może—nawet musi, a może jest,—jeżeli przed stu laty zjadanie malin, nawet przy nieutrefionych włosach, było duchową rozkoszą.

W ł a d y s ł a w. Powiedziałaś pani, że jest!?..

Z o s i a. Powiedziałam... (*mówi*):

„I wierzba srebrna kąpała na fali
Złote listeczki... O tem ksiądz wielebny,
Mówiąc z ambony, płakał:—wierzba biała
Także, choć mówić nie mogła, płakała..."

(*chwila ciszy*). To znowu inne, niepodobne, czarujące. Odczuwasz pan w tych paru wierszach czary chwytające za serce?

W ł a d y s ł a w. Odczuwam, podwójne czary—poezyi i twoje!

Z o s i a (*patrząc na niego*). A teraz się pan wytłómacz?..

W ł a d y s ł a w (*zakłopotany*). Z czego? z czarów?..

Z o s i a (*śmieje się*). Z niczego?..

J a g a. Pewnie z tego, że dziedzic w panienkę wmawia czary, kiej w niej sama dobroć tkwi...

Z o s i a (*do Władysława zwrócona*). Cóż we mnie tkwi? czary, czy dobroć?

W ł a d y s ł a w. Wszystko razem. Raz stajesz się natchnioną, że możesz rzeszę prowadzić... Drugi raz śmiejesz się szyderstwem przepojonem dobrocią—i oto tajemnica, dla czego idę za tobą!..

Z o s i a. Odejdziesz w połowie drogi.

W ł a d y s ł a w. Nie!.. nie chcę! nie odejdę...

Z o s i a. Bawimy się jak dzieci, rzucając słowa na igraszkę wiatrom.—(*siada, podpiera się, zamyślona głęboko*).

W ł a d y s ł a w. Z wesołej raptem robisz się poważna i dumna. Smutek ocienia twoje czoło,—usta milczenie.

Z o s i a (*poważnie*). Milczenie złotol..

W ł a d y s ł a w (*żywo*). Dosyć złota!!

Z o s i a. Co to znaczy?..

W ł a d y s ł a w. Gdy patrzę w tej chwili na ciebie, wyrazy zamierają mi na ustach!

Z o s i a. Rad pan jesteś, że cię mrożę lodem mego zimna...

W ł a d y s ł a w. Litości! (*składa ręce*) litości!..

Z o s i a. Jagusiu, chodźmy w las. Słońce go złoci, promienie stroją. (*do Władysława*) A pan?..

W ł a d y s ł a w. Idę za tobą i to jest tajemnica mego żywota—idę, bo muszę...

J a g a. Taki to już mus siedzi w ludziach. Wielgi to mocarz, ludzie go słuchają. Tak i dziedzic musi za panienką chodzić, czy chce, czy nie chce. Mus w nim siedzi, pilnuje go i pcha.

W ł a d y s ł a w. A jakiż „mus“ panienki?

J a g a (*się śmieje*). Kto ta zgadnie. Panienka sama z swym musem gada, a oboje nie mówią co uradzili.

Z o s i a (*wesoło*). Chodźmy każdy ze swoim musem.

W ł a d y s ł a w (*wesoło*). „Musie, wielgi“ mocarzu, prowadź nas!..

Z o s i a (*do Władysława, idąc*). Dobrze się bawimy...

J a g a (*do siebie*). Młodość gra, a szczęście się do was śmieje!.. (*wychodzą — Jaga za nimi*).

SCENA VI.

I z a — R o m a n.

Scena chwilkę pusta — wchodzi szybko Iza, patrzy, ogląda się, zbliża do dworku, zagląda przez otwarte okno.

I z a. Pusto—niezawodnie są w lesie!.. Gdzie ich szukać?.. Co dalej robić... Czekać?.. (*ubiega Roman*).

R o m a n (*żywo*). Szalenie pędziłaś, nie mogłem dogonić wyciągniętym kłusem mych dzielnych kasztanów. Pędziłem, bo na domiar, wyobraź sobie, moje numizmaty—moje białe kruki... Szczęście, pozbierałem je, nim zajechał.

I z a (*przerywa*). Ten pęd i ta jazda, wszystkie mi nerwy jakby na krzyżu rozpięły.

R o m a n. Boję się tego rozpięcia i błagam cię, cofnij się!..

I z a. Nigdy! (*chodzi nerwowo*) W leśniczówce nikogo—widocznie tu miejsce schadzek, tu rozkoszne odpoczynki po leśnych spacerach.

R o m a n (*podnosi materyał na spodnicę, rzuca go—rozwija gorset i rzuca*). Lud!—praca dla ludu!.. Gdy wywłaszczeni stracą nad nim władzę, chcą napowrót czarną tę masę pozyskać wszystkiemi siłami, ale twarda natura chłopa stoi trzeźwo przy pługu i wie, że Bóg w niebie, a pan na ziemi, są jedynie jego opiekunami.

I z a (*chodząc niespokojnie*). W tak ważnej i gorącej chwili wuj występuje z deklamacyami!..

R o m a n (*zirytowany*). Z jakiemi deklamacyami? I ciebie opanował przeklęty „duch czasu“, który nas ssie, zjada i kładzie! (*poka-*

zuje) Patrz, leśniczanki toną w stosach książek! W takiej-to szkole ten twój—przebacz Iziu—głupiec przesiaduje po całych dniach, rozkoszując się w tej atmosferze! (*zmienia ton*) Nie gniewasz się?

Iza. Nie gniewam się, bo „mój głupiec", mimo wszystkich nagromadzonych tu książek—uczonym nie zostanie... Mam już wuja uczonego.

Roman. Dziękuję ci!—Czuję, że chciałaś powiedzieć uczonego głupca.

Iza (*surowo*). Proszę nie narzucać mi myśli, których nie mam, i to w chwili, kiedy się zaczną rozgrywać moje losy!

Roman. Co za losy?.. jakie losy?.. Zapominasz kim jesteś, że masz milion w ziemi, a razem z mojemi półtora, jesteś moją siostrzenicą—wolną i młodą.

Iza. Gdy będę w twoim wieku, wtedy tak jak ty potrafię walczyć z przeklętym duchem czasu.

Roman. Dziś wszystko poświęcasz głupiemu sercu.

Iza. (*patrząc w głąb*). Idą (*chwyta Romana za rękę i pokazuje*) Wychodzą z poza tego dębu. Zdaje się, że Władysław nas spostrzegł. Zdejmuje kapelusz i całuje ją w rękę.

Roman (*przerażony*). Kogo?

Iza. Ją! nie wiesz? leśniczankę...

Roman. I ziemia się pod nim nie rozstąpiła?..

Iza. Nie!—odchodzi spokojnie... Patrz, zbliżają się: ona i wiejska dziewczyna.

Roman (*patrzy przez lornetkę*). Bardzo przystojna! Grąbczeskie wszystkie były piękne.

Iza. Dla tego biada jej!

Roman. I na co jej dziś piękność? Ciężar niepotrzebny.

Iza. Proszę cię, wuju, zostaw mnie, pragnę z nią być sama.

Roman. Iza, pamiętaj kim jesteś!

Iza (*patrząc zamyślona*). Pamiętam.

Roman. Odchodzę, lecz cię nie porzucam.

Iza (*ciągle patrzy automatycznie*). Dobrze.

Roman. Na każde wezwanie jestem (*odchodzi*).

Iza (*cicho*). Dobrze! (*wchodzi Zosia z Jagą*).

SCENA VII.

Iza — Zosia — Jaga.

Zosia staje, patrząc nieruchomo na Izę.

Iza (*zmieszana*). Czy to leśniczówka? (*Zosia milczy i patrzy*).

Jaga. Nie, to leśnictwo, proszę pani, tu mieszka pan nadleśny.

Iza. Zastałam nadleśnego?

Jaga. Zawdy o tym czasie wyjeżdża.

Iza (*do Zosi*). Chcę drzewa kupić.

Zosia (*do Jagi*). Zaprowadź panią do kancelaryi—tam napisze czego żąda.

Jaga (*biegnie do dworka*). Tędyk proszę pani.

Iza (*w pasyi zbliża się do Zosi*). A ty kto jesteś?

Zosia. A ty?

Iza. Przemówiłaś nareszcie!

Zosia. Rozciekawiłam się zachowaniem twojem.

Iza. Bo...

Zosia. Bo obowiązkiem pani było przedstawić się.

Iza. A twoim?

Zosia. Odpowiedzieć. Formy wszędzie jednakowo obowiązują—ludzi...

Iza. Nauka!

Zosia. Nie—odpowiedź (*do Jagi, stojącej przed gankiem*). Jaguś, pójdziemy (*Jaga przybiega do Zosi*).

Iza (*w gniewie*). Gdzie??

Zosia. Aż tak egzaminujesz nas?

Iza (*nerwowo*). Pragnę, abyś zeszła z mej drogi.

Zosia (*odsuwając się z Jagą*). Proszę przejść.

Iza. Mimo to, stoisz. Kto ci pozwolił ciągnąć za sobą mego narzeczonego? Jakie masz do tego prawo?.. Dla czego robisz go nieszczęśliwym, zawiązujesz mu świat?.. Co go czeka z z tobą po miesiącu szału?.. Żal, wstyd, upokorzenie (*wchodzi Roman*).

SCENA VIII.

Ciż — Roman.

Roman wchodzi wolno—uchyla kapelusz przed Zosią—ta go nie widzi.

Zosia (*do Izy*). Nie będę ani jego szałem, ani żalem, ani wstydem.

Iza (*szydersko*). Królową, boginią, panią.

Zosia. Panowanie nad nim tobie oddając!.. Ty będziesz jego światowym bogiem, — ozdobą życia, koroną pragnień... Nikt inny, tylko ty!

Roman (*do siebie*). Tak być powinno!

Zosia. Nie szalej z bólu i strachu, wszędzie i zawsze ty, jedna, jedyna, niepodzielna.

Iza (*zdziwiona*). A więc?

Zosia. Nie chcę wchodzić do was na ów wstyd i upokorzenie, o których mówisz. Gdybym weszła, serce pękło-by mi z żalu, udusiła tęsknota za samą sobą. Tracić siebie samą ty tego nie czujesz, bo nie byłaś nigdy sobą!..

Iza (*z ronią*). Czemże byłam?

Zosia. Taką, jaką ci kazali.

Roman (*do siebie*). Naturalistka.

Iza (*wyniośle*). A ty jaką jesteś?..

Zosia. Taką, jaką chciał Bóg i jaką ja chciałam!.. Z wami uschłabym, jak kwiat bez rosy. Kroplami naszego życia, to walka o dziś—i zapatrzony wzrok w przyszłość.

Iza (*szydersko*). My nie mamy przyszłości?

Zosia. Nie! gdy jesteście młode, macie przed sobą starość i nic więcej (*spostrzega Romana, patrzy na niego*), powie ci to ten pan!

Roman się kłania lekko kapeluszem, Zosia odpowiada ruchem głowy.

Roman. Za to mamy piękną i pogodną starość!

Zosia (*do Izy*). Co do was może ciągnąć? powszedniość drzemiąca w waszych fotelach i nuda wyuczonych waszych form.

Roman (*do Zosi wyniośle*). Których nigdy przejąć nie potraficie, a naśladujecie źle..

Zosia (*nie odpowiada Romanowi—do Izy*). Byłaś tyle naiwną żeś sądziła, iż dla paru ciepłych słów, dla czułych spojrzeń, rzucę wszyst-

ko i pójdę powoli zamierać w waszej atmosferze małych plotek i pustki życia.

I z a (*z ironią*). Byłam tyle naiwną, iż myślałam, że i trochę dla miliona w rezerwie.

Z o s i a. Nareszcie jesteśmy u celu! Ten to milion i strach o niego sprowadził cię tu!

I z a. Strach o narzeczonego.

Z o s i a. Z milionem!..

I z a. Na który rozciągnęłaś sieci!

Z o s i a. Sieci nie było—lecz wszystko inne rzucam ci pod nogi z milionem! Nie chcę cudzych milonów!

I z a. A jednak chodził za tobą, szukał cię, pozwalałaś się znaleźć?!

Z o s i a (*przerywa*). Pozwalałam, bo pragnęłam budzącej się jego duszy skrzydła przyprawić. (*Władysław niepostrzeżony ukazuje się i znika*).

I z a (*niespokojnie*). Przyprawiłaś?.. Cóż on?..

Z o s i a. Nie drżyj o niego; wróci do ciebie! Jedno mu tylko zaklęcie serca mego w duszę rzuciłam!.. Wśród czarów waszego życia zrodzi się w nim tęsknota.

R o m a n (*przerażony*). Największego z szatanów—Massynisy.

Z o s i a (*do Izy*). Z twych uścisków wyrwie go pragnienie wiekuistej tęsknoty, pragnienie twórczości i wzrok w wielkie przestrzenie utkwiony! Ty w nim zaklęcia mego nie odczujesz, a więc i ukojenia mu nie dasz. (*ukazuje się Władysław—słucha—znika*).

I z a (*krzyczy*). Cicho!

Z o s i a (*spokojnie*). Nareszcie zrozumiałaś....

I z a (*szydersko — dumnie*). Żartuję sobie z ciebie i twoich zaklęć!..

Z o s i a. Żartuj, ale on zaklęcia moje przyniesie ci w podarunku ślubnym i przez życie będzie je nosił na dnie swego serca (*wymiśle*) Zwyciężyłaś, lecz jutro moje!.. — idź — błogosławię! (*odchodzi z Jagą*)

I z a (*woła*). Czekaj!... (*siada zmęczona*).

R o m a n. Nie usłuchała cię!.. Myślelismy, że na tym pięknym świecie nam słońce świeci, że mamy nad sobą Boga, a na ziemi władzę... Tymczasem Massynisa powoli skrzydła swe rozpina, skrzydła wielkie, ciche, wiecznej tęskoty i pragnień—i niemi nasze nam słońce zasłania!.. Chodź, biedna Iziu,—chodź! (*chce wziąć za rękę*).

I z a (*ostro*). Nie czuję się biedną!.. Bogu dziękuję, żem wyrwała go z takich szponów.

R o m a n. Czy tylko wyrwałaś?..

Iza. Reszta do mnie należy! Tyle piekielnej ambicyi!.. Co za śmiałość!.. jaka czelność... Nic sobie z niej nie robię, a jednak z oburzenia i gniewu serce mi drży.

Roman (*tryumfująco z zapałem*). Nareszcie uwierzyłaś, że proletaryat szlachecki jest najstraszniejszym... Ma naszą ambicyę, naszą siłę, naszą odwagę—i jak my przed niczem się nie cofa... A gdzie idzie?—gdzie on idzie—słyszałaś!.. Chodź, drogie, zmęczone dziecię, odpocząć w moim powozie (*odchodząc*) Ty mu oddałaś... (*wychodzą*).

Scena chwilę pusta, wychodzi z leśniczówki Władysław, idzie smutny w stronę, którędy wyszła Iza z Romanem—staje i ręce wyciąga w stronę, którą odeszła Zosia.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

Akt trzeci.

Scena przedstawia pokój na leśnictwie, odpowiednio przybrany. Na froncie portret babki nadleśnego — Grąbczewskiej. Na drugiej ścianie dubeltówki, kordelasy, karabin i trofea myśliwskie, na dywanie rozwieszone. Kanapa i fotele staroświeckie, z boku biurko do pisania.

SCENA I.

Zosia (*sama, kończy list, składa papier i kładzie do koperty, adresuje, wstaje*). Idylla skończona, wracam do Warszawy, do swoich, do pracy i uciech serdecznych... Uciekać, uciekać... (*zamyśla się*) bo już zaczynam się bać o siebie! Dziś czuję, o ile mi go brak... Przeraźliwa pustka robi się dokoła mnie. Chwaliłam się, że mu rzucam na pożegnanie zaklęcia, a sama czuję za nim żal serdeczny. Zostać tutaj nie mogę, umarła-bym z samej tęsknoty,—za wielką tęsknotą moją!.. (*zasłania oczy rękoma*). Tęsknico moja serdeczna, co się z tobą dzieje?! (*wbiega zdyszana Jaga, trzymając lilie w ręku*).

SCENA II.

Z o s i a — J a g a.

J a g a (*mówi zdyszana*). Panienko! Wielga nowina. Lecąc tu, stanęłam pod krzyżem na wzgórzu i ślepiami wodzę, czy panienki nie ujrzę na ścieżce w olszynce...

Z o s i a (*niespokojnie*). Cóżeś zobaczyła?..

J a g a, Kulę, lecącą z Będzińskiego dworu... Rękę do oczu przykładam (*pokazuje*). Kula rośnie i wolno przedzierzga się w białego konia i Będzińskiego dziedzica... „Łopie, pomyślałam se, zapomniałeś o nas, jak gdowa przyleciała po ciebie“. Tak se układam, a tu koń zwalnia, bierze się od siebie i wjeżdża na Brzezińską drogę...

Z o s i a (*przerywa*). Do Brzezińskiego dworu.

J a g a. Prosto, ale go minął!. Skryłam się w chojaki, serce mi dygocze, patrzę, patrzę, a on ci wyjeżdża na „Wielgie rozłogi“. A to do nas, zawołałam, i prosto pędzę ścieżkami do złocistej panienki.

Z o s i a. Dlaczego taki krąg drogi nadstawia?

J a g a. Bo się wstydzi, markoci, umyślnie drogę wydłuża, bo nie wie, jak ma panienkę przeprosić... Mówię swoje, że chłopi wszyscy jednacy!

Z o s i a. Pewno do dziadka w sprawach poręby.

J a g a. To-by wprost przyjechał, a on okrąża, boczy się, bo go wstyd...

Z o s i a. O jakim wstydzie mówisz?

J a g a (*zniża głos*). Jak gdowa, a z nią ten stary pan napadli na panienkę, on tu był, siedział w kancelaryi i słyszał wszystko, ale na ratunek panienki nie przyleciał i nie zawołał: wara wam, to moja... I tego się teraz wstydzi.

Z o s i a. Nie potrzebowałam obrony, nie jestem jego.

J a g a. To się wie, ale każdy chłop, jeśli jest honorny, to za swoją w piekło leci. To ci i on, po tylu molestach, powinien w obronie panienki w ogień wskoczyć.

Z o s i a (*wesoło*). Obeszło się bez skakania...

J a g a (*zniża głos*). Ale się teraz nie obejdzie. Panienko złocista, mnie się widzi, że panienka przeniesie się do Będzińskiego dworu!.. (*z radością*) Wróci na własny skrawek świętej ziemi i będzie naszą panią, jak jej dziadowie! (*całuje Zosię w rękę serdecznie — nieśmiało*). Tylo, tylo, bo to oni wszyscy jednacy, żeby potem nie wymawiał, że dla panienki rzucił wielgą bogaczkę!.. I zawiązał-by panience świat,

jak mój mnie. Okrutnie pragnę mieć panienkę blizko, ale nie sponiewieranął..

Z o s i a. Dziękuję ci, Jagusiu, za twoje dobre serce, za twoje obawy — nie bój się o mnie.

J a g a. Wiem, wiem, że panienka umie się postawić...

Z o s i a. Jeśli on tu na prawdę jedzie?..

J a g a. Klnę się na Najświętszą Panienkę. A gdzież-by?

Z o s i a (*spogląda na siebie*). Nie mogę mu się tak pokazać, muszę się przebrać

J a g a. I podstroić. Choć i tak panienka wygląda jak bławatek w pszenicy, a piękna ci, jak stokrótka na miedzy. A oni ino w ślepiach syrcé mają...

Z o s i a. Czasu niewiele.

J a g a. A niewiele (*Zosia wybiega*), jeśli nie będzie na drodze markocić...

SCENA III.

J a g a sama — później n a d l e ś n y.

J a g a (*podpiera ręką brodę, drugą wstawia pod łokieć pierwszej*). Boję się o nią bardzieńko — bo to delikatne, pańskie, a harde ci okrutnie. Duszyczkę ma wykarmioną mądrościami, że wonności z niej idą, a tu chłop, jak chłop... Gdowa wołała na nią, że włazi do nich na wstyd!.. Mój Boże, Grąbczewska idzie na wstyd, latego, że wiana nie ma... A to po cudach nie trza chodzić! Boję ci się okrutnie i sama nie wiem, co radzić... (*wchodzi nadleśny*).

N a d l e ś n y (*żywo*). Niema tu Zosi?

J a g a. Poszła się przystroić.

N a d l e ś n y (*ostro*). Do kogo?

J a g a. Do dziedzica.

N a d l e ś n y. Co? Do jakiego? Co mówisz?..

J a g a. Mówię, proszę pana Nadleśnego, że do naszego dziedzica, bo on tu jedzie.

N a d l e ś n y (*ostro*). Skąd wiesz, że jedzie? Byłaś w pałacu?

J a g a. Nie — tylo widziałam własnemi ślepiami, jak skręcił z poza Brzezińskiego dworu, na "Wielgie rozłogi". To gdzież-by jechał, jeśli nie tutaj? Umyślnie okrąża.

N a d l e ś n y. Czego on tu chce?

J a g a. Zrękowić się i już!..

N a d l e ś n y (*gwałtownie*). Co? co?

Jaga. Jeśli tu jedzie, to tylo, aby panience paść do nóg! Inaczej omijał-by leśnictwo o dwie mile po tem, co zaszło,

Nadleśny (*łapie Jagę za ramiona, trzęsie nią*). Co zaszło? Gadaj! co zaszło?

Jaga, (*pod naciskiem rąk Nadleśnego, przyklęka*). Co miało zajść!?.. Boli!.. Nie zna to pan panienki?..

Nadleśny (*puszcza Jagę—ta wstaje - do siebie*). Czy ja nie znam mojej wnuczki?!.. Jagusiu, przepraszam cię!..

Jaga. Ej, to nic, nie dziwota mi gniew ludzki...

Nadleśny. Nie masz żalu do mnie?

Jaga. Jeszcze czego?

Nadleśny. I nie powiesz panience?

Jaga. Ani pisnę. Panienka była-by straszecznie rozżalona.

Nadleśny, (*zmęczony, siada*). Chodź-no tu, Jagusiu, bliżej. (*Jaga się zbliża*). Byłaś, jak tu przyjechała konno pani z Borzęcina?..

Jaga. Co nie miałam być? — bylam.

Nadleśny. Co się działo?

Jaga. Działo się cosik bardzo niezwykłego.

Nadleśny. Mów, nie śmiem się pytać panienki, sama nie zaczyna, myśli, że nic nie wiem.

Jaga. Ta wielga pani gdowa, nagła ci, jak piorun, a panienka, to jakby z obrazu wylazła Grąbczewska.

Nadleśny. Grąbczewska!.. Ona zawsze w ważnych wypadkach zmienia się w Grąbczewską...

Jaga. I to się stało, że jak teraz dziedzic padnie panience do nóg, kto wie, czy go podniesie.

Nadleśny. Zdawało się, że go lubi.

Jaga. Może go i lubi, ale cóż, kiej karności Grąbczewskiej pilnuje i tak ją trzyma (*zaciska pięście, pokazując*).

Nadleśny. Cóż on?

Jaga. On, jak on, zwykły, ale panienka górnia.

Nadleśny (*się zrywa, chodzi*). Jaguś, proś panienkę do mnie.

Jaga. To najlepiej!.. Panienka nic nie ukryje przed dziadkiem. (*Odchodzi*).

SCENA IV.

Nadleśny — Jaga — później Roman.

Nadleśny. Najlepiej szczerze się z dzieckiem rozmówić. Czego się mam bać, przecie to Grąbczewska! (*wbiega Jaga*).

Jaga. Zajechał przed ganek ten stary pan, co był tu z gdową, i idzie.

Nadleśny (*patrzy przez okno*). Roman. Czego tu chce?

Jaga. Nie wiem. Może do panienki prosić za gdową, coby się nad nią ulitowała.

Nadleśny. Otwórz drzwi od ganku, nie odzywaj się i zmykaj. Panienka również niech się nie pokazuje.

Jaga. Dobrze! (*wybiega drzwiami frontowemi*).

SCENA V.

Nadleśny — Roman.

Nadleśny. Ciekawa wizyta! Naprawdę musi być z nią źle, kiedy posła przysyła. (*Roman wchodzi w kapeluszu na głowie i staje przy drzwiach zdziwiony*). Romek, jak się masz! (*daje krok naprzód, patrzą chwilę na siebie*). Cóż tak stoisz przy drzwiach, jak lokaj, w kapeluszu?..

Roman (*zdejmuje wolno kapelusz, bardzo poważnie*). Przepraszam, lecz widocznie omyliłem się.

Nadleśny. Myślałeś, że stojąc przy drzwiach w kapeluszu na głowie, pokażesz mi swą wyższość nade mną. Mój drogi, za wysoko się cenię na tego rodzaju ciosy. Chodź, siadaj! (*Bierze go za rękę, prowadzi do fotelu, sadza*). Tak ci będzie wygodniej.

Roman. Taak. (*Ogląda się niespokojnie*).

Nadleśny (*przybierając postawę i ton pana*). Nie widzieliśmy się przeszło trzydzieści lat; a mnie się zdaje, że to było wczoraj. Ja wtedy jeszcze nie runąłem, ty byłeś skromnym, ubogim młodzieńcem. (*Roman chce wstać, Nadleśny go zatrzymuje*). Przesiadywałeś u mnie całemi tygodniami — pamiętasz? Dobre to były czasy! Potem wyjechałem na długo, długo, tyś odziedziczył niespodziewanie spadek po ciotce—ja wróciłem do ruiny! Drogi nasze się rozeszły, dziś znowu wracasz do mnie! Roman, pamiętasz, nieraz mnie wyręczałeś w gospodarstwie — lubiłem cię.

Roman (*zimno*). Byłem w Będzinie i tam mi powiedziano, że Władysław pojechał tu, przyjechałem za nim (*z naciskiem*) na jego leśnictwo, do jego domu...

Nadleśny (*wesoło, w tonie lekceważącym*). Ale do mego mieszkania, jesteś u mnie i powinieneś być grzecznym. Znasz Grąbczew-

skich, — patrz, to nasza spuścizna. (*Pokazuje na ścianę„ przybraną w broń*). Staczamy się do proletaryatu, ale nie przestaliśmy być panami u siebie, i wyżej jeszcze godność naszą — ludzką, trzymamy.

Roman. Ja nie chcę jej naruszać!.. Niema Będzińskiego — to... (*wstaje*).

Nadleśny. W ważnej sprawie, przypuszczam, chcesz się z nim widzieć. Gniewał-by się na mnie, gdybym cię puścił... (*rozkazująco*) siadaj!

Roman (*siada wystraszony*). Nie przeczę, w ważnej.

Nadleśny. Tem więcej nie chcę, aby Władysław pierwej się z nami zobaczył, bo mógł-byś plotkę zrobić, że naszą wymową wpłynęliśmy na jego opinię. Lubiłeś plotki.

Roman (*obrażony wstaje*). Panie, pozwól mi odejść.

Nadleśny. Domyślam się, o co ci idzie, a boję się twoich plotek.

Roman. Panie, w swoim domu...

Nadleśny. Mówię prawdę. Można mówić prawdę nawet we własnym domu.

Roman. Widzenie się z panem Będzińskim jest moją sprawą i do mnie tylko należy.

Nadleśny. Dlatego pragnę, abyś się naprzód zobaczył z Władysławem. Bo jeżeli go taka głowa, jak twoja, zawróci z drogi, to on nam już niepotrzebny, i będziemy się cieszyć, jeśli go nie zobaczymy — rozumiesz?

Roman (*kręci głową*). Taak?

Nadleśny (*ostro*). Odpowiadaj!

Roman (*wystraszony*). Rozumiem.

Nadleśny. Powiem ci zresztą, bo mnie już męczysz. Władysław w tej chwili konno mija Wielkie rozłogi; jadąc w tym kierunku, przetniesz mu drogę. Tam z całą swobodą spełnisz swoją misyę. Adieu, życzę ci pomyślnego zakończenia poselstwa.

Roman (*kombinuje, zmienia ton na przyjacielsko-koleżeński, zrywa się*). Wiesz co, Rafałku, zaimponowałeś mi swoją dawną butą, tonem żołnierskim, i nawet, powiem ci prawdę, trochę tą swoją pańskością!..

Nadleśny (*śmiejąco się*). Aż tak i odrazu?..

Roman. Wytrzymałem cię, jako artysta, i widzę, że cię bieda nie zjadła, jesteś taki sam (*wyciąga do niego rękę*) dzielny.

Nadleśny (*podaje mu dwa palce i patrzy na niego długo, obojętnie*). Mów dalej.

Roman. Cóż mam mówić. Cieszę, się, że cię widzę. Trzydzieści lat, to kawał czasu.

Nadleśny. Kawał! (*Patrzy na Romana*).

Roman (*poufale przyciszonym głosem*). Zwierzę ci się z tajemnicy, że w naszych rodzinach porobiły się niepotrzebne zawikłania.

Nadleśny. Słucham.

Roman (*poufale*). Wiesz pewno, że Będziński jest narzeczonym mojej siostrzenicy, Izy.

Nadleśny. Wiem!

Roman (*wesoło*). Ale nie wiesz, że ona go kocha, wyobraź sobie, jak pensyonarka, co to do księżyca wzdycha.

Nadleśny. Cóż mnie to może obchodzić?..

Roman. Mało—jednak tu obraz się zmienia. Będziński całemi dniami przesiaduje na leśnictwie.

Nadleśny (*wesoło*). W swoim domu...

Roman. Tak, ale w twojem mieszkaniu, w którem gości twoja wnuczka.

Nadleśny. Od dwóch miesięcy...

Roman. I dama ta troszkę przeszkadza Będzińskiemu, jako narzeczonemu, pełnić służbę przy boku swej pani.

Nadleśny. O tem nie wiem i Będzińskiego nie mogę pędzić na służbę do twej siostrzenicy.

Roman. Prawda!.. Ale możesz uprosić wnuczkę, aby go uwolniła, dała mu urlop...

Naleśny (*zaprzecza głową*). To już nie moja sprawa.

Roman. Zgoda,—ale wiesz dobrze, że w przesiadywaniu tutaj Będzińskiego nic niema i nie może być...

Nadleśny. Więc o cóż ci idzie?..

Roman. Idzie mi o nerwy zakochanej siostrzenicy i o jej kompromitacyę. Zaczynają już mówić w okolicy...

Nadleśny. Zaczynają?

Roman. I to dla ciebie i dla twej wnuczki nie jest dobre,—tem więcej, że z tego, jak doskonale wiesz, nic nie może być.

Nadleśny. Dla czego z tego nic nie może być?...

Roman. Bo Będziński potrzebuje dużo, bardzo dużo, rozumie życie, ma spryt.

Nadleśny. Więc czegoż chcesz?

Roman. Aby twoja wnuczka dla świętego spokoju wyjechała.

Nadleśny. A jeśli nie zechce?

Roman. Można-by ją uprosić (*ciszej*), możnaby ją zjednać.

Nadleśny (*patrzy na Romana*). Czem? mów otwarcie.

Roman (*zażenowany*). Siostrzenica moja jest zdecydowana ofiarować pannie Grąbczeskiej...

Nadleśny (*nerwowo*). Mów, ile zapłaci Grąbczeskiej za odstąpienie...

Roman. Rafałku, spokojnie! w dyplomacyi spokój, a to sprawa dyplomatyczna.

Nadleśny. Odkryjmy karty—mów śmiało, ile?..

Roman. Rafałku, błagam o zimną krew.

Nadleśny. Wyraźnie...

Roman. Jutro przywiozę i złożę do twoich rąk dziesięć tysięcy.

Nadleśny (*robiąc dumę*). Mało!'

Roman. Pomyśl, że to tylko, aby nie robić skandalu. Będziński zna życie na wylot...

Nadleśny (*spokojnie, stanowczo*). Mało!..

Roman. Dwadzieścia tysięcy!! będzie to dla wnuki Twej piękna oprawa, byle nazajutrz po wypłacie wyjechała.

Nadleśny (*spokojnie*). Dla Grąbczeskiej za Będzińskiego —mało?!

Roman. Rafałeczku, więcej nad trzydzieści tysięcy nie jesteśmy w stanie, to już ostatnie słowo! Pomyśl, że to za nic, bo obadwaj znamy Będzińskiego! Ach, jak ta młodzież dziś dużo potrzebuje! (*kręci głową*).

Nadleśny (*stanowczo*). Dosyć—na mnie kolej!..

Roman (*wesoło*). Tylko spokojnie i trzeźwo, mój pieszczochu.

Nadleśny. Mizernym jesteś dyplomatą. Gdyby między Będzińskim a siostrzenicą twą nie nastąpiło zerwanie, nie pokazał-byś się tutaj. A dopiero, gdym cię zmusił widzieć się z Władysławem przed nami, przeraziłeś się i myśl przekupstwa strzeliła ci do głowy i tak cię względem mnie, jako artystę rozczuliła... Cała wasza etyka, to pieniądz, a z nienawiści do żydów, robisz kwestyę rozumu stanu. Pamiętasz, jak przed spadkiem starałeś się o pannę Finkenstein, ale cię nie chciała.—Ha, ha! I jeszcze wszystko chcecie robić za tanie pieniądze. Powiedz mi, czy się znajdzie na świecie panna, która, mogąc mieć młodego i dobrego męża, z milionową fortuną, sprzedaje go za trzydzieści tysięcy!.. Dla czego? czy dla twoich pięknych oczu, w które nie chciała patrzeć panna Finkenstein?

Roman (*wybucha*). Czy tego męża zdobędziel? A gdyby go nawet zdobyła, była-by to wielka niemoralność...

Nadleśny. Niemoralność panny Finkenstein także była wielka—co?.. Rozśmieszyłeś mnie i konceptem kupna, i niemoralnością!.. Jesteś cały w tych dwóch wyrazach niepodzielny... Wyborne!.. No bądź zdrów!.. Ciężko z proletaryuszami przyjść do ładu — nie prawdaż?...

Roman (*się zmienia, staje się zimnym i dumnym, jak poprzednio*). Ciężko (*bierze kapelusz*).

Nadleśny. Mów wszystko, co chcesz, byleś był grzeczny.

Roman (*Odchodząc, blizko drzwi*). Nic nie zapomnieliście i niczego się nie nauczyli.

Nadleśny. Żeśmy nie zapomnieli, to tak być powinno, ale czego mamy się uczyć, Romeczku?..

Roman (*z godnością*). Pokory

Nadleśny (*śmiejąc się*), Ha! há! há! Romciu, w humorze przechodzisz samego siebie.

Roman (*wychodząc przy drzwiach*). Powtarzam: pokory, tak być powinno (*wychodzi*).

SCENA VI.

Nadleśny — później Zosia — Jaga.

Nadleśny (*śmiejąc się*). Świetnie!.. (*zaciera ręce*) Zosia będzie mi wdzięczną za to, żem go wysłał do Władysława. Źle z nimi, bardzo źle, kiedy chcą kupować i płacić... Losy się ważą—przyjedzie lub nie... Czy namiętności przysypane popiołami z martwych powstaną?.. Czy nad Grąbczeskimi po długiej nocy jutrzenka wzejdzie... Cicho biedne serce—cicho... (*k/aszcze—pokazuje się Jaga*) Jaguś, teraz możesz poprosić panienkę.

Jaga. Duchem! lecę—panienka czeka!..

Nadleśny. Ożywiłem się nadzieją, a Romek przypomniał mi przeszłość. Jaką była (*macha ręką*) smutna, ale to zawsze chwila młodości! (*wbiega Zosia*).

Zosia. A to wizyta?..

Nadleśny. Domownika mego z przed trzydziestu lat, który mi, jako dzisiejszemu proletaryuszowi, nakazuje... co? zgadnij!

Zosia. Trudno, dziaduniu, odgadnąć.

Nadleśny. Pokorę! pokorę względem Romcia. Ty go nie znasz?..

Zosia. Raz go widziałam, lecz się domyślam..,

Nadleśny. A więc odczuwasz całą śmieszność. Mnie ona w dobry humor wprawiła, a powinienem być smutny i prosić cię o przebaczenie.

Zosia. Zmiłuj się, dziadziu, co ci mam przebaczyć?

Nadleśny (*prowadzi ją ku sobie—siada—Zosia stoi przed nim*) Głupi byłem, ślepy...

Zosia. Myślisz o panu Będzińskim?

Nadleśny. Otworzyłem mu na rozcież drzwi...

Zosia. I boisz się, czyś wilka nie wpuścił?.. Dziaduniu, to wcale nie wilk, raczej wielki epuzer, narzeczony bogatej wdowy. Cienia niema w nim wilka!..

Nadleśny. Może się podobać...

Zosia. Lecz nie z wilczej natury...

Nadleśny. Coś się w jego stosunkach z wdową porwało... Romcio przyjechał tu do Władysława, jako kunktator. Posłałem go na „Rozłogi", aby uprzedził jego tu przyjazd.

Zosia. I wybornie zrobiłeś.

Nadleśny. Może Władysław zawróci...

Zosia. Jeżeli pan Roman dokaże tego, to lepiej dla nas się stanie. Rozumiemy się, dziaduniu.

Nadleśny. A jeśli nie zawróci i przyjedzie, co mu powiesz?

Zosia. Nie wiem, co on mnie powie?

Nadleśny. Jaga przysięga, że padnie ci do nóg!..

Zosia (*wesoło*). Podniosę go.

Nadleśny. I...

Zosia. Posadzę!..

Nadleśny. A dalej.

Zosia. Nie odbijam narzeczonych, nie spekuluję na bogatych konkurentów...

Nadleśny (*do siebie*). Grąbczewska, słowo daję, Grąbczewska (*głośno*). Co postanawiasz?

Zosia. Nie wiem jeszcze. To będzie zależeć od jego siły, od jego energii. Rozkoszą życia kochać silnych.

Nadleśny. Babka (*pokazuje portret*) stoi przy tobie.

Zosia (*serdecznie*). Jest we mnie.

Nadleśny. Wszystko zniesiemy, prócz własnego upokorzenia!

Zosia. I przez życie przejdziemy cichutko—niepokalani.

Nadleśny (*serdecznie*). Godności nie stracimy!..

Zosia. To mało! Musi mi jeszcze, jak dziadkowi, w podróży życia—przyświecać słońce. My tylko w promieniach słońca żyć możemy. Żyjmy więc w nich.

Nadleśny (*z uniesieniem*). Dziecino moja!..

Zosia. Niewiele nam potrzeba, a więc wielkie ofiary możemy składać naszemu słońcu.

Nadleśny (*z podniesioną ręką*). Wszystko!.. (*słychać tentent konia*) Jedzie. Widzisz, Romek go nie zawrócił z drogi. Czy chcesz, żebym cię samą zostawił?..

Zosia. Jeśli pozwolisz—proszę.

Nadleśny. Lubisz go?

Zosia. Często byliśmy razem. Często myśli moje odbijały się w jego źrenicach.

Nadleśny. A więc?..

Zosia (*zamyślając się*). Lubiłam patrzeć w jego oczy, jak w odbite myśli moje!.. (*tentent konia nagle ustaje*).

Nadleśny (*się zrywa*). Przyjechał!.. Wierzę w ciebie! Czy pozwolisz mi być w drugim pokoju...

Zosia. Pozwalam. (*nadleśny wychodzi, po odejściu nadleśnego*) Kochać — dobrze, lecz niech mi słońce zapali... Mam prawo, bo chcę iść przez życie z wytężonym wzrokiem na błękit i Boga (*wbiega Władysław*).

SCENA VII.

Zosia — Władysław.

Zosia (*idzie z wyciągniętą ręką*). Niespodziewany gość.

Władysław. Z powodu?..

Zosia. Dawno pan nie byłeś,—dalej wdowa i jej energia... Czyś się spotkał z hrabią Romanem?..

Władysław. Gdym go zobaczył, skręciłem w olszynę. Wołał na mnie—nie usłuchałem.

Zosia. Cóżeś pan zrobił? A jeśli hrabia wiezie ultimatum?..

Władysław. Zabija mnie nudą swej racyi i czczością... (*powoli, głęboko*) Wpływ twoich zaklęć tak szybko się spełniał.. Słyszałem ukryty wszystko—i byłem tak nędzny, że nie broniłem cię... Przebacz! stało się, wracam nawrócony, kładę się u stóp twoich i nikt mnie już od nich nie oderwie, (*klęka—obejmuje jej kolana*) żadna moc (*z zapałem*). Człowiek może robić tylko to, co zdoła... Po ucieczce duszy mej do ciebie, uczułem się wielkim sierotą... (*chwila milczenia—zmienia ton głosu*) Zrazu nie oceniłem mocy twych zaklęć, są jednak straszne—prawda!.. Bez twego widoku i panowania twych czarów, wieczna we mnie noc (*serdecznie*). Z tobą jasny dzień majowy, z tobą róże kwitną, słowiki śpiewają, z tobą wiosna życia... Myśl się budzi i urasta w pragnienie czynu... ty jesteś dla mnie rosą niebieską, rozkoszą mego ducha i jego siłą... Nie będziesz już mogła wypędzić mnie stąd, padnę do nóg dziadka twego i wyżebrzę cię. (*zmienia ton*). Czy dla tego, że mając dosyć, lecz nie tyle, ilebym chciał, nie mam prawa kochać? Kochać to żyć!.. Czyż nie mam prawa do życia? (*gwałtownie*) Byłem słaby!.. (*składa ręce—modli się*) Przez dobroć i łagodność twą, przez umiejętność czytania w sercach ludzkich—przebacz! Wydaj wyrok na me życie... Nie odpychasz mnie?..

Zosia (*cicho—serdecznie*). Nie—nie mogę, nie mam sił...

Władysław (*z zapałem*). Niebo się rumieni, jutrzenka wschodzi, niechaj imię twoje będzie błogosławione! (*klęka przed nią, całuje jej kolana—cicho*) Boję się, aby z radości serce mi nie pękło. Nie odpędzasz?

Zosia (*wzruszona*). Lecz tamta została zdradzona, odepchnięta, pokrzywdzona (*przerywa chwilkę—z siłą*). Nie zniosę podejrzeń, że zdobywałam cię dla twego majątku. Tamta stoi mi przed oczyma duszy z załamanemi rękoma, bladą twarzą, przekleństwem na ustach, wzrokiem wpatrzonym we mnie...

Władysław (*ożywiony*). Ależ ona pożąda lasów będzińskich, potrzebnych jej do zaokrąglenia fortuny; pożąda trzeciego miliona. To jest tajemnica jej uczuć, pragnień i jej miłości.

Zosia (*zamyślona, serdecznie, składa ręce*). Oddaj lasy będzińskie, a przekleństwo jej i wzrok, utkwiony we mnie, odejdzie. (*Patrzą na siebie długą chwilę*).

Władysław (*poważnie*). Lasy będzińskie, to wszystko, co mam!

Zosia (*żywo—z uniesieniem*). Oddaj jej wszystko!.. (*Chwila milczenia*).

Władysław (*zdumiony*). Nie przyjmie! Nie mam prawa upokarzać jej darowizną...

Zosia (*proszące*). Niech rozda, niech zrobi, co chce. Na to się zgodził..

Władysław. Cóż nam zostanie?..

Zosia. Wszystko... Życie, młodość i ich czary... Dziś tego nie odczuwasz, lecz odczujesz i pokochasz, jak ja kocham moje trudy i zwycięstwa!... Z tobą będą mi jeszcze droższe.

Władysław (*łamiąc ręce*). Czy umyślnie podajesz pani na urągowisko serdeczną miłość moją?

Zosia (*poważnie*). Nie masz pan prawa robić mi tego rodzaju wyrzutów...

Władysław (*twarz kryje w dłonie*). Nie przeczuwałem w tobie tak strasznej ambicyi.

Zosia (*kładzie mu rękę na ramieniu*). Być twórcą swego losu, jeśli to jest ambicya, to jakże szlachetna!

Władysław (*z rezygnacyą*). Odczuwam los ciężko pracującego biedaka.

Zosia (*z zapałem*). Tylko małe środki tworzą wielkie dzieła, nowe słońca zapalają, nowe kierunki, nowe idee. Nie chcę, abyś mnie przygniatał milionem swym i dusił jego zbytkiem. Życie bez twórczości marną nudą...

Władysław (*się zrywa*). Dobrze, i taka teorya może istnieć w młodych umysłach. Lecz młode umysły nie pomyślały, jakie przestępstwo popełniają względem bliźnich i siebie samych, pozbywając się środków z naiwnością rozpieszczonych dzieci. Jaką ulgę przyniesiecie bliźnim bez środków? co zrobicie na świecie bez środków? Środki są dźwignią ludzkości i ludzi...

Zosia (*wybucha*). Nie chcę twoich środków, żartuję sobie z nich, pragnę ciebie samego, abyś z energią młodej duszy stanął przy mnie i poszedł ze mną. Tyle dbam o środki, co morze o krople deszczu, które w nie wpadają — tyle one warte!.. Chrystus nie pożądał środków. „Rozdaj, co masz, i chodź za mną“ — powiedział środkowiczom. Pragnął tylko ludzi, czystych ludzkich dusz... To samo i ja mówię do ciebie, lecz słuch twój za mało jeszcze ukształcony, aby mógł mnie usłyszeć...

Władysław. Mówisz z taką zaciętością nieugiętej woli, jak gdyby w tobie zamarło serce. Przed chwilą widziałem promienie w twych oczach, czułem drżenie twego głosu. (*Proszące*). Zosiu, w imię świętości uczuć, w imię przyszłości naszej, w imię wszystkiego, co kochasz, błagam cię o litość nad nami samymi.

Zosia (*zaprzecza głową—szeptem*). To ponademną.

Władysław. Czyż ci nie będzie żal, nie mnie, jako mnie, lecz człowieka, przywiązanego do ciebie jak pies, człowieka, któregoś sama stworzyła. I gdy mu ukazałaś światło nowych światów, gasisz je przed nim! Nie mogę pozwolić na szaleństwa egzaltacyi, których-byś całe życie żałowała. (*Zosia zaprzecza głową*). Świat jest piękny, życie drży wszystkiemi powabami, całem bogactwem naszej wyobraźni, a ty możność użycia i zaspakajania pragnień jednem „nie“ zabijasz!..

Zosia (*serdecznie*). Ale świat, co mieszka we mnie a ja w nim, jest jeszcze piękniejszy, głębszy, subtelniejszy... Głębokość jego niezmierzona, ciepły i serdeczny, jak dobry uczynek (*wstaje — z mocą*). Nie mogę zaprzepaszczać świata serca mego, dla świata, który mnie otacza. Uciekać ze świata mego serca—to okropne, gdzież się podzieję?.. gdzież ucieknę?.. do twego pałacu?..

Władysław (*serdecznie*). Do mnie, najdroższa, do mego schroniska (*deklamuje*). „Pójdziem połączeni przez świat i życie, rozkosz i boleści. Jak powój, co się na dębie zieleni — i miękkim liściem korę jego pieści! (*chwyta ją za rękę i tuli do ust*). Do mnie na zapomnienie, na ciszę, na rozkosz?..

Zosia (*serdecznie*). Boję się ciszy, drżę przed nią i dla tego wołam: do mnie! Bo wtedy, gdy staniesz przy mnie, mogę cię kochać i być twoją.

Władysław (*poważnie*). Czy to ostatnie twoje słowo?

Zosia. Ostatnie!..

Władysław. Przysięgnij...

Zosia (*podnosząc w górę rękę*). Przysięgam wobec ukrzyżowanago Boga miłości, że tylko wtedy zostanę twoją, jeśli ty przyjdziesz do mnie sam, z pragnieniem życia i nadzieją...

Władysław (*surowo*). Inaczej?

Zosia (*spokojnie z mocą*). Zostanę sama...

Władysław (*chce się rzucić na nią—postępuje dwa kroki—mówi tamowanym głosem*). Nie rozdmuchuj ognia, palącego mi krew, nie dręcz serca, płonącego dla ciebie, jak ofiarny stos! Czy ty umiesz kochać prawdziwie?

Zosia. Umiem i czekam, aż serce twe tak wypięknieje, że zrozumiesz ofiarę, jakiej żądam, aż stanie ci się ona konieczną i przyjemną do spełnienia.

Władysław. Nie wierzysz w to, co mówisz!..

Z o s i a (*uroczyście*). Mówię z głębi mego serca i wierzę w to, co mówię. Inny jest świat namiętności, a inny wytworzony w nas.

W ł a d y s ł a w (*wzburzony*). Za twą nieugiętą dumę, nie znającą litości (*szeptem*) słyszysz — przeklinam cię!.. Przeklinam, ty uosobiona pycho świata!

Z o s i a (*spokojnie*). Słabi przeklinają!.. Pycha taka, jak moja, buduje nowe światy...

W ł a d y s ł a w. Czy serce twe nigdy nie drżało? (*Powoli się ściemnia*).

Z o s i a (*cicho przerywa*). Drży w tej chwili.

W ł a d y s ł a w (*uczuciowo*). Chcesz mnie złamać.

Z o s i a. Pragnę podnieść.

W ł a d y s ł a w (*śmiejąc się szydersko*). Nędzarza.

Z o s i a. (*przeczy głową*). Zwyciężcę!..

W ł a d y s ł a w. Czuję, że mogę cię znienawidzieć.

Z o s i a. Bo nie możesz znieść prawdy, idącej ze mnie.

W ł a d y s ł a w (*żywo*). Prawdy twego egoizmu. Świat cały pracuje nad zdobyciem bogactw. Narody bogate są szczęśliwe.

Z o s i a. A ludzie? Co z ludźmi?

W ł a d y s ł a w (*nerwowo*). Czego ty chcesz?

Z o s i a (*poważnie*). Widziałam córki, patrzące ze strachem na ręce matek, które weszły do rodziny bez posagu... Oczy ich krzyczały: „To tatusia i nasze! Ty, matko, jesteś tylko niewolnicą ojca i pierwszą sługą naszą“... (*z mocą — poważnie*). Nie będę niewolnicą i sługą,—mam prawo za miłość mą być wolną i panią własnego losu...

W ł a d y s ł a w. (*Coraz bardziej powoli się ściemnia*). Czy ty nie czujesz, że możesz zabić człowieka, szalejącego z miłości ku tobie... Czy nie jesteś zdolną dla tego wielkiego uczucia pozbyć się mrzonek?

Z o s i a. Mrzonkami nazywacie to, co was przerasta. Jutro możesz nazwać mrzonką miłość swą.

W ł a d y s ł a w (*przysuwa się—zdławionym głosem*). Czy ty nie czujesz, że mnie możesz doprowadzić do tego, iż cię zamorduję! (*Idzie ku Zosi—staje—odwraca się*). Boże! (*wybucha*) Boże! (*ucieka*).

Z o s i a. Prawdy nie zabijesz!.. (*ogląda się*) Czy to nie sen?.. (*smutno*). Zwycięstwo strasznie okupione... (*oddycha głęboko*). Zawsze zwycięstwo!.. (*patrzy na portret babki—wyciąga ręce*). Duchu opiekuńczy naszego rodu (*robi się ciemno*), tobie zawdzięczam!.. (*refleksyjnie*). To dla wielkiej myśli, w którą się wplotła istność moja, lecz dla mnie?.. cóż zostanie?.. Dla serca mego?.. Dla jasności dni moich, dla uśmiechów młodości?..

Pada na fotel — kryje twarz w ręce. Za chwilę otwierają się drzwi, wchodzi widmo Jagi i widmo z obrazu babki Grąbczewskiej, opierające rękę na ramieniu Jagi — przechodząc zatrzymują się na środku.

Widmo Jagi (*uyciągając ręce do Zosi, szeptem*). Myśwa ci jeszcze ostali.

Widmo babki błogosławi Zosię—znikają. Zosia wstaje i cicho idzie za niemi. W otwartych drzwiach staje Dziadek Nadleśny i ręce do uścisku roztwiera — Zosia cicho tuli się do niego.

KURTYNA SPADA.

KONIEC.

ROZMAITOŚCI.

I.

ZE STARYCH SZPARGAŁÓW.

Podczas bytności mojej w Świętokrzyskiem, na plebanii w Słupi Nowej, zauważyłem kilkanaście wązkich, podłużnych książeczek, dobrze już zębem czasu podniszczonych. Za wiedzą ś. p. ks. biskupa Sotkiewicza zabrałem je do Sandomierza i umieściłem w skarbcu katedralnym. Po okurzeniu i oczyszczeniu pokazało się, że prawie całkowicie dadzą się odczytać. Powoli zacząłem je przeglądać; co znalazłem, poniżej opiszę. Nie będzie to pedantyczny, drobiazgowy opis, ani też rozprawa uczonego—jest to po prostu sprawozdanie dyletanta, który na znalezione przez się szpargały pragnie zwrócić uwagę uczonych badaczy.

Są to więc wązkie a długie książeczki, zawierające mniej więcej po kilkadziesiąt kart zapisanych. Jest ich trzynaście; pięć z nich oprawnych w cienkie, pergaminowe karty ze starych kancyonałów, dwie w grubszą skórę, inne bez oprawy. Atrament blady, ale prawie wszędzie czytelny; papier dość gruby, zżółkły; znaków wodnych na najstarszych aktach kilkanaście zauważyłem rodzajów, niektóre z nich znane są Piekosińskiemu [1]) z wcześniejszych jeszcze dokumentów; przekopiowałem je jednak w naturalnej wielkości, bo może przynoszą jaki nowy odcień znanych typów. Na okładkach z grubszej skóry znajdujemy odciski: u góry wytłoczono: „*Regestrum*“, poniżej, wzdłuż książki, na jednej widać cztery sceny: Zwiastowanie N. M. P., Chrzest Pana Jezusa, Ukrzyżowanie i Zmartwychwstanie; na drugiej

---

[1]) Dr Franciszek Piekosiński: „Średniowieczne znaki wodne“. Tab. 17 i 18, №№ 160—170. Najdawniejsze skopiowałem: a) głowa wołu, między rogami róża na pręciu (1448); b) głowa wołu, między rogami krzyż, na którym wije się wąż (1491); c) podobnaż głowa—zamiast ramion krzyża odrowąż (1521); d) podwójna lilia w tarczy (1532) i e) dwuramienny krzyż (1565).

w dwóch rzędach powtarzają się cztery obrazki: miedziany wąż na puszczy, kuszenie Ewy, Zmartwychwstanie i Ukrzyżowanie Pana Jezusa z odpowiednemi napisami.

Co zawierają te książki?

Są to akta spraw sądowych miasteczka Słupi Nowej i regestra podatków. Akta sądowe, przeważnie sądów wójtowskich i ławnickich, intytulacye mają następujące: „*Regestrum Advocati et Scabinorum oppidi Slup a. Dni millesimo quingentesimo trigesimo nono*“; albo: „*Incipit protocollum seu regestrum causarum obvenientium coram judicio advocatiali et consulari in oppido Nova Slupia a. 1684 d. 3 aprilis*“; inne: „*Protocollum*“, albo „*acta* miasta Nowa Słupia urzędu woitowskiego i radzieckiego a. 1682“. Spis uiszczających podatki, zatytułowany: „Regestrum exactionis Regalis oppidi Slupija alias sossu“ (w innych: *schosu*, albo: *szosu*, albo: *czosu*), „Regestrum regalis exactionis triplicis alias na służebne“, „Regestrum ducillorum dimidietatis“, „Regestrum inquilinorum poboru królewskiego“. Regestra te są od roku 1527 do 1565. Akta sądowe starsze i więcej ich jest: z małemi przerwami zajmują okres czasu od roku 1431 do 1695. Sprawy są najrozmaitszej treści: w najstarszych przeważnie sprzedaż, zamiana, darowizna placów, domów, ogrodów, pól ornych i łąk w okolicy; testamenty mieszczan słupskich, podziały majątkowe, dekrety przyjęć przychodniów w poczet obywateli miasta Słupi; w późniejszych, mianowicie z XVI wieku, przybywają sprawy karne: obelgi, pobicia, kradzieże.

Kilka dekretów i spraw charakterystyczniejszych przepisuję w całości. Oto akt nadania obywatelstwa z roku 1431: „Sub anno Dni MCCCCXXXI. Item veniens Kuncza de oppido dicto lagow in civitatem Slupp postulavit hic jus mansionis inter et apud nostros courbanos. Id circo nos consules videntes eum probum ac honestum et dedimus ei omnimodam benevolentiam manendi. In cuius rei maius evidens fecimus eum inscribere in libro civile manu mea... Mathias“ [1]).

Akt sprzedaży domu z roku 1466: „Cunctorum perit memoria factorum nisi testibus veredicis et scriptis publicis fiunt roborata; nos igitur Mathias Papyesz viceadvocatus una cum Consulibus videlicet Boguslao Nicolao Rudzsky, Stanislao Stano, Alberto Ffabro, ac Scabinis et iuratis videlicet Laurentio Wrzosek, Stanislao Galka, Johanne Pyskorzs, Johanne Janowsky, Nicolao Czarny, Symone Sartore, Gregorio Czemny. Recognoscisnus tam praesentibus quam futuris Banito ex Judicio quod Johannes Sartor veniens nunc ad judicium Banitum recognovit non compulsus non coactus neque aliquo zelo seductus, sed bene rationis compos existens ac maturo consilio suorum amicorum praehabito, quod vendidit pro quatuor marcis domum sitam inter Pe-

[1]) W tłómaczeniu polskiem: Roku Pańskiego 1431-ego. Kuńcza, przyszedłszy z miasteczka Łagowa do miasta Słupp, prosił o prawo zamieszkania pośrod naszych współobywateli. My więc, radni, widząc, że człowiek jest uczciwy i zacny, z całą życzliwością pozwoliliśmy mu tu pozostać, a na większy tego dowód, kazaliśmy go zapisać do księgi obywateli—ręką moją Macicj.

trum Sutorem parte ex una et inter domum Nicolai Borowi parte ex altera, Johanni Szwyathowycz de antiqua Slupp et per ramum porrexit et perpetuo sibi resignavit et successoribus propriis legitimis ad vendendum donandum commutandum et in quos vis usus proprios convertendum prout sibi melius videbitur expedi. In cuius robur firmius haec inscriptio facta est. Anno Domini millesimo quadringentesimo sexagesimo sexto die Jovis XII mensis Junii [1]).

A oto zapis z roku 1566: „Ku temuss prawu przerzeczonemu przisthąpiwssij Franek Swiec viznał jesth, yss przerzeczonej Reginie Kulebiancze zeniej sswej własnej zapissuje polowicze. tho iesth na domu y na zathilku, który ma oth Jakoba Kowalika thim sposobem: Jessliże bi pan bog wszechmogączi pierwej przypusscził smiercz na przerzeczonego Franka Sewcza thedi tha przerzeczona Regina Kulebianka Bedzie tego mocna poziwać y z dziatkamy sthimi ktore ma s Frankiem az do smierczi: Tim spossobem iesslize bi thiss pąn bog raczil przepussczić pierwej na przerzeczona Regine Kuliebianke przerzeczoni Franek Swieć Bedzie thego winijen poziwać z dziathkami sthemi kthore ma sprzerzeczoną Reginą Kulebianką az do smierczi. A jessli ze bi pąnn bog racził przepusscic śmiercz na przerzeczonego franka y na małżonke iego Regine Kulebianke y na dziathki ich: thedi polowicze na przijaczelie Regini Kulebianki.

Na osobnej kartce mamy: „Regestr złoczynczow ktore robiono w miasteczku Slupiei we srode we dzień s. Jadwigi a. 1561. Przicziin bily slachethni panowie Jan Zaklika, Paweł Cochowski, Mikolai Cochowski, Woicziech Zagorski, Jan Dobruczki, starosta slupski i ynsich wielije wiari godnich tham że bił wsistek urząd mieszki... Jakub Grzegorzewski thin zalobe kladl przed wrzendem na zloczince sswego sc. na Maczieja helyaska ktori na mecze [2]) powiadał czo komu wzial then tho maczei helyaszek wiznal, ysz z marcinem budkiem z Modlissowycz ukradly s starey slupy Marg. Stanykowy dwu koniu, ktore przedaly

---

[1]) Wszystkich spraw pamięć ginie, jeżeli nie są dokonane wobec wiarogodnych świadków, albo zapisane w aktach urzędowych; my więc, Maciej Papyesz, pod-wójt, razem z radnymi, jako to: z Bogusławem Mikołajem Rudzkim, Stanisławem Stanem, Wojciechem Kowalem, i z ławnikami, i przysięgłymi, mianowicie: z Wawrzyńcem Wrzoskiem, Stanisławem Gałką, Janem Piskorzem, Janem Janowskim, Mikołajem Czarnym, Szymonem Krawcem, Grzegorzem Ciemnym. Zeznajemy sądownie zebrani tak obecnym, jak na przyszłość, że Jan Krawiec, przyszedłszy obecnie do sądu zebranego, zeznał nie znagłony, ani zmuszony, ani też jakowąś uwiedziony gorliwością, lecz przy zdrowym rozumie i po naradzie ze swymi przyjaciołmi, że za cztery marki sprzedał dom, położony z jednej strony między Piotrem Szewcem, a z drugiej między domem Mikołaja Borowego—Janowi Swiatowiczowi ze starej Słupi, prawnie oddał, i na zawsze od siebie i od swoich prawnych sukcesorów zrezygnował ku sprzedaniu, darowaniu, zamianie, albo ku jakiemu pożytkowi będzie mu się podobało lepiej obrócić. Zapisania tego dokonano dla mocniejszego znaczenia sprawy. Roku Pańskiego 1466, 12 czerwca we czwartek.

[2]) Męce.

u przedborza Janowy s kobielycż za 2 grziwnie.— then ze helyaszek wiznal ysz ukradl Mystrzowy z lagowa... ubranye zamssowe z 2... ponczochi y trzewyky, ktore dal pochowacz gwiazdziance ktora mieska zmezem we Mlynku pana Mikolaia Cochowskiego i t. d. Drugy zlodziei Sobek drabik z brzezin od Schidlowa pokradł Woiczecha kijanke, thamze thiss z brzezin y wiznal na mecze czo komu wzial... then ze bil ukradl konia piotrowi woytowy spotoka: ktorego bil miał wyeszcz pijathkowy karczmarzowy na goszczinczu oppatowskym i t. d.".

Z roku 1684 przytoczymy inną sprawę: „Wielebny Jego Mość X. Maciej Sekulski, Proboszcz Obojej Słupi, przełożeł skargę na sławetnego P. Grzegorza Flaka, na ten czas Ławnika, w ten sposób, yż on mając na siebie przedtym dekret, aby nie conwersował z Panem Sosnowskim, jako wyklętym w kościele Bożym z ambony, nie zachowując tej publikacyi, y owszem, często y gęsto w domu swoim z pomienionym P. Sosnowskim conwersuie, z nim iada y pija, y na noclegi przymuie, do czego się przyznał pomieniony P. Flakowicz, wymawiając się iednak, ia nie mogę slachcica z domu wygnać, kiedy do mnie przydzie. Uwazywszy przeto sąd ninieyszy ze P. Flako. w tym obwiniony zostaie, iako się cale pokazało, że często P. Sosnowski w domu iego siadał, piał y sypiał, wiedząc dobrze, że w exkomunice do tego czasu zostaie. Przeto sąd nakazuie dekretem, aby P. Flako. siedział w sadzu publicznym przez cały dzień w kościele Farnym powinien w dzień wtorkowy przyszły przy w. drzwiach klęczyć ż świecą przez całą Mszą Wielebnego J. Mci X. Proboscza z godnemi trzema Mieszczany przeprosić. A na potym ieżeliby się pokazało na P. Flakowicza, żeby taką conwersacyą miał z Panem Sosnowskim za dowodem powinien będzie siedziec w sadzu tydzien grzywien Trzy winy oddać: sądowi połowa, kościołowi połowa".

Ponieważ ciekawym przyczynkiem do monografii Świętokrzyskiego, a przez to i do historyi całego kraju — może być zanotowanie nazwisk osób, występujących w sprawach sądowych słupskich, uważam za rzecz zupełnie słuszną wypisać tu te nazwiska i imiona, które odczytać się dały. Miasteczko w sprawach z XV wieku ma nazwy: Slup, Slupp, Slupia, Sluppia, Slupia Nowa, Slupia stara, Obie Slupie (Utraque Slup). Z imion mężczyzn najczęściej spotyka się Stanisława, i to tak często, że przy każdem wyliczaniu mężczyzn, napewno dwóch, lub trzech będzie Stanisławów. Często również spostrzegamy Mikołaja, Jana, Pawła, Wawrzeńca, Jakóba, Macieja.

Imiona żeńskie, częściej używane: Dorota, Elżbieta, Katarzyna, Barbara; rzadziej: Jadwiga, Anna, Małgorzata, Halszka, Zofia.

Nazwiska, wypisane z akt sądowych z XV wieku: Faber, Sartor, Sutor, Thokarz, Polarz, Murator, Rzerzynik, Kucharz (Coc, Cocus), Piwowar, Czyeszlya, Pyskorz, Czarny (Czarni), Wrzosek, Schowa (Ssowa, Sowa), Galka, Soyka, Liszka, Skapa, Myszka, Papa (Papyesz, Papyeszowicz), Borowy, Szledzyowa, Byodrka (Byothrka), Zelek, Harlysz, Grzywacz, Plosza, Szlothki, Szaszadka, Rola, Przeczlankowa, Sobyepan, Mosthowy, Nyethobyla, Długosz, Scszyk, Czyemny, Brozyna, Kostrzewa, Bariga, Nowak, Balka, Piskorek, Rusek; Cyganek, Mruk, Pszonka, Szodlek, Gytka, Bariczka, Moszygrosz (Mąszygrosz), Pyoro, Chlod, Slaby, Przedsław, Zak, Para, Zdan,

Szolek, Jaro, Kolibaba, Krol, Byalak, Sytko, Capinoszek, Wosacz (Wąsacz), Mycoszkowycz, Kukyenowycz (Kkukyenowicz), Szwyatowycz, Nyebyeszkowycz, Papyeszowycz, Rudzski, Strumyensky, Janowsky, Thrzczyensky, Szkoczky, Salomonszky, Rosthowsky, Kochowsky (Cochowsky), Modrzewsky, Łączyczka, Syraczsky.

W sprawach, prowadzonych w XVI wieku, przybywają następujące nowe nazwiska: Syeczkarz, Pistor, Klucznik, Gajowa, Kuchta, Biskupik, Czyapla, Szobaka, Pluskwa, Wilczkowa, Mir, Pygko, Duplotka, Polka, Czech, Ruthа, Rucziauka, Czyapka, Zymny, Czyrpysz, Drigina, Kuliebka, Gol, Hulyaszek, Rzeszotkowa, Antonik, Jedy, Idzyk, Kalwat, Kobacz, Xiążek, Zolądz, Kępka, Sprich, Szyjka, Dibowski, Jędrzeyowski, Dobrucky, Vilkoczky, Broniowski, Witosławsky, Gromaczky, Kalkowsky, Walowski, Kossowsky, Milyanowsky, Grzegorzewsky, Ruczynsky, Jaroschowsky, Kurowska, Olexycz, Pyszczkowycz.

W aktach zaś z XVII wieku mamy następujące nazwiska oprócz tych, które się spotykały już w wieku przeszłym: Flak (Flakowicz), Bernat, Molęda, Jagiela, Pałka, Guzik, Reszko, Prokopka, Mularz, Cyrulik, Marzykiszka, Sępal, Maichraczek, Konczak, Abramczyk, Hyc, Mirek (Mierek), Hamera, Oleś, Szumakowicz, Organowicz, Januszowitz, Babska, Michałowski, Chrostkowski, Liberski, Gajowski, Głaziński, Kuklewski, Wesołowski, Sulkowski, Solanski, Domaniowski, Moczarski, Koptyński (Kopcinski), Kozłowski, Smederowski, Maichrowski, Sadelowski, Płaski, Sosnowski.

Nie od rzeczy będzie zanotować spotykane w aktach nazwiska i imiona proboszczów i wikaryuszów słupskich i okolicy. Proboszczów dwa tylko mamy imiona, mianowicie pod rokiem 1453: Jan, pleban obojej Słupi, i pod rokiem 1683: ks. Maciej Sekulski, proboszcz obojej Słupi; wikaryuszów zanotowaliśmy trzech: pod rokiem 1446—Jan wikaryusz, Nowej Słupi; pod rokiem 1613 — ks. Krzysztof wikaryusz Słupski; i pod rokiem 1669 ks. Grzegorz Kraśnicki, wikary miasteczka Słupi Nowej; z sąsiadów zauważyliśmy pod rokiem 1549: Waleryana plebana w Pawłowie i pod rokiem 1579: „Kxindza Jana, proboszcza spithalnego zbodzinczina“ (z Bodzentyna).

Tyle z onych akt sądowych dało się wyciągnąć wiadomości. Lecz akta sądowe, to jeszcze nie cała zawartość tych ksiąg.

Starym szpargałom trzeba się dobrze przyglądać; wiedząc potrosze o tem, zacząłem badać okładki. I dobrzem zrobił, bo oto jedna z książek ma okładki nie z tektury, jak inne, lecz z zadrukowanych i zlepionych kartek. Odejmuję więc skórę, to jest zewnętrzną część okładki, grubą warstwę spojonych kartek odwilżam delikatnie mokrą gąbką, zmywam brudny klej z razowej mąki, wreszcie osuszam każdą kartkę osobno. Przyglądam się owym kartkom i widzę, że niespodziewanie znalazłem kalendarz z 1536 roku. Jak wygląda ten 365-letni staruszek, opiszę poniżej. Formatu jest małego, mniej więcej jak książeczka do nabożeństwa (32-o). Składa się z trzech części oddzielnych: kalendarza łacińskiego [1]), niemieckiego i tak zwanej „prakty-

[1]) Kalendarz łaciński jest w dwóch egzemplarzach, drugi jednak znacznie uszkodzony.

ki". Tytuł pierwszej części: „Ephemeris seu diarium electionum cum evangeliis dominicalibus... Ad annum dni 1536 Bisextjlem per Magistrum Adam a Tharnow vigilanti cura extraditum". Ta część składa się z 16 kartek, czyli 32 stron, z których pierwszą zajmuje tytuł, następne pięć zapełniono objaśnieniami, na następnych 25 właściwy kalendarz (po pół miesiąca na każdej stronie), wreszcie ostatnia czysta. Od drugiej do szóstej mamy różne objaśnienia; najpierw zwykłe, kalendarzowe: złota litera, cykl słoneczny i t. p., dalej: Characterum interpretatio, to jest wytłómaczenie znaków, używanych w kalendarzu, a więc jedne oznaczają dzień, w którym należy dziecko przestać karmić piersią; inne znaczą dnie, kiedy należy brać kąpiel, brać na przeczyszczenie i t. p.; wreszcie Configurationum Lunae—tu mamy przestrogi i rady; tak naprzykład dzień, oznaczony kwadracikiem, jest nieszczęśliwym, a więc trzeba się wystrzegać rozmów ze starszymi i przełożonymi, lekarstw żadnych nie używać, w drogę się nie wybierać; inny znów, bardzo odpowiedny do uprawiania ziemi, do zasadzania drzew, ale w tym dniu zaleca unikać kobiet; inny znów, bardzo odpowiedny dla obcowania z prawnikami i duchownymi, tegoż dnia dobrze jest czytać prawa i rozporządzenia państwowe itp. Dalej następuje właściwy kalendarz, a więc tytuł, t. j. nazwa miesiąca i dnie z imionami Świętych, oraz najrozmaitsze znaczki, wyżej objaśnione. Niedziele i święta drukowane czerwono. Przed niedzielą mamy początek jutrzejszej ewangielii z cytatą. Przy końcu każdego miesiąca dwuwiersz, charakteryzujący ubiegły miesiąc, naprzykład w maju:

Maius tondet oves meticulosas
Additque arboribus comas decentes.

(Maj strzyże bojaźliwe owce, a drzewa kwieciem pokrywa), a w kwietniu:

Aprilis subito, levat rigorem
Et campos vario colore vertit.

(Kwiecień nagle usuwa ostrość zimy i pola różną barwą ubiera) i t. p. [1]).

---

[1]) Ten znaleziony kalendarzyk zachęcił mnie do zbierania kalendarzy, i obecnie jestem już w posiadaniu pięćdziesięciu egzemplarzy; ciekawsze notuję tu dla wiadomości bibliografów: Kalendarz polski i ruski Filipowitza w Krakowie 1724; Kalendarz Rzymski y Ruski przez Duńczewskiego w Zamościu 1729; Kalendarz polityczny na rok 1742 w Lublinie; Kalendarz niemiecki bez tytułu na 1749; Kalendarz polityczny y historyczny na rok 1739 przez ks. Poszakowskiego w Wilnie, Nouveau calendr. franc. 1794 — 1795 pour 3 année de la Republ.; bez tytułu Kalendarz dla kobiet z r. mniej więcej 1813 — 1815, Kolęda Warsz. 1785 — 1789.

Kalendarz niemiecki, w podobnyż sposób ułożony, składa się z ośmiu kartek, brak tytułowej i kilku wewnętrznych; na ostatniej czerwonym drukiem zanotowano: Gedruckt zu Krokaw durch Mathiam Scharfenbergk. 1536.

Trzecią książeczkę stanowi: „Practica Auff das... 1536. Durch Magistrum Michaelem von Wisslicz zu Krockaw fleyssig ausz gesaczt". Tu zamieszcza autor różne przepowiednie na rok bieżący, a mianowicie o chorobach, jakie mają świat nawiedzić, o śmiertelności, o wojnach, polityczne uwagi o różnych krajach. O Polsce naprzykład czytamy, że na wiosnę i w lecie trzeba się spodziewać namiętnych napaści na wiarę; Kraków ma się obawiać wielkich pożarów; jesień i zima nic złego z sobą nie przyniosą. Dla Mazurów ten rok będzie nieszczęśliwym, będą bowiem na ich ziemi grasować różne choroby; oprócz tego przeleje się dużo krwi, rozboje, grabieże i t. p. nieszczęścia mają ich nawiedzić. Dla Żydów rok ten będzie obojętnym, nic im nie zaszkodzą niefortunne zestawienia Saturna i Marsa. Turcy zaś i Tatarzy doświadczą najwięcej złego: same nieszczęścia, i to wielkie, chociaż początek roku nie będzie się zapowiadał tak źle. Z tego rodzaju przepowiedni i uwag składa się „Praktyka" Michała z Wiślicy na rok 1536. Na trzeciej od końca stronie kończą się uwagi, a tuż zaraz czytamy: „Gedruckt in der Königlichen stadt Crackaw durch Matheam Scharffenberg. 1536". Na przedostatniej stronie w ramkach widzimy dobrze zachowany współczesny portret Zygmunta Starego z napisem u góry: „Sigismund. I. R. PO.". Król w płaszczu z szerokim, wykładanym kołnierzem, na głowie ma myckę i wielki, z szerokim rondem kapelusz. Twarz starcza, pomarszczona; wyraz oczu smutny. *Praktyka* nie jest całkowitą, brak jej mianowicie drugiego arkusza; mam pierwszy i trzeci, po ośm kartek każdy.

W innych znów okładkach w podobny sposób znalazłem ciekawe dowody, potwierdzające tę starą maksymę: nic nowego pod słońcem. Naprzykład, dużo się dzisiaj pisze o antysemityzmie; obozy walczą, jedni bronią synów Izraela, inni ich potępiają; ludzie mówią: oto nowy prąd naszego wieku—antysemityzm. Gdzie tam nowy! Nie uciekając się do głębszych i dawniejszych dowodów, biorę obmytą z kleju razowego kartę z początku XVII, lub końca XVI wieku, i czytam:

Gdzie poyzrzemi tu w Polszcze, po krainach wszędzie,
Nic dobrego przez Zydy zawsze sie dziać będzie.
Wiecie iak wiele złego ten naród śmierdzący
U nas w Polszcze porobił, będzie jeszcze więcej.
W Poznaniu w Wielkiej Polszcze, co zdraycy zrobili
Z przenajświętszy Hostiey Krew świętą toczyli.
Na tym mieyscu iest Kościół pod takim tytułem
Na cześć Panu naszemu nazwan Bożym Ciałem.
Nuż w Bochni w sławnym Mieście toż właśnie zrobili:
Przenajświętszy Sakrament ci zdraycy zmęczyli;
Dla tegoż ich tam z miasta zaraz wyświeczono,
Zydów zarazem ośm w sabat obieszono.

. . . . . .

Wolności takiey (mieysca) nigdzieyby nie było
Na nich iako w Lublinie: ci psi oprzałkowie
Sklepy pozasmradzali y piwnic tak wiele.
A czegoż nie dokaże ten narod śmierdzący
Za pieniądze nieszczęsne tu w Polszcze będący.

. . . . . .

Uważayciesz niewierność (tych to psów Tyranów.
Izali był Pan Chrystus winien iako wiecie.
Pismo nam święte świadczy przecie nie pomnicie:
Dobrodzieya swoiego Zdraycy na krzyż wbili)
Niewinnego na wzgardę ieszcze obnażyli.
A tyś mu przyiacielem, katholiku miły,
Wiedz o tem, iżeście go oba na krzyż wbiły.

Albo cóż nowszego nad prąd feministyczny! wszak emancypacya kobiet z pod władzy mężczyzn, toż to chluba ostatnich lat. I to już dawniej było. Sięgam po drugą kartkę z XVI wieku i znajduję, zdaje się, wyjątek z jakiegoś sejmu niewieściego, niezmiernie ciekawy: „...miejsce dawszy supplicacioni tych utrapionych chudziątek, rozkazuję wszystkim Małżonkom (taką władzą, jaką mam) Artykuły niżey opisane nienaruszenie y statecznie zachowywać y według onych z małżonkami swemi w Małżeńskim stanie żyć dla zachowania stateczney miłości.

1. „Wolno ma bydź każdej Mężatce z bronią iakąbykolwiek chciała chodzić, na koniu siadać, kopią na ostre gonić y we wszystkich się rycerskich sprawach ćwiczyć.

1. „Wolno im zpośrzodka siebie zwierzchności wszelakiey iako Burmister, Woyty, Lawniki, Przysięgłe dla dobrego rządu w miastach obierać.

3. „Jeżeli-by która męża miała na urzędzie, żeby Panu Małżonkowi na Ratusz iść nie wolno, ażby prędzey Paniey swoiey powiedział, coby za sprawy tego dnia miały bydź sądzone, ażeby żona rozkazała, iakoby w której sprawie wotować miał.

4. „Każdy Mąż ma Paniey Małżonce swey podlegać y posłuszny bydź tak, żeby mu y z domu nie wolno wychodzić, chyba za iey wiadomością y pozwoleniem".

(5, 6, 7 i 8-my, niestety, niemożebne do odczytania).

9. „Żaden Mąż się niech nie waży Paniey Małżonki budzić przed osmą, abo dziewiątą godziną, ale by zasłoną iaką, abo w Alkierzyku dla Słońca y much tak długo spokoynie spała, ażby ona sama ocknęła, mając podobno do Bractwa iść na tę godzinę, choć aby też do tego Bractwa nie dla nabożeństwa, ale dla czego inszego wpisać się dała.

10. Nad czeladzią żadney władzy mąż nie ma, ani go czeladź nie słucha, ieno w czymby się Paniey Małżonce zdało.

11. Jeżeliby Mąż na Panią Małżonkę co dawnego y mało uczciwego wiedział, nie ma iey tego wspominać, y owszem, powinien

wszystkiego zapomnieć, a o niey (przez gwałt) iako nalepiey rozumieć.

12. „Powinien Mąż Panią Małżonkę przy ludziach okrutnie bardzo szanować, y iey tak deferować, pochlebować, dudkować, żeby każdy widział, że wszystka zwierzchość y rządy domowe przy Panicy Małżonce, a nie przy iey mężu".

. . . . . .

„Siła inszych skarg utrapione Małżonki przed sąd moy dały, których mi się tu dla przykrocenia długiej Hramoty wyrażać nie godzi, pewien tego będąc, że się z chęci swej męże w powinnosci swey uczuwać będą. A ieżeli-by ktory przeciwko ktoremukolwiek artykułowi z tych wykroczyć śmiał, ma być na miękkiey pierzynie bawełnianem kiiem od wszystkich mężatek i siestrzyczek bez miłosierdzia bity. To tak koniecznie niech będzie, a nie inaczey. Dan na roskazanie urzędu mego w zamku Eisenheim przy rzece Kiepenhagen... Roku, kiedy się Żony o zwierzchności nad Małżonkami starać poczęły.

. . . . . .

Dalej następował widocznie okólnik do pań, z którego ocalało tylko zakończenie: „...Wozy, abo też sanki malowane z dobrą rozworą, konie chędogo przystrojone, żebyśmy się zawsze piękniey y misterniey, niż Mężczyzna, pokazać mogły. A tak z taką wyprawą y dostatkiem żebyście W. M. raczyły przyiechać bez omieszkania, gdyż pilne a gruntowne potrzeby tego dla nas wyciągają, abyśmy w sprawach naszych potocznych niedbałe y niepilne się zdały, ale nietylko spraw naszych y potrzeb też nie zaniechiwaiąc, ale tym więcej pilności przykładaiąc, dbałe y czuyne przyczyniać usiłuiemy. Aby przez iakie omieszkanie y nie pilność, nasze sprawy zaczęte, nagany iakiey abo upadku nie odniosły, To dla lepszey pewności tą ( ) Pieczęcią swoją przyciskam.

„Ten proces nie Męższczyzna ma odnosić, ale Białagłowa iedna do drugiey odsyłać".

Tyle umiał odszukać w owych kilkunastu foliantach miłośnik zakurzonych szpargałów, i tem się dzieli z ciekawym czytelnikiem w przekonaniu, że spełnia swój obowiązek.

Ks. Józef Rokoszny.

II.

DZIAŁALNOŚĆ NAUKOWA Ś. P. D-RA ANTONIEGO BUCHHOLTZA.

Dnia 16 października 1901 roku zmarł w Rydze w sile wieku, po trzydniowej chorobie, znany i w uczonych kołach polskich historyk i archeolog inflancki, który w rozwoju nauk historycznych, a w szczególności w pogłębieniu *dziejów inflanckiego przemysłu artystycznego w wiekach średnich*, oraz *badań nad archeologią tej okolicy kresowej dawnej Polski*, zdobył nietylko w kraju, ale i za granicą, tak wybitne stanowisko, położył na tem polu tak wielkie zasługi, że śmierć jego dotknęła wszystkich pracowników na inflanckiej niwie historycznej, tudzież lubowników starożytności krajowych.

Ś. p. Antoni Buchholtz urodził się w Rydze dnia 16 lipca 1848 roku we wznoszącym się po dzień dzisiejszy na przedmieściu Petersburskiem domu jego rodzicielskim. Tu kierował ojciec zmarłego, dr August Buchholtz, znakomitą szkołą przygotowawczą do wyższych klas gimnazyum klasycznego, zaszczepiając skutecznie w swych synach i zaufanej mu młodzieży miłość do zgłębiania prawd naukowych [1]).

Poważna naukowa atmosfera najbliższej rodziny oddziaływała już wcześnie na ukształtowanie umysłu Antoniego Buchholtza. Dom i ogród rodzicielski, przepełnione słynnemi w kraju zbiorami archeologicznemi (ojciec zmarłego był wybitnym sfragistykiem, heraldykiem, numizmatykiem, lubownikiem starożytności i wieloletnim prezesem miejscowego Towarzystwa historycznego), a zwłaszcza pracownia ojcowska, do której jeszcze w wieku pacholęcym został wprowadzony ś. p. Antoni, zaszczepiły w nim już wcześnie przywiązanie do przeszłości inflanckiej.

Umiejętnie utworzone zbiory pieczęci, medalów i numizmatów, cennych malowideł i kopersztychów, zabytków archeologicznych i rzadkich starych rękopisów, które łagodny i cierpliwy ojciec chęt-

[1]) Pomiędzy tą młodzieżą liczono nie mało Polaków, pomiędzy innymi d-ra Kazimierza Römera, którego ś. p. profesor Ryszard Roepell i żyjący obecnie profesor dr Nehring we Wrocławiu do ulubionych swych uczniów zaliczali, a którego prace źródłowe w wydawnictwach Krakowskiej Akademii Umiejętności z niemałem uznaniem bywają przytaczane (obacz: „*Monumenta medii aevi historica*“, tom IX, pag. X, „*Biblioteka Warszawska*, 1872, t. 3: „*Sprawozdania Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce*“, tom VI, str. 136 i t. d.).

nie dziatwie objaśniał, wywarły wpływ stanowczy nietylko na właściwy kierunek studyów, ale i na zadziwiającą pilność pacholęcia. To też już w czternastym roku życia mógł wstąpić Antoni Buchholtz do słynnego w owych czasach pierwszego gimnazyum klasycznego na ryskim placu zamkowym, które ukończył z odznaczeniem, licząc zaledwie lat ośmnaście, poczem, wraz z bratem starszym, udał się na dalsze kształcenie się do byłego uniwersytetu krajowego w Dorpacie.

Tu zrazu poświęcał się studyom astronomicznym, jak to wykazuje „*Album Academicum der kaiserlichen Universität Dorpat*“ (1889, Dorpat, str. 599), lecz następnie przeszedł na fakultet prawny, który po pięcioletnich studyach opuścił ze stopniem kandydata *utriusque juris*.

Wróciwszy do rodzimej Rygi, wstąpił do urzędu miejskiego, gdzie jako niezmordowany sekretarz „sądu sierocego“ (*Waisengericht*), dobił się po siedemnastu latach stanowiska niezależnego pod względem materyalnym, tak, iż w roku 1890, przy ostatecznem wprowadzeniu rosyjskiej reformy sądowej do krajów nadbałtyckich, mógł się od służby urzędniczej całkowicie usunąć i żyć odtąd już tylko dla ulubionej nauki. Tej jeszcze w czasie swego urzędowania walne oddawał usługi, że tylko wspomnę o znakomicie zredagowanym przez niego Katalogu ryskiej *wystawy historycznej z roku 1883*, której był duszą. Sprzedawany u wejścia wzorowo zorganizowanej wystawy katalog zajmował aż 18 arkuszy druku w formacie ósemki, z dodaniem wielu rysunków i tablic, a tak licznie się rozchodził, że w ciągu wystawy po trzykroć musiał być wydawany. Przechowują go starannie i po dzień dzisiejszy biblioteki głównych instytucyi naukowych nietylko krajowych, ale i zagranicznych, pomiędzy innemi księgozbiory Akademii Umiejętności, Muzeum książąt Czartoryskich w Krakowie i Towarzystwo Przyjaciół nauk w Poznaniu. Stanowi on książkę obszerną o 250 stronicach, którą trudno-by ułożyć w sposób bardziej wyczerpujący, bardziej systematyczny i pouczający, a tych właśnie przymiotów braknie zazwyczaj w tego rodzaju pracach dorywczych, skreślonych najczęściej z wielkim pośpiechem niemal w przededniu otwarcia wystawy [1]). Z dziesięciu tablic, zdobiących ten wzorowy katalog, sążnista tytułowa przedstawia widok miasta Rygi z czasów polskich (z roku 1612), a dziewięć innych, odbijanych w formacie ósemki, są wiernemi podobiznami ciekawych malowideł, wspaniałych sreber i medalów.

Zabytki przeszłości, nagromadzone na tej pierwszej krajowej wystawie historycznej, której właściwym *spiritus movens* był ś. p.

---

[1]) Katalog ten systematyczny, podzielony na siedemnaście działów, obejmuje szczegółowy opis 2546 zabytków przeszłości tutejszej. W roku 1883 sprzedawano go u wejścia wystawy po *4 złote polskie* (60 kopiejek). Odtąd przeszedł do handlu antykwarskiego, kosztował zrazu trzy ruble, obecnie zaś pięć rubli. Szczegóły owej wystawy historycznej, której duszą był Antoni Buchholtz, podaje obszerna korespondencya redagowanego w owym czasie przez Henryka Sienkiewicza dziennika: „*Słowo*“ w numerach 179—194 tego pisma z roku 1883.

Antoni Buchholtz, wzbudziły w Rydze głębokie poszanowanie dla przeszłości dziejowej.

To poszanowanie znalazło niebawem żywy wyraz w ukonstytuowaniu w tymże czasie stowarzyszenia *Dombauverein*, którego jedynym celem jest: czuwanie nad umiejętnem dokonywaniem restauracyi ryskiego tumu, jako najdawniejszego pomnika sztuki zachodnio-chrześciańskiej w tem mieście i kraju [1]).

I tego stowarzyszenia duszą został wkrótce dr Antoni Buchholtz. Jako znakomity numizmatyk, zdołał on także zachęcić magistrat miasta Rygi do nabycia w Wiedniu bogatych zbiorów numizmatycznych, niezbędnych dla uzupełnienia tutejszego miejskiego gabinetu numizmatycznego, Municypalność bowiem już w roku 1881 powołała go na konserwatora tego gabinetu, który mu zawdzięcza nie jedno wzbogacenie. Od lat wielu był nie mniej czynnym dyrektorem Muzeum miejskiego i jednym z najczynniejszych dyrektorów zasłużonego nauce „Towarzystwa historyczno-archeologicznego krajów inflanckich", na którego miesięcznych posiedzeniach wygłaszał zawsze odczyty równie zajmujące, jak pouczające, drukowane następnie *in extenso*, a czasem w skróceniu w rocznikach tegoż Towarzystwa.

W roku 1896 wydał opracowany instruktywnie katalog wystawy archeologiczej pod tytułem: „*Katalog der Ausstellung zum X archäologischen Kongress in Riga 1886 mit 34 Lichtdrucktafeln*" (str. LXXXV, 255 i XXXIV), ogółem str. 374 *in 8-o maximo*, wzorowo opracowany i odtąd służący za podręcznik do archeologii krajowej [2]). W tymże czasie opracował „*Bibliografię archeologii inflanckiej*", cieszącą się nie mniejszem uznaniem w kołach naukowych [3]).

Wydane przez niegoż z dziedziny przemysłu artystycznego wieków średnich dzieło znakomicie ilustrowane, pod tytułem: *Goldschmiedearbeiten in Livland, Estland und Kurland*" (Lubeka, 1891 roku *in folio imperiali*), omawiane w swoim czasie szczegółowo we lwowskim „Kwartalniku historycznym" [4]) znalazło uznanie we wszystkich

[1]) Szczegóły o wieloletniej restauracyi katedry ryskiej podaje *Tygodnik Ilustrowany* (№ 35 z roku bieżącego) w artykule: „*Z zabytków katolickich i polskich tumu ryskiego*", opatrzonym w ośm znakomicie oddanych cynkotypii, które wynagradzają nieudolność tekstu, przez niepatrzność redaktorską, błędnie skracanego.

[2]) W języku polskim ogłosił o tej pracy szczegółowe sprawozdanie w *Kwartalniku historycznym* z roku 1898, XII, str. 570, Antoni Prochaska. Niemieckich zaś sprawozdań i recenzyi jest o niej tyle, że niepodobna ich tu przytaczać.

[3]) Obacz *Kwartalnik historyczny*, XII, str. 571; *St. Petersburger Zeitung* z roku 1896, № 244, recenzya F. Koussleva: „Moskowskija archeologiczeskija izwiestia", z roku 1896 №№ 11 i 12.

[4]) Obacz *Kwartalnik historyczny* z roku 1892, VI, str. 826 — 831; *Rigasche Stadtblätter* z roku 1892, № 16, str. 123—127; *Neue Dorptsche Zeitung*, № 111; *Düna Zeitung*, № 92; *St. Petersburger Zeitung*, № 142; *Rigaer Tageblatt*, № 97; *Baltische Monatsschrift*, tom XXXIX, str. 586 do 592.

kołach naukowych Europy. We wstępie dotyka autor zwięźle tylko najgłówniejszych momentów rozwoju złotnictwa na kresach nadbałtyckich; w licznych zaś przykładach, przytaczanych w samym tekście dzieła, zapoznaje czytelnika z pracowniami, z których wyszły arcydzieła, budzące i dzisiaj jeszcze podziw u znawców i wywołujące w nich żal, iż w czasie bezustannych wojen i klęsk, jakiemi dawne kraje inflanckie od XV do XVIII stulecia stale bywały nawiedzane, największa część przepysznych dzieł złotniczych raz na zawsze zaginąć musiała. Strona trzecia wstępu zaznajamia nas ze wspaniałemi okazami z zakresu miejscowego złotnictwa, mającemi i dla nas, Polaków, niepośledni interes. Mowa tam o wspaniałych darach Ryżan dla wybitniejszych osobistości Rzpltej polskiej, które to dary, zdaniem autora, miały należeć do najpiękniejszych okazów złotnictwa, jakie kraje nadbałtyckie kiedykolwiek wydały I tak w roku 1599 małżonce wielkiego kanclerza litewskiego, Lwa Sapiehy, złożyła Ryga w hołdzie bogaty łańcuch złoty, oraz olbrzymią, artystycznie cyzelowaną misę srebrną. W tymże roku 1599 otrzymał od tegoż miasta komisarz królewski, Ostrowski, roztruchan srebrny, suto wyzłacany. W roku 1600 ofiarowała Ryga wojewodzie wileńskiemu, Krzysztofowi Radziwiłłowi, księciu na Birżach Litewskich, bogato rzeźbiony puhar; w roku 1601 złożyła w hołdzie Zygmuntowi III dwa kosztowne, prześlicznie cyzelowane puhary, a w roku 1606 ofiarowała wysokim dygnitarzom polskim piękne roztruchany.

Zakończenie tekstu objaśniającego tworzą zwięzłe, ale czytelnikom nader pożądane uwagi o miarach. Niezbędną dzisiaj w pracach naukowych redukcyę na gramy przeprowadził ś. p. Antoni Buchholtz zarówno we wstępie, jak i w części opisowej tekstu. Ta ostatnia jest potrzebną dla dania dokładnego pojęcia o poszczególnych okazach, jakie autor przedstawia czytelnikom. Tekst ten, redagowany wzorowo, dopełnia podobizny przedstawionych okazów w sposób udatny. Znaki poszczególnych pracowni złotniczych, o których wielu autorów, mniej sumiennie pracujących, nie wspomina zgoła, są tu w licznych miniaturowych drzeworytach starannie oddane w tekście. Przy wielu okazach podaje Antoni Buchholtz historyę ich powstania, ich cenę, a nawet opisuje zwięźle żywoty mistrzów, którzy je wykonali.

Co w tem dziele pomnikowem z taką łatwością i bez najmniejszego znużenia na 24 olbrzymich kartach odczytujemy, jest przeważnie owocem długoletnich a żmudnych badań archiwalnych. Autor przedstawia wogóle 88 okazów, z której-to liczby 8 pochodzi z wieków średnich, reszta zaś przeważnie z XVI i XVII stulecia, a kilka ostatnich z początku wieku XVIII.

Nie brakło ś. p. Antoniemu Buchholtzowi uznania nawet za życia. Uniwersytet królewiecki mianował go swoim doktorem *honoris causa*, Towarzystwa archeologiczne w Dorpacie, w Rewlu, a nawet w Moskwie swoim członkiem honorowym, uczone Towarzystwo kurlandzkie, „*Gesellschaft für Literatur und Kunst*“, swym członkiem korespondencyjnym, polskie zaś głosy uznania rozbrzmiewały niejednokrotnie w poważniejszych pismach krakowskich i lwowskich.

Prawnik z zawodu, w miarę jak swe studya źródłowe rozszerzał, i poznawszy pomniki ustawodawstwa, dokumenty i księgi sądo-

we, sięgnął do kronik i roczników,—stawał się historykiem, badaczem wewnętrznych dziejów Inflant dawnych, oraz krajów i miast, z niemi połączonych. Pociągało go to pole szerokie, żyzne, a dotąd tak mało uprawne.

Z prac jego czysto historycznych przytaczamy: „Dzieje kapitulacyi miasta Rygi 1709/1710 r.“, oraz wydany w roku 1883 „Przyczynek do smutnych dziejów Jana Rajnolda Patkula“, nakoniec: „Dzieje żydowstwa ryskiego aż do roku 1842“ [1]).

Z powodu siedmiowiekowego jubileuszu ryskiego rozpoczął w roku 1900 subwencyonowane przez municypalność miasta Rygi wydawnictwo źródłowe, pod tytułem: „*Urkunden und Briefe die sich auf die Geschichte der Stadt Riga in den Jahren 1710 — 1742 beziehen*“, a także nader zajmujące opisanie najdawniejszych ruin w krajach nadbałtyckich. On też był inicyatorem wybicia w roku bieżącym, 1901, za granicą medalu pamiątkowego na uczczenie 700-nej rocznicy założenia Rygi i związkowego państwa inflanckiego przez biskupa Alberta I.

Jako pierwszy dyrektor muzeum ryskiego zorganizował je, starał się gorliwie o pomnożenie jego zbiorów, utrzymywał korespondencye ze wszystkiemi znakomitościami naukowemi kraju i zagranicy w sprawach, dotyczących zabytków inflanckich, rozrzuconych po całej Europie. Stąd płynęło dla niego źródło znakomitej informacyi o stanie wszystkich pomników odwiecznej inflanckiej kultury zachodnio - europejskiej.

Wiedzy swojej nigdy nie skąpił dla drugich. Jeszcze w przededniu ostatniej choroby zjawił się do piszącego to z teką, zapełnioną listami założyciela krakowskiego muzeum numizmatycznego, Emeryka hr. Czapskiego i jego małżonki; a ten trud zadawał sobie czcigodny uczony, by tem jaśniej dowieść, że proponowany nam medal rzadki jednego z panujących książąt kurlandzkich jest tylko podrobiony, gdyż ś. p. Czapski w swoim czasie był mu przysłał odcisk prawdziwego medalu tegoż panującego, a odcisk ten całkiem inne przedstawiał oblicze.

Prace historyczne tego inflanckiego uczonego cechuje rzadka bezstronność. Dla hakatyzmu niemieckiego, którym obecnie Lipsk i Berlin są zarażone, nie mniejszą żywił wzgardę, jak dla autorskiej blagi. Żył tylko nauką i dla nauki, i nieraz chwytał za pióro, by ostro wysmagać tych, którzy niezbyt ściśle traktowali sprawy naukowe.

Liczne prace d-ra Antoniego Buchholtza wymieniają skrzętnie nietylko zeszyciki bibliografii inflanckiej, wydawane corocznie od lat dziewiętnastu w Rydze, ale i powszechnie znane berlińskie „*Jahresberichte der Geschichtswissenschaft*“, o ile te prace mają jakąkolwiek styczność z historyą, lub jedną z nauk pomocniczych tej rozległej gałęzi wiedzy ludzkiej.

Ostatnią posługę oddano szczątkom śmiertelnym tego znakomitego uczonego w dniu 21/8 października 1901 roku. W mowach po-

---

[1]) Obacz recenzye tych prac w *Düna-Zeitung* z roku 1899 № 47, *St. Petersburger Zeitung*, № 149; *Rigasche Rundschau*, №№ 44 i 47 z roku 1879; *Rig.-Stadtblätter*, №№ 23 i 24, strony 183 — 186 i 191 — 194.

grzebowych, wygłaszanych przez zawodowych historyków, uwydatniano nader słusznie, że pilne odczytywanie dzieł Antoniego Buchholtza przyniosło-by korzyść niemałą młodym adeptom nauki historycznej. Dało-by się bowiem im do rąk wzory prac naukowych, prawdziwie klasyczne, bo pod względem ścisłości metodycznej dotąd nieprześcignione, na których-by się uczyć mogli, jak należy pracować naukowo. Z metodą nauczyli-by się może i skromności, tej cnoty, którą zmarły posiadał w stopniu bohaterskim, a o którą dziś, zwłaszcza u Niemców, od czasu osiągnionej „*Reichseinheit*“, tak trudno! Nie mniej słusznie uwydatniano, że w inflanckich Towarzystwach naukowych nic nie zapełni luki, jaką śmierć d-ra Antoniego Buchholtza wytworzyła, gdyż życie jego było dla nauki jednem, ciągłem pasmem niezmordowanej a skutecznej pracy, wysokiej bezinteresowności, szlachetnego poświęcenia i zapału. Zbiory swoje wszystkie (zarówno numizmatyczne, jak artystyczne), przekazał Towarzystwu historycznemu i jego muzeom. Oceniają ten spadek po nim na (co najmniej) 65,000 rubli. Na uwiecznienie pamięci tego wielkiego uczonego ma być wybity medal pamiątkowy.

Gustaw Manteuffel.

PIŚMIENNICTWO.

Smoleński: „Pisma historyczne“. Tomów trzy. 1901.

W ciągu ubiegłej ćwierci bieżącego stulecia ukazywały się w rozmaitych czasopismach studya historyczne Smoleńskiego, czytywane z zajęciem i z rzetelnym pożytkiem przez liczne grono miłośników dziejów ojczystych. Obecnie studya powyższe, wydane w trzech tomach, polecają się czytelnikowi bogatą treścią, pięknym językiem i przedmiotowym, wolnym od wszelkich tendencyi wykładem. We wszystkich tomach przeważa wiek XVIII, dla którego Smoleński żywi szczere upodobanie. Niekiedy jedynie cofa się autor do wieków dawniejszych, ale powraca zazwyczaj do umiłowanej doby, czując się w niej pewnym i zachęconym do nieustających poszukiwań. W tomie pierwszym znajduje się kilka rozpraw, poświęconych życiu i rozwojowi umysłowemu szlachty. Pierwsze studyum, przedstawiające nam szlachtę w świetle opinii własnych, zebrało skrzętnie wszelkie starożytne uprzedzenia, w które się stan szlachecki w ciągu wieków przystroił. Wśród tej kilkowiekowej doby przeważało mniemanie, że nie masz szlachty pod słońcem nad syny koronne, nie masz, jak Polska i wielebna wolność gardł i statków naszych. Dopiero po wieku bezwzględnych dla szlachectwa uniesień nastały czasy, w których garść ludzi wyłamała myśl swoją z ram starych i ostygła w afekcie dla dawnych szlacheckich wyobrażeń. Czasy owe z ich nowemi prądami przedstawił Smoleński w drugiem studyum, pod tytułem: „Szlachta w świetle opinii wieku XVIII“, zaznaczając, że w każdym niemal rozdziale konstytucyi 3 maja czuć dreszcze postępu przed grozą starej socyologii, która jeszcze w masach szlacheckich kwitnęła tak żywo, jak przed wiekiem lub dwoma. Ustawa też majowa, mimo przezorności jej twórców, do niechęci dawała dużo powodów; gdy więc magnaci zatknęli sztandar wywrotu, a za hasło wzięli szlachecką równość i wolność, wysunęli się i rycerze postępowi, gotowi szablą swoją poprzeć żądania wstecznikow.

Po opisie Mazowsza Jędrzeja Święcickiego, który Smoleński z łacińskiego przełożył, spotykamy w tomie pierwszym ciekawe studyum, pod tytułem: „Mazowiecka szlachta w poddaństwie proboszczów płockich". W XVI wieku, przed przyłączeniem Mazowsza do Korony, wytworzył się nienormalny stosunek szlachty mazowieckiej do proboszczów płockich. We wszystkich aktach szlachta, czyniąca zeznania, uznawała się w zależności feudalnej od swoich panów proboszczów, zobowiązywała się do pewnych ciężarów, przez co wyzuwała się z charakteru ziemiańskiego. Proboszczowie przywłaszczyli sobie nad szlachtą władzę udzielną *cum jure gladii*, bez odwoływania się do księcia. Rozstrzygał sprawy mianowany przez nich starosta, a gdy wyrok jego wyższej wymagał decyzyi, sam proboszcz, lub delegowani kanonicy stanowili instancyę ostatnią. Po złączeniu Mazowsza z Koroną w roku 1527, szlachta sieluńska na swój stosunek do wielkich proboszczów innem zaczęła spoglądać okiem. Pod każdym względem korzystniej dla niej było uważać się za obywateli Rzeczypospolitej, niż zostawać w poddaństwie księży. Zapragnęła przeto szlachta protektoratu się pozbyć. Proboszczowie więc narażeni byli na utratę kilkuset rodzin, dotychczas poddańczych, a co ważniejsza, z obowiązku zależności spory dających dochód. Trzeba więc było obmyślić szybko środki do zatrzymania szlachty w poddaństwie i nadal. Ks. Mikołaj Półkozic Wolski w roku 1568 napadał też na rycerskie chaty, odbijał w mieszkaniach skrzynki i zabierał znalezione w nich dokumenty. Od tego czasu poczyna się najsmutniejsza doba w życiu rycerstwa sieluńskiego. Proboszczowie, nadęci pychą niczem nieograniczonego wszechwładztwa, poczynają odgrywać rolę książąt udzielnych, a w roku 1598 przybierają nawet tytuł książęcy. Dopiero sejm czteroletni położył kres upokarzającemu położeniu szlachty sieluńskiej, a proboszczowi za rezygnacyę z praw zwierzchniczych przyznano tytuł książęcy.

Niezwykle interesującą i pięknie napisaną jest następna rozprawa, pod tytułem: „Drobna szlachta w Królestwie Polskiem". Smoleński odtworzył ową szaraczkową rzeszę z prawdziwem mistrzowstwem, i dał nam ją poznać we wszystkich kierunkach życia ze wszystkiemi przywarami i przymiotami. Kończy autor swe pouczające studyum następującym ustępem: Odsłaniając ułomności, jakie dostrzegliśmy w chacie i włości, na podwórzu i w polu, w charakterze i życiu towarzyskiem szlachty, nie rozpaczajmy o 300,000 blizko gromadzie, której nie brak wysokich przymiotów i cnót. Ułomności tej rzeszy nie są wynikiem zużycia, lecz objawem surowości. Cnoty jej nie pochodzą z tresury, lecz płyną z popędów przyrodzonych. Wprowadzenie szlachty zagonowej w obszerniejszy zakres życia za

pomocą reformy ekonomicznej i szerzenia oświaty przyniosło-by korzyść niewątpliwą społeczeństwu, któremu brak dopływu pierwiastków świeżych i zdrowych.

W tomie pierwszym znajdują się jeszcze następujące rozprawy: 1) Wiara w życiu społeczeństwa polskiego w epoce jezuickiej. 2) Ksiądz Marek, cudotwórca i prorok konfederacyi Barskiej. 3) Onufry Korytyński. 4) Cezar Pyrrhys de Variete. 5. Przyczyny upadku projektu kodeksu Zamoyskiego. W każdej z tych rozpraw znajduje się jakiś, choćby drobny, przyczynek do historyi politycznej, lub historyi literatury polskiej. W ostatniej pracy stawia Smoleński ważne zapytanie: Czy taki Kamieński, poseł wołyński, który wniósł bezwarunkowe oddalenie kodeksu Zamoyskiego z dodatkiem, iżby nigdy nie był wznawiany, nie operował w charakterze nabytego za pieniądz narzędzia? Czy ci, którzy darli karty księgi i rzucali ją o ziemię, nie czerpali zapału w kasie ambasadorskiej? W jakim stopniu działała w tej sprawie zachowawczość, a w jakiej podłość indywiduów, rozstrzygnąć trudno. Ostatecznie pewną jest rzeczą, że upadek projektu Zamoyskiego nie na karb konserwatyzmu tylko zwalać należy.

Tom drugi „Pism historycznych“ Smoleńskiego zawiera na wstępie dwie rozprawy, odtwarzające ruch umysłowy w Polsce w wieku XVIII. Noszą one tytuły: „Towarzystwa naukowe i literackie w Polsce wieku XVIII“ i „Kalendarze w Polsce wieku XVIII“. W obu studyach Smoleński zgromadził dużo ciekawych, a niekiedy cennych szczegółów, będących świadectwem charakterystycznem naszego cywilizacyjnego rozwoju w danej epoce. Zdaniem Smoleńskiego, kalendarz, podobnie jak książka do nabożeństwa, wciskał się do serc, do których dostęp słowa drukowanego był trudny, spełniał przeto ważne zadanie oświecania padołów. Kalendarze w wieku XVIII zażegnywały trwogę, jaką szerzyły w społeczeństwie tradycye astrologiczne, przyczyniały się do tępienia przesądów, a w procesie krzewienia oświaty śród mas nie małą odegrały rolę. Następna rozprawa, pod tytułem: „Żywioły zachowawcze i Komisya edukacyjna“ posiada rzeczywiste wysokie znaczenie naukowe dla historyi naszej z drugiej połowy XVIII stulecia. Smoleński szczegółowe okoliczności, wśród których zniesiono zakon Jezuitów, skreślił i odtworzył prądy duchowe, które towarzyszyły utworzeniu Komisyi edukacyjnej oraz szkół Rzeczypospolitej. Z wzorową pracowitością i sumiennością wykazał on pracę Komisyi edukacyjnej i uporczywą walkę z żywiołami zachowawczemi, które chciały szkolnictwo pozostawić nadal pieczy zakonów klasztornych. Pomimo niepopularności w całym przeciągu istnienia Komisyi, zdaniem Smoleńskiego, Komisya zrobiła swoje. Wychowana pod jej hasłami młodzież, zaszczytne w najcięższych okolicznościach złożyła

dowody charakteru i wiary w wysokie ideały etyczne. Zeszła jednakże Komisya edukacyjna z widowni, niepogodzona ze starem społeczeństwem, dla którego przyszłości podjęła swą pracę.

Z papierów, znajdujących się u hr. Potockiego w Rosi, podał nam Smoleński nieco dokładniejszych szczegółów o polskiej szkole oryentalnej w Stambule w roku 1766 do 1795. Następna zaś rozprawa, pod tytułem: „Stan i sprawa żydów polskich w XVIII wieku“, przedstawia w sposób niezmiernie interesujący wszelkie prądy prawodawcze w upadającej Rzeczypospolitej i wszelakie kolizye społeczeństwa polskiego z kwestyą żydowską. Głównym winowajcą smutnego stanu żydów i ich szkodliwego na kraj wpływu był, zdaniem Smoleńskiego, sam rząd polski, szlachecki. Żydzi byli takimi, jakimi ich zrobiły prawa szlacheckie. Dziwne więc były uroszczenia, żeby żyd był krajowi użytecznym, gdy owoc pracy nie był mu zapewniony, żeby był życzliwy i wierny temu, który go bezustannie gnębił, żeby nosił z uszanowaniem kajdany i całował tę rękę, która mu je na kark włożyła. Wina rządu polskiego polega głównie na tem, że nie uważał żydów za część składową narodu, że nie starał się wcielić ich w organizm całości. Z niebytu dążności asymilacyjnej pochodziła dola i niedola żydów, a niedola tylko dla Polski. Szczęściem dla żydów był samorząd, niedolą—ruina materyalna! Rząd Rzeczypospolitej zachowywał się względem żydów bardziej niedbale, niż wrogo, bardziej bezmyślnie, niż złośliwie. Żydzi nie potrzebowali się uskarżać nawet na surowe przepisy, gdyż zazwyczaj nie były one wykonywanemi.

W studyum pod tytułem: „Kuźnia Kołłątajowska“, przedstawił Smoleński szczegółowo działalność stronników Kołłątaja. Pierwsze i, można rzec, najwybitniejsze miejsce zajmuje w ich rzędzie ksiądz kanonik Jezierski, którego postać została przez autora wybornie odtworzona. Kanonik Jezierski był swego czasu pisarzem niepospolitym, pełnym przenikliwości umysłu, gdy chodziło o odkrycie wad w ustroju Rzeczypospolitej. Dość tylko przytoczyć to, co w Katechiźmie powiada o Rzeczypospolitej, ażeby ocenić jego zmysł obserwacyjny. Polska—pisze on—jest królestwem, bezkrólewiem i rzecząpospolitą. W Rzeczypospolitej, stworzonej przez przywileje i nierząd, panuje król, senat i rycerstwo — trzy stany a jeden szlachcic, boć i król, i senator, i poseł, niczem innem nie są, jak szlachtą. To jest tajemnica, niepojęta rozumem, że Rzeczpospolita, nie mając, tylko jeden stan szlachecki do rządu, przecież z tego stanu zrobiła trzy stany tak cudownym sposobem, jako i to, że z jednej króla pojedyńczej osoby ma także jeden stan zupełny. Jak zaś trzeźwo zapatrywał się Jezierski na stosunki ówczesne polskie, dość przytoczyć następujący ustęp: Polacy będą prawdziwie wolnym i szczęśliwym narodem do-

piero wtenczas, kiedy się zrzekną urojonego zaszczytu obioru królów, zaniechają pogardy dla mieszczan i zniosą niewolę chłopa. Dla dokonania tego, musi klasa rządząca uznać najprzód ten pewnik, że według ustaw natury, każdemu człowiekowi służy wolność i prawo własności, że szlachta nie cały naród, lecz jedną jego stanowi cząstkę. Po kanoniku Jezierskim, przedstawił Smoleński działalność Trębickiego, Dmóchowskiego, Meiera, Konopki, Dembowskiego, odtworzywszy ich charaktery i stanowisko w stronnictwie Kołłątajowskiem. Tom drugi zakończa „Uwięzienie Kołłątaja", rzucające ponure światło na stosunki polskie w końcu 1794 roku.

W tomie trzecim zamieścił Smoleński kilka wyczerpujących i wzorowych studyów krytycznych, z których pierwsze zostało poświęcone dziełu Korzona, pod tytułem: „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta". Sumiennie rozbierając obszerną pracę Korzona, Smoleńskiemu miło ku chlubie dziejopisarstwa stwierdzić szybowanie krytykowanego historyka ponad sferą doktryn i hołdowanie wyłącznie prawdzie. Z podejrzliwością Litwina, jak się sam Korzon każe nazywać, przez lat ośm podpatrywał tajemnice ostatnich pokoleń Rzeczypospolitej, nie dla tego, żeby z osiągniętych spostrzeżeń kręcić bicze na umarłych i żywych, nie po to, żeby rezultatami badań stwierdzać i ku użytkowi chwili obecnej podawać teorye polityczne, lecz jedynie z potrzeby szukania prawdy. Dla tej prawdy, wysnutej drogą mozolnego a ścisłego rachunku, dzieło Korzona stanowi w literaturze historycznej polskiej *monumentum aere perennius*. Drugie studyum krytyczne zostało poświęcone sprawie włościańskiej Miakotina i odznacza się równą sumiennością i gruntownością, co i pierwsze.

Po owych dwóch studyach krytycznych spotykamy rozprawy pod tytułem: „Czasy Stanisława Augusta w powieściach J. I. Kraszewskiego". W pięknej tej pracy Smoleński poczynił dużo zarzutów Kraszewskiemu, ale przyznał, że na sformułowany przez niego stosunek szlachty do panów trzeba się zgodzić. Z postaci najszczęśliwszych Kraszewskiego uważa Smoleński Radziwiłła Panie Kochanku, który nawet grobowy smutek ubiera w szaty humoru. W dalszym ciągu znajdujemy: „Rządy pruskie na ziemiach polskich (1793 — 1807)", które Smoleński dla pierwiastku narodowego polskiego nazwał zabójczemi. Rząd pruski — jak Smoleński udowadnia—nietylko na utrzymanie polskich prowincyi nie wydał szeląga, lecz oszczędzał na nich rocznie około pół miliona talarów. Mógł-by oszczędzić więcej, gdyby w wydatkach nie kierował się względami dobrze zrozumianej własnej korzyści. Nie wypadało mu bowiem zabranych pro-

wincyi zamieniać w pustynię, skoro zamierzył w nich wygodne dla germanizmu ulepić gniazdo.

W obszerniejszej monografii pod tytułem: „Szkoły historyczne w Polsce (Główne kierunki poglądów na przeszłość)“, Smoleński umiejętnie ugrupował prace naszych historyków i zastanowił się nad niemi krytycznie. Zarzucił on przedewszystkiem naszym historyozofom, że całą baczność zwrócili na fenomen upadku państwa, a na jego wyjaśnienie zużyli całą dyalektykę i wszystką swą wiedzę. Branie zaś katastrofy upadku za punkt wyjścia w poglądzie na przeszłość jest z gruntu fałszywą, dla nauki historycznej szkodliwą rzeczą. Fakt upadku państwa, ważny dla historyi czasów następnych, bezzasadnie został wzięty za motyw zasadniczy przy badaniu dziejów przedrozbiorowych. Tymczasem upadek Państwa nie doprowadza bytu naszego do kresu, lecz stworzył jedynie przełom; nie unicestwił narodu, lecz tylko zmienił warunki jego rozwoju. Te zasoby, nagromadzone w przeszłości, którym naród zawdzięcza ciągłość życia moralnego, pomimo upadku państwa, stanowią fakt znamienniejszy, niż zanik bytu politycznego.

Określając stanowisko Waleryana Kalinki w historyografii polskiej, Smoleński objawił znowu sporo zmysłu krytycznego, przy sumienności i gruntowności w badaniu i rozbiorze. Jego zdaniem, Kalinka szukał prawdy, lecz jej nie znalazł, konkluzyi, którą uważał za główną zdobycz swych badań, nie dowiódł. Pragnął goić rany chwili obecnej i lepszą fundować przyszłość; nic jednak nie zabliźnił, nie wiele zbudował, albowiem nie zdołał pochwycić prawdy. Moralizowaniem nudzi, nie naucza, pessymizmem demoralizuje, nie zaś, jak przypuszczał, ducha podnosi. Stworzył szkołę historyczną krakowską, ta przecież najmniejszą przynosi mu chlubę. Życzyć należy literaturze polskiej jak najwięcej głów takich i talentów, jak Waleryan Kalinka, lecz najmniej zwolenników jego historyozofii. Charakteryzując następnie działalność i talent Jarochowskiego, Smoleński pisze, iż nie przez genialność, lecz przez pracowitość i sumienność w badaniach zajął Jarochowski w historyozofii polskiej stanowisko wybitne. Nie dokonał w nauce przewrotu, lecz grutownemi studyami wsparł ją potężnie. Ostatni podobno epigon Lelewela, pod względem beznamiętnego wnikania w przeszłość, a więc właściwego zadania nauki, zaszczytnie wyprzedził reprezentantów szkół innych.

Tom trzeci zawarł jeszcze kilka drobniejszych studyów, pomiędzy któremi praca pod tytułem: „Nauczanie historyi polskiej“, zasługuje chociaż na ogólną wzmiankę. W artykule powyższym Smoleński zastanowił się krytycznie nad nowszemi podręcznikami historyi polskiej i poczynił nad niemi wiele cennych i przekonywających

spostrzeżeń. W czasach ostatnich—pisze Smoleński—pogląd monarchiczny stał się panującym wśród pisarzy galicyjskich, tworzących tak zwaną szkołę krakowską. Przedstawiciele jednak tej szkoły różnią się w zapatrywaniach na kwestye szczegółowe. Jedni łączą z monarchizmem ultramontanizm, inni w poglądach na husytyzm, reformacyę i sprawy kościelne odznaczają się wolnomyślnością. Trzeba mieć na uwadze przewodniczące historykom doktryny: polityczne, społeczne i religijne, żeby zdać sobie sprawę z różnorodności poglądów na wypadki dziejowe. Trzeba też rozumieć, że ci, którzy widomie operują nad naginaniem przeszłości do uzasadnienia pewnych wierzeń, lub ku poparciu celów praktycznych, nie są historykami, lecz apostołami doktryn i adwokatami stronnictw politycznych.

Wszystkie prace Smoleńskiego, w trzech tomach zawarte, odznaczają się sumiennością i gruntownością opracowania. Język w nich piękny i jędrny. W rozumowaniu logiczność, a w studyach panuje wyraźne dążenie do zachowania przedmiotowości i uwolnienia się od wpływu wszelakich doktryn politycznych i społecznych. Dla przyszłych badaczów XVIII wieku „Pisma historyczne“ Smoleńskiego będą pożytecznemi i cennemi, a w literaturze polskiej zajmą niewątpliwie poważne stanowisko.

A. R.

„**Ustawa** Komisyi Edukacyi Narodowej dla stanu Akademickiego. 1-o na szkoły w krajach Rzeczypospolitej, przepisane w Warszawie r. 1783.“

Zamiast przedmowy wydawca pomieścił w swej pracy mowy Lipińskiego, posła podolskiego, i Małachowskiego, posła poznańskiego, z 1776. Zwłaszcza druga zasługuje na szczególniejszą uwagę, głębokością myśli a wzniosłością obywatelskiego ducha. Mówić o edukacyi, powiada Małachowski, jest wspomnieć o największem narodu szczęściu, jest wydobyć źródło najobfitszych dla całego kraju pomyślności, jest nakoniec rzucić wyborne nasienie pożytecznych, trwałych i niezawodnych dla nas i następców naszych zysków i owoców. Edukacya, w prawodawstwie ostrożność, w zwierzchności łagodność w sądach sprawiedliwość, w towarzystwie ludzkość, w obcowaniu przyjemność, w przypadkach odwagę, w przeciwnościach męstwo, mnoży i utrzymuje. Edukacya polityczne i moralne, a wolnym zwłaszcza narodom najprzyzwoitsze cnoty i obyczaje wkorzenia, gruntuje i ubezpiecza. Zgoła edukacya, będąc mądrości płodem, własnej matki albo rozszerza sławę, albo jej szacunek podnosi. Tę potrzebę wszystkie szczę-

śliwe przyświadczają państwa, tej niedostatki nasze i u nas opłakują czasy: wielu, dotąd nie znając nawet własności ojczystego rządu, nie wiedząc powinności osobistego stanu, nie pilnując obowiązków swego powołania, albo przeszkadzają czemu nie należy, albo dozwalają czego się nie godzi.

Dalej Małachowski pragnie, aby nauczyciele wiary Św. rzymsko-katolickiej, przez wszystkie nauk stopnie codziennem powtarzaniem, jak najdokładniej w umysły i serca uczniów wpajali. To najgruntowniej panującemu uszanowanie, zwierzchności wzgląd, prawom podległość i posłuszeństwo wkorzeni. To cnót obywatelskich szacunek podniesie, to namiętności człowieczeństwa pochlebne, lecz człowieka hydzące, uskromi, wszelkiego rodzaju występki, jako niegodne stworzenia rozumnego i aż wieczystą ciągnące karę, oczerni, a prostość obyczajów, sprawiedliwość, ludzkość i szczerość, nieumierającą zasługujące nagrodę i chwałę, rozkrzewi i ugruntuje. Powtóre: niechaj nauczyciele najdotkliwszym w myślach y pojęciu uczniów piętnują wyobrażeniem, państwo Rzeczypospolitej, w którym się rodzą, rosną i ćwiczą, za jedną i rodzoną ich matkę, wszystkich równie kochającą, o wszystkich pomyślność troskliwą, nad wszystkich w powszechności, y nad każdego w szczególności przeciwnością równie cierpiącą. Taka uwaga wznieci najgorętszą ku swej ojczyźnie miłość, zapali najsprawiedliwszą do jej usług ochotę, zachęci do najtrudniejszych o jej całość prac i zabiegów; złączy wszystkie chęci w jeden węzeł ustawicznego o jej dobro starania. Samą nawet ambicyę, wtenczas tylko okaże godziwą, jeżeli uprzedzać się będą o jej ratunek w potrzebach, jej dźwignienie w upadku. Każda zaś względem niej występność dopieroć zdradą kryślić im będzie dziką, y obrzydliwą, matkobójstwa szkaradnością. Potrzecie: niechaj nauczyciele tę niewzruszoną wbijają prawdę, że wszyscy w kraju obywatele jesteśmy jednego ciała cząstki, jednej głowy członki, jednej matki synowie, a zatem rodzeni bracia. A jeżeli krew y natura zdaje się zwiększać y wzmacniać ścisłość w rodzeństwach przywiązania, o jakże szczęśliwa familia, która przez przyrodzenie znajduje czyste w rozumie pobudki, aby zgodę, miłość y jednomyślność wśród siebie na zawsze utrzymywała.

Ustawy Komisyi Edukacyjnej mają krótką przedmowę, w której prawodawca oświadcza, że „Nauczyciele, którzy się w rzeczonym stanie tworzyć i kształcić mają, w tym widoku uważani być powinni jako jednejże Rzeczypospolitej obywatele, przejęci świętością zamierzenia swego urzędu, tak wielkiej wagi: tym jedynie zabawieni, aby jak najdokładniej, co do wiary, ojczystych obyczajów, miłości ojczyzny, znajomości praw narodowych i najużyteczniejszych w społeczno-

ści ludzkiej nauk wychowywali i doskonalili synów obywatelskich.“ Prócz tego jeszcze przedmowa nadmienia, że: „Po większej części w ustawach niniejszych, wskrzeszone i do czerstwości swojej przywrócone są starodawne królów polskich ze krwi Piastów i Jagiellonów, a mianowicie, Kazimierza Wielkiego, Zygmunta I, Zygmunta Augusta, około szkół krajowych rozrządzenia, i nadane od nich nauczycielom przywileje. Nie można wątpić, że, wpatrzywszy się w ustawę całą, nabierzecie wysokich myśli i szlachetnych chęci łączenia się gorliwością z temi, którzy ją wam, po dokładnym publicznych i ważnych w szczególności pożytków rozważaniu, podają.“

Same ustawy Komisyi Edykacyi Narodowej godne są ze wszech miar zastanowienia się i rozwagi, tyle w nich myśli głębokich, dążących do uszlachetnienia młodzieży i do wczesnego jej wdrożenia do obywatelskiej służby i do publicznych obowiązków. Z najdrobniejszego przepisu widać usiłowanie uczynienia ze szkoły państwowej instytucyi, górującej nad wszelkiemi stronniczemi namiętnościami i usuwającej za pomocą światła nauki wszelkie przesądy społeczne. Pozwolę sobie zaznaczyć, jak trafnie komisya Edukacyjna określiła doniosłość szkół parafialnych, które miały być po wsiach i po miasteczkach w pobliżu kościołów parafialnych. Pierwszym i najważniejszym celem powyższych szkółek ma być oświecenie ludu koło religii, około powinności stanu jego, około robót i przemysłu w tymże stanie. Nim zaś książki elementarne wyjdą, w większych szkołach dawana będzie nauka chrześciańska, nauka obyczajów, stosowna do wieku i do kondycyi uczniów, czytanie, pisanie, początki rozmiaru z wiadomością miar, wag i monet, nauka ogrodnicza i rolnicza, więcej przez okazywanie samych-że robót, niż przez mówienie i przepisy na pamięć, wiadomości zachowania zdrowia i leczenia bydląt, handlu wewnętrznego w tej okolicy i sąsiedztwie, użycia tych rzeczy, które się częstokroć po wsiach i miasteczkach zaniedbują, a użytecznemi być mogą, jako np. różnych roślin przydatnych do farb, sierci bydląt, kor różnych drzew, starych chust, popiołów etc. W mniejszych zaś szkołach, gdzie zwyczajnie sami wieśniacy uczyć się mają, w mniejszem określeniu nauki do okoliczności stosowane będą. Trudna prawdzie rzecz jest, aby bez książek i przystosowania na to, mogli się znaleźć nauczyciele zdolni do prowadzenia tych nauk, z tem wszystkiem ile możność, oświecenie i gorliwość pasterzów, dziedziców i dzierżawców dóbr, za zniesieniem się z rektorem wydziałowym, takowym potrzebom zaradzać będzie.

O reformach komisyi Edukacyjnej posiadamy niezmiernie ciekawą i cenną pracę Smoleńskiego; wydanie jednak samychże ustaw nie jest bez interesu i z brzmienia przepisów obowiązujących, oraz z mów

przytoczonych zamiast przedmowy, przekonać się można dokładnie, jaki duch humanitarny i głęboko etyczny ożywiał prawodawców, którzy pragnęli jedynie stworzyć zacnych obywateli.

A. R.

St. A. Kempner: „Zarysy ekonomii społecznej“ Warszawa, 1901.

Literatura nasza wzbogacona została dziełem oryginalnem, świadczącem o szerszym polocie myśli autora, o pragnieniu pogłębiania dociekań w zakresie badań zjawisk gospodarczych. Mam tu na myśli książkę p. St. A. Kempnera, jego zarysy ekonomii społecznej. Stojący na gruncie krytycznym względnie do obecnego ustroju kapitalistycznego, autor zaliczonym być winien do najnowszej szkoły realistycznej. Stanowisko to uwidocznia się tak w pojmowaniu przez autora metody badań zjawisk społecznych, jako i w samej treści dzieła. „Należało-by—powiada p. Kempner, mówiąc o metodzie—rozebrać wszystkie pierwiastki całego życia naszego, wyosobnić z nich te, które wyłącznie wkraczają w dziedzinę życia ekonomicznego, ugrupować je według podobieństwa zjawisk, zbadać wpływ bodźców ducha na wszystkie otrzymane już grupy i wzajem ich wpływ na dziedzinę ducha i nakoniec, zdobywszy już cały ten materyał uogólnień wykryć szereg reguł, które tu rządzą“ (str. 13).

Autor takie sobie postawił zadanie, i tą posiłkując się metodą, doszedł do wniosków, które całym szeregiem popiera argumentów.

Zanim przejdziemy do określenia choć w paru słowach wniosków, które zresztą konsekwentnie z powyższego założenia płyną,—należy rozproszyć pewną wątpliwość, która mogła-by się nasunąć z samego tytułu książki. Przywykliśmy, idąc w ślady całej szkoły leplayistów i panującego obecnie kierunku badań gospodarczych autorów francuskich (Demolins, Marroussem i inni), identyfikować ekonomię społeczną z tak zwaną kwestyą społeczną, czyli sprawą robotniczą, pozostawiając inne zupełnie dziedziny dla ekonomii politycznej.

P. Kempner — zdaniem naszem słusznie—całą dziedzinę dociekań ekonomii nazwał ekonomią społeczną. „Nauka ekonomii jest umiejętnością wyświetlającą sposoby pracy gospodarczej, zależne od czynników zewnętrznych i wewnętrznych tej pracy w związku z prawami i warunkami pomyślności społecznej“ (str. 263).

Widzimy więc absolutny rozbrat ze szkołą manchesterską, z ideami laissez-faire'yzmu, z apologią konieczności ekonomicznej walki o byt, bezwzględnego współzawodnictwa, z uprawnieniem zjawiska tego, jako zjawiska naturalnego.

Natomiast widzimy wysunięcie na plan pierwszy praw ducha, zadań społecznych etyki.

Zapewne, jest jedno prawo dotychczas górujące w zjawiskach gospodarczych, w które szkoła manchesterska tak się zapatrzyła, że uznała je już nie jako prawo faktycznie rządzące, ale jako prawo naturalne, konieczne. Jest niem, według autora, prawo podaży i popytu, czyli wahadłowy i wzajemny ruch sprzedaży i kupna, występujący często w różnych bardzo zawiłych postaciach,—ruch, który obejmuje prawie całą sferę stosunków prywatno-gospodarczych i „jest jedynem prawidłem bezwzględnie ekonomicznem", to jest zamykającem w sobie wyłącznie mechanizm interesów materyalnych.

P. Kempner w pierwszej części swej książki—tam, gdzie przedstawia badania swe nad korzyściami prywatno-gospodarczemi—wykazał właśnie działanie tego prawa w dziedzinie interesów jednostkowych, w oświetleniu zjawisk ekonomicznych. Z kolei więc widzimy uwydatnienie działania tego prawa w zakresie funkcyi kapitału, kredytu, przedsiębiorczości, kooperacyi, w zakresie renty gruntowej. Wszędzie, istotnie, prawo to bezwzględnie ekonomiczne działa konsekwentnie.

Ale z tego, zdaniem autora, nie wynika jeszcze, by to prawo miało być prawem biologicznem.—Jest to prawo nabyte i w stosunkach gospodarczo-społecznych nad wyraz szkodliwe, a jedynem przeciwdziałaniem jest zamiana współzawodnictwa na współdziałanie. Jest to podstawowa teza autora i nacisk przez niego na ideę tę położony przynosi mu zaszczyt, bo się o tym obowiązku zbytnio zapomina. W wielu dziedzinach człowiek wyszedł już z okresu brutalnej walki. Dla czegóż-by więc w zakresie praw i działań gospodarczych miała obowiązywać ta rzekomo żywiołowa etyka? Zapewne, należy uważać ogólne współdziałanie gospodarcze, tj. ustrój powszechnej współdzielczości, za oddalony jeszcze od nas na długą metę... z drugiej atoli strony sami dążymy i rozwój moralny coraz bardziej zbliża nas do gospodarczego współdziałania pośredniego, opartego na pierwiastkach etycznych" (str. 231).

Słusznie twierdzi autor, że od psychologii i etyki zależą prawa gospodarcze, że ideały własne trzeba mieć na uwadze, gdy chodzi o dążenie do postępów moralnych życia. Niejedno już na tem polu zdziałano, i to daje otuchę do dalszych dążeń, ale przed ludzkością

wiele jeszcze pozostaje do zrobienia, a skuteczność tych prac tylko od stanu psychicznego społeczeństwa zależeć będzie.

Niemożliwem jest w krótkiej bibliograficznej notatce wyliczyć cały szereg logicznych przesłanek i argumentów, wykazać cały zasób myśli, uwydatnić szereg spostrzeżeń trafnych a rozumnych. Zresztą ta szczupłość ram może na dobre wyjdzie książce: chcąc ją streścić i dokładnie zobrazować, należało-by chyba całą dosłownie powtórzyć, tak jest napisana jędrnie i treściwie—a to lepiej sama książka zrobi. Jest ona nie tylko ekonomią społeczną, ale, powiedzielibyśmy, uspołecznioną, jest ona taką całością, tezy jej tak są konsekwentnie przedstawione, że przeczytanie jej, prócz uznania dla autora tej pięknej książki, budzi w czytelniku cały szereg myśli. A już to samo dla książki zasługą jest niepoślednią.

Henryk Radziszewski.

Władysław Orkan: „Komornicy". Powieść. Lwów. 1900.

Jeżeli jest prawdą, że zadanie sztuki spoczywa w usiłowaniu stworzenia dzieła pięknego, a pięknym jest ten tylko kształt, który budzi w nas „niezmącone niczem upodobanie", jak to w niejednej estetyce doczytać się można, to utwór Wł. Orkana należy do tych, licznych zresztą, w dziedzinie sztuki anomalii, które wywierają wrażenie przykre, nie wykraczające wszakże z zakresu estetycznych. „Zapatrzył się w siebie (mowa o jednej z występujących w powieści osób), zapatrzył się w siebie i widział duszę swą opuszczonym ugorem, gdzie osty mogą wyrastać bez siewu. Widział ją tłokiem niezoranym, bez miedz, bez kęp, bez granic. Nie wyrośnie na nim prócz ostów ni trawa, ni jałowiec... Jak okiem dojrzeć — pustka, bezgraniczna pustka... To jego dusza...". I to jest także dusza autora, dusza, w zaraniu życia przejęta smutkiem do śmierci, rodząca tylko ciernie, nie wydająca z siebie bujnych, jaskrawych kwiatów młodości — a przecie autor tak młodym jest jeszcze! Dusza, obłędnie drżąca wobec widm niedoli ludzkiej, opanowana posępnemi wizyami jakichś umarłych, mroźnych, bezpromiennych przestrzeni, ziejących mrokiem, opuszczeniem, śmiercią. Lecz do obrazów tych przylgnęła cząstka serca autora, pełnego bezgranicznej litości i ukochania swych upośledzonych braci. Więc i my nie odwrócimy oczu od roztoczonego przed nami kalejdoskopu ludzkich zabiegów i twardych walk z przyrodą i bliźnimi, od widoku

nędz i cierpień, których wspomnienie ciężką zmorą siada nam na piersi.

Terenem powieściowym Orkana są Tatry, materyałem—lud jego stron rodzinnych. Jak wiadomo, Orkan sam jest Góralem, który od dzieciństwa oddychał powietrzem górskiej wioszczyny; najdrobniejsze szczegóły bytu jej mieszkańców, stosunki, rysy obyczajowe, pojęcia— wszystko to samodzielnie wyryło się w jego pamięci i wyobraźni... Przeznaczenie zrządziło, iż autor wydobył się z tego środowiska, poznał inne światy, rozejrzał się w obszerniejszych widnokręgach,—i to dało mu możność uprzedmiotowienia zasobu swych doświadczeń. Oto dlaczego nawet dawniejsze utwory Orkana, zebrane w książce pod ogólnem mianem: „Nad urwiskiem", mają na sobie znamię nietylko prawdopodobieństwa, ale wprost autentyczności przedstawionych zjawisk. Wrażenie prawdy podnosi i piętno oryginalności dziełom autora nadaje wprowadzenie gwary do dyalogów i nawet do tekstu opowiadającego. Zaznaczone właściwości znajdziemy również w „Komornikach". Jest to wielostronny i bardzo urozmaicony obraz różnych warstw społeczeństwa chłopskiego, oddzielonego wirchami od szerszego świata. Wśród tych ze współczuciem zatrzymujemy się zwłaszcza na najbardziej upośledzonym i poniewieranym odłamie chałupników i komorników, to jest ludzi, nie posiadających własnego gruntu i pędzących najnędzniejszy żywot w kraju, gdzie zarobków niema, lub są tak marne, iż od głodu zabezpieczyć nie mogą. Szczególniej komornicy są paryasami, przyjmowanymi jak z łaski, gdy potrzebna ich jest siła robocza, wyganianymi na zimę bez litości z izby, zaludnionej nietylko dwunogimi, lecz i czworonożnymi mieszkańcami.

Obraz p. Orkana jest może nawet zbyt bogaty, nie mieszczący się w ramach utworu. Tok powieściowy rozszczepia się na kilka łożysk, więc uwaga czytelnika i jego współczucie estetyczne może się nad miarę rozstrzela. Autor dotyka najróżnorodniejszych sytuacyi stosunków, wprowadza różnorakie charaktery, każe wchodzić w kolizyę rozmaitym usposobieniom i namiętnościom, — lecz nie wszystko i nie zawsze występuje dość wyraziście i z dostatecznem pogłębieniem. Mamy tu naprzykład prześliczny zawiązek sielanki dziecięcej, który tylko zawiązkiem pozostaje; mamy oryginalne postaci matki - despotki i jej trzech synów, którzy do siwego włosa nie mogli się doczekać gruntu i pozwolenia na ożenek, wskutek czego stanowią przedmiot szyderstw całej wioski; nadewszystko zaś mamy tu sytuacyę, poruszoną już niegdyś przez Kraszewskiego w powiastce: „Majster i czeladnik". Ojciec zazdrości synowi talentu mechanika, a gdy ten wynalazł wreszcie *perpetuum mobile*, staje się, ulegając

szałowi chwili, jego zabójcą, właśnie kiedy ruch, który miał być wiecznym, ustawał. Epizod ten, podrzędny pierwotnie, wydobywa się naraz z ogólnego tła, przeraża swą grozą i przesłania właściwą historyę „komorniczą“. Pod względem architektoniki i rozrządzenia materyałem, ostatnie dzieło Orkana może więc uledz zarzutom... ale jak je czynić, jeśli się jest pod wrażeniem jego obrazów? Mając zaś w pamięci ogromny postęp, który się dokonał w twórczości autora w okresie, przedzielającym „Komorników“ od „Nowel“, nie możemy wątpić ani przez chwilę, ze co dziś jeszcze jest tylko zarysem, jutro ciałem porośnie i zadrga ruchem. A zresztą i takie, jak jest, dzieło Orkana wśród wielu, bardzo wielu tworów powieściowych ostatniej doby wyróżnia się i oznakami niepospolitego talentu, i oryginalnością tła, i nadewszystko siłą wrażenia.

W warunkach, które sam autor wskazuje, całą niemal energię istoty ludzkiej pochłania walka o życie w jego zoologicznem prawie znaczeniu, walka o zdobycie choćby zgniłego ziemniaka, o dach i ciepły kąt na długie, zimowe miesiące. Więc usłyszymy tu nieraz jęk, wyrwany z ust głodem, troską o najbliższą przyszłość, widmem strasznego jutra, bólem znieważonego i potrąconego człowieka. I zastygnie nam może krew w żyłach, gdy spostrzeżemy zdaleka niemowlę, zgubione na śniegu przez pijaka, lub spojrzymy w przerażone oczy chorej kobiety, opuszczonej i zapomnianej. Pogrzebią ją, gdy już zamarźnie. Lecz Orkan ma przed oczyma coś jeszcze oprócz działania sił, najbardziej podstawowych i pierwotnych. Że nić sympatyczna między nim a braćmi jego nie zerwała się, dowodzi umiejętność rozglądania się nietylko w fizycznych warunkach bytu, lecz i w ich moralnej nadbudowie, umie bowiem wejść w złożoną rozmaitość pobudek wewnętrznych. Z goryczą mówi o powszechnem mniemaniu, jakoby chłopska dusza uczuć subtelniejszych nie miewała, jakoby myśli chłopskie trzepotały jednem tylko skrzydłem. I oto autor ukaże nam tęsknotę matki do dalekiego syna, gorące serduszko dziecka, chodzącego „la mamusi“ od chałupy do chałupy, by wyprosić dla niej trochę zmiłowania ludzkiego... napróżno; przedstawi nam „dunaca“ Jaśka, i uczucie piekącej zazdrości w starym Chybie... Zresztą po Orzeszkowej i Konopnickiej, i innych wielu, nie potrzebujemy przekonywać się raz jeszcze, że w duszy chłopskiej istnieje rozległa skala sił i uczuć. Zasługą autora jest przecież, iż dusza owa jest u niego oryginalną w swym kształcie i ruchu, jest rzeczą prawdziwie nową, nie stereotypowem odbiciem już znanych. Nie idealizuje bohaterów swoich. Zbyt często spotykamy serca twarde i nielitościwe. Można korzystać z pracy ubogiego, wyżyłować go tak, jak tego żaden fabrykant nie uczyni, lecz wypędzić na zimno i głód, gdy robota już zelża-

ła i pamięta się tylko o jednej niepotrzebnej gębie w chacie... Można za szczyptę mąki zranić dziecko i zostawić je na śniegu... Można być tyranem w domu, nie dając nikomu swobodnego oddechu... Ale przecie najbogatsi z wielkim tylko i nieustającym wysiłkiem, skąpiąc sobie we wszystkiem, mogą utrzymać się na powierzchni. W ciężkich zapasach z macoszą przyrodą twardnieją ręce, twardnieją serca. Są i litościwsze, ale... jakże tu dopomódz Margosi, mieszkającej z a w o d ą, by tak z wodą poszła własna krwawa praca? Jeżeli dziś ma umrzeć, jak jej udzielić bodaj kapkę mleka? Boć przecież cały dobytek się zepśnije (zepsuje) do znaku! Kto sobie wróg? I niema na to rady. Nie widzą jej mieszkańcy Kominek, nie widzi jej autor... Smutne życie, ciężkie życie... A oto maleńka jego fala „bełkoce i szemrze w niniejszym szkicu, aż połączona z szumem wodospadu, zahuczy głośniej w r o z t o k a c h...“. Czekamy z lękiem i najwyższą zarazem niecierpliwością.

A. Drogoszewski.

KRONIKA MIESIĘCZNA

Najdonioślejszą sprawą, która pod koniec roku 1901 zajęła uwagę ogółu, była niewątpliwie sprawa stosunków handlowych z Niemcami. Z jednej strony proces wrzesiński, z drugiej—możliwość wojny celnej pomiędzy Rosyą a Niemcami—postawiły ją na porządku dziennym. Rozwinęła się dyskusya na temat: czy i o ile mogą być zerwane lub ograniczone do minimum stosunki naszego świata przemysłowego i kupieckiego z sąsiadem, od wieków wrogo dla nas usposobionym i od wieków trzymającym nas w jarzmie ekonomicznej od siebie zależności. Dyskusya toczyła się prywatnie i publicznie, z niezwykłem, jak na stosunki nasze, ożywieniem; prywatnie omawiała ją inteligencya nasza wszelkich zawodów,—publicznie traktowała ją prasa, uzupełniając i komentując materyał, osiągnięty w tej kwestyi przez doraźną, jednodniową ankietę „Gazety Polskiej". W rezultacie sprawa wyświetliła się o tyle, iż okazało się, że nawet wobec piętrzących się trudności wyzwolenie się z pod monopolu handlu niemieckiego w rozmaitych gałęziach importu jest możliwe, że jednak postępować należy otrożnie i z rozwagą. Istotnie w kwestyach ekonomicznych nie może rozstrzygać chwilowy entuzyazm, ale rozumne, wytrwałe i konsekwentne dążenie do określonego celu. Najsympatyczniejsza idea musi tu być poddana krytyce i rachunkowi. Skoro jednak raz dojdzie się do pewnych wniosków, trzeba je wcielać w życie i pracować nad ich urzeczywistnieniem.

Przypuśćmy, że kupcy nasi, ulegając powszechnemu nastrojowi, a także przemysłowcy i finansiści, którzy już obywatelskie swoje stanowisko wobec całej sprawy zaznaczyli w głosach i opiniach ankiety, będą zawierali nowe stosunki handlowe i pieniężne poza obrębem Niemiec. Czy mogą oni uczynić to odrazu? Muszą próbować, szukać, zasięgać informacyi—i tu zniechęcą się łatwo, nie już dla tego, żeby zapał nasz miał być „słomianym", ale, że trudności naprawdę będą duże. O wytrwałość więc i zapobieganie takiemu zniechęceniu przede-

wszystkiem chodzić nam powinno. I dla tego, jeśli mamy wypowiedzieć walkę prawdziwą, musimy nasamprzód zdecydować się na systematyczne jej prowadzenie. Było-by więc przedewszystkiem rzeczą bardzo odpowiedną, aby Tow. popierania rosyjskiego przemysłu i handlu, jako najkompetentniejsza w tej mierze instytucya, paddało całą sprawę wyczerpującym obradom i roztrząsaniom, i starało się system tej walki określić, oprzeć ją na zasadach ekonomicznych i rozwinąć działalność w kierunku krzewienia tych zasad. Wymagało-by to pracy sumiennej i długiej, na lata całe rozłożonej, ale inaczej być nie może. Kwestyi podobnych nożem się nie przecina.

Na razie najpilniejszą potrzebą było-by założenie w Warszawie poważnego biura informacyjnego, którego braku u nas dotkliwie odczuwają sfery handlowe. I w tym względzie, jak w wielu innych, nie możemy się obejść bez pośrednictwa Niemców. Zdarza się przecież, że nawet firmy krajowe zasięgają o sobie wzajem opinii w Berlinie. Czy więc pośrednictwa Niemców użyjemy także do tego, aby nam wskazali, gdzie i jakie zawrzeć możemy dogodne dla siebie stosunki? czy im pozostawimy informowanie Anglików, Francuzów, Czechów itd., o zdolności kredytowej naszych kupców? Już w ankiecie, współwłaściciel domu bankowego, p. Henryk Pilawitz, zwrócił uwagę na to, że Niemcy-pośrednicy, dla zysków, które z pośrednictwa ciągną, rozmyślnie starają się dyskredytować nas przed innemi narodami, a cóż będzie w razie otwartej wojny? Bez biura wywiadowczego tedy nie można marzyć o szybkiem nawiązaniu stosunków bezpośrednich z kupiectwem jakiegokolwiek kraju. Potrzebę takiego biura uzasadniono już u nas kilkakrotnie—dziś staje się ono nieodzownie i koniecznie potrzebnem. Zadania zaś jego polegały-by nietylko na informowaniu zagranicy o solidności naszych firm, ale na gromadzeniu zarazem wyczerpujących danych i wskazówek, co do ognisk rozmaitych dziedzin przemysłu, co do cen rozmaitych wytworów, warunków ich transportu itd. Tam każdy kupiec warszawski powinienby otrzymać wskazówkę, gdzie może nabyć najtańszy i najlepszy towar, do kogo ma się zwrócić, na jakie ulgi i ułatwienia może liczyć. Przedewszystkiem — wiadomości takie należało-by zebrać z krajów najbliższych, a więc przynajmniej z krajów korony czeskiej. Wiemy, że w Czechach istnieje przemysł, ale stosunki nasze z Czechach są bardzo ograniczone. Nawiążmy je i utrwalmy.

Dalsza działalność skierowana być musi ku dokładnemu zbadaniu sił wytwórczych kraju. Jeżeli akcya wszczęta nie ma być połowiczną; jeżeli ma ona doprowadzić rzeczywiście do jakichś rezultatów, do istotnego „wyzwolenia“ się z pod zależności niemieckiej—to musimy gruntownie i dobrze poznać samych siebie, przestudyować kraj włas-

ny, to znaczy, uczynić to, czegośmy dotąd nie uczynili, mimo, iż jest to kardynalnym warunkiem pracy na polu ekonomicznem. Należy kolejno poznać wszystkie nasze potrzeby i należy kolejno rozważyć każdą po szczególe gałąź produkcyi naszej i obcej, a w następstwie tego, zaniechawszy pytania, skąd i co mamy sprowadzać, postawić sobie inne, daleko donioślejsze, pytanie: „co i jakim kosztem możemy sami wytwarzać?“ Odpowiedź na to będzie największym atutem w walce naszej z przemysłem niemieckim, jest bowiem niewątpliwie mnóstwo rzeczy, które dały-by się produkować u nas równie dobrze i równie tanio, jak w Niemczech, a nie produkujemy ich, albo dla tego, że nie znamy warunków przemysłowych własnego kraju, albo, że inicyatywę naszą w tym względzie krępuje zalew targu przez tandetę niemiecką. Częstokroć dzieje się nawet jeszcze gorzej: kupcy nasi od szeregu lat, od wieków, przyzwyczaili się sprowadzać pewne towary z Niemiec i nieraz nie wiedzą lub nie chcą wiedzieć o tem, że ten sam produkt mogą nabyć w kraju. Lubią także tłómaczyć się tem, że publiczność kupująca towarów krajowych nie darzy zaufaniem, że wyrazowi „krajowy“ odpowiada w jej przekonaniu wyraz „lichy“, mimo, że tak jest nie zawsze i mimo, że ci sami kupcy nie krępują się wcale, podając towar niemiecki zły za dobry francuski lub angielski. Tak np. dzieje się u nas przeważnie z materyałami na ubrania męskie i damskie. Nie o to nam jednak chodzi. Pragniemy zaznaczyć, że poznanie własnych sił ekonomicznych i odpowiedne zorganizowanie się w celu wyzyskania tych sił, powinno się stać dla nas dźwignią rozwoju i rzucić nas w nowy okres ożywionej i tętniącej nadzieją pracy dla „jutra“, wolnego od zależności, od narzuconego nam jarzma przemysłu niemieckiego.

To wszystko jednak nie może się dokonać odrazu, musi się dopiero „stawać“ drogą powolnego, ale ciągłego przeobrażania stosunków dzisiejszych. Na to potrzeba lat całych, potrzeba zdrowego, głęboko i dobrze obmyślanego programu ekonomicznego, potrzeba ludzi wykształconych i dzielnych, traktujących zadania swoje z pewnego rodzaju namaszczeniem, ożywionych takim duchem, jaki ożywiał ś. p. Sczepanowskiego, który pisał, że do życia przemysłowego Galicyi nie wniósł innego czynnika „krom niezłomnego zaufania, że cokolwiek cudzoziemcy potrafią zrobić, to i my potrafimy“. Zaufania tego potrzeba nam bardzo. Od niego zależy wszystko i ono jedno może nas w przyszłości doprowadzić do rzeczywistego zerwania wszelkiej łączności handlowej z Niemcami.

Na „dziś“ atoli pozostaje nam tylko ograniczenie handlu z Niemcami do granic, w jakich się to da uskutecznić, i tutaj Tow. popierania rosyjskiego przemysłu i handlu miało-by pole do pracy do-

raźnej i pożytecznej, opracowując odpowiedny przewodnik informacyjny dla kupców i przemysłowców.

W prasie zwrócono uwagę także i na to, że w sprawie podjętej walki koniecznym jest współudział szerszych warstw społeczeństwa. Zachęcono je do „bojkotowania“ towarów niemieckich, do pójścia tą drogą, jaką niegdyś szedł naród węgierski, dziś tak silny i samodzielny ekonomicznie. Sam „bojkot“ jednak nie wystarczy. Dobry on jest w Poznaniu, gdzie obok sklepów niemieckich istnieją sklepy polskie; gdzie można nie kupić od Niemca, a to samo kupić od Polaka. Na arenie szerszych stosunków handlowych taktyka bojkotu musi być jeszcze połączona z popieraniem przemysłu krajowego.

Nie kupić od Niemca, a to samo, bez potrzeby koniecznej, kupić od Francuza lub Anglika, to ekomicznie różnica niewielka, a może nawet *in minus*. Chcąc zatem być konsekwentnym, trzeba wszędzie, gdzie to się tylko okaże możliwem, dążyć do zastąpienia wyrobów zagranicznych krajowemi, trzeba domagać się o nie i przyzwyczajać kupców do zaopatrywania się we wszystko, co swojskie. Czy społeczeństwo nasze potrafi jednak wytrwale pójść tą drogą, czy potrafi zrzec się dla idei tysiącznych swoich upodobań i słabostek, dawnych, odziedziczonych po ojcach i dziadach; czy potrafi zwalczyć w sobie ten, niczem nieuzasadniony, przesąd, że wszystko, co nosi stempel zagraniczny, już dlatego samego musi być lepsze od tego, co wyrobione zostało w kraju; czy potrafi obalić w sobie ten kult obczyzny, uwłaczający naszej godności narodowej? Nadzieję można mieć zawsze, ale i wątpić o tem także można. A jednak, jeżeli całą sprawę postawimy seryo, to położyć musimy i na to poważny nacisk. Rozwój przemysłu krajowego powinien nam przedewszystkiem leżeć na sercu, a wspieranie tego przemysłu nie może zredukować się do mniej lub więcej szumnych frazesów, musi być czynne, chociażby nawet miało być połączone z pewną ofiarą.

Dziś jesteśmy nastrojeni zgodnie i gotowiśmy pójść wszyscy za głosem chwili. Sprobujmy przynajmniej przez rok jeden zastosować się do tego, a ten rok pokaże, czy jesteśmy już społeczeństwem dojrzałem i wyrobionem, czy dopiero materyałem na społeczeństwo, materyałem, w którym zostało jeszcze wiele z „pawia“ i z „papugi“.

Tyle w sprawie stosunków handlowych z Niemcami.

Na zakończenie pragnęlibyśmy poruszyć jeszcze kwestyę inną, która od pewnego czasu stała się poważnym hamulcem w rozwoju naszego kupiectwa i która do pewnego stopnia usprawiedliwia je wobec zarzutu przekładania lichych towarów niemieckich nad inne. Decy-

duje tu taniość, a kupiec warszawski musi się z tem liczyć przedewszystkiem. Nie dla tego, ażeby tanio sprzedawał, bo, przeciwnie, sprzedaje on drogo, bardzo nawet drogo, a jego procent kalkulacyjny przenosi najśmielsze marzenia kupców zagranicznych. Musi on kupować tanio, a sprzedawać drogo i krzywdzić konsumenta dla tego, że płaci nadmiernie wysokie komorne w stosunku do normalnych obrotów swoich. Drożyzna lokalów sklepowych w ostatnich czasach doszła u nas do wyżyn zastraszających.

Właściciele sklepów wyzyskują poprostu położenie. Za zwyczajny sklepik przy ulicy Marszałkowskiej płaci się 700—1,000 rubli, za sklep 3,000—4,000 rb., za „magazyn“ 5,000—15,000 rb. To samo jest na Nowym Świecie, na Krakowskiem Przedmieściu, na Miodowej—na wszystkich wogóle ruchliwszych ulicach. Jaki powinien być wobec tego obrót roczny kupca, aby mógł on zapłacić komorne, utrzymać subjektów i zarobić na dostatnie utrzymanie dla siebie i swojej rodziny? Gdyby Warszawa była wielkiem miastem handlowem, stosunki były-by jeszcze możliwe, ale nasz handel jest dotąd w powijakach, zresztą na ogół jesteśmy społeczeństwem bardzo ubogiem, które wyrzekać się musi wielu rzeczy—i jak wobec tego ma kupiec kalkulować, ażeby wyjść na swoje? Za przedmiot, który go kosztował 1 rb., musi brać przynajmniej 1 rb. 50 kop. albo i 2 rb., konsument zaś przeciętny nie może płacić dużo, więc, aby swoje 50% — 100% zarobić a nie wystawić ceny odstraszającej, kupiec obniża gatunek towaru, sprowadza go z Niemiec i—dzieli się zyskiem z właścicielem domu. Ten zaś rozumuje: kupcowi w moim domu idzie dobrze, więc można cenę lokalu podnieść—i podnosi ją, a właściciel sklepu przystaje na to, bo zależy mu na przyzwyczajeniu publiczności do miejsca. Solidne firmy nie koczują, ale w jednym domu latami siedzą. W końcu przyzwyczaja się i publiczność do płacenia stałej kontrybucyi na rzecz kamieniczników. W ciszy narzeka tylko na ciężkie czasy, na drożyznę i na lichy towar niemiecki.

Od pewnego czasu w epoce noworocznej pomiędzy niektóremi z naszych wydawnictw peryodycznych odbywa się przetarg na premia, dodatki itd. Prospekty roją się od obietnic, a z pomiędzy szpalt, zadrukowanych tytułami mających się ukazać w piśmie powieści, utworów powieściowych i studyów, wyziera w jaskrawych szatach swoich i w czapce z dzwonkami—wszechpotężna pani czasów dzisiejszych: kupiecka reklama! W roku bieżącym jednak, co z przyjemnością stwierdzamy, reklama owa jest mniej rażącą, niż lat poprzednich, utrzymana w tonie spokojniejszym i szlachetniejszym. Być może,

zawdzięczać to należy temu, że dodatek bezpłatny w formie nawet zupełnie wartościowej książki, przestał być nowością, że i wydawcy i odbiorcy pisma już się do niego przyzwyczaili. Czytelnicy „Tygodnika ilustrowanego“, „Wędrowca“, „Gazety Polskiej“, nawet „Ziarna“ — mają obiecane w tym roku rzeczy cenne, bo oto „Tygodnik“, oprócz zwykłego dodatku Sienkiewiczowskiego, postanowił wydać w cenie bardzo nizkiej (6 rs), kapitalną pracę J. I. Kraszewskiego „Polska w czasie trzech rozbiorów“; „Wędrowiec“, zamieniony pod redakcyą Oppmana na pismo par excellence literackie, daje 12 tomów powieści Sewera (Ignacego Maciejowskiego), a „Ziarno“— całą bibliotekę wiadomości praktycznych z rozmaitych dziedzin nauki; wreszcie „Gazeta Polska“ zapowiada „Powszechną ilustrowaną historyę sztuki“. Nad tą obietnicą warto zatrzymać się dłużej, takiego bowiem dzieła piśmiennictwo nasze nie posiada, a krótki zarys historyi sztuki, wydany przez p. Waleryę Marrenową, jest zbyt elementarny, aby go w rachubę brać można. „Historya sztuki“, przez „Gazetę“ wydana, nie będzie oryginalnem dziełem, będzie to tłómaczenie znanej i gruntownej pracy A. Springera, uzupełnionej tylko rzeczami polskiemi. Opracowania dzieła podjął się artysta malarz Kazimierz Broniewski, który też będzie czuwał nad poprawnem wykonaniem 1,500 reprodukcyi arcydzieł malarstwa, rzeźby i architektury, zdobiących wydawnictwo. Od tego wykonania zależy najwięcej. Dziś przesądzać trudno, jak będzie wyglądało dzieło w całości, to pewna jednak, że jest ono bardzo potrzebne, i że inteligentny ogół nasz oddawna czekał na dobrą „Historyę sztuki.“ To utrafienie w myśl ogółu i zadośćuczynienie palącej potrzebie tak mało estetycznie wykształconego społeczeństwa, świadczy, że nasze stosunki wydawnicze powoli zaczynają się zmieniać na lepsze, nietylko zysk, ale i pożytek biorąc za dewizę.

Oddawna zgodzono się u nas na to, że obecne wychowanie kobiety chybia celu, że spoczywa ono na podstawach z gruntu fałszywych i domaga się reformy.

Niestety jednak, o reformie tej mówi się mało. Zarówno sfery rządowe, jak i ogół społeczeństwa interesują się daleko więcej, niemal wyłącznie, reformą szkoły średniej męskiej, o szkołach żeńskich zaś— milczą. Niewątpliwie przyjdzie na nie czas i na temat ten rozwinie się dyskusya, oświetlająca sprawę wszechstronnie. Tymczasem jednak trzeba innemi sposobami radzić złemu.

Na tem miejscu pragniemy zwrócić uwagę na jeden fakt znamienny.

Mężczyzna otrzymuje zawsze wykształcenie, przygotowujące go do zawodu, który mu życie ma wypełnić i powinien się stać polem jego działania; kobieta zaś, której zawodem naturalnym, bardzo wzniosłym i podnoszącym aż do wyżyn świętości, jest macierzyństwo, w tym właśnie najważniejszym dla siebie kierunku nie otrzymuje nic, zgoła nic, co mogło-by się jej przydać w chwili, kiedy stanie wobec ciężkich, trudnych i odpowiedzialnych obowiązków matki. Na tem polu swojego działania przyrodzonego staje ona nieraz w zupełnej niewiedzy, z załamanemi rękoma, w rozpaczy i osłupieniu. Złożyły się na to liczne przyczyny: fałszywy wstyd, pruderya, a przedewszystkiem zbyt lekkie traktowanie życia.

Przyczyn tych nie będziemy tu jednak roztrząsali. Zaprowadziło-by to nas za daleko. Natomiast, przyjmując fakt, jako taki, sprobujemy wskazać środki, dążące ku zmianie rzeczy na lepsze.

Jeżeli tajemnicy macierzyństwa odkryć nie można przed hodowaną w atmosferze sztucznej naiwności a wyrosłą już z lat dziecinnych panną na wydaniu, to tajemnica ta nie istnieje przecież dla kobiety zamężnej. Wie ona, że zostać powinna matką i zostaje nią. Dziecko przychodzi na świat, a z niem razem zjawia się obowiązek pielęgnowania wątłej istoty i ciągłej, nieustannej pieczy o jej zdrowie. Wtedy-to młoda matka gubi się w lesie przepisów i porad, które czerpie, bądź z popularnych książek lekarskich, i to jeszcze pół biedy, bądź, jak to bywa najczęściej, korzysta z wiadomości i doświadczenia kobiet starszych. Sama jednak nie umie nic przedsięwziąć.

Na każdym kroku spostrzega, że nic nie wie, i po największej części idzie za głosem instynktów, z ogromną w nie ufnością, bez względu na to, że mogą one zawieść i do smutnych doprowadzić rezultatów. Niańczyć dziecko, przewijać je, kołysać i pieścić umie, bo dochodzi się do tego drogą kilkunastodniowej wprawy i naturalnych, zewnętrznych objawów uczucia; ale przestrzegać najelementarniejszych zasad hygieny nie potrafi. I dla tego nie pomylimy się w przypuszczeniu, że nieżyt kiszek np., który taką ogromną ilość dzieci w pierwszych trzech latach ich życia o śmierć przyprawia, przynajmniej w połowie wypadków swoich ma za przyczynę wadliwe, niehygieniczne odżywianie dziecka. Czy to zawczesne odstawienie bez porady lekarza, czy nieodpowiedny dobór pokarmów dla dzieci już odstawionych, powoduje zwykle wybuch tej uporczywej i wycieńczającej choroby, z którą nawet wytrawny lekarz bardzo często poradzić sobie nie może. Biedne maleństwa umierają, a matka wówczas dopiero, w sam rdzeń duszy trafiona bolesnym ciosem, otwiera

oczy i widzi wszystkie błędy swoje. Niestety—złego już naprawić nie można. Zaszedł fakt, którego nic odrobić nie zdoła, a rozpacz i branie winy na siebie są już bezpłodne i bezpożyteczne. Mogą one złamać życie niejednej kobiecie, ale nic nie zaważą na szali nieodwołalnych wyroków.

Wina, zresztą, nietylko na nieszczęśliwą matkę spada, winno tu jest także społeczeństwo, które tej matki do jej posłannictwa wysokiego nie przygotowało, które nie uzbroiło jej w wiedzę, potrzebną do walki ze śmiercią czyhającą, nie ułatwiło jej pomocy lekarskiej na zawołanie. Najelementarniejsze wiadomości z dziedziny chemii, fizyologii i hygieny w niejednym wypadku mogły-by złemu zapobiedz, a wiadomości te na sto matek ze sfery inteligentnej zaledwie jedna posiada i to w stopniu bardzo wiele nieraz do życzenia pozostawiającym; a cóż dopiero mówić o matkach ze sfer mniej inteligentnych i mniej zamożnych, które marzyć nie mogą o stałym lekarzu domowym i które z wielką ofiarą, nieraz już w chwili, kiedy wszelka pomoc jest spóźniona, szukają ratunku w lecznicy, w ambulatoryum szpitalnem lub w przedpokoju wziętego lekarza? Niewiedza zabija tam poprostu dzieci, odbywa wśród nich tryumfalnie swój pochód morderczy. Walczyć więc z nią znaczyło-by to samo, co wydzierać śmierci część jej łupu.

Że walka ta jest konieczną, o tem wątpić nie można, zaczodzi tylko pytanie, jak ją zorganizować? Naszem zdaniem powołane jest do tego Towarzystwo hygieniczne, które prócz rozpraw akademickich ma na celu zadania praktyczne. Ono powinno zorganizować stałe kursa dla młodych matek.

Kursa takie wyobrażamy sobie o programie podwójnym, nieco szerszym i zupełnie wązkim, ujętym w szereg popularnych odczytów, zbliżonych treścią do tych, jakie były wygłaszane w roku zeszłym przez grono lekarzy-specyalistów na temat odżywiania dziecka.

Kursa o programie szerszym powinny mieć organizacyę stałą, odbywać się raz do roku i trwać przynajmniej dwa do trzech miesięcy, tak, aby objąć mogły pewien całokształt nauki o dziecku. Wykłady w nich prowadzone być winny przez światłych i wytrawnych lekarzy i zastosowane do poziomu umysłowego wykształconej kobiety. Na program ich złożyć-by się mogły: anatomia człowieka, fizyologia najważniejszych organów, hygiena i dyetetyka, tudzież nauka o chorobach dziecinnych z podaniem środków zaradczych w wypadkach nagłych i metody rozpoznawania chorób niebezpieczniejszych. Ułożenie zresztą programu było-by rzeczą Towarzystwa, które posiada w gronie swych członków bardzo poważny zastęp sił fachowych.

Od słuchaczek, które-by się na kursa zapisały, pobierana byłaby opłata w takim stosunku, aby nią pokryć można koszta wykładów, honoraryum prelegentów, a nadto zarezerwować pewną kwotę na wykłady popularne, publiczne, na które wstęp wolny miała-by każda kobieta.

Wykłady dla słuchaczek stałych, „immatrykulowanych“ odbywały-by się systematycznie, w godzinach przedobiadowych, bez przeciążenia, to jest po 2—3 godzin dziennie. W ten sposób w ciągu kwartału można-by nietylko poinformować pobieżnie, ale rzeczywiście nauczyć czegoś. Pod koniec kursów prelegenci ze słuchaczkami swemi powinni odbywać „colloquia“, dla sprawdzenia i oceny zdobytych przez nie wiadomości, tudzież dla sprostowania pewnych mylnych pojęć i wniosków, które zawsze zjawić się mogą w zbiorowem audytoryum.

Że takiemu przygodnemu „uniwersytetowi dla matek“ nie zabrakło-by uczenic, to jest rzeczą pewną. Tyle panien co rok wychodzi za mąż, tyle jest młodych mężatek, tyle z nich w pierwszym roku pożycia małżeńskiego rozporządza czasem i nieraz nudzi się śmiertelnie w godzinach, w których mężowie ich oddają się pracy zawodowej, że pospieszyły-by one tłumnie na wykłady. Zresztą, lepsza część naszych kobiet pragnie naprawdę wiedzy i światła i trzeba im tylko zdobycie ich ułatwić, a korzyści popłyną stąd ogromne.

Niewątpliwe korzyści przyniosą także bezpłatne, popularne wykłady, które poprostu obejmą szereg praktycznych wskazówek, nieodzownie każdej matce potrzebnych, a zmierzających ku zapobieżeniu chorobom dzieci.

Nie rozwijamy szerzej naszego projektu, bo nie wiemy, jak zostanie przyjęty; że jednak uzasadnieniem jego jest żywo odczuta potrzeba społeczna, sądzimy, iż wart on jest dyskusyi, a jeśli tylko do niej dojdzie, postaramy się do poruszonego dziś tematu powrócić jaknajprędzej.

Niedawno temu p. Józef Krasicki podał w „Kraju“ ciekawe szczegóły o napotkanym przez siebie „związku rodzinnym“ w Meklemburgii, związku, od którego wieje duch dawnego patryarchatu słowiańskiego, a który w czasach dzisiejszego rozprzężenia przedstawia niezmiernie sympatyczną instytucyę, opartą na zasadach kryształowych pojęć o honorze, cnocie, obowiązku i godności rodu. Związki takie, zakładane istotnie przez rodziny słowiańskie w Meklemburgii, niegdyś miały na celu głównie walkę z germanizacyą, z czasem jednak uległszy przemożnej sile niemieckiej, stały się wy-

łącznie ogniskiem, skupiającem w sobie siłę moralną rodzin, związanych w ligę.

Liga ta nie ma żadnego prawa do egzekucyi, obowiązuje w niej tylko siła moralna, ale ta siła jest tak wielka, że w razie wykroczenia przeciw niej, członkowi nie pozostaje nic innego, jak dobrowolna banicya, wszystkie drzwi bowiem zamykają się przed nim. I Niemcy korzystają dziś z tej spuścizny słowiańskiej, rosną w dzielność i krzepią się sokami zdrowych jej zasad, podczas kiedy u nas zasady te, w krwi rodzin polskich od wieków krążące, coraz bardziej idą w zapomnienie, a życie rodzinne rozluźnia się i upada. Szlachta nasza nie demokratyzuje się, ale wszystko, co jest złe i zdegenerowane w rodzinie mieszczańskiej przyjmuje łatwo i coraz chętniej smakuje w zepsutej atmosferze życia domowego, w hasłach, które użycie stawiają ponad życie i jego obowiązki W tych warunkach „związki rodzinne“ stać-by się mogły fundamentem naszego uzdrowienia społecznego i powinny być jak najszerzej propagowane.

Że idea ich przyjąć się może, a przyjąwszy się rozwijać w formie przez prawo sanckyonowanej, o tem świadczy przykład rodziny Meysztowiczów, na którą zwrócił uwagę Sęp w jednym z ostatnich numerów „Biesiady literackiej“. Związki rodzinne, oparte na silnem poczuciu solidarności i odpowiedzialności wzajemnej, istniały i istnieją u nas, ale są bardzo nieliczne, a ogółowi zupełnie nieznane. Pierwsza rodzina Meysztowiczów wystąpiła poniekąd oficyalnie i publicznie, związawszy się na podstawie ustawy, zatwierdzonej przez władzę. Założycielką związku jest pani Marya Meysztowiczowa z gub. Kowieńskiej, oraz synowie jej: pp. Michał Meysztowicz, właściciel dóbr Meyszty, Oskar, Szymon, Edward, Aleksander i Józef. Instytucya ma na celu zbliżenie członków rodu, podtrzymanie w nich poczucia łączności rodzinnej, okazywanie pomocy moralnej, udzielanie zapomóg pieniężnych niezamożnym członkom rodziny i pomaganie celom ogólnym rodowym, jak kształcenie naukowe, wydawnictwa, podróże, instytucye naukowe lub dobroczynne imienia Meysztowiczów i t. d. Prawo głosu w radzie instytucyi posiadają założyciele, potomkowie założycieli i wdowy po uczestnikach.

Nie znamy bliżej ani ustawy, ani organizacyi wewnętrznej związku, to pewna jednak, że tkwi w nim wielka siła moralna i jeżeli się u nas mówi obecnie i pisze dużo o potrzebie kształcenia charakterów, to nigdzie kształcenie to nie może się odbywać lepiej, jak właśnie w tego rodzaju związkach, gdzie zasada wzajemnej odpowiedzialności członków rodu wysunięta jest na czoło, gdzie wszyscy stają za jednego, albo w razie wykroczenia przeciw zasadom honoru wyłączają go ze swego grona. Młodzieniec z takiego gniazda zawsze

znajdzie drogę prostą i uczciwą, złamać się może, ale się nie zegnie, nie poniży, nie zaszarga nazwiska i nie sponiewiera honoru rodzinnego. Będzie uczciwym człowiekiem i dobrym obywatelem.

Doprawdy, stworzyć moglibyśmy prawdziwą potęgę moralną, prawdziwą dźwignię rozwoju i postępu, gdyby przynajmniej część rodzin u nas zrozumiała i oceniła zalety takich związków i wstąpiła w ślady Meysztowiczów. Przedewszystkiem powinny to uczynić rodziny ziemiańskie, jako liczniejsze i więcej rozgałęzione; w następstwie jednak za ich przykładem podążyć mogą rodziny mieszczańskie, i to nietylko tam, gdzie wspólne sprawy majątkowe tworzą grunt materyalny dla związku, ale i tam, gdzie jedynie odczucie potrzeby pracy dla jakiegoś ideału etycznego, dla urzeczywistnienia jakiegoś moralnego celu wzniosłego było-by węzłem. W takich rodzinach prace i ideały jednego pokolenia przechodziły-by do pokoleń następnych, były-by mocnem, opierającem się wichrom i zawsze zielonem drzewem, aż do czasu kiedy się na niem owoce ukażą.

Warszawskie Towarzystwo wioślarskie podjęło bardzo piękną i poważną myśl wydania ilustrowanej wyczerpującej monografii Wisły. Dzieła takiego literatura nasza nie posiada. Wprawdzie, począwszy od Klonowicza, pisano u nas o Wiśle rozmaitemi czasy, mieniąc ją królową rzek polskich i oddając liczne pochwały; wprawdzie badano ją u źródeł i u ujścia: ale żaden z piszących o niej nie dał pełnego obrazu, nie ujął całego biegu Wisły, nie stworzył dzieła, w którem pierwiastek naukowy byłby połączony ściśle z artystycznym. Nie uczynił tego, ani Ludwik Wolski, ani L. Zeiszner, ani nawet Kolberg, autor pracy p. t. „Wisła, jej bieg, własności i spławność“ (Warszawa 1861). Uczynić to zamierzają dopiero zbiorowemi siłami pp. Adolf Dygasiński i Antoni Sygietyński, którym komisya wydawnicza Towarzystwa poruczyła opracowanie pomnikowej monografii. Te dwa nazwiska dają nam zupełną rękojmię należytego wykonania pracy, a że nakładcy nie poskąpią grosza na papier, ilustracye i druk, więc spodziewać się można, że dzieło zapowiedziane pod wszelkiemi względami wymaganiom odpowie. Tytuł jego będzie brzmiał: „Od Karpat do Bałtyku Wisłą“, a obejmie ono nietylko dane hydrograficzne i topograficzne zródeł i pobrzeża Wisły, ale przedstawi zarazem wszystkie pamiątki historyczne jej brzegów, zapozna ogół z najpiękniejszemi ich widokami i zaznajomi z ludem zamieszkującym okolice nadwiślańskie. Taki zakres i charakter dzieła będzie wy-

magał bardzo bogatego materyału ilustracyjnego i dla tego autorowie, pragnąc zebrać go jaknajwięcej, upraszają wszystkich amatorów fotografów o pomoc. Widoki Powiśla z jakichkolwiek okolic przyjmowane będą z wdzięcznością przez komitet wydawniczy, z którym porozumiewać się można za pośrednictwem kancelaryi Towarzystwa wioślarskiego (ul. Foksal, w gmachu własnym).

Nadesłano nam odezwę treści następującej:

Istniejąca od lat trzech przy tutejszem Towarzystwie muzycznem sekcya imienia Chopina przypomina ogółowi, iż zadaniem jej — szerzenie czci dla naszego nieśmiertelnego mistrza w najrozleglejszem znaczeniu tego słowa. Od zawiązku też swojego, sekcya gromadzi wszelkie po Chopinie pamiątki, w jakimkolwiekbądź zostające związku z jego życiem, działalnością i twórczością. Pamiątki te, już dzisiaj poważny zbiór stanowiące, a obecnie mieszczące się przy Warszawskiem Towarzystwie muzycznem, znajdą z czasem godne dla siebie schronienie i opiekę w instytucyi mającej nosić nazwę „muzeum Chopina".

Zadanie to może być tem rychlej spełnione, o ile do urzeczywistnienia przyczynić się zechcą posiadacze pamiątek po Chopinie.

Wszelkie bowiem pamiątki, znajdujące się w prywatnych rękach, giną zwykle ze śmiercią właściciela, a rozproszone po świecie nie mają tego znaczenia, co razem w jednem miejscu i oddane pod opiekę instytucyi, własność ogółu stanowiącej.

W ten sposób powstały: Mozarteum w Salzburgu, muzeum Goethego w Weimarze i Frankfurcie nad Menem, muzeum Szekspira w Stratfordzie, dom Matejki w Krakowie i w. in.

Jeżeli więc cały świat ucywilizowany oddaje cześć swym geniuszom, zbiera najdrobniejsze nawet po nich okruchy, by tym sposobem przechować po wsze czasy pamięć o swych natchnionych synach, to i my winniśmy wszelkich dołożyć starań, ażeby uchronić od zagłady i zebrać razem pamiątki może po najgenialniejszym muzyku świata, który jest chlubą i zaszczytem naszym.

Wszystko więc, co ma jakikolwiek związek z osobą, życiem lub działalnością Chopina, wejdzie w skład muzeum jego imienia: autografy jego listów i nut, listy jego rodziny i przyjaciół, do niego lub o nim pisane, wszelkiego rodzaju wizerunki, oryginały i kopie, jako-

też portrety jego rodziny i przyjaciół, wszystkie wydania dzieł, czasopisma we wszystkich językach, od chwili wystąpienia naszego mistrza na arenę artystyczną, z każdą choćby najmniejszą o nim wzmianką, przedmioty, stanowiące niegdyś własność jego lub najbliższego otoczenia, słowem wszystko, co z Chopinem może mieć jakąkolwiek łączność w najszerszem znaczeniu tego słowa.

Inną sferę działań sekcyi stanowią wydawnictwa, dotyczące osobistości Chopina, ogłaszane w miarę napływających materyałów. Wstępem do tych prac jest przekład z oryginału angielskiego dwutomowego, znakomitego i, jak dotąd, najlepszego dzieła o Chopinie, opracowanego przez Fryderyka Niecksa. Druk tego dzieła już rozpoczęto.

Z przytoczonego programu łatwo dojść do wniosku, że sekcya potrzebuje poparcia ogółu. Zwraca się więc o pomoc do wszystkich, którym sztuka polska obojętna nie jest, ażeby raczyli się zapisywać w poczet członków sekcyi, przez co zwiększą jej zasoby materyalne i ułatwią spełnienie jej zadań.

Członkiem sekcyi być może każdy, kto wniesie 3 rb. rocznie, na ręce pana Izydora Kowalskiego, członka skarbnika sekcyi i Towarzystwa muzycznego, w lokalu tego Towarzystwa (gmach Teatru).

Że sekcya Chopina, a zwłaszcza idea muzeum Chopinowskiego na poparcie ogółu liczyć może, o tem nie wątpimy, zanadto dobrze bowiem czujemy wszyscy, czem był dla nas Chopin i jaka wielka prawda tkwi w tem słynnem porównaniu R. Schumanna, które mówi o muzyce Chopina i o kwiatach... Te kwiaty wywierają na nas swój czar dziwny, niepojęty, a dusza narodowa ich wonią żyje i krzepi się. Dla ogółu naszego nie trzeba więc słów zachęty. Trzeba tylko, ażeby prasa codzienna przypomniała mu od czasu do czasu o tem, co się w łonie sekcyi dzieje i jakie są jej potrzeby. Najlepiej było-by ogłaszać sprawozdania z posiedzeń sekcyi, sygnalizując każdą nową zdobycz, dla zbiorów pozyskaną. W ten sposób ogół przyzwyczai się myśleć i pamiętać o sekcyi, nie poprzestanie na jednorazowem, dorywczem zainteresowaniu się jej sprawami, ale ideę muzeum Chopinowskiego będzie wspierał stale, dopomoże do jej rozwoju i utrwalenia się wśród nas, aż do czasu, kiedy środki materyalne pozwolą stworzyć prawdziwe muzeum, ku chwale wielkiego mistrza, który tak dobrze zasłużył sobie na cześć u najdalszych pokoleń.

Muzyka polska poniosła dotkliwą stratę przez śmierć ś. p. Juliusza Stattlera. Po długich cierpieniach zgasł on w dniu 29 listopada 1901 roku, przeżywszy lat 56, a więc w pełni wieku męskiego, w zupełnej świadomości sił twórczych, w nieskażonem jeszcze zmęczeniem i zniechęceniem poczuciu swoich zadań pedagogicznych.

Stattler urodził się w Krakowie w roku 1844, jako syn Wojciecha, profesora krakowskiej szkoły sztuk pięknych, i Klementyny z Colonna-Zerbonich. Ojciec jego, niegdyś współtowarzysz Mickiewicza, Słowackiego i Chopina, bardzo do sztuki swojej przywiązany malarz, pragnął, aby i syn jego tą samą poszedł drogą. Okoliczności jednak złożyły się inaczej. Ks. Marcelina Czartoryska, znakomita fortepianistka, zaprosiła Stattlera do siebie, do Podhajec, a pod jej wpływem w młodzieńcu obudziło się gorące zamiłowanie do muzyki. Po roku pobytu w Podhajcach—SStattler był już zdecydowany. Powrócił do Krakowa i rozpoczął poważne studya pod kierunkiem Franciszka Mireckiego, stawiając zarazem pierwsze samodzielne kroki na polu twórczości muzycznej.

W roku 1862 przeniósł się Stattler do Warszawy, gdzie rozwinął szeroką działalność w kierunku pedagogicznym, naprzód jako nauczyciel prywatny, a następnie, od roku 1872, jako nauczyciel muzyki w Instytucie ociemniałych. Dzięki jego usiłowaniom, niezmiernej cierpliwości i entuzyazmowi, z jakim powołanie swoje traktował, wielu wychowańców instytutu doszło do zapewnionego bytu, przestało być ciężarem społecznym, może pracować na siebie. Tu Stattler zapisał się dobrze nietylko jako muzyk, ale zarazem jako obywatel i dobroczyńca nieszczęśliwych. W roku 1882 powołany na profesora Instytutu muzycznego, zmarły w jego gronie nauczycielskiem zajął stanowisko wybitne, jednając sobie powszechny szacunek i uznanie, jako niezmordowany, skromny i cichy pracownik, prawy człowiek i niezastąpiony kierownik młodych sił.

Niezależnie od wyczerpujących zajęć pedagoga, ś. p. Stattler z powodzeniem uprawiał także niwę krytyki muzycznej, jako współpracownik pism warszawskich. Sprawozdania jego pióra zamieszczała między innemi nasza „Biblioteka“ i nie istniejące już dzisiaj „Kłosy“; odznaczały się one głębokim i poważnym sądem, rzadką bezstronnością i subtelnem poczuciem prawdziwej sztuki we wszystkich jej przejawach.

Laurów kompozytorskich Stattler nie zdobył, ale zasłużył się dobrze muzyce polskiej i społeczeństwu, które straciło w nim dzielnego i pożytecznego członka.

W Żytomierzu, dnia 11 grudnia 1901 roku zmarł zasłużony badacz przeszłości słowiańskiej, mąż niestrudzonej pracy i wielkiej, zdobywanej latami mozolnych studyów nauki — ś. p. Wilhelm Bogusławski.

Urodzony w roku 1825 w Lachowcach, na Wołyniu, zmarły, po ukończeniu nauk gimnazyalnych w Żytomierzu, studyował prawo na uniwersytecie petersburskim, poczem wstąpił na służbę do ministeryum wojny. Na pole badań historycznych rzucił go prosty przypadek. W roku 1848, przedsięwziąwszy podróż za granicę, Bogusławski zatrzymał się czas dłuższy w Łużycach i żywo zainteresował się losem i dziejami Serbów łużyckich, a zapoznawszy się tam z bojownikami idei odrodzenia narodowego tego nieszczęsnego ludu, Smolerzem i Hornikiem, i zachęcony przez nich, rozpoczął studya nad dziejami zgermanizowanych pobratymców. Owocem tych studyów był „Rys dziejów serbo - łużyckich“, wydanych w Petersburgu w roku 1861. Książka ta zdecydowała o dalszym kierunku pracy Bogusławskiego. Poświęcił się on całkowicie badaniu zamierzchłych dziejów Słowiańszczyzny północno-zachodniej, od wieków toczącej uporczywą walkę z Niemcami, i usiłował dowieść, że na całym prawie obszarze dzisiejszych ziem niemieckich pierwotnymi mieszkańcami byli Słowianie. Rezultaty tych badań długoletnich, najeżonych niezmiernemi trudnościami wobec braku jakichkolwiek źródeł historycznych, a opartych głównie na niezawsze dających się uzasadnić i utrwalić wywodach lingwistycznych, zamknął Bogusławski w pomnikowem dziele, uwieńczonem na konkursie poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk. Dzieło to pod tytułem: „Dzieje słowiańszczyzny północno-zachodniej do połowy wieku XIII“, składa się z czterech wielkich tomów, z których pierwszy wyszedł w roku 1887, drugi w roku 1889, trzeci w roku 1892, czwarty zaś w roku zeszłym dopiero. Widząc w tem dziele swojem, zbudowanem pracą całego życia, pewne luki i niedopowiedzenia, Bogusławski zamierzał uzupełnić je, i w tym celu zbierał materyały do tomu V-go. Jak daleko praca ta postąpiła, nie wiemy, w każdym razie jednak przynajmniej zawiązek jej istnieje

i obowiązkiem wobec nauki polskiej jest o tem pamiętać; Bogusławski bowiem, jako najlepszy u nas znawca dziejów Słowiańszczyzny, sam jeden tylko był w stanie zgromadzić i objąć wszystko, co ogromnego przedmiotu pracy jego dotyczyło; nikt inny uczynić tego dzisiaj nie potrafi, dla pełności więc obrazu należało-by skorzystać i z tego, czego wykończyć zmarłemu nie pozwoliła śmierć, a co niewątpliwą posiada wartość dla wszechstronnego oświetlenia sprawy.

Dożywszy sędziwego wieku, w 84 roku życia, zmarł w Warszawie w dniu 15 grudnia 1901 roku. Ś. p. Feliks Jezierski, człowiek dużej wiedzy, zdolny pisarz i doskonały tłómacz poetów angielskich i niemieckich na nasz język.

Ś. p. Jezierski urodził się w gubernii Lubelskiej, we wsi Kozłówka, dnia 18 maja 1817 roku. Po ukończeniu ówczesnej szkoły wojewódzkiej w Lublinie, a potem gimnazyum tamtejszego, w roku 1836 zapisał się na uniwersytet moskiewski, skąd podążył następnie dla dalszego kształcenia się do Jeny, Getyngi, Heidelberga i Berlina. Wróciwszy do kraju ze stopniem naukowym doktora filozofii, ś. p. Jezierski został nauczycielem gimnazyum lubelskiego, i na tem stanowisku pracował przez lat 22 (od roku 1840 do roku 1862), poczem powołany był na profesora b. Szkoły Głównej, a następnie, po krótkim przeciągu czasu — na zwierzchnika V-go gimnazyum warszawskiego.

W ciągu całego tego czasu, Jezierski z zamiłowaniem oddawał się pracy literackiej. Pierwsze jego prace filologiczne i filozoficzne drukował „Tygodnik Petersburski“ oraz „Przegląd naukowy“. Nazwisko jego zapisało się także dobrze na kartach „Biblioteki Warszawskiej“, która przed laty zamieściła szereg jego rozpraw o literaturze angielskiej, tudzież przekłady utworów Longfellowa i poematu Arnolda pod tytułem: „Sorab i Rustem“.

Z pośród licznych prac Jezierskiego oddzielnie wyszły następujące: „Przygotowanie do wiedzy mowy polskiej“, „Nauczyciel ze stanowiska moralnego i naukowego“, „Rzecz o pojęciach ludzkich, ich przechodzeniu i rozwijaniu się“, oraz przekłady: Brandesa: „Główne prądy literatury XIX wieku“, Fryderyka Alberta Langego: „Historya filozofii materyalistycznej“, „Faust“ Goethego, „Prometeusz“

Shelleya, „Marino Falieri“, „Dwaj Foskarowie“ Byrona i wiele innych.

Ostatnią jego pracą była „Historya literatury angielskiej“, opracowana monograficznie dla „Wielkiej encyklopedyi illustrowanej“.

Był to pracownik cichy, myśliciel głęboki i człowiek prawy.

Cześć jego pamięci!

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI.—Dnia 14-go listopada 1901 roku odbyło się posiedzenie *Komisyi historyi sztuki* pod przewodnictwem profesora Maryana Sokolowskiego.

Przewodniczący zwrócił uwagę na rzeźby z drugiej połowy XIV wieku we Francyi, podobne do alabastrowej statuetki, przedstawiającej Matkę Boską Jackową u Dominikanów we Lwowie, której fotografia była przedmiotem dyskusyi na poprzedniem posiedzeniu.—Pierwszy ślad istnienia tej ostatniej znalazł ks. Fijałek w XV wieku, a zatem odniesienie jej do wcześniejszej epoki ma za sobą podstawę.

P. Jan Zubrzycki przedstawił rezultat swoich badań, odbytych z ramienia komisyi nad zabytkami architektonicznymi Jarosławia, objaśniając wykład licznymi rysunkami i zdjęciami fotograficznemi. Mieszczańskie domy mają cechy wspólne, a charakteryzuje je na osi murowanego podsienia głęboka sień, prowadząca z podsienia do wielkiej sali. Podsienia te otwierają się trzema łukami od frontu i mają trzy sklepienia krzyżowe, lub trzy lunety, w jednej kolebce wycięte. Filary kwadratowe były niegdyś architektonicznie przybrane, dziś są zalepione i uszkodzone drzwiami, nowo osadzonemi. Nad trzema otworami podsieni wznosi się piętro o sześciu, lub o trzech oknach.

Wielka sala, do której się wchodzi z sieni, tworzy środek domu. Ma ona kształt prostokąta i wiąże się nadto z sienią drugą, wiodącą na podwórze, klatką schodową i salą inną w głębi, obok sieni gospodarczej umieszczoną, oraz ze wszystkiemi lokalnościami przyziemnemi. Sala, połączona z sienią frontową, była ogniskiem życia domowego i handlowego. Dołem gromadziła kupców, skąd mieli dostęp do sklepów głównych, to do kramów, obok niej w głębi domu założonych, to do dalszej sali dużej. — Górą schody rozprowadzały mieszkańców za pośrednictwem galeryi, ganków i pomostów po wszystkich piętrach i piąterkach. Wszędzie ubikacye były tak zbudowa-

nie, że światła miały pod dostatkiem. Takich domów opisał autor kilka i podał przytem wiadomość o innych architektonicznych zabytkach Jarosławia z różnych epok, a przedstawiających dla historyi sztuki wiele interesu, jak kościół św. Jana i zamek ks. Ostrogskich. Attyki i portale przedewszystkiem zasługują na uwagę; na te ostatnie oddziałała sztuka ormiańska.

Prof. Jerzy hr. Mycielski podał wiadomość o zabytkach, znajdujących się we wsi Kobylniki pod Płockiem, siedzibie Kobylnickich, herbu Prawdzic. Kościół pochodzi z początku XVI wieku, jest on jednorazowy, z półkolistą prostą absydą. Fundował go Mikołaj Kobylnicki, sekretarz króla Zygmunta I, dziedzic i kobylnicki proboszcz. W kościele znajdują się nagrobki, które p. Mycielski dokładnie opisał i zbadał. Jeden z nich, to grobowiec Mikołaja Kobylnickiego, przyścienny i wykonany w roku 1555 z wielkim artyzmem. Zmarły przedstawiony jest na tumbie z kielichem mszalnym w ręku. Ponad nim mieści się płaskorzeźba, wyobrażająca Boga Ojca. Grobowiec należy wogóle do najpiękniejszych naszych zabytków epoki Odrodzenia.

P. L. Puszet podał wiadomość o zabytkach powiatu Myślenickiego, dotąd nieznanych, które tworzą cenny przyczynek do inwentaryzacyi. Między innymi opisał resztki dawnego tryptyku w Jordanowie z portretami fundatorów, pochodzącego prawdopodobnie z lat 1576 a 1579, resztki tryptyku w Woli Radziszowskiej z początku XVI wieku, zbiór figurek woskowych w kościele w Drogini w XVIII wieku, przypominający słynne neapolitańskie jasełka, oraz Matkę Boską ze zdjętym z krzyża Chrystusem, rzeźbę z drugiej połowy XIV wieku figurę św. Walentego z roku około 1500, w tym samym kościele się znajdujące, i bardzo ciekawy obraz Matki Boskiej w Trzemeśnie z XIV wieku.

P. K. Mokłowski przedstawił rezultat swych badań nad dziejami gotyki z renesansowymi motywami w budownictwie cerkiewnem, drewnianem na Rusi.

Wreszcie p. Matias Bersohn nadesłał fotografie z zabytków polskich, a p. Wawrzeniecki podał rysunki i opis zabytków w Tarczku, Bodzentynie, Kacicach i Prandocinie.

— Posiedzenie *Wydziału historyczno-filozoficznego* odbyło się dnia 18 listopada o godzinie 5-ej po południu. Porządek dzienny: 1) Dr W. Kętrzyński: Co wiedzą o Słowianach pierwsi ich dziejopisarze: Prokopiusz, i Jordanes. 2) Dr St. Krzyżanowski: a) Zbiór prejudykatów do prawa polskiego z XVI wieku; b) Formularz tytułów margrabiego i hrabiego, nadawanych przez króla polskiego. 3) Dr St. Kętrzyński: O paliuszu biskupów polskich XI wieku.

— Posiedzenie *Wydziału filologicznego* odbyło się dnia 25 listopada. Porządek dzienny: 1) Ks. prof. Fijałek: Jan Argyropulos i doktorska jego promocya w Padwie 1444 roku. Przyczynek do dziejów humanizmu włoskiego w wieku XV; 2) Prof. Adam Miodoński: „Philippi Calli-

machi et Gregorii Sanocci carminum ineditorum corollarium". 3) Dr St. Windakiewicz: Dramat liturgiczny w średnich wiekach w Polsce.

Następnie odbyło się posiedzenie ściślejsze.

— Dnia 2 grudnia odbyło się posiedzenie *Wydziału matematyczno-przyrodniczego.* Na posiedzeniu tem przedstawiono następujące prace: czł. Szajnocha referował pracę p. W. Friedberga pod tytułem: „Otwornice warstw inoceramowych z okolic Rzeszowa i Dębicy"; czł. Witkowski referował pracę czł. K. Olszewskiego, pod tytułem: „Oznaczenie temperatury inwersyi zjawiska Kelwina dla wodoru"; E. Bandrowski pracę p. Brunera pod tytułem: „O dyssocyacyi wodnika i alkoholanu chloralu w roztworach"; czł. N. Cybulski referował pracę p. M. Kirkora pod tytułem: „O zmianach szybkości ruchu krwi w mięśniach prążkowanych podczas ich czynności dowolnej i odruchowej"; czł. W. Natanson referował pracę p. S. Zaremby pod tytułem: „Przyczynek do teoryi pewnego równania fizyki matematycznej"; sekretarz J. Rostafiński przedstawia dwie prace czł. K. Żórawskiego pod tytułem: „Uwaga o pochodnych nieskończenie wielkiego rzędu" i „O pewnych zmianach długości liniowych elementów podczas ruchu ciągłego układu materyalnych punktów".

ADRES AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI DO ANTONIEGO MAŁECKIEGO. — Dostojny wiekiem i zasługą, były rektor i profesor literatury polskiej na Uniwersytecie lwowskim, dr Antoni Małecki, święci w roku bieżącym 81-szą rocznicę swoich urodzin. Z tego powodu Warszawa poświęca specyalne numery swoich tygodników rozbiorowi dzieł znakomitego badacza; Uniwersytet lwowski krząta się około wybicia złotego medalu na uczczenie jego zasług, a Akademia Umiejętności w Krakowie, w podanym niżej adresie, daje gorący wyraz uczuciom, jakie jej grono przejmuje ta uroczysta chwila.

Oto adres Akademii krakowskiej:

Dostojny Panie!

W pełnej umysłu sile, w czerstwości zdrowia, nadewszystko w czci zasłużonego, a niczem nigdy nieskażonego żywota, przebyłeś to *grande aevis spatium*, które dla wielu kończyć się zwykło sędziwością, a Tobie zostawia nietkniętą jędrność męskiego wieku. Pozwól towarzyszom pracy, kolegom, po części uczniom, kształconym Twojem słowem i wzorem, powinszować Ci takiego żywota, takiej zasługi, takiej siwizny, młodszej od niejednej młodości, i wyrazić Ci wdzięczność za ten żywot, radość, że takim był, radość, że trwa, i nadzieję, że długo jeszcze trwać będzie.

Zacząłeś swój zawód w swoich rodzinnych stronach w innym świecie, niż dzisiejszy. Smutno już było za dni Twojej młodości, ale była i dodawała sił nadzieja, że świat idzie ku lepszemu, i że Twoje pokolenie zobaczy tego lepszego świata bodaj przedświt, zanim się jego wiek skończy. Tym duchem owiany i przejęty, zacząłeś swoją pracę. Przebyłeś potem całe pasmo zawo-

dów i klęsk, a dziś, w starości, gdy spojrzysz na szeroki świat, musisz zapytać, co się stało z nadziejami lat młodych, co z nich jeszcze zostało. Ale tą gorycz, dla Ciebie przynajmniej, łagodzi się słuszną i uzasadnioną świadomością, żeś przez cały wiek życia Twego nie ustał w pracy, nie zachwiał się w miłości, ale zrobiłeś dobrego tyle, ile tylko zrobić mogłeś.

Z powołania uczony i pisarz w tej gałęzi nauki, która z duszą narodu, z jego świadomością siebie, złączona tak ściśle, jak żadna, prócz historyi, dałeś jej nowy znakomity popęd, nietylko przez uskutecznione i świetne własne badania, ale przez przykład i wpływ, działający na młodszych. Pierwiastki te, nauce koniecznie potrzebne, umiejętność w badaniu, bystrość w sądzeniu, rozwinęły się wielce pod Twoją ręką, a tem lepiej i tem piękniej, że towarzyszył im zawsze ton poważnego i szczerego uczucia. Za powinność też i za ozdobę miała sobie Akademia Umiejętności, powołać Cię do swego grona zaraz przy swojem założeniu, między pierwszymi co do czasu i co do zasługi. Jak szczyciła się Tobą zawsze, tak szczyci się dziś, a szczęśliwa, że się takim człowiekiem chlubi, składa Ci dziś wyraz swojej wdzięczności za wszystkie prace Twego długiego żywota, a pragnie i życzy gorąco, żebyśmy długie lata Tobą się cieszyć, a z ciebie korzystać i budować się mogli.

W Krakowie, w listopadzie 1901 roku.

Stanisław Tarnowski, Prezes Akademii Umiejętności.

Kazimierz Morawski, dyrektor Wydziału I-go.

— W *Towarzystwie historycznem* we Lwowie wygłosił profesor Bronisław Dembiński odczyt, w którym omówił kilka świeżo znalezionych dokumentów, pochodzących, zdaniem prelegenta, z kancelaryi królewskiej Stanisława Augusta. Papiery te należą do całego zbioru dokumentów, w którym po części znajdują się oryginały listów i innych aktów, po części zaś ich streszczenia. Jeżeli te streszczenia są autentyczne, to znaczy, jeżeli opierały się w samej rzeczy na dokumentach oryginalnych i treść ich wiernie podają, mogą w pewnej mierze rzucić światło na genezę ruchu 1794 roku. Wynikało-by z tych papierów, że naczelnik w roku 1793 wysłany był przez emigracyę polską w Lipsku do Paryża z instrukcyą, ażeby usiłował doprowadzić do skutku akcyę międzynarodową na rzecz Polski, w której-to akcyi miały wziąć udział rząd rewolucyjny francuski, oraz Szwecya i Turcya.

Prelegent zaznaczył sam, że autentyczność tych dokumentów nie jest niewątpliwa, ale podał argumenta, które za autentycznością przemawiają. Natomiast profesor Finkel podkreślił bardziej argumenta przeciwne i skłaniał się do zapatrywania, że mogą one być jednym z licznych falsyfikatów ówczesnych, które miały na celu dowieść łączności Kościuszki z rewolucyą.

— Dnia 14 grudnia 1901 roku odbyło się w Krakowie posiedzenie komitetu *Muzeum narodowego*. Komitet obradował nad budżetem. Utrzymanie Muzeum wymaga znaczniejszych nakładów z powodu powiększenia i reorganizacyi Muzeum. Postanowiono kwotę na zakupno dzieł sztuki obniżyć

do minimum, aby choć w części podołać ciężarowi. Finanse gminy, mimo najszczerszej chęci, nie wystarczają, aby gmina mogła sama niemal utrzymywać instytucyę, o której dobro powinien dbać cały naród w ogólności i kraj w szczególności. To też komitet liczy na pomoc kraju, tem bardziej, że Muzeum narodowe spełniać będzie po obecnej reorganizacyi to samo zadanie, które spełniają gdzieindziej muzea krajowe, hojnie przez sejmy subwencyonowane.

Obecnie kraj na Muzeum daje niesłychanie małą kwotę, 800 złr., i przeznacza ją wyłącznie na cele kupna dzieł sztuki. Niestety, Muzeum nie znalazło dotąd dobroczyńców, którzy-by pieniężnie je wspierali, to też potrzebuje ono tembardziej pomocy kraju i rządu.

Przystąpiono wreszcie do zakupna dzieł sztuki. Komitet nabył obraz Witolda Pruszkowskiego: „Sielankę“, znajdującą się dotąd tylko tytułem depozytu w Muzeum, i Jacka Malczewskiego portret własny, znany powszechnie z wystawy Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych, gdzie do niedawna się znajdował, obecnie wystawiony w Warszawie, w salonie Krywulta.

— Komitet tymczasowy *Towarzystwa opieki nad polskiemi zabytkami sztuki i kultury* podaje do wiadomości, że wszelkich informacyi, tyczących się Towarzystwa, najchętniej udziela się za listownem zgłoszeniem się.

Adresować należy do Kancelaryi Muzeum Narodowego w Krakowie, dla Tymczasowego Komitetu „Towarzystwa opieki nad polskiemi zabytkami sztuki i kultury“.

— „Pomniki Krakowa“. Od wiosny roku 1900 ukazuje się w Krakowie z niezwykłą u nas punktualnością co miesiąc jeden zeszyt okazałego wydawnictwa Cerchów i d-ra F. Kopery, pod tytułem: „Pomniki Krakowa“. Z wydanym świeżo zeszytem dwudziestym dzieło dobiegło do połowy swej zamierzonej objętości; tekst doszedł do końca średnich wieków — zaczęła się rzecz o renesansie. Zeszyt ten, jakoby jubileuszowy, wydano ze szczególną starannością, a przyozdobiono kilku tablicami złoconemi, odtwarzającemi pomniki bronzowe.

Doprowadzone do końca, staną się *Pomniki Krakowa* pierwszą poważną próbą historyi sztuki w Polsce. Zarazem będą stanowiły *Corpus* nagrobków krakowskich z przeszłych wieków, nietylko istniejących dziś jeszcze, lecz i takich, niestety, licznych, które istniały w XIX wieku, a potem zniknęły wskutek wielkiego pożaru, a także i niedbalstwa ludzkiego.

— Miłośnicy sztuk pięknych i monografij historycznych z zadowoleniem powitają doskonały podręcznik francuski pod tytułem: *Manuel de Bibliographie Biographique et d'Iconographie des Femmes célèbres...* par un vieux Bibliophile. Turin, Paris, Librairie Nilsson 338, Rue St-Honoré. (Dwa tomy: str. XI + 448 i X + 317). Obok spisu monografij biograficznych mamy tu wykaz portretów, sztychów i t. p. Dział polski uwzględnił autor

w drugim tomie opierając się na wskazówkach Władysława Mickiewicza i prof. L. Finkla.

— NOWE PISMO. Od stycznia roku 1902 wychodzić będzie w Poznaniu *Przegląd Kościelny*, pismo miesięczne, poświęcone nauce i sprawom Kościoła katolickiego. Czytamy między innemi w prospekcie: „*Przegląd kościelny* zamierza skupić dobre prace i odzwierciedlić katolicki ruch umysłowy u nas, uwzględniając przytem wyniki nauki teologicznej w innych krajach. Ale na tem nie chcielibyśmy się ograniczyć; pełno jest kwestyi, które bezpośrednio, albo pośrednio z teologią się stykają. Zamyślamy więc w dziale naukowym *Przeglądu kościelnego* zamieszczać rozprawy z filozofii, sztuki kościelnej, a przedewszystkiem obszerniej uwzględnić kwestyę socyalną. Kierując się hasłem Ojca św., przedstawiać będziemy wszystkie ważniejsze prądy z dziedziny społecznej, stosunek ich do Kościoła oraz sposoby rozwiązania tej największej, piekącej, aktualnej kwestyi, odpowiadające stanowisku i obowiązkom duchowieństwa.

„Z nauką stoi w ścisłym związku ż y c i e naszego Kościoła. Będziemy zatem od czasu do czasu przedstawiali rozwój jego przez misye, trudności, które przytem musi przezwyciężać, zwycięstwa, które odnosi. Otwieramy również łamy *Przeglądu Kościelnego* sprawozdaniom, które uwydatnią ruch katolicki w poszczególnych krajach; znamienne objawy życia katolickiego, jak wiece, stowarzyszenia, instytucye dobroczynne unaocznią stosunek Kościoła do państwa. Zamieszczać też będziemy oryginalne korespondencye z Rzymu, Paryża, Wiednia, z Galicyi, Królestwa i innych krajów, które w żywy, barwny sposób informować będą o życiu katolickiem".

Redakcyę obejmuje ks. Okoniewski. *Przegląd Kościelny* wychodzić będzie w poszytach miesięcznych, 5-arkuszowych, w pierwszych dniach każdego miesiąca. Prenumerata kwartalna wynosi 3 mrk.

— We Lwowie, d. 8 grudnia b. r., przy udziale tłumów, odbyło się z wielką okazałością odsłonięcie pomnika K o r n e l a U j e j s k i e g o, na skwerze ulicy Akademickiej. Przemawiali: twórca pomnika, rzeźbiarz, Antoni Popiel, prezydent miasta dr Małachowski, p. Stanisław Rossowski i syn poety, p. Roman Ujejski. U stóp pomnika złożono wspaniałe wieńce.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA.

Ks. Tomasz Dąbrowski: Kazania o męce Pańskiej na trzy posty. Wydanie trzecie. Warszawa, 1902. Gebethner i Wolff.

Ks. Tomasz Dąbrowski: Kazania przygodne. Wydanie czwarte. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1902, str. 288.

Józef Kard. Hergenröther: Historya powszechna Kościoła Katolickiego. Tom V. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, 1901, str. 170 + IV (Biblioteka dzieł chrześcijańskich).

FILOZOFIA.

Emil Boutroux. Pojęcie prawa przyrody w nauce i filozofii spółczesnej. Wykłady, miane w Sorbonie w roku 1892 — 1893. Z francuskiego przełożył Wład. Spasowski. Warszawa. Nakładem księgarni E. Wende i S-ka. 1902. Str. XXXI, 177.

„Wiek XIX". Zagadnienia moralne. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.—1902, str. 138. (Zawiera artykuły: A. Darlu: Klasyfikacya współczesnych idei moralnych; P. L—e: Rodowód idei sprawiedliwości i dobra; G. Belot: Zbytek; H. Höffding: Rodzina).

Ioannes de Heyden-Zielewicz: Prolegomena in Pseudocelli de Universi natura libellum. Vratislaviae, M. et H. Marcus, 1901, str. 77. (Breslauer Philolog. Abhandlungen herausg. v. R. Förster, VIII Bd. Drittes Heft).

Co to jest filozofia? przez prof. Struvego, ks. prof. Radziszewskiego, prof. M. Straszewskiego, dra W. M. Kozłowskiego, d-ra J. Kodisową, d-ra Heinricha. Warszawa, 1901. („Przegląd filozoficzny", rok IV, zeszyt IV. Administracya: Księgarnia Jana Fiszera, Nowy Świat 9).

Fr. Paulsen: Kant i jego nauka. Z trzeciego wydania niemieckiego przełożył i uzupełnił J. Wł. Dawid. Warszawa, Nakładem Redakcyi „Głosu". (Zeszytów 7 i dalsze).

HISTORYA.

Acta Tomiciana. Tomus undecimus. A. D. MDXXIX. Posnaniae. Sumptibus Bibliothecae Kornicensis. MDCCCCI. (Tomus undecimus epistolarum legationum responsorum actionum et rerum gestarum Serenissimi Principis Sigismundi Primi Regis Poloniae Magni Ducis Lithuaniae. Per Stanislaum Gorski, Canonicum Cracoviensem et Plocensem. A. D. MDXXIX). In 4-o maj., str. nl. 6 + 356.

Prof. dr H. Graetz: Historya Żydów (mniejsza) Z niemieckiego przełożył St. Szenhak. Warszawa, G. Centnerszwer, 1902. Tom pierwszy, str. II + 298.

Aleksander Hirschberg: Polska a Moskwa w pierwszej połowie wieku XVII. Zbiór materyałów do historyi stosunków polsko-rossyjskich za Zygmuntu III. We Lwowie, nakładem Zakładu n. im. Ossolińskich, 1901, str. VII + 400). (Zawiera: Dyaryusz W. Dyamentowskiego, Dziennik Jana Piotra Sapiehy, Dyaryusz poselstwa moskiewskiego z roku 1611).

HISTORYA LITERATURY I CYWILIZACYI.

Dr H. Biegeleisen: Pamiętnik Jul. Słowackiego. „Biblioteka dzieł wyborowych", № 208, Warszawa, 1901.

Karol Hoffman: Książka i czytanie. Pogadanka społeczna. Warszawa. Gebethner i Wolff, 1902, str. 104.

(Dedykacya: Tobie, Bracie Rzemieślniku, który po znoju pracy codziennej szukasz rozrywki godziwej, i Wam, gromady całe Samouków, dążących do światła i piękna, poświęcam tę książeczkę).

Adolf Neuwert Nowaczyński: Studya i szkice. (Dramat polski XIX wieku.—Miriam.—Podhalanie.—Hogarth.—Szeerbart.—Heine.—Cellini.—Boecklin.—Anarchia liter. w Niemczech.—D'Annunzio.—Negri.—Couperus.—Multatuli.—Do Damaszku). Lwów, nakładem Towarzystwa wydawniczego. Warszawa. Księgarnia S. Sadowskiego, 1901, str. 302.

František Sekanina. Henryk Sienkiewicz: Literární studie. (Otiskuto z „Obzoru literárního a uměleckého) V Praze, Tiskem E. Beauforta, 1901. (Na dzieci wrzesińskie). Z portretem Sienkiewicza. Cena 20 kr.

Pogląd na dzieje literatury polskiej i obce w niej prądy, ze stanowiska wiary katolickiej przez X***. Warszawa. W drukarni St. Niemiry synów, Plac Warecki 4, 1902, str. 281 + III.

F. E.: Kilka słów o masoneryi. Warszawa. Wydawnictwo „Kroniki Rodzinnej". 1901, str. 104.

Ignacy Matuszewski: „Słowacki i nowa sztuka (modernizm)". Twórczość Słowackiego w świetle poglądów estetyki nowoczesnej. Studyum krytyczno - porównawcze. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1902.

POWIEŚCI.

Jan Augustynowicz: Pociągnięcia pędzlem. Warszawa, 1901. Gebethner i Wolff, str. 363.

G. Daniłowski: Z minionych dni. Fragmenty powieściowe. Warszawa, 1902. Gebethner i Wolff, str. 285.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer: Panna Mery. Powieść. Warszawa. Gebethner i Wolff, 1902, str. 258.

Aleksander Wybranowski: Ongi w dworach i dworkach szlacheckich. „Biblioteka dzieł wyborowych". № 299, str. 159.

PRAWO I EKONOMIA POLITYCZNA.

Stan. Piotrowski: Wspólna własność ziemska w gminie wielkorossyjskiej. Studyum ekonomiczno - społeczne. Warszawa, E. Wende i S-ka. Krakowskie Przedmieście 7, 1902, str. 294.

A. Szczepański: Reforma ustawy wyborczej w Austryi. (Odbitka z „Przeglądu Polskiego" z miesiąca września 1901 roku. Kraków). Str. 30.

NAUKI PRZYRODNICZE I MEDYCYNA.

Edmund Biernacki: Zasady poznania lekarskiego. Rzecz, wydana nakładem grona lekarzy warszawskich. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka. Warszawa. 1902, str. XIII + 324 + VII.

Z. I. Kowalski: Hygiena i etyka życia płciowego. Szkic popularny. Warszawa. Druk J. Sikorskiego, Warecka 14, 1901, str. 129.

DLA DZIECI I DORASTAJĄCYCH.

Zofia Bukowiecka: Żołnierz Dewetta. Z papierów młodego przyjaciela, Janka Żórawskiego, przepisała ... Z 32 rycinami. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1902, str. 239 (karton.).

Zuzanna Morawska: Przygody trzech chłopczyków i jednej dziewczynki. *Z 6-ma rysunkami.* Warszawa. Gebethner i Wolff. 1902, str. 180 (kart).

Z. Morawska: Cukierki dla malutkich. 24 powiastek z rysunkiem St. Sawiczewskiego. Warszawa. Gebethner i Wolff, 1902, str. 88.

Zuzanna Morawska: Rotmistrz Wybraniecki. Powieść historyczna dla młodzieży z 6 rycinami. Warszawa, 1901, Gebethner i Wolff, str. 345.

W. Przyborowski: Przygody Adamka. Powieść historyczna z 6-ma rysunkami. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1902, str. 223 (kart.).

M. Weryho: Co mi powiesz? Powiastki dla małych dzieci z 58 rycinami. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1902, str. 58.

Henryk Sienkiewicz: *Ogniem i mieczem.* Powieść historyczna dla młodzieży—ułożył W. *Grzymałowski*, z 8 rysunkami Ant. *Piotrowskiego.* Warszawa, 1901, Gebethner i Wolff (karton.). 276.

Tegoż: *Potop.* Powieść historyczna dla młodzieży—ułożył W. *Grzymałowski*, z 8 rysunkami Ant. *Piotrowskiego.* Warszawa, 1901, Gebethner i Wolff, str. 310.

Tegoż: *Pan Wołodyjowski.* Powieść historyczną dla dla młodzieży, ułożył W. *Grzymałowski.* Warszawa, 1902, Gebethner i Wolff, str. 269.

Tegoż: *Krzyżacy.* Powieść historyczna. Wydanie dla młodzieży pod kierunkiem autora ułożone, z 8 rysunkami A. *Piotrowskiego.* Warszawa, 1901. (Nakład i własność wydawców. Przedruk zastrzega się). Str. 341.

SPROSTOWANIE.

Do artykułu: „IGNACY KRASICKI“, umieszczonego w grudniowym zeszycie „Biblioteki Warszawskiej“, zakradły się następujące *błędy drukarskie*: str. 480, w. 2 z góry: zamiast „z długiej grobowej ciemnoty“, należy czytać: „z długiej i grubej ciemnoty“; str. 480, w. 15 z góry, zamiast: „dzieciństwo... rozjaśniało się“, ma być: „dzieciństwo... rozwijało się“; str. 491, w. 3 z góry: zamiast „ale Krasicki“, ma być: „ale że Krasicki“; w. 9 z dołu zamiast „w owej mierze“, ma być: „w owej wierze“; str. 493, w. 17 z dołu: za-

miast: „tretor“, ma być: „treter“; str. 496, w. 9 z góry: zamiast: „biskupi kapituły“, ma być: biskup i kapituła“; str. 498, w. 2 z góry: zamiast „sufragana Zekmena“, ma być: „sufragana Zehmena“, w. 16 z góry: zamiast „w czasie uległości“, ma być: „w razie uległości“; str. 512, w. 5 z góry: zamiast „swojem jeszcze okiem“, ma być: „swojem jasnem okiem“; str. 516, w. 9 z dołu: zamiast „warszawskie godności“, ma być: „warszawskie górności“; str. 518, w. 2 z góry: zamiast „dzieła bardzo zabawne“, ma być: „dzieło bardzo zabawne“; str. 519, w. 21 z góry: zamiast „miał w sobie“, ma być: „czuł w sobie“, str. 520, w. 2 z dołu: zamiast „długą pracę ludzką“, ma być: „długą pracę, całowiekową“; str. 521, w. 2 z góry: zamiast „od początków z XVII wieku“, ma być: „od początków XVIII wieku.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

ADAM hr. KRASIŃSKI.

Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

poleca następujące własne wydawnictwa:

Antoniewicz Karol ks. „Poezye religijne“, kop. 90.
w pięknej oprawie rub. 1 kop. 80.
— „Poezye religijne i świeckie“. Wydał ksiądz Jan Badeni. Wydanie trzecie z licznemi winietami, rub. 1 kop. 80, w starannej oprawie rub. 3.

Bąkowski Klemens „Posażna panna“, powieść, rub. 1 kop 25.

Bilczewski ks. arcybiskup. Eucharystya w świetle najdawniejszych pomników: piśmiennych, ikonograficznych i epigraficznych. Wydanie luksusowe w wielkim formacie, str. 328 z 47 rycinami i tablicą w heliograwiurze. Dzieło, odznaczone nagrodą Akademii umiejętności, rub. 4 kop. 50, w starannej oprawie rub. 6.

Chołoniewski Stanisław ks. „Kazania niedzielne i świąteczne“, 2 tomy, wydał ks. Jan Badeni, rub. 3 kop. 60.

Coppée Fr. „Dobre cierpienie“, szereg przepięknych szkiców znakomitego autora, kop. 75.

Czermak Wiktor dr. „Studya historyczne“.
Treść: Na dworze Władysława IV. – Młodość Jerzego Lubomirskiego (1616 — 1636). — Wojna Smoleńska z roku 1633 – 1634 w świetle nowych źródeł. — Polska wobec wojny 30-letniej. – Kilka słów o pamiętnikach polskich XVII wieku. – Miłostki królewskie — Przyczynek do biogr. Zimorowicza. — Przyczynek do dziejów siedemnastego wieku z archiwów prywatnych, rub. 2 kop. 70.

Dostojewski T. „Wspomnienia z martwego domu“ (W katordze), przełożył prof. Tretiak, drugie polskie wydanie, rub. 1 kop. 50.

Fogazzaro Antonio „Dawny światek“ (Piccolo mondo antico). Autoryzowane tłom. rozgłośnej powieści znakomitego pisarza włoskiego, rub. kop. 80.

Gide K. „Zasady ekonomii społecznej“, drugie polskie wydanie, świeżo opracowane i rozszerzone przez d-ra W Czerkawskiego, rub. 4 kop. 50.

Gloger Zygmunt. „Geografia historyczna dawnej Polski“, z dodaniem mapy Rzeczypospolitej J. Babireckiego. W tekście 64 autentycznych rycin, rub. 3.

Golian Zygmunt ks „Kazania niedzielne i świąteczne“, rub. 1 kop. 80.

Górski Konstanty. „Historya jazdy polskiej na podstawie nieużytkowanych dotąd źródeł, z trzema tablicami litografowanemi, str. 363, rub. 3 kop. 60.

„Hygiena palenia“. Studyum fizyologiczno-lekarskie, kop 56.

Kalinka Waleryan ks. „Sejm czteroletni“, wyd. czwarte w 4 częściach rb. 6 kp. 50.
— „Ustawa trzeciego maja“, kop. 50.

Karbowiak B. prof. „Szkoła katedralna krakowska w wiekach średnich“, kop. 60.

Kołaczkowski Klemens, generał. „Wspomnienia od roku 1793—1830“, przyozdobione 27 rycinami, trzy tomy po rub. 1.

Korolenko Wł. „Niewidomy muzyk“, przekład z ros. St. M., kop. 90.
— „Szkice i opowiadania“. (At Dawan. — Za obrazem. — Zaćmienie słońca. — Cienie.—W nocy.—Może.—Sądny dzień), rub. 1 kop. 80.

Kostomarow N. J. „Kudejar“, powieść historyczna z czasów Iwana Groźnego. Tłómaczył ***, rub. 1 kop 60

Kowerska Z. „Z pamiętnika ornitologa“, rub. 1 kop 35
— „Powieści“ (Dla Anusi.—Z życia Jasia —Na noclegu.—Wydalenie) r 1 k. 50.

„Książeczka do modlitwy dla mężczyzn ze sfer inteligentnych“. Nowa ta książeczka, w formacie, łatwym do wsunięcia w kieszeń, z modlitwami kościelnemi w języku łacińskim i polskim, dobranemi ze znajomością rzeczy i wielką troskliwością, odpowie odczuwanej oddawna rzeczywistej potrzebie.
Oprawy wykonano w pierwszorzędnym zakładzie krakowskim starannie i gustownie od rub. 1 do do 5.

Macaulay T. M. „Szkice i rozprawy historyczne“, 2 tomy, tłomaczył Stan. Tarnowski, rub. 2 kop. 70.

Manteuffel G „Cywilizacya, literatura i sztuka w kolonii polskiej nad Bałtykiem“, ozdobione 23 rycinami, rub. 1 kop. 10.

Mickiewicz Adam. „Wybór listów“, ułożył dr Józef Kallenbach, profesor uniwersytetu fryburskiego, rub. 7, kop. 80.
Wybór ten zawiera ważniejsze listy poety, w których przebijają się duchowe rysy nietylko twórcy „Pana Tadeusza“, ale człowieka-obywatela, brata, męża, ojca rodziny i serdecznego przyjaciela.

Neumanowa A. „Baśnie i legendy Wschodu“, kop. 55.

Pawlicki Stefan ks. dr. „Żywot i dzieła Ernesta Renana“, rub. 1 kop. 70.

Pelczar Józef, ks., dr, biskup przem. „Zarys dziejów kaznodziejstwa w Kościele katolickim.

Część I. Kaznodzieje greccy do IX w. i łacińscy do XVI w., rub. 1 kod. 25.

Część II stanowi dla siebie całość pod tytułem: „Kaznodzieje polscy“, str. 401, rub. 2 kop 70.

Część III. „Kaznodzieje ludów słowiańskich, romańskich i armeńskich“, obszerny tom o 476 stronicach wraz z indeksem do całego dzieła, r. 2 k. 70.

— Kazania na uroczystości i święta N. M. Panny. Wyd nowe, 2 t. rub. 4 k. 50.

— Prawo małżeńskie katolickie z uwzględnieniem prawa cywilnego, obowiązującego w Austryi, Prusiech i w Królestwie Polskiem“, trzy tomy, 75 arkuszy starannego druku, rub. 7 kop. 20.

— „Rozmyślania o życiu kapłańskiem, czyli ascetyka kapłańska“. Wydanie drugie, pomnożone, dwa tomy, rub. 5 kop. 40.

Sarnecki Zygmunt. „Historya literatury francuskiej“, ułożona podług najświeższych źródeł i opracowań obcych, rub. 2 kop. 70.

Schnür-Pepłowski Stanisław. „Cudzoziemcy w Galicyi“ (1788—1944), r. 2 k. 20.

Sewer. „Bajecznie kolorowa“, powieść na tle życia artystów krakowskich, r. 1 k. 35.

— „W kleszczach“, „Magdusia“ dwie nowele, rub. 1 kop. 50.

Sokołowski Maryan, dr prof. uniw „Studya i szkice z dziejów sztuki i cywilizacyi“. Str. 531, w tekście 47 prześlicznie odbitych, autentycznych rycin, rub. 4, w oprawie starannej rubli 6.

Treść. I. Starożytność i wieki średnie.—Poszukiwania archeologiczne w Azyi Mniejsze j.—Z podróży na Wschód — Wazy greckie w naszych zbiorach. —c.Zbiór gemmoglyptyczny Muzeum Narodowego. — Restauracya Sukienni C II. Włochy i odrodzenie.— Wspomnienie o Rafaelu Sanzio. — Pałazz oolouna w Rzymie.—Głuchów. III. Bizancyum i Ruś. - Bizantyńska i ruska średniowieczna kultura. — Badania archeologiczne na Rusi Galicyjskiej. — Sztuka cerkiew. na Rusi.

Spis Stanisław, ks .prof. uniw Jag. „Świętą Teresa od Jezusa“, reformatorka zakonu karmelitańskiego.

Wydanie wykwintne na wzór belgijskich, rb. 1 kp. 10, w pięk opr. rb. 2 k. 20.

Szajnocha Karol. „Pisma“, dwa tomy, rub. 2 kop. 20.

Szczedrin-Sałtykow „Nowele“ (Karaś idealista —Wierny Trezor), kop. 30.

Tarnowski Stanisław. „Dworzanin Górnickiego“, studyum literackie, kop. 70.

Tarnowski St. I. „Komedye Al hr. Fredry“. II. „O pośmiertnych komedyach Fredry“ rub. 1 kop 80.

— „Studya do historyi literatury polskiej“. Wiek XIX. Tom IV. (Co u nas o Kochanowskim pisano. — Szekspir w Polsce.—„Koryolan“ Szekspira) rub. 2 kop 70.

— „Henryk Sienkiewicz“. Historya rozwoju zawodu pisarskiego H. Sienkiewicza, zestawiona w 25-letni jubileusz jego działalności, rub. kop 80.

Tołstoj L. „Anna Karenina“, powieść, przekład z siódmego wydania, trzy tomy, rub. 4 kop. 50.

Trapszo Anastazy. Dyrektor szkoły dramatycznej w Warszawie, artysta sceny warszawskiej i krakowskiej. , Podręcznik sztuki dramatycznej“, r. 1 k. 60.

Tretiak Józef, prof. uniw. „Szkice literackie, ser II, obszerny tom, rb. 2 kp. 70.

Wodzicka Teresa. . Eliza Radziwiłłówna i Wilhelm I“, z 3 portr., kop. 40.

Zwyczaje towarzyskie“ (Le savoir vivre) wraz z nauką życia. Poglądy na zachowanie się w ważniejszych okolicznościach życia towarzyskiego Wydanie trzecie. Najlepszy, nader dokładny i najstaranniej wydany podręcznik, rub. 1 kop. 20, oprawny w płótno rub. 1 kop. 30.

„Z niedawnych czasów“. Wspomnienia z Wilanowa. Wydanie wykwintne z portretami pań: Augustowej, Cecylii i Teresy Potockich, Adamowej Bychowcowej i Wiktorowej Czackiej, rub 1 kop. 35.

Dla uniknięcia pomyłek, prosimy przy zamówieniu dodawać zawsze: „Wydanie Spółki Wydawniczej w Krakowie“.

Skład główny w księgarni GEBETHNERA i WOLFFA w Warszawie.

Do nabycia w każdej znaczniejszej księgarni.

ANTONI MAŁECKI.

Różne bywają jubileusze. Zdarza się, że człowiek w skromnym zakresie swego działania zrobi wiele dobrego, ożywi zamierającą gałąź nauki, lub przemysłu, stworzy podstawy dla wielu do pracy mrówczej, niepozornej, a wypełniającej życie; czasem świeci tylko przez lat kilkadziesiąt przykładem wzorowej, niezmordowanej, zawodowej pracy i doczeka się dnia, w którym wdzięczni współpracownicy, lub uczniowie, ozdobią sędziwe skronie wieńcem uznania. Dowiadujemy się o tem z dzienników, cieszymy się, że jubilat doczekał rzadkiej uroczystości i — przechodzimy nazajutrz do porządku lub nieporządku dziennego, a nowa, nieustająca fala zdarzeń, kłopotów i obowiązków zmywa z pamięci ludzkiej jubileusz po jubileuszu. Czasem znowu niespodziewany, przedwczesny zgon zasłużonego pracownika wzbudzi żal w społeczeństwie, że nie zdążyło w porę wyrazić zmarłemu swego uznania; na mogile zielenią się wówczas wieńce nietrwałe... Przyśpieszony pęd gorączkowej, nadmiernej pracy skraca życie. O pięćdziesięcioletnich jubileuszach coraz rzadziej słyszymy, a mnożą się obchody pracy trzydziestoletniej lub dwudziestopięcioletniej. Są bowiem dwudziestopięciolecia o plonie nadzwyczajnym, przebujnym, godnym uwielbienia i czci ogółu.

Do bardzo rzadkich, wyjątkowych jubileuszów należy powszechny hołd, złożony sędziwemu, a tak czerstwemu i pełnemu sił, Antoniemu Małeckiemu. Wyjątkowym jest fakt sześćdziesięcioletniej, nieustannej, wydatnej pracy na różnych polach piśmiennictwa polskiego; wyjątkowa jest, i zapewne na długo pozostanie, ewolucya od poezyi i filozofii począwszy, przez filologię, lingwistykę i literaturę ku badaniom historycznym; a daj Boże, aby niewyjątkową, owszem, krzewiącą się jak najczęściej i jak najszerzej, była u nas tak potężna, zdrowa, jednolita i jakby ze spiżu wykuta organizacya duchowa, którą trzy pokolenia polskie mają wpośród siebie, na którą patrzą, od której się tyle nauczyły i ciągle jeszcze uczą.

Trudno wyrazić, ile zawdzięczamy Małeckiemu i jaka nas radość przenika, ilekroć pomyślimy, że tam, w cichem skrzydle świątyni naukowej, zwanej *Ossolineum*, działa, tworzy, zagrzewa swym przykładem do pracy, Antoni Małecki, ten sam, który w roku 1841 od ludowej nuty wierszem zaczynał, a w roku 1902 genezie społeczeństwa polskiego zachód pięknego żywota poświęca.

Było-by to zuchwalstwem, chcieć w króciutkim szkicu dać pełny wizerunek duchowy męża takiej miary. Ale można, a nawet potrzeba uwydatnić, chociażby w ogólnym zarysie, doniosłość, obfitość i rozmaitość zasług czcigodnego jubilata. Nie powiemy tu nic nowego. Już przed dwudziestu ośmiu laty zapowiadał J. I. Kraszewski: „nie należy dr Antoni Małecki do tych, którym-by odmawiano dziś znakomitego talentu, gruntownej nauki i wielkich zasług, ale przekonani jesteśmy, że przyszłość jeszcze go wyżej daleko postawi, niżeli dzisiejsze uznanie“ [1]). Przepowiednia w zupełności się sprawdziła.

I.

Urodził się Antoni Małecki w roku 1821 w Obiezierzu, o trzy mile od Poznania. Dzieciństwo miał sielskie; ze wsi wielkopolskiej wyniósł na cały długi żywot miłość rodzinnej ziemi, nienarażonej wówczas jeszcze na ciężkie, dzisiejsze próby. Kształciła go dzielna matka, bo ojciec odumarł go przedwcześnie. Początki nauk dawał mu zacny nauczyciel Cybichowski, a pierwsze łzy rozumne wylewał chłopiec nad męką Chrystusa, opisaną w Biblii Budnego. Stary druk XVI. wieku zasiewał w dziecinnej główce i słowa Zygmuntowskiej polszczyzny, i przyszłą miłość ojczystego piśmiennictwa. Oddany w roku 1833 w Poznaniu do szkół gimnazyalnych, ukończył je w roku 1841, a w tymże roku, jakby na dowód istotnej, nie na papierze tylko, dojrzałości do studyów uniwersyteckich napisał młody „abiturvent“ pierwszą większą pracę, którą A. Popliński, gimnazyalny jego profesor, uznał godną druku. Był to szkic: „*O życiu i pismach Mickiewicza*“, wydrukowany w dwu numerach *Orędownika Naukowego* (1842 r., str. 246 — 248 i 254 — 256).

[1]) Ob. szczegółowy życiorys A. Małeckiego przez J. I. Kraszewskiego w Kłosach z roku 1874, str. 190 — 192.

Jest to ze wszech miar godny uwagi zarys biograficzny, którego wartość polega na tem, że Małecki czerpał wiadomości swe z bardzo dobrego źró la, bo od brata poety, Franciszka Mickiewicza. Jak do tego szkicu literackiego przyszło, opowiada sam Małecki. Po rychłej śmierci rodziców swoich oddany został w opiekę hr. Józefowi Grabowskiemu w Łukowie, gdzie spędzał zawsze wakacye. Tutaj-to poznał Franciszka Mickiewicza, który przebywał stale od roku 1831 w gościnnym domu hr. Grabowskiego. Młodziutki uczeń gimnazyalny pozyskał życzliwość, a w dalszych latach i przyjaźń brata A. Mickiewicza. „Było to w roku 1841, — pisze Antoni Małecki, — w miesiącu wrześniu, ostatnim miesiącu uczęszczania mego do gimnazyum w Poznaniu“ [1]).

Zakończyły się egzamina dojrzałości. Małecki wraz z innymi kolegami zaliczony został do tak zwanych abituryentów. Było wówczas zwyczajem w gimnazyach wielkopolskich, że całoroczne nauki szkolne kończyły się aktem publicznym, podczas którego rozdawano celującym uczniom nagrody, abituryentom zaś wręczano świadectwa dojrzałości. Ostatnią tę czynność poprzedzało wygłoszenie trzech mów w języku łacińskim, polskim i niemieckim; profesorowie wybierali mówców z pośród arbituryentów; wybrani zaś mogli sami decydować o przedmiocie mowy, za zgodą władzy szkolnej.

W owym roku mowę polską wygłosić miał Małecki.

„Kiedy mnie profesor nasz języka polskiego, Antoni Popliński, zapytał, o czem mówić zamierzam, odpowiedziałem bez namysłu: „Oczywiście o Mickiewiczu!“. — „Dobry przedmiot, — odparł na to profesor, — ale cóż ty o nim powiesz, kiedy tak mało o życiu jego wiadomo?“.

„Zdajcie to panowie na mnie, — odpowiedziałem, — niech to już będzie mój kłopot. Mam takie źródło, z którego warto zaczerpnąć“.

„Źródłem owem dla mnie miał naturalnie być p. Franciszek w Łukowie“ [2]).

Na gorące listowne prośby Małeckiego, który sam z powodu obowiązków gimnazyalnych wyjechać do Łukowa nie mógł, przyjechał stamtąd Franciszek Mickiewicz, gościł w Poznaniu dni parę, mówił z Małeckim „w cztery oczy otwarcie o wszystkiem“, a po jego odjeździe ułożył „abituryent“ swoją niepospolitą mowę, którą po wygłosze-

---

[1]) *Z Dziejów i Literatury*. Pomniejsze pisma Antoniego Małeckiego. Lwów, 1896. (K. Grendyszyński w Petersburgu), str. 194 i n.

[2]) Tamże.

niu zaraz mu prof. Popliński zabrał i, jako redaktor „Orędownika“, w czasopiśmie tem po niejakim czasie wydrukował.

Krótka ta, niezupełna i dorywcza biografia Adama Mickiewicza, była przecież p i e r w s z ą w polskim języku. Nie tyle się dziwić, że ten lub ów szczegół jest tam chronologicznie nie na miejscu, jak raczej zdumiewać się nad trafnem postawieniem całej kwestyi i śmiałem jej ujęciem. Błędami tej młodzieńczej pracy muszą się podzielić: brat poety, Franciszek, który niejedno mógł źle zapamiętać, i Francuz, Ludwik Loménie, który właśnie wtedy wydał w Paryżu broszurkę o Mickiewiczu w „Galerie des contemporains illustres“. Korzystał z tej broszurki młody mówca, „jako ze źródła“.

Uwielbienie Mickiewicza i zapał dla jego poezyi cechują tę drobną pracę, którą tak znacząco rozpoczął swą działalność pisarską Małecki. Przyszły biograf Słowackiego, już tutaj, jako 20-letni autor objawiał trwałe zalety swego talentu badawczego, już wówczas zwracał uwagę na cechy ważne, charakterystyczne, na pamięć nadzwyczajną poety, dar improwizacyjny, doniosłość otoczenia uniwersyteckiego w Wilnie, samoroduą nutę ballad i t. d. Określenie świadomości poetyckiej Mickiewicza jest doskonałe:

„Pojął Mickiewicz, co to jest być poetą, i zrozumiał, jak się ma objawiać święta, boska poezya. Wiedział, że poezya jest kapłaństwem niepokalanem, którego do płaskich, nizkich celów nagiąć się nie godzi, a poeta – kapłanem ludu, organem i głosem onegoż do Boga, do potomności“.—Tak mówił o poecie, a poezyą jego już wówczas, kiedy trwały wykłady w Collège de France, uważał jako pieśń, która „będzie kiedyś świadectwem dni naszych, to jest obrazem rzetelnym, prawdziwym, a świeżym, gdzie życie drga jeszcze, gdzie uczucia jeszcze nie ostygły. Niechaj inne narody czekają, aż się dzieje ich zamglą dawnością i fantazyą dawności omroczą. Mickiewicz tego nie potrzebował. On do swej pieśni i treść, i kształty miał przygotowane. Dosyć mu było pochwycić je, póki nie ulecą, dosyć rozkazać twórczym rozkazem: pokryjcie się ciałem! pozostańcie, jako pomnik dni naszych w najpóźniejsze lata! dosyć, mówię, było mu na tem, by najplastyczniejszą stronę życia narodowego potomności niewzruszoną przekazać“.

Tę mowę „abituryenta“ chciał widocznie student uniwersytetu uzupełnić. W mowie doszedł do znaczenia „Pana Tadeusza“, i na tem rzecz się w O r ę d o w n i k u urywa, z uwagą nawiasową: *Zdanie o prelekcyach później.* Ale uzupełnieniu stanęły na przeszkodzie lata uniwersyteckiej, sumiennej, cichej, żelaznej pracy, na której, jak na głębokich, a niewzruszonych fundamentach wznieść się miał gmach, stawiany potem przez lat dziesiątki pewną i skrzętną ręką mistrza.

Mową o Poecie zamykał młodzieniec swe lata gimnazyalne, lata pierwszych porywów i rojeń poetyckich. Odczuł piękności Ballad i ludowego ich nastroju, bo mu w piersi grały także ludowe pieśni, bo się już poczuł synem kochającym rodzinnej ziemi. Łacina i Greka nie wysuszyły w nim w gimnazyum poznańskiem źródeł natchnienia; z pól rodzinnego Obiezierza dolatywała zdrowa, wiejska nuta, a rozmarzony młodzian pisał wierszem O s t a t k i, tak mu drogie, tak ukochane, bo je dzieckiem zapamiętał [1]):

„Chcecież wiedzieć, jak się chłopcy bawią z dziewczętami
Na ostatki w Obiezierzu pod Obornikami?
Jak się bawią, jak śpiewają, jak tańczą wesoło?
Chcecież wiedzieć? To słuchajcie, obstąpcie mnie w koło".

I opowiedział kolegom wierszem potoczystym, z zacięciem, przypominającem „Sielanki" Szymonowicza, zwyczaje wiejskie w zapusty. Jest w tym wierszu i prostota, i humor łagodny, i bystrość obserwacyi, a nie brak w końcu umyślnej aluzyi do wymuszonych zabaw w mieście, sztucznie urządzanych, a tak niepodobnych do szczerej ochoty wiejskiej:

„A w mieście, cóż ludzie robią? — *Wieczorów* tam wiele,
A salony brzmią muzyką, a świec, jak w kościele!
Czy szczęśliwi na swych balach? czy się bawią szczerze?
Tańczą przecież kontredansa, rulady śpiewają,
Po francusku paplą z sobą, albo w wista grają,
Ale, żeby się bawili — temu ja nie wierzę!".

Nie na zabawę też pojechał nasz „abituryent" do wielkiego, obcego miasta, do Berlina. Dążył tam po wiedzę, z pełną świadomością jej potrzeby, z gorącem pragnieniem, żeby po latach przywieźć jej jak najwięcej i dla siebie, i dla swoich.

[1]) Dnia 28 lutego 1841 roku. Wydrukowane w *Przyjacielu Ludu*, Leszno, 1841, str. 309 — 310.

II.

Uniwersytet berliński świecił wówczas znakomitościami naukowemi. Były to czasy wszechwładnego jeszcze panowania hegelianizmu, który żył siłą tradycyi miejscowych, ale chylił się już ku upadkowi. Małeckiemu zależało przedewszystkiem na zdobyciu metody naukowej, którą chciał do polskiej zastosować wiedzy. Nic dziwnego, że młodego ucznia uniwersytetu oszołomiła zrazu i zachwyciła filozofia heglowska, tak pewna siebie, z taką powagą rozwiązująca przez tezy i antytezy wszelkie zagadnienia wieków, wznosząca się z jednej do drugiej syntezy.

Młody umysł nurzał się z lubością w tej próżni abstrakcyjnej, biorąc szych formułek i nadpowietrznych konstrukcyi za szczere złoto prawdy niewzruszonej. Skuszony tą pozorną łatwością piętrzenia idei na ideach rzucił się, z tym świętym zapałem, co mierzy siły na zamiary, do rozwiązania najtrudniejszych problematów i napisał rzecz: „*O żywej, pojmującej się i dokonywającej Narodowości*“, którą poznański „Tygodnik Literacki“ (Woykowskiego) zaczął drukować dnia 30 września 1843 roku [1]). Obracamy się tu w zaczarowanem kole terminologii transcendentalnej: *bezróżni*, *nadsprzeczne*, *jedni* i t. d. Mamy do czynienia z dyalektyką widzialną, posuwającą się w Czasie realnym, wyrzucającą z siebie kolejno coraz nowe kategorye, znoszącą je następnie jako coraz nowe momenta, wywijającą z nich znowu coraz dalsze konsekwencye...“.

Wydać się to może dzisiaj igraszką słów, goniących się jak rój jednodniówek w cichy wieczór lipcowy nad brzegiem rzeki — a przecież tkwi w tej filozoficznej rozprawie ogrom rozmyślań nad tak żywotną dla Polaka kwestyą. Takie zapuszczanie się w las gęsty pojęć i idei wymagało niecodziennej tęgości umysłowej, ostrzyło zmysł oryentacyjny w labiryncie abstrakcyj, wymagało doskonalego kompasu logiki. Studya filozoficzne nie mogły wypełnić potrzeb gorącego serca, ale były wyborną szkołą porządnego myślenia. Zaczytywał się w filozofach nowszych i starożytnych Małecki. Z rozprawy

---

[1]) Str. 306 inn.; na str. 357 czytamy po artykule o narodowości: „ciąg dalszy później nastąpi“. Nie znajdujemy jednak dokończenia tej pracy w *Tygodniku*.

o narodowości widać, że mu nawet Boehme obcym nie był. We wszechstronnem rozpatrywaniu istoty i znaczenia narodowości, stosunku jej do ludzkości, w oznaczaniu różnych „pojawów“ narodowego życia nie mógł oczywiście Małecki pominąć j ę z y k a.

Ze wszech miar godne uwagi jest, jak przyszły badacz mowy określa doniosłość języka dla narodu. W ustępie, który z zapomnianej od pół wieku rozprawy wydobywamy, znajdzie czytelnik zarazem próbkę ówczesnego filozoficznego nastroju Małeckiego:

„Język jest narodowość wewnętrzna, pochodzenie mająca z ducha, bogata w wyobrażenia i obrazy, z natury ojczystej zdjęte, ale przeczyszczone przez płomień Ducha wewnętrzny i zidealizowane przezeń: narodowość wyobrażeń, ślad stosunku narodu do miejscowości i czasowości swojej. Wielki tu już skarb istoty swojej składa naród: mądrość wyobrażeń i zapatrzenia się jego na wszystko, co go otacza i na siebie samego, będzie kiedyś zdumiewała późne jego pokolenia, będzie zdumiewała milionem lat odgrodzoną od niego Ludzkość. I bez wątpienia więcej wypowiada w języku swoim naród, niż sam wiedzieć o tem może. Duch jego jeszcze mrzący, a najwięcej jeśli *czujący się*, nie potrafił-by tego, gdyby *implicite* nie miał tej mądrości w sobie *w zarodzie*, którą mu rzeczywiście wieków prace pozyskają. Język jest potężnym a przeważnym organem narodowości; co w naturze skamieniało na martwe kształty, będąc ledwo symbolem narodowości—: to płynie tu pod pokrywą głosu i brzmienia, jak niezgłębiony potok z całym prądem nieprzebranego życia i mądrej genialnej intuicyi. Tutaj to przyszłe pokolenia czerpać będą treść ojcowizny swojej, która ich jedynie zasilać zdolna, która sama odkryć im może ich narodowość, bo sama jest narodowością. W zwrotach, brzmieniu, ukształtowaniu wyrazów i całej wogóle strukturze języka już tak dalece odbija się narodowość Ducha, że można z niej zawsze odgadnąć istotę przynajmniej jego historyi; równie i naturze położenia jeograficznego (!) tak wyraziście świadczy brzmienie mowy ojczystej, że jak wprzód mogliśmy nazwać język narodowością w brzmieniu znoszącą realność swojej natury: tak teraz dodać odwrotnie możemy, że język, gdyby był zaklęty w skamieniałe formy i massy przestrzeń zajmujące, mógł-by tylko ojczystą ziemię powtórzyć, z przyciskiem głównego piętna, które ją znamionuje“ [1]).

Ta próbka filozofii i stylu daje miarę bezgranicznego zaufania młodzieńca do ideologii, a zarazem wielkiej miłości mowy ojczystej. Umysł tak trzeźwy i rozważny, jak Małeckiego, nie mógł długo prze-

[1]) *Tygodnik literacki*, 1843, str. 323 — 324.

bywać na wyżynach transcendentalnych i nadobłocznych. Był młodym, łaknął silniejszego pokarmu i znalazł go podostatkiem w studyach historycznych, literackich i filologicznych.

Znalazł mistrzów nielada: historyi nauczał w Berlinie Ranke i Raumer, filologii klasycznej Boeckh, Zumpt i Lachmann, filozofią obok Schellinga, już starego, wykładał Trendelenburg, zrywający z Hegelianizmem, który miał przecież przedstawiciela w Michelet'cie. Młodzieży polskiej było wówczas sporo w Berlinie; kolegował Małecki z wielu rodakami, głośnymi z czasem. Kształcili się tam wówczas: Henryk Szuman, ksiądz Prusinowski, ksiądz Janiszewski (późniejszy biskup), Zielonacki, Rogier Raczyński, Szafarkiewicz i w. i. Młodzież polska miała w Berlinie własną, składkową bibliotekę, zbierała się co sobotę wieczorem, czytała, rozprawiała, roiła.

Po kilkuletnich studyach składa Małecki egzamina i otrzymuje w uniwersytecie berlińskim stopień doktora filozofii za rozprawę pod tytułem: *De Academia Vetere*, w której rozwiódł się nad systemem filozoficznym pierwszych uczniów Platona. W lutym roku 1845 złożył tamże drugi egzamin pedagogiczny i otrzymał świadectwo, upoważniające go do nauczania w wyższem gimnazyum filologii klasycznej, filozofii i historyi powszechnej. Wróciwszy do Poznania, nauczał od roku 1845 do roku 1850 w gimnazyum katolickiem łaciny, greki, języka polskiego. Czas wolny od zmudnych zajęć pedagogicznych poświęcał studyom historycznym i literackim. Silny był wówczas ruch umysłowy w dzielnicy wielkopolskiej. Obok czasopism tygodniowych, wychodziły wtedy w Poznaniu dwa miesięczne przeglądy: *Rok* i *Przegląd Poznański*. W obu umieszczał swe prace Małecki, a dość wymienić ich tytuły, aby przekonać się o różnostronności badań, o tem, co niemal równocześnie nęciło wyobraźnię i umysł młodego badacza.

Najpierw ukazała się rozprawa pod tytułem: *Porównanie pierwotnych związków społecznych u Germanów i Słowian* [1]). Nie mamy zamiaru wchodzić w szczegóły tej starannej pracy, której wyniki autor

---

[1]) *Przegląd Poznański*. Pismo miesięczne, tom III, 1846. Poznań (Redaktor dr Szafarkiewicz), str. 209—270 i 273—286. W tomie tym znajdujemy liczne rozprawy, poświęcone historyi włościan: „O służbie wojennej włościan za dawnej Polski". — „Wyjątki z historyi ludu włościańskiego w Polsce". — „Historya ludu włościańskiego w Polsce". — Ten prąd badań ówczesnych, zmierzających do rozjaśnienia doli historycznej włościan jest bardzo znamiennym i naturalnym w roku 1846. Mógł on być pobudką dla przyszłego badacza pierwiastkowych dziejów Polski do podjęcia własnych na tem polu poszukiwań.

teraz sam-by inaczej, zdaje się, określił; ale nie możemy przemilczeć, z jak szlachetnych i gorących wyszła ona pobudek. Na czele jej czytamy takie *motto* z Roepell'a, które i dzisiaj jeszcze, dzisiaj właśnie, nie straciło swej mocy: „Es wird uns Deutschen nicht leicht, den nationalen Geist der Slaven unbefangen aufzufassen und zu würdigen; aber mit dem reinen Negiren, *absoluten Verurtheilen* desselben, wie man solches in unseren (!!) Tagen gar häufig findet, kommt man sicher der Sache nicht auf den Grund".

W pracy tej żegna Małecki stanowczo i na zawsze zaciekania filozoficzne, a zadawszy sobie pytanie, „jaki rodzaj pracy umysłowej sprawie a pożytkowi powszechnemu najwięcej posłużyć może?", dochodzi do przeświadczenia, że badań filozoficznych nikt słuchać nie zechce w czasie, kiedy wre walka potęg tysiąca przeciw tysiącom innych", że obecnie pora nie tyle na filozofią rozumu, ani na filozofią pewnej wyłącznej zasady i dążności, ile raczej na filozofią dobrej woli i dobrej wiary".

A czynem dobrej woli i dobrej wiary było to studyum porównawcze o genezie dwu społeczeństw, dwu organizmów narodowych, z których jeden, germański, tuczyć się pragnął krzywdą drugiego, słowiańskiego. Filozof - historyk pragnął dotrzeć do samego jądra kwestyi, do zarodkowej komórki pierwotnego organizmu społecznego Germanów i Słowian, chciał wykazać, „w czem mianowicie, zaraz w czasach pierwotnych, zarody społeczeństwa słowiańskiego od zarodów społeczeństwa germańskiego się różniły". Wieś germańska wobec wsi słowiańskiej—oto problem zasadniczy, ważny, a samo postawienie jego i próba rozwiązania drogą p o r ó w n a w c z ą były dowodem niepospolitej na owe czasy bystrości badacza. Nie miał wtedy Małecki tych wszystkich pomocniczych zbiorów źródeł, regestów, monografij, słowem tego wszystkiego, co w kilkadziesiąt lat potem nagromadziła wiedza historyczna, która, dzięki równoczesnym i równoległym poszukiwaniom etnologicznym, lingwistycznym i heraldycznym dokonała przedwstępnej pracy i wydzieliła okruszyny prawdy z rumowiska zmyśleń średniowiecznych; a przecież jak dzielnie potyka się autor z trudnościami, jak im nigdzie z drogi nie schodził! Mamy już tu i kwestyę opola i oddzielania się rodów, i kwestye wspólnot herbowych, osad rzemieślniczych i pańszczyzny, systemu dziedziczenia kmiecego i szlacheckiego i t. d., i t. d.

Te wszystkie ciekawe i ważne kwestye genezy, które po latach *pięćdziesięciu* nie przestaną zaprzątać myśli badacza, są tu przecież dla Małeckiego tylko zbiorem narzędzi naukowych, zmierzających do przebicia się na jaśnię, do uchwycenia zarodkowych różnic dwu olbrzymich szczepów, do skreślenia znamion charakterystycznych Ger-

manów i Słowian. Małecki tak je streszcza: za cechy trwałe, rasowe Germanów uważa wojowniczość, silny a odrębny indywidualizm, nierówność społeczną, wydającą feudalizm; tym wszystkim cechom germańskim przeciwstawiają się, zdaniem autora, cechy Słowian starożytnych: rolniczość, porządek ziemski i gromadny, równość powszechna, brak tęgości indywidualizmu, a natomiast familijność i rodowość.

Jużby się mogło było zdawać, że historya powszechna, że zwłaszcza dzieje pierwotne Polski pociągną ku sobie badacza i pochłoną go na zawsze. Ale młody nauczyciel poznański rozczytywał się wówczas pilnie w prelekcyach Mickiewicza paryskich. Te mu nie dały zasklepić się w jednym, choćby najobszerniejszym, zakresie szczegółowym wiedzy. Znalazł tam wprawdzie pobudkę do zajęcia się starożytnościami etnicznemi Słowian, ale wyczytał także wspaniały rozbiór „Nieboskiej“;— a że do umysłu, wytrawionego studyami filozoficznemi, znającego na wylot Hegla i Schellinga, przemówił Irydyon potęgą swej myśli, co wieki przeżyła, to chyba wszyscy zrozumiemy.

I tem się tłómaczy, że w tym samym roku 1846, wydał Małecki obok historycznej rozprawy porównawczej o pierwotnych zawiązkach społecznych Germanów i Słowian, — świetne studyum: „*O stanowisku i dziełach Autora Irydiona*“ [1]).

Był to początek dłuższej pracy, której potem zaniechał autor, napisawszy tylko rozbiór Irydyona. Ten wstępny rozdział, sam dla siebie stanowiący całość, jest doskonale pomyślany, a pod względem stylu należy do najlepszych utworów Małeckiego. Streszczać go nie można, tak jest pełnym treści. To zaś, co tam Małecki o Zygm. Krasińskim napisał, tak jest przenikliwe, tak trafnie stawiające autora „Irydyona“ na właściwem mu miejscu, że nietylko dziś, po tylu latach, ale kiedyś pewnie, w najdalszej przyszłości, historya myśli polskiej powtórzy tylko i potwierdzi bystry sąd 24-letniego młodzieńca. Uznawszy dzieła „bezimiennego autora“ za „wielce ważne, najważniejsze może z ostatnich faktów naszej literatury“, przystępuje Małecki do ich oceny tem skwapliwiej, „że mało są dotąd rozpowszechnione, mało czytane, wielu nawet nieznane...“. Ten dziwny brak popularności tłómaczy autor bardzo trafnie tym, tyle w naszem społeczeństwie mówiącym argumentem, że autor „Nieboskiej“ „nie należy do żadnych z wojujących dziś partyj“. Nie rozumie tego ogół, że są ludzie wyżsi, którzy dlatego nie podzielają wyłącznie tych lub owych przekonań stronniczych, „że już je przeszli i wyszli po za ich obręb“, Ta-

[1]) „Rok 1846“. Zeszyt lutowy. Rozprawa ta przedrukowana jest w książce pod tytułem: „Z Dziejów i Literatury“, str. 1 — 9.

kim jest twórca „Nieboskiej". „W tym razie nienależenie do żadnej partyi będzie cechą ducha wyrobionego i wyprzedzającego czas swój". Kto jednak do prawdy wyższej zdołał się wznieść, „ten zwyczajnie od różnych różnie pojmowany, każdej partyi za nieprzyjaciela uchodzi". Autor „Irydiona" u demokratów uchodzi za arystokratę. „Czemu?—bo z niepięknej strony odsłonił zamysły Pankracego i jego zastępów; u arystokracyi, przeciwnie, za demokratę okrzyczany—a czemu? bo wystawił w tem-że dziele w przerażającem świetle wszystkie te stare, dziś przedawnione uczucia, które władały dawnemi czasy feudalizmem, później arystokracyą. Jeżeli zechcemy pójść dalej, obaczymy, że ortodoksi z niechęcią o nim wspominają, bo to zasady nienarodowe, niekatolickie, bo to filozofia". Filozofowie ze swej strony zarzucają mu znowu zbytnią fantazyę i uczuciowość, „która pochodzi z przesadzonego religijnego kierunku (!) i nie cierpi tej wolności, która wszelkiego myślenia swobodnego a samodzielnego jest niezbędnym warunkiem". Inni znowu do Towiańszczyzny go liczą! Owóż chaos wyobrażeń, zgiełk sądów różnych, sprzecznych o człowieku tym samym. — Każda partya odsyła go do drugiej, sobie przeciwnej; podczas gdy on do nich wszystkich w połączeniu przyznać się może, oczyściwszy naturalnie każdą z tej pleśni, przez którą wyrzuca się na wierzch nurtująca we wnętrzu ich nienawiść. Autor nasz wyrzekł się nienawiści pierwiastków jednych dla miłości pierwiastków innych: i tem jednem już je z sobą złączył, by mu wszystkie służyły, by go wyniosły tam, dokąd żaden pojedyńczo nie doprowadzi. W tem jasnem spojrzeniu na całą prawdę, a nie na niektóre tylko strony prawdy, — w tem ujęciu wszystkich władz umysłu ludzkiego w jedną siłę, czy ją tam nazwiemy fantazyą twórczą, czy intuicyą, czy duchem, w tej mówię zupełnej i całkowitej wszystkiego ducha pracy, ukryta leży tajemnica wysokości stanowiska autora naszego, którem się od innych naszych poetów różni i którem ich prześciga".

Nie wiem, czy od czasu, gdy to było wydrukowane, pojawiło się głębsze, trafniejsze, sprawiedliwsze określenie natury duchowej, znaczenia i stanowiska Zygmunta Krasińskiego. Małecki czuł dobrze, jak wiele tu twierdził wobec powszechnej wówczas obojętności ogółu dla arcydzieł myśli naszej; to też szczegółowo uzasadnia swój sąd, dowodzi znakomicie, dlaczego autor „Irydiona" „ludzkości całej poetą nazwany być powinien", dlaczego widzi w nim „prawego i dalej

[1]) „Z Dziejów i Literatury", str. 5 — 6.

poezyę prowadzącego, następcę Mickiewicza". Ta drobna rozmiarami rozprawka o dziewięciu stronach druku, tworzy epokę dla badań nad Zygm. Krasińskim. Była to jakby uwertura wielkiej opery filozoficznej, od dziejów „Nieboskiej" począwszy aż do złotych zórz „Przedświtu". Nieodżałowaną jest stratą dla piśmiennictwa naszego, że z opery tej jeden zaledwie akt pozostał: rozbiór Irydiona. Że do rozbioru tego przystąpił autor po głębokiem zastanowieniu się nad myślą przewodnią *Nieboskiej*, widać to choćby z tych ustępów, gdzie porównywa spotkanie się Irydiona i Aleksandra Sewera z dyalogiem Henryka i Pankracego [1]). Uważa wreszcie Małecki, w końcowym ustępie pierwotnego tekstu, Irydiona za „ślad wyższego (od Nieboskiej) stanowiska". Cały rozbiór Irydiona jest właściwie filozoficznem jego streszczeniem; widzimy dziś dokładnie zamiar wydzielenia z poematu (nazwanego pierwotnie przez Małeckiego: tragedyą) pierwiastków ideologicznych.

Estetyczna strona arcydzieła nie obchodzi prawie naszego krytyka. Natomiast dla filozoficznej ma sąd dziwnie przenikliwy; ma poprostu nietylko współczucie dla Irydiona, ale jakby współwiedzę najtajniejszej myśli autora. Zygmunt Krasiński tak był zdumiony tą analizą Irydiona, że, dziękując Gaszyńskiemu gorąco za jej przysłanie, pisał z Nicei, 2 maja 1847 roku. „To prawda, że ten krytyk, jak nożem chirurga, ale doskonałego, rozerznął na najdrobniejsze muszkuły, ścięgna, włókna, żyłki, arteryjki Ducha Irydionowego. Czytając, czułem to, co muszą czuć ci, którzy eteru zażywszy, są dyssekowani. Dziwne wrażenie, bezbolesne, a jednak to twe ciało rzną i to twa krew płynie". Zważmy, że poeta, który tak chętnie polemizuje, ilekroć spotka się z niezrozumieniem swej myśli (przypominam tylko odparcie zarzutów L. Ulrycha w liście do Gaszyńskiego), tutaj ani jednego zarzutu nie stawia; tylko drażliwa i wrażliwa jego natura poetycka nie posiada się z podziwu, że ktoś tak bystro, tak głęboko, a nie sprawiając bolu, przedostał się do najskrytszych tajni jego twórczości. Musimy tu oprzeć się pokusie, aby szczegółowo przedstawić zapatrywania Małeckiego na „Irydiona": przekroczyło-by to znacznie rozmiary szkicu niniejszego, a uwagi nasze nie dały-by się zamknąć w kilku zdaniach już choćby z tego tylko względu, że Małecki, przedrukowawszy w roku 1896 w „Pomniej-

[1]) Wyraźnie świadczy o tem zresztą następujące zdanie (Przegl. Pozn., 1847, str. 219, w przypisku): „Część ta pisma naszego, gdzie wyjaśniliśmy znaczenie i skład organiczny *Komedyi*, dotąd drukiem ogłoszona nie została".

szych pismach“ rozbiór „Irydiona“ z roku 1847, poczynił w nim znaczne pod koniec zmiany, skreślił ustępy niektóre, dodał inne, uwydatnił postać Masynissy, określił dokładniej stosunek jego do Kościoła, zmienił wreszcie pogląd na ideę, „kamień węgielny“ Irydiona. Mamy tu zatem do czynienia z d w o m a zapatrywaniami autora na ten sam utwór; jedno wygłasza młodzieniec, drugie mąż dojrzały półwiekowem doświadczeniem. Rzecz-to sama w sobie ciekawa i godna szczegółowego rozpatrzenia, którego wyniki może z czasem podamy [1]). Teraz śpieszno nam do dalszych kolei życia, do tak licznych innych prac Antoniego Małeckiego.

III.

Kiedy tak nauczyciel poznański przez lat kilka pełnił spokojnie obowiązki gospodarza klasy („ordynaryusza“) po kolei: w sekście, quincie, wyższej kwarcie, tercyi i niższej sekundzie; kiedy otaczał go rój uczniów, lgnących z miłością do takiego kierownika nauk, naraz w roku 1850 otrzymał Antoni Małecki wezwanie Uniwersytetu Jagiellońskiego na katedrę filologii klasycznej. Na czele rządu austryackiego stał hr. Leo Thun, życzliwie dla Galicyi usposobiony. W uniwersytecie krakowskim zaczęły się wykłady w języku polskim, wygłaszane przez ludzi tej miary i zasługi, co Józef Majer, Józef Muczkowski, Skobel, Wincenty Pol,z młodszych: Józef Kremer, A. Helcel, Zielonacki i inni. Do tego-to grona przyłączył się Małecki i z młodzieńczą energią jął się pracy na takiem, tylowiekową tradycyą uświęconem polu. Obok zajęć uniwersyteckich, rząd powierzył mu dyrekcyę gimnazyum Ś-ej Anny z zadaniem zreorganizowania go

[1]) Różnice tekstu zaczynają się w książce: „Z Dziejów i Literatury“. (Pomniejsze pisma) 1896 r., na str. 39 od słów: „Przez cały przebieg dramatu...“. Tekst pierwotny urywa się na zdaniu: „Masynissa porywa w objęcia i zapada z nim“. Ob. „Przegl. Pozn.“, 1847, str. 214, ostatni wiersz u dołu. Dwudziestu dwom stronicom pierwotnego tekstu odpowiada w przeróbce z roku 1896 ośm stronic. Nieraz zasadnicze pojęcia uległy zupełnej odmianie. Pojęcie naprzykład Szatana („Przegl. Pozn.“, 1847, str. 220), nie ostało się w przeróbce. Szczegóły liczne musimy tu pominąć.

według nowego systemu. Małeckiemu paliła się, rzec można, robota w ręku. Już w końcu pierwszego roku pobytu w Krakowie ogłasza drukiem wykłady swe uniwersyteckie, miane w półroczu letniem roku 1850, pod tytułem: „Prelekcye o filologii klasycznej i jej encyklopedyi“ (Kraków, 1851, stron 252). Był to naturalny całkiem początek zawodu profesorskiego: zaznajomienie słuchaczów z istotnem znaczeniem i umiejętną dążnością nauk filologicznych. Jak to pojmował nowy profesor, widać dokładnie z prelekcyi wstępnej, dziś jeszcze przejmującej wzruszeniem. Mówi tam „mieszkaniec innych stron, na Wielkopolskich wychowany równinach“, który „od najpierwszej młodości z czcią i uwielbieniem zwracał myśl swoją ku tej matce wszystkiej oświaty naszej“.

Te prelekcye o filologii klasycznej, nawet dziś, po pięćdziesięciu latach, nie straciły zasadniczej wartości. Uprzedzenia przeciw językom klasycznym były takie same u nas wtedy, jak i dzisiaj, równe przeciw filologii klasycznej zacietrzewienie, równa krytykowanego przedmiotu ignorancya. Małecki zna wszystkie zarzuty i spokojnie, poważnie się z niemi załatwia. Nie będziemy tu powtarzać jego głównych argumentów, zwłaszcza gdy tak niedawno, na tem samem miejscu, wytrawny, długoletni pedagog, znakomity filolog, prof. Bronisław Kruczkiewicz, tę samą kwestyę wszechstronnie objaśnił. Tu radbym tylko zaznaczyć, że w książce swej Małecki nie stoi bynajmniej na stanowisku pedantycznem. Zna on wybornie odwrotną stronę medalu i wyraźnie stwierdza, że „kierunek wyłącznej i wyłączającej erudycyi coraz więcej schodzi z pola; blednieje szkolna lampa wobec słońca, wlewającego coraz rzęsistsze promienie swoje razem z pełniejszą życia umiejętnością, w posępne dawniej sklepienia pracowni filologicznych“. Ten profesor filologii jest zarazem Polakiem i doskonale rozumie, że w „Polsce ubóstwianie rzeczy starożytnych nietylko znaczne wyrządziło szkody w zakresie piśmiennictwa i języka ojczystego; ale, co gorsza, wiele sprawiło zamętu w dziedzinie dziejowej i politycznej“.

A przecież Małecki zachęca do studyów filologicznych, i stwierdziwszy ujemne ich strony, wynikające ze złego rozumienia celu i znaczenia filologii klasycznej, pragnie, by młodzież nasza, pokonywając trudności tej nauki, przywykała do wyrabiania w sobie hartu woli, tak potrzebnej do zwalczania trudności życia. Bo filologia, wyszedłszy na pozór od rzeczy, nie mających najmniejszego związku z życiem bieżącem, doprowadzi w końcu wytrwałego ucznia „do życia napowrót, dając mu w nagrodę spojrzenie na świat jasne, bystre i wysokie: trafność sądu i czerstwość woli“.

Część druga książki wylicza najważniejsze gałęzie filologii klasycznej. Niemiec był-by tu dał rzecz nudną, suchą i ciężką. Uczeń Boeckh'a i Lachmanna, ma trwałą podstawę naukową, a buduje na niej gmach estetyczny i harmonijny. Aparat bibliograficzny tych prelekcyj ma dziś oczywiście tylko historyczną wartość; ale książka ta tyle zawiera cennych spostrzeżeń, hojną dłonią sianych, tak umie ożywić klasyczną przeszłość ciągłem przypominaniem świetnych momentów poezyi wszechludzkiej, że ustępy jej czytają się i z zajęciem i z trwałym pożytkiem. Małecki włada tam, jak mistrz, olbrzymią skalą swej erudycyi wszechstronnej. Objaśniając istotę romantyzmu wobec klasycyzmu, to przytacza ustęp „Irydiona", to przeciwstawia „Odyssei" „Komedyą Boską" Danta. — Shakespeare, Goethe i Schiller wchodzą do rozbioru arcydzieł greckich i rzucają promienie swych arcydzieł na rozjaśnienie Antygony, Elektry i Edypa. W tych prelekcyach objawił się nietylko dzielny filolog, ale przerastający go o wiele poeta.

Filologia klasyczna miała, zdaniem Małeckiego, wyrabiać w swych adeptach, prócz pewnej sumy wiadomości fachowych, hart woli; miała uczyć, jak się zwalcza trudności życia. Niespodziewanie nadeszła chwila, w której profesor miał na sobie samym wypróbować, o ile teorya wytrzyma praktykę. W sam nowy rok 1853 otrzymał Małecki z Wiednia dymisyę. Pokątnym jakimś intrygom udało się podstępnie oczernić ludzi nauki i pozbawić ich stanowiska. Pol, Małecki, Helcel i Zielonacki stracili katedry, Uniwersytet krakowski swe największe ozdoby. Samorząd uniwersytetu obalono, mianując z urzędu dziekanów. Nie pomogła dymisyonowanym osobista życzliwość prezesa ministrów, Thuna. Małecki powrócił do Poznania, gdzie wystarał się o skromne stanowisko profesora łaciny i historyi w szkole realnej. *Aequam memento rebus in arduis servare mentem*... Próba była ciężka— szczęściem bez szkody dla polskiej literatury.

Ewangieliczne słowa: „Przyjacielu! posiądź się wyżej!", nie dały długo na siebie czekać. Thun już w listopadzie tegoż roku ofiarował Małeckiemu katedrę filologii klasycznej — w Insbrucku. Istotnie znacznie to było wyżej, niż w Krakowie, ale nie milej. Dwa lata (1854 - 1856) spędził Małecki w Tyrolu, w tej Syberyi austryackiej, jak się sam wyrażał — uroczej dla oczu, przez poczciwy lud zamieszkałej, ale smutnej i pustej. „Gdybym był Niemcem, pewnie-bym gdzieindziej mieszkać nie chciał, ale...".

To *ale* kazało mu Insbruck za nową próbę „trudności życia" uważać. Dymisya krakowska przerwała była różne prace, między innemi rzecz o teatrze i dramacie greckim, z której wyjątki dopiero

w lat kilkanaście potem doczekały się druku [1]). To zajęcie się dramatem klasycznym zwróciło fantazyę twórczą w tymże kierunku. Wyszła Elektra Sofoklesa w przekładzie Maleckiego w Poznaniu 1854 roku. W ślad za nią tragedya, na podaniu historycznem osnuta, w pięciu aktach, pod tytułem: „List żelazny“, a w następnym roku (1855) komedya w czterech aktach, pod tytułem: „Grochowy Wieniec, czyli Mazury w Krakowskiem“. Wymowny to był dowód, jak zetknięcie się umysłu poetycznego z nieśmiertelnemi tworami helleńskiego ducha działało ożywczo i zapładniająco na twórczość, bez uszczerbku dla narodowego jej kierunku. Na obczyźnie nie przestawał profesor marzyć o kraju i służyć mu; wśród gór tyrolskich fantazya roiła o dalekich czasach Michała Korybuta, o tragicznym wątku „Listu żelaznego“, który w tych właśnie latach dwu wydań się doczekał. Jako tłómacz Sofoklesa, dążył do jak najwierniejszego oddania nietylko treści utworu, ale i jego formy, rytmiki. Chciał dać przykład, jak tragedye greckie powinny być na język nasz przekładane. A że przykład ten był potrzebny i był skuteczny, o tem świadczy pięknie współzawodnik Małeckiego na tem polu, Kazimierz Kaszewski. Przyznaje on, że przekład Elektry „jest nietylko dosłownem niemal tłómaczeniem tekstu, ale go ściśle co do rytmu i miary na język nasz przenosi, czyli stanowi możliwie wierne odbicie pierwowzoru, jakby postaci jakiejś w źwierciedle. Ta ścisłość, z jaką Małecki dokonał przekładu Elektry, nie poszła na marne w dalszym ciągu prac tego rodzaju. Można się było zgodzić z nim, lub nie zgodzić na metodę, ale po takim wzorze wierności każdy przedsiębiorący podobną pracę, czuł się obowiązanym szanować, ile możności, jeśli nie wszystkie drobiazgi, to przynajmniej charakterystyczne rysy pierwowzoru“ (*Wędrowiec*, z dnia 16 listopada 1901 roku, № 46, str. 909).

Przekład *Elektry* był wyborną szkołą dla dramaturga. Uczył zwięzłości i mocy stylu, dawał wzór wzniosłej tragiczności. Próby ujęcia dziejowych naszych zdarzeń w ramy dramatu, lub tragedyi, nie były, jak wiadomo, pomyślne. Małecki śmiałą ręką, niespodziewanie zapewne dla wszystkich współczesnych, co o nim tylko jako o profesorze filologii słyszeli, sięgnął po laur dramaturga. Dał nam historyczną tragedyę i historyczną komedyę, dwa sceniczne utwory, które wytrzymały i próbę sceny i — co ważniejsza, próbę czasu. „Grochowy wieniec“, utwór, napisany przed czterdziestu sześciu laty, odegrano

---

[1]) „Ustępy z historyi dramatu greckiego“. *Biblioteka Ossolińskich*. Poczet Nowy. Tom IX. Lwów, 1866, str. 62 — 80. Tom X, str. 80 — 145.

na scenie warszawskiej 2 lipca 1897 roku z takiem powodzeniem, że odtąd grano tę komedyę już czterdzieści pięć razy, i nieraz jeszcze grać będą [1]).

List Żelazny nie miał takiego powodzenia na scenie. A przecież mało mamy w naszej literaturze dramatycznej utworów, które-by mogły się zmierzyć z „Listem Żelaznym". Nikt przed Małeckim nie umiał wydobyć z bolesnego tematu pańszczyzny takiego iście tragicznego założenia: szlachcic ambitny, u celu marzeń będący, w przededniu ślubu z ukochaną dziewicą, dowiaduje się, że jest synem chłopskim, w kolebce przez mamkę zamienionym, że z dumnych rojeń strącić go ma w przepaść poddaństwa fakt prosty, a w Polsce stanowczy: nie jest „urodzonym". Walka duchowa, jaka się w tym człowieku toczy, i zwolna, lecz stale, do zbrodni go wiedzie, skreślona jest z wielką znajomością duszy ludzkiej. Spotkanie z matką wstrząsa do głębi. Całość rzucona jest na tło ponure, dziejowe, bez przesady skreślone. Znajomość epoki ogromna, a język szczeropolski, miejscami z powodu białego wiersza do złudzenia przypominający „Odprawę posłów greckich", pozostanie trwałą ozdobą tej przejmującej tragedyi. W pojęciu swem zasadniczem jest ona iście klasyczną: jak fatum nad rodem Labdakidów, tak tutaj, nad tą polską tragedyą, straszne, nieubłagane fatum przesądu kastowego, pańszczyzny, zawisło — a widz polski w ambitnym i zapamiętałym synu Marty, wieśniaczki, ma jakby wcielenie wiekowego grzechu polskiego, ucisku poddaństwa, który w końcu mści się na sobie samym. Dla ogółu teatralnego jest może „List Żelazny" zbyt ponury, zbyt poważny, zbyt wreszcie treściwy. Ale może nadejść czas, w którym będzie powszechniej rozumiany.

Kto dolę kraju tak na wskroś rozumiał i tak gorąco ukochał, temu pobyt na obcej ziemi ciężył kamieniem na sercu. Starał się autor „Listu Żelaznego" o powrót do jednego z dwu uniwersytetów galicyjskich. Dowiedziawszy się z programu wykładów lwowskich, że katedra literatury polskiej nie jest tam obsadzona, zwrócił się Małecki do ministra, hr. Thuna, najpierw listownie, wreszcie osobiście z prośbą o udzielenie mu tej katedry lwowskiej. Thun — oddajmy mu sprawiedliwość — traktował sprawę poważnie. Ponieważ chodziło nietylko o historyę literatury, ale także o język polski, wymagał prezes ministrów od Małeckiego dowodów, że potrafi wykładać gramatykę polską porównawczo, to jest z uwzględnieniem innych języków sło-

[1]) Ob. artykuł D. Zglińskiego w *Wędrowcu*, 1901 roku № 46, str 912: „A. Małecki jako dramaturg".

wiańskich—i odesłał go do znanego slawisty, Fr. Miklosziса. Ten zachęcił Małeckiego do wyuczenia się języka starosłowiańskiego [1]). Małecki nie wiedział zrazu, czego chcą od niego; ale był to warunek konieczny do uzyskania upragnionego w kraju stanowiska. Zabrawszy z księgarni wiedeńskiej wszystkó, co Mikloszić z zakresu starosłowiańszczyzny wydał i napisał, z całą paką nieznanych sobie dzieł wrócił Małecki do Insbrucku i zasiadł do studyów starosłowiańskich: „Kiedy się zabierałem do tego, — pisze Małecki [2]), — drwiłem z wymaganego warunku. Sądziłem, że to bzik, żeby ten stary mamut zdał się na co, na pożytek dzisiejszej polszczyzny. Ale ja-bym się był uczył z równym zapałem i po japońsku, skoro to miało być warunkiem odzyskania życia w ojczyźnie. Już po trzech dniach tej nauki otwarły mi się oczy i zatopiłem się w tych studyach z całem zamiłowaniem".

W trzy miesiące, od Wielkiej Nocy do Ś-go Jana 1856 roku, przestudyował Małecki wszystko, co Mikloszić napisał, dał tego zadowalające dowody, a kiedy w lipcu tegoż roku przejeżdżał przez Wiedeń w Poznańskie, już go Thun zapewnił o niedalekiej nominacyi na profesora języka i literatury polskiej w Uniwersytecie lwowskim. Nominacyę tę podpisał Franciszek Józef I dnia 22 sierpnia 1856 roku ku zupełnej niespodziance Uniwersytetu we Lwowie, a nawet namiestnika Galicyi, hr. A. Gołuchowskiego.

Przed Małeckim otworzyło się rozległe pole działania wśród swoich i dla swoich.

IV.

Początki nie były łatwe. W latach owych germanizacyjny prąd nie osłabł był jeszcze. W uniwersytecie lwowskim wszystko wtedy odbywało się po niemiecku. Małecki odważył się na wykład polski po

---

[1]) Szczegółowo opowiada to sam A. Małecki w „*Historyi Uniwersytetu Lwowskiego*", napisanej przez d-ra L. Finkla i d-ra Stanisława Starzyńskiego (Lwów, 1894, str. 335 i dalsze).

[2]) W liście do mnie (z dnia 13 stycznia 1902 roku), w którym łaskawie niejeden szczegół życia swego i działalności wyjaśnił.

naradzie ze starym, doświadczonym bibliotekarzem, Strońskim. Miodowe lata pierwszych wykładów języka polskiego i starosłowiańskiego były „rekreacyą“, domowej pracy nie wymagały. Więcej trudu sprawiało spisywanie zeszytów do wykładu historyi literatury. W roku 1859 rozpisał Wydział krajowy wspólnie ze szkolnym departamentem Namiestnictwa konkurs na gramatykę języka polskiego dla szkół średnich. „Na razie nie miałem zamiaru wdawać się w tę aferę, tak daleką od mych estetyczno-literackich i aspiracyj, i zajęć. Ale znajomi i życzliwi, głównie Bielowski, Pilat (ojciec dzisiejszych), Szajnocha, miru mi nie dawali, namawiając, żebym wziął udział w konkursie. Sam musiałem im przyznać słuszność, że od tej sprawy się nie wybiegam, planowanej przez Wydział już od roku 1845, dotąd bez skutku, i ponowionej w 1859 roku.

„W ciągu roku *dwie* gramatyki (r. 1860) oddałem do ocenienia. Trutynowano rzecz do końca roku 1862! Wygrałem, i tak wszedłem w poczet gramatyków, do którego więc tylko zewnętrzne okoliczności mnie przyłączyły. Druk gramatyk z końcem roku 1863“ [1]).

Obok większej gramatyki, przeznaczonej dla starszych, wydał Małecki jej skrócenie dla szkół średnich z zastosowaniem do umysłu młodocianego; a więc z konieczności traktowała gramatyka mniejsza reguły dogmatycznie. Szkolny ten podręcznik rozszedł się w niezliczonem mnóstwie egzemplarzy i doczekał się już ośmiu wydań. Znaczenie „Gramatyki“ trafnie scharakteryzował doskonały znawca przedmiotu, Ad. Ant. Kryński: „Pojawienie się „Gramatyki“ Małeckiego było wypadkiem, ważnym dla nas z dwu względów. Przedewszystkiem miała ona doniosłe znaczenie pedagogiczne; przy pomocy bowiem tej książki, pierwiastki wiedzy językoznawczej wprowadzono do nauki języka polskiego, co zarazem podnosiło poziom nauczania tego języka; powtóre, zasady naukowe, w tem dziele zawarte, sprowadziły w szerszych kołach zmianę w pojmowaniu i traktowaniu nauki języka ojczystego“ („Wędrowiec“, j. w., str. 905). Do tych zwięzłych słów uznania dodać chyba możemy to tylko, że mało znamy książek, tak praktycznie dla szkoły średniej ułożonych, tak ponętnych nawet (o ile książki szkolne mogą być ponętne) dla młodzieży dorastającej, lat 10—13. Zwłaszcza składnia zdumiewa bogactwem trafnie dobranych przykładów, które drażnią ciekawość chłopięcą, wbijają się same w pamięć, a że są opatrzone nazwiskami autorów, tworzą

[1]) List z dnia 13 stycznia bieżącego roku.

zatém jakby pierwszy, bezwiedny, samoistny podkład dla przyszłej nauki o dziejach prozy i poezyi polskiej [1]).

Profesor języka polskiego był zarazem profesorem literatury polskiej. Uczyniwszy zadość obowiązkom gramatyka, wypełniwszy dotkliwy brak książki niezbędnej — zwrócił się Małecki z całym zapałem do dziejów piśmiennictwa polskiego. Wykłady jego były tłumnie uczęszczane. „Pociągały one—pisze prof. Finkel—prostotą formy, przemawiającą do każdego umysłu, a głębokością i gruntownością studyów zadziwiały. Wszystkie epoki literatury objął w swoich prelekcyach“ [2]). Rozgłos tych wykładów sprawił, że w roku 1862 Małecki otrzymał wezwanie od margr. Wielopolskiego na katedrę w Szkole Głównej w Warszawie i, ulegając namowom Papłońskiego, postanowił przypatrzeć się stosunkom na miejscu, pojechał na dni kilka do Warszawy. Ofiarowano wówczas Małeckiemu cztery zajęcia: profesorstwo w Szkole Głównej, w Akademii Duchownej, następnie nadzór nad wychowaniem dzieci Wielkiego Księcia Konstantego i uczenie samego Wielkiego Księcia polskiego języka. Z wielkimi honorami przyjmowano wtedy Małeckiego u Wielopolskiego, Enocha i Krzywickiego. Ale margrabia zraził go swoją wyniosłością. Wróciwszy do Lwowa, odpisał stamtąd Małecki, że nie może się przenieść do Warszawy [3]).

Niebawem nastały w Galicyi czasy lepsze dla języka narodowego, jakkolwiek walka o prawa autonomiczne była jeszcze ciężka. Sala wykładowa Małeckiego nie mogła pomieścić trzystu jego słuchaczów. Na rozbiór „Króla Ducha“ zapisanych było stu pięćdziesięciu trzech. Z trudem udało się wywalczyć w Senacie akademickim udzielenie większej sali. „Małecki mówił zawsze, nigdy nie czytał swych prelekcyj. Forma wykładu była pełną naturalności i prawdziwie szlachetnej prostoty. Władał zawsze tematem, nigdy mu się porwać nie dał... W chwilach tylko, kiedy znakomity profesor wnikał w istotę natchnienia któregoś z wielkich poetów, kiedy zstępywał w ten ta-

---

[1]) W szesnaście lat potem wydał Małecki nowe dzieło pod tytułem: „Gramatyka historyczno - porównawcza języka polskiego“. Lwów, 1879. Tom pierwszy, str. XII + 490. Tom drugi, str. 546. Nie jest to drugie, poprawne wydanie gramatyki z roku 1863, lecz zawiera zupełnie nowy wykład, rozwinięty na obszernej historyczno-porównawczej podstawie; zaledwie jedna trzecia osnowy ma podobieństwo do dawnej gramatyki. Tę nową podstawę określa autor w „Przedmowie“ z roku 1879.

[2]) „Historya Uniwersytetu Lwowskiego“, j. w., str. 336.

[3]) „Historya Uniwersytetu Lwowskiego“, j. w., 337.

jemniczy, a wspaniały świat twórczości poetyckiej, kiedy wskazywał słuchaczom swoim najpromienniejszą stronę rozbieranego właśnie utworu, lub w końcu kiedy przychodziło mu szukać do słów poematu komentarza w kolejach i boleściach życia poety — wówczas głos ten spokojny stawał się dziwnie wymownym i wzruszającym, a oko profesora iskrzyło się blaskiem zapału, lub wzruszenia, które magiczną siłą porywały najobojętniejszego nawet słuchacza“ [1]).

Wykłady takie szerzyły znajomość literatury, budziły w słuchaczach zapał dla poezyi, uczyły, jak czytać i gdzie szukać estetycznych rozkoszy. Doniosłość ich nie da się dziś nawet dokładnie zmierzyć i ocenić, jak niepodobieństwem jest obliczyć, ile plonu w lecie przyczyni cichy, ciepły, obfity deszcz na wiosnę. To pewna, że poziom wiedzy literackiej w Galicyi rósł od tych wykładów, że setni słuchacze, późniejsi nauczyciele gimnazyalni nieśli z sobą w głuszę prowincyonalną zapas obfitych myśli, starczących na wypełnienie jałowych dni małego miasteczka, pobudzających do namiętnych, długich koleżeńskich dysput i gawęd.

Kto chce mieć wyobrażenie o metodzie wykładów ówczesnych Małeckiego, niech odczyta dwie jego monografie literackie o Morsztynie i o Fryczu Modrzewskim [2]). Znajdzie tam masę nowych (na owe czasy) szczegółów, podanych w tak prostej a ponętnej formie, że zrozumie najlepiej, czem były w szóstym dziesiątku lat zeszłego stulecia takie wykłady — i ile im dalszy rozwój naszej historyi literatury zawdzięcza. Zasadniczą jest zwłaszcza rozprawa o Andrzeju Fryczu Modrzewskim. Wstęp do niej jest jakby programem działania naukowego, mądrym i do naszych potrzeb tak trafnie zastosowanym, że pod tem hasłem Małeckiego działali, działają i działać będą historycy literatury. Wykazawszy, jak pochopnie brali się u nas kompilatorzy do różnych „historyj“, „zarysów“ i „obrazów“ literatury polskiej, bez sprawdzania podawanych faktów, bez wyjaśnienia licznych, nietkniętych zagadek, mówi tak dalej: „Pracujemy od niejakiego czasu nad historyą literatury w taki sposób, jakby część materyalna nauki zupełnie już była załatwiona, i jakby zależało tylko jeszcze na umiejętnem i artystycznem utworzeniu całości z materyałów nagromadzonych. A tymczasem w rzeczy samej największa potrzeba zachodzi właśnie co do samych-że materyałów. Bo z tych, które mamy, w dzisiejszej chwili trwałego i dogodnego gma-

[1]) *Gazeta Lwowska* (feuilleton) r. 1874, № 5. Ustęp powyższy przytoczył J. I. Kraszewski, l. c., str. 192.

[2]) Przedrukowane w pomnicjszych pismach: „Z Dziejów i Literatury“.

chu wznieść nie potrafi najzręczniejsza ręka! Są bowiem niedostateczne, wątpliwe, niezdatne. Są to po największej części cegły z niedobrej gliny, i kruszą się na pierwsze uderzenie krytycznej kielni...“ [1]). Tylko niektóre działy piśmiennictwa, poezya i historya, są jako tako obrobione. „Ale dalsze przestrzenie literatury, czy to w wieku zygmuntowskim, czy w epokach temuż wiekowi przyległych, w smutnym okazują się stanie. Jest to ugor, którego pewne tylko punkta poruszył lemiesz oracza. Są to rozłogi dalekie, obszerne, nieprzejrzane, ale bez stałych osad. Są to kraje, o których umiejętna geografia mało co umie powiedzieć, i które tradycya tylko zapełnia podaniami, lecz nie podaniami badaczów, ale dyletantów, lub kupców, co kiedyś tamtędy przejeżdżali...“.

Cóż ma wobec takiego stanu rzeczy robić pisarz sumienny, chcący objąć cały ogrom literatury, a uważający sobie za obowiązek „nie przyjmować do obrazu swojego, jak tylko twierdzenia i wiadomości *pewne*, sprawdzone, pojaśnione dostatecznie?“. Jak smutne jest jego położenie! Doświadczył tego na sobie Małecki. „Trzeba co chwila budowniczą pracę nad całkowitem przeszłości naszej umysłowem przedstawieniem przerywać i zwracać się do krytycznych, c z ą s t k o w y c h rozpatrywań, dotyczących to tego, to owego szczegółu. Robota taka postępuje zwolna i zbyt trudna jest jak na siłę pojedyńczej osoby“. I dochodzi się koniecznie do tego wniosku, że musi nastąpić rozumny podział pracy, i że trzeba przedewszystkiem dobrych cegieł, jeśli budynek ma być trwały, że trzeba „badań częściowych, z których-by się dała *kiedyś* złożyć zupełna, porządna, wszelkim wymaganiom zadość czyniąca całość. M o n o g r a f i e zatem stanowiły-by dzisiaj najwłaściwsze zadanie pracy, a nie całkowite, coraz nowe historye piśmiennictwa, do których tylu ciągle widzimy porywających się ochotników“ [2]).

Na takie rozumne *mot d'ordre*, rozpoczęła się mrówcza praca zbiorowa, ukazał się i ukazuje szereg *monografij* historyczno-literackich, które tworzą silną i trwałą podstawę dla naukowej historyi literatury polskiej. Jeśli dzisiaj trzej historycy literatury mogli nas obdarzyć dziełami, obejmującemi całość spuścizny duchowej ubiegłych wieków, to niewątpliwie jest w tem dużo zasługi Małeckiego, który przed 35-u laty wydał rozumne hasło podziału pracy i naukowego przygotowywania materyału. Jest to tak w oczy bijąca prawda, że ilekroć w wymienionych historyach literatury, które w tych

---

[1]) *Biblioteka Ossolińskich*. Tom piąty. Lwów, 1864, str. 125.

[2]) Tamże, str. 127.

latach się pojawiły, okres jakiś mniej nas zadowala, po bliższem wniknięciu w przedmiot pokaże się na pewno, że historyk nie mógł tu lub tam oprzeć się na dzielnych monografiach, że, mówiąc stylem Małeckiego, zmuszony był użyć cegły „z niedobrej gliny", która nie wytrzymuje uderzenia krytycznej kielni.

Nie wynika z tego, abyśmy mieli mnożyć bez końca monografie i na długie lata odkładać próby ujęcia tych monografij w jakąś syntetyczną całość. Sam fakt pojawienia się współcześnie trzech historyi literatury polskiej jest bardzo znamiennym i pocieszającym objawem. Jest to jakby wielki przegląd sił zbrojnych naukowych, przegląd konieczny od czasu do czasu, sprawdzenie pozycyi, awanse i degradacye, na które pozwala sobie wszechwładny pan, *Czas*, i potężna królowa—Opinia.

Monograficzne opracowanie Morsztynów i Modrzewskiego miało być dla młodszych zachętą i nauką, wzorem i przykładem, co można zrobić dla pisarza XVI-go lub XVII-go wieku. Szczęśliwy traf zrządził, że niebawem po tych mniejszych monografiach dostała się Małeckiemu nieznana ogromna spuścizna rękopiśmienna Juliusza Słowackiego, wspaniały materyał do skreślenia mistrzowskiej monografii.

Jakiej niespożytej energii potrzeba było, aby w ciągu dwu lat uporządkować niezliczone mnóstwo bezładnych autografów Słowackiego, wydać jego „*Pisma pośmiertne*" w trzech tomach (razem 1,124 stron druku), a równocześnie ogłosić dwutomową monografią! I to wszystko, nieprzerywając zajęć profesorskich—przeciwnie, mnożąc je, bo na tenże rok 1866 przypada dekanat Małeckiego w Wydziale Filozoficznym.

Pisma pośmiertne Słowackiego odsłoniły wówczas po raz pierwszy *całe* duchowe oblicze tego poety, tak rozmaicie i wtedy i dziś ocenianego, pozwoliły wejrzeć w całe bogactwo tej wielkiej duszy. Monografia o nim narzucała się wprost Małeckiemu; postać poety wyzierała jak żywa z jego prześlicznych listów do Matki, przemawiała z tylu autografów, fragmentów, proszących się, aby z tych *disiecta membra* mistrz jaki całość stworzył i ducha w nich wskrzesił.

Szczęściem to było niezrównanem dla Słowackiego, że spuścizna jego dostała się w tak poważne ręce, które ją umiały uszanować; szczęściem pozostanie dla historyi literatury naszej, że pierwsza u nas wielka biografia tak właśnie była napisaną. Był to u nas pierwszy przykład wielkiej monografii. Małecki nie miał wzoru takiej polskiej książki; sam go dla siebie i dla nas stworzył.

W historyi krytyki polskiej zajmie monografia o Słowackim pierwszorzędne miejsce; od niej datować się będzie psychologiczna epoka.

Zrozumiano to zaraz po wyjściu tego dzieła, a Stanisław Tarnowski tak uczcił śmiałego nowatora: „Małecki pierwszy zapuścił się, pierwszy zbadał aż do głębi te przepastne krainy ludzkiego ducha, przepastniejsze nierównie od mateczników litewskich. Przed nim nikt nigdy drogi nie wyrąbał, nikt mu jej nie wskazał, nikt nie rzucił mu światła na tę zawiłą, pełną sprzeczności i tajemnic postać Słowackiego. Był sam, sam ze Słowackim i miał go odtworzyć, jakim był za życia. Nie boimy się przesady mówiąc, że ta robota samotna, trudna, mozolna, bez żadnej pomocy, musiała potrzebować wielkiego zapasu siły, woli i zapału, że w tem śmiałem przedsięwzięciu było coś wielkiego, coś, co przypomina rzeźbiarza, zamkniętego sam na sam z odłamem marmuru, z którego wyjść ma człowiek pod ręką sztukmistrza. Tak Małecki własną pracą, bez żadnej obcej pomocy, wystawił Słowackiemu, a powiedzieć się godzi i sobie, monument *aere perennius*“ [1]).

Pomnik literacki wystawiony Słowackiemu ma istotnie coś spiżowego w sobie. Upodobania ludzkie są zmienne, a po trzydziestu kilku latach, mogła się ta lub owa część pomnika powlec śniedzią czasu. Żleby było, gdyby nasza wiedza o Słowackim od r. 1867 nie miała w niczem postąpić kroku. Szperamy i przetrząsamy najdrobniejsze świstki, urywki, zdania poetów; nie przepuszczamy literom, nawet pisarskim znakom... Zmienia się technika kompozycyjna, a im więcej nam chodzi o psychologią, tem więcej popadamy w ową „mikrografią“, przed którą ostrzegał Klaczko.

I dla tego dobrze i szczęśliwie się stało, że mamy taki pomnik literacki, o prostych i szlachetnych liniach, bez efektów i efekcików, spokojny i poważny, a nie ciężki i nie pedantyczny, pomnik, którego widok pokrzepia i uspokaja.

Małecki nie narzuca czytelnikowi swych zapatrywań, nie „urządza“ Słowackiego według tych lub owych cytacyi. Stara się tym wrodzonym sobie spokojem, równie dalekim od chłodu analityka, jak od zapamiętałości syntetyka, dobrze zrozumieć poetę, dobrze go odczuć i to co odczuł, dobrze powiedzieć. Na pozór mała to rzecz, ale wystarczy rozejrzeć się w mnóstwie naszych literackich ocen i studyów, aby dojść do przekonania, że zakon literacki nie łatwy jest do pełnienia.

---

[1]) *Przegląd Polski*, Październik 1867 r., str. 6.

„Względem człowieka, którego życie już zgasło, a którego pamięć droga jest społeczeństwu, względem pisarza, którego własne, poufne, prywatne i bynajmniej nie dla wiadomości *całego świata* kreślone wyznania o samym sobie służyły mi za materyał do jego życiorysu, nie chciałem odgrywać roli sędziego, wyrokującego o nim w doraźnych surowych sądach i niejako zaocznie. Obowiązkiem moim było złożyć wizerunek jego z rysów autentycznych, z szczegółów ile tylko być mogło rzeczywistych i prawdziwych, nie zatajając niczego, co było pomiędzy nimi istotnem. Z drugiej wszelako strony uważałem i tu sobie za powinność, ażeby w tem zestawieniu wizerunku poety wynikało ostateczne o nim zdanie, jako o c z ł o w i e k u, ze samych tylko *czynów* jego, nie zaś z tych zwierzeń listownych... I pozostawiałem wreszcie sformułowanie tego zdania raczej drugim, niż sobie..."[1]).

Dzisiaj robimy inaczej, ale chyba nie lepiej. Najtajniejsze zwierzenia, pisane nieraz w przystępie gniewu, żalu lub zniechęcenia obnosimy, przewracamy, patrzymy na nie i z prawej i z lewej strony, i zdaje się nam, żeśmy pochwycili nerw duszy, że mamy do tego wszelkie prawo, boć to przecie „psychologiczne". Ale z takiego prosektoryum wychodzą zwykle preparaty, może bardzo ciekawe dla teatrów anatomicznych, lecz bez tego właśnie, o co badaczowi chodziło, bez duszy, która kędyś z retorty analitycznej „czmychnąwszy dziurką od klucza, dotąd, jak czmycha, tak czmycha".

Małeckiego monografia o Słowackim jest nieprześcignionym wzorem doskonałego, harmonijnego zrównoważenia i zespolenia pierwiastku biograficznego z estetyczno-krytycznym, życiorysu z dziejami twórczości.

Wydanie w ciągu jednego roku pięciu tomów (trzy tomy Pism Pośmiertnych, dwa tomy monografii) mogło-by było osłabić energię nie tylko duchową ale wprost fizyczną; ale przedziwnie krzepka natura nie dała się nawet takiemu nadmiarowi pracy ani zużyć, ani znużyć. Małecki po dawnemu wykładał i przykuwał licznych słuchaczów do swej katedry, podawnemu pamiętał o filologii polskiej i w r. 1871 wydał największy rozmiarami zabytek starej polszczyzny z wieku piętnastego, tak zwaną *Biblię Królowej Zofii*, opatrzywszy wydanie rozprawą o najstarszych przekładach biblii i słownikiem wyrazów staropolskich [2]).

---

[1]) *Juliusz Słowacki*, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnej epoki. Tom II. Lwów 1867, str. 332—333.

[2]) Biblia Królowej Zofii, żony Jagiełły z Kodexu Szaroszpatackiego nakładem Księcia Jerzego Henryka Lubomirskiego wydana przez Antoniego

W rok później uznanie całego Uniwersytetu obdarzyło go rektorstwem, dającem głos wirylny na Sejmie Galicyjskim. Był Małecki pierwszym Polakiem z wydziałów świeckich, którego wybrał Uniwersytet lwowski na rektora. I pod tym względem utorował na dobre drogę rodakom.

Jeszcze w r. 1869 wezwał go Jerzy ks. Lubomirski na zastępcę kuratora zakładu nar. im. Ossolińskich. Mnożące się obowiązki urzędowe i administracyjne pochłaniały czas drogi, który mógł być lepiej użyty.

Przyszła chwila walki wewnętrznej ducha, żądnego dalszej nad sobą pracy, z krępującemi go więzami codziennych, monotonnych zatrudnień. Walka cicha doprowadziła do wyniku, będącego bolesną dla Uniwersytetu lwowskiego niespodzianką: zaraz po rektoracie swym złożył Małecki obowiązki profesorskie i wyrażając się stylem urzędowym „przeszedł w stan *spoczynku*“. A stało się to właśnie dla tego, aby oddać się niepodzielnie i wyłącznie naukowej *pracy*. Był to nowy sposób pojmowania emerytury.

Z żalem głębokim żegnał wydział filozoficzny znakomitego kolegę, uczniowie i słuchacze niezrównanego profesora. Nie można się było oswoić z tą myślą dobrowolnego ustąpienia; różni to różnie tłómaczyli. Józef Ignacy Kraszewski, mający zresztą dobre informacye, pod tym względem się pomylił. Przypisywał ustąpienie Małeckiego zniechęceniu, wywołanemu jako-by nielicznem uczęszczaniem słuchaczów na wykłady. „Prawdę powiedzieć należy; liczba uczniów uczęszczających na wykłady n i g d y (?) nie odpowiadała pracy, jakiej one wymagały“. A oceniwszy zbyt surowo „okoliczności miejscowe“ i ówczesną młodzież uniwersytecką, studyującą nie dla nauki, lecz dla chleba, pisał Kraszewski: „Wiemy to dobrze, że sympatyczne wykłady prof. Małeckiego częstokroć nie więcej nad kilku (!) lub kilkunastu liczyły słuchaczów. Godziłoż się im tak drogi, a mogący być użyty z daleko większą dla ogółu korzyścią czas—poświęcać?“ (*Kłosy*, j. w. str. 192).

Mogło się zdarzyć, nie przeczę, że w tem lub owem półroczu mniej miał słuchaczów Małecki; ale tak doświadczony i długoletni profesor nie byłby się tem zrażał do tego stopnia, aby katedrę opuścić. Po-

---

Małeckiego. We Lwowie, 1871, in 4-o, str. L+310. Liczne podobizny, bardzo pięknie wydrukowane, tworzą z wydawnictwa tego i pod względem czysto typograficznym dzieło pomnikowe.

budki były głębsze i płynęły nie z ambicyi niezadowolonej, ale owszem z najszlachetniejszej chęci skupienia reszty sił dla jednego wyłącznie, drogiego sercu, a ściśle naukowego celu. Oto co pisze sam Małecki:

„Prelekcye moje były tłumnie frekwentowane. I przez pierwsze lata mnie to cieszyło, pochlebiało; zresztą sam przedmiot, dokładniej krok za krokiem badany, zajmował mnie niepomiernie. Ale po kilkunastu latach rzecz zaczęła dla mnie powszednieć, traciła urok świeżości.

„Im bardziej sala natłoczona była słuchaczami, nie tylko studentami, ale najróżniejszymi ludźmi z miasta, nawet przejezdnymi, tem uciążliwsze być musiało przygotowywanie się na każdy odczyt. Samo takie rozmyślanie prelekcyi, w rannych godzinach, na podstawie moich tak lakonicznych notatek zajmowało bez mała dwie godziny.“ (List z d. 13 stycznia 1902).

Po tylu latach pracy miał chyba Małecki prawo odpocząć według swego upodobania, wrócić nareszcie do ulubionych od wczesnej młodości studyów nad genezą społeczeństwa polskiego. „Od lat najmłodszych był to mój najulubieńszy temat rozmyślań. Historya—jeżeli nie cywilizacyi, to społeczności polskiej: wewnętrzne dzieje—dzieje duszy narodu. Gdybym był po rodzicach wziął w spadku taki majątek, który-by mi na utrzymanie wystarczał, byłbym od razu w tym, tylko w tym przedmiocie pracował. Ale nie było tak.“

Trzeba było zdobyć chleb pracą na innem, pokrewnem polu, ale czy to w gimnazyum poznańskiem, czy w Krakowie, czy w Insbrucku, a nawet we Lwowie—przez długich lat kilkadziesiąt nie było-to *to*, czego w głębi „dusza pragnęła“. Aż wreszcie po tylu latach dzielnej wytrwałej pracy dla d r u g i c h, doczekał się Małecki z upragnieniem wyczekiwanej chwili swobody, „swobody prywatnego człowieka“, którą mógł wreszcie swoim ulubionym badaniom oddać. I tu tkwiło rozwiązanie zagadki, dlaczego w sile wieku rozstał się z katedrą uniwersytecką. *On revient toujours à son premier amour*. Tą pierwszą miłością młodzieńca były badania przeszłości społecznej polskiej, które rozpoczął w roku 1846: „Porównaniem pierwotnych zawiązków społecznych u Germanów i Słowian“. Do niej teraz wracał z tyloletniej koniecznej wędrówki, wracał, jak do źródła ochłody. Ze spokojem i prostotą mędrca helleńskiego oddawał się cichej rozkoszy uczenia się na starość. „Cała moja radość badać rzecz w sobie ważną i ciekawą, a dla mnie niejasną, lub zawikłaną. Dla zbliże-

nia się, bodaj pod koniec życia do tej ciągle zaniedbywanej z musu materyi, poświęciłem katedrę i stanowisko. Nigdy tego potem nie żałowałem!“ [1]).

V.

Zapowiedzią nowych studyów na niwie dziejowej przeszłości Polski pierwotnej, a zarazem przejściem naturalnem z dziedziny filologicznej do historycznej była rozprawka, ogłoszona w roku 1872 pod tytułem: „Co rozumieć o runach słowiańskich i o autentyczności napisów na mikorzyńskich kamieniach“. (Poznań, przedruk z Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego). Odtąd, niemal rok po roku, ogłaszał Małecki z młodzieńczym zapałem owoce swych historycznych poszukiwań [2]). Dokładność ich i rozległość pochłonęła wszystkie niemal siły badacza, który rzadko już tylko i jakby dorywczo na dawne pola się przenosił [3]). Założona w roku 1873 Akademia Umiejętności w Krakowie zwróciła się do niego przy organizowaniu Wydziału Filologicznego. Napisał wtedy Małecki doskonały program: „O zadaniach Wydziału Filologicznego Akademii Umiejętności“, w którym nakreślił bystro plan najpotrzebniejszych prac. A do nich zaliczał: 1) „potrzebę nieodzowną biografij“, m o n o g r a f i j ważniejszych pisarzów, 2) wydanie dzieł rzadkich, 3) wizerunki dziejów specyalnych nauk, 4) historyę różnowierstwa polskiego, 5) dzieje Uniwersytetu Jagiellońskiego i t. d., nie pomijając niczego ważnego, aż do ludowego słownictwa i reformy pisowni [4]). Każdy dziś przyzna, że ten program jest drogowskazem polskich filologów, i że nie jeden z punktów programu Małeckiego wszedł już w życie. W roku 1874 ogłosił w drugim tomie Rozpraw Wydziału historycznego Akademii

---

[1]) List z dnia 13 stycznia 1902 roku.

[2]) Ob. *Przewodnik naukowy lwowski*, r. 1873: „Panowanie Bolesława Krzywoustego“ — r. 1875: „Testament Bolesława Krzywoustego“, — Biskupstwa — Klasztory i Zakony.

[3]) Gramatyka języka polskiego (historyczno - porównawcza), Lwów, 1879, dwa tomy.

[4]) Rozpr. i Spraw. Wydz. Filolog. Ak. Umiej. Tom I, Kraków, 1874, str. 1 — 20.

Umiejętności studyum, pod tytułem: „Kartki z dziejów Uniwersytetu Krakowskiego“ (epizod z czasów Kazimierza Jagiellończyka). Ale były to urywkowe zajęcia, które nie zdołały oderwać autora od ulubionych studyów średniowiecznych [1]). Hipotezy Piekosińskiego o dynastycznem pochodzeniu szlachty polskiej i ciekawe dyskusye naukowe nad tą ważną kwestyą (Bobrzyński i Smolka) pobudziły Małeckiego do ogłoszenia wyników własnych poszukiwań, których cząstkę wydał jako Studya Heraldyczne (dwa tomy, Lwów, 1890). Znaczenie ich dla nauki oceniła najlepiej Akademia Umiejętności, odznaczając dzieło nagrodą z zapisu Barczewskiego. W motywach tej nagrody czytamy między innymi:

„Jest to dzieło rozległej erudycyi, niezmordowanej pracowitości, ważny przyczynek do wyjaśnienia zagadkowej genezy społeczeństwa polskiego, która od pewnego czasu zajmuje tylu pracowników w literaturze historycznej. Literatura tego przedmiotu obecnie już wcale obfita, nie wydała jeszcze dotąd dzieła, które-by w równej mierze, jak książka Małeckiego, wyzyskiwało tak skrzętnie, tak pracowicie cały rozległy materyał źródeł, złożony w pomnikach historyograficznych, dyplomatycznych i sfragistycznych [2]).

W ślad za Studyami Heraldycznemi poszły liczne rozprawy, drukowane przeważnie w *Kwartalniku Historycznym* [3]) mające zawsze (nieraz odległy) związek z główną kwestyą genezy społeczeństwa polskiego. W roku 1896 powraca do niej Małecki w ważnem dziele pod tytułem: „*Lechici* w świetle historycznej krytyki“. W roku 1895 daba „Znaczenie Unii horodelskiej w roku 1413 z punktu widzenia heraldycznego“ (Kwart. Hist., tom XII, 751 — 762).

Ten prosty spis badań historycznych Antoniego Małeckiego ma tutaj tylko zewnętrznie uwydatnić obfitość, ciągłość, nieznużoną trwałość i wytrwałość pracy trzydziestoletniego... emeryta. Nie dał

---

[1]) Kiedy powstał memoryał Ostroroga? *Kwartalnik historyczny*, rok 1887, tom pierwszy, 385 — 404.

[2]) Rocznik Zarządu Akademii Umiejętności. Rok 1890, str. 121. Szczegółowy rozbiór tego dzieła dał Piekosiński w *Kwartalniku historycznym* z roku 1890, str. 670 — 730.

[3]) „Grzywny karne w dawnej Polsce i najdawniejsza nasza grzywna mennicza“. Rok 1893, str. 214—239. — „Studyum nad bullą Innocentego II z roku 1136 wydaną dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego“. Poznań, 1894 (Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk), str. 53. — „Kronika Baszka, czyli tak zwana Wielkopolska kronika“. *Kwartalnik historyczny*, 1894, str. 1—23. „Ludność wolna w księdze henrykowskiej“, tamże. str. 391 — 423.

się on pod tym względem nikomu wyprzedzić. Zastanawiać się tutaj nad znaczeniem i wartością tych badań nie będziemy, są to bowiem materyały, gromadzone do wielkiego gmachu historycznej syntezy, materyały, starannie obrabiane krytyczną analizą—plany, wymiary, obliczenia wielkiego budowniczego, który ostatniej swej myśli jeszcze nie ogłosił. Zajęty jest Małecki ciągle genezą i historyą szlachty polskiej aż do średniowiecza.

„Ta praca moja tak prędko ukończona nie będzie, bo to sprawa i rozległa, i trudna, a zawikłana. *Genezę już mam*, napisaną z pierwszego rzutu; oczywiście, osobno nigdy-bym jej nie ogłosił, a wymagała-by i ponownego przestylizowania. Bo ja zawsze to, co piszę, naprzód piszę dla siebie, a dopiero potem *pro publico*. Do dalszych części materyał po większej części już mam. Ale robotę tę i to rozpaczliwie utrudnia, że ten rodzaj historycznego wykładu sprawia wielkie formalne trudności. Zwykła historya snuje się jak nić z kłębka, a tu ciągle kilka kwestyj *naraz* trzeba-by opowiedzieć i udowodnić: jedno bez drugiego i trzeciego niejasne, ciągły *circulus vitiosus*! Trzech ust, trzech piór naraz mieć niepodobna. Więc sama walka z formą hamuje raźny postęp roboty“ (*List z dnia 13 stycznia*).

Hamuje — ale jej nie wstrzyma! Czujemy to i życzymy gorąco czcigodnemu Jubilatowi, życzymy nam wszystkim, aby tyloletnich trudów dojrzały owoc rozradował co rychlej naukę polską!

„Trzech ust, trzech piór naraz mieć nie podobna“,—mówi autor „Lechitów“. Naraz—nie! Ale miał on te trzy złote, nierdzewiejące pióra po kolei w ciągu swego wspaniałego żywota. Miał jedno, którem pisał o Mickiewiczu, Krasińskim i Słowackim; miał drugie, filologiczne; ma trzecie, umiłowane, dla genezy społeczeństwa polskiego. Wdzięczni rodacy zachowają w późne pokolenia trzech tych piór dorobki. J. I. Kraszewski mniemał w roku 1874, że pióro historyka literatury nietylko nie będzie złamane, ale owszem, gotuje się do wielkiego dzieła, wieńczącego długoletni zawód profesorski i wypowiadał nadzieję, że z rąk Małeckiego dostaniemy pierwszą, prawdziwą historyę literatury polskiej, która „będzie najpiękniejszym pomnikiem jego talentu i trudów. Nikt lepiej przysposobionym nie przystępował do tego zadania i z jaśniejszem pojęciem tego, czem dzieje piśmiennictwa być powinny. On tylko może nam rozproszyć te mroki, jakie pokrywają kolebkę aż do nagłego zjawienia się języka i literatury z Kochanowskim. Z monografij, ogłoszonych już o Morsztynie, Modrzewskim i t. p., możemy wnosić, z jaką sumiennością i trafnością poglądu opracowane będą epoki późniejsze, do których przedstawienia materyał już jest opracowany“.

Nie przyszło do tego. Pierwsza, młodzieńcza naukowa miłość znęciła badacza ku sobie, a historyk literatury, wytknąwszy młodszym nowe horyzonty poszukiwań, wskazawszy bogate, niétknięte pokłady zabytków piśmiennych, prawdziwy las dziewiczy przyszłych monograficznych opracowań—rzucił się sam z młodzieńczym zapałem ku temu, „czego dusza pragnęła“. Historyk literatury umilkł. Czyżby jednak zaginąć miał ślad pisemny kilkunastoletnich (1856—1873) wykładów? Pytanie to nasuwało mi się nieraz natrętnie, a szczęśliwy jestem, że ciekawości mej Jubilat nie wziął za złe, i że ją w tych słowach zaspokoił:

„Notatki z wykładów są wszystkie zachowane; tworzą ogromny stos zeszytów. Ale były tylko dla mnie pisane, lapidarnie, *Stichwörter*, i suche daty, nazwiska, tytuły, fakta biograficzne. Żeby to ustylizować, trzeba-by z dziewięć lat! Prelekcye były mówione z głowy. Jedna kartka pisana starczyła na godzinę mówienia. W postępie lat moich profesorskich przybywały coraz nowe wiadomości w piśmiennictwie współczesnem o wykładanych przedmiotach. Kwintesencya z tego wchodziła w moje zeszyty (pisane zawsze *fracta pagina*). Ale to sprawiało w nich zamęt, pozorny nieszyk, który mnie żadnych nie sprawiał trudności, ale drugi nie łatwo się w tem zoryentuje“.

Czego odżałować nie można, to tego, że wśród licznych słuchaczów Małeckiego, nie znalazło się kilku, notujących pilnie, spisujących na czysto wykłady o literaturze polskiej. Taki rękopis gotowy był-by z pewnością profesor przejrzał, poprawił, uzupełnił; był-by może tomami i epokami historyą literatury ogłosił. A tak ubożsi dziś jesteśmy o całą historyę literatury polskiej, wygłoszoną kilkakrotnie w cyklu pięciu półroczy, odpowiednio do pięciu przyjętych przez siebie epok (średniowiecze, czasy zygmuntowskie, makaroniczne, stanisławowskie, nowsze do roku 1863). Przebrzmiało żywe, ożywcze słowo, karmili się niem słuchacze Małeckiego — nam pozostawili nieukojoną tęsknotę do tego dzieła, które rosło latami i powinno było przetrwać lata.

*

* *

Przyjaciel Jana Kochanowskiego i wydawca pism jego, Januszowski, obejmując myślą obfitość i doskonałość prac poety, z miłością wyrzekł: „Co kto weźmie, gdzie wejźrzy, najdzie się czemu podziwić, z czego się ukochać“. Te słowa przypominają się dziś, kiedy przebiegamy w myśli tak wspaniały plon Jubilata, zapracowanego, ani my-

ślącego o spoczynku. Jest się, zaiste, czemu podziwić: poeta piszący gramatykę, gramatyk piszący o Modrzewskim, biograf i krytyk Juliusza Słowackiego, wertujący pergaminy i źródła średniowiecza — to człowiek zupełnie wyjątkowy, to chluba naszej umysłowości. A cóż dopiero, gdy przy bliższem wniknięciu w ten żywot długi, równy, czysty, pokazuje się, że jest w nim także „z czego się ukochać". Że był i jest nam wzorem niedoścignionym wytrwałości niezmordowanej i żelaznej pracy, wszyscy oddawna uznaliśmy. Ale co rzec o tem cichem zaparciu się, trwającem lat kilkadziesiąt, które każe mu pracować na przeróżnych polach, tylko nie na tem, którego „dusza pragnęła". Kto inny był-by zżymał się, zniechęcił i — zobojętniał w końcu dla pierwszego ideału swych młodzieńczych pragnień. On poszedł w świat spokojnie, z uśmiechem, z pogodnym wzrokiem; sumiennie spełniał te prace, które mu życie narzucało czy to w Poznaniu, czy w Krakowie, czy w Insbrucku, lub Lwowie. A była to „służba twarda i pochłaniająca czas, ducha, swobodę, myśli...". Pochłonęła ona wiele, ale nie wyziębiła pierwotnego ognia. I oto po latach wielkich trudów, które los mu rzucał jedne po drugich, przyszła nagroda najmilsza, możność powrotu do badań z lat młodych, z roku 1845! Jakaż to miłość wielka była w tem nieznużonem pielgrzymowaniu ze wzrokiem, utkwionym w cel ukochany. I czy nie wielki to wzór dla wszystkich, czy nie dowód żywy, ile może spokojna, cicha, niekrzykliwa, nienarzucająca się, ofiarna dla drugich praca? Życiem swem całem pomagał i pomaga „ku pożytku dobra spólnego", a poczciwa sława nie szukana, nie czekana, sama wykwitła tam, kędy przeszedł niestrudzony siewca dobra i prawdy.

Józef Kallenbach.

Schyłek ekonomicznego pierwszeństwa Anglii.

Świat przemysłowo-handlowy angielski przechodzi ciężkie przesilenie. I dawniej już, bywało, miał on do przetrwania twarde czasy. Nieurodzaje, zmowy robotnicze, brak dowozu surowych materyałów, wojny u postronnych narodów itd., wywoływały niedobór, powstrzymywały wytwórczość tej lub owej gałęzi.

Ale kryzys obecny ma inny charakter i gdzieindziej jest jego źródło. Objawił się wśród zadawalającego, nawet kwitnącego środowiska, nie uprzedziły go żadne gwałtowne przewroty, nie zapowiedziały żadne wyjątkowe okoliczności. Co więcej, nie można stanowczo oznaczyć jego początku. Nie wybuchnął od razu, ale zakradł się cicho, zdradziecko, a gdy byt jego stwierdzono, zapóźno było złemu zaradzić. Stopniowo i niepostrzeżenie zmniejszyło się zapotrzebowanie angielskich wyrobów; rynki handlowe, na których uprzednio posiadały one faktyczny monopol, porzuciły je i dają pierwszeństwo ich współzawodnikom; całe, i to najważniejsze właśnie, działy wytwórczości cierpią na rodzaj anemii, więdnieją i nikną. Na każdym kroku spotyka Anglik uporczywą konkurencyę innych narodów: tu Japończyków, tam Niemców, a wszędzie Amerykanów. Cła protekcyjne, wyszrubowane do nadzwyczajnej wysokości, a istniejące we wszystkich prawie krajach, nie pozwalają Anglikom walczyć o lepsze z miejscową produkcyą w korzystnych warunkach, a ich własne terytoryum, przez swoje na roścież otwarte porty i komory, daje wstęp ciągłemu i nieograniczonemu dowozowi obcych wytworów. Nakoniec marynarka handlowa angielska, owa marynarka, która obsługiwała całą kulę ziemską, przewożąc płody i wyroby wszystkich stref pod trójkolorowym „Union-Jack'iem“, widzi zmniejszającą się swą klientelę. Najpotężniejsze narody naszych czasów, jak zjednoczone i odrodzone Niemcy, albo bijące młodzieńczą energią Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, spieszą się stworzyć swą własną marynarkę han-

dlową. Amerykanom tak śpieszno nawet cel ten osięgnąć, iż, nie mogąc się doczekać wybudowania swej własnej floty kupieckiej,—chociaż budowa ta prowadzona jest rączo i cieszy się zapomogami państwowego skarbu - zakupują ryczałtowo całe kompanie transportowe, i zakupują je, jakby przez ironię, od tych samych Anglików, których hegemonię handlową i panowanie na morzach zniweczyć usiłują.

Wynik tego przesilenia wyraża się już w wymownych, w zastraszających statystycznych danych. Znajdzie niektóre z nich czytelnik poniżej. Razem wzięte usprawiedliwiają one wniosek, że przemysłowo-handlowa hegemonia angielska, która w różnych postaciach i formach narzuciła się była nowoczesnemu światu, jako fakt niewątpliwy, która z biegiem czasu od epoki Elżbiety, rosła na siłach i wielmożyła się, wykazuje objawy gasnących sił życiowych i zmniejszającej się działalności. Są już dzisiaj tacy, którzy się twierdzić nie wahają, że podobnie, jak w dawniejszych epokach Wenecya, Hanza, Hiszpania, Hollandya, Francya, jedne po drugich wzbiły się na wyżyny, ale z kolei traciły swoje przewodnictwo i były świadkami narodzin i rozrostu swych szczęśliwych następców, tak też staje się z Anglią. Pokonała swych poprzedników, wyzyskała bezwzględne swoje spadkobierstwo, ale obecnie dokonała się już znowu ewolucya: Anglia przeżyła się i słońce jej zbliża się do zachodu.—Była u swego zenitu w wieku XIX-ym, wieku pary; w XX-em stuleciu, w stuleciu elektryczności, inny naród otrzyma z jej słabnących rąk pochodnię postępu.

Wykazanem będzie poniżej dla czego piszący takich krańcowo pesymistycznych zapatrywań nie dzieli. Ale jest niezbitą prawdą, iż przesilenie ekonomiczne w Anglii jest głębokie, bolesne, zastraszające. Jej współzawodnicy posiadają przywileje i korzystne warunki, bądź przyrodzone, bądź nabyte, których ona nigdy posiąść nie potrafi, a stąd wypływa, że Anglia nie może się spodziewać wyjść zwycięsko z zapasów i utrzymać się na swojem dawniejszem górującem stanowisku. Przypuścić będzie musiała do współudziału inne narody. Ale, nawet pozbawiona marszałkowskiej buławy, nie potrzebuje spaść w otchłań, jak to zapowiadają pesymiści i nieprzyjaciele. Sam ogrom Brytańskiego Imperyum pozwala przewidzieć, gdzie będzie jego ratunek.

I.

Niema potrzeby rozwodzić się długo nad warunkami, dzięki którym rozwinęła się tak bujna i tak szeroko przemysłowa wytwórczość Anglii i pozyskała niezmierzone bogactwa. Historya tego ciągłego postępowego ruchu jest świeżą i dobrze znaną: dość będzie podnieść jej wybitniejsze daty i wypadki.

Przy wstąpieniu na tron Elżbiety nie można było przewidzieć wyżyn, do jakich wznieść się było przeznaczonem Anglii. Zaczęła wówczas od zdruzgotania najpierwszej światowej potęgi—Hiszpanii, a dokonała tego przy pomocy Holendrów. Mając otwartą przed sobą drogę do Indyi i na cały Wschód, stworzyła wielkie kompanie handlowe, które się stają rozsadnikami jej interesów. Przygarniając prześladowanych w sąsiedztwie Hugonotów, uczy się od nich rzemiósł, sztuk i rękodzielnictwa. Z tak przygotowanych XVII stuleciu materyałów, następne, XVIII, jednym zamachem stwarza, przez zastosowanie maszyn, przemysł rękodzielniczo-fabryczny i wprowadza go na wysoki stopień rozwoju.

Za przędzalniami, od których się ten ruch rozpoczął, idzie niebawem metalurgia i kopalnictwo; ulepszone komunikacye przyczyniają się do ułatwienia, do udoskonalenia ekonomicznego życia. Pomimo utraty Stanów Zjednoczonych Amerykańskich przy końcu tegoż stulecia, wywóz i dowóz towarów podwaja się w ostatnich jego latach. Nawet te wojny z Napoleonem, co pochłonęły olbrzymie sumy, zamiast zniweczyć dobrobyt Anglii, otwierają przed nią nowe widnokręgi, wiodą do zdobyczy nowych osad kolonialnych. Gdy runął kolos napoleoński, Anglia, której bilans handlowy podniósł się podczas tych wojen z 38 do 87 mil. funt. szt., znajdowała się w lepszem materyalnem położeniu, aniżeli ląd stały europejski, spustoszony i wycieńczony, i mogła od razu skorzystać z tej długiej epoki pokoju, co się wówczas otwarła. Stając do międzynarodowego wyścigu, lepiej zagospodarowana, aniżeli jej współzawodnicy, posiadając drogi żelazne od 1830 r., żeglugę parową od 1838 r., reformy pocztowe od 1840, telegrafy od 1846 r., Anglicy, nie mając przed sobą, po przeprowadzeniu wielkiego billu Reformy w 1831 r., żadnego z tych doniosłych politycznych zagadnień, któreby krępowały i pochłaniały narodową działalność, dokonali nakoniec, przez zniesienie ceł zbożowych i wprowadzenie wolnego handlu, jedną z tych przełomowych reform, które o losach społecznych stanowią.

Od tej chwili Anglia miała raz na zawsze zabezpieczony zapas artykułów żywnościowych, a dowóz surowych materyałów, jak wełny,

bawełny, żelaza, miedzi, skór, itd., tanich, bo nie obciążonych żadnem cłem wchodowem, otworzył przed jej przemysłem erę nieprzerwanej pomyślności. Nie trzeba także zapominać o węglu, którego niewyczerpane pokłady ułatwiały rozwój tego przemysłu.

Cały ustrój ekonomiczny Anglii uległ zmianie. Zabezpieczony mając sobie dowóz zboża z zamorskich krajów, nie uznała za potrzebne pielęgnować nadal uprawę roli pod zboża, uważając to za mniej wydajną gałąź wytworczą, a całą swą energię skierowała ku rękodzielniczej działalności. Wyglądała też wkrótce Anglia, jak jedna fabryka, gdzie miliony rąk, bez chwili wytchnienia, przerabiały materyały pierwotnie spławiane ze wszystkich krańców świata, i jak jedno emporyum handlowe, otrzymujące tym kanałem artykuły do przetworzenia, a wysyłające je drugim w już przetworzonej, skończonej formie.

Dopóki świat pozaangielski zadawalniał się takim stanem rzeczy i, zamiast przetwarzać u siebie surowe produkta na fabryczne, wolał Anglii powierzyć misyę zaspakajania swych ekonomicznych potrzeb, wszystko szło dla niej pomyślnie, a coroczny bilans wykazywał przewyżkę dochodów nad wydatkami. Anglia, prowadząc korzystne operacye, pomnażała swe bogactwa i stawała się w dodatku bankierem źle zagospodarowanych, zacofanych społeczeństw. I tak bilans 1890 r. wykazał całość obrotów handlowych Wielkiej Brytanii w poważnej sumie 743 mil. funt. szt., co dawało przeciętnie na każdego mieszkańca 15 f. szt i 10 szyl. Gdy w pięć lat później, 1895 r. suma ogólna zmniejszyła się o 40 mil. funt. szterlingów i spadła do 703 mil., nikt tego upadku nie wziął do serca i uważano go poprostu za objaw zwykły, normalny. Nawet, gdy stawało się widocznem, że wytwórczość krajowa słabnąć zaczyna, i że w krajach okólnych, pod cieplarnianą atmosferą ceł ochronnych, wylęgało się swojskie rękodzielnictwo, ograniczające zapotrzebowanie wyrobów angielskich, nawet i wtedy jeszcze Anglicy nie chcieli uważać się za zagrożonych. Z wyniosłą dumą spoglądali na tych Pigmejów, co się z nimi mierzyć ośmielali, pozostawali w przeświadczeniu o niedościgłej wyższości, o doskonałości swoich wyrobów. Tracili pewne rynki targowe; cóż z tego? Alboż nie mogą otworzyć sobie innych, nowych?

A zauważyć należy, że w tejże samej epoce wzmógł się ruch ku zdobywaniu nowych kolonii, i nie było najmniejszego upośledzonego zakątka na kuli ziemskiej, na którym Anglicy nie zapragnęli-by zatknąć swego sztandaru zaborczego. Imperyum rosło, jak na drożdżach. Mogło się im tedy zdawać, że otworzą sobie w tych świeżo zdobytych krajach nowe drogi handlowe, nowe emporya, i że w ten sposób odzyskają niezadługo poniesione straty. Przerachowali się atoli, a to

z dwóch przyczyn. Naprzód dzicze Afryki nie mogą zapotrzebować tylu i takich samych wyrobów, jakich Anglicy dostarczali uprzednio wysoko rozwiniętym, wyrafinowanym społeczeństwom; a następnie nawet w tych, świeżo dla swojego wpływu i swojej cywilizacyi zdobytych krainach, spotykają często gęsto niebezpiecznych, obcokrajowych, dobrze sobie znanych, rywalów.

II.

Nadeszła wreszcie chwila, gdy już dłużej nie było podobna zamykać oczu na istniejące rzeczy. Pierwszy zadzwonił na trwogę i rozwiał optymistyczne złudzenie E. E. Williams, ogłaszając w 1896 r. swą sensacyjną książkę, „Made in Germany.“ Przedstawił tam w jaskrawych barwach rozrost przemysłowej potęgi Niemiec i następstwa jakie to pociągnęło dla Anglii. W ciągu lat kilkunastu zalaną ona została wyrobami niemieckiemi, do tego stopnia, że ucierpiała na tem niejedna gałąź wytwórczości krajowej, a były nawet takie, co tą niespodziewaną konkurencyą zrujnowane zostały. W r. 1895, ostatnim, którego statystyczne dane figurowały w pracy pana Wiliamsa, wartość towarów niemieckich sprowadzanych do Angli wynosiła:

wyroby z żelaza i stali . .	1,220,000	funt. szt.
„ wełniane	1,016,000	„
„ papierowe . . .	586,835	„
instrumenty muzyczne . .	563,018	„
wyroby bawełniane . . .	536,471	„
zabawki dziecinne . . .	459,944	„
porcelana i fajanse . . .	216,876	„
druki, litografie, fotografie	111,825	„
wyroby lniane	91,237	„

Niemcy wprowadzały tedy wyrobów przemysłowych za 5 mil. f. szt. rocznie do Anglii, która była kolebką i gniazdem właśnie tychże wyrobów!

Najważniejszą jednak była wskazówka dotycząca metalurgii. Na niej-to stała przedewszystkiem wytwórczość Anglii i zdawało się że dzięki posiadanym zapasom węgla, zarówno jak doskonałości angielskich hut i fryszerek, reputacyi wszechświatowej maszyn angielskich, nie będzie trudno Anglii zatrzymać dla siebie uprzywilejowanego stanowiska.

A tymczasem pokazało się, że w ciągu lat jedenastu od roku 1882 do 1894 r., produkcya surowego żelaza spadła w Anglii przeszło o milion beczek (z 8,500,000 do 7,365,000 beczek), podczas kiedy w tymże samym okresie czasu podniosła się w Niemczech o trzy i pół miliona beczek (z 2,417,000 do 5,788,000 beczek). W 1892 produkcya żelaza obu narodów wyrównała się; co do stali, to w 1894 r. Niemcy produkowały już dwa razy tyle co Anglia. Samo przez się rozumie się, że wywóz żelaznych i stalowych wyrobów angielskich zmniejszał się z każdym rokiem na rynkach handlowych niemieckich. Druty telegraficzne, szyny, narzędzia i naczynia żelazne, etc., wyparte z nich zostały prawie całkowicie. I tak w 1891 r. Anglicy wprowadzili do Niemiec 34,000 beczek, gdy tymczasem Niemcy wprowadzili ich do Anglii 110,000. Wzrost wywozu niemieckiego do kolonii angielskich wzmagał się w tym samym stosunku z uszczerbkiem angielskiego. Do Kanady Niemcy dowozili byli wtedy 50%. Przypomnieć tu wypada, że, chcąc przyjść w pomoc metropolii, rząd Dominium Kanady zaprowadził u siebie cła wchodowe, zabezpieczające przemysłowi brytańskiemu uprzywilejowane stanowisko. Ten krok patryotyczny ocalił dowóz artykułów z żelaza i stali, ale, jak się czytelnik niżej przekona, nie przydało się to na wiele, bo niebawem z innej strony niebezpieczeństwo powstało. O rynkach europejskich mówić nawet nie trzeba: wszędzie angielska wytwórczość metalurgiczna, w mniejszym lub większym zakresie, zastąpiona została przez niemiecką.

Zarówno p. Wiliams, jak chmara publicystów, którzy w ślad za nim zaczęli badać przyczyny tego stopniowego wyprzedzania Anglii przez Niemców, znaleźli ich mnóstwo i kłopot był tylko w wyborze. Jak się spodziewać należało, kozłem ofiarnym stał się wolny handel i różnorodne głosy podniosły się za zaprowadzeniem wwozowych ceł, które-by zabezpieczyły Anglię, podobnie, jak się to stało we wszystkich ościennych krajach, od zagranicznego współzawodnictwa. Była-by to wprawdzie upokarzająca abdykacya, uznanie niższości wytwórczości krajowej, skok w ciemnie, zerwanie z tą wspaniałą przeszłością, która stanowiła dumę Anglii; ale orędownicy protekcyi zasłaniali się znanym aksyomatem: *primo vivere, deinde philosophare*. Jeżeli do chwili obecnej, po upływie lat kilku, od których agitacya za zaprowadzeniem *fair trade* się rozszerzyła, nie zatryumfowała ona jeszcze i nie urzeczywistniała się w czynach prawodawczych, to przypisać to należy ogromowi ekonomicznego przewrotu, o który tu idzie. Nie łatwo jest zwrócić naraz potężny strumień napowrót do jego źródliska i nie łatwo jest zadać kłam doktrynom, na których wychowywała się społeczność od pół wieku z górą. Ale liczba

zwolenników ceł ochronnych zwiększyła się; pomiędzy przednimi mężami politycznymi i wpływowemi osobistościami znaleźć by już można wielu, którzy w danej chwili będą gotowi chorągiew tę zatknąć na swym maszcie.

Oprócz tego panaceum, które ma Anglię zabezpieczyć od współzawodników, znalazło się i różnych innych lekarstw podostatkiem. Jedni wyrzucają przemysłowcom ich rutynę i wstręt do wprowadzenia nowych metod w produkcyi, nowych maszyn; drudzy ganią ich zarozumiałość, lekceważenie małych obstalunków; inni jeszcze doradzają zbadanie potrzeb i wymagań klienteli i dostarczanie jej artykułów, jakich żąda, zamiast narzucania takich, jakie produkowano dawniej. Ale za najważniejszą reformę, a niewątpliwie zbawczą, uznano otwarcie szkół technicznych i podniesienie oświaty narodowej. Zdumiewające postępy niemieckiego przemysłu przypisywane być muszą w znacznej części doskonałości szkolnictwa. Jeżeli, np. Niemcy zmonopolizowali, rzec można, wytwórczość artykułów chemicznych, to zawdzięczają to swym szkołom politechnicznym. Brak teoretycznego, systematycznego wykształcenia Anglików, nie tylko robotników, ale i dozorców, i zarządców, i brak technicznego uzdolnienia jest istotnie zdumiewający, nieprawdopodobny. Agitacya za reformą szkolną, jakkolwiek stoją na jej czele osobistości wybitne i energiczne, nie przyniosła dotąd żadnego dotykalnego rezultatu, wobec martwoty i opieszałości władz państwowych, których nie przekonano jeszcze, że jest ich naglącym obowiązkiem uzbroić społeczeństwo tak, aby było w możności walczyć o lepsze ze światem postronnym.

Chociaż tedy nie można już powiedzieć, że Anglicy są ślepi na grożące im ze strony Niemców niebezpieczeństwo, to jednak jest faktem, że się środków obronnych nie chwycili, i że się rzeczy nie zmieniły na lepsze.

W chwili, kiedy to piszemy, tenże sam p. E. Williams, ogłasza w jednym z poczytnych miesięczników, w „National Review“, pracę dodatkową w tejże samej sprawie współzawodnictwa przemysłowo-handlowego z Niemcami. Ten epilog, o pięć lat późniejszy od jego pierwiastkowej monografii, świadczy, że stan rzeczy pogorszył się jedynie dla Anglii. Straciła ona przyczółkowe stanowisko w wywozie węgla (mówiąc nawiasem nie można widzieć w tem nieszczęścia, gdyż ryczałtowy wywóz węgla osłabia przemysł krajowy i zuboża kraj o tę wartość niepowrotną); zajęła podrzędne stanowisko w wywozie surowego żelaza; a zachowała była dawniejsze ogólne pierwszeństwo już jedynie w dwóch gałęziach: w wyrobach tkackich i w budowie okrętów. Przekona się poniżej czytelnik, że na tych

dwóch punktach autor grzeszy niezwykłym sobie optymizmem. Biorąc na uwagę, że w sferze handlowej Hamburg przewyższa już dzisiaj swym obrotem wszystkie porty angielskie z wyjątkiem Londynu, że wywóz angielski, który przed dziesięciu laty, w 1890, dawał jeszcze przecięciowo po 7 f. szt. 0 szyl. i 7 $^1/_4$ pensów na głowę, w 1900 r, daje już tylko 6 f. szt. 5 szyl. 10$^1/_4$ pensów,—trzeba przyznać, że rywalizacya niemiecka dopieka już Angli na dobre.

III.

Ale nie tu jeszcze kończą się informacye co do niebezpieczeństw, jakie zagrażają Anglii ze strony Niemiec. Czerpiąc je w źródłach prywatnych, można zawsze podejrzewać autorów o tendencyjną jaskrawość i przesadę. Inaczej, gdy się bierze do ręki urzędowe dokumenta. Piszący ma właśnie przed sobą raport, ogłoszony przez ministeryum angielskie spraw zagranicznych, pod tytułem: „Ekonomiczne stanowisko Niemiec w 1900 r.“ Autorem tego wysoce interesującego dokumentu jest p. Gastrek, handlowy attaché przy ambasadzie brytańskiej w Berlinie. Ten raport chłodny i bezstronny w swej formie jest istotnie płomiennym panegirykiem na cześć bezprzykładnie szybkiego ekonomicznego rozwoju Niemiec. Nie tylko, że nie dościgły one jeszcze swego zenitu, ale rzec można, iż stawiają dopiero pierwsze, młodzieńcze kroki, a wszelako przewyższyły już najbardziej optymistyczne nadzieje, jakie ich orędownicy żywili przed trzema dziesiątkami lat. Wówczas hasłem Niemiec było jeszcze zjednoczenie narodowe i nic więcej; dzisiejszem jest już roztoczenie potęgi niemieckiej po wszechświecie. Co najgłówniej i najbliżej dotyka Anglię, to, że jawnie i otwarcie postawiły one przed sobą jako cel ostateczny, zdobycie zwierzchnictwa morskiego, czyli, innemi słowy, wydarcia tej hegemonii z rąk wielkiej Brytanii.

Ażeby taki ideał mógł być urzeczywistniony, skarb państwowy powinien rozporządzać potężnemi zasobami. Tak właśnie mają się rzeczy w Niemczech. Dochody samych Prus wynosiły:

w 1872 roku	32,000,000	funt. szt.
w 1880 roku	40,000,000	„
w 1800 roku	87,000,000	„
w 1900 roku	120,000,000	„

Czyli, że w ciągu tego krótkiego okresu dochody się potroiły.

Dług państwowy niemiecki wynosi wszystkiego 115,000,000 funt., czyli jest pięć razy mniejszy od angielskiego. Wprawdzie dług państwowy Prus wynosi 329 mil. funt. szt., ale nie należy zapominać, że urósł do takiej wysokości wskutek zakupienia dróg żelaznych na rzecz Państwa, i że operacya ta finansowa okazała się wysoce korzystną, gdyż regularny czysty dochód stąd otrzymany obracany jest na zaspokojenie rozmaitych potrzeb państwowych.

Gdy Wielka Brytania obraca sumę 25 mil. funt. szt. na opłacenie procentów od długu państwowego — a suma ta powiększy się znacznie przez pożyczki nowo zaciągnięte na wojnę afrykańską,—to Niemcy mogą poświęcać swe rozporządzalne kapitały na inne cele, np. na rozwinięcie marynarki handlowej. Urzędowe informacye niemieckie wykazują, że już obecnie 70% całego niemieckiego handlu odbywa się za morzem. Zawartość niemieckich statków handlowych obejmuje już 1,594,496 ton i ich okręty parowe w 1899 r., są dziesięć razy liczniejsze, aniżeli w 1872 r. W ciągu ostatnich 25 lat stosunek marynarki handlowej niemieckiej do reszty świata wzniósł się z 5 do 8%, Niemcy zostawiły daleko poza sobą inne mocarstwa i coraz bliżej stoją Wielkiej Brytanii.

Takie jest położenie dzisiaj. A nie trzeba zapominać, że cesarz Wilhelm, wyzyskując umiejętnie antypatye swego społeczeństwa do Wielkiej Brytanii, wskutek wojny w południowej Afryce, otrzymał od narodu upoważnienie do utworzenia wielkiej floty wojennej. W r. 1873 budżet marynarki wynosił zaledwie 1,300,000 funt. szt., dziś wynosi już 7,500,000; w 1888 nie posiadali Niemcy ani jednego wielkiego wojennego okrętu, za lat piętnaście będą ich już mieli 38, to jest tylko o 11 mniej od dzisiejszej floty wojennej angielskiej. Jeżeli weźmiemy w rachunek tę niezbitą prawdę, iż handel idzie za flagą narodową, to jest oczywistem, że marynarka handlowa niemiecka, pod protekcyą swej marynarki wojennej, tak szybko będzie wzrastać i rozwijać się, iż angielska nie będzie w stanie jej podołać.

Najświeższe studyum dotyczące rozwoju i wzrostu marynarki niemieckiej jest dziełem p. Lockroy, b. ministra marynarki we Francyi. Jego kompetencya nie ulega kwestyi, a jako patryota francuski, nie może być podejrzewanym o stronniczą pobłażliwość dla Niemców. Otóż, po odbyciu szczegółowego przeglądu całej machiny administracyjnej, całej organizacyi marynarki niemieckiej—a wszelkie urzędowe ułatwienia były mu najprzychylniej dostarczane w Berlinie do przeprowadzenia gruntownej ankiety—po zwiedzeniu warsztatów okrętowych i wielkich portów handlowych niemieckich, p. Locroy, z nieukrywanem uwielbieniem, oddaje hołd systematycznej, światłej, energicznej, wszechstronnej działalności Niemiec w tej gałęzi. Wstąpiw-

szy na nowe dla siebie pole, Niemcy zastosowali odrazu u siebie wszystkie najbardziej udoskonalone metody narodów, które je były poprzedziły, i odniosły natychmiastowe, zdumiewające, nieprawdopodobne rezultaty. Gdy się widzi wielkie parochody niemieckich kompanii, zbudowane w ich własnych warsztatach okrętowych, przewyższające angielskie statki wspaniałością urządzenia, doskonałością budowy i szybkością żeglugi, to się rozumie, dla czego obstalunki okrętów, dawniej monopolizowane przez Anglię, zaczynają już zwracać się do Niemiec.

Gdy się weźmie na uwagę nieustające przepełnienie angielskich biur kupieckich i wszelkiego rodzaju przemysłowych, handlowych i bankierskich instytucyi młodzieżą niemiecką, nie można się dziwić, że wwóz niemieckich wyrobów znajduje tyle ułatwień na terytoryum angielskiem, a że jednocześnie zmniejsza się wywóz angielski do Niemiec. Wszystkie powyżej wymienione okoliczności pozwalają zrozumieć naturę angielskich bilansów handlowych.

W urzędowem sprawozdaniu z obrotów handlowych za ostatnie lat pięć spotyka się na pierwszy rzut oka zadawalające dane. Wywóz angielskich produktów podniósł się z 264 na 293 mil. funt. szt. Na takie powiększenie się wywozu o 29 mil. kładzie nacisk optymizm urzędowy, usiłujący wmówić w społeczeństwo, iż ma wszelkie powody do zadowolenia. Lecz, gdy się wejdzie bliżej w naturę rzeczy, natychmiast pierzchają złudzenia. Naprzód przekonywamy się, że w tej zwyżce figuruje węgiel w cyfrze 15 mil. funt. szt. Takie zapotrzebowanie surowego materyału przez kraje postronne jest zwiastunem rozbudzonego u nich ekonomicznego życia i idącego za tem przemysłowego powiększającego się współzawodnictwa. Tem mniej winna sobie Anglia tego wywozu węgla winszować, że wyczerpuje bezpowrotnie swój zakładowy kapitał. Po sprowadzeniu zwyżki wywozu z 29 do 14 mil. funt. szt., czynimy następnie inne odkrycie, to mianowicie, że zwyżka wynika nie z większego zapotrzebowania angielskich wyrobów, ale po prostu z podwyższenia chwilowego cen niektórych z tych wyrobów.

Pierwszą pozycyę pomiędzy artykułami o podwyższonej cenie zajmuje galwanizowane żelazo. Ponieważ jest już niewątpliwym pewnikiem, że Anglia straciła swe dominujące pierwszeństwo w metalurgii na korzyść Niemców w pewnej części, a na korzyść Stanów Zjednoczonych w daleko jeszcze znaczniejszej, to owo podniesienie się cen będzie niezawodnie w przyszłym pięcioletnim bilansie figurowało nie w dodatniej, ale ujemnej rubryce. Przy ciągłem zmniejszaniu się wywozu żelaza i stali, przy widocznej utracie wywozu pro-

duktów wełnianych i przy niepokojącym zastoju produktów bawełnianych, nie można istotnie przewidywać w następnym okresie polepszenia się wywozu angielskiego.

Przyjdzie nam jeszcze dotknąć niżej bilansu handlowego angielskiego, gdy weźmiemy pod rozbiór współzawodnictwo ze Stanami Zjednoczonemi. Ale nie można opuścić stosunków handlowych z Niemcami, bez uczynienia choćby przelotnej wzmianki o nowej taryfie celnej niemieckiej. Skoro już przy istniejącej Anglia nie była w stanie utrzymać swego stanowiska handlowego i ponosiła z każdym rokiem nowe straty, to leży jak na dłoni, że każde nawet drobne podwyższenie ceł wwozowych na komorach niemieckich uczyni położenie jeszcze bardziej uciążliwem dla angielskiego producenta. A wiadomem już jest, niestety, że jutrzejsza taryfa celna niemiecka podwyższy cła wwozowe do nieprawdopodobnych, fantastycznych rozmiarów.

Jak wiadomo, nie obciąża ona surowych materyałów żadnem nowem brzemieniem, a to w zamiarze ułatwienia krajowej wytwórczości. Nie przyniesie to atoli żadnej korzyści Anglii, która surowych materyałów nie dostarcza Niemcom. Natomiast przyszła taryfa niemiecka zamierza nałożyć na wyroby przemysłowe postronne cła wwozowe wyższe od istniejących obecnie od 40 do 200%. Dowóz angielski był szacowany na 25 mil. funt. szt. Jeżeli zamierzona groźba urzeczywistni się w całości, to powyższa cyfra zejdzie do mikroskopijnej, i faktycznie artykuły przemysłowe angielskie wyparte zostaną z rynku handlowego niemieckiego. Sypią się protestacye wszystkich warstw społecznych tutejszych w sprawie tej zainteresowanych i zapowiadana jest ruina niejednej gałęzi wytwórczej. Ale ponieważ rząd angielski nie ucieknie się do gróźb przeciwko potężnemu sąsiadowi, w którym podobało mu się nie widzieć pokrewnego pochodzeniem i interesami sojusznika, i ponieważ, z drugiej strony, pozbawiony jest środków odwetu przez brak jakiejkolwiek taryfy ochronnej, zatem świat ekonomiczny angielski przygotowanym być musi na nieuniknioną klęskę i jedynie co do jej doniosłości istnieć może różnica zdań.

IV.

Jakkolwiek dotkliwe są straty, zadane przez Niemcy dotychczasowej przewadze angielskiej w sferze ekonomicznej, maleją one i nieledwie ulatniają się, gdy się je porówna z temi, o jakie ją przyprawił inny współzawodnik—Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Jeżeli

od lat kilku objawia się otwarcie niezadowolenie z rywalizacyi Niemiec i rozbierane są te lub owe obronne środki, to skargi na Amerykanów były do ostatnich czasów rzadkie, a nawet, gdy się stały powszechnemi, niema w nich goryczy i żółci. Stwierdzając słonecznie jasną prawdę, że zostali wyprzedzeni, pobici i wyparci ze swych dotychczasowych stanowisk, Anglicy uderzają się w piersi i przyznają, że ten ujemny rezultat nastąpił z ich własnej winy. Tyle im zależy na utrzymaniu blizkich przyjacielskich stosunków z Amerykanami, taki nacisk kładą zawsze na szczepowe pobratymstwo, że zmniejsza to w ich oczach boleść porażki. Można nawet dostrzedz w sławieniu energii i dzielności kuzyna Jonathana rodzaj dumy: jedynie szczep anglo-saksoński mógł wznieść się na takie wyżyny, jedynie on był do tego wysiłku zdolny! Skoro Anglia strącona została z tronu, na którym królowała bezpodzielnie od stu lat z górą, to jedyną pociechą dla niej być może ten wzgląd, iż nie żadne szczepowe mocarstwo, ale krew z ich krwi, kość z ich kości pochwyciła z jej rąk berło przywódzcy.

Chociaż Anglicy nie skarżą się głośno, to niemniej przeto czują się dotknięci, upokorzeni wewnętrznie. Regestrują swe porażki z godnym podziwu spokojem, ale jest oczywistem, iż rana jest i pozostanie rozjątrzoną. I nie może być inaczej. Najpowierzchowniejszy rzut oka wystarczy, aby zdać sobie sprawę z rozmiarów, jakie przybrała, używając trafnego słowa p. F. A. Mackenzie, owa inwazya amerykańska. Jako punkt wyjścia należy wziąć ten fakt, że obecnie, w 1900, wywóz towarów angielskich jest taki sam, jak w 1872 r., a zatem w przeciągu 28 lat, z których żaden nie był złym, wytwórczość angielska, pomimo wzrastającej ludności, nie zrobiła jednego kroku naprzód, nie rozwinęła się. Cały nadmiar nowych potrzeb świata zaspakajany jest już nie przez Anglików, ale przez Amerykanów.

Inwazya amerykańska nie była jednorazową, ani gwałtowną. Nie jest to straszny wylew rzeki, lecz powolne, stopniowe, nieprzerwane sączenie się wilgoci, niszczącej i najgrubsze mury. Jeszcze przed dziesięciu laty zdawało się Anglii, że trzyma prym w żelazie i stali, w bawełnie, w węglu, żegludze kupieckiej. Czerpiąc z Ameryki artykuły żywnościowe, Anglia była rynkiem, na którym Amerykanie zaopatrywali się w wyroby przemysłowe. Dzisiaj Anglia nie przestaje żywić się amerykańskiem zbożem, mięsem, etc., ale Amerykanie zaprzestali kupować angielskich wyrobów, a co więcej, wprowadzają swoje własne do Anglii w rozmiarach coraz większych. Podług urzędowej statystyki Stanów Zjednoczonych, Anglia bierze 79% ca-

łego ich europejskiego wywozu i 60% wszystkich produktów rolniczych.

Gdy Pierpoint Morgan zakupuje kompanie statków parowych angielskich, gdy Schwab narzuca angielskiej metalurgii swe warunki, gdy Filadelfia otrzymuje obstalunki mostów i wiaduktów, gdy angielskie drogi żelazne kupują tysiące lokomotyw w Ameryce i gdy zamorscy przedsiębiorcy otwierają w stolicy angielskiej elektryczne komunikacye wzorowe, powstaje wrzawa, przerażenie. Takie olbrzymie fakta biją w oczy. Ale ileż innych, na pozór drobniejszych, przechodziło niepostrzeżonych i torowało drogę dla tych kapitalnych tryumfów! Mówi przysłowie angielskie, określając czynność niepotrzebną, niepodobną, nieprawdopodobną, że była-by ona dowożeniem węgla do Newcastle. A to nieprawdopodobieństwo stało się już normalnym faktem, jeżeli nie co do węgla, to co do żelaza, stali, blachy, etc. Co do tej ostatniej, której nie wyrabiano zupełnie w Ameryce przed dziesięciu laty, to w jednym miesiącu obecnie dowozi Ameryka do portu Cardiff 20,000 ton. Z tego właśnie portu wywożono blachy do Ameryki 350,000 ton rocznie. Co do dowozu amerykańskich machin, to wystarczy jeden szczegół, że Anglicy sprowadzają z Bostonu i Nowego-Yorku tygodniowo za przeszło 4,000 funt. szt. machin do pisania. Ta gałąź wytwórcza została całkowicie wyrugowaną tutaj. Meble i sprzęty domowe amerykańskie przeniknęły już do każdego domu; narzędzia rzemieślnicze tamtejsze przez swą doskonałość narzuciły się absolutnie na rynku. Rzecz dziwna, że nawet w artykułach ubioru inwazya amerykańska zwyciężyła. Bluzki, t. j. luźne staniki, używane powszechnie przez kobiety, znajdują stały i szeroki pokup, szczególniej u warstw mniej zamożnych. Amerykanie zaczęli je sprzedawać ryczałtowo i od razu wyroby ich znalazły takie powodzenie, że otrzymują już regularne obstalunki na dziesiątki tysięcy funtów szt. Obuwie amerykańskie tak się przyjęło w Angli, dzięki swej wytworniejszej formie, połączonej z trwałością, że ta poważna gałąź wytwórcza, od wieków osiadła w kilku hrabstwach Anglii, zagrożona jest w swym bycie. W 1898 Ameryka wprowadziła tu obuwia za 92,714 f. szt.; w r. 1899—za 147,944; w roku 1900— za 228,057; sześć pierwszych miesięcy b. roku już dorównały zeszłorocznemu dowozowi. I tak samo dzieje się w najdrobniejszych przedmiotach. Niechaj za przykład posłużą zapałki. Najpoważniejsza firma angielska, Bryant & May, dzierżąca faktyczny monopol, została tej wiosny zakupiona przez dom amerykański. Otworzył on już olbrzymią fabrykę zapałek w Liverpoolu, gdzie zastąpił od razu przedpotopową organizacyę angielską z takim rezultatem, iż liczba rąk z 14,000 zmniejszona została o połowę; maszyny amerykańskie są tak

doskonałe, że siedem dziewcząt produkuje 144,000 pudełek zapałek. Jeżeli warunki wytwórczości przedsiębiorców amerykańskich okazują się zadawalające, to prowadzą ją i nadal tutaj, ale przy pierwszym zawodzie, bez chwili wahania, przenoszą się w rodzinne strony. W ten lub inny sposób Anglia zostaje wyrugowaną z uprzedniej pozycyi i wydziedziczoną. Amerykanie z arogancyą oświadczają, że dzisiejsza Anglia zastępuje im ów wschód barbarzyński i dziki, gdzie ich przodkowie udawali się po złote runo, i obu rękoma zgarniają też z niej żniwo. Ich energia, przedsiębiorczość, bystrość kombinacyi, rzutkość i śmiałość operacyi są takie, że zazwyczaj powolny, stateczny, John Bull, jest oszołomiony, i decyduje się na zaniechanie współzawodnictwa, nawet gdy posiada do niego przyjazne warunki.

Ale ta inwazya Amerykanów ujawnia się przedewszystkiem w nowych gałęziach wytwórczości, zaimprowizowanych, jeżeli się tak wyrazić wolno, przez nowo zrodzone potrzeby społeczne. Gdy Anglik, hołdujący rutynie, patrzy z niedowierzaniem na te „nowinki," Amerykanin chwyta się ich z zapałem. Automobile, telefony, ruchome kamery, fonografy, elektryczne tramwaje i elektryczne koleje żelazne, maszyny do pisania, windy itd., zostały zmonopolizowane przez Amerykanów, poprostu dla tego, że się wzięli do nich już wtedy, gdy Anglicy jeszcze teoretycznie nad ich pożytecznością i praktycznością rozmyślali. Nawet rządowe instytucye angielskie zmuszone zostały zaopatrywać się u Amerykanów. Przy ciągnącem się od lat kilku i trwać mającem jeszcze pięć lat przebudowaniu i rozszerzeniu centralnych gmachów poczty londyńskiej, cały aparat telefoniczny musiał być zakontraktowany u amerykańskich kompanii i one otrzymają miliony funtów dla tego poprostu, że nie było firm krajowych, mogących z nimi konkurować. „Kodak" (kamera fotograficzna amerykańska) ufundował w Londynie dom tak potężny, że wziął monopol fotograficznych przyrządów i za przeszło milion dolarów sprowadzane one są corocznie z Ameryki.

Przedewszyskiem rzutkość Amerykanów ujawniła się w zastosowaniu elektryczności, jako siły pociągowej. Ongi Anglia przodowała światu, gdy szło o drogi żelazne i parochody. Teraz Amerykanie w ciągu ostatnich lat dziesięciu powiększyli elektryczną trakcyę na drogach żelaznych ze 150 do 20,000 mil, podczas gdy Parlament angielski nie rozstrzygnął jeszcze kwestyi, czy należy udzielić koncesyi na 773 mile kolei elektrycznej, mającej kosztować 24 mil. f. szt.; stąd zaś wynikło, że gdy przyszło do budowy kolei podziemnej metropolitalnej elektrycznej, to Amerykanie stanęli pierwsi, jako dostawcy lokomotyw i machin. Centralna droga elektryczna zakupiła cały swój tabor, 800 lokomotyw, w Ameryce. Obecnie potrójny pierścień

drogi podziemnej metropolitalnej, najgłówniejszy system komunikacyi Londynu, ma zamienić siłę pary na elektryczność. Jest to przedsięwzięcie kolosalne.

I znowu też znajdujemy Amerykanina, p. Yerkes, który, wykupiwszy w tajemnicy w ciągu lat ostatnich lwią część akcyi tej linii, staje, jako dyktator, i bierze się do reorganizacyi nie tylko przy poparciu kapitałów, ale i fabryk amerykańskich. Kilka nowych linii elektrycznych podziemnych zostało zapoczątkowane przez Amerykanów, podobnie jak gęsta sieć tramwajów elektrycznych przedmieściowych. Zacząwszy od kilku znaczniejszych miast prowincyonalnych i sprawdziwszy materyalne zyski przedsiębiorstwa, Amerykanie wzięli nakoniec szturmem stolicę, oświadczając z istotnym humorem Yankesów, że, nie chcąc dłużej rumienić się za swych krewniaków, przyszli wprowadzić ich na gościniec cywilizacyi elektrycznej.

A'wszystko to dopiero początek, dopiero dziecinne stadyum. Wielkie biura elektrycznych przedsięwzięć otwierają się ciągle w Londynie; kolosalne fabryki powstają na prowincyi. Anglicy przypuszczeni są łaskawie do wzięcia w nich finansowego udziału, ale stanowisko ich jest w tych kompaniach podrzędne. Widocznem jest, że Amerykanie im nie ufają i że zachowują dla siebie głos rozstrzygający.

V.

Ażeby ocenić należycie rozmiary inwazyi amerykańskiej, nie należy pomijać drobiazgów, gdyż w nich właśnie okazuje się owa „aneksya Wielkiej Brytanii do Stanów Zjednoczonych," jak się wyrażono z mniejszą przesadą, aniżeli z góry wydawać-by się mogło. Komfort, ów produkt cywilizacyi angielskiej, był owocem bogactwa, jakie społeczność ta sobie zdobyła. Było naturalnem, że i amerykańska społeczność, rosnąca w szybszym jeszcze stosunku w zamożność, chciała także uczynić swe życie wygodnem. Ale dodała do warunków zaspakajających jej dobrobyt jeden jeszcze, który na ich gruncie zrodzić się musiał—szybkość. Pędząc galopem przez życie, Amerykanie pragnęli ułatwić sobie wszelki wysiłek, oszczędzić niepotrzebnej pracy. Do domowej ich sfery weszły tedy różne użyteczne drobne wynalazki, które naturalnym biegiem rzeczy przyswoili sobie Anglicy, zakupując je w miejscu ich pochodzenia.

Nie potrzeba zapewne przypominać maszyn do szycia, które, pomimo, że istnieją ich fabryki krajowe, za milion dolarów rocznie sprowadzane są ciągle jeszcze z Ameryki. Obecnie wchodzą coraz bardziej

w użycie maszyny do łatania dziur w odzieży, do cerowania bielizny, do robienia pończoch. Wszystkie miotły, a szczególniej ten instrument, co umiata kobierce bez kurzu (the carpet sweeper), znajduje się już dzisiaj w każdym dostatnim domu angielskim. Jest też dziedzina, w której produkcya amerykańska cieszy się całkowitem zwycięstwem —są to specyalne aptekarskie wyroby. Przy wielkiem rozpowszechnieniu hygienicznych środków przezorności i lekarstw używanych przez każdą rodzinę, amerykańskie „patentowane“ specyfiki wzięły szturmem publiczność. Apteki londyńskie, pomimo biernego oporu, stawianego przez świat lekarski miejscowy, którego dochody podkopują, sprzedają ich tygodniowo za 4,000 f. szt., podczas gdy wszelkie inne zagraniczne specyalności razem wzięte w drobnej tylko ilości cyfrę tę przewyższają. W wyrobnictwie zegarków, dwie firmy amerykańskie, Waterbury i Waltham, zaopatrują Anglię prawie wyłącznie w tanie produkty, których doskonałość osiągniętą została przez precyzyę narzędzi i machin zegarmistrzowskich. Te dwa domy sprzedają w Anglii za 130,000 funtów szterlingów wyrobów amerykańskich.

Na osobne uwzględnienie zasługuje drukarstwo i litografia. Jak wiadomo, Stany Zjednoczone uznały prawo własności literackiej w r. 1891 z warunkiem, ażeby książki drukowane były amerykańskiemi czcionkami i płytami. Wielu wydawców angielskich uznało za korzystniejsze drukować od razu swe wydawnictwa w Ameryce, co oddziałało niekorzystnie na produkcyę drukarską krajową. Ale większe jeszcze miejsce zdobyły sobie machiny rotacyjne drukarskie amerykańskie, używane obecnie już wyłącznie w wydawnictwach dziennikarskich. Szybkość ich obrotów i doskonałość operacyi jest taka, że, bez względu na wysokie ceny, zastąpiły one wszystkie staroświeckie typy angielskie.

Dziwiono się, że Amerykanie zostawili odłogiem dowóz ryczałtowy swych tytoniów do Anglii. Wprawdzie ziemia i klimat Irlandyi nadaje się wybornie do produkcyi tytoniu, ale rząd angielski w swej systematycznej niechęci względem Irlandczyków, sparaliżował tę produkcyę, zamierzając oddać ją swym zamorskim koloniom. Stało się jednak inaczej, gdyż większa część tytoniu i cygar sprowadzana jest z Niemiec. Zyski, jakie ta gałąź dawała, zwróciły uwagę Amerykanów, i oto w chwili, kiedy to piszę, opinia zaskoczoną została wiadomością o utworzeniu potężnego syndykatu amerykańskiego, który zamierza zmonopolizować całą dostawę i sprzedaż tytoniu i cygar. Bez obawy fałszywego proroctwa, można z góry przewidzieć w tym razie takie samo powodzenie, jak to, które stwierdzonem już było w tylu innych.

Całe domowe życie angielskie jest już obecnie w najdrobniejszych potrzebach codziennych zaopatrywane przez artykuły amerykańskie. Czytelnicy, którzy przypominają sobie nieraz cytowany ustęp Fr. Bastiata, gdzie ów ekonomista, wojując za wolny handel, pokazał, jak świat cały składa się na zaspokojenie najelementarniejszych naszych potrzeb, znajdą w następującym obrazie życia dzisiejszego Anglika równie charakterystyczne simile. Tłómaczę je dosłownie z wyżej wzmiankowanej monografii Fryd. A. Mackenzie „Inwazya Amerykańska."

„Wstając rano ze swego amerykańskiego składanego łóżka, angielski dżentleman goli się amerykańską brzytwą i mydłem amerykańskiem Williamsa; wdziewa szkarpetki z Nowej Karoliny, parę butów z Bostonu i szelki z Konnektikutu, kładzie do kieszeni zegarek Walthama, albo Waterbury i zasiada do śniadania. Winszuje swej żonie, jak dobrze wygląda w gorsecie z Illinois i bluzce z Massachusetts, i spożywa chleb z amerykańskiej mąki, ostrygi ze Spokojnego Oceanu zakonserwowane w blaszanej puszcze, płatek słoniny wędzonej z Kansas, podczas gdy jego żona posila się kawałkiem solonego ozora z Chicago. Dzieci jedzą kaszkę jęczmienną purytanów. Przed sobą ma dziennik poranny, drukowany na amerykańskim papierze przez amerykańskie maszyny drukarskie. Gdy opuszcza dom, wskakuje do amerykańskiej podziemnej drogi żelaznej elektrycznej, skąd amerykański tramwaj dowozi go do jego biura w City, gdzie, jak się samo przez się rozumie, wszystkie meble i przybory są amerykańskiego pochodzenia. Na pośpiesznie spożytem drugiem śniadaniu połyka kawałek roastbefu z Jowa, z piklami z Nowej Anglii i kończy je brzoskwiniami z Florydy i papierosem z tytuniu wirgińskiego. Było-by zmudnem iść w ślady za jego zajęciami w ciągu całego dnia, ale jest bardzo prawdopodobnem, iż za nadejściem wieczoru szuka wytchnienia w jednym z licznych teatrów, gdzie grywane bywają amerykańskie muzykalne komedye, a ostatnią rzeczą, którą czyni przed udaniem się na spoczynek, jest połknięcie amerykańskiej pigułki leczącej wątrobiane cierpienia". W tym komicznym obrazie naszego autora nie tylko, że niema przesady, ale są namacalne braki. Stwierdziwszy do jakiego stopnia Ameryka wzięła Anglię w kuratelę, zapytać się można p. J. E. Woolacott, czy ta ostatnia nie popadła w dzieciństwo, czy nie zniedołężniała, jako organizm ekonomiczny, i zadrżeć z przerażenia nad jej położeniem, gdyby przez jaki kataklizm kuli ziemskiej nagle druga półkula zniknęła pod falami Oceanu. Azaliż poradzić-by sobie potrafiła sama sobie zostawiona Anglia?

Ale doprawdy nie jest to już chwila do żartów, szczególniej, gdy, rozszerzając obserwacyjny widnokrąg, przechodzimy od samej Wiel-

kiej Brytanii do zamorskich wielko-brytańskich kolonii, do tego Imperium, co wzdyma patryotyczną dumą każdego Anglika. Otóż te kolonie są w większym jeszcze stosunku niż metropolia zalane przez produkcyę amerykańską. Oddawna zrozumieli Amerykanie, że gdy zwyciężą dowóz brytański i handel w koloniach, to staną się panami świata. Czujnie dobrani konsulowie amerykańscy badają potrzeby mieszkańców, posyłają rządowi swemu dokładne raporta, a on natychmiast wskazuje swym przemysłowcom otwarte przed nimi gościńce.

Nie potrzeba dotykać nawet południowej Afryki. Gdy wybuchła tam przed dwoma laty wojna, zastała już tam zoganizowany dowóz produktów amerykańskich. Po zakończeniu walki, zawieszone tylko operacye handlowe natychmiast rozwiną swą działalność. A do czego Amerykanie są zdolni, pokazują wybitnie dwie drugie grupy kolonialne angielskie: Kanada i Australia.

Przez swe geograficzne położenie Kanada jest przystawką do budowli Stanów Zjednoczonych i jeżeli zadzwoni w przyszłości godzina rozkładu wielko-brytańskiego Imperium, to ona, jak owoc dojrzały, spadnie do amerykańskiego kosza. Lecz nie troszcząc się wiele o to, co im przyniesie mniej więcej oddalona ewentualność, Amerykanie zalewają tymczasem Kanadę swemi wyrobami. A udało im się pobić Anglików, chociaż Sir Wilfried Laurier, pierwszy minister Kanady, chcąc faworyzować handel z metropolią, zmniejszył o 26% cła wchodowe od jej wwozu stosunkowo do wwozu obcych narodów. Ale ten przywilej handlowy nie zaostrzył energii u Anglików, podczas kiedy stał się ostrogą dla Amerykanów. Największą przyszłość w przemyśle Kanady ma stal i żelazo, dotąd jednak jej fryszerki i huty nie produkują na miejscowe potrzeby i Kanada kupowała w Anglii za 750,000 funt. szt. rocznie tych artykułów. Od 1879 r. zakup ten zmniejszył się o 25%, jednocześnie dowóz amerykański powiększył się o 55%, a w 1900 roku nawet o 60%. Lecz to nie wszystko jeszcze. W ciągu trzech lat ostatnich przedsiębiorcy amerykańscy z olbrzymiemi kapitałami rzucili się do zakładania w Kanadzie potężnych zakładów metalurgicznych. Produkcya krajowa, wzrastając i krzepiąc się, uczyni dowóz artykułów z Anglii zbytecznym, a dla działalności amerykańskiej są to perspektywy niezmierzone. Statystyczne tablice za rok ostatni wskazują, że dowóz towarów angielskich do Kanady powiększył się o niecały milion, podczas gdy dowóz amerykański, pomimo cel o 25% wyższych, powiększył się przeszło o trzy miliony. Cyfra ta wyklucza potrzebę wszelkich dalszych komentarzy.

Z małemi zmianami takie samo położenie rzeczy istnieje w Australii. Kraje te, dotąd przeważnie rolnicze, zaopatrywały się w machiny i narzędzia rolnicze w metropolii. Ale gdy te stanęły obok udoskonalonych amerykańskich pługów, siewników, żniwiarek, młocarni, itd., nie mogły wytrzymać konkurencyi. Rolnicy australscy, gdy przybywają w odwiedziny do Anglii, wydziwić się nie mogą zastarzałym metodom i narzędziom angielskich farmerów i nie tają swego zdania, że upadek angielskiego rolnictwa taką a nie inną ma genezę. Praktycznie wyraża się porównanie obrotów Australii i Nowej Zelandyi z Anglią a Stanami Zjednoczonemi tak, że w ciągu czterech lat ostatnich pierwsze podniosły się o 15%, a drugie o 60%. Bardziej jaskrawe są jednak jeszcze niektóre pozycye: tak naprzykład w Wiktoryi, w ostatnim finansowym roku dowóz angielskich wyrobów zmniejszył się o 5%, a dowóz amerykański powiększył się o 55%.

Wszędzie, bez najmniejszego wyjątku, jedne i te same fenomena. Nie chcę dłużej nużyć niemi uwagi czytelnika, ograniczyć można ten przegląd i zamknąć obrazem rywalizacyi obu współzawodników w dwóch najważniejszych sferach: metalurgii i żeglugi.

VI.

Niedawniej, jak dziesięć lat temu, (o czem wspomnianem było wyżej), Anglia trzymała prym w fabrykacyi i w wywozie żelaza, stali i we wszystkich wogóle gałęziach metalurgii. W 1884 Anglia produkowała dwa razy tyle, co Stany Zjednoczone; w 1890 te ostatnie doścignęły ją i oba kraje stały na równi. Anglia powiększała swą roczną produkcyę o 25%, Ameryka z górą o 300%. Rezultat był do przewidzenia. W 1899 r. Anglia wysyła do Ameryki 20,000 ton surowego żelaza, a jednocześnie Ameryka wysyła do Anglii już 80,000 ton. W zeszłym roku ta ostatnia powiększyła swój wywóz o 70% tj. wartość 219,000 f. szt. podniosła się do 350,000 f. szt. W ciągu czterech pierwszych miesięcy b. r. wwóz amerykańskiego surowego żelaza do Anglii podniósł się do 80,000 f. szt., podczas gdy w tym samym okresie roku zeszłego był tylko 47,000 f. sz. Wywóz angielski tego produktu zniknął zupełnie.

Ale strata, co do wyrobionego żelaza i stali, musiała głębiej dotknąć wytwórczość angielską, jako przedstawiającą znacznie wyższą wartość. Otóż w ciągu dwóch lat ostatnich wwóz amerykański podniósł się w stosunku przeszło 600%. Cyfry są fantastyczne istotnie. Porównywając cztery pierwsze miesiące 1900 r. z temiż miesiącami

bieżącego, 1901 r., spostrzegamy, że ilość ówczesna 4,000 ton, wartujących 33,000 f. szt., przedstawia się w bieżącym roku jako 44,000 ton, wartujących 250,000 f. szt. Jest to wzrost o 1,100% w ciągu jednego roku, i nie może być mowy w takich warunkach o współzawodnictwie.

Można-by się pocieszać, że koniec końcem jest to stal, jako materyał, ale że gdy przyjdzie do zużytkowania jej w narzędziach, maszynach, rurach, kotłach, etc., to, dzięki swemu o lat 60 starszemu wyrobnictwu, Anglia wytrzymać może konkurencyę. Lecz i ta nadzieja nie wytrzymuje próby gołych faktów. Biuro statystyczne w Washingtonie w swym urzędowym wykazie za rok ostatni wymienia wysłanych do Anglii: 84 lokomotyw, 128 machin, 13,847 ton drutu, 5,735 kół wagonowych, za 313,000 f. szt. machin elektrycznych, za 190,000 f. szt. pomp i pompujących machin i t. d. Przed pięciu laty wszystkie te przedmioty Anglia wyrabiała sama dla siebie; dziś sprowadza je z Ameryki.

To samo trzeba powiedzieć o metalowych mostach, niedawno jeszcze chlubie angielskiego przemysłu. Amerykanie uprościli tak dalece ich budowę, sprowadzili je do tak doskonałych typów, że wyparli Anglików z ich twierdzy. Słynną jest sprawa mostu na Atbarze w Egipcie. Aby wykonać tę budowlę o 622 tonach, angielscy fabrykanci potrzebowali 26 tygodni i 16 f. szt. za tonę; Amerykanie otrzymali obstalunek, wykonywając robotę w ciągu 14 tygodni za 10½ f. szt. za tonę. To samo powtórzyło się przy wiadukcie Gokteih w Birmanii. Wielkie to dzieło inżynierskiego kunsztu, o 4,332 tonach żelaza, podjęli się Amerykanie wykonać w ciągu jednego roku po 15 f. szt. za tonę, podczas kiedy angielskie domy wymagały trzech lat i 26 f. szt. za tonę. Wiadukty w Ugandzie i wiele innych prac tego rodzaju w angielskich koloniach nie przestają otrzymywać Amerykanie, gdyż wykonywają je śpieszniej, o wiele taniej, przy takiej samej doskonałości.

W wyrobach narzędzi mechanicznych i rzemieślniczych Anglicy do tego stopnia uznali się za pobitych, że nawet w Sheffieldzie, głównem ognisku tej fabrykacyi, posługują się wyłącznie amerykańskiemi, jako praktyczniejszemi i szybciej spełniającemi robotę. W tokarstwie amerykańskie toczydła dokazały rewolucyi. Nie potrzeba powtarzać tego, co wyżej powiedzianem było o rotacyjnych machinach papierniczych, drukarskich i o czcionkach.

Takie było położenie rzeczy, gdy w marcu r. b. dowiedział się świat angielski o zawiązaniu w Stanach Zjednoczonych wielkiej unii stali (steel trust) o fantastycznym kapitale 229,000,000 f. szt. Unia ta, nosząca urzędową nazwę „United States Steel Corporation“, objęła

w początku osiem najznaczniejszych przedsiębiorstw metalurgicznych. Firma Carnegie z Pittsburga figuruje w niej w sumie 316,000,000 dolarów. Jej wyroby w ostatnim roku szacowane były na 8,000,000 f. szt., a p. Andrzej Carnegie, dyrektor tych zakładów słynny filantrop, sprzedał część swego udziału za 80 milionów f. szt. Dyrektorem całej Unii został p. Pierpoint Morgan, a p. C. D. Schwab, który przed 20 laty wstąpił był jako robotnik do zakładów p. Carnegie z zarobkiem 50 f. szt. rocznie, pobierać będzie obecnie, jako zarządca, roczną pensyę 160,000 f. szt., największą, jaką znał dotąd świat przemysłowy. Od chwili, jak się ta Unia metalurgiczna utworzyła, wiele firm drugo i trzeciorzędnych, które zrazu zamierzały zachować stanowisko niezależne, odrębne, uznały za korzystniejsze dla siebie wziąć w niej udział.

Wskutek tej olbrzymiej, b zprzykładnej w historyi przemysłu organizacyi, Stany Zjednoczone stały się pierwszą potęgą w ekonomicznym świecie w dziedzinie metalurgii, a otwarcie oznajmują, iż mają na celu zmonopolizować ją i stać się jedynym wytwórcą. Rozporządzając kapitałem 11,000 milionów dalarów, obejmując całe terytoryum Stanów Zjednoczonych, posiadając swe drogi żelazne, kopalnie węgla, nafty, swe porty, flotę, Unia ta nie znajduje żadnych przeszkód do korzystnych operacyi handlowych wewnątrz kraju. Zgniotła zmowę robotniczą i ma swobodne ręce. Ograniczyła statutami procent od kapitału na 7%, a dzięki ogromnym zyskom, które da jej rynek wewnętrzny, poświęci ich część na sprzedawanie w Europie swych wyrobów po cenach niżej kosztu, aby zniweczyć wszelką możliwość europejskiego współzawodnictwa. Żadnego złudzenia nierobi sobie Anglia. Książę Devonshire i Sir Karol Furness, jako dyrektorowie wielkiej kompanii „Durham Steel & Iron Cy," przygotowali akcyonaryuszów i robotników na nadchodzący najcięższy kryzys, jaki ta gałąź przechodziła kiedykolwiek. Ze wszystkich punktów Stanów Zjednoczonych dochodzą radośne głosy tryumfatorów, zewsząd słychać o przygotowujących się fabrykach w Anglii, gdzie produkty amerykańskie będą wykończane. Brzmi to jak Requiem.

Ale i pośrednio utworzenie się Unii metalurgicznej amerykańskiej ukazało się jako groźba. Dotąd angielska marynarka handlowa nie miała rywala. Dzięki jej okrętom, co szybowały po wszech morzach i oceanach, cały świat płacił Anglii haracz w formie frachtów i opłat transportowych. Z tego zródła przedewszystkiem rosły dochody i społeczność angielska okazywała symptomy nadmiaru bogactw. Nie miała pod tym względem rywala. Francya straciła przez własną winę swą marynarkę handlową i potrzebować będzie kilku

dziesiątków lat, aby stanąć na własnych nogach; Niemcy rozwijają się szybko, to prawda, ale Anglicy nie tracili nadziei, iż uda się im zachować pierwszeństwo. Naraz zapowiada im się współzawodnik, o którego energii i przedsiębiorczości wiedzą co trzymać — Amerykanie.

Do ostatnich czasów Stany Zjednoczone zajmowały w marynarce wojennej i w handlowej miejsce podrzędne. Nie uczuwały potrzeby pierwszej, nie sięgając po zamorskie zdobycze. Obecnie po wojnie z Hiszpanią, po zawojowaniu Kuby, Porto-Rico, archipelagu Filipińskiego, po kampanii chińskiej, sytuacya się zmieniła. Wytworzywszy interesa imperyalne, wielka rzeczpospolita potrzebuje floty wojennej. Bierze się też do jej budowy i widzimy, że rozpoczyna działalność w tym kierunku przez 15 okrętów wojennych; jak na początek, jest to wystarczające.

Pod względem marynarki handlowej stały gorzej jeszcze. Po dziś dzień przewyższała je nawet podrzędna Norwegia. Pomimo gorączkowego wzrostu ich przemysłu, zaledwie 9% wytworów krajowych było przewożonych pod narodową, gwiaździstą flagą; 91% pozostałych posiłkowało się niemieckiemi a przedewszystkiem angielskiemi okrętami, opłacając im wysokie frachty; sytuacya była nienormalna i trudno zrozumieć, że trwała tak długo. Nastąpiło atoli przebudzenie i z właściwą sobie energią Amerykanie wzięli się do dzieła. Jednem z ostatnich dzieł przezydenta Mac Kinleya było przedłożenie szerokiego planu o subsydyach i zapomogach, jakich skarb państwowy będzie udzielał warsztatom okrętowym krajowym na budowę rozmaitych typów statków handlowych. Plan ten, odpowiadający całkowicie tendencyom społeczeństwa, ma zapewnione sobie bezwarunkowe poparcie obecnego prezydenta, Roosevelta, i niema najmniejszej wątpliwości, że pod opiekuńczem skrzydłem państwa Stany Zjednoczone będą za lat kilka w posiadaniu floty handlowej, która je wyzwoli z zależności od Anglii. Już obecnie zbudowali Amerykanie wielkie i doskonałe statki do transportu zboża z portów Oceanu Spokojnego do Azyi. Po przekopaniu między-oceanowego kanału będą miały Stany Zjednoczone tak wybitne pierwszeństwo przed Europą w handlu z Azyą, że wróżby, które zapowiadają, iż przed końcem XX stulecia zajmować będą takie stanowisko handlowe, jakie w końcu XIX było udziałem Anglii, mają za sobą nieledwie matematyczną pewność.

Ale wszystko to, lubo zapewnione, lubo konieczne, nie zaspakajało gorączki amerykanów. Nie chciało się im czekać lat kilka, potrzebnych do zbudowania okrętów, pragnęli je mieć zaraz, natych-

miast. I zaledwie p. Pierpoint Morgan zorganizował kolosalną Unię metalurgiczną, gdy przybył do Anglii z zamiarem zakupienia tej lub owej kompanii żeglugi handlowej. Pierwszy wybór jego padł na kompanię Leyland, drugą co do znaczenia pomiędzy kompaniami, przewożącemi towary przez Atlantyk. Negocyacye prowadzone były poufnie i szybko, i zakupiwszy akcye po nominalnej wartości 12½ f. szt. za 14 f. szt. stał się właścicielem tej linii. Na pozór nic się nie zmieniło i statki tej kompanii będą i nadal żeglowały pod angielską flagą, ale będą pracowały dla Amerykanów. Jak piorun uderzyła ta operacya w serce Anglików. Niepodobna było nie ujrzeć wychylającego się z głębin morskich oblicza Gorgony. Jest wiele innych kompanii żeglugi, które są gotowe w tak korzystnych warunkach przejść na własność Amerykanów. Pełno też pogłosek o już rozpoczętych, albo już dokonanych negocyacyach zakupu. Znana „White Star Line“ ma już być własnością Unii metalurgicznej z zastrzeżeniem, że kontrakt pozostanie prywatnym aż do końca roku. Nie można się dziwić, że prasa amerykańska przyjmuje te buletyny zwycięskie z zapałem, i że je zapisuje pod rubrykę: „Wykupywanie Anglii.“

VII.

Czas jest zatrzymać się w naszym przeglądzie ciosów i klęsk, jakich doznał świat przemysłowo-handlowy angielski. Znużyliśmy zapewne i najcierpliwszego czytelnika nawałem statystycznych cyfr, ale sądzimy, że na tak silnem jedynie rusztowaniu opierające się wywody mogą posiadać naukową wartość, albo przynajmniej rościć do niej prawo.

Gdy jest mowa o ekonomicznem przesileniu jakiego społeczeństwa, to z pojęciem tem łączy się jego efemeryczność i przewidywanie szybszego lub późniejszego, ale nieodzownego, powrotu do poprzedniej pomyślności. Przesilenie obecne w Anglii nie może mieścić się w tej samej kategoryi ekonomicznych fenomenów, albowiem nie pozwala na wniosek, ażeby wyszła z niego, zatrzymując nadal ową hegemonię, którą niezawodnie posiadała w całym ciągu dopiero co zakończonego stulecia.

Świat ekonomiczny dokonał ewolucyi i jest już widocznem, że berło przewodnictwa wytrąconem zostało z ręki Anglii. Będzie ona mogła, dzięki swym obszernym zamorskim posiadłościom, jeżeli wejdzie z niemi w ścisły związek, dzięki swemu zagospodarowaniu, bogactwu kapitałów, sile marynarki, nie mniej jak energii i twardości narodowego temperamentu, utrzymać się zawsze jeszcze na jednem

z przyczółkowych stanowisk, ale stanowczo nie na pierwszem. W dalekiej przyszłości może fantazya nasza przewidywać pierwszą rolę przemysłowo handlową dostającą się Rosyi, następnie Japonii, nawet Chinom, lecz takiemi oddalonemi hypotezami nie potrzebuje się dziś jeszcze umysł nasz zaprzątać. Jest natomiast fakt, przepowiadany już oddawna przez bystrych spostrzegaczy, a potwierdzony empirycznie, że pierwszą i dominującą potęgą ekonomiczną XX wieku będą Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Pozostaje nam wykazać warunki tego przewrotu.

Zanim Wielka Brytania zajęła górujące stanowisko w świecie ekonomicznym, mocarstwa, które uprzednio znajdowały się na tych samych wyżynach, były nie wytworczymi, ale raczej handlowymi działaczami, pośredniczącymi w wymianie i przewozie produktów z jednych stref do drugich. Fenicyanie, Wenecya, Liga Hanzeatycka, Hollandya byli pośrednikami, handlarzami, bogacącymi się przez korzystnie prowadzone operacye kupieckie. To samo trzeba powiedzieć o Hiszpanii w epoce jej imperyalnego zwierzchnictwa.

Inaczej stało się z Wielką Brytanią. Jej potęga handlowa tem różniła się od dawniejszych hegemonów, że była nietylko emporyum handlowem, przewożącem i sprzedającem wyroby postronnego świata, ale że sama stworzyła u siebie olbrzymią przemysłową wytwórczość. Angielskie produkta za pośrednictwem angielskiego handlu morskiego przenikały do najoddaleńszych zakątków świata i dochody Anglii wzrastały ciągle z trzech zródeł: z korzystnego zbytu swych własnych wyrobów, z opłat otrzymywanych za przewóz obcokrajowych, i nakoniec z procentów od kapitałów umieszczonych za granicą. Dochody, jakie dawał Anglii przemysł i handel, były tak znaczne, że zdawało się jej korzystnem ześrodkować na nich całą swą działalność, zaniedbując rolnictwo. Upadło też ono całkowicie, ale nie troszczyła się tem społeczność angielska, mając w Stanach Zjednoczonych spichlerz zbożowy niewyczerpany. I zakorzeniło się u Anglików przekonanie, że Opatrzność dała im Amerykę, jako folwark, z którego produktów rolnych będzie żyła ich przemysłowa społeczność. W dodatku miała Ameryka dostarczać im surowców do przerobu w ich fabrykach i warsztatach. Taki „podział pracy“ zadawalniał ich chwilowo i zabezpieczać się zdawał przyszłość.

Podobnie jak owe matki, co trzymają zbyt długo swe córki w krótkich sukienkach, nie wierzyła Anglia, żeby Ameryka dojść miała do pełnoletności. Stało się to jednak. Zanim siłami swemi rozporządzała całkowicie, już pokazała się straszną rywalką; co będzie jutro, po jutrze?

Azaliż potrzeba rozpisywać się obszernie o bezwzględnej wyższości ekonomicznych warunków Stanów Zjednoczonych nad Anglią, a ściślej mówiąc, nad całą resztą współczesnego świata? Wielka zamorska republika jest trzydzieści razy większa terrytoryalnie od Wielkiej Brytanii, a kto ośmieli się powiedzieć, że znajduje się już u swych naturalnych kresów! Doktryna Monroë posłużyć jej może w przyszłości do rozgospodarowania się po całym amerykańskim kontynencie. Wszystkie czynniki, któremi rozporządza, są zarysowane w kolosalnych kształtach. Ma po dwóch bokach dwa oceany, a jej szerokie spławne rzeki nie mają sobie równych, ani w Syberyi, ani w Brazylii; jezior, jak Św. Wawrzyńca, niema na kuli ziemskiej. Zboża ma dosyć do wyżywienia całego świata, a produkcya jego kosztuje amerykańskiego fermera 15 centów za buszel. Dwie trzecie bawełny wyprodukowanej na całym świecie zebrane są u nich. Cukier wyrabiany jest na południu z trzciny cukrowej, z buraków na północy; Kalifornia i Floryda są ogrodami owocowemi. Bogactwo kruszczów jest takie, że dotąd wydobywane są tylko z warstw wyższych; węgiel posiadają Stany Zjednoczone na przestrzeni równającej się całej Europie, a jedynie Rosya posiada obfitsze źródła oleju skalnego. Stada jej bydła, ryby jej rzek i wybrzeży wyżywić mogą łatwo obie półkule. A w kraju tym, któremu niczego nie odmówiła przyroda, żyje dotąd 77 milionów mieszkańców ciągle odmładzanych, odradzanych przez napływające do nich wyborowe rasy. Jest podostatkiem miejsca na tem terytoryum dla dziesięć razy większej ludności. Niema najmniejszej wątpliwości, że przed końcem bieżącego stulecia będą miały Stany Zjednoczone przeszło 200 milionów mieszkańców przy najoględniejszym rachunku.

Nie potrzeba wielkiego wysiłku, aby wyobrazić sobie, na jakie wyżyny wznieść się może przemysłowa wytwórczość narodu, który posiada wszystkie, bez najmniejszego wyjątku, czynniki siły i żywioły do niej wymagalne, albo poprostu użyteczne. Stany Zjednoczone muszą stać się jedną olbrzymią fabryką przemysłową. Zaspokoiwszy potrzeby wewnętrzne, jakkolwiek ogromne, będą one wyprowadzały nadmiar swej wytwórczości na zewnątrz, a to w tak korzystnych warunkach, iż nie będą się obawiały najbardziej ochronnych ceł europejskich. Fala amerykańska zmiecie je, jak zmiata domki lepione przez dzieci z wilgotnego piasku na wybrzeżach przypływ morza. Skoro znajdujący się jeszcze w pierwszem rozwojowem stadyum przemysł amerykański w pięcioletnim okresie, pomiędzy 1895 a 1900, powiększył się ze 165 do 295,000,000 f. szt., skoro przewyżka wywozu nad wwozem wynosiła w 1898, 120 mil., a w 1900 r. już 130 mil. funt. szt.; to trzeba się zatrzymać w zdumieniu przed ewentual-

nościami następnych dziesięcioleci. W jednej gałęzi, w metalurgii, pokazali Amerykanie, czego dokonać są zdolni. Zbliża się chwila, gdy się wezmą do wyrobów bawełny. Będzie to wyrok śmierci dla angielskiego Lancashire'u. Rozwinięty przemysł będzie posiadał do swego rozporządzenia marynarkę handlową odpowiedną.

Wielka Brytania ze swemi 42 milionami mieszkańców, z mikroskopijnem terytoryum, z wyczerpującym się węglem, z zamarłem rolnictwem, coraz dalej w tyle pozostanie poza tym olbrzymem, przebiegającym świat w trzechmilowych butach. Zadanie, jakie ma przed sobą, będzie ná przyszłość odmienne. Zamiast rościć pretensyę do zagrabienia handlu wszechświata i narzucenia mu wytworów swego krajowego przemysłu, będzie zmuszona do przedsiębrania wszelkich możliwych środków, ażeby zachować dla siebie swój rynek wewnętrzny. Za daleko-by mnie pociągnęło rozbieranie proponowanych różnorodnych środków: dosyć powiedzieć, że jest tylko mowa o środkach obronnych. To wystarcza do zrozumienia istotnego położenia rzeczy.

Lord Rosebery, w jednej z tych błyszczących mów de omni re scibili, któremi urozmaica sobie polityczną nieczynność, powiedział na początku bieżącego roku, iż charakter walk XX. stulecia nie będzie militarny, ale handlowy, i że rywalizacya pomiędzy społecznościami będzie się stawała coraz goręstszą, coraz bardziej nieubłaganą. Przepowiadał, iż Anglia spotka na swej drodze wielu przeciwników, a w pierwszym rzędzie Niemców i Amerykanów. Tam, gdzie on mówił o „rywalach", o „przeciwnikach", inni, co nie potrzebują się krępować stanowiskiem odpowiedzialnem, mówią otwarcie o „zwycięzcach" i „pogromcach". Coraz częściej zdarza się napotykać pytanie, czy Anglia znajduje się w stadyum rozkładu i upadku; a chociaż pod piórem krajowem odpowiedź jest uspakajająca, to za zaspakajającą uznać jej niepodobna. Czuć w niej głęboką trwogę, a nuta jest zazwyczaj ponura.

Z za oceanu przybywają, w rodzaju pociechy, wróżby, które nie mogą chmur tych rozpędzić. Gdy zgasną ognie w fabrykach angielskich i gdy będzie w niej mniej dymu, mówią amerykańscy kuzyni, Wielka Brytania nabierze w ich oczach jeszcze większego powabu. Jej urocze sielskie krajobrazy, jej wspaniałe rezydencye magnackie, bogactwo miast, nieprzebrany zasób skarbów artystycznych, życie zbytkowe i wyrafinowane, które się tam rozwinęło na arystokratycznej tradycyi, wszystko to otoczy starą Anglię ponętną aureolą. Do tej spokojnej: odrętwiałej Anglii zdążać zawsze będą z radosnym pośpiechem magnaci amerykańscy, w nadziei, że znajdą tam dla swych

nerwów, bezustanną działalnością nadwerężonych, wypoczynek. Rola, jaką przeznaczają Anglii, jest rolą Aten, pokonanych przez Rzym.

Można-ż się dziwić, że są Anglicy, którym taka przyszłość się nie uśmiecha? Nie wystarcza im dumne przeświadczenie, że byli wczoraj pierwszą potęgą świata; czują się uprawnieni do takiej samej przyszłości, i chcieli-by powstrzymać bieg ewolucyjny świata w fazie dla siebie najpomyślniejszej. Są energiczni i uparci, a więc uda się im zapewne odroczyć epokę upadku, ale, jak pokazanem było wyżej, mają przeciwko sobie czynniki, których nawet najzaciętszy upór nie przemoże.

Sunt lacrimae rerum!

Dr. M. E. Nekanda-Trepka.

Podczas wiatru z Tatr.

Dumny, nieuskromiony, witaj mi żywiole!
Zawsze ciebie kochałem ze wszystkich najwięcej!
Na twem łonie się duch mój kołysał dziecięcy,
Tyś mi pierwszą muzyką był słyszaną w świecie,
Kiedyś od Tatr przylatał przez lasy i pole — —
Dumny, nieuskromiony, witaj mi żywiole!

Kochałem ciebie zawsze! bo na twoim grzbiecie,
Jako na oceanu powłoce rozdętej,
Nie śmią siadać i płynąć żeglowne okręty;
Bo niszczysz i niweczysz wszelką ludzką siłę,
Dumny, nieuskromiony, pyszny elemencie!
Bo przelatasz, jak demon, wielką ziemską bryłę
I nigdzie nie jest kres twój — i nigdzie poczęcie.
Wieczny i bezgraniczny, niczem nie zamknięty,
Lecisz przez cichych niebios gwiezdne firmamenty,
I niczemu nie bratni, z niczem nie związany,
Wszystkiemu wszędzie obcy, sam jeden dla siebie:
Pustynie, miasta, sioła, góry, oceany,
Wszystko masz u stóp swoich, wędrując po niebie!

Dumny, nieuskromiony, witaj mi żywiole!
Ty jesteś dusz najsłodszą, najlepszą muzyką!
Jako na wolę marzeń, na twą zdana wolę
Dusza leci: im więcej obcą się uczuje,
Im będzie samotniejszą, im dalej lot chyży
Poniesie ją w pustynię szeroką i dziką:
Tem więcej jest królewską i tem leci wyżej!

Niechaj się tam na dole tłum ludu kotłuje,
Niechaj wstają geniusze i w ducha mozole
Podnoszą głuchy odmęt ludzkiej masy w górę,
Aż runie w dół ich pracę zawalić, jak lawa;
Niechaj się ludzkość cała jednem piekłem stawa,
Lub dusze jak anioły świecą białopióre;
Niech wojna grody niszczy, mór sioło po siole
Obraca w pustkę cichą, lub niech kwitną sady
I złotym plonem lata świat się cały cieszy;
Niech życie będzie świętem dla ludzkiej gromady;
Niechaj się sam Bóg zjawi pośród ludzkiej rzeszy
I rozwiesi nad światem swych rąk aureolę:
Ty, z niczem niezwiązany i obcy wszystkiemu,
Krążysz, li tylko Prawu podległy swojemu,
Dumny, nieuskromiony, wspaniały żywiole!

* *

*

Oto się od Południa na Północ przewala
Twoja nieuskromiona, niebem gonna fala,

Od Wschodu do Zachodu... Borealne zorze,
Lodów zwały straszliwe i gdzie piasek gorze
Pod nogą, a nurt ryby chowa złotopióre:
Wszystko znasz, wszystko widzisz... Na twem strasznem łonie
Statek zamknięty w lodach kruszy się i tonie.
Lody szklą — — jak oczyma spojrzeć dookoła,
Nieskończona biel morza, milczenie ponure,
Wszystko mróz zdławił. Marznie głos, co w niebo woła!
Jedna toń zawalona krą i lodów zrębem.
Może zejdzie Bóg... Ty to zlatasz rwącym kłębem!
Jak na strasznym rumaku, któremu z nózdrz zionie
Woń trupia: śmierć, spienionem dzierżąc cię wędzidłem,
Spada, wiejąc przed sobą twem olbrzymiem skrzydłem.
Okręt gnie się, ugina, już kopytem wspiętem
Śmierć uderza mu w maszty, już twe wściekłe zęby
Rwą mu żagle i liny, już ponad odmętem
Sterczy, jak szkielet nagi. Śmierć ściąga wędzidło,
Wspina cię, zrywa, wznosi — i upada z góry
Jak lew na grzbiet jelenia. Pękły skute dęby,
Zgruchotało się, trzasło wewnętrzne spoidło,
Statek ginie. Już wichrem gnane lodu góry
Chylą się nad nim: boki ku bokom się suną,
Starły się, zgruchotały i z łoskotem runą
Miażdżąc statek i ludzi. Jeszcze jakieś ręce
Wystrzeliły ku niebu z fal w śmiertelnej męce — —
Wzywają!..... Ty tu szumisz, straszliwy żywiole!
Napół trupa wyrzucasz z topieli do góry,
Podnosisz i o lodu uderzywszy skałę,
Ciskasz precz!.. Jedną tylko twoją czci tu wolę
I północny ocean, straszny i ponury,
I lody, od twojego pędu rozszalałe.

* *

*

Ty więźniowi, tysiące mil od swego proga,
Szumiąc u kraty od łez rdzawej i wilgotnej,
Przynosisz wieści z domu... Jak tam żona droga
Uczy dzieci imienia ojca, który więcej
Nie wróci... Słyszy głos jej i szczebiot dziecięcy,
I płacz mu piersi chwyta straszny i zawrotny,
I o ścianę mu głowę rzuca straszna męka,
Ale płacze — dlatego serce mu nie pęka.

W twoim szumie mu dzwoni dzwon z kościelnej wieży
Na Anioł Pański — modlić klękają się ludzie — —
Ty niesiesz szept modlitwy, niesiesz woń wieczerzy
Spożywanej pospołem, niesiesz to odległe
Dalekie, drogie życie, na zawsze odbiegłe...

Niesiesz pól zapach swoich w obcą, smutną stronę,
Piosenkę swoją zabrzmisz w głuchej, niemej nudzie,
Przebiegłszy step niezmierny, pustki niezmierzone,
Wody w bezkres rozlane... Ze skronią u kraty
Więzień słucha, jak szumisz, i nozdrza otwiera,
Czyś nie przyniósł mu trochę dymu z jego chaty,
Czyś nie doniósł zapachu tej lipy w ogrodzie,
Gdzie się rój pszczół na wiosnę każdorocznie zbiera;
Czyś nie przyniósł tej woni, co krąży przy wodzie,
Woń, co mu całe jego dzieciństwo przypomni,
Jak usłyszana kiedyś, po latach, muzyka...

Szumi wiatr — jakby chłodną kładł mu dłoń na głowie — —
Szumi wiatr — więzień oczy powoli zamyka — —
Szumi wiatr — jakby jaśni szli skądś aniołowie — —
Szumi wiatr — więzień zwolna niedoli zapomni.....

Czaszką wsparty o kratę, z podniesionem czołem,
Z zamkniętemi oczyma słucha, jak wiatr szumi — —
Szumi wiatr — — duszę więźnia napełnia aniołem — —
Anioł skrzydła rozpostarł w wnętrzu jego duszy,
Rozpacz i ból pod skrzydłem anielskiem się tłumi
I zachwycenie spływa na tę duszę biedną...
Szumi wiatr — — od łez zwilgłą kratę kaźni suszy — —
Szumi wiatr — — szumi jedno, jedno, zawsze jedno...

* *

*

Duszy, która poznała, że odejść powinna
Od powszechnego świata, ponieważ jest inna,
Tyś jest największym skarbem, o wietrze skrzydlaty
W samotności jej dumy i zamknięcia w sobie,
Ty myśli jej kołyszesz, ty stwarzasz jej światy,
Gdzie żyje, jakby żyła gdzieś na innym globie.
Tam pokrewne znajduje czucia i marzenia,
Tam bratnie słyszy serca i słowa miłości;
Tam wieczysta tęsknota w istność się zamienia,
Tam jest wśród swoich, w świecie swej istoty gości,
Zrozumiana, odczuta, pokrewna i blizka...

Leci wiatr: przez ogromne skały i urwiska,
Przez rozpadliny leci, gdzie oko nie sięgnie,
Przez otchłanie, gdzie patrzeć krew w żyłach zatęgnie,
Przez lodowce niezwładne i przez śniegi białe,
Gdzie śmierć siedzi oparta plecami o skałę
I prowadzi dokoła sępiemi oczyma,
Czy nic niema dokoła?.. Lecz nigdzie nic niema...

Leci wiatr — i przedziwny, cudowny czarodziej,
Przed duszę świat marzenia z otchłani wywodzi,
Świat utopijnych czynów, spełnianych idei...
Szumi — i wzrok na sprawy rzeczywiste klei,
A otwiera snów państwo, skąd, jak kropla ścieka
W kielich kwiatu i woń zeń wydobywa mocną:
Tęsknota ku Lepszemu ogarnia człowieka
I duszę mu zapładnia i czyni owocną.

Kocham cię, wietrze górski i zawsze kochałem!
Tyś mi wzniósł wzrok na Światło, na Przestrzeń i Ciszę,
Na tę cudowną trójcę! Ty niegdyś nad wody
Dunajcowe lecący, mojej duszy młodej
Nigdy już nieodstępne dałeś towarzysze:
Nieujęte uczucia, wrażenia gwałtowne,
Z których zachwyt i dziwny jakiś zryw wybucha,
Jakieś poznanie takiej duchowej swobody,
Że się z tego religja własna rodzi z ducha,
Wołana przez tęsknoty, przez sny niewymowne...

Wsłuchujcie się w wiatr duszy!... Gdybyście umieli
Słuchać, widzieć i kochać! Gdybyście tak byli,
Jako ci, co dusz waszych ideje astralne
Noszą w sobie, na niebo rzuceni anieli!
Gdybyście nie żywotem waszych ciał tu żyli,
Ale byli jak ducha państwo idealne,
Ku któremu, co zwie się Bogiem, czoło chyli!

Jest przed nami pojęcie, co nie ma imienia,
Lecz każdy je w swem sercu i w swym duchu chowa.

Jest to to, co jest Lepszem, jest to świat Pragnienia.
Poznajcie, że na ziemi tutaj każda głowa
Może mieć aureolę i błyszczeć, jak święta,
Bo jest gdzieś świętość w ducha pierwiastku zaklęta.

Jest Dobro, które rwie się, burzy i ogłasza,
I które tak się lęka śmierci, że przeraża!

Szumi wiatr... Pusto szumi... Cóż? choć się okrasza
Ziemia Pięknem, co jest tu, jako dzwon kościoła,
Jak dzwon z miedzi ulany, co do modlitw woła,
Jak dzwon cały srebrzony, co zwie do ołtarza...

Witaj mi nieposkromny, królewski żywiole!
Witaj nieujarzmiony, dumny elemencie!
Witaj ty, który gwiazdę płonącą na czole
Rozświecasz jak ognisko na wysokiej górze!
Witaj mocy astralna, najczystsza w naturze,
Witaj, płynący niebem, wieczysty okręcie!
Niebiańska władza, co się wiekuiście ziszcza,
Buduje, gdzie obala, sieje, gdzie wyniszcza,

A cel twój tak niezbadany jest, jako cel słowa,
Które wyrzekło: „Stań się!..“.

* *
*

Nieraz-em cię w borze
Igrającego widział z wysmukłem źdźbłem trawy,
Na którem się bujała ćma szaro-różowa,
Albo chrząszczyk w złocistym, świecącym pancerzu.

Nieraz ciebie widziałem, jakeś na jeziorze
Gonił bańki powietrzne, lub mech czerwonawy
Strzępił na stawów górskich kamiennem pobrzeżu.
W twoim szumie w tatrzańskich pustkowiach straszliwych
Zawieszony na skrzydeł malowanych tęczy,
Nakształt kwiatów, zerwanych gdzieś w łąkach pieściwych:
Motyl skalny przelata — jak orzeł — samotny...
Jak dzwoneczek anielski na swych skrzydłach dźwięczy,
I kwiatem się odrywa gdzieś z igły zawrotnej
I nad otchłanie czarne, nad skały olbrzymie
Unosi ta ptaszyna maleńka i dzika
Ducha ludzkiego, jako niebios wędrownika...

Nieraz ciebie widziałem błądzącego w dymie
Nocnych ognisk pasterskich, gdyś iskry unosił,
Kołował z niemi w górze i polanę rosił,
Albo świecące wieszał na ciemnym konarze.

Wtenczas tyś mi przynosił dziwne czucia w darze:
Rozwijałeś mą duszę, że się spływać zdała
Z mgłami, i mgieł melodye na górach słyszała,
I nie było jej tajnem ni jednego dzwonka
Życie, gdzieś zawieszone na turni oślizłej,
I każdą kroplę znała, co z siklawy bryzły,
I zasłoniona cieniem mroczna halna łąka
Zdawała jej się cichą kołyską, gdzie zlany
Kołysze się duch ludzki i duch wszechprzyrody...

Dziwnie cudowną pieśnią grały wówczas wody
I las ciemny, potężny, w gwiazdy malowany...

(Wszystko to dziś zda mi się, jak nadziemskie czary...).

Widziałem, jakeś nieraz w nocy przez moczary
Wodził błędne ogniki, popychał je, gonił,
Gasił, i znów je w chwilę na nowo rozpłonił,
I tańczył z niemi, dziwny, nieswojski, tajemny,
Jakiś duch, skądsiś spadły na ziemię nadziemny,
Pełen melancholii, smutku i ironii.
Każdy poświst twój nowe światełka błót goni,
Zdasz się bawić, jako ci, co bawią się dymem
W wysokich zamkach, kiedy powódź wsie zalewa;
Jakobyś był posępnie szyderczym olbrzymem,
Co zamiast ziarno siewać, ogień błót rozsiewa.

I nieraz ciebiem widział, gdyś nad zwały skalne
Niósł chmury niebotyczne, wielkie, tryumfalne,
Chmury, co się piętrzyły, gdzie wzrok nie dolata,
Zaciemniające cały widnookrąg świata,
Potężne, ścmiewające olbrzymie kontury

Skał, a takim rozmachem bijące do góry,
Że się zdawało, niebo zasłonią na wieki!..

I znowum ciebie widział, jakeś sam, daleki,
Unosił się na skrzydłach, jak orzeł w przestrzeni,
Nad przepaściami spadów, nad morzem kamieni,
Dumny i zakochany w wierchach wiecznie sennych,
Nieruchomych, ogromnym, niemym głosem brzmiennych,
Jaki w niekołysanych jest mosiężnych dzwonach.
Widziałem cię, gdyś błądził po skalnych koronach,
I miłosne ramiona wokoło granitu
Owijał, rozbujały, szeroki, królewski,
Wszystkiemu, oprócz słońca i gwiazd śród błękitu,
Obcy i niedostępny, samotnik niebieski,
Cichy pasterz kóz skalnych i orli towarzysz...

O wietrze! kiedy lecisz tam, o czem ty marzysz?!..

Czy ci się nie śnią dawne, przeminione wieki,
Pełne dziwów wymarłych, cudów zatraconych,
Gdy z szalejącej słońca młodzieńczego spieki
Dobywały się twory straszne i poczwarne,
Ptaki o skrzydłach, jako o chmurach czerwonych,
Jaszczury wygrzewane przez bagniska parne,
Podobne do pniów z miedzi, bursztynu i złota?
Czyli ci się śni może wód wielkich ciemnota,
Co tu leżały, Tatry kryjąc w swojem łonie,
Jak ludy kryją w sobie niewidzialne siły:

Aż gdy je czas zatrzęsie i pogłąb wyzionie,
Wstają i biorą słońce na swych ramion bryły...

I widziałem cię, wietrze, jakeś przez cmentarze
Leciał i szumiał grobom bez nawisk, pamięci;
Wiem, że się podźwigały do cię z grobów twarze,
Których nikt już modlitwą, myślą nie uświęci,
Świadome zapomnienia, w które Czas je wgłuszył.
Uśmiechają się do cię, żeś tę ziemię ruszył,
Gdzie one leżą wieki. Ty jeden na ziemi
Znałeś je. Już się lasy zwaliły na lasy,
Rzęki poszły inaczej, góry w głąb się zsiadły,
Ty jeden szumisz tony wieczyście jednemi...
Słuchają cię—i dawne wspominają czasy,
Spostrzegając, że słońce zżółkło, gwiazdy zbladły...

* *
*

Kocham cię, ty natury naciągnięta struno,
Na której gra Ruch, Wszechbyt, Czas i Przestrzeń wieczna;
Kocham cię, rozwahana łodzi podsłoneczna,
Kocham cię—i te wszystkie bóle i tęsknoty,
Które przez wieki wieków w falę twoją runą,
I wszystkie te westchnienia, chęci i porywy,
I wszystkie te marzenia, żale i nadzieje,
I wszystkie te gonitwy i wszystkie te wzloty,
I cały żądz i pragnień orszak złotogrzywy,
Które z siebie pierś ludzka w twój tuman wylejel
Kocham cię—ty nade mną kiedy szumisz falą,

Ileż niesiesz dusz ludzkich! ileż w tobie leci,
Żywotów i sił ludzkich i ile stuleci
Tęsknot, co się nad światem piętrzą tak, jak góry!
Słuchajcie jak wiatr szumi! Niech wam się rozpalą
Źrenice, niech pierś wzbierze, uszy się otworzą!
Słyszycie? Oto rosną ponad nami mury
Tych tęsknic, które dusza od wieka, od świata
Początku, od tysięcy lat, od lat milionów;
Wyrzuca z siebie w przestwór! Piętrzą się i mnożą,
Dosięgają niebiosów i anielskich tronów,
I taka z nich ogromna moc w niebo wylata,
Aż Pan Bóg rzeknie: „Stań się!"...

To jest Wola Świata!

*

* *

Dusza, która już swoje pamięta, jakże się
Gubi nieraz w twym szumie, pełna melancholii...
Jak zielone polany i strumienie w lesie,
Wędrowcowi na szczycie, gdy się mgła rozrywa,
Odsłaniają się zwolna, dalekie i mętne:
Tak się w powiewie wiatru, cicho i powoli,
Odsłaniają obrazy pamięci, tak smętne,
Jak żagle statku, który za morze gdzieś spływa...
Gdy pełna krewkiej siły młodość swoje ręce
Wyciągała ku życiu, wciąż idąc ku niemu:
Wiatr szumiał i rozszerzał źrenice chłopięce,
I rozpierał pierś młodą i prężył ramiona...
Jak źrebiec, biegła młodość ku życiu jasnemu,
I nigdy nie myślała, że już żyć zaczęła,

W tem patrz: oto jest brama życia przekroczona,
Aniś się spostrzegł kiedy... A w tej jednej chwili
Poznania: już my za śmiech życia przekroczyli,
Już nam jasność i radość na zawsze zginęła...

W chwili goryczy to się nam wydaje celem,
I to życia naszego przeznaczeniem całem...

Jesteś, o wietrze! smutnym, dobrym przyjacielem—
Milczysz, więc z sercem idzie się ku tobie śmiałem,
I pogrąża się duszą przejrzystą w twym szumie
Na wielką spowiedź...

A tej duszy się wydawa,
Że jest jak świętość jakaś, zamknięta gdzieś w tumie,
Że nigdy nie widziana i nigdy nie blizka,
Jako sen legendarny ciałom we śnie błyska,
I objawia się czasem, jak cudowna zjawa,
Jak róża z gwiazd, co by się, siana przez anioła,
Zapaliła nad bramą na murze kościoła.

Takie wizye ma dusza człowieka... Szum wietrze!
Szum falisto spokojnie, szum cicho łagodnie!
Niech się całe ułoży, usenni powietrze,
Niech się stanie dokoła cicho i pogodnie,

I niechaj ponad ziemią zakwita niezmienny,
Ten uśmiech wiekuisty, równy, zimny, senny...

* * *

O wietrze! powiedz! ty to unosisz w bezdroże
Owe uczucia ludzkie, owe serca moce,
Od których człowiek w sobie piętrzy się i gorze,
A które, nie zużyte, marnieją i giną,
Jak niemogące dojrzeć bez słońca owoce,
Jako kwiaty północy, co się nie rozwiną
I nie wydadzą z siebie tej barwy i woni,
Która się w ich nasieniu już plemi i płoni?
Powiedz! na twych to skrzydłach ulata w przestrzenie
Tyle uczuć serdecznych, tyle sił spragnionych,
Że człowiek był-by tulił do piersi kamienie,
Ale i tych nie było!.. Powiedz! ty to w górę
Unosisz tyle myśli pięknością szalonych,
Że nad światem, jak drugie słońce mogły błysnąć,
Gdyby był strop, na którym mogły-by zawisnąć?..
Powiedz! W tym twoim płaczu i jęku i łkaniu,
Nie słychać-że łkań uczuć zabitych w zaraniu,
Które krążą nad ziemią, wołając z rozpaczą:
Czemu nam żyć nie dano?!... Na grobową płytę
Kładą ludzie przeróżne napisy wyryte,
Na których słowa łkają, zawodzą i płaczą;
Przecież z wszystkich słów śmierci, jakie wyrzeczono,
Dobytych ze serdecznej głębiny ukrycia,
Jest chyba najsmutniejszem wyrzeczenie ono:
„Zdaje mi się, żem przeszedł koło mego życia...“
O wietrze! powiedz: kędyż? nie w twojem-że wyciu,
Unoszą się te moce nieużyte w życiu,

To Nieziszczone, które, u tych, co w grób zwiśli,
Musi być najsmutniejszą i najczęstszą z myśli?..

Ale jest sen, widzenie, wiara, że tam, w górze,
Jest jakieś odpłacenie, jakiś zwrot w naturze,
Że tam, kto tu chciał kochać i szukać miłości:
Znajdzie ją; kto chciał zbawiać: zbawia; kto czuł siłę,
Świecić wśród gwiazd: wirować będzie wśród światłości;
Że może, gdy zrzucimy z siebie ciało zgniłe,
Przeistoczeni w duchy w jednej cudu chwili,
Powiemy, że zdawało nam się, żeśmy żyli...

*

* *

Dumny, nieuskromiony, witaj mi żywiole!
Ty, co lecąc przez turnie szalony i prędki,
Płowyś rysia grzbiet muskał, strojny w ciemne cętki,
I kiście mu na uszach wstrząsał, gdy w wąwozy
Skalne kradł się wygięty, spłaszczony pod kozy;
Witaj mi, wietrze górski! ty, co tam, z gór łona,
Niesiesz pojęcie dzikiej, przepastnej swobody,
Od której się zatacza głowa zawrócona,
Pod której się wrażeniem zamykają oczy,
Roztwierają się w otchłań na przepaść ramiona,
A dłoń za czaszkę chwyta... Jak wina, jak miody
Poi ta myśl... Ah! ona, jak głaz serce tłoczy!
Bo jest takie pojęcie tej woli śródskalnej,
Które jest dla człowieka za silne, za duże—
My nie orły, my ludzie, a chód tryumfalny
Dawno jest baśnią dzieci i piastunek pieśnią...
Idziemy i szukamy z rozpaczą w naturze,
Co nam życie odjęło i pokryło pleśnią...

*

* *

Witaj nieuskromiony, dumny elemencie!
Słucham cię, a duch we mnie powstawa i rośnie;
Słucham cię, a pierś moja oddycha radośnie...
Ty mnie kiedyś poniesiesz, błękitów okręcie,
Na swoje niezmierzone, nieobjęte pola...
Tak Indjanin śni stepy niezmierne, bezkresne,
Tam, kędy śmierć prowadzi przez życie bolesne...
Gdzie szumi wiatr, a nigdy nie jęczy...

Kaz. Tetmajer.

Demokracya.

I.

Znam aż nadto dobrze najokazalszą część świetnego Wiednia: „Franzensring.“ Jest to krajobraz, na który od lat wielu najczęściej patrzę, wspaniała dekoracya z opery, wymurowana wśród rzeczywistego miasta, szereg gmachów postawionych odrazu, a udających niby, że w różnych wiekach powstały. Na wiosnę i wczesną jesienią bywa tu istotnie rozkosznie. Naprzeciw greckiej niby to fasady parlamentu wyglądają z poza żelaznych sztachetów kasztanowe szpalery Volks-Gartenu, a za niemi wznoszą się dwie renesansowe kopuły Muzeów, całkiem jednakowe, ale w różnej widne odległości kurzem miejskim zamglone, odstające od bladego widnokręgu stolicy, a że zamglone, niby bardzo dalekie i ogromne—przypominają niby Rzym, albo Wenecyę; Wersalem znowu i pudrowaną etykietą ośmnastego stulecia trąci biała, pańska i elegancka zarazem, półkolista kolumnada nowego Burgu, bezpośrednie tło, na którem zielenieją kasztany. Tylko kilka kamienic, o kształtach pałacowych i pałacowych, renesansowych portykach, oddziela uczoną greczyznę parlamentu od belgijskiego gotyku ogromnego ratusza, o fantastycznych wieżach, kolosalnych krużgankach i potężnych murach, przemienionych gdzieniegdzie w kamienną koronkę, a przypominających feodalizm i średnie wieki, których nie oglądały, o których się dowiedziały chyba z uczonej książki, albo z romansu Walter Scota. Z krużganków ratusza widać najdoskonalszy miniaturowy model gotyckiego tumu, o jakim śnili średniowieczni kamieniarze, jakiego nigdy nie postawili, pozostawiając z umysłu kościoły niewykończone, a tem podobniejsze do sennego marzenia, i dwie wieżyce Wotivkirche, wyglądają z poza ram gotyckiego ratuszowego krużganku, jakby wycinek z misternego tła starego obrazu, namalowanego niegdyś przez starego Memlinga. Przed ratu-

szem rozciąga się swobodnie pomyślany Rathhauspark, okolony przez renesansowy uniwersytet, i Burgtheater, wznoszący się wprost naprzeciw ratusza, a udający starorzymskie formy z epoki Antoninów, i wykształconemu trudno pojąć poco się spotkał ten teatralny konsul w pompatycznej todze ze zbrojnym rycerzem ze średniowiecznej baśni, jakim jest ratusz? O tem lepiej nie myśleć, a grzać się w słońcu, chodzić po przedziwnie wygracowanych ścieżkach parku ratuszowego, przypatrywać się kosom oblatującym kamienne baseny z wodą, i wróblom, które się tuż przy brzegu kąpią i potem obtrzepują.

Zresztą możesz się z korzyścią naukową przypatrywać drzewom i kwiatom, bo jak budynki podają popularny kurs historyi architektury, tak można się sporo botaniki nauczyć od roślin w ratuszowym ogrodzie: pozjeżdżały się ze wszystkich części świata i rosną tu na przekór geografii, aby umaić plac przed gmachami wystawionemi na przekór historyi. Oglądasz tu kształty liści i kwiatów do niedawna w Europie niewidziane: chińskie, perskie, amerykańskie, i możesz mieć o mandżurskim albo kanadyjskim lesie równie niedokładne, jak o greckiem albo średniowiecznem mieście wyobrażenie. Jeśli nie chcesz poprzestać na wystawie próbek, musisz się odwrócić od parlamentu i ratusza i spojrzeć ku miastu poza teatr, a ujrzysz rysującą się na tle nieba, potężną i bogato w koronki ustrojoną, a jednak kształtną i lotną, wieżę katedry świętego Szczepana. Wyda ci się, że wreszcie przemówiła do ciebie prawda dziejów, że ta wieżą strzeliła ku niebu zolbrzymiała modlitwa wielu pokoleń, że ta wieża była świadkiem tureckiego oblężenia i Sobieskiego odsieczy. Jednak nie godzi się zapomnieć, że tę przecudną, olbrzymią wieżę, w której każdy kamień tętni życiem, wybudowano także za dni naszych, w moich oczach, w miejsce dawnej, którą wpierw rozebrano, że to tylko kopia autentycznego nieboszczyka.

Rzeszy mnogiej, która dzień cały przepływa poprzez ulice i ogrody, nie na wiele się przydadzą poglądowe lekcye archeologii i botaniki, nie wpadną jej na myśl skrupuły estetyka; nawet słońcem, wonią kwiatów, śpiewem ptaków, cieszą się chyba dzieci, o ile ważniejszą nie są zajęte zabawą, o ile dużych drewnianych obręczy nie toczą po ścieżkach, o ile w koniki się nie bawią, albo mozolnie pagórków z piasku nie stawiają, zajmując się zupełnie tem samem, czem się od wieków zajmują dzieci wszystkich stanów, bawiąc się tem samem, czem się Kain i Abel bawili wraz z siostrzyczkami swemi u bram Raju, czem się bawili mali Ateńczycy i Rzymianie, czem się bawią mali Murzyni i Chińczycy, królewicze, królewne i dzieci chłopskie.

Dorośli wśród niezliczonej rzeszy zanadto zajęci sobą, aby się czemkolwiek innem zajmować mogli. Te gmachy, te ogrody nie należą do przechodniów, nie należą do nikogo, bo państwo wielkie, bo miasto o milionie mieszkańców,—to przecież nikt, to tak mało pojedyncze samolubstwo obchodzi, tak samo jednostki ani nie grzeje, ani nie ziębi, jak duży świat, w którym żyjemy, nie troszcząc się oto, jak po planetarnej bieży kolei, nie ciesząc się tem, że piękną elipsę koło słońca zakreśla. We Florencyi i w Atenach, w Krakowie i w Augsburgu bywało inaczej. W niewielkiem mieście, urodzony, uprzywilejowany obywatel należał do wyłącznego kółka, które mienił być własnej osoby spotęgowaniem; miasto kochał, jako własność swoją, tak jak wieśniak dotąd kocha nietylko swój dom, swój ogród, swoje pole, ale także swoją farę i dzwonnicę. Dawny małego miasta obywatel pysznił się pięknością drzew i murów, gmachowi się przypatrywał z lubością, każdy jego szczegół znał na pamięć, nie byłby ścierpiał, aby gmach publiczny był szablonową dekoracyą, w której szczegóły fabrycznie sporządzone powtarzają się z nieznośną jednostajnością. Dawniej rodzina, gmina, stan, tworzyły dla człowieka coś większego, z czem każdy się zrósł, przez co każdy spotężniał, w czem się uczył kochać coś innego, prócz samego siebie.

A cóż te rzesze Wiedeń obchodzi? Jest dekoracyą świetną, po której się przesuwają ludzie, których wiatr tu przywiał z różnych stron, niby ziarnka piasku. Coś je tu zaniosło, coś je stąd znowu wymiecie. Przez kilka dni, przez kilka tygodni, co najwyżej, po swoim przyjeździe gapili się na teatralną wspaniałość stolicy; — spowszedniała—i nic ich nie obchodzi. Jeśli sobie Wiedeń chwalą, to dla tego, że w nim tłumno i gwarno, a człowiek, zwierzę gromadne, tłum zazwyczaj lubi, lubi gwar zewnętrzny, który przygłusza myśli, samolubstwem marnem udręczone. Chwali przypadkowy Wiedeńczyk stolicę, tęskni za nią, kiedy później w jakimś osiądzie partykularzu, bo może przesiadywać po szynkach, traktyerniach, kawiarniach, bezmyślnie przeglądać gazety, widowiskami bezmyślnemi odpędzać troskę i oddawać się temu, co w Babilonie zastępuje miłość. Zresztą każdy oddaje się mozolnie zawodowi, który mu daje chleb powszedni i nadzieję zysku. Wszyscy zrównani; różnicę między nimi stanowi grosz, więc za groszem gonią, dla grosza tu przybyli, marząc o bogactwie; najczęściej, prawie zawsze, zamiast wymarzonych dostatków, dopytali się mizernego miejsca w nowożytnym, ekonomicznym deptaku, na którym muszą się nieustannie ruszać w kółko, a tak ten jałowy, nienaturalny ruch w kółko ukochali, że kołowacizna równie nienaturalna, byle inna, dla wszystkich zabawą.

Wedle stawu grobla; bogaty jeździ w święta powozem w koło Prateru, połyka proch, robi z siebie widowisko, przebywa w ogrodzie na to, aby nie widzieć natury. Ubogi robi to samo; pojechał do ogrodu ogromnego, ale drzew widzieć nie chce; idzie do staroświeckiego karuzelu i kręci się w koło, drewnianego dosiadłszy konika, albo siada do wagonu i miejską koleją w straszliwej ciasnocie, objeżdża bez celu stolicę, aby patrzyć, jak się przed oczyma migają kamienice; lub wreszcie, i to najczęściej, siądzie w Praterze na ławce, odwróci się od zieloności i od przyrody, łyka proch i patrzy zazdrośnie, jak bogacze w powozach jadą za sobą po corso, stępa, bezrozumnie, łykając proch. Wieczorem radość pójść na widowisko nieprzyzwoite. Zresztą cały dzień i cały tydzień, i cały rok, przygniata troska o życie.

Nie wiem od ilu lat na te same patrzę tłumy, które gonią przez miasto, szukając czegoś, nie znajdując nigdy spoczynku, dręczone miłością własną i niepokojem, ginące wśród ogromu miejskiego i kłamanej równości. Na wszystkich twarzach widać zapytanie: co będzie ze mną jutro? Co będzie jutro? A oprócz troski władnie próżność. Każdy myśli, że wszyscy oczy na niego zwracają. Patrzaj!— idzie młody fircyk—czeladnik, czy student, tego po stroju nikt nie odgadnie — wsadził do dziurki od guzika bławatek germański, biały goździk antysemitów, albo czerwony goździk socyalistów — nie z przekonania, tylko na to, aby na siebie zwrócić uwagę—i na wszystkie spogląda kobiety, jakby na przyszłe ofiary, przeklinając tym czasem nieubłaganą robotę, która go czeka koniecznie dziś. Bona, Szwajcarka, siedzi na ogrodowej ławce, nie patrzy na zabawę powierzonych sobie dzieci; blada, nieszczęśliwa, myśli o tem, czy znajdzie kiedy męża, który-by ją ze srogiej wybawił niewoli? Starsi, wytwornie ubrani panowie, którym się życie niby powiodło, suną powoli, oglądając się za ładnemi kobietami, a myślą z trwogą o tem, że jutro gotowa się od nich odwrócić fortuna; nie wiedzą, co mają począć z dziećmi, wychowanemi wśród dostatków i próżniactwa? Suną przez ogród panie, w sukiach przesadnie modnych, widnych od złego smaku, a widocznie kosztownych, prowadzą pieska na sznurku, i ciekawe, czy kto na nie się nie patrzy? W rogu ulicy siedzi nędzna żebraczka, łachman ludzki, z niemowlęciem na ręku, a przechodnie stronią od niej z tajemniczym lękiem, czy ich kiedy podobna nędza nie spotka? U każdego w duszy wszechmocnie siedzi: ja! cała istota każdego woła „ja", a nigdy nie odezwie się w tych nowożytnych sercach: „my!" owo „my," którem się człowiek mnoży i potężnieje. A mnie trudno pojąć, po co się takie wiecznie marne, wiecznie udręczone, niezliczone po niezliczonych miastach atomy ludzie rodzą i rosną, starzeją i umierają?

Nieraz, codziennie prawie, przez długie miesiące, przechodząc po przez te rzesze, zawsze jednakowe, dążę do parlamentu. Gmach to ogromny, jak jakie miasteczko, biały, bezkształtny. Składa się z dwóch wielkich, murowanych, ciężkich, kwadratowych szaf, połączonych z sobą korynckim portykiem, zwróconym ku Franzensringowi. Szafy, zeszpecone oknami podłużnemi, przypominającemi oszklenie anatomicznych zbiorów, i kominami ogromnemi, udającemi niedorzecznie jońskie kolumny o złoconej głowicy, sterczące bez celu luzem.

Poprzed szafami stoją ganeczki, wydrzeźniające się świętokradzko z Ateńskiego Erechtejonu, oparte na kolosach żeńskich szkaradnej kamieniarskiej roboty. Na płaskim dachu szaf ogromnych stoją rzędem liczne posągi bez wartości, wyobrażające nagich bogów i bohaterów Grecyi, którym przyszło marznąć przez długą północną zimę w towarzystwie miejskich kotów, i patrzyć z góry na ludzi a konie fiakrów i tramwajowych wozów, choć ludzie i konie zarówno obce tym bogom, a bogowie ludziom i koniom. U czterech rógów każdej szafy powtarza się ośm razy, z nieznośną jednostajnością, z niemiecką akuratnością, z jednego modelu zupełnie jednakowo odlana, kolosalna grupa ze spiżu, i widnieje wysoko pośród obłoków, nad miastem, na świadectwo braku wyobraźni i smaku u późnych, uczonych, germańskich pokoleń. Za każdym razem jest to rydwan, ze skrzydlatą boginią zwycięstwa i czwórka brykających koni, a rozpacz bierze, kiedy widzisz, że te postacie kruszcowe, że te córy odlewni, a nie artystycznej duszy, za każdym razem ruszają się zupełnie jednakowo, że to nie dzieła sztuki, ale tandetne, kosztowne sprzęty. Każdy rydwan w inną pędzi stronę; wszystkie konie skaczą w przepaść; wszystkie zda się wraz z rydwanami zlecą wnet w przepaść i swoją Wiktoryę potłuką na prozaicznym bruku, jakby porcelanową lalkę. To chyba symbol udatny różnojęzycznych stronnictw w austryackim parlamencie.

Fasada od Franzensringu, strojna w wielkie kolumny korynckie, jest istotnie okazała; była-by o wiele wspanialszą, gdyby monumentalne schody spuszczały się majestatycznie aż na ulicę. Zamiast schodów, zrobiono tymczasem, niby ze względu na klimat i wygodę, rampę z zajazdem przed portyk, a to tak niewygodną, że nikt tą rampą nigdy nie jeździ, że nikt na nią pieszo nawet nie wychodzi, a wraz z oknami i kominami budynku służy tylko, jako brzydkie świadectwo tego, że człowiek rozsądny nie powinien ściśle greckiego budynku stawiać dla istotnych ludzkich potrzeb, za dni naszych i pod 48-ym stopniem szerokości północnej.

Nikt zresztą nie wie, jaki może być związek uczonej architektury, udającej czasy despotycznych następców Aleksandra Wielkiego, co kolumny i bogowie greccy mają do czynienia z miejscem, w którem mają radzić wspólnie posłowie kilkunastu narodów rzeszy Rakuskiej? Najmniej rozumieją to zapewne historycy greccy i starorzymscy, których klasyczne podobizny z kamienia ostatniemi czasy ustawiono na rampie. Najdłużej ociągał się poważny Ateńczyk, Tucydydes; długo nie chciał wyjść z pracowni rzeźbiarza i zasiąść przed parlamentem; koledzy, siadłszy już na rampie, długo mokli i marzli, czekając na jego przybycie. Powiadał, że się dosyć nasłuchał za życia pustego wrzasku demagogów, dosyć się napatrzył na głupie tumulty zgromadzeń ludowych. Dał się jednak wreszcie namówić, przybył i siadł przed portykiem. Od tego czasu dzieje się jakoś spokojniej w Izbie, srodze wpierw zaburzonej; nie wiem jednak na pewne, czy ten postęp jego mądrym radom należy się przypisywać?

Przed rampą jest jeszcze piedestał pusty, na którym ma kiedyś stanąć kolosalna Pallas Atene, bogini owej mądrości, której wewnątrz gmachu bywa zazwyczaj brak srogi.

Gmach niestosowny kosztował trzydzieści milionów guldenów. Jest wewnątrz przeważnie brzydki, duszny i niewygodny. Jest w nim przestronne atryum z bajecznie kosztownemi kolumnami, a każda kolumna z jednej sztuki czerwonego marmuru; wszystkie razem dźwigają z niedorzecznym wysiłkiem sufit szklany, ale cieszą gmin tem, że kosztowały dużo. Są wszędzie stukatury, są i różne niby posągi, powtarzające się jednostajnie, oczywiście fabryczne, wydrzeźniające się swoją monotonią z godności artystycznej rzeźby; są freski niby to takie, jakie malowali starzy Grecy; tylko nie wierzę chyba temu, aby najartystyczniejszy naród na świecie był kiedy popełnił takie pompatycznie, martwe, ze wszystkiem bezduszne dekoracye. Jest dużo fatałaszków drogich i kosztownej brzydoty, ale nic niema tak niedorzecznego, jak to, co się wewnątrz gmachu, w amfiteatralnej sali Izby poselskiej, w czasie posiedzenia zazwyczaj dzieje.

Obcy, który parlamentu nigdy nie widział, a po raz pierwszy z galeryi spojrzy na złocone przestrzenie Izby, doznać musi przykrego zadziwienia, przyglądając się obradom, choć go wpierw przestrzeżono, choć się wpierw niemało naczytał i nasłuchał o zgorszeniu, jakie tu bywało. Trafił, dajmy na to, na posiedzenie powszednie, tak zwane spokojne. Widzi najpierw maleńkie figurki łysych po większej części starców, które się tam daleko na dole poruszają, pokryte niby mgłą, wytworzoną przez lotne prochy, przesycone oddechem ludzkim. Sala jednak bynajmniej pełną się nie wydaje; większa część

posłów bawi w dusznych, nizkich korytarzach, przepełnionych dymem tytoniu, w sali jadalnej, albo czytelni. Ławki świecą pustkami: zrzadka na nich drzemią znużeni prawodawcy. Kilku posłów kręci się u samego dołu, na półkolistej posadzce amfiteatru, pokrytej szarym dywanem i rozmawia prawie głośno. Służby w granatowych liberyach, stenografów, podrzędnych urzędników, jest prawie tylu, ilu jest w sali deputowanych. Dwóch tylko śmiertelnie znudzonych ministrów siedzi na długiej rządowej ławce.

Tylko prezydent, przykuty nieubłaganie na wywyższeniu do swojego miejsca, usiłuje niecierpliwie słuchać mówcy, którego nie może dosłyszeć.

Odbywa się bowiem dyskusya—odbywają się nawet od czasu do czasu głosowania przez powstanie, a gdy dzwonek elektryczny zawiadomi o tem, że chwila głosowania się zbliża, napływają nagle posłowie przez mnogie drzwi amfiteatru, wypełniają ławki, na wezwanie powstają albo siedzą, a potem uciekają, pustą pozostawiając salę. Ale spytaj się większości tych prawodawców, nad czem się toczy dyskusya? o czem stanowią głosowania? A zdziwią się naiwnością twojego zapytania—wzruszą ramionami i odpowiedzą: „Albo ja wiem.“ Bo to dyskusya wszczęta bez rozumnego celu, bo to głosowanie bez możliwego skutku, bo to komedya pusta, którą sobie ktoś urządził na złość rządowi, albo na to, aby się przypodobać wyborcom, w jakimś obskurnym dalekim kącie, gdzie ludzie chcą coś o swoim pośle w lokalnej czytać gazecie.

Izba rozbita na dwadzieścia kilka stronnictw, na dwadzieścia kilka osobnych klubów, pośród których najmniejsze i najmniej rozumne teroryzują większe i poważniejsze, teroryzują prezydenta i rząd bezczelnością, zuchwalstwem i groźbą ustawicznego skandalu. Zwykle mówcy słuchają tylko przez grzeczność, i dalibóg niechętnie, tak zwani przyjaciele polityczni, to jest członkowie własnego stronnictwa, własnego klubu, czy klubiku. Maleńka czarna figurka stoi tam na dole, wśród wielkiego ciemnego wachlarza krzeseł, amfiteatralnie ustawionych, i gestykuluje. To mówca.—Słów jego nie słychać: gubią się w ogromnej, nieakustycznie zbudowanej sali. Pod nim siedzi mała kupa ludzi i od czasu do czasu potakuje, śmieje się, klaszcze, zachowuje się jak najęta klaka małomiejskiego teatru. Dziewiętnaście dwudziestych Izby wcale na mówcę nie zważa. Czy młyn miele, czy kolega gada, to dla nich wszystko jedno—to zawsze tylko szmer jednostajny i nieznośny.

Bo i pocóż mają słuchać mowy? Przypuściwszy rzecz nieprawdopodobną, że mówca mówi do rzeczy i powie coś pouczającego, dowiedzą się później koledzy o tem z gazety i mowę przeczytają wy-

godnie w stenogramie; gdyby teraz nawet słuchali, gdyby ich mówca przekonał, nie wpłynie to na ich głosowanie, zawisłe jedynie od komendy klubowej, która już zapadła; więc mówca nie dla nich mówi — wie o tem doskonale — dyktuje tylko artykuł dla jutrzejszych dzienników porannych. Ale prawie pewnie i tego artykułu nie warto będzie czytać; można się założyć, że w całym retorycznym popisie niema nic takiego, o czem wszyscy już dawno nie wiedzieli. Mowa jest długim ciągiem oklepanych frazesów, pustych jak plewa i każdy z członków Izby plótł-by to samo, gdyby w gościnnej roli miał przemawiać w Izbie, w zastępstwie stronnictwa mówcy. Tacy mówcy następują po sobie i plotą godzinami, a Izbie na myśl nie przyjdzie aby ich słuchać miała.

W tem nagle zmienia się scena. Posłowie ze wszystkich stron napływają do sali, jak woda do stawu, gdy otworzą śluzy—a gromadzą się w jednym punkcie, tworząc gęstą kupę; siadają na krzesłach i poręczach krzeseł, stają gęstym tłumem pomiędzy ławą ministeryalną a ławkami poselskiemi. Zapytasz się, co zaszło? Otóż będzie mówił jeden z mówców głośnych—nie z tego, że mówią dobrze, że mówią do rzeczy, że posiadają wiedzę, albo rozum stanu; nie—wcale nie z tego!—owszem z tego, że są grubianami, że wyprawiają skandale, że wygłaszają zdania niedorzeczne i gorszące, a umieją przytem tak głośno krzyczeć, iż ich cała Izba słyszy. Będzie spektakl, będzie komedya, rozrywka dla znudzonych posłów—więc ciągną na widowisko, jak kanie do deszczu, jak rzesze stołeczne na popisy sławnej a nieprzyzwoitej szanszonistki.

Nadzieja łakomych słuchaczy nie zawiedzie. Już wstęp mówcy efektowny: w pierwszych kilku zdaniach obraził całe stronnictwo, całą narodowość. Więc zaraz rozległy się huczne oklaski u zwolenników oratora, a okrzyki oburzenia zagrzmiały z piersi kilkudziesięciu obrażonych, posypały się z różnych ust obelżywe epitety, hałas karczemny trwał z dziesięć minut; ledwie słychać było dzwonek prezydenta i jego uprzejme napomnienia, i wcale nie prezydent uspokoił ekscedentów; sami ucichli, nakrzyczawszy się do woli, chcąc w gruncie rzeczy, aby mówca mówił dalej, pewni, że nową zabawę wnet zgotuje Izbie i galeryi. To też, skoro się trybun nan nowo dorwał do słowa, dotychczasowem zachęcony powodzeniem, zaczął krwawemi miotać oszczerstwami na ludzi znakomitych, a nieobecnych w parlamencie; oskarżał ich o rzeczy na ich stanowisku najnieprawdopodobniejsze, powtarzając ze szczególną lubością, że są złodziejami, a co najmniej oszustami. Tę tyradę przerywały tylko oklaski frenetyczne przyjaciół politycznych; ledwo gdzieniegdzie dał się słyszeć nieśmiały głos protestu; większej części słuchaczy robiło się

błogo na sercu, kiedy słyszeli, że ludzie znakomici kradną i oszukują; nie wierzyli temu, ale że sami nieraz w Izbie słyszeli grubiaństwa, że przeciw nim w gazetach i na wiecach podobne wznawiano oskarżenia, cieszyli się tem, że teraz z nimi ludzi znakomitych porównano.

Ale po ekskursie osobistym przeszedł mówca do rzeczy ważniejszej; zaczął napadać na Kościół katolicki, na duchowieństwo, na dogmaty wiary; pod pozorem wykrycia kapłańskich niegodziwości, mówił rzeczy najwszeteczniejsze, a zwalczając niby zabobon, bluźnił temu, co dla wierzących najświętsze. Teraz dopiero powstał ryk straszliwy w sali—mówca musiał na chwilę umilknąć. Kilku posłów pobiegło poprzed stolicę prezydenta i wezwało go w gwałtownem oburzeniu, aby odebrał głos fanatykowi niewiary. Biedny prezydent — pozbawiony wszelkiej władzy—zażądał drżącym głosem i uprzejmie od mówcy, aby uszanował uczucie religijne słuchaczy. Teraz dopiero wszczęło się wielkie zamieszanie. I z prawicy, i z lewicy grożono prezydentowi pięściami: jedni się oburzali, jak mógł tak łagodnie przeciw takim występować zdrożnościom; drudzy nie mogli pojąć nietolerancyi, z którą krępował wolną wymianę zdań, i przezywali z tego powodu biedne stworzenie, skazane na prowadzenie obrad, przezwiskami dobitnemi, ale których w dykcyonarzu niema.

Pisk, wrzask, niby jakieś szczekanie, napełniły Izbę. Posłowie bezcześcili się nawzajem w żywe oczy; przystąpiwszy do siebie blizko, machali rękoma w sposób obiecujący; mogło się zdawać, że się pobiją.

Nic z tego! Przypomnieli sobie prawodawcy, że jeśli będzie tego dobrego za wiele, gotowi pojechać do domu; półurzędowe dzienniki coś o tem wciąż przebąkują—a to było-by fatalnie! Rząd gotów sesyę zamknąć, a wtedy przez długie miesiące nie będą posłowie pobierali dyet—a bądź co bądź, bardzo szkoda dwudziestu koron dziennie; gotowi nawet Izbę rozwiązać, a wtedy przepadnie może i mandat, tak niedawno, z tak wielkim mozołem i kosztem zdobyty. Nawet wyborcy gotowi się pogniewać, bo niecierpliwią się już długoletnią bezczynnością parlamentu i żądają uchwał, żądają roboty. Więc skończyło się na niczem.

Dawniej, bardzo jeszcze niedawno, bywało inaczej. Bywały czasy homeryczne; bywały boje, jak niegdyś pod Troją; tłumiły się na dobre narody; zakotłowało, zawrzało, zrobił się kłębek łysych i siwych posłów; pan profesor dał w kark panu radcy, a pan radca uderzył w brzuch pana profesora; jakiś legislator uciekł na korytarz z pokrwawionym kołnierzem, srodze poturbowany.—Albo też poważni starcy wchodzili do Izby z grzechotkami, piszczałkami, bębenkami

i innemi narzędziami dziecinnej krotochwili i odprawiali godzinami koncert w sali, a najdzielniejsi z prawodawców rozbijali pałką pulpity własne i sąsiadów; lub też kałamarzem rzucali na prezydenta. — Bywało papierami, szpargałami obrzucano ministrów i wypłaszano ich z sali, a potem wywracano i łamano ministeryalne krzesła. Bardzo niedawno usadowił się jakiś obskurny wybraniec głosowania powszechnego na krześle ministra prezydenta i wołał, że on rządzi państwem. Bywało—wszak świat wie o tem, że szturmem brano krzesło prezydenta Izby, że dobywano noża — że — ale wolę o tem już milczeć.

Teraz, niestety, trzeba na skromniejszej poprzestać rozrywce; trzeba nawet uchwalić budżet. Sic transit gloria mundi. Może jeszcze wrócą dobre czasy—a może i nie wrócą. Jedna pozostała pociecha! Wolno jeszcze być bardzo nieprzyzwoitym i bardzo śmiesznym.

II.

Jest w parlamencie, niedaleko sali obrad, wielka, brzydka, ale jasna sala jadalna, w której restaurator karmi posłów, a posłowie mnogie godziny spędzają na jedzeniu i pogawędce. Ustawiono w tej sali dużo stołów pokrytych białemi obrusami i koło niewielkiego stołu przeznaczonego dla ministrów duży bufet, przy którym stoi doświadczona, ale jeszcze wcale przystojna, bufetyerka, wraz z nadobną córeczką, młodą mężatką.

Nieraz prawodawcy trawią przyjemne chwile na pogadance z temi paniami, z młodszą żartują, słuchają utyskiwań starszej. Doświadczona dama, o której powiadają niektórzy, że jest najstarszym parlamentarzem w Izbie, narzeka na upadek parlamentaryzmu i wspomina tęskno stare czasy, które pamięta, śliczne mowy i piękne debaty.—Prawda—dodaje—wtedy sami panowie bywali posłami, pięćdziesiąt, albo sto karet dwukonnych stało podczas posiedzenia przed Izbą; a teraz, pożal się Boże! sama hołota!

Tuż koło stołu rządowego stoi stół bardzo duży, przy którym obiaduje moje stronnictwo, najliczniejsze, najpoważniejsze w Izbie, jedno z niewielu stronnictw, które nigdy nie dają zgorszenia parlamentarnego, nigdy nie przeszkadzają pracy, pomagają jej owszem, stronnictwo, którego mówcy mają ten przywilej, że bywają przez wszystkich kolegów słuchani, choć mówią do rzeczy i tylko do rze-

czy. Na drzwiach sali napisano, że wstęp do niej tylko posłom dozwolony. Bywa jednakże—choć rzadko, że znajomi, prawem kaduka, wejdą do świętych przestworów jadalni, i siędą przy naszym stole, aby pogadać z wybrańcami narodu.

Tak to przysiedli się do nas: starszy, podtatusiały już obywatel ziemski, pan Ignacy, i jego brataniec, młody doktor prawa, pan Kazimierz. Przyjechawszy do Wiednia, chcieli się przypatrzyć posiedzeniu Izby, przypatrzyli się i byli niemało zgorszeni. Zrazu pan Ignacy najgłośniej dawał swoim uczuciom folgę. Wołał:

— Dalibóg, to zgorszenie i niedorzeczność, która trwać niepowinna dłużej! Ta konstytucya stała się śmiesznością, a nas zjada. Dalej wytrzymać nie można na wsi. Ciągłe wybory, wiece, agitacye! Chłop na śmierć zbałamucony, nie myśli o zarobku, a politykuje. Najporządniejsi ludzie na wsi teraz powaryowali; nieraz rozsądnego chłopa nie poznam; zamiast myśleć o roli i bydle, czyta gazety i na wszystko wygaduje! Autonomia i konstytucya przysparzają nam tylko niepotrzebnych kosztów: pędzą do ruiny. Niedługo ostatni szlachcic pójdzie z torbami, a sami żydzi osiędą po dworach; będzie z naszego kraju królestwo Jerozolimskie. Czas już z tem skończyć, wielki czas. Gdybym był rządem, rozpędził-bym parlament na cztery wiatry, rządził-bym sam i zrobił-bym wreszcie porządek. Inaczej demokracya i socyalizm wyrosną nam ponad głową i wszystko zaprzepaszczą!

Jeden z najpoważniejszych posłów siedział naprzeciwko pana Ignacego. Widocznie nie w smak poszła mu jego mowa, bo odłożywszy na bok filiżankę herbaty, odparł:

— Dziwni jesteście w kraju; macie dziwnie krótką pamięć. Przecież żyje jeszcze wielu ludzi, którzy pamiętają, jak to bywało, zanim istniał parlament, zanim posłowie wasi mogli tu w Wiedniu wpływ wywierać. Najpierw] germanizowano nas zawzięcie, a było-by iluzyą myśleć, że zapędy germanizatorskie są na przyszłość wykluczone. Zapewne nie przewrócono-by od razu wszystkiego do góry nogami; ale wpływ sąsiednich, sprzymierzonych Prus, ale instynkta tutejszej biurokracyi po przodkach odziedziczone, chęć zarobku dla niemieckiej młodzieży, szowinizm niemiecki, tak niezmiernie ostatniemi czasy rozbudzony, wreszcie parcie Austryaków Hakatystów, pod wodzą Schönerera, nie mogły-by pozostać bez zgubnego dla nas skutku, gdyby nie znalazły przeciwwagi w działaniu naszego Koła, z którem się liczą, nie dla tego tylko ponieważ jest liczne, ale przedewszystkiem dla tego, ponieważ jest najpoważniejszem stronnictwem w Izbie i stronnictwem najbardziej dbałem o dobro państwa, stronnictwem

bez którego żaden rząd się obejść nie może, jak długo istnieje w Austryi konstytucya i parlament.

Czyż zapomniano już o tych czasach, kiedy młody człowiek u nas mógł tylko marzyć o tem, że zostanie dyurnistą, albo woźnym, skoro wszystkie urzędy obsadzono Niemcami i Czechami? Czyż zapomniano, że nie było w kraju ani kolei, ani nawet gościńców, że kraj leżał odłogiem, wyzyskiwany przez obcych? Proszę sobie przypomnieć jak wyglądał kraj przed laty trzydziestu, a jak wygląda dziś? Ile szkół, ile przedsiębiorstw, ile instytucyi wszelkiego rodzaju powstało, do jakiego stopnia zmniejszyła się otchłań, która nas niegdyś dzieliła od zachodnich prowincyi monarchii? Majątki prywatne rozdzieliły się, rozdrobiły — prawda; ale to się stać musiało, i temu konstytucyjne życie nie jest winne; to jednak niezawodne, że każdy kawał ziemi, każda kamienica przynosi nierównie większy dochód, niż niegdyś, że cena ziemi i dzierżaw podniosła się niezmiernie, że synowie nasi mają możność zarobku, że coraz nowe karyery otwierają się przed nami. Chodzimy stroskani—prawda; walka o byt stała się dla nas cięższą, skończyło się dawne, błogie, staroświeckie próżnowanie, za czem nie godzi się wreszcie żałować; a mamy też wszyscy nierównie większe, niż niegdyś potrzeby. Chłop niegdyś cierpiał głód na każdym przednówku, dzieci jego prócz koszuli innej nie miały odzieży, a trzeba być bohaterem niedbającym o sąsiadów opinię, aby nie być chłopem, a żyć tak skromnie i ubogo, jak żyli nasi ojcowie, którym-by nigdy nie było wystarczyło na tryb życia, dziś u nas powszechny. Wreszcie nie godzi nam się zapominać, jak potężne życie naukowe i artystyczne rozwinęło się w kraju, będącym niegdyś Beocyą czy Abderą, w kraju, którego zacofanie umysłowe przechodziło niegdyś w przysłowie.

Otóż chcę wierzyć w najlepsze chęci u tutejszych władz centralnych. To przecie pewna, że kraju naszego nie znają i znać nie mogą, że sądzą ten kraj opacznie, że muszą wszystko psuć, kiedy się na niemiecki sposób biorą do naszych spraw i stosunków. Nikogo wreszcie nie skrzywdzę, mówiąc, że koszula bliższa od sukmany, i że ministeryalnych urzędników Niemców więcej obchodzą prowincye przez Niemców zamieszkałe od naszego kraju. Skoro-by tedy parlamentu nie było i nas tu nie było, nie moglibyśmy się ustawicznie o nasze potrzeby upominać, nie moglibyśmy tam, gdzie się należy, stosunków naszych objaśniać i tłómaczyć; wróciło-by powoli dawne kraju zaniedbanie, a ile-by się razy rząd centralny, w najlepszej zresztą chęci, do spraw naszych krajowych mieszał, drażnił-by wszystko i wikłał przez prostą naszych stosunków nieznajomość. Wtedy dopiero mielibyście racyę stękać i wyrywać sobie włosy, a nie stało-by wam na-

wet waszej ulubionej pociechy, nie moglibyście na waszą delegacyę psów wieszać.

Pan jesteś ziemianinem i konserwatystą; narzekasz na postępy ustawiczne politycznej i społecznej demokracyi, na zmianę stosunków, wskutek której czujesz się coraz mniej królem na swoim folwarku, na nieustannie wzrastające ciężary publiczne, zabierające coraz większą część dochodu. Ja także jestem ziemianinem i konserwatystą, i to, co panu dokucza, i mnie nieraz dokuczyło. Tylko, że pan oskarżasz parlament i konstytucyę, i myślisz, że wszystko mogło-by się zawrócić, gdyby parlament rozpędzono, konstytucyę zawieszono, że mogą wrócić pod rządem absolutnym tak zwane dobre czasy. Otóż mniejsza oto, że wszyscy-byśmy nie potrafili już znieść powrotu owych dobrych, dawnych czasów, że nie wiedzielibyśmy, co z sobą począć i dopiero desperowali i bankrutowali. Ale obejrz się pan w koło na świat szeroki i odpowiedz sam, czy podobna zahamować — już nie mówię zawrócić,—konieczny postęp demokracyi? Kiedy para i elektryczność przemieniły z gruntu wszystkie warunki ekonomicznego i społecznego bytu, kiedy pan sam jeździsz do Wiednia częściej niż pański ojciec do Lwowa, a pańscy sąsiedzi chłopi szukają szczęścia w Stanach Zjednoczonych i w Brazylii, i stamtąd wracają z nabytym pieniądzem i doświadczeniem, kiedy wszystko trzeba płacić gotówką, a każdy majątek nieruchomy jest zadłużony i część znaczną, zwykle część większą, swoich dochodów zlewa na ręce nieznajomych akcyonaryuszów jakiegoś banku; zupełnie niepodobna, aby ludzie przyrastali do ziemi, aby rodzina i gmina dawny i nieruchomy, zwarty tworzyły organizm, aby często już tytularny tylko właściciel większego szmatu ziemi był najwyższą społeczną powagą. Dzisiaj każdy uczy się czytać i pisać, każdy styka się z ludźmi ze wszystkich stron świata, każdy potrzebuje koniecznie czytać gazetę—wszakże i pan stękasz, gdy gazety przy śniadaniu nie masz,—każdy słyszy tysiące zdań sprzecznych o każdej sprawie; i skądże-by się ludzie mieli trzymać dawnych, przez czas uświęconych tradycyi? skąd-by się mieli wszelkiej krytyki, jak grzechu wystrzegać, pilnować nieruchomego obyczaju, słuchać pokornie nauk i napomnień starszych w społeczeństwie? To wszystko niepobieństwo, a zatem postęp demokracyi będzie niepowstrzymanym, bez względu na formę rządu. Nie opierajmy się temu postępowi; nie miotajmy się przeciw konieczności, jak mucha w ukropie! Bądźmy rozsądnymi i zajrzyjmy prawdzie w oczy! A zresztą zajrzyjmy w głębie własnego sumienia, a dostrzeżemy tam wyraźnie, że nam nie wolno, że było-by rzeczą niegodziwą chcieć się koniecznemu demokratycznemu rozwojowi społeczeństwa sprzeciwić,

choćby był dla nas osobiście niedogodnym. I pan-byś tego z pewnością nie robił, choćbyś mógł, jak nie możesz.

To też każdy na świecie rząd działa w duchu demokratycznym i pod tym względem niema różnicy istotnej pomiędzy monarchią a rzecząpospolitą, konstytucyjnemi i absolutnie rządzonemi państwami; wszystkie dążą statecznie do coraz większego zatarcia różnic społecznych, do rozpowszechnienia jednakowej dla wszystkich oświaty, do równego rozdziału praw i obowiązków obywatelskich; wszystkie nakładają na klasy posiadające coraz nowe podatki, a dochód z tych podatków wydają na cele publiczne, z których korzystają przeważnie ubodzy; wszystkie zabierają nawet niekiedy bogatym część majątku, czy to nakładając podatki progresywne, czy to wprost wywłaszczając ich z praw lub nieruchomości, jak to się stało już z pańszczyzną, z propinacyą, z kolejami żelaznemi, jak to się niebawem z kopalniami stać może.

Proszę tylko nawiązać stosunki bliższe z urzędnikami, tu, po biurach ministeryalnych. Rozumie się, że wszyscy, mianowicie młodsi, są stanowczo demokratami—a nie uczynię im krzywdy, jeśli dopowiem, że wszyscy są mocno socyalizmem zabarwieni. I niema co się temu dziwić; dziwił-bym się gdyby było inaczej; wyrośli w naszych czasach, słuchali tych samych wykładów, czytali te same książki, które całą współczesną młodzież kształcą, są zatem mocno przekonani, że wszyscy ludzie są równi, że mają równe prawa wobec Boga i natury, że zatem wszelkie ubóstwo jest krzywdą, może konieczną, ale niezawodnie wielką krzywdą, wyrządzoną ludziom. Taki urzędnik zwykle odziedziczonego majątku nie ma, nauką i pracą dorobił się stanowiska i bywa skłonnym patrzeć na tych, którzy siedzą na dziedzictwie, jako na społecznych trutniów, jako na zabytki przestarzałego a niesłusznego porządku rzeczy; sam żyje z funduszów państwa i uważał-by za rzecz naturalną, gdyby wszyscy, zgodnie z programem socyalistów, z funduszów państwa żyli; jeśli czuje niechęć do parlamentaryzmu, to dla tego głównie, ponieważ w parlamencie widzi hamulec w swoich demokratycznych zapędach i nie rozumie tego, że niewygodny parlament, niewygodne, chaotyczne obrady publiczne wogóle, są właśnie dla biurokratów znakomitą szkołą życia. Ludzie, którzy z uniwersytetu prosto przeszli do biura rządowego w stolicy, których ojcowie już najczęściej w takiem zestarzeli się biurze, skłonni są geometrycznie świat konstruować, skłonni są wierzyć, że niesłychanie skomplikowanem społeczeństwem można rządzić za pomocą prostej formuły książkowej, i śpiesząc się z reformami, mogą najcięższe sprowadzić klęski i zawikłania. Wszystkie, tak

różnorodne interesa i aspiracye społeczeństwa wychodzą natomiast na jaw w publicznem życiu państw konstytucyjnych: tu ścierają się z sobą wszystkie małostki, wszystkie przeciwne sobie samolubstwa, a skutkiem tego tarcia jest to, że ruch społeczeństwa, staczającego się po równi pochyłej ku coraz większej demokracyi, bywa wolniejszym, że niema niebezpieczeństwa, aby się wykoleiło, albo zgoła rozbiło wskutek zbyt przyśpieszonego rozpędu, że zmiany dokonywają się zwolna, a życie indywiduów nie bywa zbyt boleśnie zwichnięte, mnogie egzystencye nie bywają zdruzgotane. W zachodniej Europie każdy prawie parlament, najdemokratyczniejszy, bywa dzisiejszemi czasy w istocie gwarancyą konserwatywną.

Gdyby w Austryi nawet wpływ sfer wyższych i ludzi starszych nie dopuścił do tego, aby absolutyzm pędził niebacznie i nieostrożnie w kierunku skrajnej demokracyi i państwowego socyalizmu, do którego państwa europejskie tylko powoli a rozważnie dążą, unikając skał podwodnych i wirów na rzece dziejów; gdyby, powiadam, rząd biurokracyi okazał się rozsądnym—jeszcze i wtedy zamach stanu absolutystyczny, i wtedy nawet chwilowe rozpędzenie parlamentarnych ciał musiało-by doprowadzić do niebezpiecznego salto mortale w kierunku skrajnej demokracyi. Może łatwo było-by zajechać w absolutyzm; ale wszędzie w zachodniej Europie, a zatem także i w Austryi, społeczeństwo jest tak przyzwyczajone do dyskusyi o wszystkiem, do krytyki wszystkiego, do zabawki wieców i parlamentów, że długie trwanie rządów bezparlamentarnych było-by niepodobieństwem, a rząd, który-by jedną konstytucyę zawiesił przemocą, wtedy tylko mógł-by bezpiecznie stanąć przed nowym parlamentem, nie narażając gardła, albo co najmniej wolności swojej, gdyby nadał konstytucyę nierównie demokratyczniejszą. Zamach stanu, którego sobie pan życzysz, mógł-by zatem jedynie doprowadzić do radykalnie ludowych instytucyi — a tego sobie pan może nie życzysz.

Pan Ignacy, usłyszawszy tę odpowiedź, odsapnął parę razy, widocznie z wywodów nie kontent; ale nie będąc z zawodu parlamentarzem, sam nie miał na podorędziu reposty. Odezwał się natomiast młody Kazimierz:

— A czyby nie lepiej było, aby demokracyę istotną, pełną, zaprowadzono? Nieszczerość, połowiczność dzisiejszego ustroju społeczeństwa jest winną niepokojowi dzisiejszemu. Każdy organizm w przejściowym okresie przechodzi przez ciężkie i gorączkowe przesilenie, a w organiźmie społecznym symptomatami tego przesilenia bywają chaotyczne a nieustanne walki, bywa niemoc i obniżenie obyczajności. Tylko demokracya może być ostatecznym celem, do którego

dążymy; stańmyż raz u celu, a wtedy pozbędziemy się form życia publicznego swarliwych a niegodnych, walki najróżnorodniejszych egoizmów, zaciemniającej widnokrąg dziejowy. Egoizm osobisty nie będzie już mógł wody mącić, aby w niej swoje ryby łowić; egoizm klas nie będzie już stawał do niegodnych zapasów, skoro pola dla nich już nie będzie; egoizmy narodowe umilkną także wobec wielkich zadań społecznych, wreszcie wszyscy poczują się do obowiązku poważnego i patryotycznego postępowania w sprawach publicznych, bo wszyscy będą świadomi senatorskiej, królewskiej niemal godności, krórą demokracya pełna każdemu obywatelowi nadać musi.

Ten sam zawołany, a wielce doświadczony polityk, który odpowiadał przed chwilą panu Ignacemu, pociągnął teraz ręką po sumiastych wąsach i odezwał się w te słowa:

— Niekoniecznie wiem, czy pana zrozumiałem. Jeśli rozumiesz przez zwycięstwo zupełne demokracyi ustanowienie parlamentu wybranego przez powszechne, równe, bezpośrednie głosowanie, odpowiem panu, że takie parlamenty istnieją w większej części krajów Europy, i że, niestety, stosunki tych krajów nie wiele się różnią od stosunków, nad któremi u siebie ubolewamy; parlamenty postronne, nawet parlament całkiem już politycznie demokratycznej Francyi, nie wiele się różni od Izby, której widok pana zgorszył. A zresztą, nie wiem dla czego-by głosowanie powszechne miało cudowną sprowadzić zmianę? Jest to oddanie losów państwa, a po części także społeczeństwa, w ręce mnóstwa i zniweczenie politycznego wpływu klas oświeconych, a miernie dostatnich; owe zaś mnóstwo, owa ogromna większość ludności to ludzie biedni, a przeto niezadowoleni, i ludzie, którzy będą się zawsze czuli w poniżeniu, choć będą mieli prawo głosowania takie samo, jak książę, jak bankier i jak profesor uniwersytetu; to ludzie o ciasnym widnokręgu, dla których sprawy zaściankowe będą zawsze nierównie ważniejsze od najważniejszych, a dla nich zgoła niezrozumiałych spraw politycznych; to ludzie bez wychowania, przyzwyczajeni do kłótni trywialnych, którzy zawsze chętnie głos swój oddadzą pierwszemu lepszemu krzykaczowi, mierząc zdolności poselskie grubiaństwem i wielomównością wybrańca, jeśli szczęśliwym trafem nie oddadzą z osobistego zaufania mandatu jakiemuś zamożnemu dobrodziejowi okolicy i tem samem nie będą głosowali arystokratycznie, a wcale nie demokratycznie.

Wiesz pan zapewne o tem, jak się głosowanie powszechne spisało w jednem z największych naszych miast. Przy jednych wyborach był wybrańcem ludu melodramatyczny socyalista, z postaci podobny do włoskiego bandyty, który obiecywał dorożkarzom, że będą

zarabiali pięć guldenów na godzinę, a ludności, że będzie za darmo dorożkami jeździła. Pokazało się oczywiście, że tej obietnicy nie dotrzymał. Drugi raz nie chciano go już wybrać, wybrano rewolwerowego dziennikarza, który Polakom mówił, że jest Polakiem, Rusinom, że jest Rusinem, Niemcom, że jest Niemcem; brakowało tego tylko, żeby żydom powiedział, że jest żydem. A podobne wybory wydarzają się mianowicie po większych miastach wszędzie na świecie.

Nic tu nie pomoże oświata ludowa. Na wsi, gdzie ludność mało gazet czyta, mało mów słyszy, może się czas jakiś opierać demagogom, rozsądnych, spokojnych ludzi wybierać. Przez szkołę nie nauczy się ludność polityki, nie potrafi rozeznać misternego politycznego kłamstwa, szerzonego przez niezliczone drukowane gazety, broszurki i książki, od prawdy, o której się zwykle, niestety, nie pisze. Sztuka czytania sprawi to tylko, że się wyborcy łatwiej dadzą zbałamucić ludziom, którzy się nimi nie na to zajmują, aby ich naprawdę uczyć, tylko ludziom którzy się nimi zajmują na to, aby ich do swoich użyć celów. Kto najszlachetniejsze ma zamiary, a dla ich dopięcia chce lud poruszyć, ten niełatwo sprawi, aby lud rozumiał cel wzniosły a daleki; jeśli namiętności ludowe budzi, a nie poprzestaje na powolnem a statecznem nauczaniu ludu, na istotnej pomocy dawanej ludowi bezinteresownie, ten prawie pewnie doczeka się tego, że lud popadnie w ręce innego agitatora, bezwzględniejszego, który w tym ludzie tylko zawiść i nienawiść rozbudzi.

A najmniej już rozumiem, jakim sposobem pan się spodziewasz po zwycięstwie demokracyi ukojenia waśni między narodami, czy to też narodowościami?

Przecież właśnie postęp demokracyi rozdmuchał i spotęgował tę waśń w sposób niebywały. W jednej części Europy wytworzył nowe narodowości, i ten ruch, mocą którego każdy lud, mówiący osobną gwarą, chce być osobnym narodem, przenosi się także do Francyi i Hiszpánii, wszędzie, gdzie się państwo narodowe wielkiemi zwycięstwami poszczycić nie może. Skoro się lud dowiedział, że jest równy klasom zamożnym i oświeconym, domaga się dla swojej mowy podobnej równości z językiem klas oświeconych, uświetnionym przez dzieła literatury i nauki, a bywa tem skorszym do obwołania osobnéj narodowości, że w jej imieniu może nienawidzić bogatych i oświeceńszych od siebie. Gdzieindziej, w Niemczech naprzykład i w Anglii, chęć do bójki i do rubasznego wywyższania się, która w każdej tkwi prostocie, zapędza lud do szowinistycznych przechwałek, do chęci podbicia narodów innych, zjedzenia ich żywcem, jeśli się da.

Że w tłumach łatwiej nienawiść do kogoś, niż miłość dla idei wzbudzić, przeto demokracya polityczna doprowadziła-by wszędzie rychło do wojny domowej, a co najmniej do szalonego chaosu, gdyby wszędzie nie bywała w gruncie rzeczy obłudą i kłamstwem, gdyby się poza nią nie ukrywała wszędzie plutokracya, rząd finansistów, kupujących dzienniki, i agitatorów, bałamucących lud na wszystkie sposoby, ukrywających się za kulisami, za nic jawnie nie odpowiedzialnych, a rządzących za pomocą ujętego przez siebie rządu i zapłaconej przez siebie opozycyi.

Jeśli pan natomiast myślisz o ostatecznem zwycięstwie demokracyi społecznej, to powiem panu, że tego wyobrazić sobie nie mogę, chyba skończy się historya powszechna i natura ludzka z gruntu się zmieni. Niechby nawet program socyalistyczny gdzieś w całej pełni zwyciężył, czego się nie spodziewam—a najróżniejsze wyłonią się nierówności między ludźmi; będą koniecznie rozumniejsi, a choćby tylko przeto możniejsi; będą głupsi, a tem samem słabsi; więc będzie znów jakaś arystokracya i w przeciwieństwie do niej jakaś demokracya, i będzie znów walka między niemi obydwiema.

Zresztą utopie socyalistyczne, ponawiane nieustannie, począwszy od starożytności, czasem skreślone przez najszlachetniejszych, czasem wymyślone przez ambitnych demagogów, są zawsze niedoścignionemi ideałami, których istotną treścią zupełna wszystkich ludzi równość, pośród zupełnego wszystkich szczęścia. Treścią dziejów ustawiczne dążenie rodzaju ludzkiego do tego celu; to jedyne dążenie nadaje dziejom jedność, sprawia, że są przedmiotem istotnej nauki a nie wiązanką luźnych, a najczęściej smutnych i niesmacznych opowiadań. Ale dopóki dzieje trwać będą, ludzkość do tego celu dążyć będzie; więc jego nie osiągnie! A przyznam się, że, nie mogąc sobie wyobrazić jakiejś ludzkości i jakiegoś społeczeństwa, które istnieć będą wtedy, kiedy dzieje już się skończą, kiedy się więcej nic dziać nie będzie, wolę o tem milczeć.

Tymczasem, dopóki dzieje trwają, postęp odbywa się na dwa takty. Bywa czas, w którym ludzie stojący na czele społeczeństwa wznoszą się do wyższych wyobrażeń od tych, które były wpierw; górują zatem nad tłumem i wytwarzają arystokracyę panującą i wychowującą mnogie rzesze. Potem przychodzi inny czas: tłum tak powstałą nierówność znienawidzi i zdobywa dla siebie zrównanie praw, podnosząc się nad swój dawny poziom, ale nie dochodząc do poziomu swoich naczelników, których owszem do siebie ściąga gwałtem.

I wtedy nastają czasy demokratyczne, podobne do tych, w których żyjemy, czasy pracy i powszechnej mierności, w których wszelka wyniosłość bywa nienawistną, i w których wszelka wielkość bywa przez to zakazaną, jeśli nie pod karą śmierci i więzienia, to co najmniej pod karą niepopularności i prześladowania.

Na tem skończył poseł. Kazimierz, słuchając, poczerwieniał; widocznie zabolały go słowa obrażające jego najświętsze młodzieńcze przekonanie. Choć czuł wielkie uszanowanie dla bardzo zasłużonego polityka, nie mógł się powstrzymać od wykrzyknika.

— Ależ, Panie! Przecież demokratyczne rzeczypospolite niegdyś największych wydały ludzi, największą się uwieńczyły chwałą, przekazały nam nieśmiertelne wzory bohaterstwa. Ze czcią wspominamy imiona starożytnych Aten, średniowiecznej Florencyi, które były szczeremi, zupełnemi demokracyami, a są rodzicami całej naszej cywilizacyi, a przekazały nam w spadku myśli najgórniejsze, literatury najdoskonalsze, sztukę niezrównaną.

Obok nas siedział profesor uniwersytetu, znakomity historyk, który dał się wybrać do Rady Państwa, swojego wyboru żałował, o wszystkiem miał rozumne zdanie, ale zajmował się w parlamencie sprawami szkolnemi a polityką jaknajmniej. Wielki przyjaciel i znawca młodzieży, nie chciał widocznie dalszej rozmowy o demokracyi, bo odwrócił naszą uwagę na inny przedmiot, odezwawszy się w te słowa:

— No, panie Kazimierzu! gdybyś poczytał Tucydydesa i Machiawela, przekonał-byś się, że i w Atenach, i we Florencyi, nie wszystko było tak piękne, jak się nam z daleka wydaje. Tylko to pewna, że przekazały nam niezrównaną literaturę i sztukę. A ja zaproponuję, żebyśmy jutro poszli obcować trochę z artystami starej Hellady.

— A jakże mamy się do tego brać?—Spytałem się, nieco zdziwiony.

— To i pan o tem nie wiesz?—zagadnął profesor.—Dziwna rzecz, że nikt o tem nie wie. Wiedeń tak zajęty zabawą i teatrem, że nikt nie gada o pomnikach, przywiezionych tu z Azyi Mniejszej. Ekspedycya naukowa austryacka wykopała w Efezie najwspanialsze posągi greckie. Gdyby kto był je przywiózł do Berlina, albo do Paryża, choćby do Monachium, albo do Drezna, było-by o tem głośno na całym świecie. Tu w Wiedniu pogrzebano te arcydzieła w świątyni

Tezeusza w Volksgartenie, a miasto myśli o wszystkiem innem, o śpiewakach i akrobatach, tylko nie o tych skarbach. Ale my, na złość, pójdziemy jutro rano pogadać z tymi starożytnymi Grekami.

Kazimierz i ja zgodziliśmy się chętnie na propozycyę profesora, a Kazimierz zapowiedział, że przyprowadzi jeszcze znajomych.

Wojciech Dzieduszycki.

NIEZNANY PAMIĘTNIK
JULIANA URSYNA NIEMCEWICZA
o czasach
KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO.
(1807 — 1809) [1].

VI.

Krzyże wojskowe. — Wieści z Paryża. — Niezadowolenie Napoleona z Polaków. — Połajanki. — Ucisk w kraju wzrasta.

Wróćmy do rzeczy. Rozdanie wskrzeszonych krzyżów wojennych, dekretem królewskim, w początkach lutego uskutecznione, Ministrowi wojny, księciu Poniatowskiemu, zostawione. Stosownie do wyroku królewskiego, rozdano je wszystkim generałom, pułkownikom, wielu oficerom, niektórym żołnierzom. Gdziekolwiek rozdawane są łaski i zaszczyty, wielu nieukontentowanych spodziewać się należy. Wielu też było, niektórzy i słusznie. Złośliwe przekąsy i wiersze słyszeć się dawały. Że minister wojny, rozdawca tych krzyżów, mieszkał w domie, zwanym pod Blachą, mówiło pospólstwo: „nie dziw, że krzyże te lekkie, bo z Blachy".

Podobnie złość w tych niezgrabnych, acz dość dowcipnych wierszach, widzieć się daje:

Patrzajcie, przyjacielu, kochany mój kmotrze,
Przedtem był łotr na krzyżu, dzisiaj krzyż na łotrze

---

[1]) Patrz zeszyt styczniowy, str. 1.

Po rozdaniu tych zaszczytów, pułkownicy zaprosili na obiad wszystkich żołnierzy, którzy ozdobę tę otrzymali. Sprawowanie się tych prostych ludzi było najprzychylniejsze. Emulacya między lekką piechotą (woltyżerami) i Grenadyerami, tak politycznie w wojsku jego wzniecona, już między naszemi czuć się dawała.

Umiejętnością tylko w użyciu pasyi ludzkich ludzie—do nadzwyczajnych wiodą się czynów.

W początkach marca przybyła wiadomość o przybyciu deputowanych naszych do Paryża, o łaskawym i pełnym uczciwości przyjęciu ich przez Cesarza. W osobnym pokoju, w nieprzytomności ministrów, dana im audyencya. Rzecz miał Stanisław Potocki gładko i podchlebnie. Podług doniesienia Wielkopolanów, cesarz, łaskawie najprzód odpowiedziawszy, gromił w osobach ich naród o niezgody, o partye, o mieszanie się kobiet do spraw publicznych, oskarżał nawet, że nie lubimy króla naszego, którego nazywał szczególnym swym przyjacielem.

Zarzuty te tem były dotkliwsze, im mniej sprawiedliwe, albo przez obcą niechęć, albo uczynione w chwili popędliwości Davousta, która, gdy przeszła, sam potem doniesień takich żałował, lecz rzucony pocisk już się nie wrócił. Ojcowie nasi, za ospalstwo i niedbałość o dobro publiczne, słusznie zasługiwali na naganę, lecz plemię dzisiejsze, lecz w teraźniejszych okolicznościach, tyle ofiar gorliwości, tyle męstwa, tyle cierpliwości w ponoszeniu niepoliczonych ciężarów i przykrości, więcej pono na pochwałę, niż na strofowanie zasługiwały.

Wiedziano i w Dreznie o tem połajaniu. Wątpię, by król sądził go słusznem, lecz skrycie niechętni nam Sasi życzyli może, żeby im wierzył. Szczęściem, że burza ta była tylko przemijającą. Później bowiem i cesarz i cesarzowa z największą dystynkcyą i dobrocią traktowali naszych, mianowicie zaś pana Potockiego. Nie skończyło się nawet na grzecznościach, i sam monarcha, i ministrowie jego oświadczali ulgi i gotowość do kroków, przynoszących ulgę cierpieniom naszym, i gdyby Rada nie zamieszkała była dać Deputowanym papierów i dowodów, potrzebnych do likwidacyi wzajemnych między dwoma rządami pretensyi, skutek negocyacyi był-by dla nas i prędki, i pomocny.

Tymczasem uciski krajowe w furażach zboża, kwaterach, a nadewszystko niedostatek skarbu, grożące całkowitem źródeł onego zatamowaniem, wszystkich umysły przerażały okropnie. Najmniejszy wpływ do skarbu natychmiast, na zakupienie wołów i innych dla wojska potrzeb, do szeląga wyczerpanym być musiał. Z ust samego prezesa wydziału żywności, p. Kochanowskiego, słyszałem na dniu dzi-

siejszym, to jest 4 kwietnia, iż, licząc po 3 grosze na żołnierza, a po 2 zł. gr. 10 na konia, wydatek kwartalny na same wojsko wynosi do 500 tysięcy czerwonych złotych, 40 tysięcy racyi wydaje się codziennie. Żadne podobno wojsko tak obficie karmionem i opatrzonem nie było, bo oprócz codziennego chleba i mięsa świeżego, odbierało ryż, śledzie, wódkę, a czasem i wino. Już zabrakło i tego, upadał kredyt, dochody Księstwa wynosiły do 30 milionów, wydatki do 70, natężenie wszystkich sposobów przedłużenia kredytu iść dalej nie mogło, jak do maja. Z tem smutnem wyobrażeniem położenia kraju naszego wysyła Rada jednego z referendarzów swoich, Linowskiego, do Drezna... [1]).

VII.

Sprawa redukcyi monety drobnej.—Wrzenie między ludnością.—Środki bezpieczeństwa.—Protest rezydenta Serra.—Rada ministrów. — Przybycie marszałka Davoust. — Zatarg z prezydentem Węgrzyckim. — Niemcewicz u Davousta. — Rekryminacye. — List Niemcewicza do marszałka. — Pan marszałek mityguje się. — Przeprosiny Niemcewicza. — Bankiet pojednania. — Niezwykły pojedynek. — Marszałek Davoust zostaje księciem d'Auerstaedt. — Dekrety królewskie. — Nadzwyczajna sesya Rady Stanu. — Zerwanie mostu. — Szaniawski w Berlinie. — Upadek Prus. — Wieści z Portugalii, Sycylii i Rzymu. — Wypadki hiszpańskie.

W tym właśnie czasie przyszła z Berlina do kupców naszych wiadomość, iż drobna nikczemna moneta pruska, zwana dytkami, traciła tam po 30 od sta, a w królestwie Westfalskiem, Saskiem i innych przyległych krajach, wywołana i zakazana zupełnie. Wieść ta powszechne sprawiła zamieszanie i trwogę. Pomnażała je uwaga na niezmierną ilość, którą kraj tego gatunku monetą zalanym się widział, na usiłowanie, z którem goście nasi i żydzi wykupywali złotą i grubą monetę za drobną i onę do Berlina wywozili. Pomnażała pewna wiadomość, że arendowana żydom przez francuską administracyę w Berlinie mennica, z jednego, jak mówią, talara sześciozłotowego, jedenaście złotych drobnemi wybijała; trwożyły nakoniec wozy francus-

---

[1]) Przytoczone w tem miejscu „Pamiętnika“ memoryały, podpisane przez L. Gutakowskiego i ministra Łuszczewskiego, z powodu ich obszerności, opuszczam. Znajdą one pomieszczenie w wydaniu książkowem niniejszych „Pamiętników“. (*Wydawca*).

kie, z trzema milionami tychże dytków na żołd francuski nadeszłe; zadało cios ostatni niespokojności publicznej, bez ogłoszonej publicznie redukcyi, wzięte w Radzie postanowienie—nie przyjmować w Skarbie tych dytków, miasto groszy miedzianych sześć, jak szły dotąd, po groszy tylko cztery. Gdy się to rozeszło po mieście, nie widziano, jak tylko kupienia się po ulicach, szemrania, narzekania. Kupcy we dwójnasób podnieśli cenę towarów. Piekarze, rzeźniki, piwowary, najprzód towary swe za dytki przedawać, dalej, gdy niektórych publicznie strofowano i karano, etc., piec, warzyć i rznąć poprzestali.

Podwojono warty, liczne patrole chodziły w nocy po mieście. Z najlepszym i najcierpliwszym ludem wzięte ostrożności, jakich tylko lud burzliwy wymagał.

P. Serra, rezydent francuski, ostry i gromiący list napisał do Rady, „jak bez uczestnictwa jego ważyła się przedsięwziąć redukcye, jak nie zważała na stratę, którą wojsko monarchy jego, opłacane tego gatunku pieniędzmi, poniesie".

Na list ten twardy grzeczną odesłano odpowiedź. Korespondencya ta, wszystkie inne przedsiębrane kroki, obalonego w opinii publicznej pieniędzy tych kredytu wrócić nazad nie mogły, a gdy drogość, niedostatek nawet i głośne na ucisk nie ustawały szemrania, przekonał się sam Rezydent, iż tak gwałtowne złe—gwałtownego, prędkiego potrzebowało lekarstwa. Sam więc z domu swego marszałka Davoust, ze Skierniewic, naglił na Radę, by, zapobiegając dalszym niechęciom, a może i głodowi, redukcyę dytków ogłosili.

Odpowiedziała Rada, że bez rozkazu królewskiego czynić tego nie mogła, lecz że już w tym celu posłała sztafetę do Drezna. Nie przestawając na tem, p. Serra 26 marca sam chce być przytomnym na Radzie. Rada, dla ocalenia powagi swojej, nie już zwyczajną sesyę, lecz prywatną składa konferencyę, na którą Rezydenta zaprasza. Konferencya w dzień ten zbierała się po dwakroć, przytomni na niej ministrowie oddawali sprawiedliwość głębokiej umiejętności w rzeczach skarbowych, którą p. Serra na posiedzeniach tych okazał, dowiódłszy konieczności redukcyi, (o której nikt nie wątpił), wziąwszy na siebie za krok ten odpowiedzialność przed królem, skłonił wszystkich do postanowienia i ogłoszenia publicznie redukcyi, zmniejszając zdawkową monetę, dytki po groszy miedzianych 4, srebrne grosze po groszy 5.

Tegoż wieczora późno przybiegł marszałek ze Skierniewic. Nazajutrz, przed godziną dwunastą, gdzie się wszyscy zbierali do niego plotkarze obcy i narodowi, powiększając co było, wynajdując, co nawet nie było, mieli czas wzruszyć żółć i wrodzoną w nim wzniecić zapalczywość. Gdy się więc wojskowi i wielu cywilnych zebrało na pa-

łac, wsiadł z gniewem na niedołężność i głupstwo rządzących, mówił, że ucho obcej jakiejś intrygi wyłazi w tem wszystkiem, że on je wcześnie utnie, że się wydziwić nie może dobroci ludu naszego, który tyle niedostatku, tyle błędów rządzców swoich zniósł tak spokojnie, kończąc temi słowy: że gdyby jakiekolwiek rozruchy powstały między ludem, był-by kazał ministra skarbowego powiesić. Godni wiary przytomni powiadali mi atoli, że, wyrzekłszy te słowa, postrzegł zbyteczną ich nieprzyzwoitość i na uniesienie swoje wyrzekał. Lecz pocisk był już rzucony, a miłość tylko dobra publicznego i bojaźń nieobrażenia na zawsze tych, w których ręku wszystkie Ojczyzny spoczywały nadzieje, znieść go jedynie zdolnemi były.

Nazajutrz, dnia 28 marca, Magistrat, w poczcie oddziałów z trzech wojsk sprzymierzonych, przechodził miasto i z wielką pompą ogłaszał redukcyę tej nieszczęśliwej zdawkowej monety. Cios ten uczuło wielu, piwowary i piekarze liczyli się ćwierciami, półkorcami i korcami. Jeden z piwowarów, nazwiskiem Wołoski, z rozpaczy już stryczek kładący sobie na szyję, uratowany od żony. Nie mające zapasów pospólstwo, odmianę tę obojętnie przyjęło. Krok ten gwałtowny, lecz potrzebny, powinien był położyć tamę wszystkim, dotąd z niego wypływającym, niedogodnościom i uciskom, lecz trudno było raptem powrócić zniszczoną ufność. Niemożnością, nieporozumieniem się, czyli może i niedbalstwem ministra policyi i prefekta zabrakło w mieście mąki, piekarze nie piekli, lub gdzieniegdzie za opłatą nawet, podług redukcyi, mniejsze, niż przed redukcyą, przedawali chleby. Znowu skwapliwość marszałka Davoust nowym wybuchnęła pożarem. Przywołał ministra spraw wewnętrznych, Łuszczewskiego, ministra policyi, Aleksandra Potockiego, prefekta departamentu warszawskiego, Łubieńskiego, i vice-prezydenta miasta, Węgrzeckiego, ostro strofować o zawód w dowozie mąki i przyczyn niedbalstwa tego poszukiwać rozpoczął. Jak grad leciały obelgi na wszystkich, osobliwie na ministra policyi i prefekta, w których znoszeniu się z sobą pokazały się omyłki i nieporozumienia. Oberwał pierwszy, złożony drugi, dostało się nawet i krewnym Łubieńskiego, ministrowi sprawiedliwości, którego marszałek ministrem niesprawiedliwości nazywał, przypadłszy potem do vice-prezydenta, Węgrzeckiego:

— *Odpowiesz mi*—zawołał—*głową swoją, jeśli chleb nie będzie tańszy i większy.*

Prezydent z zimną krwią odpowiedział mu:

— *Możesz J W. Pan wziąć głowę moją, gdyż jesteś wszystkomożnym, śmierć atoli moja nie zastąpi niedostatku, nie potrafi przymusić piekarzy, by, dla dogodzenia publiczności, sami rujnować się mieli.*

Na te słowa Marszałek posunął się z zapałem do vice-prezydenta. Przelękniony o skutki Rezydent Serra stanął pomiędzy dwoma, prosząc, by jemu rzecz całą pozwolono roztrząsnąć, i tym sposobem ochłodził zapał Marszałka. Gdy gniew ominął, stałość i zimna krew Węgrzeckiego zjednała mu u obydwu szacunek.

Tu niech mi wolno będzie powiedzieć, iż powolne ministrów naszych obraźliwych przykrości znoszenie ściągało im powtórzenie tych wszystkich nieprzyzwoitych strofowań. W nieszczęściu nawet i słabości godność zachować należy! Powód ich atoli był chwalebny, nie lękali się oni utracić miejsc swoich, bo te, w dzisiejszych okolicznościach, dla żadnego powabów mieć nie mogły, znosili przez bojaźń, by niewczesnem otrząśnieniem się nie pogorszyć doli publicznej.

Przez nieczynny mój urząd sekretarza Senatu, niewpływający do niczego, co się robót rządowych tykało, cierpiałem w milczeniu nad uciskami, nieszczęściem i zniewagą naszą, bolejąc nad wzgardą, z którą urzędnicy nasi strofowani byli. Przez kilka dni po przyjeździe Marszałka nie byłem u niego. Nie chcąc atoli zdawać się czuć więcej, niż drudzy, nie chcąc się różnić od wszystkich, dnia 29 w wieczór poszedłem na pokoje.

Znalazłem Marszałka, zamkniętego z Majorem Saskim, Tilman, który, tej-że nocy, z tajemnemi nauczeniami i listami, ukradkiem przed wszystkimi, wyjechał.

Po kwadransie czasu wyszedł do mnie.

— Cóż nowego? — zapytał.

— O niczem nie słyszałem.

— Przepraszam, są intrygi, są kabały zagraniczne i pełno złej woli.

— Nie pojmuję, w jakim celu i przeciw komu miano-by intrygować? Prus już niema, z Austryą jesteśmy najlepiej, z Rosyą najściślejsza łączy nas przyjaźń. Któż-by tak słaby, jak my jesteśmy, przeciw potężnym przyjaciołom waszym miał intrygować? Czy przeciw wam samym? Któż jest tak z rozumu obrany, szalony?

— O, jest obca intryga!

— Intrygantów więc trzeba przekonać i ukarać.

— Wam zapowiadam,—mówił dalej,—żebyście się zrzekli dawnych związków waszych z Czartoryskimi.

— Nie będę się ja nigdy wstydził dawnych związków moich, bo były zawsze z ludźmi uczciwymi, i takim jest stary ks. Czartoryski, który mnie wychował, przyjaźnią i dobrocią swoją zaszczycał, który kraj swój kochał i mnie kochać go nauczył.

— O, każdy obywatelstwo nazywa, jak mu się podoba. Wy nic innego przed oczyma mieć nie powinniście, jak cesarza Napoleona i króla Saskiego.

— Tak też ja czynię.

— Przecież oskarżają was, że przeciwnie.

— Którzyż są ci, co mnie oskarżają? Proszę ich wymienić.

— O, nie jestem ja tak ciemny, żebym ich wymieniał.

— Jest-że w tem sprawiedliwość? Słuchasz i wierzysz donosicielom, a oskarżonemu nie dajesz pola usprawiedliwić się i potwarców zawstydzić. Byłem całe życie człowiekiem poczciwym. W 50-tym roku nie zboczę z drogi, a samo podejrzenie jest mi srodze bolesne.

Marszałek, widząc, żem się unosił, zwolniał, i o innych rzeczach poufale i łagodnie mówić ze mną zaczął. Gdy wszedł Moszyński, skłoniwszy się, odszedłem.

Nazajutrz pisałem do niego następujący list:

— „Daruj JW. Pan sprawiedliwej czułości mojej. Im mniej zasłużyłem na zarzuty, które mi JW. Pan na dniu wczorajszym czynił, tem głębiej uczułem je w sercu. Związki przyjaźni, które oddawna mam, są wszystkie z ludźmi poczciwymi i z obywatelstwa znanymi. Ten, co się od lat 25 chlubi przyjaźnią Małachowskiego, marszałka Potockiego i, śmiem powiedzieć, wszystkich ludzi poczciwych, ten, co tyle znany jest z prześladowań i nieszczęść, które dla Ojczyzny ucierpiał, nie może wchodzić w spiski niecne i szalone. Szanuję ja dostojeństwo, siłę i wojenną sławę JW. Pana, lecz opinia JW. Pana, nie jak potężnego, lecz jak poczciwego człowieka, jest mi najdroższą. Tej, poznawszy mię lepiej, spodziewam się, że mi nie odmówisz. Mam honor być etc.“.

Tymczasem, czyli to ostudzona z popędliwości uwaga, czy doniesienia, że ostre poprzedniczych dni fuki, złe w publiczności sprawiły wrażenie, czyli przekładanie pana Serra, że podejrzenia marszałka są próżne, że gniewy jego były niesprawiedliwe, obrażające, postrzegł się mąż ów, i co nieuważny gniew popsuł, grzeczność i łagodność raptowna naprawić starała się. Jeździł więc z wizytami do Małachowskiego, do Gutakowskiego, wszędzie chwaląc dobroć ludu polskiego, gorliwość rządzących, postępki nawet w nauce administracyi niższych urzędników. Taż sama grzeczność i pochwały dla wszystkich, co przychodzili do niego. Całą winę nierządu i klęsk wszystkich źródło składał na Prusaków, umieszczonych jeszcze w rządzie naszym. Przedniejszych z nich trzech znajdowało się w Warszawie: Struensee, Bachman i Reybach. Tych, Komisya Rządowa, za ustanowieniem wraz swojem (gdy dla łatwości cały tryb i organizacyę kraju pruską zachowała) dla oświecenia się w nich, zatrzymać na dawnych miej-

scach musiała. I tak Struensee, nie bardzo nawet przez Prusaków dla niemoralności szanowany, lecz zdatny i w skarbowych i w celnych sprawach wielce biegły, potrzebnym był w tej części. Podobnież Reybach w policyi, Bachman w sądach, dla objaśnienia w prawach pruskich, podług których, sprawy, dawniej zaczęte, dziś się kończyć musiały, usłużnymi i potrzebnymi byli, dziś, z rozkazu Marszałka, z urzędów zrzuceni i wywołani z kraju.

Za przełożeniem atoli naszych, Bachman ocalony. Dwaj inni, jak kozły oczyszczenia, obładowani wszystkich grzechami, z miasta ustąpić musieli.

Po zabiciu tych ofiar (bodajby Polacy dla ubłagania zagniewanego bóstwa nie poświęcali nigdy innych!) wróciła na chwilę spokojność.

I ja odebrałem odpis od Marszałka w te słowa:

„Niespokojność, którąm Wam okazał, powinna mi dowodzić, jak żywo interesuję się do niego. List jego, wytłómaczenie się, otwartości pełne, całkiem obawę moją zniweczyły. Proszę nie wątpić nigdy o szacunku moim dla siebie. Chciej dać majorowi le Grand niektóre z wierszów swoich do przełożenia na francuskie. Dowcip i sentymenta tych, któreś nam już dał poznać, powiększają chęć moją poznania i reszty. Jestem etc.“.

Nazajutrz, dnia 3 kwietnia, zaprosił mię na obiad, gdzie do sta osób zgromadzonych zastałem, między nimi: ministrów, senatorów, prezydenta miasta i wszystkich przedniejszych, z cywilnych i wojskowych. Nie było grzeczności i attencyi, których-by Marszałek nie używał dla zagojenia zranionych czułości. Polak, prędzej jeszcze w zapomnieniu, jak tkliwy w urazie, do złagodzenia jest łatwy. Nawykły do przemocy, umie znosić cierpliwie, a dziś tem łatwiej ponosi, iż ci, którzy go tłoczą, dali mu początek bycia, i w ręku swoich trzymają najsłodsze nadzieje nasze. Dlaczegoż tyle podejrzeń, tyle zbytecznych i niepotrzebnych niespokojności? Możeż lew lękać się zamkniętego w swej klatce pieska? Skąd-że więc w mężu tym, tak odważnym, tak przestrzegającym karności, tak nakoniec dobrze życzącym krajowi naszemu, skąd-że, mówię, tyle niespokojności i gniewów? Wiele jest tego przyczyn: temperament w człowieku krwisty i żółci pełen, łatwo popędliwym i skorym do gniewu czyni. Życie, spędzone w obozach, nałóg widzenia dawane rozkazy bez przełożenia i ślepo spełniane, przytłumiana krwawemi bitwy wszelka tkliwość, mniemanie, że równie łatwo wykonywać jest podległym, jak rozkazywać trzymającym władzę, wdzięczność i przywiązanie do Napoleona, aż do bałwochwalstwa i fanatyzmu idące, sprawiają, iż cień najmniejszy podobieństwa, że się albo woli jego, albo widokom sprzeciwić może,

w popędliwe wprawia go uniesienie. Przydam nakoniec: życie, dotąd zawsze czynne, zawsze do gwałtownych przyzwyczajone poruszeń, wszędzie widzące boje, zasadzki, zdrady, gdy tych w pokoju rzetelnych nie było, burzliwy, potrzebujący posług umysł, mniemane tworzył sobie.

Nadmieniłem w górze, iż Rada, przymuszona rozkazem marszałka Davoust, na sesyi, na której p. Serra prezydował, by, nie czekając zezwolenia królewskiego, ogłosiła redukcyę, wysłała do Drezna sztafetę, z usprawiedliwieniem się z kroku tego i przyłączeniem ostrych listów, które ją do tego zachęciły.

Dziś nadeszła wiadomość, że sztafeta ta w przedmieściach Poznania rozbita i listy jej odebrane... Nie poszukiwano, przez kogo i jak się to stało.

W tym-że czasie smutny, lecz nadzwyczajną siłę dowodzący przypadek, zdarzył się w wojsku naszem.

Dwóch żołnierzy, z pułku jednego, Przebendowskiego, pokłóciwszy się z sobą, wyzwali się na pojedynek. Wyzwany, jednym zamachem ściął głowę przeciwnikowi swemu.

Dnia 5 kwietnia były wszystkie osoby z powinszowaniem Marszałkowi nowonadanej mu przez Cezara godności Książęcia Auerstädt. Podchlebna jest rzecz mieć tytuł, gdy go świetnym czynom, lub zwycięstwu winniśmy. Zastaliśmy Marszałka, otoczonego licznym tłumem oficerów korpusu swego. Gdyśmy mu powinszowania nasze składali:

— Oto są — rzekł — waleczni rycerze, którzy tytuł ten ze mną dzielić powinni, tak, jak dzielili wygraną...

Wiele potem o waleczności Francuzow i Polaków i potrzebie między nimi harmonii mówił.

Przyszedł dekret królewski, 27 marca datowany, z rozkazem, by względem redukcyi monety postąpić wedle rozkazu i woli Marszałka Davoust i pana Serry. Widzieliśmy, iż Rada już rozkaz ten wcześnie przynaglona była wykonać.

Dnia 8 kwietnia zwołano nadzwyczajną sesyę Rady, na której znajdował się p. Serra i, mimo wszelkich przekładań ministrowi, postanowiono: by podatki całkiem przyjmowane były w dytkach. Uwaga, że za gatunek tych okrzyczanych pieniędzy, artykułów, z za granicy branych, dla samego wojska francuskiego potrzebnych, jako to: wołów etc. dostać nie będzie można, odrzucony, ogłoszony edykt, pod karą sądu wojennego dla każdego, coby mu nie był posłusznym, i dytków w postanowionej cenie brać nie chciał. Skutki tego, tak nierozważnego kroku, aby się wkrótce uczuć nie dały, lękano się. Mnie,

przekładającemu one Marszałkowi, z niewstrzymaną może szczerością, na nowo niechętnym Jego i pana Serrę uczyniło.

Na dniu 12 tak wielki już był deficyt w Skarbie naszym, iż zamiast kilkukroć tysięcy, żądanych przez Kochanowskiego pieniędzy na żywność dla wojska, ostatnie tylko 50 tysięcy oddano. Za poradą p. Serry, pisał Kochanowski do Marszałka, prosząc o pożyczkę. Ten pożyczył ze swoich 100 tysięcy. Ten-że dawniej już skonfiskowane na Prusakach drzewo i 30 tysięcy beczek śledzi na fundusz Kochanowskiemu ku wyżywieniu wojska oddał i sprzedać kazał.

Zima aż do środka lutego dość wolna, tęgością i długością swoją nagrodziła sobie początkową łagodność. Dnia 5 kwietnia Wisła stała jeszcze i lód na niej miał 19 calów grubości. Silniejszym dogrzana słońcem, puściła dnia 8-go. Most, przez Francuzów na palach postawiony, wytrwał, aż póki nawał roztopionych pod Krakowem lodów nie nadszedł. Ten najprzód dnia 11 pale wyłamywać i izbice chwiać zaczął, nakoniec w nocy z 11 na 12 ogromne kry zerwały go zupełnie.

Zaraz za okazującem się niebezpieczeństwem, marszałek Davoust, skutkiem pieczołowitości, chwały godnej, sam na moście był przytomnym, i wszelkie ratowania sposoby obmyślał, lecz próżno.

Szaniawski, w miesiącu jeszcze wrześniu wysłany do Berlina, by tam, stosownie do traktatu Tylżyckiego, wszystkie papiery i dokumenta, ściągające się do zabranej przez Prusaków części Królestwa Polskiego, odebrał, teraz powrócił. Przywiózł on z sobą więcej jeszcze, niżeli się spodziewał, bo nietylko że same papiery od objęcia zabranego kraju przez Prusaków, ale nawet projekta amelioracyi, czyli polepszenia tych prowincyi, tudzież wszystkie pisma i archiwa układowej korespondencyi, między domem Brandenburskim i Polską zaszłe od dawniejszych czasów. Król, w nagrodę podjętych prac, Szaniawskiego Prokuratorem generalnym Księstwa Warszawskiego mianował.

Z początku wiele od rządu pruskiego, więcej jeszcze od oficyalistów jego, doświadczał zwłok, przykrości i niechęci, aż gdy wszelkie nadzieje przeistoczenia traktatu Tylżyckiego zniknęły, gdy wszelkie zabiegi o interesowanie się dworu Pétersburskiego, podróż nawet do Paryża brata królewskiego, królewicza Wilhelma, stały się próżnemi, gdy nawet nad traktat Tylżański kraje pruskie po lewym brzegu Wisły znowu w sekwestr od Francuzów zabrane, gdy Brandenburgię i Szląsk ciągle zajmował żołnierz francuski, wybierał podatki i najwyższą w tych krajach sprawował władzę, przekonał się król pruski, iż bez powrotu dociekła ostatnia wielkości jego godzina, uległ konieczności ze stałością i męstwem, prawdziwie chwały god-

nem. Widział, iż próżno już było kusić się o odzyskanie obalonej potęgi, próżno chcieć dłużej znaczyć między pierwszemi, jak dotąd, mocarstwami Europy, że z jednego z pierwszych królów przychodziło zostać Rządcą ubogiej i szczupłej krainy. Nie już więc w potędze i blasku, lecz w chlubniejszym nierównie celu, w mierności, w uszczęśliwieniu poddanych, król powinności swoje zakładał.

Wezwał Stany Prus dawnych, po ojcowsku naradzał się z niemi, co w smutnych okolicznościach dzisiejszych, ku żałości klęsk wojny i podźwignieniu zniszczonego przezeń ludu, czynić zostawało.

Zwinął wojsko, małą tylko onego zostawiwszy liczbę, i tę z rodaków samych. Rozpuścił obco zaciężnych. Darowane sobie przez cesarza Aleksandra kilka tysięcy sztuk bydła rozdał na wieśniaków, ze zwiniętych jezdnych pułków rozdał konie do pługa, sam, najprzód w skromnym domu w Memlu, później w Królewcu, z żoną, licznem gronem dzieci i kilku sług wiernych przemieszkiwał. Smutne, zaiste, i pamiętne zmiany rzeczy ludzkich widowisko!

Wiek jeden widział początek, wzrost, szczyt potęgi i ostatni upadek Monarchii pruskiej.

VIII.

Nędza w Księstwie Warszawskiem. — Środki zaradcze. — Projekt sprzedaży dóbr narodowych. — Ofiarność obywatelska. — Kuryer z Paryża. — Ustępstwa Napoleona. — Regulacya pretensyi wzajemnych między Księstwem a Francyą. — Zatarg z oo. Benonami. — Uroczystość wprowadzenia kodeksu Napoleona. — Powrót Linowskiego z Drezna. — Jego rozmowa z królem. — Kapitały po-pruskie. — Kłopoty króla saskiego. — Konwencya Bajońska. — W Hiszpanii. — Napoleon rozjemcą.

Tymczasem w Paryżu, ze zbliżającem się rozwinieniem nowych zamysłów, zaborów i niebezpieczeństw, sypano obfite nagrody i zachęcenia po tylu walkach i krwi rozlewie, by obalić feudalność i szlachectwo. Napoleon nowym ustanawia ją edyktem, mianuje książąt, hrabiów, baronów kawalerami, i spadającemi na starszych synów tytułami, i mocą tworzenia majoratów. Nadto, w Królestwie Westfalskiem i innych, generałom, pułkownikom rozdaje dobra, wyznacza pensye, i strażom pretoryańskim, czy to gwardyom swoim, tym, którzy trzy odprawili kampanie, żołd we dwójnasób powiększa.

Kiedy ta dla swoich panuje hojność, iż żywą wszystkich unosi wdzięcznością, u nas nacisk potrzeb, wycieńczenie skarbu, powszechna nędza, do ostatniego przychodzą stopnia. Michał Kochanowski, Prezydent wydziału żywności, który, z narażeniem się na nienawiść publiczną, wszystkim—wojska i obcego, i narodowego—dostarczał dotąd potrzebom, który asygnacyami do skarbu, rekwizycyami do obywateli i włościan, wszystko już wyczerpał, dawno już ostrzegał Marszałka o osuszających się wszystkich źródłach, na dniu 14 marca, w sam Wielki Czwartek, oświadczył mu ze smutkiem, iż już zboża i furażów rekwizycyami dłużej brać nie może, gdyż zniszczeni i zniechęceni onemi włościanie, w wielu miejscach na zasiew mieć nie będą, że skarb, nietylko że dostarczyć nie może, lecz i sam zadłużony, że do pierwszego lipca starać się będzie dociągnąć kredytem, lecz później nie wie, co się z wojskiem i krajem stanie.

Im bardziej Marszałek Davoust znał, że Kochanowski nie łatwy był do powątpiewania z rozpaczy, tem żywiej przerażony był tym, tak grożącym i smutnym obrazem. W nocy zwołuje do siebie ministrów i do godziny 2-ej po północy naradza się z nimi nad sposobem odwrócenia wiszących klęsk. Stanęło na następującym projekcie: że za 4,500,000 fr. dóbr narodowych, od pierwszego lipca przedać się powinno, że zaś pieniądze ze sprzedaży tej tak prędko wchodzić nie mogą do skarbu, jak tego gwałtowne wojska wymagają potrzeby, otworzy się natychmiast pożyczka, z procentem po sześć od sta, na tych-że dobrach zahypotekowana, nadto, dla większego zapewnienia, dla wzbudzenia większej w kredytorach ufności, najmajętniejsi i najznaczniejsi obywatele na dobrach własnych dług ten zaręczają. Najpierwszy dał tego przykład p. Marszałek Davoust, zapisując na danem sobie Księstwie Łowickiem 500,000 fr.; Ks. Józef Poniatowski na danem sobie na Żmudzi starostwie tyleż; z Lubomirskich Stanisławowa Potocka na dziedzicznych dobrach swoich 100 tysięcy franków; Dembowski, minister skarbu, 40 tysięcy; Kochanowski tyleż, Gutakowski 30 tysięcy franków, pani Krasińska 20 tysięcy na pałacu swoim w Warszawie.

Tak gorliwa i w marszałku Davoust i w naszych skwapliwość wsparcia hazardem majątków swoich chylącej się rzeczy powszechnej, wszelkiego godna uwielbienia. Pomyślny atoli i ich ofiar, i całego rzeczonego projektu skutek, wszystkim, znającym położenie kraju, wątpliwym się zdawał. Twierdzili, że z ciężkością podpisów na całą tę sumę dostaną, a choćby się znalazła, tak kraj ogołocony z pieniędzy, a przydać należy, tak mała i wszędzie i w trwałości naszej ufność, iż rzadko kto po kupno dóbr posunie się.

Gdy wszystko już w tej znajdowało się ostateczności, czuwająca nad krajem Opatrzność zsyła nam pociechę.

Dnia 16 kwietnia odbiera Marszałek kuryera z Paryża z wiadomością, iż Cesarz Francuzów, przez wzgląd na niedostatek i niemożność Księstwa, wszedł z królem naszym w konwencyę, mocą której, obrachować chce nawzajem swoje do nas pretensye, i nasze do niego. Pretensye Cesarza do nas były: pożyczony w czasie wojny milion franków, zapłata za zdobyte i nam darowane armaty, za drzewo i sól, skonfiskowane na Prusakach i na potrzeby wojska obrócone. Wszystkie długi, które król pruski miał na obywatelach, z pożyczonych im pieniędzy na zapomogi, budowanie etc., hypotekowane na ichże dobrach.

Pretensye od nas: za prowianty, furaże, za mięso, łożone sumy przez cały tu pobyt wojska francuskiego.

Drugi artykuł konwencyi przyrzekał, iż odtąd wojsko francuskie w kraju naszym stojące, własnym kosztem żywić i opatrywać się będzie.

Artykuł III, iż 10 tysięcy wojska naszego, celem ulżenia skarbu, na żołd francuski wziętych być ma.

Komunikowana przez Marszałka wiadomość ta rozweselila długo smutkiem zasępione umysły. Każdy czuł wdzięczność Monarsze Francuzów, Marszałkowi za jego wstawienie się i Deputowanym naszym, którzy przedstawieniami swemi niepomału do wyjednania tak zbawiennej konwencyi przyczynili się.

Podług dawnego w stolicy przykładu, damy nasze, najpierwsze z wdzięków i znaczenia, zatrudniały się w Wielki Tydzień zbieraniem jałmużny na opuszczone szpitale warszawskie. Po wszystkich częściach miasta widziano je chodzące po trzecich i czwartych piętrach, zbierające czasem złoto, srebro, najczęściej nikczemne dytki, gdy wszystkie kwoty swe złączyły razem, ogólna suma wyniosła do (*vacat*) Sam Marszałek Davoust najhojniej do zbioru tego przyczynił się.

Obchodzenie grobów Pańskich, tak świetne przed laty, gdzie ulice tłumami hożych i ozdobnie ubranych kobiet napełnione były, gdzie świątynie gorzały rzęsistem światłem, tchnęły woniami i smętnem rozlegały się pieniem, nosiły dzisiaj smutną czasów teraźniejszych postać. Oprócz żołnierstwa i ubogiego ludu, rzadkoś co świetnego spotykał.

Świątynie ogołocone z duchowieństwa i dawnego blasku.

Tu zamilczeć nie należy przygody, która się wydarzyła w kościele XX. Benonów, niedaleko Panny Maryi. Księża ci, po większej części Niemcy, pozyskali wpływ niezmierny nad całym gminem poniższych sług i służących.

Rząd francuski już na nich z podejrzeniem patrzał, gdy w Sobotę wieczór, podczas Rezurekcyi, czterech oficerów narodu tego, każdy z kobietą, bezbrojnych weszło do kościoła, w sam czas rezurekcyi. W ciżbie, jeden z oficerów potrącił księdza, ten oficera nawzajem. Od słów i łajań, pierwszy Benon (jak twierdzą Francuzi) dał oficerowi w policzek, który natychmiast z prowizyą oddany. Obrażony ksiądz wpada na ambonę i pospólstwo do zemsty zachęca; to się rzuca i oficerów krzywdzi niezmiernie. Jeden przecie wydobywa się z kościoła i wypada na ulicę. Szczęściem, napotyka adjutanta księcia Poniatowskiego, pana Marcelego Potockiego, woła go na pomoc, posyła po wartę. Potocki, dobywszy oręża, zbliża się do kościoła i widzi, że pospólstwo wywleka oficerów dużo zbitych, mówi do pospólstwa, rozprasza je i nieszczęśliwych od dalszej zemsty uwalnia. Nadchodzi warta francuska i. podbudzona od oficerów, była-by się nawzajem na pospólstwo rzuciła i wiele krwi rozlała, gdyby Potocki nie wystawił smutnych kroku takiego skutków i do utrzymania spokojnie porządku nie nakłonił. Jeden z oficerów francuskich chciał wziąć od Potockiego szpadę. W wydzieraniu złamali rękojeść, lecz Potocki nie puścił. Cała w tej chwili zemsta skończyła się na tem, iż szesnastu Benonów zamknięto w zakrystyi, gdzie wszedłszy Francuzi, do woli kuli ich w policzki. Ci bowiem bezbronni, i owszem, jak dobrowolne ofiary, gorliwie męczeństwu temu poddawali się.

A tak, przytomność i zimna krew Potockiego, oszczędziła miastu wiele zaburzenia i wiele krwi wylewu. Nazajutrz zabrano Benonom wszystkie ich papiery, gdzie, mówią, znaleziono recepty, jakiemi sposobami pokazywali cuda. Kościół zamknięty, los ich zapewne bez woli króla rozstrzygnionym nie będzie.

W celu pocieszenia tylu uciskami zasępionych umysłów i przygotowania ich do radosnego przyjęcia kodeksu Napoleona, ogłoszono w gazecie dekret cesarski, przyrzekający polikwidowanie wzajemnych między dwoma narodami długów, płacenie odtąd za mięso, żywność i furaże, tudzież, dla ulżenia niby skarbu polskiego, wzięcie 12,000 wojska naszego na żołd francuski i wyprowadzenie ich z kraju.

Zdawało się, że wdzięczność i radość za znajdującą się w tym dekrecie słuszność odłoży publiczność do chwili, gdzie uskutecznienie warunków tych zobaczy.

Tymczasem minister sprawiedliwości, Łubieński, cały zaprzątniony kodeksem Napoleona, przetłómaczywszy go naprędce, otrzymał rozkaz królewski, by ten publicznie wprowadzić i ogłosić na dniu 1 maja 1808 roku.

Publiczność, i w stolicy i w kraju, przez przywiązanie do konstytucyi 3 maja, której rocznicę, mimo wszelkich zmian, i rządów, i przygód, świątobliwie obchodziła, życzyła gorąco, by nowa kodeksu

uroczystość na dzień ten odłożoną była. Lecz zacięty minister, mimo przekładań Rady Stanu i próśb wielu zacnych, trzymał się przy dniu normalnym.

W niedzielę więc, dnia 1 maja, podług ogłoszonego wprzódy programu, zbierają się wszystkie władze rządowe, generałowie francuscy i polscy na pokoje, stamtąd gankami do kościoła, który już cały żołnierzem francuskim i polskim był napełniony. Huk bębnów nieźmierny. Biskup in partibus, Albertrandi, śpiewa Mszę ś., kazanie, poświęcenie kodeksu, który, cały w jucht i złoto z medalem Napoleona oprawny, na wezgłowiu leżał przed ołtarzem.

Po nabożeństwie, czytane koleją władze, wychodziły w procesyi, oprócz jednego dyrektora poczt, Zajączka, który mniemał się upośledzonym, że go z ministrami nieuszykowano. Lubo okazałość ubiorów urzędników nie biła w oczy: każdy bowiem, nie mając przepisanego, chodził w czem chciał. Widzowie okazalszy nad samo widowisko okazywali rzut oka. Wszystkie bowiem okna w domach zapełnione ludźmi, wojsko narodowe i sprzymierzone stało w szeregach, za niem pospólstwo. Na pałacu rządowym ganki na dachu napchane kobietami i młodzieżą. Każda uroczystość, gdzie tysiące ludzi, gdzie całe współżyjące pokolenie, jednem spojrzeniem ogarnąć można, rozrzewniającą jest dla mnie. Przygotowane przez policyę wiwaty nie były ani liczne, ani głośne. Prawo to, acz mądre, prościejsze, a zatem lepsze, niż to, które my z Europą mieliśmy dotąd, przy trwających uciskach, które prosto dotykały każdego, nikogo nie obchodziło żywo. Rozsądni widzieli wszystkie trudności i zamieszanie, które nieprzyzwyczajenie i niewiadomość ich sprawi, trwożyło niedokładne ich i pośpieszne tłómaczenie. Lud, obojętny, a raczej lękający się się, ubogie pospólstwo nie rozumiało, co kodeks, i jakim proces (*niewyraźne*).

Stanąwszy w Izbie Sądowej w pałacu rządowym, Łubieński, dość gładko powiedział mowę. Po nim również gładko i krótszą jeszcze Marszałek Małachowski, synowiec Prezesa Senatu, Prezesem sądu apelacyjnego nominowany Prokurator generalny, Szaniawski, uczoną, lecz zbyt długą do okoliczności, perorą, zakończył rzecz całą.

Można powiedzieć, iż Francuzi siedzieli na tem wszystkiem, jak na niemieckiem kazaniu. Wieczorem bal wielki u ministra sprawiedliwości. Cała Warszawa była na nim.

W oświeconym ogrodzie, w „kościele nieśmiertelności“ ukryte za zasłoną Nimfy śpiewały rymy na pochwałę Napoleona.

Gdy się zasłona podniosła, widziano na ołtarzu półpierś Cezara, z napisem *Leges aeternaque facdera*. Na Piramidach, po bokach, znaczniejsze epoki Księstwa od wskrzeszenia onego. Nieprzystojnie zdało mi się, że z polityki tyle dla obcego czyniąc podchlebstwa, właściwe i zasłużone przywiązanie nie wspomniało o własnym królu. Opu-

ścić nie należy, iż kodeks Napoleona takiej młodzież nabawił trwogi względem trudności małżeństw i może rozwodów, iż w wigilię onego powszechne w Warszawie było żenienie się, tak, że księża od rana do wieczora, ledwie wydołali śluby dawać." P. Osiński, tłómacz tragedyów Kornela, w nocy, o trzy kwadranse na dwunastą, ożenił się z panną Bogusławską, aktorką, córką dyrektora teatru.

Linowski, który z wystawieniem królowi na piśmie ucisków naszych jeździł do Drezna, powrócił, opowiada, jak król żywo był dotknięty nędzą naszą, że kredytu kupców drezdeńskich i lipskich na próżno szukamy. Niektórzy, korzystając z nagłości potrzeb naszych, chcieli pożyczyć, ale z piętnastą od sta prowizyi. Odrzucono tak bezwstydną lichwę. Król, nic sam dać nie mogąc, znaczną jednak krajowi uczynił ulgę, nabywając u Napoleona za 20 milionów franków długów, które król pruski miał na obywatelach Księstwa Warszawskiego, a które prawem podbicia stały się dzisiaj własnością zwycięzcy. Król, dług ten, 100,000 talarów, co miesiąc wypłacać będzie Napoleonowi, aż do zupełnego całej sumy umorzenia, za to obligami dawanemi na siebie opłacać żywność francuskiego wojska, wyłożone zaś przez siebie pieniądze poszukiwać ma na tych obywatelach, którzy od króla pruskiego wzięli byli pożyczki, tym sposobem i grosz obcy nie wnijdzie do kraju. Ulga atoli w tem, iż król nasz tak nagle i przykro dopominać się o należność nie będzie, jak się dopominali poborcy francuscy.

Król proponowanej sprzedaży dóbr narodowych wielce się opierał, później atoli musiało przyjść do tego, bo obietnice coraz odwlekane i dziś mówią, że dopiero od 1 lipca Francuzi za żywność dla siebie płacić będą, do tego zaś dnia kraj przedawać i fantować się musi, by im sztuki mięsa dostarczać.

Z tem wszystkiem, i w pismach, i w mowach, król i mieszkańcy nie skarżyć się, lecz chwalić muszą. Król w rozmowach swych z Linowskim szczerze nad losem kraju ubolewał.

— „Co mi jest najboleśniejszego—rzekł mu—to to, iż Polacy rozumieć mogą, że ja niedosyć czynię, że ja tyle ciosów nie odwracam od nich—przydał ze łzami—Pewien jestem, iż gdy powrócę do was, już nie będę tak dobrze przyjęty jak wprzódy".

Linowski zapewniał go, iż naród przekonany jest o Jego dobroci i przywiązaniu do siebie, że nie stąd pochodzą ciężary. Chwycił się tego momentu, tej otwartości króla, by mu poddać myśl, żeby ręką własną pisał do Napoleona, przekładając mu smutne położenie nasze i niesposobność dłuższego znoszenia ucisków.

— „Cesarz Francuzów — mówił—nie może sobie tego zataić, że ze wszystkich w Europie monarchów pokrzywdzonych, uniżonych przez niego, nie odbiera w gruncie, jak zawziętość i nienawiść. Mi-

ło mu jest powiedzieć sobie, że W. K. M. znany z cnót, rzetelności, sprawiedliwości, szanowany od wszyskich, jesteś jedynym jego między ukoronowanemi głowy przyjacielem. Zakłada w tem chlubę, i będzie rad znalezieniu sposobności okazania mu dowodów przyjaźni i dobrej chęci swojej."

Król przez tę mowę siedział zamyślony, i ze spuszczonemi oczyma, rzekł potem:

— Myśl pana jest dobra, korzystać z niej będę.

Jakoż, pisał własną ręką ministrowi swemu w Paryżu, list Cesarzowi oddać rozkazał. Lecz kuryer już po wyjeździe cesarskim do Hiszpanii przyjechał; krok ten więcej nam ulgi obiecywać powinien, niż wszystkie inne.

Widzieliśmy powyżej, iż w czasie paroksyzmu podejrzeń i uniesień swoich Marszałek Davoust oddalił od służby i z kraju ustąpić rozkazał trzem oficyalistom pruskim.

Tak arbitralnym krokiem, bez dołożenia się Rządzcy kraju, król nasz, mówi Linowski, wielce był obrażony i z niezwykłą sobie żywością: „albo chcę być królem, rzekł, jak przystoi, albo też wcale nie."

Nieszczęsny Monarcha! Czując tylko klęski i poniżenia, ciche i niesilne pozwalać sobie może narzekania! Nietylko w tak małych okolicznościach, ale i w najważniejszych, jeszcze dotąd, równie z tylu innymi, udzielnym nie widział się panem.

Dnia 7 maja, dla słabości prezesa Rady, Gutakowskiego, Rada Stanu złożona była w domu jego. Tam, w przytomności i za wniesieniem prezydenta francuskiego, P. Serry, uchwalona pożyczka, hypotekowana na przedaży dóbr narodowych, na opędzenie potrzeb i żywności wojsk sprzymierzonych i swoich. Obwieszczenie i ustawa ta jest w „Gazecie Warsz." № 40.

Wiedzieć stąd można, iż tylekroć czynione obietnice i zaręczenia imieniem Monarchy Francuzów, jakoby potrzeby wojsk Jego własnym kosztem zastępowane były, jakoby pieniądze na to iść miały, od miesiąca do miesiąca odkładane. Dziś mówią, że dopiero od 1 lipca nastąpić ma. By więc obce potrzeby do dnia tego zastąpić, kraj uciśniony, ostatnią własność swoją, dobra narodowe, fantować i wyprzedawać jest przymuszonym.

Jak Saturn, pożera Napoleon własne dzieci. Gorszącą była wpośród tych uciążliwości publicznych feta, którą pani z Poniatowskich Tyszkiewiczowa, bratu swemu, księciu Józefowi Poniatowskiemu, w dzień urodzin jego, dała *pod Blachą*. Wchodzący w nią twierdzą, że do 4,000 dukatów kosztować musiała, same świece do 400 dukatów wynosiły. Dawczyni tej okazałości i swego, i obcych worka skąpą nie była. Reprezentowały widowisko rozmaitych narodów gru-

py Hiszpanów, Katalonów, Arabów, Turków, Cyganów, Nimfy, Westalki, wszystko to przepysznie. Każdy własnym kosztem, w złoto, srebro, aksamity i drogie kamienie ubrany. Spiewano, tańcowano, bal trwał do dnia. Mnóstwo widzów, widok sam pełen gustu, lecz razem gorszącego w dzisiejszych czasach zbytku i przepychu. Niezastanawiająca się nad niczem płochość i lekkość niewieścia nie wchodziła w to wszystko.

Dnia 17 maja odebrałem od jednego z Deputowanych naszych do Paryża, pana Stanisława Potockiego, list, w którym mi donosi, że i on, i koledzy, zawołani zostali do Bajonny, dla podpisania konwencyi tej, jakem już wprzódy nadmienił, (celem) miało być obrachowanie wzajemnych pretensyi, wzięcie jednej legii naszej na żołd francuski, tudzież zapewnienie pewnej sumy przez Napoleona na opłacenie stojących u nas wojsk swoich. Konwencya ta, nie wątpię, że dojdzie szczęśliwie. Bodajby nakoniec, po tylu zwłokach, rzetelnie wykonywaną była.

D. c. n.

W przededniu reformy sądów gminnych.[1]

III.

Podejmując naprawę organizacyi sądowej, spółczesna komisya kodyfikacyjna nie mogła pominąć sądów gminnych.—Przypatrzmy się, jaką postać przybrać mają te sądy i w jakich warunkach funkcyonować nadal.—Przedewszystkiem jednak nieco uwag natury ogólnej.

Widzieliśmy już, że głównie wymagał zmiany stosunek do instytucyi zwierzchniej, a więcej sama instytucya zwierzchnia, że reformę trzeba zacząć od głowy, od sądów zjazdowych. Oddawna prasa zawodowa prawnicza rosyjska wykazała poważne wady organizacyi i działania tych sądów, a istna powódź skarg kasacyjnych do senatu i nadzwyczajna odsetka wyroków uchylanych przez senat (37 na 100 w całem Państwie, 47 na 100 w Królestwie, podług sprawozdania departamentu cywilnego za r. 1900), przekonała sfery decydujące, że niepopularność doraźnych sądów zjazdowych wśród ludności Cesarstwa i Królestwa nie jest bezzasadna. Wielka szansa powodzenia przed forum senatu, po zbawiennej nowelli o zdjęciu bezwzględnego rygoru wykonalności wyrokom drugiej instancyi, skarżonym przez senat, spotykała napływ podań o kasacyę. Że zaś senat decyduje nie co do sprawy, tylko co do prawa, i uchyliwszy błędne wyrokowanie, spór na ponowne osądzenie przekazuje innemu zjazdowi, a na nowy wyrok zjazdowy służy znowu kasacya, i często znowu uzasadniona, tak, że spory kilkakrotnie wracają do senatu z przerwami od 2 do 3 lat, gdyż tyle przecięciowo wynosi termin oczekiwania na osądzenie w senacie,—wytworzyło się przeto błędne koło, wyklejone markami stemplowemi ponad wartość sporu, a ideał szybkiej i taniej sprawie-

[1]) Patrz zeszyt listopadowy.

dliwości skreślony w pamiętnym ukazie cesarza Aleksandra II z 1862, stawał się złudzeniem niepochwytnem. W roku ubiegłym naprzykład wpłynęło do depertamentu sądowego cywilnego 9,560 podań o kasacyę, a zaległość wzrosła o 2,099, pomimo wytężonej pracy 26 senatorów we wzmocnionym komplecie.—Wbrew tedy i najlepszym chęciom prawodawcy, i gorliwości senatorów, najwyższy przybytek prawa, senat rządzący, staje się olbrzymią sortownią, brakującą fabrykaty sądów apelacyjnych. Proponowano, celem zaradzenia złemu, ograniczyć powody kasacyi, czyli tak zwane otwory kasacyjne, lecz środek ten posłuchu nie znalazł, bo było-by to zmniejszeniem ilości chorych, przez zakaz przyjmowania ich do szpitala.

Następnie teoretycy i praktycy zarzucali wciąż, jako wadę stanowczą, dwoistość form postępowania i dwoistość władz sądowych. Inny tryb w sądach gminnych, pokoju i zjazdowych, inny w sądach okręgowych i izbach sądowych, inni wykonawcy tu i tam, inne pojmowanie prawa materyalnego w każdej z dwóch gałęzi sądownictwa.—Dodajmy jeszcze zamiłowanie sądów zjazdowych w kazuistyce i formaliźmie, w wyszukiwaniu wyjątkowych kombinacyi w zawiłej sprawie,—bo „magna scientia ad Deum ducit, parva reducit,"—a zrozumiemy, że w pojęciach prawnych ludności wytwarzał się chaos wierutny, albo raczej zanik pojęć prawnych, pożądany dla niesumiennych pośredników, czy patentowanych adwokatów, zwłaszcza tak zwanych prywatnych, czy dla samozwańczych podżegaczy do waśni.

Podobny stan rzeczy nie mógł być nadal cierpiany i kres mu położyć miała komisya kodyfikacyjna,—w myśl zasad: sąd niezależny, sprawiedliwy, dostępny, szybki i tani, dla wszystkich jednaki.

Zdecydowano się na ustalenie jedności instytucyi i jedności procedury, na zniesienie sędziów pokoju i sądów zjazdowych, zredukowanie wyjątków proceduralnych,—na przekazanie skarg kasacyjnych w sprawach podrzędniejszych izbom sądowym, a skierowanie apelacyi na wyroki sądów niższych do sądów okręgowych,—na wprowadzenie postępowania sumarycznego w sprawach bezspornych, z dowodów urzędowych,—na znakomite podwyższenie cenzusu umysłowego urzędników sądowych i ustanowienie egzaminów, w przekonaniu, że wartość instytucyi polega przeważnie na wartości ludzi.

Zdawało-by się, że wzorowano się na urządzeniach sądowych Królestwa, zniesionych ryczałtem w r. 1876, lecz przy sprawdzeniu szczegółów widzimy, że podobieństwo jest pozorne, a nowa organizacya niewiele się różni od dzisiejszej w istocie rzeczy.

Sądów najniższych, ludowych, należących do ministeryum spraw wewnętrznych, tudzież naczelników ziemskich, temuż ministeryum podwładnych, nie tknięto. „Władza sądowa należy do sądów gminnych,

sędziów obwodowych [1]), sądów okręgowych, izb sądowych, senatu rządzącego i, niekiedy, do sądu najwyższego karnego, władza zaś sądów duchownych, wojskowych, włościańskich, stanicznych (wśród ludności kozaczej), i obcoplemiennych opisana jest w ustawach szczególnych, jak również władza naczelników ziemskich"—mówi nowella. Jedność tedy sądownictwa urzeczywistnić się nie dała.

Sądem pierwszej instancyi będzie ogólnie sąd okręgowy, jeden na kilka powiatów lub na wielkie miasto, w miarę potrzeby, dzielący się na wydziały.—Przewody mniejszej wagi, do rubli 1,000, bez względu na źródło i przedmiot sporu, prócz sporów o własność niezmysłową (firmy handlowe, rysunki i modele fabryczne, utwory artystyczne i literackie, prawa stanu), spory posesoryjne i wszelkie żądania bezsporne z aktów urzędowych i weksli protestowanych, ulegać mają jednoosobowym sądom obwodowym. Powiaty i miasta większe podzielone zostaną na obwody i każdy z nich otrzyma sędziego, który będzie pełnił równocześnie obowiązki inkwirenta karnego (sędzi śledczego).--Do pomocy powołani zostaną sędziowie dodatkowi i honorowi (bez pensyi), wszyscy mianowani przez ministra sprawiedliwości, a w razach koniecznych jeszcze starsi kandydaci do posad sądowych, czyli aplikanci.

Atrybucyę sędziego powiększono jeszcze, przekazując mu rozstrzyganie zażaleń na egzekucyę i wszelkich sporów egzekucyjnych. Sędzia uważany jest za sędziego trybunału (sądu okręgowego) i ma udział w zebraniach walnego sądu. W działach spadkowych kompetencya sędziego dochodzi do rb. 1,000 w nieruchomościach i rb. 1,000 w ruchomościach, razem rb. 2,000.

Powiat jeden, lub więcej, i miasto wielkie tworzą okręgi apelacyjne z oddziałem sądu okręgowego o komplecie zmiennym na czele i skargi apelacyjne na wszystkie wyroki lub decyzye sędziów obwodowych ulegają rozpoznaniu tegoż oddziału. Oddział składają: sędzia powiatowy, lub miejski, trybunału, jako prezes, i 2 sędziów obwodowych, ewentualnie dodatkowych lub honorowych. Sędzia powiatowy, dziś funkcyonujący w cesarstwie, jako sąd pierwszej instancyi w pewnej kategoryi spraw, nie ma żadnych innych obowiązków, prócz prezydowania okręgowi apelacyjnemu. Sędziowie obwodowi obywają się bez sekretarzy etatowych, lecz mają przy sobie tłómaczy, przy oddziałach zaś urzęduje sekretarz, podsekretarz, tłómacz i woźny, mianowani przez sędziego powiatowego.

---

[1]) Termin „uczastkowyj" w prasie codziennej naszej tłómaczą przez „cyrkułowy". Sądzę, że wyraz „obwodowy" jest tu właściwszy.

W Królestwie Polskiem rolę sądową naczelników ziemskich i specyalnych sądów stanowo-administracyjnych powierzoną sobie mają sądy gminne o dotychczasowej kompetencyi cywilnej i karnej, wyjąwszy działy spadkowe, w których sądy gminne uległy bardzo wydatnemu rozszerzeniu. Przy sądzie urzęduje pisarz do prowadzenia korespondencyi i czynności kancelaryjnych, mianowany przez sędziego powiatowego. Do kompletu sądzącego w oddziale powiatowym sądu okręgowego wchodzą po kolei sędziowie gminni, tak, że zasiadają w nim: sędzia powiatowy, obwodowy, lub zastępujący go dodatkowy albo honorowy, i sędzia gminny. Tym sposobem komisya prawodawcza pragnie osiągnąć jedność instytucyi sądowej.

Gdybyśmy oddział powiatowy, czy miejski, sądu okręgowego nazwali po staremu sądem zjazdowym, sędziego powiatowego prezesem tegoż sądu, a sędziego obwodowego sędzią pokoju, nie spostrzeglibyśmy poważniejszej zmiany w organizacyi obecnej poza znakomitem rozszerzeniem władzy sędziego pokoju jakościowo i ilościowo, tudzież poza prawdopodobnem pomnożeniem liczby okręgów zjazdowych.

Zmianę na lepsze spostrzegamy: 1) w usunięciu podwójnych organów wykonawczych. Dotąd mamy w miastach powiatowych albo dwóch komorników: jednego od wyroków sądów ogólnych, drugiego od sądów pokoju, albo żadnego, skoro naprzykład na 8 powiatów urzęduje 4 komorników sądu okręgowego, 4 sądu zjazdowego, z których jeszcze 2 nieetatowych,—co powoduje ogromne koszta przejazdów i dojazdów; 2) w podwyższeniu stopnia wykształcenia, wymaganego od komorników i poddaniu ich jeszcze oddzielnemu egzaminowi, 3) w poddaniu wszelkich sporów egzekucyjnych sędziemu obwodowemu miejsca wykonania wyroku; 3) w przywróceniu zniesionego w r. 1876 postępowania wykonawczego, opartego na tytułach urzędowych.

System egzaminów, który dotąd istnieje dla regentów i zastępuje dla nich wszystkie inne kwalifikacye umysłowe, a od 1892 warunkuje awans młodszych aplikantów na starszych, rozciągnięto do komorników. Doświadczenie lat 70 w Królestwie od roku 1809 do 1876, przekonało, że system poważnych egzaminów daje wyborne rezultaty w zastosowaniu do wszystkich urzędników sądowych i tylko najwyższych dygnitarzy od niego zwolnić należy, bo dyplom wydziału prawnego i wieloletnia praktyka jeszcze nie dowodzą uzdolnienia, wyłącznie zaś połączenie ich z bezstronnym egzaminem zapobiega nepotyzmowi i synekurom.—Jeżeli raz zdecydowano się na zawarowanie dostępu na wyższe urzędy sądowe przygotowaniem teoretycz-

nem zawodowem, zapewne i system egzaminów, przyjęty w świecie całym, stanie się nieodzownem uzupełnianiem reformy.

Przytoczyłem w streszczeniu istotny, niewątpliwy dorobek kilkoletniej pracy komisyi prawodawczej. Czytelnik sam osądzi, co w zmianach już wyłuszczonych i jakie następnie ujrzymy posiada wartość praktyczną i o ile ją posiada.

Wyroki instancyi apelacyjnej, oddziałów powiatowych i miejskich, ulegają przewodowi kasacyjnemu w izbach sądowych, o ile cena sporu przenosi rb. 100.

Kaucya kasacyjna wynosi względnie niewiele, rb. 10.

Ponieważ bardzo często pod postacią sporu o kilkanaście złotych kryje się wcale poważny interes, naprzykład w skardze o zwrot fury ściętego zboża spór o całą osadę, dla którego prejudykatem może stać się proces o zboże, więc zatamowania drogi do kasacyi w jakiejkolwiek sprawie usprawiedliwić nie umiem.

Należy raczej ułatwić dochodzenie wymiaru prawa, a dostateczną tamą przeciw pieniactwu winny być kaucye i dobra organizacya stanu obrończego.

Zwrócić muszę uwagę czytelnika na zwrot nader ważny w przekazaniu skarg kasacyjnych aż do rubli 1,000 izbom sądowym. To nie rzecz pomysłu albo doktryny: to konieczność dziejowa.

Nowa organizacya sądowa, rozpoczęta od gubernii wielkorosyjskich, wprowadzana jest stopniowo do pozostałych prowincyi, najwyższa zaś instancya sądowa dla całego państwa istnieje w Petersburgu pod nazwą departamentów kasacyjnych senatu rządzącego. W miarę rozszerzania terenu nowych sądów, w miarę wzrostu ludności i rozwoju cywilizacyjnego, rośnie zadanie prawodawcy, komplikuje się machina rządowa, rosną i wikłają się stosunki i interesy ludzkie ilościowo i jakościowo,—odpowiednio wzmaga się liczba procesów i nieporozumień w sferze prawa.—Kraje rozległego państwa różnią się zasadniczo pod względem języka, religii. zwyczajów, pojęć, stanu ekonomicznego, jak prowincye Nadbałtyckie, Kaukaz i półwysep Kwangtung, więc wymagają różnych praw i różnych instytucyi. Niektórzy z teoretyków nauk państwowych utrzymują, że wytyczną postępowania winna być jedność państwa, wymagająca w imię racyi stanu jednostajnych praw i instytucyi, znajdująca swój wyraz konkretny w jednym i niepodzielnym sądzie kasacyjnym najwyższym, jako jedynym tłómaczu i stróżu ustaw,—czyli, że oddanie skarg kasacyjnych izbom sądowym będzie krokiem chybionym politycznie. Inni znowu twierdzą, że sprawiedliwość jest sama sobie celem i nie powinna kierować się racyą stanu, o ile chce sprawiedliwością zostać, że należy dążyć do słusznego zaspokojenia potrzeb bieżących i wy-

raźnych, nie wdające się w doktrynerstwo prawno-państwowe; że przechodzi siły ludzkie być równocześnie znawcą licznego szeregu ustaw, przepisów, zwyczajów całej rzeszy ludów, z konieczności zatem, podług prawa ekonomicznego o podziale pracy, trzeba interpretacyę praw różnych powierzyć specyalistom i zerwać już przez to z niepodzielnością instytucyi; że sama odległość niektórych prowincyi nakazuje wytworzyć miejscowe instancye kasacyjne, przynajmniej w sporach mniejszej wagi.

Ważyły się zdania w komisyi; wobec przerażających cyfr i spotęgowania ich z biegiem czasu w stosunku geometrycznym, uchwalono decentralizacyę w dziedzinie sądowo - kasacyjnej, przekazując skargi kasacyjne na wyroki oddziałów powiatowych, zapadłe z apelacyi na wyroki sądów gminnych i sędziów obwodowych, izbom sądowym.—Dla nas, o ile o sądach gminnych mowa, krok ten oznacza ustanowienie najwyższej instancyi w Warszawie, oznacza prócz upragnionego pośpiechu jeszcze pożądańsze ustalenie jednostajnego pojmowania ustaw, przepisów, rozporządzeń, wydanych dla Królestwa, niekiedy wybornych, a najczęściej mało znanych i jeszcze mniej rozumianych, szczególniej w dziedzinie administracyjnej i skarbowej.— Teraz 99/100 sporów prawnych znajdzie rozstrzygnięcie najdalej w Warszawie.

Wracam do przedmiotu bezpośredniego.

Trudno zrozumieć, dla czego sędzia obwodowy zaopatrzony jest nie w sekretarza-prawnika, tylko w tłómacza, potrzebnego chyba w rzadkich zbiegowiskach paru narodowości, gdyż sędzia łatwo się uczy języka ludności miejscowej, choćby wcale do tego ochoty nie miał.— Praktyka dowodzi, że jednoosobowy urząd wymaga zawodowego pomocnika, że sędzia pokoju i sędzia śledczy nie obejdzie się bez sekretarza i dla tego najmuje kancelistę. W widokach służby publicznej i dogodności osób interesowanych, lepiej-by zależnego kancelistę zamienić na rzeczywistego urzędnika, zastępcę i świadka czynności, z natury rzeczy. Władza jednoosobowa zazwyczaj arbitralną się staje, skoro nie widzi ciągłej kontroli, choćby tylko towarzyskiej. Tymczasem sędziowie obwodowi będą zarazem i sędziami śledczymi, będą potężną władzą i pewnie się nie obejdą bez całej kancelaryi.

Nowela wspomina o delegowaniu kandydatów do posad (aplikantów) do biur sędziów obwodowych. Może chce widzieć w nich nietytułowanych sekretarzy, ale o tem zamilcza.

Opłaty sądowe, skarbowe i kancelaryjne, pozostawione u sędziów obwodowych i w sądach gminnych bez zmiany: 1% od sumy

spornej i po 10 kop. od arkusza podania i załączników. Dowody oryginalne wolne są od opłaty arkuszowej, co wobec milczenia o zwolnieniu od stempla skarbowego, oznacza najwidoczniej podciągnięcie pod podatek stemplowy dowodów, wymaganych od władz i urzędników w formie kopii i świadectw (metryki, akta regentalne itd.), celem produkowania w sądach pokoju,—które to kopie i świadectwa dotąd wolne są od marek stemplowych.—Pod tym względem ujednostajnienie postępowania pociągnie o wiele większe koszta dla stron w przeważnej ilości spraw, szczególniej w sprawach spadkowych, wymagających nieraz stosów metryk.

Projekt poprawionej procedury cywilnej wychodzi z zasady tak potrzebnej jedności postępowania, lecz robi od niej wyjątek w najistotniejszym punkcie, zwalniając strony u sędzi obwodowego i w sądzie gminnym od komunikowania przeciwnikowi odręcznych odpisów podań i załączników. Sędziowie obwodowi przejmą większość sporów, dotąd wpływających do sądów okręgowych (od rubli 300 do 1,000), sądy gminne też miewają bardzo poważne sprawy, naprzykład działowe i posesoryjne, ceny nieograniczonej. Uprzednie złożenie przeciwnikowi kopii pozwala zawczasu zoryentować się, obmyśleć obronę, wyszukać dowody, złożyć na piśmie głos obrończy,—co razem wzięte stanowi gwarancyę wszechstronnego zbadania sporu przez sąd i szybkiego osądzenia.

Inaczej dopiero w kancelaryi sądu, albo z referatu prezydującego dowiaduje się pozwany, o co jest pociągany przed sąd, czasem o mil kilkanaście od miejsca zamieszkania, i aby znaleźć obronę, wnosi o odroczenie sprawy, czego mu sąd odmówić nie może.—Rozumieli też redaktorowie noweli, że zbytnia prostota ujmę przynieść może treści wyroków, skoro zastrzegli komunikowanie dowodów władzom rządowym, występującym przed sądem w charakterze strony. Na inną przecież inowacyę zgodzić się trzeba.

Ustawa znacznie redukuje w sądach pierwszej instancyi, a usuwa całkiem w następnych, spory juryzdykcyjne. Wiemy, jakim kamieniem obrazy w wymiarze sprawiedliwości są ekscepcye o niewłaściwość sądu. Trudno niekiedy zoryentować się, do jakiego sądu należy zwrócić się z niewątpliwą pretensyą, gdy granice kompetencyi sądów ogólnych i pokoju, sądów i komisarzy, a czasem dwu jednakowych sądów, są często nader zawile. Orzeczenia senatu w przedmiocie kompetencyi sporo miejsca zajmują w rocznikach urzędowych, a wielokrotnie sprzeczne są z sobą i z ustawą. Ileż-to razy w drugiej instancyi, po upływie paru miesięcy czasu i wyłożeniu znacznego nakładu, następuje upadek skargi dla niewłaściwości sądu, albo rozstrzygnięcie przez wszystkie instancye takiego sporu więcej pociąga

mozołu nad wyjednanie wyroku w samym przedmiocie spornym, a zarzut niewłaściwości sądu wolno dotąd powoływać przez cały czas procesu, w obu instancyach,—aż instancya kasacyjna jęła ograniczać nieco ten krętacki (przeważnie) tryb obrony.—Podług noweli, spór juryzdykcyjny wolno wywoływać jedynie w pierwszej instancyi i na pierwszem posiedzeniu, co ma szczególną wartość praktyczną dla sądów gminnych, bo nigdzie więcej nie nadużywano zarzutów niekompetencyi, jak w sądach zjazdowych, po przejściu do nich procesu z sądu gminnego. Nadto, jedną z najmniej udatnych ekscepcyi, niebezpieczną z powodu swej mglistości, zarzut połączenia różnych materyi, wyrugowano doszczętnie z projektu.

Aby ułatwić udawanie się do sądów, dozwolono każdemu interesowanemu złożyć skargę do rąk najbliższego sędziego obwodowego.—zapewne i gminnego,—a ten, przekonawszy się, czy napisana jest formalnie i dostrzegłszy uchybienia, po usunięciu ich przez interesanta, odsyła skargę w ciągu dni trzech do właściwego sądu w granicach całego Cesarstwa i Królestwa, co jednak nie przeszkadza sądowi odbierającemu odmówić przyjęcia nieformalnego podania. Przepis ten będzie miał wysoką wartość, tamując działanie pokątnych doradców, o ile odpowie wykonanie zamiarom prawodawcy, o ile sędziowie będą mieli czas i wolę informować interesowanych; z drugiej zaś strony łatwiej jest spór osądzić i cudzą robotę krytykować, niż radzić szczęśliwie, wszelkie też porady należy zostawić adwokatom, gdyż bywali często z adwokatów wyborni sędziowie, ale rzadko sędzia był dobrym obrońcą.

Do rozpraw ustnych i podań piśmiennych nowa ustawa wyłącznie użycie języka rosyjskiego nakazuje; dowody, w innym języku pisane, muszą mieć dołączony przekład. Wyjątek pozostawiono dla osób, niewładających językiem rosyjskim, i tylko w sądach gminnych, co jest dosłownem powtórzeniem uchwały komitetu do spraw Królestwa Polskiego z dnia 2 lipca roku 1876, na mocy której i podług ciągłej praktyki senatu, ustalonej od r. 1882 [1]), dowody w języku ludności miejscowej, pokładane na sądach gminnych, przekładu na język rosyjski nie potrzebują,—skąd wnosić wypada, że nadal z tego samego zwolnienia korzystać będą.

Tak tedy dzisiejsza pozycya sądu gminnego wobec instancyi kierowniczej i zwierzchniej, wobec sądu zjazdowego, pozostaje, jak była, a prezes rzeczonego sądu, zwany odtąd sędzią powiatowym trybunalskim, zachowuje wpływ na nie poprzedni, z tem samem prawem

[1]) „Zbiór orzeczeń kas. cyw.“, № 154 z r. 1882.

kontroli i rewizyi,—a zmianę widzimy tylko w trybie postępowania, o ile dotyczy ona wszystkich sądów.

Przechodzę do następnego punktu, do organizacyi sądu gminnego.

Zasadę wybieralności sędziów zachowano niemal bez zmiany, zapewniwszy tylko większy wpływ władzom sądowym na terminy wyborów i zatwierdzenie kandydatów; samemi wyborami atoli kierować będzie administracya, do niej należy układanie listy kandydatów i rozstrzyganie zażaleń na nielegalność wyborów. — Zatwierdzanie ławników pozostawiono gubernatorom, acz zdawało-by się właściwszą przekazać funkcyę tę prezesom trybunałów, naczelnemu prezesowi izby sądowej, jeżeli nie ministrowi sprawiedliwości, ponieważ ławnicy urzędować będą w instytucyi sądowej i równy sędziemu głos posiadać. Uwolnienie i usunięcie od urzędu ławników przekazano jednakże ministrowi sprawiedliwości. Okres służbowy podwojono do lat sześciu, co wpłynęło na większą niezależność sędziów i ławników od wyborców. Kwalifikacye kandydatów również uległy podwyższeniu, acz w zakresie zbyt szczupłym.—Dotąd sędzia potrzebuje mieć takie same kwalifikacye, jak wójt, a ławnik—jak sołtys; wystarcza przeto skończyć szkółkę elementarną wiejską, albo złożyć egzamin w zakresie wiedzy, w niej udzielanej, to jest umieć czytać i pisać, mieć tytuł własności rzeczywistej, czy urojonej, 6 morgów ziemi, aby zostać sędzią; umieć zaś podpisać się, bo ławnik musi być piśmienny, i mieć 3 morgi ziemi, aby zostać ławnikiem. Kandydat wybrany i zatwierdzony odsłużyć musiał obowiązkowo kadencyę 3-letnią, o ile nie miał słusznego powodu wymówienia się.

Projekt komisyi ruguje przymus służbowy, wymaga od sędziego wykształcenia co najmniej progimnazyalnego (w zakresie szkoły powiatowej), lub złożenia odpowiedniego egzaminu szkolnego, i co najmniej sześciomorgowej z a b u d o w a n e j własności, a od ławnika umiejętności czytania i pisania po rosyjsku i takiej samej właśności rolnej.

Cenzus umysłowy sędziowski (szkoła powiatowa), nie jest wymagalny od osób, które nie mniej jak przez 3 lata pełniły urząd, mogący dać praktyczne wiadomości prawno-sądowe. Zapewne przez urząd taki rozumieć trzeba krzesło ławnika sądowego, albo pisarza. Otóż zwolnienie z rygoru ławnika nie jest pomysłem praktycznym. Zwykle włościanin-ławnik obojętnie zachowuje się w sądzie, o ile przewód dany nie interesuje go osobiście z jakiejkolwiek przyczyny, po posiedzeniu nie zawsze pamięta, co i jak osądzono, a po kilku i kilkunastu latach urzędowania jeszcze sprawę cywilną od karnej roz-

różnia po kolorze okładek, o ile pisarz koloru niezmienia, naprzykład z różowego na zielony, co już do szczętu plącze głowę ławnikowi.— Należało-by raczej wymagać od sędziów przynajmniej średniego wykształcenia (gimnazyalnego), albo przynajmniej progimnazyalnego przy złożeniu odpowiedniego egzaminu zawodowego przed izbą sądową, albo sądem okręgowym,—lecz nie przed oddziałem powiatowym sądu okręgowego, to jest nie przed zjazdem dzisiejszym. Wreszcie, jak wykazałem poprzednio, poziom umysłowy naszych sędziów z wyborów jest na ogół dość wysoki, skoro $^1/_7$ z nich ma dyplomy uniwersyteckie, a o wiele wyższy niż sędziów z urzędu we wschodnich guberniach,— pomimo, że dyplom nie daje pierwszeństwa do krzesła sędziowskiego.— Wniosek stąd prosty, że w zasadzie nie powinno być obawy o brak kandydatów o wyższej skali umysłowej, byle się na nich zapotrzebowanie otwarło.

Sędzia podczas urzędowania używa przywilejów służby rządowej i rangi urzędniczej klasy VIII, bez prawa do emerytury, a więc równy będzie podsekretarzowi izby sądowej, sekretarzowi oddziału powiatowego i komornikowi sądowemu.— Ławnicy za urzędników uważani nie będą.

Myśl wywyższenia urzędu sędziowskiego jest ze wszech miar trafna, lecz przeprowadzona połowicznie. Sędzia gminny ma być równocześnie sędzią apelacyjnym w oddziale powiatowym, uczestniczyć w ostatecznem wyrokowaniu do rubli 1,000, bez względu na jakość prawną sprawy, — a bez odwołania się, bez kasacyi, w sprawach do rubli 100, wspólnie z sędzią powiatowym (prezesem) i sędzią obwodowym; logicznie zatem, dla zasady kolegialności, winien być co do rangi i pozycyi urzędniczej albo zrównany z resztą kompletu, jako rzeczywisty kolega, albo wcale rangi urzędniczej nie mieć i w tym punkcie z sędziami koronnymi nie współzawodniczyć, gdyż inaczej, jako niższemu, grozi mu rola dekoracyi sali sądowej,—rola ławnika w sądzie gminnym. Sędzia powiatowy ma zapewnioną rangę klasy V, sędzia obwodowy klasy VI, a sędzia gminny klasy VIII, czyli rangę nie sędziowską, jeno sekretarską. Już dzisiaj upośledzenie sędziów gminnych w kompletach zjazdowych niekorzystnie wpływa na wyroki drugiej instancyi (37% mylnych wyroków zjazdowych w Cesarstwie, a 47% w Królestwie); jeżeli komisya pragnęła złemu zaradzić, lepiej było zdobyć się nie na półśrodek, lecz na rdzenną naprawę.

Najwłaściwiej przecież będzie zerwać z instancyą sądów o komplecie doraźnym i wciąż zmiennym, stanowiąc stały sąd apelacyjny i nie odrywając sędziów pierwszej instancyi od zajęć im właściwych. Wszystkim niedogodnościom zasadniczo zaradziło-by przekazanie ape-

lacyjnej obecnym sądom okręgowym, w celu zaś ułatwienia ludności dostępu do nich, zamiast sądów zjazdowych (22 w Królestwie), otworzyć nowe sądy okręgowe.—Tak było, mniej więcej, do r. 1876 u nas, tak jest i dziś w wielu krajach Europy: krótko, zrozumiale, praktycznie.

Pojmowała widocznie komisya kodyfikacyjna, że nadanie sędziom gminnym z wyborów munduru i rangi upośledzi ławników, sprowadzając powagę ich do poziomu świadków uroczystości, i dlatego zaznaczyła, że ławnicy i pisarze, na równi z sędziami, być mogą dekorowani oznakami zaszczytnemi: medalami, ubiorami (kaftany) i w inny sposób, odpowiednio do p o c h o d z e n i a i praw osobistych.

Otóż, wobec równości wszystkich w obliczu prawa nie na miejscu jest podkreślać różnice stanowe w przybytku prawa.—Trzeba sobie powiedzieć, że ławnik jest sędzią, więc jako sędzia traktowany być ma; albo jest wybrańcem ogółu na równi z sędzią i rangi urzędnika nie potrzebuje, albo jest urzędnikiem, jak i sędzia.

Zwrócono też większą uwagę na większą niezależność sędziów. Dotąd ulegają oni władzy dyskrecyonalnej ministra sprawiedliwości, a początkowo władzę taką nad ławnikami przyznawano gubernatorom, i mogą być usuwani z urzędu dla powodów szczególnej wagi odręcznym rozkazem ministra.—Obecnie środek ten dopuszczalny będzie dopiero po zażądaniu od nich tłómaczenia, więc zagwarantowano im przynajmniej prawo obrony od zarzutów i zabezpieczono od przykrych niespodzianek.

Ważniejszem jest o wiele obostrzenie warunku co do majątku. Ustawa żądać będzie nadal własności zabudowanej od kandydatów na sędziów, co radykalnie uwolni krzesło sędziowskie od zabiegów najmniej powołanych posiadaczy urojonych sześciu morgów z fikcyjnego aktu nabycia, rozbitków moralnych i materyalnych, czepiających się posady sędziego dla pensyi, jak ostatniej deski ocalenia, wyszukujących protekcyi do władz odnośnych, starą modą kaptujących wyborców.—Sędzia gminny przynosić ma do sądu nie wiedzę teoretyczną, lecz doświadczenie życiowe, znajomość stosunków i ludzi, przedewszystkiem czyste imię i czyste ręce, powagę obywatela, odznaczonego ogólnem zaufaniem za prawość i za charakter, a właśnie dwa ostatnie warunki stanowią o wartości sędziego.

Cel wyborów na tem polega, aby zużytkować na dobro publiczne najwybitniejsze i powagą największą cieszące się siły miejscowe, wpływ ich moralny ku ustaleniu pokoju i panowania prawa skierować. Tu leży sekret, czemu sądy gminne tyle sporów godzą, czemu

procent załatwionych waśni, zwykły sądom gminnym, jest niedościgłem marzeniem dla innych instytucyi sądowych, cały zaś system sądów pokoju za główne zadanie ma, według zamiarów prawodawcy, godzenie stron bez wyrokowania. Ten też nieporównany atut zapewnił sądom gminnym istnienie nadal i zdobył nawet niejakie wywyższenie urzędowe.

Życie codzienne dowodzi, że do osądzenia sporu cywilnego potrzebniejsza jest dobra wola i sumienie nad wiedzę teoretyczną, że do rozstrzygania zwykłych zawikłań np. włościańsko-rolnych wystarczy zdrowy rozum ludzki i 10-ro przykazania; kto zaś istotnym znawcą prawa pisanego nie jest, niech tylko sumieniem się rządzi, a kodeksu napewno nie obrazi.

Inaczej jest z prawem karnem: tu trzymać się należy litery przepisu. A jednak widzieliśmy, że sądy gminne najbardziej w tej materyi zbliżają się do najwyższej magistratury tutejszej, do izby sądowej, pod względem ostrożności w potępianiu i oględnego szafowania karami.

Wyrozumiałość i pobłażliwość na ludzkie błędy zdobi każdego, lecz właściwą jest tylko mądrości życiowej.—I tu znowu okazuje się wartość pracowników z łona społeczeństwa, nawet przy stosowaniu specyalnych ustaw.

Więc wdzięczni i bardzo będziemy komisyi prawodawczej za dążność do obsadzenia urzędów sędziowskich gminnych rzetelnym materyałem ziemiańskim, a zdanie to podziela i rzesza włościańska, która chce mieć tylko sędziów osiadłych na roli i prawdziwych dziedziców.

Wyraźniej jeszcze tę samą dążność podniesienia poziomu umysłowego sędziów zaznaczyła komisya, stanowiąc, że sędziów z urzędu może mianować minister mocą własną z pomiędzy starszych kandydatów do posad sądowych, ludzi dyplomowanych i egzaminowanych, a w każdym razie z osób o wykształceniu wyższem lub średniem. Tym sposobem szkółka parafialna i najpospolitsza edukacya t. z. domowa, czyli żadna, już nie wystarczy do sędziowstwa z urzędu nawet dla tych, którzy obecnie są sędziami.

Szczegół ten nabiera wagi na przyszłość. Obszary dworskie topnieją pod działaniem paru lat niepomyślnych z rzędu. Skutkiem wysokich cen, osiągniętych w drodze parcelacyi, tłumnie wyprzedaje się z ziemi klasa dawna rycerska, na rzecz kolonistów cząstkowych, przy pomocy banku włościańskiego, albo też na rzecz eks-szynkarzy, eks-komorników, eks-włodarzy i rządzców, eks-lichwiarzy Dwory albo nikną, albo przechodzą do rąk pospolitych rycerzy prze-

mysłu, że w końcu i na sędziego wybrać nie będzie już kogo,—więc sędzia z urzędu stanie się regułą.

Dla całości notuję, że sędzia z urzędu zachowuje wszelkie dawniejsze przywileje służbowe, jakie przed mianowaniem ostatniem posiadać mógł, wraz z prawem do emerytury.

Zauważyliśmy zatem szereg drobnych i poważnych ulepszeń w organizacyi sądu gminnego, oznaczających ogółem pewien postęp.

Teraz notuję usterkę, prawdopodobnie mimowolną, skutkiem niedopatrzenia się.

Porządek wyborczy i cenzus do urzędowania wzorowano w r. 1876 na urządzeniach gminnych z r. 1864. Zebranie gminne wybiera po dwóch kandydatów na wójta, na sędziego i na ławnika. Gubernator zatwierdza po jednym z wybrańców na wójta i ławnika, pozostali zaś uważani będą za kandydatów, zastępujących pierwszych w razie potrzeby. W ten sposób wójta zastępuje nie sołtys, np. najstarszy wiekiem, lub do tego wyznaczony, lecz kandydat, wybrany już przez gminę, co jest całkiem zrozumiałe, ile że innych kwalifikacyi żąda ukaz z r. 1864 od wójta, innych od sołtysa. Sędziego zatwierdza minister sprawiedliwości z pomiędzy wszystkich kandydatów, od gmin wybranych, lub mianuje kogoś trzeciego, według swego uznania, pozostali zaś wybrańcy usuwają się z widowni. Sędziego zastępuje w urzędzie jeden z ławników, wyznaczony przez sąd zjazdowy i zwany starszym, albo prezydującym. Wytwarza się stan taki, że urząd sędziowski pełni osoba niemająca kwalifikacyi sędziowskich, właściwie pełni go pisarz sądowy, że najcelniejsze siły w okręgu sądowym, odpowiedne na urząd sędziego, pozostają w domowych pieleszach, i nawet zastępcami ławników nie będą. Gubernator zatwierdza ławników w ciągu paru tygodni, minister zaś sędziego w ciągu paru miesięcy; nim więc przyjdzie zatwierdzenie sędziego, już miejsca ławników są obsadzone i niedoszli sędziowie ławnikami zostać nie mogą. Zaradzić tej doniosłej szkodzie możnaby przez wyznaczanie wyborów sędziowskich znacznie wcześniej, aby reszta kandydatów mogła być wybieraną na ławników, albo przez zatwierdzanie w ministeryum równocześnie sędziego i kandydata, który z urzędu będzie czasu zwykłego ławnikiem, a w razie potrzeby zastąpi sędziego, albo wreszcie przez zatwierdzanie całego kompletu, sędziego i ławników, równocześnie w ministeryum. Wszak łatwo pozyskać deklaracyę kandydatów sędziowskich na objęcie urzędu ławniczego, jeżeli tak zadecyduje minister, bo kto zdatny na sędziego, tem ci zdatniejszy na ławnika.

W sądzie zachodzi nieodzowna potrzeba choć jednego ławnika z lepszemi kwalifikacyami. Znaną jest rzeczą, jakiej powagi zażywają sądy obywatelskie, a bywały wypadki, że procesujący się włościanie

żądali osądzenia sporu trybem polubownym w komplecie trzech ziemian, sędziego i ławników.

Zarzucano nieraz ziemiaństwu, że unika urzędów ławniczych, na których można być wielce pożytecznym krajowi i bliźniemu, a służba to równie dobra, jak ongi na kresach, i „błogosławieni pokój czyniący". Może stoi tu na przeszkodzie nasza nieumiejętność pracowania współrzędnie, dla której dwaj sąsiedzi, sędzia i ławnik, dochodzą do kolizyi, urzędując razem, lecz w różnych pozycyach, a może też odstręcza nizkie uposażenie, wynoszące średnio po rb. 3 za posiedzenie; może, ale to rzeczy nie zmienia i abstynencyę ziemiańską od funkcyi ławniczych na debet rachunku wpisać wypadnie. Wydaje mi się, że stosunki jeszcze się pogorszą, gdy sędzia otrzyma większą pensyę (r. 900, a po 5 latach 1200, zam. 700 i 1000), przywileje służbowe i mundur, ławnicy zaś pozostaną o dawnym wynagrodzeniu bez przywilejów, mundurów. Zdawałoby się słuszną zrobić wyjątek przynajmniej dla starszego ławnika i podnieść jego pensyę jako wicesędziego. Wtedy zapewne znaleźliby się na ten urząd kandydaci wśród ziemian. Sądy gminne kosztują tak niewiele, a wzorowo załatwiają ogrom pracy, że można-by bezpiecznie wyznaczyć po jakieś 150 rb. rocznie dodatku dla 377 wicesędziów, aby uposażenie ich wynosiło po rb. 300, skoro zwykłemu woźnemu nowella przeznacza 400 rb. rocznie.

Pozostaje mi, mówiąc o organizacyi, jeszcze do zaznaczenia uwag parę o pisarzu.

Komisya nie troszczyła się wielce o tego pracownika, usunęła tylko przepis, pozwalający sądowi przekazać funkcye jego sędziemu, lub ławnikowi, rzecz prawie nie wykonalną, podniosła mu pensyę o rb. 100, z 500 na 600, zostawiając resztę po dawnemu. Jest to błąd stanowczy i oszczędność niefortunna, bo najdrożej kosztują źle płatne siły. Duszą sądu, nieraz i wobec zawodowego sędzi z urzędu, jest i będzie pisarz już z tej racyi, że najwięcej pracuje w sądzie, za siebie i za innych, że ulega bezpośrednio władzy dyskrecyonalnej prezesa zjazdu, który na przyszłość tylko nazwę zmieni na sędziego powiatowego, że odpowiada za siebie i za sędziów, bo najłatwiej obciążać odpowiedzialnością ludzi zależnych, więc bezbronnych, — a że odpowiedzialność warunkuje wpływ, przeto pisarz tem większej nabywa powagi w tym sądzie, im surowszemu ulega dozorowi ze strony prezesa. Wygląda to paradoksalnie, ale jest prawdziwe, że im krócej prezes trzyma pisarza, tem łatwiej jego zdaniu ulegają ławnicy i sędzia. Wiadomo nadto że zawsze pracownik z zawodu kierować będzie pracownikiem improwizowanym, który rzadko kiedy zdaje sobie sprawę z obszaru swych zadań i kompetencyi, ani trafnego werdyktu literą ustawy usprawiedliwić nie zdoła. Wszakże i sędziami pokoju nieraz powodują kanceliści. Płynie stąd wniosek, że trzeba

się starać o dobrych pisarzy, zdolnych i na zaufanie zasługujących, stosunek do nich oprzeć na dobrej wierze, pewniejszej podstawie nad wszelkie kontrole.

O wartości sądów gminnych wiedziała komisya prawodawcza ze sprawozdań urzędowych, ze spraw, przychodzących przed senat, z osobistej wizytacyi ich przez ministra Sprawiedliwości, ale nie dojrzała roli pisarza i poprzestała na drobnej podwyżce pensyi, gdy w podwyżkach reszty urzędów hojniejszą była. Tymczasem pisarstwo sądowe domaga się gwałtem reformy w duchu sprawiedliwości i ludzkości, aby wynagrodzenie odpowiadało pracy, tak w pensyi, jak w pozycyi hierarchicznej. Przedsiębrano już praktyczne próby reformy przez paru śmiałych prezesów, w granicy ich władzy, a głównie przez wdzięcznej pamięci zm. Riznicza, prezesa sądu zjazdowego ziemskiego w Warszawie.

Do r. 1892 ustawa dozwalała ministrowi sprawiedliwości mianować kandydatów do posad sądowych (aplikantów) przy sędziach pokoju na przedstawienie prezesa zjazdu, poczem prezes, w porozumieniu z sędzią pokoju, mógł delegować tak mianowanego aplikanta do sądu gminnego, aby w nim spełniał funkcye pisarskie, przez co aplikant nie tracił czasu, wymagalnego do dalszej karyery, pobierał pensyę pisarską (rubli 500) i pożytecznie pracował. Było to o wiele korzystniejsze nad honorowe wyczekiwanie posady sądowej gdzieś daleko w randze wieloletniego kandydata, wierutne marnowanie czasu i pieniędzy. Kandydatom takim, swoją drogą szczerze pracującym po kancelaryach sądowych, p. minister wyznaczał gratyfikacye z sum specyalnych, na przedstawienie prezesów. Nie musiał być fundusz ten zbyt obfity, jeżeli z dwudziestu aplikantów przy izbie sądowej trzem, szczególnie poleconym, za roczną pracę wyznaczono po rubli trzydzieści, — kiedy jeden pokój w Warszawie już 120 rubli kosztował rocznie. Władza dyskrecyonalna prezesa sądu zjazdowego nad pisarzem - aplikantem stawała się nieco illuzoryczną, bo ją przez sędziego pokoju wykonywać wypadło, i dozór prezesa zastąpiony być musiał poczuciem honoru i obowiązku aplikanta.

Ś. p. prezes Riznicz nabierał coraz większego uznania dla takich pisarzy, przestrzegał tego samego stosunku z nimi, do jakiego przywykli w sądzie okręgowym, lub izbie, gdzie dygnitarze sądowi patrzą na nich, jak na kolegów z dyplomu, a w przyszłości kolegów z urzędu,—gdy w większości zjazdów stosunek prezesa i pisarza przypominał raczej kaprala i rekruta. Umieszczając dyplomowanych pisarzy, prezes Riznicz wyjednywał dla nich pewne ustępstwa materyalne u sędziów, bo pisarz wiele pracy podejmuje za sędziego, — w miarę wakansów na sędziów z urzędu promował, u siebie w kancelaryi

zjazdu wszystkie rozporządzalne posady młodzieżą prawniczą obsadzał i, jak sam twierdził, nie zawiódł się ani razu; wygłaszał zdanie, że taką właśnie reformę pisarską co rychlej w całem Królestwie przeprowadzić należy, pomimo notorycznych nonsensów, jakie aplikant popełnia w pierwszym, czasem i w drugim miesiącu urzędowania, — ale nigdy w trzecim i następnych.

Oczywiście, pisarz podobny nie jest doskonałością, lecz zaleca go dobra wola, zapał do pracy, a już stanowczo czyste intencye i prawa ambicya. Próby tej samej treści miały miejsce i w paru innych okręgach Królestwa, w niektórych zawodziły: pisarze i prezesi nie rozumieli się wzajemnie, może i z tego powodu, że nie zawsze świeże wino lac można w starą beczkę.

Z rokiem 1892-gim nastąpiła reforma aplikatury sądowej. Kandydatów, w myśl ustawy pierwotnej, umieszczano wyłącznie przy sądach ogólnych, podzielono na młodszych i starszych, przyznano im, jako urzędnikom, rangi podsekretarza sądu zjazdowego i okręgowego... Po osiemnastu miesiącach, najdalej po dwóch latach praktyki, młodszy aplikant składa egzamin i zostaje starszym aplikantem, albo się usuwa... Dla starszych kandydatów utworzono 180 etatów (prócz Kaukazu) po rubli 600 rocznie i asygnowano rubli 30,000 do roku na zasiłki (do rubli 400) dla zasłużeńszych, o ile nie dostali się na etat. Po osiemnastu miesiącach starszy aplikant może już być przedstawiony ministrowi sprawiedliwości na wyższą posadę sądową, co, o ile nie nastąpi w ciągu trzech lat, powoduje odebranie etatu aplikantowi, jako niezasługującemu na pomoc skarbową... Prezes naczelny izby sądowej ma prawo delegować aplikantów do sądów zjazdowych, gdzie ulegają właściwemu prezesowi. Wakujące urzędy śledcze i podprokuratorskie mogą być powierzane starszym aplikantom, którzy wtedy pobierają pensyę, przywiązaną do pełnionego urzędu.

Od tej reformy datuje się również powierzanie wakujących krzeseł sędziów gminnych starszym aplikantom, — co stwierdza niemożliwość oddania, szczególniej na czas dłuższy, funkcyi sędziowskich starszemu ławnikowi, zazwyczaj słabo piśmiennemu włościaninowi. Za to równocześnie ustało obejmowanie posad pisarskich przez dyplomowanych prawników, i dla tego w roku 1900 na 377 pisarzy w Królestwie mieliśmy dwóch prawników, obywateli ziemskich, z których jeden był zarazem sędzią, a drugi ławnikiem.

Odtąd aplikant - pisarz musiał-by skwitować z karyery dalszej, możliwej jedynie w drodze awansu na starszego aplikanta przy sądzie okręgowym, czy przy izbie sądowej, aplikant zaś starszy, zazwyczaj etatowy, otrzymuje 600 rubli stałej pensyi, a w braku etatu, zasiłek 400-rublowy, i oczekuje przedstawienia ministrowi sprawiedliwości

na wyższe stanowisko, począwszy od sekretarza (rubli 1,200). Mieszka w większem mieście, pracą przeładowany nie jest, stosunki służbowe i koleżeńskie ma z zasady całkiem przyzwoite,—na posadzie zaś pisarza w małem miasteczku, albo na wsi, pozbawiony towarzystwa i rozrywek, literalnie pochłonięty pracą, ma za rubli 500 zrzekać się oczekiwanej buławy marszałka.

Nowela organizacyjna uznaje aplikantów tylko przy sądach okręgowych, pozwalając przecież delegować ich do oddziałów powiatowych i sędziów obwodowych, do biur prokuratorów i podprokuratorów, do kancelaryi sądów, senatu i ministeryum sprawiedliwości, pomijając, powiedzmy nawiasem, wydziały hypoteczne Królestwa; poddaje ich władzy dyscyplinarnej prezesów trybunałów (s. okręg.) w porozumieniu z prokuratorami, starszych od kary aresztu dyscyplinarnego (do dni 7) uwalnia, stanowi etaty po rubli 300 dla młodszych aplikantów, — jednem słowem, bierze w skuteczną opiekę młodzież prawniczą. Podkreślam szczęśliwe ulepszenie, polegające na ograniczeniu władzy dyskrecyonalnej prezesów, którzy dotąd mogą urzędnika kancelaryi, aż do sekretarza, karać według uznania, nawet aresztem.

Teraz tem bardziej ani myśleć, by aplikant chciał przyjąć niepozorne, pracowite i odpowiedzialne stanowisko pisarza sądu gminnego, na którem wola prezesa zjazdu (sędzi powiatowego) może go skazać na tydzień aresztu. Brak wszechstronnych informacyi spowodował, że komisya prawodawcza uposażyła pisarza na równi z woźnym izby sądowej, tłómaczem przy sędzi obwodowym i kancelistą trybunału, a o całe rubli 200 gorzej, niż woźnego przy senacie, albo podsekretarza oddziału powiatowego. To jest pensya dla kancelisty, dla aplikanta, aby miał o czem oczekiwać na awans podprokuratorski, ale nie dla urzędnika z wyższem wykształceniem, zajmującego ważniejsze i trudniejsze stanowisko, niż sekretarz izby sądowej.

A tak niewiele potrzeba i droga wskazana od czasów Riznicza. Dosyć było włączyć posadę pisarza do ogólnej skali hierarchii sądowej, wyznaczyć mu pensyę bodaj podsekretarza oddziału powiatowego trybunału (rubli 800), zapewnić przywileje służbowe choćby starszego aplikanta, mianowanie powierzyć prezesom trybunałów, jeżeli już nie naczelnemu prezesowi izby sądowej, pozostawić możność awansu dalszego, a w skromnych sądach gminnych ujrzelibyśmy wzorowe sądy okręgowe, jak o jednym z nich po wizytacyi wyraził się dygnitarz ministeryalny. Dla pisarzy, przekładających utrzymanie łączności ze społeczeństwem, pozostanie awans na krzesło sędziego (rubli 1,200), a takich krzeseł, jak wspominałem, będzie z roku na rok więcej, — na regenta, na pisarza hypotecznego,—wreszcie pozo-

staje wolny zawód adwokata przysięgłego na prowincyi. Kto chce pracować z myślą, że tyle warto jest życie, ile się czegoś pożytecznego dokona, a złudnych mar nie goni, temu na miejscu pola i zasobów starczy.—Tak wiele mamy u siebie do zrobienia, a po kątach prowincyonalnych tak mało ludzi energii i czynu, że skargi na nadmiar inteligencyi, zwłaszcza prawniczej, dowodzą chyba zaślepienia. Lud nasz wiejski i miejski, ba, nawet inteligencya, bałamucony jest i wysysany przez pokątnych doradców, ze świecą w ręce szukaj po partykularzach zdolnego i budzącego zaufanie prawnika, nasze instytucye społeczne, na jakie nas stać,—straże ogniowe i towarzystwa wkładowo zaliczkowe,– kuleją niezdarnie: tymczasem młodzież nie ma z czego żyć po wielkich miastach. A funkcye pisarza, potem sędziego—to wyborna szkoła dla obrońcy w powiatowem mieście, gdzie nie zbraknie mu chleba, byle na charakterze i sumieniu nie zbywało.

I. Białokur.

AUTOR.[1]

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

VI.

Mały blask lampy przysłonionej zielonym kloszem padał na środek długiego i wązkiego jak korytarz pokoju, po którego bokach pod ścianami stały dwa proste drewniane stoły i dwa żelazne łóżka ze zwyczajnemi dębowemi stołkami, zamiast szafek nocnych, przy każdem.

Na jednem z nich, bliżej drzwi, chrapał, leżąc na wznak, szesnastoletni może wyrostek z wygoloną, jak u seminarzysty, twarzą, o chudych kościstych policzkach i ogorzałej cerze wieśniaka.

Był to Ryś Faber, kolega Kazimierza.

Razem od miesiąca stali na stancyi u nauczyciela Niemca, który za dopłatą kilku rubli na miesiąc pozwolił im korzystać z oddzielnego pokoju.

Rodzina właściciela stancyi, starego Wernera, składała się z dwóch ładnych i młodych córek, dwóch synów i z wysokiej, chudej, wiecznie zgarbionej profesorowej, która co rano własną ręką dolewała dwie kwarty wody do garnca mleka, przeznaczonego na śniadanie dla chłopców, co wieczór zaś odważała skrupulatnie kromki chleba i kawałki sera, stanowiące tak zwaną szumnie „kolacyę“ pensyonarzy.

Porcya co pewien czas ulegała zmiejszeniu. Obiady, wydawane pod czujnem okiem starej Niemki, nie zdołały-by nasycić nawet wróbla

---

[1]) Patrz zeszyt styczniowy, str. 46.

Chłopcy wstawali głodni od stołu. Na odszkodowanie wyprawiano im tańce co niedziela wieczorem.

Młodsza córka państwa profesorowstwa, osiemnastoletnia niebieskooka i jasnowłosa Ida, sprowadzała kilka dawnych swych koleżanek z pensyi i sama, z najstarszym pensyonarzem, rozpoczynała pląsy.

Mama grała, papa pogwizdywał, starszy syn, telegrafista, akompaniował na skrzypcach, młodszy, aptekarz, dyrygował tańcami.

Zabawa szła znakomicie. Gdyby nie stentorowy głos profesora, wołający wraz z uderzeniem godziny 10½ „Meine Herren, basta!“ —tańczono-by do rana, o serdelku, dwóch bułkach i sześciogroszowem drożdżowem ciastku, przeznaczonem dla każdego z uczestników świątecznej uroczystości. Czasami do dwóch bułek dodawano jeszcze trzecią; obok serdelka kładziono po parę kawałków kiszki pasztetowej; prócz ciastka, przed każdem nakryciem leżał dwugroszowy polewany sucharek. Było to wtedy, kiedy na godzinkę zjawiała się starsza córka Wernera, Agnes, mezzo-sopranowa artystka opery, śpiewająca role paziów przeważnie. Kochali się w niej na zabój starsi i młodsi uczniowie, a ona wzamian za to z własnej pensyi powiększała im porcye kolacyi, gderając na matkę za skąpstwo jej i morzenie chłopców głodem.

Agnes była oczkiem w głowie ojca. „Stary“ pasyami lubił mówić o niej.

Najgorszy uczeń dostawał czwórkę w dzienniku, jeżeli przed lekcyą udało mu się wspomnieć:

— Słyszałem wczoraj córkę pana profesora: śpiewała, jak anioł; jeszcze nigdy tak jej nie przyjmowano...

— No, no, nie w klasie o tem... teatr dla starszych—odpowiadał, ale w chwilę później wyrywał melomana i, czy umiał lub nie lekcye, powtarzał:

— Dobrze, dobrze... czemu nie przygotowujesz się tak zawsze?

W domu codzień wieczorem, gdy młodsza hałastra już spała, zgromadzał dokoła siebie kilku starszych i rozprawiał z nimi o zwycięstwach córki.

— Wczoraj dostała trzy kosze kwiatów. Marroni, sopranistka, o mało nie wpadła w żółtaczkę z zazdrości—opowiadał półgłosem.

— Bagatela!.. Panna Agnes, to druga Patti! Jabym sam posyłał jej codzień kwiaty, gdybym tylko miał pieniądze i gdyby pan profesor za to nie stawiał sztyców! — odzywał się największy frant, Jurek Starzyński, z ósmej klasy.

— No, raz kiedy w galówkę możesz jej rzucić różyczkę: to nie zbrodnia—odpierał Niemiec, chrząkając.

— A pan profesor daje słowo, że nic nam za to nie będzie?

— Widzisz, aby tylko ostrożnie, to wszystko można... Uważacie, ja sam, jak byłem w waszym wieku, kochałem się w śpiewaczce...

— A swojej córki to nam pan profesor nawet dobrze zblizka obejrzeć nie pozwoli... Panie profesorze, a kiedy znowu będzie premiera?

— Nie wiem. Te osły, Włochy, ciągle wchodzą w paradę... Zapowiedziano już od miesiąca „Wesołe kumoszki z Windsoru"; tam doskonała rola dla niej: śpiewała ją w La Scala i w Wiedniu, ale znowu zmieniono repertuar, bo przyjechała koloratura z Rzymu, której zachciało się „Cyrulika"...

— Panie profesorze, ale jak będzie premiera, pójdziemy?

— No tak, rozumie się...

— I będziemy bili brawo?

— No dobrze, dobrze, ale nie mówić o tem... Przed młodszymi cicho, sza! I w szkole też nic!..

— Panie profesorze, przecież my nie dzieci...

— No, ja też to wiem i dla tego obdarzam was zaufaniem...

Ściskał się z nimi za ręce na dobranoc i odchodził.

— Zdrów numer, co? Żeby go tak dyreks podsłuchał, miał-by się z „pyszna, nie prawdaż?—wołał ktoś z kąta.

— Tylko mi który gębę otworzy przed tą hołotą z piątej lub szóstej klasy, to ani się nie obejrzy, jak spuchnie!—ostrzegał któryś z przezornych ósmaków.

— Ty sam chyba chcesz spuchnąć, kiedy ci do łba lezą takie przypuszczenia!—krzyczał, ciskając w niego poduszkę, zawadyaka Starzyński.

Rozpoczynała się bójka na kołdry, jaśki, materace i słowa.

Czasami suche, kościste palce pani profesorowej stukały do drzwi, a chrapliwy głos wołał:

— Cicho panowie!

Niekiedy wsuwała się pomarszczona twarz w wielkim czepcu; ze zwiędłych ust padał grad złorzeczeń.

Zwykle w takich razach któryś z dowcipnisiów podawał jej lustro i zapaloną świecę, prosząc uprzejmie, by raczyła poprawić przekrzywiony czepeczek na głowie. Najczęściej jednak wieczorne utarczki kończyły się zgaszeniem światła, przez któregoś z rozważniejszych wyrostków. Bójka ustawała sama przez się, głosy przycichały. Sztubacy zasypiali. Temu i owemu przyśniła się premiera z panną Agnieszką w roli pazia. Ilekroć występowała po raz pierwszy w jakiej operze, Werner stawiał kilku starszym uczniom paradyz i sam szedł

z nimi, by urządzać klakę. Przez wdzięczność za to Agnes od czasu do czasu przysyłała na ręce ojca po kilka biletów na dramaty i komedye już ograne, w których jednakże występowały siły pierwszorzędne.

Kazimierz po raz pierwszy w życiu zaczął teraz bywać w teatrze. U wujowstwa słowa tego niewolno było nawet wymówić.

Tu, zwłaszcza w pogawędkach wieczornych ze „starym“, panowała ta atmosfera teatralna, która odurzała chłopców. Kazimierz upajał się nią. Dziś właśnie wrócił z przedstawienia, na które zaprosiła ich panna Agnes. Grała Modrzejewska. Słyszał ją po raz pierwszy. Ryś był z nim razem i... teraz spał spokojnie. Jak on mógł spać? Widzieć Modrzejewską i zasnąć później, jak gdyby nic ważnego i ciekawego nie zaszło! Kazimierz leżał na łóżku z otwartemi oczyma. Nie chciało mu się gasić lampy, sądził bowiem, iż wraz z blaskiem jej pierzchnie mu z pod powiek szereg widziadeł.

Modrzejewska w roli lady Macbeth! Głęboki, nizki ukłon, z jakim witała u siebie Dunkana, głuche podszepty, myśl zabójstwa, rzucona mężowi, duma królowej, zimna krew i rozwaga w czasie uczty koronacyjnej, a potem — scena somnambulizmu: oczy pełne trwogi, wdal utkwione, głos matowy, pusty, jakby z podziemia płynący, senny ruch dłoni i ten jęk:

— Czyliż te ręce nigdy obmyć się nie dadzą?— Jeszcze jedna plama!—Tyle krwi w tym starcu!—Piekło ciemne. Ciągle ten zapach, zapach krwi!—Wszystkie wonie Arabii nie odejmą go z tej małej ręki... Oh, oh, oh!

Usiadł na łóżku, ukrył twarz w dłoniach i zaczął przypominać sobie każdą scenę dramatu.

Tyle prawdy, tyle grozy!

Czytał już kilkakrotnie Szekspira, nigdy wszakże geniusz jego nie zelektryzował go tak, jak dzisiaj. Przypominał sobie wszystkie akty kolejno, przeżywał po raz drugi doznane wrażenia. W tem przyszło mu do głowy, coby było, gdyby tak on, on sam spróbował pisać dramaty? Prąd ciepły przebiegł go wzdłuż ramion i piersi. Uczuł naraz jasność w oczach; zrobiło mu się lekko, wesoło na duszy, jak gdyby padło nań objawienie. Zgasił lampę. Nie potrzebował już światła — biło z marzeń jego...

Wyciągnąwszy się napowrót na łóżku, myślał.

— Napiszę dramat. Tak. Bohaterkę odtworzy Modrzejewska: to zbliży mię do niej... Odrazu stanę się sławnym!—Nazwisko moje obiegnie świat cały!—W Anglii, w Ameryce Modrzejewska wystawi tę pracę; rola w niej stanie się perłą jej repertuaru!

Widział ją piękną, czaru pełną, wchodzącą na scenę.

Biją brawo. Obok jej głośnego nazwiska pada jego, jeszcze skromne i nieznane.

Tłum krzyczy, wyje, domaga się autora. On siedzi, ukryty w loży. Nie chce wyjść na scenę. Wyprowadzają go gwałtem, a wówczas — oklaski, wycie paradyzu dochodzi do zenitu. Obsypują go kwiatami. Tysiące listów dziękczynnych dostaje nazajutrz. Upojony sławą, nie zna granic szczęścia...

Świt biały dopiero skleił mu powieki.

Spał zaledwie może godzinę, gdy Ryś zbudził go, wołając:

— Do sztuby!—Chrapiesz jak szewc: co się z tobą zrobiło?

Wstał z głową ciężką jak po zażyciu opium. Długi, wązki pokój wydał mu się grobem. Tyle blasku w oczach miał jeszcze z marzeń wczorajszych! Gdzie był?—Czemu zbudzono go tak prędko?

Ryś wołał:

— Prędzej, prędzej!—„Antałek“ stawia sztyce za spóźnienie!— Jazda!

Przetarł oczy, ziewnął i zaczął się ubierać. Wczorajsza ekstaza minęła; zostało po niej tylko silne, niezłomne postanowienie: napisze dramat.

Zaczął teraz biegać co tydzień prawie do teatru.

Modrzejewska zachwycała go coraz bardziej. Napisał na cześć jej kilka anonimowych wierszy i rzucił je w bukieciku fijołków na scenę. Zdawało mu się, że, podniósłszy kwiaty, spojrzała w górę ku niemu i skinęła głową, dziękując. Tonął w marzeniach. Scena! — Żyć dla niej! — Urodzić się i umrzeć poetą dramatycznym. — Co za szczęście!

Z roztargnieniem przystąpił do egzaminów z siódmej do ósmej klasy. Zdał je cudem chyba, myśl jego bowiem zajęta była wyszukaniem wątku jakiego historycznego dramatu. Historycznego, tak, koniecznie. Wszyscy wielcy poeci zaczynali od tego, dla czegoż-by on miał iść inną drogą?

Od tej chwili postanowił czytać wyłącznie prace dziejowe: może natrafi na temat, który go porwie i zelektryzuje?

Nadszedł czas wakacyjny. Koledzy rozjeżdżali się w różne strony, on jeden tylko nie wiedział, co zrobić z sobą, gdyż nawet rodzina Wernerów opuszczała Warszawę. Zaczął starać się o korepetycyę na wieś, gdy niespodziewanie Ryś zaprosił go do siebie. Rodzice jego mieli niewielki, przemysłowo prowadzony majątek nad Wisłą. Polowanie na słomki, łowienie ryb, pływanie czółnem po rzece stanowiły ulubione rozrywki Fabera.

— Nauczę ciebie wszystkiego, ty miejski mazgaju!—obiecywał Ryś, namawiając kolegę na wyjazd.

— W bibliotece mego ojca masa książek historycznych—dodał na poparcie prośby.

Ten jeden argument starczył najzupełniej na wywołanie postanowienia Kazimierza.

Uścisnął dłoń kolegi.

— A więc dobrze, jadę z tobą—rzekł, dziękując mu za zaproszenie.

Opanowało go jednak wrażenie dziwnej pustki i osamotnienia. Jechał do ludzi obcych, nieznanych mu zupełnie, nie miał nikogo, nikogo swojego!

Zatęsknił naraz za wujem, starym, nudnym dziwakiem, i za cieniem jego, chorą, niezaradną ciotką. Za nic na świecie nie był-by wrócił do nich, lecz powstało w nim pragnienie zobaczenia ich, uściskania. Czy sprawiedliwie postąpił, zrywając z nimi? — Doznał od nich tyle dobrego!—Gdyby nie oni, musiał-by być na łasce ojca i... ma- cochy.

Brr! Otrząsnął się. W chwilę potem zadzwonił do drzwi mieszkania wujowstwa. Otworzył mu świeżo przyjęty, sztywny, suchy, wygolony kamerdyner.

— Państwo jutro na cały rok wyjeżdżają za granicę i nie chcą widzieć się z nikim—rzekł we drzwiach.

Kazimierz zostawił bilet i z wrażeniem wielkiej przykrości wracał do domu. Zdawało mu się, iż ostatni węzeł, łączący go z przeszłością, pękł w tej chwili.

V.

Gorące południowe słońce otulało ziemię tumanem mgły dyamentowej. Woda, żółte piaski wybrzeża, poszarpane urwiska nad rzeką, wszystko to parowało żarem drgającej w powietrzu spiekoty. Tylko na wązkim zakręcie, gdzie w wilgotnej ziemi wyrosły kępy wierzb, topoli, brzóz i paproci, tylko tam było chłodno i przewiewnie.

Codzień też przed obiadem Ryś wraz z Kazimierzem spędzali w zakątku tym po kilka godzin. Ryś z olbrzymią wędką siedział na kamieniu nad wodą. Kazimierz, leżąc na pachnącej murawie, czytał mu głośno. Były to dla nich obudwóch najmilsze chwile w ciągu

dnia całego. Skończyli już dwa tomy Macaulay'a; przed kilku dniami rozpoczęli trzeci. Doszli właśnie do opisu zatargów między Wilhelmem Orańskim a Jakóbem II, gdy Kazimierz zaczął czytać z dziwnem roztargnieniem. Zatrzymywał się co dwa słowa. Niekiedy jeden i ten sam ustęp powtarzał kilkakrotnie. Znać było, że myśl jego odbiega od przedmiotu, a jednocześnie pragnie gwałtem zatrzymać się na nim.

Dziś nieuwaga jego doszła do zenitu. Przekręcał wyrazy, opuszczał je, zestawiał w odmiennym porządku. Wreszcie, położył książkę na kolanach, przestał czytać. Ściągnięte brwi, wzrok utkwiony w przestrzeń nieruchomie, silna pionowa zmarszczka na czole świadczyły o głębokiej pracy refleksyi.

— No, co dalej?—spytał Ryś,—nie patrząc na niego, niewidząc, iż książka z kolan spadła mu na ziemię.

Sznur olbrzymiej wędki zadrżał w tej chwili. Z błyskiem radości w oczach młody rybołówca wyciągnął go.

Na niewielkim mosiężnym haczyku wiła się gruba płotka.

Ryś zdjął ją, wrzucił do skórzanej torby z wodą, założył nowego robaka i spuścił sznur napowrót.

— No, czemu nie czytasz?—spytał, podnosząc głowę.

Teraz dopiero spostrzegł dziwne zamyślenie Kazimierza.

Spuścił oczy i przestał zadawać mu pytania.

W wyobraźni Kazimierza od kilku dni powstawał wątek dramatu. Widział go już na scenie. Kilka ważniejszych typów żyło, ruszało się przed oczyma jego. Główną treść stanowiło strącenie z tronu króla angielskiego, Jakóba II, przez zięcia jego, zazdrosnego o przywileje żony, Maryi, Wilhelma Orańskiego. Zakochana ślepo w chciwym władzy, ponurym bohaterze holenderskim, Marya, bez względu na skrupuły córki, posłuszna woli męża, przystała do spisku przeciw ojcu. Cierpienia jej i walka, co za silny tragizm! Jakób II wraz z żoną i zagadkowym księciem Walii ucieka do Francyi. Ludwik XIV przyjmuje go. Przyjęcie to wypełnia cały trzeci akt. Dekoracye, przepych dworu francuskiego, sylwetka króla, jakież źródło efektów dla szarego tłumu! A typy: poczciwy, dzielny Bentinck, wiarołomny Sunderland, zgryźliwy, mrukowaty, lecz rozumny Wilhelm—despota, słodka, rozmiłowana w nim bez pamięci Marya, cały szereg wojowników holenderskich, lordów i parów angielskich—czy to nie kopalnia twórczych wzorów?

Słońce paliło coraz mocniej. Kilka promieni przedarło się przez zarośle wierzb i topoli, zaglądając w oczy chłopcom.

— Chodźmy! Zaczyna być już gorąco! — rzekł Kazimierz do kolegi. W chwilę potem był już u siebie.

Zamknięty na klucz w pokoju, pisał i odtąd godzinami całemi nie wstawał od biurka. Zrazu szło trudno. Sceny, które miał gotowe w myśli, rozsuwały się, rozstępowały jakby, w chwili, kiedy miał uchwycić je piórem. Tak samo znikały słowa, szumiące w skroniach. Tysiące razy wstawał od stołu, miął zapisany niedołężnemi zwrotkami arkusz papieru, ciskał go na ziemię, deptał, groził pięścią sam sobie; po chwili wszakże znowu siadał i z męką w duszy zabierał się do pisania.

Zwątpił już zupełnie, czy zdoła wydobyć z siebie cokolwiek gdy w tem niespodziewanie przyszło natchnienie. Wpadł w twórczą ekstazę. Każde, spływające z pod pióra słowo wydawało mu się kulą ognistą, która, obiegłszy świat, miała wrócić do niego promieniem sławy. Myśli, jak tęczowe motyle, wzlatywały w przestrzeń. Czuł słodką wibracyę całej swej istoty. Krew biła mu w żyłach, skronie pulsowały. Podobnych wrażeń musiał doznawać każdy wielki człowiek, tworząc arcydzieło! Oh, on musiał zostać wielkim! — Musiał przerosnąć tłumy. Musiał być podziwianym, wielbionym!.. Sława, sława, sława! Pisał już nie tylko dniami, ale i nocami całemi.

Wilią wyjazdu ze wsi dramat był skończony. Poprawienie i przepisanie go zajęło parę pierwszych miesięcy roku szkolnego. Z końcem października — gotowy zupełnie — zaadresował i wysłał do redakcyi jednego z najpoważniejszych tygodników.

W trzy miesiące potem w rubryce odpowiedzi tegoż tygodnika przeczytał:

Panu K. B.

„Talent może i jest: trudno to określić dokładnie; wyraźnie przebija tylko zapał; nie pokrywa on wszakże braku gruntownej wiedzy, a także znajomości życia serc i porywów ludzkich. Braki te rażą w młodym zapewne autorze. Radzimy mu uczyć się, poznawać: na pisanie czas przyjdzie, skoro umysł dojrzeje. Melodramatyczny rękopis do zwrotu.“

Do zwrotu... Talent wątpliwy... Brak znajomości życia, serc ludzkich... Melodramat...

. . . . . .

Gdy nazajutrz po otrzymanej odpowiedzi tygodnika Kazimierz przyszedł do klasy, koledzy nie poznali go: taka zmiana zaszła w nim nagle. Skronie i oczy jego zapadły, policzki wydłużyły się, cera przybrała barwę szarej ziemi, usta wykrzywił cierpki ból.

— Co tobie? — pytano.

Nie odpowiadał. Usiadł obok Rysia, który nie zadręczał go nigdy ciekawością swoją, i myślał tylko:

— Oh, gdyby ludzie mogli przestać naraz mówić!..

Z gorączkową niecierpliwością zabrał się teraz do nauk szkolnych. Zaczął pochłaniać chciwie wszystko, co nudziło go dotąd. Skończyć gimnazyum, a potem — rzucić się w wir życia, poznawać je, poznawać serca, dusze ludzkie... Może wówczas stworzy coś wielkiego!

Rok szkolny przeszedł niepostrzeżenie.

Wakacye spędził znowu u rodziców Rysia. Po wakacyach trzeba było wstąpić do uniwersytetu.

— Co obrać?.. Sam nie wiedział.

Nęciła go filozofia; ponieważ nie było oddzielnego jej wykładu. wstąpił na prawo za namową Fabera, który chciał być z nim razem. Wszystko mu jedno było zresztą, co zrobi z sobą.Nauka i praca czekały go wszędzie; teraz--chodziło mu jedynie o poznanie tego życia, bez którego nie mógł napisać arcydzieła. Wraz z Rysiem przenieśli się pod koniec zimy do wielkiej kamienicy, której czwarte piętro zajmowały mieszkania kawalerskie wyłącznie.

Zaraz na drugi dzień po wprowadzeniu się do dużego, widnego pokoju, w którym matka Rysia ustawiła trochę przywiezionych ze wsi mebli, ktoś zastukał do nich.

— Proszę wejść! — krzyknął Faber tubalnym swym basem, od którego zatrzęsły się szyby w oknach.

W otworzonych nagle drzwiach stanął mężczyzna średniego wzrostu, o okrągłej, jak patelnia, twarzy, o oczach, podobnych do wypłowiałej tkanki błękitnego gobelinu i o limfatycznej cerze mieszczucha, który połowę życia spędził w zadymionych izbach tanich piwiarni. Przystrzyżona nad czołem rzadka i zlepiona grzywka nadawała mu wyraz rozleniwionego mopsika.

Z rękoma w kieszeniach obcisłego, jak gdyby z młodszego brata zdartego, spencerka, stał chwilę, rozglądając się po wnętrzu kwadratowego pokoju, w którego urządzeniu znać było rękę kobiecą; wreszcie, poprawiwszy binokle na niewielkim, rozdętym nosie, i wstrząsnąwszy rzadką, jasno-blond czupryną, zawołał:

— Pi, to tu bogato!..

Poczem przystąpił do właścicieli mieszkania, spożywających w tej chwili kolacyę.

— Panowie! — rzekł, trzymając wciąż ręce w kieszeniach — wbrew przyjętemu przeze mnie zwyczajowi, przedstawiam się wam pierwszy. Jestem Marecki, artysta-malarz. Ponieważ świat przedstawia mi się fioletowo, nazwano mię Klodmonetem... Claude Monet... Pierwszy impresyonista... wiecie... Za parę lat jadę do akademii, tymczasem jednak pracuję nad podtrzymaniem bytu naszego stowarzyszenia.. Nie uprzedzono was zapewne, iż czwartak tutejszy stanowi bractwo, a kto zapisać się do niego nie chce, lub, zapisawszy się, nie wypełnia wskazówek przyjętego regulaminu, w przeciągu tygodnia opuścić musi niniejsze progi. Ten pokój nie ma szczęścia: co kilka dni wylewamy stąd kogoś. Dla tego też uprzedzam was, panowie, że, jeżeli nie będziecie szli z nami ręka w rękę, to lepiej wynieście się stąd dziś jeszcze...

Ryś z Kazimierzem spojrzeli po sobie, nie rozumiejąc ani jednego słowa z całej tej przemowy. Pierwszy z nich wszakże, sięgnąwszy po szóstą z kolei mularkę i szósty serdelek, wskazał gościowi krzesło i poczęstował go w milczeniu bułkami oraz wędliną.

Malarz wpakował w usta pół serdelka i całą niemal bułkę odrazu. Przełknąwszy to wszystko, usiadł i mówił dalej:

— Jest nas w tej chwili dwudziestu dwóch. Mieszkamy po paru w każdym pokoju; tak chce regulamin bractwa, pragniemy wszakże dociągnąć do całych dwóch tuzinów; jeżeli zatem przyjmiecie nasze warunki, to dziś jeszcze możecie zostać wciągnięci do „naszych".

Przerwał nagle a potem spytał:

— Studenci, prawda?.. Zasięgałem wiadomości o was; wypadły dobrze: możecie być przyjęci... Zobowiązania takie: garderobę, pieniądze, kosztowności składa się we wspólnej szafie do wspólnego użytku. Zarządza tem najbardziej odpowiedzialny z kolegów, Hirsz... poznacie go... Myślicie, że żyd?.. Nie, przechrzczony już w czwartem pokoleniu... Ma papę finansistę i tysiąc fajgli rocznie na przeżycie... nazywamy go więc „bankierem"... Co potrzeba członkom, mogą brać z szafy ogólnej, aby tylko włożyli w skrzynkę na półce kartkę z oznaczeniem wziętych przedmiotów... Jadamy i bawimy się zbiorowo. Bractwo nasze nosi nazwę „Chwastów", bośmy jak dzikie zielsko w polu: nikt nas nie posiał, a wyrośliśmy... Ceremoniał przyjmowania nowych członków poznacie: chlaszczemy się, jak mopsy... ja jestem członkiem - założycielem; natychmiast mogę zapoznać panów z resztą kolegów... Rozpatrują w tej chwili u Hirsza budżet na przyszły miesiąc... No, cóż, chcecie być z nami?

— Dobra!—krzyknął Ryś, uderzając pięścią w stół, aż stoczyły się na ziemię dwa emaliowane kubki i imbryk z herbatą.

Kazimierz milczał. Przerażało go to gromadne wspólne życie. Skarbem największym dotychczas dla niego była samotność. Jeden Ryś tylko nie przeszkadzał mu, nic bowiem nie mówił. Teraz nagle, bez powodu, wpaść w bandę ludzi nieznajomych, których gwar, hałas, dysputy rozlegały się po całym korytarzu... Nie, to niepodobieństwo!.. A jednak... tym tylko sposobem poznał-by może świat, ludzi; tym sposobem zebrał-by garstkę spostrzeżeń, których brakło mu dotąd...

Po chwili zamyślenia skinął głową potakująco.

— Cóż to, kolega gadać nie umiesz?.. Kiwa kokosem, jak Chińczyk... Wyciągniemy my ci tutaj języczek: ani spostrzeżesz, jak zaczniesz wachlować nim na prawo i lewo... — krzyknął młody malarz.

W chwilę potem wybiegł na korytarz, klasnął trzy razy, złożył dłonie koło ust w tubę i huknął:

— Bankier, Prefekt, Żozefina!.,

Otworzyły się któreś drzwi z hałasem, doleciał gwar kilkunastu zmieszanych głosów, wreszcie na progu mieszkania Kazimierza i Rysia ukazało się trzech młodych ludzi, wkraczających z powagą i namaszczeniem w głąb komnaty.

— Wezwanie nas tutaj przez sekretarza naszego każe nam przypuszczać radosną wiadomość o pozyskaniu dwóch członków, dopełniających tak upragniony drugi tuzin osobników bractwa naszego —rozpoczął chudy, wysoki brunet, z wygoloną, jak u księdza, twarzą, którego też dlatego, jak również dla licznych okolicznościowych mówek, kazań i nauk moralnych, wygłaszanych z urzędu, nazwano „Prefektem".

Skończywszy trzy wydziały: matematyczny, prawny i przyrodniczy, studyował obecnie medycynę, zamierzając badać później języki wschodnie, co nie przeszkadzało mu bynajmniej być jednym z najczynniejszych członków stowarzyszenia „Chwastów".

— Mowa na później wobec wszystkich!.. Teraz tylko dopełnienie głównego aktu: rewizya ruchomości nowych członków i przeniesienie garderoby do wspólnej szafy!—krzyknął Klodmonet, w skróceniu „Kłodek", biegnąc wprost ku nierozpakowanym jeszcze kufrom nowych lokatorów.

Żozefina, szczupły, blady, dwudziestokilkoletni zaledwie może młodzieniec, o twarzy Chopina, nazwany dla szyku z francuska, a dla farsy po damsku, poprawił ręką krawat, spojrzał na nowych kolegów badawczo i podszedł również ku kufrom.

Przeznaczeniem tego najdelikatniejszego, najbardziej zniewieściałego przedstawiciela Chwastów było zawsze łagodzenie w sposób ostrożny wszelkich wynikających, lub mogących wyniknąć sporów; dlatego też należał stale do komisyi, wprowadzającej w poczet bractwa nowych członków i towarzyszył przy wydalaniu starych. Gdzie należało poskromić buntowniczy jaki żywioł, tam wzywano go natychmiast. Żadne posiedzenie, żaden akt ważniejszy nie mógł się odbyć bez niego.

Obejrzano zawartość kufrów i przeniesiono ją do wspólnej szafy. Pieniądze odebrał sam Hirsz, wydawszy kwity zarówno na zabrane rzeczy, jako też i na sumę kilkunastu otrzymanych rubli.

— Wieczorem zostaniecie uroczyście przyjęci w poczet stowarzyszenia naszego. Kto nie ma łba tęgiego, niech zmyka zawczasu. Bab nie potrzebujemy. O godzinie siódmej stawić się w salonie Hirsza, № 12!—zawołał malarz z miną herolda, zapowiadającego ważne wydarzenie. Poczem, przeprowadzony przez Żozefinę, Bankiera i Prefekta, wyszedł z pokoju.

Faber cisnął się na łóżko.

— Pyszna farsa, jak Boga kocham!.. jeszcze takiej nie widziałem... — huczał potężnym swym basem, trzymając się za boki i pękając ze śmiechu.

Kazimierz siedział na krześle, zapatrzony w ziemię ponuro.

Czemu nie bawiło go to wszystko?.. Czemu przerażała go ta myśl, iż traci dotychczasową swobodę i spokój? Przestaje być jednostką, sobie oddaną, w siebie zapatrzoną, za siebie odpowiadającą, a staje się zerem prawie, jedną małą cząstką pewnej, dla bezcelowej farsy zorganizowanej, gromady ludzkiej.

Faber płakał prawie ze śmiechu, a on, spoglądając nań ukradkiem, zazdrościł mu tej wesołości. Czuł, że będzie obcym w tem stadzie, że nie podda się ogólnym radościom i ogólnym wybrykom, gdyż dusza jego innych rzeczy pożąda. Zaprzedał ją... chyba czartu w formie tej żarłocznej chciwości sławy, która paliła mu piersi i trawiła oddech. Zostać wielkim za jakąbądź cenę!.. Przewyższyć o głowę całą tę trzodę ludzką, którą on mógł-by kochać nie jak brat, lecz tylko jako opiekun, ojciec duchowy, jako... g e n i u s z!..

Zląkł się tego słowa, które, rok temu, jeszcze nie wydawało mu się zbyt silnem.

Nie, geniuszem nie był i nie zostanie nim nigdy, talentem jednak, a nadewszystko żądzą wielkości, rozpierającą mu skronie, górował nad tłumem.

Nie mógł, nie umiał doznawać porywów i zachcianek towarzyszy swoich: jak maniak, wytężoną myślą ścigał jedną tylko marę: marę przyszłych wawrzynów chwały.

O godzinie siódmej szwajcar, zastukawszy do drzwi, zawołał:

— Panowie, Chwasty proszą!

Ryś wyprostował się, zapiął mundur na wszystkie guziki i z miną co najmniej członka akademii czterdziestu nieśmiertelnych przeszedł przez korytarz.

Kazimierz podążył za nim, posępny, chmurny.

Otoczyło go naraz rojowisko postaci, zaglądających mu w oczy, zasypujących pytaniami, szarpiących za ramiona i plecy, jak człowieka śpiącego, którego chciano obudzić ze snu.

Kazano mu usiąść, p awiono przed nim kufel z piwem. Coś gadano. To Prefekt, to Marecki, to Hirsz. Wskakiwali na stół kolejno i wygłaszali jakieś mówki.

Nic z tego wszystkiego nie słyszał, nic nie rozumiał. Było mu ciężko i obco; dusił się. Powietrza, powietrza!..

Przełknąwszy coś naprędce, korzystając z ogólnego zamieszania, wymknął się wreszcie niez nacznie. Dosyć miał już gwaru i hałasu. Nerwy jego nie mogły wytrzymać dłużej podobnego jarmarku. Potrzebował ciszy i spokoju. Życie w tej krzykliwej gromadzie bardzo powierzchownie odsłaniało się przed nim. Nie rozumiał sam, czego w niem szukał, czuł wszakże, iż chodziło mu o pochwycenie wewnętrznych głębokich związków, stanowiących treść duszy, nie zaś o objawy i bodźce zewnętrzne.

Wróciwszy do siebie, wyjął z kufra Darwina, kupionego wreszcie na własność, i zaczął czytać.

Przez ścianę dochodziły go odgłosy śmiechu, rozmowy, a wreszcie śpiew chóralny. Mąciło mu to uwagę. Odłożył na bok książkę i począł rozmyślać:

— Czy ja też kiedy będę umiał bawić się wraz z innymi? Czy odezwie się we mnie popęd stadowy, gromadny, łączący ludzi w wielkie zbiorowiska, w rody, państwa, społeczeństwa, przytłaczające osobowość jednostki?.. Przezwano mię u tych „Chwastów“ Egoistą: może i słusznie. Jestem nim zapewne, trudno mi bowiem żyć z ludźmi. Jak asceta, osiadł-bym w pustelni, aby tylko nie słyszeć drażniących uszy hałasów, bezcelowych rozmów, pustych śmiechów... Jakie nudne to wszystko!..

Głosy za ścianą przycichły nieco, wziął więc książkę i zagłębił się w niej napowrót. Czytać, ah, czytać bez końca!.. Strawi go chyba ten żar wewnętrzny, ten głód wiedzy, wieczna, nieustająca gorączka.

Gdyby mógł połknąć naraz wszystkie dzieła, jakie są na świecie, może nasycił-by się wówczas. Dziś... oszukuje pragnienie. Pali go mózg, palą piersi, schną usta...

Nim Faber wrócił, skończył pierwszy tom Darwina, i to napełniło go pewną wewnętrzną równowagą. Położył się, snując plany dalszej pracy, i zasnął wkrótce mocno.

Nazajutrz koło południa obudziła go cała gromada Chwastów, wpadłszy do pokoju. Wśród krzyku, gwaru, hałasu, z którego nic nie mógł zrozumieć, kazano mu sięgnąć po jeden ze złożonych w ręku Mareckiego rogów zwyczajnej białej chustki.

— Co to jest?—Dajcie mi pokój!—Wynoście się stąd! — wołał Bielski, odtrącając od siebie zgiełkliwą hałastrę.

Wytłómaczono mu cel najścia.

Koledzy, nie chcąc go pominąć, przyszli do niego, by próbował szczęścia wraz z innymi na dorywczej loteryi.

Dwunastu Chwastów otrzymało zaproszenie na wieczór tańcujący nazajutrz u dobrych znajomych Kłodka. Nie chcąc skrzywdzić nikogo, postanowiono rozstrzygnąć o losie wybranych za pomocą supełków.

— No, masz, ciągnij, tylko prędzej!—Inni czekają!—wołał Marecki.

Bielski zawahał się na chwilę; wreszcie, pomyślawszy, iż musi bywać w świecie, musi wnikać w to życie, którego nie znał dotąd, inaczej bowiem nie będzie mógł pisać,—sięgnął po supełek i z pewnem zadowoleniem spostrzegł, że go wyciągnął.

— Pójdę z wami!—zawołał.

— Brawo!—tylko zostaw w domu minę pastora, inaczej... wyleją cię z punktu!—odezwał się ktoś z tłumu.

— A frak masz?—zagadnął Marecki.

— Nie mam.

— Mniejsza o to: wynajmie się u żyda. Pamiętać tylko o kołnierzykach, krawatach i mankietach!

I hałaśliwa gromadka wypadła z pokoju.

Święto było. Buda nie obowiązywała. Korzystając z tego, Faber przewrócił się na drugi bok i zasnął w najlepsze; Kazimierz wrócił do książki.

Nazajutrz przemocą prawie wyciągnięto go na bal.

Chęć zabawy opuściła go zupełnie; na nowo owładnął wstręt nim wielkich krzykliwych zgromadzeń.

Całą noc przestał pod piecem, śledząc ponurym wzrokiem pijany szał kręcących się w kółko waryatów.

— Po co to wszystko? — pytał sam siebie, nie będąc w stanie doznać cienia tej podniety, jaką widział w twarzach par wirujących.

— Czem ja jestem, że nie mogę tak czuć, jak inni?—myślał znudzony, zmęczony, ziewając.

Nad ranem chciał uciec, zamknięto drzwi jednak i zmuszono go do przeskakania—tańczyć bowiem nie umiał—białego mazura w ostatnich parach z najmłodszą córką państwa domu, czternastoletnim podlotkiem, który podczas przerw między jedną figurą a drugą spowiadał się przed nim, iż lubi czytać tylko dramaty i bardzo smutne powieści, gdzie wszyscy umierają na końcu.

— Bo życie takie przykre! — Tyle w niem cierpień! — szeptała różowemi ustami, na których błąkał się wyraz tanecznego upojenia.

Zabawa trwała do białego dnia. Przyszedłszy do domu, rzucił się na łóżko i przespał noc całą.

Nazajutrz po powrocie z uniwersytetu zażądał rozmowy z Bankierem i oznajmił mu, iż dłużej w stowarzyszeniu Chwastów wytrzymać nie może. Bezcelowe hulaszcze ich życie nie odpowiada upodobaniom jego, odrywa go od pracy; prosi zatem o zwrot części złożonych we wspólnej kasie pieniędzy oraz ubrania i żegna ich, obiecując sobie w przyszłości, gdy zatęskni za wesołością, powrócić do nich.

Bez słowa wyrzutu Hirsz wręczył mu wszystko, co do niego należało.

— Zmykaj nim cię inni zobaczą!—Nie chciałbym być w skórze uciekiniera naszego! Trzeba mieć zdrowe piszczele do obrony!—rzekł, uderzając go po łopatce na pożegnanie.

W godzinę potem Kazimierz znowu szukał mieszkania i znowu wprowadził się na czwarte piętro, tym razem jednak już sam zupełnie, Ryś bowiem za nic na świecie nie byłby odstąpił Chwastów.

Odetchnął: zrobiło mu się lżej na piersiach.

Nie mógł żyć gromadnem życiem: oburzała się przeciw temu dusza jego...

Zaczął czytać teraz i czytał całemi dniami. Darwin zachęcił go do zgłębiania prac przyrodniczych. Abstrakcyjny z natury jego umysł coraz więcej poddawał się surowemu pojęciu rzeczywistości takiej, jaką chwytały zmysły i wskazywał zdrowy empiryzm. Nie istnieje dusza, gdyż wzrokiem ująć jej nie można, nie istnieją przeczucia, suggestya, tajemnicze oddychanie myśli, gdyż niepodobna udowodnić ich twardą regułą doświadczeń. Nieśmiertelność, jako ustawiczna prze-

miana materyi we wszechświecie, energia i siła, jako jedyne sprężyny życia, — ot i wszystko, co jest naprawdę. Do czego prowadzi zgłębianie zagadki bytu, dociekanie jej źródła, łamanie sobie głowy nad celowością istnienia? Czy który z filozofów wyrzekł ostatnie słowo? — Czy wskazał wytyczną? Wszystkie ostateczne wyniki równają się pierwszemu hasłu „nie wiem".

Natura to jedyna księga, w której myśl może znaleźć wsparcie i pokrzepienie. Szczęśliwy, kto zamknie oczy na wszystko i z nią tylko, jak z młodą, piękną oblubienicą, idzie do ołtarza wiedzy.

W połowie roku szkolnego Kazimierz rzucił prawo i przeniósł się na przyrodę. Nie miał do niej wprawdzie wrodzonego upodobania, wymagała bowiem ciągłego napięcia władz pamięciowych, co refleksyjnemu jego umysłowi przychodziło z trudnością; mimo to jednak postanowił być jej wiernym aż do końca życia.

Czy tylko będzie zdolen dotrzymać przyrzeczenia?

VI.

Wiosną drgał błękit nieba, wiosnę niosły wonie pękających kasztanów, wiosną i radością przebudzenia tchnęło życie.

Oderwawszy oczy od książki, Kazimierz wyjrzał przez otwarte okno.

Opanowała go nagła chęć wyjścia z domu, upicia się ciepłem, jakby słodkiem, powietrzem.

Już włożył mundur i czapkę na głowę, gdy w tem u drzwi dało się słyszeć lekkie stukanie.

— Kto tam? — spytał niecierpliwie.

Od chwili, gdy porzucił Chwastów, kilku z nich: Hirsz, Prefekt, Faber, Marecki i Żozefina, odwiedzali go niekiedy, chcąc, jak twierdzili, uchronić od napadu samobójstwa tego „ojca zadżumionych", który już nie jedną, ale pięć żon chyba i dwa tuziny dzieci opłakiwał w grobowej swej celi.

Zwykle przynosili z sobą bułki, serdelki, wódkę, piwo: kończyło się na przewróceniu „Ascecie" całego mieszkania do góry nogami i na wincie do rana, za który Kazimierz, odurzony dymem papierosów, gwarem i śmiechem, pokutował później tydzień cały.

Nie lubił tych wizyt, a z drugiej strony nie chciał zrywać z kolegami; pewne zadowolenie sprawiała mu myśl, że pamiętano o nim.

— Kto tam? — powtórzył niecierpliwie, szorstko, klnąc w duszy tych, co przychodzili.

— Swój! — puścić natychmiast! — odezwał się głos, obcy dlań wprawdzie, ale budzący w nim dziwnie dawne wspomnienia.

Otworzył drzwi. Z progu rzucił mu się na szyję chłopiec, lat może szesnaście, lub siedemnaście mieć mogący.

Ściskając go, całując w oba policzki, wołał:

— Nie poznajesz mnie?.. To ja, Adaś, twój brat... Dawno chciałem przyjechać do ciebie, ale schodziło jakoś. Teraz ojciec mię wyprawił, muszę pogadać z tobą... Tymczasem powiedz mi, co robisz?.. Puściłeś kantem tych starych korniszonów tam w alejach, którzy zatruli mi rok życia?.. Masz słuszność: dawno powinieneś był to zrobić... A jak z kuciem?.. Słyszałem, że z prawa przeniosłeś się na przyrodę z przyrody pryśniesz na medycynę?.. Wspaniale!.. Każda zmiana, to raj na ziemi. Ja bo nie umiał-bym trzymać się jednego..

Puszczał go i znów chwytał w ramiona, przeplatając głośnemi, siarczystemi pocałunkami każdy niemal wyraz.

Kazimierz uścisnął go kilka razy serdecznie.

Budziło się w nim gorące uczucie dla tej jedynej swojej istoty, którą miał na świecie, zmroziły go jednak słowa: „Ojciec mię tu przysłał!“. Czyż zawsze ten człowiek musiał stawać między nim a tymi, co byli mu najdroższi?

Przez lat osiem, w ciągu których nie widział brata, zapomniał o nim prawie zupełnie. Nie pisywali do siebie. Czasami ktoś ze wspólnych znajomych przywoził im wzajemne pozdrowienia i opowiadał, co się dzieje z nimi; poza tem — nic ich nie łączyło. Adaś chwilami myślał o bracie i kilka razy nawet zaczynał list do niego; kończyło się wszakże na dobrych zamiarach tylko. Chciał donieść, iż, wyszedłszy z czteroklasowego progimnazyum miejskiego z patentem w ręku, obecnie siedział na wsi u znajomych w roli pomocnika rządcy, marząc o jak najszybszem dostaniu się do wojska i randze oficera. O ojcu miał dużo dobrego do powiedzenia. Porzuciwszy urząd pisarza gminnego, od trzech lat już pracuje na kolei i jest bardzo porządnym człowiekiem: unika złych towarzystw, siedzi w domu całemi wieczorami. Jak długo tak będzie?.. niewiadomo; w każdym razie teraz może służyć za wzór innym głowom rodziny.

To wszystko pragnął napisać, ale... brakło czasu, lub też ktoś odrywał go od listu: zeszło na niczem aż do tej pory.

— Głodny jestem, jak pies!.. Albo mi daj co zjeść, albo trupem padnę tu u ciebie i będziesz miał hecę z sądem!—zawołał Adam, wypuściwszy wreszcie z objęć swych brata.

Kazimierz wydostał z szafy porcyę bułek i wędliny, przygotowaną na wieczór dla siebie.

Młody przybysz rzucił się na nie z chciwością i w przeciągu paru minut połknął wszystko.

— A gardła niema czem przepłukać? spytał, przeżuwując, ostatnie kąski.

— Zaraz skoczę po piwo.

W chwilę potem siedzieli obadwa przy butelkach Haberbuscha.

Adaś, nasycony i napojony, z uwagą zaczął się rozglądać po pokoju brata.

— Przyzwoicie mieszkasz, ale dlaczego sam?—zapytał.—Jabym godziny jednej nie wytrzymał bez ludzi. Zawsze z ciebie dzikus?.. Nie lubię takich... Nie zgodzili-byśmy się nigdy. Ale słuchaj, muszę ci wreszcie powiedzieć, po co mię tu przysłał stary.

Kazimierz drgnął. Wzmianka o ojcu wstrząsnęła nim całym. Uczuł jakby nagłe pchnięcie sztyletu w samo serce. Dawne wspomnienia ożyły. Dziecinna niechęć z podwójną mocą wybuchnęła w sercu młodzieńca.

— Nie chcę nic wiedzieć o nim, — odmruknął ponuro.

— Co?.. Jeszcze dawne dzieciństwa?.. Myślałem, żeś zmądrzał. Zapowiadam ci, że nie wyjdę stąd, dopóki mnie nie wysłuchasz...

Kazimierz wstał, przeszedł kilka razy przez pokój, wreszcie, zatrzymawszy się przed Adamem, zapytał krótko, cierpko:

— Czegóż on chce ode mnie?

— Czego?.. Tego, byś nie był obcym, jak dotąd... Nie miał w tobie nigdy syna... Od najmłodszych lat okazywałeś mu niechęć...

— Zasłużył na to...

— Kto wie?..Nie nam sądzić. Czy zaręczysz, że matka też trochę nie była winna?.. Czemu ta teraz trzyma go tak, iż, choćby chciał, nie pozwoli mu na żadne nadużycia.

— Proszę cię, nie mów o niej przy mnie, a nadewszystko, nie zestawiaj tych dwóch kobiet razem, wara!

Adam spojrzał na brata, ruszył ramionami i, wziąwszy ze stołu ostatnią butelkę piwa, zaczął pić prosto z niej.

Wychyliwszy do dna, zagryzł kawałkiem sera i rzekł:

— Nie przyjechałem tutaj po to, aby toczyć z tobą spory; zdaje mi się, że nie porozumieli-byśmy się nigdy. Byłeś dziwakiem od dziec-

ka i jesteś nim teraz. Dajmy pokój badaniom, kto winien i w jakim stopniu winien?.. Żyje się nie po to, aby rozpamiętywać dawne żale... Niema człowieka bez grzechu; ty sam też nie jesteś aniołem... A teraz słuchaj, co ci powiem. Za tydzień będziemy mieli dziewiątą z kolei rocznicę śmierci naszej matki; otóż ojciec, pragnąc dojść do jakiegokolwiek ładu z tobą, proponuje, abyśmy się zjechali wszyscy tego dnia na grobie jej i tam, odmówiwszy pacierze za duszę zmarłej, podali sobie ręce na wieczną zgodę. Ojciec chce zgromadzić całą rodzinę, a więc przywiezie z sobą także i obecną swą żonę wraz z dziećmi, do których przecież nie powinieneś uczuwać niechęci, gdyż te chyba nic nie zawiniły...

Kazimierz patrzył na brata osłupiałym wzrokiem.

Jakto, j e m u stawiano żądania, by nad grobem matki wyciągał ręce do tych dwojga ludzi, którzy ją zabili, by im przebaczył, zapomniał krzywd, jej zadanych, by—może—pokochał ich tak, jak kochał zmarłą?.. Jemu... jemu... takie stawiano żądania?..

Nie, to być nie mogło: zawodził go słuch, myliła przytomność...

Dostrzegłszy zdumienie w jego oczach, Adam powtórzył:

— No tak, nad grobem matki mamy zjechać się wszyscy, podać sobie ręce i zapomnieć dawnych żalów: cóż w tem dziwnego?

Krew zakipiała w Kazimierzu.

— Podły jesteś, taki sam, jak on!.. Precz stąd, precz z moich oczu!.. Nie chcę ciebie widzieć, nie chcę słyszeć o tobie! — krzyknął, porywając brata za kołnierz i ciągnąc do progu.

Adam, silniejszy od niego, wyrwał mu się, schwycił go w pół i chciał powalić na ziemię. Kazimierz wyprężył się i odsadził go piersią od siebie. Chwilę stał, syczał pasyą dziką, kurczącą mu palce. Był-by się wpił niemi w szyję brata, był-by walczył z nim do rana. Nienawidził go w tej chwili: on i ojciec to jedno. Zdusić ich obu, zdeptać, jak brudne liszki: wówczas odetchnąłby dopiero.

Wtem ktoś pchnął drzwi z hałasem i stanęli w nich: Faber wraz z Żozefiną i Mareckim.

— Przeszkadzamy?—spytał Chwast Żozefina dzwoneczkowatym swoim głosem, patrząc ze zdziwieniem na stojących wprost siebie zapaśników, z których jeden dyszał zemstą, drugi — przybrał pozę ochronną, gotów odpierać pociski.

— Przerwaliśmy panom osobiste jakieś rachunki? Z kim mamy przyjemność? — dodał, zwracając się do Adama, Marecki.

— Bielski, brat tej... tam... dzikiej bestyi.

Kazimierz rzucił Adamowi posępne, pełne wzgardy spojrzenie i cofnął się w głąb pokoju.

Ryś podszedł do niego i stuknął go w brodę:

— Małpo jedna, nie rób miny truposza... Jak masz już nas u siebie, to udawaj, że ci przyjemnie.

Kazimierz ruszył ramionami i łokciem odepchnął kolegę.

Wrzał, kipiał cały, a nie mógł dać ujścia nurtującej go pasyi.

Między Adamem i Chwastami rozpoczęła się żywa, swobodna rozmowa. Każde jej słowo wwiercało się w mózg Kazimierza jakimś sykiem drażniącym. Uciec przed całą tą zgiełkliwą hałastrą, albo roztrzaskać wszystkie cztery łby o podłogę!.. Kołowrot małpich języków... Raz pozbyć się go... raz wyjść ze stada... stanąć samemu... nie widzieć... nie znać nikogo...

Podszedł do kołka, na którym wisiała czapka i szynel jego. Po drodze chwycił ze stołu butelkę i cisnął ją o ziemię, aż rozprysnęła się na drobne kawałki. To mu ulżyło. Wyładował część pasyi. Szybko, nie oglądając się, wyszedł z pokoju i zatrzasnął drzwi za sobą. Gwar czterech głosów huczał w kurytarzu. Adam i Chwasty zostali.

Mniejsza z tem, niech rozniosą mu mieszkanie, aby ich tylko nie widział... Stado baranów, których zwą ludźmi i każą ci kochać, jak siebie samego, chociaż gubisz w nich duszę... Trzoda, która wysysa z ciebie krew żywą i przerabia ją na limfę... czcze, puste, małpie zbiorowisko... kretyny... filistry... Nie widzieć ich, nie słyszeć, zaryć się przed nimi pod ziemię...

Jak wicher, pędził przez ulicę. Zdawało mu się, że ma ptasie skrzydła. Nie czuł ruchu, nie wiedział, że idzie.

Coś go rwało, coś ponosiło: gniew, oburzenie, szał...

VII.

Rudawa jasność polała się ukośnie na środek tarasu, musnęła fronton białego pałacyku, podpełzła pod krzewy pomarańcz i gipsowe posągi i zadrgała wreszcie na ciemnym stawie w oddali, odrzynając się wyraźną smugą od tła skłębionych obłoków, które, nagle prawie, spędzone wiatrem wschodnim, zaległy widnokrąg.

Gasnące słońce zwolna przedzierało się przez nie, podobne do blasku gromnicy.

Kępy wierzb nad wodą, białe łabędzie przy brzegu, firanka drzew w głębi długiej alei, majaczyły, jak chińskie cienie, na które spaść miała wkrótce ulewa.

Burza nadciągała. Zwiastowały ją zygzaki błyskawic i daleki huk grzmotów; zwiastowało duszne, elektrycznością naładowane powietrze; zwiastowała wreszcie tajemnicza gra światłocieni, budząca w duszach lękliwych strach zabobonny.

Ludzie uciekali, pełni grozy.

Kazimierz nie doznawał trwogi. Nie miał pojęcia, że zanosi się na burzę; nie słyszał, nie spostrzegał nic dokoła siebie.

Był ciągle jeszcze wzburzony. Co się z nim działo? Sam dobrze nie wiedział.

Przypominał sobie, jak przez sen, scenę z bratem.

Zdawało mu się, że minęła już dawno, gdy tymczasem godziny jeszcze nie było, odkąd wyszedł z domu.

Drwiący chichot i głośne rozmowy Chwastów biegły za nim, wyprowadzając go z równowagi.

Zapomnieć o nich!

Trząsł się cały, jak w febrze, a miał w sobie strumień lawy wrzącej...

Z oczu nie schodziła mu sylwetka brata, obciśniętego dokoła niego dwojgiem zwartych ramion, niby żelaznemi kleszczami.

Widział również sam siebie, jak wyprężoną piersią odtrącał Adama i zamierzał się na niego zgiętemi, pokurczonemi palcami.

O co im poszło?

Adam żądał od niego...

Ha, ha, ha!..

Roześmiał się głośno, aż spojrzały na niego uciekające przed burzą łabędzie.

Wstał i, nie wiedząc czemu, puścił się zwolna w głąb alei nad stawem.

Dążył wprost przed siebie, nie zwracając uwagi na nagły ruch łódek, które przyczepione do brzegu, zakołysały się raptownie, jakgdyby powierzchnią wody wstrząsnął dreszcz silny.

Nie słyszał szelestu gałęzi, szarpanych wichurą, nie słyszał świstu jej i huku coraz bliższych piorunów; dopiero gdy spadł potok ulewy, schronił się do pustej budki przy drodze i, wpatrzony w szare strugi, zaczął przypominać sobie każde słowo rozmowy z bratem.

Adam proponował mu, by nad grobem matki rzucił się na szyję ojcu, który ją zgubił, by wyciągnął ręce do macochy i przycisnął do piersi niewinne jej dzieci...

To wszystko proponował mu Adam...

Jak pierwszy lepszy burżuj, filister, niechcący domową niesnaską mącić sobie snu i apetytu, miał zapomnieć o krzywdach zmarłej męczennicy, on, który niegdyś cieniom jej poprzysiągł zemstę!

Tyle czasu odtąd przeszło!..

Nie rozumiał, nie umiał myśleć wtedy, ale czuł stokro[illegible] niż teraz!..

Poprzysiągł zemstę!..

Życie kazało mu zapominać o tem; życie zasłoniło p[illegible] bladą twarz matki, o której nie myślał prawie...

Zaprzątnięty swojemi troskami, on, egoista, jak słusznie może nazywali go koledzy, nie chciał wiedzieć o dawnych zobowiązaniach sumienia swego...

Przeszłość po raz drugi w dniu tym, jak żywa, stanęła przed nim.

Wstał. Zaświtała mu myśl nagła.

Opisać ją, opisać cierpienia matki; rzuconą w tłum kartką z życia prawdziwego utrwalić za zawsze nikczemność człowieka, który zdeptał nogami to, co powinno było być dlań najdroższe; wskrzesić z grobu blade widmo, dopominające się o odwet za krzywdy swoje; wskrzesić nagą rzeczywistość ze scenami tego brudnego hulaszczego życia, które stało się torturą świętej kobiety: czyż to nie jedyna zemsta, na jaką go stać było?

Zatarł ręce z dzikiej, posępnej radości.

Raz wreszcie dopełni tego, co sobie poprzysiągł; raz ujmie się za matką i przekaże potomności cierpienia tej męczennicy.

Obraz szarego dworu wiejskiego, w którym spędził dzieciństwo swoje, stanął przed nim naraz jak żywy. Sylwetki przyjaciół i towarzyszy ojca przesunęły mu się pod powiekami, jak gdyby pożegnał je wczoraj zaledwie...

A nad temi widziadłami przeszłości, jak biały obłok, uniosła się cierpiąca, zbolała twarz matki.

Łzy spływały jej z oczu; blade usta zdawały się szeptać:

— Nie zasłużyłam na tyle męki w życiu...

Gwałtowna ulewa przeszła. Roztąpiły się w potokach jej ołowiane chmury. Na miejsce ich napłynęły jednolite, perłowo szare obłoki, mżące drobnym deszczem majowym.

Kazimierz wyszedł z dusznej budki, w której przesiedział przeszło godzinę.

Nie czując dżdżu, osypującego mu twarz, czoło, wdzierającego się za rękawy i kołnierz mundura, pędził wprost przed siebie.

Byłby chciał jaknajprędzej dostać się do domu, zasiąść przed biurkiem i pisać to wszystko, co dyktowały mu w tej chwili podniecone myśli.

Na progu mieszkania stanął.

jeżeli Adam, wraz z Faberem, Żozefiną i Mareckim są jeszgo?

skonale wyobrażał sobie zawartą odrazu ich przyjaźń

na poczekaniu zrobili sobie herbatę. W tej chwili grali w karty niewątpliwie.

Jeżeli są...

Otrząsł się.

Wyrzuci ich. Potrzebował samotności.

Zamknie drzwi na klucz i tydzień, miesiąc, a choćby nawet rok cały przesiedzi u siebie, dopóki nie skończy tego, co dziś, zaraz, natychmiast rozpocząć zamierzał.

Położył już rękę na klamce, gdy w tem, jak błyskawica, zajaśniała mu myśl nowa, nagła, jaskrawsza i bardziej elektryzująca od wszystkich poprzednich.

Przeznaczy powieść swoją na ogłoszony niedawno konkurs. Otrzyma może nagrodę i stanie się sławnym, a wówczas...

Widmo sławy zagłuszyło w tej chwili główny cel pracy: zemstę...

Powieść jego musi być arcydziełem!—Włoży w nią duszę całą, wleje w nią krew własną...

Czy ktokolwiek mógł z większą mocą przedstawić cierpienie, życiem, egoizmem i nikczemnością ubóstwianego mężczyzny zdeptanej, kobiety, dla której dzieci były szczęściem i celem jedynym?

„Matka"—taki miał być tytuł powieści.

Postać bohaterki będzie promieniała blaskiem nieziemskim. Biały anioł, przypadkiem na ziemię zbłąkany...

Biały anioł...

Roześmiał się mimowoli.

Zkąd przyszło mu do głowy tego rodzaju porównanie?

On, realista, on, wierzący w to tylko, w co wierzyć pozwalały zmysły, naraz, jak pensyonarka, zwracał się do takich zużytych i nieprawdopodnych porównań...

Uśmiech przeszedł zwolna w lekkie skrzywienie warg.

Szyderstwo z siebie samego w chwili, gdy w grę wchodziła matka, sprawiło mu ból przykry. Instynktownie uczuł, że milknie filozofia tam, gdzie silną nutą odzywa się serce.

Czy w pracy swojej, którą rad był oprzeć na podstawach prawdy realnej, zdoła uniknąć tego smętnego tonu abstrakcyi, jaką wywołuje w nas myśl o drogich zmarłych?..

Kwadrans, może dłużej, stał pod drzwiami pokoju swego z ręką na klamce, nasłuchując, czy nie dochodzą stamtąd jakie głosy?

Zajrzał wreszcie przez dziurkę od klucza.

Wewnątrz nie było nikogo.

Wszedł. Jak stał, w czapce i letnim szynelu usiadł przy stole, wyjął kilka białych arkuszy z szuflady, położył je przed sobą i sięgnął po pióro.

Chciał pisać. Zdawało mu się, iż myśli, wrzące pod czaszką, odrazu, jak schwytane w sieć ptaki, spłyną na papier.

Sięgnął po jedną—zniknęła. Zaczął gonić drugą—rozpłynęła się, jak biały opar w przestrzeni.

W jaki sposób zacząć?..

Ciemna noc księżycowa zaglądała do wnętrza pokoju, gdy, odrzuciwszy pióro na bok, zgięty w pół, z głową w dłoniach siedział, nie będąc w stanie złożyć kilku zdań, najodpowiedniejszych do wprowadzenia czytelnika odrazu w jądro akcyi.

O północy podniósł się, zmęczony, z bólem w krzyżu i w ubraniu padł na łóżko.

Nim zasnął, przebiegł pamięcią cały kilkogodzinny wysiłek myśli, niemogących skupić się w jeden plastyczny obraz, pełen wyrazu i siły.

Opanowało go wrażenie dziwnie przykrej goryczy.

Cierniami najeżona droga tej sławy, do której tak chciwie wyciągał ręce!..

A jednak — nie cofnie się...

Z ciężką głową, jak po zażyciu opium, wstał ze snu nazajutrz.

Przegryzłszy kawałek chleba i popiwszy go kilku łykami zimnej wody, zamknął drzwi na klucz i zasiadł przed biurkiem.

Musiał pisać, ale... jak zacząć?

Tydzień minął, nim powstał gotowy, na luźnych kartkach papieru wynotowany, szemat powieści.

Pierwotny plan uległ jednak zmianie. Postać Bielskiego, którego chciał zrobić złym, nikczemnym z gruntu, przeistoczyła się pod piórem jego w osobę lekkomyślego szaławiły, żałującego chwilami za grzechy, popełniającego je najczęściej wszakże nieświadomie i wzbudzającego raczej pewną pobłażliwość, aniżeli wstręt i oburzenie.

Nie odbiła od niej tak żywo, jak to sobie zakładał, świetlana sylwetka matki.

Cierpienia jej, cierpienia istoty opuszczonej, zrujnowanej materyalnie i moralnie, nie jęczały tym zgrzytem wołających o pomstę praw społecznych, które, rzucając kobietę na pastwę samowoli mężczyzny, nie pozostawiają jej nawet możności odwetu, słabe siły fizyczne bowiem i opinia, zawsze przeciw niej skierowana, czynią ją bezbronną.

W miarę przygotowywanych szkiców czuł, jak coraz bardziej przetwarzały się najpierwotniejsze jego pomysły.

Chwilami tak dalece odbiegał od głównego założenia, iż zdawało mu się, że ktoś obcy ręką jego kieruje, nie dając jej pisać tak, jak chciała.

Może o honor ojca walczył cień zmarłej matki?

Myśl ta zrazu cicho, nieznacznie przebiegła mu przez głowę.

Uśmiechnął się, oddalając ją od siebie, on, materyalista, nie wierzący w byt zagrobowy.

Stopniowo wszakże zaczęła opanowywać go coraz gwałtowniej, narzucając mu się niemal przemocą.

Tysiące razy chciał podrzeć, lub spalić rękopis, nie pozwalający mu osiągnąć celu zamierzonego, nie będący tym aktem zemsty, jaki chciał w nim widzieć; ta dziwna siła jednak, która nim kierowała, nie pozwalała na to. Papier pozostawał w jego rękach nietknięty, a on — nie mógł pojąć, co się z nim samym działo?

Po upływie kilku tygodni napisał pierwszy rozdział; po upływie roku blizko skończył powieść całą.

I wtedy odetchnął.

Przez czas tworzenia zaniedbał naukę; przestał chodzić na kursa. Zamknięty na klucz, nie przyjmował u siebie nikogo. Nieraz Faber, Hirsz i Żozefina aż ochrypli, krzycząc, by im otworzył: udawał, że nie słyszy.

Żadna siła ludzka nie była-by go zmusiła do oderwania się od arkusza papieru, zapełnionego drobnem, gęstem pismem.

Wychodził z domu raz na dzień tylko na obiad i biegł wówczas pod ścianami, by nie spotkać kogo ze znajomych.

Jeżeli był bardzo zmęczony i nie mógł pracować, szedł do cukierni na gazetę, lub partyę szachów.

Świat nie obchodził go zupełnie. Żył w jakimś półśnie, rzadko kiedy doznając wrażenia twórczych rozkoszy, po większej części dręcząc się poczuciem własnej niemocy i opanowywującem go coraz częściej zwątpieniem.

Na parę miesięcy przed skończeniem powieści, zaczął otrzymywać co tydzień prawie od wuja Honoryusza krótkie, ostre bileciki, grożące odebraniem mu całego zasiłku w razie, jeżeli nie zacznie chodzić na wykłady ponownie.

Wuj Honoryusz... jego prośby... co go one mogły obchodzić?..

Ruszał ramionami i chował listy do kieszeni, albo darł je, nie przeczytawszy ich wcale.

Wszystko mu jedno było teraz, co z nim zrobią?

Podniecony wysiłkiem, doznawał wrażenia istoty, którą powietrze karmi, poi, odziewa.

Nie miał żadnych potrzeb; zapomniał prawie o wartości pieniędzy.

Któregoś dnia, wracając z obiadu wolniejszym, niż zazwyczaj, krokiem, opanowywało go bowiem od pewnego czasu jakieś odrętwienie wszystkich członków, udzielające się nawet i myślom, podniecanym jedynie mocną kawą, herbatą, lub papierosami, — spotkał Adama.

Jak gdyby nic między nimi nie zaszło, brat rzucił mu się na szyję.

— Przecież nareszcie spotykam ciebie! — zawołał jasnym, dźwięcznym głosem. — Od tygodnia wartuję jak pruski żołdak przed twem mieszkaniem. Poznałem już wszystkie kucharki z całej kamienicy: nikt nie umiał powiedzieć mi, kiedy wychodzisz i o której wracasz do domu?.. Wiedziano tylko, że nie wpuszczasz do siebie nikogo... Stróż dowodził, iż nie widział ciebie już od pół roku, a jego żona narzeka, że zaledwie co drugi dzień pozwalasz sprzątać u siebie .. Co ty robisz na miłość boską?.. Mówią, żeś dostał bzika. Stary — rozumiesz?.. No, ten nasz Honorcio, — wściekły na ciebie... Przeniosłem się teraz do nich... Ale, prawda, ty nic nie wiesz... Nie wróciłem już na wieś; puściłem kantem gospodarkę i zacząłem chodzić do szkoły, handlowej... Pół roku mieszkałem z tymi twoimi Chwastami, aż pobiłem się z jednym na noże — po pijanemu, naturalnie. Ale bo też oni trąbią, jak huzary... Wyrzucili mię, a raczej ja sam wysiudałem się od nich, bo mi już to wszystko zbrzydło... Nie wiele myśląc, poszedłem do Honorcia i Dorotki. Nie masz pojęcia, jacy mi byli radzi, oboje teraz chorzy naprawdę i potrzebują kogoś młodego, coby ich rozweselał. Znoszę im ploteczki z miasta, a oni za to karmią mię... Proszę siadać!.. Nie wiem, czy długo tam wytrzymam?.. Dyabelnie nudni oboje... Ale... chciałem cię ostrzedz... zawzięci na ciebie... Codzień posyłają do budy z zapytaniem, czy już chodzisz?.. Odgrażają się; że przestaną ci przesyłać pieniądze... Nie mają prawa, to nie ich własność, ale zawsze nie trzeba drażnić pierników... Stary...

Nachylił się do ucha brata i dodał ciszej:

— Kapnie lada chwila, Dorotka nie przeżyje go długo, pieniędzy mają, jak kapusty; dobrze coś uszczknąć z tego... Przecie nie mają komu zostawić... Czatowałem na ciebie, żeby ci to wszystko powiedzieć i zaciągnąć cię tam... Chodź ze mną zaraz!.. Trzeba tych mumii pilnować... Inaczej ktoś inny skorzysta, a lepiej niech trochę grajberów zostanie w rodzinie...

Kazimierz, który, cały czas milcząc, nie bez pewnego upodobania wsłuchywał się w czysty, świeży głos brata, zmarszczył brwi wobec ostatnich jego słów.

— Jeżeli takie tylko interesy masz do mnie, to wynoś się razem z niemi do dyabła, i nie zaczepiaj mnie na ulicy! — rzekł, odchodząc szybko.

— Waryat! — mruknął Adam, obejrzawszy się za nim.

Cecylia Walewska.

(C. d. n.)

PIŚMIENNICTWO.

Wittichen: „Die polnische Politik Preussens. 1788 — 1790“. Göttingen, 1899.

Rozprawa powyższa poświęconą została przymierzu polsko-pruskiemu i zasługuje na pilną uwagę naszych badaczów historycznych. Przedewszystkiem bowiem autor zawładnął poważnym materyałem, który w umiejętny sposób wyzyskał, a następnie zapoznał się starannie z literaturą historyczną, danego przedmiotu dotyczącą, o ile tylko język polski, lub rossyjski nie był dla niego absolutną przeszkodą. Wittichen zapoznał się jednak z tłómaczonym na język niemiecki „Sejmem czteroletnim“ Kalinki, z dziełem Bilbasowa o Katarzynie II, prócz tego z Pamiętnikami Ogińskiego, z dziełem Kołłątaja i Potockiego, poświęconem powstaniu konstytucyi 3 maja i t. p. Taka staranność w zapoznaniu się z pracami poprzedników usposabia dodatnio względem autora, i pozwolę sobie też w krótkości zwrócić uwagę na rezultat studyów Wittichena w tem przekonaniu, że praca jego nie pozostanie obojętną dla naszych badaczów.

Pierwszy podział Rzeczypospolitej pozostawił Prusy w tem położeniu, iż musiały dążyć do szybkiego zaokrąglenia swej zdobyczy, a przedewszystkiem do wcielenia Gdańska i Torunia, które, skutkiem opozycyi Anglii, nie dostały się swego czasu Prusom. Dzięki Gdańskowi i Toruniowi, należącym do Rzeczypospolitej, stosunki handlowo-celne Prus pozostawały w nieustającym konflikcie pod Fordoniem, gdzie odbywało się gwałtowne przemycanie z jednej strony, a pobieranie wysokiego cła ze strony Prus. Dla pruskiego handlu i przewagi był niezbędnym Gdańsk, i z tego powodu, że w rzeczy samej państwo polskie było naówczas prowincyą Rossyi. Katarzyna II interesowała się losami Gdańska i pragnęła w nim utrwalić swój wpływ,

a Polacy w przesadny sposób nazywali Gdańsk swym Gibraltarem, chociaż w rzeczy samej nigdy nie odgrywali roli potęgi morskiej. Dopóki też trwało rusko - austryackie przymierze, polski Gdańsk był prawdziwem niebezpieczeństwem dla Prus, a z drugiej strony, istnienie tego przymierza stawiało poważne zapory powiększeniu się Prus kosztem Rzeczypospolitej. W maju 1788 roku zobowiązała się Rossya przeszkodzić z bronią w ręku wszelkim zdobyczom Prus w dzierżawach Rzeczypospolitej, a prócz tego staraniem usilnem rządu rossyjskiego było odwrócenie handlu polskiego ku morzu Czarnemu. Stanisław August pragnął przymierza z Rossyą i Katarzyna II jedynie ze względu na Austryę spóźniła się z przyjęciem zaofiarowanego aliansu.

Konieczność polityczna nakazywała więc Prusom pozyskanie w Rzeczypospolitej silnego wpływu. Wpływ ten można było odzyskać obietnicami oderwania Galicyi od Austryi i zwrócenia jej temu państwu, do którego dawniej należała. Hertzbergowi naturalnie najmniej chodziło o powiększenie Rzeczypospolitej. Sterownikowi rządu pruskiego uśmiechały się nabytki terrytoryalne, w których Gdańsk i Toruń na pierwszym stały planie, a następnie pragnął on, ażeby losami dalszemi Rzeczypospolitej dysponowały jedynie Prusy i Rossya, z wyłączeniem kompletnem Austryi. W Berlinie bowiem mniemano, że Józef II chce zostać królem polskim, i dla tego z trwogą i niepokojem widziano Galicyę w posiadaniu Habsburgów. Z tem wszystkiem Hertzberg nie pragnął bynajmniej zupełnego zniweczenia państwa polskiego, i uważał, że takie rozbicie państwa było-by dla Prus wydarzeniem niefortunnem. Istnienie słabej Rzeczypospolitej, jako trzeciorzędnego państwa pod wpływem Prus, a pod panowaniem saskiego władcy z nieznaczącą armią i wszelkiemi gwarancyami pozostania nadal w niedołęstwie, bez żadnej centralizacyi, oto był ideał Hertzberga. Naturalnie, że ta niedołężna Rzeczpospolita powinna odstąpić Prusom Gdańsk, Toruń i kawałki Wielkopolski, to jest przynajmniej województwa Poznańskie i Kaliskie, zresztą jednak Prusy nie miały nic przeciwko jej suchotniczemu żywotowi, i na jakiś czas przynajmniej przyrzekały ograniczyć swą pożądliwość zdobywczą.

Wittichen przyznaje, że Austrya została podczas pierwszego podziału prawie zmuszoną do zajęcia Galicyi. Kaunitzowi wydawał się również nabytek Galicyi zupełnie bezużytecznym. Dopiero pierwszy Józef II zmienił ów sposób zapatrywania się, który podzielał i London ze względów czysto wojskowych. Tymczasem Stanisław August zamyślał już od 1778 roku o orężnem odebraniu Galicyi przy pomocy Rossyi i Prus, ale plany jego pozostawały nieustannie w fazie niedoj-

rzałych pomysłów. W roku 1789, gdy międzynarodowe stanowisko Prus stało się niezmiernie korzystnem, Hertzberg zaczął przemyśliwać o zagarnieniu nietylko Gdańska i Torunia, ale całej reszty Wielkopolski. Rzeczpospolitą polityka pruska odosobniła zupełnie, i to bardzo zręcznie. Wojska rossyjskie musiały opuścić dzierżawy Rzeczypospolitej, co nie pozostało bez podrażnienia stosunków obu państw sąsiadujących; dość, że Rzeczpospolita oddana była w zupełności na łaskę polityki pruskiej.

W tymże samym roku Fryderyk Wilhelm II zaczął się coraz bardziej zniechęcać do polityki energicznej swego ministra. Nastąpiło to na Szląsku, gdzie przy królu pruskim zgromadziło się wielu polskich magnatów. Hertzberg zwracał uwagę swego monarchy, aby się nie dał powodować Polakom, czy Galicyanom, ale kierował temi ludźmi i spożytkowywał ich dla pruskich interesów. Inaczej można się obawiać, że Polacy dostaną Galicyę i Prusom za to nic nie dadzą. Za wkroczeniem do Wielkopolski był wprawdzie generał Kalkreuth, ale feldmarszałek Möllendorf utrzymywał, że należy wyczekiwać, a jego zdanie podzielała większość oficerów pruskich. Wprawdzie hr. Lusi wraz ze zdolniejszym Lucchesinim pobudzali króla pruskiego do wojennego czynu przedstawieniami, że Austrya i Rossya są naturalnymi nieprzyjaciołmi Prus, a na tronie polskim może łatwo osiąść jeden z synów królewskich; ale choć Fryderyk Wilhelm II udawał jedynie energię i przyrzekał uzupełniać uzbrojenia, Hertzberga uwagi nie mogła ujść chęć królewska do zwlekania akcyi w celu jej zupełnego uniknięcia.

Co się tycze poglądów Fryderyka Wilhelma II na stosunki wewnętrzne Rzeczypospolitej, to zgadzał się on na wybór saskiego księcia elektora, gdy inne kombinacye wydały mu się zbyt trudnemi do przeprowadzenia, ale życzył on sobie dziedzicznego tronu w Polsce, wbrew poglądom Hertzberga, który zasadę dziedziczności w Polsce uważał za zupełnie przeciwną interesom Prus. Hertzberg zgadzał się także na bardzo ograniczone reformy w rządzie Rzeczypospolitej Były mu one na rękę jedynie, o ile usuwały wpływ Austryi i Rossyi. Wreszcie na wprowadzenie w Polsce monarchii dziedzicznej zgadzał się jedynie po usunięciu Austryaków z Galicyi, i po uposażeniu Prus terytoryami Rzeczypospolitej w takiej mierze, aby się nie potrzebowały obawiać wojennych zamachów nowego państwa. Bezpośredni alians Prus z Rzecząpospolitą, lub przyjęcie Polski do systemu obronnego, obejmującego Saksonię, nie podobały się Hertzbergowi. Utrzymywał on logicznie, że alians, niedozwalający Prusom powiększać się kosztem Polski, nakładał-by tylko na jego kraj ciężkie obowiązki

i narażał na niebezpieczeństwa. Oprócz tego alians polski wydawał mu się pod względem wojskowym nie do zużytkowania. W roku 1790 liczyła Rzeczpospolita zaledwie 44,000 żołnierza niewyrobionego i nie wzbudzającego zaufania. Była też jedynie mowa o usługach, jakie kawalerya polska może oddać, flankując wojska pruskie. Korzyść poważniejszą obiecywał alians z Polską jedynie z tego względu, iż kampania miała się odbywać na terytoryum Rzeczypospolitej.

W przeddzień przymierza z Prusami, Kaunitz czynił polskim posłom w Wiedniu poważne propozycye. Oprócz wielkich ulg dla polskich poddanych Austryi, które obiecywał, pragnął zawrzeć przymierze z Rzecząpospolitą, oświadczając z góry, iż Austrya nic nie będzie miała przeciwko zamierzonym reformom. Wszelkie jednak propozycye nie znalazły w Polsce posłuchu. Wszystkie umysły zaabsorbowane były odzyskaniem Galicyi, a nawet w Warszawie pod przewodnictwem Lucchesiniego utworzył się komitet, przygotowujący powstanie w Galicyi. Tymczasem Hertzberg uporczywie trzymał się myśli pozyskania Gdańska i Torunia dla Prus. Wzamian za to obiecywał Rzeczypospolitej dogodniejsze stosunki handlowe, zniżenie cła, i sądził, że wiele poważniejszych osobistości, a nawet Stanisława Augusta pozyskał dla swoich planów. Hertzberg jednak pozyskania tych miast pragnął z mocy specyalnego traktatu handlowego, rozumując słusznie, że nabycie ich z tytułu aliansu obarczyło-by Prusy daleko większemi zobowiązaniami. Stanisław August rad był-by znowu zawierając alians, uregulować jednocześnie i stosunki handlowe, ale temu przeszkodziła większość sejmowa, której się zdawało, że zawarcie przymierza będzie środkiem zaradczym na wszystkie niedogodności. Fryderyk Wilhelm tymczasowo, wbrew dążeniom i ostrzeżeniom Hertzberga, chciał zawrzeć przymierze z Rzecząpospolitą, aby ją mieć na wypadek wojny z Austryą po swojej stronie, i rzeczywiście zawarł zwykłe obronne przymierze, pomijając wszelkie nabytki terytoryalne.

Wittichen krytykuje surowo fakt zawarcia podobnego przymierza, które wkładało na Prusy obowiązek podtrzymywania swemi siłami wojennemi państwa zupełnie rozprzężonego, od 1772 roku zawdzięczającego swoje istnienie jedynie współzawodnictwu mocarstw podziałowych. Jeszcze niezrozumialszą wydaje się autorowi polityka pruska po zawarciu przymierza. Dopiero bowiem po tym akcie generał Kalkreuth znalazł wojsko polskie tak lichem, że daleko lepiej było Rzeczpospolitą pozostawić w stanie neutralności. Fryderyk Wilhelm wyrzekł się też z łatwością udziału wojsk polskich w wojnie z Austryą, licząc na to, że zwracając Rzeczypospolitej Galicyę, będzie

się można łatwiej o nagrodę Hertzbergowską upomnieć. W razie jednak, gdyby wojna z Austryą nie przyszła do skutku, przymierze polskie stawiało nieprzebytą zaporę najważniejszym dążeniom Prus, i dla tego też nosiło od początku zaród śmierci w sobie. Zarzut jednak nieuczciwego zerwania powyższego przymierza powinien spaść na tych, którzy lekkomyślnie króla do jego zawarcia namówili.

W dalszym ciągu swej pracy opowiada Wittichen w interesujący sposób rokowania Prus z Austryą, które ostatecznie doprowadziły do porozumienia się z pozostawieniem Galicyi w spokojnem posiadaniu Habsburgów. Stan wewnętrzny Prus, a zwłaszcza braki w wojskowości skłaniają autora do usprawiedliwienia Fryderyka Wilhelma, że nie bardzo był skłonnym do ryzykownych czynów militarnych. Przebieg negocyacyi dyplomatycznych śledził autor starannie, a stosunek zmienny Prus do Austryi przedstawił szczegółowo i dokładnie. Rozprawa też Wittichena będzie miała dla naszych badaczy znaczenie poważne i niewątpliwy interes. Rozumowanie historyozoficzne autora można naturalnie pozostawić na uboczu. Jego etyka, oceniająca wszystko ze stanowiska korzyści Prus, nikogo nie obowiązuje. Nie ma też żadnego powodu zastanawiać się nad nią. Dla polskiego czytelnika wystarcza, że Wittichen zerwanie przymierza polsko - pruskiego uważa za nieuczciwe, a że następnie zmniejsza odpowiedzialność polityki pruskiej za popełnienie niegodziwego czynu i Rzeczpospolitą obarcza wysoce lekceważącemi sądami, to już powinniśmy przebaczyć autorowi w imię tego, że nie dopuścił się względem nas tak rozmyślnych przewinień, jak urzędowi historyografi pruscy. Wittichen przynajmniej uznał w zasadzie nieuczciwość tam, gdzie Droysen, lub Treitschke ujrzeli-by cnotę i zasługę.

A. R.

Dr Zygmunt Celichowski: „ACTA TOMICIANA". Tomus Undecimus. A. D. MDXXIX. Posnaniae, sumptibus Bibliothecae Kornicensis MDCCCCI etc. Pag. 355, 4-o maj.

Najnowszy tom tej cennej publikacyi źródłowej przeszedł pod względem metody historycznej i wydawniczej tomy poprzednie. Przeprowadzona w nim zamiana dawnych chronologicznych granic „sejmowych", to jest okresów, zawartych pomiędzy jednym, a drugim sejmem walnym koronnym, na zwykłe granice roku kalendarzowego, jest

inowacyą, ze wszech miar pożądaną. Ułatwia ona poszukiwanie i oryentowanie się w materyale, oraz — co najważniejsza — staje się podstawą techniczną do udoskonaleń dalszych. Trudno bowiem oprzeć się życzeniu, aby wydawnictwo to, będące kardynalnym zbiorem źródeł do panowania Zygmunta I-go, było zarazem możliwie zupełnym zbiorem odpowiednich materyałów. Roczne granice chronologiczne tomu XI-go należało-by przeto utrzymać i nadal, a uzupełnienia, podjęte już teraz przez zasłużonego wydawcę, rozszerzyć do właściwej miary. Nie bacząc bowiem na to, że tytuł wydawnictwa, opartego w zasadzie na tak zwanych „Tekach St. Górskiego“, uwalniał wydawcę od rozszerzania ram publikacyi, dr Celichowski rozszerzył je już znacznie, uwzględniając w tomie XI-tym liczne materyały rękopiśmienne, a nawet i drukowane, uzupełniające w sposób nader pożądany tekę Górskiego, a zaczerpnięte ze zbiorów w Kórniku, Rogalinie, Krakowie, Królewcu, Fromborku, Wiedniu i Warszawie. Otóż, owo tak cenne zaokrąglenie bogatej treści XI tomu „Tomicyanów“ budzi sięgające dalej pragnienie. Mianowicie, pragnęli-byśmy, aby tom XII-ty, naśladując tom poprzedni w całej, zastosowanej doń umiejętności paleograficznej i wydawniczej, stał się zarazem polem do nowych ulepszeń. Pragnęli-byśmy, aby, obok materyału zasadniczego, zawierał także, chociażby w skróceniu, czyli w *regestach*, wszelkie inne znane, a w miarę możności i nieznane dokumenty odpowiednie, oraz, aby każdy, zamieszczony w nim akt, posiadał w tytule, na wzór dyplomataryuszów, nietylko nazwiska wystawców i odbiorców, ale także wyszczególnienie miejsca, ściślejszą datę i krótki regest treści dokumentu. Obecnie bowiem, tytuły aktów, zawartych w tomie XI-ym, ograniczające się wyłącznie do pierwszego z warunków pomienionych (nazwiska wystawców i odbiorców), nie mogą ułatwiać należycie poszukiwań, zwłaszcza wobec synchronistycznej daty ogólnej zbioru (rok 1529), a — rozmaitości zawartych w nim materyi. Wyrażając to pragnienie, nie posuwamy się bynajmniej do życzenia, aby „Tomiciana“ stosowały na przyszłość do dokumentów swoich tak zwane (pojęciowe) „spisy rzeczy“ (*indices rerum*). Wobec natury materyału było-by to bowiem nietylko zadaniem, nieomal niepokonalnem, ale nawet — zbyteczną całkiem *Eselsbrücke*. Chodzi nam jedynie o to, aby módz oryentować się w materyale „Tomicianów“ podobnie, jak naprzykład w „Kodeksach“ prof. Piekosińskiego. Obok wskazanych udoskonaleń wystarczy przeto na końcu tomu wykaz poszczególnych regestrów tytułowych, rozsegregowanych w porządku kolejnym, spis osób (*index personarum*, znajdujący się już w tomie XI-tym), a nadto,—bardzo pożądany spis miejscowo-

ści (*index locorum*). Będą to udoskonalenia podwójnie doniosłe: zarówno w zastosowaniu do materyałów właściwego tomu, jak również w częściowem urzeczywistnieniu myśli, rzuconej w przedmowie przez Szanownego Wydawcę, to jest — zamiaru opracowania, lub też umożliwienia pracy nad kompletem regestów do panowania Zygmunta I. Takim jest i być istotnie powinno doniosłe zadanie „Tomicianów". Nie wiadomo bowiem, czy warunki nasze pozwoliły-by dość rychło na specyalne uzupełnianie całości tego wydawnictwa w publikacyi oddzielnej. Zresztą, niezbędnym warunkiem doskonałości takiego uzupełnienia jest owa głęboka znajomość rzeczy, jaką posiadł już szanowny wydawca.

Tom XI-ty „Tomicyanów", zawierający 444 dokumenty (łacińskie; jeden polski, jeden ruski i dwa niemieckie), dotyczące stosunków zagranicznych i wewnętrznych Rzeczypospolitej w 1529, maluje z równem bogactwem szczegółów jedne i drugie. Sprawy tureckie, związane wtedy bezpośrednio z współzawodnictwem Ferdynanda i Zapolyi na Węgrzech, a obarczające przed i po klątwie, rzuconej na ostatniego, cieniem podejrzeń politycznych Polskę, znajdują ciekawą ilustracyę w liście Solimana do Zygmunta I (№ 181), w liście króla do Tomickiego (№ 288), a wreszcie w „Nauce", danej Zygmuntowi przez Zapolyę (№ 434, 5 por. 363) i w „Informacyi" Dantyszka (№ 444). Sprawę opinii współczesnych o zadaniach politycznych Litwy i Polski, i o uregulowaniu wzajemnych stosunków prawnych obu krajów na gruncie urządzeń państwowych, przedstawia w świetle nader charakterystycznem, a nie zapowiadającem bynajmniej przyszłej Unii Lubelskiej, wyznanie Wojciecha Gasztolda, wojewody wileńskiego (№ 214, 15).

Świeżego, a luźnego jeszcze związku Mazowsza z Koroną dotyczą dokumenty, oznaczone №№ 1, 2, 3. 45; kwestyj finansowych — №№ 90—95; monetarnych — „Edykt o monecie" (№ 210); stosunków ościennych — wierszowane pamflety pod №№ 257, 258 i 405.

Pamiętnik o bitwie pod Oczakowem (№ 303); prywatna korespondencya Bony z królem Ferdynandem w sprawie Baru (№ 316) i Tomickiego z parą królewską w sprawie wakansów senatorskich (№ 19 etc.), a wreszcie — sprawy pruskie (№ 413 etc.); śląskie (№ 351) dopełniają w przeglądzie pobieżnym szeregu najciekawszych dokumentów tego zbioru, w którym pierwszorzędne postacie dziejowe, jak oto: Zygmunt I, Bona, król Ferdynand, sułtan Soliman i t. d., Piotr Tomicki, Łukasz Górka, Krzysztof Szydłowiecki, Just. Ludwik Decyusz, Andrzej Krzycki, Hieronim Łaski, Dantyszek i t. d., skła-

dają się wśród komplikacyi, a nieraz w pierwszorzędnym interesie najważniejszych spraw ówczesnych, na grono korespondentów i adresatów,

J. K. Kochanowski.

„Swiatowit“. Rocznik poświęcony archeologii przeddziejowej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej, wydany staraniem Erazma Majewskiego. T. III, 1901 (59 ilustracyi w tekście i XVI tablic), str. 254.

Każdy z nowo pojawiających się tomów „Światowita“ przynosi coraz to więcej skrzętnie uzbieranych wiadomości w zakresie archeologii przedhistorycznej. Ta obfitość materyału stanowi dodatni rys niedawno powstałego pisma, które sprężyście administrowane wypełnia dotkliwą lukę w naszej literaturze naukowej. Bo ostatniemi czasy wogóle u nas, a szczególnie w Warszawie, nastąpił pewien zastój w dziale wydawnictw archeologicznych, spowodowany poniekąd śmiercią kilku bardzo zasłużonych badaczy i brakiem narazie sił nowych. Powstanie „Światowita“ przypada właśnie na tę chwilę, tak dla archeologii krajowej krytyczną; z tem więc większą radością dziś konstatujemy fakt szybkiego rozwoju tego pisma i z przyjemnością zaznaczamy, że każdy nowy rocznik oprócz bogatego materyału rzeczowego, daje nam coraz to nowych pracowników, zajmujących się z całą sumiennością inwentaryzacyą zabytków krajowych, i że wogóle pismo to rozwija w szerszych kołach społeczeństwa zamiłowanie do tej na pozór suchej i oderwanej nauki.—Wobec braku miejscowego towarzystwa archeologicznego lub jakiejkolwiek instytucyi poświęconej ochronie niknących zabytków przeszkości, objaw taki jest bardzo dodatni i prawdziwa należy się wdzięczność i uznanie p. Erazmowi Majewskiemu za jego inicyatywę, niestrudzoną pracę i światłe kierownictwo tem ze wszechmiar pożytecznem wydawnictwem. Obecnie tom trzeci, który pod datą 1901 prasę opuścił, przynosi nam sporo cennego materyału; nie od rzeczy więc będzie czytelnikom „Biblioteki Warszawskiej“ podać tu krótkie streszczenie, nie wchodząc w zakres specyalnej jego oceny. Rocznik ten jak i poprzednie dzieli się na trzy części: 1) badania oryginalne, 2) przegląd archeologiczny i 3) rozbiory i sprawozdania; oprócz tego na zakończenie mamy wiązankę drobnych wiadomości archeologicznych.

W pierwszym dziale spotykamy się nasamprzód z pracą p. Wandalina Szukiewicza p. t. Poszukiwania archeologiczne w powie-

cie Lidzkim i Trockim. Autor zaznajomiwszy nas w pierwszym i drugim roczniku „Światowita [1]) z cmentarzyskami i kurhanami danej okolicy, obecnie, jako owoc dłuższych poszukiwań, podaje opis osad neolitycznych rozmieszczonych w porzeczu Mereczanki (terytoryum dawniej księstwa Dojnowskiego). Dłuższy poczet tych siedlisk poprzedza staranny geologiczno-topograficzny rys objętego poszukiwaniami obszaru, gdzie autor słusznie zwraca szczególną uwagę na hidrografię okolicy; osady bowiem przedhistoryczne zazwyczaj ciągną się wzdłuż linii rzecznych, w tym też porządku widzimy je tutaj zgrupowane w cztery szeregi z biegiem rzek: Mereczanki, Grudy, Tołtry i Naczka. Z odnalezionych tu zabytków najliczniej są reprezentowane drobne wyroby krzemienne, których najciekawsze okazy przestawiają tablice IV — X-ej. Co do liczebności wykrytych osad (58 na przestrzeni 1,200 wiorst kwadratowych), autor przychodzi do przekonania, że opisywana przez niego część gub. Wileńskiej „stosunkowo gęsto była zaludniona“ w czasach użytku krzemienia Pod tym względem uważalibyśmy kwestyę za niezupełnie rozwikłaną, bo obfitość śladów siedlisk przedhistorycznych, którą już nieraz obserwowano, pochodzić może nietylko z rozrodzenia ludności w danej okolicy, lecz i z innych przyczyn, jak np. 1) z powodu długiego trwania w pewnej okolicy danej, wolno rozwijającej się kultury 2) lub z trybu życia koczowniczego ludności, która przechodząc z miejsca na miejsce na drodze swoich wędrówek zostawiać mogła wiele obszernych koczowisk, obecnie za osady dłużej osiadłe uważanych.—Pod względem gęstości zaludnień przedhistorycznych sądzilibyśmy, że o wiele pozytywniejsze wnioski wyprowadzać można z ilości grobowców i cmentarzysk o ile się te dochowały i są zbadane.

Z następnych prac zwraca na siebie szczególną uwagę rozpoczęta w trzecim tomie „Światowita“, monografia archeologiczna powiatu Stopnickiego, przez p. Erazma Majewskiego. Jest to studyum nacechowane prawdziwie naukową ścisłością i systematycznie bardzo rozwinięte. Autor, wychodząc z założenia, że grutowne zbadanie najmniejszego nawet obszaru kraju da więcej korzyści nauce niż zbieranie luźnych wiadomości archeologicznych, poświęcił kilka lat poszukiwaniom specyalnie w pow. Stopnickim czynionym. Wyniki tej pracy są bardzo dodatnie, a zważywszy względnie ubogi w zabytki teren, jakim jest wogóle gub. Kielecka, są one wprost imponujące roz-

[1]) Nie dawno o tychże okolicach pod względem archeologicznym pisał p. W. Szukiewicz w osobnej pracy „Szkice z archeologii przedhistorycznej Litwy“, Wilno 1901.

miarami; spodziewać się można, że staną się zachętą dla innych do prowadzenia prac archeologicznych. W monografii tej autor doprowadza nas do głównej treści swojej pracy całym szeregiem wstępnych badań. Mamy więc najszczegółowsze opisy miejscowości, mapki: geologiczną, orograficzną i hidrograficzną wreszcie wykaz stanowisk w porządku geograficznym. W następnych rozdziałach spodziewać się należy rozklasyfikowania wyjątkowo bogatego materyału rzeczowego, bo jak widzimy z podanej tabeli ilość zaregestrowanych okazów dochodzi do imponującej cyfry 10,476. Wobec poważnego zapoczątkowania tej monografii, spodziewamy się, że przy dalszem jej opracowaniu, wystąpią dobitnie charakterystyczne cechy pow. Stopnickiego, i praca ta służyć będzie mogła za podręcznik dla archeologii Królestwa (przynajmniej, co do epoki krzemienia) i da możność ludziom mniej kompetentnym rozejrzenia się w bogatym materyale, jaki leży mało dotąd zbadany w wydmach i na dawnych stacyach przedhistorycznych tutejszego kraju. Nowe a nieznane na zachodzie typy wystąpić tu mogą jako charakterystyczne dla Królestwa.—Ceramiczne wyroby niemniej ciekawe są w Stopnickim, co widzieć się daje z podanego przez p. Majewskiego osobnego artykułu o zabytkach we wsi Janiny, gdzie natrafił na bardzo piękne okazy, co do kształtu i różnorodnej ich ornamentacyi.

Oprócz tych dwóch większych opracowań spotykamy w III tomie kilka prac mniejszych, opisujących poszczególne poszukiwania w różnych stronach czynione Jest tu opis grobów rzędowych z Płockiego, podany, jako dalszy ciąg poprzednich poszukiwań przez Fr. Tarczyńskiego, przedwcześnie dla naszej archeologii zmarłego, następnie cmentarzyska powiatu Oszmiańskiego opracowane przez p. St. Jarockiego, wreszcie opis jaskini Borsuczej w okolicach Ojcowa przez S. I. Czarnowskiego. Jest to cenny przyczynek do charakteryki najpierwotniejszych mieszkań ludzkich, jaskiń mieszkalnych. Poszukiwania uwieńczone zostały dobrym skutkiem, bo wydobyto piękne naczynie oryginalnego kształtu, sporo wyrobów krzemiennych i kościanych, wreszcie, jako najciekawszy zabytek – czaszkę całkowicie dochowaną.

Pomiary jej zostały szczegółowo wykonane przez pana Jana Tura i opis jej podany. — Wogóle w III-im tomie „Światowita" zwrócono baczną uwagę na pomiary antropologiczne kostnych pozostałości ludzkich; jest to rzecz bardzo ważna, mogąca z czasem, przy zebraniu odpowiedniego materyału, doprowadzić do pewnych wyników w zakresie archeologii przedhistorycznej, jakoteż naszego ludoznawstwa. Pod tym względem nie małego interesu jest praca dr Leona Rutkowskiego „Szkielety i czaszki z cmentarzysk rzędowych po-

wiatów: Płońskiego, Płockiego i Sierpskiego". Znajdujemy tu opisy szkieletów z cmentarzysk już badanych pod względem archeologicznym przez p. Turowskiego; stanowi to znakomite uzupełnienie badań poprzednich, tem ciekawsze, że jedna z opisanych miejscowości zaznaczyła się ważnem odkryciem pierwszej na ziemiach czaszki trepanowanej. Co do wymiarów dr. Leona Rutkowskiego, które wykazują dla czaszek z Płockiego średni wskaznik czaszkowy 71.69, dla słaboszewskich męzkich 72.5, żeńskich 77, a dla podlaskich męskich 74.3 i żeńskich 78.4, to pozwalamy sobie zrobić uwagę, że ważne wywody, które szanowny autor stara się uogólnić, były-by o wiele widoczniejsze i łatwiej by czytelnik w nich się rozejrzał, gdyby nie odstępując od przyjętego zwyczaju, podano je w formie tabelek z zachowaniem rubryki dla każdego okazu i z uwydatnieniem miejsca pochodzenia. Nie mniej praca ta jest bardzo pouczająca, a uzupełniając pomiary doktora Kopernickiego i doktora Dudrewicza, daje już pewne pojęcie o charakterze antropologicznym mieszkańców tego obszaru.

W drugiej części „Światowita" dalej jest prowadzone przez p Ks. Chamca, streszczenie dzieła d-ra L. Niederlego „Ludzkość w dobie przeddziejowej"—rozpoczęte w poprzednich rocznikach; obecnie opracowana jest epoka wprowadzenia w użycie metalów, epoka bardzo dla archeologów ciekawa, o której wiele już pisano nie wyzyskawszy całkowicie tej kwestyi. Zwięźle streszczona praca d-ra Niederle rzuca nieco światła na epokę bronzu wykazując centra największego rozwoju tej kultury.

Mowa profesora Virchowa i wynikła z tego powodu dyskusya o ukazaniu się Słowian w Niemczech jest także podana przez p. Erazma Majewskiego w tymże dziale. Dysputa w tej kwestyi prowadzona przez niemieckich uczonych na posiedzeniu Towarzystwa antropologicznego w Halli, nie daje dowodów osiedlania się Słowian w środkowej Europie, co nieraz już starano się w Niemczech dowieść.—Mimo to epoka przyjścia Słowian nie została ustaloną i pozostaje dotąd w zawieszeniu.

Na tem kończąc wzmiankę o ciekawszych pracach w III-cim tomie „Światowita" pomieszczonych, wspomnieć jeszcze winniśmy o dokładnem wykonaniu rycin, które pięknie ilustrują to wydawnictwo.

Franciszek Pułaski.

Dr Jan Lutosławski: „Szkoły rolnicze i leśnicze". Warszawa, 1901, str. 182.

Dla bardzo naturalnych przyczyn piśmiennictwo nasze nie jest bogate w studya porównawcze nad szkolnictwem rolniczem i leśniczem kraju naszego i wogóle państw europejskich. To też książka ziemianina łomżyńskiego, powyższy tytuł nosząca, jakkolwiek jest tylko rozszerzeniem jego artykułu tejże treści, pomieszczonego w drugiem wydaniu „Encyklopedyi Rolniczej", sprawia pewien rodzaj miłej niespodzianki, napotkanej w pustkowiu. Praca p. Lutosławskiego ma cel bardzo pożyteczny, bo porównawczo-informacyjny o zakładach naukowych kierunku rolniczego i leśnego, istniejących w siedemnastu krajach kulturalnych na kuli ziemskiej, począwszy od własnego, aż do Stanów Zjednoczonych na Zachodzie i Japonii na Wschodzie. Jak dla naszego społeczeństwa, które lubi czytać wiele o miłości, ale jak najmniej o pracy, książka powyższa ma jeszcze tą zaletę, że jest niewielka i treściwa. Autor bardzo pracowicie, sumiennie i źródłowo zgromadził wiadomości o rozwoju szkolnictwa w odnośnych kierunkach i ugrupował je w cztery rozdziały. W pierwszym mówi o szkołach rolniczych niższych, szkołach praktycznych, teoretyczno - praktycznych, zimowych, uzupełniających, o nauczycielach wędrownych, wędrownych szkołach zimowych, kursach przygodnych, szkołach leśniczych niższych, średnich i wyższych, katedrach „nauk kameralnych", akademiach rolniczych i wydziałach rolniczych przy uniwersytetach.

Po takiej segregacyi pedagogicznej następuje treściwy imienny przegląd wszystkich zakładów w Ameryce, Anglii, Austrowęgrach, Belgii, Danii, Francyi, Hiszpanii, Holandyi, Japonii, Luksemburgu, Niemczech, Norwegii, Portugalii, Rosyi z Królestwem Polskiem i W. Księstwem Finlandzkiem, w Szwajcaryi, Szwecyi, Turcyi i Włoszech. Przyznajemy się, że po przeczytaniu wiadomości, iż w japońskiem Tokjo uniwersytet, liczący 25 lat całego swego istnienia, ma już wydział rolniczy o dwustu studentach i 32 profesorach, a 500-letni krakowski ma na takim-że wydziale tylko 5 wykładających i 54 słuchaczów, doznaliśmy nieprzyjemnego zdziwienia.

W trzecim rozdziale swojej książki podaje p. Lutosławski programy, spisy i plany wykładów i ćwiczeń w Krakowie, Dublanach, Wiedniu, Berlinie, Halli, Paryżu i w szkole rolniczej Sobieszyńskiej. W ostatniej części na trzydziestu stronicach podana jest szczegółowa

bibliografia źródeł, to jest różnych dzieł, broszur i sprawozdań, z których autor zaczerpnął treść do swojej rozprawy. Zasób tych źródeł, zgromadzony z kilkunastu krajów, pozwalał autorowi, gdyby zechciał, rozszerzyć książkę do objętości obszernego dzieła pedagogicznego. Prawdopodobnie jednak nie znalazł-by na takie dzieło ani nakładcy, ani nabywców, i, co za tem idzie, czytelników. Poprzestał więc na pracowitej roli jasnego, sumiennego, porównawczego informatora dla swych ziomków, za co jednakże należy mu się szczere „Bóg zapłać".

Zygmunt Gloger.

Marya Czesława Przewóska: „Z nowych dni". Syntetyczny zarys końca wieku. Warszawa 1901.

Książka M. Cz. Przewóskiej „Z nowych dni", jest ciekawym „dokumentem" literackim, z którego możemy powziąć wyobrażenie, w jaki sposób pewne prądy myśli współczesnej odbijają się w duszy wrażliwej, zagadką bytu i człowieka pociągniętej, a odczuwającej w sobie drgnienia mistyczne; duszy, zgiełkiem sprzecznych dążeń teraźniejszości znużonej a łaknącej wewnątrz siebie ukojenia, a na zewnątrz rękojmi, iż chaos dzisiejszy rozwiąże się w harmonię jutra. Autorka pragnie dać nam „syntetyczny zarys" doby obecnej. Prace i artykuły, składające się na tę książkę, istotnie przylegają do siebie dość ściśle, nie rozwijają się przecież w obraz jednolity i skończonego systemu w ogólnych bodaj liniach nie ukazują. Tytuł więc nie jest zupełnie dokładny; do pewnego stopnia przecież autorka zbliża się do syntezy „końca wieku", ze swoistego punktu widzenia, już w przedmowie uprzedzając nas, w jakiej perspektywie ogląda różne zjawiska współczesności. Chodzi o to, iż „okres dziejowy, na wyłącznym u m y s ł o w y m (rozumowym) pierwiastku zbudowany", w ostatecznym wyniku swych usiłowań kona na bezkrwistość; d u s z a protestować zaczyna „całą mocą swej nieskończoności boskiej przeciwko dziełu cywilizacyjnemu, na skończoności zjawisk opartemu". Przeciwieństwo między absolutem—duszą, a umysłem—narzędziem zmysłów, tylko powierzchowne, zewnętrzne stosunki ujmującym, przeciwieństwo to, z teoryi „nagiej duszy" zaczerpnięte, posłużyło autorce za ostateczną, jak dotychczas, formułę jej poglądów na przyczynę rozłamu między idealnemi pożądaniami ludzkości a rzeczywistością i na istotę dokonywających się, jej zdaniem, przeobrażeń w dziedzinie uczuciowej i umysłowej wieku. W dawniejszych pra-

cach, jak w rozprawce „Brzaski odrodzenia“ z r. 1892 pochodzącej, formuły tej jeszcze nie było, lecz istniały te same w zasadzie dążenia, to samo przeciwieństwo między „niepoznawalnem“ i „niedostrzegalnem“ czyli istotą rzeczy, a usiłowaniami współczesnego człowieka, na z e w n ę t r z n o ś ć życia zwróconemi. Dostrzeżemy tę samą niechęć względem tych kierunków działalności ludzkiej na różnych polach, które znamionowały poniekąd okres panowania mieszczańskich ideałów i harmonizowały często z sobą w zupełności lub częściowo, rzeczywiście czy pozornie: pozytywizm w badawczym wysiłku myśli, dowierzający jedynie „szkiełku i oku mędrca“, idealizm i naturalizm w sztuce, materyalizm w życiu i użyciu.

Po „Brzaskach odrodzenia“ nastąpiło wnet „przebudzenie się duszy“. Kto pamięta ten lub ów rozdział z „Le trésor des Humbles“ Maeterlincka, odgadnie łatwo jak to przebudzenie wygląda. Oto w tysiącznych objawach „modernistycznej“ sztuki, w teoryach i teoryjkach nowoczesnego mistycyzmu wyczuwać się daje tęsknota „duszy“, gwałtownie bijącej o ścianki swego zamknięcia, wynurzającej się z głębin, w których przebywa, aż do powierzchni niemal naszego zmysłowego swiata. Duch czasu „do wiekuistych poznania zagadek wraca z chciwością wielką“. „Wszystkie tajemne władze duszy naszej, wszystkie jej siły nieświadome, utajone, niepojęte, przeczucia, sny prorocze, widzenia, odczucia intuicyjne, budzą w nas dziś interes niezwykły. Chylimy się pod tym pierwiastkiem, w treści naszej istoty tkwiącym... Wsłuchujemy się w te głosy wewnętrzne... wyczuwamy je w sobie realnie...“ Więc oto ta „dusza naga“, absolut, meta-organizm, istota transcendentalna, całkiem różna od zwykłej, pospolitej, w sieć zmysłów i świadomości uwikłanej duszy, co po dawnemu „myśli, czuje i chce“—więc owa dusza sama w sobie „budzi się“ i wstrząsa przygniatającemi ją pokładami świata pozorów.

„Że w kierunkach zasadniczych myśli współczesnej dostrzegać się dziś daje odwrót na całej linii, to jest rzeczą n a j z u p e ł n i e j f a k t y c z n ą“, woła autorka z zupełnem przeświadczeniem. Przekonanie o niedalekiem zwycięstwie jakiejś idei czy dążności i o zbliżaniu się nowej ery częstokroć opiera się na szczególnego rodzaju złudzeniu. Stałe to zjawisko, że im namiętniej czegoś pożądamy, im ściślej z wymarzonym i upragnionym światem myślą się spoufalamy, tem świat ów rzeczywistszym się nam wydaje i jakby już przybierającym kształty dotykalne. Wówczas sprawdzają się słowa poety: „Coś myślą pojął—dosięgniesz ramieniem, ujrzysz na oczy, coś przeczuł natchnieniem, z strun twojej lutni rozpierzchnięte dźwięki weźmiesz, jak perły widome, do ręki“. Gdy „wytężamy ucho, oczekując jakiegoś dalekiego dźwięku, gdy wypatrujemy na skraju widnokręgu punktu

jakiegoś, czyż nie ulegamy wówczas halucynacyom wzroku i słuchu? Dla uniknięcia dysonansów zamykamy się chętnie w kole współwyznawców. Ale im wyłączniej to czynimy, tem bardziej tracimy poczucie rzeczywistości, gdyż potęgujemy własne oczekiwania i myśli, poddając je sobie wzajemnie. Wierząc sami, każemy wierzyć i innym, że coś się już stało, że coś gdzieś w jakiejś dali mitycznej wykazano, dowiedziono, sprawdzono... „Wiek nasz stanowczo już się przeżył. Przed zgonem swym uświadamiać już sobie poczyna wielkie minusy swoje, głosząc bankructwo przeżytych przez się haseł," mówi M. Cz. Przewóska, nie bacząc, iż to „uświadomienie" położyć trzeba na karb przeważnie tych jednostek i grup, za których pośrednictwem odbywa się „przebudzenie duszy", więc iż w ten sposób wygłasza oratio pro domo sua. Liczne gmachy wiedzy nowożytnej pośród chaosu nagromadzonego materyału sprzeczności zasadniczych, nie spojone dość trwałym cementem, w podstawach swoich chwiać się zaczynają", — „bankrutująca" nauka przecież nie bierze do serca tych zapewnień o nietrwałości jej dzieła i spokojnie brnie dalej w tym samym kierunku, nie zbaczając z niego o włos. Jeżeli w przekonaniu autorki gmachy nauki „urzędowej" chwiać się zaczynają, natomiast „podmiot transcendentalny" du Prela, „meta-organizm" Hellenbacha, „siła psychiczna" Crookesa (i jak Piłat w Credo trafiły tu też „idee—siły" Alfreda Fouillée)—to wszystko oparte jest „na najnowszych zdobyczach naukowych". Jakiego rodzaju są te „zdobycze", przekonamy się dowodnie, zajrzawszy do dwu obszernych rozdziałów książki p. Przewóskiej: „Wiedza tajemna i jej wyznawcy" i „Z motywów starożytnych". Nasłuchamy się do syta powtarzanych przez autorkę za tym i owym fantastycznych bajeczek o potędze magów i kapłanów egipskich, o systemie wtajemniczania u starożytnych w różne stopnie „wiedzy". „Czem-że są nasi elektrotechnicy—woła jeden z entuzyastów—wobec tych wielkich kapłanów Egiptu, którzy władali piorunami, niemal jak my ręczną bronią" — a to wszystko dla tego, iż mniej od nas zważając na zewnętrzną stronę zjawisk, za pomocą wypracowanego w sobie światła „duszy" wnikali w głębie numenu, rzeczy samej w sobie. Resztkami zmysłu krytycznego broni się autorka przed zbyt niespodziewanemi „zdobyczami" okultyzmu, wtrącając tu i owdzie słówko „jakoby", albo „odpowiedzialność za motywy i wnioski pozostawiając" temu lub owemu doktorowi nauk teozoficznych. Nie przeszkodzi to jej w chwili zapomnienia wykrzyknąć: Czemuż teurgia (wskrzeszanie umarłych) jest dla naszej medycyny mitem. Nie traćmy wszelako nadziei. Oto dr. Prus we Lwowie „wskrzesza" uduszonych pod chloroformem. „Postępujemy naprzód zdumiewająco" Właśnie.—Postępowalibyśmy może jeszcze bardziej

zdumiewająco, gbyby magowie współcześni nie skąpili nam światła, które posiadają snać już w całej pełni. Ale skąpią, gdyż prawda, zbyt nagle odsłoniona (pamiętajcie o młodzieńcu z Sais) „mogłaby podziałać oślepiająco". Wolne żarty! A co do argumentu, że „jak świat światem, synowie wyprzedzali ojców", a więc w rzekomem wstecznictwie „schyłkowego pokolenia dni naszych coś postępowego... być wszakże musi" — trudno zrozumieć, dla czego „prawdziwa wiedza", zamiast nieprzerwanie wzbijać się na coraz wyższe szczeble, wciąż upadała w kolei wieków, aż oto wesoły nam dziś dzień nastał... Po drugie, na tej samej podstawie Chamberlain jest o wiele postępowszym od Gladstone'a. Bo i pewnie! Takie oto są „brzaski" i takie „przebudzenie się duszy" — Nie utożsamiając zgoła pierwiastku psychicznego i materyalnego, ciężko jest wszakże zaufać „nowym metodom naukowym", prowadzącym wprost do magii, chiromancyi, teurgii, tomatoturgii itd.

Z mistycznym kierunkiem myśli harmonizuje, częściowo przynajmniej, skłonność do oddawania przewagi w sferze duchowej pierwiastkom indywidualnym. Nie inaczej jest u M. Cz. Przewóskiej. Jeżeli jest prawdą, iż cały nasz postęp dotychczasowy, czy to w wysiłkach badawczych, czy w warunkach społecznego istnienia, zwraca się ku stronie zewnętrznej, ku poznaniu jeno stosunków między zjawiskami (a jak to już wiemy, jest to zatrzymywać się na powierzchni wszechżycia), lub ku przekształceniu materyalnej podstawy bytu, i jeżeli jest rzeczą pewną (a dla autorki nie ulega to wątpliwości), iż wszystkie te dążenia prowadzą ku upadkowi jedynie — jeżeli to wszystko jest prawdą; ze smutkiem lub ironią spoglądać będziemy na próżne starania ludzkie, w niewłaściwej przedsiębrane dziedzinie, sami zaś raczej wszystkie siły wytężymy ku rozwojowi i spotęgowaniu swej jaźni. Tylko przysłuchując się szmerom własnej duszy dobiegającym nas poprzez kratę zmysłów, spojrzeć możemy, jak przez okno, w głąb otchłani, kryjącej tajemnice kosmiczne.

Indywidualizm autorki jest przecież wybitnie społecznym. Gdy dla innych, w teoryi przynajmniej, potęga objawień „nagiej", absolutnej, duszy jednostki jest sama dla siebie celem, dla Przewóskiej nurty współczesnego mistycyzmu przynoszą najcenniejszy dar: zaciśnienie węzłów braterstwa między istotami, zaludniającemi wszechświat. „Z tego włonienia się w duszę drugich wzbiera nam w piersiach jakaś niezmiernie tęskna i rzewna niezmiernie fala współczuć." „My, jako ludzkość, jesteśmy tylko cząsteczką natury, pnia jej wspólnego jedną drobną gałązką, — jednym drobniuchnym mikroorganizmem komórki wszechświata, jako jednostka ludzka. Gdy my cierpimy, jako komórka - człowiek, cierpi wraz z nami i gałąź nasza —

ludzkość, i cierpi z nami natura wszechświat". Gdy dla innych sztuka jest jedyną religią i celem, sztuka ponad życiem się unosząca, a mająca w żywiołowych rzutach duszy artysty odsłaniać tajnię bytu, dla Przewóskiej istnieje właściwie jedno zagadnienie: „jak uczynić człowieka doskonalszym", doskonalszym w sobie samym i w pożyciu gromadzkiem. Typami przyszłej literatury będą, według niej, „bohaterowie obowiązku i czynu, wyznawcy hartu woli, przenosić mającej góry". Chrześciańskie pojęcie miłości, obowiązku i czynu jest dla niej probierzem wartości myśli ludzkiej i postępowania ludzkiego. Z tego punktu widzenia w swym szkicu o Nietzschem — prostując wiele błędnych mniemań, co do autora Zaratustry, powstaje zarazem gorąco przeciw wstecznym jego zapędom; z tego punktu widzenia, nie mniej stanowczo od prof. Struvego, ciska gromy na „anarchizm ducha". Jest indywidualistką, gdyż punktem wyjścia jest dla niej doskonalenie jednostki; ale celem ostatecznym jest społeczeństwo, ludzkość... „Zbrodnie anarchizmu ukazują się jakby najwyższem potępieniem dążeń tych wszystkich marzycieli, którzy polepszyć chcieli byt człowieczy bez polepszenia człowieczego serca". Nie wierzymy temu; nie wierzymy, iżby kiedykolwiek „wiedza tajemna" zawładnęła światem; iżby odrodzenie duszy miało brać początek od Maeterlincka, czy od kogokolwiek; iżby przyroda miała duszę nam współczującą, i żeby prawdą być miało, iż wielkim zaburzeniom społecznym odpowiadały zwykle odnośne kataklizmy przyrody i na odwrót", i że nawet charakter pewnych chorób (epidemia), nosi na sobie wyraźną cechę natury kosmicznej". Ale to pewna, że autorka miała prawo ofiarować książkę swą „tym, którzy czują, a myślą i pragną", gdyż sama do ich rzędu należy.

A. Drogoszewski.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Przed niedawnym czasem Aleksander hr. Dienheim Szczawiński-Brochocki i żona jego, znana śpiewaczka, pani Adelajda Bolska, rozpoczęli starania o wyjednanie pozwolenia na postawienie w Warszawie pomnika Fryderykowi Chopinowi i o zbieranie ofiar na cel pomieniony. Szlachetną tę inicyatywę uwieńczył pomyślny skutek; otrzymano pozwolenie pod warunkiem zachowania zastrzeżeń następujących: dla zawiadywania tą sprawą utworzy się komitet, złożony z 12 osób; komitet zatwierdzi generał-gubernator, poczem członkowie jego będą mogli zbierać ofiary na pomnik, wyłącznie jednak pomiędzy wielbicielami talentu wielkiego muzyka i nie uciekając się do drukowania odezw i wogóle do pomocy gazet.

W ostatnich dniach J. E. główny naczelnik kraju zatwierdził właśnie skład komitetu budowy pomnika w osobach: 1) Aleksandra hr. Dienheim Szczawińskiego Brochockiego; 2) Adelajdy ze Skąpskich hr. Szczawińskiej-Brochockiej; 3) Feliksa hr. Czackiego; 4) Adama hr. Krasińskiego; 4) Maurycego hr. Zamoyskiego; 6) Stefana ks. Lubomirskiego; 7) Ignacego Paderewskiego; 8) Maryana Gawalewicza; 9) d-ra Henryka Dobrzyckiego; 10) Juliana Adolfa Święcickiego, 11) Abdona Zana i 12) Ludwika Grossmana.

W tym składzie komitet przystąpił już do obrad i pracuje nad szczegółowym programem swej działalności, którą omawiać będziemy w miarę posuwania się rzeczy naprzód. Na razie możemy tylko wypowiedzieć się w sprawie wyboru miejsca pod pomnik.

Warszawa posiada tak mało przestrzeni, tak mało placów odpowiednych, że wybór musi być kłopotliwym i, zaiste, trudno będzie oświadczyć się bez zastrzeżeń za tem lub za owem miejscem, zwłaszcza, że pomnik z natury rzeczy musi stać w śródmieściu, w dzielnicy ruchliwej i ładnie zabudowanej. Dzielnicą, odpowiadającą tym wszystkim warunkom, naszem zdaniem, będzie dopiero nowy obszar miasta, który za lat kilka powstanie na terytoryum dawnego szpitala Dzie-

ciątka Jezus. Tam zwracają się oczy wszystkich i naprawdę trudno chyba o lepszy punkt na całej przestrzeni miasta. Tam powinien też stanąć pomnik, o ile, naturalnie, po bliższem zbadaniu sprawy, okaże się to możliwem i odpowiednem. Sądzimy wszakże, iż obrady komitetu, dotyczące wyboru miejsca, toczyć się powinny nie inaczej, jak ze szczególnem uwzględnieniem placu Wareckiego i okolic Filharmonii.

Ministeryum oswiaty, jak to w swoim czasie donosiliśmy na tem miejscu, w szeregu prac swoich podjęło także reformę organizacyi wewnętrznej uniwersytetów ze specyalnym naciskiem na możność stowarzyszania się młodzieży. Obecnie ogłoszone zostały czasowe przepisy o organizacyi instytucyi studenckich w wyższych zakładach naukowych, pozostających pod nadzorem tego ministeryum.

Według przepisów ogłoszonych, władze wyższe zakładów naukowych mogą udzielać pozwolenia, wskutek starań studentów, na organizacyę kółek w celu wspólnej pracy na polu naukowem, na polu sztuki, rzemiosł, ćwiczeń fizycznych, jak również wspólnego stołowania się, jakoteż zakładania „herbaciarni“, kas oszczędnościowo-pożyczkowych i pomocy, kuratoryów, dostarczających pracy studentom niezamożnym, wreszcie bibliotek i wspólnych czytelni. Instytucye te mogą być organizowane zarówno dla całego zakładu, jak i dla pojedyńczych jego wydziałów, kursów, lub części kursów.

W tym celu zezwala się na urządzanie zebrań dla wyboru „starostów“, organizowanie komisyi itp. W zebraniach tych uczestniczyć mogą wszyscy studenci, z wyjątkiem studentów 1-go kursu, którzy prawa uczestnictwa w zgromadzeniach nabierają dopiero po upływie pierwszego półrocza studyów.

Zebrania odbywać się mogą tylko po uzyskaniu za każdym razem pozwolenia naczelnika zakładu i w wolnym od zajęć naukowych czasie. O celu zebrań tych i przedmiotach, jakie mają być na nich omawiane, powinien być zawczasu i na piśmie zawiadomiony naczelnik zakładu, który deleguje na nie osoby ze składu profesorów lub administracyi.

Na zebraniach tych prezyduje i prowadzi je obrany student. Obecny na zebraniu delegat ze strony władzy w wyborach i uchwałach nie uczestniczy. W razie jednak przekroczenia przez zebranych zakreślonych z góry granic, delegowany zwrócić się jest zobowiązany do prezydującego z uwagą, gdyby zaś to nie skutkowało, mo-

cen jest zebranie zawiesić, a o wydarzonym fakcie zawiadomić władzę, celem pociągnięcia winnych do odpowiedzialności.

Zebrania wybierają: kursowych i wydziałowych „starostów," oraz wszystkich wogóle studentów, powołanych do czynności w urządzonych przez studentów instytucyach.

Wybory dokonywane są na cały rok za pomocą zamkniętego balotowania i zwyczajną większością głosów w komplecie potrójnym, z którego władza wybiera dopiero i zatwierdza stosowną liczbę osób.

Listę wybranych studentów i wszelkie uchwały zebrań kursowych i wydziałowych, po podpisaniu przez prezydującego i obecnych „starostów", asystująca na zebraniu osoba urzędowa przedstawia do zatwierdzenia naczelnikowi danej istytucyi naukowej.

W początkach każdego roku naukowego, studenci danego kursu albo też wydziału, o ile liczba słuchaczów nie dochodzi 300, wybierają z pośród siebie na zebraniach za pomocą zamkniętego balotowania kursowych, wydziałowych lub oddziałowych „starostów", w liczbie określonej, których obowiązki są następujące: wyjednywanie pozwoleń na urządzanie zebrań; przestrzeganie, ażeby w zebraniach nie uczestniczyli studenci innych kursów lub wydziałów, oraz osoby obce; przedstawianie władzy potrzeb lub życzeń studentów z danego kursu lub wydziału; wypełnianie poleceń władzy, dotyczących stosunku jej ze studentami; przedstawianie zarządowi kasy wzajemnej pomocy i kuratoryum studentów, potrzebujących pomocy lub zajęcia w tych wypadkach, gdy ci z jakichkolwiek powodów nie mogą się o to zwrócić bezpośrednio; udział w komisyach, zarządzających kasą, kuratoryum itd.; podział z polecenia władzy między studentów funduszów rozporządzalnych i zajęć praktycznych.

W dalszym ciągu przepisy obejmują artykuły, dotyczące organizacyi instytucyi studenckich, jak wspólne kuchnie, herbaciarnie, kasy i kółka studenckie.

Bliższy zarząd pomienionemi instytucyami obowiązuje studentów pod dozorem i kierunkiem władzy naukowej, a mianowicie, profesora zatwierdzonego przez kuratora okręgu naukowego lub inną osobę z pośród urzędujacych, która się na to zgodzi. W lokalach instytucyi nie wolno bez pozwolenia władzy wywieszać żadnych ogłoszeń lub wezwań, jakoteż urządzać zebrań i wszelkiego rodzaju narad. Wszystkie fundusze instytucyi tych powinny się znajdować u kasyera zakładu naukowego; rozporządzanie zaś niemi dokonywa się na zasadzie specyalnej instrukcyi, zatwierdzonej przez kuratora okręgu.

Co do kas, to środki ich stanowią: składki dobrowolne członków kasy, ofiary i dochody z koncertów, przedstawień itp.

Taki jest w głównych zarysach kierunek, w którym rozwijać się ma zbiorowe życie studenckie. Dodać jeszcze należy, że nowe przepisy znoszą wiele paragrafów, obowiązujących dotąd, a między innemi dobrze znane §§ 11, 12 i 14 przepisów z roku 1898, wydanych dla studentów uniwersytetu warszawskiego.

W dniu 21 grudnia r. z. zatwierdzone zostało nowe prawo, reorganizujące dotychczasowe zasady bytu Towarzystw akcyjnych. Reforma, podjęta celem uzdrowienia obecnych stosunków, nie sięga jednak daleko i ma raczej charakter przepisów tymczasowych, które domagać się będą z czasem o wiele szerszego i głębszego ujęcia. Zanim to jednak nastąpi, niemałe już odda usługi akcyonaryuszom prawo obecne, nadające im znacznie silniejszą gwarancyę interesów.

Zmiany, które wprowadza nowe prawo, dotyczą: trybu zwoływania zebrań ogólnych, prawomocności tych zebrań; uwzględnienia praw mniejszości akcyonaryuszów, komisyi rewizyjnej i dyrektorów-zarządzających.

Co do pierwszego, przedewszystkiem skrócony został przedział czasu między terminem ogłoszeń o ogólnych zebraniach, a datą ich odbycia: najkrótszy termin wynosić może trzy tygodnie. W ogłoszeniach muszą być przytem wyszczególnione dokładnie wszystkie sprawy, podlegające obradom i postanowieniom zebrań. Nowe prawo wymaga nadto, ażeby właściciele akcyi imiennych o zebraniach powiadomieni byli osobiście, właściciele zaś akcyi na okaziciela również, jeżeli z podobnem żądaniem zgłoszą się w czasie właściwym. Zapewnia to większą skuteczność niż ta, którą dawały publikacye w gazetach.

Na cztery dni przed zebraniem, w lokalu, w którym się ono będzie odbywało, wywieszonym być powinien spis tych akcyonaruszów, którzy oświadczyli się z gotowością przybycia. Co do prawa głosu, to właściciele akcyi imiennych będą je posiadali, jeżeli przynajmniej na 7 dni przed zebraniem zapisani zostaną do księgi zarządu; akcye na okaziciela nadają również prawo głosu wówczas, gdy na dni 7 przed zebraniem zarządowi złożone zostaną. Przepis ten przedstawia bardzo znaczne ułatwienie, dotąd bowiem przeważnie obowiązywały ter-

miny długie, utrudniające udział w zebraniach. W razie, jeżeli zebranie ogólne w pierwszym terminie do skutku nie przyjdzie lub jeżeli uchwały jego nie będą prawomocne, następne zebranie odbyć się powinno na zasadzie ogłoszeń, poczynionych w 4 dni po terminie pierwszym, a najkrótszy termin odbycia nowego zgromadzenia ma być dni czternaście.

W punkcie drugim, dotyczącym prawomocności zebrań, nowe przepisy mają pewien liberalniejszy charakter. I tak: zebranie może się odbyć, jeżeli przybyli na nie akcyonaryusze przedstawiają $^1/_5$ całego kapitału, podczas kiedy dotychczas w większości Towarzystw akcyjnych obowiązywała $\frac{1}{2}$. Do prawomocności zebrań w sprawach powiększania lub zmniejszania kapitałów zakładowych, wypuszczania obligacyi, zmiany ustawy lub zlikwidowania, potrzebna będzie tylko obecność przedstawicieli połowy kapitału akcyjnego (w dotychczasowem prawie $^3/_4$). Zebrania, odbywane w terminie drugim, są prawomocne bez względu na liczbę obecnych. Głosowanie na zebraniach ogólnych musi być tajne na żądanie chociażby jednego tylko z obecnych, mających głos, akcyonaryuszów. Jeżeli zaś chodzi o wybór członków zarządu i organów nadzorczych, lub o pociąganie ich do odpowiedzialności, to bezwarunkowo obowiązuje głosowanie tajne. Podane są również dokładne przepisy co do tego, jak mają być prowadzone protokóły zebrań ogólnych. Akcyonaryusze korzystają z prawa głosowania przez pełnomocników, pełnomocnikami jednak mogą być tylko akcyonaryusze. Dla ściślejszej gwarancyi urzędnikom w towarzystwach akcyjnych, instytucyach kredytowych i w towarzystwach ubezpieczeń, niewolno uczestniczyć w zebraniach na zasadzie pełnomocnictw. Członkowie zarządu i organów nadzorczych nie mogą głosować w rostrzyganiu spraw, które dotyczą pociągania ich do odpowiedzialności lub uwalniania od niej, pozbawiania tych urzędów, przeznaczania im wynagrodzeń, oraz zatwierdzania sprawozdań.

Prawo mniejszości uwzględniają przepisy następujące: akcyonaryusz, który nie zgadza się z większością, zgłasza swoje „votum separatum.“ Zdanie to odrębne zapisuje się do protokółu, a w ciągu dni 7 można do protokółu dołączyć także i motywy tego zdania; akcyonaryusze, będący przedstawicielami przynajmniej $^1/_{20}$ części kapitału zakładowego, a nie $^1/_{10}$, jak to się praktykowało dotychczas, mają prawo żądać zwołania zebrania ogólnego, a zebranie to powinno być zwołane nie później, jak po upływie miesiąca. Akcyonaryusze, posiadający mniejszą od wymaganej do prawa głosu liczbę akcyi, mogą na zasadzie pełnomocnictw akcye swoje łączyć i tym sposobem zdobywać głosy. Najważniejszą atoli nowością jest, że akcyonaryusze, reprezentujący $^1/_5$ kapitału, zgłoszonego przed ogólnem zebraniem,

mogą wybrać jednego członka komisyi rewizyjnej, z czego wynika, że mniejszość może przeprowadzić jednego członka komisyi rewizyjnej.

Co do komisyi rewizyjnych, to o tych ustawa mówi dość szczegółowo. Komisya rewizyjna składa się z 5 członków i wybierana jest na przeciąg jednego roku, z góry, z pośród akcyonaryuszów, którzy nie są ani członkami zarządu, ani urzędnikami Towarzystwa. Członkowie zarządu i dyrektorzy zarządzający, przez dwa lata po ustąpieniu z zajmowanych stanowisk, nie mają prawa wybieralności do komisyi rewizyjnych. Komisya za pozwoleniem zebrania ogólnego może powoływać do swych zajęć specyalistów-ekspertów. Najpóźniej na miesiąc przed zebraniem ogólnem komisya zrewidować powinna kasę i kapitały, oraz sprawdzić wszystkie rachunki, przejrzeć dokumenty itd. Po sprawdzeniu bilansu i sprawozdania rocznego, komisya składa swoje wnioski zarządowi, który przedstawia je zebraniu ogólnemu. Komisya rewizyjna może przejrzeć i zrewidować cały majątek Towarzystwa, sprawdzić wszystkie wydatki i zbadać wszystkie, uskutecznione przez Towarzystwo, roboty. Ona rozpatruje także etat i plan działania na przyszłość, poczem może czynić swoje wnioski, które następnie będą przedstawione zebraniu ogólnemu. Komisya prowadzi protokóły swych posiedzeń, w których zaznacza wszystkie wypowiedziane żądania i zdania odrębne.

W sprawie dyrektorów zarządzających lub innych osób, powołanych do pełnienia czynności kierowniczych, w nowem prawie znajdujemy jeden tylko przepis, mianowicie, że tacy dyrektorowie instytucyi kredytowych nie mogą być jednocześnie dyrektorami zarządzającymi innych Towarzystw. Ograniczenie to prawa kumulacyi urzędów jest najzupełniej słuszne.

W tym zakresie szczupłym zamykają się nowe przepisy o Towarzystwach akcyjnych. Pominięto tu, jak widzieliśmy, sferę najważniejszą, bo sferę stosunków, dotyczących gromadzenia kapitału akcyjnego, subskrypcyi na akcye, odpowiedzialności założycieli za sfinansowanie przedsiębiorstwa itp. Wszelako w porównaniu z przepisami nieodpowiadającemi oddawna warunkom współczesnego rozwoju Towarzystw akcyjnych, zawartemi w §§ 2188—2198, część I, tom X „Zbioru praw“, nowe prawo jest poważnym krokiem naprzód i pozwala się spodziewać w niedługim czasie zupełnego uregulowania stosunków w tej dziedzinie, niezmiernie ważnej u nas dla rozwoju ekonomicznego, który w postaci tego rodzaju spółek znajduje najlepsze dla siebie oparcie. Zwłaszcza jako zabezpieczenie przeciwko nadużyciom i nieuczciwej spekulacyi w okresach przesileń, ustawa z dnia 21

grudnia staje się prawdziwą rękojmią ochronną i gwarancyą interesów wszystkich członków Towarzystw akcyjnych.

Zabieraliśmy w swoim czasie głos w sprawie „Towarzystwa ochrony kobiet". Było to w roku zeszłym, kiedy projekt takiego Towarzystwa dopiero kiełkował. Obecnie przyobleka się on w formy rzeczywistości, bowiem „Warszawskie chrześciańskie Towarzystwo ochrony kobiet" uzyskało już zatwierdzenie władzy i posiada ustawę, która pozwoli mu rozwinąć dobroczynną w mieście naszem działalność.

Ustawa ta za cel Towarzystwa podaje „ochronę dziewcząt i kobiet od upadku, oraz doprowadzenie upadłych do powrotu na drogę cnoty".

Środki do tego celu prowadzące ujęte zostały w 10 punktach, na których podstawie T-wo może:

1) Zawiadamiać sądy właściwe o konieczności utworzenia opieki nad sierotami, oraz dziećmi porzuconemi.

2) Pomagać niezamożnym rodzicom i opiekunom do wynalezienia stosownej opieki i zajęcia dla dzieci.

3) Dopomagać starszym dziewczętom i kobietom młodym do wyszukania pracy uczciwej.

4) Chronić je od niebezpieczeństw, jakie grożą im niejednokrotnie przy poszukiwaniu pracy, a w tym celu wszędzie na stacyach kolei, statków itp. wywieszać zawiadomienia specyalne, drukowane w języku rosyjskim, polskim i cudzoziemskich.

5) Zapobiegać wywożeniu dziewcząt za granicę, oraz zapobiegać t. zw. handlowi „żywym towarem".

6) Latem w czasie zmniejszenia robót w pracowniach dopomagać młodym robotnicom, pozbawionym zajęcia i środków do życia, do uzyskania pracy w mieście lub na wsi.

7) Skłaniać do pracy uczciwej młode kobiety, leczące się w szpitalach i instytucyach położniczych, dopomagać im do uzyskania pracy, ewentualnie dostarczać odpowiednego przytułku.

8) Utrzymywać agentów (którymi mogą być tylko członkowie T-wa, zatwierdzeni przez generał-gubernatora) dla wypełniania zadań T-wa.

9) Wydawać i rozprzestrzeniać książki i broszury w sprawach działalności Towarzystwa, miewać odczyty o korzyściach wstrzemięźliwości z punktu widzenia religii, moralności i hygieny.

10) Dopomagać wreszcie do umieszczania upadłych w istniejących w Warszawie zakładach.

Dla osiągnięcia tego, Towarzystwo ma prawo tworzyć następujące instytucye:

a) Sale rozrywek i zajęć dobrowolnych dla dziewcząt i kobiet niezamożnych w celu dostarczenia im godziwej rozrywki w czasie wolnym od pracy.

b) Schronienia chwilowe dla kobiet i dziewcząt przyjezdnych poszukujących pracy, lub zmieniających służbę, w których mogą przygotowywać się do zajęć różnych, oraz

c) Schroniska stałe dla kobiet i dziewcząt, pozbawionych ogniska domowego.

Instytucye te powstają w miarę środków Towarzystwa za zezwoleniem generał-gubernatora; dziewczęta w zakładach tych nie mogą być młodsze nad lat 16, a prawidła, opracowane przez zarząd tych schronisk, zatwierdza władza zwierzchnia krajowa.

Dla każdego z wyznań chrześciańskich tworzą się oddzielne schronienia pod kierownictwem i zarządem, oraz ze służbą tegoż samego, co i pensyonarki, wyznania.

Towarzystwo składa się z nieokreślonej liczby członków obu płci, wyznań chrześciańskich. Członkowie założyciele są pierwszymi członkami T-wa.

Członkowie dzielą się na: honorowych, wybieranych przez zebrania ogólne z pośród osób, które położyły zasługi szczególne dla Towarzystwa; rzeczywistych, opłacających po 5 rubli rocznie lub 150 rubli jednorazowo, którzy, mimo wniesienia składki, powinni czynnie dopomagać Towarzystwu w wypełnianiu jego zadań, i—czynnych, wybieranych przez zarząd dla wypełniania zadań Towarzystwa; nie płacą oni składek i nie służy im prawo głosu, a uchwałą zarządu mogą być pozbawieni tytułu w razie niespełniania swych obowiązków.

Środki czerpie T-wo ze składek członków, z wpływów z koncertów, przedstawień, bazarów, odczytów itp., z darowizn i zapisów, oraz dochodu od kapitałów.

Część wpływów od członków, oraz darowizny i zapisy, w tym celu ofiarowane T-wu, idą na kapitał zapasowy. Kapitały swe T-wo ma prawo lokować w papierach procentowych państwowych, listach zastawnych Tow. kred. m. Warszawy, ziemskich, listach likwidacyjnych, obligach m. Warszawy i oddawać na przechowanie do instytucyi państwowych.

Towarzystwo ma prawo, jako takie, nabywać i sprzedawać nieruchomości, oraz zawierać wszelkie, prawem przewidziane, umowy.

Korespondencya z władzami i osobami urzędowemi prowadzić się ma w języku rosyjskim; na zapytania i listy, wystosowane po rosyjsku, odpowiadać należy w tym języku, rachunkowość, księgi itp. prowadzić w języku rosyjskim, sprawozdania natomiast wydawać wolno w 2-ch językach, a korespondencya i stosunki z osobami prywatnemi prowadzić wolno w języku polskim.

Towarzystwo pozostaje pod władzą ministeryum spraw wewnętrznych i pod kontrolą rady miejskiej dobroczynności publicznej.

W razie zamknięcia Towarzystwa, majątek, powstały z zapisów warunkowych otrzymuje przeznaczenie, przewidziane przez ofiarodawców, pozostały zaś, na zasadzie uchwały zebrania ogólnego, zatwierdzonej przez generał-gubernatora warszawskiego, staje się własnością instytucyi, która zaopiekuje się instytucyami utworzonemi przez T-wo, a w razie ich zamknięcia otrzymuje przeznaczenie, uchwalone przez zebranie ogólne.

Nie wdajemy się w szczegóły, nie przytaczamy tych artykułów ustawy, które dotyczą organizacyi wewnętrznej Towarzystwa. Pragnęlibyśmy podkreślić natomiast szeroki zakres działalności, która się otwiera przed nową instytucyą. Zadania jej są bardzo poważne czynić i uczynić może ona wiele. Jak widzieliśmy, nietylko ratowanie kobiet upadłych, nietylko wydobywanie ich z grzązkiej topieli występku, ale (i to z naciskiem szczególnym) zapobieganie temu upadkowi, ochrona przed nim—stanowią dążenie T-wa. Tutaj powinno ono spotkać się z najsilniejszem poparciem ogółu. Bez wahania na listę członków powinni się wpisać ludzie dobrej woli, wszyscy, którym zdrowie społeczne leży na sercu, którzy zdają sobie sprawę z tej wielkiej, jątrzącej się rany, z tej niedoli, która jak lej wielkiego wiru wciąga w swój odmęt tyle ofiar i tyle ich codziennie chłonie. Jest to pilne i ważne, Towarzystwo bowiem dopiero na silnej i trwałej materyalnej podstawie będzie się mogło należycie organizować, a środków potrzebuje ono znacznych, bardzo znacznych, chociażby tylko na początkowe wyzyskanie ustawy, na częściowe spełnianie tych zadań, które mu ona zakreśla. Nie wątpimy, że rozumieją to wszyscy i że usiłowania założycieli poparte zostaną czynnie przez ogół światlejszych ludzi w kraju, że rychło powstaną oddziały Towarzystwa w miastach prowincyonalnych, a owocna działalność jego wkrótce zdoła się już zaznaczyć. Zwracamy też uwagę na to, że składka stosunkowo jest bardzo niewielka, członkowie rzeczywiści płacą bowiem tylko 5 rubli rocznie. Jest to kwota bardzo

drobna, nawet w budżecie średnio zamożnej rodziny i nie obciąży nikogo, a każda pięciorublówka taka przyczyni się już w pewnym stopniu do utrzymania na poziomie „człowieczeństwa“ niejednej istoty do podniesienia niejednej duszy z upadku, do zatrzymania innej nad krawędzią przepaści.

W kronice grudniowej scharakteryzowaliśmy w krótkich słowach działalność tyle zasłużonego społeczeństwu ks. Jana Tadeusza Lubomirskiego. Dzisiaj w uzupełnieniu tych słów, podajemy echa obchodu jubileuszowego, który ograniczył się wprawdzie tylko do wręczenia sędziwemu jubilatowi medalu pamiątkowego i odpowiednego adresu, był jednak ze względu na swój nastrój wysoki, chwilą nader podniosłą i na upamiętnienie zasługującą.

W dniu 8 stycznia, w pałacyku książęcym przy ulicy Wareckiej, zebrali się o godzinie 2 po południu delegaci wszystkich instytucyi, które, bądź powstanie, bądź rozwój swój zawdzięczają księciu. Pierwszy przemówił do jubilata w imieniu obywateli kraju p Ludwik Górski, a po skończonej przemowie wręczył księciu medal z napisem „W uznaniu półwiekowej pracy społecznej — współobywatele“ Następnie hrabia Feliks Czacki odczytał wypisany na pergaminie i opatrzony kilkuset podpisami adres, który brzmiał, jak następuje:

„Mości książę!.. Świeciłeś zawsze swoją obecnością i dobrym przykładem, a niezrażony przeszkodami, dążyłeś wytrwale do zamierzonych celów.

„Rozpoczęta w dobie ogólnego zastoju szeroka, nieustająca działalność Twoja na polu pracy społecznej, dobroczynności i nauki, sprawiła, że w roku ubiegłym prastara wszechnica Jagiellońska, obchodząc uroczyście pięćsetną rocznicę swego założenia, w ocenieniu Twoich zasług, udzieliła ci dyplomu doktora filozofii honoris causa. Obecnie grono Twoich współobywateli i rodaków, świadków Twojej owocnej działalności półwiekowej, czy to jako inicyatora i założyciela, czy to, jako gorliwego współpracownika licznych instytucyi i wydawnictw naukowych, nie szczędzącego nigdy trudów i zabiegów, aby zamiary i usiłowania pożyteczne do skutku doprowadzić, czy wreszcie, jako pracowitego i gruntownego badacza naszej przeszłości narodowej—pragnie utrwalić wyrazy szczerego i głębokiego

uznania dla Twoich cnót i zasług obywatelskich. W tym celu składamy Ci, mości książę, medal pamiątkowy na Twoją cześć wybity, wraz z życzeniami, abyś jeszcze długo mógł dla nas i z nami pracować."

Z kolei zabrał głos Maciej ks. Radziwiłł i w słowach gorących złożył jubilatowi życzenia imieniem Towarzystwa dobroczynności.

Dalszym mówcą, przedstawicielem historyków polskich, był Tadeusz Korzon.

Piękne i serdeczne to przemówienie pozwolimy sobie przytoczyć tu w całości, tak, jak je nazajutrz po obchodzie podał „Kuryer Warszawski".

Mowa brzmiała:

„Mości książę! Racz przyjąć hołd od historyków: Wszak Twoja praca gabinetowa do ich cechu należy. Pozwól, że określę ich stosunek do Ciebie.

Rozpocząłeś swą pracę na tem polu, o ile wiem, w r. 1855 rozprawą p. t. „Starostwo rateńskie". Ja siedziałem wówczas na ławie uniwersyteckiej i dzisiaj jeszcze żywo przechowuję w pamięci wrażenie, jakie na nas sprawiła. Nie zważaliśmy na tę okoliczność, że, stojąc na wyżynach społecznych, zwróciłeś badania swoje na dolę maluczkich, na wyświetlenie życia najniższej klasy, ale porwał nas temat, bośmy wszyscy przejęci byli troską o los i przyszłość ludu. Temat Twój był tak nowy w naszej literaturze owoczesnej, że redakcya „Biblioteki warszawskiej" uznała za stosowne dodać od siebie przypisek:

„Szacowna praca, z której ten wyciąg udzielony nam został, historycznie wystawia koleje wszystkich u nas osad na prawie wołoskiem i zmianę ich bytu w różnych epokach ze stanowiska ekonomicznego ocenia. Jest to więc przyczynek do dziejów tej klasy narodu, którą zowiemy gminem, a której cnotom i zasługom tak niesprawiedliwą obojętnością dozwalamy ginąć w zapomnieniu"

Przed Tobą jedynie tylko Lelewel takie sprawy poruszał.

Potem drukowałeś w latach 1857, 1858, 1861—2 studya o „Ludności rolniczej w Polsce", o „Jurysdykcyi patrymonialnej w Polsce", a chociaż minęło od tego czasu blizko pół stulecia, nie utraciły one przecież nic ze swojej wartości i nie utracą bodaj nigdy.

Czy może być dla historyka większa pochwała i milsza nagroda?

Przyszły następnie „Trzy rozdziały z historyi skarbowości r. 1507, 1512 i 1532" (1868), a któż do dziś dnia opracował je dokładniej

sumiennej? Ja czerpałem od Ciebie mnóstwo wiadomości do swoich studyów, tak jeszcze niedawno.

Rozwinąłeś obok tego rozległą działalność wydawniczą: „Kodeks dyplomatyczny Księstwa Mazowieckiego“ (1862), „Dzienniki sejmów walnych r. 1555 i 1558“ (1869) itd.

Nie mogę tu wdawać się w bibliografię, powiem tylko ogólnikowo, że cokolwiek się znalazło cennego w archiwach tutejszych, petersburskich lub własnych i cudzych prywatnych, co rzucało promień światła na sejmowanie, na stosunki prawne lub ekonomiczne, albo na mężów wielkiego charakteru, jak Żółkiewski — to się ukazywało w druku, częstokroć bez nazwiska i bez inicyałów wydawcy. Tymczasem poprzedzała je przedmowa, stanowiąca zwykle, jak naprzykład w „Księdze ziemi czerskiej“, samodzielną rozprawę.

Wynika stąd niedogodność dla historyków, a nawet dla bibliotekarzy, że trudno jest wynajdywać te wydawnictwa w katalogach bez pomocy Estreichera, albo ustnej informacyi rzeczoznawców.

Odróżniłeś się, mości książę, od pisarzy dzisiejszych, tak skwapliwie posługujących się reklamą. Można Cię stawić im za wzór skromności, jakkolwiek dodał-bym zatrzeżenie, co do miary w interesie ułatwień poszukiwania. No, ale musimy już godzić się z Twoją zasadą.

Ja niedawno nazwałem Cię na cztery oczy: „Il mio maestro, il mio autore“, całując Cię w ramię; dziś chcę najgłośniej, jeśli nie publicznie, to przynajmniej w obecności zgromadzonych tu osób, uznać się za ucznia Twojego, a nikt mi nie zaprzeczy, jeśli w imieniu wszystkich żyjących historyków naszych oświadczę, że Cię uznają za swego Nestora, mądrego, zacnego, czci najgodniejszego.“

W dalszym ciągu przemawiali: prof. Roman Plenkiewicz w imieniu redakcyi „Encyklopedyi wychowawczej“, Julian Wieniawski (Jordan) w imieniu Towarzystwa wzajemnego kredytu, Bardzki w imieniu władz Tow. kredytowego m. Warszawy, Kaszewski w imieniu urzędników Tow., wreszcie starszy zgromadzenia krawców, Juszczyk — w imieniu rzemieślników.

Książę, zaraz po przemówieniu p. Ludwika Górskiego, dziękował zgromadzonym, kładąc nacisk na to, że wszystkie prace swoje przedsiębrał zawsze z myślą o dobru społeczeństwa i kraju.

Przed niedawnym czasem wniesiono do ministeryum Najwyższego Dworu podanie, uzasadniające potrzebę otwarcia w Warszawie „Wyższej szkoły sztuk pięknych“ z dołączeniem projektu ustawy przyszłej instytucyi. Ustawa ta, po wprowadzeniu do niej niektórych zmian, spotkała się z opinią przychylną i ministeryum wypowiedziało się zasadniczo za szkołą, wobec czego powstanie jej jest już tylko kwestyą czasu. Założycielami szkoły są: Adam ordynat hr. Krasiński, Maurycy ordynat hr. Zamoyski, pp. Stanisław Rotwand, dr Teodor Dunin, Mathias Berson i Lucyan Wrotnowski.

Zgodnie z ustawą „Warszawska wyższa szkoła sztuk pięknych“ będzie miała na celu kształcenie artystów: malarzy, rzeźbiarzy i rysowników, dla potrzeb artystycznych i dzieł artystyczno-przemysłowych, tudzież wogóle współdziałanie rozwojowi artystycznemu wśród ludności miejscowej; pozostawać będzie w zarządzie ministeryum Dworu Cesarskiego; ogólny dozór nad jej działalnością wykonywać będzie miejscowy komitet opiekuńczy; honorowym jej kuratorem będzie generał-gubernator warszawski.

Co do funduszów szkoły, to ustawa tak je określa:

Fundusze szkoły stanowią: a) dochód z opłat za naukę, b) subsydya i ofiary od instytucyi i osób prywatnych; c) jednorazowe i coroczne składki członków założycieli, członków rzeczywistych i członków protektorów. Członkami założycielami są osoby, które albo do czasu zatwierdzenia ustawy wniosły lub w przyszłości wniosą na rzecz szkoły nie mniej, jak 1000 rb.; rzeczywistymi członkami są osoby, które już zobowiązały się lub zobowiążą się w przyszłości do wniesienia w tym samym celu nie mniej, jak 500 rb. jednorazowo, lub w ciągu 5 lat po rb. 100 rocznie; członkami protektorami wreszcie są osoby, które zobowiążą się wnieść corocznie na rzecz szkoły nie mniej jak 10 rb.

Wykłady w szkole dzielić się będą pomiędzy klasy ogólne i specyalne. W klasach ogólnych przedmioty wykładów stanowią: a) rysunek, malowanie i rzeźba z natury i b) kompozycya. Klasy ogólne podlegają kolejnemu kierunkowi profesorów szkoły. Kolej wykładów w klasach ogólnych ustanawia rada pedagogiczna szkoły. Z decyzyi tej rady uczeń przechodzi z klas ogólnych do specyalnych artystycznych, albo artystyczno-przemysłowych pracowni artystów kierowników wedle własnego wyboru i za zgodą wybranego profesora. Zajęcia artystyczne uczniów w pracowniach specyalnych prowadzone

będą wyłącznie według systemu i osobistego uznania artysty kierownika. Przy szkole z decyzyi komitetu opiekuńczego i rady pedagogicznej może być otwarta szkoła przygotowawcza. Staraniem tych dwu ciał mogą być otwarte także przy szkole klasy niedzielne rysunkowe.

W celu teoretycznego przygotowania uczniów przy szkole wykładany będzie kurs nieobowiązkowy z przedmiotów, mających bezpośredni związek ze sztuką plastyczną, mianowicie kurs anatomii i perspektywy. Szkoła będzie miała prawo urządzać dla wychowańców swoich konkursy z nagrodami pieniężnemi, zarówno z własnych funduszów, jak również zgodnie z żądaniem osób, ofiarujących na konkurs odpowiedną sumę. Przy szkole znajdować się będzie biblioteka specyalna i muzeum pomocnicze dla uczniów. Do pracy w bibliotece i w muzeum dopuszczane będą również i osoby postronne, nie inaczej jednak, jak za pozwoleniem dyrektora szkoły. Przy szkole urządzane będą wystawy publiczne prac uczniów, w celu dania ogólnego pojęcia o działalności szkoły i jej kierunku artystycznym.

W charakterze uczniów do szkoły przyjmowane będą osoby płci obojej, bez różnicy pochodzenia, wieku, wyznania i przygotowania naukowego. Wszyscy przyjęci do szkoły wstępują do klas ogólnych w celu poprzedniego paddania się egzaminowi, trwającemu nie krócej, jak miesiąc. Po upływie terminu egzaminu mogą oni być z decyzyi rady pedagogicznej albo pozostawieni w klasach ogólnych, albo promowani do klas przygotowawczych i specyalnych. Przyjmowanie uczniów trwać będzie przez cały rok. Uczniowie, którzy przebędą w klasach ogólnych lat 5 i nie będą promowani do klas specyalnych (profesorów kierowników), decyzyą rady pedagogicznej zostaną uwolnieni. Świadectwa z ukończenia szkoły wydawane będą na zasadzie prac, wykonanych przez uczniów i uznanych przez radę pedagogiczną za zadawalające.

Wykłady w nowej szkole odbywać się mają w języku rosyjskim.

Trzy nazwiska zapisały się niemal jednocześnie na kartach naszej filantropii, trzy rozumne, świadome siebie wole zdobyły się na czyny dobre i szlachetne.

Przedewszystkiem hr. Feliks i Emilia Sobańscy złożyli na ręce Towarzystwa rolniczego gub. Warszawskiej rubli 100,000 z przeznaczeniem funduszu tego na kasę przezorności lub kasę emerytalną

dla oficyalistów rolnych. Kasa taka, jak wiadomo, istnieje już pod firmą kasy ogrodników i rolników, do niej więc fundusz powyższy będzie przelany, a spożytkowanie go określi specyalna ustawa.

Następnie znaczne zapisy ujawnił testament ś. p. J. G. Blocha, któremu na innem miejscu poświęcamy wspomnienie. Zapisy e sięgają poważnej kwoty 420,000 rubli, a z tego 300,000 rb. w gotowiźnie i placach przeznaczone zostało na założenie nowej instytucyi, mającej na celu ulżenie niedoli dziecięcej, zaś 50,000 rb. na cele propagandy pokojowej.

Trzecim wreszcie ofiarodawcą jest skromny i nieznany prawie nikomu, kupiec warszawski, Stern, zmarły niedawno. Poczynione przez niego zapisy dobroczynne wynoszą w sumie ogólnej 250,000 rubli.

W ten sposób w krótkim czasie na cele użyteczności publicznej wpłynęło 770,000 rb., które, użyte zgodnie z ich przeznaczeniem, przyczynią się chociaż w pewnym stopniu do ulżenia niedoli ludzkiej. A niedola ta płynie szerokiem łożyskiem w naszym kraju. Niewątpliwie największą jest ona w Warszawie, jako mieście wielkiem, którego warunki wytwarzają całe legiony nędzarzy bez chleba, skazanych na głód i chłód. Ale nędzy i biedy nie brak na prowincyi, nie brak po wsiach i miasteczkach i dla tego na szczególne podniesienie zasługuje ofiara hr. Sobańskich, którzy bodaj pierwsi z licznych i hojnych u nas ofiarodawców, pomyśleli o koniecznej potrzebie zaopiekowania się pracownikami na roli. Gdyby za ich przykładem poszli zamożniejsi ziemianie nasi, gdyby fundusz ten przy ich współudziale powiększyć się mógł w dziesięćkroć, byt pracowników rolnych, a raczej ich starość bezprzytulna, ich niedołęstwo w razie choroby i kalectwa, znalazły-by tak pożądane zabezpieczenie. Dojść do tego można tylko wspólnemi siłami, wspólną ofirnością.

Od nowego roku zaczęło wychodzić w Warszawie pismo p. t. „Naokoło świata“. Wydawcą tego pisma jest pan Antoni Orłowski, redaktorem, znany przyrodnik, p. Wacław Jezierski. Charakter popularno-naukowy pozwala wróżyć pomyślnie o przyszłości nowego organu. Od czasów „Wędrowca“, który po śmierci swego założyciela i kierownika, ś. p. F. Sulimierskiego, powoli tracił swoją właściwą barwę i zbaczał z dróg, początkowo mu nakreślonych, aż przeisto-

czył się ostatecznie i został pismem artystyczno-literackiem, takiego właśnie tygodnika, jakim zaraz z pierwszych numerów okazuje się „Naokoło świata“ brakowało nam, a zwłaszcza brakowało naszej młodzieży.

Oto jak redakcya swoje zadanie pojmuje:

W epoce—czytamy na wstępie—w której ludzkość przy pomocy potężnych i wciąż doskonalonych środków technicznych opanowała odległości, prądy myślowe i ekonomiczne obiegają nasz glob z błyskawiczną, rzec można, szybkością. Każda nowa myśl, rodząca się gdziekolwiek na ziemi, staje się natychmiast własnością całej myślącej ludzkości. Każdy miejscowy objaw ekonomiczny dotyka mniej lub więcej całą społeczność ludzką, związaną z sobą stosunkami wymiany produktów. I niema tak odosobnionego zamieszkanego zakątka ziemi, który-by w większym lub mniejszym stopniu nie uległ tym prądom, nie był myślowo i ekonomicznie zainteresowany w życiu całej kuli ziemskiej. Pismo pragnie więc przedewszystkiem być pośrednikiem tych niezmiernie żywotnych interesów między całą ziemią a naszym krajem. Ale pośrednictwo takie, rola informacyjna—to dopiero część zadania i dla gruntownego poznania zjawisk ziemskich niedość jest przyjąć je do wiadomości, należy je zrozumieć w ich wzajemnym związku, w ich przyczynach i skutkach, a w tym celu należy posiadać odpowiedne naukowe przygotowanie. Dla tego to pismo, prócz informacyjnego, stawia sobie jeszcze zadanie pedagogiczne, kształcące, uważa sobie za cel rozpowszechnianie wśród swych czytelników takich gałęzi wiedzy o przyrodzie i człowieku, które stanowią konieczną podstawę do głębszego zrozumienia zjawisk ziemskich, jako pewnej syntezy; syntezą taką jest geografia, w dzisiejszem, naukowem tego słowa znaczeniu. Naturalnie, że obok uwzględnienia krain dalekich gromadzone i grupowane będą na pomienionej ogólno-naukowej podstawie wiadomości geograficzne o własnym kraju, którego dokładne poznanie każdy uważać winien za swój obowiązek.

Takie są wytyczne punkty, stanowiące kierunek działalności pisma. Dobrze było-by uzupełnić ją jeszcze w przyszłości przez uwzględnienie wiadomości handlowo-geograficznych, a nawet przez stworzenie w piśmie specyalnego działu, poświęconego geografii handlowej. Nauka to u nas bardzo zaniedbana i niemal zupełnie leżąca odłogiem. Pod tym względem nie znamy zwłaszcza kraju własnego, co niewątpliwie smutnie się odbija na całokształcie naszych stosunków ekonomicznych.

Jak się pismo z zadań swych wywiąże, o tem mówić dzisiaj byłoby rzeczą przedwczesną. Pierwsze numery są ułożone dobrze, mają treść obfitą i zajmującą. Nieco do życzenia pozostawia w nich tylko strona wydawnicza, nie wątpimy jednak, że redakcya dołoży starań, aby i w tym kierunku stale postępować naprzód.

Przed niedawnym czasem zmarł w Warszawie zapomniany i w zupełnem osamotnieniu dożywający kresu dni swoich, niegdyś ceniony malarz, ś. p. Feliks Sypniewski. Zmarły należał do nielicznych już dzisiaj wychowańców warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Urodzony w r. 1833, już w roku 1849 był uczniem tej szkoły, a po opuszczeniu jej kształcił się pomiędzy rokiem 1855—1857 w Paryżu. Po powrocie do kraju z zapałem oddał się umiłowanej pracy i wkrótce zdobył sobie popularność. Do celniejszych jego obrazów należały: „Bitwa pod Obertynem“, „Wacław przy trupie Maryi“, karton węglowy „Medalierzy na dworze Zygmunta“, „Toast weselny“, reprodukowany jako premium Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, wreszcie „Alf i Aldona“.

Od wielu już lat ś. p. Sypniewski przestał wystawiać, malował jednak do końca życia i zostawił sporą ilość rozmaitego rodzaju płócien.

Smutny jego koniec, którego szczegóły znane są z pism codziennych, jest jednym więcej argumentem, uzasadniającym konieczną potrzebę założenia przytułku dla podupadłych artystów, którzy tak rzadko zdobywają u nas dobrobyt, zapewniający im spokojną i niezależną starość.

Działaczy na polu ekonomicznem kraj nasz posiada niewielu. Jednym z nich, i to najwybitniejszym, był zmarły w dniu 7 stycznia r. b. ś. p. Jan Gotlib Bloch, człowiek niezmordowanej pracy, energii i inicyatywy.

Urodzony w Radomiu w r. 1836, tam pobierał nauki początkowe, poczem kształcił się w gimnazyum realnem w Warszawie. Po ukończeniu tej szkoły, udał się do Petersburga, gdzie pracował w zawo-

dzie handlowym przy wielkim młynie parowym. Młody chłopiec, wchodzący zaledwie w życie, okazał na tem stanowisku skromnem takie zdolności, że mu to pozwoliło zbliżyć się do wielkich finansistów, przy których pomocy uzyskał koncesyę na budowę kolei i w krótkim przeciągu czasu zdobył majątek.

Był to jednak zaledwie zawiązek tej fortuny, która następnie w ręku jego rosła i urabiała się do milionowego majątku. Jako przedsiębiorca kolejowy, Bloch wybudował kolej fabryczno-łódzką, jedną z najdochodniejszych dróg żelaznych w Europie, kolej libawską i wspólnie z margrabią Wielopolskim kolej dąbrowską, administrował też przez czas pewien koleją brzesko-litewską, a następnie cała siecią kolei, łączących morze Baltyckie z Czarnem.

To były główne etapy na drodze jego do majątku. Poza tem ś. p. Bloch umiał się jednak zapisać także inaczej w pamięci społeczeństwa. Posiadając gruntowną wiedzę w dziale finansów i kolejnictwa, zostawił po sobie kilka prac w tej dziedzinie, wagi niemałej.

Pierwszem jego wybitnem dziełem była książka o dochodach i wydatkach eksploatacyjnych kolei rosyjskich, za którą na kongresie geograficznym w Paryżu otrzymał wielki medal złoty. Następnie wydał dzieło o kasach emerytalnych na kolejach. W r. 1875 pojawiło się 5-io tomowe dzieło jego w językach polskim, rosyjskim i francuskim p. t. „Wpływ kolei na stan ekonomiczny Rosyi". W r. 1877 ogłosił „Badania nad pobieraniem płac przewozowych w walucie metalicznej", w r. 1882 wydał pracę „O finansach Rosyi w XIX wieku," z osobnym dodatkiem p. t. „Finanse Królestwa Polskiego od r. 1815 do 1866", w 1880—„O kredycie melioracyjnym i stanie rolnictwa w kraju i za granicą", tudzież „O przemyśle fabrycznym Królestwa Polskiego w okresie dziesięcioletnim 1871—1880", wreszcie w 1892 —„Ziemia i jej odłużenie w Królestwie Polskiem".

Najpopularniejszą wszakże pracą ś. p. Blocha pozostanie „Przyszła wojna, jej ekonomiczne przyczyny i skutki". Wyjątki z tego dzieła, opracowanego na mocy tak bogatego materyału, jakim rzeczywiście tylko ludzie z milionowym majątkiem rozporządzać mogą na zawołanie, w swoim czasie drukowała nasza „Biblioteka", wyjątki niezmiernie ciekawe, zasobne w śmiałe i oryginalne poglądy. Dzieło to zjednało Blochowi szeroki rozgłos poza granicami kraju i państwa, a ogromne środki, które łożył na propagowanie swoich zasad, na poglądowe przedstawienie okropnych skutków wojny, uczyniły go w sferach wojskowych całej Europy—głośnym i podziwianym. Idea pokoju powszechnego była jego ostatnią ideą.

Zmarł w sile wieku, pozostawiając po sobie wspomnienie człowieka czynu, woli niezłomnej i wytrwałości, godnej naśladowania. Zabrakło działacza, który przy gruntownej znajomości potrzeb kraju, dawał dowody dobrej woli, ilekroć wypadło tym potrzebom zaradzić. Z gotowością, na którą zawsze można było liczyć, przykładał ś. p. Bloch rękę do każdej sprawy, domagającej się rozumnej rady i skutecznej materyalnej pomocy. Ani jedna, ani druga nie zawiodła nigdy; kasę swoją otwierał zarówno filantrop na wołania niedoli, jak finansista, poczuwający się do obowiązku łożenia na cele społeczne. Śmierć ś. p. Blocha odczują—oprócz najbliższych—nieszczęśliwi, odczują i sfery, z których wychodziła inicyatywa rzeczy pożytecznych.

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

— Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. Dnia 7 stycznia bieżącego roku odbyło się posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego. Na posiedzeniu tem przyjęto następujące prace: p. M. Strzeleckiej: „Przyczynek do znajomości homologów desoksybenzoiny", ref. czł. Radziszewski; 2) p. A. Korczyńskiego: „O działaniu bromu na durol, pięciometylobenzol i sześciometylobenzol", ref. czł. Marchlewski; 3) p. St. Kępińskiego: „O całkach równań różniczkowych rzędu drugiego z sobą sprzężonych", ref. czł. Puzyna; 4) p. M. Rybińskiego: „Coleopterorum species novae, minusve cognitae, in Galicia inventae", ref czł. Wierzejski; 5) p. M. Raciborskiego: a) Kilka nieznanych paproci Archipelagu malajskiego, b) Chemiczna reakcya korzenia, c) O rozmnażaniu rostowem Angiopteris evecta, d) Kwiaty na plewach jęczmienia widlastego; 6) czł. W. Natansona: „O rozchodzeniu się małych ruchów w płynach lekkich"; 7) czł. A. Witkowskiego: „Spostrzeżenia nad elektrycznością atmosferyczną w Zakopanem"; 8) czł. W. Szajnochy: „Pochodzenie oleju skalnego w Wujczy w Królestwie Polskiem; 9) p. St. Zaremby: „Wyznaczenie przypadku, w którym funkcye zasadnicze Poincarégo mogą być wyprowadzone z funkcyj zasadniczych Le Roi, lub Stektona", ref. czł. Natanson; 10) czł. L. Marchlewskiego: „Ze studyów nad zielenią"; 11) czł. L. Birkenmajera: „Streszczenie dzieła o Koperniku".

— Komisya antropologiczna Akademii Umiejętności w Krakowie odbyła w ostatnim czasie (12 listopada i 17 grudnia 1901 roku) dwa posiedzenia, których owocem są uchwały, obchodzące szeroki ogół polski. Oto na wniosek sekretarza działu etnologicznego, profesora Zawilińskiego, i na podstawie szczegółowego planu, przedłożonego przez p. Włodzimierza Tetmajera, postanowiono przystąpić do ważnego wydawnictwa „*Ubiorów ludu polskiego*",

rozpoczynając od krakowskiego, do którego materyały obfite zebrał p. Wł. Tetmajer. Wydawnictwo to, w formie dużej 4-ki, pojawiać się będzie zeszytami, zawierającymi szereg tablic barwnych i czarnych, i stosowny objaśniający tekst do rycin. Komitet wydawniczy tworzą pp.: Tetmajer, Udziela i Zawiliński. W roku bieżącym komisya, w miarę środków, rozpocznie to kosztowne wydawnictwo, licząc na poparcie ogółu i sympatyczne przyjęcie.

Oprócz tego uchwalono drukować w tomach „*Materyałów*“ komisyi pozostałe po ś: p. profesorze Malinowskim materyały etnograficzne ze Spiżu, prace etnograficzne pp. Al. Seloniego i St. Zdziarskiego; a materyały etnograficzne z Rusi Podkarpackiej, zebrane przez ś. p. profesora Kopernickiego, oddano do uporządkowania p. Bohdanowi Łepkiemu.

Komisya przyjęła nadto do druku w swoich wydawnictwach sprawozdanie d-ra H. Hudaczka: „Z badań archeologicznych w dorzeczu Dniestru“, którego treść podał dr P. Bieńkowski, profesor archeologii klasycznej, oraz pracę antropologiczną d-ra Wł. Olechnowicza: „O cmentarzysku w Nowosiółkach“, i sprawozdanie p. St. Czarnowskiego z poszukiwań archeologicznych w tak zwanych Schroniskach, na górze Okopy, koło Ojcowa, przedstawione przez d-ra Demetrykiewicza, sekretarza działu antropologiczno-archeologicznego.

Uchwalono wreszcie wyrazić podziękowanie za dary, nadesłane do komisyi, pp. St. Czarnowskiemu w Królestwie i St. Wardzińskiemu w Galicyi.

— Posiedzenie *Wydziału historyczno - filozoficznego* odbyło się dnia 20 stycznia o godz. 6-ej wieczorem: Porządek dzienny: 1) Czł. M. Sokołowski: „Codex Egberti seu Gertrudianus w Cividale. Przyczynek do historyi sztuki ruskiej. 2) Dr St. Kutrzeba: „Handel Krakowa w wiekach średnich, na tle stosunków handlowych polskich“.

Następnie odbyło się posiedzenie administracyjne.

— ODEZWA AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.

„Pragnąc ożywić i ułatwić wśród naszego społeczeństwa znajomość starożytnego świata, uchwaliła Akademia Umiejętności w Krakowie, na zebraniu walnem, odbytem 30 listopada 1901 roku, przystąpić do wydawnictwa przekładów autorów starożytnych greckich i rzymskich, którzy pisali i działali przed siódmym wiekiem po Chrystusie.

„Tłómacze, którzy-by zamierzali wziąć udział w tem wydawnictwie, powinni swe przekłady przesyłać pod adresem Wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie. Wydział ten będzie wartość prac oceniał i zalecał je do druku. Dopuszczane będą tylko przekłady wzorowe, poczytne pod względem języka i poprawne pod względem rozumienia autora, takie, które mogą się stać trwałym nabytkiem piśmiennictwa polskiego; niezbędna wierność nie powinna w nich tłumić jasności, ani sprowadzać wykroczeń przeciw

duchowi ojczystego języka. Przy utworach poezyi będzie przekład poetyczny niezbędnym warunkiem przyjęcia.

„Akademia nie ograniczy tego wydawnictwa do autorów klasycznych, pierwszorzędnych i najsławniejszych. Przekłady dzieł z zakresu nauk przyrodniczych i medycyny, tłómaczenia pisarzy chrześciańskich znajdą również uwzględnienie w zamierzonej publikacyi.

„Zrozumienie autora ułatwi krótka przedmowa o pisarzu i istocie jego dzieła; prócz tego, do miejsc, pod względem rzeczowym trudniejszych, wolno dodawać krótkie, niezbędne uwagi. Jakiekolwiek zmiany, lub opuszczenia w tekstach są natomiast niedopuszczalne. Tłómacze powinni używać przy tej pracy wydań poprawnych, uznanych za najlepsze.

„W razie większego przedsięwzięcia, mogą oni przesyłać z kolei pojedyncze utwory jakiegoś autora, które stanowią odrębną całość, naprzykład jeden dyalog Platona, lub Lukiana. Tłómacz, podejmujący przekład większego dzieła, mógł-by wydziałowi przedstawić próby swojej pracy, aby się zapewnić, czy przekład całości znajdzie uwzględnienie w zamierzonem wydawnictwie.

„Gdyby tenże chciał rzecz swoją ogłosić we wspomnianej publikacyi, a zastrzedz sobie po za tem prawa autorskie, Akademia nie była-by takiemu układowi przeciwna. Honorarya za przekłady oznaczać będzie wydział I w porozumieniu z tłómaczami. Prace przyjęte ogłaszać będzie Akademia kolejno pod tytułem: „Przekłady autorów starożytnych“.

„Otwiera się więc szerokie i wdzięczne pole do pracy, która mogła-by miłośnikom starożytności, przebywającym nawet na prowincyi, zapewnić szlachetne i odpowiednie zajęcie, a dla naszego społeczeństwa przyniosła-by nieobliczone korzyści. Język polski, tak bujny i bogaty, nagiął-by się do nowych odcieni i pojęć, a ze zdroju myśli starożytnej splynęły-by tysiączne podniety, użyźniające rozwój naszego piśmiennictwa i życie duchowe narodu“.

— NAGRODA NAUKOWA. Na grudniowem swem zebraniu paryska Akademia medyczna, mając wyznaczyć nagrodę imienia Hugo za najlepsze dzieło, jakie wyszło w ostatnich pięciu latach po francusku z zakresu historyi medycyny, przyznała tę nagrodę Warszawiance, pannie dr Melanii Lipińskiej, za jej pracę pod tytułem: „*Histoire des femmes médecins depuis l'antiquité jusqu'à nos jours*“. („Dzieje lekarek od starożytności do dni dzisiejszych“. Paryż, 1900. Jacques éd., str. 600).

— PAMIĘTNIKI X. BISKUPA KRASIŃSKIEGO. W czasopiśmie petersburskiem *Istoricz. Wiestnik*, ukazał się w przekładzie rosyjskim pamiętnik biskupa wileńskiego, ks. Adama Krasińskiego, zawierający przyczynki do historyi stosunków polsko-rosyjskich za panowania Aleksandra I-go i Mikołaja I-go. Pamiętnik ten drukowany był najpierw w *Czasie*.

— Staraniem *Towarzystwa miłośników historyi i zabytków Krakowa* ukaże się z końcem stycznia Rocznik krakowski, tom V-ty, pod

redakcyą prof. d-ra Stanisława Krzyżanowskiego, obejmujący następujące prace: Stanisława Tomkowicza: „Władysław Łuszczkiewicz“; Władysława Łozińskiego: „Proces o pannę“; Adama Chmiela: „Z herbarza mieszczańskiego“; Juliana Pagaczewskiego: „Jasełka krakowskie“; Klemensa Bąkowskiego: „Dawne biegi Wisły i rzek w Krakowie“; Aleksandra Czołowskiego: „Z zabytków krakowskich w Szwecyi“. Rocznik obejmuje kilkadziesiąt ilustracyj. (Adres Towarzystwa: Archiwum aktów dawnych miasta Krakowa, Sienna 16).

— KONKURS NA POLICHROMIE wnętrza kościoła katedralnego płockiego, który obecnie się restauruje, rozstrzygniętym został w niedzielę, dnia 15 grudnia 1901 roku, w Warszawie. Sąd konkursowy, pod przewodnictwem ks. biskupa płockiego, Szembeka, stanowili zaproszeni panowie: Badowski, artysta-malarz z Warszawy, ks. prof. Antoni Brykczyński, znany pisarz na polu sztuki kościelnej, Józef Dziekoński, powaga wśród architektów warszawskich, artyści-malarze z Warszawy: Zdzisław Jasieński i Miłosz Kotarbiński, ks. Antoni Nowowiejski, kanonik kapituły katedralnej z Płocka, Stefan Szyller, architekt z Warszawy, prowadzący dzieło restauracyi katedry płockiej i dr Stanisław Tomkowicz, konserwator zabytków z Krakowa.

Było trzech zaproszonych do udziału w konkursie malarzy, mianowicie pp.: Józef Bałła, malarz dekoracyjny, mieszkający w Wiedniu, Józef Mehoffer z Krakowa i Antoni Popiel ze Lwowa. Ostatni nie nadesłał żadnej pracy; tak więc wybór był między dwoma projektami. Sędziowie, uznając projekt p. Bałły jako poważny i zasługujący na uznanie, przyznali jednak pierwszeństwo projektowi p. Mehoffera, jako rzeczy, odznaczającej się zupełnie niezwykłą oryginalnością pomysłu, głębokością i duchem religijnym, oraz siłą kolorystyczną. Niektórzy członkowie jury tylko co do pewnych szczegółów czynili zastrzeżenia i wyrażali życzenie zmian. Wszyscy jednomyślnie zalecili projekt ten do wykonania, jeżeli tylko znajdą się kiedy środki, potrzebne do przeprowadzenia takiego dzieła.

Konkurs ten był już drugim z rzędu i ściślejszym. Pierwszy rozpisanym był na początku bieżącego roku, przed ingresem ks. biskupa Szembeka i przed rozpoczęciem restauracyi kościoła, która, jak się obecnie pokazało, pociągnęła za sobą znaczniejsze roboty i większe koszta, aniżeli przewidywano. Jak słyszymy, projekt p. Mehoffera ma być wystawionym w Warszawie, Krakowie i Wiedniu.

— CHRESTOMATYĘ POLSKĄ DLA SERBÓW ułożył dr Radowan Koszuticz i wydał w ostatnich tygodniach 1901 roku w Belgradzie nakładem królewskiej serbskiej drukarni państwowej pod podwójnym tytułem: „Wypisy polskie--Primeri književnogo jezika polskog“. Wyliczywszy na początku środki pomocnicze z zakresu filologii i historyi literatury, podaje następnie „jako wstęp“ i na wprawę w czytaniu krótkie wierszyki, przypo-

wiastki, przysłowia (str. 1—18), poczem dopiero obszerniejsze ustępy z Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Asnyka, Gomulickiego, Jankowskiego, Kasprowicza, Konopnickiej, Lenartowicza, Przesmyckiego, Niemojewskiego, Tetmajera, Wasilewskiego, Zaleskiego, Zmorskiego, z prozy zaś: Dygasińskiego, Kosiakiewicza, Orzeszkowej, Sawickiej, Głowackiego, Sienkiewicza, Szujskiego, Szymańskiego, Świętochowskiego, Tarnowskiego i Chmielowskiego (str. 18—160). Potem obszerne objaśnienia do miejsc tekstu, trudniej zrozumiałych dla czytelnika, nie obeznanego z rzeczami polskiemi („Napomnienie", str. 161—184); noty bio- i bibliograficzne o wszystkich autorach, cytowanych w książce („O piśćmа", str. 185—219); słownik, ułożony naukową metodą, tak, że adept slawistyki znajdzie tu zebrany w krótkości aparat lingwistyczny przy każdym wyrazie („Rocznik", z osobną paginacyą, str. XIII, 226). Słownik ten należało-by nądto wydać oddzielnie i, jako osobną książkę, wprowadzić w handel księgarski.

— NOWE KSIĄŻKI. Znany publicysta, p. Kazimierz Stryjeński, wydał w Paryżu ciekawe studyum historyczne pod tytułem: „*La Mère des trois derniers Bourbons*". Marya Józefa, księżna saska, mało była dotychczas znaną w historyi; nie oceniano należycie matki Ludwika XVI, Karola X i Ludwika XVIII. Dzięki poszukiwaniom autora, postać ta w nowem ukazuje się świetle. K. Stryjeński znalazł liczne, całkiem nieznane listy w Bibliotece Polskiej w Paryżu, w Ministeryum francuskiem spraw zagranicznych i w Archiwach drezdeńskich. Na podstawie tych materyałów wniknął autor w życie prywatne Maryi Józefy, grupując obok głównej postaci inne figury historyczne: Ludwika XV, Maryę Leszczyńską i Delfina. Znane są skandale z czasów Ludwika XV; natomiast nie była dotychczas znana strona uczciwa dworu Wersalskiego, którą p. Stryjeński umiejętnie i zajmująco przedstawił.

— Głośne są w całym świecie naukowym nazwisko i metoda Hipolita Taine'a. Wpływ jego był niemały i u nas. To też zwracamy uwagę na pierwszą, większą monografię francuską, poświęconą temu znakomitemu pisarzowi. Jest to studyum Wiktora *Giraud*, pod tytułem: „Essai sur Taine", które obecnie w ciągu roku wychodzi w drugiem wydaniu, zyskawszy zaraz po wyjściu nagrodę Akademii Francuskiej (Prix Bordin). Dzieło to, poświęcone członkowi Instytutu, Emilowi Boutroux, zawiera dokładną historyę rozwoju duchowego Taine'a. Szczegółowo rozpatrzył Giraud wartość Taine'a, jako filozofa, i znaczenie jego, jako pisarza. W osobnym rozdziale zastanowił się nad wpływem Taine'a. Pomimo widocznej sympatyi dla świetnego pisarza, Giraud nietylko nie ukrywa słabych jego stron, ale, owszem, poddaje znane formułki metodyczne Taine'a surowej krytyce. Do bardzo ważnego studyum dołączył autor wyjątki z czterdziestu artykułów Taine'a, rozproszonych po czasopismach i nie objętych żadnem wydaniem dzieł jego, następnie notatki brulionowe Taine'a, wreszcie zbiór ciekawych uwag o Tai-

nc'ie przez różnych współczesnych pisarzy: Vacherot'a, J. J. Weiss'a, E. Renana i innych. Książka ta wyszła nakładem firmy Hachette'a w Paryżu.

— W życiu Zygmunta Krasińskiego była epoka ciemna i zagadkowa: czas pierwszego jego pobytu za granicą (1829 — 1832). Mamy obecnie do tej epoki obfity i ważny materyał autobiograficzny, zawarty w dwóch tomach korespondencyi Z. Krasińskiego z przyjacielem młodości, Henrykiem Reeve; korespondencya ta ukazała się właśnie w Paryżu pod tytułem: „*Correspondance de Sigismond Krasiński et de Henry Reeve*“ (Paris, Ch. Delagrave, 1902). Tom pierwszy zawiera obszerny wstęp, w którym prof. J. Kallenbach objaśnia znaczenie tej korespondencyi w rozwoju duchowym autora „Nieboskiej“, i daje tło historyczno-literackie epoki; listy Krasińskiego i Reeve'a obejmują w pierwszym tomie lata od czerwca 1830 roku do lutego 1832. W tomie drugim znajdujemy listy, pisane w ciągu lat 1832—1838. W „Dodatkach“ tomu drugiego wydrukowano po raz pierwszy (na podstawie autografów, dochowanych przez Reeve'a) francuskie drobne utwory z epoki genewskiej, tudzież artykuły, drukowane przez Z. Krasińskiego w *Bibliothèque Universelle*, czasopiśmie, bardzo dziś u nas rzadkiem. Z tego względu przedruk pięciu zapomnianych artykułów był bardzo pożądanym. Tym sposobem zgromadzono w dwu sporych tomach materyał pierwszorzędnego znaczenia dla poznania młodości poety, „tej rzeźbiarki, co wykuwa żywot cały“. Pod względem zewnętrznym, wydawnictwo przedstawia się okazale, a nie małą jego ozdobą są trzy heliograwiury z portretów nieznanych Krasińskiego (z lat 1834 i 1843) i Reeve'a. Facsimile ballady „Zawisza“ naśladuje do złudzenia autograf Z. Krasińskiego. Słowem, dołożono wszelkich starań, aby wydawnictwo to czyniło zadość wymaganiom naukowym i było godnem wielkiego poety.

— Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydaje od lat kilku „Bibliotekę Miniaturową“, która w drobnym i pięknym formacie podaje arcydzieła poezyi polskiej i obcej. W zbiorze tym, mieszczącym Dantego (w przekładzie Porębowicza), Odysseję, Kochanowskiego, Krasickiego i t. d., wyszedł właśnie „*Wybór Pism*“ N. Żmichowskiej (Gabryelli) z przedmową Ignacego Chrzanowskiego. Wielbiciele talentu Gabryelli powitają z radością ten zbiór, dokonany starannie, wydany pięknie, ozdobiony wybornym portretem autorki. Z piękniejszych jej utworów nie pominął wydawca żadnego; mamy więc obok licznych drobniejszych wierszy „Pogankę“. „Adeodata“, „Prządki“ i t. d.

— Księgarnia Ferdynanda Hoesicka wydała w ozdobnym, małym formacie, cenny utwór Dantego „Nowe życie“ (*Vita Nuova*) w przekładzie Gustawa Ehrenberga. Przedmowa tłómacza objaśnia okoliczności, wśród których powstał ten pamiętnik młodości Danta, mieszczący w sobie pierwsze jego poezye liryczne. Na końcu pięknego tomiku, ozdobionego reprodukcyą pięknego medalionu Danta, znajduje się sylwetka literacka Gustawa Ehren-

berga, skreślona przez Antoniego Beaupré. Należała się ona pamięci niestrudzonego a skromnego pracownika na niwie piśmiennictwa polskiego, który za życia był niedostatecznie oceniony.

— ZAWIADOMIENIE. Zawiadamia nas p. Tadeusz Korzon, że dla ukończenia swojej „Historyi Nowożytnej“, oraz w przewidywaniu wyjazdu na kongres międzynarodowy nauk historycznych w Rzymie, opuścił Redakcyę *Wielkiej Encyklopedyi Powszechnej Ilustrowanej* z nadzieją powrotu do niej w przyszłości. Pracę redakcyjną w dziale Historyi, poczynając od zbliżającej się litery *I*, obejmuje p. J. K. Kochanowski, chlubnie już znany w naszej literaturze historycznej. Do niego więc raczą zgłaszać się pp. współpracownicy.

BIBLIOGRAFIA.

FILOZOFIA.

Ks. dr Józef Wais, profesor filozofii i teologii w seminaryum duchownem w Przemyślu. Psychologia. Tom I. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, 1902 („Biblioteka dzieł chrześciańskich“), str. II i 260.

HISTORYA.

H. Galle: Wiek XIX. Historya polityczna XIX stulecia. Warszawa, 1901, str. 88 (Dodatek do „Prawdy“).

Konstanty Górski, pułkownik piechoty, b. kapitan kwatermistrzowstwa. „Historya artyleryi polskiej“. (Z portretem autora i 13 rysunkami w tekście). Z zapomogi Kasy imienia d-ra Józefa Mianowskiego. Cena rub. 1 kop. 50. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka, 1902. (Wydawca Tadeusz Korzon), str. 324.

K. Krynicki (autor książki „O Wiśle). „Rys geografii Królestwa Polskiego“. Wydanie drugie, poprawione i pomnożone, ozdobione 215 rycinami, 6 mapami i 5 planami z dodaniem mapy Królestwa Polskiego. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1902, str. 297.

P. Leroy-Beaulieu: „Nowe społeczeństwa Anglo-Saksońskie“, tłómaczył Kl. Podwysocki. Warszawa, 1901, str. 160. („Biblioteka dzieł wyborowych“, № 210).

Odpowiedź księdzu Z. D. Kozickiemu w sprawie rodowodu XX. Sanguszków, dana przez Z. L. Radzimińskiego. Lwów. Nakładem X. R. Sanguszki, 1901, str. 8.

Casimir Stryieński: La Mère des trois derniers Bourbons Marie Josephine de Saxe et la Cour de Louis XV. D'après des documents inédits tirés des archives royales de Saxe, des Archives des affaires étrangères etc. Avec un portrait en héliogravure. Paris, Librairie Plon, 1902, str. VII i 424.

HISTORYA LITERATURY I CYWILIZACYI.

Dr W. Hahn: Bibliografia Jubileuszu Uniwersytetu Jagiellońskiego. Lwów, 1901, str. 52.

Ferdynand Hoesick: Sienkiewicz, jako felietonista. Zapomniane kartki z teki Litwosa (1873 — 1883). Warszawa, 1902, str. 409. Nakładem księgarni Ferd. Hoesicka. Cena rb. 2.

Ferdynand Hoesick: Z papierów po Elsnerze (1769—1854). Przyczynki do historyi teatru i muzyki w Polsce. Warszawa, 1901, str. 107. Nakładem księgarni Ferd. Hoesicka.

Correspondance de Sigismond Krasiński et de Henry Reeve. Préface de M. Joseph Kallenbach, Membre correspondant de l'Académie des Sciences de Cracovie. Paris. Librairie Ch. Delagrave, 15, Rue Soufflot. 1902. Tome I pp. L + 455. Tome II pp. 364. Trzy heliograwiury i facsimile. 15 franków.

POEZYE.

Dante Alighieri: Nowe życie (Vita Nuova). Przekład Gustawa Ehrenberga. Warszawa. Nakładem księgarni Ferdynanda Hoesicka, 1902, str. 179. Druk W. L. Anczyca w Krakowie. (Z portretem Dantego). Cena rb. 1.

Jan Kasprowicz: Miłość. Z ilustracyami E. Okunia i E. M. Liliena. Wydanie drugie. Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej, 1902. Warszawa. E. Wende i S-ka. Str. 179.

Krystyna Saryusz Zaleska (K. Laskcza): Z wygnania. Kraków, 1901. Nakładem autorki. Str. 31.

Tejże: Spotkanym w drodze wrażeniom i ludziom. Odbito nakładem autorki w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego... w miesiącu listopadzie 1901 roku. Str. 56.

Tejże: Pejzaże. Pustowarnia i Kraków. Nakładem autorki. Odbito w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie... w miesiącu listopadzie 1901 roku. str. 78.

POWIEŚCI I DRAMATY.

Nowe powieści czarodziejskie Andersena. Spolszczyła Marya Glotz. Warszawa, 1902. Druk Lepperta i S-ki, Elektoralna 8. Tom pierwszy stron 414. Tom drugi stron 414. (Wydawnictwo „Niwy Polskiej"). Z licznemi ilustracyami.

A. v. Berlichingen: Śmierć Garcia Moreny. Dramat historyczny w pięciu aktach. Przekład z niemieckiego. Warszawa, 1901. Wydawnictwo ks. M. Godlewskiego, str. 132.

Świętopełk Czech: Jastrząb contra Hordliczka. Z notatek przyjaciela. Za pozwoleniem autora z czeskiego przełożył Paweł Laskowski. Warszawa. Drukarnia A. T. Jezierskiego, 1901. („Biblioteka dzieł wyborowych), str. 133.

Artur Gruszecki: Większością. Powieść współczesna. Trzy tomy. „Biblioteka dzieł wyborowych". №№ 213 — 215. Warszawa, 1902.

Teodor Szabłowski: W grodzie sennych. Szkic satyryczny na tle stosunków warszawskich. Warszawa. Nakładem „Tygodnika Polskiego", 1901, str. 154.

Jerzy Żuławski: Opowiadania prozą. Warszawa. Nakładem księgarni T. Paprockiego i S-ki, Warszawa, 1902, str. 221. Rysunek okładki: A. S. Procajłowicz. Drukarnia Narodowa w Krakowie.

Nieznane siły. (Sztuka w pięciu aktach). Warszawa. Skład główny u Gebethnera i Wolffa. Nakładem autora, 1902. (Z teki samouka, tom II), str. 117. Cena 50 kop.

PISMA ZBIOROWE.

Poradnik dla samouków, część IV. Treść: Wstęp. (Zestawienie bibliografii naukowej czterech tomów „Poradnika"). Wykaz braków polskiego piśmiennictwa naukowego, w opracowaniu zbiorowem. Systemy wykształcenia i wykształcenie ogólne. Program wykształcenia ogólnego, opracował L. Krzywicki. Logika i teorya poznania, opracował A. Mahrburg. Pedagogika, opracował S. Karpowicz. Metodyka, opracowała A. Szyc. Historya pedagogiki, opracował Piotr Chmielowski. Popularyzacya wiedzy i samouctwo (biblioteki i uniwersytyty ludowe). Dopełnienia. Skorowidz do części III-ej i IV-ej. Pytania i odpowiedzi. Warszawa, 1902, str. CXIV, 484, z 21 ilustracyami. Cena 1 rub. 20 kop. Z przesyłką w opasce rekomendowanej 1 rub. 60 kop.

Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i t. d., wydany pod redakcyą Bronisława Chlebowskiego... Od tomu XI-go z zasiłku Kasy imienia d-ra Mianowskiego. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Tom XV. Zeszyty 173 — 175.

Wiadomości matematyczne. Redaktor i wydawca S. Dickstein. Tom V, zeszyt 4 — 6. Warszawa. Wydany dnia 30 grudnia 1901 roku, str. 141 — 287. Zawiera: B. Niewęgłowski: O teoryi momentów. — Wł. Bortkiewicz: O stopniu dokładności spółczynnika rozbieżności. — M. P. Rudzki: O wieku ziemi. — W. F. Osgood: O warunkach dostatecznych w rachunku waryacyjnym. — B. Danielewicz: Twierdzenie Poissona o prawie wielkich liczb. — J. Zawidzki: Notatka historyczna o zjawiskach krytycznych. — R. Mercecki: Obserwatoryum astronomiczne imienia Jana Jędrzejewicza w Warszawie. Sprawozdanie za rok 1900-ny. — Przegląd literatury. — Kronika. — Skorowidz nazwisk.

WYDAWNICTWA POPULARNE.

Leonard Bobiński: O testamencie i o pisaniu testamentu. Wykład przystępny obowiązujących w Królestwie Polskiem przepisów prawnych. Warszawa, 1901. Skład główny w Księgarni Polskiej, Warecka 14, str. 39.

Ks. Antoni Brykczyński: O małżeństwie i wychowaniu dzieci. Uwagi praktyczne dla ludu. Napisał ... Cena 15 kop. Warszawa. Wydawnictwo „Kroniki Rodzinnej", 1902, str. 99.

K. Drzewiecki: O życiu i dziełach Adama Mickiewicza. Warszawa, 1901, str. 120.

Stefan Gębarski: Król i wójt. Opowieść z lat dawnych. Warszawa. Księgarnia Polska. 1901, str. 152.

Ze Środy do Soboty: Przez autora książeczki „O Wiśle". Z mapką i licznemi rysunkami. Warszawa, 1901, str. 46.

SPROSTOWANIE.

W zeszycie styczniowym „Biblioteki Warszawskiej", w artykule: „STOSUNKI POLITYCZNE W POZNAŃSKIEM", na str. 43, w wierszu 13 i 14-ym od góry, zamiast: „*nie-niemieckie* warstwy społeczne", należy czytać: „niemieckie warstwy społeczne".

W wierszach: „W ZIMIE", na str. 123 w wierszu 2-gim po tytule zamiast: „*zimny* król dumny", powinno być: „zimy król dumny".

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca
ADAM hr. KRASIŃSKI.

Ostatni Mohikanie polscy.

Pamięć o okrucieństwach zachodnio-europejskiej kultury, gdy ona dotarła przez ocean do brzegów Ameryki, a zawładnąwszy nową częścią świata, wytępiła srodze tamtejszą pierwobyłą ludność miedzianoskórą, napełniała przez wieki serca szlachetniejsze świata cywilizowanego grozą, oburzeniem i żalem. Dziś jeszcze wspomnienia o tem oddziaływają na ludzi o czulszym nastroju. „Ostatni Mohikanin", spopularyzowany przez Coopera, wywołał też niejedną łzę z głębin serca polskiego, płynącą przez morze na grób jego daleki. Smutny los tępionych plemion murzyńskich w Afryce, okrucieństwa Belgów w Kongo, a Niemców w Kamerunie, zamach Anglii na wolność Boerów, objawiający się krwią i ogniem, odbija się tkliwie na sercach polskich uczuciem bolesnej żałości, co chlubne wystawia im świadectwo.

Dbaliśmy jednak więcej o innych, aniżeli o własny lud, i znajdowaliśmy się bezsprzecznie na mylnej i niewłaściwej drodze, skoro niemczyzna mogła zdziałać takie straszne i ogromne spustoszenia na naszym obszarze ludowym, pierwotnie szeroko i daleko rozprzestrzeniającym się poza granicami państwa polskiego. Gdy gore własna strzecha nad głową, czas ostateczny wziąć się do rozumnej a energicznej obrony. Do tego trzeba atoli nieodzownie skupienia wszystkich sił, dokładnego zbadania stanu rzeczy i znajomości stosunków miejscowych na zagrożonych kresach, jako też oparcia obrony o myśl głębszą, żywotną i przyrodzoną. Tego wszystkiego brak, niestety, u nas. Dziwna, zaiste, rzecz: o obcych wiemy zwyczajnie daleko więcej, aniżeli o sobie samych, wbrew ludowemu przysłowiu swojskiemu, iż koszula bliższa jest od żupana. Znamy lepiej stosunki w Chinach, na Madagaskarze, a nawet na Przylądku Dobrej Nadziei, znamy życie paryskie w drobnych szczegółach, dokładnie życiorysy Sary Bernhard i Coquelinów,

mody, angielski parlamentaryzm Południowej Afryki, a biegli jesteśmy we wszystkich naukach i ćwiczeniach sportowych; lecz o tem, co się dzieje na odwiecznie lechicko - polskiej ziemi: na Kaszubach, w Prusach Zachodnich, Mazowszu Pruskiem, a nawet na Szląsku, jakie tam panują stosunki, w jakim kierunku najpilniej trzeba pomocy duszonym przez niemczyznę braciom, o tem bardzo słabe posiadamy wiadomości, lub zgoła nic nie wiemy.

Dziennikarstwo nasze wogóle, z ubolewaniem przychodzi nam to stwierdzić, nie spełnia w tym kierunku obowiązku narodowego, rozpisując się szeroko i długo o sprawach obcych, młócąc wciąż słomę polityki europejskiej, apostołując z przesadą artyzm, rozwodząc się nad drobnostkami zagranicznemi, a pomijając głośne sprawy najżywotniejsze, to, co nas istotnie boli, co nam zagraża zagładą, a przeciwko czemu, jeśli zginąć nie mamy, koniecznie bronić się nam trzeba. Zalew niemiecki wciąż podtapia dalej, wciąż pochłania kawał polskiej ziemi po kawale, w naszych oczach — prze z olbrzymią siłą naprzód, a my wobec tego stoimy z oczyma zamkniętemi, a rękoma gnuśnie założonemi, jakobyśmy wierzyli w fatum, iż przeznaczeniem naszem jest być dla Niemców ofiarą do pochłonięcia.

Współczuć z bliźnim, mieć litość dla obcego nieszczęścia, ponosić dla innych nawet ofiary, jest rzeczą szlachetną; atoli pamiętać o sobie samym, o własnym ludzie—najświętszym obowiązkiem, u nas bardzo zaniedbywanym.

P. S. Komarnicki w dziele: „Polska na Zachodzie w świetle cyfr i zdarzeń“, roztacza na podstawie liczb i faktów przed naszemi oczyma straszny obraz spustoszenia, jakie niemczyzna sprawiła w ciągu wieków na naszym obszarze ludowym. Książka zawiera dla nas groźną przestrogę, byśmy się ocucili z bezczynnej gnuśności, a zjednoczone siły wytężyli w obronie życia, ponieważ napad niemiecki na ziemie lechicko - polskie miał od swego początku, przed przeszło lat tysiącem, to samo znamię, jak obecnie: walki na śmierć, lub życie. Hasło ich, jak brzmiało przed wiekami, brzmi tak samo i dziś: „a u s r o t t e n!“. Pisarz rzeczonego dzieła w niczem nie przesadza. Owszem, przedstawia spustoszenia niemieckie w znacznem zmniejszeniu, gdyż, stojąc na podstawie państwowości polskiej, nie obejmuje całego obszaru polsko-ludowego, rozprzestrzeniającego się daleko poza granice Polski, jako państwa, jak naprzykład mówiąc o germanizacyi Pomorza, zastanawia się tylko nad zniemczeniem jednej zaledwie jego części, mianowicie: ziemi Słupskiej, Bytowskiej i Lęborskiej, wchodzących najdłużej i do najpóźniejszych czasów w skład państwa polskiego. Inne części Pomorza z wyspami Rujną, Wolinem i Uznoj-

mem, jako też dalsze obszary lechicko-polskie, Lutykow i Bodrytów, należące bezsprzecznie do polsko-ludowego obszaru, jako stojące poza obrębem polskiej, w ściślejszem słowa znaczeniu, społeczności państwowej, są zupełnie pominięte. Nie uwzględnia on także i Mazowsza Pruskiego, czyli Prus wschodnich, chociaż ziemia ta, nawet podług świadectwa niemieckich dziejopisów, jak Töppen i Hartknoch, była rdzennie polską, a w części jest nią jeszcze po dziś dzień. W roku 1450 wszystkie stany tej ziemi hołdowały wielkiemu mistrzowi Krzyżaków w polskim języku. Wspomniane dzieło rozdziela germanizacyę tego dobrowolnie zmniejszonego obszaru polsko-ludowego na trzy okresy: I) okres chrześciański, II) okres reformacyi i III) okres ostatni, zaczynający się mniej więcej od czasu upadku Polski, jako państwa. Przejrzyjmy w zwięzłem streszczeniu nasze straty narodowe. Pierwszy okres przynosi nam głównie straty na Szląsku, obejmujące *około tysiąca mil kwadratowych*, większy obszar ziemi, aniżeli obydwa królestwa: Saksonia i Wirtembergia, wraz z Wielkiem księstwem Badeńskiem i księstwem Brunświckiem, z dodatkiem jeszcze księstwa Anhaltköthen, razem wzięte, czyli trochę więcej, niż piąta część państwa Bolesława Chrobrego, zajmującego podług tego pisarza „prawie 5,000 mil kwadratowych“. W drugim okresie niema dokładnego obliczenia. Prusy są pominięte w znacznej części, a postępy niemczyzny na Pomorzu i Szląsku nieuwzględnione. Widzimy tylko, że na obszarze ziemi, zamkniętej rzekami: Drwęcą, Osą i Wisłą, obejmującym 944 mile kwadratowe, do czego wchodzi także dzisiejsze Wielkie Księstwo Poznańskie, Niemcy tworzą na 52 milach kwadratowych $^4/_5$ części ludności, na 135 milach $^3/_5$, na 108 milach prawie $^2/_5$, a na 226 milach kwadratowych stanowią mniejszość ponad $^1/_7$ część ludności. W Prusach zachodnich tworzą Polacy 45%, a są tam powiaty, jak Wałecki, gdzie Niemcy stanowią 99% ogólnej ludności. Obszar regencyi Frankfurckiej i dawne byłe starostwo Drahimskie, są zupełnie zniemczone, a w okręgach Pomorskich: Słupsk, Bytów, Lębork, przedstawia się stosunek ludności polskiej do niemieckiej, jak 4.7:95.3. Okres trzeci jeszcze mniej dokładnie i przeglądowo zestawiony. Pisarz książki powiada, że rok 1848 tworzy słup graniczny pomiędzy czasem, w którym żywioł polski ponosił tylko straty narodowe, a czasem, w którym życie narodowe poczęło się obudzać silniej. Ten „słup graniczny“ jest atoli w istocie rzeczy tylko złudzeniem, jeśli przypatrzymy się dokładniej stosunkom w ziemiach polskich pod panowaniem pruskiem. Wszędzie tam zrobiła germanizacya postępy i wciąż je robi. To, co Komarnicki twierdzi, może się tylko w części stosować do Wielkopolski i Prus zachodnich,

gdzie, pomimo jak najbardziej barbarzyńskiej germanizacyi, dzięki przyrodzonej wielkiej sile płodności ludu polskiego, utrzymuje się mniej więcej jednakowy stosunek liczebny ludności polskiej do niemieckiej, co znaczy, że większy przyrost ludności polskiej pokrywa tam swoją nadwyżką ubytek przez niemczenie. Natomiast na Pomorzu, Mazowszu Pruskiem, Warmii i szczególnie na Szląsku środkowym, poczyniło niemczenie bardzo znaczne postępy, od roku 1848, względnie od roku 1871, w którym czasie w krajach tych wygnano język polski zupełnie ze szkoły, a w większej części równie i z kościoła. Dla wymienionego pisarza stanowi pociechę okoliczność, że ludność polska, zarówno w części Prus, jako też Wielkopolski, przeważa ludność niemiecką terytoryalnie: w Prusiech w stosunku 64%, w Wielkopolsce 77.3%. Znaczy to także niewiele, gdy się zważy, że ludność niemiecka, zamieszkując przeważnie miasta, tworzy na stosunkowo mniejszych obszarach ziemi większe i silniejsze skupienia społeczne, z których, jak z twierdzy, działa tem niebezpieczniej na okolicę, rzadziej zaludnioną i źle zorganizowaną. Lecz nawet i terytoryalna przewaga nie potrwa długo przy skrzętnej działalności niemieckiej komisyi kolonizacyjnej. Sam pisarz stwierdza, że Niemcy wykupili (do roku 1900) z górą 5 milionów morgów magdeburskich w samem Wielkiem Księstwie Poznańskiem, i wciąż skupują więcej ziemi od Polaków, razem około 140 miejscowości, z których 82 przezwano już nawet po niemiecku [1]).

Lubo dzieło Komarnickiego nie wyczerpuje przedmiotu, za mało jest ścisłem, zawiera niedokładności i obraca się w ciasnych i niedostatecznych granicach byłego państwa polskiego, mimo to jest ono wielce pouczającem, za co mu należy się pełne uznanie. Obraz, ułożony z samych liczb, jaki wygląda z książki Komarnickiego, chociaż nie ma kolorytu, jest wręcz przerażającym i ogromnie upokarzającym dla nas, jako dla narodu, przeszło dwudziesto-milionowego, z wielką, przeszło tysiącletnią przeszłością dziejową, okwitą w wiekopomne czyny, a zaliczającego się do narodów cywilizowanych.

Uczony niemiecki, Lorentz, który przebywał dłuższy czas pomiędzy Łebskimi Kaszubami dla badań językowych, donosi, że ostatni Mohikanin narzecza witkowskiego (pomorsko - kaszubskiego), zmarł w swej wsi, Witkowie (po niemiecku: Vietkow), około Wielkiejnocy w roku 1898, zaś Parczewski, zwiedzający przed kilku laty Kaszubów pomorskich, znalazł we wsi Rto (także Rotowo, po nie-

[1]) „Dziennik Poznański", z roku 1900, № 54.

miecku: Rotten) starca, nazwiskiem Nowek, z siostrą, którzy, jedyni w całej wsi, umieli jeszcze po kaszubsku. Czy żyje jeszcze ta para ostatnich polskich Mohikanów? Na wymierających patrzy gnuśnie naród polski, obojętnie zaś wielka Słowiańszczyzna. Nazwą „ostatnich Mohikanów polskich“ obejmujemy niedobitki ewangielickich Kaszubów na Pomorzu, tak zwanych „Słowińcow“, „Kabetkow“ i „Łebskich Kaszubów“, w których stosunki pragniemy głębiej wniknąć i szczegółowiej w nich się rozpatrzyć, wychodząc z założenia, że dokładniejsze ich zbadanie i rozpoznanie jest rodzajem dyagnozy narodowej, koniecznej dla skutecznego przeciwdziałania wielkiemu dziejowemu niebezpieczeństwu, grożącemu nam ze strony Niemców i ich kultury. Oby praca niniejsza była chociażby cegiełką przy wznoszeniu twierdzy obrony narodowej.

Nazwy narodowe i ludowe, zmieniające się rozmaicie, przez różnych różnie używane, przekręcane, niewłaściwie stosowane i mieszane jedne z drugiemi, są najgłówniejszą przyczyną zamąceń i niejasności w pierwotnych dziejach ludów, największą trudnością dla badaczów prawdy dziejowej i źródłem mylnych wniosków. Zamęt nazw jest na Pomorzu większy, niż gdziekolwiek, a skutki tego są bardzo doniosłe. Odnosi się to w szczególności do Kaszubów, następnie do nazwy Pomorza i Pomorzan, mającej głównie ziemiopisne spaczenie. Mianowicie Niemcy nie mogą sobie dać rady pod tym względem, nicując i przywiązując zbytnie znaczenie do nic nieznaczących odmian, zboczeń, lub niewłaściwie, albo całkiem mylnie przytaczanych nazw ludowych i ziemskich w starych kronikach, pismach i dokumentach, pisanych po łacinie, lub w gwarze dolno-niemieckiej—przez cudzoziemców, nieznających ani języka, ani stosunków miejscowych. W zabytkach tych piśmiennych pomieszane są: „pohlisch“, „polakisch“, „wandalish“, „winulisch“, „sklawisch“, „slavenisch“, „slovenzisch“, „sluwenisch“, „slavinzisch“ i t. d., iście jak kasza z grochem. Ponieważ pisma te są jedynemi źródłami, przeto szczególnie niemieccy uczeni nowszej doby wznoszą na ich podstawie gmachy przypuszczeń i twierdzeń, mających uchodzić za prawdę dziejową, w rzeczywistości zaś będące fantasmagoryami. Kronikarz ruski, Nestor, który niezawodnie góruje co do znajomości stosunków słowiańskich nad wszystkimi obcymi kronikarzami, zalicza

wyraźnie do szczepu lechickiego: Polaków, Lutyków, Mazurów i Pomorzan, ostatnia zaś nazwa obejmuje: Bodrytów, Wagrów i Rujnian, obok właściwych Kaszubów. Bezimienny życiopisarz biskupa bamberskiego, Ottona, „apostoła Słowian“, nadaje granicom Pomorza zgodne z podaniem Nestora rozprzestrzenienie jako ziem, leżących pomiędzy rzekami Wisłą a Jadorą (Eidorą). Adam Bremeński [1]) stwierdza wyraźnie jedność narodową Pomorzan z Polakami, jako nie różniących się pomiędzy sobą ani ubiorem, ani gwarą, uważając Poiskę za „ultima et maxima provincia Vinulorum“. Słusznie zalicza Dominik Szulc [2]), oparłszy swoje twierdzenie na ważnych świadectwach dziejowych, Lutyków do Pomorzan. Dzisiejsza Meklenburgia była też objętą niezawodnie nazwą ziemiopisną Pomorza, a nawet nazwa Kaszubów rozciągała się na jej obszar ludowy. Są na to dokumentarne dowody. W jednem ze starych pism, przytoczonych przez d-ra Tetznera [3]), zowią się książęta: Jan z Meklenburgii i Mikołaj Verle „Domini Cassubiae“, zaś księżniczka Ludgarda, córka księcia meklenburskiego, Henryka, wymienioną jest jako „Cassubita“, a pomorscy książęta, Barnim I i Bogusław, noszą tytuł w latach 1267 i 1291: „dux Slavorum et Cassubiae“.

Inni stosowali znowu nazwę Kaszubii tylko do małej części Pomorza. Czytamy bowiem w jednym dokumencie z roku 1289: „in terra nostra Cassubiae Belgarth“, „vera terra Cassubiae“, oznaczające ziemię pomiędzy górą Goleń (Gollenberg), a rzeką Persantą. Z tem zgadza się podanie „Pomeranii“ Tomasza Kuntzowa z XVI wieku. Pisarz niemiecki, Pfennig [4]), mówi znowu o dwóch księstwach: „Kassuben, wo Neustettin, Rügenwalde und Polzin“ i „Wenden, wo Rügenwalde, Haven und Stolpe“. W atlasie norymberskiego profesora Köhlera, z roku 1717, jest na mapie Pomorza ostatnie księstwo („Wenden“) zaznaczone jako „ducatus Vandalia“, w kierunku wschodnim ciągnąc się do rzeki Łupowa granicząc z tej strony z „dominium louvenburgense (ziemia Lęborska) i „dominium butoviense“ (ziemia Bytowska). Obok leży „Cassubia ducatus“ z miastami: Kosza-

---

[1]) L., 2, 10.

[2]) O Pomorzu zaodrzańskiem. Warszawa, 1850.

[3]) Die Slovinzen und Lebakaschuben. Berlin, 1899.

[4]) Anleitung zur gründlichen Kenntniss der neuesten Erdbeschreibung i t. d. Berlin, 1783.

linem (Köslin), Kołobrzegiem (Colberg), Białogrodem (Belgart), Szczecinkiem (Neustettin) i Trzebiatowem (Treptow). Zachodnią granicę tego księstwa stanowi rzeka Rega, za którą znajduje się dopiero „ducatus Pomerania“, dalej „ducatus Stettinensis“, zaś w kierunku północno-zachodnim „comitatus Gutzkoviensis“, „dominium Wolgastense“, „ducatus bardensis“ i „principatus Rugiae“.

Ks. Pobłocki w „Słowniku kaszubskim“ pisze: „Tym, co my w Kaszubach językiem mówiła cała Pomorska, gdzie jeszcze oazy mowy polskiej się znajdują, mówiła Meklenburgia, Rugia (Rujna), mówili bezwątpienia i Polabianie“. Tego samego mniej więcej zdania jest dr Nadmorski (Łęgowski), jeden z najlepszych znawców Kaszubszczyzny, w dziele: „Kaszubi i Kociewie“, wykazując szczegółowo jednakowe jak u Kaszubów brzmienia samogłosek u Drewian i Glinian hanowerskich, zwanych „Połabianami“, których zabytki gwarowe przechowali nam Niemcy w zepsutej formie. Baudouin de Courtenay zowie gwarę kaszubską „ostatkiem połabskiego języka“, Schleicher zaś w swej gramatyce „języka polskiego“ pisze, że „gwara kaszubska tworzy z połabszczyzną całość“. To samo wypowiada rossyjski badacz, Hilferding [1]), stwierdzając nadto całość językową wszystkich plemion lechickich z Polakami. Dr Biskupski w rozprawie o kaszubskiem narzeczu brodnickiem, przeprowadza na podstawie głosowni dowód, że kaszubszczyzna zgadza się zupełnie z polszczyzną, a to zarówno ze staropolskim, jako też z nowożytnym piśmiennym językiem. Dr Cenowa oznacza w wiekach VIII, IX i X granice kaszubszczyzny: od Wschodu poza Wisłę, na Zachodzie aż do Holsztynu i puszczy luneburskiej (gliniańskiej), w południowym kierunku po Szląsk, na Północy po Bałtyk z wyspami Rujną i dzisiejszą Femern.

Jedność ludową wszystkich, tak zwanych plemion „połabskich“ z pomorskimi — obydwie nazwy są równie tylko ziemiopisne — pod względem gwary, zwyczajów i obyczajów, stroju ludowego, urządzeń społecznych i państwowych, podań i wierzeń, stwierdził cały szereg powag naukowych i zabytków z dawnych czasów. Prawdopodobnie nikomu nie przyszło-by do głowy pisać o odrębnym „języku połabskim“, a jeszcze mniej o „pomorskim“, czy „słowińskim“, gdyby Szafarzyk nie był w „Narodopisie“ oddzielił dowolnie „języka połabskiego“ od polskiego, oznaczając z drugiej strony gwarę kaszubską jako narzecze „języka lackiego, czyli polskiego“. Wspomniany powyżej

[1]) Ostatki Slawian na južnom bieregu Baltijskaho moria. Petersburg, 1862.

Pfennik nie robi żadnej różnicy między językiem polskim a narzeczami kaszubskiemi Prus zachodnich (Pomerellen), i narzeczami Pomorza wschodniego, zowiąc wszystkie te gwary „polackisch“. Wówczas, przy schyłku XVIII wieku, była kaszubszczyzna daleko więcej rozprzestrzenioną. Mówiono nią nawet jeszcze w okolicy Lutzenburga w Szlezwig - Holsztynie i koło Putbus w ziemi Oldenburskiej. Kronikarz pomorski, Kantzow, żyjący sto lat wcześniej, zapisał, że w roku 1404 zmarła „im lant zu Rhügen (na wyśpie Rujnie) auff Jasmuds (półwysep Jasmoda) staruszka, nazwiskiem „Gulitzin“, będąca z swoim mężem ostatnią na ziemiach rujniańskich parą, umiejącą władać gwarą „wendyjską“. Büsching [1]) przesuwa kaszubszczyznę od Łeby dalej ku Odrze, zaś późniejsi pisarze niemieccy: Bernouille [2]), Wobeser [3]), proboszcz Hacken [4]), oznaczają jako prawdziwą Kaszubię trzy okręgi, mianowicie: Bytowski, Słupski i Lęborski, z czem się zgadzają także pisarze: Brüggemann, Büsching, Wultstrack [5]), Lorentz [6]), a dalej Hilferding i Knoop [7]), ostatni sam ze „Słowińców pomorskich“ pochodzący.

Z powyższego wynika dość jasno, że nazwy ziemiopisne: Pomorze, Pomorzanie, obejmujące pierwotnie wielką przestrzeń pomiędzy Wisłą a Jaderą, stosowane bywały także do poszczególnych części kraju. Łacińsko-niemieccy pisarze przesuwali je wciąż z Zachodu na Wschód, lub z Północy na Południe, i odwrotnie, podług widzimisię, ograniczając ich znaczenie terytoryalnie, zupełnie tak, jak postępowali z nazwą ludową Kaszubów, która niezawodnie obejmowała całe dawniejsze Pomorze. Szukanie takie właściwego Pomorza i prawdziwej Kaszubii jest rodzajem naukowej ciuciubabki. Wygląda to, jak gdyby kto szukał właściwej Polski i znachodził ją raz na Kujawach, drugi raz w Wielkopolsce, trzeci na Mazowszu, w końcu zaś na Szląsku, opie-

[1]) Büschings Wochentliche Nachrichten, 1779.

[2]) Johann Bernouillis Reisen durch Brandenburg, Pommern, Preussen, Curland, Russland u. Polen, 1771 — 1778.

[3]) W dziele Brüggemanna i u Büschinga, 1784.

[4]) Kurze historisch-geographisch-statistische Beschreibung von Pommern. Stettin, 1793 — 1795.

[5]) Zur Charakterisirung der Kaschuben am Lebastromme. J. C. L. Hackens Pomersche Provinzialblätter, 1831.

[6]) Volkssagen, Aberglauben, Erzählungen, Gebrauche u. Märchen aus d. ostl. Hinterpommern. Posen, 1885.

[7]) „Wisła“, tom XII, str. 74 — 99.

rając się na świadectwach dziejowych, że raz ta, drugi raz tamta dzielnica zwana jest Polską, a jej mieszkańcy Polakami.

Nazwy: Wendyjski, Wandalski, Winulski, Słowiński i t. p., nic nie znaczą. Są to nazwy, używane dowolnie przez obcych. Widzimy, że przybysze niemieccy nawet na Szląsku zwali ludność polską „wendyjską". Nadawali oni bowiem licznym osadom, posiadającym ludność polską, do przekręconej przez siebie pierwotnej nazwy miejscowej przyczepkę: „W i n d i s c h" właśnie dla oznaczenia ich polskości.

Z tego posiewu wyrośli na niwie narzeczowej Kaszubów, względnie na językowym łanie lechicko-polskim, „Słowińcy pomorscy", jako jakiś odrębny lud, czy nawet „naród słowiański", ongi wielki, a obecnie zupełnie wymierający, którego niedobitki, bardzo nieliczne, utrzymały się jeszcze w okolicach nad jeziorami Gardeńskiemi, Łebskiem i rzeką Łebą w ziemi Słupskiej. Mniemanie to całkiem mylne, utarte w niemieckim świecie naukowym, ogarnęło w części małej nawet i polskich badaczów kaszubszczyzny, z których atoli żaden nie przedstawił językowych dowódów przekonywających, siląc się natomiast popierać odrębność językową wynalezieniem dowolnej, dziwacznej pisowni „kaszubskiej", jak dr Floryan Cenowa, a w części Stefan Ramułt. Najlżejsze narzeczowe zboczenia w brzmieniach i widoczne zepsucia językowe wydobywają starannie i zaznaczają osobnemi głoskami dla podniesienia „właściwości językowych" i „dokładnego oddania brzmień odrębnych", rzucając hojnie niesłowiańskiemi: *ü*, *ö*, *f* i *v* żywcem z niemieckiego przyswojonemi. Lecz o tem mówić będziemy jeszcze poniżej.

Sprawa „języka słowińskiego" stała się dla niemieckiego świata naukowego tem aktualniejszą, że niedobitki „słowińskie" dogorywają. Chcą przeto gwarę ich podchwycić jeszcze z ust żywych, co, jak sądzą, było-by już za lat kilka zapóźno. Bowiem jeszcze tylko garstka starych ludzi używa swej pierwotnej gwary, młodzież zaś, „bez wyjątku", mówi już wyłącznie po niemiecku, tak, że starym przykro, gdy z własnemi dziećmi, lub wnukami, nie mogą się porozumieć „po swojemu". Dr Lorentz przebywa trzy lata w lichych rybackich wioskach kaszubskich na przesmyku nadmorskim, pomiędzy jeziorem Gardeńskiem a Łebskiem, by na miejscu studyować gwarę ludową i ująć ją w formy gramatyczne, zanim stanie się martwą. Miał nawet zebrać dużo cennego materyału. Trzeba mu za to wyrazić wdzięczność, lecz z drugiej strony, wstydzić się należy, że my, posiadając podostatkiem uzdolnionych ludzi zawodowych, towarzystwa i zakłady naukowe, akademie umiejętności, nie zdobyliśmy się na to, by zbadać przynajmniej naukowo lud własny umierający. Mógł-by kto wskazać na prace polskich pisarzów w tym kierunku, mianowicie: Prejsa, d-ra

Cenowy, ks. Pobłockiego, Kujota, d-ra Marońskiego, d-ra Biskupskiego, Parczewskiego, d-ra Nadmorskiego - Łęgowskiego, Ramułta, Karłowicza, Brücknera i kilku jeszcze innych. Niezawodnie, że prace te zawierają dużo cennego materyału, w całości jednak przedmiotu wcale nie wyczerpują. Nadto ograniczają się one, z bardzo małemi wyjątkami, na Kaszubszczyźnie Prus zachodnich, a więc konkretnie źródłowo mało przyczyniają się do wyświecenia spornej sprawy słowińskiej. Wyjątek stanowią poniekąd Karłowicz [1]) i Brückner [2]), którzy teoretycznie, więcej ze stanowiska językowego, zbijają twierdzenia Ramułta i Baudouina de Courtenay o odrębności językowej Kaszubszczyzny. Ostatecznie Ramult, chociaż napisał „Słownik języka pomorskiego", Pomorzem właściwie się nie zajmuje, a to, co w swej „Statystyce" o niem podaje, jest w znacznej części mylne. Jeden tylko Parczewski [3]) obdarzył nas nadzwyczaj cenną pracą o Kaszubach pomorskich. Dr Łęgowski, co pisał po polsku pod pseudonimem d-ra Nadmorskiego, odnosi się także prawie wyłącznie do Prus zachodnich, a dopiero w nowszym czasie zaczęły się pojawiać jego znakomite, lecz krótsze, rozprawy o Kaszubszczyźnie pomorskiej, pisane jednak w języku niemieckim [4]).

Niemcy prześcignęli nas bez porównania na polu kaszubologii. Chcąc wniknąć głębiej w istotę ludności na Pomorzu, trzeba koniecznie sięgnąć po źródła do piśmiennictwa niemieckiego. Jest to wynik niewytłómaczonej naszej obojętności dla własnych rzeczy, a nawet dla katastrof narodowych. Wspomniana praca d-ra Łęgowskiego, nadzwyczaj ciekawa, przeszła w polskiem dziennikarstwie prawie niespostrzeżenie. O ile nam wiadomo, zamieścił o niej tylko „Kraj" petersburski [5]) króciuchną wzmiankę kilkunastowierszową na ostatniej stronicy obok ogłoszeń. Dobre i to, gdyż inaczej szerszy nasz ogół był-by nawet o jej istnieniu nic zgoła nie wiedział. A przecież dziennikarstwo nasze posiada tyle miejsca dla sprawozdań o każdej nieco głośniejszej farsie francuskiej, granej na paryskich scenach przedmiejskich. Dla wielkiej polskiej tragedyi dziejowej brak miejsca. Nie można się też dziwić Hilferdingowi, jeśli robi uwagę następującą: „Polska, która przez ty-

---

[1]) „Wisła", tom XII, str. 74 - 89.

[2]) Jagicza „Archiv f. slav. Philologie", artykuł A. Brücknera: „Randglossen zur kaszubischen Frage", w tomie XXI, str. 62 — 78.

[3]) Szczątki kaszubskie w prowincyi Pomorskiej. Poznań, 1896.

[4]) Die Slovinzen im Kreise Stolpe, ihre Literatur und Sprache. Separat-abdruck aus Balt. Stad. Szczecin, 1900.

[5]) № 7, rok 1900.

le wieków panowała nad kaszubskiem wybrzeżem, mogła ten kraj w łatwy sposób zupełnie asymilować. Nie uczyniła jednak tego z powodu lekceważenia prostego ludu. Kaszubi są zwyczajni włościanie, chłopi; mowa kaszubska jest zepsutem narzeczem pospólstwa; jakże mogli-by wielcy panowie zajmować się nizkim, prostym ludem i jego grubą mową?".

Dr Łęgowski zajmuje się w pracy wymienionej wyłącznie „Słowińcami". Nazwą tą obejmuje dr Cenowa całą Kaszubszczyznę, zowiąc ją „kaszebsko-słovjską movą" („kaschubeschslovinische Sprache"), i znowu tylko „slovjnską movą" [1]) a Kaszubów „Slovenzen" [2]). Inni stosują nazwę „Słowińców" albo do całej pomorskiej ludności kaszubskiej, lub też tylko do północnej jej części nietylko nad jeziorem Gardeńskiem, lecz równie nad Łebskiem.

Wobec tak znacznej różnicy w stosowaniu nazwy „Słowińców", i ze względu na różniące się nieco ich narzecze od innych kaszubskich, warto zastanowić się bliżej i dokładniej nad obszarem narzecza, i stwierdzić, gdzie się jeszcze znajdują niedobitki, niem władające.

Hilferding dzieli Kaszubów na trzy odłamy: Słowińców, Kabatków i właściwych Kaszubów. St. Ramułt przyjmuje ten podział z uwagą, że to tylko nazwy miejscowe „Słowian pomorskich". Parczewski zajmuje się szczegółowiej „Słowińcami", badawszy rzecz na miejscu. Podnosi on, że Kaszubi nigdzie sami siebie nie zowią „Kabatkami", „natomiast z niewątpliwą i wybitną indywidualnością występuje nazwa Słowińców". „Odmienna nazwa ludowa ma istotnie pewną podstawę w zaczynającym się tutaj (w Wielkiej Gardnej, po niemiecku: Gross-Garde) odcieniu dyalektycznym, który w zgermanizowanych do szczętu wsiach na Zachód od Wielkiej Gardnej z pewnością jeszcze więcej występował". Sądzi on, że stara, ludowa granica wschodnia „plemienia Słowińców", którzy już w wiekach średnich, w okresie poczynającej się germanizacyi, „tworzyli pewną samodzielną, historyczną indywidualność", biegła wzdłuż strumienia Łupowskiego. Tu była „Terra Slavia", stąd wyprowadzał się „dux Slavorum", o czem wspominają dyplomaty z wieku XIII-go. Były to jednak tylko nazwy miejscowe, bez „ogólno-szczepowego znaczenia". Nazwa ta zmieniała się w uściech Niemców w „Wenden". W wieku XVIII istnieje jeszcze

[1]) Die Kaschubisch-Slovenische Sprache I. Entwurf zur Grammatik.

[2]) Przedmowa do słowniczka kaszubsko-niemieckiego.

wspomnienie księstw „Wenden“ i „Kassuben“, a pierwsze było tam, gdzie Słupsk (Stolpe), Sławno (Schlawe) i Rugenwalde [1]). Królowie pruscy, w puściźnie po książętach pomorskich i margrabiach brandenburskich, noszą obecnie jeszcze między innemi tytuł książąt Słowian, czyli Słowińców. Z powyższego wysnuwa Parczewski wniosek, że tylko szczątki słowiańskie w Wielkiej Gardnej są dziś (rok 1880) ostatnim zabytkiem ludu, który monarchom pruskim dał jedno z ogniw w pełnej intytulacyi królewskiej“. Zdanie to opiera się na okoliczności, że w innych wsiach przy jeziorze Gardeńskiem, podanych przez Hilferdinga jako „słowińskie“, mawiają ludzie: „Tu są Kaszuben a Slovinsti“, „tu są Kaszubowie po slovensti“, „kaszubowe wszacy są slovinsti“, mieszając jedną nazwę z drugą, lub nazywając mieszkańców wrzekomej „słoweńskiej“ wsi „Kabatkami“. Tylko w Wielkiej Gardnej nazwa „Słowińcy“, „po słowińsku“ przeważa, tu już zawsze mówi się: „pò slowinsku“, „pò slawensku“: ludzie nazywają się: „Slowince“, „Slowinci“, lub w przymiotnikowej formie: „Slowinstje ládze“. Stara Dosza (niewiasta w WielkiejGardnej) wyraźnie odróżniała mowę słowińską od polskiej, mówiąc do Parczewskiego: „ja gadam pò slowinsku, a wy po polsku“. Jeżeli niema innych językowych przyczyn do odróżniania „słowińskiego“ od polszczyzny, powyżej przytoczone okoliczności żadną miarą uzasadniać jej nie mogą. Piszącemu rzecz niniejszą zdarzyło się dwa razy, na pograniczach węgierskich, w Koszycach i w okolicy Zwardoma na Węgrzech, słyszeć z ust ludu, to jest od osób tamtejszych, mówiących po polsku, z któremi rozmawiał po polsku i porozumiewał się nawzajem wybornie—gdy ich pytał, jakim mówią językiem, odpowiedź: „po swojemu“, „po słoweńsku“, na dalsze zaś pytanie: gdzie się nauczyły po polsku? odpowiadały: my po polsku nie mówimy, po polsku mówią w Polsce, w Galicyi, my mówimy swoim, słowenskim językiem.

Jest to objaw braku świadomości narodowej, szerszego poglądu narodowego, u starej Doszy z Wielkiej Gardnej, jak wogóle u wszystkich kaszubskich niedobitków na Pomorzu, tem łatwiejszy do wytłómaczenia. „Słowiństwo“ oznacza tu głównie różnicę pomiędzy swojszczyzną a obczyzną, w części zaś jest odblaskiem politycznego odgraniczenia owej „terrae Slavii“, którą ongi rządził „dux Slavorum“. Żadną miarą atoli nie dowodzi odrębności narodowej. Ks. Pobłocki sądzi, że nazwy: „Słowińce“, „słowiński“

[1]) Podług Hilferdinga zowie się ta miejscowość po kaszubsku: Rawnd.

pochodzą z Pontanowego katechizmu luterskiego, zawierającego w napisie wyrazy: „Wandalski albo Słowięski“. Znany słownikarz polski, Mrongowiusz“ zrozumiał i wytłómaczył to mylnie, a na tem oparli się zwolennicy odrębności narodowej. Lecz już sam Mrongowiusz, robiąc w roku 1828 nowe wydanie tego katechizmu w Szczecinie, nie poparł żadnym argumentem, a jeszcze mniej, dowodem, odrębności, pisząc w przedmowie: „Jakkolwiek Pontan na karcie tytułowej wyraźnie powiada, że z niemieckiego przekłada na słowieńskie, czyli słowiańskie, przecież natrafia się tam tylko niewiele słów, które za takie uchodzić mogą, reszta jest w istocie polska (hochpolnisch). Ale że pierwszego wydania z r. 1643 nie mamy, należy przypuszczać, iż to z r. 1758[1]) jest więcej przystosowane do polskiego“. Powyższe zawiera tylko luźne przypuszczenia. Owszem, ze słów Mrongowiusza wynikało-by przeciwnie. Sam Mrongowiusz objaśnia „słoweńskie“, albo raczej „Słowięskie“ przez „albo Słowiańskie“, co, będąc ogólnem pojęciem, nie może uzasadniać żadnej odrębności językowej. Dr Tetzner, który, jako pisarz bardzo znakomitego dzieła o Kaszubach pomorskich, może być uważany za powagę naukową w tym przedmiocie, powiada, że zarówno Pontan, jak jego poprzednik, Kroway, używają przymiotnika „słowięski“, ze względu na język, „jako równoznaczące z wendyjskim na Pomorzu“, a więc w ogólnem znaczeniu, obejmującem zarówno narzecza kaszubskie, jak polszczyznę, zatem niewyodrębniającem pierwsze od ostatniej. Wyraz „wandalski“ jest równie ogólnym. Są liczne dowody na to, że Niemcy oznaczali wyrazem „wandalski“ tak samo, jak wyrazem „wendyski“ nietylko żywioł pomorsko - kaszubski, lecz także i polski. „Wandal“ jest niezawodnie wypaczoną przez Niemców formą „Wądolanina“, mieszkańca wądołów, to jest ziemi wądolistej, falistej, ze wsklęsłościami i parowami, właśnie takiej, jaką widzimy w Prusiech, w północnej części Królestwa Polskiego, na Szląsku i w części Pomorza, urobionego na modłę ziemiopisnych nazw ludowych, jak: Polanin, Łużyczanin, Drewianin, Glinianin, Podhalanin, Pomorzanin, Nadwiślanin i t. d. Pontanowy wyraz „wandalski“ może się

[1]) Drugie wydanie katechizmu pochodzi od Szmołdzeńskiego pastora Engelanda. Wyszło w Gdańsku. Z niego korzystał Mrongowiusz. Ks. Pobłocki powiada, że egzemplarz pierwszego wydania znajduje się w księgozbiorze „Gesellschaft für vaterlandische Geschichte und Alterthumskunde“ w Szczecinie, zaś dr Tetzner twierdzi, że jedyny egzemplarz pierwszego wydania przechowuje się w archiwum probostwa w Szmołdzenie.

jeszcze tłómaczyć okolicznością, że Pontan pisał i wydał swój katechizm pod skrzydłami opiekuńczemi księżny Anny Croyowej, córki panującego księcia pomorskiego, Bogusława XIII. Syn jej był ostatnim panującym w Słupsku, a wasalem wielkiego kurfirsta brandenburskiego, piszącego się: „Dux Cassuborum et Wandalorum“, którego polityka, również jak książąt pomorskich, była niemiecką, przeciwdziałającą wszelkiemu wpływowi polskiemu, czemu Pontan, działający z ich poręki, niezawodnie także ulegał, zwłaszcza, iż posiadał wykształcenie całkiem niemieckie; nim został proboszczem w Szmołdzenie, był kapelanem zamkowym księżny Erdmuty, a nadto był jeszcze ożeniony z Niemką, córką kamerdynera książęcego. Dwór brandenburski, którego wpływ ogarniał Pomorze, nie mógł nie widzieć wpływu polszczyzny w kościele na Pomorzu, gdzie ona była powszechnie w używaniu od czasów najdawniejszych, bo od zaprowadzenia chrześciaństwa. Dla przeciwdziałania temu wpływowi, mógł Pontan dostać polecenie z góry do napisania osobnego pomorskiego katechizmu. Przemawia za tem okoliczność, że Kroway, poprzednik Pontana, wydając śpiewnik „z niemieckiego w slawięsky ięzik wilozone“, działał, co dr Tetzner stwierdza wyraźnie, z pobudki zniemczonego księcia szczecińskiego, Jana Fryderyka. O tem zaś, jak lud kaszubski pojmuje „słowiństwo“, daje nam bardzo znamienne pojęcie Hilferding, opowiadając: „W Gardnej widziałem u pewnej staruszki modlitewnik, na którego okładce wypisane były piórem słowa: „Slowinskie modlitwy“; jednak książka była polską“.

Argumenty zwolenników odrębnego „języka pomorskiego“, który ma być pozostałym odłamem „Polabszczyzny“, są nadzwyczaj słabe. Nie wytrzymują one krytyki ściślejszej w żadnym kierunku. Schleicher, wraz z Szafarzykiem, twórcą „języka połabskiego“, uznają jedność językową wszystkich Słowian, mieszkających od porzecza Wisły, aż do dolnej Łaby. Równie Hilferding, skłaniający się więcej ku odrębności, pisze: „Czy jest istotna różnica w mowie pomiędzy Słowińcami a Kaszubami-Kabatkami? Nie. Cała różnica polega na większem, lub mniejszem zboczeniu od mowy polskiej, co znowu uwarunkowane jest przez większe, lub mniejsze oddalenie od granic polskiego języka“. W orzeczeniu takiem niema z pewnością żadnego uzasadnienia odrębności. Pastor Lorek z Cecenowa (1806 — 1837), jeden z wybornych znawców ludu kaszubskiego i jego gwary, pisze [1]): „Kaszubska mowa jest pierwotnie słowiańsko - wendyjską,

[1]) Pommersche Provinzialblätter.

a obecnie właściwie tylko osobnem narzeczem polszczyzny, od której różni się tylko wymową i intonacyą, jednak nie zachodzi tu taka różnica, co powszechnie przypuszczają, jak pomiędzy niemieckim językiem piśmiennym a plattdeutsch". Mrongowiusz, wezwany przez sejm królewiecki w roku 1834 do wydania zawodowego orzeczenia o gwarze kaszubskiej, złożył uzasadnione sprawozdanie językowe, że gwara ta jest narzeczem polszczyzny, bliższym tej, niż narzecze bawarskie, lub saskie niemieckiemu językowi piśmiennemu. Dr Łęgowski zgadza się prawie zupełnie z Parczewskim, uważającym Kaszubszczyznę za gwary narzeczowe języka polskiego, dodając, że w „słowińskiem, które dopiero teraz jest badane i poznawane, należy widzieć typ i przedstawicielstwo starej gwary pomorskiej, a zachodniopruska Kaszubszczyzna będzie wtedy tylko granicznem narzeczem tej pomorskiej Słowiańszczyzny".

Różnica zdań o gwarze słowińskiej istnieje też i co do słowińskiego obszaru ludowego. Parczewski znajduje Słowińców właściwie tylko w Wielkiej Gardnej, Hilferding dolicza jeszcze Kluki (Kluken) i Szmołdzeno (Schmolsin). Dr Łęgowski pisze: „Kaszubi okręgu Słupskiego nie tworzą jedności gwarowej, lecz, rozpadając się na dwie grupy, które przedzielone są wpadającym do jeziora Łebskiego potokiem Pustynnikiem i górami Pustynki. Na Zachód od tych (to jest Kaszubów) mieszkają Słowińcy, których nazwa ludowa istnieje z dawien dawna i oddawna była znaną, wschodnia zaś grupa nie ma żadnego odmiennego miana. Tych Kaszubów nazywają sąsiedzi raz Kabatkami, raz Niniakami, a po niemiecku: „Nonkes". Słowińcy ze wszystkich Kaszubów przedstawiają obecnie najwięcej interesu, ponieważ są oni najdalej na Zachód wysuniętymi pomorskimi Słowianami — okoliczność, która dla zbadania gwary pomorskiej wielką posiada doniosłość—a także są oni jedynymi, którzy wykazują początki rodzimego piśmiennictwa". Dr Tetzner, opierając się na podaniu d-ra Lorentza, określa obecne rozprzestrzenienie gwary słowińskiej temi słowy: „Słowiński obszar gwarowy obejmuje dzisiaj wsi: Szmołdzeńskie i Zelezińskie Kluki (Schmolsiner und Selesener Klucken), Szmołdzeński Las (Holzkatten), Szołpin (Scholpin), Wierzchucino (Virchenzin), Syce (Zietzen), Stowięcino albo Stójcino (Stohentin), Wielką i Małą Gardnę, Wesoką (Wittstock), Rotowo (Rotten) z osadami Błotki (Plotten) i Czyste (Wittbeck)",—zatem osad trzynaście. Dr Łęgowski zgadza się z tem podaniem. Są to też dane najwiarogodniejsze, gdyż Lorentz, dobry znawca językowy, bawił, jak już zaznaczyliśmy, kilka lat na miejscu wyłącznie w celu badania

gwary ludowej. Parczewski i Hilferding zwiedzali także te strony, jednak bawili tam stosunkowo za krótko, by módz być wszędzie i wszystko zbadać dokładnie. To też kilka z powyżej wymienionych osad nie są zapisane ani u jednego, ani u drugiego. Był tam jeszcze rosyjski językoznawca, I. I. Mikkola, który wynik swoich badań ogłosił w „Wiadomościach Cesars. Akademii Umiejętności“ w Petersburgu [1]). Inni kaszubolodzy nie byli wszędzie na miejscu, nie wyłączając Ramułta, który o ziemi słupskiej podaje bardzo niedostateczne wiadomości i miesza Słowińców z Kabatkami, pisząc między innemi: „na tak zwanych Kabatkach, czyli w krainie Słowieńców i Kaszubów nadlebskich“, których Parczewski, Hilferding, dr Tetzner, dr Lorentz, dr Łęgowski i Mikkola wyraźnie odróżniali.

Wszystkie te atoli odróżniania są gwarowej, narzeczowej natury, odrębności zaś językowej w niczem nie uzasadniają. Piśmiennym językiem całego Pomorza był od czasów najdawniejszych polski, czego już same dzieje dowodzą. Wszak chrystyanizm z Polski zaszczepiono na Pomorzu. Początek zrobił Bolesław Chrobry, dzieła zaś dokonał Oton Bamberski pod skrzydłami opiekuńczemi Bolesława Krzywoustego. Pierwsze kazania i nauczania odbywały się po polsku. Jaffe [2]) powiada, że do Ukranów udawał się biskup Oton „interprete quodam Polonienese“, a Pomorzanie mówili do niego o Polakach „fratres nostri Polonienses“. Różnicy pomiędzy gwarami pomorskiemi a polskiemi nie było wówczas, przy schyłku X-go a na początku XI wieku, prawie żadnej. Pierwotne ścisłe warunki polityczne i kościelne Pomorza z Polską rozluzowały się, a nawet w części ustały zupełnie, gdy Polska po podziale pomiędzy synów i potomków Bolesława Krzywoustego, popadła w niemoc, a książęta pomorscy uznali zwierzchność cesarstwa. Stosunkowo najdłużej utrzymał się wpływ polski na ziemi Słupskiej Parczewski, który zebrał nadzwyczaj cenne materyały do dziejów germanizacyi Pomorza wschodniego, pisze: „W wieku XIII słupscy archidyakonowie zależnymi byli od arcybiskupów Gniezna, a polskie kościelne tradycye i wspomnienia szybko dochodziły aż dotąd“, to jest do ziemi Słupskiej. Przytoczywszy na to dowody, mówi dalej: „Przez cały wiek XIII polski organizm polityczny, polski systemat urzędów panuje wśród szlachty słupskiej; książęta Świętopełk Mestwin II ze Słupska datują swe przywileje; są słupscy wojewodo-

[1]) Rok 1897, tom drugi: „Nieskolko zamietok po kaszubskim goworam w siewierno-wostocznoj Pomeranii.

[2]) Monumenta Bambergensia.

wie, kasztelani, wojscy, podkomorzowie. Szlachta nosi polski, czyli kaszubsko - pomorski, charakter; za Mestwina II-go wojewodą słupskim jest Marcin, kasztelanem Święca, łowczym Wawrzyniec, podkomorzym Tesław, Pomorc podstolim. Czysto słowiańskie, polskie życie kwitnie jeszcze w kraju między Łebą a Wiperą, i dalej, na lewym brzegu Sławna... Nawet sam Słupsk, stary gród słowiański, znacznie później, bo dopiero na początku XVI stulecia, otrzymał prawo miejskie lubeckiego wzoru (niemieckie). Klasztory Cystersów i Premonstrantów na schyłku XIII stulecia pierwsze dały hasło do niemieckiej kolonizacyi w tych stronach" i — germanizacya Pomorza poszła zupełnie tym samym torem, jak Szląska, w sto lat później — pokojowym podbojem. Z zaprowadzeniem reformacyi na Pomorzu zapanował chwilowo język ludowy w kościele. Na ten czas, pod koniec XVI wieku, przypadają początki rodzimego kaszubskiego piśmiennictwa. Początek zrobił pastor z Bytowa (Bütow), którego dr Tetzner i dr Lorentz zowią „Krof'em", dr Lęgowski „Krofeyem", a Wutstrach „Krowayem"[1]), gdy w r. 1586 skończył przedmowę do swego kaszubskiego śpiewnika, wypowiadając nadzieję, że przy łaskawej pomocy książąt powstaną jeszcze inne książki w „i ę z i k u s l a w i e s k y m". Dr Lorentz[2]) podaje następujący napis tego śpiewnika:

„Duchowne pisnie D. Marcina Luthera y ynszich nabożnich mężow. Z niemieckiego w Slawiesky ięzik wilozone Przez Szymona Krofea sługe slowa Bozego w Bytowie. Drukowano w Gdainsku przes Jacuba Rhode Roku Panskiego 1586".

Tekstów pieśni wydrukowanych jest pięćdziesiąt sześć. Te z przedmową i kartką napisową tworzą właściwe dzieło Krowaya. Reszta, co z tem jest oprawna razem w książce, stanowi dodatek rękopiśmienny, w większej części pochodzący z czasu znacznie późniejszego. Pisane pieśni poprzedza jedna pisana modlitwa kościelna. Z pieśni pisanych jedna tylko posiada datę. Ma ona napis: „P i e s n i a

[1]) Ze względu, iż nazwisko jest widocznie czysto kaszubskie, względnie polskie, uważamy formę jego, podaną przez Wutstracka, za najwłaściwszą, pomimo, że on sam podpisał się: K r o f e y (Krofea), co jest nieco zniemczałą formą „Krowaya".

[2]) „Zur alten kaschubischen Literatur" w Archiv. für slavische Philologie. Berlin, 1898, str. 558.

na adewendt 1709". Tą samą ręką pisanych jest dwanaście dalszych pieśni i „Register tych spysanich Piesen wedlug Alphabetu", z którego brakuje jedna kartka. Na jej miejsce włożona druga pieśń, z czego wynika, że ta pieśń jest późniejszą. Przed rokiem 1709 pisało pięć osób pieśni 4 — 51. Lorentz sądzi, że rękopisy dodanych pieśni nie pochodzą wcale od osób duchownych, lecz od świeckich. „Piesnia na adewendt" zaczyna się słowy:

Tak Pan Bog ten swiat mylował,
Ze syna swego nam poslal
Go — nam z wysokoscy
Bez naszich zasznich zmiloscy.

Dr Łęgowski nie daje wprawdzie całkiem jasnej odpowiedzi na pytanie: czy Krowaу pisał swój śpiewnik po słowińsku, lub po polsku? Przyznaje jednak, że, pomimo „slawieskyego ięzika", w tytule, język Krowaya jest o wiele więcej polskim, aniżeli kaszubskim, ponieważ są w nim słowa i formy językowe polskie, a to, co jest kaszubskie, znacznie się różni od brzmień dzisiejszej gwary miejscowej, „w czem znowu dowód, że „slawiesky" oznacza podobnie jak Pontanowskie „slowięskie" tylko polskie, że obydwie te nazwy były użyte zamiast „polski", i że gwara „słowińska" była narzeczem, języka polskiego bardzo blizkiem, które po zerwaniu stosunków z Polską i w miarę coraz silniejszego nacisku niemczyzny, przy zupełnym zastoju rodzimej oświaty, oddalało się coraz więcej od pnia macierzyńskiego".

W sześćdziesiąt lat później zjawiły aię dwie nowe książki „słowińskie", również kościelne: Katechizm i Passye Pontana, pastora szmołdzeńskiego, który właściwie zwał się Michałem Mostnikiem, jak sam o sobie świadczy, pisząc przy końcu swego katechizmu: „Ty ksąszky... na jawnosc wydal Michal Mostnik (alias Pontanus albo Brückmann"). Dodane dwa ostatnie są widocznie tylko łacińskim i niemieckim przekładem właściwego kaszubskiego, względnie polskiego nazwiska. Mostnik był rodowitym „Słowińcem", a język jego jest płynniejszy i poprawniejszy, aniżeli u Krowaya, dlatego nie można się zgodzić z ks. Pobłockim, wyrażającym się z przekąsem o Mostniku, jako o Niemcu, „słabo władającym językiem polskim". Dr Łęgowski pisze o nim: „Pontanus poszedł za swym poprzednikiem, Krofeyem, i utworzył

z polskiego i słowińskiego język piśmienny, który w wielu formach różni się od dzisiejszej mowy, będącej w użyciu, jednak zarówno wówczas, jak też i dzisiaj, jest łatwo zrozumiały. Jeśli język Pontana porówna się z Krofeya językiem, to widzimy, jak wiele starych form ostatniego znika u Pontanusa, ustępując miejsca nowszym; język Pontanusa jest do dzisiejszego słowińskiego wiele więcej zbliżony, aniżeli mowa Krofeya". Natomiast dr Lorentz, sędzia bardzo kompetentny, mówi: „Właściwie kaszubskiego piśmiennictwa nigdy nie było. Pisma, jako kaszubskie oznaczane, są w głównej rzeczy polskie, tylko poszczególne słowa i formy są kaszubskie. Słów prawdziwie kaszubskich i fonetycznych tworów, zbaczających od polskiej fonetyki, niema w obydwóch dziełach drukowanych: katechizmie Pontana [1]) i śpiewniku Krofa. Takie znajdują się w niektórych rękopiśmiennych zabytkach, przechowywanych w części w archiwum kościoła w Szmołdzenie, częścią zaś posiadanych przez osoby prywatne". Pisarz ten zestawia dla porównania tłómaczenie pieśni Ebersa: „Herr Jesus Chrest war Mensch und Gott", zawarte w polskim królewieckim śpiewniku z roku 1778 (?), którego egzemplarz, używany jeszcze przed niedawnym czasem w kościele w Głowczecach (Glowitz), darowano mu w Klukach z tłómaczeniem Krowaya, poprawionem przez Mostnika dla wykazania, o ile język Mostnika oddala się od polskiego:

---

[1]) Tytuł katechizmu Mostnika, wypisany przeze mnie z oryginału, znajdującego się w archiwum kościelnem w Szmoldzenie, podczas mojej tamże bytności w lipcu 1900 roku, opiewa dosłownie:

„In nomine Jezu! Parvus Catechismus D. Marthini Lutheris Germanice-Vandalicus. Der kleine Catechiszmus D. Martini Lutheri. Deutsch und Wendisch gegen einander gesetzt mit Anhange der sieben Busspsalmen könig Dawid. Mały Catechism D. Marcini Luterá Niemiecko-Wandalski, abo Słowięski, to jest z niemieckiego języka w Słowięski wystawion y na jawność wydan z Przydatkiem Siedm Psalmów Pokutnych krolá Dawida y innych Potrzebnych rzeczi: osobliwie Historiy Passiy naszego Pana Jezusa według Ewangelistá Matheuszá, y niektorych Piesn duchowych+. Drukowany w Gdańsku przes Jerzego Rheta, Roku Pańskiego 1643".

Kroway-Mostnik:

Jezu Chrisce Boże wierny
Zbawicen miłosierdny
Ktory jes człowiekiem stał
I smierc ceszką dla mnie cyrspiał...

Królewiecki polski śpiewnik:

Panie Jezu! tyś człek i Bog,
Cierpiałeś męki, zimno, głod,
Na krzyżuś za mię żywot dał
Z Oycemeś mię swym poiednał.

Przy tem porównaniu trzeba przedewszystkiem mieć na uwadze, że przytoczone teksty przekładowe są odmienne, to jest, że przekłady są dowolne, i cały układ, dobór wyrazów, rymy są zupełnie różne, tak, że właściwie słowo ze słowem i zdanie ze zdaniem nie da się jedno z drugiem porównać, chyba tylko w całości, jako próba językowa z takąż próbą, przyczem nadzwyczaj ważną jest okoliczność, że tekst Krowaya-Mostnika jest o 192, względnie o 135 lat starszy od tekstu królewieckiego śpiewnika. Nie trzeba wcale słowińszczyzny na to, gdyż polszczyzna będzie się także różniła od polszczyzny, młodszej prawie o lat dwieście. Tekst Krowaya-Mostnika jest właściwie tylko starą polszczyzną, nadpsutą nieco kilkoma przymieszkami miejscowego narzecza, co tem łatwiej pojąć, jeśli uprzytomnimy sobie, że Pomorze podówczas nie miało prawie żadnych bliższych stosunków z Polską, więc było pozostawione samo sobie, a pozostawało pod nadzwyczaj silnym wpływem germanizacyi, przy braku zupełnym oświaty polskiej. Mostnik pisał po polsku. Przemawia zatem jeszcze okoliczność, podniesiona przez d-ra Łęgowskiego, że swój katechizm pisał nie dla ludu, lecz dla duchowieństwa, o czem świadczą dodane do stronicy 127 formuły zapowiedzi i zaślubin, oczywiście podane tylko dla użytku księży. Formuła zaślubin, która ma być rozumianą przez zaślubiających się, jest o wiele więcej „słowińską“. W niej bowiem zachowaną jest troskliwie liczba podwójna (dualis), utrzymana w gwarze ludowej tego odłamu Kaszubszczyzny.

Trzy zabytki „piśmiennictwa słowińskiego“, ogłoszone drukiem, o których wspominamy powyżej, nie wyczerpują pisarskiej działalno-

ści w tem narzeczu. Dr Lorentz poodkrywał inne jeszcze zabytki piśmiennictwa gwarowego, przechowane w rękopisach, które nigdy nie były drukowane. Podług tego pisarza był Mostnik zniewolony Listy i Ewangielie („perikopy“) odczytywać z polskich przekładów biblii. „Słowiński“ przekład „perikopów“ powstał później, dopiero z początkiem XVIII wieku. Książka „perikopów“ składa się ze słowińskiego i niemieckiego tekstu listów i ewangielij na wszystkie niedziele i święta doroczne. Tworzą one dużą, w skórę oprawną księgę, w której zapiski robiły rozmaite osoby. Zdaje się, że dzieło założył jeden ze szmołdzeńskich proboszczów. Księgi używano przez długie lata przy służbie Bożej. Najwięcej przekładów dokonał sam założyciel, wpisując je własną ręką. Inni, prawdopodobnie księża z okolicy, uzupełniali ją swojemi przekładami. Język tych przekładów nie odbiega wogóle dużo od języka Mostnikowego, przyjmując jego bogactwo słów. Zbliża się jednak więcej do dzisiejszej gwary ludowej, najwięcej zaś list i ewangielia na 6-tą niedzielę, którą też o wiele później, jak to znać dokładnie z pisma, wciągnięto do księgi. Widać, iż czyniono wciąż usiłowania, aby przystosowywać kościelny język do gwary ludowej. W księdze bowiem znajduje się dużo zastarzałych, lub z polskiego wziętych wyrazów i ich form poprzekreślanych, a natomiast są inne, gwarowe, powpisywane.

Oto próbka ich języka (Schol. Perekop. 1, 2. Petr. 1, 16 — 21):

„Me mądrym powiescom niefolgowale, kedesme wam znajome uczynili moc e przyście Pana Jezusa Chrestusa. Ale my z oczyma naszymy widzeli chwalę e poczesność jego“.

Dr Lorentz stwierdza z dedykacyi „perekopów“ kurfirsztowi brandenburskiemu datę rękopisu, mianowicie rok 1701. Wtedy w Szmołdzenie, gdzie się księga przechowuje, był pastorem Sporgius, szczery przyjaciel ludu kaszubskiego, mający z tego powodu ciągłe spory z właścicielem dóbr, który chciał zgnieść kaszubszczyznę, a zaprowadzić niemczyznę. Jemu przypisuje Lorentz autorstwo „perykopów“, dodając, że, z wyjątkiem „6-ej niedzieli“, język w nich równy jest językowi Mostnika. Znajdujemy tu naprzykład: „ocze“, „bele“, „kede“, z których dwa pierwsze w dzisiejszej gwarze brzmią: „vîoči“ [1]), „bali“, ostatnie zaś, pochodzące z polskiego:

[1]) Pisownia d-ra Lorentza.

„kiedy“ nie jest wcale w użyciu. Sądzimy, że dr Lorentz, a za nim i inni, przesadnie wielkie znaczenie przywiązują do tych poprawek, czyli głos. Właściwie bowiem nie zmieniają one stanu rzeczy w niczem, ponieważ widzimy, że starsze, lepsze wyrażenia, często poprawiane na nowsze gorsze, lub na zepsute, albo w końcu na szkaradne germanizmy, jak naprzykład:

Głosa 3-cia:

zamiast:	„w zwiercadlu ogląda“	poprawiono:	„w speglu obezdrzy“
„	„wszdem“	„	„doch“
„	„wzdymze“	„	„ale doch“
„	„chleba“	„	„brotow“
„	„okrętu“	„	„bate“ (z Boot)
„	„okręty do brzegu“ .	„	„bate do kraja“.

Inne przykłady poprawek:

„zapamiętliwy“ . . .	na:	„zabaczliwy“
„przyjął od oczu . . .	„	„wziął precz“
„naśladujące znamiona“	„	„folgujące cechе“
„mnóstwo“	„	„wielką grepą“
„by mówił“	„	„zebe gadał“
„mam lutosc“	„	„zal mnie jesta“
„rychlo“	„	„chutko“
„imię“	„	„miono“ (miano)
„wnidz“	„	„weync“
„ly“	„	„żeby“
„byl“	„	„bel“
„dwoisto“	„	„dwojake“

i t. p.

Są to nieznaczące zmiany, lub zepsucia, a czasem i językowe poprawki (jak zamiast „przyjął od oczu“—„wziął precz“). W żadnym razie nie mają one takiego znaczenia, by na nich mógł ktokolwiek opierać odrębność językową. Tak samo ma się rzecz z Mostnikiem. Jeżeli polszczyzna jego nie jest wolną od wpływów miejscowej gwary, nie można się temu dziwić, a jeszcze mniej widzieć w tem objaw odrębności językowej. Pisarz ten kościelno-ludowy był zupełnie od-

osobniony, nie mając ani z właściwą oświatą polską, ani też z właściwem polskiem piśmiennictwem żadnej bezpośredniej styczności. Stał on tylko pod wpływem odłamu oświaty ewangielicko-polskiej, idącej z Gdańska i Królewca na Pomorze. Oświatę tę zapoczątkował dla propagandy ewangielickiej rząd pruski, a pisma kościelne, stąd pochodzące, posiadały także znamiona miejscowej gwary, mianowicie narzecza mazurskiego. W tekście Mostnika uderza brak *ó*. Jest tam B o g zamiast B ó g, k t o r y zamiast k t ó r y i t. d., właśnie osobliwość gwary mazurskiej, nieposiadającej wcale *o* kreskowanego, brzmiącego jak *u*,

Dr Łęgowski, który dotychczas wcale nie popierał odrębności „języka pomorskiego, czy słowińskiego“, usiłując, owszem, dowieść mylności tego przypuszczenia, zawahał się, jakby mniemać można, nieco w sądzie, skoro pisze między innemi: „Jeżeli moje powyższe przypuszczenia (że więcej osób pisało rzeczoną księgę) są prawdziwe, to mamy w perykopach słowiński język, nad którego rozwojem wielu pracowało“. Okoliczność, że perykopy pisało kilka osób, zdaje nam się, nie może stanowić zgoła żadnego dowodu dla odrębności językowej, skoro na to niema językowych dowodów. Lecz nawet co do tego, że perykopy pisane są przez kilka osób, sam pisarz pewności nie ma, skoro powiada, że tylko co do listu i ewangielii na 6-tą niedzielę można z wszelką pewnością twierdzić, że pochodzi ona od kogo innego, dodając, że i t e p r z e k ł a d y w o g ó l e n i e o w i e l e r ó ż n i ą s i ę o d j ę z y k a M o s t n i k o w e g o. O odrębności językowej mogły-by ostatecznie rozstrzygać najstarsze zabytki gwarowe, pochodzące od Krowaya i Mostnika, w żadnym zaś razie późniejsze znacznie zapiski ludzi nieznajomych, z okresu, kiedy germanizacya, jak rdza żelazo, niszczyła ludowość kaszubską, a gwara rodzima psowała się pod jej wpływem, krzywiła i kurczyła, zamiast rozwijać się. Najlepiej widać to na przechowanych zabytkach językowych Słowian hanowerskich, tak zwanych „Połabian“. Ostatnie ich „Ojcze nasz“, najpóźniejsze, są istotnie odrębnościami językowemi, jako dziwolągi zupełnie zepsutej gwary, w której germanizmów kąkol przygłuszył całkiem zboże pierwotnej rodzimej mowy.

W archiwum kościoła w Szmołdzenie znajdują się nadto dwa „słowińskie“ rękopismy: m o d l i t e w n i k i ś p i e w n i k. Wspomnieliśmy już powyżej, że do przechowującego się tam egzemplarza drukowanego zbioru pieśni Krowaya dołączono nowy zbiór pieśni, przełożonych w większej części z niemieckiego, a obejmujących 157 stronic, pisanych prawdopodobnie przy końcu XVII, a na początku XVIII-go wieku. Język podobny, jak w perykopach, miejscami atoli więcej zbliżony do polskiego. Co do modlitewnika pisanego, dr Lo-

rentz przypisuje jego autorstwo pastorowi Lindnerowi, który w czasie 1720 — 1733 roku był proboszczem w Szmołdzenie. Język śpiewnika uważa on prawie za polski. Dr Łęgowski sądzi, że nie jest on więcej polskim, niż inne pieśni (Krowaya i Mostnika), dodając, iż dziwnym sposobem pisma prozą są więcej kaszubskie, aniżeli wierszowane.

Istnieje jeszcze jeden rękopiśmienny zabytek gwary, mianowicie: zbiór formułek przysięgi, który przechowuje „rycérski posiedziciel“ dóbr Wierzchucino (Virchenzin), na ziemi Słupskiej, nazwiskiem Gutke. Jest to zeszyt o trzech zapisanych kartkach, pochodzący z początku XVIII-go stulecia. Język zepsuty niemczyzną, a więc szpetny.

Podajemy pedług tekstu, przytoczonego przez Lorentza, ustęp jednej z tych formułek przysięgi, zwanych przez niego: „Wierzchucieńskiemi przysięgami“ (Virchenziner Eide):

„Gdy já od mojewa Pánstwá przyrodzonewá Pana Dicanasa Regierungs Rátha Jadam od podewelsow wysokorodzony Pán Bądę w tey wsie =N. teraz zá jadnewá szantyszá wybrány y wstáwiony, tey ja przysągam do Bogá wszechmocnego, jedna prawą wierzącą cielesną przysiga, coja chcia wiernie wtey wsy N. ych Lepsze aku ych Lepszemu pozytku za náwyszą przemocą a wolą opatrzyc a pofedrowác coby jim ku szkodze a prowidzie moglo byc wiernie a za nawyszą przemocą obronic a ostrzec y odwrocic, osobliwie zas ja tesz chcia ná to drzec, coby Dobry wiesky Rząd byl prowadzony“.

Dr Tetzner wspomina o księdze kazań kaszubskich, ułożonych przez proboszcza cecenowskiego, Zieglera, na początku XVIII-go wieku. Przytacza z nich krótką próbkę. Język także brzydki.

We wszystkich przytoczonych zabytkach miejscowego piśmiennictwa używaną jest polska pisownia, a nawet dla oznaczenia nosowego brzmienia *an* znajduje się wszędzie polskie *q*.

Dla uzupełnienia wspomnieć jeszcze należy o tem, co Maciejowski wspomina o zabytkach kaszubskiego piśmiennictwa, o ułamku pisma treści religiinej i o przekładzie „mowy luterańskiej“ (zapewne znaczyć ma: niemieckiej) na kaszubskie z roku 1582. Bliższych szczegółów brak. Wierzbowski [1]) nie wspomina także nic o tem.

---

[1]) Bibliographia Polonica XV ac XVI.

Całe to piśmiennictwo powstało z koniecznej potrzeby nauczania ludu w kościele w języku dla niego zrozumiałym, w czasie, gdy przywóz polskich książek religijnych stał się dla germanizatorów Pomorza niedogodnym i niepożądanym. Mimo to musiano zatrzymać język polski, w którym krzewiono pierwsze światło wiary chrześcijańskiej na Pomorzu, a do którego lud pomorski przylgnął i od wieków przyzwyczaił się. Dano językowi tylko zaprawę narzeczową. Inaczej był-by się w niczem nie różnił od czysto polskiego języka książkowego, któremu chciano właśnie położyć kres. Po ustaniu bezpośrednich stosunków politycznych i kościelnych pomiędzy Pomorzem a Polską, — a te zerwano z zaprowadzeniem reformacyi, — gdy Kościół pomorski zasilał się już tylko polszczyzną pośrednio przez Gdańsk i Królewiec, gdzie ona nie kwitła w niepokalanej czystości, zaczęła polszczyzna psować się na Pomorzu. Przy braku szkół polskich musiały się do niej wciskać wyrazy i formy narzeczowe, germanizmy i zepsucia językowe, co z pewnością odrębności językowej i osobnego „słowińskiego“ piśmiennictwa nie uzasadnia.

Taką polszczyzną z bardzo mierną zaprawą gwary miejscowej był język Krowaya i Mostnika. Późniejsze zabytki, pozostające pod jeszcze silniejszym wpływem narzecza, które już wówczas, gdy zapoczątkowywano piśmiennictwo kaszubskie, było zepsute, germanizmami zeszpecone, z głosownią i składnią, nie rozwijającą się prawidłowo, lecz pod naporem niemczyzny wypaczoną i wyradzającą się — są dlatego pod względem języka więcej oddalone od polszczyzny czystej, aniżeli zabytki wcześniejsze, lecz to żadnego dowodu odrębności nie przedstawia. Jak dalece gwara ludowa na Pomorzu jest zepsutą niemczyzną, o tem dają wyobrażenie przytoczone przez d-ra Łęgowskiego tak zwane: „Stowińskie formułki odmawiania“ („Besprechungsformel“), spisane w Słowięcinie z ust jednego starca tamtejszego. Jest w nich mnóstwo germanizmów w wyrazach, czasowaniu, składni, a nawet w używaniu przyimka rodzajowego przed rzeczownikiem. Oto próbka: „stoj sztell ninia“ i „sztell stojące jako sztouf“, gdzie „sztell“ (niemieckie: still) używane jest zamiast: spokojnie, a sztouf (niemieckie: Staub) zamiast: proch, kurz; dalej: „dzecan wachtali w tym krejzu“ — „wachtali“ (niemieckie: wachen, bewachen) zamiast: strzegli, „tym“ przyimek rodzajowy przed rzeczownikiem, odpowiadający niemieckiemu: „dem“ i „kreis“, (zamiast: okrąg; „Przasno je ta rejna, stwięta je ta sztenia (niemieckie: Stunde), swięty je ten dzien, da ta rejna sa sta“. (Świeżą jest rana, świętą godzina, święty dzień, gdy rana powstaje). W innej formułce czytamy: „ten pierwszy kwiat, ten dregi,

ten trzeci kwiat“ (die erste, die zweite, die dritte Blume); w formułce przeciwko złodziejstwu: „te macesze“, „tan mac“. Czasowanie w czasie dokonanym odbywa się całkiem w sposób niemiecki: „jo mom wyszeszony“ (wyszeszyć — wiązać — ich habe gebunden), „ja mam wybreniony“ i t. d., albo takie całkiem niemieckie zwroty: „On se muszy dac tak dlugae czasu“ (er muss sich so lange Zeit geben).

Formułka VII przeciw pożarowi, brzmi:

„Wegin, te nie muszysz palec, ta niemuszysz wlecec, tamuszysz biole rzec [1]), te mosz wenic, os nie aufbenic. To niebo medry rand [2]), smierć mo zamną ranka. Tan rankan ja westrechan ten żoli brand [3]).

(Ogniu, ty nie musisz palić się, ty nie musisz rozniecać się, musisz bole odpędzić, ty masz wynijść (pójść precz), a nie wnijść. Niebo ma modry kraj, śmierć ma zimną rękę. Ręką tą uśmierzę gorący pożar).

Porównajmy z powyższą formułką pieśń ludową, spisaną przez d-ra Łęgowskiego w Stowięcinie, która opiewa:

Przez mörzynka szeroko
Do my milszny daleko.
Przerydaul [4]) jem na ji dwor
Zaklepał jem na ji dom
Weszla do mnie roszno [5]) czesc
Roczöla mnie könia zlesc.
Jo rechli nie zlezan z könia,

---

[1]) Dr Łęgowski: biole rzec — niemieckie: heilen, leczyć; Ramułt, str. 189: recec — rzucić, cisnąć; a więc: bole cisnąć, rzucić, odpędzić.

[2]) Niemieckie: Rand.

[3]) Westrechac brand — uśmierzyć pożar.

[4]) Dr Łęgowski tłómaczy: przerydaul, ich ritt — przyjechałem konno. U Ramułta, str. 179: redać — deptać, tłoczyć, brodzić; u Berki, str. 107: deptać, naprzykład: konie pasły se na łące a poredały ją.

[5]) Wyrazu: roszno (roszny, roszna), nie znajduję w żadnym ze słowników kaszubskich. Dr Łęgowski opuszcza też w przekładzie niemieckim ten wyraz.

Ak swą milszną nie wobezdrza.
Ty swe milszny nie wezdrzysz,
Te tą drożką pojedziesz,
Tam swą milszną nalezesz.
Przerydał jem na ji grob,
Zaplakal jem wiele zdrob...

Spisywacz tej pieśni zaznacza, że ten, który mu ją wypowiadał z pamięci, ciągle się poprawiał, co wskazuje, że pierwotne jej brzmienie było językowo czystsze. Mimo wszelkiego zepsucia, wionie z niej krzepkość pierwotnej polszczyzny.

Parczewski w Wielkiej Gardnej spisał z ust tamtejszego włościanina, nazwiskiem Krastuna Josta, inną starą pieśń, niegdyś „w cerkwi“ śpiewaną. Dla porównania z powyższą, przytaczam jej osnowę:

Spomieni sa no tu każdej
Cö tu je zemia i też blöto;
Duszka z cala welecala,
Zány rade se nie dzala.
Doczal jej sa janiól z nieba,
O witejże grzeszna doszko,
Chwatej izie sa moich krzidel
Pobieżyszma do raja.
Ga do raja przebieżimo
Wetrzójd raja posadzyma
Mi za brate, mi za sostrami
Jako ksawiee mi za gwiazdami,
Ale synia mi za wami.

Tekst i język pieśni widocznie zepsuty, mniej też w niej archaizmu językowego, snać pieśń jest o wiele późniejszą, aniżeli ta, którą podał dr Łęgowski. Język nawet bardzo zepsuty, co się tłómaczy wygaśnięciem języka ludowego w tej miejscowości, której niemczenie usilne rozpoczęło się około roku 1840. W kościele ustała tam konfirmacya polska już dwadzieścia lat wcześniej. Ostateczny cios zadał polszczyźnie pastor Müller przed laty sześćdziesięciu, gdy usunął zupełnie z kościoła w Wielkiej Gardnej polskie nabożeństwa. On też wygnał polszczyznę i z miejscowej szkoły ludowej. Tego pastora zastał jeszcze Hilferding w roku 1856 w Wielkiej Gardnej. Pisze o nim: „Teraźniejszy pastor, Müller, mówił mi: „Przybyłem tu z Tucho-

mia [1]). Przyszło mi w udziale zdusić polszczyznę w dwóch miejscach: tu i w Tuchomiu". Działał on podług rozkazu prezydenta krajowego, który powiedział, że na Pomorzu trzeba zrobić koniec z polszczyzną, bo tak chcemy".

Oto innej pieśni słowińskiej pierwsza zwrotka:

Nasza matka kuropatka
Moleji dzecy bije,
A nasz tato w karczmau idzo
As görzelka pije...

Porównajmy teraz z sobą „Ojcze nasz", mianowicie: podany z powyżej wymienionej wsi przez Parczewskiego, z tym, jaki dr Łęgowski spisał w Ciemińskich Klukach [2]) z ust żyjącego tam włościanina, Marcina Poleksa.

Pierwszy opiewa:

„Wojcze nasz, który jes w niebie, swianceno bondze Imio twöji, przijdze królejstwo—stani sá two wolo, chleb nasz dej nám dzis, wopuszczaj nám nasze winie ako me wopuszczome nasze winowacy. Nie wodza nas na pokuszenie, la nas wabawnij wote zlewo. Won twoj jest to królejstwö esz na wieki wiecznej. Omenka".

Drugi brzmi:

„Wöjcze nasz, chtore te jes w niebie, swancone niech bandze imian twe, przyjdze nom twoje kroulestwe jak w niebie, tak na zemi. Twoj chljeb powszednan, mili Jezusku, dzys nom daj, a witpusc nom nasze wine, nasze grzészy. A nie wedze nas w pökuszenie, le nas webawi weto wszewo grzéchu. Abe two jesta moc tro [3]) wetwieka dowieka, amen".

Dla uzupełnienia należy przytoczyć jeszcze „Ojcze nasz", znajdujący się w tak zwanym „słowińskim katechiźmie Michała

---

[1]) Po niemiecku: Gross - Tuchen — okrąg bytowski.
[2]) Po niemiecku: Zemminer Kluken.
[3]) Widoczny błąd w wymowie zamiast: „t r w o".

Mostnika (Pontanusa) [1]) i „Ojcze nasz", podany przez Wutstracka [2]).

„Ojcze nasz" Mostnika:

„Oyczo nász, ktory jes w Niebie. Swięcono bądz imie twe. Przydze twe krolestwo. Twa się Wolá stani jáko w niebie táko y na Ziemi. Chleb nász powszedny day nam dzisa. Y odpuscy nam násze winny, jáko y my odpuszczámy nászim winnowácom. A niewodzy nas w pokuszenie. Ale nas wybáwi od złego. Bo twoje jestá krolestwo, y twoja moc, y poczestnosć od wieká ász do wieká. Amen".

Ten sam „Ojcze nasz" w szmołdzeńskiej książce do nabożeństwa przedstawia pewne małe odmiany. Brzmi on:

„Oycze nasz, ktory jes w Niebie. Swięcono b ę d z i e imię twe. P r z y d z n a m twe krolestwo. Twa się Wolá s t a n y jáko w Niebie táko y na Ziemi. Chleb nasz powszedny day nam d z y s a. Y o d p u s c nam nasze w i n y, jáko y my o d p u s z c z i m'y naszim w i n o w a y c o m. A n i e w o d z e nas w pokuszenie. Ale n a s z b a w i o d w s z e g o z l e g o. Bo twoje jestá krolestwo, y t w o j a moc y poczestność n a w i e k y w i e k o w. Amen".

Wutstracka „Ojcze nasz" opiewa:

„Oy'cze nász, ktory jes w Niebie. Swięcono ba'dz Imię twe. Przydz twe krolestwo. Twa się wolá stáni jáko w Niebie, táko y na ziemi. Chlep nász powszedny day nam dzisia. Y odpu'sc nam nasze Winy, jáko my odpuszczamy naszym Winnowáycom. A nie wodz nás w Pokuszénie. Ale nas wybawi od zlego. Bo twoje jestá krolestwo, y moc, y poczéstnosc od wieká ass do wieká. Amen".

Porównanie przytoczonych tekstów „słowińskich" jest bardzo wymowne. Przekonywać bowiem ono musi nawet nieznawców języka, że najstarszy tekst, podobnie, jak jeszcze starsza spuścizna językowa

---

[1]) Tytuł katechizmu: „Mały Catechism D. Marcina Lutherá Niemiecko Wandalski, abo Słowieski wystawion y na jawnosc wydan. Gdansk, 1643", przechowanego w archiwum kościelnem w Szmoldzenie.

[2]) Kurze historisch - geographisch - statistische Beshreibung von Pommern. Szczecin, 1793 — 1795.

Krowaya [1]), są czystą polszczyzną, która później, gdy język polski został na Pomorzu wyparty przez niemczyznę, jako język piśmienny, zaczęła psować się w czworakim kierunku: przez mylną pisownię, naleciałości narzeczowe, germanizacyę i złą wymowę, również pod wpływem niemczyzny. Prawie komiczne sprawia wrażenie, jeśli się zważy, że zwolennicy odrębności „języka pomorskiego“, czy „słowińskiego“, wznoszą cały gmach swojej pomysłowości na czysto polskich zabytkach językowych Krowaya i Mostnika, i opierają go na tym fundamencie, więcej, niż kruchym. W zabytkach tych bowiem, prócz wyrazów: „Wandalski“, „Słowięski“ i „Slawiesky“, mających oznaczać tyle, co Polski, niema ani okruszynki, która-by uprawniała do wysnuwania pomysłów o jakiejkolwiek odrębności językowej.

Przysłuchajmy się niemieckiemu narzeczu na Pomorzu. Oto jego próbka podług Knoopa [2]): „Lingpot, schla de Divel dot“, albo; „Mett, wenn uck bat dem Diwet in't Ellerbrauck“, albo: „as sei na alle Siere runge leipe; dei eie leip nam Karug u dem leip hei na“. Porównajmy to z niemczyzną: kaszubszczyzna jest dobrze zrozumiałą dla Polaka i odwrotnie, dla Niemców zaś, nieznających narzeczy dolno-saskich, tak zwanego „plattdeutsch“, jest niemiecko-pomorski dyalekt absolutnie niezrozumiałym. A przecież żadnemu Niemcowi, pomimo, że platt posiada bogate piśmiennictwo, datujące się ze średnich wieków, a rozwijające się ludowo do dni dzisiejszych, nie przyjdzie na myśl tworzyć z niego odrębnego języka.

Zastanawiając się nad polską gwarą Pomorza, nie wolno pominąć jeszcze i tej okoliczności, że Pomorze, oderwane od wieku wieków od pnia macierzyńskiego, znajduje się w zastoju językowym. Tymczasem język polski piśmienny rozwijał się wciąż i udoskonalał, a w miarę tego oddalał się od pierwotnych gwar ludowych wogóle, a w szczególności od tych, które, jak pomorska, nie stały pod jego wpływem.

(D. n.). G. Smólski.

---

[1]) „Duchowne piesnie D. Marcina Luthera y ynszich nabozuich mezow. Z niemieckiego w Slawiesky iezik wylozone Przez Szymona Krofca sluge slowa Bozego w Bytowie... w Gdainsku, 1586“.

[2]) Volkszugen, Erzählungen, Aberglauben, Gebraeche u. Märchen aus. östl. Pommern. Poznań, 1885.

NIEZNANY PAMIĘTNIK
JULIANA URSYNA NIEMCEWICZA[1]
o czasach
KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO.
(1807 — 1809).

IX.

Przyjazd marszałkowej Davoust do Skierniewic.—Pani Martins, kochanica marszałka. — Wizyta w Warszawie. — Festyny. — Rozmowa poufna Niemcewicza z Davoustem. — Wywołanie z kraju urzędników pruskich. — Smutne wieści z Hiszpanii. — Książę Asturyi. — Infant. — Godoy. — Prowincye włoskie. — Konskrypcya w Księstwie. — Jeszcze o konwencyi Bayońskiej. — Projekta pożyczki przymusowej. — Kłopoty Michała Kochanowskiego. — Szkoła prawa. — Wychowanie elementarne. — OO. Benoni.

Wszystko, co się ściąga do człowieka, który, w istocie, więcej rządzi tym szczupłym krajem, niż król sam, miejsce w pamiętnikach tych znaleźć powinno.

Słabi i podlegli, nie wystawiamy, jak tylko smutny ciąg potrzeb, ucisków, trudności. Ciąg ten, choć nieważnem, lecz mniej posępnem przerwać opowiadaniem— nie będzie od rzeczy.

W początkach miesiąca maja przybyła do Skierniewic pani marszałkowa Davoust. Napoleon wysłał ją z Paryża ze zleceniem, by marszałkowi syna powić starała się. Przywiozła z sobą dwie małe córki, jedną—dwa lata, drugą—roku jeszcze nie mającą.

---

[1]) Patrz zeszyt lutowy, str. 310.

Miesiącem wprzód oddaliła się stamtąd pani Martins, kobieta rzadkiej piękności, na której łonie, (jak twierdzą złośliwi), poczciwy marszałek popędliwość swoją łagodził. Pani Wincentowa Tyszkiewiczowa, siostra księcia Józefa Poniatowskiego, pierwszą z dam była, która, w kompanii pana Serry, rezydenta francuskiego, przyjechała złożyć jej swoje uszanowanie. Kiedy zważymy przywiązanie kobiety tej do familii Burbonów, zawziętość aż do nieroztropności przeciw nowemu rządowi we Francyi, odkazywanie się dawne, że ucieknie z Warszawy, skoro w niej noga francuska pozostanie, kiedy to wszystko porównamy z nizką czołobitością, którą okazywała księciu Talleyrand, okazuje dzisiaj wszystkim Francuzom, wyznać należy, że i ta mniemana tęgość duszy, (którą tej osobie przypisywano) i urodzenie, i bogactwa, w potrzebie niżej jeszcze giąć się umieją, niż niewyniosłość i ubóstwo.

Odpocząwszy marszałek przez niedziel kilka ze zgryzot swoich, żona zaś z trudów podróży, w Skierniewicach, zapowiedzieli powrót swój do Warszawy.

Miał on nastąpić na 20 i wszyscy oficerowie wojsk obojga wyjechali naprzeciw niemu za miasto. Wszystkie muzyki reimentowe stanęły przed pałacem, moc widzów okryła okna i ganki.

Czekano do późnego zmierzchu, gdy przyszła wiadomość, że marszałkowstwo nie przyjadą.

Porozchodziły się świetne wojskowe orszaki zawiedzione w ciekawości tłumy. Szczęśliwszemi byli nazajutrz, przyjechali bowiem marszałkowstwo. Skwapliwie, aż do zbytku, ministeryum nasze przyjęło ich na wysiadaniu. Cierpiałem na to, gdyż w niedoli ludzie, jeżeli nie przez wzgląd na dostojeństwa, któremi zaszczyceni, godność jakąś zachować powinni. Marszałek sam zdawał się temu dziwić, w sieniach atoli prezentował ich wszystkich żonie. Tembardziej i ja, i wielu bolało na tę uniżoność, że ludzie, ministeryum składający, byli zresztą poczciwi, pracowici i o dobro publiczne gorliwi, lecz czterdzieści lat ulegania obcym — wiele szlachetnych wyniosłości narodowi naszemu ujęło. Pani Tyszkiewiczowa i pani Vaubane (tak), przyjaciółka od serca księcia Józefa, tegoż wieczora z attencyą swoją pośpieszyły.

Nazajutrz wielka wojenna parada, pokłony wizyt wojskowych i cywilnych u pani Marszałkowej, wieczorem przyjmowano damy. Grzeczność, słodycz i rozmowa jej, podobały się wszystkim. Postać i twarz przyjemna i piękna, oczy wielkie i czarne, nieodstępna słodycz i chęć podobania się. Ci, co ją zblizka znają, twierdzą, iż przymioty duszy odpowiadają nadobności ciała.

Niewiasta taka, nie przez wpływ i intrygi, lecz przez dobroć i słodycz swoją, hamować może popędliwość męża, łagodzić jego rozjątrzenia, za tym stać się nam pożyteczną. Dobroć serca marszałka, przywiązanie i attencye, które widocznie okazuje dla żony, nadzieje te rokować zdają się. Dowiedziawszy się, że oficerowie gotują bal dla niego, oświadczył, że nie chce tego, że składka taka nie może być, tak uciążliwą dla tych, co z żołdu żyją. Gdy koniecznie nalegano, rzekł: czyńcie, jeśli koniecznie chcecie; miło mi jest, że te attencye czynią mej żonie i że mi pomagają zagładzić te winy, które względem niej mam sobie do wyrzucenia.

— „Laime, qu'on fête M-me Davoust, ce qu'on m'aide a réparer des torts, que j'ai vis à vis d'Elle". Podług zwyczaju, wziął mię marszałek na bok i rozmawiał. Już uprzedzenie jego względem Czartoryskich niknąć zdawało się. Sam nawet radził mi, bym, jako dawny przyjaciel i przywiązany, odwiedził ich. Gdym mu mówił o potrzebach kraju i zupełnym niedostatku naszym, rzekł:

— Wszystkiemu temu byłby już koniec, gdyby nie zwłoka tych, co króla otaczają w Dreźnie.

Postrzegłem zaraz, że do Brezy i hrabiego de Boze, ministra spraw zagranicznych, ściągały się te słowa; do pierwszego nieubłagana dawna nienawiść, drugi obraził listem swoim do Serry, w którym wyrażał, iż król żywo był dotkniętym, iż, bez wiedzy jego, marszałek, poddanych jego: Struensee i Reybacha wywołał z kraju. Zlecił marszałek Serrze ostro bardzo na te żale odpowiedzieć hrabiemu Boze, dokładając, że całość i spokojność Księstwa jemu samemu pod odpowiedzialnością od Cesarza poruczona. Mniemane zwłoki względem konwencyi, jakem się ze źródła potem dowiedział, nie były inne, jak te: pan Daru, generalny ordonator, i inni przełożeni nad kontrybucyami i dochodami zawojowanych przez Prusaków krajów, chcąc i własnej dogodzić chciwości, i z oszczędnością skarbu cesarskiego zalecić się Napoleonowi, gdy uznali, że kraj do kropli wyssany i na żywność własne trzeba będzie dostarczyć pieniądze, wymyślili, by Napoleon opłacał potrzeby wojsk swoich temi sumami, które niektórzy obywatele Księstwa Warszawskiego winni byli królowi pruskiemu, a które dziś prawem zwycięstwa spadały na Napoleona. Lecz pod te sumy, wynoszące do 12 milionów, podciągnęli kasy sierot, szpitalów, duchownych etc., które król pruski w czasie wojny zabrał, a które, nie tylko królewską, ale zgromadzeń i Towarzystw tych były własnością, tak dalece, że co od króla należało się krajowi, przeistoczeniem i zabałamuceniem francuskiem wystawiono, jakoby kraj winien był królowi. Z kredytorów uczyniono dłużników. Te fałszywe i prawdziwe pretensye zbiwszy do kupy, uczynili kapitał do 62 milionów wynoszą-

cy (to prawda, że całą tę sumę pretensyów za 24 milionów franków ustąpić królowi proponowali).

Proponowali dalej królowi, aby kupił pretensye te od cesarza, poszukiwał spłaty od obywateli i tą—potrzeby wojsk francuskich opłacał.

Podstęp i niewiara nadto były widoczne; znajomość rzetelnego stanu rzeczy nadto w królu dokładna, by ich nie postrzegł. Ze zwykłą zawsze dla cesarza powolnością odpowiedział król, że czyni, jak on żąda, ale, że bierze śmiałość przestawić mu błąd, w któren był wprowadzony, tłómaczył, że zabrane funduszowe fleuz (?) i inne kasy nie były nigdy własnością króla pruskiego i dziś J. C. M. być by nie powinny, że w tej mierze nie król pruski do kraju, ale kraj do króla pruskiego ma poszukiwania prawo. Wysłano z temi przekładaniami. Odległość Bayonny od Drezna, inne także zatrudnienia, opieszałość, wtenczas tylko okazywana, gdy swego dać co przychodzi i odium w niepodpisaniu dotąd konwencyi są przyczynami. Szkoda stąd całkiem dla nas. Skarb już zadłużony, i bez szeląga, dziś każą nam postępować, jak zwykle postępują utratnicy, co przedają wieś, aby dać bal. My musimy przedawać dobra narodowe, by gościom naszym dostarczyć codziennie sztuki mięsa i innych potrzeb i wygód.

Dnia 4 maja, ważne z Hiszpanii przybyły wiadomości. Nie mając, jak tylko francuskie doniesienia, trudno o wypadłych tam zdarzeniach mówić z rzetelnością i prawdą, w powszechnej trwodze, w której jest Europa, w groźnej baczności, w której wpływ francuski trzyma i swoje i obce drukowania. O dziejach przygód dzisiejszych dowie się chyba potomność z tych pamiętników, które dziś w ukryciu bezstronni świadkowie dla przyszłych gotują pokoleń.

W początkach czerwca ogłoszony jest dekret królewski względem popisów wojskowych, czyli konskrypcyi rekrutów, dla wszystkich mieszkańców Księstwa osiadłych i nieosiadłych, bez względu na ich urodzenie, stan, dostojeństwo, rzemiosło, wyznanie. Wyłączeni z pod prawa jedynie w służbie cywilnej aktualnie znajdujący się, duchowni mający już poświęcenia, profesorowie i nauczyciele szkół. Wszyscy inni od roku 20 do 28, do popisu, bez wyłączenia należeć mają. Z nich, za zgłoszeniem się ministra wojny, ilość potrzebna losem do wojska brana. A tak zwyczaj uzbrajania całej masy kwiatu młodzieży narodowej, zwyczaj wymyślony w zapale rewolucyi francuskiej, utrzymany i stokroć nadużyty przez Napoleona, powszechnie prawie w Europie przejęty i dziś znów nakazany, zwyczaj, tę tylko korzyść mający, że nie same tylko, jak dotąd, ręce rolnicze brane będą do oręża, lecz mniej istotnie potrzebne, zniewieściałe, szlacheckie. Lecz z drugiej strony, gdy spojrzem na te niezliczone, po wszyst-

kich krajach krocie młodzieży, na te całkowite, iż tak rzekę, wieku jednego pokolenie, najeżone zbójeckim orężem, gotowe, za pierwszym rozkazem, rzucić się na siebie, rznąć i zabijać; co za smutna dla ludzkości uwaga, co za widok w przyszłości wystawia się oczom naszym! Pustynie i mogiły...

Przecież pocieszającej otuchy nie należy odrzucać. Wyniosłość, niepowściągnięta żądza sławy, wojen Napoleona jedynym nie mogą być celem. Wie on, że w szlachetniejszych zamiarach prawdziwej chwały szukać należy.

Toczy on długie wojny, by światu długi zapewnić spoczynek, przeistacza postacie i granice narodów, by im pewne i niewzruszone zabezpieczyć trwanie; a jeśli naród swój tak znakomicie nad wszystkie inne pragnie mieć potężniejszym; jeżeli we wszystkich innych wpływ swój gruntuje, to dla tego, by wszystko ogarniać swą potęgą, sam nic nie żądając, innych trzymać w pokoju, strzedz ich od tych zawiści, od tej żądzy powiększania się, które, w zeszłych wiekach, tylu wojen bywały przyczyną.

Jak się spodziewać, jedyną jest to dla żyjących dzisiaj pociechą.

Dnia 11 czerwca, podpisana d. 10 maja w Bayonie z naszemi deputowanemi konwencya, dla pocieszenia publiczności, śpiesznie ogłoszona w gazecie.

Artykuły jej są: 1. że Cesarz Napoleon, z przychylności swojej ku narodowi naszemu, część wojska polskiego na żołd swój bierze, z przyrzeczeniem, że do osad zamorskich posyłaną nigdy nie będzie.

2. Że znajdujące się w Księstwie Warszawskiem wojsko francuskie będzie we wszystkich swoich potrzebach kosztem cesarskim opłacane.

3. Że szacunek soli, na Prusakach zabranej, a dawniej rządowi naszemu tymczasowemu ustąpiony, zmniejszonym zostanie. Harmaty zaś, na nieprzyjacielu zabrane, a w pretensyach do Księstwa za dług podane, Napoleon na pamiątkę daruje.

4. Nakoniec, wszystkie długi króla JM. Pruskiego w Księstwie, które sobie N. Cesarz zostawił, ustąpione są na rzecz króla i Księstwa, w zamian umówionej opłaty dla cesarza przez króla JM. Saskiego.

Dziś, pisząc, co poprzedza, 25 lipca, to jest więcej, jak w półtora miesiąca przed ogłoszeniem konwencyi, patrzmy, jak artykuły jej są dopełnione?

Jeden tylko pierwszy artykul, o któren nigdy nie prosiliśmy, to jest, wzięcie i wyprowadzenie z kraju wojska, wkrótce dopełnionym zostanie.

Drugi, najcięższy, o który bez ustanku dopraszaliśmy się, by wojsko francuskie, mięso i furaże samo płaciło, dotąd nie dopełniony. Co więcej, tabela ekspensy Księstwa i suma na opłatę furażów wojska i mięsa potrzebna, dotąd jeszcze od aprobaty cesarza nie przyszła.

Cały więc ciężar jeszcze na barkach naszych, a wysypawszy anticipative na też wydatki kilka rat podatków, dziś, z gwałtownej pożyczki i rekwizycyi w furażach, opędzają się potrzeby wspólne. Wyznać atoli należy, że troskliwy marszałek Davoust, czy to pożyczką, czy awansem z kasy francuskiej wojskowej, wydać kazał Kochanowskiemu prezesowi kom. żywności złp... (*brak*)

Jak daleko cena soli zmniejszona, niewiadomo, lecz co do amunicyi i armat, to jeszcze nie są nam oddane, lecz dotąd pod dozorem w ręku francuskiem zostają, tak dalece, iż – mam to z ust godnego wiary oficera artyleryi naszej — kiedy korpus jego mustruje się, muszą prosić Francuzów o pożyczenie naszych własnych armat.

Jakim sposobem przejęte i porachowane były długie pretensye wzajemne między królem i Napoleonem? powiedziałem już wyżej.

Właśnie gdy ogłoszono tę obietnicę ulg i już własnym groszem wszystkiego opłacać, ogłoszono też i pożyczkę półtora miliona na sprzedawać się mających dobrach narodowych i, prócz tego, na zaręczenia prywatnych osób, na dobrach dziedzicznych i starostwach. Marszałek Davoust pierwszy dał przykład, zapisując hypotekę na Księstwie swem Łowickiem 500,000 fr., Książę Józef Poniatowski, na wziętem niedawno starostwie tyleż, pani, z Lubomirskich, Stanisławowa Potocka, nie na wziętych dobrach, lecz na dziedzicznym Willanowie, 100 tys. złp., inni – w proporcyi gorliwości, dobrej wiary i chęci podobania się naczelnikowi. Później sumę 5,500 tys. podzielono na akcye, po 5 tys. fr. akcya.

Te akcye biorący składali zaraz pieniądze, i znowu marszałek Davoust, sam, za 10 akcyi, to jest 50 tys. zł. złożył; żydówka Szmulowa, dziś Judyt Jakubowiczowa, liwerantka, grubo na dostawach zarabiająca, wzięła 17 akcyi. Ozięble atoli i opieszale szła ta składka, gdyż, ku końcu prawie lipca, niewięcej, jak do 429,000 złotych polskich złożono.

— „Pocóż mam dawać—mówiło wielu—bez wywozu, z zamkniętym handlem do Gdańska, kilka rat podatków zapłaciwszy już wprzódy? Czy na prawdziwe Ojczyzny potrzeby mamy się wywnętrzać?

Wszakże, gdyby sprzymierzeńcy i opiekuny nasze za grosz swój żyli, na żołdy i utrzymanie wojska krajowego dostarczającemi byłyby podatki Księstwa; czemu w czasie pokoju żołnierz na stopie wojennej ma być trzymany, czemu w podziale racyi taki nieporządek i rozrzutność?"

Takie i tym podobne, niegłośne skargi, bo osobiście były-by niebezpieczne, lecz głuche, szerzyły się szemrania. Wbrew im atoli, gdy cisnęła potrzeba, Michał Kochanowski, prezes depart. i komisaryatu żywności, podjął się pożyczki niby to perswadującej, lecz w rzeczy samej przymuszonej, przychodził bowiem do majętniejszych obywateli i kupców, mówiąc:

— „Jeżeli dziś nie pożyczysz 10 tys. złp., to za tydzień będziesz musiał dać 30 tys." Każdy przekładał niebezpieczeństwo mniejsze. Nikt dziwić się nie będzie, że tak gwałtowne sposoby, dla używającego onych, ciągnęły nienawiść.

Niedosyć na tem. Ze wszech stron poświęcił się Kochanowski niechęci, skargom i narzekaniom, przyjął bowiem na siebie wszystkie nienawistne urzędy. Prezes wydziału żywności, sam, bez żadnego przydanego sobie towarzysza, wydawał asygnacye do skarbu, wydawał palety na zboże, owsy, siano etc., brał w rekwizycyę co było potrzeba. Słowem, skarb publiczny i majątki wszystkich, bez sprawowania się nikomu w jego znajdowały się ręku. Od kogoż, zapyta kto, tak nieograniczona władza? Od tych, którzy kraj cały w panowaniu swoim trzymają, poswięcony im całkiem, od nich za nietkniętego uznany.

Skreślić obraz tak ważnej w czasie dzisiejszym osoby—sądzę być powinnością moją. Wyznam atoli, iż kreśląc go, najtrudniejszą sercu memu zadaję powinność. Przyjaźń, powzięta z nim w pierwszej młodości, radaby wiele wymawiać, Prawda każe wszystko powiedzieć, gwałt własnemu czyniąc uczuciu. Tej ostatniej zadosyć uczynić należy.

Michał Kochanowski, potomek sławnych w języku naszym rymotwórców, wychowany w korpusie kadetów, z pierwszej młodości ukazywał umysł śmiały, odwagę serca niepospolitą, talenta wyższe nad mierność, wyniosłość i chęć znaczenia przewyższające talenta. W przyjaźni gorący i stały, w zapamiętaniu uraz nie łatwy, w nienawiściach nieprzebłagany, gościnny i ludzki, dobry mąż, gorliwy obywatel, najlepszy z ojców. W czasie nieczynnej i nieznaczącej Polski, aż do konstytucyjnego sejmu, strawił młodość i część dojrzałego wieku, jakinni, w zatrudnieniach domowych i towarzystwa zabawach. Dwie naówczas pojął żony: Wasilewską i Święcicką. Obydwie znaczny przyniosły mu majątek. W czasie konstytucyjnego sejmu, gdy kraj

z podległości swojej wyłamał się na chwilę, a naród, stanowiący nowy rząd i prawo, dał pole rozwinięciu się talentom, niepoślednim był i Kochanowski w pracy, w wymowie nie płynnej, kwiecistej, lecz dość łatwej i jasnej.

Za wybuchnięciem rewolucyi w 1794 r., okazał się najpracowitszym i najczyniejszym, już to w czasie walki, już w obowiązkach członka wydziału żywności.

Runęła Polska, lecz nie wygasł w niej duch obywatelstwa i nadzieja odzyskania bytu jej. Do jednej tylko Francyi, choć słabo błyszczał nadziei tej promień, do niej Kochanowski z innemi zemdlone podnosił oczy; do niej z innemi przekradł się w owym to czasie, gdy dyrektoryum, dla dywersyi Austryakom, sejm polski w Medyolanie zwoływać zamyślało. Niezręcznością imiennika Kochanowskiego, popadłe w ręce Austryaków, ściągające się do tego papiery, przyprawiły o więzy marszałka Potockiego, marszałka sejmowego Małachowskiego, Kochanowskiego, o którym mowa, i wielu innych.

Zwolniony nakoniec, uważany od wszystkich, jako zdolny, gorliwy i zasłużony, dni niewoli w spokojności przepędzał, aż do dnia, w którym rozbicie wojsk pruskich pod Jeną i zbliżenie się do nas Francuzów, długo oczekiwane nadzieje zdawały się już spełniać. Szczęśliwy tą nadzieją, ufny, że dawne zasługi i hazardy dawały mu prawo być zawołanym do najpierwszych w nowym rządzie urzędów, z rozjątrzeniem poglądał, że inni pierwsze miejsca ubiegli, a jemu wtórne dano. Później, i dziś wyższe ofiarowane sobie, odrzucił. Stąd ciągła zawsze cierpkość i niesmak do rządu swojego. Dalej, po złożeniu Brezy, przez marszałka Davoust na urzędzie dostarczacza żywności umieszczony, ile tęgością i arbitralnością egzekucyi naprzykrzał się swoim, tyle na pochwały i ufność zasługiwał u Francuzów. Czuł on, że uciążliwości urzędu swego stracił przywiązanie ziomków. Nienawidził więc, dla tego, że nie był lubionym. Całkiem się oddał Francuzom, dla tego, że mu pochlebiali.

Tak dalece zawiść i upokorzona miłość własna obłąkać mogą. Posiadając całkiem marszałka Davoust i p. Serry ufność, przekładaniami swemi, rozumiem, że nieraz wiele ulg mógł był krajowi swemu przynieść. Niechęć atoli ku rządowym osobom tak go oślepiała daleko, iż wszystkie trudności, zawody, raczej ich winie i niezdolności, niż rzetelnemu niedostatkowi kraju przyznawał.

Zarzuty, jakoby na urzędzie swoim z uszczerbkiem skarbu miał się zbogacać, znającemu go przez lat 30, niegodne i niepodobne do prawdy zdają się.

Wracam do ciągu materyi.

W pośród tych ciężących krajowi zdarzeń, nie upadał zupełnie duch dobra publicznego. Wyłamanie się z pod jarzma obcego, nadzieja rozszerzenia granic, w nikim nie pokładana, tylko w Napoleonie, budziły do cierpliwości w uprzykrzeniach obecną porę. Cieszyła najlepszej nadziei otucha. W wielu pożytecznych ustawach i dziełach ten duch obywatelski widzieć się daje.

Gdy kodeks Napoleona, nowością, zawiłością tłómaczenia, nieprzyzwyczajeniem do niego: ni sędziów, ni rzeczników, ni stron, wielu mitręgów stawał się powodem; rychlejsze przed nim ustanowienie sędziów pokoju—niezliczone w sporach między obywatelami przynosiło dobro. W przeciągu sześciu tygodni zaledwie 495 spraw przez sędziów pokoju zagodzonych zostało; liczba tu większa okazała-by się, gdyby ze wszystkich powiatów przyszły o tym doniesienia.

Ustanowiona dekretem królewskim szkoła prawa natury, cywilnego, rzymskiego, kodeksu Napoleona, prawa kryminalnego etc. Bieg nauki trwać ma lat trzy, wchodzący do szkoły niepowinien mieć mniej, jak lat 16 i zapłacić pomierną cenę 36 złp. Ubodzy uczą się darmo. Ustanowienie to wielce nadal pożytecznem stać się może.

Wyznaczona komisya egzaminacyjna, przed którą, wszyscy starający się być umieszczeni na urzędach publicznych, ze zdatności swoich egzamin odprawiać będą obowiązani. Komisya ta, jeśli będzie bezstronną, jeśli w egzaminach swoich surową, największą dla kraju przyniesie korzyść, dla zdatnych tylko w administracyi urzędników.

Niepospolitą obywatele Księstwa okazywali gorliwość—w rozszerzeniu światła między pospolitym ludem. Wielu obywateli, już to wyznaczyli gotowe, już nowe po wsiach i miasteczkach stawiali domy na szkoły, opłacali własnym kosztem nauczycieli, a co tkliwą sercu przynosi radość, to to, że wieśniacy sami, ten lud, tak mało dotąd cenę oświecenia znający, sam, przez dobrowolne składki, dla dzieci swoich zakłada szkółki i nauczycieli przyjmuje. Tak potrzebna dla wojska naszego szkoła artyleryi w tymże ustanowiona czasie.

Nadmieniliśmy już dawniej zgiełk, który się między oficerami francuskiemi i księżą, pod imieniem Benonów, w Wielki tydzień przytrafił. Zakon ten, w innych krajach zawiązany, pod imieniem kongregacyi Odkupiciela, w Warszawie znanym był pod imieniem Benonów z klasztoru św. Benona, który zamieszkiwał.

Zgromadzenie to, po całej prawie rozszerzone Europie, w ślady zniesionych Jezuitów wstępować chciało, a to przez sposobienie do systemu swego młodzieży, biorąc ją pod swe wychowanie, i osiodlanie, przez spowiedź umysłów wszystkich pobożnych. W ostatnim

względzie znacznie im się udało, mianowicie: w niższej klasie sług i w zacnych nawet niewiastach niższego stanu.

Pierwsi, wszystkie swe zbiory, wszystek swój czas (ile go oszczędzić mogli), poświęcali Benonom; drugie, prócz hojnych wsparć, we wszystkich przypadkach sumienia swoich i dzieci, ich się radziły, im ślepo wierzyły. Marszałek Davoust z miasta im ustąpić kazał.

Powkładano ich na wozy i do Galicyi wywieziono Tam, gdy rząd niemiecki przyjąć ich nie chciał, do Prus i Brandeburgii wywiezieni. Pospólstwo żegnało ich z płaczem, niewiasty—pieniądze, żywność, odzienie, odjeżdżającym hojnie na drogę dawały. Mniej sforne i łagodne, lub bardziej jak w innych krajach burzliwe i zabobonne obruszyły-by się na ten gwałt, czyniony ulubionym od siebie, lecz tu wszystko spokojnie się zakończyło. Dodać należy, że wszyscy prawie ci księża byli Niemcy.

X.

Polacy w Hiszpanii. — Bitwa pod Toledo. — Sprawy domowe.—Akcye pożyczkowe. — Upadek Warszawy.—Rekwizycye wojskowe. — Sypanie szańców. — Lud wiejski. — Reklamacye Niemcewicza przez Davousta uwzględnione. — Król nagli o przysyłkę intrat z Księstwa.

Usiłowania Francuzów, by zataić przed publicznością, że w dzisiejszych w Hiszpanii odmianach, niechęci i opór, spóźniły do dnia dzisiejszego pochlebne dla rycerstwa naszego doniesienie, to jest, że wojsko, polskie z legii nadwiślańskiej, niegdyś włosko-polskiej, uderzyło pod Toledem na 12 tysięcy zbuntowanych: pięć tysięcy położyło trupem, resztę rozproszyło, i sześć sztuk armat zabrało. W ciągu zeszłego miesiąca, tenże sam półk, kopijników Konopki, wpadłszy na podobnąż liczbę zbuntowanych, ubił im dwa tysiące i wszystkie działa zabrał. Napoleon, chcąc im okazać ukontentowanie swoje, posłał im 20 krzyżów wojskowych. Spodziewać się, że ta odwaga rycerstwa naszego, ta krew polska, która się w odległych leje krainach, naród nasz w oczach Napoleona w wysokim postawi szacunku i przypominać mu będzie, że lud tak bitny, niegodzien jest dłużej pod obcem uginać się jarzmem.

Lecz gdy w takim pospiechu wojsko nasze przyczynia się do zupełnego Hiszpanii podbicia, tutejsza panująca władza, równie porywczo nagli o dopełnienie podbicia ostatniego grosza, czyli o dopełnienie pożyczki. Do tylu zapalających do tego upomnień, prefekt warszawski uczynił odezwę do płci pięknej, zachęcając ją, by namawiała mę-

żów i synów, do okazania się w braniu akcyi hojnemi. Bez podobnych odezw, gdy kraj walczył za swoją niepodległość w 1794 r., znosiły niewiasty nasze złoto, drogie kamienie i perły. Gdy widno oczywiście że cel tych składek - nie na istotne kraju potrzeby, nie na jego ulepszenie, nie na jego rozszerzenie, lecz na obce nam po większej części użyte przedmioty, wymówionemi się być zdają, że nie tak bardzo skwapliwie słuchają głosu Prefekta.

Postać Warszawy, w upałach letnich, gdzie wszystko, co się w niej świeciło, ku oddychaniu chłodniejszego na wsi powietrza oddaliło się, nie była bynajmniej wesołą. Przerzedzono nader ludność.

Najwspanialsze możnych domy, za bezcen sprzedane, dotąd są otwartemi gościnnemi domami; wiele walących się, wiele zupełnie upadłych, cała reszta zawalona żołnierstwem; publiczne i prywatne gmachy zajęte na szpitale i koszary. Z tych liczby, cały pałac kadecki obrócony na szpital, toż samo pałac Jabłonowskich na ulicy Senatorskiej, Sapieżyński na Nowem Mieście, konwikt nawet Pijarski, na nowej Napoleona ulicy. Pałac biskupa krakowskiego, wiele klasztorów na tenże obrócone użytek. Przez otwarte okna widać było w złocistych lamperyach rynsztunki, mundury, surowe mięso, wiszące po ścianach.

Wiejskie nawet mieszkania od rekwizycyów nie wyjęte. Tak Królikarnia, ustroń księcia niegdyś Stanisława Poniatowskiego, część Mokotowa rekwizycyów nie uszły, Miasto do tych wiejskich mieszkań sprowadzać musiało łóżka i meble. W reszcie nawet domów, gdzie właściciele przytomni, ze zbytkiem pozabierane kwatery, Wszystkie meble, opał, światło, posługa, bielizna stołowa, farfury, dostarczano bez opłaty, psute i znowu odnawiane. Wojskowi nasi, obcych znarowieni przykładem, równie w domaganiach się swoich niepowściągnięci.

W niedostatku domów, gdzieby się społeczeństwa zbierać mogły, ogród Saski jedynem do schodzenia się miejscem. Jest to bursa, czyli giełda politycznych i miłosnych interesów, lecz i tam ubiór cywilny niknie w tłumie mundurów.

Tam nie głośno, jak w dawnych czasach, lecz z cicha podają się nowiny dnia, szemrzą na dolegliwość, szepczą przez młodzież oświadczenia miłosne. Huczna muzyka francuska hałasem swoim przytłumia wszystko.

W okolicach, forty fikacye na Pradze, Modlinie, Serocku, z największym naglą się pośpiechem. Pośpiech ten atoli największym zbiorom polnym zagrażał uszczerbkiem, gdyż chłopi ze wsiów wszystkich, zamiast żęcia w polu, do sypania szańców pędzeni. Czynione względem tego przekonania nie wiele przynosiły skutku.

Odważyłem się w tej mierze pisać do marszałka Davoust. Poczciwy ten, w rzeczy samej, dobrze nam życzący człowiek, wszedł w przekładanie moje, posłał do sypania wałów żołnierzy, a chłopów w znacznej bardzo części uwolnić do domów rozkazał. Szczęśliwy skutek listu tego dał mi uczuć słodycz, jakiej już dawno nie znałem.

Zawieszona przez porę żniw chciwość komisyi żywności, czeka tylko ukończenia zbiorów, by przygotować palety, na nowo porozsyłać rekwizycye.

Ogłoszony po gazetach od 1 lipca koniec już onym. Ogłoszone konwencye, dobrodziejstwa, pełzną na niczym. Król przestraszony od troskliwych o kraj własny Sasów, jakim niebezpieczeństwem zagraża skarbowi jego, zawarta z Napoleonem konwencya, zawiadamia tu owego barona Manteufel i codzień o przysłanie intrat napiera.

Donataryusze francuscy, majątki swoje puszczając w dzierżawę, dawane z góry na nie pieniądze—całkiem za granicę wywożą. Podatki od nich, dawniej dekretem cesarskim nakazane, lubo nakoniec do 1 marca opłacone być miały, do skarbu jeszcze nie weszły, a gdy wchodzić będą oddzielnie od innych mieszkańców, podług pruskich arendowych kontraktów po pięć tylko od sta opłacać mają. Mimo redukcyi zdawkowej monety, drożyzna taka sama, a może i większa, jak wtenczas, gdy w dwójnasób nad wartość swoją bieg swój miała. Brak krajowych rękodzieł, niezmierne sumy za potrzeby i zbytki wyprowadzał do Francyi. Z tego bowiem jednego kraju sprowadzano towary. Rzecz zaiste dziwna, jak przy tylu ciężarach i wydatkach kraj, tak długo wystarczał i ostatniego uniknął upadku. Lecz zapasy żyznej ziemi i ludu rolniczego od wieków obfitsze są nad mniemanie.

Nieżyzność prowincyj Brandenburskich, zniszczenie Szląska przez liczne wojska francuskie, podwyższyło cenę zboża, trzód etc. i tam się przekradało nasze. Choć żywność i kwaterunki z wygodami dawane obcym, przecież żołd ich zostawał w kraju. Nakoniec, znaczna liczba majętnych domów, ciągnąc intraty swoje z obcych kordonów, zasilała i kraj i miasto.

W cierpieniu ta tylko pokrzepiała uwaga, że inne kraje więcej jeszcze cierpiały, że tym, co i byt, i imię nawet stracili narodu, same nawet odzyskania ich nadzieje, dosyć drogo okupić nie można.

Gdy tak Napoleon ciężar jarzma swojego na karkach wszystkich przyciskał narodów, w nagrodę popełnionych zdzierstw, nowemi konstytucyami obficie obdarzał.

Tak w roku jednym sześci państwom rządowe nadał ustawy: 1) Księstwu Waszawskiemu, 2) Królestwu Holenderskiemu, 3) Królestwu Westfalskiemu, 4) Królestwu Bawarskiemu, 5) Neapolitańskiemu, 6) Hiszpańskiemu.

Rzetelne zaiste dobrodziejstwa, jeżeli czas i doświadczenie korzyści onych okażą, jeżeli zatrą dawne przesądy i błędy, jeżeli spływające z nich szczęście na następne pokolenia, zatrze pamięć dzisiejszych ucisków.

Przez zbieg nadzwyczajnych zdarzeń, wolą, przed którą się wszystko ugina, wojsko polskie, miasto bronienia i rozprzestrzeniania ciasnych swoich granic, w obcej ziemi obce wspiera napaście.

Posłana od dawna do Hiszpanii legia nasza nadwiślańska, Grabińskiego, niedługo pod ojczystemi wspólnie walczyła orłami. Rozdzielono jej pułki i porozrzucano po rozmaitych dywizyach francuskich. Zniechęcony Grabiński oddalił się od służby. Dziś trzy pułki, do ośmiu tysięcy wynoszące: Sułkowskiego, Sobolewskiego i Feliksa Potockiego, z żalem domowe rzucają ogniska. Wzięte z ziemi ojczystej, w też oddalone poszły już strony.

XI.

Plany wojenne Austryi. — Werbunki w Galicyi. — Nowy kontyngens wojsk Księstwa do Hiszpanii wysłany. — Obchód sierpniowy urodzin Napoleona. — Kuryer z Paryża. — Wymarsz Francuzów z Warszawy. — Most i okopy. — Zapowiedzi wojny z Austryą. — Przygotowania do wyjazdu Davousta z Księstwa. — Pożegnanie w Młocinach. — Książę Józef i Zajączek. — Rozmowa Niemcewicza z Davoustem. — Uwagi nad charakterem Napoleona. — Niekarność żołnierzy francuskich. — Wypadki wrześniowe 1808 roku w Hiszpanii.

Tymczasem Austrya, czyli to sądząc Francyę dość zatrudnioną uspokojeniem Hiszpanii, czyli i sama podobnegoż temu królestwu obawiając się losu, raptownie, niezmierne czynić zaczyna przygotowania.

Po całem państwie nakazane werbunki. Sama Galicya 51 tysięcy wybranego ludu dostawić musiała. W Węgrzech ustanowiono trwałą, pod bronią stojącą, milicyę. Używają zabobonności, narodowych przesądów, wszelkich nakoniec sprężyn, by wzniecić w narodzie wę-

gierskim zawziętość ku Francuzom, przywiązanie do austryackiego domu.

Na miejsce ojczystych pułków, do Hiszpanii wysłanych, przybyło sześć tysięcy Sasów i rozłożyło się w stolicy i okolicach.

Twierdzą, iż ciągnęli z niechęcią, i po drodze wiele popełnili gwałtów.

Obchodzony w Warszawie i w Księstwie dzień 15 sierpnia urodzin i imienin Napoleona, z okazałością i weselem, które, mniej wewnętrzne serca uczucie, jak raczej uwaga na położenie nasze, nakazywały; bo takie jest nieszczęście nasze, iż gdy nadzieje nasze w jednych tylko Napoleona ręku złożone, gdy żądza odzyskania ojczyzny każe uwielbiać tego, nad którym umysł dziwić się musi, przeciwnie, wszystkie moralności prawidła zdają mu się odmawiać tego szacunku, który niezmazanej należy się cnocie.

Przygotowania w Austryi, osobliwie w Węgrzech, powiększają się coraz; w Galicyi wybrani rekruci na wozach, często nawet w kajdanach, prowadzeni w głąb dawnych prowincyi. Sama atoli Galicya szczupłym osadzona wojskiem, co dało powód do mniemań, iż Rosya zaręczyła nienaruszenie kraju tego.

Dnia 25 sierpnia, w dzień św. Ludwika, właśnie, gdy w Łazienkach przez kosztowną i podchlebną fetę obchodzono imieniny marszałka, przyszedł kuryer. Po przeczytaniu listów, zaraz tejże nocy wydane rozkazy gotowania się do marszu. Prócz jednego 13, wszystkie inne wyszły z Warszawy regimenta.

Później, generałowie dywizyów i sztab cały wyruszyli. Sam marszałek został jeszcze do kierowania wszystkiem i ułożenia na czas nieobecności swej najdokładniejszych przepisów. Warszawa wojenną odnowiła postać. Niewidziano, jak pułki obozowym objuczone sprzętem, huk wozów i ciężkich dział ciągnienie.

Podwojono prace około mostu, a nadewszystko około okopów pod Warszawą, Modlinem, Serockiem. Nie bez uszczerbku w rolnictwie, krocie wieśniaków do tej pędzeni pracy. Dwa pułki jezdne polskie, strzelców i ułanów, przyciągnęły do Warszawy, wyborne i okazałe, co do ludu i koni, lecz pułk osobliwie strzelców wiele potrzebuje ćwiczenia. Zaprowadzone działa na okopy praskie. Po całym brzegu Wisły, aż do rozgraniczającej Pilicy, nakazane i zamówione wszystkie promy, statki i przewoźnicy z żywnością.

Te wszystkie oznaki wojny, obiecującej rozszerzenie szczupłych Księstwa granic, nie wiele na publiczności sprawiły wrażenia. Czyli to ciąg długi doznanych ciężarów w żadnej odmianie nie okazywał ulgi, czyli też umysły, tylekroć zawiedzione w nadziejach, ze

wszech stron przeglądając nawałnice i przeszkody, nic pochlebnego nie upatrywały w przyszłości.

Dnia 9 września marszałek z Młocin wyruszył do Szląska, zostawiwszy największą władzę nad sprzymierzonemi w Księstwie wojskami księciu Józefowi Poniatowskiemu. Zostawił mu także na wszystkie przypadki najdokładniejsze instrukcye. Książę, przez dzienny rozkaz te swoje wyznaczenie ogłosił. Wojsko przyjęło je chętnie, obojętnie publiczność. Ta od dawna nienawidziła księcia, w pośród narzekań i przepowiedni stąd klęsk największych.

W Wigilię wyjazdu marszałka, jak wielu innych, byłem u niego na pożegnaniu w Młocinach. Przyjął mię, jak zwykle, otwarcie i uprzejmie, i długo na osobności rozmawiał. Już przed kilku dniami dowiedziawszy się, że ogólna władza nad wojskiem oddana być miała księciu Józefowi Poniatowskiemu, że zatem i Zajączek generał, dawny jego nieprzyjaciel, miał być pod nim: pamiętny zapalczywej ku ks. Józefowi nienawiści Zajączka, w czasie jeszcze rewolucyi naszej 1794 r., uwiadomiony, iż nienawiść ta i dzisiaj była silniejszą niż kiedy; z tych wszystkich powodów, troskliwy, by wczasie potrzeby, osobista niechęć nie stała się dobru powszechnemu szkodliwą, obawę i troskliwość moją, i mową i listem, marszałkowi Davoust przełożyć za obywatelską miałem powinność.

Za spotkaniem się dzisiejszym, zaspokoił mię naprzód względem tej obawy, dziękując mi za ostrzeżenie i zapewniając, iż przyzwoite wziął środki do zapobieżenia złemu.

W ciągu rozmowy naszej, która była kilkakrotną i długą, postrzegałem w nim niespokojność i zakłopotanie, i to, w czym się na pół otworzył ze mną, dało poznać, iż położenie Napoleona nie było tak wygodnem, jak wieści publiczne malować pragną. W Hiszpanii powstanie niebezpieczne, a silne, zupełne we wszystkich gazetach zamilczenie o kraju tym, dowodzi, iż wypadki w nim dla Francyi niepomyślne być muszą. Dosyć, że rząd nie głosi, by publiczność, i niechęć, dorozumiewały się wszystkiego złego. Wieści więc chodzą, że coraz nowe insurgentów powstają wojska, że wysłano deputowanych do Anglii, że niektóre porty mają z Anglikami porozumienie, że generał Junot, z wojskiem swem, w Portugalii, przez insurgentów hiszpańskich, odcięty od wojsk francuskich. Jakkolwiek bądź, jeżeli łatwo było Napoleonowi oszukać panującą w Hiszpanii familię, nie tak zapewne łatwo będzie podbić Hiszpanów, podbić naród, pamiętający zawsze na dawną swą wielkość, z natury dumny i krnąbrny, w gniewie i zemście nie łatwo przebłagany. Podnieca go do oporu i zemsty pomniejsze duchowieństwo, drżące o kredyt i dochody swoje, zręcznie chwytające się do podniesienia ludu przeciw Napoleonowi tej po-

gardy, którą on Stolicy Apostolskiej okazał, już gwałtem przywłaszczając sobie najpiękniejsze Jej prowincye, już rozpraszając kardynałów, posłów zagranicznych, uniżając nakoniec tę Głowę Kościoła, która, acz już od dawna nie rzucała na narody postrachu, przecież, samym upoważnieniem, i wieków, i opinii, cześć jakąś wzniecała. Zuchwale zapewne jest chcieć zgłębiać postępki tak nadzwyczajnego geniuszu, jakim jest Napoleon. Ważne ma zapewne powody czynienia tak, jak czynił. Jednakże ci, którzy ich nie zgadują, którzy sądzą z wypadłych zdarzeń, mają zaiste prawo dziwienia się: dlaczego Napoleon, powziąwszy raz systema niecierpienia wielkich mocarstw, i nadania Francyi jednej wyłącznie zwierzchności i przewagi nad wszystkiemi narodami, dla czego, dążąc do tego celu, nie zaczął od uprzątnięcia największych przeszkód, a nie zostawił nadal tego, conie było grożącem, co było w wykonywaniu tak łatwem, czemu, mówię, nie obrócił całego ogromu potęgi swojej na rozbicie, mimo klęsk tylu, tak strasznej jeszcze austryackiej monarchii? czemu, porzuciwszy organizacyę, jak mówią, Północy, która jedna mogła go niepokoić, rozpoczął dzieło na Południu, z Hiszpanią, podległą sobie, z bezsilnym Rzymem, z Toskanią, krajami, których opanowanie (jeśli je opanować chciał koniecznie), bezpiecznie mógł był odwlec. Dotąd bowiem, bez nazywania tych krajów swemi, ciągnął z nich korzyści, miał je posłusznemi, jak gdyby pod jego należały berło.

Dla czego przez zabory we Włoszech, przez napaść Hiszpanii, ściągnął na siebie tę nienawiść i ohydę, które wszędy wzbudzają przywłaszczenia i gwałty?.. We wszystkich tych krokach, w całej tej lekkiej porywczości, widać do zbytku zaślepioną w szczęściu swym ufność. Przyzwyczajony do ciągłych powodzeń, nie przewidywał, ani tak silnych przeszkód, ani tak stałej i tak zawziętej w Hiszpanii odwagi...

Im większe więc od południa zachodzą trudności, tym śmielszą staje się Austrya, tem mniej pewną Rosya. Napoleon ze wszech stron niepewny, bo wszędzie tylko siłą i postrachem panujący, nigdy podobno w trudniejszych nie znajdował się okolicznościach...

Polacy, którzy w powodzeniach Napoleona jedyne Ojczyzny swej położyli nadzieje, trwożą się tym położeniem. Sama niewiadomość, staranne ukrywanie przed nimi wszystkiego, co się za granicą dzieje, powiększają niespokojność. W niedostatku pewnych wiadomości, publiczność tworzy je sobie. Najmniejszy list, najmniejsze doniesienie, przeistoczone, powiększone, rozchodzą się z ust do ust. Dziś głoszą, że flotta hiszpańska w Kartagenie złączyła się z angielską, że Ferdynand IV, król Neapolitański, ogłosił się królem hiszpańskim i ma się udać do Madrytu, że rokosz w Hiszpanii zajadliwszy jest coraz,

że wielu z naszych, nietylko poległych w boju, lecz nawet zamordowanych okropnie, kraj sterczący szubienicami, na których Francuzi Hiszpanów, Hiszpanie schwytanych Francuzów, lub Polaków wieszają.

Prócz tych oddalonych przypadków i odmian, miał marszałek Davoust urzędowe swoje przykrości. Korpus wojska saskiego w ciągnieniu do Księstwa, niemałe wszędy wykroczenia popełniał. Wysłani do rozstrząśnienia oficerowie znaleźli, że występki przewyższały oskarżenia sądne. Marszałek, surowy karności wojskowej przestrzegacz, nie chce zniechęcać surowością żołnierza, wkrótce może potykać się mającego.

Wkrótce, w samej, stolicy p. Alfons, Francuz, lecz adjutant w służbie naszej, przy księciu Poniatowskim, w zatargu z żołnierzem saskim, otoczony od kilkudziesiąt Sasów, gdy w obronie śmiertelnie jednego ranił, sam od nich kilkakrotnie ranny, stratowany, niemiłosiernie zbity. W samym już ciągnieniu wojsk, te, i podobne występki, nie chciano z tą karać surowością, którą-by w spokojniejszym okazano czasie. Poczciwy marszałek momentalnym względom poświęcić musiał prawidła tej surowej karności, której, jeden może w całym wojsku francuskim, tak czujnie przestrzegał.

Trafiały się porównie gwałty, przez dywizyę marszałka Ney popełnione w Saksonii. Gdym mu szczerze przekładał, jak wiele sprawiały złych skutków i niekarność żołnierza, i nieuważne przez rząd francuski ciemiężenie wszystkich krajów, z westchnieniem nie mógł tego zaprzeczyć, lecz przyznać musiał, że choć nieraz narody życzą Francuzów, przyjmują ich z uniesieniem, wkrótce, zniechęceni ich nierządem i łupiestwem, nienawidzieć ich muszą. Przydał, iż o zaczęciu wojny długo powątpiewał i uważał to za nieszczęście, że wojna z Austryą, na 6 lub więcej miesięcy, odwlec się musi.

— „Jeżeli — odpowiedziałem — dopełnienie ogólnego systemu waszej planty bez wojny obejść się nie może, ze wszystkich powodów lepiej, byście ją teraz zaczęli, przeciwnie, nie tylko, że nieprzyjaciel coraz się więcej wzmocni i przygotuje, lecz nadto, te wasze liczne wojska, które, Księstwo Warszawskie, Brandenburgię i Szląsk zajmują od więcej roku, nie znajdą na przyszłość w zniszczonych tych prowincyach ni żywności, ni zapasów; z nędzą pomnożą się skargi i niechęć. Ten duch obywatelski, który, ludzie gorliwi, wszelkiemi sposobami w Księstwie Warszawskiem od zupełnego bronią zgaśnienia, zgaśnie nakoniec.

„Miłość Ojczyzny, entuzyazm, silne są sentymenta, lecz jeśli nie podsycane, długo trwać nie mogą. Jeżeli więc przykrości i uciemiężenia zawsze będą przytomne, a ziszczenie oczekiwań na-

szych, zawsze, lub oddalone, lub niewidziane, pytam się, w kim nadal ufność waszą wzbudzić potraficie?"

Możem się nadto wytłómaczył. Jakoż, marszałek powiedział mi, że Polacy i Francuzi nadto są niecierpliwi.

Zbliżała się godzina wyjazdu. Żegnając, uściskał mnie, z szczerej przyjaźni wyrazem prosząc, abym pisywał do niego i doniósł, cobym tylko sądził wspólnemu interesowi potrzebnym.

Mimo zajść i kłótni naszych, z żalem prawdziwie rozstałem się z tym godnym, poczciwym człowiekiem. Powiększyła ten żal myśl, iż ciężko, byśmy równie przestrzegającego karności, równie przywiązanego do Polaków, widzieć mogli następcę.

Twierdzą niektórzy, i nie bez przyczyny, może, że częste i gorące wstawienia się jego za nami u Napoleona uczyniły go podejrzanym i posłania gdzieindziej stały się przyczyną. Mimo nieprzyzwoitych częstokroć uniesień, których potem sam pierwszy żałował, przy końcu zasłużył sobie na powszechny szacunek i powszechnie od wszystkich był żałowany.

Tejże samej karności i oddalenia od wszelkich zdzierstw dał dowód i w Szląsku. Przechodzące przed nim korpusa marszałków Ney i Mortier nakładały kontrybucye, osobliwie na Wrocław.

Przelęknieni obywatele, by idący ze swojemi Davoust, podobnychże nie wymagał, wysłali do niego deputacyę, z przekładaniem, iż obywatele tak są wyniszczczeni, iż nietylko nowych kontrybucyi, lecz zaległych marszałkom Ney i Mortier nie są w stanie zapłacić. Davoust uspokoił ich trwogę, oświadczając, że cesarz Napoleon wspaniale wojsko swe płaci, że nie tylko on sam, ani korpus jego nic nie wezmą, ale że nawet (sam na siebie odpowiedzialność biorąc), zakazuje im, by zaległych kontrybucyi nie wypłacali. Powszechna obywateli radość i wdzięczność czynu tego były nagrodą.

XII.

Niepowodzenia Napoleona. — Szachowanie polityki austryackiej. — Zjazd w Erfurcie. — Cesarz Aleksander w Królewcu. — Ulgi Prusom. — Król Saski gościem Napoleona w Erfurcie. — Książę Adam Czartoryski w Warszawie. — Jego rewelacye polityczne w rozmowie z Niemcewiczem.

Od objęcia najwyższej nad narodem władzy, nigdy Napoleon tyle niepomyślnych, raz po raz, nie odbierał wieści. Te, długo do nieprzerwanych przyzwyczajonego powodzeń, rozjątrzyły go niezmier-

nie. Zebrał wszystkie siły umysłu, całą namiętności zapalczywość, by zatrzeć poniesionych klęsk niesławę i, nieuważnie przedsięwzięte dzieło przewagą sił doprowadzić do skutku. W tym celu, do wojska i do senatu zapalczywą rozesłał deklaracyę, 80 tysięcy rekrutów natychmiast, drugie 80 tys. na zawołanie, w gotowości mieć kazał. Od północy pościągał swe wojska, część nawet znaczną wojsk związku Reńskiego do Francyi przysłał. Z nad Wisły i Elby powracające pułki, spotykano wszędzie przez cywilne władze, męstwo ich wynoszone pod niebo, wieńczone chorągwie złotemi laurami, gotowano uczty i wesołości, zachęcano do nowych dzieł wojennych, a nadewszystko rozjątrzano zawziętość przeciw Anglikom, śmiejąc, nie siebie, lecz ich, wystawiać jako jedynych nieszczęść Europy sprawców.

Gdy z jednej strony tak silne przeciw Hiszpanii czyni przygotowania, z drugiej, sposobiących się do wojny Austryaków dyplomatycznym chce zastraszyć obrotem.

Jak gdyby miał o losach Europy stanowić, cesarza Aleksandra na konferencyę do Erfurtu zaprasza. Ten, pierwszy raz w systemie swym stały, porzuca swą stolicę, obraca drogę na Królewiec. Królestwo pruscy z dziećmi zajeżdżają mu drogę i przez dwa dni bytności, co tylko nieszczęsna dola poniżonej królewskiej godności, co wdzięki królowej wbudzić mogły politowania, tem zmiękczyć Aleksandra i wstawienie się jego u Napoleona zapewnić sobie usiłują. I byłby się zapewne Aleksander silnie wstawiał, gdyby przejęty list principalnego ministra, Steina, którym Westfalię, Hanower i inne części Niemiec do powstania przeciw Francuzom podniecał, nie dostarczył Napoleonowi pozorów do odmówienia chytremu dworowi szukanych względów.

Przecież w tymże prawie czasie zawarty został traktat, między książęciem pruskim, Wilhelmem, a panem Champagny, ministrem francuskim, mocą którego, nałożoną na kraje pruskie kontrybucyę 140 milionów król pruski obowiązywał się w dni kilka zapłacić przez połowę, drugą zaś w późniejszym czasie. W zamian tego, Napoleon wyprowadzić miał wojska swoje z prowincyi pruskich, zatrzymując tylko 10 tys. załogi w Kistrzynie, Głogowie, Szczecinie, aż do zupełnego kontrybucyi zapłacenia.

Dnia 26 września, pierwszy król saski, zaproszony od Napoleona, stanął w Erfurcie. W godzinę nadjechał Mocarz. Przywitanie między dwoma monarchami było uprzejme. Po wzajemnych wizytach Napoleon przysłał królowi i książęciu naszemu swój popierś, z żądaniem, by w jednym z nim stanął domu. Jakoż, przedpokój tylko dwóch przedzielał monarchów. Nadjechał wkrótce Aleksander,

z równąż, jak pierwszy, przyjęty serdecznością. Jakie były między mocarzami umowy? czas pokaże.

Jedli razem ze sobą. Wielki Książę Konstanty, słabością wymówiwszy się, do stołu nie przyszedł. Zdaje się, iż dość długo zabawią ze sobą. Napoleon wozami sprowadził wybór swej gwardyi, meble, obicia nawet. Mówią, iż 600 koni brał na poczcie. Sprowadzeni pierwsi aktorowie paryscy do 17 reprezentacyi mają rozkaz być gotowemi.

Ominąć tu nie mogę widzenia się mego z księciem Adamem Czartoryskim, z Petersburga niedawno przybyłym. Od oswobodzenia mego z więzienia rosyjskiego, w 1796, nie widziałem go dotąd. Najpierwszą młodość strawiliśmy z sobą, w ufnej z obu stron przyjaźni.

Od lat dwunastu może, oddalenie jego z kraju—niespodziane na obcym dworze obowiązki, oddzielonymi nas trzymały.

Dziwaczny zaiste los człowieka tego. W czasie zupełnego rozdziału kraju z 1794, po skonfiskowaniu wszystkich dóbr ojca, po wróconym pokoju, dano rodzicom wybór, albo na zawsze utracić majątek, albo dwóch synów oddać w służbę rosyjską. Dobry zawsze Polak, nie wahałby się książę Czartoryski w wyborze, gdyby, obciążony długami, ze swoim upadkiem, nie pociągnął upadku tylu nieszczęśliwych. Odesłano więc dwóch młodzieńców na dwór Imperatorowej. Tam, młodzi książęta, w najbliższą z młodym w. księciem Aleksandrem weszli przyjaźń.

Paweł, nie lubiący księcia Adama, wysłał go w poselstwie na dwór Turyński, gdzie przez ciąg panowania jego zostawał.

Po śmierci Pawła, Aleksander, za wstąpieniem swym na tron, zaraz księcia Adama przywołał do siebie, a dawnej pamiętny przyjaźni, do największej przypuścił poufałości. Czartoryski, z natury skromny, ostrożny, może aż do zbytku przywiązany do dawnej Ojczyzny, z nowemi obowiązkami usiłował się pogodzić. Wyniesiony na stopień Senatora i ministra spraw zagranicznych, doznał, że największe dla ministra nieszczęście—być pod monarchą słabym, wahającym się, nigdy całkiem nie dającym ufności swojej, rozkazy swoje dane ministrowi zauszuemi plątającym zleceniami. W takim wypadku—błędy monarchy na ministra padają.

Pokój, który Czartoryski, z rozkazu cesarza Aleksandra, przez p. d'Oubril z Napoleonem podpisał, zmianą nagłą systemu, nieratyfikowany, zaprzeczony nawet. Pełen zgryzoty, książę Adam urząd swój złożył.

Przykra zaiste była sytuacya jego. Podejrzany i zazdroszczony od Rosyan, jako cudzoziemiec, obwiniony od Polaków, że od nich

stronił i niedość czynił dla nich, dotknięty najtkliwiej nieufnością monarchy, któremu się, jak przyjacielowi i człowiekowi, powierzył całkiem, wszystkie swe zbawienne zamysły, dla dawnej Ojczyzny i dla monarchy nawet, zawiedzionemi widząc, w obcej krainie, w tym srogim klimacie, pędził dni nieczynne i smutne. Przeciwny był zawsze książę Czartoryski systemowi związków między Francyą i Rosyą i wtem, działał więcej, jak człowiek poczciwy, który się wzdrygał nad niemoralnością i nieograniczoną pychą Napoleona, niż jako dobry polityk.

Chciał Czartoryski podnieść Polskę, ale, w rozumieniu jego, stać się to mogło tylko stale—przez Rosyę, to jest, by połączyć rozerwane prowincye, utworzyć Królestwo Polskie, nadać mu osobne konstytucyjne prawa, osobne wojsko i, nakształt Węgier, oddać pod berło rosyjskie. Krok ten on uważał za poprzedniczy do zupełnej napotym niepodległości i oddzielności.

Wyzuty z dyplomatycznej skorupy swojej, rozmawiał ze mną książę Adam o tych wszystkich zamysłach, z dawną swą poufałością. Mówił, iż przed bitwą austerlicką, gdy Rosya i Austrya przymusić chciały dwór Berliński do wspólnego przeciw Francyi działania, gdy opierał się król pruski, Aleksander królem polskim zamyślał się ogłosić i zagarnioną część Polski przez Prusy zająć.

Dołhoruki, nieprzyjaciel Czartoryskiego, wysłany z Berlina, znalazł sposób zepsucia tej planty, przywiózł zwodnicze przyrzeczenia. Uwierzono im, opuszczono zamysły: czas pokazał fatalne łatwowierności skutki. Po zniesieniu Prusaków pod Jeną, a raczej Auerstaedt, gdy Francuzi już ku granicom Polski zbliżali się, przelękniony Aleksander namawiał Czartoryskiego, by odprawił podróż do Polski i zachęcał obywateli, by się nie dali łudzić francuskim obietnicom. Zapewniał, że Rosya trudzi się losem Polski i podobne ukazywał nadzieje:

„Jeżeli mi Wasza Cesarska Mość dasz na piśmie rozkaz, bym imieniem Jego zaręczył, że chcesz Królestwo Polskie powrócić; jeżeli wydasz w tem deklaracyę swoją, z ochotą pośpieszę pełnić rozkazy Jego. Błahym, obojętnym, ustnym obietnicom, nie zechcą rodacy moi wierzyć. Ani ja, szerząc je, nie chcę wydawać na sztych sławy mojej i z zawodu wstydzić się potym".

Obrażony cesarz wyrzucał mu niegorliwość, w jego podjęciu się tej usługi; po wniściu do Warszawy i rozpoczęciu krwawych bojów, cesarz Aleksender i król pruski znowu uznali potrzebę pozyskania sobie Polaków. Książę Antoni Radziwiłł, mimo pokrewieństwa swego z domem Brandenburskim, przywiązany do Ojczyzny swojej i szlachetnie myślący, opaczne kraju swego i mocarzów interesa

pogodzić szukał, a przez wskrzeszenie, zamiast jednej—trojakiej Polski, pod berłami tych, którzy ją podzielili.

Jakkolwiek bądź dziki i niepodobny był ten projekt, chwycił się go cesarz Aleksander i znowu męczył Czartoryskiego, by ziomków do powstania przeciw Francuzom zachęcał. Czyli to, by się zbyć naprzykrzania, czyli też w nadziei, że te, choć tak niedojrzałe, zamysły, w obrocie okoliczności, pomyślniejsze niż się zdawało przynieść mogły skutki, napisał książę Czartoryski do Wawrzeckiego, do Litwy, i do generała Kniaziewicza na Wołyń, by w ważnych dla dawnej Ojczyzny swej sprawach pośpieszyli rozmówić się z Imperatorem. Stanęli nieodwłocznie, lecz słysząc same tylko płonne, prawdziwego powrotu nie stanowiące obietnice, odpowiedzieli, iż namowy ich, na tak niepewnych oparte zasadach, nie poruszą Polaków do walczenia z Francuzami, że nadto, środek ten wydaje się im za późny, że potworzone pułki polskie walczą, że nikt uczciwy z ziomkami swemi bić się nie będzie.

Upadł więc zamysł i upaść musiał. Gotowe już proklamacye, pobudzające Polaków do chwycenia się do oręża i walczenia Francuzów, cofnięte.

(C. d. n.).

NA CZASÓW FALI.

I.

ŻELAŹNI JEZDŹCY.

Wiatr dymy wije, kłębem dusi
I niesie skry po drodze,
Żelazni jeźdźcy jadą głusi,
Puścili koniom wodze.
Ciężkim brzmi stępem hufiec koni,
Łopoczą białe płaszcze,
Wiatr czasem lśniących blach odsłoni
I siną zbroję głaszcze.
Szeleszczą suche osty trwogą,
Wron się zrywają czaty —
Żelaźni jeźdzcy jadą drogą,
Spalili gród i chaty.
Wiatr dymu gęstą gna zawieją
I blade niebo plami,
Czarne się pióra jeźdźców chwieją —
I szumią nad hełmami.

Chwieją się czarne pióra strusi
Chwieją się, z wiatrem gwarzą,
Żelaźni jeźdźcy jadą głusi
I głuche myśli ważą.

II.

ZWYCIĘSKI DZIEŃ.

Hej, naprzód, za tę ziemię świętą,
Kłonice i topory,
Kiej nam rycerzy moc pocięto —
Pójdziewa my przez bory!
Już chorągwie biją w ścisku
I miecze, krwią pociekłe —
I konie w blachach po boisku
Rżą tylą bitwą wściekłe.
Pękają hełmy z mocy ręki
I miecz po tarczach wali,
Już roznieśli z czubów pęki
Zbroice rozkowali.
Niech się ta zmaga ciżba luda,
Patrzajta, co tam w chmurze,
Nad borem zeszły jasne cuda
Modlą się Święci Stróże:
O mocny Boże, dyć te gady —
Może do cna wyginą;
Oj, pomóż, Boże — damy rady
Za Świętych Twych przyczyną.

Słuchajta! — idą szumem słowa —
I leci pieśń przez drzewa,
To król Jegomość i bojowa
Chorągiew Pańska śpiewa.
Wiecie — Bogarodzicę pieją,
Pewnikiem ruszą cwałem.
Oj, wielkie rzeczy tu się dzieją,
Hej z nimi sercem całem!
Hej, naprzód, kupą, a zawziętą,
Do kłonic i topora,
Słyszyta — krzyczą. — Nasze Święto,
Teraz już na nas pora!
Dyć Pan Bóg z nami — z naszą nędzą,
Kiej słońcem pole krasi,
Patrzajta — nasi Niemców pędzą,
To nasi gonią — nasi!

III.

SYNOWIE.

Leżą rycerze jakby Święci
W kaplic pomroku w głaz zaklęci,
Leżą u cichych naw kościoła,
Kamienny napis jękiem woła:
Domine miserere...

Leżą rycerze w niepamięci
Na polach w zgiełku mieczów cięci,
Rdzawe przyłbice, trupie czoła,
Ziemia im ciężki grób dokoła, —
Nad grobem pole szczere.

—

Żelażni jeźdzcy w sen polegli,
Żerują kruki, żerują — —

—

Na świętej ziemi krzyż ciosany,
Pocięte chłopy, skłute pany,
Nikt nie wyczyta, imię czyje,
Kłonice pękły i kopije —
Odpuść nam nasze winy!

— —

Na świętej ziemi dzień wiośniany,
Wracają w biały sznur bociany,
Gęgają gęsi, wznoszą szyje,
Chłop wyszedł — — w słońcu oczy kryje,
Czas orać pod jarzyny!

— —

Z chałupy chłopcy dwaj wybiegli — —
— — Szybują ptaki — — szybują.

IV.

LECĄ CZASY.

Lecą czasy o skrzydłach — jak ptaki,
Lecą czasy o skrzydłach — jak chmury,
Lecą lata jak echowe wtóry —
Jak bieg szumny, bieg szumem jednaki,
Płyną lata — jak rzeki spadziste — —
O Ludzkości — twe lata jak ptaki!

— — —

Powaliły się baszty koliste,
W bluszczach gruzy spowite do skały,
Ciemnych katedr sklepienia spękały,
I Twe krzyże się walą, o Chryste!
Żywie walka i wieczna i nowa —
O Ludzkości — twe czasy koliste!

— — —

Burza ciągnie nad polem gradowa,
Zboża chylą się wichrem przegięte,
Kłosy chylą się ciężkie i święte,
Rozświeciła się ciemnia chmur płowa,
Z chmury padnie ogromne zniszczenie,
Burza idzie na ziemię gradowa.

— — —

Słońca! słońca! — tęsknicą stworzenie,
Przeszły wieki, nad ziemią, nad nami,
Przeleciały tęsknicy skrzydłami,
Słońca! słońca! — niech wstaną promienie —
I niech błysną wieczystych dni znaki —
I niech będzie miłością Stworzenie.

— — —

Lecą czasy o skrzydłach, jak ptaki,
Lecą czasy o skrzydłach, jak chmury,
Lecą lata jak echowe wtóry —
Jak bieg szumny — bieg szumem jednaki,
Lecą lata jak chmury — jak ptaki.

Jan Przysiecki.

Nasze stosunki handlowe z Niemcami.

Zjednoczenie Niemiec w pierwszej połowie ubiegłego wieku było marzeniem poetów niemieckich; mężowie stanu i wszyscy zwolennicy legalności i porządku uważali je po prostu za mrzonkę, ponieważ trudno było wyobrazić sobie urzeczywistnienie marzenia tego bez zupełnego przewrotu istniejącego porządku, bez podkopania bytu licznych a drobnych organizmów państwowych, na które Niemcy były podzielone.

Dążenie do zjednoczenia rozbudził najazd Napoleona I-go, który uprzytomnił Niemcom ich słabość i brak wszelkiej łączności pomiędzy członkami jednej rodziny.

Oczywiście, w umysłach marzycieli niemieckich z pierwszej połowy XIX wieku, zjednoczona ojczyzna Schillera, Körnera, Uhlanda, Rückerta i t. p., przedstawiała się jako przybytek wolności i swobody. Liberalne dążności doznały wzmocnienia w Niemczech w czasie reakcyi w Europie, a Nationalverein, który ideę zjednoczenia propagował, jakkolwiek dużo liczył członków, którzy następnie poszli z Bismarckiem, w pierwszych chwilach istnienia swego był środowiskiem liberalnej inteligencyi niemieckiej.

Czy zjednoczone Niemcy miały-by inny charakter, niżeli mają obecnie, gdyby Fryderyk Wilhelm IV był przyjął niemiecką koronę cesarską od parlamentu frankfurckiego, choćby nawet Austrya temu nie stanęła na przeszkodzie, o tem przesądzać trudno. Niedawno spotkaliśmy się z obszernemi wywodami, dowodzącemi, że Niemcy z natury byli zawsze brutalni i nigdy inaczej, jak brutalnością egzystencyi i przewagi swojej nie potrafili-by zamanifestować, gdy tymczasem Bismarck się zawsze na nich skarżył, że są niepoprawnymi marzycielami.

Bądź co bądź, sprawa zjednoczenia Niemiec, skleconych dosyć niedołężnie w Związek niemiecki (*Deutscher Bund*), przybrała zupełnie inny charakter, gdy myśl zjednoczenia Niemiec zaczęła się krystalizować w głowie delegowanego w charakterze posła do Bundesta-

gu Ottona von Bismarck, typu junkra pomorskiego. Od tej chwili rozpoczyna się walka z Austryą o hegemonię w Niemczech, a na całem dążeniu do zjednoczenia Niemiec wyciskają piętno swoje Prusy, które, zamieniwszy się w szeregu wojen z małego państewka na wielkie państwo, istotnie brutalność mają w tradycyi i w charakterze swoim.

Trzeba było silnie oddziaływać na te instynkta, aby w okresie sześcioletnim skłonić Prusy, pogrążone od pięćdziesięciu lat w pokoju, do prowadzenia trzech wojen: z Danią, z Austryą i z Francyą. Pierwszym dwom wojnom opierała się jeszcze większość liberalna sejmu pruskiego. Waldeck, Hoverbeck, Virchow, Twesten i liczni ich towarzysze, pozostali jeszcze „niepoprawnymi marzycielami", nawet myśl przeprowadzenia zjednoczenia Niemiec mieczem i ogniem, spajania różnych części krwią, była im przeciwną. Ale każda wojna silniej rozbudza brutalne instynkta, a sukcesy imponują tłumom. Bismarck tedy już po wojnie z roku 1866 ma za sobą większość narodu i jego przedstawicieli, tak, iż łatwo mu przychodzi wywołać pod błahym pozorem wojnę przeciwko „dziedzicznemu wrogowi", Francuzom, i wciągnąć do tej wojny nietylko utworzony w r. 1867 związek północno-niemiecki, zabierający się do wojny ze strachem, ale z entuzyazmem, lecz i południowe Niemcy, pomimo sympatyi, jakie tam były dla Francyi i wstrętu do hegemonii pruskiej.

Przypomnieliśmy w pobieżnej notatce te dane z najnowszej historyi, ponieważ one nam uprzytomniają sposób wcielenia myśli zjednoczenia Niemiec, a tem samem tłómaczą nie jedno ze zjawisk dzisiejszych, mianowicie hakatyzm i wszechniemców z ich brutalną propagandą. Gdyby propaganda „niepoprawnych marzycieli" niemieckich doprowadziła w jakiejkolwiek formie do zjednoczenia Niemiec, nastąpiło-by to może później, ale w przewodniej myśli państwowej byłby niewątpliwie wziął górę idealniejszy pierwiastek. W Niemczech, zjednoczonych ogniem i mieczem, pod przewodnictwem Prus, mających pewną w tym kierunku tradycyę, musiał wyrobić się kult dla siły brutalnej. Patryotyzm niemiecki, rozbudzony kolejno na tle nienawiści do Danii, do Austryi i do Francyi, musiał nareszcie znaleźć wyraz w nietolerancyi narodowej, którą odznacza się hakatyzm i wszechniemieckość.

Bismarck nie zmienił się w roku 1871; nie spoczął na laurach w swojej propagandzie niemieckiej idei narodowej. Gdy bowiem dawniej potrzeba mu było roznamiętnienia tłumów pod względem narodowym dla skutecznego prowadzenia wojny, po zjednoczeniu musiał szukać sposobów utrwalenia zbrojnego pokoju, musiał znaleźć środki zamiany całego państwa w jeden obóz.

— Nie łudźmy się,—mówił w parlamencie naczelnik stronnictwa wojskowego, feldmarszałek hr. Moltke, — przyjaciół nie mamy; boją się nas, ale nas nikt nie kocha. Jeszcze pięćdziesiąt lat i dłużej musimy pozostać pod bronią.

Chociaż nigdzie nie widać było wroga, znikąd nie groziło niebezpieczeństwo, mianowicie Francya, wyczerpana klęskami, o odwecie nie myślała; naiwni Niemcy wierzyli augorom swoim, którzy świeżo tak wielkie mieli sukcesy i urzeczywistnili długoletnie marzenia o zjednoczeniu Niemiec. Po roku 1871 bowiem już i dawni poeci, i członkowie Nationalvereinu uwierzyli, że to te same Niemcy, o których oni marzyli. Uchwalano coraz to nowe środki na wojsko lądowe i na flotę; równocześnie zaś z wzrastaniem armii i wciąganiem do niej całego narodu, wzrastała buta, z wzrostem zaś wydatków, rujnujących kraj i ludność, wzrastała nienawiść do rzekomych wrogów, otaczających, według Bismarcka i Moltkego, ze wszech stron Niemców.

Tak poczucie narodowe w Niemczech nie wyrosło na gruncie przywiązania do tego, co swoje, lecz z posiewu nienawiści do wszystkiego, co nie swoje. Niemcy zaś nietylko swojem zbrojeniem się zmusili wszystkie państwa do znacznego wzmacniania zbroi swojej i stały się powodem miliardowych na całym świecie na ten jeden cel wydatków, lecz i buta ich, a także fałszywe z gruntu pojęcie idei narodowej, oddziałało, jako zły przykład, demoralizująco, daleko poza granicami Niemiec. Imperializm w Wielkiej Brytanii, a nawet w republikańskiej Ameryce, to rodzeni bracia niemieckiej, pochodzenia pruskiego (*Schneidigkeit*), tężyzny i aspiracyi do wszechświatowej potęgi (*Weltherrschaft*); brak tolerancyi narodowej, z którym się dziś tak często spotkać można, spaczone pojęcie o patryotyźmie, które dziś częściej polega na nienawiści do tego, co obce, niżeli na miłości do tego, co swoje, to szkoła niemiecka, która, niestety, na całym świecie znalazła adeptów.

Trudno dziwić się, że taki grunt i taki zasiew wydał komisyę kolonizacyjną i wydalenie gromadne cudzoziemców na wschodnich kresach Rzeszy niemieckiej, takież wydalenia na kresach północnych, w duńskiej części Szlezwiku, politykę eksterminacyjną na kresach zachodnich, mianowicie w Lotaryngii, która pozostała francuską i wszelkiej germanizacyi się opiera, i dużo, dużo innych objawów niemieckiej nietolerancyi narodowej.

Przez pewien czas zdawało się, że Niemcy opamiętają się w szowiniźmie narodowym, że, doszedłszy do przekonania, iż cel narodowy: zjednoczenie Niemiec, osiągnęli, przestaną nareszcie wierzyć w baśń o wrogach, którzy ich ze wszystkich stron otaczają. Czas ten — czas Capriviego — trwał jednakże bardzo krótko. Rozbu-

dzone i podtrzymywane przez żyjącego jeszcze wtedy Bismarcka namiętności wybuchły rychło na nowo tak żywiołową siłą, że zmiotły wszystkich zwolenników nowego kierunku, z Caprivim na czele, i spotęgowały szowinizm i strach przed wrogami. Doszło do tego, iż potężne Niemcy, liczące przeszło 50 milionów ludności, uznały 3-milionową ludność polską, osiadłą w pruskich prowincyach wschodnich, za niebezpieczeństwo, zagrażające całości państwa niemieckiego, i wypowiedzieli jej po prostu walkę na życie i śmierć.

Walkę polityczną przeniesiono na wszystkie dziedziny życia społecznego, a wobec tego trudno dziwić się, że hasła bojowe, proklamujące po prostu walkę rasową, znalazły szeroki oddźwięk i że rękawicę podniesiono nawet tam, gdzie się tego Niemcy najmniej spodziewali.

Od pewnego czasu i u nas rozbrzmiewają głosy, domagające się zerwania wszelkich stosunków handlowych z Niemcami, którzy nietolerancyą i arogancyą swoją wszystkich sobie zrażają. Przyczyny tego hasła i szczegóły zanadto dobrze są znane z prasy codziennej, abyśmy je tu powtarzać potrzebowali. Zaznaczymy tylko, że i względy ekonomiczne pewną odgrywają rolę. Niemcy, przeszedłszy od dosyć dawnego czasu od polityki wolnego handlu do protekcyi celnej, w ostatnich czasach rozpoczęli propagandę za znacznem podwyższeniem ceł, mianowicie na płody rolne, które stąd do Niemiec są wywożone. Nie ulega kwestyi, że już skutkiem tego samego stosunki handlowe kraju tutejszego i całego państwa z Niemcami gruntownej ulegną zmianie; to samo tedy już zmusza do zastanowienia, jak się na przyszłość urządzić?

Nasze stosunki handlowe z Niemcami są i bardzo dawne, i bardzo rozległe. Już wtedy, gdy w dawnej Polsce inteligentne warstwy narodu, z powodu bezustannych wojen, oddawały się przeważnie rzemiosłu rycerskiemu, do Polski napływali rzemieślnicy niemieccy, a handel dowozowy i wywozowy Polski był prawie wyłącznie w rękach niemieckich.

Pomimo zmian, jakie zaszły w stosunkach politycznych i ekonomicznych, i dziś Niemcy są głównymi odbiorcami naszych płodów rolnych, pośredniczą prawie wyłącznie w naszym handlu wywozowym i dowozowym, i zaopatrują nas w wyroby przemysłu swego.

Uprzytomnijmy sobie przedewszystkiem charakter naszych stosunków handlowych z Niemcami. Rozpoczynamy od wywozu, opierając się na urzędowych cyfrach statystycznych całego państwa. Głównemi przedmiotami wywozu państwa rosyjskiego do Nie-

miec [1]) są: zboże i odpadki zboża, tak zwane artykuły pastewne, drzewo, jaja, drób, len, konopie, skóry, szczecina, masło, inwentarz żywy (konie).

Mylnem jednakże było-by przypuszczenie, że Niemcy są wyłącznym, lub choćby tylko głównym odbiorcą wymienionych powyżej przedmiotów, które w wielkich ilościach są wywożone za granice państwa. I tak mamy przed sobą cyfry statystyczne, dotyczące wywozu Rosyi w pierwszych dziewięciu miesiącach roku 1901 i 1900. Widzimy z nich, że wywóz pszenicy na tysiące pudów szedł do następujących krajów:

	w r. 1900	w r. 1901
	tysięcy pudów	
do Niemiec . .	2,831	6,333
do Anglii. . .	11,311	6.661
do Holandyi .	8,079	14,567
do Francyi . .	16,814	24,190
do Austryi . .	1,248	1,531
do Belgii. . .	1,088	202

[1]) Według statystyki niemieckiej ilość i wartość wywozu wymienionych powyżej przedmiotów, a więc przywozu z Rosyi do Niemiec w latach 1897, 1898 i 1899 wyrażała się w następujących cyfrach:

ZBOŻA	w roku 1897		w roku 1898		w roku 1899	
	tysięcy ton	za milion. marek	tysięcy ton	za milion. marek	tysięcy ton	za milion. marek
Pszenica . . .	752.0	108.3	755	102.2	352.0	43.7
Żyto	611.0	55.7	611	67.9	460.	52.7
Jęczmień . . .	488.9	40.0	686	65.2	576.3	57.1
Owies	414.2	41.4	205.6	24.7	131.6	14.0
Otręby, . . . Kiełki słodowe	272.7	19.9	205.2	16.0	268.0	22.1
Drzewo. . . .	1,740.0	104.0	1,915.0	120.8	1,734	96.3
Jaja	47.1	30.0	47.2	35.9	47.9	37.4
Drób	17.0	16.5	19.3	18.7	19.6	20.9
Len	44.5	24.3	45.8	22.5	45.0	21.2
Konopie . . .	30.8	19.4	30.4	19	29.8	19.2
Skóry	6.5	12.9	7.3	13.1	6.2	15
Szczecina . . .	2.0	10.1	1.9	9.6	1.9	10.8
Masło	3.2	5.1	2.9	4.0	2.5	4.0
Konie	—	14.8	—	17.6	—	18.1
Świnie	—	5.3	—	5.7	—	4.9

Nie chcemy przeładowywać artykułu cyframi. Zaznaczymy tedy tylko ogólnikowo, że jedynie żyta wychodzi z Rosyi do Niemiec tyle, co do innych krajów razem. Natomiast jęczmienia wychodzi do Niemiec tylko jedna trzecia część, reszta głównie do Anglii i Holandyi. Owsa idzie połowa do Anglii, a reszta rozdziela się na inne kraje. Jaj wychodzi też dużo do W. Brytanii. Nie ulega też najmniejszej kwestyi, że dużo przedmiotów, wywożonych przez granicę niemiecką, idzie przez Niemcy tylko tranzyto lub też przez pośrednictwo Niemiec do innych krajów. I tak np. Niemcy potrafiły zmonopolizować w ręku swoich cały nasz handel drzewem, grawitujący ku morzu Baltyckiemu, choć to drzewo w znacznej części idzie do Anglii i do Francyi. To samo powiedzieć można o cukrze, który idzie do Anglii i Ameryki na Niemcy, dalej o szczecinie i wielu innych przedmiotach, jako to: jaja, masło itp.

Można-by bez wielkich trudności ominąć pośrednictwo Niemców, zawiązując z Anglią albo stosunki bezpośrednie, albo też za pośrednictwem polskich domów komisowych, istniejących w miastach portowych morza Baltyckiego i w Hamburgu.

Na bezpośrednie stosunki z Anglią należy zwrócić jaknajwiększą uwagę, bo to jest największy konsument[1]) wszystkich przedmiotów wywożonych od nas i z całego państwa rosyjskiego, a w zamian mogła-by nam Anglia dostarczać bardzo dużo przedmiotów, które dziś bierzemy z Niemiec, wprawdzie za tańszą cenę, ale w daleko gorszym gatunku.

W Cesarstwie zastanawiano się już nad kwestyą rozszerzenia bezpośrednich stosunków z Anglią. Towarzystwo rolnicze moskiewskie wysyłało po dwukrotnie deputacyę do Anglii, ktora tam najgorętszego doznała przyjęcia. Anglicy bowiem nietylko liczą na rozszerzenie eksportu wyrobów przemysłu swego do Rosyi, lecz bardzo pożądają zwiększenia z Rosyi importu przedmiotów żywności. W do-

[1]) Dla ciekawości przytaczamy szereg cyfr, dotyczących importu Anglii, zaczerpniętych z bilansu Handlowego Anglii, pomieszczonego w numerach londynskiego „The Eunorient“z 18 i 25 stycznia rb. Otoż Anglia importowała w r. 1901: bydła i owiec za 9,400,038 funt. szterl. (funt szterl. około 10 rubli) mięsa i drobiu za 22,849,981 f. szt., wędlin za 18,118,654 f. szt., masła i margaryny za 21,853,687 f. szt., serów za 6,227,277 f. szt., jaj za 5,495,786 f. szt., owoców i jarzyn za 9,616,584 f. szt., cukru za 20,525,333 f. szt., drzewa za 24,558,863 f. szt., pszenicy za 23 mil. f. szt., mąki za 10,4 mil., itd., itd. Wywóz wszystkich tych produktów z Anglii jest stosunkowo bardzo nieznaczny nie dochodzi milionów.

starczaniu tych ostatnich bowiem do niedawna, obok kolonii angielskich, bardzo żywy udział brały Stany Zjednoczone Północnej Ameryki. Ale to źródło zaczyna teraz wysychać, bo w Stanach Zjednoczonych zwiększyła się w ostatnich czasach bardzo znacznie ludność i z rozwojem przemysłu wzrósł dobrobyt, tak iż przedmioty żywności, tam wyprodukowane, na miejscu coraz liczniejszych znajdują konsumentów.

Rozszerzenie bezpośrednie stosunków handlowych z Wielką Brytanią, jest dla całego państwa rosyjskiego, a więc i dla naszych producentów, rzeczą pierwszorzędnej wagi. Wobec rozwijającego się u nas racyonalnego gospodarstwa mlecznego i zwiększania się produkcyi masła i serów, będziemy mieli niezadługo do walczenia z nadprodukcyą, jeżeli się nie postaramy o nowe rynki zbytu. Najwłaściwszym zaś jest rynek angielski, a znamy przedstawicieli handlu tutejszego, którzy warunki zbytu masła w Anglii już dokładnie studyowali. Sprawą tą powinny zaopiekować się syndykaty rolne, którym niewątpliwie konsulaty angielskie chętnie udzielą wszelkich informacyi [1]).

Wobec projektu Niemiec podniesienia prawie w dwojnasób właśnie cel od tych przedmiotów spożywczych, których najwięcej nadchodzi z Rosyi, koleje rosyjskie powinny przeprowadzić taką reformę taryf, aby cały wywóz zboża skierować nie ku zachodniej granicy, niemieckiej, lecz ku portom, ułatwiając tym sposobem wywóz do największego konsumenta, do Anglii. Wypadnie tam wprawdzie konkurować z dowozem z kolonii angielskich i ze Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, ale konkurencya obecnie będzie łatwiejszą, nie tylko z powodu zmniejszenia się eksportu z tych krajów, lecz i z powodu podrożenia kosztu frachtów, przepływających Atlantyk; kompanie okrętowe bowiem, pośredniczące w tym przewozie, zlicytowawszy się długoletnią konkurencyą do minimum w kosztach przewozu, obecnie zawarły kartel w celu podniesienia kosztów przewozowych, których nizkość je rujnowała.

Gdyby koleje rosyjskie zdecydowały się na wzmiankowaną powyżej reformę taryf przewozowych, mianowicie obniżenie opłaty do portów, a podwyższenie opłaty do granic zachodnich, z jednej strony

[1]) W wycieczce delegatów Towarzystw rolniczych w Cesarstwie do Londynu brał udział p. Hołyński, a wrażenia i wnioski swoje opisał w numerze 50 „Słowa“ z r. 1901.

producenci Królestwa Polskiego i gubernii południowo-zachodnich, wywożących dużo zboża, nie potrzebowali-by obawiać się wysokich ceł niemieckich, z drugiej strony Niemcy stracili-by całe pośrednictwo w handlu państwa rosyjskiego z innemi krajami, natomiast dowóz towarów angielskich mógł-by wzrosnąć znacznie i wyprzeć z czasem zupełnie dowóz niemiecki. Okręty wywożące z bałtyckich i czarnomorskich portów produkty spożywcze do W. Brytanii, jako fracht powrotny przywoziły-by węgiel angielski, koks i wyroby angielskiego przemysłu metalurgicznego.

Prowadząc obecnie kampanię przeciwko fabrykatom niemieckim, nasza publiczność i prasa wymienia przedmioty codziennego użytku, które jednakże importowane są z Niemiec w nieznacznych ilościach, pomijając natomiast te, które stanowią główne pozycye wywozu Niemiec do państwa rosyjskiego.

Przypatrzmy się pobieżnie wywozowi z Niemiec do Rosyi na podstawie najnowszej publikacyi cyfr urzędowych statystyki rosyjskiej („Wiestnik Finansów", № 52 z r. 1901), za pierwszych dziewięć miesięcy 1901, porównywając je, gdzie tego będzie potrzeba, z cyframi r. 1900.

Ogólna wartość dowozu przez granice państwa rosyjskiego w pierwszych dziewięciu miesiącach w okrągłych cyfrach, wynosiła: w r. 1899 449,513,000 rb., w r. 1900 438,252,000 rb., w r. 1901 399,131,000 rb.; w tych cyfrach z Niemiec, w r. 1899 za 176,258,000 rb., w r. 1900 za 165,220,000 rb., w r. 1901 za 155,878,000 rb. Import z Niemiec tedy przechodzi zawsze jedną trzecią ogólnego dowozu Rosyi. Po Niemcach przychodzi W. Brytania z cyframi 99,314,000 rubli, 101,909,000 rb. i 81,158,000 rb.

Rozumie się, że w cyfrach importu niemieckiego mieszczą się też nietylko produkty niemieckie, lecz i te, w których dowozie Niemcy pośredniczą, tak samo, jak w wywozie z Rosyi. Do jakiego stopnia Niemcy dowóz ten opanowali, widać choćby z tego drobnego faktu, że Rosya importuje z Niemiec pomarańcz za przeszło 500,000 rubli (cały swój dowóz tego owocu), że np. kawy nadeszło z Niemiec w pierwszych dziewięciu miesiącach r. 1900: 214,000 pudów, w tymże czasie r. 1901: 258,000 pudów, oprócz tego 53 i 50 tysięcy pudów z Anglii i 39 i 36 tysięcy pudów z Austro-Węgier. Zdawało-by się przecież, iż nasi importerzy zdołali-by bezpośrednio, albo za pośrednictwem Anglii lub Holandyi sprowadzać te zamorskie towary, ale prawdopodobnie pośrednictwo niemieckie jest im najdogodniejsze.

Weźmy np. inny towar zamorski, mianowicie kauczuk. Tu już prym trzyma Anglia; importowała bowiem do Rosyi w okresie 9 mie-

sięcznym r. 1900: 209,000 pudów za 7,541,000 rb. zaś w r. 1901: 239,000 pudów za 8,459,000 rb.

Ale bezpośrednio po Anglii przychodzą znów Niemcy z cyframi: 97 tys. pudów za 3,069,000 rb. i 119 tys. pudów za 3,169,000 rb. Francya jako współzawodniczka tu przez Niemcy widocznie została wyparta.

Wyrywamy kilka cyfr dla przykładu, jak Niemcy coraz bardziej opanowali pośrednictwo handlowe. Skoro jednakże inne państwa silnie z nimi współzawodniczą, przy energii i dobrej woli nietrudno było-by zapewne zastąpić pośrednictwo to innem. Trudniej było-by to zapewne w dziale wytworów chemicznych, co do których Niemcy podobno się tak wyspecyalizowali, że trudno innym współzawodniczyć z nimi. To też w dziale importu produktów i materyałów chemicznych za okres 9 miesięczny 1900 znadujemy następujące cyfry: Niemcy 2,610 tys. pudów za 6,218 tys. rubli, Anglia 906 tys. pud. za 1,690 tys. rubli, Austro-Węgry 252 tys. pudów za 264 tys. rb., Belgia 64 tys. pudów za 103 tys. rubli; przybliżone są też cyfry za rok 1901.

Wymienione przez nas cyfry nie obejmują największych pozycyi importowych z Niemiec do Rosyi. Są niemi raczej następujące: 1) narzędzia i maszyny, i ich części[1]). I tu jednakże Anglia silnie współzawodniczy z Niemcami. Z faktu, że niepomyślny r. 1901 odbił się najbardziej na imporcie z Anglii, można ocenić charakter importu angielskiego i niemieckiego. Niemcy utrzymali się, bo dostarczają towaru tańszego.

Oprócz maszyn, które niewątpliwie można-by w znacznej części zastąpić importem z Anglii i Ameryki, o ile wyrabianie ich w kraju

---

[1]) Przytaczamy tu ogólne cyfry dowozu za okres dziewięcio miesięczny roku 1900 i 1901; dowieziono narzędzi i maszyn i ich części:

	1900	1901	1900	1901
	tysięcy pudów		wartość tysięcy rubli	
z Niemiec . . .	2,137	1,611	18,689	14,788
z Anglii . . .	1,583	633	15,304	6,568
z Francyi . . .	17	55	650	541
z Austro-Węgier	319	156	2,598	1,166
z Belgii . . .	206	150	1,145	567

nie jest możliwem, Niemcy dostarczają do Rosyi dużo żelaza [1]) i wyrobów metalowych, z żelaza, stali i miedzi. Udział, jaki w dowozie żelaza i wyrobów żelaznych i stalowych bierze Anglia, dowodzi, że mogła-by ona nam zupełnie zastąpić Niemcy. Ogólny eksport Anglii metalów i wyrobów metalowych (poza szlachetnemi kruszcami) według angielskiego bilansu handlowego w r. 1901 przedstawiał wartość 62,724,037 f. szterl., czyli przeszło 600 mil. rubli. Jeżeli nasz import z Anglii nie jest w tym dziale większy, jest to rezultatem naszego zamiłowania do tandety, mianowie u nas w Królestwie Polskiem. Gdyby można przeprowadzić dokładne badania, okazało-by się zapewne, że metalowe wyroby angielskie idą do Cesarstwa, zaś tandeta niemiecka do Królestwa Polskiego, mianowicie do Warszawy.

Gdybyśmy, jak powyżej o tem była mowa, ożywić mogli wywóz płodów rolnych do Anglii, zwiększyło-by to niewątpliwie import z Anglii z ominięciem Niemiec i pośrednictwa niemieckiego. Warto zabrać się do tego wcześnie, choćby ze względu na niemiecką ta-

---

[1]) Import żelaza, wyrobów z żelaza i stali i z miedzi wyrażał się, według urzędowych źródeł, w pierwszych 9 miesiącach r. 1900 i 1901 w następujących cyfrach:

	1900	1901	1900	1901
	w tysiącach pud.		wartość w tys. rb.	
żelazo				
z Niemiec . . .	2,244	1,928	3,532	2,422
z Anglii . . .	1,473	1,479	2,289	1,818
z Belgii . .	349	268	552	324
wyroby z żelaza i stali				
z Niemiec . . .	556	409	3,634	3,001
z Anglii . .	190	203	1,081	947
z Francyi . . .	27	25	224	140
z Austro-Węgier	34	36	221	120
z Belgii. . . .	44	23	175	90
wyroby z miedzi				
z Niemiec . . .	89	86	2,208	2,112
z Anglii . . .	8	19	151	459
z Austro-Węgier	10	8	221	231

ryfę celną i niewątpliwe skutkiem tego podwyższenia ceł rosyjskich.

Przemysłowcy nasi powiadają, że nie łatwą będzie rzeczą zastąpić dowóz węgla, mianowicie zaś koksu, z Niemiec. Ale pod względem dowozu węgla góruje Anglia, skąd w pierwszych 9 miesiącach r. 1901 dowieziono 114 mil. pudów, gdy kopalnie pruskie dostarczyły tylko 40 mil. Natomiast koksu w tymże czasie dostarczyły Niemcy 7½ mil. pudów, Anglia $2^2/_3$ mil. pudów, zaś Austro - Węgry $11^1/_4$ mil. pudów. Prawdopodobnie tedy kopalnie austryackie zdołały-by tu zastąpić pruskie.

Nie chcemy czytelników nużyć nadmiernem nagromadzeniem cyfr, nie możemy bowiem na tem miejscu, w krótkiej rozprawie, przeprowadzać wyczerpującej ankiety. Przytoczone cyfry miały tylko posłużyć do określenia charakteru naszych stosunków handlowych z Niemcami, dalej do zaznaczenia, jakie głównie przedmioty sprowadzamy z Niemiec, co z nich należy istotnie do wytwórczości niemieckiej, w czem zaś Niemcy jedynie pośredniczą. Pragnęliśmy też wskazać co do ważniejszych pozycyi importowych, kto obok Niemiec jest dostawcą, co jest przyczyną wielkiej dostawy niemieckiej i czy ją dostawą z innych krajów zastąpić można.

Gruntowne zbadanie tych szczegółów może tylko być dokonane w drodze ankiety, do której, przy posiłkowaniu się cyframi statystyki urzędowej, powołano-by koła w imporcie zainteresowane, ludzi, mogących uzupełnić i objaśnić cyfry statystyczne i udzielić praktycznych rad i poglądów. Ankieta podobna została zapoczątkowana w sekcyi handlowej Warsz. Oddziału Towarzystwa popierania rosyjskiego przemysłu i handlu i należy mieć nadzieję, że ona wyda pożądane owoce.

Tu poprzestajemy na wypowiedzeniu kilku uwag ogólnych co do obecnego stosunku handlowego z Niemcami i możliwego ich ukształtowania się na przyszłość. Uwagi te zreasumują do pewnego stopnia to, co powyżej szczegółami poparto.

Otóż nie ulega najmniejszej kwestyi, że Niemcy opanowali stosunki handlowe, mianowicie Królestwa Polskiego z zagranicą daleko bardziej, niżeli tego istotna jest potrzeba i niżeli jest pożądane. Wywóz nasz przechodzi przez ich ręce, to, co się dowozi, sprowadzamy za ich pośrednictwem. Przypominamy przytoczone powyżej dwa przykłady co do pomarańcz i kawy. Zdawałoby się, że na pomarańcze, sprowadzane z południa, chyba niemieckiego pośrednictwa nie potrzeba. A jednak, według wykazów urzędowej statystyki, przychodzą one do nas prawie wyłącznie od Niemców.

Skąd taki monopol?

Otóż stąd, że Niemcy istotnie umieli opanować, mianowicie w ostatnich czasach, z niezwykłą zabiegliwością i zręcznością międzynarodowe stosunki handlowe. Flota handlowa żadnego z państw europejskich nie wzrosła w ostatnich 25 latach w tej mierze, co flota niemiecka. Dowody tej zręczności i zapobiegliwości niemieckiej widzimy u siebie. Każdy z naszych kupców wie o tem, jak „Reisender“ niemiecki umiał zupełnie zaćmić sławę dawnego „Commis-voyageur“ francuskiego, jak się wszędzie wciśnie, umie przedstawić ofertę swoją jako najkorzystniejszą, obliczyć najtańsze frachty, najtańszą pozycyę taryfy celnej, udzielać najdogodniejszych kredytów.

Czy istotnie kupno towaru od tegoż „Reisendera“ niemieckiego jest najkorzystniejsze? Czy nie można-by znaleźć innego, lepszego towaru, który może nawet byłby tańszy, a choćby w cenie samej cokolwiek drożej zań zapłacono, w gruncie rzeczy kosztował-by taniej? Jesteśmy przekonani, że zupełnie pewnej i dokładnej odpowiedzi wielu naszych kupców dać by nie potrafiło.

Dla nich kupno za pośrednictwem „Reisendera“ jest wygodne, kredyt jest długoterminowy, towar, choć czasem lichy, ale tani, więc kupuje się, często i trochę na oślep, bez ścisłego obliczenia. Rozumie się, że i położenie geograficzne, blizkie sąsiedztwo Niemców, przyczyniło się do tego, że nasze stosunki handlowe opanować umieli.

To samo, co o imporcie, stwierdzić można o eksporcie towarów. Wspominaliśmy powyżej, że zboże od nas, z wyjątkiem żyta, którego Anglicy nie konsumują, natomiast w wielkiej ilości spożywają Niemcy, idzie przeważnie do Anglii, tego największego konsumenta, ale idzie za pośrednictwem Niemców. To samo powiedzieć można przedewszystkiem o drzewie. Dalej o cukrze, o jajach, o maśle, o lnie, konopiach i t. d.

Do niemieckiego monopolu przyczynia się też ta okoliczność, że handel eksportowy, o ile go u nas sami Niemcy nie prowadzą, jest przeważnie w ręku żydów, bardzo często drobniejszych handlarzy. Ci ostatni potrzebują zaliczek, po które aż do Anglii trudno sięgnąć z powodu braku kantorów bankierskich, które mogły-by w tem bardzo dobrze pośredniczyć. Nadto żydzi, z dawnego przyzwyczajenia i z powodu łatwości porozumienia się, najchętniej prowadzą handel z Niemcami, chociaż niewątpliwie wyszli-by lepiej na tem, gdyby zawiązali bezpośrednie stosunki z Anglią na zboże, drzewo, cukier, jaja, masło, z Anglią i Francyą na drzewo, z Anglią i Belgią na len, lniane siemię i konopie i t. d.

Otóż należy mieć nadzieję, że prąd obecny, powodujący z różnych względów, a także z czysto-ekonomicznych, do zbadania stosunków handlowych z Niemcami, położy nareszcie koniec zmonopolizowaniu naszego handlu zagranicznego i skłoni zarówno importerów, jako i eksporterów do zbadania innych dróg handlowych; niewątpliwie, po przezwyciężeniu pierwszych niedogodności, badania te doprowadzą ich bardzo często do wniosku, że niekoniecznie najkorzystniejszym był dla nich stosunek z Niemcami, którego z przyzwyczajenia się trzymali

Tyle o pośrednictwie handlowem Niemców. Kilka słów jeszcze o dowozie wyrobów niemieckiego przemysłu. Przemysł ten w ostatnich dziesiątkach lat wzrosł olbrzymio, tak, że nawet w krajach europejskich przemysłowo najbardziej rozwiniętych wywołał rzetelne zaniepokojenie. Paryski profesor Georges Blondel, w wydanem świeżo dziełku [1]) wskazuje na rozwój przemysłu niemieckiego od r. 1885, a zaznaczając postęp w górnictwie, utrzymuje, że technika górnicza w Niemczech daleko wyżej stoi, niżeli we Francyi. Wywóz maszyn z Niemiec wzrósł od 5 lat o 2 mil. ton, dział elektryczności niesłychanie się rozwinął. Niemcy wyrabiają za 1,200 mil. franków rocznie wytworów chemicznych, z tego trzecią część wywożą za granicę; wyrób farb anilinowych stał się prawie monopolem Niemców. Chemia niemiecka wyrób środków kosmetycznych i perfumeryi doprowadziła do rozwoju, czyniącego ogromną konkurencyę Francuzom. Z wszechświatowej produkcyi papieru, wynoszącej 4—5 milionów ton papieru rocznie, Niemcy fabrykują 850 mil. ton, Francya tylko 350 mil. ton. Niemcy zalewają cały świat swojemi zabawkami, a przemysł ten zatrudnia w Turyngii około 30,000 ludzi. Tak samo instrumenty optyczne i instrumenty muzyczne niemieckie po całym świecie się rozchodzą. — Tak pisze Francuz o przemyśle niemieckim, popierając twierdzenia swoje cyframi, zagrażającemi według niego poważnie przemysłowi Francyi.

Przytoczyliśmy powyżej cyfry, dotyczące importu wytworów chemicznych z Niemiec do Rosyi. Tu dodamy, że instrumentów muzycznych, według urzędowej statystyki, dowieziono z Niemiec w pierwszych dziewięciu miesiącach r. 1901 za 2,100,000 rubli, w tymże czasie w r. 1900 za 1,869,000; Niemcy tu mają zupełny monopol.

---

[1]) La France et le marché du monde. Paris 1901. Tenże autor wydał w r. 1898 dziełko pod tytułem: L'essor industriel et commercial du peuple allemand.

Ekwipaży (szczycimy się naszym przemysłem w tym względzie) dowożą z Niemiec rocznie za 1¼ mil. rubli. Papieru i wyrobów papierowych w wymienionych okresach czasu r. 1901 i 1900 dowieziono z Niemiec za 1,972,000 rubli i za 2,199,000 rub., gdy inne kraje importowały: Anglia za 119,000 i za 184,000 rub., Francya za 190,000 i za 229,000 rub., Austro-Węgry za 140,000 i 153,000 rub. Papieru i wyrobów papierowych Niemcy sami sprowadzają dużo z Austryi; do nas przywożą papier z etykietami angielskiemi i francuskiemi. Zaznaczamy to, bo to jest moment bardzo charakterystyczny, rzucający do pewnego stopnia światło na całą wytwórczość przemysłową Niemiec i charakter ich eksportu.

Przemysł niemiecki produkuje tanio, ale za to przeważnie w gatunku pośledniejszym. I tu sprytni Niemcy liczą się z duchem czasu. Wiedzą, że dziś nikt nie chce nikomu ustępować, sfery mniej zamożne chcą pozornie równie pięknie się ubierać, równie ładnie mieszkać i t. d., jak sfery najzamożniejsze. Rozumie się, że, nie mogąc tak drogo płacić, jak ludzie zamożni, sfery mniej zamożne zaopatrują się w tandetę. Produkcya niemiecka tedy jest obliczona na odbyt masowy, który, pomimo tanich cen, zawsze najlepiej się opłaca — producentowi, bardzo rzadko — konsumentowi.

W państwach, pobierających wysokie cła, jak np. w Rosyi, kupno tandety zagranicznej zwykle daleko mniej się opłaca, niżeli kupno towaru dobrego, bo w ocleniu jednego i drugiego często niema różnicy, a koszt przewozu też ten sam. Pomimo to do nas przybywa dużo tandety, bo u nas nawet w kołach ludzi zamożniejszych zamiłowanie do wszelakiej tandety jest wielkie. Główna rzecz u naszych odbiorców, aby tylko tanio kupić; czy nabyty tanio przedmiot wiele wart, o to zwykle się nie pytamy. Otóż ten nasz gust do tandety, u nas z powodów powyżej przytoczonych, mniej zrozumiały, a więc i mniej uzasadniony, niżeli w krajach nie posiadających ceł wysokich, to główny sprzymierzeniec przemysłu niemieckiego.

Nie ulega najmniejszej kwestyi, że w bardzo wielu działach naszego zaopatrywania się w towary zagraniczne, moglibyśmy z wielką nawet dla siebie korzyścią zastąpić towary niemieckie towarami, sprowadzanemi z innych krajów, jak o tem już była mowa powyżej, przy wymienieniu kilku rubryk tegoż importu. Nie można wątpić, że obecny ruch, będący rezultatem niemieckiej buty, arogancyi i bezwzględności wobec wszystkiego, co nie jest niemieckie, w naszych stosunkach handlowych do Niemców olbrzymie może i musi sprowadzić zmiany. Najbardziej jednakże było-by pożądanem, aby z jednej strony u publiczności naszej prąd obecny usunął uprzedzenie do wyrobów krajowych i nieuzasadnioną bardzo często niczem predylekcyę do

towaru zagranicznego (należy mieć nadzieję, że nie spowoduje to przemysłu naszego do zaniedbania się, lecz raczej zachęci do wydoskonalenia wytwórczości swojej), aby z drugiej strony prąd anty-niemiecki zwrócił uwagę naszych kapitalistów na przemysł nasz i na pomyślne jeszcze w wielu gałęziach przemysłu warunki rozwoju, które kapitalistom nastręczają sposobność korzystnego umieszczenia kapitału. W dzisiejszych warunkach ekonomiczne odosobnianie się poszczególnych krajów jest rzeczą niemożliwą. Ale za największą korzyść obecnego ruchu uważali-byśmy, gdyby nam się udało choć część dowozu zagranicznego swoją zastąpić wytwórczością.

A. Doniemski.

Historya literatury polskiej dla Niemców.[1]

Księgarnia C. F. Amelanga w Lipsku rozpoczęła wielkie wydawnictwo, mające na celu obznajmienie publiczności niemieckiej z literaturą „Wschodu". Na seryę pierwszą złożą się literatury europejskie: polska, rosyjska, węgierska, nowogrecka, turecka, rumuńska, czeska i południowo-słowiańskie; na drugą—literatury azyatyckie: perska, arabska, hebrajska, chińska, indyjska, japońska oraz piśmiennictwa chrześciańskie Wschodu.

W roku zeszłym ukazał się tom pierwszy seryi pierwszej—„Historya literatury polskiej" profesora uniwersytetu berlińskiego, Aleksandra Brücknera. Trzecie to z kolei oryginalnie napisane dzieło o literaturze polskiej w języku niemieckim. W r. 1873 ogłosił E. Lipnicki krótki zarys p. t. „Geschichte der polnischen National-Litteratur", pisany żywo, ze względną znajomością przedmiotu, lecz w sposób nie wyczerpujący. W dziesięć lat później ukazała się „Historya literatury polskiej" H. Nitschmana, obfitująca w liczne wyjątki z poetów naszych, pisana w duchu bardzo dla nas życzliwym, lecz pozbawiona metody i krytycyzmu. Zresztą jedynie przez sumienność sprawozdawczą notujemy te dwie książki: porównywać je z dziełem profesora Brücknera było-by śmiesznością, tam bowiem mamy do czynienia z dyletantami, tu z uczonym w wielkim stylu.

Pisząc historyę literatury polskiej nie dla nas, lecz dla Niemców, pamiętał autor o tem, że dla nich historya i kultura polska to tabula rasa, na której barbarzyńska ręka teutońska Bismarcka wypisała słowa: „Die Polen haben keine Litteratur". Oto dla czego wykład swój osnuł prof. Brückner na bardzo obszernem tle historyczno-kul-

[1]) „Die Litteraturen des Ostens in Einzeldarstellungen" Erster Band: Dr. A. Brückner. „Geschichte der polnischen Literatur", Leipzig, 1901 (8-vo, str. 620).

tulturalnem, świetnie charakteryzując główne prądy cywilizacyi i historyi polskiej, które literaturę stworzyły, a więc reformacyę i humanizm w wieku XVI, anarchię polityczną w XVII w., która za Sasów do najwyższego doszła stopnia, „odrodzenie“—za Stanisława Augusta, wyjątkowe warunki rozwoju umysłowości— w stuleciu XIX. A wszędzie to tło historyczno-kulturalne zlewa się z charakterystyką prądów i zjawisk literackich w jedną nierozłączną całość; pod tym względem dzieło prof. Brücknera może służyć za wzór metody historyczno-literackiej.

Układ materyału jest niezwykle przejrzysty, a zupełnie oryginalny. Nie jest to układ ściśle chronologiczny, jak w dziele prof. Tarnowskiego, ani ściśle systematyczny, oparty na podziale na okresy i doby, jak w „Historyi literatury polskiej“ prof. Chmielowskiego. Przeciwko podziałowi na okresy niejednokrotnie występował prof. Brückner, poczytując go i za niepotrzebny, i za niemożliwy do wykonania; tak np., omawiając w „Kwartalniku historycznym“ pierwszy tom dzieła prof. Chmielowskiego, powiada, że jedyny podział, „któremu-by najmniej zarzucić się dało i którego się sami stale trzymamy, jest podział mechaniczny, postępujący wedle wieków.“

W szczegółach układ dzieła przedstawia się, jak następuje: „Początki“ (wieki średnie); „Reformacya“, „Humanizm“ (wiek XVI); „Dyletanci wieku XVII“; „Upadek, 1700—1760“, „Odrodzenie dusz“ (wiek XVIII); „Literatura pseudoklasyczna“, „Początki romantyzmu, 1820 — 1830“, „Romantyzm literatury emigracyjnej. Adam Mickiewicz“, „Juliusz Słowacki“, „Zygmunt Krasiński“, „Romantyzm w kraju“, „Od roku 1864. Poezya i dramat“, „Powieść. Sienkiewicz“ (wiek XIX).

Trzymając się jednak „mechanicznego“ podziału na wieki, umie autor łączyć zarówno autorów, jak utwory literackie w pewne wielkie grupy, co niepospolicie ułatwia oryentowanie się w olbrzymim materyale i daje czytelnikowi jasny pogląd na główne prądy literatury, ich istotę, przyczyny i objawy. Tak np., literaturę wieku XVI rozpatruje autor w dwu głównych grupach: reformacya i humanizm; nasamprzód więc podaje charakterystykę reformacyi, jako ruchu religijnego i społecznego i jako najpotężniejszej dźwigni literatury narodowej w tem stuleciu, a potem mówi nietylko o tych autorach, którzy bezpośrednio reformacyi służyli, lecz i o tych, którzy z reformacyi wyszli (choćby nawet katolikami pozostali), przyczem po raz pierwszy uwydatniona została pierwszorzędna rola, którą w naszem życiu umysłowem odegrał aryanizm. Rozdział ten, skupiający w sobie wszystkie wybitniejsze objawy i piękniejsze owoce reformacyi, daje wszechstronne pojęcie o jej olbrzymiej doniosłości dla literatu-

ry i cywilizacyi polskiej, o doniosłości, którą prof. Tarnowski—nie świadomie, czy tendencyjnie—przeoczył. W rozdziale o humanizmie zgrupował autor podobnież nie tylko humanistów w ścisłem tego słowa znaczeniu, ale i tych wszystkich, którzy za duchowe dzieci humanizmu poczytani być powinni.

Nie dosyć na tem. Zjawiska literackie, płynące z jednego i tego samego źródła, a więc stanowiące jedną wielką grupę, rozbija zazwyczaj autor na drobniejsze działy, które same w sobie tworzą pewną całość. Tak np., aby dać czytelnikowi dokładne pojęcie o prądach literackich w wieku XVII, który niezwykle trafnie nazywa wiekiem dyletantyzmu (zupełnie zrywając z nazwą „okres panegiryczno-makaroniczno-jezuicki", jak najniesłuszniej w świecie do dziś dnia jeszcze nazywają niektórzy—z uporem godnym lepszej sprawy—literaturę XVII stulecia),—na wstępie charakteryzuje warunki społeczne, wśród których rozwijała się literatura, kładąc nacisk na smutne dla piśmiennictwa skutki coraz to wzmagającej się reakcyi katolickiej i nietolerancyi myśli wogóle oraz upadku oświaty i miast, a potem kreśli dzieje literatury grupami: literatura mieszczańska, epika historyczna i romantyczna, mesyady i legendy, pamiętniki, satyry, poezya humorystyczna i makarony, liryka świecka i religijna, dramat itd. Podobnież np. w historyi literatury za czasów saskich mamy takie działy, jak udział w działalności piśmienniczej duchowieństwa, magnatów, kobiet, „silvae rerum", poezya łacińska, ascetyka, liryka religijna, romanse prozaiczne, tłómaczenia i naśladowania z francuskiego, romanse wierszowane, poezya historyczna, bajka, dramat, satyra, pamiętniki itd.

Rzecz naturalna, że przy takim układzie następstwo chronologiczne nie mogło być ściśle zachowane nawet w obrębie jednego i tego samego stulecia; tak np. o „Wspomnieniach" biskupa Krasińskiego i „Pamiętnikach" biskupa Felińskiego mówi autor (przy sposobności) już w rozdziale o początkach nowej literatury polskiej; niektóre znów nazwiska przy takim układzie, np. Twardowskiego albo Potockiego, powtarzają się czasem kilkakrotnie, działalność niektórych autorów jest rozbita na części. Tak być musiało, lecz tak być powinno. Bo historya literatury nie jest przecie zbiorem monografii, ani nawet charakterystyk poszczególnych postaci, o czem właśnie zapomina zwykle ogromna większość naszych historyków literatury, lecz historyą zjawisk, które są objawami tego lub owego prądu duchowego. Otóż książka prof. Brücknera tem się—pomiędzy innemi—różni od innych opracowań, że na pierwszy plan występują w niej nie tyle postaci (balast danych biograficznych odrzucony prawie zupełnie) i nie tyle poszczególne dzieła (bibliografia zredukowana

do granic minimalnych), ile właśnie główne prądy pracy umysłowej narodu i ich objawy.

Lecz tu należy koniecznie zrobić jedno zastrzeżenie: opracowanie historyi literatury wieku XIX, poczynając od Mickiewicza, jest pod względem układu nieco inne, niż wieków dawniejszych. I znów tak być musiało, bo tak być powinno: literatura wieku XIX tem się właśnie różni od dawniejszej, że pierwiastki indywidualne, jeśli nie zawsze wybijają się na plan pierwszy, to przynajmniej bez porównania silniej wpływają na rodzaj twórczości, aniżeli dawniej; dosyć porównać jednostajność literatury wieku XVII, tak wielką, że trudno, a czasem nawet niepodobna, zbadać, kto jest autorem tego lub owego bezimiennego utworu,—z różnolitością literatury wieku XIX, aby się o tem przekonać. Dla tego to rozbijać literaturę nową na ściśle zakreślone grupy jest rzeczą prawie niemożliwą. Nadto, co niezmiernie utrudnia takie działy, to niewątpliwy fakt coraz to wzrastającego zacierania się różnicy pomiędzy gatunkami literatury pięknej, pomiędzy „typem“ objektywnym np. a subjektywnym. Wobec tego może być mowa o romantyźmie, naturaliźmie, moderniźmie, ale już nie o właściwej satyrze, epopei, sielance itd. Nakoniec same już niezwykłe warunki i czynniki rozwoju literatury polskiej XIX w., a zwłaszcza emigracya i rozszczepienie terytoryalne, musiały nadać jej odrębny od dawnej charakter, a stąd sposób traktowania jej historyi musiał i powinien był być inny. Oto są zapewne względy, które skłoniły prof. Brücknera do odmiennego układu historyi literatury nowszej: jeżeli postaci siłą swego geniuszu lub talentu albo silną indywidualnością wysunęły się na czoło w życiu literackiem, to wysuwają się na czoło w książce prof. Brücknera: działalność Słowackiego, Krasińskiego, Sienkiewicza itd., przedstawił autor jednym ciągiem, nie dzieląc jej na części, ani nie zaliczając ich do żadnej grupy.

Wogóle, trzymając się konsekwentnie podziału literatury na wieki, w szczegółowym układzie materyału zerwał prof. Brückner z rutyną, nie trzymał się uparcie żadnego schematu, żadnej podstawy podziału, którą-by za niewzruszoną poczytywał,—usiłował skreślić historyę literatury tak, aby ona odpowiadała życiu, którego rozwój i bieg nie da się ująć—dotychczas przynajmniej—w ściśle określone formuły.

Jeżeli tedy pod względem układu materyału historya literatury prof. Brücknera jest znacznym krokiem naprzód w nauce, to pod względem jego wyboru—jest krokiem olbrzymim. Wybierał autor materyał z wiekowego skarbca literatury polskiej od najdawniejszych do najnowszych czasów, od pieśni „Bogurodzica“ do „Wesela“ Wyśpiańskiego, „Złotego runa“ Przybyszewskiego, „Italii“ Kono-

pnickiej, od anonimowej kroniki „Gallusa“, aż do syntez historyczno-literackich Chmielowskiego i Tarnowskiego, od „Salomona i Marcholta“, aż do „Krzyżaków“ Sienkiewicza i „Sprawy Dołęgi“ Weyssenhofa. Sumienność autora w uwzględnianiu najnowszych zdobyczy idzie tak daleko, że np., genezę „Nieboskiej Komedyi“ wyjaśnia na podstawie artykułu Adama Krasińskiego p. t. „Poeta myśli“ ogłoszonego w „Bibliotece Warszawskiej“ na kilka zaledwie miesięcy przed ukazaniem się książki.

Jakiego wyboru dokonał autor z tak olbrzymiego materyału? Pogląd swój na tę sprawę wypowiedział jeszcze w r. 1900—w odczycie, wygłoszonym na pierwszem zebraniu miesięcznem Towarzystwa literackiego imienia Mickiewicza we Lwowie, kiedy to uchwalono wydawnictwo kwartalnika, poświęconego historyi literatury polskiej.

Wspominając o ukazaniu się dzieła prof. Chmielowskiego, zaznaczył autor, że dzieło to, „aż nadto zwięzłe co do czasów dawniejszych, staje się aż nadto obszernem w przedstawieniu czasów nowszych i najnowszych“. Z tego wychodząc założenia, znacznie zredukował prof. Brückner ilość nazwisk i utworów w wykładzie literatury XIX stulecia, ponieważ, zdaniem jego, „w każdem stuleciu mamy takie postacie, o których-by można chyba powiedzieć, że je szczęśliwe jakieś losy wyśrubowały ponad wszelką miarę“. Pominął więc autor takich poetów, jak Konstanty Zakrzewski, Aleksander Szukiewicz, Franciszek Żygliński, Jan Nepomucen Jaśkowski, Karol Baliński, takich powieściopisarzy, jak Józef Bohdan Dziekoński, Józef Szymon Bogucki, Kazimierz Bujnicki, i wielu innych, z nauk uwzględnił tylko humanistyczne; redukcya zaś materyału dała mu możność większej koncentracyi, dokładniejszego oświetlenia postaci pierwszorzędnych, przyczem najdłużej zatrzymał się autor, prócz wielkiej trójcy naszych poetów, nad działalnością Fredry, Kraszewskiego, Konopnickiej, a przedewszystkiem Sienkiewicza.

Zupełnie co innego widzimy w historyi literatury dawniejszej, w której znajomości nikt prof. Brücknerowi nie dorównał, którą też *con amore* bada i pogłębia. We wspomnianym odczycie stwierdził smutny fakt, że w naszych historyach literatury głucho nietylko o pisarzach, bynajmniej na zapomnienie nie zasługujących, lecz i o całych działach, bardzo ciekawych i do poznania dawnej literatury wprost koniecznych; tu należą przedewszystkiem makarony polsko-łacińskie, którym równych niema w całej literaturze wszechświatowej, bajki i satyry anonimowe i imienne, romanse ludowe, które przekroczyły granice etnograficzne i dotarły aż do Moskwy, a potem mnóstwo utworów literatury mieszczańskiej. Co do tej ostatniej po-

wiada prof. Brückner we wspomnianym odczycie: „W literaturze naszej, w dawniejszym jej okresie mówią tylko o szlachcicach; literatura ta wydaje się tak nawskroś szlachecką, jakoby inne stany nie zabierały w niej wcale głosu. Zapomnienie to idzie tak daleko, że nawet historya literatury Chmielowskiego czy Tarnowskiego, gdy prawi o takich mieszczuchach, jak Klonowic albo Zimorowic, to zapomina podkreślić ową różnicę, owe cechy mieszczańskie; zapomina, że przecież szlachcic nigdy-by ani tykał tych przedmiotów, w których lubują się obaj, a przedewszystkiem Klonowic, aniby tych samych przedmiotów nie traktował w taki sposób. Obok Klonowica, obok Zimorowica, są inni jeszcze liczni przedstawiciele żywiołu mieszczańskiego w dawnej literaturze; ten, kto się zajmuje historyą miast w Polsce, powinien koniecznie uwzględnić te dawne, dziś całkiem zapomniane, broszury albo rękopisy, w których poeta-mieszczanin, mieszczanin-satyryk, uczucie swoje wylewa, spostrzeżenia kreśli... To są rzeczy, które koniecznie z zapomnienia wydobyć należy, bo zwykle literatura mówi nam tylko o tem, co dolegało księdzu lub szlachcicowi, co ich cieszyło, bawiło, uspokajało, trwożyło, a głuchą jest na to, co się działo po miastach, po cechach, między rzemieślnikami, na wsi, chociaż obrazy wiejskie, kreślone przez mieszczan, są zbyt jednostronne... Autorowie (satyr na chłopów) niebardzo tam sobie łaciną gęby mazali, ale za to ich werwa, ich język, ich pomysły—to wszystko całkiem domorosłe".

Otóż te główne i inne jeszcze luki — po raz pierwszy w naszej nauce—wypełnił w swem dziele prof. Brückner. A więc w rozdziale o literaturze średniowiecznej wspomina o dwu najwybitniejszych uczonych XV stulecia: Jakóbie z Paradyża i Mateuszu z Krakowa (którego Niemcy chcą nam ukraść), nie mówiąc już o całym szeregu zabytków polszczyzny, odkrytych przez samego autora; pomija natomiast Marcina „Polaka", bo ten wcale nie był Polakiem, i „Pieśń o Albercie", która należy do literatury czeskiej, nie polskiej. Do literatury wieku XVI wprowadził autor charakterystykę pamfletów politycznych i religijnych, dyalogów dramatycznych, paszkwilów i inwektyw, polemiki religijnej, bajek i powieści ludowych; krótko naszkicował działalność Turnowskiego, Biernata z Lublina, Ostafiego Trepki, Murzynowskiego, Łukasza ze Lwowa, Marcina Krowickiego, Jana Łaskiego i in.; nie pominął ani tak charakterystycznych mów sejmowych, ani listów (naprzykład Zamoyskiego, Lwa Sapiehy, Chodkiewicza), ani bardzo nielicznych zresztą opisów podróży, ani nawet relacyi nuncyuszów papieskich—słowem, zebrał wszystko, co było potrzebne do naszkicowania zgodnego z prawdą obrazu literatury reformacyjnej i humanistycznej. Wiek XVII, mimo że już prof. Cmielow-

ski ocenił go naturalnie ze stanowiska nowych badań, dopiero pod piórem prof. Brücknera doczekał się rehabilitacyi, na którą zasługiwał—nie tyle pod względem estetycznym (sam tytuł rozdziału czwartego: „Dyletanci XVII stulecia“ jest bardzo wymowny), ile pod względem bogactwa literatury. Teraz dopiero jasno się okazuje, jak niesłusznie ubliżano tej literaturze, nazywając ją „panegiryczną“, boć przecie znaczna większość jej działów z panegiryzmem nic wspólnego nie ma. Rozdział ten stanowi może najpiękniejszą ozdobę całego dzieła; uwzględnił autor tę bogatą spuściznę, zarówno drukowaną, jak i rękopiśmienną, której przed nim prawie nikt nie tknął, a którą on w szeregu studyów specyalnych opracował, a więc wspomnianą literaturę mieszczańską, literaturę antysemicką, mesyady, legendy, apokryfy, makarony, niektóre pisma ascetyczne, romanse, podróże, literaturę o kobietach, różne *vademecum* i *silvae rerum*, *Liber plebeianorum* („Księgę chamów“) i t. d.; do stereotypowych postaci dodał nowe, jako to: Krzysztofa Piekarskiego, kasztelana Krasińskiego, Kazimierza Twardowskiego, Katarzynę Siemiątkowską, Annę Stanisławską i t. d. Słowem wyrwał prof. Brückner historyę literatury XVI i XVII wieku z zaczarowanego koła biblioteki Turowskiego, a do kilku odkryć, dokonanych przez innych w XIX stuleciu, dodał cały szereg nowych, własnych. I czasy saskie—okres największego upadku—doczekały się pod jego piórem znacznego uzupełnienia przez charakterystykę pism, fanatyzmu religijnego pełnych, literatury magnackiej i kobiecej, romansów i bajek, przez uwzględnienie utworów Stanisława Cedrowskiego, Józefa Aleksandra i Jana Kajetana Jabłonowskich, Maryi Załuskiej i t. d. W historyi literatury Stanisławowskiej pierwszy baczniejszą zwrócił uwagę na postać Gracyana Piotrowskiego, o którym dawniej wspominano (Janocki, Bętkowski, Dmochowski), lecz którego późniejsi historycy literatury pomijali milczeniem, pomimo że K. Bartoszewicz przytoczył kilka jego satyr w swych „Księgach humoru polskiego“. Uwzględnił też autor literaturę anonimową — polityczną i satyryczną. Nakoniec i to jeszcze podnieść należy, że niejeden szczegół został przez prof. Brücknera sprostowany, uzupełniony lub w zupełnie innem świetle wystawiony, jak naprzykład ten—najważniejszy,—że literatura polska przyszła na świat w Sączu, gdyż tam powstała pieśń „Bogurodzica“— na życzenie Kingi, albo ten, drobny, lecz ważny, że autorem bezimiennej powieści wierszowanej o Landzie jest nie Rej, jak przypuszczali niektórzy, lecz Marcin Siennik i t. d., i t. d.

Dodajmy do tej pełności obrazu literatury dawnych wieków i do krytycyzmu w badaniach, popartego dziwną przenikliwością, prawdziwy talent do zwięzłej, jędrnej, dobitnej charakterystyki za-

równo poszczególnych pisarzów i poszczególnych utworów, jak całych prądów i epok; dodajmy szerokość poglądów, płynącą nietylko z olbrzymiej erudycyi, ale i z umiejętności oceniania ludzi i zdarzeń; umysł, wolny od wszelkich uprzedzeń politycznych, religijnych, narodowych; bezstronność, godną wielkiego uczonego, zdolność zarówno do analizy, jak i do syntezy, zupełne opanowanie metody historyczno - literackiej, umiejętność tłómaczenia zjawisk literackich wszystkiemi wogóle czynnikami historyi, od indywidualnych do społecznych, — a dojdziemy do przekonania, że dzieło prof. Brücknera jest najlepszem z dotychczasowych opracowań historyi naszej literatury. Czytelnikom daje zarys krótki, ale pełny, badaczom zaś otwiera nowe drogi do badań, zwracając ich uwagę na nieznane skarby naszego piśmiennictwa i umysłowości. Wiele zapewne czasu upłynie, zanim to wszystko, co naszkicował autor, będzie wszechstronnie opracowane. Oto stanowisko jego książki w nauce i jej znaczenie dla nas.

Lecz wróćmy teraz do tego, od czegośmy zaczęli. Nie dla nas, lecz dla Niemców, przeznaczył autor swe dzieło (dla nas pisze je na nowo i znacznie uzupełnia, — ukaże się w roku bieżącym lub na początku przyszłego). Więc pytamy, w jakiem świetle pokazał naszą historyę, kulturę, piśmiennictwo i charakter narodowy wrogiemu nam społeczeństwu? Otóż i pod tym względem podziwiać trzeba bezstronność autora: nie zataił przed niem ani świateł, ani cieni, ani przymiotów, ani wad; ze swem uwielbieniem dla arcydzieł swojej literatury, ze swem przywiązaniem do przeszłości nie taił się nigdzie, ale ani razu nie wpadł w ton przesadny, deklamacyjny, ani razu uczucie nie zaślepiło krytycznego umysłu, a jeżeli, jako *motto*, położył na książce słowa Staszica: „Paść może i naród wielki, zniszczeć nie może, tylko — nikczemny“, zrobił to dlatego jedynie, aby przypomnieć Niemcom to tylko, co jest prawdą. Otóż prawda, nadewszystko prawda, przyświecała prof. Brücknerowi przy pisaniu książki; nie taił jej nigdzie, bez względu na to, czy ona będzie miła, czy niemiła Niemcom, i czy nas w ich oczach w dodatniem, czy ujemnem przedstawi świetle. A więc naprzykład czytamy: nienawiść, to cecha niesłowiańska (str. 4); była jedna tylko dynastya w całym świecie chrześcijańskim, której Polak całą duszą nienawidził — Habsburgowie (str. 83); sami Niemcy mówili, że nie było w chrześcijaństwie większego bohatera od Władysława Warneńczyka (str. 22): był w wieku XVI na świecie jeden tylko kraj, w którym sumienie miało wolność — Polska (str. 40); reakcya katolicka w Polsce XVI wieku walczyła nie, jak gdzieindziej, konfiskatą, banicyą i mieczem kata, lecz słowem, nauką i dobrym przykładem (str. 51); siła asymilowania pierwiastków obcych, to wspaniałe świadectwo potęgi kultury polskiej, jest olbrzymia, czę-

sto synowie i córki najzacieklejszych „polakożerców“ polszczą się (str. 313); jedyną wielką epopeją w nowszej literaturze powszechnej jest „Pan Tadeusz“ (str. 376); w dramatach Słowackiego są sceny, których mógłby mu pozazdrościć choćby największy dramaturg (str. 388); „Skargi Jeremiego“ to arcydzieło liryki wszechświatowej (str. 458); Kraszewski to fenomen nietylko w piśmiennictwie Słowian, ale i Europy całej (str. 460); Orzeszkowa w powieści, a Konopnicka w poezyi są w literaturze kobiecej wszystkich czasów i wszystkich krajów wybitnemi zjawiskami (str. 482); krytyk niemiecki, omawiając trylogię Sienkiewicza, wypowiedział życzenie: „Oby i nasz romans historyczny zdobył się na Sienkiewicza“, — a więc Freytag, Ebers, Eckstein, Konrad Meyer poszli w kąt! (str. 607). Takich i tym podobnych sądów pełno w książce prof. Brücknera,—na każdym kroku przypomina autor Niemcom o zasługach „dzikich Sarmatów“, którzy, mimo swej „dzikości i barbarzyństwa“, mają jednak literaturę najczystszą na całym świecie (str. 563, 599, 603 i t. d., — pomimo, że Przybyszewski stara się ją splugawić).

Lecz teraz odwrotna strona medalu: jeżeli uboga literatura narodowa wieku XV niezupełnie odpowiadała potędze politycznej i ekonomicznej Polski, zawiniła tu przedewszystkiem „gnuśność słowiańska“ (str. 19); reforma państwa w wieku XVI została wykonana tylko połowicznie, jak wszystko i zawsze w Polsce (str. 34); mądra literatura polityczna tegoż stulecia mało miała posłuchu w społeczeństwie: starym zwyczajem słowiańskim przyznawano jej słuszność, ale wszystko pozostało po dawnemu — już Rej skarżył się, że Polacy przed południem kruszą się w kościele i gorzkie łzy ronią, a wieczorem znów pijani leżą pod ławami (str. 103); w końcu XVI wieku literatura polska zaczęła spadać z wysokości — bo kwietyzm słowiański wtargnął i do tej dziedziny (str. 114); jeżeli w pierwszej połowie XVIII wieku nie doszło u nas do powstania chłopów, które, wobec bezbronności państwa szlacheckiego, mogłoby było rozszerzyć się do strasznych rozmiarów, zawdzięczamy to „rezygnacyi słowiańskiej i inercyi coraz to więcej głupiejącego chłopa“ (str. 195); historya Polski nie obfituje w sceny dramatyczne, konflikty tragiczne: jej cechą znamienną jest, że wszystko zatrzymuje się zawsze w pół drogi, że nawet bunty i zamachy stanu kończą się zawsze „w sposób szlachecko-polsko-narodowy“, to jest nigdy do końca nie dobiegają (str. 566) i t. d. Takich gorzkich słów prawdy pełno w dziele prof. Brücknera, który nic nie obwija w bawełnę.

Ale i o Niemcach nie zapomniał autor. Przyznaje im chętnie wszystko, co im się należy, a więc przedewszystkiem pracę i wytrwałość; powiada naprzykład, że spolonizowani mieszczanie niemieccy

stracili w Polsce przymioty swej rasy, a przejęli się wadami polskiemi: pracowitość, wytrwałość, zamiłowanie porządku, dzięki którym miasta były niegdyś wielkie, piękne, bogate, przepadły, a od Polaków wzięli ci mieszczanie nie miłość niezależności, nie zręczność, nie lotność umysłu, ale niedbalstwo, wstręt do wysiłków, pragnienie użycia (str. 124). Lecz i innych z a l e t narodu niemieckiego nie ukrył autor pod korcem: szkoły niemieckie nie po to istnieją, aby kogokolwiek do nauki zachęcać (str. 306); już w wieku XVIII płacił rząd niemiecki nauczycielom i duchownym premia za wynarodawianie dzieci na Szląsku (str. 474); polska nauka historyczna, obok zwalczania przesadnej apoteozy przeszłości, ma jeszcze inne wdzięczne zadanie: zburzyć mnóstwo legend, które wymyślono dla oczernienia historyi polskiej i t. d. Niejednokrotnie też wspomina autor o podłej i przewrotnej polityce Niemców względem Słowian, polityce, której hasło „ausrotten“ urodziło się nie dziś i nie sto lat temu, ale przed wiekami.

Jakiem sercem przyjmie pracę profesora uniwersytetu berlińskiego społeczeństwo niemieckie? Jak i czy oceni ją krytyka niemiecka? Czy i w dziele nauki i prawdy będą hakatyści wietrzyli intrygę polską? Nie wiemy. Wiemy to tylko, że autor właśnie dlatego, iż szedł drogą prawdy i nauki, dowiódł Niemcom słuszności tych słów, któremi swą książkę zakończył: *e pur si muove*; więc, jeżeli przyjmą ją niechętnie, to dla tego przedewszystkiem, że prawda w oczy kole.

Ign. Chrzanowski.

AUTOR.[1]

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

VIII.

„Ze stu nadesłanych na konkurs powieści, godną nagrody okazała się tylko praca pod godłem: „Honor“. Po otwarciu koperty dowiedzieliśmy się, iż autorem jej jest nieznany dotąd na polu literatury, pan Kazimierz Bielski, którego dla braku adresu niniejszem upraszamy o jak najrychlejsze zgłoszenie się po odbiór pieniędzy, jak również omówienie warunków, na jakich powieść mogła-by być wydrukowana w łamach naszego dziennika“.

W cukierni między jednym łykiem czarnej kawy a drugim, Kazimierz przeczytał te słowa. Nie zdziwiły go one zupełnie. Zdawało mu się, że wiedział o nich oddawna, że raz już kiedyś,—nie umiał dokładnie określić czasu: wrażenie ginęło w pomroce mgły szarej — przeżył podobną chwilę. Nie napełniła go radość gwałtowna, szalona, jaką wczoraj jeszcze, a nawet dziś, przed godziną, wyobrażał sobie na myśl, iż może otrzymać nagrodę i zdobyć sławę w ciągu kilku godzin...

Niepokój, gorączka, trwoga, nadzieja i oczekiwanie, jakiemi żył cały rok blizko od chwili przesłania powieści na konkurs, ustąpiły nagłej martwocie uczuć. Było mu, jak bywa nieraz w przyrodzie, kiedy po gwałtownym huraganie zawiśnie wielki spokój w przestrzeni, i ani świeci słońce, ani deszcz pada; kiedy roje obłoków, jak wielka szara opona, rozpięta od krańca do krańca widnokręgu, jednolitością

---

[1]) Patrz zeszyt lutowy, str. 346.

barwy wywołuje nastrój zobojętnienia. Było mu wszystko jedno: dostał nagrodę, czy nie?.. Co go to mogło obchodzić?..

Wypił kawę, zjadł kilka ciastek. Nie zamierzał iść zaraz po odbiór pieniędzy. Co w tem pilnego? Nie zginą.

Powolnym krokiem, zapiąwszy szynel pod szyję, wyszedł z cukierni. Podążył w aleje. Dochodził do wielkiego placu z murowanym kościołem, gdy w mózgu jego zaczęło budzić się zdziwienie.

— To ty, naprawdę, ty dostałeś nagrodę?.. I nie cieszysz się, nie waryujesz z radości?..—zapytała naraz jedna myśl, czająca się cicho, ostrożnie, jak wypuszczona z klatki mysz biała.

Za nią druga, trzecia i czwarta powtórzyły pytanie, aż głowę napełnił szum tysiąca jakby tych białych myszek, które zaczęły tańczyć, skakać i szaleć pod czaszką, przyprawiając go niemal o utratę przytomności.

Huczało mu w skroniach, jak po zażyciu chininy; czuł nawet gorzki smak w ustach, mimo to nie przyśpieszał kroku, i z obojętnością starego emeryta, wolno, leniwie szedł naprzód. Nie mógł cieszyć się... Czemu? Przecież miał dowód zwycięstwa swego przy sobie w kieszeni, wyszedłszy z cukierni bowiem, kupił gazetę, w której go wzywano, a jednak... nie doznawał żadnych wrażeń...

Czyżby wszelkie szczęście obezwładniało tak samo, jak ból i cierpienie?

Szedł coraz wolniej, coraz obojętniejszy na wszystko. Wtem pomyślał:

— A jeżeli przez pomyłkę, lub złośliwy figiel wystosowano do mnie odezwę w gazecie; czy nie powinienem jak najprędzej przekonać się o tem?

Który z kolegów mógł przekupić jakiego reportera... Marecki pierwszy był-by zdolny do tego, a on, zdaje się, przeczuł subtelnym swym instynktem udział jego, Bielskiego, w konkursie...

Jeżeli tak jest rzeczywiście, jeżeli postanowiono zabawić się tylko kosztem jego nazwiska, oh, w takim razie on żartu tego nie przeżyje...

Drżąc cały, wyciągnął z kieszeni zegarek i spojrzał na wskazówki. Było już blizko siódmej. Może zdąży jeszcze do redakcyi i zastanie tam kogo?

Zawrócił się; zaczął biedz pędem. Naraz przyszło mu do głowy, że jest śmieszny. Coby powiedziano o nim, gdyby tak nagle, tego samego dnia zaraz zgłosił się po pieniądze?.. Wzięto-by go za chciwca albo za nędzarza...

Zwolnił kroku, postanawiając zajść do redaktora nazajutrz dopiero koło południa; mimo to wszakże nie podążył do siebie, lecz skręcił w ulicę, prowadzącą do biura redakcyi.

Co myślał przez następną chwilę, tego sam nie wiedział. Szum z głowy przeniósł się do serca i rozsadzał mu piersi. W całej swej istocie uczuł nagle jakiś dziki, zgiełkliwy chaos. Znikała męcząca pustka, wraz z nią jednak tracił i ten bierny spokój, który podtrzymywał go dotąd w stanie automatycznej równowagi. Przekonać się jak najprędzej, czy ogłoszenie tygodnika było prawdziwe, czy też zmyślone, o to tylko chodziło mu teraz...

Stanął wreszcie przed bramą redakcyi, gdy wtem napadła na niego z tyłu cała gromada mężczyzn, z których jedni rzucali czapki w górę, inni powiewali chustkami, reszta zaś machała rękoma w powietrzu.

— Bielski!.. Egos!.. Korniszon!.. — zahuczały głośne okrzyki.

Kazimierz odwrócił się i ujrzał dwunastu przynajmniej Chwastów, otaczających go zewsząd!

— Czatujemy tu na ciebie. Biś po kolei obleciał nas wszystkich, by opowiedzieć o twojej nagrodzie. Wiedzieliśmy, że nie wytrzymasz i dziś jeszcze pójdziesz po fajgle do budy. Założyliśmy się wszyscy z Faberem o antałek piwa, że nie wytrzymasz do jutra. On jeden tylko dowodził, że ci nigdy do niczego nie pilno. Wiwat!.. Brawo!.. Jutro stawiasz trzy garnce nalewki!.. Dziś my fundujemy... Jazda!.. z nami!.. Strąbisz się na całego raz w życiu przynajmniej!.. Redakcya zamknięta, burej myszy niema... Do knajpy!.. Rzesza stawia!..—krzyczęli jedni przez drugich chórem, ciągnąc go z sobą: Piś i Biś dwaj najruchliwsi z Chwastów pod ramiona, Żozefina za jedną, Faber za drugą połę szynela.

Wśród krzyku, śmiechu, hałasu, doprowadzono go do placu, gdzie, dla uświetnienia uroczystości, zawołano cztery jednokonki i, po trzech na tylnem siedzeniu, z laureatem na czele, wyruszono do knajpy, w której co wieczór zbierała się cała gromada studentów.

— Chapeaux bas!—krzyknął Prefekt, wprowadzając wraz z Hirszem Kazimierza pod rękę na próg pierwszej dusznej, zadymionej sali, w której migały szeregi mundurów.

— Oto macie zjawisko niezwykłe: nie małpę z kocim ogonem, ani tresowanego słonia, ani karła z lwią grzywą, ani murzyna, który bez rąk maluje, a bez nóg chodzi. Panowie, oto macie człowieka, który przez rok nie jadł, nie spał, nie gadał, nie pił, tylko smarował wielkie dzieło, i gdyby nie zamknięta buda, był-by dziś jeszcze właścicielem okrągłego tysiąca pekuniów... Panowie, laureat w tej chwili goły, jak panienka po wyjściu z kąpieli, jutro jednak stawia... Uczcijcie go przez powstanie! Kazimierz Bielski, słońce literatury, duma

Chwastów, do których należał przez trzy doby, jest tu przed wami i czeka na oznaki honorów.

Zrobił się nagły ruch.

— Dajcie go tu!.. Warto takiego pomidora obejrzeć zblizka!.. Co? To ten wyskrobek tak sobie ma nabić kabzę jutro?.. A niech go... Ciekawa bestya!.. — wołano, otaczając ze wszystkich stron Kazimierza, popychając go w tył, w boki, naprzód, tak, że ani spostrzegł, jak dostał się do drugiej sali, gdzie jeszcze było ciaśniej, jeszcze duszniej, jeszcze więcej mundurów i dymu, aniżeli w pierwszej, i gdzie na basowy okrzyk Fabera: „To Kazimierz Bielski, laureat, autor nagrodzonej dziś na konkursie powieści!..", porwano go na ręce i zaczęto rzucać aż pod sam sufit.

Kazimierz nie wiedział, co się z nim dzieje? Dławiło go powietrze, odbierały mu przytomność krzyki, hałas i wycie kilkudziesięciu naraz gardeł.

Hirsz zawołał wreszcie: „Piwa!..". Prefekt dodał za nim: „Przekąsek i wódki!.". Przy wielkim, szarą ceratą nakrytym stole, usiedli Chwaści; reszta studentów otoczyła ich kołem. Posypały się koncepty, dowcipy, mówki. Koło północy wręczono kufel, pełen piwa, Kazimierzowi, i kazano wystąpić mu z oracyą.

— Nie puścimy ciebie, dopóki nam czego nie zaszczebioczesz! — wołali Żiul i Żozefina, podchmieleni, z błyszczącemi, śmiejącemi się oczyma i czerwonemi plamami na policzkach.

— Nie puścimy! — huknął Faber tubalnym swym basem.

Kazimierz wstał. Blady, z mętnym wzrokiem i nabrzmiałemi w ciągu paru godzin policzkami, z ciężkiem, sennem spojrzeniem wzniósł kufel do góry.

— Jazda. śmiało, prędzej! — wołali, trącając go w łokcie Hirsz i Prefekt.

— Panowie, słów mi nie starczy na wypowiedzenie, ile rozkoszy, ile radości, nie, ile... głębokiego, prawdziwego zadowolenia, nie... ile... ile .. przyjęcie wasze... sprawiło mi...

Słowa utknęły mu w krtani. Hirsz i Prefekt kopali go z całych sił w bok, w ramiona, w biodra, nie pomagało. Policzki i wargi jego bladły coraz bardziej, krew spływała z twarzy. Robiło mu się dziwnie słabo; czuł mrówki wzdłuż ramion, piersi i pleców. Stół, sala, kędzierzawe głowy kolegów, płomyki lamp i kinkietów, kawałki niedojedzonych wędlin, bułek, sera, wszystko to wirowało mu w oczach. Wreszcie nogi pod nim zadrżały, zachwiał się i upadł w tył, nie wypuszczając z rąk kufla piwa, które zalało mu czoło i włosy. Zemdlał. Koledzy zaczęli go cucić. Faber odtrącił wszystkich i, huknąwszy z całych sił: „na powietrze!", schwycił go w ramiona i, jak dziecko,

wyniósł do sieni, gdzie owiało ich powietrze chłodnej, kwietniowej nocy. Kazimierz prawie odrazu otworzył oczy i cicho, głosem kwilącego niemowlęcia, jęknął:

— Do domu!..

Zawołano dorożki. Faber i Żozefina wsiedli z nim razem. W drodze postanowiono darować mu knajpę jutrzejszą, zapowiadając wszakże, iż po tygodniu funda go nie minie.

Z głową ciężką i osłabieniem całego ciała Kazimierz wstał nazajutrz i poszedł do redakcyi. Nic go już nie cieszyło, nic nie bawiło, czuł się chorym i tak dalece bezsilnym, iż doznawał wrażenia, jak gdyby nie on sam, lecz ktoś inny za niego stąpał, mówił, myślał. W redakcyi zastał sekretarza, który, usłyszawszy nazwisko jego, zasypał go potokiem życzeń i pochwał.

— Taki młody i już laureat!.. No, no, musisz pan bardzo pielęgnować swój talent, żeby nie wysilić go zbytecznie... Łatwo, napisawszy pierwszą rzecz, tak genialną prawie, nie stworzyć już nic więcej, albo tylko same miernoty,—powtarzał, przeplatając uwagi te wybuchami coraz nowych komplementów, na które Kazimierz nie umiał znaleźć odpowiedzi.

Nadszedł wreszcie i sam redaktor. Rzuciwszy na stół plikę papierów, które przyniósł z sobą, spojrzał badawczo na rozmawiającego z sekretarzem nieznajomego.

Kazimierz przystąpił do niego.

— Bielski, — rzekł, składając ukłon.

— Biel... a, bardzo mi przyjemnie!—zawołał nizki, szczupły staruszek, wyciągając doń rękę.

Przywitawszy się, odwrócił głowę szybko, sięgnął dłonią do bocznej kieszeni tużurka, wyjął coś z niej, włożył do ust nieznacznie, poczem raz jeszcze powtórzył:

— Biel... bardzo, bardzo mi przyjemnie...

Staruszek różne miał przyzwyczajenia. Od lat wielu nosił przy sobie zawsze sztuczną szczękę, przeszkadzającą mu w ustach na stałe, bez której wszakże nie lubił ukazywać się ludziom, mało sobie znanym; od lat wielu również sympatyę swoją do osób z któremi przestawał, zwykł był wyrażać powtarzaniem za niemi pierwszych zgłosek ostatnich słów w zdaniu, milcząc przygniatająco, grobowo, impertynencko wobec tych, co budzili w nim niechęć.

— Siadaj pan! — zawołał, wskazując Kazimierzowi miejsce wprost biurka, przy którem zajął wolny fotel.

— Taki młody! — dodał, wpatrując się w przybysza badawczo.

Czas jakiś trwało milczenie. Redaktor przerwał je pierwszy.

— Powieść pańska ma tak wielkie zalety,—rzekł,—że nie przypuszczałem, aby mógł ją napisać ktoś w wieku pana. Dziwne to, dziwne rzeczywiście!.. Różne są drogi talentów. Oszczędzaj się pan teraz: nie pisz jakiś rok, dwa lata, żeby nie wysilić umysłu... Bardzo łatwo przepracować się... Nie słuchaj pan pokus ambicyi, oh, to bicz boży na talenty!.. Marnuje i osłabia co najlepsze!.. Szkoda tracić taki skarb, jaki pan masz!.. Niebezpiecznie wydać na świat pierwszą pracę podobnej wartości: można już nic nie napisać potem, albo też same lichoty... Wiem to, wiem z doświadczenia...

Kaszel astmatyczny, którego ataki napadały go co kilka godzin, przerwał mu dalsze słowa. Sponsowiał cały, oczy krwią mu nabiegły, dusił się. Głośne rzężenie, jak chór orkiestry, grało mu w piersiach. Wstał, podszedł do okna, otarł pot z czoła.

Kazimierz nie patrzył na niego. Zdawał się nic nie widzieć, nic nie słyszeć. W myśli utkwiły mu wyrazy:

— Strzeż się, możesz nie napisać już nic więcej!

Jakto, on miał-by poprzestać na tej nędznej ramocie, do której przystąpił z bezwładną jeszcze, w powijaki własnego niedołęstwa wciśniętą myślą, dyktującą mu nie to, co on sam chciał napisać, lecz co wprost do ucha szeptały mu obce jakieś głosy? On... miał-by nie stworzyć już nic więcej?..

Wpadł w głuchą, posępną zadumę. Dokoła niego wrzało, kipiało życie wielkiego dziennika, wysysającego krew z żył i mózgu a dającego wzamian tylko żądzę głodnej wiecznie ambicyi, którą drukowane codzień bezimienne artykuły drażnią i podniecają, nie zaspakajając nigdy. Co chwila ktoś wpadał. Rzucano na stół sekretarza to listy, tylko co ze skrzynki wyjęte, to gazety z zakreślonemi niebieskim ołówkiem felietonami, to arkusze, lub długie, wązkie kawałki papieru z korektą, to wreszcie paki rękopisów.

Kazimierz nic nie dostrzegał, z niczego nie zdawał sobie sprawy. Naraz z zamyślenia obudził go głos redaktora Zawiejskiego.

— Chodź pan ze mną do mojego pokoju!.. Pogadamy tam dłużej. Wydam panu asygnacyę,—rzekł, pokaszlując już coraz rzadziej i tylko głośnem rzężeniem zdradzając resztki męczącej duszności.

W tej chwili z sąsiedniej sali wszedł młody człowiek o bladej twarzy i jasnych, jak len, włosach, o błękitnych oczach barwy pierwszych niezapominajek.

— Panie Wirski, — zawołał, zwracając się do niego Zawiejski, — proszę nie zapomnieć o ponumerowaniu telegramów; wczoraj dwa razy powtórzono jeden i ten sam niepotrzebnie.

Wirski skłonił się, nic nie odpowiedziawszy.

Zawiejski wstał, dając znak ręką Kazimierzowi, aby podążył za nim. Minęli dwa pokoje, zastawione stołami, przy których pracowało po paru mężczyzn, i zawieszone półkami, pełnemi papierów; minęli wązki korytarz i znaleźli się w dużym, widnym gabinecie, gdzie obok wykwintnego biurka, miękkie, ceratą kryte meble zachęcały do dłuższego wypoczynku. Redaktor zaczął rozpytywać Kazimierza o rodzaj jego zajęć, miejsce urodzenia, stosunki rodzinne i stan majątkowy. Zaciekawił go ten wątły, jakby blizki suchot młodzieniec, którego twarz ściągła, kredowo-blada i mętne, załzawione oczy ujawniały wielkie zmęczenie.

— Pan musisz dużo pracować? To niedobrze. Trzeba ćwiczyć ciało przedewszystkiem; masz pan żywy przykład ze mnie, co robi życie siedzące, — rzekł, zakaszlawszy się znowu.

— Ile godzin dziennie bywasz pan zajęty? — spytał po chwili.

— Czasami szesnaście i osiemnaście na dobę, czasami zaś, ot jak teraz naprzykład, nic nie robię, z nudów chodzę na kursa.

— Kur... jakie?

— Przyrodnicze.

— Rodni... Hm, po skończeniu trzeba-by przestudyować filozofię... Tak, tak, nie będziesz pan dobrym autorem, nie poznawszy z gruntu tej pani... Ładna to dama... Boże, co ja-bym dał za to, żeby módz ją częściej odwiedzać!.. Przyjdź pan do mnie, do mieszkania, dam ci trochę książek A teraz powiedz mi, jakie masz plany na przyszłość?

Kazimierz spojrzał nań zdziwiony.

Jakie plany?.. Ależ pisać jak najwięcej, coraz gwałtowniej, coraz natarczywiej dobijać się tej sławy, której pierwsze błyski już dlań zajaśniały, a potem—żyć, napawać się wielkiem szczęściem, jakie daje poczucie własnej wyższości...

Zaczął coś mówić o sobie ogólnikowo, niewyraźnie, gdy wtem zastukano do drzwi, a na pytanie Zawiejskiego: „kto tam?", służący oznajmił, iż jakiś bardzo pilny interesant czeka od kwadransa, a także dwie panie autorki, obywatel z prowincyi i aktorka z teatru przyszli przed chwilą i chcą koniecznie widzieć się z samym panem redaktorem.

— Aha, dobrze, dobrze, proś po kolei! — odparł Zawiejski i pośpiesznie na wyjętym z pod przycisku blankiecie napisał słów parę.

— To dla pana,—rzekł, zwracając się do Kazimierza.—Idź z tem do kasy, wypłacą ci dziś jeszcze należność. A, prawda, nie mówiliśmy jeszcze o warunkach druku: po pięć kopiejek od wiersza i pewne, konieczne zmiany w tekście... czy zgoda?

— Na cenę zgoda, ale zmiany...

— Zmia... tak, tak, to bezwarunkowo: młodość podyktowała panu niektóre zbyt realistyczne wyrażenia i zbyt materyalistyczne poglądy, pomówimy o tem innym razem... Przyjdź pan jutro, pojutrze... Dziś nie mam czasu... ani chwili...

W istocie, zwiastowany przez służącego interesant stał już w progu. Zawiejski z roztargnieniem podał rękę Kazimierzowi. Zajęły go już inne sprawy. Wchodzący gość przynosił opracowany jaknajdokładniej projekt możliwie dostępnego zakładania przy szkołach ludowych czytelni, co w tej chwili stanowiło zagadnienie na czasie.

Wyszedłszy na korytarz, Kazimierz usłyszał dźwięki niezmiernie ożywionej rozmowy, w ciągu której Zawiejski powtórzył kilkakrotnie:

— Oh, to ważne, bardzo ważne!.. Nic bardziej nad to nie powinno nas zajmować obecnie.

Zapomniano o nim, laureacie, któremu zdawało się, iż w tej chwili powinien być osią wszystkich rozmów!

A jednak czekały na niego owacye. W pokoju sekretarza obstąpiono go ze wszystkich stron. Ten wymieniał nazwisko swoje i, podając obie ręce, winszował zwycięstwa; ów proponował bibkę u Brajbisza, gdzie tego dnia właśnie schodziło się grono literatów. Pytając przytem o wiek, miejsce urodzenia, imię ojca i matki, plany na przyszłość Kazimierza, zapisywał skrzętnie w reporterskim notesiku wymijające jego odpowiedzi; ktoś trzeci wreszcie, wsuwając mu w rękę bilet wizytowy z adresem, zapraszał do siebie.

— U żony mojej zbiera się co sobota „nasze“ kółko: trochę literatów i artystów; przyjdź pan koniecznie!.. Jutro właśnie spodziewamy się więcej osób... koło siódmej czekamy pana... poznacie kilku kolegów, no, i parę koleżanek...

Po kwadransie przeszło rozmowy, uścisków, czczych obietnic, Kazimierz wypadł z redakcyi, odurzony.

W głowie mąciło mu się od tysiąca wrażeń, doznanych w ciągu godziny. Był-by chciał jak najprędzej dobiedz do domu, rzucić się na łóżko i rozmyślać o tem, co widział i słyszał dzisiaj. Gdy wręczono mu w kasie tysiąc rubli, wziął je, jak nie swoją własność; były dlań obce, nie mógł cieszyć się niemi. W domu dopiero, wydostawszy pieniądze z pugilaresu i obejrzawszy je ze wszystkich stron, powiedział sobie:

— To należy do mnie...

A po chwili spytał:

— Co ja zrobię z niemi?

Zamajaczyła mu myśl podróży, do której wzdychał niejednokrotnie. Objedzie świat cały, zaczerpnie mnóstwo nowych wrażeń, pozna wiele ciekawych rzeczy i — wróci bogatszy o całe setki obrazów, które spożytkuje w pracach swoich następnie.

W pracach... A może, rzeczywiście, nie napisze już nic więcej, albo też coś bardzo nędznego, jak przepowiadali mu równocześnie prawie, nie umawiając się, sekretarz i redaktor.

Wstał z krzesła. Doznał nagle wrażenia człowieka, któremu ręka wroga wepchnęła w piersi ostrze sztyletu.

On miał-by nie napisać już nic więcej, albo coś bardzo nędznego, on...

Chodząc po pokoju, szybko, gwałtownie, zaczął obmyślać plan nowej powieści, noweli, lub choćby tylko obrazka. Musiał rzucić go na papier w przeciągu tygodnia najdalej; musiał dowieść światu i sobie, że nie wyczerpał się, że na dnie jego duszy płonie żywa iskra władzy twórczej, której nic zagasić nie jest w stanie... Co on był-by wart bez niej?.. Co zrobiło-by z nim życie?..

Tego dnia nie jadł, nie spał, podniecony żądzą stworzenia nowego arcydzieła. Gdy nad ranem zmęczenie zaczęło kleić mu powieki, gdy zapadał w tę gorączkową, niesforną drzemkę istot, pracą mózgu wyczerpanych, wstrząsnął nim dreszcz silny; zdawało mu się, że coś podrzuciło ciało jego w górę, jak piłkę. Równocześnie, niewiadomo skąd, przyszedł mu pomysł, daleki od tych wszystkich, jakie snuł przez noc całą.

Napisze historyę małej, złotowłosej dzieweczki, która przyszła na świat blada, wątła, jak zimowy bez biały, mówiąc smętnem spojrzeniem szarych swych oczu:

— Ja żyć nie będę...

Śpiewały jej ptaki, patrzyło na nią słońce, witały codzień kwiaty, rzucane na kołyskę ręką brata i matki. Kruchemi paluszkami podnosiła do ust róże i jaśminy, a smutne jej oczy mówiły:

— Ja żyć nie będę...

Była cicha, jak zmierzch zimowy, biała, jak płatki narcyza, smutna, jak niebo, gdy słońce zagasło; lubiła słuchać szmeru traw, pieśni matki, melodyi Chopina, ale wzrok jej ginął zawsze w przestworzach: przemawiała do niej nieskończoność, której nikt inny, prócz niej, nie słyszał...

Aż któregoś dnia — miała wtedy lat dziesięć i nie mówiła jeszcze ani słowa — drobne jej usteczka wyszeptały: „tam, tam!..“, kruche paluszki wskazały dal otwartą; wyprężyła się, zesztywniały ramiona i stopy, wydłużyła się blada twarzyczka. Umarła. Rozwarte oczy,

oczy Hamleta patrzyły na linię ukośną, po której duszyczka mknęła w nieskończoność...

To był temat. Tytuł—„Moja siostrzyczka“. Marzył zawsze o siostrze. Cieniom tej, którą chciał kochać, a której nie miał nigdy, poświęcał drugą z kolei pracę swoją.

Dwa dni i dwie noce pisał ją, aż wytrysnęła z mózgu jego, jak kryształowe źródło, jasna i czysta. Rzuciwszy ostatnie słowo, odetchnął.

A więc zdołał zadać kłam wróżbitom przyszłej swej niemocy... Czuł, że napisał rzecz dobrą, poetycznego uroku pełną, lepszą może od tej pierwszej, która zjednała mu sławę.

Sławę... sławę...

Czy on ją czuł?.. Czy widział?.. Czem była?.. Czy zdołała zmienić dotychczasowe jego położenie?.. Dała mu pieniądze... Ależ mógł żyć i bez nich: potrzebował tak niewiele!

Zdawało mu się niegdyś, że pierwsze fanfary chwały porwą go, uniosą w zaczarowany świat rozkoszy... Dziś... nie czuł nic więcej nad wielkie zmęczenie po trzech nocach niespanych i wielki głód po trzech dniach, w ciągu których, unikając zetknięcia się z ludźmi, mogącymi przerwać mu natchnienie, pił tylko mocną herbatę i jadł chleb suchy.

Skończywszy opowiadanie o „Małej siostrzyczce“, po raz pierwszy oddawna doznał wrażenia pewnego zadowolenia. Talent jego nie zamilkł, mógł wreszcie zasnąć spokojnie.

Zmęczony, rzucił się na łóżko i przespał półtory doby, nie otwierając powiek.

Trzeciego dnia zbudziło go głośne stukanie. Stróżka, zaniepokojona tem, że nie wpuszczał do siebie nikogo, ruszała klamką z całych sił. Prócz tego walił pięścią we drzwi Adam, pragnący złożyć bratu życzenia z powodu rozgłoszonego po pismach zwycięstwa, od siebie, wujowstwa i... ojca, który dziś właśnie na jego ręce przesłał do starszego syna list, pełen czułości. Kolanami, łokciami i obcasami szturmowali także Faber, Hirsz i Marecki, podążający z przypomnieniem przyrzeczonej fundy w knajpie.

Laureat wstał z głową ciężką i goryczą w ustach, osłabiony, jak po gorączce. Głód, podniecia, trzydniowe zamknięcie w dusznym pokoju, wyczerpały go; sen nie zdołał wyrównać poniesionych uszczerbków organizmu. Ledwie dowlókł się do drzwi, padł na ziemię zemdlały.

Łoskot walącego się ciała przeraził zebraną na korytarzu gromadkę.

— Wyrąbać drzwi! — huknął Faber.

Adam skoczył po siekierę na dół do stróża. W chwilę potem otoczono kołem nieprzytomnego Kazimierza. Rozcierano mu stopy, ręce, skronie.

Parę godzin minęło, zanim podniósł ciężkie, jakby zardzewiałe, powieki, nie poznając nikogo.

Chory był. Nie pragnął nic, prócz wielkiego spokoju, a tam, na wielkim, szerokim świecie, gdzie zapisywano całe szpalty pism o nim, gdzie nazwisko jego błąkało się na ustach najpiękniejszych kobiet, gdzie zazdroszczono mu tej wielkiej sławy, która blaskiem aureoli napełniła go nagle,—tam sądzono, iż on, jak wódz po skończonej walnie utarczce, oddaje się radości zdobytych tryumfów.

— Szczęśliwy!.. — szeptały usta panien, marzących o karyerze głośnych aktorek, lub autorek.

— Szczęśliwy!.. — szeptali zawiedzeni w nadziei konkursowicze.

On... marzył tylko o spokoju i o tem, by jak najprędzej opuściły go te czarne postacie, które dostrzegał jak przez tumany mgły szarej, zasłaniającej mu oczy.

Hałasowały, krzyczały dokoła niego głośno, szarpiąc go boleśnie za ramiona i piersi, zadając mu pytania, kręcąc się, jak roje mrówek w zburzonem mrowisku...

Oh, to było straszne!..

IX.

Leżąc na łóżku i paląc papierosy, Kazimierz myślał:

— Jak szybko czas biegnie!—Osiem miesięcy, całe osiem miesięcy upłynęło od chwili, w której po raz pierwszy w dziennikach przeczytałem swoje nazwisko, a mnie zdaje się, że to tydzień zaledwie... Co zrobiłem odtąd? Jak sybaryta, snob, filister ostatni, karmiłem się dymem palonych przede mną kadzideł.

Co pozostało mi po nich? Senne odurzenie i pustka rozleniwionego mózgu: nic więcej. Czy takie tylko szczęście daje sława?

Przypominał sobie dzień po dniu historyę swego życia od czasu bytności u redaktora Zawiejskiego. Kilka szybkich obrazów kolejno, jak paciorki różańca, przesunęło się przed nim.

Zmarszczył brwi na myśl o powiastce p. t. „Moja siostrzyczka,“ którą napisał w ciągu paru dni zaledwie i nie miał czasu nawet przej-

rzeć jej, wyrwano mu ją bowiem gwałtem prawie, gdy był chory jeszcze, bezsilny wobec nalegań redaktora.

Wydrukowana w jednym z najbardziej poczytnych tygodników, podobała się więcej bodaj od powieści konkursowej. Dwie rzeczy tak różne: tam realizm, który tylko chwilami w świetlanej postaci matki nabierał uroku poezyi—tu dekadencki mistycyzm w każdym niemal wyrazie.

Wrzało przez całą zimę w salonach. Dwa odmienne kierunki w jednym, tak młodym talencie: co będzie dalej? — jak skrystalizują się ostatecznie twórcze porywy początkującego autora? — pytano...

Echa salonowych rozmów dochodziły do Kazimierza. Posępniał wówczas. Nie lubił myśleć o tej drugiej pracy swojej, napisanej w chwili wyjątkowej podniety, a puszczonej w świat prawie nieświadomie.

Stawiała go w sprzeczności z samym sobą, z materyalistycznemi poglądami, którym hołdował; tak samo, jak w sprzeczności z intencyą, wolą i pierwotnym pomysłem postawiła go powieść konkursowa.

Co kierowało jego talentem? Przypadek, nic więcej.

Kiedyż zacznie wreszcie pisać tak, jak sam chce, czuje i myśli, nie poddając się pędowi z zewnątrz, prowadzącemu dotychczas jego pióro?

Palił papierosy nerwowo, gorączkowo, jak gdyby chcąc podnietą narkotyku zagłuszyć wrażenia rozpamiętywań.

Czas od chwili otrzymania nagrody za powieść konkursową przemknął dlań istotnie bardzo szybko. Dwa tygodnie chorował po owem zemdleniu, z którego wyratowali go brat i koledzy. Po dwóch tygodniach rozpoczął się wir zmiennych, jak w kalejdoskopie, wrażeń.

Koledzy w czasie uczty, którą im wyprawił, nosili go na rękach, dumni ze sławy jego.

Przebaczono mu wszystkie dawne urazy. Ludzie, którzy lekceważyli go niegdyś, teraz cisnęli się do niego, szczęśliwi, jeżeli zwracał na nich uwagę.

Ze wszystkich redakcyi przysyłano mu zaproszenia do współpracownictwa. „Przegląd“, jeden z najpoczytniejszych miesięczników, zamówił u niego powieść, przysławszy mu trzysta rubli zaliczki. Prócz tego codzień prawie przychodziły listy od wielbicieli i wielbicielek talentu, pragnących go poznać. Zajmowano się nim, wiedziano o nim. Imię jego biegło po świecie, wracając do niego echem upragnionego rozgłosu. Choćby nie napisał już nic więcej znanym i poszukiwanym zostanie na zawsze...

Na skrzydłach sławy, jak na obłokach wonnych, upajających kadzideł, kołysał się aż do zawrotu głowy. Czas jakiś nie myślał o dalszem tworzeniu: postanowił wypocząć i cisnąć się w wir towarzyskiego życia, którem gardził dotąd.

Przez trzy zimowe miesiące nie odrzucił ani jednego zaproszenia. Po salonach mecenasów literatury i sztuki, po gabinetach redaktorów i kolegów, po budnarach aktorek i artystek obnosił bladą swą twarz z wiecznem zamyśleniem mglistych szarych oczu, z zagadkowem milczeniem ust, odpowiadających tylko na konieczne pytania.

Tajemniczy, interesujący, nieodgadniony, był osią zebrań. Panie wyrywały go sobie; mężczyźni patrzyli nań z pewnem zaciekawieniem, a on... zdawał się nie spostrzegać zwróconej na siebie uwagi i wodził po wszystkich obojętnym, znudzonym wzrokiem.

Z wiosną towarzystwo zaczynało go męczyć: wrócił do pracy, postanowił zdać egzamin z pierwszego kursu i zaczął się uczyć dniami, nocami całemi. Przeszedł już na drugi kurs... Swobodny zupełnie, myślał, co zrobić z latem, gdy w tem niespodziewanie dostał list od ciotki.

„Sądziłam—pisała pani Dorota—że przyjedziesz podzielić się z nami wrażeniem sławy i doznanych odznaczeń... Próżno codzień oczekiwaliśmy ciebie: nie odwiedziłeś nas, mimo iż przez brata posłaliśmy ci powinszowania...

Czas wygładza wszelkie urazy. Wuj zapomniał i przebaczył ci niesforność młodości i bardzo pragnie zobaczyć ciebie.

Jesteśmy oboje chorzy i starzy: nie wiem, czy doczekamy następnej wiosny? Jeżeli nie masz projektów na lato, może zechcesz spędzić je z nami na wsi w majątku naszym, gdzie zapewnimy ci swobodę i spokój zupełny. Zastąpisz nam Adama, który parę miesięcy letnich pragnie poświęcić ojcu, a bardzo przyzwyczaił nas do towarzystwa kogoś młodszego i weselszego od nas.

Śląc ci pozdrowienia, czekam na odpowiedź.“

Dorota.

W tydzień potem był już na wsi, gdzie spędził trzy długie miesiące.

Wuj, sparaliżowany od lat paru, przywiózł ze sobą pakę rękopisów, pamiętników, listów i odczytywał mu je kolejno, zasięgając zdania co do ich wartości. Schodziły na tem całe ranki; południa i wieczory wszakże miał zupełnie swobodne. Powinien był pisać. Z tym zamiarem przyjechał tutaj; dzień schodził za dniem jednak, a jego opanowywała coraz większa, coraz bardziej niepojęta niechęć do pióra.

Pierwsze chłody wrześniowe i pogarszający się z każdą godziną stan zdrowia wuja, skłoniły ich do powrotu. I oto od tygodnia był znowu w Warszawie, w dawnym swoim pokoju na czwartem piętrze; od tygodnia mówił sobie:

— Trzeba zacząć pracować...

Szło wszakże niesporo. Chodził na kursa, czytał, myślał dużo, lecz do pióra czuł wciąż wstręt nieprzezwyciężony. A jednak—trzeba było zacząć pisać.

Dziś, wypiwszy kilka szklanek mocnej herbaty, wypaliwszy niezliczoną ilość papierosów, podniecony, postanowił zasiąść do powieści, której plan przygotował sobie na wsi. Miał wykończyć ją za rok, tak zobowiązał się przy podpisaniu kwitu z otrzymanej zaliczki od redakcyi „Przeglądu".

Czy spełni przyrzeczenie?

Pokój był przesiąknięty dymem, gdy wstał, aby zabrać się do roboty.

Otworzył okno, postał chwilę przy niem, patrząc na ruch uliczny i wyszukując w myśli przyczyn, które-by mogły opóźnić rozpoczęcie pierwszego rozdziału.

Ten początek... to były tortury!—czuł formalny ból fizyczny, przystępując do niego...

Wolno, jak przeznaczony na ścięcie skazaniec, podszedł do biurka. Dla oszukania samego siebie uznał przedewszystkiem za stosowne uporządkować papiery, do których nie zaglądał od czasu powrotu. Drąc jedne, chowając do szuflad inne, natrafił na list, rzucony między stos notatek, brulionów, powypisywanych z książek cytat. Otworzył go i zaczął czytać:

Kochany synu!..

Nie powinienem może pierwszy wyciągać do ciebie ręki, którą stale odtrącasz, powodzenie twoje wszakże skłania mię do przesłania ci wraz z innymi wyrazów uznania dla talentu twego, oraz życzeń, by sława, tak szybko zdobyta, nie stanęła w miejscu, jak to wróżą wszyscy, lecz niosła ci coraz nowe zwycięstwa i zdobycze.

Mógł-bym powiedzieć tutaj, iż łączę ojcowskie błogosławieństwo na dalszą drogę twego życia, wiem wszakże, iż uważałbyś je za czcze słowa jedynie, zniechęcony do mnie —czy ja wiem za co?—za kilka chwil lekkomyślności, którą już zmazałem pracą i życiem swojem obecnem...

Jeżeli zatęsknisz do uścisku ojcowskiego, znajdziesz go zawsze w moich ramionach, przy moich piersiach".

— Takaż to moja zemsta nad nim? — Nie pojął, nie zrozumiał, nie ogdadł żądzy jej... Pomyślał i, nie doczytawszy końca listu, zmiął kartkę, chciał rzucić ją na ziemię, podeptać nogami, lecz coś powstrzymało go od tego.

Może cień matki?..

Rozprostował zgniecioną kartkę i spalił ją nad płomieniem świecy. Gdy zostały już tylko strzępy wiotkiej, zwęglonej masy, opanował go wielki spokój.

— Spełniłem j e j wolę... O n a staje zawsze między mną a nim, ilekroć chcę go znieważyć... czy o n wart tego.

W sercu jego jeszcze wrzał bunt i gniew, nie śmiał jednak złorzeczyć ojcu: doznawał wrażenia, jak gdyby zasłoniło go widmo matki, broniąc przed każdą obelgą.

Chwilę przepędził w zamyśleniu, poczem wstał szybko, przeszedł przez pokój i usiadł napowrót przed biurkiem. Czas było wreszcie zabrać się do pracy. Słowa listu ojca: „życzę ci, aby sława, tak szybko zdobyta nie stanęła w miejscu, jak przepowiadają wszyscy" — paliły go zarzewiem. Musiał zadać kłam różnym złowróżbnym puszczykom, musiał dowieść, że rozgłos raz zdobyty nie gaśnie prędko...

Zrzuciwszy ze stołu całą masę książek, które mu przeszkadzały, rozłożył przed sobą arkusz czystego papieru, wziął pióro do ręki i napisał tytuł powieści: „Kto szczęśliwszy?" Godzinę, może dłużej

gryzł koniec drewnianej obsadki, nim drobnem, gęstem pismem zapełnił pierwszą stronę.

Powinien był doznać wrażenia ulgi, lecz czuł tylko niesmak. Wyrazy, zdania, myśli rzucane na papier, podobne były do skrawków zatęchłego gobelinu, którego dziwaczne wzory szydziły z jasnych obrazów jego duszy. Nie mógł uchwycić ich takiemi, jakie miał w sobie. Twórczość wydała mu się naraz tchnieniem wielkiej bezcielesnej istoty, błądzącej po świecie i budzącej z uśpienia mędrców, idyotów, geniuszy. Można mieć duszę, pełną skarbów poezyi, wiedzy i myśli, przed kim nie stanie wszakże ów cień blady, wróżka-natchnienie, kogo nie dotknie niewidzialnemi usty, ten, jak pęknięta struna, musi milczeć.

Cisnął pióro z niesmakiem. Wstał. Chciał rzucić się na łóżko i czytać: w tem doleciało go lekkie, nieśmiałe pukanie do drzwi.

— Kto to być może?—pomyślał.

Koledzy Chwaści nie wiedzieli o jego powrocie ze wsi: zresztą rozbiegli się teraz po świecie, jak stado gołębi pocztowych. Marecki wyjechał na studya za granicę; Hirsz i Prefekt przenieśli się do któregoś z uniwersytetów w kraju nadbaltyckim; Piś i Biś przyjęli miejsca guwernerów, gdzieś w głębokiej Rosyi; Żiul, zaręczony z kuzynką swoją, opuścił stowarzyszenie już dawno; Żozefinę odciągnęła miłość dla jakiejś aktorki. Na dawnem mieszkaniu, strzegąc rumowiska, pozostał tylko Faber. Związek ustał zupełnie, zostawiwszy po sobie jedynie wspomnienia.

Pukanie rozległo się znowu.

— Proszę wejść!—zawołał Kazimierz.

We drzwiach, otworzonych ostrożnie, trwożliwie ukazała się młodziutka, zaczerwieniona i mocno zmieszana dziewczyna. Stanęła w prógu i, tchu nie czując prawie, spytała:

— Czy tu... tu mieszka pan Kazimierz Bielski, ten, co... pisze?

— Tak, tutaj. Czem pani mogę służyć?

— Czy to... to pan sam... pisze?

— Ja sam.

— Ah, Boże!..

Przeszła przez pokój. Nogi pod nią drżały, serce biło, jak młotem. Nie mogła stać i chwiała się, jak trzcina.

Kazimierz wskazał jej krzesło.

Usiadła na brzeżku i zasłoniła twarz dłońmi: wstyd jej było ciekawych, pytających oczu młodego autora.

Chwilę trwało milczenie.

Kazimierz przerwał je pierwszy.

— Co sprowadza panią tutaj?—zapytał, nie zdając sobie sprawy, czy we śnie, czy na jawie widzi tę szczupłą, jasnowłosą dziewczynę przed sobą?

Często, gdy był sam, obrazy rzeczywistości plątały mu się z majaczeniami duszy tak dalece, że, patrząc na dobrze nawet znane przedmioty otaczającego świata, brał je za halucynacye podnieconego mózgu.

Nieznajoma odjęła ręce od twarzy i, zalękniona, przez ściśnięte gardło szepnęła:

— Ja... ja przyszłam panu podziękować za „Moją siostrzyczkę.“ Wczoraj mi to dała do przeczytania jedna pani z tej kamienicy i powiedziała, że to pan napisał... Boże, jak ja się ucieszyłam, że ktoś, co pisze, tak blizko mieszka!—Zaraz zaczęłam czytać, a potem całą noc płakałam!

Zapatrzyła się w przestrzeń. Widmo dziewczynki z powieści zajrzało jej w oczy. Pełno go miała w sobie. Kołysało się nad nią. Żyła niem od wczoraj...

Chwilę milczała. Potem, otrząsnąwszy się jakby ze snu, zwróciła oczy w inny jakiś punkt i, ścigając coś nieuchwytnego, mówiła wolno, z roztargnieniem:

— Jak byłam dzieckiem, zdawało mi się, że tacy ludzie, co piszą, nie mogą żyć, że zaraz później umierają i nikt ich nie zna...

Znowu pauza, a później szybko z ożywieniem:

— Taka ciekawa byłam pana poznać!—Dziś rano powiedziałam sobie, że pocichutku otworzę drzwi i tylko spojrzę, jak pan wygląda, ale potem wolałam wejść... Boże, jak ja się bałam!..

— Pani z tej samej kamienicy?..

— Tak, od tygodnia tu mieszkamy i zaraz naprzeciwko pana... prawie drzwi we drzwi... tylko przez korytarz... Jak ja się bałam!.. Ale teraz już przeszło...

Pełnemi odwagi oczyma zaczęła rozglądać się dokoła.

Kazimierz patrzał i myślał:

— Naprawdę taka naiwna, czy tylko udaje? — głośno zaś spytał:

— Więc rzeczywiście podobała się pani moja powiastka?—Jeżeli tak, mogę dać drugą...

— Oh dobrze, dobrze.—Ja strasznie lubię czytać! — zawołała, podniósłszy się z krzesła i chodząc po pokoju swobodnie już, jak gdyby była u siebie.

Na biurku poprawiła kałamarz, który stał krzywo; z półki starła końcem fartuszka grubą warstwę pyłu i, podniósłszy wreszcie z ziemi stos rozrzuconych książek, ułożyła je na oknie.

Kazimierz, szukając w szufladzie odcinków pierwszej swej powieści, która za miesiąc dopiero ukazać się miała w książce, nie patrzył na nią przez chwilę.

— Panu co się zdaje, jak pan pisze? — spytała, podszedłszy do niego.

— Że jestem wielkim cymbałem, któremu warto co rano garbować skórę porządnie, aby się nie brał nie do swoich rzeczy...

— No, jakto można tak żartować ze mnie?—Ja chcę naprawdę wiedzieć, co się panu zdaje?—Jak pisałam wypracowania w klasztorze, to zawsze tylko myślałam, żeby stawiać przecinki tam, gdzie potrzeba, ale jak się tak opowiada o kimś, jak o tej małej siostrzyczce... to... chyba...

— Przecinki stawiają się same?—Tak, zapewne. Pani była w klasztorze?

Skinęła głową potakująco.

— Gdzie?—Za granicą?

— W Galicyi. Mój ojciec miał posadę we Lwowie. Dwa lata temu dopiero umarł. Od roku przeniosłyśmy się do Warszawy. Moja mama daje lekcye,a ja cały dzień robię koronki... Pan to widział kiedy? W taką ceratową poduszkę wpina się szpilki podług deseni, potem prędko, jaknajprędzej trzeba przewijać dokoła nich nici, albo jedwab, albo nawet wełnę zwiniętą na pałeczki. Może przynieść, pokazać?

— Nie, to później, którego innego dnia. Przecież mię pani odwiedzi jeszcze?

— O, tak, naturalnie!—Jak miło u pana! — Mnie się tak strasznie, ale to tak strasznie nudzi, jak siedzę przy tych koronkach i ciągle w kółko rzucam pałeczkami, że pewnie kiedy zwaryuję... Teraz, jak nie będę mogła wytrzymać, przyjdę do pana... Jak ja się bałam tu przyjść!—Boże święty, myślałam, że umrę, jak pan zapytał „kto tam“... Ale tak byłam ciekawa... Powiedziałam sobie, że muszę pana poznać... Mój Boże, pan taki sam, jak wszyscy, a ja wyobrażałam sobie...

Utknęła. Bujając się połową korpusu na krześle, przyłożyła dwa palce rąk złożonych do ust i wpadła w zamyślenie.

— Co pani sobie wyobrażała?

— Że tu taka jasność bije z każdego kąta pokoju; że nad pana głową, jak nad głową świętego, pływa wielka korona... Czy ja wiem! Zdawało mi się...—Ta mała siostrzyczka to aniołek. Oh, jak ja płakałam!

Kazimierz, który przez cały czas rozmowy chodził po pokoju, teraz stanął nagle.

— Czy ona naprawdę taka naiwna?—zapytał znowu sam siebie, obrzucając badawczym wzrokiem szczupłą postać dziewczyny.

Jeżeli tak, jeżeli nie udawała, znalazł w niej to, czego poszukiwał odddawna: znalazł typ do ostatniej swej powieści.

Chciał w niej zestawić grupę mózgowców z kilku typami prostych, nie filozofujących umysłów, którym wystarcza pokarm narzucanych wrażeń: nie szukają nic więcej, nie analizują. Cieszą się bytem samym w sobie i pytającemi, lecz nie zgłębiającemi oczyma patrzą na wszystko. Przyjdzie odpowiedź — dobrze, nie przyjdzie—odwracają myśl i żyją chwilą: lotne, skaczące ogniki... W głównym mózgowcu miał przedstawić siebie, za prostotą w najczystszej formie rozglądał się od pół roku, aż zesłał mu ją przypadek... Czyż podobna, aby wszystko, co mówiły te drobne, różowe usta, było zręczną grą sztuki aktorskiej jedynie?

— Jak pani na imię?—spytał, patrząc jej w oczy.

— Lola. A panu?—Ach prawda, Kazimierz, Kazimierz Bielski! Przecież czytałam to pod tytułem „Mojej siostrzyczki"—Tylko ja... ja myślałam, że człowiek żyjący nie może nazywać się tak, jak ten, co pisze...

W pojęciach jej Kazimierz-autor nie mógł być tym samym Kazimierzem, z którym rozmawiała, u którego była w tej chwili. Ilekroć przypominała sobie autora, sztywniała nagle. Wobec Bielskiego, zwykłego śmiertelnika, czuła się zupełnie swobodną.

Opowiedziała mu najdokładniej historyę swoją i rodziców swoich. Przed paru laty jeszcze byli bardzo zamożni. Ojciec zajmował doskonałą posadę. Obiecywano jej bale, podróże, zabawy, zaraz po wyjściu z klasztoru i skończeniu lat osiemnastu. Przyszła choroba i śmierć ojca, nieprzewidziana przez lekarzy, nagła prawie. Musiały teraz pracować. Szczupła emerytura starczyła na opędzenie najpilniejszych potrzeb jednej osoby zaledwie... Matka dawała lekcye,—ona sprzedawała swoje koronki, po które co sobota przysyłano ze sklepu.

Kazimierz, patrząc na nią, myślał:

— Czy ja będę umiał opisać jej włosy, jej ciekawe, dziecinnie naiwne oczy, jej białą cerę z siatką niebieskich żyłek na skroniach, jej słodkie małe usteczka i ruchy łaszącej się kotki?—Czy będę umiał opisać giest drobnych białych rączek o różowych, jak płatki róży, paznogciach, i żywe chwilami, chwilami smutne, jak u spłoszonej sarny, spojrzenia?

— Pan mnie nie słucha?—Pan nie wie z pewnością, co ja mówiłam?—Prawda?—Może to panu przeszkadza, że ja tu jestem?—Boże,

coby na to powiedziała mamusia?—Codzień rano, wychodząc, powtarza mi „proszę cię, nie rób znajomości z nikim w tym domu.—Jakby kto przypadkiem wszedł do ciebie, przeproś, że nie możesz przyjąć... Najlepiej zamykaj się na klucz!“—W tamtej kamienicy nie znałam nikogo; tu nie poznała-bym także, ale nie mogłam wytrzymać.—Czy to tak bardzo źle, że ja tu przyszłam?—Przecież nic mi się nie stanie: prawda?

— Ależ naturalnie, zawsze jednak mama nie pozwoliła-by na te wizyty...

— O! to też ja jej powiem dopiero za tydzień, jak już bardzo dobrze pana poznam... Żeby to tutaj był bujany fotel, tak, jak w gabinecie u ojca mojego, całemi godzinami kołysała-bym się w nim i opowiadała panu bajki. — Ojciec mój bardzo lubił słuchać... Przeczytałam wszystkie z całego bajarza i prawie, że umiem je na pamięć...

— A opowie mi pani chociaż jedną?

— Dobrze, nawet zaraz... Tylko... wolała-bym w bujanym fotelu... to tak przyjemnie!

— Jutro będzie go pani miała, a dziś... dziś proszę o początek bajki.

Podszedł do niej; podniósł ją z krzesłem w powietrzu do okna, usiadł na ziemi u nóg jej i, patrząc w oczy dziewczyny, powtarzał:

— Czekam... czekam.

Przytknęła do ust dwa palce rąk złożonych i, kiwając się połową korpusu, myślała, jakąby bajkę opowiedzieć? Najlepiej lubiła o lampie Aladyna, ale ta była długa: może nie zdąży, nim matka wróci z lekcyi na obiad, który stróżka przynosiła im z restauracyi..

— No, to powiem dziś o trzech królewnach, zamienionych w białą, ponsową i czarną różę, i o trzech królewiczach, zaklętych w żółte, karmazynowe i nakrapiane motyle: dobrze?

— Ależ naturalnie, słucham!

Zaczęła mówić, kiwając się już nie tylko połową korpusu, ale i nogami, które nudził bierny spokój. Wydawała się zawieszonym na gałęzi ptakiem, którego świergot napełniał pustą przestrzeń nad urwiskiem.

Jeden ruch nierozważny, jedno niebaczne spojrzenie, a mógł osunąć się w przepaść. Szary wróbelek nie wiedział o tem i świergotał swobodnie bez trwogi, a świergot ten przelewał się, drżał, wibrował zmienianą co chwila modulacyą.

Bohaterom dobrze: głos Loli brzmiał, jak dzwon niedzielny, spokojną radością.

Nieszczęście im grozi: czai się ku nim paszcza stugłowego smoka, parska i zieje zniszczeniem—dzwon jęczał na smętek, trwogę, jak w wielki piątek.

Właśnie żółtemu motylowi miała objawić się piękna, jak jutrzenka, dyamentami obsypana, królewna—biała róża, dzwon z powagą i godnością wybijał wielką godzinę—w tem na schodach dał się słyszeć odgłos powolnych, ciężkich, zatrzymywanych na każdym stopniu kroków.

— Mama idzie!—krzyknęła dziewczyna, przerwawszy zaczęte zdanie w połowie, skoczyła z krzesła i wybiegła.

Kazimierz rozejrzał się po pokoju, zdumiony, ogłuszony wszystkiem, co zaszło. Chciał zacząć pisać na nowo, ale nie mógł: myśl jego, jak zaklęta, obracała się wciąż dokoła jasnowłosej dziewczyny, bez której samotna jego izdebka wydała mu się dziwnie pustą, głuchą i nudną.

Tego wieczora jeszcze pobiegł do wuja, gdzie miał złożoną część pieniędzy konkursowych i całą zaliczkę z „Przeglądu". Pod pozorem, iż potrzebuje nabyć kilka książek, wziął dwadzieścia pięć rubli i udał się do składu mebli po fotel biegunowy, a także nizki stołeczek, na którym, u stóp Loli, chciał słuchać bajek.

Dziwnie był podniecony. Zdawało mu się, że wstępuje w nową fazę życia, w której miało go spotkać coś niezwykłego. Ta dziewczyna... Do tej pory nie znał prawie kobiet. Te, które miewał w swoich objęciach, sprawiały mu wstręt niewysłowiony. Myślał o nich z obrzydzeniem, a raczej usiłował nie myśleć wcale...

Lola... Nie, ona była inną od wszystkich; nie przypominała ani flirtujących i naiwnych na urząd salonowych panien, ani dziewcząt, które każą sobie płacić za chwile rozkoszy. Biła od niej jakaś świeżość i czystość dziewicza, biło młode, bujne, porywające życie. Czy przyjdzie jeszcze?.. Czy będzie mu opowiadała bajki, swoim czystym, dźwięcznym głosem, który miał w uszach, w sobie całym, jak muzykę? Nie spał całą noc z cichego radosnego upojenia. Nazajutrz czekał od rana.

Nie przychodziła. Wmawiał w siebie, że mu to obojętne, że nie myśli o niej. Brał książkę, chciał czytać: wypadała mu z ręki. Chwytał za pióro i nie mógł pisać... Spoglądał co parę minut na drzwi. Za najmniejszym szelestem na korytarzu sądził, iż słyszy jej kroki.

Około czwartej wreszcie ktoś, jak motyl, przyfrunął do niego, zasłonił mu oczy dłonią i głosem rozpieszczonego dziecka spytał:

— Kto to?

Schwycił ją w pół, ucałował obie ręce, i przeniósł na fotel pod oknem.

Usiadłszy przy niej na nizkim stołeczku, słodko, przeciągle, głosem, który zadziwił jego samego, prosił:

— Skończmy wczorajszą bajkę!..

Nie chiała kończyć: wolała rozpocząć nową o śpiącej w szklanej trumnie królewnie i o rycerzu, co zbudził ją wyciągnięciem szpilki ze złotych włosów. Szary zmierzch zapadał, gdy bujając się, z głową w tył przewieszoną i przymrużonemi oczyma, mówiła wciąż szczerze, naiwnie.

W Kazimierzu budziły się wspomnienia. Ujrzał wyraźnie bladą twarz matki, którą brał niegdyś za śpiącą królewnę, ujrzał bujne, jasne jej włosy.

Żal ścisnął mu serce.

— Czemu, czemu myślę o niej tak rzadko?—zapytał sam siebie i z wdzięcznością spojrzał na Lolę, która mu ją przypomniała.

— Będzie pani przychodziła codzień? — spytał, biorąc obie jej ręce.

Skinęła głową potakująco i ciągnęła dalej rozpoczętą bajkę. Kazimierz słuchał w zachwycie.

Czy ja zdołam przedstawić wdzięk jej i prostotę? myślał, pijąc oddech dziewczyny.

Dotrzymała słowa i zaczęła przychodzić codzień z niewyczerpanym zapasem bajek. Była coraz piękniejsza i coraz śmielsza; mogła budzić szały zachwytów i miłości. Kazimierz nie widział w niej jednak świeżej, młodziutkiej, uroczej istoty, lecz tylko typ do przyszłej swej powieści. Notował skrzętnie w pamięci każdy jej ruch, każde spojrzenie, zapisywał sobie szczere, naiwne spowiedzi różowych ust.

Któregoś dnia—było to już po dwóch tygodniach znajomości.—Lola wpadła do niego wcześniej, niż zwykle. Jak Carmen, miała kwiat w ustach i, zaróżowiona, podniecona, błyszczącym wzrokiem zdawała się mówić:

— Bierz mię, całuj!

Kazimierz schwycił ją w pół i, śmiejąc się, zaczął obrywać wargami płatki róży, jeden po drugim, a gdy pozostała naga szypułka, wyjął delikatnie i, jak gdyby szukając dalszych listków, dotknął ustami jej ust. Płomienie zalały twarz dziewczyny, ale się nie cofnęła. Przymrużywszy oczy, przegięta na ramieniu jego, piła chciwie słodycz pierwszego pocałunku.

W chwilę potem wziął ją na kolana, jak dziecko i, bujając się z nią w fotelu, spytał:

— Skąd wzięłaś tę różę?

Zmieszana, zawstydzona, drżąca jeszcze pieszczotą i wzruszeniem, spojrzała na niego, jak gdyby nie był już tym wczorajszym Kazimierzem, lecz kimś zupełnie obcym, a jednak tak drogim, tak upragnionym, że rwały się ku niemu usta i oczy.

Cicho, z pewną trwogą odpowiedziała, że przysłał ją przez matkę jakiś młody człowiek, pragnący bywać w ich domu... Dodała przytem natychmiast, że nie zna go wcale i nie chce go poznać...

Kazimierz powiódł po niej sennym, leniwym wzrokiem. Dziwna rzecz: nie doznał zazdrości... Cóż mu to mogło przeszkadzać, że ktoś stara się o nią, ktoś chce wziąć ją za żonę! Aby tylko przychodziła codzień do niego, opowiadała bajki i pozwalała patrzeć na siebie, nie żąda od niej nic więcej...

Niech wyjdzie za mąż: nie będzie stawiał oporu, lecz nie teraz jeszcze; później, później trochę... On nic więcej nie pragnie, jak tylko wchłonąć ją w siebie, przeniknąć nawskroś czar jej prostoty i urok dziewiczego wdzięku. Pragnie, by, jak na kliszy fotograficznej, cała jej istota odbiła się w jego duszy. Opisze ją, wyrzuci z siebie obraz i zapomni o niej.

Nie kochał jej, czuł to najwyraźniej, bawiła go tylko, jako coś niezwykłego, nie spotykanego dotąd; zajmowała, jako typ przyszłej powieści. Nic, nic więcej... A jednak—mimo to—po kilku dniach, wziąwszy ją na kolana i bujając się z nią na fotelu, szepnął do małego, zaróżowionego uszka:

— Kocham ciebie bardzo... bardzo... Takiej, jak ty, niema drugiej na świecie...

Czemu kłamał?—Sam nie wiedział: było to po części odruchowe, jak pierwszy jego pocałunek, po części wynikało z ciekawości, co ona na to powie: czy zmiesza się i, zawstydzona, lękliwa, ucieknie z pokoju, czy też spojrzeniem i rozchylonemi do pieszczoty ustami przykuje go do siebie?

Lola nie uciekła z pokoju i nie rozchyliła ust do pocałunku, lecz, spojrzawszy na niego pełnemi wiary oczyma, szepnęła:

— Ja... ja także... kocham... pana...

Zalała się potem łzami i padła mu w ramiona. Od tego dnia jednak przestała przychodzić tak często. Opanował ją wstyd, niepewność i trwoga...

— Coby powiedziała mama, coby powiedział świat cały, dowiedziawszy się, że bywam u niego? - pomyślała.

I wydało się jej naraz, że robi coś bardzo złego, coś, co bez zwłoki czasu winna była wyznać przed matką. Parę razy już brała ją za szyję, chciała powiedzieć wszystko i... milkła. Spowiedź mogła odsu-

nąć ją od Kazimierza na zawsze, więc wolała czekać jeszcze dzień jeden, dwa, cztery, dziesięć dni, miesiąc...

Któregoś szarego zmierzchu—po tygodniu blizko niewidzenia i strasznej palącej tęsknoty — zastukawszy, jak zwykle, z płaczem wbiegła do pokoju Bielskiego.

— Jak ja się męczyłam!—Jak mi było smutno bez ciebie... bez... pana... Już nie mogłam wytrzymać i przychodzę znowu! — zawołała przez łzy.

A gdy on objął ją w pół i, pochylony, szukał ustami jej ust, zarzuciła mu ramiona na szyję i rozchyliła wargi do pocałunku.

Porwał ją na ręce i zaczął obnosić po pokoju, jak dziecko, a ona, gładząc jego włosy, szeptała:

— Jakiś ty ładny! — Ładniejszy od wszystkich królewiczów z bajki!—Jak jabym już zawsze na wieki chciała być z tobą!

Nie uważała, że uśmiechnął się blado, jak gdyby chciał powiedzieć: „Co jabym z tobą robił przez całe życie?“ — A potem zwiesił głowę na piersi ze smutkiem.

Usiedli na wielkim biegunowym fotelu.

Gładząc końcami palców sine, zmęczone powieki Kazimierza, Lola szeptała:

— Czy wiesz, że ja już miałam nie przychodzić do ciebie wcale? Że... że... ja chciałam powiedzieć wszystko mamusi, ale się bałam: ona by mi napewno zaraz kazała wyjechać i już może-bym nigdy, nigdy nie zobaczyła ciebie...

Spuściła ręce, oparła głowę na ramieniu jego i przytuliła się do niego mocno. Długi czas siedzieli tak w milczeniu. Kazimierz objął ją w pół i tulił usta do jasnych, pachnących jej włosów. Dobrze mu było z tem słodkiem, drogiem dzieckiem; czuł wielki, wielki spokój...

— A ty... czy także tęskniłeś za mną?—spytała nagle, podnosząc głowę i patrząc mu w oczy.

Nic nie odpowiedział, oparł tylko czoło jej napowrót o swoje ramię i przycisnął ją mocniej do siebie.

Czy on tęskił za nią?—Czy mógł tęsknić?

Serce jego paliła stokroć cięższa troska; na duszy legła stokroć uporczywsza bryła kamienia. Przed tygodniem, szumną reklamą wydawcy zwiastowana, zapowiadająca świt nowego geniusza na polu beletrystyki, ukazała się pierwsza jego powieść w odbitce książkowej, a już jeden z najpoważniejszych krytyków zdążył o niej napisać, że, jako pierwociny młodego talentu, zasługuje wprawdzie na baczną uwagę i szczegółową ocenę, że, naśladując wszakże mocno pracę je-

dnego z bardziej znanych autorów szwedzkich, zawodzi poniekąd pokładane w rozsławionym zbytnio młodym autorze nadzieje.

Plagiat! — Popełnił plagiat, on, za którego nikt inny nie czuł, prócz niego samego; nikt, prócz niego, nie przechodził męczarni i bólów twórczych!.. Plagiat własnego serca, własnych myśli, własnej duszy.

Ostrze noża nie byłoby go bardziej zraniło nad tę krytykę „znanego, cenionego i poważnego“ sędziego.

Przychodziły chwile, kiedy zaczynał złorzeczyć pierwszym porywom talentu swego; natychmiast jednak, zdjęty zabobonną trwogą, przepraszał nieznaną, niepojętą moc, jaka go nim obdarzyła za rzucone bluźnierstwa i błagał, by nie odbierała mu żądzy i siły tworzenia.

Jak pijak, który wyciąga rękę do czary pełnej wina, mimo, iż wie, że na dnie jej tkwi jad zgryzoty, tak on nazajutrz po przeczytaniu krytyki rzucił się do pisania. Postanowił w ciągu kilku miesięcy stworzyć arcydzieło. Musiał nową swą pracą zabić ten pierwszy, kto wie, czy rzeczywiście nie poroniony, swój utwór. Każdy ustęp „Matki“, pisanej niegdyś z takiem uniesieniem i z dreszczem rozkoszy, raził go teraz, budząc w nim niesmak, gorycz, niezadowolenie.

Zrzucił ze stołu książkę w ozdobnej okładce, którą przysłał mu wydawca, nie mógł znieść jej widoku; nie cierpiał jej; nie rozumiał, jakim sposobem coś równie banalnego wyszło z pod jego pióra? A jednak nagana sędziwego krytyka bolała go, jak rana, złą, śmierci chciwą, ręką zadana.

Powieść jego rozchwytano w lot.

Tydzień minął zaledwie, a już nakładca porozumiewał się z nim o drugie wydanie. Powodzenie to, zamiast napełnić go radością i dumą, zdwajało gorycz jego. Z trwogą myślał, iż rozgłos, teraz zdobyty, zabije może sławę ostatniego jego dzieła. O nie tylko chodziło mu obecnie. Musiało być stokroć głębsze, prawdziwsze i doskonalsze od okrzyczanego teraźniejszego „plagiatu“, musiało zadowolnić nietylko najsurowszy sanhedryn krytyczny, ale i jego samego...

Ledwie zasunął drzwi za Lolą, zaczął pisać i odtąd pisał już codzień. Myśli jego pełzły leniwie, jak stado ptaków, którym podcięto loty.

Każde słowo wydawało mu się czemś zapożyczonem, każde zdanie echem zdań, czytanych już niegdyś: gdzie, kiedy?—nie pamiętał, wiedział jednak ich treść i układ z góry. Męczyło go to strasznie.

Nocą nieraz, zasnąwszy mocno, zrywał się nagle, zbudzony gwałtownem wstrząśnieniem i chórem słów, podszepniętych z zewnątrz, jakby wprost do ucha. Próżno szukał ich w ciągu dnia całego: dalekie, nieuchwytne, zjawiały się w mrokach nocnych dopiero, aby odebrać mu sen i znaglić do przerwanej pracy. Zapalał świecę, szedł do biurka i już nie wstawał od niego do rana. Gdy inni, wracając z zabaw, marzyli o kilku godzinach wypoczynku, on brutalnie odtrącał go od siebie dla łachmana sławy, do którego wyciągał ręce...

Lola nie poznawała go teraz.

— Czemu ty taki smutny?—pytała—Czy wszyscy poeci muszą być smutni?—Tyś przecież bardzo wielki, sławny; o tobie wszyscy mówią, a wyglądasz, jak człowiek nieszczęśliwy.—Czy ciebie to nie cieszy, żeś sławny? —I czy ciebie to nie cieszy, że ja tu przychodzę, że... kocham ciebie bardzo, strasznie?.. Dlaczego nie patrzysz na mnie, jak ja na ciebie?—Dla czego twoje usta takie zimne i sztywne? —Dla czego mówisz ze mną, jak przez sen i nie odpowiadasz na połowę moich pytań?

Godzinami całemi nieraz badała go w ten sposób. On albo zbywał ją milczeniem, albo też, gładząc jej czoło, matowym, pełnym znękania głosem odpowiadał.

— Nie zrozumiała-byś mnie, choćbym ci duszę otworzył... Tyś dziecko jeszcze, a ja... jam już starzec zgrzybiały...

Robiło jej się wówczas smutno i ciężko na piersiach. Płacząc, tuliła się do niego. Siedzieli długo w milczeniu serce przy sercu, usta przy ustach i to były najlepsze chwile Kazimierza. Czuł pod dłońmi swemi tętno krwi gorącej, żywej, czuł na ustach oddech, odurzający go zlekka, jak zapach kwiatów. Nawet i wtenczas jednak nie mógł być zupełnie szczęśliwy: spokój psuł mu szereg dręczących, natarczywych badań samoanalizy.

— Co oznacza podobny stan duszy? — Skąd powstaje? — Jakim sposobem ta dziewczyna, zamiast budzić w tobie namiętność, daje ci taką wielką ciszę?—Czyżbyś był już niezdolny do gwałtowniejszych wrażeń?—Czy zamarła krew w tobie?

Każde uczucie, zanim go doznasz, przechodzi przez filtr twej rozwagi; nie jesteś w stanie poddać mu się bezopornie, nieświadomie, z całym porywem młodego twego serca... Dla czego? Czyż nigdy już nie odeźwie się w tobie pęd żywiołowy, zrywający więzy rozumowania?

Czy zawsze będziesz analizował, nim zdołasz upić się wielką radością lub przegryźć nawskroś rdzawym smutkiem?—Co wywołało w tobie podobną bierność wrażliwości?—Czy urodziłeś się już z nią, czy też nabyłeś ją z wiekiem dopiero?

Te i tym podobne pytania zatruwały mu chwile cichego szczęścia przy boku Loli. Nie dozna go już w całej pełni zapewne nigdy, mózg bowiem przerósł w nim serce, a każde wrażenie, zamiast upoić go i odurzyć, jak mocne wino, budziło najpierw czujność trzeźwej refleksyi.

Kochał szczerze, gorąco tylko matkę: teraz—już nie pokocha nikogo; żył bowiem nie sercem, lecz olbrzymią masą mózgową, która zabiła w nim wszystko. Czyż wszystko? A ta szalona, nieprzeparta, odbierająca mu sen i rozum, żądza sławy, miotająca nim na prawo i lewo, jak masą bezwładną: czyż ona nie jest silnym, żywiołowym pędem, wylewającym się za brzegi nawet przerośniętego mózgu? Pali go i piecze nawskroś. Dla niej poświęca wzloty młodego swego serca, na jej ołtarzu składa chwilowe radości i upojenia.

Ilekroć, odurzony pieszczotami Loli, zdołał zapomnieć przez chwilę o męczących dociekaniach samoanalizy i probował poddawać się wrażeniom bezopornie, wnet budził się w nim autor, stając na straży dorywczych uniesień.

— Jakiemi słowy opisałbyś stan podobny? — Czy umiałbyś go oddać takim, jakim go odczułeś?—Czy starczyło-by ci po temu siły i talentu?—pytał sam siebie.

A jakiś posępny głos w głębi jego duszy odpowiadał:

— Nie: straciłeś i polot i pierwotną swoją moc twórczą...

Opanowywała go wówczas głucha rozpacz.

Zrywał się, zrzucał z kolan dziecko, zawieszone u szyi jego i, jak szalony, szarpiąc na sobie ubranie, zaczynał biegać po pokoju.

Lola, w ciemny kąt wtulona, patrzyła nań przerażonemi oczyma. Nie miała odwagi wyjść, nie miała odwagi przystąpić do niego, szepnąć:

— Uspokój się: ja jestem przy tobie.

Drżąc, jak liść, czekała, aż minie burza.

Po godzinie nieraz, zmożony wybuchem rozpaczy, przystępował do niej, całował ją w usta, w oczy i mówił:

— Idź już do siebie...—Chcę zostać sam... Jestem biedny, bardzo biedny... Jeżeli umiesz modlić się i wierzysz w modlitwę, poproś Tego, Kogo wzywasz, aby mi dał choć trochę spokoju...

Klękała wtedy i, głośno szlochając, modliła się do Najświętszej Panny, by usunęła od niego zmartwienia... Zwolna w umyśle jej powstawało przypuszczenie, że Kazimierz przestał ją kochać, a kocha natomiast inną jakąś kobietę, która albo go porzuciła, albo jest cudzą żoną i miłością wzajemną odpłacać mu nie może... Posmutniała. Błę-

kit jej oczu przygasł. Zaczęły z nich spływać łzy częste, padając, jak krople rosy, na zwoje koronek. Przestała odwiedzać Kazimierza. Czasami tylko, wspinając się na palce, zaglądała przez małą szybę do wnętrza pokoju.

Albo siedział przy biurku, gryząc twardą obsadkę, albo pisał, przekreślając, zamazując co chwila wyrazy, albo, jak szalony, biegał tam i napowrót po pokoju, albo wreszcie, bezwładny, leżał na łóżku, z zamkniętemi oczyma, nie oddychając prawie. To było najokropniejsze. Nie mogła znieść tego widoku. Zostawiając rozwarte na oścież drzwi swej izdebki, nie bacząc na spojrzenia ścigających ją od pewnego czasu sąsiadek, biegła do niego, pochylała się nad nim, schwyciwszy zaś jego oddech, całowała go szybko w usta, w oczy i wracała do siebie z sercem bijącem jak u strwożonego ptaka, zmieszana, drżąca, lecz nad wyraz szczęśliwa.

On żył!..

Kazimierz nie czuł prawie jej pocałunków. Był, jak w letargu. Zmożony pracą i głuchą wewnętrzną rozterką, przechodził chwile wielkiego spokoju, wielkiej duchowej ciszy. Ani jedna fibra mózgu i serca nie drgała w nim szybciej: zdawało mu się, że żyć przestaje. Powieki zwierały się same; obezwładnienie całego ciała rzucało go na łóżko.

Leżał niekiedy dobę całą bez ruchu. Ani nuda, ani uczucie głodu nie mogły nakłonić go do wstania: budził się z martwoty tylko na głos, wołający wprost do ucha jego:

— Pisz, pisz!—Czas ubiega szybko.—Sława twoja zniknie, jak złudny miraż, jeżeli nic do niej nie dodasz.—Ludzie zapomną o tobie. Pamięć ich to tlejące ognisko, które wciąż świeżem paliwem podsycać trzeba, by nie zgasło.—Za rok będą patrzyli na ciebie, jak na obcego, jeżeli nie zabłyśniesz na nowo... Pisz, pisz! — Na szmat twej chwały czekają zastępy tych, co chcą ci go wydrzeć... Pisz, pisz, pisz!

Godzinami całemi walczył nieraz z pokusą ambicyi i pychy, postanawiając nie pisać. Czuł wstręt do wizyi własnego umysłu; wszystko, cokolwiek stworzył, wydawało mu się nędznym poronionym płodem bezsilnej wyobraźni. Wołanie natrętnego głosu wszakże przemagało: zrywał się z łóżka, chwytał pióro, papier i siadał do roboty, by wpaść znowu w piekło udręczeń.

X.

W kamienicy głośno już mówiono o romansie jego z Lolą. Któraś z sąsiadek ostrzegła matkę jej o tajemniczych wizytach u młodego autora, stróżka potwierdziła zeznanie gadatliwej kumoszki. Zawrzało, jak w kotle, aż wreszcie po kilku gwałtownych scenach między panią Karską a córką, zapadło postanowienie wysłania dziewczyny na wieś na lat kilka.

W tydzień potem mała, pstra, tysiącem świecidełek ozdobiona izdebka wprost mieszkania Kazimierza opróżniła się nagle ze wszystkich swoich cacek. Zniknęły ze ścian różowe, jak paluszki Loli, motyle; zniknęły z półek gliniane, złotem i srebrem malowane wazoniki, pełne traw suchych; zniknęły wreszcie pstre chińskie wachlarze i żółty ekran, zasłaniający dolne szyby okien przed natarczywością sąsiadów z przeciwka.

Kazimierz przechodził właśnie paroksyzm najsilniejszych zwątpień, największej niewiary w talent swój i najsilniejszej wzgardy dla sławy, a jednocześnie rwania się ku niej całą swą istotą, i nie dostrzegał dokoła siebie nic, prócz upiornych straszydeł własnej duszy, gdy któregoś szarego, zimowego ranka usłyszał lekkie, dobrze sobie znane stukanie do drzwi. Złamany zgryzotą, podniósł powieki i mętnym wzrokiem spojrzał na Lolę, która stanęła przed nim w szarej, podróżnej sukience, blada, z oczyma łez pełnemi.

Przyszła go pożegnać. Podała mu ręce i chciała coś powiedzieć, ale płacz chwycił ją za gardło.

– Wyjeżdżasz?—spytał Kazimierz leniwym, obojętnym głosem.

Kiwnęła głową na znak, że odgadł.

Przyciągnął ją machinalnie do siebie, chciał zajrzeć jej w oczy, przez łzy jednak nie mógł w nich nic dostrzedz.

Chwilę stali w milczeniu, przytuleni do siebie, wreszcie on spytał:

— Przeze mnie wyjeżdżasz... tak?.. powiedz!..

I, odsunąwszy ją zlekka od siebie, znowu usiłował zajrzeć jej w oczy. Skinęła głową powtórnie i wybuchnęła głośnym płaczem. Przycisnął ją mocniej, wyrwała się jednak z ramion jego.

— Bądź zdrów!.. Niech ta, którą kochasz, uszczęśliwi cię... Ja... ja... nie umiałam tego, chociaż bardzo. . bardzo... ciebie...

Nie mogła dokończyć. Łzy zdławiły ją. Szlochając coraz gwałtowniej, pobiegła ku drzwiom.

Kazimierz usiłował ją zatrzymać. Opanowało go silne, niedoznawane dotychczas wzruszenie i jakiś żal niepojęty.

— Zostań!.. Zostań!.. Zostań!.. — błagał.

Nie została jednak. Ze stłumionem siłą woli łkaniem zbiegła ze schodów.

W chwilę potem zniesiono jej rzeczy, a po paru minutach rozległ się turkot odjeżdżającej dorożki.

Z okna swego Kazimierz dostrzegł niknący szybko w oddali czubek szarego kapelusza dziewczyny, jedyny punkt ruchomy na perłowo-ołowianem tle nieba i ziemi. Wreszcie i on rozwiał się w przestrzeni, a wówczas duszę młodego autora zaległa wielka pustka. Otworzył drzwi i spojrzał na ogołocony ze wszystkich ozdób pokoik po drugiej stronie korytarza. Nigdy tam nie był. Parę razy Lola prosiła, by zaszedł: nie chciał. Bał się obcych miejsc, bał spotkania się z matką. Czy on sam wiedział zresztą, co stawało mu na przeszkodzie? Przywykł widzieć ją u siebie tylko, nie był-by umiał rozmawiać z nią gdzieindziej... Teraz — ból go ścisnął. Czemu nie spełnił jej życzenia?.. Czemu wogóle był dla niej taki obojętny?.. Nie wyjechałaby może... Tracił naraz miłość, sławę, natchnienie. Wszystko uciekało od niego ..

Na wspomnienie pieszczot Loli uczuł dreszcz rozkoszy.

Czyżby ją kochał? Dziwna rzecz: wydało mu się naraz, iż zdusił-by ją uściskiem, jak ptaka, on, który widział w niej dotąd nie kobietę, lecz wcielenie twórczych swych porywów... Czemu tak lekkomyślnie odtrącił od siebie to młode, gorące serce?.. Co czeka go teraz?.. Samotność, pustka... A gdyby... gdyby pojechać za Lolą, przywieźć ją z sobą...

Roześmiał się sam z tego dziecinnego projektu. Wróciwszy do siebie, zamknął się i postanowił pisać... Do późnej nocy jednak, gryząc obsadkę, przesiedział nad czystym arkuszem papieru, nie zapełniwszy go ani jednem zdaniem. Zmęczony, wstał wreszcie. Nie, stanowczo przerwać musi wstrętną tę pracę... Lecz... co zrobi z sobą?... Kursa porzucił już dawno; przyroda zbrzydła mu stanowczo, a innych wykładów słuchać mu się nie chciało... Co zrobi z sobą?..

Do rana przeleżał z otwartemi oczyma, kreśląc plany najbliższej przyszłości. Wreszcie zapadło w nim niezłomne i ostateczne postanowienie puszczenia się w podróż. Przeczeka koniec zimy i wiosnę, a potem—wyjedzie: dokąd, po co?.. Sam jeszcze nie wiedział, lecz wyjechać musiał koniecznie.

XI.

Trzykrotny odgłos dzwonka zwoływał gości przy table d'hôte. Pierwszy zjawił się, jak zwykle, bogaty mieszczanin, kupiec z Westfalii, który każdą wchodzącą parę małżeńską witał zdumieniem i, zwracając się do nieodłącznego towarzysza swego, pastora z Brukselli, pytał:

— Jak ci ludzie mogą podróżować razem?.. Któż prowadzi za nich interes?

On, żonaty od lat dwudziestu pięciu, nie jeździł nigdy z żoną, jej bowiem jedynie mógł powierzyć „budę"; nie sądził zaś, aby ktoś, kogo stać na podróże, mógł zajmować się czem innem, niż handlem.

Pastor ruszał ramionami.

Nie chciało mu się odpowiadać na dziecinne pytania przyjaciela. Leniwy z natury, nie lubił mówić; kupiec westfalski pracował językiem za niego i za siebie, i dlatego może było im dobrze razem. Zajęli zwykłe swe miejsca pośrodku stołu, przy którym obok nich siadywała codzień młoda, bardzo piękna, niezmiernie wytworna cudzoziemka, zwracająca na siebie uwagę ogólną.

Chodziła najczęściej sama. Przez parę pierwszych tygodni spotkano ją kilkakrotnie wprawdzie w towarzystwie głośnego w całych Niemczech autora, żyda, słońca literatury; po wyjeździe jego wszakże unikała zetknięcia się z kimkolwiek, i tylko w czasie obiadów siadała przy stole ogólnym. Nie wiedziano, kim jest, skąd pochodzi, i dlatego może zajmowano się nią więcej, aniżeli innemi przyjezdnemi pięknościami.

Od kilku dni zanotowano w kronice ważniejszych wypadków towarzyskiego życia w S., iż prześladuje ją młody Polak, świeżo przybyły na wybrzeże. Przy obiedzie siadywał zawsze wprost niej i wpatrywał się w trzeźwe, spokojne, rozumne jej oczy, nie zachęcające najlżejszem drgnieniem do rozpoczęcia rozmowy.

Raz tylko sąsiedzi: pastor i kupiec z Westfalii, zauważyli żywsze poruszenie warg jej i nagły, silny rumieniec: było to wówczas, gdy nieznajomy Polak, przez roztargnienie do chłopca, roznoszącego lody, zawołał w rodowitym swym języku:

— Podaj mi jeszcze półmisek!

Zresztą zawsze jednakowa, wyprostowana, sztywna, z podniesionemi cokolwiek w górę ramionami, nie zdradzała, aby coś kiedy zajęło ją, lub obeszło żywiej. Jadła zwykle niewiele, zostawiając na talerzu połowę wziętych z półmiska potraw; piła tylko czystą wodę; z widoczną przyjemnością spożywała jedynie sery i owoce. Narodowość jej trudno było odgadnąć. Rysy miała wschodnie, szybkość ruchów francuską, prostotę ubrania i obejścia angielską, systematyczność niemiecką... Zawsze o jednej i tej samej porze można ją było spotkać na wybrzeżu. Nie spaźniała się nigdy ani o minutę w kurhauzie na obiady, śniadania i kolacye. Pisywała listy i grywała nawet zawsze o jednej godzinie.

Na liście kąpielowej umieszczono ją jako Sarę Mühlbruch.

Czy była panną, czy mężatką?.. Dlaczego podróżowała sama?.. Pytania te w dziwnie natarczywy sposób zajmowały wszystkich, nie znajdując odpowiedzi.

Po pięknej cudzoziemce młody, zakochany w niej, jak twierdzono, po uszy, Polak, był drugim z kolei bohaterem chwili. Chodził również sam zawsze i nie brał udziału w towarzyskiem życiu; był również bardzo piękny, tak, iż nazywano go: „der hübsche Slave“. Drobny jednak i szczupły, nie posiadał tej siły słowiańskiej, którą wielbią zazwyczaj poeci, i pod tym względem stanowił zupełne przeciwieństwo z tajemniczą nieznajomą, wobec której wydawał się dziwnie nikły, delikatny, mały.

— Zdusiła-by go w ramionach, jak ptaka, — twierdził kupiec westfalski, patrząc na zagadkową parę.

— A kto wie, czy nie wpadnie w nie wkrótce?— mruczał pastor, spostrzegając coraz żywsze zajęcie się młodego człowieka czarnooką i czarnowłosą, tajemniczą panią.

Istotnie „piękny Słowianin“ z każdym dniem gwałtowniej i natarczywiej szukał sposobności zbliżenia się do samotnej nieznajomej.

Kto ona?.. Skąd przybywa?.. Dlaczego unika ludzi?.. Czyżby jakieś ciężkie moralne przejścia usuwały ją od nich?..—myślał, wpatrzony w nią. Wyglądała jednak na istotę najzupełniej normalną, zrównoważoną, zadowoloną ze swego losu i daleką od wszelkich wertherowskich zwątpień. Więc dlaczegóż po najustronniejszych drożynach wybrzeża błądziła zawsze sama?.. Czyżby umyślnie pozorami tajemniczości usiłowała zwracać na siebie uwagę?

Kilka razy on, który nigdy w życiu nie zbliżył się pierwszy do nikogo, miał ochotę przystąpić do niej i zagadnąć ją o cokolwiek, aby tylko usłyszeć dźwięk jej głosu, zawsze jednak stawało coś na prze-

szkodzie. Dziś postanowił ostatecznie zawrzeć znajomość. Z zamiarem tym przyszedł na obiad i zajął zwykłe swe miejsce wprost pięknej pani.

. . . . . .

Zadzwoniono na pierwsze danie.

Przy stole, obsadzonym przez kółko krewnych, złożone z dwudziestu przeszło członków i ochrzczone w konceptach miejscowej gazety kąpielowej mianem nie rodziny, lecz „instytucyi“, wszczął się ruch. Panienki spoglądały chciwie w stronę waz dymiących, chłopcy trącali się kułakami, wołając:

— Dziś ja pierwszy dostaję...

— Nieprawda, na mnie kolej...

— Mama, sagen Sie...

Ojciec groźnem spojrzeniem przyprowadził wszystkich do porządku. Nastąpiła musowa zgoda i spokój. Służba w lot rozniosła talerze z zapowiedzianą w menu zupą żółwiową. Kupiec westfalski spytał, czy dobra?.. Pastor odpowiedział leniwie:

— Passabel...

Podniósł się zwolna gwar i wrzawa wielkich biesiad, których uczestnicy, zaspokoiwszy pierwszy niepokój głodowy, zaczynają nawiązywać zwolna nić coraz żywszej rozmowy.

Po zupie podano ozory marynowane, pieczyste, jarzyny, desery. Nieznajoma jadła niewiele, jak zwykle, czekając na owoce i ser, a także na czarną kawę, którą piła z widocznem upodobaniem.

Młody Polak patrzył na nią badawczo. Odpowiadała chłodnem, obojętnem spojrzeniem, nie spuszczając powiek i nie cofając źrenic, ilekroć skrzyżowały się promienie ich wzroku.

Przy czarnej kawie napełnił salę gwar większy, aniżeli kiedykolwiek, ponieważ przy stole „instytucyi“, gdzie święcono dnia tego pięćdziesięcioletnią rocznicę przyjścia na świat kapłanki rodu, starej Niemki w brylantowym naszyjniku i nicianych rękawiczkach na grubych, spracowanych dłoniach, — wybuchnęła nagła sprzeczka między zaproszonymi gośćmi o to, czy słynny tenor opery hamburskiej był Francuzem, czy też Holendrem z pochodzenia?

Zwykłe towarzyskie nieporozumienie przybierało stopniowo rozmiary brutalnej kłótni, aż nareszcie w ręku jednego z zapaśników zadrżała porwana ze stołu butelka szampana, którą, siny ze złości

Prusak, był-by niechybnie cisnął w twarz przeciwnika, gdyby nie odebrano mu jej przemocą.

Damy wstały z miejsc, cofając się w głąb sali. Rozdano już ostatnią seryę filiżanek z czarną kawą, gdy wtem rozległ się w powietrzu odgłos wymierzonego z całą siłą policzka.

Wrzawa naraz ucichła. Panie, jedna po drugiej, cichaczem wysunęły się z sali, mężczyźni otoczyli kołem dwóch szermierzy, którzy, oprzytomniawszy nagle, stali, jak wryci w ziemię, rozumiejąc całą niewłaściwość położenia.

Kupiec westfalski, z filiżanką czarnej kawy w jednej, kieliszkiem koniaku w drugiej ręce, podszedł do grupy ciekawych. Pastor, oparty łokciem o stół, z którego zbierano resztę pozostałych talerzy, zaciągając się dymem hawany, obojętnie patrzył na chwilowy dramat.

Sąsiadka ich, nieznajoma cudzoziemka, powstawszy szybko z miejsca, szła wprost ku drzwiom, nie oglądając się za siebie, spokojna, sztywna zawsze. Wtem na progu upadła jej mała, batystowa chusteczka, którą trzymała w ręku. Nie zdążyła schylić się po nią, gdy młody Polak podbiegł nagle i podał ją z milczącem, wymownem spojrzeniem.

— Dziękuję, — odparła krótko, sucho po polsku i zbiegła ze schodów głównego wyjścia ku ścieżce, prowadzącej w głąb parku.

Skręciła już w cienistą grabową aleję, na końcu której widniała chińska altana, gdzie po obiedzie zwykle czytywała gazety i książki, gdy nieznajomy dopędził ją i, zagrodziwszy drogę, rzekł:

— Zdobyłem wreszcie pewne prawo przedstawienia się pani. Jako rodacy...

— Nie jestem Polką, parę słów zaledwie umiem w tym języku; jedno z nich właśnie powiedziałam przed chwilą przez roztargnienie, czego żałuję. Towarzystwa, jak pan widzi, unikam; zresztą, dziś wieczorem wyjeżdżam... Żegnam pana... — odparła po francusku ładnym, ale cudzoziemskim akcentem i, skręciwszy w bok, wązką drożyną puściła się ku morzu...

Młody Polak został na miejscu, ogłuszony, oszołomiony, nie mając odwagi biedz za nią. Nie rozumiał nic; czyżby naprawdę ta.. kobieta nie była Polką?.. Czas jakiś chodził w zamyśleniu wzdłuż cienistej alei, w tem, spostrzegłszy zdaleka podążającego w stronę kurhauzu chłopca z koszem kwiatów, które panie kupowały w tej porze zawsze na koncert poobiedni, skinął nań i spytał:

— Czy pamiętasz tę wysoką, ładną panią, brunetkę w popielatej sukni i popielatym kapeluszu, która codzień w altanie chińskiej o tej godzinie kupuje od ciebie dwie żółte róże?..

— Ja wohl, gnädiger Herr!—W tej chwili spotkałem ją na małej ścieżce tam dalej w parku: kupiła dwie żółte róże, jak zawsze, tylko nie wiem, czemu nie usiadła w altanie?

— To do rzeczy nie należy.—Znasz ją?—Wiesz o kim mówię? A więc słuchaj teraz uważnie. Ta pani dziś, wieczornym pociągiem ma stąd odjechać. Jeżeli wyśledzisz, dokąd weźmie bilet i wyśle rzeczy, dostaniesz trzy marki odrazu, a gdy przekonam się, żeś nie skłamał, przyślę ci jeszcze pięć. Czy możesz podjąć się tego?

— Ja wohl, Gnädiger!

— A więc ruszaj. Z pociągu przyjdź do mnie do kurhauzu, prosto pod numer dziesiąty. Rozumiesz?

— Ja wohl!

— Trzy marki dostaniesz natychmiast, resztę później!

— Empfehle mich bestens!

Cecylia Walewska.

(C. d. n.)

Demokracya.

III. [1])

Zaszliśmy z profesorem nazajutrz do Volksgartenu. Słońce świeciło prześlicznie; bony i niańki z dziećmi zaludniły już cieniste kasztanowe aleje, a kilku poważniejszych ludzi przechadzało się w cieniu, kilku studentów siedziało na ławkach ogrodowych, czytając. Wszystko kwitło i woniało przecudnie; stare kasztany ustroiły okrągłe, ciemne korony liścia białemi kitami kwiecia, a bzy tworzyły wieniec fioletowy, naokoło zielonego, podłużnego kobierca, wielkiego, wolnego od drzew gazonu, opromienionego jasno słońcem. Kląb kwiatów jaskrawych przerywał gazon po środku; u jego końca widniał, nakształt kaplicy, bardzo piękny, biały, marmurowy pomnik Grillparzera, a monumentalne mury Muzeów wznosiły się za nim, w głębi; kosy i szare gołębie przechadzały się po trawniku.

Kazimierz czekał już na nas; przyprowadził z sobą jednego tylko towarzysza, swojego przyjaciela, jak on młodego Doktora filozofii Henryka, jak on bardzo wykształconego, ale różniącego się stanowczo zapatrywaniem na świat. Widzieliśmy bowiem, że Kazimierz był demokratą, na wzór całej prawie dziewiętnastego niegdyś wieku młodzieży, a Henryk był zwolennikiem Nietzschego i wyznawcą arystokracyi nad-człowieka. Przytem, jako filozof, wszystkiemu się dziwił, o wszystko się pytał, o wszystkiem powątpiewał. Powiedział nam tedy zaraz u wstępu, że nie pojmuje, jakim-by sposobem owe pomniki z Efezu, któreśmy oglądać mieli, mogły być na prawdę arcydziełami, skoro o nich tak cicho za naszych czasów, kiedy cała kula ziemska dowiaduje się w jednej chwili, w jednym dniu, o każdej rzeczy, o której się dowiedzieć warto.

---

[1]) Patrz zeszyt lutowy, str. 290.

Profesor grzecznie odpowiedział, że skoro się przypadkiem na rzeźbie i na sztuce wogóle zna, i skoro się posągom dobrze przypatrzył, może zaręczyć, że są bardzo a bardzo piękne, choć świat szeroki o nich dotąd nie mówi.

Dodałem objaśniająco: — Panowie młodzi nieraz słyszeliście, a przedewszystkiem nieraz czytaliście, że niegdyś piękność i zasługa mogły być zapoznane, w starem, nieoczytanem, arystokratycznem społeczeństwie, kiedy tylko szczęśliwy traf zapewniał utalentowanemu człowiekowi opiekę pańskiego mecenasa, bez której byłby musiał zginąć z głodu i wraz z dziełami swojemi przepaść w zapomnieniu. Powiadają i piszą, że wtedy zręczność dworaka bardziej od talentu i nawet od geniuszu stanowiła o sławie. Twierdzą natomiast, że dziś, wśród demokratycznego, a powszechnie oświeconego społeczeństwa, każda zasługa doczeka się zaraz uznania. Że to nie prawda, jak nieprawdą bywa większa część tego, co ustawicznie drukują i czemu czytelnik wierzy, temu poświadczyć może ów Grillparzer, którego podobnica kamienna, tam, za trawnikiem, siedzi, wśród białego światła, z księgą w ręku, po śmierci prześlicznie wykonana przez rzeźbiarza. Rząd austryacki nie dbał o jego sławę. Pruskiemu był nie na rękę, nie występował do walki z Kościołem, żadnej namiętności, żadnemu stronnictwu nie służył, zatem nikt nie robił mu reklamy i za życia nie doczekał się sławy; posiadł ją po śmierci, ale jego przykład dowodzi, że wielkie talenta, że nawet geniusze mogły w dziewiętnastym wieku żyć, żyją może obecnie — myślą, piszą, tworzą, a przepadną w niepamięci. Nie trafią do nakładcy, mającego stosunki z prasą, nie pójdą w służbę żadnego stronnictwa; być może, że ich pisma pozostaną w rękopisie, obrazy, przez nich namalowane, nie wyjdą z pracowni; ale nawet puszczone w świat, dlatego świata istnieć nie będą. Publiczność dzisiejsza, niezliczona, demokracya czytająca, która rozdaje uznanie i sławę, zajęta walką o chleb, tylko nieuważnem okiem spojrzy na dzieła ducha. Jest ich moc niezliczona; pochodzą ze wszystkich zakątków świata i jawią się tak tłumnie, że nawet znawca w nich się nie rozezna. Skądże-by się miała rozpoznać w tym lesie publiczność mnoga? Sama upodoba sobie płaską farsę, jaskrawe dziwactwo, albo rzecz gorszącą i podchlebiającą namiętności; zresztą uwierzy pochwałom głoszonym przez dzienniki, albo powtarzanym przez koteryę. O powodzeniu dzieła literackiego, albo sztuki, stanowi dziś nie wartość tego dzieła, tylko zręczne samochwalstwo autora; powodzenie mieć będzie, kto potrafi się dostać do koteryi wpływowej, potrafi jej się stać potrzebnym i potrafi ją dla swoich wyzyskać celów.

Profesor, wysłuchawszy moich słów, nie przeczył im bynajmniej; owszem, głową skinął potwierdzająco, ale dodał: Dotąd żadna koterya nie zajęła się posągami z Efezu, więc o nich cicho, ale jestem spokojny o ich los; zajmie się niemi koterya uczonych, i niebawem będzie o nich pisać każda historya sztuki, z dwiema gwiazdkami będą figurować w Bädekerze.

Odparłem:—O tem nie wątpię. Sztuką dawną zajmuje się szczupłe grono ludzi, z zamiłowaniem badających rzecz, a nie szukających przytem ani bogactwa, ani wywyższenia. Ogół sztuka dawna mało obchodzi; nawet próżność artystów nie może w tej mierze namiętnej walki rozbudzić; mogą czasem protestować, wołając, że sami piękniejsze dzieła tworzą, wiedzą jednak, że grono miłośników dawnej sztuki zawsze istnieć będzie, że podziw dla obrazu Leonarda albo Rembrandta, dla dramatu Szekspira, albo Kalderona, powodzeniu dzieł nowych w niczem nie zawadzi. Stronność może tu być jedynie wywołaną przez patryotyzm, upierający się przy doskonałości narodowych szkół, ale i o tej stronności niema mowy, kiedy chodzi o dzieła starożytnych. Publiczność zgodzi się tedy z pewnością na wyrok znawców, znawcy poznają się niechybnie na arcydziełach, każdy turysta pójdzie się na nie popatrzyć, nic nie zobaczy, nic nie zrozumie, ale rzecz chwalić będzie, nie chcąc uchodzić za człowieka pozbawionego smaku.

Podobnież małe grona uczonych badają beznamiętnie różne, dla ogółu niedostępne zagadnienia naukowe; publiczność obojętna wierzy w nieomylność ich wyroku i przyjmuje ten wyrok jednomyślnie. Nauka pozostaje arystokratyczną, i jej powaga stoi dotąd nienaruszona—ale tylko o tyle, o ile tyczy się rzeczy nie mogących ogółu roznamiętnić. Ilekroć chodzi o rzeczy, mogące namiętności ludzkie, choćby tylko próżność ludzką, podrażnić, przepadła powaga nauki, a wielki rozgłos zdobywają dziś dla siebie tylko hypotezy, choćby najśmielsze i najbardziej nieuzasadnione, któremi zaopatrują się w celach walki jakaś sekta, jakieś stronnictwo, jakiś rząd, istotnie zaś genialne i prawdziwe pomysły, z których politycznej broni ukuć nie można, przepadną bez śladu, wśród nieprzejrzanej powodzi pism i wykładów. O prawdzie moich słów świadczy wymownie historya dziewiętnastego wieku. Nie było filozofa bardziej niezrozumiałego i chimerycznego, jak Hegel; ale twierdził, że monarchia pruska jest najwyższem objawieniem bóstwa i rząd pruski postarał się o to, że jego niezrozumiała zresztą filozofia cieszyła się czas jakiś bajeczną popularnością. August Comte bywał wynoszony jako gieniusz, dopóki wydawał dzieła, przeczące prawdzie wszelkiej religii, bo potężni nieprzyjaciele Kościoła postarali się dla nich o rozgłos i wziętość, a gdy

nareszcie wydał książkę mistycznie religijną, ale nie prawowierną, okrzyczano rzecz głupstwem i nikt książki nie przeczytał. W drugiej połowie dziewiętnastego wieku wystąpiła wogóle na pierwszy plan dziejów walka farmazonii z chrześciaństwem, a mianowicie z katolicyzmem, i farmazonia nadała rozgłos popularny darwinizmowi, sądząc, że darwinizmem podkopie chrześciaństwo. Nawet niedostępne i najczęściej nielitościwie suche badania indyologów, egiptologów i assyryologów roznamiętniły przez czas jakiś szeroką publiczność, uwierzono w tę niedorzeczność, że indyjska cywilizacya trwa od kilku milionów lat i porównano niesmaczne i bałamutne foliały pism sanskryckich z arcydziełami starożytnego ducha, bo myślano, że za pomocą historyi starożytnego Wschodu będzie można zaprzeczyć Biblii, obalić chrześciaństwo; sprawa zaś tem powszechniejsze wzbudziła zajęcie, kiedy Kościół zaczął prawd Biblii dowodzić za pomocą tych samych świadectw, które jej zaprzeczyć miały.

Henryk uśmiechnął się i dodał: — Ale przyznasz pan, że bez niczyjej machinacyi sprawy, które tyczą się religii, sprawy, o których mniemają, że zagadkę istnienia wreszcie wyjaśnić mogą, muszą rozbudzić u ogółu większe zajęcie od badań nad naturą jakiejś krzywej linii, albo nad genealogią Merowingów.

Tak rozmawiając, stanęliśmy już przed budynkiem naśladującym bardzo nieudolnie starożytną świątynię Tezeusza w Atenach. Dzieci bawiły się pod niefortunnie martwą podobizną doryckiej kolumnady; służący sprzedał nam kartki wstępu, odebrał laski i wpuścił nas do wnętrza. Ujrzeliśmy przed sobą podłużną, bieloną, z góry oświeconą salę, w której ustawiono wykopaliska efeskie. Wielki posąg z bronzu, w zupełności ocalony, stał pośrodku; z boków poustawiano pomniejsze marmury i bronzy: posążki, płaskorzeźby, pojedyńcze głowy bez ciała, albo ciała bez głów, popiersia wreszcie. Całość robiła odrazu wrażenie wykwintnego przybytku sztuki, ale dopiero w miarę tego, jak nam profesor rzecz wymownie objaśniał, nabywały te rzeźby dziwnego, niezrównanego życia i piękności, która się u niektórych przynajmniej, u istotnych arcydzieł, wzmagała w miarę tego, jakeśmy się w nie dłużej wpatrywali.

Profesor mówił z zapałem: — Patrzcie się najpierw na tę płaskorzeźbę, wyobrażającą jakąś bitwę. Wcale nie jest piękną, ale jest bardzo ciekawą, bo jest tu świadkiem najdawniejszych czasów, średnich wieków starożytności. Pochodzi z szóstego jeszcze wieku przed Chrystusem, a wtedy, podobnie jak w czternastym wieku po Chrystusie, choć sztuka już kiełkowała, średnie wieki trwały jeszcze w pełni. Pancerni rycerze, jak ci, których tu widzicie, utwierdzali

jeszcze arystokratyczny ład świata przemocą ciała i bojowem męstwem. Siła, wzgarda śmierci, obojętność na rany i żądza romantycznych przygód, czyniły z nich przedmiot podziwu i trwogi. Wierzono, że pochodzą od bogów, od bogów pochodziła ich władza nad ludźmi. Oni sami jedni, a obok nich świętobliwy asceta, uchodzili za pięknych i dobrych wśród społeczeństwa, opartego na przekonaniach religijnych. To też pobożny a skromny kamieniarz robił nieruchomy ikon dla czci wiernych w czasie nabożeństwa, albo taki bezkształtny jeszcze wizerunek awanturniczych bojów, jak ten, który tu oglądacie. Wyobraźnia prostacza lubowała się w wielkich rozmachach mieczem, w dziwach i poczwarach. Rzeźbiarz umiał już pięknie wykuć zabite, nagie ciało, które tu w kurczach leży na ziemi, ale z umysłu tak pogmatwał ludzkie i zwierzęce członki, że ci się przypomina sen nieuchwytnie dziwaczny.

Wśród rycerskiego świata powstały zamożne miasta; mniejsza o to, czy się nazywały Atenami, czy Florencyą, a w nich powstało poczucie społecznego ładu, powstał zmysł dla prawdy, podziw dla piękności tej, która odpowiada myśli bożej, a nie sennemu marzeniu po obfitej biesiadzie. Możne rycerskie rody przewodziły jeszcze wśród obywateli, ale już nie o pustych myśleli przygodach, tylko o publicznej sprawie; radzili pospołu z ludem, któremu dowodzili, a wyższości szukali w rozumie i w wykwintniejszym obyczaju. Społeczeństwo było jeszcze religijne nawskroś, ale mniej rozkochane w dziwach, szukało myślą boskiego ideału. Sztukmistrz w otoczeniu Peryklesa, albo Medyceuszów, miał siebie za kapłana boskiej piękności, którą chciał ludziom wyprowadzić poprzed oczy. I oto mogło powstać arcydzieło takie, jak ten posążek Persefony, bogini śmierci i nieśmiertelności, który tu stanął we framudze. Rzeźbiony po prostu, przyodziany w szaty, faldujące się skromnie, ma jeszcze coś w sobie pierwotnego, a mimo to cudownie jaśnieje prawdą i życiem. Przypomina fidyaszowe płaskorzeźby na Partenonie prostotą, prawdą, idealną pięknością i cudownie uduchownionym wyrazem, a zachwyca nas tem bardziej, że zachowały się na nim subtelne barwy, przypominające życie, ale nie naśladujące życia. To święte, duszą i ciałem doskonale piękne dziewczę, tęskniące za jakąś pięknością doskonalszą, za pełnią dobra, za promienną nieśmiertelnością świetlanego Boga. Można-by ten posąg dziś postawić na ołtarz, a modlili-by się do niego ludzie, myśląc, że to święta jaka, z chrześciańskiego zjawiona nieba. Podobną niepokalaność dziewiczą a świątobliwą malowali w dwa tysiące lat później Belini i Boticelli.

Ale niedługo jaśnieć mogła pobożną sztuką świetlana zorza cywilizacyi. Niebawem rozum wziął górę nad wiarą w ideał; subtelny

lud, do politycznej zaprawiony walki, wiedziony przez możnowładców poróżnionych pomiędzy sobą, a zwalczających się nawzajem, już nie orężnem natarciem, lecz chytrą wymową i chytrzejszą zdradą—lud ten, powiadam, stracił cześć dla świeckiej i duchownej powagi, wśród narad publicznych szukał namiętnej zabawy, wrósł w pychę, najlepszych wysyłał na wygnanie, albo skazywał na śmierć, sam już publicznych nie chciał dźwigać ciężarów, najemnikom przekazał obowiązek orężnej służby; wśród rozpasanej swobody, mimo napomnień Demostenesa, albo Savonaroli, dojrzewał do wygodnej Macedońskiej, albo Hiszpańskiej niewoli. Możni ustępowali z męskiej widowni publicznego życia, z rynków, pokalanych przez ohydną zawiść zajadłych demagogów, cofali się do swoich, coraz wspanialszych pałaców, otaczając się dworem uczonych i pisarzy, szukając chwały i wyniesienia w tem, że wystawiali na widok publiczny dzieła coraz subtelniejszej sztuki. I tak zajaśniała za dni Filipa Macedońskiego, a potem znów za dni Ferdynanda Katolickiego, najpierw w Helladzie, a po wiekach wielu we Włoszech, sztuka, mistrzostwem swojem najdoskonalsza, jaką świat kiedykolwiek posiadł, w Grecyi — rzeźbiarska, w Italii późniejszej — malarska przeważnie. Tej-to sztuki misternem arcydziełem ów wielki posąg spiżowy, ścierający z nagiego ciała pot, za pomocą małego, tępego sierpa. Najpiękniejszy to może bronz starożytny, pośród tych, które dotąd wykopano; jest dziełem szkoły Praksytelesa, a spierają się o to, czy nie jest oryginałem wyszłym z pod dłóta mistrza? Mniemasz, że oddycha, że się rusza; wyobraża doskonały ideał męskiego ciała, a twarz ma wyraz szlachetny, choć czysto ludzki, ziemski tylko. Może równie doskonałym jest ten tu, w kącie ustawiony, fragment marmurowego posążka Artemidy, strzelającej z łuku, bez głowy, rąk i nóg, a przecie zachwycający harmonią niewieściego, nagiego ciała. A tu znów widzimy biust jakiegoś królika w koronie; portret człowieka niepięknego, a bystrego, żywy, indywidualny, charakterystyczny, wyszły podobno z pod dłóta samego Skopasa, zadziwiająca realistyczną prawdą przestroga, że już niebawem władza królewska nad wolnemi zapanuje rzeczamipospolitemi.

I zapanowała koniecznie! Musiała zapanować, aby stworzyć ład potężny, rozprzestrzenić cywilizacyę nad ogromnemi przestrzeniami i nad mnogiemi ludami, nie Greków, a później nie Włochów, nauczyć prawa i obowiązków obywatelskiego życia, misternej sztuki i głębokiej nauki. A artyści i znawcy w starej kolebie arcydzieł szukali rozkoszy w misternem dzieł pięknych wykonaniu, w lubości miłej i dramatycznym patosie. I oto patrzcie na te dwie płaskorzeźby, na których igrają dziecinne, prześliczne amorki, niby wyśnione przez

Corregia. Tu te dzieci lube, marmurowe, najpiękniejsze dzieci, jakie wydać mogła rzeźba, prawdziwe, rozfiglowane, skrzydlate chłopczyki, gonią zuchwale lwa; tu ładują na wóz upolowaną zwierzynę; chciałbyś się śmiać i chciałbyś je ucałować. A tu, patrz na tę dramatyczną głowę Hermesa, wyjętą niby z płótna Domenichina! Bóg właśnie zabił wroga swego, Argusa; jeszcze wspaniałym zieje gniewem!

Królowie zasiedli na tronach swoich otoczeni majestatem; etykiecie dworskiej wtóruje barok potężny, Rubensowski. W trzecim wieku przed Chrystusem, w siedemnastym po Chrystusie, lubują się dworscy rzeźbiarze teatralną okazałością ciał, miękkością okazałą muskułów pompatycznych, które się rozkładają tu, na tym męskim torsie pergamskiej, zapewne, szkoły; przecudną, lubo zdrową, pulchnością ciał dziecięcych, jak u tego, misternie kutego, choć mniej już pięknego niemowlęcia, broniącego kury przed jastrzębiem. Marmur ożył zapewne niegdyś pod dłótem rzeźbiarza z Rodu, a oto teraz dorobiono mu niezgrabnie jedną nogę.

Królowie i dworzanie zniewieścieli. Słuchali sielanek i oper, patrzyli na balety i w Aleksandryi Ptolemeuszów, i w Paryżu Ludwików; więcej z metresą w alkowie, niż z koniem na polu, przywykli bawić. Zamienili się w modną, wyłączną, zniewieściałą arystokracyę, żyli zasługą wojowniczych przodków, ze wzgardą patrzyli na lud, żartowali z jego wiary, budnarową ukochali sztukę. Patrzcie na tę przecudnie wykonaną, miniaturową grupę z bronzu, wyobrażającą Heraklesa w walce z centaurem! Gdybyście nie wiedzieli, że to starożytna robota z epoki Aleksandryjskiej, gotowiście uwierzyć, że macie przed sobą dowcipną robotę zręcznego Francuza, przeznaczoną do pokojów jakiegoś markiza wolteryanina. Ciało półboga, to żywe cacko, czujesz, jak śmiertelnie maczugą uderzy w poczwarę, którą chwycił za kopyto! Ale coś jest komicznego w pokonanej poczwarze, w przestrachu centaura. Znać, że rzeźbiarz nie wierzył w podanie, że w żart bohaterską obracał przygodę.

Klasy średnie licznych krajów, niezliczonych narodów, oświeconych już i cywilizowanych, oczytane w dziejach dawnych rzeczypospolitych, przywykłe deklamować o dawnej republikańskiej cnocie, zachwycone widokiem potęgi młodszych, arystokratyczniejszych jeszcze narodów, które rządziły się same, a nie ulegały biernie opiece dworu i biurokracyi — w starożytności Rzymian, za czasów nowożytnych Anglików — dały się opanować tęsknotom, zamarzyły o jakiejś wielkiej demokracyi, istniejącej nie już w tem, albo owem mieście, ale obejmującej całe narody, albo rzesze narodów, i wzięły się do rewolucyjnej roboty. Wszyscy wiemy, jak wyglądała przy końcu

osiemnastego i w dziewiętnastym wieku; a tu oto mamy przed sobą głowę marmurową poety, o twarzy ogolonej, marzyciela starożytnego, który z uniesieniem witał robotę Arata, albo Filopemena, obwołanie powrotu Greckiej wolności przez Rzymian, reformy Greków, albo rewolucyę Maryusza; cierpiał za dni swoich, a marzył o przyszłości, która się nie ziściła — bo chciał połączenia wolności, centralizacyi administracyjnej i demokracyi, a wolność bywa arystokratką i w autonomicznym lubuje się nieładzie — bo myślał, że rozbudziwszy lud do rewolucyjnego oporu przeciwko władzy przełożonej, że wznieciwszy w nim nieokreślone nadzieje jakiejś przyszłej, rajskiej, a powszechnej szczęśliwości, potrafi potem lud ten utrzymać pod przewodem klas oświeconych, a dostatnich. Tymczasem lud pragnął sam użyć owoców wielkiej rewolucyjnej zawieruchy; wszelką wyższość społeczną znienawidził zarówno, przełożył równość nad wolność, wzgardził ideałem wyniosłych cnót obywatelskich, a pożądał wolności, chyba tylko dla zabawy krzykliwej na wiecu, dla swobody oskarżania możniejszych; pożądał przedewszystkiem i nadewszystko chleba i głupich widowisk, albo widowisk sprośnych, i uznał wodza w Juliuszu Cezarze; obwołał powrót wieku złotego, z chwilą, kiedy August centralistyczny, kosmopolityczny, biurokratycznie opiekuńczy, na prawie i przepisie oparty absolutyzm ustanowił; przyklasnął z zapałem, kiedy Neron ścinał łby senatorów i uczonych, deptał po starem prawie, ujmującem namiętności w karby, bluźnił bogom i cnocie, okropnością bezbrzeżną motłoch cieszył. Oświeceni, kłaniając się w pokorze, kryli się w zaciszu domowem, pisali smutne księgi o upadku społeczeństwa, albo, pocieszając się sztuką niezrozumiałą dla gminu, usiłowali ją uczynić bardziej jeszcze niezrozumiałą, lubując się we własnym dekadansie, w uczonym archaiźmie i w dyletanckich dziwactwach, zwanych dziś powszechnie secesyą.

Napatrzyliśmy się na cudne wykopaliska, nasłuchaliśmy się wymownych wywodów profesora, i, wyszedłszy wreszcie z tak zwanej świątyni, usiedliśmy na ogrodowej ławie, w cieniu kwitnących kasztanów.

Wtedy-to odezwał się Kazimierz, mówiąc: — Widzieliśmy, istotnie, piękne rzeczy i przyznam się, że — nie bywszy, co prawda, ani we Włoszech, ani w Grecyi — nie miałem wpierw wyobrażenia, aby rzeźba tak potężnie działać mogła. Ale zwroty pańskiego wykładu, panie profesorze, zastanowiły mnie nie mało. Porównywałeś pan nieustannie starożytność z czasami chrześciańskiemi; mówiłeś pan tak, jakby się te same, czy takie same epoki powtarzały regularnie, jakby się dzieje toczyły w koło, porwane jakąś rozpaczliwą kołowa-

cizną, z której wyjścia niema, jakby się wszystko na świecie wiecznie wracało i, jakbyśmy się teraz wracali do epoki Rzymskich Cezarów, jakbyśmy się mogli bezpośrednio obawiać Neronów, a w niedalekiej może przyszłości upadku cywilizacyi, napadu barbarzyńców, powrotu feodalnej brutalności i anarchicznej przemocy, a ciemnego przesądu. Czy zrozumiałem pana dobrze?

— Istotnie, — odpowiedział profesor: — przypatrując się dokładnie klasycznej starożytności, a znając dzieje narodów nowożytnych, przyszedłem oddawna do przekonania, że wszystko się powtarza, jeśli nie mamy na myśli niezliczenie rozmaitych szczegółów, a patrzymy tylko na ogólne znamiona czasów. Mógłbym się nad tem szeroko rozwodzić; wskazałem, jak podobne okresy sztuki powtórzyły się dwa razy, towarzysząc podobnym okresom życia społeczeństw i narodów, i na tem dziś poprzestanę, nie mając czasu na długą rozmowę i nie wiedząc, czyby ta rozmowa panów nie znudziła. Ale skoro pan się pytasz, czyś mnie zrozumiał? — odpowiem tyle. Dzieje starożytne, podobnie jak nowożytne, ulegały zarówno prawu ustawicznego rozszerzania się demokracyi; a nie mam tu na myśli demokracyi politycznej, jako to głosowania powszechnego, albo zgoła republikańskiej formy rządu, bo panowanie takiej demokracyi bywa przypadkiem w dziejach, nastaje tam, gdzie bywa formą rządu konieczną, czy też stosowną, a przemija, skoro się znów stanie niemożebną; mam na myśli demokracyę społeczną i umysłową, to jest mam to na myśli, że coraz ogromniejsze rzesze ludzi występują coraz bardziej na pierwszy plan dziejów, coraz bardziej zwracają na siebie uwagę rządów, coraz większego pożądają dobrobytu, coraz większej domagają się oświaty i osiągając stopniowo to, do czego dążą, dostępują coraz większej równości z tymi, którzy na czele społeczeństwa stanęli. W miarę postępu tej demokracyi, wyższy, oświeceńszy, majętniejszy, przestaje uważać ubogiego prostaka za istotę innego gatunku, istotnie gorszą od siebie, uznaje w nim człowieka, dba o jego dobro, albo, co najmniej, liczy się z nim; prostak coraz mniej uznaje panowanie powag społecznych, coraz bardziej chce sam o wszystkiem sądzić; narzuca drugim to, co mniema być swojem zdaniem, choć to bywa często tylko niedorzecznym a zgubnym podszeptem podchlebcy rzeszy. Prawo postępu takiej, powiadam, demokracyi, rządziło dziejami starożytnemi, rządzi znowu dziejami nowożytnemi narodów europejskich, a każdej fazie rozwoju towarzyszą podobne zjawiska, we wszystkich dziedzinach politycznego i społecznego życia narodów. Sądząc po tem, co było, spodziewam się, że przychodzimy do czasów, w których demokracya w zachodniej Euro-

pie wszelką wolność zabije, i w których tylko rządy jawnie absolutne, albo pozornie konstytucyjne, ale w istocie swojej osobiste i dyktatorskie, będą mogły utrzymać namiętnie przez wszystkich pożądany porządek, a równocześnie przeprowadzić, bez zbytnich wstrząśnień, wielkie społeczne reformy, których się dalszy postęp demokracyi domaga.

— A potem, — spytał Kazimierz — obróci się kółko do reszty, staniemy tam, gdzieśmy byli za Hunnów i Gotów, zjawią się barbarzyńcy i wróci się ciemnota średniowieczna?

Profesor odrzekł: — Nie jestem prorokiem i tak dalekiej nie mogę przewidzieć przyszłości. Nastanie kiedyś koniec nowożytnej cywilizacyi, ale do tego bardzo daleko, a nikt nie przewidzi, jakie okoliczności tę dobę przyszłego kiedyś przełomu tak zabarwią sobą, iż nikt nie pozna, jako to powtarzają się czasy Gotów i Hunnów, jako to jakieś nowe nastają Średnie Wieki. Zresztą o tem musiał-bym mówić nadto długo. Ale to powiedzieć muszę, że koło dziejów toczy się wprawdzie dokoła swej osi, ale bynajmniej przeto na miejscu nie stoi, i owszem, toczy się naprzód w wyraźnie oznaczonym kierunku. Życie narodów i całych cywilizacyi można słusznie przyrównać do życia pojedyńczych ludzi i ludzkich pokoleń. Wszakżeż wszystko na świecie toczy się w kółko, a jednak posuwa się naprzód. Następują po sobie poranek, południe, wieczór, noc i znów poranek, a jednak pory roku zmieniają się, koleją dni. Wracają się ustawicznie pory roku, zawsze te same, ale żywot ludzki idzie naprzód, koleją lat: po dzieciństwie przychodzi młodość, po młodości wiek męski, starość i śmierć; wczorajsze dziecko wychowuje dzieci — potem na ręku wnuki piastuje; wczorajsza panna młoda już córkę za mąż wydaje. A jednak pośród jednostajnego przebiegu życia ludzkiego, postępują dzieje narodów swoją przeznaczoną koleją. Podobnież powstają i giną cywilizacye, a ludzkość ustawicznie do swego dąży celu.

— A jakiż to cel? — spytał znów Kazimierz.

— Celu ostatecznego nie znam, — odrzekł profesor — ale wiem, że droga do niego przez coraz większą prowadzi demokracyę. Cały przebieg dziejów chrześciańskiego świata jest bez wszelkiego porównania demokratyczniejszy od przebiegu dziejów starożytnych, bo u końca tamtych zjawiło się Chrześcijaństwo, ogłosiło równość i braterstwo wszystkich narodów i wszystkich ludzi i pchnęło świat naprzód, w ową dziedzinę, w której niewola stała się niepodobieństwem, w której równość wobec prawa musiała się kiedyś stać koniecznością. Chrześciaństwo będzie dalej ustawicznie popierało rozwój demokracyi, póki narodów i ludzi do istotnego nie doprowadzi braterstwa.

IV.

Profesor pożegnał się z nami, a że piękna była pogoda, namówiłem obydwu młodzieńców, Henryka i Kazimierza, aby ze mną tramwajem elektrycznym do Schönbrunu pojechali. Godzina była jeszcze wczesna, dzień był powszedni, więc wozy nie były przepełnione; mogliśmy sobie zasiąść razem i wygodnie, mogliśmy swobodnie prowadzić rozmowę.

Henryka, zwolennika Nietzschego, niecierpliwiły wywody profesora; nie mógł ich strawić. Nie ujechaliśmy kilku minut drogi, jak zawołał:

— Niech dyabli biorą tego profesora z jego demokracyą! Chce nam wyperswadować, że ludzkość musi tak koniecznie na psy zejść, jak ołów koniecznie na ziemię pada, skoro go z rąk wypuścisz. Ładny mi to ideał, abyśmy się wszyscy stali, w najlepszym razie, konduktorami tramwajowymi, albo ulicę zamiatali, jak ów tam stary obywatel, który, z miotłą w ręku, w poszarganej odzieży, spełnia konieczne takie w demokracyi funkcye municypalne! Chce mu się, aby zabawą przyszłych pokoleń powszechną było gadanie o plotkach, przy taniem piwie i paleniu taniego tytoniu; aby nasi wnukowie, bez wyjątku, chodzili na zgromadzenia ludowe słuchać banialuków i demonstrować; służyli jako prości żołnierze i dostawali od podoficerów w twarz; buty ludziom wycierali, patrzyli im potem pokornie w oczy, dostali na piwo i wreszcie w rękę pocałowali, albo cały dzień stali za ladą, sprzedawali słoninę i oszukiwali na wadze, a marzyli, jako o najśmielszej karyerze, że będą płatniczymi w traktyernii i że, wysłużywszy się przez lat dwadzieścia brzuchowi i sprośnym chuciom gości, nazbierają wreszcie tyle miedziaków, iż na starość kupią kamienicę. Chce koniecznie, aby nasze córki szpeciły sobie ręce praniem, albo traciły wzrok, szyjąc po nocach, słuchały potem wyrzekań pijanego męża, wracającego z knajpy, dawały się za młodu szczypać chłopcom w policzek, a na starość nosiły wodę, albo wapno; chce może, aby szły za mąż na próbę, obyczajem tutejszego kochanego ludu, wiedziały od dzieciństwa o wszystkiem, o czem dziewczę wiedzieć nie powinno, w mieście okna myły, a na wsi latem w otwartej sypiały stodole; aby szczytnym dla nich ideałem była baletnica, podrygująca nogami w obliczu tysiąca męskich lornetek i dostająca w prezencie brylanty od starego bankiera, żyda, którego musi udawać że kocha, a którego oszukuje z forysiem porucznika od konnicy! Lubię takiego uczonego demokratę! Dla niego wzniosłym ideałem, aby wszyscy

ludzie stracili samodzielność i charakter, zapomnieli o przodkach swoich i zapewne kiedyś pozamieniali imiona i nazwiska na numera. Mają być owcami, karmionemi i strzyżonemi w dużej owczarni dobra publicznego; a strzydz ich będzie oszust bluźniący, że jest wykonawcą prawa, albo może kapłanem bóstwa miłującego zarówno niedołęgę i najdzielniejszego człowieka. Kiedy taki demokrata ma widzenie doskonałej kiedyś dziejowej przyszłości, widzi przed sobą samych ludzi, całkiem podobnych do siebie, wylanych z jednej formy, szczytnie ludowych! Wszyscy mają wielkie, sterczące uszy, nos rozpłatany, gębę wyciętą od ucha do ucha, a w niej żółte zęby. A potem forma snu się zmienia, i zdaje się demokracie, że widzi, jako przyszli ludzie są tłumokami i że te tłumoki pakuje bezosobiste państwo do towarowego wozu społecznej równości!

Kazimierz poczerwieniał, słuchając mowy przyjaciela; oburzała go, gniewała, to też odparł prawie opryskliwie:

— A ty chcesz, zapewne, żeby wszyscy ludzie w przyszłości — albo przynajmniej twoi potomkowie, byli hrabiami, albo książętami, golili wąs na podobieństwo swoich lokai, nosili szkiełko w oku, choć widzą dobrze, ubierali się drogo u pierwszego krawca, godzinami krawat przed zwierciadłem wiązali, sami się własnemi końmi po mieście wozili, jadali ostrygi i pasztet strasburski, pijali szampana, nie pytając skąd rachunek zapłacą, przesypiali dzień biały a noc przesiadywali w klubie przy bakaracie, albo za kulisami przy aktorkach; bez pamięci robili długi a ratowali się fałszując weksle, albo w najlepszym razie, żeniąc się z bogatemi herytyerkami i utrzymując metresę za pieniądze żony. Chcesz, aby wszystkie kobiety, a przynajmniej twoje wnuczki, były nieporadnemi lalkami, paplacającemi po francusku i grającemi bezmyślnie na fortepianie, jeżdżącemi po kąpielach, nie znającemi ludzkiej prawdy, nie współczującemi z milionami bliźnich, dla których całym światem — salon, a ludzkością grono bogatych próżniaków; istotami pobożnemi z mody, a mieniącemi Boga stróżem swoich wygód i przywilejów; za młodu elegantkami, wydającemi na jedną suknię, noszoną przez jeden wieczór majątek, który-by wystarczył na to aby dziesięć ubogich dziewcząt ochronić od hańby; a na starość — intrygantkami, pieszczącemi pieska dla pociechy, a dla zabawy rozsiewającemi między znajomych niezgodę i nieszczęście. Chcesz, aby młode pokolenia wyrastały w domu bogatych rodziców z przeświadczeniem, że próżniactwo i nieuctwo ich obowiązkiem, że praca, że nauka, że myśl poważna były-by dla nich poniżeniem; chcesz, aby głupio traciły majątek, na który nie zapracowały, a potem hulały dalej i gardziły dalej zasługą, wysługując się za grubą nagrodę milionowemu żydowi — lichwiarzowi ary-

stokratycznej niecnoty, która połączona z jego bezwstydną chciwością, dopiero okropną wytworzy szkaradę. Chcesz tego. Więc winszuję tobie, arystokrato!

Henryk, wysłuchawszy tę apostrofę przyjaciela, aż rzucił się z niecierpliwości. Zawołał:

— Ależ-to wszystko, coś teraz opisał, czem się brzydzę tak, jak ty się brzydzisz, nie jest bynajmniej arystokracyą, nic z arystokracyą nie ma wspólnego. To nikczemna plutokracya, arystokracyi prawdziwej przeciwieństwo; to wrzód, który się tworzy na ciele demokracyi, skoro się ze wszystkiem arystokratycznego, czyli mówiąc po polsku, szlachetnego pozbędzie pierwiastku. Bo czemże ta twoja demokracya? Czem-że się jawi? Jakże-ż działa? Przedewszystkiem wszelkiej wyższości nienawidzi, to co szlachetne poniża, pcha pod jeden mierności i nikczemności strychulec. Demokratką była królewskość Ludwika XIV i Filipa II; bała się u ludzi samodzielności, wielkoduszności, będącej znamieniem prawdziwego szlachectwa, odznaczała ludzi którzy umieli się poniżać i którzy umieli czekać u króla w przedpokoju, dla których najwyższym zaszczytem było podać królowi pantofle, albo nocną koszulę; szczytem szczęścia było odstąpić królowi żonę na nieślubną kochankę; wmawiała w świat, że wyższością społeczną, jest rozrzutność bezmyślna ludzi zadłużających się, aby żyć marnie wśród martwych salonów i bardziej martwych szpalerów ogrodowych, aby się stroić jak papuga, kłaniać i podrygiwać jak uczona małpa, objadać się i opijać rzeczami niszczącemi zdrowie, barwę ciała zakrywać farbą, barwę włosów zasypywać pudrem, postać ludzką w jakieś modne zamieniać czupiradło; z wielkiego pana, z wodza, z ministra śmiesznego zrobić fagasa! Potem przyszła rewolucya i poszła o krok dalej, konsekwentnie stąpając po tej samej drodze. Jeśli wśród dzisiejszej demokracyi wielkość i zasługa nie są wyraźnie zakazane, nie masz dla nich żadnej istotnej nagrody; a to się zakazowi prawie równa, jak nawet ty, demokrata, zrozumieć musisz, skoro wspomnisz że trud wielkości i zasługi trawi ludzkie życie, że jeśli ludzie mają się rwać do zasługi, trzeba, aby im za to przyznano władzę i poważanie; nietylko dla nich samych, ale także dla potomków, dopóki ci się nie staną niegodnymi przodków i ponad zuchwały, ofiarny honor podłego zysku nie wyniosą. Dziś, w demokracyi, głupi stróż kamieniczny i syn złodzieja mają takie same prawa i taki sam wpływ na sprawy państwa, jak uczony, który życie przetrawił na księgach, jak syn bohatera poległego na polu chwały, wychowany w tradycyi honoru i poświęceń, a we wzgardzie dla błyskotek, dla wygód i marnej mamony. Jedna tylko rzecz daje wyższość, władzę, poważanie, znaczenie w społeczeństwie

dziedziczne; jedna tylko rzecz sprawia, że się kłaniają starcowi, że się starają o przyjaźń jego dzieci, o związki z jego rodziną; jedna rzecz może potomkom ułatwić życie; a tą jedyną rzeczą — majątek, byle jak nabyty, choćby majątek po zdrajcy i złodzieju odziedziczony, byle ludzie o nim wiedzieli. A przeto w demokracyi ludzie, zaniechawszy honoru, wzgardziwszy poświęceniem jako głupstwem, gonią jedynie a nieustannie za majątkiem, a silą się na udawanie majątku, na najniedorzeczniejsze zbytki i zdrożne próżnowanie, będące uwierzytelnieniem majątku, a zastępujące dziś i własną i przodków zasługę.

Kazimierz, wysłuchawszy, już nieco spokojniej odparł: — Jeżeli ty przeczysz, aby stan dzisiejszy społeczeństwa był arystokratyczny, jeśli miana arystokratów nie chcesz przyznać dzisiejszej „śmietance“, bogaczom dzisiejszym, choćby nawet mieli tytuły szlacheckie i byli potomkami dawnych bohaterów; pozwól, abym równem, a może lepszem prawem przeczył temu, aby dzisiejsza plutokracya — bo przyznaję, że żyjemy w plutokratycznem społeczeństwie — była istotną demokracyą. Tak, jak ty, powiem: nic nie ma wspólnego z moim ideałem! Zaszliśmy na manowce, dążąc do celu, jakim jest demokracya prawdziwa. W prawdziwej demokracyi będą gardzili takimi ludźmi, jak ci, którzy się teraz mają za śmietankę, a są szumowinami. Szacunek u ludzi, wpływ na sprawy publiczne, poważanie i znaczenie dostaną się jedynie istotnej, osobistej, rozumnej i ofiarnej zasłudze, którą powszechnie wykształcone społeczeństwo niechybnie rozpoznać potrafi. Nie będzie śmiesznych pyszałków, chlubiących się od razu własną nikczemnością i zasługą przodków; bogaci rodzice nie będą dzieci swoich wychowywać na niedołęgów, godnych tylko gonić za czczem używaniem, a niezdolnych do szczęścia; wszyscy ludzie będą wiedzieli, że ich stanowisko, ich godność, ich znaczenie, będą jedynie zależne od ich własnej, osobistej pracy i zasługi, od tego, o ile stali się pożytecznymi społeczeństwu, a tem samem samolubstwo nawet będzie zmuszać do bezinteresownej cnoty i poświęcenia.

— Utopijny skreśliłeś obrazek, kochany Kazimierzu — odparł Henryk—a najważniejszym jego błędem jest to, że na to aby mógł się stać prawdopodobnym, potrzeba-by radykalnej, niemożliwej przemiany natury ludzkiej; trzeba z niej wykorzenić najpotężniejsze instynkta, najwszechwładniejsze namiętności, które dotąd człowieka znamionowały. Nastanie twojej doskonałej demokracyi jest rzeczą tak prawdopodobną, jak to, że ludziom kiedyś wyrosną jaskółcze skrzydła, które na starych obrazach widujemy u aniołów. Hal być może, że kiedyś *homo sapiens* zamieni się w jakiś inny, doskonalszy gatunek zwierzęcia dwurącznego; ale na to, aby to się stać mogło, wskutek

walki o byt i doboru płciowego, trzeba diablo długiego czasu — może marnego miliona wieków. Tymczasem będą ludzie zwierzętami bardzo przemyślnemi, bardzo chytremi i bardzo złośliwemi, nieuleczalnymi samolubami, którzy nie potrafią myśleć o czem innem, niż o używaniu, o zarobku i zysku, a potrafią co najwięcej udawać i kłamać, jakoby byli szlachetnymi, jakoby myśleli o czemś innem, naprzykład o zasłudze, o społeczeństwie, o tem co piękne i dobre! Wśród stu tysięcy pełzających, kłamliwych, złośliwych ludzi, narodzi się jeden może bohater zakochany w cnocie i we własnej działalności a gardzący tem wszystkiem czego drudzy pożądają, i prawem przyrodzonej dziedziczności, a może także wpływem wychowania, przekaże potomstwu choć część jakąś swoich zalet; ale to będzie właśnie arystokrata i założyciel rodu arystokratów, a o ile wyższością swoją podłej trzody ludzkiej nie podbije, o ile się dla niej nie stanie czemś niedostępnie wyższem, zostanie wnet rozszarpany przez tłum obrzydły, przez demokracyę nienawidzącą bohaterów, tak jak wrony krakające orła nienawidzą. Ustanów jakie chcesz pomiędzy ludźmi prawa, zadekretuj równość, nakaż zasługę, a będą nikczemnicy udawali że tobie są posłuszni, użyją nawet ustaw jako stryczka, którym każdego zacniejszego uduszą; ale sami będą pilnie prawo omijać, za własną korzyścią gonić, myśleć o brzuchu i próżnej przechwałce, jedni drugim na kark będą wyłazili, będą się gryźli nawzajem, jak głodne szczury; zawsze skończy się na tem, że najnikczemniejsi zapanują, skoro prawo demokratyczne nie dopuści panowania szlachetnych, i skończy się na wszechmocy kłamstwa i nikczemności, na wzajemnym wyzysku, na ohydnej plutokracyi! Świadczą o tem całe dzieje. Pokaż mi gdzieś na ziemi, gdzieś w przeszłości, albo w teraźniejszości, jakąś demokracyę, która-by się nie była zamieniła w panowanie samolubów wzbogaconych przewrotnością. Nie pomogły nigdy najsroższe prawa, zabraniające zbytku i widocznego bogactwa. W chłopskiej demokracyi komunistycznej prawie gminy nie przeszkodziła temu nigdy żadna *lex agraria*, aby kasta bezlitośnych chłopskich lichwiarzy nie pastwiła się nad ludnością. Przekupstwo rządziło Atenami, Rzymem starożytnym, Florencyą, aż wreszcie lichwiarze Medyceusze Florencyę na własność kupili. Mimo teroryzmu Jakobinów, zachwalających spartańską cnotę, mimo konfiskat Konwentu i panowania nieustającej gilotyny, popadła rewolucyjna Francya w ręce nieuczciwych finansistów, jest dziś w niewoli u żydowskich miliarderów, a Stanami Zjednoczonemi rządzi bezwstydna spółka bezczelnych kapitalistów. Pokaż mi jedną demokracyę, w której-by rządziły cnota i zasługa, a złożę broń, wdzieję czapkę frygijską i będę wołał na całe gardło: *Liberté, égalité, fraternité!*

Głupstwem jest twierdzenie, że początkiem szlachty bywa zawsze przemoc i podbój, że początkiem religii szlachetnych na prawdę narodów bywa zawsze niegodne oszustwo, w które sami nie wierzą oszuści? Czyż tego nie pojmujesz, że skoro się zjawią wśród szarego gminu rody, z istoty swej, że tak rzekę przyrodniczo doskonalsze, synowie bogów, bohaterowie, nadludzie, że skoro staną pośród motłochu śniadych karłów płowe szlachetne olbrzymy, zapanują nad rzeszą nikczemną bez gwałtu i zdrady, koniecznie, tak jak człowiek panuje nad bydłem? Zapanują, a panując stają się narodu dobrodziejami; z trzody ludzkiej zrobią dopiero naród, nauczą go porządnej pracy, pobudują dlań domy, nauczą uprawiać rolę, ustanowią sądy, które wieczne małpie ukoją niesnaski; jako łowcy wielcy przed Panem wytępią drapieżnego zwierza, jako wojownicy odpędzą drapieżniejszego ludzkiego sąsiada i zmuszą do pracy dla dobra narodu dzicz ludożerczą, która wpierw ten naród sprośnie zjadała. Ludziska niedołężne, które żyły wpierw na wzór zwierzyny, ukrywając się po pieczarach, wyszły teraz na świat boży i pokłoniły się dobroczyńcom swoim, jako istotom nadprzyrodzonym; służyły im odtąd dobrowolnie, wykonywając roboty powszednie, bezmyślne, ciężkie i nużące, ale bezpieczne, słuchając chętnie rozkazów, przyjmując wdzięcznie nałożone na winowajców kary, mnożąc się i rozrastając. A gdzie trzeba było narazić życie, lub zdrowie, gdzie trzeba było wytężyć myśl, tam stawali za lud przyrodzeni ludu wodzowie; wierzyli w swoją wyższość, w swoje nadludzkie pochodzenie, tak, jak się wierzy w oczywistą prawdę, a duchem, bujającym wysoko ponad ziemią, sami jedni myśleli o czem innem, niż o wygodzie, o jedzeniu i spaniu; miewali widzenia nadziemskiej piękności, i w postaciach, które się wtedy jawiły oczom ich wyobraźni, witali bogów nieśmiertelnych, przodków swoich, utwierdzicieli ich władzy nad narodem; na chwałę tych bogów stworzyli pieśń i sztukę, a później filozofię, zaglądającą śmiało w świat wiecznie niezbadany; wspaniałe ustanowili obrzędy, dźwignęli świątynie, wykuli posągi i wymalowali obrazy na podobiznę nieśmiertelnych, wiecznie młodych i pięknych; spisali poemata i księgi, pełne dla nich tylko dostępnej mądrości; a nie ich winą to było, jeżeli gmin, który tych spraw nie pojmował zgoła, naśladował je tak, jak małpa ludzkie naśladuje czyny i, z czasem, ze wszystkich rzeczy tych górnych a świętych, z religii i sztuki, z cnoty i mądrości porobił rzeczy martwe, chińszczyznę bezduszną, pełną niedorzecznych formułek, przesądu i zabobonu!

Na tem się skończył dyskurs ciekawy, bo dojechaliśmy do naszego celu i musieliśmy wysiadać z tramwajowego wozu.

V.

Zjadłszy obiad w ogródku traktyerni, poszliśmy zrazu prosto do cesarskiej menażeryi; dużo czasu spędziliśmy w niezrównanej ptaszarni, podziwiając hojność twórczą przyrody, która tak cudownemi a rozmaitemi barwami, w krajach ukochanych przez słońce, ustroiła drobne a zwinne ciałka powietrznych latawców, tak różnorodne głosy i nuty włożyła w ich drobne dzióbki. Zatrzymaliśmy się potem, przez chwilę, przed ogromnemi słoniami, przed żyrafami o niezmiernie długiej szyi; cieszyliśmy się nieco dłużej majestatyczną siłą lwów grzywiastych, drapieżną tygrysów pięknością; siedzieliśmy najdłużej przed ogromną klatką, w której mnogie małpy swoje figle wyprawiały. Wiem, że są ludzie, którzy się na małpy niechętnie patrzą; rażą ich te ludzkości sowizdrzały, te karykatury żywe, które się wydają nieudałym człowieka szkicem, sprośnemi niedoludkami i które, jak wszystko, co się nie udało, są stanowczo brzydkie; upokarza ich widok zwierząt, które mają ręce, uszy, a nadewszystko oczy takie same, jak my, a z których oczu wyglądają ludzkie, niższe żądze, których ruchy i czyny przypominają ludzkie namiętności i śmieszności; czują, że te małpy naprawdę do nas podobne, że natura nam się małpami wydrzeźnia, i odwracają się ze wstrętem i oburzeniem od małp widoku, jako od osobistej obrazy. Ja zaś jestem tego samego zdania, co dzieci: bawię się niezmiernie, patrząc na małpy; śmieszą mnie ich psoty; cieszę się, żem przecie coś trochę więcej wart od zwykłej małpy — choć, w gruncie rzeczy, jestem tak bardzo niewiele wart, a podziwiam przytem niezmierną zwinność tych istot, w porównaniu z którą zuchwałe sztuki cyrkowych akrobatów rażą wymuszoną widocznie pedanteryą. Wyprawiają karkołomne skoki, jedną łapą wiszą na cienkim drążku, siedzą wygodnie na pręcie nad przepaścią, i ani na myśl im nie wpadnie, żeby to była rzecz zuchwała i trudna; wyprawiają bajeczną gimnastykę tak naturalnie, jak nasze dzieci biegają po ziemi, a przytem płatają ustawiczne figle i psoty; jedna drugą za długi ogon łapie, jedna drugą z rozmachem w pyszczek uderzy, całkiem tak, jak gdyby była posłem na skrajnej lewicy wiedeńskiego parlamentu.

Nadszedł stróż menażeryjny, i przez kraty klatki rzucił małpom na żer owoce i orzechy. Odrazu zbiegł się czwororęczny naród na podłogę klatki, mrucząc, chychocząc, gwarząc, krzycząc chrapli-

wie; zapomniał o pustej zabawie i rwał się do jadła — całkiem tak jak ludzie, całe prawie życie o tem tylko myślą i myśleć muszą, jakby się najeść mogli. Jedna małpa drugą samolubnie odpycha; pobiją się, potłuką, a potem żrą, aż z pomiędzy zębów wyrywają sobie jadło, piszczą, mruczą. Matka małpia dzieciom nie pobłażała, chcąc się sama najeść łakomie, a dzieci ukradkiem matce orzechy z pomiędzy łap wykradały; każda małpa pchała sobie do gęby więcej, niżeli zjeść mogła.

— Patrzaj, Kazimierzu! — zawołał Henryk — patrzaj, a ciesz się! Oto masz przed sobą widok twojej przyszłej demokracyi! Tak ludzie wyglądać będą, gdy wszelką wyższość wygonią z pośrodka siebie!

Był w klatce także duży pawian; siedział opodal na suchej gałęzi, a mogło się zdawać, że wzgardził wspaniale nikczemną walką o żer; w tylnych łapach trzymał małą małpeczkę, która, nieświadoma widocznie zaszczytu, jaki ją spotkał, piszczała, chciała się wyrwać do orzechów. Daremne były wysilenia plebejskiej niewdzięczności; pawian trzymał i nie puszczał; przedniemi łapkami raczył przebierać w sierści swego poddanego, raczył tam czegoś szukać; dobroczynnie zajmował się małpeczką; polował na niej na owady; a przyczyną stotną tej wspaniałomyślnej zabawy była ta okoliczność, że owady, wychowane na ciele bliźniego, to dla małpy przysmak najprzedniejszy. Raptem sprzykrzyły się łowy pawianowi; brankę swoją zrzucił wzgardliwie na ziemię, sam na ziemię zeskoczył i pobiegł ku orzechom; pozgrzytał zębami, pogroził łapą, a drobny naród małpi rozbiegł się, piszcząc ze strachu; duży pawian sam został na placu, sam dla siebie całą zabrał strawę.

— Patrzaj, Henryku! - zawołał Kazimierz. — Patrzaj a podziwiaj! Oto zjawił się przed nami twój nad-człowiek, twój arystokrata, przyrodzony pan motłochu, wyższy nad krępujące prawa moralności!

Wyszliśmy wreszcie z menażeryi; zaszliśmy do części ogrodu, otaczającej wspaniałą palmiarnię, potężny, wysoki pałac ze szkła i żelaza. Ta strona parku, trzymana swobodnie, na sposób zwany angielskim; ponad demokracyą równo strzyżonych traw, tworzących pulchną, zieloną murawę, wznosi się dumnie arystokracya drzew; drzewa tworzą ślicznie zaokrąglone kląby, a gdzieniegdzie odbija się, na urozmaiconej konarów zieleni, duża, purpurowa plama krwawego buku.

Siedliśmy gdzieś w cieniu, na ławce, a ja zagaiłem dalszą rozmowę. Rzekłem: — Po drodze spieraliście się o demokracyę i arystokracyę — mało-żeście się nie pokłócili. Nikt nikogo nie przekonał; spór pozostał nie rozstrzygnięty, jak to zwykle przy podobnych

dyskusyach bywa, a to może dla tego, że arystokracya, jak i demokracya, mają swoje zalety i swoje wady, że żadnej z nich stanowczej wyższości nad drugą przyznać nie można, że każda z nich bywa w swoim czasie pożyteczną, albo zgoła konieczną, o innej znów porze szkodliwą, albo wcale niemożliwą. Może pożyteczniejszem-by to było, gdybyśmy się zajęli pytaniem: kiedy z natury rzeczy przybiera społeczeństwo nastrój demokratyczny, a kiedy arystokratyczny? — i czem można te kolejne wytłómaczyć przemiany?

— To jest, — przerwał Henryk — mamy sobie zdać sprawę z tego, jakie prawa natury sprawiają, że demokracya ostatecznie zwycięża? Dlaczego czas zawsze wreszcie wspaniałe góry z jednostajnemi, poziomemi płaszczyznami zrówna? Dlaczego to, co małe i marne zawsze wreszcie pokona i pożre to, co wyniosłe i piękne, tak jak rdza toczy żelazo?

Spytałem się zdziwiony: — I to pan tak mówisz, panie Henryku? Czyż i pan dałeś się przekonać o koniecznem demokracyi zwycięstwie?

Henryk odpowiedział: — Trudno temu przeczyć, co oczywiste; powódź demokratyczna zalewa ląd cały: wzbiera przez wieki, nie pohamowana niczem. Przyczyny tego nie należy chyba szukać w prawach matematyki, lub astronomii. Nie dla tego tak jest, ponieważ tak w gwiazdach napisano. Błądzimy także, szukając tłómaczenia zjawisk społecznych w prawach meteorologicznych, bo natura klimatów i następstwo pór roku są od wielu wieków jednakowe, a zdarzenia historyczne i stosunki społeczne zmieniają się ustawicznie. Chcąc myśleć trzeźwo a rzeczywiście naukowo, trzeba szukać przyczyn rozwoju dziejów w naturze ludzkiej, trzeba myśleć, że jest w nas pochyłość ku poziomej mierności, po której ludzkość stacza się ustawicznie na jeden nikczemny poziom, na którym nie warto żyć; że jest w nas propenzya do pracy i niewolniczej nikczemności nieprzemożona, że podniesienie się ponad ten poziom jest wysiłkiem przeciwnym naturze ludzkiej, wyczerpującym, po którym powrót na zwyczajny poziom ludzkiej trzody musi, po krótszym lub dłuższym czasie, nastąpić. Przy tem trzeba przypuścić, że warunki, wśród których mogą powstać wyższe, bohaterskie indywidua i swoje właściwości przekazać potomkom, stają się coraz rzadszemi i że przeto, z tak zwanym postępem cywilizacyi, stare rody półbogów są skazane na wymarcie, a nowe powstać nie mogą.

Można się słusznie zapatrywać na rzecz ze stanowiska fizyologicznego, przyrodniczego. Rasa szlachetna ludzi może tylko powstać w niektórych, wyjątkowych klimatach, zapewne na wyniosłych płaskowzgórzach stref ciepłych i zapewne tylko przy rzadkiem zaludnie-

niu, obfitem pożywieniu, uwalniającem od przemożnej troski o chleb, i to pośród pasterzy twardych, obcujących ustawicznie z przyrodą, wystawionych na różne przygody i niebezpieczeństwa. Gdy raz, w tych coraz rzadszych dziś okolicznościach, powstanie wyjątkowy ród ludzi szlachetnych, zapanuje najpierw nad okolicznemi plemionami, wnet świat podbije dokoła; ale raz zapanowawszy, nie może swych właściwości przechować przez nieograniczoną ilość pokoleń. Musi się zdarzyć jedno z dwojga. Jeśli szlachetni nieszlachetne pojmują żony, znikczemnieje ich rasa, w krótkim czasie same będą broniaki w ludzkiej stadninie, i nie będzie ani słusznego powodu, ani podobieństwa używać jednych pod wierzch, a drugich do pługa. Albo — jakto zwyczajnie bywa — rody szlachetne, słusznym wiedzione samozachowawczym instynktem, utworzą zamkniętą kastę, tylko z pośrodka siebie żony brać będą. Ale wtedy nastanie zjawisko, koniarzom dobrze znane — nie od razu, ale po wielu pokoleniach — rasa się przesili, stanie się zanadto szlachetną; zachowa nerwową swoją wrażliwość i szlachetność zewnętrzną, ale straci na sile i wytrwałości; zniewieścieje, nie zdoła już swojego utrzymać panowania i ulegnie pierwszemu buntowi pospólstwa, które się pastwić będzie niezawodnie nad pokonaną szlachtą, dając folgę zwierzęcym instynktom. A wygody, w których żyć będą późniejsze szlacheckie pokolenia, przyśpieszą to przesilenie i tę zgubę szlachetniejszej rasy ludzi.

Można w gruncie to samo także psychologicznie uzasadnić, jakto uczynił gdzieś Platon, w swojej podobno Rzeczypospolitej. Rodzi się człowiek pański i, władnąc zarówno sobą, jak drugimi, po bohatersku ród możny założy. Syn jego już przez pochlebców otoczony, nieświadom ojcowskich wysiłków, będzie wierzył, że panowanie darem nieba, na który nie trzeba zasłużyć i zasługiwać ustawicznie; zapatrzony sam w siebie, stanie się dla otoczenia, a wreszcie i dla siebie nieznośnym; w wyniosłej samotności wychowywać będzie dzieci swoje. Wnuk pańskość swoją poczuje jako niewolę; uciekając przed samotnością, spoufali się z gminem; przyzwyczajony do tego, że każda jego zachcianka bywa wnet spełnioną, utraci siłę i stałość woli, więc między gmin wpadnie, z gminem się zmiesza; nastanie demokracya, której sam będzie twórcą, a w niej zapanują same przeróżne a nieokiełzane chucie. Od anarchii wyratuje świat tylko niewola, wspólna dla szlachetnych i dla pospólstwa, nie już pod panowaniem bohatera, lecz pod jarzmem martwej, papierowej recepty, zwanej pisaną ustawą.

Na tem skończył Henryk swoje wywody. Teraz podjął rzecz Kazimierz w te słowa:—Wygłosiłeś, Henryku, teoryę pessymistyczną, przykrojoną modnie, że tak rzekę, po secessyjnemu, ale użyłeś do

niej bardzo dawnych motywów, bo już starożytność, podobnie jak ty, szukała gdzieś w przedawnej przeszłości złotego wieku bohaterów, w przyszłości spodziewała się jakiegoś ołowianego błota, pozbawionego męstwa i cnoty. Myliła się jednak, tak jak ty się mylisz, bo sądzę, że dni dzisiejsze i lepsze, i szczęśliwsze, nietylko od wychwalonego przez ciebie czasu pustych, pierwotnych rozbojów, ale nawet od epoki klasycznych mężów stanu i myślicieli. Jeśli chcesz wiedzieć, jak wyglądały owe, tak głośno opiewane czasy bohaterskie, pojedź do Azyi, albo do Afryki środkowej; — tam trwają dotąd w całej pełni, a wątpię, abyś tam długo mógł wytrzymać i nie będzie to przechwałką, jeśli powiem, że dziś znajdziesz na świecie więcej nauki i więcej męstwa — no! przynajmniej dużo nauki i męstwa — że jeszcze nie wygasły i wygasnąć nie myślą. Błogosławiąc tedy temu, czemu ty złorzeczysz, poszukam innego wytłómaczenia konieczności demokratycznego postępu, a zamiast do fizyologii i psychologii indywidualnej udam się do ekonomii politycznej i do tego, co nazywają dziś socyologią. Nie puszczę się za Platonem w genialne, ale nadobłoczne krainy, w których przebywał, pisząc swoją Rzeczpospolitą; będę raczej stąpał w ślady trzeźwego Arystotelesa; ten bowiem myśliciel podał już w swojej nieocenionej Polityce istotne powody, dla których społeczeństwa postępowe dążą do coraz pełniejszej demokracyi, dla których, rzec można słusznie, iż demokratyczny rozwój zawsze towarzyszy postępowi społecznemu i jest poniekąd jego miarą.

Społeczeństwo całe nigdy nie wychyla się nagle ze stanu pierwotnej ciemnoty i pierwotnego ubóstwa; niektóre tylko, nieliczne z razu rodziny zdobywają sobie w niem większe dostatki a wśród wczasu nabywają także większej oświaty i tem samem tworzą u brzasku cywilizacyi pierwotną arystokracyę. Zawdzięczają zazwyczaj swój dobrobyt czynom wojennym, więc zawsze przemocy, a częstokroć zdradzie. Nie myślę jednak temu przeczyć, że swoje powodzenie jawnej zawdzięczają wyższości, że ta wyższość wzmaga się potem, w miarę tego jak te właśnie tylko rodziny nabywają oświaty, wydają z siebie sztukę, naukę, prawoznawstwo, poezyę i wszystko, co się nazywa cywilizacyą. Nie jestem już teraz podrażniony twojemi arystokratycznemi paradoksami, więc przyznam, że te rodziny wydają się opanowanemu przez nie gminowi czemś wyższem, uczestniczącem w naturze nadludzkiej bogów; choć środki, któremi swoje panowanie zwykły gruntować, wydały-by nam się dziś słusznie zbrodniczemi; ich wywyższenie bywa dobrodziejstwem dla dziczy, choćby już tylko dlatego że im samym daje sposobność do dostąpienia życia godniejszego ludzi, ale przedewszystkiem dlatego, ponieważ przez nich ustanowione pa-

nowanie prawa i dany przez nich przykład sprawiają, iż także inni członkowie narodu nabywają coraz większego dostatku, kształcą się, barbarzyństwo zamieniają na cywilizacyę. Gdy się tak ilość rodzin zamożniejszych a oświeconych pomnoży, musi arystokracya pierwotna ustąpić przed względną demokracyą, bo wszystkie zamożniejsze i oświeceńsze rody zapragną udziału we władzy. Jeżeli dawniejsza arystokracya zechce się oprzeć koniecznej przemianie, jeśli nie zechce rozszerzyć koła rodów rządzących, stanie się wprost szkodliwą i sama sobie będzie winną, jeśli ulegnie wśród krwawej rewolucyi, nie dopuściwszy do szczęśliwej a pokojowej ewolucyi. Skoro się znów względna ilość zamożnych i oświeconych rodzin w narodzie wzmoże, czy to wskutek wewnętrznego rozkwitu, czy to wskutek rozszerzenia granic, wczorajsza demokracya stanie się dzisiejszą arystokracyą i będzie musiała z pola ustąpić przed nową, szerszą demokracyą; i po tej kolei muszą się toczyć dzieje narodu, póty, póki nie dojdzie do bezwzględnej demokracyi, przyznającej wszystkim mieszkańcom kraju równe prawa i równy udział w rządach.

Rozwój demokratyczny przyśpiesza jeszcze inna okoliczność. Oświata w narodzie staje się nietylko coraz powszechniejszą, ale także coraz wyższą, wskutek tego wzrasta zdolność do wytwarzania pojęć oderwanych, wzrasta poczucie sprawiedliwości i prawa, zmniejsza się podziw dla brutalnej siły i zdradliwej przebiegłości, a przedmiotem czci ogólnej stają się nauka i czynem okazana miłość dla ludzi. Narody przeto zbliżają się do siebie; niegdyś obce i nienawistne sobie plemiona zrastają się w wielkie państwa, wspólnem a demokratycznem rządzone prawem, a miejsce lokalnych legend i zabobonów zajmuje wspólna religia, oświecająca powszechne braterstwo ludzkie. Gdy się takie idee raz zrodzą, już nie zginą; choć nawet kataklizm jakiś zburzy cywilizacyę, która już do takich idei dojrzała, pozostaną spadkiem po niej i staną się własnością przyszłych społeczeństw. Tak to Rzym starożytny i starożytna Grecya zginęły; wróciło po wędrówce narodów ubóstwo takie, że nowy arystokratyczny ład w Europie zapanował, a jednak nowe narody przyjęły Chrześciaństwo i prawo rzymskie i wskutek tego nie było u nich nigdy bezwzględnej kastowości, a gdy się oświeciły i wzbogaciły, budowały odrazu nowożytną demokracyę na szerszej podstawie. Takim-to sposobem nie giną nigdy nabytki cywilizacyjne, które pewną miarę przekroczyły; a postęp demokratyczny nie tylko jest prawem władnącem dziejami pojedyńczych, na prawdę historycznych narodów — władnie także dziejami powszechnemi, jest prawem obowiązującem dla całego rozwoju rodzaju ludzkiego.

Kiedy Kazimierz umilkł, wmieszałem się do rozmowy — rzekłem: – Ciekawieście panowie obaj rozprawiali. Pan Henryk wygło-

sił poniekąd nowe a śmiałe poglądy; pan Kazimierz przystosował bardzo szczęśliwie do naszej sfery wyobrażeń starą a rozumną naukę Arystotelesa. Słuchałem panów obydwu z niemałą uwagą. Nie mogę jednak nie zrobić pewnego zarzutu panu Kazimierzowi, który się wreszcie może także i pana Henryka tyczyć będzie. Starożytni, kiedy mówili o arystokracyi, i demokracyi myśleli zawsze o politycznych formach rządu, a świetne ich teorye odnosiły się do tych form rządu i do ich następstwa kolejnego; obaj panowie powołaliście się na starożytnych, na owego Platona i owego Arystotelesa, którzy byli tak wielcy i mądrzy, że po dziś dzień każda głębsza spekulacyjna dyskusya o nich oprzeć się musi. Wskutek tego odniosłem wrażenie, żeście panowie obaj także o politycznych formach rządu myśleli; a w takim razie muszę się zachować bardzo sceptycznie wobec waszych wywodów.

Bo najpierw historya bynajmniej nie świadczy temu, aby demokracya była ostateczną i najtrwalszą formą rządów, do której dążą dzieje. I owszem, demokracye nigdy dłużej nie trwały jak parę wieków; narody, tak cywilizowane jak barbarzyńskie, bywają zwyczajnie monarchicznie rządzone, a prócz monarchii, tylko arystokracye kolegialne, jak spartańska, rzymska, wenecka, angielska, założyły wielkie państwa i zdołały te państwa przez dłuższy czas utrzymać. Demokracya wydaje się naturalną formą rządu tylko dla państw bardzo małych, ubogich a odosobnionych, co wprost przeczyło-by głównej treści wywodów pana Kazimierza. W społeczeństwie większem, albo choćby tylko bogatem, potrwa parę wieków, nie dłużej, i ulegnie potem wewnętrznemu, a najczęściej zewnętrznemu, nieprzyjacielowi. Sprawy większego państwa są tak skomplikowanej natury, że tu rząd może tylko spoczywać w ręku ludzi bardzo wprawnych i światłych, wychowanych już do rządzenia, á rząd demokratyczny spoczywa w ręku ludzi, którzy się z trudnością na jedno zgodzą, i którzy, myśląc ustawicznie o drobnych, prywatnych interesach, zupełnie nie są w stanie objąć wielkich spraw państwa, przewidzieć niebezpieczeństw, grożących rzeczypospolitej; skąpią na wojsko, własnej nie ufają dyplomacyi i muszą się wreszcie pod obce dostać panowanie. Taki właśnie był los Aten i Florencyi. Albo też demokracya bywa tylko kłamstwem i pozorem; w istocie rządy bywają sprawowane przez ludzi, ukrywających się niby za kulisami; wtedy bywa, że państwo demokratyczne wielką prowadzi politykę; ale skoro z tej polityki istotne wynikną niebezpieczeństwa, naród swoich ulubionych pozorów się wyrzeka, zaufa mężowi, który losami narodu kieruje — i monarchia gotowa! Tak to się w Rzymie stało za Juliusza Cezara i za Augusta, członków istotnie rządzącej arystokracyi, którzy się stali popularnymi.

Ale o to mniejsza, i przyznam się, że niewiele wagi tym wywodom przypisuję, a wierzę, owszem, że kiedyś może szereg gieniuszów potrafi uczynić demokracyę jakąś przez dłuższy czas najpotężniejszem państwem na świecie. Ważniejsza to, że nie mogę się przekonać do ulubionej dziś przez wielu metody wywodzenia wyłącznego kolei zdarzeń dziejowych z tak zwanych przyczyn ogólnych — bez względu, czy to mają być prawa przyrodnicze, psychologiczne, czy socyologiczne. Nie godzi się przenosić do historyi metod, używanych przy badaniu jednostajnych zdarzeń nieorganicznej przyrody, bo w historyi działają wpływy tak nieskończenie liczne a różnorodne, że nikt ich gry z góry nie przewidzi. Losy narodów zależą od tego, gdzie się gieniusz, gdzie głupiec narodzi, a nikt tego naprzód z biegu gwiazd nie wyczyta. O najdonioślejszych wypadkach politycznych rozstrzyga szczęśliwy, albo nieszczęśliwy pomysł, który nie wiedzieć skąd się wziął, którego nikt naprzód nie obliczy. Nagła zmiana pogody, albo prosty przypadek rozstrzyga o losie bitwy, a bitwa o losie świata. Gdyby Ludwik XVI był geniuszem, byłby nędzę materyalną Francyi zwalczył, świetne na zewnątrz odniósł zwycięstwa, rewolucyi francuskiej-by nie było, a monarchia absolutna trwała-by dotąd we Francyi i na całym stałym lądzie. Gdyby kaprys Maryi Antoniny nie był odprawił rozumnego Turgota, a powołał utopijnego Neckera, rewolucyi francuskiej także-by nie było, a Francya była-by się spokojnie przemieniła w konstytucyjnie arystokratyczną monarchię, podobną do angielskiej. Gdyby Napoleon nie był miał nieporównanego geniuszu, była-by koalicya wcześnie przywróciła tron Burbonów, a gdyby był wygrał bitwę pod Lipskiem, byłby znów utwierdził na całym lądzie stałym Europy arystokratyczny absolutyzm, który-by prawdopodobnie trwał dotąd. I jakżeż to z tak zwanych ogólnych przyczyn polityczne wywodzić zdarzenia?

Kazimierz słuchał mnie uważnie. Teraz w takie odezwał się słowa: — Ja przynajmniej, mówiąc, nie myślałem wyłącznie o politycznej demokracyi; myślałem przeważnie o demokracyi społecznej. Nie tak wielką wreszcie wagę politycznym formom rządu przypisuję; jestem przekonany, że polityczna demokracya, w kraju ubogim i ciemnym, musi być kłamstwem i czczym tylko pozorem, że przeważnie naród bogaty a oświecony wpłynie stanowczo na swoje losy, pod monarchią absolutną, i nawet w państwie arystokratycznie rządzonem, jakiem jest naprzykład Anglia. Wogóle zgadzam się zupełnie z tymi, którzy lekceważą tak zwaną polityczną historyę narodów; tej historyi tok zależy istotnie od przypadków, ale zato zmiany dynastyi, walki stronnictw, rewolucye i zamachy stanu, wojny, zmiany granic i podboje, są zjawiskami epizodycznej tylko natury, widnemi

wprawdzie i głośnemi, zdolnemi zapalić chłopięcą wyobraźnię i zająć dziejopisa w młodzieńczym narodzie, ale nie wywierającemi istotnie żadnego wpływu na rozwój dziejowy społeczeństw, jedyny przedmiot godny uwagi dojrzałych pokoleń. Porównał-bym takie zdarzenia do kamieni, które ktoś rzuca w koryto głębokiej rzeki; na chwilę zamącą jej powierzchnię, ani na chwilę nie odwrócą jej biegu. Gdyby Turgot był nie dopuścił we Francyi do krwawej rewolucyi i nadal swojej ojczyźnie arystokratyczną na pozór konstytucyę, albo gdyby dynastya Bonapartych rządziła od wieku absolutnie a spokojnie Francyą, nic-by się było istotnie nie zmieniło w toku francuskiej historyi, jeśli się na nią nie zapatrujemy jako na dziecinną powieść, pełną nadzwyczajnych przygód. Nauka była-by postępowała swoim torem, dawne podkopując powagi; wynalazki były-by przemieniły oblicze ziemi; oświata i bogactwo były-by się wzmogły i rozpowszechniły, tak jak się to stało; bogate mieszczaństwo było-by z konieczności odgrywało najważniejszą rolę w otoczeniu konstytucyjnego króla, czy też absolutnego cesarza, a każdy rząd, czy to królewski, czy cesarski, tak samo-by się dziś zajmował kwestyą robotniczą, jak obecny republikański; czwarty stan dopominał-by się dziś z pewnością o uznanie swych praw, o uwzględnienie swych życzeń. Prawdę moich słów poświadczy historya i dzisiejszy stan wszystkich innych państw Europy, które nie ścinały królów, nie mordowały szlachty, nie zmieniały dynastyi, nie obwołały u siebie rzeczypospolistej. Ogólne przyczyny, wywierające wpływ jaknajmniejszy na tok politycznych wypadków, władają ustawicznie koniecznym, wewnętrznym rozwojem społeczeństw i zmieniają oblicze ziemi, nie dbając wcale o owe dziecinne zdarzenia.

Kazimierz skończył, ja zaś podjąłem: — Czy pan w to istotnie wierzysz, co mówisz? Wszak jesteś prawnikiem; więc wiesz doskonale, że niestosowne prawo, ustanowione przez ludzi, a zatem wskutek politycznego przypadku, może zupełnie skrzywić społeczeństwo, sprowadzić jego rozstrój i upadek, a prawo mądre może to społeczeństwo potężnie pchnąć naprzód? Czy sądzisz, że Francya wyglądała-by istotnie tak, jak wygląda, gdyby kodeks napoleoński nie był zniósł prawa pierworodztwa; a Napoleon namyślał się długo, zanim na to się zgodził. Czy sądzisz, że cały ogromny Wschód muzułmański wyglądał-by tak, jak wygląda, gdyby Mahomet nie był dozwolił wielożeństwa? A nie byłby tego zrobił, gdyby nie był przeżył pierwszej swojej żony, Kadiszy, u której był pod pantoflem. Nie bez jądra prawdy jest znany paradoks, że wszystko było-by się w dziejach zmieniło, gdyby nos Kleopatry był cokolwiek innego kształtu. Lekceważysz znaczenie wojen i mówisz, że to wszystko jedno, kto wygra, albo

przegra bitwę; a czy nie wpadło panu na myśl, że lada przypadek mógł zajść, a odsiecz wiedeńska mogła się zamienić w klęskę Sobieskiego; a wtedy muezyn obwoływał-by modlitwę z kopuły świętego Piotra i prawdopodobnie także z wież Nôtre-Dame. Mów-że pan, czy postęp nauk i bogactwa byłby się wtedy potoczył tak, jak się potoczył? O, nie! Europa nie różniła-by się w niczem od Azyi Mniejszej, takiej, jaką była przed stu laty. I dziś jeszcze przyczyny, wcale nie te ogólne, o których mówisz, ale jakieś nieobliczone i nam zgoła nieznane, mogły-by nowego Dżengischana posadzić na tronie chińskim, albo jakiegoś Mahometa straszliwego pobudzić pośród głodnych robotniczych rzesz Europy i, za pomocą tych wielkich ludzi, całą naszą cywilizacyę, całe nasze bogactwo i całą naszą oświatę obrócić w perzynę. Nawet postęp spokojny cywilizacyi zawisł od przyczyn zgoła nieznanych, od tego, co nazywamy przypadkiem. Powiedz mi pan, dlaczego tyle geniuszów właśnie malarskich zrodziło się we Włoszech za Odrodzenia? tyle geniuszów poetycznych w Anglii za Elżbiety? I powiedz, czy nasza cywilizacya była-by naszą cywilizacyą, czy-byśmy tak samo myśleli i czuli, gdyby nie te dwa przypadki?

Kazimierz popatrzył się na mnie zdziwiony, ale i zniecierpliwiony. Rzekł: — Nie wiem, co panu odpowiedzieć. Tak łatwo nie znajdę argumentów. Ale jeśli to prawda, co pan mówisz, nie warto badać, nie warto dyskutować, nie warto myśleć, bośmy wszyscy w ręku ślepego, głupiego traf u!

— Ale warto teraz pójść się napić kawy! — zawołał Henryk.

Przyklasnęliśmy zdaniu Henryka i poszliśmy do mleczarni, przytykającej do parku, gdzieśmy się wyśmienitej kawy na świeżem napili powietrzu.

VI.

Słońce miało się już ku zachodowi, kiedyśmy stanęli pod gloryetą, wznoszącą się na wzgórzu, naprzeciw pałacu. Piękne, lotne arkady, kształtne kolumny gloryety nieco zeszpecone częściowem oszkleniem, ale mimo to okazały gmach odbijał strojnie na tle ciemniejącego już, zielonego nieba. Myśmy jednak usiedli na kamiennych schodach, a wzrok nasz zwrócony ku pałacowi, spuszczał się po murawie, wyciętej w symetryczne, wielkie gazony; zatrzymywał się na basenach napełnionych szklistą, spokojną wodą, odbijającą w zwier-

ciedle swojem jeszcze spokojniejsze, niezmiernie głębokie, wieczorne niebo, i kamienne postacie barokowych, mitologicznych bóstw, któremi te baseny okolono; nareszcie trafiał na wielki, równy plac, a w głębi na ogromny, urzędowo majestatyczny pałac, wyglądający jakby wcielenie absolutnej monarchii Maryi Teresy. Po bokach owej wielkiej równiny przed pałacem stanęły poważne mury zieleni, cięte ze starożytnych już brzostów, a od tych murów odbijały białemi plamami szeregi posągów udających antyk. Drzewa ujęte w szpaler rzucały na ścieżki i murawy głębokie, przedługie cienie, a słońce zachodu rumianemi promieniami przemieniało majestat tej konwencyonalnie pociętej przyrody i nadawało jej jakiś dziwnie pański urok, jakieś potężne życie, prawiące o wieczności. Cudownie nad pałacem szkliły się obłoki, syte światła, purpurowe, granatowe, białe i złote. Gdzie niegdzie otwierały się w tych obłokach niby olbrzymie okna niezmiernych pałaców Bożych, wobec których duma ziemskich władców bywa w niwecz obróconą; przez te okna zaglądało oko w toń nieskończoną zielonego nieba, a wyobraźnia zaludniała owe tonie rojami aniołów, spoglądających na ziemię, na dół, nie na to, aby patrzyć na marne, grzeszne a śmiertelne ludzkie plemię, na jego drobne chwały i zażarte walki, ale na to, aby podziwiać dzieło stwórcy, zdobiącego dolną bryłę ziemi niezrównanie piękną szatą roślinności bujnej a cichej, wód drzemiących błogo, albo pędzących szumnie po wskazanej sobie drodze, i świateł zesłanych z niebios na ziemię, a przemieniających cudownie i roślinność, i wody. Aniołowie doskonali z nieba patrzyli na dolną ziemię, a nas, mrówek ziemskich, nie widzieli, o nas nie dbali; nie myśleli chyba o nas; a myśmy patrzyli na ziemię i niebo; aniołów zmysłowem nie widzieliśmy okiem; nie myśleliśmy o nich wyraźnie, myślą praktycznie skierowaną, albo też szkolnie wyćwiczoną i skoszlawioną szkolnie, ale odczuwaliśmy obecność doskonałych, nieskalanych; śpiew ich potężny, wniebowzięty, brzmiał w naszej duszy; brały nas zachwyty owe możne, które na widok piękności Bożego stworzenia wynoszą po-nad nędzę samolubnego żywota.

Odezwałem się, po dłuższej chwili błogiego przedziwnie milczenia: — Rozżaliliście się na mnie, zniecierpliwiliście się, kiedy wam powiedziałem, że powoływanie się na docieczone rozumem tak zwane ogólne przyczyny nie wystarcza na wytłómaczenie pochodu dziejów. Zawołaliście, że w takim razie nie warto myśleć i działać, nie warto prawie żyć; oburzaliście się na to, że przypadek, nie dający się przewidzieć, może zwrócić cały pochód dziejów. A powinniście się byli tem ucieszyć. Bo jeśli jest prawdą, że dzieje toczą się ku lepszemu, że żaden przypadek ich biegu nie odwróci, choć mechaniczne a ślepe

następstwo zdarzeń mogło tysiąckrotnie całą cywilizacyę ludzką zniweczyć, choć bez owych przypadkowych zjawisk, które się nazywają wielkimi ludźmi, cywilizacya była-by koniecznie i dawno skostniała i popadła w ową nikczemną niemoc, której przykład dają Chiny; — jeśli, powiadam, to wszystko jest prawdą, tak jak jest niezawodnie prawdą — powinniście z tem większą ufnością wierzyć, że szczęście i cnota wszystkich są celem dziejów i że do tego celu dojdą, i powinniście tem śmielej w sobie niecić święty ogień młodzieńczego zapału, wiedząc na pewno, żeście przeznaczeni być robotnikami około najwspanialszego dzieła; powinniście wszelkie drobne samolubstwo poświęcić, szukając najwyższego szczęścia w pracy, której skutkiem musi być stworzenie najwyższego arcydzieła.

Usłyszawszy te słowa, które wypowiedziałem niemal mimowolnie, spojrzeli obaj młodzi ludzie na mnie ze zdziwieniem, a Kazimierz powiedział szczerze: — Nie rozumiem pana; całkiem tego nie rozumiem, coś pan powiedział.

Wtedy świadomie już zebrałem myśli i tak rzeczy swojej dowodziłem:

— Z zachwytem patrzymy na przyrodę; nic nie dorówna wspaniałej piękności obłoków niebieskich, wód ziemskich i świateł, promieniejących pomiędzy niebem a ziemią. Być może, że słuchacz uniwersytetu, albo początkujący uczony, zagadnięty o to, czy potrafi ten blask i tę piękność rozumem wytłómaczyć, uśmiechnie się z politowaniem nad naiwnością zapytania i odpowie, że chodzi tu o zastosowanie praw najprostszych optycznych i meteorologicznych. Inaczej zgoła zachowa się dojrzały uczony, który się istotnie zagłębił w niedocieczone tajniki swojej nauki. Gdyby naszą był słyszał rozmowę, wiedział-by, czego się tyczy zapytanie i odpowiedział-by stanowczo: „Nic z tego wszystkiego wytłómaczyć nie zdołam!“ — Powiedział-by nam, że zna niektóre formuły zjawisk powtarzających się nieustannie, tak zwane prawa fizykalne, których piętno da się dostrzedz i na tej, przez nas oglądanej wspaniałości, ale że za pomocą tych kilku praw ani sposób wytłómaczyć tego, jak powstaje zachwycające zjawisko ponawiając się co wieczór prawie. Już mnogość niesłychana jestestw i zdarzeń, oddziałujących na siebie wzajemnie wśród przyrody, sprawia, że śmiesznym zuchwalcem ten, kto śmie na pewne jutrzejszą przepowiadać pogodę; a co ważniejsza, odkrywamy wciąż istnienie sił, czy też praw przyrody, wpierw nieznanych; takeśmy się dopiero w ostatnich leciech dowiedzieli o różnych promienieniach tak zwanej nieważkiej materyi. Kto ostrożny, ten wie, że większy nierównie jest ogrom rzeczy nam w przyrodzie zgoła nieznanych od ciasnego zakresu naszej mizernej wiedzy,, i że działanie sił, o któ-

rych najmniejszego nie mamy wyobrażenia, może w każdej chwili sprowadzić zjawiska niebywałe, zwyczajnych nie dopuścić, wszystkim naszym oczekiwaniom kłam zadać — nawet planetę w pył obrócić. Mimo to wierzymy, że całe życie będziemy oglądali cudownie piękne zachody słońca.

Lepiej moją myśl zrozumiecie, gdy się zastanowicie nad wzrostem i rozwojem każdego drzewa, każdej rośliny, każdego organizmu. Kiedy żołądź posadzimy, spodziewamy się, że dąb z niej wyrośnie, że kiedyś będzie miał żylastą korę, pięknie pocięte liście, wspaniale rozłożyste konary; spodziewamy się na pewne, że powstanie majestat roślinny, dębom właściwy, że młoda roślina, która z żołędzi zakiełkuje, będzie dążyła do ujawnienia ideału dębu. Zdaje wam się może, iż wzrost i rozwój dębu potraficie wytłómaczyć za pomocą praw ogólnych, mających także inne zastosowanie? Powiedzcie, panowie, czy wam się tak zdaje?

— Oczywiście, — odrzekł Kazimierz — któżby nie wiedział, że tu ogólne obowiązują prawa, te same przy rozwoju każdego dębu?

— Ale, — zagadnąłem — proszę mi powiedzieć, jakie to są prawa? Milczycie, panowie, zastanawiacie się. Jakoś niełatwa sprawa z odpowiedzią. Prawa fizykalne, nie; bo ogólna ciężkość materyi, jej bezwładność i jej zwartość bywają tu usunięte na bok, pokonane, kiedy drzewo wyrasta ku niebu i sobie właściwe, tak misterne, kształty przybiera; prawa i pokrewieństwa chemiczne — także nie, bo pierwiastki nie tak się zwykle kojarzą, jak to się w dębie dzieje; kojarzą się inaczej w pniu, inaczej w liściu, inaczej w żołędzi. Jeśli zechcecie podać prawa, któremi dąb się rządzi, musicie poprostu opisać rozwój dębu, musicie poprostu powiedzieć, że o takiej a takiej porze wyrasta na nim liść, albo kwiat, albo owoc, na takiem i takiem miejscu, we właściwy sposób, i przybierając postać sobie właściwą. Opiszecie rozwój dębu, ale nie wytłómaczycie tego rozwoju za pomocą żadnych praw, obowiązujących gdzieindziej. Prawa fizyki i chemii odzywają się także w dębie, ale na jego rozwój wpływu nie wywierają, a nawet prawa obowiązujące przy rozwoju drzew pokrewnych, buku, grabu, orzecha — nie dadzą się zastosować przy rozwoju dębu; gdyby się dały zastosować, nie wyrósłby dąb, lecz wyrósłby buk, grab, albo orzech.

Kazimierz odezwał się znowu: — Mówisz pan rzeczy niezawodnie prawdziwe i tak powszechnie znane, że się nad niemi nie zastanawiamy i że się nauka niemi nie zajmuje. Ale nie wiem, co to wszystko mieć może do czynienia z koniecznym postępem demokracyi, w ciągu dziejów ludzkich?

Podjąłem: — Zaraz to panu powiem, i zaraz zrozumiesz. Prawa chemii i fizyki obowiązują po części wszędzie, gdzie tylko ciała istnieją; działają także w dębie; mogą za pomocą zewnętrznego zdarzenia życie dębu przerwać, jako to: przez ogień, piorun, nacisk wichru, albo uderzenie siekierą; ale te prawa zgoła życia dębu, jego właściwego rozwoju nie zdolne wytłómaczyć. Dąb rośnie wskutek tego, że Bóg wyprowadza z żołędzi drzewo o postaci dębu, według idei dębu; że każe konarowi, liściu, żołędzi wyrastać wtedy, tam i tak, jak się tego domaga ziszczenie idei dębu, żywotne dążenie do ujawnienia ideału tej drzew postaci.

Podobnie ma się rzecz z historyą świata, będącego także osobną całością, dążącego także do ujawnienia ideału, ale nie już ideału poszczególnego, a tem samem podrzędnego. Żywot świata, będący treścią dziejów, pojętych prawdziwie i tak szeroko, jak to być powinno, jest ustawicznem dążeniem do spełnienia ostatecznego a zupełnego woli bożej. Nie próbójcie treści dziejów wytłómaczyć za pomocą tak zwanych praw ogólnych, zaczerpniętych skąd inąd, a nie wywnioskowanych z toku historyi tej naszej ziemi, nie zaświadczonych przez same dzieje i jedynie przez dzieje. Nie wytłómaczycie rozwoju organizmu żadnego za pomocą praw tak zwanych ogólnych, rządzących materyą, o ile się nie układa umyślnie, z woli bożej, celem wytworzenia organizmu tej właśnie postaci. Daremnie będziecie się mozolili, usiłując wytłómaczyć tok dziejów za pomocą tak zwanych praw ogólnych fizyologii, psychologii, albo nawet ekonomii politycznej i statyki politycznej, którąście przezwali barbarzyńskiem mianem socyologii. Prawa fizyologii obowiązują wszędzie, gdzie są organizmy; prawa psychologiczne obowiązują wszędzie, gdzie są ludzie, a poniekąd także tam, gdzie są zwierzęta; prawa ekonomiczne i polityczne obowiązują wszędzie, gdzie są społeczeństwa i państwa; wszystkie te prawa, wraz z prawami fizykalnemi i chemicznemi obowiązują oczywiście także w dziejach, bo wszystko odbywa się w ciągu dziejów, choć nie wszystko, co się dzieje, godne uwagi historyka; ale żadne z tych praw nie wytłómaczy toku dziejów. Dziejami kieruje Opatrzność, tak samo jak rozwojem dębu i lotem chmur, które tam się kłębią u zachodu. Końcem, do którego żywot drzewa dąży, z nieprzewidzianej a niezmiennej woli bożej, jest piękność drzewa starego, zgodna z ideałem jego postaci i wydanie nasienia, z którego nowe pokolenia drzew powstać mogą; a końca tego dopną drzewa dla tego właśnie i dlatego jedynie, że ich rozwój nie jest skutkiem gry ślepej i łsnieobliczalnych i nieskończenie mnogich martwej materyi, lecz jest wynikiem wszechmocnej woli Bożej, dążącej nieugięcie do wytknię-

tego niezmiennie celu. Celem dziejów świata jest wydanie powszechnego szczęścia i najwyższej piękności w jednostkach ludzkich, w całem ludzkiem społeczeństwie i w całej przyrodzie, opanowanej przez ludzkość, jest słowem powstanie królestwa Bożego. Dzieje świata dążą ku temu celowi tem pewniej, że ich rozwój nie jest wynikiem chaosu sił fizyologicznych, psychologicznych, ekonomicznych, politycznych, kręcących się w kółko, a niweczących się nawzajem, ale jest spełnieniem odwiecznego zamiaru Boskiej Wszechmocy. Zanim się człowiek zjawił na ziemi, zanim rozumne oko mogło oglądać i podziwiać nieme stworzenie, zdobiła się pierwotnie jednostajna, szara, zamglona bryła ziemi, oblanej płytkiem morzem; rozstępowały się wody, góry piętrzyły się na lądach, rzeki ryły swoje malownicze doliny, roślinność pierwotna pokrywała ziemię, a chmury, rzednąc, przepuszczały pierwsze promienie złote słońca; powstawały i ginęły postacie tworów żywych, zrazu bezkształtne i poczwarne, potem coraz wyraźniejsze, obdarzone coraz doskonalszym organizmem, zdolnym do coraz pełniejszego, mniej głuchego a bezrozumnego życia; zwolna przygotowywały się flora i fauna dzisiejsza, zamieniając ziemię w mieszkanie godne człowieka; i wreszcie człowiek powstał; najpiękniejsze, najdoskonalsze zjawiło się zmysłowe stworzenie, którego idealne ciało oglądaliście w śpiżowej postaci atlety staro-greckiego z Efezu, radując się widokiem tej piękności, jako wizerunkiem spełnionego zamiaru Bożego. Bo nic tak serca nie raduje, nic tak nie podnosi i nie nasyca ducha, jak widok doskonałości, która jest spełnieniem zupełnem Bożego zamiaru. Ale żadne fizyologiczne prawa nie wytłómaczą przemiany zjemi, powstania, następstwa i udoskonalenia postaci zwierząt i roślin. Od wieków tworzy rozum hypotezy, mające niby wytłómaczyć to dziwo rozwoju wszechstworzeń, za pomocą gry sił znanych nam skądinąd, tak zwanych powszednich a ogólnych praw przyrody; ale że nikt nie widział powstania nowego rodzaju organizmów, musi każda hypoteza przypuszczać zdarzenie jakieś dziś niemożliwe i w racyonalizmie swoim niezgodna sama z sobą bywa zarzuconą, jako tłómaczenie rozwoju przyrodniczego ziemi i jej mieszkańców, który zrozumieć się da tem tylko, iż uwierzymy, że tak jak wspaniały majestat konarów i wydanie nowych żołędzi bywa przeznaczeniem dębu, tak piękność dzisiejszej natury i powstanie człowieka były przeznaczeniem ziemi, do którego, rozwijając się, dążyła, wydając z Bożego rozkazu lądy i morza, góry i doliny, rozmaite zwierzęta i rośliny, tak jak dąb wydaje i traci kolejno pokolenia swoich liści.

Zachwycaliście się, oglądając w świątyni Tezeusza posąg atlety wyobrażający doskonałą piękność zmysłową młodzieńczego ciała, ale

doznaliście świętszych jeszcze dreszczów przed posążkiem Persefony, z którego wyglądała inna, wyższa, duchowa piękność. Całe bowiem dzieło cielesnego stworzenia, aż do powstania przedziwnie doskonałego organizmu ludzkiego, jest tylko środkiem, a celem: powstanie ducha, który sam jeden siebie zna. Widzimy, że duch świadomy, myślący, czujący, moralną wolą obdarzony, wynika niejako z doskonałego ustroju rzeczy zmysłowych, że z nich tryska, ale w powstaniu i w życiu tego ducha jawią się prawa tak dalece materyi nieznane, że kto chce prawami przyrody istnienie ducha wytłómaczyć, osłupieje zawsze na widok tajemnicy, nie dającej się nigdy w ten sposób i na tej drodze usunąć. Jeden duch istnieje sam dla siebie, wiedząc sam o sobie; świat zmysłowy istnieje tylko dla ducha, tylko ducha bywa widzeniem; więc środkiem jest tylko — a duch jest celem, i ducha żywotem jest dążenie do własnej doskonałości, do wszechwiedzy, wszechmocy, wszechmiłości; im więcej człowiek wie, tem więcej może, przedewszystkiem im więcej kocha, tem bliższym bywa doskonałości, tem bywa piękniejszy i szczęśliwszy. Zatem istotnym, ostatecznym celem wszechstworzenia jest wydanie doskonałości duchowej, która-by człowieka uczyniła podobnym do Ojca w niebiesiech. Jak żywotem dębu jest dążenie do roztoczenia majestatu swoich konarów i wydania żołędzi, tak treścią dziejów, nakazaną wszechmocnie przez Boga, jest wydanie najwspanialszego owocu, jakim jest człowiek doskonały, człowiek na duchu święty, i wydanie ludzkości doskonałej, ostatecznego arcydzieła, piękniejszego stokroć od tego, co oko dotąd oglądało! Jak wola Boża, na to aby się spełnić, rodzi na dębie liście i konary o czasie swoim i na miejscu swojem, w sposób, którego nie wytłómaczycie, powołując się na ogólne prawa chemii i fizyki, tak samo ta sama wola wszechmocna wydaje w czasie swoim i na miejscu swojem w ciągu dziejów narody mnogie a dzielne, ludzi wielkich, potężne albo szalone pomysły, wiodące zawsze do jednego celu. Kto chce zrozumieć życie dębu, ten nie powinien myśleć o fizyce tylko i chemii, a ma poznać ideę dębu, doktórej urzeczywistnienia wszystko w tym żywocie roślinnym dąży; podobnież, kto chce zrozumieć dzieje, kto chce nabyć wzroku dziejowego i dziejowej mądrości, temu nie wystarczą fizyologia i psychologia, ekononomia i statyka polityczna; ten musi przedewszystkiem zrozumieć cel, do którego dzieje dążą, ideę historyczną, myśl Bożą, która się ujawnia niechybnie w każdem zdarzeniu historycznem, o której świadczy cała przeszłość tej ziemi, o której głośniej nierównie i wyraźniej świadczy nasze sumienie. A kto tę myśl, ten cel zrozumie i pozna rękę wszechmocną, która do tego celu rodzaj ludzki prowadzi, tego nie przerazi widok żadnego chwilowego zwycięstwa dziejowej nieprawości, ten nie zwątpi pod żadnym uciskiem

choćby był nie wiem jak okropny, bo ten wie, że nie ślepa gra praw psychologicznych i politycznych przypadkiem dotychczasowy rozwój ludzkości sprowadziła, że, owszem, wyraźnie objawiona wola Wszechmocy ludzkość do prawdziwej, do doskonałej wiedzie demokracyi.

Gdy tak mówiłem, Henryk spojrzał na mnie ze sceptycznym uśmiechem i powiedział z ironią ukrytą w głosie:—A zatem wprowadziłeś pan Pana Boga do naszego dyalogu, aby z niego uczynić najmożniejszego demokratę, a kazałeś światu istnieć na to tylko, aby się stało zadość marzeniom Kazimierza, i aby demokracya wreszcie zwyciężyła, po niesłychanych a niezliczonych perepałkach, stanowiących teraz dopiero dla mnie niezrozumiałą treść historyi?

Odparłem: — Celem wszelkiego istnienia może być tylko wydanie doskonałości duchowej, celem ziemskiego istnienia połączenie tej doskonałości z największem zdrowiem cielesnem, najwyższą pięknością zmysłową, jak to ma się stać, według dogmatów religijnych, w królestwie Bożem, po zmartwychwstaniu ciała; a sądzę, że pan temu przeczyć nie myślisz, skoro tę samą myśl wyrażasz, innemi tylko słowy, twierdząc, że celem i końcem wszechrzeczy jest wydanie nadczłowieka, to jest boga w ludzkiej postaci. Tę rzecz można z religijnego, albo filozoficznego stanowiska rozstrząsać i z tych roztrząsań całą wydobyć metafizykę, na nich oprzeć cały pogląd na świat i na wiedzę ludzką. Ale gdybyśmy się w takie rozstrząsania zapuścili, przegadalibyśmy rok i nie doszlibyśmy jeszcze końca. Ja się teraz z historycznego jedynie stanowiska na rzecz patrzę i z tego stanowiska twierdzę, że tak, jak powstanie człowieka było celem, do którego kopalne dzieje planety, czasy paleontologiczne w rozwoju swoim jedynie dążyły, i jak to dążenie było jedynym celem przedludzkich dziejów ziemi; tak historya powszechna, jaka się za ludzkich już czasów dzieje, ma na celu wydanie społeczeństwa, w którem wszyscy ludzie będą mądrzy, w którem wszyscy posiądą uświęconą wolę, władnącą niezłomnie namiętnościami, a wszyscy zapłoną wielką miłością dla współ-ludzi i dla najwyższego dobra. A wtedy będzie prawdziwa demokracya; demokracyi koszlawej nie będzie, bo nie będzie żadnego motłochu; arystokracyi prawdziwej nie będzie, bo nikt nie będzie lepszym od dojrzałej już ludzkości; ale nie będzie też żadnych ujarzmicieli, bo nikt cudzej nie zapragnie krzywdy. Cel to idealny, do którego nam niesłychanie daleko, a może nigdy nie przyjdzie chwila, w której-by same bogi, nad wszelką wywyższone nędzę, nieskalanie piękne i na ciele i na duszy, stąpały w ludzkiej postaci po tym naszym padole. Ale dzieje dążą nieustannie do dopięcia tego celu i to dążenie nie zmieni się nigdy, nie spaczy, nie zatrzyma, bo w niem się iści wola Boga, przez którą wszelkie stworzenie jedynie istnieje".

Henryk jest wprawdzie arystokratą nowego zakroju, ale wcale nie jest w tym sensie konserwatystą, aby miał starszym wielkie okazywać uszanowanie. Zwyczajnie przestrzega w obejściu z ludźmi form estetycznych, a zatem uprzejmych, ale nie waha się ani chwili sprzeciwić się zdaniu starszego; a powiem szczerze, że tę jego otwartość cenię sobie niemało, bo to mi ułatwia rozmowę, i sprawia, że w czasie dyskusyi, którą z nim prowadzę, wiem zawsze, co myśli. Więc teraz także wyjawił szczerze wrażenie, jakie moje wywody na nim wywarły, nie zwracając uwagi, ani na moje siwe włosy, ani na to, że to, co powie, mogło-by innego starszego człowieka może urazić.

Rzekł: — Pańskie wywody zdziwiły-by mnie bardzo w uściech młodszego człowieka, a nie mogę powiedzieć, aby mnie zbudowały. Chcesz pan, abyśmy wierzyli, że Bóg miesza się drobnostkowo do wszystkich spraw ziemskich, i abyśmy się na niego ślepo spuszczali, z tureckim jakimś fatalizmem, wyrzekając się wszelkiej samodzielności, a wierząc, że On nas koniecznie, mocą Swojej wszechmocy, doprowadzi do jakiegoś raju ziemskiego, który sobie wyobrazić trudno; albo raczej, że do tego raju wprawdzie nie doprowadzi nigdy, ale że będzie nas ustawicznie prowadził do tego raju po nieznośnie mozolnej i ciernistej drodze żywota, bawiąc się chyba tem, że ludzkość ciągle, a zawsze daremnie, będzie wyciągała swoje ramiona ku jakiejś wiecznie niedostępnej ułudzie. Chcesz pan nas upokorzyć zupełnie i zamienić w istne niewolniki, ufające dziecinnie rzekomej Boga wszechmocy; a równocześnie każesz nam pan wierzyć, że Bóg chyba niezdolen jest Swoją wolę odrazu przeprowadzić, skoro musiał materyę przez miliony lat miesić i przespasabiać i przerabiać, skoro musiał oddawać na zatratę rody nieudałych zwierząt, póki mu się wreszcie nie udało stworzyć arcydzieła Swojego, rodu ludzkiego. I to arcydzieło dopiero nie udało Mu się wcale; dotąd ogromna większość ludzi jest brzydka, zła i nieszczęśliwa i potrzeba nieudolnemu Bogu znowu aż morza łez i krwi, potrzeba mu niezliczonych zbrodni, nędz i cierpień, aby się mógł w ciągu dziejów dorobić chwili, w której ludzie nie będą wprawdzie doskonale piękni i dobrzy, ale będą nieco piękniejsi i lepsi, niż dziś. Gdyby Bóg był istotnie wszechmocnym i doskonałym, byłby odrazu stworzył świętych i nieskalanych ludzi, rój wiekuiście szczęśliwy, i nie potrzeba-by mu było okrutnej zabawki, która się zwie istnieniem.

Tu podchwyciłem: — Ostatniem słowem odpowiedziałeś sobie sam, młodzieńcze! Doskonałość istnieć nie może, bo istnienie albo nie jest niczem, albo jest zmianą nieustanną — doskonałość zaś jest niezmienna. Kto się o to spiera z Bogiem, że są owe braki doskona-

lości, które się zowią brzydotą i grzechem, a które są wszelkiego cierpienia przyczyną konieczną, ten się spiera sam z sobą o to, że chce żyć, że chce się radować wszystkiem, co sprawia rozkosz, uzdrawiając ciało, albo wznosząc i doskonaląc duszę. Ani ty, ani ludzkość docześnie doskonałymi nie będziecie nigdy, bo kto dostąpił doskonałości, ten się nie zmienia, ten już nie istnieje, ten wśród wszechmocy, wszechwiedzy, wszechmiłości, musi koniecznie wyjść po-za[sidła czasu i przestrzeni, objąć wieczność i bezmiar, w których wszystko jest oto teraz i oto tu! A takim jest tylko Bóg; bo Bóg i doskonałość, do której wszechświat tęskniąc dąży, to jedno i to samo, po-za-czasowe, po-za-światowe, nie istniejące nigdzie, docześnie a będące źródłem wszelkiego istnienia. Cierpienie, nieodłączne od istnienia, to uczucie, żeśmy doskonałości nie dopięli,—a nie masz innego pragnienia, innej żądzy, innego życia nad dążenie do doskonałości; — to dążenie, przez które wszystko jest tem, czem jest, nazywa się wolą Bożą. Każdy organizm spełnia wolę Bożą, rozwijając się wedle idei swojej, dążąc do doskonałości postaci swojej; wszechświat zaś dąży do wydania człowieka i ludzkości podobnych Bogu. W ciele naszem zmysłowem czujemy pęd organiczny, dążący do wytworzenia doskonałej postaci ludzkiej, cieszymy się tym pędem, jako ochotą do zmysłowego życia, cierpimy ból, ilekroć coś temu pędowi stanie na przeszkodzie. Ale pęd inny, wyższy, objawiający całą już wolę Bożą, w pełni swojej, władnie naszem, jedynie naprawdę ludzkiem, bo duchowem życiem i każe nam doskonalić siebie, wzmagać w sobie rozum, wolę, miłość. Ten pęd nazywamy sumieniem i słuchamy go zawsze. On sprawia, że wierzymy w rzeczywistość świata zewnętrznego, choć nie mamy argumentów, któremi-byśmy mogli odeprzeć kłamstwa sceptycznego sofisty, twierdzącego, że świat i drudzy ludzie w świecie naszem urojeniem, żeśmy sami jedni. Temu nie wierzymy, bo musimy poznawać prawdę, prawdę pokonywać, kochać bliźnich, równych sobie. Kiedy grzeszymy, słuchamy także sumienia, szukamy wiedzy, mocy, miłości, tylko szukamy na mylnej jakiejś drodze i przeto doznawszy zawodu, cierpimy. A jak na wielki wpadniemy gościniec, wiodący do celu, poznajemy, że na to, aby samemu dojść do doskonałości, trzeba doskonalić drugich, trzeba pracować nad ich szczęściem, trzeba zwalczać u drugich nędzę i chorobę, nie dopuszczające do zdrowia i piękności ciała, nie dopuszczające myśli do tego, by się wzniosła swobodnie w dziedziny wiedzy i piękna, trzeba drugich uczyć, rozpraszać u rzeszy ciemnotę; trzeba w drugich niecić miłość i cnotę. I przy tej robocie trzeba zapomnieć o sobie, trzeba być gotowym do wszystkich poświęceń; trzeba być pokor-

nym i pamiętać, że, nie będąc doskonałym, mylić się musisz; trzeba być wyrozumiałym i nie zapominać, że ludzie docześni każdą rzecz skoszlawią, a trzeba ufać Bogu, trzeba wierzyć, że świat tem tylko istnieje, tem tylko żyje, iż dąży ustawicznie ku dobru, ku doskonałości, iż staje się coraz lepszym, piękniejszym, że dzieje przeto dążą wiecznie do tego, aby się prawdziwa demokracya stawała coraz bardziej prawdą, przeto że ludzie, opanowawszy przyrodę, niedostatek zwalczają coraz skuteczniej, że rozszerza się wśród ludzi coraz więcej powszechna oświata, że ich naucza o powszechnem braterstwie, przemocy dzieła stare w niwecz obraca, nową przemoc, nową nieprawość czyni coraz trudniejszą. Pracuj nad tem dziełem; wiedz, że twoje życie przeznaczone być ustawicznym trudem, podjętym dla dobra wszystkich i iszczącym się rozumnie a cierpliwie w rodzinie, w gminie, w kraju twoim, w miarę sił twoich; nie myśl przytem ani o wywyższeniu, ani o próżnej chwale, a sam się udoskonalisz, doznasz szczęścia, będziesz wyższym od rzeszy samolubów, naprawdę arystokratą, naprawdę nad-człowiekiem.

Tak mówiłem, a Henryk odpowiedział: — Trudno abym się z panem zgodził, bo pańskie wywody skończyły się kazaniem na nutę oklepanej, plebejskiej moralności, którą rzesze po wszystkie czasy wyznają, jakby to wyznanie było nieoddzielne od marnego istnienia ludzkości. A my, młodzi, którzy chcemy być wyższymi naprawdę, wierzyć możemy tylko w paradoksa, niedostępne dla poziomego tłumu.

Na tem skończyła się nasza rozmowa: — Tymczasem słońce zaszło, cienie mroku zaległy park wspaniały, a Boże kagańce, gwiazdy, zapłonęły na szafirowem niebie.

Wojciech Dzieduszycki.

PIŚMIENNICTWO.

Gadon: „Emigracya Polska“, tom I, 1901.

Autor rozpoczął dzieję wychodztwa polskiego od października 1831 r., a więc od chwili, kiedy 50,000 żołnierza polskiego znalazło się poza granicami Królestwa. Rządy: pruski i austryacki poddały wkraczających żołnierzy przepisom kwarantanny, a następnie rozmieściły ich na leżach niezbyt wygodnych i zdrowotnych. Wszystkie owe udręczenia, szykany, illuzye i rozczarowania opisał p. Gadon szczegółowo, opierając się na literaturze pamiętniczej, zebranej starannie i wyzyskanej należycie. Prusy od samego początku wpływały usilnie na żołnierzy polskich, aby powracali do Królestwa, jedynie oficerom, i to przeważnie skompromitowanym, ułatwiały wyjazd do Francyi, już też w grudniu 1831 formowały się oddziały polskich oficerów, które w liczbie 50—100 wyruszyły z Prus na Frakfurt, na Odrę ku Francyi. Z tego-to zastępu rodaków—pisze p. Gadon—wytworzył się korpus wychodztwa, czyli emigracyi polskiej, fakt doniosły w następstwa i mający znaczenie dla wewnętrznego stanu Królestwa. W chwili bowiem, kiedy kraj potrzebował bardziej niż kiedykolwiek spokojnej pracy, skupienia i trzeźwego liczenia się z rzeczywistością, samo istnienie emigracyi utrzymywało jakiś nieokreślony niepokój, wzbudzało jakieś wyczekiwania i nadzieje, które, odwodząc umysły społeczeństwa od najważniejszych spraw domowych, zwracały je ku ułudom zewnętrznym.

Obok tego, emigracya uprowadziła z sobą kwiat młodzieży i wierzchołki inteligencyi, pozbawiając tym sposobem kraj dzielniejszych żywiołów i wyższych sił umysłowych, w które i tak nie obfitował, a owe siły na długoletniem wychodztwie, bez pożytku dla kraju, po największej części zwiędnąć miały. Wychodztwo utworzyło się bowiem z wyboru ludności, z czoła narodu. Obejmowało ono senatorów, posłów, ministrów, generałów, uczonych, profesorów, poetów, literatów, możnych panów, większych i mniejszych właścicieli, urzę-

dników i cały tłum oficerów, starszych i młodszych, oraz akademików i uczniów szkół wyższych, a w całej ogólnej jego liczbie, 9,000—10,000 głów w przybliżeniu, szeregowcy i prostaczkowie stanowili stosunkowo małą, tj. czwartą część zaledwie. Wszelako emigracya nie przybrała-by znaczniejszych rozmiarów, gdyby nie czynność, zachęta i organizacya generała Bema. On też powinien być uważany za właściwego ojca emigracyi. Zaraz za przybyciem z wojskiem na ziemię pruską powziął on zamiar wyprowadzenia wojskowych polskich do Francyi. W tym celu wybrał kilkunastu oficerów i z nimi, w tajemnicy przed Prusakami, zaczął propagować i przysposabiać ruch wychodźczy. Trzeba było przeprowadzić kilka tysięcy ludzi przez całe Niemcy, z małemi stosunkowo środkami, spotykając się często z niechętnemi władzami. Trzeba było przewidzieć, co gdzie przygotować i zrobić należało; wszystko odbyło się porządnie, po żołniersku, doraźnie i trafnie, bez zwłoki, i Bem okazał się niewątpliwie dzielnym organizatorem.

W Prusach, gdzie władze były stanowczo żołnierzom polskim nieprzychylne, doznawali oni od prywatnych mieszkańców i od kobiet wiele uprzejmości i dobroci. W tak zwanej prowincyi saskiej, należącej do Prus, od r. 1815, coraz lepsze usposobienia czuć się dawały Polakom. Ale począwszy od granicy Królestwa Saskiego i dalej, w środkowych, południowych i zachodnich Niemczech, nastrój podnosił się do wysokiej nuty gorącego entuzyazmu. Ruch wychodził od klasy najoświeceńszej, popierany był głównie przez warstwy średnie społeczeństwa, przez profesorów, literatów, prawników, księgarzy, kupców itp. W mgnieniu oka utworzyło się mnóstwo kół i komitetów dla podejmowania i wspomagania wychodztwa polskiego. Zważywszy, że prawie cała emigracya przeszła przez Niemcy, i że wszyscy potrzebujący otrzymali hojne wsparcia, użyte przez komitet sumy musiały być nie małe.

Główna droga, którą polskie kolumny posuwały się z Prus do Francyi wiodła na Frankfurt nad Menem i dalej na Worms, stąd jedne z nich szły na Metz, drugie na Sztrasburg. Innemi drogami oczywiście przybywali do Francyi wychodzcy polscy z Austryi. Skierowano ich przez południowe Czechy i poddano przedewszystkiem ścisłym przepisom kwarantanowym. Kiedy kolumny przybyły do W. Ks. Badeńskiego, doznały przychylnego przyjęcia, w którem cała ludność brała udział. Wogóle przyjęcie emigracyi przez południowe Niemcy wyróżniało się przychylnością, ale i o całem społeczeństwie niemieckiem powiedzieć można, że zachowało się z wyrozumiałością i przychylnością dla wychodźców. Autor przytoczył rymo-

wane dowody owej przychylności, które już oddawna zapomnianemi zostały.

We Francyi rząd Ludwika Filipa, ulegający opinii publicznej, zaopiekował się losem nadciągających. Generał Pellot, dyrektor w ministeryum wojny, odpowiadając na list Bemowi, zaznaczył, że Francya do emigracyi zachęcać nie może, ale, że ci, co do granicy dojdą, będą dobrze przyjęci. Emigranci wytworzyli komitet emigracyi tymczasowej, ale zaledwie stanął, podniosła się przeciw niemu agitacya. Niemojowski, członek tego komitetu, chciał mu nadać charakter administracyjny i ekonomiczny z wyłączeniem politycznego, ale to się niepodobało większości wychodźców i Zwierkowski podał projekt zorganizowania nowego komitetu, opierającego się na wspólności historycznej Polski z Francyą. Istotnie też utworzony został nowy komitet narodowy stały, a wpływ główny uzyskał w nim wraz z przewodnictwem, Lelewel. Nowy komitet złożony został z ludzi reprezentujących dawną skrajną opozycyę, na miejsce opinii umiarkowanych weszły opinie opozycyjne, w Paryżu utwierdził się dalszy ciąg klubu warszawskiego, z całym zasobem jego negatywnych, rozkładowych zwrotów. Szczególnem dążeniem komitetu miało być czuwanie nad interesem narodowym i utożsamienie sprawy polskiej ze sprawą wolności rewolucyi ogólno-europejskiej wraz z jej usiłowaniami, po których oczekiwano blizkiego, powszechnego wybuchu.

Nowy komitet rozpoczął swe czynności od odezwy, która zaszczepiła w wychodztwie rozdział i trwałą niezgodę, zarzucając niedołęstwo i zdradę odłamowi swych towarzyszy. W ten sposób na samym wstępie popełniony został krok błędny i nieszczęśliwy, który wpłynął stanowczo na charakter, kierunek i dalsze losy wychodztwa i który słusznie nazwano jego grzechem pierworodnym. Realny jego interes został poświęcony duchowi partyi, mrzonkom i doktrynom politycznym, które zwłaszcza na obcej ziemi nie miały dla nas pierwszorzędnej wagi. Krok ten niefortunny oderwał emigracyę od gruntu rzeczywistości, od gruntu patryotyzmu racyonalnego i praktycznego i uniósł ją od razu w dziedzinę chmur i wichrów, w atmosferę przesiąkłą elektrycznością, rodzącą ciągle zarazę i burzę.

Jedną z pierwszych czynności komitetu było podanie do Izby petycyi (styczeń 1832 r.), napisanej tonem kategorycznym z cierpkiemi do rządu wyrzutami. Komitet wskazywał władzy francuskiej, jak ma z Polakami postępować, protestował przeciwko rozmieszczeniu ich na prowincyi i żądał utworzenia legionów polskich pod narodowemi znakami. Następnie komitet wydał odezwy do Węgrów, Niemców i t. p., w których panował duch ogólno-humanitarny i repu-

blikańsko-rewolucyjny. Odezwy powyższe wypowiadały retoryczne ogólniki i naiwne iluzye o wspólności interesu narodów, o łączności ludów, bo i pociąg, który kojarzy uczucia, przeświadczenie, które ożywia działalność, przewidywania przyszłości, zbliża umysły, wszędzie ściślejsze węzły krępują ludy i t. d, Nowy komitet narodowy nie posiadał w sobie powagi moralnej, krom prezesa; składali go ludzie bez szczególnych zasług, nieznani, albo nawet znani niechlubnie. Przytem brakło mu zupełnie jedności. Byli w nim członkowie względnie umiarkowani, ale większość była radykalnie rewolucyjna. Nie upłynął jeszcze miesiąc od narodzenia się komitetu, a już niezadowolenia i niesnaski zaczęły się objawiać. Nawet zewnątrz, poza komitetem, podnoszono już zarzuty, na ogólnych zgromadzeniach od razu zapanowały wrzaski, bezład i dyskusye bez drogi i celu, namiętne spory o przyczynach i winowajcach upadku powstania. Bem i Umiński oświadczyli, że „wojsko nie chce mieć żadnych stosunków z tymi, co tylko po brukach warszawskich i paryskich, dalecy od wszelkich niebezpieczeństw, czas swój tracili. Komitet się tem mocno obruszył, ale do poważniejszych zajść tym razem nie przyszło. Nawet dobrotliwy opiekun komitetu, Lafayette, odzywał się, że komitet i jego zapaleńcy nie wiedzą sami, czego chcą. Sfery zaś rządowe objawiały głośne niezadowolenie z postępowania komitetu. Jeszcze też wychodztwo nie zebrało się we Francyi, a już się wojna zapaliła między Bemistami i Lelewelistami.

Do rządu francuskiego i do dworu Orleańskiego kołatali wychodźcy, najczęściej za pośrednictwem generała Kniaziewicza, któremu zawsze okazywano pewne względy. Zarówno jednak marszałek Soult, jak i prezes ministrów, Perier, przyznawali się do ambarasu, jaki im wychodztwo polskie sprawiło, Soult nawet nie szczędził Kniaziewiczowi gorzkich wymówek, które na czas pewien stosunek ich dawny koleżeński oziębiły. Prasa francuska nawet, zrazu przychylna, poczęła być coraz obojętniejszą dla sprawy emigracyjnej i komitet zaczął się zastanawiać nad koniecznością założenia swego organu w Paryżu; ale gdy w tymże czasie staraniem Czartoryskiego zawiązane zostało stowarzyszenie literackie przyjaciół Polski, chwycono się i w Paryżu podobnej myśli. Pierwszym aktem Towarzystwa po zawiązaniu się było zaproszenie na prezesa Adama Czartoryskiego, bawiącego wówczas w Londynie. Powołano do swego grona także Niemcewicza. Czynności Towarzystwa mianującego się literackiem miały przeważnie charakter polityczny, stało się ono po części organem wiecznej protestacyi, wołania o sprawiedliwość i szukaniem pomocy, bądź w gabinetach, bądź w opinii publicznej.

W osobnym rozdziale opisał p. Gadon losy ks. Adama Czartoryskiego i jego smutną podróż z Podgórza do Londynu, po dość częstych zatrzymywaniach się w Niemczech i we Francyi. Przybywszy do Anglii, Czartoryski miał posłuchanie u Palmerstona, Greya i lorda kanclerza Broughama, ale prócz czczych słów i trochy osobistych względów nic od nich otrzymać nie zdołał. Po wielu trudnościach i zwłokach udało mu się przeprowadzić w Izbie gmin tak nazwany wniosek polski, wniesiony przez Fergussona, który nie był niczem więcej, jak tylko efektem teatralnym, bez żadnych poważniejszych następstw i bez wpływu na tok wypadków. Po doprowadzeniu do skutku owego zdarzenia parlamentarnego, Czartoryski przybył do Paryża, gdzie starał się wychodztwu wyrobić większe znaczenie u rządu francuskiego. Rozległemi stosunkami udało mu się to do pewnego przynajmniej stopnia i na tym fakcie przerywa p. Gardon swą interesującą historyę emigracyi, która ma objąć w przyszłości jeszcze dwa tomy.

Pracy p. Gadona nie można odmówić doniosłości dla historyi XIX stulecia. Zawiera ona bolesne doświadczenie i przykrą naukę, pouczającą o istocie wychodztwa, jego przymiotach i wadach, i wreszcie o jego szybkiem i koniecznem zwyrodnieniu. W książce p. Gadona panuje ton przedmiotowy i chęć pozbycia się wszelkiej tendencyi. Nie otacza on aureolą żadnego stronnictwa, ani też żadnego nie potępia. Przekonywa raczej, że całe wychodztwo pogrążało się w marzeniach niepochwytnych i w namiętnościach stronniczych, a dla mocarstw zagranicznych stało się igraszką, której nie traktowano nigdy poważnie, a wkrótce znudzono się nią straszliwie.

A. R.

Lubomir Gadon: „Emigracya Polska". Pierwsze lata po upadku powstania listopadowego. Tom II. Kraków 1901.

Tom drugi swej interesującej pracy rozpoczyna p. Gadon od zaznaczenia, że sezon teatralny w zimie z 1831 na 1832 r. był w Paryżu niezmiernie świetny. Na niektórych scenach wystawiano sztuki, w których treść zaczerpnięta była ze świeżych wypadków w Polsce, ogromna scena Cirque Olimpique (Franconi) ściągała tysięczne tłumy wielkiem widowiskiem „Les Polonais", na tle listopadowego powsta-

nia. Juliusz Słowacki, który wraz z Lelewelem przypatrywał się temu przedstawieniu, pisał o niem do matki, że to wielkie głupstwo. W tym czasie pojawił się złowróżbny Zaliwski w Paryżu i stał się przedmiotem rozmaitych owacyi dla siebie, które zarazem były wymierzone przeciwko Bemowi. Lelewel na zgromadzeniu Tarańskiem przedstawił Zaliwskiego, jako największego bohatera wszystkich wieków, zrobił go najznakomitszym wojownikiem i oświadczył, że on jeden godzien będzie być w przyszłej wojnie naczelnym wodzem wojska polskiego. Rozumieliśmy, pisze Słowacki do matki, że Lelewel żartuje z Zaliwskiego; wiemy przecie, że Zaliwskiego charakter, jego czyny, a nawet odwaga wojskowa w powstaniu nie jaśniały bardzo czystym blaskiem. Przesadna ta gloryfikacya była więc skrytem ukłóciem Bema i przyczyniła się jedynie do rozszerzenia wśród emigracyi waśni, niezgody, z których powstawały raz w raz pojedynki. Bohdan Zaleski pisał do Kajsiewicza: żyjemy w nieznośnej próżności serca, to jest w smutku i nudach. Dziś jak wczora, jutro jak dzisiaj. Od rana do wieczona wciąż w jakiejś mgle gęstej nierozwianej. W emigracyi wciąż waśnie i prześladowania.

Rząd francuski, otwierając granice swego państwa emigracyi polskiej, wzbronił jej jednak gromadzić się w Paryżu. Na zbiorowisko wyznaczone zostały dwa miejsca: dla wojskowych Avignon, a dla cywilnych Chateauroux. Rozporządzenie to stosowało się nie tylko do Polaków. Już bowiem od roku 1823 znajdowało się we Francyi kilka tysięcy emigrantów hiszpańskich, piemonckich, portugalskich i niemieckich, których usunięto ze stolicy do pewnych punktów na prowincyi. Że jednak wszystkich nęcił Paryż, więc zakaz budził ogólne sarkanie. Ale władza, nie zwracając uwagi na to, wydawała wszystkim te feldruty (feuilles de route) i żołd na drogę. Miejscowe komitety dodawały różnego rodzaju zapomogi i mieszkańcy przewozili Polaków darmo ze stacyi na stacyę. Wogóle jednak Francuzi nie witali przybyszów z takim zapałem, jak Niemcy, a zdarzały się miejscowości, w których nikt na Polaków nie oczekiwał i gdzie nie doznali żadnej ulgi w tułaczce. W Prusach jeszcze obiegała wśród wojskowych polskich pogłoska, że rząd francuski przeznacza Polaków do Algieru, wieść ta mogła mieć niejakie prawdopodobieństwo, ale oficerowie polscy sami rozpuszczali ją umyślnie dla ukołysania obaw Prusaków, żeby ci nie zatrzymywali żołnierzy polskich. Z tego wichrzyciele umyślnie utworzyli wiadomość, że rząd francuski zamierza wysłać przymusowo Polaków do Algieru. Trzydziestu oficerów podało na ręce Lelewela deklaracyę, że nigdy do Algieru nie pójdą, a Lelewel pismo powyższe, szorstkie dla rządu, podał do gazet.

Tą niewczesną protestacyą ministrowie zostali mocno urażeni, a najbardziej minister wojny, stary marszałek Soult.

Jeszcze wszystkie kolumny do Avignonu nie doszły, gdy 21 lutego 1832 przyszedł do intendanta rozkaz ministra wojny, zmniejszający subsydya płacone Polakom. Zmniejszenie to było znakiem niechęci rządu, spowodowanej owemi protestacyami. Najsroższej dało się ono odczuć podoficerom i żołnierzom, dla których zmniejszenie stanowiło kwestyę głodową. W Avignonie znajdowało się koło 1,000 Polaków, którzy, na wzór rad gospodarczych w wojsku polskiem, zawiązali „Radę Polaków w Avenionie będących“, dla zajmowania się wewnętrznemi sprawami Polaków, dla reprezentowania ich na zewnątrz, dla znoszenia się z władzą francuską itd. Za przykładem Avignonu wkrótce i Polacy zakładu Besançon ustanowili u siebie podobną Radę, a następnie i inne zakłady polskie, które w ciągu roku licznie zostały uformowane we Francyi. Wychodztwo, złożone przeważnie z wojskowych, podlegało ministrowi wojny. Minister wojny naznaczał od siebie zakładom specyalnych francuskich komendantów, a oprócz tego dodał im do pomocy pośredników dla znoszenia się z Polakami, dla sprawdzenia stopni i t. p., z pomiędzy starszych oficerów polskich i tych wspierał. Zadanie pośredników nie było łatwem, a życie ich nie było kwiatami usiane. Jeszcze wrażenie po zmniejszeniu płacy nie było uśmierzone, kiedy przyszło do Avignonu inne rozporządzenie, które wywołało nowe i głębsze poruszenie. Minister rozkazał niezwłocznie przenieść zakład Polaków z Avignonu do Lunelu, miasta więcej posuniętego na południe i położonego blizko Morza Śródziemnego. W tej zmianie upatrywano dowód, że rząd postanowił wyprawić Polaków do Algieru. Rozżalenie zajątrzyło się i Polacy oświadczyli, że nie pójdą do Lunelu. Komendant ponawiał rozkazy i groził odebraniem subsydyów, a Polacy oświadczyli w zamian, że opuszczą Francyę i udadzą się do Niemiec, lub do Ameryki. Wreszcie odstąpił od zamiaru, ale powyższe przejścia wywołały takie zamieszanie w zakładach, że pośrednik Potulicki zaklinał listami Kniaziewicza, by stanął na czele zakładów, sądząc, że to będzie jedyny sposób utrzymania posłuszeństwa i zaradzenia wybrykom szaleństwa.

Lelewel, zamiast uspakajać zapamiętałych, podtrzymywał raczej ich opór i nazywał go godnym wzruszenia, a do Lafayette'a napisał list z wyrzutami, z przesadnym patosem, wystawiającym straszną tragikę położenia Polaków w Avignonie. Minister uspokoił jednak Polaków i sprawę zakończono krakowskim targiem. Połowa Polaków została w Avignonie, połowa, około 600, poszła spokojnie do Lunelu.

Niebawem utworzony został piąty duży zakład w Bourges, oraz następne inne mniejsze w Lons-le-Saunier i Salins. Tym sposobem w Paryżu znajdowała się starszyzna wychodztwa, czyli posłowie, członkowie rządu, gazeciarze i dawni klubiści warszawscy, na ogół żywioł przeważnie cywilny. Na prowincyi przeciwnie zebrani byli przeważnie wojskowi. Rozprawiacze warszawsko-paryscy, ludzie słowa, z pewnem lekceważeniem spoglądali na ludzi szabli na prowincyi i przypisywali sobie nawet jakąś wyższość, dla tego, że nie od rządu pobierali zasiłki, że byli niezależni od pogardzonego juste-milieu. Ale właśnie to im towarzysze, na prowincyi będący, za złe poczytywali. W zakładach na prowincyi powstała też myśl, aby się uwolnić od wpływu emigracyi paryskiej, która liczyła zaledwie 200 wychodźców, wybierając w Paryżu radę centralną, w którym to pomyśle była pewna architektonika, symetrya społeczna. Rady zakładowe miała pokryć, jakby dach opiekuńczy „Rada centralna". Lelewel odpychał samą myśl delegacyi, chociaż przyznawał, że komitet, postawiony głosami wyłącznie paryskich Polaków, nie reprezentował całości wychodztwa. Pragnął on też, aby zakłady wysyłały delegatów, którzyby, jako członkowie, weszli w skład komitetu i tym sposobem utworzyli z niego ogólną reprezentacyę wszystkich Polaków we Francyi. Na to znowu delegowani, w myśl danych im instrukcyi, nie zgadzali się, oświadczając, że zakłady z Komitetem, który przez rząd źle jest widzianym, w jawnych stosunkach zostawać nie mogą, a tylko z nim takie utrzymać pragną. Ale myśl zachowania pewnej tajemniczości była utopią i istotnie cała rzecz nie przyszła do skutku.

W tymże czasie odbyła się narada generałów, którzy zgodzili się na pismo do króla, proszące o zatwierdzenie projektowanej reprezentacyi wojska. Użyto do tego celu generała Flahaut, adjutanta królewskiego. Ten po widzeniu się z królem oświadczył Kniaziewiczowi, że monarcha bardzo chętnie przyjmie adres, jeżeli ten wyrazi wdzięczność rządowi i nie będzie dotykał polityki. Taran, zaniepokojony tworzeniami delegacyi, rozgadał, że król wymaga adresu w duchu upakarzającym i zawierającego prośbę o wyjednanie amnestyi dla emigrantów. Skutkiem tych pogłosek generałowie okazali się mniej gorliwymi i pozwolili upaść sprawie adresu. Z wiosną r. 1832 z Taranu wyleciał rój nowych odezw, jako to do obywateli Lotaryngii, do obywateli Alzacyi, do Niemców, do Izby Hanowerskiej itp. Towarzystwo demokratyczne wysyłało znowu od siebie odezwy, a przytem wysyłało kilka osób do Londynu, aby wpływały na mówców angielskich. Ułożony został adres, który doręczono lordowi Ebrington. Podanie petycyi Polaków, jako manifestacya, ograniczona do krót-

kiego momentu, przeszło w scenach samego parlamentu prawie nieznacznie. Ale tekst adresu, wydany osobno i przedrukowany przez gazety, rozszedł się po Anglii i zwrócił na siebie uwagę publiczności. Zawarta w nim protestacya przeciwko Traktatowi Wiedeńskiemu nie sprawiła większego wrażenia. Tylko pośród Emigracyi, w umysłach namiętnością zaślepionych, utrzymałasię myśl, że Czartoryski stara się o Polskę, złożoną tylko z ośmiu województw.

W parlamencie angielskim uczyniona być miała w 1832 r. powtórna mocya w sprawie polskiej. Pierwotnie przedmiotem mocyi miał być adres izby do króla, by się o prawa Królestwa Polskiego upomniał, ale gdy się stało widocznem, że takowy nie przyjdzie do skutku, Fergusson postanowił swój wniosek ograniczyć na żądaniu, by ministrowie przedstawili Izbie korespondencyę dyplomatyczną, tyczącą się kroków, czynionych w Petersburgu w sprawie polskiej. Na mowy Fergussona, lorda Sandon, odpowiedział Palmerston wymijająco, a po nim przemawiało 16 mówców i to przychylnie za Polakami, ale w każdym razie cała sprawa parlamentarna, prócz garści frazesów, nie przyniosła żadnego realnego pożytku emigracyi. Tymczasem we Francyi zakłady traciły coraz więcej ufności do Komitetu i przed oczyma wychodztwa podnosił się w górę nowy meteor. Tym meteorem był generał Dwernicki, który, uwolniwszy się z Austryi, przybył do Paryża. Przy jego pomocy i współudziale przyszło nareszcie do porozumienia między zakładami a Komitetem Tarańskim i założony został komitet narodowy polski, jeszcze w 1832, a prezesem jego został generał Dwernicki.

W tymże samym roku uorganizowany został zakład w Paryżu i odbywał swoje posiedzenia w hotelu „Vauban", stąd nazwany został Wobanem. Osada polska emigracyjna miała więc w Paryżu dwa obozy: naprzeciw Taranu stanął Woban. Tymczasem nadeszła druga rocznica powstania, publiczność zebrała się w starożytnem opactwie, przyległem do kościoła St. Germain des Près, w gmachu, w którym mieszkał niegdyś król Jan Kazimierz. Wśród zgromadzenia było dużo kobiet, cudzoziemców, i posiedzenie otwartem zostało o godzinie 5, zagojonem przez hr. Lasteyrie, prezesa komitetu francuskiego, a potem nastąpił długi szereg mów polskich. Około godz. 8-ej przybył Lafayette i zajął miejsce między Dwernickim a Orłowskim. Między zbyt licznymi mówcami, przypuszczonymi do głosu bez wyboru i ograniczenia, stanął zastęp mniej lub więcej osławionych klubistów: Zaliwski, Czyński, Pułaski inni podobni. Pomimo głosów Dwernickiego i Ostrowskiego, którzy wzywali do zgody i łączności, klubiści, w imię pojęć demokratycznych, odpychali samą myśl jedności, aby korzystając

z licznego zgromadzenia, wybuchnąć przed niem żółcią nieukojnej ambicyi, zawiści i nienawiści. Jeden z nich, Krępowicki, posunął się jeszcze dalej; rzucił bowiem obelgę i potępienie na całą Polskę, plwał na jej przeszłość, mieszał z błotem jej społeczeństwo. Wobec cudzoziemców, w języku francuskim wystawił kraj polski, jako stek barbarzyństwa, a ludność podzielił na nędznych niewolników i katów niemiłosiernych. Krępowicki, nie zadawalając się smutnym tryumfem oratorskim, pośpieszył ogłosić swe bluźnierstwa w gazetach i osobnych drukach ulotnych. Komitet zaś Lelewela, zawsze tak pochopny do odezw i protestów, w tym wypadku zachował niezwykłe i niezrozumiałe milczenie. W grudniu 1832 r. komitet narodowy stały, zwany Lelewelowskim, przestał istnieć. Żywot jego był krótki, ale spuścizna ujemna. Pierwszy wniósł hasło niezgody, rozżarzył w emigracyi ducha partyjnego i rozwinął w niej bardziej przyrodzone skłonności anarchiczne. Nieoględną, namiętną ręką rzucał ziarna, które jemu samemu oczekiwanego plonu nie wydały, ale, wszedłszy na biednej glebie emigracyjnej, wybujały w dziki chwast i kąkole.

Nowy komitet, działający od 22 października 1832, kładł główny nacisk na potrzebę jedności i porządku. Sam jednak w początkach swego istnienia popełnił gruby błąd, którym naruszył swą godność i wykroczył przeciw elementarnym wymaganiom słuszności i sprawiedliwości. Gdy bowiem generał Chrzanowski został wezwany do Belgii, gdzie chciano mu dać dowództwo brygady, u niektórych członków nowego komitetu poruszyła się mocno zawiść i nienawiść. W imię troskliwości o pomoc tułactwu, potrafili pociągnąć innych członków, i oto komitet narodowy emigracyjny, po wspólnej naradzie, nie zawahał się wystosować do belgijskiego ministra wojny pismo, w którem na podstawie faktów fałszywych, albo wystawionych w świetle z prawdą niezgodnem, wystawiał Chrzanowskiego, jako renegata, wykluczonego z grona wychodztwa i potwierdzał kłamliwe wieści o nim rozsiewane, nie zbadawszy ich prawdziwości, nie wysłuchawszy obwinionego. Chrzanowski udał się osobiście do Dwernickiego i żądał w tej sprawie jego pośrednictwa, lecz Dwernicki wręcz mu odmówił. Komitet więc celu dopiął i odniósł zwycięstwo. Wobec pisma z Paryża minister zawahał się, i Chrzanowski dowództwa w Belgii nie otrzymał. Ale to zwycięstwo tryumfatorom korzyści nie przyniosło. Uległość dla krzyków namiętnych a płochych, mizerna żądza lichej popularności, powagi Komitetowi przysporzyć nie mogły.

W r. 1833 powstała wśród emigrantów myśl wskrzeszenia sejmu z r. 1831 i odbywania w Paryżu sejmowych posiedzeń. Czarto-

ryski, który właśnie wówczas przybył z Londynu do Paryża, zwracał uwagę, że sejm nie mógł-by się zgromadzić bez pozwolenia rządu paryskiego, radził więc wstrzymać się z jego otwarciem, zachować go na przyszłość, bo nadejść może chwila, gdzie sejm się istotnie okaże pożytecznym. Przeważna liczba członków była za otwarciem sejmu, ale naznaczony termin nie sprowadził kompletu, ograniczono się więc na wyznaczeniu nowego. Tymczasem posłowie nie przestawali schodzić się na posiedzenia familijne, gdzie nietylko gawędzili, ale nawet trybem parlamentarnym wysadzali różne komisye. Nareszcie dnia 3 stycznia 1833 r. znalazł się komplet prawem przepisany. Reprezentanci zebrali się w mieszkaniu Cezarego Platera w hotelu Wagram i do tej garstki zebranych przemówił Ledochowski—Prześwietne, połączone izby sejmowe—wkrótce jednak między samemi posłami obudziło się zniechęcenie i zwątpienie w skuteczność sejmowania. Nawet najgorliwsi zwolennicy przyszli do innego przekonania, pogardliwie o wartości sejmu się wyrażając.

Autor opowiedział bardzo szczegółowo niefortunną wyprawę Zaliwskiego w r. 1833 do Królestwa i jeszcze smutniejszą, bo śmieszną zupełnie, emigrantów do Sabaudyi. Ramorino, który był wodzem tej drugiej wyprawy, rozpuścił przed czasem ochotników, widząc, że sardyńskie wojsko stoi gotowe do odparcia powstańców, i że sama ludność Sabaudyi nie myśli się poruszać. W tymże samym roku rząd portugalski pragnął z polskiej emigracyi zorganizować dla siebie legię i nawet pozyskał w tym celu Bema. Całe jednak wychodztwo, łącznie z generałami, najzupełniej było temu przeciwne i na Bema powstała ogólna burza w łonie emigracyi. Gdy Bem znajdował się w miasteczku Mehun, wszedł do niego późno wieczorem niejaki Platon Pasierbski i, wyciągnąwszy jędną rękę jakby do uścisku, z lewej palnął z pistoletu w piersi generała i uciekł. Kula przebiła Bemowi tylko ubranie i oparła się o sztukę pięciofrankową w kamizelce sprawiwszy jednak mocną kontuzyę. Pasierbski z pomiędzy kilku fanatyków wyznaczony podobno losem na zgładzenie Bema „jako zdrajcę i wroga ojczyzny“, nie ścigany schronił się do Anglii. Wieść o tym wypadku sprawiła przerażające wrażenie na emigrantów, nie przeszkodziło to jednak, że drugi podobny zamach uplanowany był na pułkownika Breańskiego, który, wezwany przez Bema na dowódzcę przyszłego pułku piechoty legii portugalskiej, czekał w Roszelli na zbierających się tam ochotników. Do spełnienia zamachu nasłany był niejaki Teofil Gaszyński, ale ten rozgadał swój zamiar przed Polakami, ci oddali go władzy francuskiej, która go wydaliła z granic Francyi. Bem pod koniec roku 1833 udał się do Lizbony, ale

rząd portugalski, któremu legia nie była potrzebną, nie dotrzymał żadnego z warunków i niewygodnego Bema zaaresztował. Dopiero za wdaniem się lorda Howard, posła angielskiego, Bem, po kilkunastu dniach uwolniony, odpłynął na angielskim okręcie do Gibraltaru. W końcu 1833 r. udał się znowu generał Dembiński do Egiptu, gdzie przyjęty został jaknajlepiej przez Mahometa Ali i syna jego, Ibrahima. Dembiński otrzymał nominacyę na generalnego inspektora z przywiązaną do tego stanowiska pensyą 130,000 piastrów. Ibrahim pasza oświadczył się przytem z chęcią przyjęcia 400 oficerów polskich do wojska egipskiego. Ale wkrótce się rzeczy całkiem odmieniły. Basza pogodził się z sułtanem i w 1834 wydał postanowienie nieprzyjmowania Polaków do wojska i usunięcia z wojska tych, co już do niego weszli. Chciał jednak zatrzymać Dembińskiego i kilku innych wojskowych polskich, ale generał odrzucił czynione sobie propozycye i w 1834 powrócił do Europy.

Rok 1833 przyniósł dotkliwe rozporządzenia rządowe, pociągające za sobą głębsze zmiany w położeniu wychodźtwa we Francyi. Dotąd bowiem emigracya polska zostawała pod rozporządzeniem ministra wojny i władz wojskowych francuskich, gdy jednak oficerowie polscy w Afryce służyć nie chcieli, rząd francuski uznał za właściwe przekazać zarząd wychodźtwa w ręce administracyi cywilnej, przyczem taryfa żołdu znacznemu uległa zniżeniu. Niebawem przystąpił rząd do rozwiązywania zakładów i rozpraszał emigrantów po rozmaitych miastach i miasteczkach, tak, aby się nigdzie w większej liczbie nie znajdowali. W ten sposób przez lato 1833 r. wychodztwo rozsypane zostało po całej Francyi, na stokilkadziesiąt drobnych zakładów. Trzecia rocznica powstania nie odbyła się bez niemiłych zajść, chociaż miała miejsce w mieszkaniu generała Lafayette'a. Demokratyczne stronnictwo wygwizdało Niemcewicza, który był osobistym przyjacielem gospodarza domu.

Tom drugi dzieła p. Gadona, kończący się na roku 1833, zawiera dużo materyału ciekawego, a rozproszonego w zagranicznych bibliotekach. Opowieść w pracy powyższej nie posiada czasami dosyć jasności, a sąd wogóle trzeźwy i poważny, dla pewnych osobistości bywa niekiedy niechętnym, jakby uprzedzonym. Niezadługo prawdopodobnie ukaże się tom trzeci pracy p. Gadona, który ma być zarazem i ostatnim, a wtedy będzie można zastanowić się dokładniej nad przymiotami i niedostatkami dzieła powyższego.

A. R.

Zygmunt Gloger „Encyklopedya Staropolska Ilustrowana". Tom I. Aaron do Denar; 316 str., Warszawa 1900. Tom II. Departamenta — Kapelani, 332 str., 1901.

Jednolitością i wytrwałością, wytężoną zawsze w tym samym kierunku, odbija praca zasłużonego weterana od naszego zwykłego rozpraszania się na wszystko możliwe. Hasłem jej było stale: obce rzeczy wiedzieć dobrze jest, s w o j e o b o w i ą z e k. Czy to gromadząc bogate zbiory w Jeżewie, czy ogłaszając wyniki swych poszukiwań, hasłu temu autor nigdy się nie sprzeniewierzył.

Jako etnograf, opisuje lud i kraj, nadwiślański i nadniemeński, zestawia nawet wyrazy gwarowe, np. tykocińskie, daje celny wybór pieśni ludowych; jako historyk dawnej umysłowości, śledzi każdy jej objaw, od starożytnych zabytków językowych, aż do najdrobniejszych resztek materyalnych. W końcu zżył się tak i spoufalił z dawnymi ludźmi, czasami, stosunkami, a doświadczył przy tem tak często braku znajomości najprostszych szczegółów u naszej publiczności, że przyszła mu nader szczęśliwa myśl: w formie dla ogółu najprzystępniejszej, spopularyzować i wyłożyć całą bogatą swą wiedzę o dawnych ludziach i rzeczach. Myśl tę wykonywał nieraz i w rozmiarach drobniejszych, i zdawała o tem swego czasu sprawę „Biblioteka Warszawska"; tem bardziej należy się jej głos zabrać, skoro p. Gloger przystąpił do wykonania dawnych planów na skalę najszerszą.

Słownik jego starożytności polskich da się już teraz na podstawie pierwszych dwu tomów należycie ocenić; wiemy już, co dać zamierza, a co z programu wyklucza; wyłożył to sam autor w artykule „Encyklopedye polskie" (II, 135), a uzupełnił przygodnemi wzmiankami. Ograniczył on, jak najsłuszniej, bezbrzeżne niemal morze starożytności polskich, i tak wykluczył całkowicie geografię, historyę i literaturę; nie szukać więc nam u niego wiadomości bio-i bibliograficznych, monografii miejscowości, historyi nauk w Polsce, ani nawet archeologii przedhistorycznej. Za to znajdujemy u niego szczegóły życia towarzyskiego, „posiedzeń" i biesiad dawnych, od ich gier i tańców, do potraw, sprzętów i ubiorów, od czepców i gipiur damskich aż do zbroi husarskiej; szczegóły życia kościelnego i nabożeństwa, od Godzinek Maryjnych, Gorzkich żalów lub Kantyczek, aż do części ubioru kapłańskiego i do zakonów całych i klasztorów; szczegóły życia prawnego i politycznego, od liberum veto, władzy hetmańskiej

i interregnum, aż do terminów przewodu sądowego, do dylacyi, ekscepcyi i intromisyi; szczegóły życia ludowego, od pieśni dożynkowych aż do budowy chałup, do czółen i przyrządów rybackich; szczegóły życia artystycznego, narzędzia muzyczne, budowę ich, ornamentykę i styl; szczegóły z życia cechowego, z wojskowości, z mennicy, z herbów itd., itd.

Literatura wykluczona, ale o kalendarzach i dziennikach, o najdawniejszych zabytkach językowych, o Bogurodzicy lub Psalterzu floryańskim, o bibliach i przekładach pisma św., są artykuły piękne i pouczające; nawet Alwara groźnej pamięci i elementarze słusznie przyjęto.

Ani jeden z kilkuset artykułów nie wydał się nam zbytecznym, czy mniej stosownym; owszem, życzyli-byśmy raczej ich pomnożenia a szczególniej pomnożenia ilustracyi, naprzykład na osobnej tablicy dodać by można wizerunki herbów. Ileż razy zdarzy się stara książka, rękopis, czy co takiego, pieczątka, z wyciskiem herbu, pojedyńczego lub składanego (koligacyjnego)—szukajżeż w Niesieckim, nim trafisz na herb. Ale kwestya ilustracyi, to kwestya przedewszystkiem finansowa, a „Encyklopedya Staropolska", ograniczona szczupłością funduszów, koniecznie szerszego poparcia się domaga.

O nieodzownej potrzebie podobnego dzieła i rozprawiać nie wypada. Życie dawnej Polski, jej urządzenia, zwyczaje, drobnostki najmniejsze, tak już od dzisiejszych odbiegły, że ani sposób rozpatrywać się w nich bez doświadczonego przewodnika. Czytając dawnych autorów, pisząc powieści czy dramaty historyczne, badając sztukę i styl jej, źródła i archiwa, listy prywatne i dokumenty publiczne, natrafia się na szczegóły, zwroty, fakta, wymagające specyalnego objaśnienia; dostarcza ich obficie „Encyklopedya" Glogera, czytelnikowi zarówno, jak i badaczowi, artyście i belletryście. To jej pożytek bezpośredni, nieoceniony w danej chwili, dla każdego, kto czegoś szukać musi; ale działanie jej szersze. Samo rozglądanie się w jej łamach uczy cenić należycie rzeczy dawne, których tak do niedawna u nas wcale nie ceniono; ileż-to przepadło kart, zabytków, szczegółów, za dni naszych, dla niedbalstwa, lekkomyślności, obojętności. Żałować tylko wypada, że dzieło takie późno się zjawia, że skutki jego zbawienne dopiero się okażą. Dzieło to—poprostu dług wdzięczności wobec bogatej, sławnej, świetnej przeszłości, którą tak mało znamy i cenimy; najszczersze, najgorętsze uznanie należy się p. Glogerowi, że, nie licząc się z kosztami i siłami, nie gromadząc spółpracowników (prócz p. Polińskiego, dla działu muzycznego, a p. Gębarzewskiego dla rzeczy wojskowych), zabrał się sam raźno do dzieła i tak energicznie je prowadzi.

Tyle co do planu i ogółu dzieła, którego się dosyć nachwalić nie potrafimy; przejdźmyż do szczegółów.

I tu zachował autor miarę, wedle nas, wcale szczęśliwą, nie rozszerzył zbyt jednych, nie ścieśnił nadto drugich artykułów; wykład jego jasny, treściwy, trafny; przy bardzo wielu artykułach nic nie mamy do zauważenia—chyba to, żeśmy się nowych rzeczy nauczyli albo inne przypomnieli; niejeden z tych artykułów odczytywaliśmy z prawdziwą rozkoszą, nie raz jeden. Inne nastręczają nam pole do kilku uwag krytycznych. Nie wspominamy o błędach druku; tu i owdzie zauważyliśmy lapsus linguae. Naprzykład w artykule „Gratiarum actio“ (za Chocimskie zwycięstwo), II, 211, czytamy o „zwycięstwie przez 30,000 Polaków nad 400,000 Turków i Zaporożców“, gdzie naturalnie Zaporożców Sahajdacznego z Polakami łączyć należy. Mylne są nieraz etymologie, najsłabsza strona naszych poszukiwań uczonych, zawsze i wszędzie; co naprzykład na str. 245 o nazwach herbowych, raczej o zawołaniach powiedziano: „z francuskiego anilles, ucho kotłowe, powstała U l i n a, z niemieckiego Fellfisch W ą d w i c z, z Jungochs J u n o s z a, z Gelbfisch G l a u b i c z, z Habdank H a b d a n i e c“—nie wytrzymuje krytyki; są to pseudologie, nie etymologie,

W całym tym artykule uderza nas, że nie położono należytego nacisku na „zawołanie“, jako pierwotne, najszersze — herb sam toć dodatek nieraz znacznie późniejszy, ujawniający wpływy czysto-niemieckie, obce.

Pod g ę ś l ą czytamy, jakoby dla wydłużonego kształtu, niby szyi gęsiej, narzędzie nazywano; chociaż nazwa jego nie z gęsią, a tylko z g ę d ę—gram, w związku oczywistym pozostaje (jak przęśl, przęślica z przędę itd.). Tu należały-by się najgęstsze poprawki. W innych razach są opuszczenia, np. w artykule „Hrabia“, gdzie mowa o cudzoziemskich tytułach, nie wymieniono, że i Radziwiłłów tytuł książęcy takiego pochodzenia.

W artykule o dziennikach opuszczona ciekawa „Poszta (poczta) królewiecka“, którą Zenkier r. 1718—1720 wydawał, aż go obojętność publiczności polskiej zraziła, i inne. W innych razach życzylibyśmy pewnego pogłębienia; np. w artykule „Alchemia“ rozprawia p. Glogier głównie i słusznie o Sędziwoju; ale dzisiejszy czytelnik mógłby z tego artykułu pomawiać Sędziwoja o proste szalbierstwo; nie domyśli on się z tenoru artykułu, że alchemista kładł w swe dzieło całą duszę, że żył jak asketa, najnabożniejszy z ludzi, unikał świata i rozrywek jego, składał Bogu gorącą ofiarę z samego siebie, że żaden rycerz Artura nie szukał z takim zapałem i poświęceniem Gralu, ani żaden artysta nagiej duszy, jak Sędziwój kamienia mądro-

ści; że w snach tylko chwytał, czego na jawie szukał; że zawód jego był iście męczeństwem; dzieła Sędziwoja, np. alegoryę i sen jego (o drzewie słońca i miesiąca, o wodzie żywej—całkiem, jak w bajce ludowej), tłómaczone na inne języki, tylko nie na polski, np. na czeski. Można było wspomnieć o alchemicznych badaniach Salomona polskiego, Lubomirskiego, który Hermesa i podobne księgi znał wybornie. Tak można-by poprawiać i uzupełniać i inne artykuły, np. (bardzo zresztą obfity i trafny) o „błaznach“, chociaż „pobłażanie“ nie od nich nazwano (lecz od „pobłożyć“); już Stańczyk sławny nazywał się Gąską i nazwa ta kilku „błaznom“ się dostała; błaznowi Głowie (kardynała Maciejowskiego) poświęcił Grochowski wiersze, więc „Dzwonowskiego“, satyryczny zresztą „statut“ błazeński był nie jedynym tego rodzaju utworem; typowa to figura, od wierszy Krzyckiego i Janicyusza począwszy. Innego Maciejowskiego (zm. r. 1550) skrzywdził autor mocno, przewracając na nice anegdotę Kochanowskiego o nim i o Gamracie: Gamrat— to szuja podły, o niczem nie wiedział a plótł; poważny i mądry Maciejowski wszystko wiedział, ale nie wiele mówił. Pod Dziesięciorgiem przytacza autor dwa jego dawne teksty i wspomina, że w XVII wieku „znanym był jeden tekst wierszem ułożony“: nie w XVII, lecz już w XV wieku było ich kilkadziesiąt, a wszystkie rymowane, krótsze i dłuższe, prawione ludowi przy kazaniach, przy spowiedzi powszechnej: Salve Regina i rymowane Dziesięcioro, toć najczęstsze nasze teksty dawne; jest ich kilkadziesiąt. Pod Habdankiem powiedziano, że „przedmiot herbu (to co herb przedstawia), zowie się w zapiskach średniowiecznych łękawicą lub łękawką, a raz biokotką“—czytaj łąkotką, a znaczy to krzywulasy, linie krzywe. Pod „Hełmem“ można było wspomnieć, że się szłomem w dawnej polszczyźnie nazywał i tak jeszcze w rachunkach Jagiełłowych figuruje itd. Wyliczanie familii pod herbami wydaje się nam zbytecznem; należało zato silniej uwydatnić odmienność stosunków polskich od zachodnich, co autor może jeszcze pod „szlachtą“ uzupełni.

Ale to drobiazgi. Autor zasługuje na poparcie ogółu; równie pożytecznego, ciekawego, pouczającego wydawnictwa, ani sposób pomyśleć. A jakiem ciepłem, jakiem przywiązaniem do ziemi polskiej i jej ludu całość przejętal Treść sama przez się sympatyczna wielce, zyskuje nadzwyczaj na sympatycznem jej przedstawieniu. Żadna Encyklopedya powszechna nie zastąpi nam dzieła p. Glogera, bo chociaż Encyklopedye te uwzględniają i słusznie rzeczy polskie, giną te przecież w powodzi artykółów innych: wyodrębnienie ich, wykład ich obszerny, obfity, nieraz anegdotyczny, opatrzony rysunkami, zajmie i zaciekawi każdego; zamiast mozolnego ich wyławiania, ginących

w otoczeniu obcem, w gęstwie szczegółów chemicznych, astronomicznych i nieskończonych innych, znajdzie czytelnik skarbiec rzeczy własnych a dawnych, zapomnianych i niezrozumiałych, o których się często słyszy, a w gruncie mało się wie. I nabierają te szczegóły, nazwy, fakta, nowego, barwnego życia, i wskrzesza się zamierzchła przeszłość, i biją od niej blaski, i słychać jej głosy. Nie darmoż to Anteuszowi sił przybywało, skoro się ziemi ojczystej dotykał.

Nie ku autorowi, ku publiczności zwraca się krytyka nasza, z wołaniem o poparcie dzieła nam najpotrzebniejszego, najżywotniejszego, chociaż prawiącego o dalekiej, dalekiej przeszłości. A poparcie takie, zdaniem naszem, nie powinno-by się ograniczyć samem szerzeniem dzieła, samym odbytem jego księgarskim, lecz i nadsyłaniem uwag, podobizn, rysunków: i przeszłość naszę, i dzisiejsze zbiory nasze po muzeach publicznych i po domach prywatnych, stać jeszcze na liczne uzupełnienia „Encyklopedyi Staropolskiej“, na wzbogacenie i rozszerzenie jej łamów, na uwidocznienie bujnego bogactwa życia przodków.

A. Brückner.

Dr Ludwik Finkel: „Bibliografia historyi polskiej“. Część II (zeszytów 4). W Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności. 1895—1901, str. 531—1142.

Świeżo opuścił prasę czwarty zeszyt, zamykający część II „Bibliografii historyi polskiej“ (część I, we Lwowie, 1891, str. 527), którą zebrał i ułożył profesor Uniwersytetu lwowskiego, dr Ludwik Finkel, przy współudziale profesora Henryka Sawczyńskiego i członków kółka historycznego, uczniów Uniwersytetu lwowskiego.

Jest to dzieło wielkiej dla nas wagi, umożliwia ono bowiem prędkie i dokładne rozpatrzenie się i oryentowanie w tym materyale, który, dzięki pracy jednostek od całego szeregu wieków, z roku na rok, z dnia na dzień, coraz bardziej się rozrastając, doszedł do wcale potężnych rozmiarów. Dziś bez dzieła tego rodzaju, jakiem właśnie jest: „Bibliografia historyi polskiej“, trudno-by było każdemu z osobna pracownikowi, bez obcej pomocy, wyczerpać mniej lub więcej dokładnie źródła, przyczynki i recenzye, odnoszące się do tej lub innej kwestyi. Coraz to częściej stajemy się świadkami, jak z pod uwagi różnych badaczów uchodzi ten lub ów drobny, a jednak ważny przyczynek. Szczególniej dotkliwie czuć się to daje w dziale dziejów lite-

ratury. Drobniejsze utwory poetyckie naszych wieszczów, fragmenty, wyjątki z tak zwanych „pośmiertnych tek“, ogłaszane po różnych czasopismach, giną wśród powodzi innych utworów, posiadających małą, lub nieposiadających zgoła żadnej wartości. Również giną mniejsze, nieraz bardzo cenne opracowania tych właśnie fragmentów, lub przyczynki, wyjaśniające niejednokrotnie bardzo ważne szczegóły biograficzne naszych wybitnych pisarzy. Z powodu braku spisu tego rodzaju artykułów — szczególniej ogłaszanych w dziennikach — powracamy kilkakrotnie do poruszania wyczerpanego już dostatecznie przedmiotu. Tracimy więc niepotrzebnie i czas, i pracę... Dziś zaś, dzięki tej właśnie „Bibliografii“, każdy pracujący w dziedzinie historyi, literatury, etnografii, kultury polskiej i t. d., zaoszczędzi sporo i czasu, i pracy... Prawdziwa zatem wdzięczność należy się profesorowi L. Finklowi za przedsięwzięcie tego rodzaju pracy i wytrwałe jej prowadzenie przez ciąg lat kilkunastu.

Część druga „Bibliografii“, którą właśnie w niniejszem sprawozdaniu mamy na względzie, zawiera opracowania i z częścią pierwszą, zawierającą źródła, dokumenty, akty, mowy, relacye, listy, dalej kroniki, roczniki, żywoty, pamiętniki i t. p. za pośrednictwem odsyłaczów (№№), wiąże się w jedną nierozdzielną całość. Tymczasowy spis rzeczy części drugiej wykazuje następujące działy: I. Geografia i etnografia, II. Wiara i kościół (epoki: przedchrześcijańska i chrześcijańska; historye kościołów: katolickiego; ruskiego: schyzmatyckiego i unickiego, ormiańskiego, sekty, religia żydowska); III. Prawo i ekonomia (historya prawa polskiego, prawo publiczne, sądowe; stosunki prawne po rozbiorach; stosunki ekonomiczne) i IV. Oświata (historya obyczajowa: kultura, wychowanie, szkolnictwo; literatury: polska, ukraińsko-ruska, białoruska, litewska, pruska, hebrajska i ormiańska; sztuka: architektura, rzeźba, malarstwo, rytownictwo; przemysł artystyczny; sztuka ruska, żydowska, ormiańska; historya muzyki i sztuki teatralnej). Pod odpowiednemi rubrykami wymienione są liczne prace, przyczynki, artykuły i recenzye. Okoliczność, iż dość spora liczba tych ostatnich, porozrzucanych po różnych czasopismach, weszła do tego wydawnictwa, znacznie podnosi jego wartość, w recenzyach bowiem nietylko spotykamy rzeczowe sprostowania błędów, zawierających się w tych, lub w innych większych pracach, ale częstokroć recenzye posiadają większą wartość, niż same recenzowane prace.

Co się tyczy czasu, jaki obejmuje omawiana przez nas „Bibliografia“, to zaznaczyć należy, iż kończy się on rokiem 1815; data jednak, do której sięga wyzyskany materyał bibliograficzny, nie jest ściśle oznaczona.

„Bibliografia historyi polskiej“ jest u nas pierwszą pracą tego rodzaju, i jako taka, to jest jako pierwsza, nie może być bez zarzutu, czyli, że nie można było w niej nie pominąć tych, lub innych, nawet dość ważnych dzieł, artykułów, recenzyi... Przeglądając pobieżnie część II, zauważyliśmy następujące, zdaniem naszem ważne, opuszczenia, które pozwalamy sobie w krótkości na niniejszem miejscu zanotować: Przy № 20,853 opuszczono: M. Glokke: „Jan Kochanowskij i jego znaczenije w istorii polskoj obrazowannosti XVI wieka“ (Kijów, 1898. str. VI+296+11); tegoż: „Rifmotwornaja psałtyr Simeona Połockago i otnoszenije jeja k polskoj psałtyri Jana Kochanowskago“ (Kijów, 1896. Przy № 20,253 opuszczono bardzo ważne prace nietylko dla językoznawstwa, lecz i dla pra-historyi Słowian: A. Leskien: „Die Declination im Slavisch-Litauischen und Germanischen“ (Lipsk, 1876, str. XXIX + 158), w której autor określa stopień pokrewieństwa języka słowiańskiego do niektórych innych języków aryo-europejskich w dobie przedhistorycznej (cf. też Hassencampf: „Ueber den Zusammenhang des letto - slavischen und germanischen Sprachstammes“, Leipzig, 1876, str. 64); również I. Hanusza: „O dobie litewsko - słowiańskiej w stosunku do prajęzyka indo-europejskiego“ (Kraków, 1885, str. 24; odbitka z „Rozpraw wydziału filologicznego Akademii Umiejętności“, tom XI). Przy № 18,758 opuszczono: I. M. Kamińskiego: „O prostytucyi“ (Warszawa, 1882); przy № 18,732— jedyne do roku 1898 dziełko o kontraktach kijowskich: Aleksandra Grozy: „Mozaika kontraktowa“ (Wilno, 1857); przy №№ 11,452/70, 20,389 i n. — bardzo ważny głos profesora Baudouina de Courtenay w sprawie run (w wydawnictwie: „Izwiestia Kazanskago Uniwiersitieta“, 1876, zeszyt 1).

W dziale języków słowiańskich (str. 969) nie znajdujemy głośnej pracy profesora T. Floryńskiego: „Lekcyi po słowianskomu jazykoznaniju“ (Kijów, 2 tomy, 1895 — 1897) i odpowiednych recenzyi (o języku polskim St. Dobrzyckiego w „Pracach filologicznych“ tom V, str. 996); w dziale podróży i opisów krajów (do str. 555: „Krym“)— A. Nowosielskiego: „Morza, stepy i góry“ (dwa tomy). Przy №№ 21,839/47 (widoki Ukrainy) wypadało nadmienić o widokach Zofiówki (pod Humaniem), znajdujących się przy francuskiem tłómaczeniu „Zofijówki“ Trembeckiego przez de Lagarde'a (Wiedeń, 1815) i w albumie Themery'ego („Guide de Sophiówka“, Odessa, 1846). Dlaczego pod № 17,276 wymieniono tylko pierwsze wydanie „Opisu Kijowa“ Zakrzewskiego (z roku 1836, mała książeczka), a nie obszerne wydanie trzecie w dwóch ogromnych tomach in folio (Moskwa, 1868), pozostaje dla nas zagadką. W dziale historyi literatury pol-

skiej wśród „zarysów“ (podręczników, str. 961 – 993) opuszczono: Kazimierz Król i Jan Nitowski: „Podręcznik do historyi literatury polskiej“ (Warszawa, 1899, str. 537), również Zygmunta Bartoszewicza: „Historya literatury polskiej...“ (Wilno, 1828, str. XIII+77), ważna, jako pierwsza u nas próba utworzenia podręcznika szkolnego; w dziale o kobietach w Polsce (str. 910—912) nie znajdujemy Marcina Bielskiego: „Sejm niewieści“ (wydał dr Wł. Wisłocki w „Bibliotece pisarzów polskich“, pod tytułem „Satyry“. Wydawnictwo Akademii Umiejętności w Krakowie, 1889, str. XV + 119).

Daje się również czuć brak osobnej rubryki dla historyi teatru. Należało dział ten wyodrębnić z działu literatur polskich (str. 983). Przy dziele, oznaczonem № 18,249 (o jarmarkach) opuszczono imię autora; jest nim Aksakow; przy „Melodyach ludowych litewskich“ Juszkiewicza (№ 22,734) pominięto imię profesora Jana Baudouina de Courtenay, który właśnie przy współudziale w części muzycznej Z. Noskowskiego opracował i wydał ów wielce cenny zbiór. Przy № 21,134 opuszczono odsyłacz do № 19,498, a przy tytule dzieła Budziłowicza: „Pierwotnyje Sławianie...“ ważny dodatek: „po dannym leksikalnym“, jak również, iż dzieło to wyszło w dwóch tomach w Kijowie 1878/79 i 1882.

Przy dwóch pracach (№№ 11,482 i 20,434)—powtarzamy, iż dzieło to przeglądamy pobieżnie—opuszczono dwie, bardzo ważne recenzye. A tem ważniejsze, iż bez nich dzieła te wprowadzić mogą niespecyalistę w błąd. Temi recenzyami są: St. Łaguny o książce A. A.: „Zarysy charakteru Germanów i Słowian“ (Warszawa, 1877) w „Ateneum“ z roku 1877, tom drugi, str. 196 i profesora Baudouina de Courtenay o dziele ks. Fr. Malinowskiego: „Krytyczno - porównawcza gramatyka języka polskiego“ (Poznań, 1869/70, dwa tomy), drukowana w „Niwie“ (też odbitka: Warszawa, 1875, str. 47) i inne.

Nie jest słusznem pisanie w nazwiskach rosyjskich w transkrypcyi polskiej y zamiast i, naprzykład Musyn-Puszkin, Tychonrawow, Władymirow (na str. 1,037). Jeśliby to były nazwiska małoruskie, było-by to na miejscu, wymienione jednak nazwiska należy pisać: Musin-Puszkin, Tichonrawow, Władimirow i t. d. Należała-by się również staranniejsza korekta: wydrukowano Igli zamiast Iglò (str. 535), Budolicz zomiast Budiłowicz (str. 897). Również mylnie wydrukowrno wszędzie Zdanow zamiast Ždanow, Jagič zamiast Jagić. Nie wadziła-by też jednolita pisownia: raz spotykamy Šafařik, to znów w innych miejscach Szafarzik i t. p.

Są to wszystko jednak usterki mniejszej wagi, których, ze względu, iż wymieniona „Bibliografia“ jest pierwszem u nas podobnego rodzaju dziełem, uniknąć było bardzo trudno. Dzieło to, takie, jakiem jest, stanowi bardzo cenny nabytek w naszej literaturze naukowej.

Henryk Ułaszyn.

K. Krynicki: „Rys geografii Królestwa Polskiego“. Wydanie drugie. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1902, str. 297.

Książeczki dla ludu, ogłaszane przez p. Krynickiego, jak naprzykład o Wiśle i inne, cieszyły się dość znacznem powodzeniem, dzięki temu, że odpowiadały skromnym potrzebom umysłowym czytelników, poprzestających na elementarnych danych topograficznych, etnograficznych i wyliczeniu nazw rzek, miast, prowincyi, z dodaniem szczegółów objaśniających. Nie zadawalniając się tem, autor, powodowany szczerą niewątpliwie chęcią rozszerzenia i pogłębienia wiedzy o kraju, opracował w ponownem, rozszerzonem wydaniu swój dawniejszy (w roku 1887 wydany) zarys geografii Królestwa. Zarówno układ, jak rozmiary i cena tej, ozdobnie wydanej, książki, nie pozwalają zaliczać jej do kategoryi wydawnictw ludowych i stosować w jej ocenie odpowiedniej skali wymagań.

Przy swych najlepszych chęciach i gorliwości, uwydatniającej się w gromadzeniu różnorodnych danych i szczegółów, autor nie zdawał sobie widocznie sprawy, dla jakich czytelników pisze ową książkę, a przytem, co ważniejsza, nie był świadom swego nieprzygotowania do podobnej pracy. Odczytując naprzykład rozdział (str. 55), w którym p. Krynicki objaśnia z całą powagą czytelnikowi różnicę wsi od miasta, tłómaczy, co jest wieś, osada fabryczna, miasteczko, miasto i t. p., doznajemy wrażenia, że słuchamy odpowiedzi, udzielanych przez czternastoletnią dziewczynkę ośmioletniej siostrzyczce. Dowiadujemy się tu, iż wieś, w której jest kościół, nazywa się kościelną, ta zaś, w której zbudowano fabrykę, nosi nazwę fabrycznej; miasto, które ma urząd powiatowy, nazywa się powiatowem i t. d. W ten sposób przygotowuje autor swych czytelników, których jednocześnie uważa za zdolnych do rozumienia rozlicznych przeciętnych cyfr, jakiemi tak hojnie objaśnia stan oświaty, moralności, przemysłu i t. p. O stopniu naukowego przygotowania autora świadczy wymownie spis (we Wstępie) źródeł, z jakich czerpał swe wiadomości.

Prócz trzech świeższych opracowań statystycznych, spotykamy tu „Pamiatnyje kniżki“, tudzież korespondencye, opisy, pomieszczone w różnych Kuryerach i Tygodnikach. Ani jednej pracy naukowej z zakresu fizyografii krajowej autor nie poznał i nie uwzględnił. To też gdy wypadnie mu pisać o klimacie Królestwa, zamiast korzystać z poważnych prac z zakresu klimatologii i obserwacyi meteorologicznych, ogłaszanych w „Pamiętniku fizyograficznym“, przytacza jakieś cudaczne, fałszywe całkiem dane z trzech lat jedynie (1892 — 1894), z których wynika, iż naprzykład w roku 1894 mieliśmy lato islandzkie z temperaturą średnią 10.4°, a jesień z ciepłotą 4.7. Kto i gdzie robił i podał te obserwacye, tego nam autor nie powiada.

Objaśnienia geologiczne idą w parze z klimatologicznemi „Cała gleba urodzajna — powiada autor (str. 30) — powstała po większej części z kamieni, podobnych do tych, jakich mnóstwo zalega pola nasze“. Dodaje jednak zaraz, że głazy narzutowe nie we wszystkich guberniach się znajdują, stawiając przez to przed czytelnikiem zagadkę, skąd się w tych guberniach wzięła gleba, bez pomocy kamieni. Również naiwną jest geneza błot, powstającyach jakoby z wylewu rzek.

Mimo hojnego posługiwania się cyframi, autor, nie rozumiejąc onych należycie, albo czerpiąc dane z mętnych źródeł, wyprowadza z nich najfałszywsze wnioski. Z sum, jakie wydają magistraty różnych miast na szkoły, wnosi o stopniu dbałości ich o podniesienie oświaty. Z podanego przez autora wykazu wynika, iż Rypin stoi na czele całej grupy mniejszych miast, wydając 307 rubli rocznie, a Łęczna, poświęcająca tylko 7 i pół rub. rocznie, musi być w tym stosunku ciemniejszą od Rypina. Gubernia Kaliska stoi, zdaniem autora, bardzo nizko pod względem oświaty, ponieważ w roku 1880 na 2,229 wziętych do wojska nie umiało czytać 2,005. Cyfra ta, choćby była prawdziwą, dowodzi tylko, że owi rekruci nie umieli czytać po rosyjsku, ale mogli biegle czytać po niemiecku, polsku, lub w żargonie żydowskim.

Czy to w rozdziale o wierzeniach ludowych i mitologii, czy też w wywodach etymologicznych nazw (Wyłkowyszki od wycia wilków), popełnia autor, wskutek nieprzygotowania naukowego, liczne, rażące często błędy, pochodzące zwykle z posiłkowania się mętnemi źródłami. W kilkuwierszowym zarysie dziejów Warszawy pomieścił same prawie fałsze, przepisane z jakiegoś niedorzecznego „Przewodnika“, lub Kalendarza. Zarówno założenie przez Werszewców, jak płacenie dziesięcin do kościoła w Górze, pojawienie się miasta w roku 1313,

a osiedlenie się książąt mazowieckich w r. 1379, wszystko to są bajki, lub błędy, które, niestety, są u nas w ciągłym obiegu. Pan Kr. powołuje na czele swej pracy, jako jedno ze źródeł, „Słownik Gieograficzny“, dlaczegoż jednak nie zaczerpnął stamtąd dat do dziejów Warszawy?

Co dziwniejsze jeszcze, to pomieszczenie w specyalnym rozdziale o drogach żelaznych, nieistniejących wcale linii, jak: Tomaszowska i Płocka. Autor każe tym liniom obsługiwać liczne fabryki i cukrownie, miasta, które jednak może i za lat 10 jeszcze nie usłyszą świstu lokomotywy. Zdawało-by się, że w historyi rozwoju Łodzi niema miejsca na żadne legendy i wątpliwości, tymczasem p. Kr. powiada: „Podobno że do rozwoju tego miasta głównie przyczynili się Niemcy, którzy początkowo chcieli się osiedlić w parowach pod Płockiem, lecz tam nieprzyjęci, przeszli przez Wisłę i osiedli pod Łodzią“ (str. 161).

To, co przytoczyłem, wystarcza, zdaje się, do przekonania o wszechstronnem nieprzygotowaniu autora do pracy na polu krajoznawstwa. Współcześnie wydane „Opisanie Królestwa Polskiego“ przez S. (Warsz., 1901), może w przeciwstawieniu do dziełka p. Kr., posłużyć każdemu, zabierającemu się do pisania podobnych książek, za wzór popularno - naukowego opracowania.

Że p. Kr., przebywając na prowincyi i kształcąc swój umysł lekturą czasopism warszawskich, nie mógł mieć jasnego pojęcia o wymaganiach nauki, ufny w powagę swych źródeł, pozbierał z nich mozolnie mnóstwo błędów, niedorzeczności, lub niepotrzebnych całkiem drobiazgów, a pominął to, na co należało zwrócić uwagę, to rzecz dość naturalna, ale że przed wydaniem tej książki w Warszawie nie poddano jej rozpatrzeniu, oczyszczeniu, czy przeróbce gruntownej, to trudno zrozumieć i darować.

Br. Cu.

Władysław Matlakowski: „Zdobienie i sprzęt ludu polskiego na Podhalu“. Zarysy życia ludowego, poprzedzone życiorysem autora, wydał dr Józef Peszke. (Z dwoma podobiznami autora, 65 tablicami i przeszło 150 rycinami w tekście). Warszawa, 1901. Z zapomogi Kasy imienia d-ra Józefa Mianowskiego. Cena rb. 6 (kor. 15).

Dzieło wspaniałe pod każdym względem. Druk, papier, ryciny w tekście i na tablicach bez zarzutu, okładka nawet stosowna i bardzo oryginalna. Rzecz od pierwszego rzutu oka pozyskuje czytelnika.

Otwieramy i wgłębiamy się w treść. Wprawdzie dotarcie do jądra rzeczy niezbyt łatwe, bo trzeba przeczytać siedm stron wstępu „Od wydawcy“, opisującego „fata libri“ — wprawdzie życiorys ś. p. autora na 91 stronicach dużej czwórki może niejednego zniecierpliwić: ale wreszcie docieramy do rzeczy samej i, po przeczytaniu wstępu ś. p. autora, stajemy przed c z ę ś c i ą o g ó l n ą, ugrupowaną w trzy działy: a) ozdób geometrycznych, b) roślinnych i c) zwierzęcych. Zasada podziału czysto zewnętrzna, jak sam ś. p. autor przyznaje, tłómacząc się, że na klasyfikacyę motywów „nie było go stać“, a nawet na uporządkowanie chronologiczne brak mu było czasu. Usprawiedliwienie zbyteczne, wynikłe z niezwykłej sumienności autora, który zwykł był od siebie żądać bardzo wiele, nawet za wiele. Może inne ugrupowanie było-by pożądane dla historyków sztuki, dla artystów; ale etnograf z tego, co jest, musi być w zupełności zadowolony, a przecież ś. p. autorowi o to głównie chodziło.

Przebijamy się tedy przez s k i b y, r e c i c e, m i r w y, ł a m a n i n y, z ą b c e, k r z y ż y k i, k a r b y, g a d z i k i i inne najrozmaitsze motywy geometryczne, na które Podhalanie mają takie trafne i piękne wyrażenia, że — jak ś. p. Matlakowski mówi — „utworzone na miejscu w chwili, gdy zjawiła się potrzeba, zawsze są wynikiem przedziwnej lingwistycznej logiki i zgody z prawami. Szczególne niespodzianki witają nas w motywach roślinnych, począwszy od k ł ó s k a i d z i e w i ę c i o r n i k a, a skończywszy na l e l u j i i z ł o t o g ł o w i u. Mniej interesu przedstawiają motywy zwierzęce i ludzkie, bo tu już potrzebne rysunek i plastyka, którym samorodni rzeźbiarze-cieśle nie podołają.

Nie wiemy, dla czego ś. p. autor nie oddzielił w części ogólnej tego, co mówi przy końcu o materyale i sposobach zdobienia. Wszak to do obrazu motywów nie należy, a lubo zajęty przedmiotem czytelnik nie łacno spostrzeże, że do innego przeszedł tematu, jasność układu wymagała na str. 44 od wyrazów: „Ogromna większość...“ utworzyć nowy rozdział.

Część szczegółową (od str. 59) czyta się nie jak materyał etnograficzny, ale jak przepiękny obraz wrażeń i wspomnień samego autora. „Po glejowatej, k i e ł z k i e j (ślizkiej) ścieżce wygramolamy się na polankę, a z niej bardzo stromym c h o d n i k i e m w las jodłowy i s m r e k o w y, zarastający głęboki jar: na samem dnie, kamienistym ź l e b e m leci czysta woda, wśród brzegów żółtych od *Chrysosplenium*; przekraczamy ź l ę b i, wspinając się po drugiej ścianie jaru, ścieżyną śród uroczego gąszczu, chłodu lodowatego, wreszcie wyglądamy na polanę, zalaną słońcem; przed nami gromada

g á j ó w, śród nich siedziba...". Czy ten opis, pierwszy lepszy z brzegu, jaki przytoczyliśmy, to nie poemat swego rodzaju?

W takich barwach prostych, ale dziwnie pięknych, zwiedzamy z autorem dom góralski z zewnątrz, poznajemy gruntownie wnętrze i jego urządzenie: w białej izbie ł a w ę, l i s t w ę, stół w i e l g a c h n y, s t o l i c e (stołki), skrzynki, a w czarnej, oprócz tych samych, mniej ozdobnych, sprzętów, łóżko s m r e k o w e, ł y ż n i k i, s t ę p k i, w a ł k o w n i c e i t. p. W ten sam sposób poznajemy k o m o r ę, w y s k ę na poddaszu, sień i j a t ę; potem budynki gospodarskie, sprzęty, całą zagrodę; a potem, gawędząc z gazdą, dowiadujemy się szczegółów z rolnictwa, sianokosu, pasterstwa (niezmiernie malowniczo skreślonego), poznajemy o b r ó b k ę lnu, (ze śpiewami) w a r c u l e i k ą d z i e l, pracę w lesie, odzież (ze wszystkiemi szczegółami) i strawę, czyli pożywienie. Ale brakło-by było eszcze najjaśniejszej karty w życiu każdego, a więc i w jednostajnem życiu górala: obrazu wesela i związanych z niem zwyczajów i przedmiotów. Podaje nam to ś. p. autor w „Zamknięciu" w sposób wielce obrazowy, tak, że chciało-by się dla przykładu przepisać choćby znaczną część tego poematu, wyrywającego się z duszy autora, kiedy go prawie już opuszczała — *celat umbra*"...

Tak się przedstawia dzieło w swej treści.

Musiał-by być dziwnie uprzedzonym recenzent, który-by nie przyznał, że treść powyższa, choćby w szczegółach niewyczerpana, odsłoniła nam kawałek świata dotąd nieznanego, że zwróciła uwagę nietylko na cuda przyrody tatrzańskiej, ale na te objawy twórczości ludu, które go najlepiej cechują i we właściwem, odrębnem, a tak sympatycznem stawiają świetle. Ale oddając prym ś. p. autorowi w tem, co stanowi jego niespożytą zasługę, i co jest wynikiem jego artystycznej duszy, nie możemy nie wskazać, czego dziełu brakuje, i nie nadmienić, że nie może ono być wzorem podobnych w folklorystyce opracowań.

Przedewszystkiem tytuł jest w stosunku do treści za wielki. P o d h a l e, podług zwykłego rozumienia rzeczy, to wprawdzie nie cała dolina Nowotarska od Klikuszowej do Zakopanego i od Odrowąża do Dębna, ale to przedewszystkiem doliny Czarnego i Białego Dunajca, począwszy od miejscowości tych samych nazw w górę i to w r a z z tym całym szeregiem mniejszych i większych osad, które się między temi dwiema dolinami skryły w głębokie fałdy tatrzańskiego podnóża, od Gubałówki i Palenicy na północ, a więc wsie: Dziamów, Ciche, Bystra, Ratułów, Międzyczerwone w zachodniej, a Zubsuchę, Bańsko, Skrzypne, Maruszyna aż po Rogoźnik we wschodniej połaci. Tymczasem zarówno w tekście, jak i w objaśnie-

niu dodanych tablic, spotykamy nazwy tych miejscowości bardzo rzadko, albo ich wcale niema: jest to zaś ciekawe, że jeżeli tylko w rysunkach coś uderzy oko odmiennego, z pewnością pochodzi z jednej z owych wsi, zresztą mało uwzględnionych (vide: Łyżniki, Spinki). Ś. p. Matlakowski nie tai tego, ale (jak na str. 40) wyraźnie przyznaje, że „dla braku zdrowia nie mógł był zwiedzać Podhala i zwrócić należytej uwagi na te przejawy ludowej sztuki". Tymczasem zarówno w tekście, tak i we wstępie (strona 10) zaznacza otwarcie, że nie mógł dla choroby zwiedzić szerszego obrębu, nie mógł oznaczyć granic tego typu zdobnictwa i nie mógł uwzględnić wyrobów ceramicznych. Bolejemy głęboko nad temi nieprzyjaznemi stosunkami, bo możemy sobie wyobrazić, coby nam mógł był zebrać jeszcze ś. p. Matlakowski, gdyby mu Wyższe wyroki pozwoliły były jeszcze kilku lat życia; ale, nie czyniąc z tego zarzutu, o s t r z e g a m y p r z e d m n i e m a n i e m, jakoby w zakresie zdobnictwa podhalskiego poza dziełem Matlakowskiego nie dało się już nic uczynić. Owszem, piszący te słowa dopiero od niedawna mieszka w lecie na Podhalu bez specyalnego celu gromadzenia ornamentyki, ale z ogólnego etnograficznego patrząc na rzeczy stanowiska, zdołał zgromadzić cały szereg motywów, nieznanych Matlakowskiemu, bo nie z Zakopanego pochodzących. Pole tedy jeszcze nie uprawione, pracowników tylko brak, i to pracowników, którzy-by choć w części ożywieni byli tym świętym do przedmiotu zapałem, jaki przenikał wszystkie prace ś. p. Matlakowskiego.

W tem samem miejscu wstępu, w którem przyznaje się ś. p. Matlakowski, że nie zwiedził szerszego obrębu, dotyka sprawy, która ma szersze i donioślejsze, bo m e t o d y c z n e w etnografii z n a c z e n i e. Wspominając z żalem, że nie mógł zwiedzić Orawy, Liptowa i Śpiżu, a nawet dalszych górskich okolic, daje ś. p. Matlakowski do poznania, że czuł potrzebę p o r ó w n a n i a zebranego materyału, że miał pojęcie o tem, czego-by dokonać należało, aby praca jego była lepsza pod względem naukowym. Trzeba przyznać, że to odczucie potrzeby a niemożliwość jej zaspokojenia usprawiedliwia w wielkiej części autora; nie może zaś usprawiedliwić tych, którym Pan Bóg daje czerstwe zdrowie, daje siły do dalekich i zmudnych wycieczek, daje nawet sposobność do zwiedzenia wspomnianych, sąsiednich Podhalu okolic, ale im nie daje zmysłu dostrzegawczego i odczucia potrzeby porównania, wskutek czego widzą w Zakopiańszczyźnie jakieś prastare, w y ł ą c z n i e p o l s k i e (?) motywy, coś z tej zamierzchłej wiekami przeszłości, która trąci podobnie myszką, jak baśni o Krakusie i smoku...

Nie tu miejsce na wykazanie, że ład to oczywisty, i że charakter budowli podhalskich, zdobnictwo, strój i ceramika, są z pewnemi drobnemi odmianami wspólną własnością słowiańskich plemion, mieszkających po obu stronach całego łańcucha Karpat i Tatr, i że kto wie, czy podobnie jak w języku do dziś dnia zachowały się wpływy wołoskie, (rumuńskie), nie dało-by się i w innych objawach twórczości podhalskiej wynaleźć jakiej między temi narodami spójni. Przedewszystkiem zaś nie można pod żadnym warunkiem spuszczać z oka porównania z sąsiednimi Słowakami, z którymi analogie są bijące w oczy. Jest-że to więc styl, i to zakopiański? Jest-że to rodzime polskie, co jest własnością i sąsiedniego słowiańskiego plemienia?

Ale o tem może będziemy mieli sposobność pomówić kiedy obszerniej i dokładniej; na dziś zaznaczamy, że jak co do obszaru „zakopiańskiego“ zdobnictwa, tak i co do zrozumienia jego ducha, trzeba nam bardzo studyów porównawczych, które nietylko przekonają, że „Orawa, najbliższa i żadną granicą nieoddzielona“, nie jest w całej górnej części „słowacką“ (str. 10), lecz polską ziemią, ale które nam odsłonią dla poznania pochodzenia właściwości podhalskich, tak odrębnych i zajmujących, nowe zupełnie horyzonty...

Praca ś. p. Matlakowskiego nie powinna być i w tym kierunku uważana za Alfę i Omegę, ale powinna być początkiem i podnietą do poważnych badań.

Chcąc wyczerpać wszystko, co się o dziele tak niezwykłem da powiedzieć, nie możemy pominąć jeszcze szczegółu, co do którego nie wiemy, czy autor, czy wydawca zawinił. Byłoż niezbędnie potrzeba te same rysunki w tekście umieszczać po dwa, lub trzy razy, jeżeli ilustrować miały inne przedmioty? Nam się zdaje, że powołanie się na tę a tę figurę zupełnie wystarczało, tem więcej, że rycina, do innego celu użyta, zupełnie niczem się nie różni od poprzedniej. Tak mamy to samo w rycinie 110 i 121; 45 i 46 a 133 i 134; 120 a 136; 85 a 145; są nawet te same ryciny w tekście, a potem po raz drugi podane na tablicy, jak naprzykład ryc. 98 i część tabl. XXXVIII. Że się powtarzają niektóre ryciny z „Budownictwa“, rzecz to całkiem zrozumiała.

Nakoniec wspomnieć musimy jeszcze o jednym szczególe. Ś. p. Matlakowski cenił, a może i przeceniał gwarę zakopiańską, i stąd pochodzi, że w całym tekście jest mnóstwo wyrażeń luźnych i zwrotów, przez słownikarzy i dyalektologów dotąd nie zapisanych. Nowy dowód, ile można zebrać nawet przygodnie, jeśli się zebrać chce. Ale ś. p. Matlakowski nie był dyalektologiem, i dlatego źle dosłyszał nie jedno brzmienie, nie jeden dźwięk mowy góralskiej. Pragnący z niej

do studyów korzystać, muszą poprawić *gruby* na h r u b y, *merska* (str. 60) na m e r z - k a, bo tu przyrostek *ki*, a temat *mrz*, tak jak na str. 61 *kielzki* (k l z - k i), a naodwrót: czytać na str. 63 w y s k a nie *wyzka*; również należy czytać ł y ż n i k, a nie *łyźnik*, k i j a ń, a nie *kijań*, d u h n ą ć, a nie *duchnąć*; k i e r p c e, nie *kierbce* i t. p. Wszystkich przykładów nie mamy powodu tu przytaczać.

Korekta, w ogólności staranna, nie uniknęła jednak takich błędów, jak: „filozofią ludowę“ (str. 2), „zający“ (str. 5), „szewjsowanie“ (str. 9) zamiast „szwejsowanie“—a szczególnie: „w podłóż“, zamiast: „w podłuż“. O języku i stylu ś. p. Matlakowskiego mówić nie chcemy, ma on swoje właściwości, które raczej za dobre, niż za niepoprawne poczytać należy; i tu tedy jest, jak w całem dziele, samodzielnym mistrzem. Nie życzymy sobie tylko, aby ktoś w dziele etnograficznem naśladował w tej mierze ś. p. Matlakowskiego, bo mógł-by łatwo doznać losu Ikara...

Roman Zawiliński.

KRONIKA MIESIĘCZNA

Dzień 14 lutego roku bieżącego był setną rocznicą urodzin Bohdana Zaleskiego. Z tego powodu w kościele katedralnym świętego Jana odbyło się uroczyste nabożeństwo, poświęcone pamięci zmarłego poety, a liczny napływ publiczności świadczył wymownie o tem, że duchowa puścizna „słowika ukraińskiego“ należycie przez współczesnych jest ceniona. Uczciła ją i prasa, zamieszczając w dniu tym odpowiednie artykuły i nie szczędząc słów uznania dla melodyjnych dumek i szumek. A były te słowa, jak kwiaty, rzucone na mogiłę poety, który miał to nieszczęście, że przeżył swoich rówieśników, przeżył wspaniałą dobę rozkwitu romantyzmu polskiego i własnemi oczyma patrzał na to, jak mróz nowych prądów warzył najpiękniejsze ogrody poezyi romantycznej, odbierał im krasę i wdzięk. Zaleski umarł dopiero w roku 1886, przeżył więc cały okres pozytywizmu i musiał się poddać skalpelowi krytyki nowoczesnej. Była to wiwisekcya prawdziwa. Młodzi odebrali starcowi wieniec, którym go obdarzyło pokolenie poprzednie, odsądzili go nie już od sławy, ale od talentu poetyckiego, bo nie doszukali się w nim żadnej idei społecznej, żadnej tezy, żadnej teoryi filozoficznej. Dziś te wymagania, stawiane sztuce przed laty trzydziestu, nie wytrzymują krytyki, i dziś powinna nastąpić rehabilitacya poety, który musiał ze smutkiem odchodzić z tej ziemi niewdzięcznej, i z żalem głębokim do swoich. Dla tego było-by bardzo pożądane, aby, korzystając z rocznicy, która przypomniała Zaleskiego ogółowi, przypomnieć także temu ostatniemu i dzieła jego. O kompletne wydanie poezyi Zaleskiego jest dziś już dosyć trudno, a wydania krytycznego, ułożonego z pewną myślą przewodnią — nie posiadamy wcale. Takie wydanie, podjęte w setną rocznicę urodzin poety, było-by największym dla niego hołdem. Może uskuteczni to Lwowskie Towarzystwo wydawnicze, które jedyne z naszych firm wydawniczych pamiętało o Zaleskim, i przed

kilku tygodniami wypuściło studyum biograficzno-literackie o nim, napisane przez p. Zdziarskiego, a będące jedyną obszerną biografią poety, doprowadzoną do końca.

W roku bieżącym mija 25 lat pracy literackiej Maryi Konopnickiej. Nazwisko to mówi wiele. Nie potrzeba uzasadniać, że jeśli który z poetów doby współczesnej zasłużył na wieniec laurowy, to wieniec ten spocząć powinien na skroniach Konopnickiej. Nie potrzeba tłómaczyć, jakie są jej zasługi społeczne i literackie. Trudno się jednak powstrzymać od kilku uwag w przedmiocie jej dzisiejszego, j u b i l e u s z o w e g o stosunku do społeczeństwa.

Urodzona w Suwałkach w roku 1846 z ojca Józefa Wasiłowskiego i matki Scholastyki z Turskich, poetka w dzieciństwie utraciła matkę i pozostała pod wyłączną opieką ojca, pod którego kierunkiem pobierała pierwsze nauki. Następnie rok jeden przebywała u pp. Sakramentek w Warszawie, a wkrótce potem wyszła za mąż i zamieszkała w Bronowie, w Łęczyckiem. W roku 1875 zmuszona była dla zdrowia wyjechać w Tatry. W podróży tej odniosła wielkie wrażenie i po powrocie podzieliła się niem z publicznością, drukując szereg pieśni ulotnych, pod tytułem: „W górach". Taki był początek poetyckiej działalności tego wielkiego talentu. Odtąd pieśń Konopnickiej nie milkła już, ale stawała się coraz potężniejszą, rosła w moc i w siłę, zdumiewając bogactwem barw i dźwięków. Lira jej, o tak bogatym stroju, że z żadną inną współczesną porównać się nie da, brzmiała zawsze czystym dźwiękiem prawdziwej sztuki, mimo, że idąc za głosem prądów chwili, chętnie szła w służbę idei społecznej.

Nie wam, słowiki, wtórzyć przychodzę,
Nie z tobą, różo, kwitnąć przy drodze,
Którą przemija smutnych tysiące,
Niesionych burzą od wieku...
Nie z tobą w blaskach budzić się, słońce,
Co świecisz równie cicho i jasno,
Czy duchy płoną, czy w walce gasną,
Lecz z tobą płakać, człowieku!

Tak pisała Konopnicka przed laty dwudziestu i nikt inny nie miał-by równie wielkiego prawa, jak ona, podpisać się pod tem — całem życiem swojem. To było jej hasło, przy którem wytrwała i trwa,

wszczepiając w każdą, najdrobniejszą piosnkę swoją, pierwiastek miłości człowieka. To czyni ją poetką pokolenia, które obok niej rosło i z nią razem działało, zagrzewane do czynu i pracy jej pieśnią. Ale obok tej struny, ileż strun innych dźwięczało na jej lirze złotej? Najgłębsze zagadnienia ducha ludzkiego, największa tajemnica serca, wszystko,co dobre, wysokie i piękne, znajdowało wyraz w jej pieśniach. Od sielskich piosenek, wygrywanych na fujarce, w których jej wyjątkowy talent zamykał w jednej strofie całą piękność krajobrazu swojskiego, lub w kilku wyrazach otwierał przed czytelnikiem duszę chłopską, do „Fragmentów“ dramatycznych, do wspaniałej purpury „Imaginy“, do ogromnego eposu „Pan Balcer w Brazylii“, do cudownych strof o Italii, pełnych włoskiego słońca i wrażeń duszy subtelnej, otrzymanych na widok arcydzieł sztuki i pomników sławy — jakież to przejście olbrzymie! I wszystko to w Konopnickiej znalazło wielkiego, może jedynego dla siebie poetę. Co za skala szeroka, jaki zasób myśli i uczucia, jaka moc ogarniania wszystkiego! Mimowoli cisną się tu pod pióro własne słowa poetki:

Wielki ty jesteś, serc królu, poeto!
Co wstrząsasz myśli, uczucia i wolę,
I na błyskawic pełnem nosisz czole
Znamię geniusza, który jest kometą
Na ciemnem wieków i narodów niebie...

Taką kometą na ciemnem niebie pozytywizmu warszawskiego była Konopnicka, taką jest dzisiaj na niebie poezyi współczesnej. I oto z bogatym dorobkiem, z wiązką kłosów złocistych i plennych stoi dziś na łanie pracy swojej, daleka od wypoczynku, daleka od kresu trudnej drogi swojej. Społeczeństwu, jako poetka, dała wiele — dała duszę swoją, rozsypała przed niem klejnoty pieśni królewskich: Czemże jej ono za to odpłaci, jak ją uczci, jak wdzięczność swoją okaże? Te pytania nastręczyć się muszą każdemu w roku jubileuszu poetki. Czy będzie to tylko jubileusz cichy i niemy, obchodzony uroczyście w sercach tych, którzy się do wdzięczności poczuwają, czy znajdzie on swój wyraz zewnętrzny, i jaki?

Nie wątpimy, że społeczeństwo odczuwa żywą i niekłamaną potrzebę złożenia poetce hołdu, że myślą o tem zwłaszcza kobiety polskie, które tak dużo zawdzięczają Konopnickiej i których ona jest dumą. Ale poetka jest także dumą literatury, czy więc ta ostatnia w osobie swoich przedstawicieli współczesnych nie powinna jej także

uczcić? Czy za przykładem ksiąg zbiorowych, jakie wydawano już u nas niejednokrotnie, nie powinna powstać na cześć Konopnickiej wydana księga pamiątkowa? Ten sposób wyrażenia czci i hołdu przez współczesnych pisarzów polskiej wielkiej poetce wydaje się nam bardzo właściwym i bardzo pożądanym. Nie wiemy, — może już kto o tem myśli, może już projekt w tym kierunku dojrzewa? Ale dla tego właśnie, że nie wiemy, zabieramy głos w tej sprawie — może on jest zbyteczny i spóźniony, a może będzie przypomnieniem chwili, koło której przejść obojętnie byłoby smutnym objawem zaniku w nas zdolności do oceniania prawdziwych zasług, prawdziwych talentów i płodnej pracy.

Wobec braku u nas należycie zorganizowanej biblioteki publicznej, każda próba udostępnienia ogółowi dzieł z pewnego chociażby zakresu nauki lub sztuki zasługuje na zaznaczenie. Z tych względów pisaliśmy w swoim czasie o podręcznej bibliotece pedagogicznej, jaka powstała przy sekcyi Wychowawczej Towarzystwa hygienicznego, z tych samych względów pragniemy obecnie poświęcić słów kilka bibliotece, organizowanej przez Towarzystwo zachęty sztuk pięknych.

Jedną z sal w pałacu swoim Towarzystwo przeznaczyło na bibliotekę specyalną, obejmującą najpotrzebniejsze dzieła i wydawnictwa, dotyczące sztuki. Wiadomo, że wydawnictwa takie są bardzo drogie, zwłaszcza, o ile zawierają reprodukcye o wartości artystycznej, o ile nie są encyklopedycznemi przewodnikami po galeryach i pracowniach mistrzów, ale opracowane zostały głębiej i szerzej przez fachowych uczonych. Nie każdy może się zdobyć na to, aby jedno lub drugie z dzieł takich posiadać na własność, żadna zaś biblioteka prywatna artysty lub literata, wyjąwszy chyba bogatych kollekcyonistów, nie jest w możności zgromadzenia tych dzieł w ilości większej. Stąd w razie potrzeby zbadania jakiejś rzeczy bliżej, poinformowania się o niej z dobrego źródła, kłopot niemały. Stąd także płytkość naszych sądów i nieuctwo niemal zupełne w dziedzinie sztuki. Rozumiejąc to, Towarzystwo zachęty postanowiło przynajmniej w skromnych granicach spełnić zadanie, od dawna na niem ciążące. Któż bowiem inny, jeżeli nie ono, dbać powinien szczególniej o krzewienie kultury estetycznej, o pogłębienie smaku artystycznego i szerzenie zdrowych sądów o sztuce w jaknajdalszych kołach inteligencyi? Dawniej nie było o tem mowy, Towarzystwo bowiem roz-

porządzało bardzo szczupłemi środkami i jeszcze szczuplejszym lokalem. Obecnie jednak środki się wzmogły, a własna siedziba znakomicie sprzyja temu, aby rozwinąć jakąś planową, na pewnym programie opartą, działalność. Pierwszym, najkonieczniejszym punktem tej działalności jest niewątpliwie biblioteka. Dostępna nietylko dla członków T-wa, ale dla każdego, kto zapragnie z niej korzystać, odda ona niemałe usługi wszystkim, interesującym się sztuką wogóle. Sądzimy jednak, że jest to dopiero początek, naprzód, że biblioteka powoli dopiero będzie się mogła kompletować i że upłynie lat szereg, zanim stanie się pokaźnym i wyczerpującym daną dziedzinę księgozbiorem; powtóre, że społeczeństwo nasze jest wogóle tak mało jeszcze wyrobione i tak mało samorzutne, że trzeba je niemal wziąć za rękę i do biblioteki zaprowadzić. Dla tego wydaje nam się niezbędną rzeczą, aby w sali bibliotecznej odbywały się co czas pewien konferencye z zakresu sztuki, zagajane przez wybitniejszych naszych malarzy, lub krytyków, a charakteryzujące, czy to pewien kierunek znamienniejszy w malarstwie, lub rzeźbie, pewną szkołę, dawną lub nową, czy też twórczość tego lub innego artysty. Odczyty takie, lub pogadanki były-by bardzo pociągające i bardzo na miejscu, coraz częściej bowiem Towarzystwo urządza wystawy specyalne. Niedawno mieliśmy wystawę Żmurki, wystawę Wywiórskiego, dziś mamy przepyszną wystawę Pankiewicza, jutro lub pojutrze będziemy mieli znów inną, obejmującą całokształt twórczości danego malarza. Dla czegoż-by więc, korzystając z takich sposobności, nie urządzać pogadanek, poświęconych określeniu stanowiska tego, lub innego malarza w sztuce, dla czegóż-by nie urządzić wieczorów lub niedziel artystycznych, gdzie swobodna biesiada i wymiana poglądów taki duży przynieść-by mogła pożytek? Po takiej konferencyi niejeden z biorących w niej udział zapragnął-by może sam przeczytać jakieś dzieło poważne i przejrzał-by jakieś wydawnictwo illustrowane nieco inaczej, niż przywykł oglądać albumy z fotografiami znajomych. Zdaje się, że Towarzystwo tą drogą właśnie powinno „*zachęcać*“ członków swoich do bliższego zapoznania się ze sztuką.

Jednym ze znamienniejszych objawów życia dzisiejszego są częste pojedynki. Uznane przez wielu za średniowieczny zabytek, mianowane przez wszystkie niemal kodeksy europejskie — zbrodnią, za którą kara rozciąga się nawet na sekundantów, a pomimo to na całej linii niezwykłą cieszące się tolerancyą i pobłażaniem, w stosun-

kach towarzyskich podnoszone do „bohaterstwa“, w sądownictwie zasługujące zawsze na uwzględnienie okoliczności łagodzących, na patrzenie „przez palce“, wreszcie — na przedstawienie do łaski monarszej — pojedynki stały się dzisiaj najpospolitszą formą załatwiania spraw honorowych, a w niektórych sferach — sportem, równie dobrym, jak każdy inny.

Nie rozbieramy tu przyczyn tego zjawiska, do których przedewszystkiem zaliczyć-by należało rozwielmożnienie się militaryzmu, poprzestajemy tylko na stwierdzeniu faktu, który, jako taki, zwrócił na siebie uwagę kół towarzyskich w Galicyi i w Poznańskiem, gdzie też zakrzątnięto się około utworzenia Towarzystwa przeciwpojedynkowego. Na czasie byłoby także pomyśleć o tem i u nas.

W pismach warszawskich w ostatnich latach bardzo często spotykać można wzmianki o pojedynkach. Dyskretnie podawane wiadomości, plotka z ust do ust idąca, pierwsze litery nazwisk przeciwników, wydrukowane w kuryerku porannym — lotem błyskawicy roznoszą po mieście wiadomość. Mówi się wtedy wszędzie o pojedynku, jako o wypadku dnia, komentuje się „dżentelmeńskie“ zachowanie się pp. X. i Y, czule się wspomina młodego chłopca, który w wiośnie życia poległ śmiercią „bohaterską“, wtajemnicza się ciekawe kobiety w reguły pojedynku, wydobywa się z kieszeni „kodeks honorowy“ (bo i taki istnieje) — i stacza się w salonie teoretyczną dysputę, zakończoną najzupełniejszą sankcyą pojedynku. Nic wobec tego dziwnego, że pp. X. i Y. znajdują nazajutrz naśladowców i oto po kilku dniach znów spotykamy wiadomość o pojedynku, który się odbył pomiędzy lekarzami, prawnikami, literatami, dowiadujemy się o kontuzyi, ranie postrzałowej, wreszcie — o wytoczeniu sprawy przez prokuratora. Nie wiemy najczęściej tylko o jednem — że zatarg był błahy, a wymiana kul — zbyteczna. To zaś stanowi właściwy rdzeń całej sprawy o pojedynkach.

Nie myślimy przeczyć, że są wypadki, są starcia, z których jedynem wyjściem jest pojedynek, wypadki te należą jednak do wyjątkowych, poza tem zaś istnieje prawdziwie błędne koło pojęć o honorze i bardzo pogmatwana klasyfikacya obraz i zadośćuczynień. Dzięki temu powodują pojedynki urazy drobne i takie, które, jeśli nie w cztery oczy i przy pomocy przywołanych do porządku władz umysłowych, to przy pośrednictwie kilku ludzi zaufanych, mogły-by pomyślnie być załatwione i nie narażać na utratę życia żadnego z chwilowych przeciwników, którzy jutro mogą paść sobie w ramiona i być najlepszymi przyjaciółmi. Naszym „dżentelmenom“ jednak podobne załatwianie spraw nie wystarcza, pragną oni bowiem przy tem

wszystkiem rozgłosu, chcą, aby mówiono o nich i pokazywano ich sobie palcami.

Jeżeli więc dojdzie do założenia towarzystwa przeciwpojedynkowego, — to najgłówniejszym jego celem powinno być prostowanie mylnych pojęć o honorze i dążenie do tego, aby wszelkie sprawy honorowe były załatwiane w najpoważniejszy i dający stronie obrażonej rzeczywistą satysfakcyę sposób.

Nie wiemy, na jakich zasadach oprą się Towarzystwa przeciwpojedynkowe w Galicyi i w Poznańskiem, to pewna jednak, że muszą one nakreślić sobie program jak najszerszego oddziaływania na całe społeczeństwo, czy to za pomocą konferencyi, zebrań publicznych, odczytów i broszur, czy w jakikolwiekbądź inny sposób. Trudne to będzie i niemiłe w początkach, złośliwość bowiem ludzka i brawura studencka będą widziały w Towarzystwach takich instytucye, dające schronienie „tchórzom“. Dla tego Towarzystwa muszą się uzbroić w cały zasób argumentów teoretycznych, opracowanych ściśle i naukowo i — na razie przynajmniej — nie powinny od członków swoich brać bezwzględnego zobowiązania co do nieprzyjmowania pojedynków, ale poddać ich tylko rygorowi, polegającemu na tem, że pojedynek członka T-wa może się odbyć nie inaczej, jak na podstawie orzeczenia złożonego ad hoc sądu honorowego, który rozstrzygnie bezapelacyjnie, o ile stanąć na placu jest rzeczą konieczną w danym wypadku. Sądy takie miały-by regulamin, opracowany zgodnie z najwyższemi i istotnemi zasadami pojęcia honoru. Te zasady zaś należało-by krzewić i szczepić wszędzie, zwłaszcza pomiędzy młodzieżą, która do pojedynków jest pochopna i łatwo w sprawach honorowych ulega przywidzeniom i afektom. Szerzenie takich zasad przynieść może sprawie pożytek daleko większy, niż surowsze jeszcze od dzisiejszych przepisy ustawodawcze. Za wzór mogą tu posłużyć stosunki angielskie, gdzie paukantów czeka infamia towarzyska i gdzie wskutek tego pojedynki są niezmiernie rzadkie, a jeżeli dochodzą do skutku, to poza obrębem kraju.

Wtedy stosunki powoli będą się zmieniały i z czasem pojedynek przestanie być „Sądem bożym“, a rozprawa honorowa — tragiczną nieraz rozrywką ludzi, niemających nic do stracenia i zabijających nudę i przesyt życiowy pukaniną z pistoletów.

Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło w ostatnich czasach ustawę nowej, a bardzo potrzebnej u nas instytucyi — Towarzystwa opieki nad chorymi pozaszpitalnymi. Jaka jest doniosłość

takiego Towarzystwa, uzasadniać nie potrzeba, zbyt głośne bowiem i zbyt częste są skargi na brak miejsca w naszych szpitalach, aby się one nie odbiły dotąd szerokiem echem wszędzie, gdzie słowo drukowane dociera.

Zadaniem Towarzystwa, które za patrona obrało sobie św. Antoniego, jest, wedle ustawy, udzielanie pomocy i tymczasowego pomieszczenia chorym, którzy na razie do szpitali miejskich przyjęci być nie mogą. W tym celu T-wo zakłada pomieszczenie dla chorych którzy z utworzeniem się wolnego miejsca przenoszą się do jednego ze szpitali, i udziela bezpłatnej pomocy lekarskiej w swoich lecznicach i ambulatoryach.

Towarzystwo składa się z nieograniczonej liczby osób wyznań chrześciańskich płci obojej. Członkowie T-wa dzielą się: a) na członków założycieli, płacących na korzyść T-wa jednorazowo nie mniej, jak rub. 100; b) rzeczywistych, — płacących rocznie po 10 rub., lub ofiarujących bezinteresownie swą pracę; c) honorowych, wybieranych przez zebranie ogólne członków z pośród osób, które położyły dla T-wa szczególne zasługi.

Fundusze Towarzystwa tworzą się ze składek członków, legatów i darowizn, majątków i kapitałów, należących do Towarzystwa, wreszcie z dochodów z przedstawień, odczytów i zabaw, na ten cel z upoważnienia władzy urządzanych. Kapitały Towarzystwa umieszczają się albo w papierach państwowych, albo w depozytach instytucyi kredytowych państwa, lub wreszcie na hypotekach nieruchomości warszawskich. Zarząd sprawami Towarzystwa spoczywa w rękach: a) rady opiekuńczej, b) ogólnego zebrania członków i c) komisyi rewizyjnej.

Rada opiekuńcza składa się z dziesięciu członków, wybieranych na trzy lata z pomiędzy członków Towarzystwa, przez tajemne balotowanie na zebraniu ogólnem. Na tychże zebraniach wybierani są czterej kandydaci do zastąpienia występujących w ciągu kadencyi członków rady.

Rada opiekuńcza wybiera z pośród siebie, przez tajemne balotowanie, prezesa, wiceprezesa, kasyera i sekretarza, bez ograniczenia płci. Dożywotnim prezesem Rady jest główna założycielka Towarzystwa, Julia hr. Aleksandrowiczówna. Prezesa zatwierdza warszawska rada miejska dobroczynności publicznej. Członkowie rady pełnią swe obowiązki bezinteresownie.

Rada odbywa posiedzenia w miarę potrzeby, lub wskutek piśmiennego żądania przynajmniej trzech członków rady. Do obowiązków jej należy: ogólna administracya interesami Towarzystwa, znoszenie się z władzami, zwoływanie zebrań ogólnych i t. d.

Co do korespondencyi Towarzystwa, to winny być zachowane następujące przepisy: 1) stosunki Towarzystwa i jego pełnomocników z władzami i osobami urzędowemi winny być prowadzone w języku rosyjskim; 2) na zapytania i odezwy w języku rosyjskim, skądbądź pochodzące, odpowiedź winna być dawana w tymże języku; 3) wszelkie czynności wewnętrzne Towarzystwa, nie wyłączając protokółów i dzienników posiedzeń, buchalteryi i rachunkowości, winny być prowadzone tylko w języku rosyjskim. Powyższe żądania, o ile dotyczą buchalteryi i rachunkowości, ograniczają się prowadzeniem ksiąg buchalteryjnych i sprawozdań z nich w języku rosyjskim; ogłaszania zaś sprawozdań dozwala się i w polskim języku, z warunkiem, żeby tekst polski był drukowany równolegle z rosyjskim; 4) stosunki z innemi Towarzystwami i osobami prywatnemi mogą się odbywać w języku polskim.

W razie rozwiązania Towarzystwa, całe jego mienie przechodzi na rzecz istniejącego „Towarzystwa opieki nad nieuleczalnymi chorymi w mieście Warszawie".

Pomijamy szczegóły ustawy, jako nieróżniące się niczem od normalnych tego rodzaju przepisów, podkreślimy natomiast jeszcze jedną stronę działalności nowego Towarzystwa. Oto poczyniono już jakoby starania o wyjednanie u władz pozwolenia na prawo kształcenia w zakładach Towarzystwa dozorczyń dla chorych i wydawania dozorczyniom takim świadectw uzdolnienia do tego zawodu. Kto, mając kiedykolwiek obłożnie chorego w domu, lub sam będąc chorym, odczuł brak opieki i przeszedł wszystkie kłopoty, jakie towarzyszą u nas wyszukaniu dozorczyni w potrzebie, ten łatwo zrozumie, jakie doniosłe znaczenie będzie miało przygotowanie zastępu wykwalifikowanych fachowo dozorczyń. Z jednej strony ułatwi to pielęgnowanie chorych w domach, gdzie obecnie pielęgnowanie takie musi się odbywać albo z uszczerbkiem godzin pracy, albo z uszczerbkiem godzin wypoczynku członków rodziny chorego, z drugiej zaś strony—otworzy to nowe zródło zarobkowania dla wielu kobiet, które, poświęcając się pielęgniarstwu, nietylko znajdą zarobek, ale i zadowolenie moralne, jakie przynosi zawsze przeświadczenie o tem, że się jest pożytecznym. Należy więc życzyć Towarzystwu, aby jak najrychlej ten swój zamiar w czyn wprowadziło, i rozpoczęło pożądaną działalność. Sądzimy, że garnąć się do tego będą przedewszystkiem kobiety samotne ze sfer inteligentnych, które na tej drodze największą i najprędzej znajdą pociechę i ulgę w nieszczęściu własnem.

W № 35 „Kuryera Warszawskiego“ z dnia 4 lutego r. b. gorąco przemówił p. Aleksander Moldenhawer w sprawie Towarzystwa opieki nad ubogiemi matkami i ich dziećmi. Nie będziemy tu przytaczali słów jego, będących wyrazem głęboko odczutej niedoli społecznej i aktem wysokiej świadomości obywatelskiej, poprzestaniemy tylko na zaznaczeniu smutnego faktu, że Towarzystwo, nad którem, zdawałoby się, szczególną pieczę rozciągnąć-by powinny wszystkie matki zamożniejsze, i nie tylko matki, ale mężowie ich i bracia, po chrześciańsku pojmujący swój stosunek do bliźnich, że Towarzystwo takie posiada zaledwie 372 członków.

Oczywiście, w takich warunkach środki muszą być za szczupłe, aby wystarczyły na rozwinięcie należytej działalności. Oczywiście też dla tego, przechodzień, mijający zakład T-wa przy ulicy Hożej pod № 70, widzi nad jego bramą nie znikający nigdy napis „miejsca niema“. Dla przechodnia ten napis jest obojętny, ale jaką rozpaczą napełniać on musi pierś kobiety ubogiej, która przychodzi tu szukać ratunku i, nie szarpnąwszy nawet za dzwonek, wraca od progu, straciwszy ostatnią nadzieję na pomoc dla siebie i opiekę nad mającem przyjść na świat maleństwem,

Ile takich dramatów i tragedyi bezgłośnych rozgrywa się pod bramą zakładu — Bogu jednemu wiadomo. A przecież w mocy naszej leży otarcie niejednej łzy, uśmierzenie niejednego bólu! Jesteśmy miłosierni, to prawda, ale miłosierdzie nasze jest odruchowe, niema w niem ciągłości, niema świadomego i wytrwałego działania ku niesieniu ulgi cierpiącym. Dajemy wiele, ale dajemy tam, gdzie najsilniej uderzy ktoś w dzwon, gdzie chwilowy skieruje nas poryw serca. Szybko jednak zapominamy o niedoli, która przejęła nas do głębi, a której nawet największy datek zupełnie usunąć nie zdoła. Brak pamięci w tym względzie, bo nie brak serca współczującego, jest niewątpliwie jedyną przyczyną, dla której instytucye w rodzaju Towarzystwa opieki nad matkami i ich dziećmi nie rozwijają się u nas tak, jak we Francyi np., ale wegetują, w skromnych zaledwie granicach wypełniając szerokie swoje zadanie. I będzie tak dopóty, dopóki społeczeństwo nie zrozumie, że w takim kierunku trzeba iść zwartą falangą; dopóki wszyscy ludzie o budżecie wyższym ponad normę konieczną, nie będą się poczuwali do zostania członkami stałymi Towarzystw filantropijnych, tak jak się poczuwają do obowiązku prenumerowania pism, kupowania książek, chodzenia do teatru, uczęszczania na wystawy sztuk pięknych itd. Z drugiej jednak strony i wszel-

485

kie tego rodzaju Towarzystwa powinny ułatwiać społeczeństwu zapoznawanie się z swoją działalnością, powinny przynajmniej raz do roku rozsyłać po mieście odezwy, rozrzucać swoje sprawozdania, nawoływać i wskazywać drogę. Na dziennikach poprzestać nie można. Dziś się pojawi artykuł w jednej lub drugiej gazecie, a jutro utonie on już w morzu zapomnienia. Przyjdą nowe fakty, zdarzenia, wypadki i zagładzą wrażenie wywołane artykułem wczorajszym. Fala życia bieżącego płynie wartko, niesie z sobą tyle zmian i ogarnia tak szeroki zakres zjawisk, że prasa, tej właśnie fali bieżącej poświęcona, nie może spełnić należycie zadań w kierunku filantropijnym. Zresztą w naszem społeczeństwie coraz więcej jest już ludzi, którzy dziennik czytają dorywczo—w kantorze, w tramwaju, w biurze, w cukierni i którzy szukają w nim przedewszystkiem najbliżej siebie obchodzących wiadomości. Z odezwą towarzystwa filantropijnego trafić trzeba do zacisza domowego, tam, gdzie swary i zgiełk walki życiowej milkną, gdzie każdy, najwięcej pracą pochłonięty człowiek, ma chwilę wypoczynku, może dać folgę czystym i szlachetnym uczuciom, może się zastanowić głębiej nad tem, jaka jest droga do czynienia dobrze.

Sądzimy też, że Towarzystwo, którego niedomagania przedstawił nam p. Moldenhawer w artykule wspomnianym, powinno się przedewszystkiem tego środka chwycić i — bądźmy szczerzy — powinno więcej się reklamować, bo ogół mało wie o niem, mało wie o przytułku na krańcach Hożej ulicy. Powiedzą nam może, że reklama jest tu nie na miejscu, ale tak nie jest. Co innego bowiem jest krzykliwa reklama kupiecka, przesadna i bombastyczna, nieraz niezgodna nawet z prawdą, co innego zaś—informowanie o potrzebach społecznych, przedsięwzięte ze szlachetną myślą ulżenia niedoli ludzkiej. Reklama taka nie może występować w szatach arlekina, ale może się zjawić w postaci ogłoszeń w tramwajach, w postaci odezw, dołączanych kupującym przez sklepy o większej klienteli, drukowanych na afiszach teatralnych, cyrkowych i wyścigowych, rozdawanych przez posłańców na ulicach, roznoszonych, wreszcie od czasu do czasu po domach wraz ze sprawozdaniem rocznem.

Kładziemy na to nacisk, bo naszem zdaniem nie w ofiarach bogatych jednostek, ale we współdziałaniu szerokiego ogółu leży przyszłość wszelkich instytucyi społecznych.

Opiekujmy się tedy ubogiemi matkami, zapisujmy się na członków Towarzystwa, bo brak tej opieki stwarza niedolę dziecięcą, o której jednocześnie prawie poucza nas w „Gazecie Polskiej“ dr. Stanisław Kamieński.

Lekarz domu wychowawczego przy szpitalu Dzieciątka Jezus, jak nikt inny, zna on potrzeby dzieci i zna smutną statystykę ich chorób. Zdaniem jego na szczególne współczucie zasługują dzieci, dotknięte skrófułami i początkami gruźlicy, stanowią one bowiem 1-o najliczniejszy kontygens dzieci, dotkniętych chorobami przewlekłemi, 2-o zaś dla tego, że skrofuły i gruźlica, nieleczone odpowiednio, pociągają za sobą smutne następstwa, jak oto: męczące wysypki skórne, zapalenie oczu, gruczołów, próchnienie kości itp., 3-o wreszcie— i wzgląd to bardzo ważny—że skrofuły i początki gruźlicy są chorobą zupełnie uleczalną i że dzieci, niemi dotknięte, przy odpowiednem leczeniu stać się mogą w przyszłości bardzo pożytecznymi członkami społeczeństwa i wywdzięczyć mu się za poniesione ofiary. Nie leczone zaś dzieci takie, albo umierają przedwcześnie, albo wloką nędzny żywot, jako istoty upośledzone, niezdolne do pracy, a przytem szerzące wkoło siebie zarazę.

Usunąć tej niedoli—mówi dr Kamieński—żadne społoczeństwo nie może, bo imię jej: legion. Może jednak zapobiedz jej, co nie tylko taniej kosztuje, ale jest daleko łatwiejsze do wykonania, niż zwalczanie gruźlicy u dorosłych, nie mówiąc już o skrofułach, które są zupełnie uleczalne.

Na pytanie, gdzie jednak i jak leczyć te skrofuły i gruźlicę u dzieci, odpowiada autor temi słowy:

„Naturalnie, nie w ciemnych i wilgotnych suterenach, ciasnych i nizkich poddaszach, gdzie mieści się nędza, bo ona tam skrofułów i gruźlicy nabywa, jeśli już jej nie odziedziczyła po rodzicach, wyrosłych w tych samych warunkach. Nie można leczyć gruźlicy środkami farmaceutycznemi, gdyż nauka nie zna ani jednego środka, który-by, prócz chwilowej ulgi, sprowadzał jakieś rzeczywiste polepszenie w stanie chorego; powtóre, co mogą pomódz choćby najzbawienniejsze środki apteczne, jeśli złe powietrze, złe odżywianie, brud i ciasnota mieszkania co chwila psują to, coby jakieś leczenie poprawić mogło? Nie można chorych na skrofuły i gruźlicę leczyć w szpitalach, gdyż instytucye te nie są przeznaczone dla chorych chronicznych. Chorzy tacy wymagają nieraz kilkumiesięcznego leczenia, więc zajmują miejsce, przeznaczone dla chorób ostrych, krótkotrwałych. Nie dość na tem, jeżeli nie skrofuły, to gruźlica, są chorobą zakaźną i dlatego chorzy na nie powinni się znajdować w szpitalach ogólnych. Dla tego to szpitale ogólne pozbywają się o ile możności chorych na gruźlicę, a nie przyjmują innych dzieci skrofulicznych, prócz tych, którym zrobić trzeba operacyę chirurgiczną. Żebyż przynajmniej pobyt w szpitalach był dla skrofulików i suchotników korzystnym! Tymczasem — bynajmniej tak nie jest. Dzieci, dotknięte temi chorobami, marnieją

i więdną w szpitalach. Nawet gruźlica kości leczy się w szpitalu źle i doświadczony chirurg, po dokonaniu niezbędnych zabiegów, radzi zawsze choremu leczyć się poza murami szpitala".

Po takiem odmalowaniu stanu rzeczy, dr Kamieński wyznaje, że jedynem miejscem, odpowiednem do leczenia dzieci gruźlicznych i skrofulicznych—było-by specyalnie urządzone na to sanatoryum, jedynym zaś skutecznym środkiem leczniczym—dobre odżywianie, dobre powietrze i ściśle do odpowiednych wskazań zastosowany regulamin życia.

Niewątpliwie. I oto otwiera się przed społeczeństwem nowe pole do pracy zbiorowej, do ofiar materyalnych. Piękna idea d-ra Kamieńskiego, wykwitła na gruncie wielkiego snadź umiłowania cierpiącej ludzkości i przyszłych losów własnego społeczeństwa, zasługuje na gorące poparcie. Nie tylko lekarz, któremu gwiazdą przewodnią w życiu jest niesienie ulgi wszelkiemu cierpieniu, ale każdy człowiek, rozumiejący dobrze znaczenie wyrazu „dziecko" i pielęgnujący w sercu swojem jakąś głębszą ideę społeczną—musi się na to odezwać. Życie jest krótkie i mija bez naszej woli. Nigdy nie spełniamy w niem tego, co zaczniemy, wiele rzeczy, wiele spraw zostawiamy rozpoczętych i umierając, pocieszamy się myślą, że dokończą je za nas ci, co po nas przyjdą, że oni doprowadzą szczęśliwie nawę społeczną do tych lądów dalekich, które my przez mgłę oddalenia zaledwie oglądać możemy. Ale jednocześnie zjawia się także pytanie, czy doprowadzą? i duszę ogarnia smutne zwątpienie. Własne życie przekonało nas o tem, że świat naprzód pchają jednostki silne i zdrowe, że im więcej tego zdrowia i sił w narodzie, tem więcej uczynić on potrafi, tem silniej stoi, jako ogół, na tem wyższe wspina się szczeble rozwoju—a oto widzimy całe masy wśród siebie ludzi karlejących, tylu słabych i wątłych, z zapadłą klatką piersiową, z twarzą bladą, młodych, a steranych przedwcześnie. Na nich nie oprze się ani przemysł krajowy, ani rzemiosło, ani handel—oni nie będą dźwignią postępu, ale jako naturalny hamulec krępować będą swobodne obroty wielkiego koła rozpędowego, wprawiającego w ruch tysiączne tryby machiny społecznej, aż ich to koło zmiażdży i odrzuci, jako nieużytki.

Nie możemy więc zapominać o tem, że każdy zdrowy człowiek przyszłości, to siła wytwórcza, to jeden puls więcej w zbiorowem tętnie narodu, a każne dziecko—to materyał na tęgiego człowieka. Im więcej tych dzieci ocalimy, im większej liczbie z pośród nich damy możność prawidłowego rozwoju fizycznego, tem węższem korytem płynąć będzie niedola społeczna, tem jaśniejsze horoskopy będziemy mogli stawiać na schyłku dni naszych.

Starajmy się uświadomić to sobie dobrze, a sanatoryum powstanie z pewnością, znajdą w niem przytułek dzieci, chorobą przewlekłą i kalectwem zagrożone, a wyjdą stamtąd z rumieńcem na twarzy i w pełni sił staną kiedyś do wspólnej pracy z synami naszymi, na których wychowanie nie szczędzimy środków i zabiegów.

W Zakopanem dnia 31 stycznia r. b. zmarł ś. p. Ksawery Pilatti, znany rysownik. Wybitnych zdolności artystycznych zmarły nie posiadał, rzeczy większych i trwalszych nie tworzył, był jednak w swoim czasie talentem pożytecznym i nazwisko jego zapisało się dobrze na kartach naszej sztuki ilustratorskiej. Było to wówczas, kiedy „trawionki“, tak chętnie dziś stosowane i tak obniżające poziom artystyczny pism ilustrowanych, nie weszły jeszcze w użycie powszechne i kiedy chwilę bieżącą odtwarzała nie fotografia momentalna, ale ołówek wprawnego rysownika. Jednym z tych właśnie rysowników, których prace zamieszczały ówczesne „Kłosy“, „Tygodnik powszechny“, „Wieniec“, „Tygodnik ilustrowany“, „Biesiada Literacka“, a których nazwiska zyskały przez to dużą popularność—był Pilatti.

Urodzony w Warszawie w r. 1843, zmarły kształcił się początkowo w b. warszawskiej szkole sztuk pięknych, następnie—w Monachium. Powróciwszy do kraju, z zamiłowaniem oddał się pracy ilustratorskiej, która zapewniła mu byt dostatni. Doczekawszy się chwili przełomowej, ś. p. Pilatti od ołówka przeszedł do zapomnianego w pracy z dnia na dzień pędzla i schyłek życia swojego poświęcił malarstwu religijnemu. W dziedzinie tej nie wykroczył poza obręb przeciętnej poprawności, przyczynił się jednak do usunięcia z kilku świątyń w kraju bohomazów i zastąpienia ich dobrze wykonanemi kopiami dzieł artystycznych.

Dnia 11 lutego r. b. przestał żyć nagle ś. p. Lucyan Wrotnowski, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli naszego świata prawniczego, wydawca i redaktor dziennika „Słowo“, człowiek dużej pracy i energii, silnej woli i dużych zdolności.

Ś. p. Wrotnowski urodził się w Warszawie dnia 7 stycznia 1847 roku. Rodzicami jego byli: Antoni, znany w swoim czasie mecenas, i Gabryela z Brezów. Odebrawszy w domu rodziców staranne

wychowanie, ś. p. Wrotnowski kształcił się we Francyi, i w r. 1867, jako dwudziestoletni zaledwie młodzieniec, ukończył paryską szkołę praw ze stopniem licencié en droit. Powróciwszy do kraju, zaraz w następnym roku magistrował się w Szkole Głównej, poczem niezwłocznie przeszedł na niwę praktyki prawniczej, na której niebawem zasłynął, jako biegły i zdolny cywilista. Stosunki, które zawdzięczał z jednej strony towarzyskiemu położeniu rodziców, z drugiej—węzłom krwi, nawiązanym przez małżeństwo z Maryą z Tabęckich z Dłutowa, szybko zjednały mu szeroką klientelę, która z biegiem czasu skupiła w jego ręku interesy najmajętniejszych rodzin w kraju. Między innemi zmarły zarządzał interesami ś. p. hr. Aleksandry Potockiej, ś. p. hr. Ludwika Krasińskiego, a następnie hr. Magdaleny i Maryi Krasińskich.

Rzutki, dobrze obeznany ze stosunkami pieniężnemi, pełen inicyatywy, ś. p. Wrotnowski pozostawia po sobie pamięć wybitnej jednostki w społeczeństwie, nie tyle może jako prawnik, ile jako organizator.

Po długich, dwuletnich blizko cierpieniach, zmarł dnia 13 lutego r. b. ś. p. Włodzimierz Zagórski, poeta i literat.

Urodzony dnia 7 listopada 1834 r. we wsi Czechy, w powiecie Brodzkim, w Galicyi, zmarły początkowe nauki pobierał pod kierunkiem znanego powieściopisarza, Jana Zacharyasiewicza, i pedagoga Szenglarskiego. Oddany następnie do gimnazyum św. Anny w Krakowie, po kilkoletnim tam pobycie, przeniósł się do szkoły wojskowej inżynierów w Krems, nad Dunajem. Po roku 1859 wszedł do służby legii węgierskiej, Garibaldiego, gdzie pozostawał do jej rozwiązania. Działalność literacką rozpoczął ś. p. Zagórski późno, bo dopiero w r. 1865. Początkowo pisywał kroniki tygodniowe do „Hasła“, a następnie założył we Lwowie pismo humorystyczne p. t. „Chochlik“, gdzie zamieszczał utwory poetyckie pod pseudonimem, identycznym z tytułem pisma. Pseudonim ten zdobył sobie także zasłużoną popularność na łamach „Szczutka“.

W 1883 Zagórski przeniósł się do Warszawy i osiadł tu na stałe, pisując do pism miejscowych. Oprócz licznych artykułów, zamieszczonych w pismach lwowskich i warszawskich, wydał oddzielnie pod pseudonimem „Chochlika“ 2 tomy poezyi p. t. „Zmierzchy i świty,“ „Piosnki i żarty“; „Pamiętniki starego parasola“ (powieść humorystyczna); „Król Salomon“ (poemat liryczny); „Wybór poezyi“ w 2 tomach, tudzież powieści: „Wilcze plemię“, „O własnych skrzydłach,“

„Szalone głowy"; „Zbiór nowel" w 4 tomach; humoreskę—„W XX wieku" i inne. Wspólnie z Antonim Zaleskim napisał powieść p. t. „Pan Radca". Ostatniemi czasy pracował nad większem dziełem „O rytmach w poezyi polskiej" i powieścią p. t. „Królowa Saby", którą drukował w „Wędrowcu", pisząc stygnącą niemal ręką z numeru na numer. Pracę tę przerwała mu śmierć, przychodząc nagle, acz spodziewana już od dłuższego czasu.

W piśmienictwie polskiem Zagórski zdobył sobie nie tylko popularność dnia dzisiejszego, ale i trwalsze imię na przyszłość. Powieści jego prawdopodobnie utoną w morzu wzmagającej się ciągle produkcyi belletrystycznej, przez długi czas jednak na powierzchni tego morza utrzymają się jego poezye; lekkie, wykwintne i błyskotliwe pod względem formy, zawierają one nieraz prawdziwą sól attycką lub kryształowy humor. Nadewszystko zaś utrzyma się poemat „Król Salomon". Jest to najpoważniejszy szewron zasługi zmarłego poety— cyzelowanemi jambami wyśpiewana odwieczna vanitas vanitatum usiłowań ludzkich i odwieczny powrót człowieka do jedynego źródła ukojeń—Miłości. Słowa Ekklezyasty Salomonowego i słowa pieśni nad pieśniami, ubrane w szatę współczesną, splotły się tu w całość harmonijną, niezmiernie dźwięczną, głęboką pod względem myśli, opanowującą łatwo duszę człowieka dzisiejszego. Jest to niewątpliwie najartystyczniejsza, a więc najtrwalsza rzecz, jaką Zagórski stworzył. Przez wszystkie pokolenia i przez wszystkie czasy może być ona czytana z jednakiem zajęciem i z pożytkiem jednakim, a chociaż „marność jest klątwą ziemi syna" i była nią rzeczywiście dla poety, który kresu dni swoich dożył w celi szpitalnej — to przecież — pieśń ta dźwięczy po jego zgonie hejnałem sławy zagrobowej. Vita brevis est—ars longa...

WIADOMOSCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.—Dnia 5 grudnia 1901 roku odbyło się posiedzenie *Komisyi historyi sztuki* pod przewodnictwem prof. Maryana Sokołowskiego.

Na wstępie odczytano protokół z posiedzenia lwowskiego Grona Komisyi z dnia 23 marca 1901 roku, następującej treści: Prof. dr Jan Bołoz Antoniewicz podał w „Przyczynkach do sztuki w Polsce ze źródeł włoskich“ kilka wiadomości, dotyczących Caraglia, oraz stosunków Parisa Bordone z Zygmuntem Augustem. Dr Al. Czołowski opisał na podstawie inwentarza z 1748 roku zamek w Laszkach murowanych pod Chyrowem. Protokół posiedzenia lwowskiego Grona kończy się referatem p. K. Mokłowskiego, o domach drewnianych w miasteczkach wschodniej Galicyi. P. Mokłowski, na podstawie własnych pomiarów i rysunków, wyjaśnia genezę tak zwanych podcieni.

Z kolei prof. dr Mycielski streścił drugą połowę swej rozprawy o nagrobkach renesansowych w kościele parafialnym w Kobylnikach pod Płockiem. Podał on opis drugiego grobowca wspaniałego i bardzo bogatego, znajdującego się tamże. Wśród obramienia z rzeźbionych pilastrów i fryzów, zdobnego czterema charakterystycznymi wazonami z płomieniem, mieści się piękna postać rycerza: to fundator nagrobka, Stanisław Kobylnicki, herbu Prawdzic, starosta przemyski, chorąży zakroczymski i dziedzic Kobylnik w drugiej połowie XVI wieku. Objaśnia to piękny, wierszowany napis polski. Niżej, w dwóch niszach, leżą postacie kobiece w zakonnych strojach: to dwie z rzędu żony Kobylnickiego: Zofia Srzeńska, herbu Dołęga i Izabela Trzcińska. Cały nagrobek wykonany jest z piaskowca. Styl jego, układ, ornamentyka, sposób ułożenia postaci, traktowanie fałdów, wreszcie cała forma, dowodzą, że twórcą jego był Hieronim Canavesi z Medyolanu, osiadły w Krakowie, którego kilka typowych nagrobków badania lat ostatnich w Polsce stwierdziły. Referent przeprowadził porównawczą analizę nagrobków Cana-

vesego rodziny Górków z roku 1574 i biskupa Adama Konarskiego z roku 1577 w katedrze w Poznaniu, oraz nagrobka podstarościego, Jakóba Rokossowskiego, z 1580 roku, w kościele w Szamotułach, i zestawił z nagrobkiem w Kobylnikach, dowodząc, że z tych samych lat i on pochodzić musi, skoro Canavesi wkrótce potem, bo w roku 1582 w Krakowie umiera. Prof. dr M. Sokołowski dodał uwagę o ważności Srzeńska dla badań w przyszłości, jako siedziby możnej i znakomitej rodziny, do której właśnie żona Stanisława Kobylnickiego należała.

Pan J. Pagaczewski referował pracę p. Kazimierza Karczmarczyka o nieznanym dotychczas, nadwornym architekcie Stanisława Lubomirskiego, Macieju Trapoli, który przez długi szereg lat bawi w Wiśniczu, i tamże w roku 1637 umiera. O ile Trapoli nie można bez zastrzeżeń przypisać budowy zamku wiśnickiego (1615—1637), a to głównie ze względu na jej niemiecko - flamandzki odcień stylowy, o tyle znowu nie jest nieprawdopodobnem, że podług jego planów i pod jego kierunkiem wzniesiono monumentalny, również przez Stanisława Lubomirskiego fundowany klasztor Karmelitów z pięknym późno - renesansowym kościołem. Klasztor i kościół Karmelitów Bosych ukończono w roku 1635. Według podania miejscowego, zajęci byli przy budowie jeńcy tureccy, zabrani do niewoli pod Chocimem; istotnie, w księgach miejskich występują *pagani*: *Korman*, *Selim*, *Baywarz*, *Scythae in servitute visnicensi detenti*. Trapola, posiadający stosunkowo znaczny majątek w domach i kapitałach, pozostawił dwóch synów, Marcina i Wojciecha, którzy uczęszczali do uniwersytetu krakowskiego. Prof. dr M. Sokołowski przedstawił fotografie pomnika Katarzyny Jagiellonki, żony Jana III-go Nagrobek ten, bardzo bogaty i malowniczy, z widokiem Krakowa, znajduje się w jednej z kaplic katedry upsalskiej. Po drugiej stronie, w tejże samej kaplicy, wznosi się grobowiec męża Katarzyny, Jana III-go. Wreszcie pan Seweryn Udziela objaśnił, na podstawie szeregu rysunków, budowę domów drewnianych chłopskich w Piwnicznej i Muszynie, oraz przedstawił staranne zdjęcia ornamentów na sprzętach ludowych, jako to: na ławach, skrzyniach, łóżkach i polewanych naczyniach, które obudziły ogólne zainteresowanie.

— Dnia 3 lutego bieżącego roku odbyło się zwyczajne posiedzenie *Wydziału Matematyczno - przyrodniczego*. Na posiedzeniu tem przedstawiono następujące prace, które też przyjęto do druku, a mianowicie: członek Wł. Kulczyński przedstawia własną pracę pod tytułem: „Species Oribatinarum in Galicia collectae“; członek T. Browicz referował pracę p. K. Rogozińskiego, pod tytułem: „O fizyologicznej resorpcyi bakteryi z jelita“; sekrekretarz, J. Rostafiński, referował pracę p. J. Trzebińskiego, pod tytułem: „Wpływ podrażnień na wzrost pleśni Phycomyces nitens“; członek T. Browicz przedstawia własną pracę pod tytułem: „Kilka uwag o komórce wątrobnej“.

— Posiedzenie *Wydziału Historyczno - Filozoficznego* odbyło się w poniedziałek, dnia 17 lutego bieżącego roku, z następującym porządkiem dziennym: 1) członek X. P a w l i c k i: Kilka słów o wydawanej w Ameryce Encyklopedyi rzeczy żydowskiej; 2) członek T. W o j c i e c h o w s k i: Eremici reguły świętego Romualda XI-go wieku w Polsce; 3) St. K u t r z e b a: Handel Krakowa (ciąg dalszy). Następnie odbyło się posiedzenie administracyjne (konkurs Majera).

— TOWARZYSTWO HISTORYCZNE WE LWOWIE. Na ostatniem zebraniu przedstawił prof. Michał S i w a k rzecz, pod tytułem: „Kto jest autorem broszury politycznej pod tytułem: „Deliberacya o spółku i związku Korony polskiej z pany chrześcijańskimi przeciwko Turkow“? Prelegent, zaznaczywszy na wstępie, że broszura, pod tytułem: „Deliberacya“, posiadą doniosłe znaczenie dla sprawy niedoszłej ligi pomiędzy Austryą a Polską w ostatnim dziesiątku lat XVI wieku, podał szczegółowy opis wydań pisemka z roku 1595 i 1596. Wydań tych było trzy, a raczej cztery, bo za czwarte należy uważać broszurę z roku 1596, pod tytułem: „O spółku panów chrześciańskich przeciwko Turkowi“. Wszystkie wydania wyszły bezimiennie i bez miejsca druku. Współcześnie już zajmowano się „Deliberacyą“ bardzo, a szczególniej pytaniem: kto był jej autorem? Heidenstein notuje pogłoski, że przypisywano ją arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, Karnkowskiemu, podaje jednak tytuł jej niedokładnie, co spowodowało szereg nieporozumień. Z jednej broszury zrobiono dwie, z których „Deliberacya“ pozostała bez autora, Karnkowskiemu zaś poczęto przypisywać, na podstawie owych pogłosek u Heidensteina, autorstwo nieistniejącego pisemka, pod tytułem: „Festina lente“.

Zestawiwszy wszystko, co o tej broszurze napisano, i wykazawszy, że „Deliberacya“ i „Festina lente“ są jednem i tem samem pismem, przeszedł prelegent do wykazania, kto był autorem „Deliberacyi“. Opierając się na kodeksie № 350, znajdującym się w bibliotece Zakładu Ossolińskich, wykazał prelegent, że napisał „Deliberacyę“ Karnkowski.

Kodeks № 350 był własnością Karnkowskiego, czego dowodzi pieczęć arcybiskupa, znajdująca się na pierwszej karcie kodeksu.

Autor „Deliberacyi“ mówi we wstępie, że postanowił „niektóre rzeczy ze swoich kart *publicorum monimentorum* na jawię wydać“. Owe „*publica monimenta*“, znajdują się w kodeksie № 350, należącym do prymasa. Już to samo dowodziło-by, że autorem „Deliberacyi“ był Karnkowski. Są jednak i dalsze dowody. W drugiem wydaniu „Deliberacyi“ znajduje się rozdział, będący streszczeniem całej broszury, zgadzający się co do treści, a w niektórych miejscach dosłownie z odpowiedzią, jaką dał Karnkowski posłowi Rudolfa II, Wackerowi, w roku 1594, znajdującą się również w kodeksie wspomnianym. Wreszcie posiada kodeks przepowiednię o upadku państwa tureckiego, którą odnajdujemy w „Deliberacyi. Wszystko to razem stwierdza niezbicie, że autorem pisemka był Karnkowski.

Na pytanie, dlaczego wydał prymas swoją broszurę bezimiennie, odpowiada prelegent, że Karnkowski, jako duchowny, nie chciał narażać się Stolicy Apostolskiej, która gorąco sprawę ligi popierała.

Po dokładnem streszczeniu pisemka, wykazywał prelegent, że „Deliberacya“ była programem na sejm w roku 1596, napisanym bardzo zręcznie i z wielkim talentem — i że niemało zaważyła na szali wypadków. Cel, jaki miała, osiągnięto. Liga do skutku nie doszła. Nie jej to wyłącznie przypisywać należy, ale też nie można wpływu jej przeoczać. Broszury polityczne w czasach, gdy prasy nieznano, doniośliejsze miały znaczenie, i do pewnego stopnia zastępowały dzisiejsze naczelne artykuły w dziennikach politycznych. „Deliberacya“ była jednak czemś więcej. Odźwierciadlała ona poglądy ogółu szlacheckiego na doniosłą sprawę wojny z Turcyą, była ich wiernem echem, streszczała program potężnego stronnictwa, przeciwnego polityce Zygmunta III-go. Że liczono się z nią bardzo i wartość jej uznawano, świadczy okoliczność, że kiedy w pół wieku później plany wojny z Turcyą znowu odżyły, partya, wojnie przeciwna, przedrukowała pisemko prymasa w roku 1646 piąty raz z rzędu.

— DZIEŁO O ŚW. STANISŁAWIE. Ukazała się pierwsza część badań nad żywotem świętego Stanisława, biskupa krakowskiego, d-ra Kazimierza Krotoskiego, pod tytułem: „Święty Stanisław w świetle historyografii nowożytnej“. Druga część, pod tytułem: „Święty Stanisław w świetle źródeł“, drukuje się w „Przeglądzie powszechnym“. Trzecia część, pod tytułem: „Święty Stanisław i jego zatarg z królem Bolesławem, przyczynek do walki kościelnej w Polsce z końcem XI wieku“, w niedalekiej przyszłości również będzie opublikowaną. W pierwszej części autor poddał ścisłej i sumiennej krytyce całą literaturę nowożytną, poświęconą kwestyi świętego Stanisława, począwszy od Naruszewicza, a kończąc na pracach M. Gumplowicza. W ten sposób omówił wartość siedmnastu prac, specyalnie traktujących o świętym Stanisławie, i siedmnaście opinij najwybitniejszych historyków naszych i obcych, wyrażonych przygodnie w dziełach historycznych o świętym Biskupie krakowskim.

— Z TOWARZYSTWA „POLSKA SZTUKA STOSOWANA“. Wyczekiwany przez zwiedzających wystawę katalog zabytków dawnego polskiego przemysłu artystycznego, gruntownie opracowany przez p. Emanuela Świeykowskiego, wydany nakładem Towarzystwa, wyszedł z druku i jest do nabycia przy wejściu na wystawę i we wszystkich księgarniach po cenie jednej korony. Katalog p. Świeykowskiego nietylko obejmuje spis przedmiotów działu dawnej sztuki stosowanej polskiej, ale także jest przewodnikiem i tłómaczem nagromadzonych bogato zbiorów, zwłaszcza nieocenionej kolekcyi pasów, których w takiej liczbie i takim doborze nigdy jeszcze nie wystawiono. Z tym katalogiem w ręku można obeznać się ze wszystkiemi fabrykami i typami tego, tak wysoko u nas niegdyś rozwiniętego przemysłu

artystycznego; katalog zawiera przytem szczegółowy spis porcelany koreckiej, baranowieckiej, ćmielowskiej, szkieł urzeckich, tudzież innych okazów, znajdujących się na wystawie, i podaje ich historyę.

Ostatniemi dniami nadeszły na wystawę nowe okazy, okładki do książek pomysłu Tadeusza Noskowskiego i Edwarda Trojanowskiego, akwarele ś. p. Juliana Moszyńskiego, staropolskie urządzenie mieszkania, skrzynie, zamki, odrzwia i t. p. Ekran, wykonany sposobem aplikacyi sukiennej przez P. L. Trojanowską, całkowity strój Poleśniaczki z księstwa Łowickiego (własność P. A. Natanson z Warszawy) i t. d.

Przy tej sposobności komitet wystawy uprzejmie zawiadamia pp. artystów i rękodzielników, którzy pragną korzystać ze zbiorów, znajdujących się na wystawie zarówno z zakresu sztuki ludowej, jak i dawnego przemysłu artystycznego w Polsce, że karty wolnego wstępu, upoważniające do rysowania i malowania na wystawie, wydaje sekretarz Towarzystwa codziennie w kancelaryi Muzeum Narodowego.

— SKARB MICHAŁKOWICKI. Znany skarb michałkowicki, będący własnością muzeum Dzieduszyckich, a składający się ze złotej korony i rozmaitych drobiazgów złotych, doczeka się nareszcie naukowej publikacyi. Przygotowuje ją z polecenia ordynata, Tadeusza Dzieduszyckiego, młody archeolog, dr Hanaczek. Będzie to szereg kartonów, przedstawiających ów skarb częścią wedle rysunków — oraz tekst, zawierający dokładny opis wszystkich przedmiotów, bez żadnych wniosków co do ich pochodzenia. Skarb michałkowicki znaleziony został w roku 1886 nad Zbruczem na Podolu i nabyty za 6,000 złr. przez Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego za pośrednictwem kustosza muzeum, p. Władysława Zontaka. Rozgłos jego ściągnął niegdyś do Lwowa obcych uczonych; między nimi umyślnie przyjechał Virchow. Pochodzenie skarbu nie jest pewne. Niektórzy uważają go za pozostałości po Scytach; prof. Wojciechowski twierdzi, że to insygnia królewskie Gotów. Chemiczny rozbiór złota, dokonany przez prof. Radziszewskiego, wykazał, że znajduje się w niem 15 proc. srebra. Uczony ten wyraził opinię, że złoto michałkowickie pochodzi z dalekiego Wschodu.

— SLOVANSKÝ PŘEHLED podaje wybór poezyi M. Konopnickiej w przekładzie p. Pauliny Maternowej.

Z cyklu „*Italia*“ znajdujemy tłómaczenie następujących wierszy: „Invocatio“, „W Florenckim Zamku“, „Na Carignano“, „Echa florenckie“ (V), „Śpiący Faun“, „Madonna Rafaela“, „Miserere“ i „Mare morto“. W tym-że zeszycie znajdujemy sprawozdania p. Maternowej z powieści Tetmajera poezyj Krystyny Zaleskiej, tudzież uwagi redaktora Černego o „Karykaturach“ Kisielewskiego i „Jeńcach“ Lucyana Rydla.

Z naszej strony notujemy: „Urywki poetyczne“ Józefa Sładka, w udatnym przekładzie polskim K. Zaleskiego, wydane starannie i poświęcone przez tłómacza Miriamowi.

— NA KURS JĘZYKA ŁACIŃSKIEGO, urządzony staraniem Lwowskiego Uniwersytetu powszechnego, a odbywający się pod kierunkiem docenta Uniwersytetu, d-ra St. Witkowskiego, zapisało się około 150 uczestników, mężczyzn i kobiet. Była to liczba zupełnie nieoczekiwana. Dowodzi ona, że społeczeństwo nasze inaczej zapatruje się na potrzebę i pożytek nauki języków klasycznych, niż to usiłują przedstawić przeciwnicy tych języków. Większość uczestników kursu stanowią nauczyciele i nauczycielki szkół wydziałowych i pospolitych, nadzwyczajne słuchaczki Uniwersytetu i uczniowie Szkół realnych; obok nich nie brak i przedstawicieli zawodów pracujących. Frekwencya kursu jest dotąd nadspodziewanie dobra.

— PAMIĘTNIK LITERACKI. Pod tym tytułem wyszedł z druku we Lwowie pierwszy zeszyt nowego czasopisma, poświęconego historyi i krytyce literatury polskiej. Pismo to, wychodzące co kwartał, ukazuje się jako wydawnictwo Towarzystwa literackiego im. Mickiewicza, pod redakcyą W. Bruchnalskiego, B. Gubrynowicza i E. Porębowicza. Współudział najwybitniejszych sił fachowych każe się spodziewać, że *Pamiętnik* stanie się doskonałem ogniskiem literackiem, jednoczącem usiłowania historyków i krytyków literatury, rozproszone dotychczas po licznych tygodnikach i miesięcznikach. Już pierwszy zeszyt daje niezwykle bogatą i urozmaiconą treść, podaną w porządku chronologicznym przedmiotów. Dajemy w „Bibliografii“ szczegółowy spis obfitej treści *Pamiętnika Literackiego*; tu zaznaczamy tylko, że strona zewnętrzna wydania jest okazała: papier wyborny, druk piękny, cena zaś, w stosunku do rozmiarów *Pamiętnika*, jest bardzo przystępna. Nie chodzi bowiem wydawcom o zyski, a tylko o spełnienie obowiązku społecznego. Nie wątpimy, że inteligentne warstwy nasze poprą usiłowania Towarzystwa im. Mickiewicza, i że nareszcie literatura polska będzie miała swoje czasopismo historyczno - krytyczne.

BIBLIOGRAFIA.

FILOZOFIA.

H. von Helmholtz: Liczenie i mierzenie z punktu widzenia teoryi poznania. Przekład prof. d-ra S. Silbersteina. Warszawa, 1901, stron 44. (Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego“).

Dr T. Ziegler: Wiara i Wiedza, przekład A. Krasnowolskiego. Warszawa, 1901, str. 42. (Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego“).

Dr Antoni Złotnicki: Z tajemnic duszy. Spostrzeżenia psyc-hologiczne. Warszawa, 1901, str. 79.

HISTORYA.

Dr Aleksander Czuczyński: Dyaryusze sejmowe r 1585. (Scriptores Rerum Polonicarum tomus XVIII). Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1901, str. XXVIII + 476. *Zawiera*: Wstęp. — Akt sejmu walnego koronnego warszawskiego 1585 roku, to jest dyaryusz zbiorowy, z siedmiu dyaryuszów złożony.—Dyaryusze pomniejsze, lub częściowe sejmu warszawskiego 1585 roku. — Dodatki. — Spis imion i miejscowości.

Dr L. Finkel: Bibliografia historyi polskiej. Wspólnie z d-rem Henrykiem Sawczyńskim i członkami Kółka historycznego uczniów Uniwersytetu lwowskiego zebrał i ułożył... Część II, zeszyt IV. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki wydawniczej polskiej. 1901. *Treść*: Literatura. — Sztuka. Stronice 1,009 — 1,142, in 4-o.

Kardynał J. Hergenröther: Historya powszechna Kościoła katolickiego. Tom VI. Warszawa, 1902. („Biblioteka dzieł chrześcijańskich"). Str. IV + 218.

K. Szajnocha: Jadwiga i Jagiełło. Opowiadanie historyczne. „Biblioteka dzieł wyborowych", № 217 — 218. Warszawa, 1902. Część I str. 184. Część II str. 159. Część III str. 168.

M. Downar Zapolskij: Gosudarstwiennoje choziajstwo Wielikago Kniażestwa Litowskago pri Jagiełłonach. Tom I. Kiew, 1901. (Odbitka z „Uniw. Izwiestij"). Str. VIII + 807 + CXIV.

PRAWO, NAUKI SPOŁECZNE.

Prof. dr Stanisław Głąbiński: Wykład nauki skarbowej. Wydanie drugie. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. 1902, str. XI + 591.

St. Grabski i K. Kolles Krauz: Wiek XIX. Rzut oka na rozwój ekonomii i socyologii w XIX stuleciu. Warszawa, 1901, ark. 1 — 8. Dodatek do „Prawdy". Kwartał IV. 1901.

Stefan Jankowski: Rolnictwo czeskie. (Dodatek bezpłatny do „Gazety Rolniczej"). Warszawa, 1901, str. 88.

C. Wagner: Młodzież. Dzieło, uwieńczone przez Akademię francuską. Przekład z 22-go wydania. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1902, in 8-o, str. 330.

W naszych sprawach. III. Szkice w kwestyach ekonomicznych i społecznych napisali pp.: Ksawery Chamiec, Antoni Chrząszczewski, Tytus Filipowicz, Stefan Holcwiński, Leon Lissowski, Maryan Massonius, Stanisław Sulimierski, dr Władysław Tolwiński, Juliusz Waliszewski i Henryk Radziszewski. Warszawa. Nakładem Henryka Radziszewskiego. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, 1902, str. 405.

HISTORYA LITERATURY I CYWILIZACYI. — FILOLOGIA.

Jerzy Brandes: Henryk Ibsen. Z upoważnienia autora przełożyła z oryginału Józefa Klemensiewiczowa. Lwów, 1902. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka, in 8-o, str. 212.

Dyonizy Fr. Bujalski: I. Polityka nauczycieli szkolnych względem uczniów, a względem własnych nacelników. II. Ustawa sądu uczniów gimnazyum wołyńskiego. Nakładem M. Borkowskiego, 1901, str. 47.

Ks. Józef Londzin: Zaprowadzenie języka polskiego w szkołach ludowych w Księstwie Cieszyńskiem. Dochód czysty przeznaczony na gimnazyum polskie w Cieszynie. Lwów. Nakładem Towarzystwa wydawniczego. Warszawa. Księgarnia S. Sadowskiego, 1901, in 8-o maj., str. 41.

Gustave Michaut: Les époques de la Pensée de *Pascal*. Deuxième édition, revue et augmentée. Paris, Albert Fontemoing, éditeur, 4, Rue Le Goff, 1902, VIII + 286. Fototypje obrazu Filipa de Champaigne: *La Cene*, portretu z maski pośmiertnej Pascala, tudzież portretu Pascala w młodości.

PAMIĘTNIK LITERACKI. Czasopismo kwartalne, poświęcone historyi i krytyce literatury polskiej, wydawane przez Towarzystwo literackie imienia Adama Mickiewicza, ze stałem współpracownictwem: Aleksandra Brücknera, Ignacego Chrzanowskiego, K. M. Górskiego, Józefa Kallenbacha, Stanisława Ptaszyckiego, Stanisława Windakiewicza, pod redakcyą: Wilhelma Bruchnalskiego, Bronisława Gubrynowicza i Edwarda Porębowicza. Rocznik I, zeszyt 1. Lwów. Nakładem Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza. Z drukarni E. Winiarza, 1902. Składy główne: Gubrynowicz i Schmidt we Lwowie — E. Wende i S-ka w Warszawie, str. 192.

Treść zeszytu. — Rozprawy: St. Windakiewicz: Erotyk Kochanowskiego, studyum; Ig. Chrzanowski: O satyrach Naruszewicza; K. M. Górski: Karpiński w Wiedniu (1770—1771); J. Kallenbach: Nieznane utwory francuskie Z. Krasińskiego; P. Chmielowski: Znaczniejsze teorye dramatu w literaturze polskiej; E. Porębowicz: Poezya polska nowego stulecia.

Notatki: F. Bostel: Kilka szczegółów z życia Mikołaja Sępa Szarzyńskiego; A. Hirschberg: W sprawie pamiętnika Świętosława Orzelskiego; K. Heck: Korespondencya Piotrkowczyka z Szymonowiczem; J. Nitowski: Pierwsze wydanie „Uwag“ ks. Baki; F. Kręček: Do życiorysu W. Reklewskiego; H. Kopia: Przyczynki do życiorysu A. Malczewskiego; B. Gubrynowicz: Autografy Juliusza Słowackiego; T. Pini: Rękopisy Zygmunta Krasińskiego; B. Czarnik: Ossoliński i katedra języka i literatury polskiej na uniwersytecie lwowskim.

Materyały: F. Bostel: Kanonikat Piotra Skargi; W. Hahn: Nieznany list Szymonowicza; W. Wojciechowski: Listy Franciszka Wężyka (1828 — 1831).

Recenzye i Sprawozdania (przez F. Kręcka, A. Brücknera, B. Gubrynowicza, P. Chmielowskiego, T. Piniego, A. Mazanowskiego, A. Potockiego). Poświęcono: Antoniemu Maleckiemu w ośmdziesiątą rocznicę urodzin.

Poradnik językowy. Rocznik II. № 1. *Treść*: 1) Nieco o rozwoju języka, — napisał J. Czubek. 2) Zapytania i odpowiedzi. 3) Roztrząsania. 4) Skarbonka. 5) Krotochwile językowe. 6) Nowe książki. Kraków, 1902, str. 16. Redaktor i wydawca odpowiedzialny: prof. Roman Zawiliński. — Prenumeratą na cały rok wynosi w Warszawie 1 rub. 50 kop., na prowincyi 1 rub. 80 kop. Ekspedycya „Poradnika“ w Warszawie, w księgarni E. Wende i S-ki, ulica Krakowskie Przedmieście № 9.

Stanisław Przybyszowski: Z gleby kujawskiej. Nakładem księgarni M. Borkowskiego Warszawa, 1902, in 8-o maj., stron 71. Portret Sta-

nisława Przybyszewskiego według rysunku Konrada Krzyżanowskiego. Inicyały, winiety i okładka rysunku Tadeusza Noskowskiego. Klisze rysunków wytrawiono w zakładzie foto-chemigraficznym B. Wierzbickiego i S-ki. Druk P. Laskauera i Babickiego.

Rozprawy Akademii Umiejętności. *Wydział Filologiczny.* Serya II. Tom XVIII. W Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. *Treść*: 1) St. Schneider: Studya Filologiczne nad rozwojem oświaty greckiej w V-tym wieku przed Chrystusem (str 1 — 103); 2) St. Dobrzycki: Studya nad średniowiecznem piśmiennictwem polskiem (104—119); 3) A. Brückner: Drobne zabytki polszczyzny średniowiecznej. Część druga (120 — 187); 4) Korneli Heck: Szymon Szymonowicz. Jego żywot i dzieła. Część pierwsza (188—345); 5) Fr. Bujak: Dwa przyczynki do historyi Uniwersytetu Jagiellońskiego (346 — 367); 6) T. Mandybur: Pseudo - Łukjana περὶ τῆς Συρίης θεοῦ (368 — 389).

Jerzy Żuławski: Prolegomena: Uwagi i szkice. (O cywilizacyi i filozofii.—Ze świata myśli.—Na dachu Obserwatoryum.—Znaczenie symbolizmu w sztuce.—Teorya sztuki „nagiej duszy".—O „Królu Duchu". — Zagadnienie). Lwów. Nakładem Towarzystwa wydawniczego. Warszawa. Księgarnia St. Sadowskiego, 1902, str. 170.

MATEMATYKA. — NAUKI PRZYRODNICZE.

Atlas geologiczny Galicyi. Zeszyt XIII-ty. Kart trzy. Przemyśl (VIII, 5), Brzozów i Sanok (VII, 6), Łupków i Wola Michowa (VII, 8), — opracował prof. dr W. Szajnocha. Kraków, 1901. Wydawnictwo Komisyi Fizyograficznej Akademii Umiejętności w Krakowie.

Tekst do zeszytu trzynastego, opracowany przez d-ra Władysława Szajnochę, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności, 1901, str. 54.

Atlas geologiczny Galicyi. *Tekst* do zeszytu dziewiątego opracował prof. A. M. Łomnicki. Kraków. Nakład Akademii Umiejętności, 1901, str. 165.

Ludwik Krzywicki: Systematyczny kurs Antropologii. Rasy psychiczne (z 20 mapami). Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, 1902, str. 309.

Rozprawy Akademii Umiejętności. *Wydział Matematyczno - Przyrodniczy.* Serya druga. Tom XVIII-ty (z 11-ma tablicami i 25-ma rycinami). Nakładem Akademii Umiejętności, 1901. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. — *Treść*: 1) J. Sosnowski: Studya nad zmianami geotropizmu u *Paramaecium aurelia* (str. 1 — 14); 2) N. Cybulski i M. Kirkor: O przewidzeniu stanu czynnego przez zwoje międzykręgowe i o odruchowem wahaniu wstecznem prądu spoczynkowego (15 — 49); 3) S. Gólski: Dojrzewanie i zapłodnienie jajka u Ascidii: Cionia intestinalis F. (59—69); 4) S. Niementowski: O nowych rodzajach anhydrozwiązków (70 — 136). 5) W. Reiss: O rozwoju naskórka w pierwszych miesiącach życia płodowego (137 — 159); 6) A. Wyczołkowska: O iluzyach optycznych (z 14-ma rycinami) (160 — 190); 7) A. Bochenek: Drogi nerwowe przedmóżdża salamandry plami-

stej (196 — 215); 8) A. Bochenek: O unerwowieniu splotów naczyniowych mózgu żaby (191 — 195); 9) L. Bruner i S. Tołłoczko: O szybkości tworzenia się estrów z chlorku benzoilowego i alkoholów tłuszczowych (216—239). 10) T. Browicz: Pochłanianie krwinek czerwonych przez komórkę wątrobną (235—239); 11) T. Browicz: Drogi odżywcze w komórce wątrobnej (240—253), 12) P. J. Mazurek: Działanie kwasu azotowego na fenilo-etylamin (254—262); 13) L. Marchlewski i C. A. Schunck: Wpływ bromu na filoporfirynę i hemiloporfirynę (263 — 267); 14) M. Kowalewski: Studya helmintologiczne. VI (268 — 285); 15) R. Negrusz: O trzech izometrycznych benzylotoluolach (286 — 300); 16) W. Satke: Kierunek, droga i szybkość wiatru w Krakowie (301 — 345); 17) T. Browicz: Budowa przewodów żółciowych międzykomórkowych (346—352); 18) K. Żórawski: O pewnych zmianach długości liniowych elementów... (353 — 365); 19) S. Droba: O tworach olbrzymich w tkankach gruźliczych (366—381); 20) L. E. Böttcher: O własnościach pewnych wyznaczników funkcyjnych (382 — 389).

Rozprawy Akademii Umiejętności. *Wydział Matematyczno-Przyrodniczy.* Serya II. Tom XIX. 1901 (z 3 tablicami i 17 rycinami). *Treść*: 1) W. Heinrich: Krytyczny przegląd dotychczasowych badań nad wrażeniami barwnemi (1 — 40); 2) Tenże: O stałości wrażenia zaledwie spostrzegalnego przy użyciu tonów czystych (41 — 48); 3) St. Opolski: Przyczynek do znajomości elektroujemnej natury rodników organicznych (49—54); 4) L. Marchlewski i C. A. Schunck: Otrzymanie chlorofilu... (55 — 65); 5) S. Ciechanowski: Sprawy wydzielnicze w komórkach pierwotnych gruczołaków i raków gruczołakowych wątroby (66 — 96); 6) T. Emilewicz: O fenyliminach oksyacetofonów (97 — 105); 7) E. Bandrowski: O działaniu bromonitrobenzolów na parafenylenodwuamin (106—114); 8) Tenże: O działaniu stężonego kwasu azotowego na bromobenzol (115—119); 9) B. Miklaszewski: i St. Niementowski: Studyum porównawcze trzech izomernych (β) - aminofenylbenzimidazoli (120—153); 10) T. Browicz: O budowie naczyń włoskowatych krwionośnych... (154 — 163); 11) Tenże: Czy kanaliki żółciowe międzykomórkowe mają własne ścianki? (164—172); 12) St. Niementowski: O homologach alizaryny, hystazaryny i chinizaryny (173 — 185); 13) L. Birkenmajer: O stosunkach temperatury głębokich jezior tatrzańskich (186 — 411).

Materyały Antropologiczno-Archeologiczne i Etnograficzne, wydawane staraniem *Komisyi Antropologicznej Akademii Umiejętności* w Krakowie. Tom piąty z 15-ma tablicami i 13-ma figurami w tekście. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej, 1901. *Zawiera*: I. *Dział antropologiczno-archeologiczny* pod redakcyą d-ra Włodzimierza Demetrykiewicza: 1) Rutkowski Leon: Charakterystyka antropologiczna ludności wiejskiej Płońskiego i sąsiednich powiatów; 2) Brensztein Michał Eustachy: Cmentarzyska we wsi Judsodzie na Żmudzi; 3) Wawrzeniecki Maryan: Drobne wiadomości o wykopaliskach przedhistorycznych w Królestwie Polskiem; 4) Czarnowski St. J.: Jaskinia Okopy nad rzeką Prądnikiem.—II. *Dział etnograficzny*: Malinowski L.: Powieści ludu polskiego na Śląsku (3 — 265).

Dr Antoni Złotnicki: Z zagadnień życia. Szkice z zakresu biologii. Warszawa. Skład główny w księgarni Br. Brzozowskiego, Szpitalna 5. Cena kop. 60. 1902, str. 112.

POEZYE DRAMATY I POWIEŚCI.

Maryan Gawalewicz: Na skrawku ziemi. Warszawa. Jan Fiszer, Nowy Świat № 9. Druk i litografia Jana Cotty, b. d., str. 232. *Treść*: I. Na skrawku ziemi. II. Jódl. III. Laureatka. (Poświęcone Henrykowi Sienkiewiczowi).

Jan Grzegorzewski: Z pod nieba wschodniego. Nowele i fragmenty z podróży. Towarzystwo wydawnicze we Lwowie. Księgarnia S. Sadowskiego w Warszawie (bez daty na tytule). Kraków. W drukarni W. L. Anczyca i S-ki, 1902, str. 378. Portret autora na okładce.

Wincenty Kosiakiewicz. Poezye. Warszawa. Druk J. Sikorskiego, 1901, in 8° str. 104.

Jan Lenartowicz, Wybór Nowel francuskich przełożył. Warszawa, 1902. Bibl. Dzieł Wybor., № 216, str. 160.

Sewer: Wybór pism. Tom I. Głodowa pożyczka. — Pozytywizm w praktyce. — Nice. — Warszawa, 1902. Bezpłatny dodatek dla prenumeratorów *Wędrowca*. Nakład *Wędrowca*, str. 148.

Henryk Sienkiewicz: Pisma, Tom XXXVII (Żórawie. — Sen. — Muszę wypocząć. — Na Olimpie. — Na Jasnym Brzegu). Warszawa. Bezpłatny dodatek dla prenumeratorów *Tygodnika Ilustrowanego*, 1902, str. 168.

Józef Sładek: Urywki poetyczne, tłómaczył z czeskiego Konrad Zaleski. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, 1902 (Zenonowi Przesmyckiemu — Miriamowi — tłómacz), str. XIII + 107 + IV.

Leopold Staff: Mistrz Twardowski. Pięć śpiewów o czynie. Nakładem Księgarni Polskiej (B. Połonieckiego. Lwów MCMII, in 8° maj., str. 204. — Ozdobiono rysunkami Edwarda Okunia. — Odbito w drukarni Uniw. Jagiell. w Krakowie. (E. Wende i S-ka w Warszawie).

Wacław Wolski: Nieznanym. Poezye. Serya pierwsza. Warszawa Księgarnia Warszawskiej Spółki Wydawniczej, Mazowiecka 16. — 1902, str. 278.

Daniel Żółtyński: Dymisya. Szkic sceniczny. Warszawa, 1901. Skład główny w księgarni M. Borkowskiego. Marszałkowska 97. — kop. 40, str. 91.

PISMA ZBIOROWE.

Emanuel Świeykowski. Zabytki dawnego polskiego przemysłu artystycznego na pierwszej wystawie Towarzystwa „Polska sztuka stosowana“ w Muzeum narodowem 1902. W Krakowie, W drukarni Uniw. Jagiell., str. 65.

Encyklopedya Rolnicza, wydawana staraniem i nakładem Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie. Zeszyt CVI, str. 241—320. Warszawa, skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, 1902.

Encyklopedya Wychowawcza. Zeszyt I tomu VI-go zawiera następujące artykuły: „Jezierski Feliks“, przez d-ra Wiktora Hahna; „Je-

zujci", przez ks. Stanisława Załęskiego; „Jezuici w Polsce", p. Henryka Galleg o; „Jędrzej Glaber z Kobylina," przez d-ra Wiktora Hahna; „Języki aryjskie", przez Stanisława Drzażdżyńskiego; „Język hebrajski," przez Ignacego Radlińskiego; „Język ojczysty", przez Romana Pienkiewicza.

Rocznik Akademii Umiejętności w Krakowie. Rok 1900 (1901, Kraków. Nakładem Akademii Umiej. 1901, str. 158 i 8 tablic. *Treść*: Skład Akademii (w lipcu 1901 r.) Posiedzenie publiczne dnia 30 maja 1901 r. — Przemówienia: Juliana Dunajewskiego, Stanisława Tarnowskiego; sprawozdanie sekretarza generalnego. Nagrody i konkursy. L. Kubala: Zajęcie Kijowa przez Moskwę w r. 1654.—Wykaz stosunków Akademii z innemi instytucyami naukowemi. Sprawozdanie ze stanu i użycia funduszów w r. 1900.

Wład. Kocent Zieliński: Podręcznik do korespondencyi kupieckiej w pięciu językach: polskim, rosyjskim, niemieckim, francuskim i angielskim. Zeszyt I. Cena kop. 20. Wydawnictwo Podręcznika, Warszawa, Hortensya 6. Drukarnia L. Szyller i Syn. 1902, str. 16.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca
ADAM hr. KRASIŃSKI.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z ROKU 1902.

HISTORYA.

NIEZNANY PAMIĘTNIK JULIANA URSYNA NIEMCEWICZA O CZASACH KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO (1907 — 1909), — podał Aleksander Kraushar . . . . . 1, 303 i 449
OSTATNI MOHIKANIE POLSCY, — przez G. Smólskiego . . 419

SZKICE POLITYCZNE.

STOSUNKI POLITYCZNE W POZNAŃSKIEM, — przez Poznańczyka 30

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE i EKONOMICZNE.

SCHYŁEK EKONOMICZNEGO PIERWSZEŃSTWA ANGLII, — przez d-ra M. E. Nekandę-Trepkę . . . 247
DEMOKRACYA, — przez Wojciecha Dzieduszyckiego 290 i 537
W PRZEDEDNIU REFORMY SĄDÓW GMINNYCH, — przez Białokura 282
NASZE STOSUNKI HANDLOWE Z NIEMCAMI, — przez A. Donimirskiego 477

LITERATURA.

AUTOR. Powieść współczesna, — przez Cecylię Walewską 46, 274 i 502
DUCH CZASU, — dramat, pozostały w rękopisie po ś. p. Aleksandrze Maciejowskim (Sewerze), Akt drugi i trzeci (dokończenie) 126

Str.

W ZIMIE. Z CYKLU „ROK ŻYCIA“ (poezya), — przez Henryka Skirmunta 123

PODCZAS WIATRU Z TATR. (Poezye), — przez Kaz. Tetmajera. 274

NA CZASÓW FALI. I. ŻELAŹNI JEŹDŹCY. II. ZWYCIĘSKI DZIEŃ. III. SYNOWIE. IV. LECĄ CZASY. (Poezye), — przez Jana Przysieckiego. . . 471

STUDYA I SZKICE LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

NIEZNANE LISTY JULIUSZA SŁOWACKIEGO, — podał profesor Józef Kallenbach 98

POGADANKA ARTYSTYCZNA. Kilka słów o Maksie Klingerze i nowych dążeniach w sztuce, — przez Stefana Popowskiego 111

ANTONI MAŁECKI, — przez prof. Józefa Kallenbacha . . 216

HISTORYA LITERATURY POLSKIEJ DLA NIEMCÓW, — przez Ign. Chrzanowskiego 492

NAUKI PRZYRODNICZE.

BIOLOGIA GŁĘBIN MORSKICH, — przez profesora d-ra Józefa Nusbauma 74

ROZMAITOŚCI.

Ze starych szpargałów, — przez ks. Józefa Rokosznego . . . 158

Działalność naukowa ś. p. d-ra Antoniego Buchholtza, — przez Gustawa Manteuffla 167

KRYTYKA.

Smoleński: „Pisma historyczne“. Tomów trzy. 1901, — przez A. R. . 173

„*Ustawa* Komisyi Edukacyi Narodowej dla stanu Akademickiego. 1-o na szkoły w krajach Rzeczypospolitej, przepisane w Warszawie roku 1783“, — przez A. R. 179

Wittichen: „Die polnische Politik Preussens. 1788—1790“. Göttingen, 1899, — przez A. R. 373

Lubomir Gadon: „Emigracya polska“. T. I i II, 1901, — przez A. R. 573 i 577

St. A. Kempner: „Zarysy ekonomii społecznej“. Warszawa, 1991. — przez Henryka Radziszewskiego . 182

Str.

Władysław Orkan: „Komornicy". Powieść. Lwów, 1900, — przez A. Drogoszewskiego 184

Dr Zygmunt Celichowski: „Acta Tomiciana". Tomus Undecimus. A. D. MDXXIX. Posnaniae, sumptibus Bibliothecae Kornicensis MDCCCCI etc. Pag. 355, 4-o maj., — przez J. K. Kochanowskiego . . . 377

„Światowit". Rocznik, poświęcony archeologii przeddziejowej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej, wydany staraniem Erazma Majewskiego. Tom III, 1901 (59 ilustracyi w tekście i XVI tablic), str. 254, — przez Franciszka Pułaskiego 380

Dr Jan Lutosławski: „Szkoły rolnicze i leśnicze", Warszawa, 1901, str. 182, — przez Zygmunta Glogera. 384

Marya Czesława Przewóska: „Z nowych dni". Syntetyczny zarys końca wieku. Warszawa, 1901, — przez A. Drogoszewskiego 385

Zygmunt Gloger: „Encyklopedya Staropolska ilustrowana". Tom I. Aaron — Denar, 316 stron, Warszawa, 1900. Tom II: Departamenta — Kapelani. 332 stron, 1901, — przez A. Brücknera 888

Dr Ludwik Finkel: „Bibliografia historyi polskiej". Część II (zeszytów 4). Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1895—1901, str. 531—1,142, — przez Henryka Ułaszyna 589

K. Krynicki: „Rys geografii Królestwa Polskiego". Wydanie drugie. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1902, Br. Ch. 593

Władysław Matlakowski: „Zdobienie i sprzęty ludu polskiego na Podhalu". Zarysy życia ludowego, poprzedzone życioryzem autora, wydał dr Józef Peszke. (Z dwiema podobiznami autora, 65 tablicami i przeszło 150-ma rycinami w tekście). Warszawa, 1991. Z zapomogi Kasy imienia d-ra Józefa Mianowskiego, — przez Romana Zawilińskiego 595

KRONIKA MIESIĘCZNA.

STYCZEŃ.

Pomnik Chopina. — Organizacya instytucyi studenckich. — Nowe prawo o Towarzystwach akcyjnych. — Ustawa

Str.

Towarzystwa ochrony kobiet. — Hojne zapisy. — Jubileusz ks. Tadeusza Lubomirskiego. — Nowa szkoła sztuk pięknych — „Naokoło świata“. — ś. p. Feliks Sypniewski. — ś. p. J. G. Bloch 390

LUTY.

Stosunki handlowe z Niemcami. — Premia bezpłatne i obietnice prospektów. — Wykłady dla matek. — Związki rodzinne. — Monografia Wisły. — Odezwa sekcyi imienia Chopina. — Wspomnienia pozgonne: ś. p. Julian Stattler, ś. p. Wilhelm Bogusławski, ś. p. Feliks Jezierski 188

MARZEC.

Setna rocznica urodzin Zaleskiego. — Jubileusz Konopnickiej. — Biblioteka Towarzystwa Zachęty sztuk Pięknych. — Towarzystwa przeciwpojedynkowe. — Opieka nad chorymi pozaszpitalnymi. — Ubogie matki i dzieci, zagrożone chorobami przewlekłemi. — Wspomnienia pozgonne: ś. p. Ksawery Pilatti, ś. p. Lucyan Wrotnowski, ś. p. Włodzimierz Zagórski (Chochlik) 601

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

STYCZEŃ 205
LUTY 409
MARZEC 617

Biblioteka Sejmu Śląskiego
Biblioteka Śląska

Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

poleca następujące własne wydawnictwa:

Antoniewicz Karol ks. „Poezye religijne", kop. 90.
w pięknej oprawie rub. 1 kop. 80.
— „Poezye religijne i świeckie". Wydał ksiądz Jan Badeni. Wydanie trzecie z licznemi winietami, rub. 1 kop. 80, w starannej oprawie rub. 3.

Bakowski Klemens „Posażna panna", powieść, 1 rub kop. 25.

Bilczewski ks. arcybiskup. Eucharystya w świetle najdawniejszych pomników: piśmiennych, ikonograficznych i epigraficznych. Wydanie luksusowe w wielkim formacie, str. 328 z 47 rycinami i tablicą w heliograwiurze. Dzieło, odznaczone nagrodą Akademii umiejętności, rub. 4 kop. 50, w starannej oprawie rub. 6.

Chołoniewski Stanisław ks. „Kazania niedzielne i świąteczne", 2 tomy, wydał ks. Jan Badeni, rub. 3 kop. 60.

Coppée Fr. „Dobre cierpienie", szereg przepięknych szkiców znakomitego autora, kop. 75.

Czermak Wiktor dr. „Studya historyczne".
Treść: Na dworze Władysława IV. – Młodość Jerzego Lubomirskiego (1616 — 1636). — Wojna Smoleńska z roku 1633 – 1634 w świetle nowych źródeł. — Polska wobec wojny 30-letniej. - Kilka słów o pamiętnikach polskich XVII wieku. – Miłostki królewskie — Przyczynek do biogr. Zimorowicza. — Przyczynek do dziejów siedemnastego wieku z archiwów prywatnych, rub. 2 kop. 70.

Dostojewski T. „Wspomnienia z martwego domu" (W katordze), przełożył prof. Tretiak, drugie polskie wydanie, rub. 1 kop. 50.

Fogazzaro Antonio „Dawny światek" (Piccolo mondo antico). Autoryzowane tłóm. rozgłośnej powieści znakomitego pisarza włoskiego, rub. 4 kop. 80.

Gide K. „Zasady ekonomii społecznej", drugie polskie wydanie, świeżo opracowane i rozszerzone przez d-ra W Czerkawskiego, rub. 4 kop. 50.

Gloger Zygmunt. „Geografia historyczna dawnej Polski", z dodaniem mapy Rzeczypospolitej J. Babireckiego. W tekście 64 autentycznych rycin, rub. 3.

Golian Zygmunt ks. „Kazania niedzielne i świąteczne", rub. 1 kop. 80.

Górski Konstanty. „Historya jazdy polskiej na podstawie nieużytkowanych dotąd źródeł, z trzema tablicami litografowanemi, str. 363, rub. 3 kop. 60.

Hygiena palenia Studyum fizyologiczno - lekarskie, kop. 56.

Kalinka Waleryan ks. „Sejm czteroletni", wyd. czwarte w 4 częściach rb. 6 kp. 50.
— „Ustawa trzeciego maja", kop. 50.

Karbowiak B. prof. „Szkoła katedralna krakowska w wiekach średnich", kop. 60.

Kołaczkowski Klemens, generał. „Wspomnienia od roku 1793—1830", przyozdobione 27 rycinami, trzy tomy po rub. 1.

Korolenko Wł. „Niewidomy muzyk", przekład z ros. St. M., kop. 90.
— „Szkice i opowiadania". (At Dawan. — Za obrazem. — Zaćmienie słońca. — Cienie. — W nocy. — Może. — Sądny dzień), rub. 1 kop. 80.

Kostomarow N. J. „Kudejar", powieść historyczna z czasów Iwana Groźnego. Tłómaczył „*", rub. 1 kop. 60.

Kowerska Z. „Z pamiętnika ornitologa", rub. 1 kop 35
— „Powieści" (Dla Anusi — Z życia Jasia — Na noclegu. — Wydalenie) r 1 k. 50.

Książeczka do modlitwy dla mężczyzn ze sfer inteligentnych. Nowa ta książeczka, w formacie, łatwym do wsunięcia w kieszeń, z modlitwami kościelnemi w języku łacińskim i polskim, dobranemi ze znajomością rzeczy i wielką troskliwością, odpowie odczuwanej oddawna rzeczywistej potrzebie.
Oprawy wykonano w pierwszorzędnym zakładzie krakowskim starannie i gustownie od rub. 1 do 5.

Macaulay T. M. „Szkice i rozprawy historyczne", 2 tomy, tłomaczył Stan. Tarnowski, rub. 2 kop. 70.

Manteuffel G „Cywilizacya, literatura i sztuka w kolonii polskiej nad Bałtykiem", ozdobione 23 rycinami, rub. 1 kop. 10

Mickiewicz Adam. „Wybór listów", ułożył dr Józef Kallenbach, profesor uniwersytetu fryburskiego, rub. 1, kop. 80.
Wybór ten zawiera ważniejsze listy poety, w których przebijają się duchowe rysy nietylko twórcy „Pana Tadeusza", ale człowieka-obywatela, brata, męża, ojca rodziny i serdecznego przyjaciela.

Neumanowa A. „Baśnie i legendy Wschodu“, kop. 50.

Pawlicki Stefan ks. dr. „Żywot i dzieła Ernesta Renana“, rub. 1 kop. 70.

Pelczar Józef, ks., dr, biskup przem. „Zarys dziejów kaznodziejstwa w Kościele katolickim.

Część I. Kaznodzieje greccy do IX w. i łacińscy do XVI w., rub. 1 kop. 25.

Część II stanowi dla siebie całość pod tytułem: „Kaznodzieje polscy“, str. 401, rub. 2 kop. 70.

Część III. „Kaznodzieje ludów słowiańskich, romańskich i armeńskich“, obszerny tom o 476 stronicach wraz z indeksem do całego dzieła, r. 2. k. 70.

— Kazania na uroczystości i święta N. M. Panny. Wyd. nowe, 2 t. rub. 4 k. 50.

— Prawo małżeńskie katolickie z uwzględnieniem prawa cywilnego, obowiązującego w Austryi, Prusiech i w Królestwie Polskiem“, trzy tomy, 75 arkuszy starannego druku, rub. 7 kop. 20.

— „Rozmyślania o życiu kapłańskiem, czyli ascetyka kapłańska“. Wydanie drugie, pomnożone, dwa tomy, rub. 5 kop. 40.

Sarnecki Zygmunt. „Historya literatury francuskiej“, ułożona podług najświeższych źródeł i opracowań obcych, rub. 2 kop. 70.

Schnür-Pepłowski Stanisław „Cudzoziemcy w Galicyi“ (1788—1944), r. 2 k. 20.

Sewer. „Bajecznie kolorowa“, powieść na tle życia artystów krakowskich, r. 1 k. 35.

„W kleszczach“, „Magdusia“ dwie nowele, rub. 1 kop. 50.

Sokołowski Maryan. dr prof. uniw „Studya i szkice z dziejów sztuki i cywilizacyi“. Str. 531, w tekście 47 prześlicznie odbitych, autentycznych rycin, rub. 4, w oprawie starannej rubli 6.

Treść. I. Starożytność i wieki średnie.—Poszukiwania archeologiczne w Azyi Mniejszej. — Z podróży na Wschód — Wazy greckie w naszych zbiorach. — Zbiór gemmoglyptyczny Muzeum Narodowego. — Restauracya Sukiennic. II. Włochy i odrodzenie.— Wspomnienie o Rafaelu Sanzio. Palazz Colonna w Rzymie.—Gołuchów. III. Bizancyum i Ruś. — Bizantyńska i ruska średniowieczna kultura. — Badania archeologiczne na Rusi Galicyjskiej. — Sztuka cerkiew. na Rusi.

Spis Stanisław, ks prof uniw Jag. „Święta Teresa od Jezusa“, reformatorka zakonu karmelitańskiego.

Wydanie wykwintne na wzór belgijskich, rb. 1 kp. 10, w pięk opr. rb. 2 k. 20.

Szajnocha Karol. „Pisma“, dwa tomy, rub. 2 kop. 20.

Szczedrin-Sałtykow „Nowele“ (Karaś idealista — Wierny Trezor), kop. 30.

Tarnowski Stanisław. „Dworzanin Górnickiego“, studyum literackie, kop. 70.

Tarnowski St. I. „Komedye Al hr. Fredry“. II. „O pośmiertnych komedyach Fredry“, rub. 1 kop 80.

— „Studya do historyi literatury polskiej“. Wiek XIX. Tom IV. (Co u nas o Kochanowskim pisano. — Szekspir w Polsce.—„Koryolan“ Szekspira rub. 2 kop 70.

— „Henryk Sienkiewicz“. Historya rozwoju zawodu pisarskiego H. Sienkiewicza, zestawiona w 25-letni jubileusz jego działalności, rub. kop. 80.

Tołstoj L. „Anna Karenina“, powieść, przekład z siódmego wydania, trzy tomy, rub. 4 kop. 50.

Trapszo Anastazy. Dyrektor szkoły dramatycznej w Warszawie, artysta sceny warszawskiej i krakowskiej. „Podręcznik sztuki dramatycznej“, r. 1 k. 60.

Tretiak Józef, prof. uniw. „Szkice literackie, ser. II, obszerny tom, rb. 2 kp. 78.

Wodzicka Teresa. „Eliza Radziwiłłówna i Wilhelm I“, z 3 portr., kop. 40.

Zwyczaje towarzyskie“ (Le savoir vivre) wraz z nauką życia. Poglądy na zachowanie się w ważniejszych okolicznościach życia towarzyskiego. Wydanie trzecie. Najlepszy, nader dokładny i najstaranniej wydany podręcznik, rub. 1 kop. 20, oprawny w płótno rub. 1 kop. 30.

Z niedawnych czasów. Wspomnienia z Wilanowa. Wydanie wykwintne z portretami pań: Augustowej, Cecylii i Teresy Potockich, Adamowej Bychowcowej i Wiktorowej Ozackiej, rub 1 kop. 35.

Dla uniknięcia pomyłek, prosimy przy zamówieniu dodawać zawsze: „Wydanie Spółki Wydawniczej w Krakowie“.

Skład główny w księgarni GEBETHNERA i WOLFFA w Warszawie.

Do nabycia w każdej znaczniejszej księgarni.

Biblioteka Jagiellońska